Digitized by the Internet Archive
in 2025 with funding from
University of North Carolina at Chapel Hill

https://archive.org/details/dziea412dost

TEODOR DOSTOJEWSKI

DZIEŁA

Serja 4. Tom I i II

POD REDAKCJĄ
MELCHJORA WAŃKOWICZA
POPRZEDZONE STUDJUM
ANDRZEJA STRUGA

TEODOR DOSTOJEWSKI

BRACIA KARAMAZOW

dla

1928

Towarzystwo Wydawnicze „Rój"

UNIVERSITY LIBRARY
UNIVERSITY OF NORTH CAROLINA
AT CHAPEL HILL

PRZEŁOŻYŁ Z ORYGINAŁU
ALEKSANDER WAT

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Szpitalna 12

Annie Grygorjewnej Dostojewskiej.

Zaprawdę, zaprawdę mówię wam: Jeśli ziarno pszeniczne wpadłszy w ziemię, nie obumrze, samo zostawa; lecz jeśli obumrze, wielki owoc przynosi.

(Ewang. według Jana XII, 24).

OD AUTORA.

Przystępując do życiorysu bohatera swego, Aleksego Fedorowicza Karamazowa odczuwam niejakie zakłopotanie. Bo i w rzeczy samej: chociaż Aleksego Fedorowicza nazywam moim bohaterem, to przecież sam sobie z tego zdaję sprawę, że Aleksy Fedorowicz nie jest wybitną osobistością, a przeto przewiduję nieuniknione zapytania tego rodzaju jak: czemże wyróżnia się ów pana Aleksy Fedorowicz, żeś go sobie pasował na bohatera? Co właściwie zdziałał? Kto o nim wie co, i z jakiego powodu? Czemuż to ja, czytelnik, mam tracić czas na poznawanie faktów jego życia?

Ostatnie pytanie jest najfatalniejsze, ponieważ mam na nie tylko jedną odpowiedź: „może sami zobaczycie po przeczytaniu". A jeżeli nie zobaczą sami po przeczytaniu, jeżeli nie przekonają się do wyjątkowości Aleksego Fedorowicza? Wspominam o tem, ponieważ z wielkim smutkiem przewiduję ten wypadek. Według mnie Aleksy Fedorowicz zasługuje na uwagę, ale wątpię, czy potrafię przekonać czytelnika. Chodzi o to, że Aleksy Fedorowicz coprawda jest działaczem, ale nieokreślonym i niewyklarowanym. Zresztą trudno jest w takich czasach jak nasze wymagać od ludzi jasności. Lecz jedno jest dosyć niewątpliwe: bohater mój jest człowiekiem dziwnym, a nawet dziwacznym. Dziwność zaś i dziwaczność raczej przynoszą ujmę, a w każdym razie nie dają prawa do czyjejś uwagi,

zwłaszcza w okresie, gdy wszyscy ludzie dążą do scałkowania cech poszczególnych, do znalezienia jakiego bądź ogólnego sensu w powszechnym zamęcie. A przecież dziwak to poszczególność i odosobnienie. Prawda?

Otóż, jeśli nie zgodzicie się z tą tezą, jeśli dacie mi odpowiedź: „nieprawda" albo „niezawsze tak bywa", to i ja, być może, nabiorę większego przekonania do doniosłości mego bohatera, Aleksego Fedorowicza. Bo też dziwak nie zawsze jest poszczególnością i odosobnieniem, owszem, nieraz nosi w sobie rdzeń powszechności, i wówczas ta właśnie przeciwstawna mu większość to tylko jednostki, które niewiedzieć czemu wiatr jakiś przelotny na krótki od niego oderwał czas...

Nie wdawałbym się zresztą w te nader nieciekawe i mętne wyjaśnienia, zacząłbym poprostu bez wstępów: „spodoba się, to i tak przeczytają" — gdyby nie to, że do jednego życiorysu mam aż dwie powieści. Zasadnicza powieść to druga: działalność mego bohatera w naszych czasach, mówiąc ściślej, w obecnej, bieżącej chwili. Pierwsza zaś powieść dotyczy zdarzeń, które rozegrały się trzynaście lat temu; właściwie nie jest nawet powieścią, lecz epizodem z wczesnej młodości mego bohatera. Nie mogę jej wszakże pominąć, ponieważ bez niej druga powieść byłaby niezupełnie zrozumiała. I oto pierwotna moja trudność o wiele bardziej się wikła: jeżeli ja sam, życiopis Aleksego Fedorowicza uważam, że tak skromny i nieokreślony bohater nie zasługuje, być może, nawet na jedną powieść, to jakiem czołem zgłaszam aż dwie powieści? Jak sobie wytłumaczyć tego rodzaju zuchwalstwo autora?

Nie mogąc sobie poradzić z rozwiązaniem tych kwestyj, zostawiam je bez odpowiedzi. Rozumie się, przenikliwy czytelnik już dawno się domyślił, że do tego właśnie od samego początku zmierzałem; i tylko dąsał się na mnie, że marnotrawię jałowe słowa i drogi czas. Na ten zarzut odpowiem szczegółowo. A odpowiem to, że marnotrawiłem jałowe słówka i drogi czas po pierwsze przez grzeczność, po drugie z przebiegłości: „bądź co bądź jednak ja-

koś tam zgóry o czemś uprzedzałem". Co więcej po namyśle zaczynam się nawet cieszyć, że powieść moja rozpadła się sama przez się na dwie opowieści, złączone „istotną jednością całości"; poznawszy bowiem pierwszą, czytelnik sam będzie mógł ocenić, czy warto zasiadać do drugiej? Ma się rozumieć, czytelnik nie ma żadnych względem autora obowiązków; zechce, to może odrzucić książkę odrazu po dwóch stronicach i nigdy już jej nie otwierać. Lecz istnieją i tacy delikatni czytelnicy, którzy zapragną bezwarunkowo przeczytać do samego końca, aby ustrzec się od omyłek przy wydawaniu bezstronnej oceny; do nich autor zalicza naprzykład wszystkich rosyjskich krytyków. Względem tych właśnie czytelników zaspokoiłem swe sumienie: pozwalam im bez ujmy dla ich sumienności i dokładności odrzucić tę książkę po przeczytaniu pierwszego epizodu. Oto i cała moja przedmowa. Chętnie przyznaję, że jest zbędna, ale skoro ją napisałem, to niech już sobie zostanie.

A teraz do rzeczy.

CZĘŚĆ PIERWSZA

KSIĘGA PIERWSZA.

DZIEJE PEWNEJ RODZINKI.

I.

Fedor Pawłowicz Karamazow.

Aleksy Fedorowicz Karamazow był trzecim synem obywatela naszego powiatu, Fedora Pawłowicza Karamazowa, którego tragiczny i niewyjaśniony zgon był w swoim czasie, t. j. dokładnie trzynaście lat temu, szeroko omawiany (i dziś jeszcze zresztą wspomina się o tem w naszym partykularzu). Do owego tragicznego faktu wrócę jeszcze w stosownem miejscu, tymczasem zaś zajmę się osobą samego „ziemianina", jak Fedora Pawłowicza nazywano, mimo, że większą część życia spędził poza swym majątkiem. Chwilowo powiem tylko tyle, że był to dziwny typ, dosyć zresztą rozpowszechniony, typ osobnika nietylko wyuzdanego i nikczemnego, ale i w dodatku zbzikowanego. Należał on do tego gatunku zbzikowanych półgłówków, którzy doskonale umieją obrabiać swoje „interesiki majątkowe", i tylko te gieszefciki i nic ponadto. Fedor Pawłowicz zaczął naprzykład, rzec można, od niczego, majątek ziemski miał mizerny, jadał pieczeń po cudzych domach, kroił na rezydenta, a jednak zaraz po śmierci okaza-

ło się, że posiadał w gotówce około stu tysięcy. Ale mimo to był jednym z najbardziej postrzelonych wartogłowów naszego powiatu. Powtarzam: nie był bynajmniej głupcem, miał tylko bzika i to jakiegoś osobliwego, rdzennie narodowego.

Dwukrotnie żonaty, miał trzech synów — starszego, Dymitra Fedorowicza z pierwszej żony, i dwóch młodszych, Iwana i Aleksego, z drugiej. Pierwsza małżonka Fedora Pawłowicza pochodziła ze znanego i bogatego rodu szlacheckiego Miusowów, również obywateli naszego powiatu. Nie będę się zbytnio rozwodził, jak to się stało, że posażna panna, na dobitkę rozumna i dzielna (jak wiele dziewcząt rosyjskich nietylko obecnego ale i zeszłego pokolenia) mogła wyjść za takiego „hetkę - pętelkę" jak podówczas przezywano u nas Fedora Pawłowicza. Wszak i ja znałem taką pannę, z wcześniejszego „romantycznego pokolenia", która kilka lat żywiła zagadkową miłość do pewnego jegomości i, choć mogła go najspokojniej w świecie poślubić, ubrdała sobie przeróżne urojone przeszkody i wkońcu z wysokiego urwiska skoczyła do głębokiej i bystrej rzeki. Zginęła z winy własnych kaprysów, z chęci upodobnienia się do szekspirowskiej Ofelji; można twierdzić, że gdyby urwisko, które sobie oddawna upatrzyła i polubiła, nie było tak malownicze, albo gdyby zamiast urwiska był na tem miejscu płaski i prozaiczny brzeg, nie byłoby doszło zapewne do samobójstwa. Jest to fakt autentyczny, co więcej tego rodzaju fakty nie były odosobnione w życiu dwóch czy trzech ostatnich pokoleń rosyjskiego społeczeństwa. Podobnież zamążpójście Adelaidy Iwanownej Miusowównej było niewątpliwie odgłosem obcych wpływów i reakcją kuszonego zamętem umysłu. Być może Adelaida Iwanowna chciała zaznaczyć niezależność wolnej kobiety, iść naprzekór przesądom społecznym, stawić harde czoło tyranji bliskich i rodziny; i wówczas usłużna wyobraźnia podsunęła jej — na chwilę bodaj — przekonanie, że Fedor Pawłowicz mimo stanowiska pieczeniarza jest może jednym z zuchwalszych i najbardziej szyderczych duchów owej przejściowej, zmierzającej ku wszelakim dosko-

nałościom epoki; w istocie był to przecież tylko zły błazen i nic ponadto. Skusił ją w dodatku pikantny szczegół: Fedor Pawłowicz wykradł ją z domu. Jak nikt inny był do tego rodzaju wybryków przysposobiony, chociażby ze względu na swoją pozycję społeczną; albowiem pragnął się namiętnie dochrapać wyższego stanowiska; skoligować się z dobrą rodziną i dostać za panną pokaźny posag — to była wcale ponętna perspektywa. Co się tyczy miłości, to, zdaje się, nie było jej wcale ani ze strony narzeczonej, ani z jego strony, mimo całą piękność Adelaidy Iwanownej. Do tego stopnia, że kto wie, czy nie był to jedyny wypadek w życiu Fedora Pawłowicza. Był on bowiem rozpustnikiem do końca życia i lgnął do każdej bez wyjątku kiecki. I tylko ta jedna kobieta nie wywierała na jego zmysłach żadnego wrażenia.

Adelaida Iwanowna zmiarkowała rychło po porwaniu, że ma dla męża jedynie uczucie pogardy. I oto skutki tego związku wystąpiły najaw z niezwykłą szybkością. Aczkolwiek rodzina dosyć prędko pogodziła się z faktem i wyposażyła należycie uciekinierkę, pożycie obojga małżonków stało się w najwyższym stopniu burzliwe i wyładowywało się w nieustannych kłótniach domowych. Powiadano, że młoda małżonka okazała się o wiele szlachetniejsza i wznioślejsza od swego męża, który, jak to obecnie wiadomo, odrazu wyłudził jej całą gotowiznę — około dwudziestu pięciu tysięcy, które dostała w posagu; oczywiście, wszystkie te tysiączki przepadły dla niej jak w wodę. Wioskę zaś i wcale niezgorszy dom w mieście, również w posagu otrzymane, przez długi czas usiłował wszelkiemi sposobami przepisać na swoje imię, skłaniając ją do sporządzenia odpowiedniego aktu. I Adelaida Iwanowna byłaby wkońcu na to przystała, choćby z pogardy i odrazy, jaką przejmowała ją bezwstydna ta żebranina i wymuszenia, choćby ze zmęczenia, byleby go się prędzej pozbyć, lecz na szczęście wdała się w to rodzina i powściągnęła jego zapały. Wiadomo z całą pewnością, że nieraz dochodziło do bijatyk, przyczem jak głosi wieść, stroną czynną był nie Fedor Pawłowicz, lecz Adelaida Iwanowna, ko-

bieta gorącego temperamentu, śmiała, zręczna, niecierpliwa, obdarzona niezwykłą siłą fizyczną. Koniec końców porzuciła męża i uciekła z jakimś wygłodniałym nauczycielem seminarzystą, zostawiwszy Fedorowi Pawłowiczowi trzyletniego Mitię. Fedor Pawłowicz natychmiast sprowadził sobie do domu cały harem, urządzał desperackie pijatyki, w przerwach zaś rozjeżdżał po całej niemal gubernji i płaczliwie skarżył się wszem wobec i każdemu zosobna na wiarołomną żonę, Adelaidę Iwanownę. Na dobitkę opowiadał takie szczegóły małżeńskiego życia, o których wstydliwość nie pozwala mówić. A co najciekawsze, z przyjemnością a nawet z pewną dumą odgrywał śmieszną rolę zdradzonego męża i popisywał się szczegółami swojej krzywdy. „Pomyśleć można, żeś pan, Fedorze Pawłowiczu, rangę otrzymał, takie z pana zadowolenie bije, mimo całego frasunku" — powiadali szydercy. Inni dodawali nawet, że Fedor Pawłowicz chętnie wypływa w odnowionej postaci błazna, i że specjalnie, gwoli większego efektu, udaje, jakoby nie dostrzegał śmieszności swego położenia. Kto go tam zresztą wie, może naprawdę była to szczera naiwność. Wreszcie udało mu się wytropić uciekinierkę. Nieboraczka mieszkała w Petersburgu, dokąd zbiegła ze swoim seminarzystą. Naostatek puściła się na pełne fale emancypacji. Fedor Pawłowicz natychmiast zakrzątnął się niespokojnie i zaczął wybierać się do Petersburgu. W jakim celu? — sam tego, oczywiście, nie wiedział. I może naprawdę byłby pojechał; lecz powziąwszy takie postanowienie, odrazu uważał za stosowne dodać sobie animuszu huczną wypitką. W trakcie tego rodzina jego żony otrzymała z Peterburgu wiadomość o jej śmierci. Adelaida Iwanowna umarła jakoś znienacka, na poddaszu; jedni twierdzili, że na tyfus, inni, że pono z głodu. Fedor Pawłowicz miał mocno w czubie, gdy dowiedział się o żoninej śmierci. Powiadają, że wybiegł na ulicę i krzyczał, podnosząc ręce do góry: „*wyzwolony*", ale według innej wersji płakał jak małe dziecko, do takiego stopnia, że aż litość brała, mimo odrazę, którą budził. Bardzo być może, że jedno i drugie jest prawdą, to znaczy: że cieszył się z wolności

i płakał po tej, która go uwolniła — wszystko to równocześnie. Naogół przecież ludzie, nawet najbardziej szubrawi, są naiwniejsi i prostoduszniejsi, niżbyśmy mogli przypuszczać. I my sami również.

II.

Poniewierka pierwszego syna.

Oczywiście, nietrudno sobie wyobrazić, jakim wychowawcą i ojcem mógł być tego rodzaju człowiek. Jako ojciec postąpił tak, jak można było przewidzieć, a więc całkowicie zaniedbał dzieciaka, zrodzonego z Adelaidy Iwanownej. A postąpił tak bynajmniej nie ze złości do chłopca i nie dla pomsty znieważonych uczuć małżeńskich, lecz poprostu dlatego, że całkiem o nim zapomniał. Więc gdy ojciec wszystkich znajomych zanudzał łzami i skargami i z domu swego rozpustny zrobił lupanar, syna — trzyletniego Dymitra, wziął w opiekę wierny sługa tego domu, Grzegorz. Gdyby nie ten, nie byłoby komu zmienić dziecku koszulinę. Nadomiar tak się jakoś złożyło, że krewni młodego Dymitra ze strony matki też o nim z początku w kamień zapomnieli. Dziadek, t. j. sam pan Miusow, ojciec Adelaidy Iwanownej, nie żył już podówczas; wdowa po nim a babka Dymitra, przesiedliła się do Moskwy, i tam rozchorowała się obłożnie; ciotki zaś były wszystkie zamężne, wskutek czego Dymitrowi wypadło cały rok mieszkać u Grzegorza w czeladnej izbie. Zresztą, gdyby nawet ojczaszek przypomniał sobie o nim (nie mógł przecież, na miłość Boską, nie wiedzieć o jego istnieniu), byłby go i tak odesłał z początku do izby czeladnej, ażeby bachor nie przeszkadzał mu bachować. Aliści wrócił w tym czasie z Paryża kuzyn nieboszczki Adelaidy Iwanownej, Piotr Aleksandrowicz Miusow, który przez wiele lat mieszkał zagranicą. Był to wówczas bardzo jeszcze młody człowiek,

wyróżniający się z pomiędzy Miusowów, wykształcony, gładki, w całem tego słowa znaczeniu Europejczyk, który u schyłku życia miał się stać liberałem w stylu z 1840-50 roku. W swoim czasie utrzymywał stosunki z wielu wybitnymi przedstawicielami liberalnych partyj, w kraju i zagranicą, znał osobiście Proudhona i Bakunina i ze szczególną przyjemnością wspominał i opowiadał o trzech dniach paryskiej rewolucji z roku 1848, przyczem dawał do zrozumienia, że omało co sam nie walczył na barykadach. Było to jedno z najwdzięczniejszych wspomnień jego młodości. Posiadał własny majątek ziemski, wedle dawnej proporcji coś około tysiąca dusz. Wspaniała jego posiadłość zaczynała się prawie tuż za rogatkami naszego miasta i przylegała do majątku naszego znakomitego klasztoru, z którym Piotr Aleksandrowicz od wczesnej młodości prawował się o jakieś prawo do rybołóstwa, czy użytkowania lasu, nie wiem dokładnie. Wszczął sprawę natychmiast po objęciu ojcowizny, snać poczytując walkę z „klerykałami" za święty obowiązek oświeconego obywatela. Dowiedziawszy się historji Adelaidy Iwanownej, którą naturalnie pamiętał i na którą nawet zwrócił swego czasu uwagę, rozczulony losem Miti, postanowił się nim zająć, mimo całego młodzieńczego oburzenia i pogardy dla Fedora Pawłowicza. Wówczas to zawarł po raz pierwszy znajomość z Fedorem Pawłowiczem, któremu oświadczył wręcz, że chciałby się zająć wychowaniem dzieciaka. Później rozpowiadał często, jako charakterystyczny szczegół, że Fedor Pawłowicz w pierwszej chwili jakgdyby nie rozumiał, o jakiem dziecku mowa, i nawet jakgdyby ze zdziwieniem dowiadywał się, że ma tu gdzieś w swym domu młodego synka. Jeśli nawet uznać opowiadanie Piotra Aleksandrowicza za przesadne, to jednak przyznać trzeba, że nie było ono całkiem dalekie od prawdy. Lecz trzeba również wziąć pod uwagę, że Fedor Pawłowicz całe życie lubił udawać, lubił znienacka zagrać przed wami jakąś niedorzeczną rolę, choćby z ujmą dla siebie, jak w danym wypadku. Cechę tę posiada bardzo wiele osób, i to nietylko takich jak Fedor Pawłowicz, ale i nader mądrych. Piotr Aleksandrowicz zabrał się zatem go-

rąco do rzeczy i nawet został mianowany (pospołu z Fedorem Pawłowiczem) opiekunem dziecka, po matce bowiem został kapitalik, dom i majątek ziemski. Mitia istotnie zamieszkał u wujaszka. Nie trwało to długo, gdyż Piotr Aleksandrowicz, uporządkowawszy swoje sprawy majątkowe i zapewniwszy sobie regularne otrzymywanie dochodów, bezzwłocznie wyjechał do Paryża, a że nie miał własnej rodziny, więc zlecił chłopca opiece jednej ze swych stryjecznych ciotek, mieszkającej w Moskwie. Zadomowiwszy się w Paryżu, zkolei i on zapomniał o brzdącu, zwłaszcza, że w międzyczasie wybuchła owa rewolucja styczniowa, która tak trwałe piętno wycisnęła na jego wyobraźni i pamięci. A tymczasem moskiewska ciotka umarła, i Mitia przeprowadził się do jednej z jej zamężnych córek. Zdaje się, że później po raz czwarty zmienił gniazdo. Nie będę się teraz nad tem rozwodził, tem bardziej, że nieraz jeszcze wypadnie mi powrócić do pierworodnego syna Fedora Pawłowicza; chwilowo ograniczę się do najniezbędniejszych wiadomości, bez których nie mógłbym zacząć powieści.

Po pierwsze z trzech synów Fedora Pawłowicza, Dymitr Fedorowicz był jedynym, który wiedział, że posiada jakiś osobisty majątek i że z dojściem do pełnoletności stanie się niezależnym. Dzieciństwo jego i młodość były bezładne: nie wysiedział do końca w gimnazjum, wstąpił do jakiejś szkoły wojskowej, później znalazł się na Kaukazie, dosłużył się awansu, pojedynkował się, stracił szarżę, znowu się jej dosłużył, hulał wiele i przetrwonił stosunkowo wiele pieniędzy. Od Fedora Pawłowicza zaczął otrzymywać jakieś kwoty dopiero po dojściu do pełnoletności, przedtem zaś zaciągał długi. Fedora Pawłowicza, ojca swego, ujrzał i poznał po raz pierwszy już jako dojrzały młodzieniec, kiedy przyjechał do naszego powiatu specjalnie w tym celu, aby się porozumieć z ojcem w sprawach majątkowych. Zdaje się, że rodzic nie bardzo mu wówczas przypadł do gustu; w każdym razie bawił u tegoż niedługo. Otrzymawszy jakąś gotówkę i ułożywszy się co do następnych dochodów, natychmiast czmychnął z naszego miasta. Rzecz dziwna,

w żaden sposób nie mógł wydobyć od ojca ścisłych informacyj ani o rentowności ani o rzeczywistej wartości swego majątku. Fedor Pawłowicz zauważył wówczas odrazu (i to trzeba sobie zapamiętać), że Dymitr ma o swojej schedzie wygórowane i fałszywe wyobrażenie. Fedorowi Pawłowiczowi było to na rękę, gdyż miał na względzie swoje szczególne wyrachowania. Stwierdził poza tem, że Dymitr jest lekkomyślny, gwałtowny, niecierpliwy, pełen namiętności, hulaszczy, że łatwo go można zaspokoić, coprawda nie na długo, doraźnemi, małemi datkami. Wówczas zaczął wyzyskiwać syna, to znaczy wysyłać mu co pewien czas drobne sumy. Koniec końców po czterech latach Mitia, wyczerpawszy cierpliwość, przyjechał do naszego miasteczka po raz drugi, żeby już raz na zawsze rozliczyć się z ojcem. I wtedy to, ku jego najwyższemu zdumieniu, okazało się, że nic już nie posiada, że nawet trudno się rozliczyć, że wybrał już gotówką całą wartość spuścizny po matce, że może nawet nieco przebrał; że wreszcie skutkiem takich to a takich finansowych operacyj, w których sam chciał w takim to a takim czasie uczestniczyć, nie ma żadnego prawa żądać ani gronia nad to, co był otrzymał i t. d. Dymitr był zaskoczony, posądzał ojca o kłamstwo i szacherkę i wpadł w stan ostatecznego rozdrażnienia, graniczącego z szałem. Te właśnie okoliczności doprowadziły do katastrofy, której przebieg stanowi treść mojej pierwszej, wstępnej powieści, a raczej jej wątka zewnętrznego. Lecz zanim przejdę do powieści, muszę sprezentować dwóch młodszych synów Fedora Pawłowicza, braci Miti, oraz wyjaśnić skąd się oni wzięli.

III.

Drugie małżeństwo i młodsze dzieci.

Fedor Pawłowicz, pozbywszy się czteroletniego Dymitra, wnet potem ożenił się po raz drugi. Drugą żonę, również bardzo młodziutką, Zofję Iwanowną sprowadził

sobie z innej gubernji, do której pojechał w sprawie jakiejś drobnej dostawy podjętej do spółki z jakimś Żydkiem. Fedor Pawłowicz, jakkolwiek hulał, pił i łajdaczył się, nigdy nie zapominał o lokacie kapitału i zawsze jakoś przysparzał sobie majątku, coprawda zapomocą dosyć nikczemnych kombinacyj. Zofja Iwanowna należała do typu t. zw. „bezdomnych sierotek". Córka ciemnego diakona, wychowywała się w bogatym domu swej opiekunki, jednocześnie wychowawczyni i dręczycielki, znakomitej jenerałowej, wdowy po jenerale Worochinie. Nie znam bliższych szczegółów, słyszałem tylko, że pewnego razu odcięto to ciche, łagodne i bezbronne stworzenie od stryczka, na którym chciało się powiesić w swej komórce; zapewne dobrze musiały się jej dać we znaki wieczne kaprysy, fanaberje i wymówki złej staruchy, którą stała bezczynność czyniła nieznośną sekutnicą. Wówczas to wypłynął Fedor Pawłowicz i oświadczył się o rękę Zofji. Zasięgnięto o nim informacyj, zaczem wypędzono go z domu. Fedor Pawłowicz zaproponował pannie — jak to już raz był uczynił — porwanie. Bardzo być może, że nie zgodziłaby się zanic w świecie wyjść za niego, gdyby wiedziała dokładnie, z kim ma do czynienia. Atoli mieszkała w innej gubernji; i cóż zresztą mogła rozumieć szesnastoletnia dzieweczka, która wiedziała tylko to jedno, że lepiej się utopić, niż zostać nadal w domu dobrodziejki. Zamieniła tedy opiekunkę na opiekuna. Fedor Pawłowicz nie dostał tym razem złamanego szeląga, gdyż stara jenerałowa rozgniewała się srodze, wydziedziczyła wychowanicę i przeklęła młodą parę. Trzeba zresztą przyznać, że Karamazow tym razem nie liczył na pieniądze; złakomił się na niezwykłą urodę niewinnej dzieweczki, a szczególnie na jej wygląd niewinny, który oczarował tego rozpustnika, rozmiłowanego dotychczas jedynie w wulgarnej urodzie kobiecej. „Te oczęta niewinne drasnęły mi duszę jak brzytwą" — mawiał później z plugawym chichotem. Zresztą i tego rodzaju uczucie w duszy rozpustnego człowieka może być uważane za odmianę pociągu zmysłowego. Nie otrzymawszy żadnego wiana, Fedor Pawłowicz obchodził się z żoną bez ceremonji. Korzystając

z tego, że była względem niego jakgdyby „winna", że ją jakoby „uratował od stryczka", nadużywając poza tem jej nieprawdopodobnej pokory i powolności, podeptał najzwyklejsze zalecenia przyzwoitości małżeńskiej. Sprowadzał sobie do domu nierządnice i urządzał huczne orgje. Rzecz charakterystyczna, służący Grzegorz, ponury, głupi i uparty rezoner, który nienawidził dawnej dziedziczki, tym razem stanął stanowczo po stronie nowej pani, bronił jej i staczał o nią walki z Fedorem Pawłowiczem w sposób co najmniej zuchwały, a nawet pewnego razu zakłócił rozpasaną zabawę i przemocą wypędził z domu przybyłe bezwstydnice. Jednak nieszczęsna, od dzieciństwa zafukana kobieta wpadła w kobiecą chorobę nerwową, przeważnie rozpowszechnioną śród ludu, śród bab wiejskich, zwanych z tego względu „klikuszami". Okropne histeryczne ataki wycieńczały ją i mąciły chwilami jej rozum. Powiła wszakże Fedorowi Pawłowiczowi dwóch synów, Iwana i Aleksego, pierwszego w rok po ślubie, a drugiego trzy lata potem. Kiedy umarła, Aleksemu szedł czwarty rok, lecz mimo to pamiętał matkę przez całe życie, oczywiście jakby przez sen. Po jej śmierci los jej dzieci był mniej więcej ten sam, co los pierworodnego Fedora Pawłowicza, Dymitra; zaniedbane i zapomniane przez ojca, dostały się pod opiekę Grzegorza i zamieszkały w jego izbie. Tamże znalazła ich starucha jenerałowa, opiekunka i wychowawczyni ich nieboszczki matki. Żyła bowiem jeszcze i przez cały czas, przez te osiem lat nie mogła zapomnieć zniewagi. Miała stale najdokładniejsze wiadomości o doli i niedoli swojej „Zosi". Dwa czy trzy razy na wiadomość o jej chorobie, o ohydzie, śród której jej wychowanica żyje, odezwała się do swego fraucymeru: „Dobrze jej tak, Bóg ją skarał za niewdzięczność".

Dokładnie w trzy miesiące po śmierci Zofji Iwanownej jenerałowa naraz zjawiła się osobiście w naszem mieście i zajechała wprost do mieszkania Fedora Pawłowicza; bawiła u nas zaledwie pół godziny, ale zdążyła wiele zdziałać. Godzina była wieczorna, Fedor Pawłowicz, którego od ośmiu lat ani razu nie widziała, był akurat pod dobrą

datą. Powiadają, że jenerałowa w mgnieniu oka, bez żadnych wstępnych wyjaśnień wycięła mu dwa siarczyste policzki, trzykrotnie szarpnęła go za czub, zaczem, nie rzekłszy ani słowa, udała się do izby czeladnej, do obu chłopców. Stwierdziwszy z pierwszego wejrzenia, że są nieumyte i w niechlujnej bieliźnie, spoliczkowała również Grzegorza i oznajmiła mu, że zabiera dzieci do siebie. Następnie wyprowadziła obu chłopców w tym stanie, w jakim ich zastała, zawinęła w pled, wsadziła do karety i wywiozła do swego miasta. Grzegorz schował policzek do kieszeni, jak przystoi oddanemu niewolnikowi, nic nie odpowiedział, owszem odprowadził starą dziedziczkę do karety i, ukłoniwszy się do samej ziemi, rzekł z przekonaniem: „Bóg zapłać za sierotki". — „A jednak gapa jesteś" — zawołała jenerałowa na pożegnanie. Fedor Pawłowicz przełożył sobie rzecz całą, doszedł do wniosku, że stało się dobrze, i po pewnym czasie bez zastrzeżeń wydał jenerałowej formalne upoważnienie do wychowywania jego dzieci. Co się tyczy otrzymanych policzków, to sam chodził po mieście i opowiadał o nich często gęsto.

I tak się jakoś zdarzyło, że i jenerałowa rychło potem umarła, zapisawszy każdemu z malców po tysiąc rubli „na nauki i aby całe te pieniądze poszły koniecznie i bezwarunkowo na smarkaczów, ale tak, aby starczyło aż do samiuteńkiej ich pełnoletności, bo to i tak za dużo dla takich dzieci, a jeżeli to się komuś nie podoba, to niech sam da więcej i t. d., i t. d.". Nie czytałem testamentu, ale mówiono mi, że był spisany w takim właśnie dziwnym i oryginalnym stylu. Głównym spadkobiercą jenerałowej był jednak bardzo uczciwy człowiek, miejscowy marszałek szlachty, Jefim Piotrowicz Poljenow. Z początku korespondował z Fedorem Pawłowiczem, ale wnet zmiarkował, że to daremna fatyga, że nie wyciągnie od niego złamanego grosza na wychowanie dzieci (chociaż Karamazow właściwie nigdy wprost nie odmawiał, tylko zazwyczaj grał na zwłokę, czasem w dodatku rozpływając się w czułościach). Wobec tego Jefim Piotrowicz zajął się osobiście dziećmi i w następstwie szczególnie polubił młodsze, Aleksego, który po-

tem przez długi czas wychowywał się w jego rodzinie. Proszę czytelnika, aby zakarbował to sobie w pamięci. I jeśli komu zawdzięczali obaj młodzi Karamazowowie swoją edukację i wykształcenie, to chyba tylko Jefimowi Piotrowiczowi. Był to najzacniejszy i najbardziej humanitarny w świecie człowiek. Nie tknął tysiączek wyznaczonych dzieciom przez jenerałową; to też do czasu ich pełnoletności tysiączki owe podwoiły się z procentów; z własnych funduszów łożył na ich wychowanie i oczywiście wydał na każdego z nich o wiele więcej niż po tysiączce. Nie będę się długo zatrzymywał nad ich dzieciństwem i młodością, zaznaczę tylko najważniejsze momenty. Starszy, Iwan, wyrósł na ponurego i milczącego chłopca. Nie był bynajmniej nieśmiały, ale od dziesiątego roku życia rozumiał, że wraz z bratem wychowuje się w obcej bądź co bądź rodzinie, że obydwaj są na czyjejś łasce, że mają takiego ojca, że nawet wstyd o nim wspominać i t. d., i t. d. Od niemowlęctwa niemal (tak przynamniej utrzymywano) okazywał niezwykłe i zdumiewające zdolności do nauki. Nie znam dobrze tej sprawy, wiadomo mi jednak, że Iwan rozstał się z rodziną Jefima Piotrowicza nieledwie w trzynastym roku życia, wstąpił do gimnazjum w Moskwie i zamieszkał u doświadczonego i podówczas bardzo słynnego pedagoga, przyjaciela Jefima Piotrowicza z lat dziecinnych. Sam Iwan opowiadał następnie, że wszystko to się stało naskutek „pochopności do dobrych uczynków" Jefima Piotrowicza, który uważał, że genjalnie uzdolniony chłopiec powinien mieć genjalnego wychowawcę. Zresztą ani Jefim Piotrowicz ani genjalny pedagog nie żył już, kiedy ich wychowanek po ukończeniu gimnazjum wstąpił na uniwersytet. Niestety, Jefim Piotrowicz przed śmiercią rozporządził się kiepsko, nieopatrznie zaniedbał różnych formalności, wskutek czego bracia przez dłuższy czas nie mogli podjąć kapitału, ongi zapisanego przez nieboszczkę jenerałową, a obecnie podwojonego odsetkami. To też młody student przez pierwsze dwa lata studjów uniwersyteckich znajdował się w trudnej sytuacji, musiał bowiem zarabiać na utrzymanie i jednocześnie się uczyć. Należy stwierdzić, że nie próbował

nawet zwrócić się o pomoc do ojca — może z dumy, z pogardy dla ojca, a może poprostu zdrowy rozsądek podszepnął mu, że nie można się spodziewać od ojca jako tako poważnego wsparcia. Jakkolwiek bądź, młody student nie stracił głowy i wystarał się o zajęcie: zrazu udzielał lekcyj po dwa złote za godzinę, potem biegał po redakcjach i umieszczał drobne dziesięciowierszowe notatki z kroniki ulicznej, które podpisywał jako „Świadek". Notatki owe, powiadają, były tak ciekawie i pikantnie pisane, że rychło się przyjęły. W ten sposób Iwan Fedorowicz okazał swą umysłową i praktyczną wyższość nad ową ogromną, wiecznie wygłodniałą i nieszczęsną rzeszą naszej uczącej się młodzieży obojga płci, która to młodzież ciągle nachadza redakcje przeróżnych gazet i czasopism, nie mogąc nic innego wymyślić jak wieczne przekłady z francuskiego i przepisywanie rękopisów. Nawiązawszy stosunki z redakcjami, Iwan Fedorowicz starał się je wciąż podtrzymywać i oto w ostatnich latach pobytu na uniwersytecie zaczął publikować nader utalentowane analizy dzieł, traktujących o rozmaitych specjalnych tematach. Wkrótce nawet zasłynął w kółkach literackich. Lecz dopiero w ostatnich czasach udało mu się przypadkowo zwrócić na siebie uwagę szerszych kół czytelników i stać się nawet przedmiotem żywych dyskusyj. Był to wcale ciekawy wypadek. Szykując się po skończeniu uniwersytetu do wyjazdu zagranicę za odziedziczone dwa tysiące, Iwan Fedorowicz nagle wydrukował w jednej z większych gazet bardzo dziwny artykuł, który spotkał się z uznaniem nietylko specjalistów, ale i szerszych kół, i którego temat był mu napozór obcy. Iwan Fedorowicz bowiem ukończył wydział przyrodniczy, zaś artykuł ów dotyczył szeroko wówczas komentowanej kwestji sądów duchownych. Analizując niektóre ogłoszone już zapatrywania, Iwan Fedorowicz wysuwał własny na tę sprawę pogląd. Ciekawy był mianowicie ton i zupełnie niespodziewane wnioski. A jednak niektóre sfery klerykalne uznały stanowczo autora za swego poplecznika. I jednocześnie nietylko postępowcy ale i ateiści przywitali go gorącym oklaskiem. Koniec końców niektórzy bardziej domyślni ludzie zdecydowali, że

cały artykuł jest tylko zuchwałym pamfletem i szyderstwem. Napomykam o tym wypadku przedewszystkiem dlatego, że omawiany artykuł dotarł w swoim czasie do naszego słynnego podmiejskiego klasztoru, którego mieszkańcy, nawiasem mówiąc, interesowali się bardzo aktualną wtenczas sprawą sądów cerkiewnych, — i obudził prawdziwe zdumienie. Przeczytawszy nazwisko autora, doszło się i tego, że pochodzi on z naszego miasta i że jest synem „tego właśnie Fedora Pawłowicza, co to..." I oto w tym samym czasie zjawił się w mieście sam autor.

W jakim celu przyjechał do nas Iwan Fedorowicz? — przypominam sobie, że już wówczas zadawałem sobie to pytanie prawie z niepokojem. Ów przyjazd tak fatalny, który stał się zaczątkiem tylu wydarzeń, przez długi czas potem, a nawet nieledwie dotychczas był dla mnie niewyjaśnioną, niezrozumiałą zagadką. Już to samo było dziwne, że taki uczony, taki dumny i napozór rezolutny młodzieniec nagle przybył do takiego plugawego domu, do takiego ojca, który zaniedbywał go od wczesnego dzieciństwa, nie znał i nie pamiętał, który ciągle żył w strachu, że i młodsi synowie, Iwan i Aleksy, zgłoszą się kiedyś po pieniądze, dodajmy, że w strachu bezprzedmiotowym, albowiem Fedor Pawłowicz byłby i tak pozostał głuchy na wszelkie błagania. I oto młodzieniec ów zajeżdża do domu takiego ojca, mieszka z nim miesiąc i drugi i jakoś żyje z nim w najlepszej zgodzie. Harmonja ta dziwiła nietylko mnie ale i wielu innych ludzi. Piotr Aleksandrowicz Miusow, o którym wspomniałem powyżej, daleki powinowaty Fedora Pawłowicza, w tym czasie bawił w swoim podmiejskim majątku, przyjechawszy na krótko z Paryża, gdzie osiedlił się był na stałe. Pamiętam, że kto jak kto, ale on był bodaj najbardziej zdziwiony. Zawarłszy znajomość z Iwanem Fedorowiczem, bardzo się nim zainteresował; nie bez wewnętrznego bólu licytował się z nim pod względem oczytania. „Dumny jest" wyrażał się o nim w rozmowie z nami „zawsze sobie poradzi, zresztą ma już gotówkę na wyjazd zagranicę — czegóż więc tutaj szuka? Nie ulega wątpliwości, że celem jego przyjazdu nie są pieniądze, bo ojczulek grosza

mu nie da. Nie pije i nie hultai, a tymczasem stary nie może się już bez niego obejść, taka ci to gorąca przyjaźń!" Tak było istotnie. Iwan Fedorowicz miał widoczny wpływ na ojca, który chwilami jakgdyby słuchał go wbrew niezwykłej i złośliwej krnąbrności swego charakteru. Co więcej Fedor Pawłowicz przycichł jakoś i zaczął zachowywać się przyzwoiciej...

Dopiero później wyjaśniło się, że Iwan Fedorowicz przyjechał po części na prośbę i w sprawie swego starszego brata, Dymitra Fedorowicza. Poznał zaś Dymitra dopiero koło tego czasu, ale jeszcze przed przyjazdem do naszego miasta porozumiewał się z nim listownie w bardzo ważnej sprawie, obchodzącej przedewszystkiem Dymitra Fedorowicza. O samej sprawie czytelnik dowie się szczegółowo w toku niniejszego opowiadania. Ale mimo to wszystko, Iwan Fedorowicz nadal wydawał mi się zagadkową istotą, i przyczyna przyjazdu jego do naszego miasta nie przestała być dla mnie niewyjaśnioną tajemnicą.

Dodam jeszcze, że Iwan Fedorowicz sprawiał wówczas wrażenie pośrednika i pojednawcy między ojcem a starszym, przyrodnim bratem swoim Dymitrem Fedorowiczem, który wtedy zaczął się awanturować o schedę po matce i nawet podał na ojca formalną skargę do sądu.

I ta oto rodzinka, powtarzam, zebrała się wówczas w komplecie po raz pierwszy, i po raz pierwszy ujrzeli się i poznali niektórzy jej członkowie. Jedynie najmłodszy syn, Aleksy Fedorowicz mieszkał już rok w naszem mieście i pod tym względem wyprzedził swoich braci. O nim to właśnie, o Aleksym, najtrudniej mi mówić w niniejszem wstępnem opowiadaniu, poprzedzającem właściwą powieść. Ale trudna rada, i o nim muszę napisać przedmówkę, żeby zgóry wyjaśnić pewien nader dziwny szczegół: chodzi bowiem o to, że mego przyszłego bohatera już od pierwszej sceny powieści muszę przedstawić w sukience nowicjusza. Tak, już od roku przebywał w naszym klasztorze i, zdawało się, zamierzał się w nim zamknąć na całe życie.

IV.

Trzeci syn, Aljosza.

Miał lat zaledwie dwadzieścia (brat jego Iwan miał dwadzieścia trzy, a najstarszy Dymitr dwadzieścia osiem). Nasamprzód stwierdzam, że Aljosza nie był żadnym fanatykiem, ani, przynajmniej według mego zdania, mistykiem. Dla uproszczenia odrazu wygłoszę swoje o nim mniemanie. Był poprostu wczesnym altruistą, a wstąpił na drogę zakonną tylko dlatego, że w owym czasie ona jedna olśniła go, objawiła się jako ideał wyzwolenia duszy, rwącej się z mroków doczesnego złego ku światłu miłości. Olśniła go zaś owa droga dlatego, że spotkał na niej wówczas niezwykłą, jego zdaniem, istotę — naszego słynnego „starca" z klasztoru, Zosimę, do którego zapałał wszystką gorącą pierwszą miłością swego nienasyconego serca. Zresztą, nie przeczę, że Aljosza już wówczas, a nawet wcześniej, nawet w kołysce, był dosyć dziwny. Mówiłem, że choć stracił matkę w czwartym roku, spamiętał ją mimo to na całe życie, pamiętał jej twarz, jej pieszczoty — „stoi przede mną jak żywa". Wspomnienia tego rodzaju nie są, jak powszechnie wiadomo, rzadkością i sięgają czasem wcześniejszego dzieciństwa, czasem nawet drugiego roku życia. Wszakże występują potem z mroku niby punkty jaśniejsze, niby kącik wydarty z ogromnego obrazu, który poza tem zgasł i sczezł na zawsze. To samo było z Aljoszą; pamiętał letni, cichy wieczór, otwarte okno, skośne promienie zachodzącego słońca (te skośne promienie najżywiej występowały w pamięci), w kącie obraz, przed nim zapalona lampka, a pod obrazem na klęczkach łkająca histerycznie, z wizgiem i krzykiem, matka, która trzyma go na ręku, ściska mocno, boleśnie, modli się za niego do Matki Boskiej, i odrywając go od siebie, podnosi ku obrazowi, powierza opiece Bogarodzicy i naraz wpada niańka i z przerażeniem wyrywa go z rąk matki. To ci obraz! Aljosza zapamiętał sobie w owej chwili twarz matki: o ile mógł spamiętać, była ona nieprzytomna, ale piękna. Ale mało komu zwierzał się z tego wspo-

mnienia. W dzieciństwie i w młodości był nie bardzo ekspansywny, był nawet małomówny, ale nie skutkiem nieśmiałości ani ponurej mizantropji. Było w tem co inszego, jakiś szczególny rodzaj jakgdyby wewnętrznej zadumy, wyłącznie osobistej, nikogo innego nie obchodzącej, ale dla niego tak istotnej, że zapominał przez nią o otoczeniu. Atoli kochał ludzi; zawsze, zdaje się, wierzył ludziom bezgranicznie, a jednak nikt nie uważał go za naiwnego prostoducha. Miał w sobie coś, co mówiło i przekonywało wówczas (zresztą i później, przez całe życie), że nie chce być sędzią ludzi, że nie zechce obarczać się sądzeniem cudzych postępków i że za nic w świecie nie będzie nikogo potępiał. Zdawaćby się mogło, że wszystko przyjmował i nic nie osądzał, i tylko czasem ulegał bardzo gorzkim smutkom. Co więcej doszedł pod tym względem, we wczesnej młodości, do takiego zrównoważenia, że nikt nie mógłby go stropić, ani przestraszyć. Kiedy w dwudziestym roku życia, czysty i niewinny, przybył do ojca, do istnego, można powiedzieć, lupanaru wyuzdanej rozpusty, oddalał się tylko, gdy naprawdę niepodobna już było patrzeć, ale nie znać było po nim żadnej pogardy, ani potępienia. Ojciec zaś, który jako dawny pieczeniarz był nader wrażliwy i czuły na obrazę, zrazu przywitał go nieufnie i niechętnie („milczy bo milczy, ale na wąs mota"). Wkońcu jednak nie dalej niż po jakich dwóch tygodniach począł go niezwykle często ściskać i obcałowywać. Coprawda były to łzy pijackie i wylewność czmeru, wszelako widać było, że pokochał syna szczerze i głęboko, jak jeszcze nigdy nie kochał nikogo taki człowiek jak on.

Zresztą młodzieńca tego kochali wszyscy, z kimkolwiek się stykał. Jeszcze w dzieciństwie, znalazłszy się w domu Jefima Piotrowicza Poljenowa, swego opiekuna i wychowawcy, zjednał sobie względy całej rodziny do takiego stopnia, że obchodzono się z nim jak z własnem dzieckiem. A przecież wszedł do tego domu w takim wieku, że niepodobna go było posądzać o wyrachowaną przebiegłość, o intryganctwo, o sztukę przypochlebiania się, o świadomą umiejętność zaskarbiania sobie względów otoczenia. Zatem jego dar zdobywania szczególnej sympatji należy kłaść na karb

jakiejś przyrodzonej mu, bezpośredniej i samorodnej właściwości. Podobnie rzecz miała się w szkole, chociaż napozór należał do tej kategorji dzieci, które ściągają na siebie nieufność, złośliwość albo i nienawiść kolegów. Naprzykład wpadał nieraz w zadumę i jakgdyby się odosabniał. Lubił od najwcześniejszego dzieciństwa zaszywać się w kąt i siedzieć nad książką. A jednak koledzy tak go lubili, że z całą stanowczością można go było nazwać ulubieńcem całej szkoły. Rzadko bywał swawolny, rzadko nawet wesoły, ale wystarczyło spojrzeć nań, aby stwierdzić, że to wynikało nie z posępności, lecz owszem z pogodnego i równego usposobienia. Nigdy nie chciał się wyróżniać z pomiędzy rówieśników. Może dlatego nigdy się nikogo nie bał, ale koledzy odrazu zrozumieli, że nie pyszni się wcale swoją odwagą, że jakgdyby sobie jej nie uświadamia. Nie pamiętał nigdy urazy. Zdarzało się, że w godzinę po jakimś zatargu, pierwszy zwracał się do swego krzywdziciela, a czynił to takim ufnym i pogodnym tonem, jakgdyby nic między nimi nie zaszło. I nie było w tem żadnej afektacji, zapomnienia obrazy czy umyślnego przebaczenia: poprostu nie uważał tego, co się stało, za obrazę i to właśnie oczarowywało i zniewalało chłopców. Jeszcze jedno: miał jakiś rys charakteru, który przez wszystkie klasy, poczynając od niższych, prowokował kolegów do kpin; ale kpili nie ze złośliwego szyderstwa, lecz dlatego tylko, że było im jakoś wesoło. Rysem owym była dzika, wprost bezprzytomna wstydliwość i cnotliwość. Nie znosił poniektórych słówek i poniektórych pogawędek o kobietach. Owe „poniektóre" słówka i rozmowy na nieszczęście nie dadzą się wytępić w szkołach średnich. Chłopcy czystej duszy i niewinnego serca bardzo często lubią w klasie rozmawiać między sobą a nawet nagłos o takich rzeczach, scenach i obrazkach, jakie korciłyby nawet najbrutalniejszego żołdaka; co więcej żołdak nie rozumie i nie zna wielu takich rzeczy, które już przestały być sekretem dla dzieci z naszych inteligentnych i wyższych warstw społecznych. Nie można tego chyba nazwać rozpustą moralną i nie jest to również cynizm prawdziwy, wewnętrzny, — w najgorszym wypadku może zewnętrzny, powierzchowny,

uchodzący, niestety, w tem środowisku za cechę delikatną, subtelną, junacką, godną naśladowania. Ponieważ „Aljoszka Karamazow", gdy rozmawiano „o tem", zatykał sobie uszy palcami, więc czasem koledzy umyślnie otaczali go gromadką i, przemocą odrywając mu ręce, kładli mu do uszu wszelkie bezecne słówka. Aljosza w takich razach wyrywał się, rzucał na podłogę, kładł, zasłaniał się i bez słowa gniewu milcząco znosił obrazę. Wkońcu dano mu spokój, przestano go przezywać „panienką", ale spoglądano na niego pod tym względem z pewnem politowaniem. Nawiasem mówiąc, zaliczał się zawsze do lepszych uczniów, ale nigdy nie był prymusem.

Po śmierci Jefima Piotrowicza Aljosza jeszcze dwa lata przesiedział w gimnazjum gubernjalnem. Niepocieszona wdowa po Jefimie Piotrowiczu niemal odrazu po jego zgonie wyjechała na dłuższy pobyt do Włoch wraz z całą rodziną, składającą się wyłącznie z kobiet. Aljosza zaś został u jakichś dwóch pań, których dotąd na oczy nie widział. Były to dalekie krewne Jefima Piotrowicza. Aljosza nie mógłby powiedzieć, na jakich warunkach zgodziły się przyjąć go do swego domu. Nigdy zresztą nie interesował się, na czyj koszt żyje, i to był również jeden z jego rysów najbardziej charakterystycznych. Pod tym względem był przecie absolutnem przeciwieństwem swego starszego brata, Iwana Fedorowicza, który pierwsze dwa lata studenckie znosił niedostatek, utrzymywał się z własnej pracy i od wczesnego dzieciństwa mocno nad tem bolał, że jest na łasce opiekuna. Nie można było jednak zbyt surowo osądzać tej dziwnej cechy charakteru Aleksego, bo każdy, kto stykał się z nim choćby powierzchownie, dochodził do przekonania, że Aleksy jest na tym punkcie jakby upośledzony duchowo, że gdyby naraz otrzymał wielki majątek, nie wahałby się natychmiast rozdać go na pierwsze wezwanie, albo na dobre uczynki, albo może i zgoła pierwszemu lepszemu zręcznemu oszustowi, któryby go o to poprosił. Zdawał się bowiem nie rozumieć wartości pieniędzy; oczywiście nie w znaczeniu dosłownem. Gdy mu dawano pieniądze na drobne wydatki, — nigdy o nie sam nie prosił — to albo przez długie tygod-

nie nie wiedział, co z niemi zrobić, albo pozbywał się ich odrazu. Piotr Aleksandrowicz Miusow, bardzo drażliwy w kwestjach pieniężnych, przestrzegający zasad burżuazyjnej uczciwości, przypatrzywszy się uważnie Aleksemu, wypowiedział o nim następujący aforyzm: „Oto jest jedyny może w świecie człowiek, którego można bez żadnej obawy zostawić bez grosza przy duszy, samego na placu obcego miljonowego miasta. Nie zginąłby, nie umarł z głodu ani z chłodu, odrazu znaleźliby się dobrzy ludzie, którzyby się nim zajęli, którzy nakarmiliby go i urządzili, a gdyby nawet nie urządzili, to on sam byłby się urządził bez żadnych wysiłków i upokorzeń, nie sprawiając żadnej trudności przygodnemu opiekunowi, wręcz przeciwnie, dając mu nawet niebyle jaką przyjemność".

Aljosza nie skończył gimnazjum. Miał jeszcze rok do ukończenia, gdy naraz oświadczył swym opiekunkom, że musi pojechać do ojca w pewnej ważnej sprawie; strzeliło mu to nagle do głowy. Obie damy bardzo się zmartwiły i nie chciały go puścić. Przejazd kosztował niewiele, i Aljosza zamierzał założyć w lombardzie zegarek, który otrzymał był w podarunku od rodziny nieboszczyka opiekuna przed jej wyjazdem zagranicę; wszakże obie panie nie dopuściły do tego i zaopatrzyły go hojnie w pieniądze i nawet w nowe ubranie i bieliznę. Lecz Aleksy zwrócił im połowę otrzymanej kwoty, bo, jak twierdził stanowczo, chciał jechać trzecią klasą. Przyjechawszy do naszej mieściny, na pierwsze badania ojcowskie: „Poco przybył, nie skończywszy budy?" nie dał właściwie odpowiedzi, trwając w jakiemś niezwykłem zamyśleniu. Niebawem wyszło na jaw, że szuka grobu swej matki. Zresztą sam przyznał się, że tylko to było celem jego przybycia. Ale wątpić należy, czy nagły ten przyjazd nie miał innych przyczyn. Najprawdopodobniej sam Aljosza wówczas nie wiedział i nie mógłby w żadnym razie wyjaśnić: co właściwie wyłoniło mu się naraz w duszy i z nieprzepartą siłą pchnęło na jakąś nową, nieznaną jeszcze, ale już nieodzowną drogę. Fedor Pawłowicz nie mógł mu wskazać mogiły swej drugiej żony, ponieważ od czasu pogrzebu

nie był ani razu na jej grobie i zupełnie przepomniał, gdzie ją wówczas pogrzebano...

Korzystając ze sposobności, dodamy coś więcej na temat Fedora Pawłowicza. Dłuższy czas przed przyjazdem syna nie mieszkał w naszem mieście. W trzy - cztery lata po śmierci drugiej żony wyjechał do południowej Rosji i wkońcu trafił do Odesy, gdzie przebył kilka lat zrzędu. Z początku zawarł ściślejszą znajomość, jak to się sam wyrażał, z „wieloma Żydami, Żydkami, Żydłakami i Żydziętami", a wkońcu zaczęto go przyjmować nietylko u Żydów, „ale i u Izraelitów". Przypuszczalnie w owym to okresie swego życia począł czosnakiem trącić i rozwinął w sobie ową szczególną umiejętność zbijania i ciułania grosza. Powrócił zaś ostatecznie do naszego miasteczka jakie trzy lata przed przyjazdem Aljoszy. Dawni znajomi utrzymywali, że strasznie się zestarzał, aczkolwiek nie był wcale taki stary. Maniery jego bynajmniej nie wyszlachetniały, owszem nabrały większej czupurności. W tym dawnym błaźnie zrodziła się naprzykład zuchwała potrzeba wystrychania ludzi na błaznów. Pławił się w rozpuście nie mniej jak dawniej, a nawet jakgdyby szkaradniej. Niebawem założył w naszym powiecie mnóstwo nowych szynków. Twierdzono, że posiada w majątku może ze sto tysięcy, w każdym zaś razie niewiele mniej. Stał się odrazu wierzycielem wielu miejskich i wiejskich obywateli, oczywiście udzielał lichwiarskich pożyczek pod najpewniejsze zastawy. Dopiero w ostatnich czasach opuścił się jakoś, roztył, począł tracić równowagę, kontrolę nad sobą, wpadł nawet w jakąś szczególnego rodzaju lekkomyślność, zaczynał jedno i kończył drugiem, rzucał się jakoś niespokojnie, upijał coraz częściej do nieprzytomności, i byłby się naraził na wiele kłopotów, gdyby nie znany nam już sługus Grzegorz, który się również bardzo zestarzał i coraz częściej doglądał swego pana niczem guwerner. Przyjazd Aljoszy wpłynął na ojca nawet, rzec można, strony moralnej; możnaby pomyśleć, że w niewczesnym starcu zaczęły się budzić jakieś dawno przygasłe uczucia. „Czy wiesz" mawiał często do Aljoszy, przyglądając mu się uważnie, „czy wiesz, że jesteś do niej podobny, do

„klikuszy" mianowicie?" Tak bowiem nazywał nieboszczkę żonę, matkę Aljoszy. Grobu jednak „klikuszy" nie mógł wskazać synowi. Uczynił to za niego lokaj Grzegorz. Zaprowadził młodzieńca na nasz cmentarz miejski i tam w dalekim zakącie pokazał mu skromną ale czystą płytę z lanego żelaza, na której znaczył się nawet napis — imię i nazwisko, data urodzenia i śmierci nieboszczki; — na dole był wyryty czterowiersz w stylu staromodnych, często spotykanych na mogiłach uboższego mieszczaństwa nagrobków. Okazało się, że Grzegorz był fundatorem tego pomnika. On sam go postawił na grobie nieszczęsnej „klikuszy", z własnych funduszów, ponieważ Fedor Pawłowicz był głuchy na wielokrotne nagabywania starego sługi i wreszcie wyjechał do Odesy, machnąwszy ręką nietylko na groby, ale i na wszystkie swe wspomnienia. Aljosza nie okazał nad grobem matki żadnego szczególniejszego wzruszenia; wysłuchał tylko napuszoną i rezolutną relację Grzegorza o postawieniu nagrobka, postał jakiś czas w posępnem zamyśleniu i odszedł, nie przemówiwszy ani słowa. Od tej pory, być może przez cały ten rok, ani razu nie zajrzał na cmentarz. Wszakże ten błahy epizod podziałał w dosyć oryginalny sposób na Fedora Pawłowicza. Zupełnie niespodzianie otworzył kabzę, i zawiózł tysiąc rubli do naszego monasteru na nabożeństwa żałobne za duszę zmarłej żony, ale nie drugiej, nie „klikuszy"—matki Aljoszy, lecz pierwszej, Adelaidy Iwanownej, która go za życia tłukła. Tegoż wieczoru upił się jak bela i wobec Aljoszy wymyślał na mnichów. A przecież nie był nabożny; nigdy może nawet dziesięciogroszowej łojówki nie postawił przed obrazem. Dziwne zaiste uniesienia niespodziewanych uczuć i nieprzewidzianych myśli nawiedzają tego typu osobników!

Wspomniałem już, że roztył się bardzo i ociężał. Fizjonomja jego w owym czasie poczęła niezwykle wyraźnie świadczyć o charakterze i istocie spędzonego życia. Długie i mięsiste woreczki odznaczały się pod niezmiennie zuchwałemi, podejrzliwemi i szyderczemi oczyma; sieć głębokich zmarszczek zbróździła jego drobną ale tłuściutką twarzyczkę; a pod ostrą brodą zawisł obfity podbródek, mięsisty i podłużny jak trzos, co dodawało mu jakiegoś

obrzydliwie lubieżnego wyrazu. Dodajcie do tego mięsożerne, długie usta z obrzękłemi wargami, które odsłaniały drobne szczątki czarnych, prawie zupełnie przegniłych zębów. Bryzgał śliną na wszystkie strony, ilekroć zaczynał mówić. Zresztą on sam lubił stroić sobie kpinki z własnego oblicza, chociaż naogół zdawał się być z niego wcale zadowolony. Pysznił się zwłaszcza swoim nosem, niezbyt dużym, ale bardzo cienkim z wydatnym garbem: „prawdziwie rzymski" powiadał „w połączeniu w podbródkiem wierutna fizja starożytnego rzymskiego patrycjusza czasu upadku". Zdaje się, że był z tego bardzo dumny.

I oto niedługo po zwiedzeniu grobu matki, Aljosza nagle oświadczył ojcu, że pragnie wstąpić do klasztoru, i że zakonnicy godzą się przypuścić go do nowicjatu. Wyjaśnił nadto, że jest to jego najgłębsze życzenie, i że prosi Fedora Pawłowicza, jako ojca, o solenne przyzwolenie. Fedor Pawłowicz wiedział już, że „starzec" Zosima, pokutujący w pustelni klasztornej, wywarł na jego „cichym chłopcu" szczególnie głębokie wrażenie. Milcząco i w zamyśleniu wysłuchał jego prośbę i nie okazał po sobie prawie żadnego zdziwienia.

— Starzec Zosima jest, ma się rozumieć, najrzetelniejszy z tych mnichów — rzekł. — Hm... więc tego ci się zachciewa, mój cichy chłopcze! — Był urżnięty i naraz uśmiechnął się swym długim, podchmielonym uśmiechem, nie pozbawionym przebiegłości i pijackiego sprytu. — Hm... alem ja to przeczuwał, że wkońcu coś takiego cię opęta, czy dasz wiarę? Kroiłeś mi wciąż na coś takiego. A cóż, masz tam przecie swoje dwie tysiączki, to i wiano gotowe. I ja cię, aniele mój, nigdy nie opuszczę; zażądają, to dołożę, ile tam trzeba będzie, a jakże. A jeżeli nie zażądają, to i poco się pchać? Wszak, synku drogi, z pieniążkami jak kanareczek się obchodzisz, ociupinkę, po dwa ziarenka na tydzień... Hm... Wiesz, bracie, w jednym klasztorze zakonnicy futor mają, za miastem futor, wszyscy już wiedzą, że na futorze tym tylko „mnisze żonki" pomieszkują, tak je tam zowią, myślę, że ze trzydzieści sztuk ich tam będzie... Sam tam byłem i wiesz kochasiu, ciekawe w swoim rodzaju, naturalnie

wedle urozmaicenia. Szkoda tylko, że szowinizm narodowy okropny, Francuzek jeszcze całkiem niema, a mogłyby być, bo i fundusze niebyle jakie. Jak zwąchają, to i przyjadą. No a tu co? Niema „mniszych żon", a samych mnichów chyba ze dwustu będzie. Rzetelni. Postnicy. Przyznaję... Hm. Więc mnichem chcesz zostać? A wiesz, że mi szkoda ciebie, naprawdę, czy dasz wiarę, polubiłem cię bardzo... Zresztą i sposobność niezgorsza: będzie komu pomodlić się i za nas, grzeszników. Zawieleśmy grzeszków napłodzili. Wciążci myślałem o tem: czy znajdzie się kto, co się za mnie do Boga pomodli? Czy jest na świecie taki człowiek? Drogi chłopaku, pod tym względem jestem naprawdę ciemny jak tabaka w rogu. Może nie wierzysz? Aż strach jak ciemny. Ale widzisz, synku: jakkolwiek ciemny jestem, myślę sobie wciąż, wciąż myślę, pewnie że nie cięgiem, ale od czasu do czasu. To chyba niemożliwe, myślę ja sobie, żeby djabli przepomnieli mnie na widła wsadzić, kiedy wyciągnę kopytka. Dobrze, myślę sobie, widły? A skądże te widły? A z czego te widły? Z żelaza może? A gdzieże kują te widły? Fabrykę czy co oni tam mają? Przecież tam w klasztorze mnichy pewnikiem myślą, że w piekle jest na ten przykład sufit. A ja, kochasiu, gotów jestem w piekło uwierzyć, ale bezwarunkowo bez sufitu; wygląda to jakoś delikatniej, inteligentniej, po luterańsku mianowicie. A właściwie, między nami mówiąc, czy nie wszystko jedno czy z sufitem czy bez sufitu? Masz tobie djabelne zagadnienie! No a jeśli niema sufitu, to znaczy niema też i wideł. A jeżeli wideł niema, w takim razie wszystko to duby smalone; to znaczy znowu niemożliwość: kto bo mnie wówczas na widły chwyci, bo jak mnie nie pochwyci, to i cóż wówczas będzie, gdzież prawda na świecie? Il faudrait les inventer, te widły, specjalnie dla mnie, dla mnie samego, bo gdybyś ty wiedział, Aljosza, jaki ze mnie grzesznik bezecny!

— Ale tam niema wideł — odrzekł Aljosza, cicho i poważnie patrząc na ojca.

— Tak, tak jest, tam są tylko cienie wideł. Wiem, wiem. To pewien Francuz opisywał tak piekło: J'ai vu l'ombre d'un cocher qui avec l'ombre d'une brosse frottait

l'ombre d'une carosse. Ty, kochasiu, skąd wiesz, że niema wideł? Inaczej mi zaśpiewasz, gdy pobędziesz śród mnichów. A zresztą idź sobie, a dobierajże się tam do prawdy i wracaj do mnie z relacją: zawszeć to snadniej pójść na tamten świat, gdy człek na pewniaka wie, co go tam czeka. A bodaj czy nie przyzwoiciej będzie dla ciebie pomieszkać z mnichami, niż ze mną, ze starym sączykufą no i z dziewczynkami... chociaż coprawda do ciebie jak do anioła nic nie przylgnie. No a może i tam nic do ciebie nie przylgnie, dlatego właśnie pozwalam ci, bo spodziewam się tego. Bo i głowę masz nie byle jaką. Popalisz się i osmalisz, wyleczysz się i wrócisz do mnie. A ja cię czekać będę: wszak czuję, że ty jedyny jesteś na świecie, jedyny, który mnie nie potępił, chłopcze mój drogi, wszak czuję to, nie mogę tego nie czuć!...

I nawet zaszlochał na dobre. Bo był sentymentalny. Zły i sentymentalny.

V.

Starcy.

Być może któryś z czytelników pomyśli sobie, że bohater mój był chorobliwą, egzaltowaną, niedorozwiniętą istotą, bladym marzycielem, wątłym, nerwowym młodzieniaszkiem. Nic podobnego. Aljosza w owym czasie był rosłym, rumianolicym, tchnącym zdrowiem i pogodą dziewiętnastoletnim wyrostkiem. Był nawet bardzo piękny i zgrabny, wzrostu nieco więcej niż średniego, miał ciemno-kasztanowe włosy, regularny chociaż cokolwiek wydłużony owal twarzy i błyszczące, ciemnoszare, szeroko rozstawione oczy. Minę miał przeważnie zadumaną i napozór bardzo spokojną. Mogą mi czytelnicy powiedzieć, że rumiane policzki nie wyłączają bynajmniej fanatycznego usposobienia ani skłonności do mistycyzmu; lecz mnie się zdaje, że Aljosza był nawet bardziej niż ktokolwiek inny realistą. O, rozumie się, przebywając w klasztorze, wierzył święcie w cuda, ale mojem zdaniem cuda nigdy nie konfudują realisty. Nie cuda bowiem skła-

niają realistę do wiary. Prawdziwy realista, który nie wierzy, zawsze znajdzie w sobie moc i zdolność przeczenia cudom i choćby nawet stanął przed niewątpliwym faktem, to raczej nie dowierzałby własnym zmysłom, niżby miał przyjąć możliwość cudu. A gdyby nawet przyjął, to jako fakt naturalny, tylko że dotychczas jeszcze nie wytłumaczony. Zaś realista, który wierzy, musi właśnie ze względu na swój realizm bezwarunkowo wierzyć w cud. Apostoł Tomasz twierdził, że nie uwierzy, póki nie zobaczy, zaś ujrzawszy rzekł: „Pan mój i Bóg mój!" Zaliż cud tchnął w niego wiarę? Chyba przeciwnie: uwierzył, ponieważ pragnął wierzyć, a może nawet wierzył już skrycie, w głębi duszy, gdy mówił: „Nie uwierzę, póki nie zobaczę".

Powiedzą mi może, że Aljosza był tępy, niedorozwinięty, nie skończył szkoły i t. d. To prawda, nie skończył szkoły, ale byłoby wielką niesprawiedliwością nazwać go tępym albo głupim. Powtórzę co już raz rzekłem: wkroczył na nową drogę, ponieważ tylko ona olsniła go; objawiła mu się jako ideał wyzwolenia duszy, wyrywającej się z mroku ku światłu. Dodać wypada, że należał do młodzieży ostatniego pokolenia, która — uczciwa z natury — domaga się prawdy, poszukuje jej i wierzy w nią. Uwierzywszy zaś, domagał się z całej duszy natychmiastowego udziału, domagał się rychłego czynu ofiarnego dla prawdy, pragnął poświęcić dla niej wszystko, bodaj własne życie. Nie pojmują, niestety, ci młodzi, że ofiara z własnego życia jest w wielu wypadkach może najłatwiejszem poświęceniem; że znacznie trudniej, a dla niektórych prawie zupełnie niemożliwie, poświęcić pięć czy sześć lat kipiącego młodością życia na ciężką, trudną naukę, na studja, chociażby tylko w tym celu, aby udziesięciokrotnić w sobie siły, potrzebne ku służeniu tejże prawdzie i dokonaniu tejże umiłowanej i zamierzonej ofiary. Aljosza obrał sobie niezwykłą naogół drogę, ale wstąpił na nią z takiem samem niecierpliwem pragnieniem ofiarnego czynu. Skoro tylko po poważnym namyśle doszedł do przekonania, że jest Bóg i nieśmiertelność duszy, natychmiast zupełnie naturalnie powiedział sobie: „chcę żyć dla Boga i nieśmiertelności, i nie przyjmuję połowicznego kompromi-

su". Podobnie, gdyby zdecydował, że niema Boga i nieśmiertelności, to niechybnieby został odrazu ateistą i socjalistą (albowiem socjalizm jest nietylko kwestją proletarjatu, czyli tak zwanego czwartego stanu, lecz w najistotniejszej swej treści zagadnieniem ateizmu, zagadnieniem współczesnego ateizmu, wieży Babel, wznoszonej bez Boga i nie gwoli osiągnięcia niebios z ziemi, lecz dla ściągnięcia niebios ku ziemi). Aljosza nie mógłby już żyć dawnem życiem. Powiedziano: „rozdaj wszystko, co masz, i pójdź za mną, jeśli chcesz być doskonałym". Aljosza więc powiedział sobie: „nie mogę zamiast „wszystkiego" rozdać dwa ruble, a zamiast iść za Nim chadzać tylko na nabożeństwa". Prawdopodobnie z wczesnego dzieciństwa zachował wspomnienie naszego podmiejskiego klasztoru, w którym może bywał z matką na nabożeństwach. Być może, wpłynęły również skośne promienie zachodzącego słońca przed obrazem, pod którego opiekę oddała go kaduczna matka. Przyjechał do nas wówczas zadumany, może poto tylko, aby się przekonać: czy tu jest „wszystko" czy też jeno dwa ruble, i wówczas to — w klasztorze spotkał owego „starca"...

Wiadomo już czytelnikowi, że był to starzec Zosima; lecz w tem miejscu wypada powiedzieć słów kilka o „starcach" wogóle, o stanowisku ich w rosyjskich klasztorach, a szkoda wielka, że w tej kwestji czuję się niezbyt kompetentnym i pewnym siebie. Spróbuję jednakże poinformować czytelników w krótkich słowach i dosyć powierzchownie. Więc po pierwsze znawcy twierdzą, że „starcy" pojawili się w rosyjskich monasterach stosunkowo niedawno, może nawet mniej niż sto lat temu, że natomiast na całym prawosławnym Wschodzie, zwłaszcza na Synaju i na górze Athos znani są już od przeszło tysiąca lat. Utrzymują, że i na Rusi bywali niegdyś starcy, ale w zamierzchłych czasach, że jest to rzecz pewna, ale że w następstwie klęsk, najazdu Tatarów, zamętu, przerwania dawnych stosunków ze Wschodem po zdobyciu przez Turków Konstantynopola, instytucja ta poszła u nas w zapomnienie, i starcy znikli. Powołał ją znowu do życia z końcem zeszłego stulecia jeden z wielkich zelantów wiary (jak go nazywano) Paisy Wieliczkowski

i jego uczniowie. Mimo to dziś jeszcze po upływie niespełna stu lat, przyjęła się daleko nie po wszystkich naszych monasterach. Zwalczana namiętnie jako nieznane u nas nowinkarstwo, jest wciąż przedmiotem ostrych ataków. Rozkwitła zaś szczególnie w słynnej pustelni Kozielskiej. Kto i kiedy zaszczepił ją w naszym podmiejskim klasztorze — nie wiem; wiem tylko, że ojciec Zosima był trzecim z rzędu starcem i że, chociaż był wycieńczony słabością i chorobami i jedną nogą stał już w grobie, nie wiedziano, kto będzie jego następcą. Była to sprawa nader ważna dla naszego klasztoru, który dotąd niczem się nie wyróżnił: nie miał bowiem ani relikwij świętych, ani cudotwórczych obrazów, ani nawet legend, powiązanych z dziejami naszego kraju, i nie mógł się powołać na żadne zdarzenie historyczne, na żadne zasługi względem ojczyzny. Zasłynął zaś na całą Rosję i rozkwitł pysznie tylko dzięki obecności starców, do których ściągały liczne pielgrzymki z całego kraju, z najdalszych jego rubieży. Ale czem jest właściwie taki „starzec"? Starzec to świątobliwy człowiek, który przejmuje waszą duszę i waszą wolę w swoją duszę i na swoją wolę. Obierając sobie starca, wyrzekacie się własnej woli i zdajecie się raz na zawsze na wolę starca. Zaś poddajecie się tej próbie i skazujecie na tę straszliwą szkołę życia, ufając, że po długim wysiłku przezwyciężycie samych siebie, zapanujecie nad sobą, i to do takiego stopnia, że wkońcu po wieloletniem posłuszeństwie dostąpicie doskonałej wolności, to znaczy wyzwolicie się od samych siebie i unikniecie losu ludzi, którzy przeżyli całe swe życie, a nie znaleźli się w sobie. Praktyki te nie opierają się zresztą na przesłankach teoretycznych, mają bowiem za sobą tysiącletnie doświadczenie. Powinności względem starców nie ograniczają się do zwykłego posłuszeństwa, odwiecznie stosowanego w naszych rosyjskich monasterach. Dochodzi tu nadto nieustanna spowiedź i niezniszczalny związek między związanym a tym, który wiąże. Opowiadają naprzykład, że w zaraniu chrześcijaństwa mnich pewien, nie wykonawszy zlecenia swego starca, opuścił monaster i wywędrował do innego kraju, mianowicie z Syrji do Egiptu, i tamże, po życiu pełnem wielkich i zbożnych trudów, po-

niósł śmierć męczeńską za wiarę. Aliści, gdy leżał w kościele, czczony jako święty, nagle po wezwaniu diakona: „ustąpcie stąd, wyklęci!“ — trumna z ciałem męczennika zerwała się z katafalku i wyrzucona została z świątyni; to samo powtórzyło się trzykrotnie. I wówczas stało się wiadomo, że świątobliwy męczennik naruszył był śluby posłuszeństwa i opuścił swego starca, a przeto mimo swe wielkie czyny nie dostanie rozgrzeszenia, pokąd mu starzec jego nie odpuści. I skoro zawezwany starzec uwolnił go od uczynionego ślubu, można było zwłoki męczennika pogrzebać. Oczywiście, jest to zamierzchła legenda, ale są i niedawne. Oto jedna z nich. Pewien mnich szukał zbawienia na górze Athos. Umiłował tę pustelnię jako cichą przystań dla swej duszy, gdy nagle starzec tamtejszy kazał mu opuścić górę i iść z początku do Jerozolimy do świętych miejsc, a potem wrócić do północnej swej ojczyzny, do Syberji. „Tam twoje miejsce, a nie tutaj“. Rażony jak gromem i do głębi strapiony zakonnik wyruszył do Konstantynopola, do ekumenicznego patrjarchy i błagał go o zwolnienie od ślubu posłuszeństwa. Wszakże władyka odpowiedział, że nietylko on sam niemocen jest dyspensować, ale że niema i być nie może na ziemi takiej władzy, któraby mogła dyspensować od posłuszeństwa względem starca, z wyjątkiem tegoż samego.

Starcy zatem pod pewnemi względami posiadają nieograniczoną i niepojętą władzę. Oto czemu w wielu klasztorach zwalczano i niemal prześladowano tę instytucję. Zato lud garnął się odrazu do starców i okazywał im najwyższą cześć. Do naszych zaś starców pielgrzymował nietylko gmin, ale i arystokracja; oddając się ich opiece bez zastrzeżeń, pobożni spowiadali się ze swych wątpliwości, z grzechów, cierpień i zgryzot i szukali rady i pocieszenia. Co widząc, przeciwnicy starców podnieśli krzyk, że starcy samowolnie i lekkomyślnie bezczeszczą sakrament spowiedzi. Lecz nieustanne spowiadanie duszy przed starcami nie jest spowiedzią w znaczeniu sakramentu. Mimo wszystkie oskarżenia, stanowisko starców w Rosji utrzymało się, a nawet zaczęło się pomału wszędzie przyjmować... Trzeba jednak przyznać, że to od tysiąca lat wypróbowane narzędzie moralnego odra-

dzania się człowieka od niewoli ku wolności może się stać obosieczne, i niejednego doprowadza nie do posłuszeństwa i ostatecznego opanowania swej jaźni, lecz wręcz przeciwnie, do najbardziej satanicznej pychy, zatem do łańcuchów, a nie do wolności.

Starzec Zosima miał sześćdziesiąt pięć lat, pochodził z ziemiańskiej rodziny, w młodości służył w wojsku na Kaukazie w randze porucznika. Niezawodnie, ogromne wrażenie, jakie wywarł na Aljoszy, było skutkiem jakiejś szczególnej zalety jego duszy. Aljosza zamieszkał w celi starca, który go bardzo polubił i trzymał przy sobie. Zwracam uwagę czytelnika, że Aljosza, chociaż mieszkał w klasztorze, nie był niczem skrępowany, mógł wychodzić dokądkolwiek i na jak długo chciał, a sukienkę zakonną nosił z własnej nieprzymuszonej woli, aby nie odróżniać się od mnichów. Zresztą odpowiadało to w zupełności jego życzeniom. Bardzo być może, że na młodzieńczą wyobraźnię Aljoszy żywo podziałała również popularność i rozgłos jego starca. Opowiadano o ojcu Zosimie, że, dopuszczając do siebie od tylu lat wszystkich pragnących się zwierzyć, wszystkich łaknących jego wskazówek i uzdrawiającego słowa, tak wiele przyjął do swej duszy objawień, skruszonych wyznań i świadomości, że wystarczyło mu raz rzucić okiem na pielgrzyma, aby domyślić się: z czem przyszedł, czego pragnie, a nawet co ma na sumieniu. Tedy zdumiewał, niepokoił i przerażał, odgadując sekrety, o których nikt mu nic nie mówił. Aljosza rychło przekonał się, że prawie wszyscy, którzy po raz pierwszy przybywali do starca na rozmowę w cztery oczy, wchodzili zakłopotani, niespokojni i strwożeni, wychodzili zaś pogodni i rozpromienieni. Najbardziej zasępione oblicza tchnęły szczęściem. Aljosza z niezwykłem zdumieniem spostrzegł odrazu, że w tym potężnym starcu niema cienia surowości; wręcz przeciwnie, był zawsze pogodnego, prawie wesołego usposobienia. Zakonnicy opowiadali, że starzec do tych najbardziej się przywiązuje, którzy grzeszą najwięcej, i miłością najsilniejszą darzy najgorszego grzesznika. Było wszakże w klasztorze, nawet u schyłku życia starca, kilku mnichów, którzy nienawidzili go i za-

zdrościli mu, ale była ich coraz mniejsza garstka, a poza tem nie okazywali tych uczuć nazewnątrz. Coprawda, niektórzy z nich byli bardzo znani i odgrywali wybitną rolę w życiu naszego klasztoru. Był wśród nich naprzykład jeden z najstarszych zakonników, wielki asceta, przestrzegający najsurowszych postów i milczenia. Jednakże ogromna większość mnichów była niewątpliwie po stronie Zosimy, wielu miłowało go całem sercem, szczerze i żarliwie, i niejeden darzył go fanatycznem przywiązaniem. Mówili oni wręcz, chociaż niezupełnie na głos, że starzec Zosima jest świętym, że jest to fakt niewątpliwy; przewidując zatem rychły jego zgon, spodziewali się nawet natychmiastowych cudów i, co zatem idzie, wielkiego dla klasztoru rozgłosu. Podobnie Aljosza wierzył bez zastrzeżeń w cudotwórczą moc starca, tak samo jak wierzył ślepo w historję o wyrzuconej ze świątyni trumnie. Widział zresztą na własne oczy sceny, potwierdzające tę wiarę: pielgrzymi, co przyprowadzali do starca chore dzieci, czy dorosłych krewnych, błagając starca, aby zechciał położyć rękę na zbolałych głowach i odczytać nad niemi modlitwę, przeważnie powracali potem, niektórzy nawet przybiegali nazajutrz, rzucali się starcowi do nóg i ze łzami dziękowali za uzdrowienie chorych. Czy naprawdę były to wypadki uzdrowienia, czy tylko naturalnego polepszenia? — Aljosza nie zadawał sobie zgoła takich pytań, albowiem wierzył już najgłębiej w moc duchową swego mistrza, którego sławę identyfikował niemal z własnym triumfem. Serce drżało mu z zachwytu, rozpromieniał się cały, gdy starzec wychodził do tłumu czekających u wrót pątników, którzy zbiegali się z najodleglejszych stron kraju poto tylko, aby ujrzeć świętobliwego starca i otrzymać jego błogosławieństwo. Padali przed nim na twarz, płakali, całowali ziemię, na której stał, szlochali, baby wyciągały doń dzieci, doprowadzały „klikusze". Starzec wdawał się z nimi w pogawędkę, zmawiał nad nimi krótką modlitwę, błogosławił i odpuszczał. W ostatnich czasach coraz częstsze ataki choroby tak go osłabiły, że nie miał siły wyjść ze swej celi; to też pielgrzymi czekali nieraz w klasztorze po kilka dni na jego błogosławieństwo. Aljosza doskonale sobie uświada-

miał, za co go kochają, za co padają mu do nóg i dlaczego płaczą ze wzruszenia na widok jego twarzy. O tak, doskonale rozumiał, że dla pokornej duszy rosyjskiego chłopa, strudzonej ciężką pracą i niedolą, a nadewszystko steranej nieustanną niesprawiedliwością i nieustannym grzechem, własnym i powszechnym, niemasz silniejszej potrzeby i większego pocieszenia nad świątnicę lub świętego, przed którym można paść i pokłonić się: „Chociaż żyjem w grzechu, kłamstwie i pokusie, przecież gdzieś-ci na ziemi istnieje człek święty i wyższy; ten-ci za nas ma prawdę, ten zna za nas prawdę: tedy nie umiera ona na ziemi, tedy i nam kiedyś zaświta i zapanuje na całym świecie, jako nam przyrzeczono". Aljosza wiedział, że w ten właśnie sposób czuje i nawet myśli lud rosyjski, rozumiał to doskonale. Zarazem nie wątpił ani chwili, że nie kto inny, jeno starzec Zosima jest tym świętym, tym przechowywaczem prawdy Bożej w oczach ludu. Podzielał uczucia i przekonania tych płaczących chłopów i chorych chłopek, wyciągających do starca niezdrowe dzieci. I nikt chyba w całym monasterze nie wierzył równie głęboko jak Aljosza, że po śmierci starca spłynie na klasztor nadzwyczajna chwała. Szczęściem najwyższem przepełniało go to przeświadczenie. I nie tylko ono. Przez cały czas pobytu w klasztorze jakiś głęboki, płomienny zachwyt wewnętrzny coraz silniej rozpalał się w sercu Aljoszy. Nic go nie mogło zmieszać, nawet to, że święty starzec jest w doskonałości swej odosobniony i jedyny: „Cóż z tego? Starzec Zosima jest świętym, serce jego kryje tajemnicę powszechnego odrodzenia, ową moc, która nareszcie urzeczywistni prawdę na ziemi, i wówczas wszyscy będą święci i będą kochać się wzajem i nie będzie ani bogatych ani biednych, ani pysznych ani poniżonych, i będą wszyscy równi jako dzieci Boże i nastąpi prawdziwe Królestwo Chrystusa na ziemi". — Takie to i było marzenie serca Aljoszy.

Zdaje się, że Aljosza bardzo się przejął przyjazdem obu braci, których dotychczas nie znał wcale. A chociaż brat przyrodni, Dymitr Fedorowicz, przyjechał później, Aljosza rychlej i łatwiej wszedł z nim w ściślejsze stosunki niż z drugim, rodzonym bratem, Iwanem Fedorowiczem. Jed-

nak Iwan interesował go ogromnie; niestety, już dwa miesiące upłynęły, obaj bracia widywali się dosyć często, a przecież coś przeszkadzało im zbliżyć się do siebie. Aljosza był z natury milczkiem, w dodatku zaś miał poczucie jakiegoś oczekiwania; Iwan zaś rzucał nań wprawdzie z początku — jak to Aljosza spostrzegł — przeciągłe i badawcze spojrzenia, ale wkrótce jakgdyby przestał o nim myśleć. Aljosza zauważył to odrazu z uczuciem niejakiego zakłopotania. Obojętność brata kładł na karb różnicy wieku, a zwłaszcza wykształcenia. Jednocześnie snuł inne domysły: brak zaciekawienia w stosunku do młodszego brata wypływał zapewne z innych, nieznanych przyczyn. Aljoszy wciąż się zdawało, niewiedzieć czemu, że Iwan jest stale czemś zajęty, jakąś istotną i wewnętrzną sprawą, że dąży do jakiegoś celu, być może bardzo trudnego, który całkowicie pochłania jego uwagę, i tem zapewne należy sobie wytłumaczyć roztargnione spojrzenie, jakiem mierzy swojego brata. Zastanawiał się Aljosza czasem i nad tem: czy nie jest to aby pogarda, pogarda wykształconego ateisty dla młodego głupkowatego kleryka. Wiedział bowiem doskonale, że brat jego jest ateistą. Zasię tego rodzaju pogarda, gdyby nawet nie była urojona, nie mogła go obrazić. Bądź co bądź, sam tego nie rozumiejąc, oczekiwał z trwożnem zakłopotaniem chwili, kiedy brat zechce się do niego zbliżyć. Dymitr Fedorowicz odzywał się o Iwanie z najwyższym szacunkiem i podziwem, mówił o nim nawet z jakiemś szczególnem przejęciem. To Dymitr właśnie wtajemniczył Aljoszę w szczegóły owej poważnej sprawy, która w ostatnich czasach złączyła obu starszych braci mocnym i ścisłym węzłem. Entuzjastyczne opinje Dymitra o Iwanie były tem bardziej znamienne, że brat Dymitr był w zestawieniu z Iwanem kompletnym nieukiem, i że obaj bracia postawieni obok siebie stanowili pod każdym względem jako jednostki i charaktery tak jaskrawe przeciwieństwo, że chyba trudno o jaskrawsze.

W tym oto czasie odbyło się spotkanie, albo dokładniej mówiąc, jakgdyby zjazd wszystkich członków tej niezgranej rodziny w celi starca. Zdarzenie to wywarło ogromny wpływ na Aljoszę. Pretekst do zjazdu był, właściwie

mówiąc, fałszywy. Zatarg o dziedzictwo i majątkowe porachunki między Dymitrem Fedorowiczem a ojcem jego Fedorem Pawłowiczem, przekroczył wszelkie granice względnej nawet przyzwoitości. Stosunki ojca z synem pogorszyły się nieprawdopodobnie i stały się nie do zniesienia. Zdaje się, że to Fedor Pawłowicz w żartobliwej formie podał myśl zwołania rady familijnej w celi starca Zosimy. Liczył nie tyle na pośrednictwo starca, ile na to, że jego godność i osoba podziała ugodowo i ustrzeże przeciwników od nieprzyzwoitych wyskoków. Dymitr Fedorowicz nie był nigdy u starca i nie znał go, w propozycji ojca dopatrywał się chęci nastraszenia, lecz że w skrytości serca poczuwał się wobec ojca do winy z powodu niektórych, szczególnie drażliwych wystąpień, więc przyjął wyzwanie. Przy sposobności dodam, że nie mieszkał w domu ojca, jak Iwan, lecz ulokował się osobno, na przeciwnym krańcu miasta. Traf zrządził, że Piotr Aleksandrowicz Miusow, bawiący podówczas w naszem mieście, bardzo się zapalił do pomysłu Fedora Pawłowicza. Liberał typu z 1840—50 roku, wolnomyśliciel i ateista może raczej z nudów, a może i dla lekkomyślnej rozrywki, zajął się żywą całą tą sprawą. Zachciało mu się naraz obejrzeć klasztor i „świątka". A że wciąż jeszcze trwał dawny jego zatarg z klasztorem, i wciąż jeszcze ciągnęła się sprawa o miedzę, o jakieś tam prawa do wyrębu w lesie, rybołóstwa i t. d., więc miał już gotowy pretekst, że niby chce rozmówić się z ojcem przełożonym: czyby nie można było raz na zawsze zakończyć sporu polubownie. Spodziewał się, że petenta z tak szlachetnemi zamiarami przyjmą w klasztorze o wiele lepiej i grzeczniej niż zwykłego ciekawca. Względy te mogły również skłonić mnichów do wywarcia wewnętrznego nacisku na chorego „starca", który ostatniemi czasy nie opuszczał prawie swej celi i wskutek ostatecznego osłabienia nie przyjmował nawet najbliższych wiernych. Piotr Aleksandrowicz nie przeliczył się: starzec Zosima istotnie wyraził swą zgodę i ustalił dzień. „Kto mię postawił sędzią nad nimi?" odezwał się do Aljoszy z uśmiechem.

Aljosza zaś bardzo się zaniepokoił na wiadomość o za-

mierzonej naradzie. Rozumiał, że tylko brat Dymitr przyjdzie z poważnemi zamiarami, natomiast wszyscy inni bezwątpienia przybędą tu w celach lekkomyślnych, a bodaj czy nie obraźliwych dla starca. Iwan i Piotr Aleksandrowicz Miusow przyjadą z ciekawości, oczywiście najbrutalniejszego gatunku, a ojciec zapewne dla błazeństwa i odegrania komedji. O tak, Aljosza milczał, lecz głęboko i prawdziwie znał swego ojca. Powtarzam znów, że bohater mój nie był bynajmniej tak prostoduszny, jakim się wydawał. Z ciężkiem sercem oczekiwał wyznaczonego dnia. Rzecz jasna, bardzo mu na tem zależało, aby wszystkie te niesnaski rodzinne wreszcie się skończyły. Przecież przedewszystkiem dbał o spokój starca; drżał o niego, o jego sławę, lękał się obraźliwych wyskoków, zwłaszcza subtelnych, uprzejmych szyderstw Miusowa, i lekceważących niedomówień wykształconego Iwana — przynajmniej tak sobie to wszystko zgóry wyobrażał. Chciał nawet odważyć się i ostrzec starca, wyjaśnić mu, co za ludzie mają tu przybyć, wszakże po namyślę odstąpił od tego zamiaru. W przeddzień zebrania napisał tylko do Dymitra, że go bardzo kocha i przypomina mu obietnicę. Dymitr napróżno głowił się, nie mógł w żaden sposób przypomnieć sobie, jaką obietnicę mógł dać młodszemu bratu. Odpisał jednak, że będzie się starał powstrzymać od „podłości“ i że, mimo szacunku dla starca i Iwana, wietrzy w tem spotkaniu jakiś podstęp czy też nikczemną komedję. „Jednakowoż raczej własny swój język przełknę, niżbym miał uchybić w szacunku świątobliwemu mężowi, którego ty cenisz tak bardzo“ — temi słowy zakończył swój list. Wlały one otuchę w serce Aljoszy.

KSIĘGA DRUGA.

NIEPRZYSTOJNE ZEBRANIE.

I.

Przyjechali do klasztoru.

Zdarzył się piękny, ciepły i pogodny dzień, w końcu sierpnia. Spotkanie w celi starca miało się odbyć po nabożeństwie, przypuszczalnie koło godziny wpół do dwunastej. Zaproszeni goście nie raczyli przybyć do mszy. Zajechali dwoma pojazdami: w eleganckim powozie, zaprzężonym w parę rosłych cugowców, siedział Piotr Aleksandrowicz Miusow i jego daleki krewny, dwudziestoletni młodzieniec, Piotr Fomicz Kałganow, przygotowujący się w owym czasie do uniwersytetu. Miusow, u którego Kałganow chwilowo mieszkał, zachęcał go do wspólnego wyjazdu zagranicę, do odbycia studjów w Zurychu lub w Jenie. Lecz młodzieniec jeszcze się nie zdecydował. Teraz był jakoś zamyślony i poniekąd roztargniony. Miał twarz sympatyczną, budowę krzepką, wzrost dosyć słuszny. Spojrzenie jego chwilami w dziwny sposób zastygało: jak wszyscy bardziej roztargnieni ludzie mógł na was spoglądać długo i uporczywie, a jednak wcale was nie widzieć. Naogół był milczący i nieco niezgrabny, wszakże zdarzało się — zresztą wyłącznie w cztery oczy, — że naraz stawał się wyjątkowo rozmowny, porywczy, skory do śmiechu i śmiał się czasem

niewiedzieć z czego. Ale zapał jego równie prędko i nieoczekiwanie stygł jak wybuchał. Ubierał się zawsze bardzo elegancko, a nawet wykwintnie; posiadał już osobisty majątek i spodziewał się w najbliższej przyszłości odziedziczyć znacznie większy. Z Aljoszą łączyła go przyjaźń.

Fedor Pawłowicz z synalkiem swoim Iwanem Fedorowiczem przyjechali w bardzo starym, rozklekotanym lecz pakownym powozie, wprzężonym w parę wysłużonych różowawych siwków, jaskrawo odbiegających od szykownego zaprzęgu Miusowa. Jedynie Dymitr Fedorowicz spóźniał się, mimo że jeszcze poprzedniego dnia oznajmiono mu termin i godzinę spotkania. Goście wysiedli z powozów przed murem klasztornym i weszli pieszo przez wrota. Z wyjątkiem Fedora Pawłowicza nikt z nich, zdaje się, nie był jeszcze nigdy w żadnym klasztorze, a Piotr Aleksandrowicz Miusow może już od lat trzydziestu nie przekroczył progu świątyni. To też rozglądał się wokoło z niejakiem zaciekawieniem i z ostentacyjną, mocno nadrabianą swobodą. Lecz spostrzegawczy jego umysł i uważne oko nie spostrzegło w klasztorze nic godnego uwagi poza gospodarskiemi i cerkiewnemi budynkami, nawiasem mówiąc, bardzo pospolitemi. Ostatni wyznawcy wychodzili z cerkwi, trzymając czapki w rękach i żegnając się gorliwie. Byli między nimi ludzie z wyższych sfer: dwie — trzy damy, jakiś bardzo sędziwy jenerał; przybyli oni zdaleka i zamieszkali w zajeździe klasztornym. Żebracy natychmiast obstąpili przybyszów, ale żaden z tych nie kwapił się z datkiem. Jedynie Piotruś Kałganow wyjął z portmonetki dwadzieścia groszy i, niewiadomo dlaczego zmieszany i zaperzony, czem prędzej wsunął pieniądz do ręki jakiejś starowinie, szepcząc: „podzielić między wszystkich". Nikt z gości nie zwrócił na to żadnej uwagi, nie było więc powodu do zmieszania. Kałganow uprzytomnił to sobie i zmieszał się jeszcze bardziej.

Jedna rzecz zdziwiła ich bardzo: należało się spodziewać, że ktoś będzie ich oczekiwał, wyjdzie na ich spotkanie, i bodaj nawet odda im należne honory. Wszak jeden z gości stosunkowo niedawno ofiarował na klasztor tysiąc rubli, a drugi był najbogatszym obywatelem ziemskim, i, rzec mo-

żna, najinteligentniejszym w powiecie człowiekiem; klasztor był nawet poczęści od niego zależny pod względem rybołóstwa, zważywszy, że sprawa sądowa mogła przyjąć niepomyślny obrót. A jednak nie witała ich żadna oficjalna osobistość. Piotr Aleksandrowicz Miusow toczył roztargnione spojrzenie po nagrobkach koło cerkwi i zamierzał zrobić uwagę, że chyba rodziny nieboszczyków słono opłaciły prawo grzebania swoich zmarłych w tem świętem miejscu, — lecz powściągnął się w porę: właściwa mu liberalna ironja przerodziła się nieledwie w gniew.

— Cóż u licha? Czy niema tu do kogo się zwrócić... Trzeba się zdecydować, czas upływa — odezwał się nagle jakby do siebie.

W tej chwili doszedł do nich starszy wyłysiały jegomość w szerokim letnim paltocie, ze słodkim wyrazem oczu. Zlekka uniósł kapelusz, miodopłynnym szczebiotem przedstawił się wszystkim ogólnie jako obywatel z pod Tuły, Maksymow, i wlot opanował sytuację.

— Świątobliwy starzec Zosima zamieszkuje osobne ustronie ze czterysta kroczków od klasztoru, naprzełaj przez lasek, przez lasek...

— Wiem, że przez lasek — odezwał się Fedor Pawłowicz — ale drogi zapomnieliśmy, dawnośmy tu nie byli.

— Otóż to właśnie, przez tę furtę i prosto przez lasek... przez lasek. Za mną, szanowni panowie. Pozwolicie, panowie... mnie samemu... ja sam. Tędy właśnie, tędy...

Wyszli z bramy i skierowali się przez las. Ziemianin Maksymow, lat około sześćdziesięciu, mówiąc właściwie, nie szedł, lecz chycał truchcikiem z boku, przypatrując się przybyszom z gorączkową prawie że nieznośną ciekawością. Spoglądając na nich, miał oczy zlekka wybałuszone.

— Uważa pan, przyjechaliśmy do tego starca w pewnej sprawie — zauważył oschle Miusow. — Uzyskaliśmy, że tak powiem, audjencję, a przeto, chociaż wdzięczni panu jesteśmy za wskazanie drogi, prosimy nie wchodzić razem z nami.

— Byłem już, a jakże byłem... Un chevalier parfait! — co mówiąc, Maksymow prztyknął palcem w powietrzu.

— Któż to taki ten chevalier? — zapytał Miusow.

— Starzec, bajeczny starzec... Honor i chluba klasztoru. Zosima. Taki to starzec...

W tej chwili dogonił ich niski, wątły i bardzo blady mnich w habicie i przerwał bezładną wymowę Maksymowa. Przywitał gości niezwykle ugrzecznionym, głębokim ukłonem i rzekł:

— Ojciec ihumen*) pokornie prosi wielmożnych panów po wyjściu z pustelni do siebie na obiad. O godzinie pierwszej, nie później. I pana dobrodzieja tudzież — dodał, zwracając się do Maksymowa.

— Stanowczo skorzystam z tego zaproszenia! — zawołał Fedor Pawłowicz niezmiernie uradowany. — Stanowczo. I wiecie panowie, przyrzekliśmy sobie zachowywać się absolutnie przyzwoicie... A pan, Piotrze Aleksandrowiczu, czy pójdzie pan z nami?

— Naturalnie. Przyjechałem właśnie w tym celu, aby się przyjrzeć tutejszym zwyczajom. Jedna mnie tylko rzecz korci: że jestem tu z panem, Fedorze Pawłowiczu...

— Tak jest, Dymitr Fedorowicz jeszcze nie przyszedł...

— Ależ bodajby wcale nie przyszedł; cóż pan sądzi, że przyjemność sprawiają mi te wasze swary, z waćpanem na dokładkę? Zatem przyjdziemy na obiad, proszę podziękować w naszem imieniu ojcu ihumenowi — zwrócił się do mnicha.

— Mam polecenie zaprowadzić wielmożnych panów do samego starca — odrzekł mnich.

— A ja w takim razie do ojca ihumena, ja tymczasem wprost do ihumena — zaszczebiotał Maksymow.

— Ojciec ihumen w obecnej chwili zajęty, ale jak pan uważa... — niezdecydowanie odezwał się mnich.

— W najwyższym stopniu natrętny starodub — orzekł na głos Miusow, skoro Maksymow pobiegł zpowrotem do klasztoru.

---

1) Przełożony w prawosławnych klasztorach (przyp. tł.).

— Podobny do von Sona — wtrącił nagle Fedor Pawłowicz.

— Pan wciąż tylko to masz na myśli... Z jakiej racji podobny do von Sona? Czy pan widział kiedy von Sona?

— Widziałem fotografję. Chociaż rysy twarzy odmienne, ale jakieś tam podobieństwo jest. Rumel w rumel sobowtór von Sona. Odrazu miarkuję z fizjonomji.

— Niech i tak będzie; z pana jest zawołany fizjonomista. Tylko co panu chcę powiedzieć, Fedorze Pawłowiczu, sam pan mi przypomniał, że daliśmy sobie słowo zachowywać się przyzwoicie. Proszę o tem pamiętać. Powiadam panu, musisz się pan bezwzględnie hamować. Jeżeli zaczniesz błaznować, to możesz pan wierzyć, iż nie będę cię krył swojem nazwiskiem... Taki to już człowiek — odezwał się do mnicha. — Obawiam się wchodzić z nim do przyzwoitych ludzi.

Na bladych, bezkrwistych wargach zakonnika pojawił się subtelny, milczący uśmiech, niepozbawiony swego rodzaju sprytu. Ale nic nie odpowiedział; widać było, że milczy z poczucia własnej godności. Miusow nachmurzył się jeszcze bardziej.

„O niech ich djabli porwą, urobiona od wieków powierzchowność, a w istocie szarlatańtwo i bzdura" — pomyślał.

— Oto i pustelnia! — zawołał Fedor Pawłowicz. — Wrota zamknięte.

I począł żegnać się przed świętemi obrazami, namalowanemi na tympanie i po obu stronach wrót.

— Pójdziesz między wrony, kraczesz jak i ony — rzekł po chwili. — W to-tej pustelni dwudziestu pięciu mnichów dusze ratuje, wzajem na się spoziera i kapustą się żywi. A kobietek ani, ani, do pustelni nie puszczają, to, bracie, ciekawa historja. Tylko że jakto powiadają przecie ludziska, że świątobliwy starzec przyjmuje damy? — zapytał nagle mnicha.

— Baby wiejskie to i tera są, ot tam, leżą sobie pod galeryjką i czekają. A dla dam, z wyższych to jest sfer niewiast jest przybudówka do galeryjki do tamtej, ale poza mu-

rem, dwa pokoje — tu, tu właśnie, tamte okna. Starzec wychodzi do nich, naturalnie kiedy zdrów, przez wewnętrzny korytarz, też poza mur. Czeka tam już jedna pani, obywatelka ziemska z pod Charkowa, pani Chochłakow ze swoją chorą córką. Musi być, że starzec przyrzekł wyjść do nich, chociaż ostatniemi czasy tak jest wyczerpany, że i do pielgrzymów rzadko kiedy wygląda.

— To znaczy, że jedna jakaś ścieżyna prowadzi z pustelni do niewiast. Nie myśl, ojcze święty, że ja jakoś tam, ja tylko tak. Wiecie panowie, na górze Athos, chybaście słyszeli, tam to i kobiet nie puszczają wcale, i wogóle kobiet tam być nie może żadnych, ani inszych istot płci żeńskiej, kurcząt rozmaitych, indyczek, cielątek...

— Fedorze Pawłowiczu, zawrócę i zostawię pana samego, a beze mnie to i pana wnet wyproszą.

— A czemże to właściwie panu przeszkadzam, pozwoli pan zapytać, Piotrze Aleksandrowiczu. Patrzajcie — zawołał nagle, znalazłszy się za murem — patrzajcie, toć oni tu mieszkają sobie w dolinie róż!

Coprawda nie było tu obecnie róż, ale były inne kwiaty, rzadkie i piękne kwiaty jesieni. Jaskrawiły się wszędy, gdzie tylko można je było zasadzić. Widocznie opiekowała się kwieciem jakaś doświadczona ręka. Roiło się od klombów między budynkami i mogiłami. Domek, w którym znajdowała się cela starca, drewniany, jednopiętrowy, z galerją przed wejściem, był również ze wszystkich stron osaczony kwiatami.

— Czy było tu coś takiego za poprzedniego starca Warsonofji? Tamten, powiadają, niecierpiał różnej estetyki, o byle co zrywał się i okładał kosturem gości, nie oszczędzając nawet płci pięknej — odezwał się Fedor Pawłowicz, wchodząc na ganek.

— Starzec Warsonofji poprawdzie czasem wydawał się jakby niepoczytalny, ale ludzie zmyślają wiele nieprawdziwych historyj. A kosturem nigdy i nikogo nie okładał — odparł mnich. — Teraz, wielmożni panowie, poczekać trza chwileczkę, pójdę zawiadomię starca.

— Fedorze Pawłowiczu. Po raz ostatni, powtarzam

panu warunek. Niech się pan przyzwoicie zachowuje, inaczej gorzko pożałujesz — zdążył jeszcze wyszeptać Miusow.

— Nie pojmuję, czego pan dobrodziej taki wzburzony — odpowiedział szyderczo Fedor Pawłowicz. — Zląkł się pan grzeszków swoich, co! Wszak powiadają, że on z oczu odrazu miarkuje, kto z czem przyszedł. I cóż to pan dobrodziej tak wysoko ceni jego zdanie, i kto? — pan — taki paryżanin i postępowiec. Zadałeś mi pan szaradę, jak Bozię kocham!

Miusow nie zdążył odpowiedzieć na sarkastyczną uwagę, gdyż w tej chwili zaproszono ich do celi. Czuł się dziwnie podrażniony...

„No, znam ja siebie, jestem rozdrażniony, zacznę się sprzeczać, uniosę się — i skompromituję i siebie i swoje przekonania" — przemknęło mu przez myśl.

II.

Stary błazen.

Weszli do celi niemal równocześnie ze starcem, który na ich widok wyszedł ze swej alkowy. W celi oczekiwali już starca dwaj ojcowie; jeden był bibljotekarzem, drugi ojciec Paisy, był to chorowity mnich, dosyć jeszcze młody i, jak powiadano, wybitnie uczony. Prócz nich był tu jeszcze młody, dwudziestoparoletni młodzieniec w tużurku, seminarzysta, przyszły teolog, którym niewiadomo dlaczego klasztor nasz i bracia zakonni szczególnie się jakoś opiekowali. Stał w kącie i przez cały czas ani się poruszył. Dosyć wysoki, miał twarz świeżą, o wydatnych skroniach, o bardzo wąskich, piwnych oczach, małych i spostrzegawczych. W postawie jego był wyraz głębokiego uszanowania, ale godnego, bez cienia uniżoności. Nie pozdrowił wchodzących gości, jako osoba im nierówna, niższa od nich i poniekąd zależna.

Starzec Zosima wyszedł, podtrzymywany przez nowicjusza i Aljoszę. Obaj ojcowie podnieśli się na przywitanie,

ukłonili się bardzo nisko, palcami dotykając ziemi, zaczem pobłogosławieni ucałowali go w rękę. Następnie starzec odwiesił każdemu z nich równie głęboki ukłon, i każdego poprosił o błogosławieństwo. Cała ceremonja odbyła się w zupełnej powadze, nie jako powszedni obrządek, lecz z jakiemś szczególnem namaszczeniem. Mimo to Miusow dopatrzył się w niej umyślnej przesady. Z całego grona on stał najbliżej starca. Powinien był — i nawet zastanowił się nad tem poprzedniego wieczoru—pomimo takich czy innych przekonań, choćby z przyzwoitości (skoro już takie tu są obyczaje) podejść i poprosić o błogosławieństwo, przynajmniej poprosić o błogosławieństwo, jeśli żadną miarą nie chciał ucałować ręki starca. Atoli na widok tych ukłonów i cmokania, zmienił momentalnie zamiar: złożył z partesu dosyć głęboki, jak na świeckie zwyczaje, ukłon i oddalił się na stronę. Tak samo zachował się Fedor Pawłowicz, tym razem wyraźnie jak małpa przedrzeźniając Miusowa. Iwan Federowicz ukłonił się bardzo uprzejmie i sztywnie, zaś młody Kałganow skonfudował się do takiego stopnia, że zapomniał się ukłonić. Starzec opuścił wzniesioną już do błogosławieństwa rękę i, ukłoniwszy się, poprosił, aby goście raczyli zająć miejsca. Krew zalała policzki Aljoszy; odczuł piekące zawstydzenie. Jego złe przeczucia poczynały się spełniać.

Starzec usiadł na skórą obitej kanapce z mahoniu, bardzo dawnej roboty, gości zaś — z wyjątkiem obu mnichów — rozsadził na stojących rzędem pod przeciwległą ścianą czterech krzesłach z takiegoż drzewa, obitych czarną, mocno przetartą skórą. Ojcowie usiedli z boku, jeden koło drzwi, drugi przy oknie. Seminarzysta, Aljosza i nowicjusz stali. Cela była niewielka i miała jakiś zwiędły wygląd. Umeblowanie składało się wyłącznie z najniezbędniejszych sprzętów, zgrubsza skleconych i ubogich. Dwie doniczki z kwiatami stały na oknie; w kącie wisiało wiele ikon — między niemi obraz Matki Boskiej, ogromny, pochodzący zapewne jeszcze z czasów znacznie poprzedzających odszczepieństwo starowierców. Przed nim paliła się lampka; obok niego wisiały dwie inne ikony, suto ozdobione świecidełkami, a dalej figurki cherubinów, porcelanowe jajeczka,

katolicki krzyż z kości słoniowej z obejmującą go Matką Bolesną i kilka zagranicznych sztychów z obrazów wielkich włoskich mistrzów. Rzędem z temi wysoce artystycznemi i cennemi rycinami wisiało wiele odpustowych rosyjskich litografij, wyobrażających świętych, męczenników, sprzedawanych na każdym jarmarku za grosze. Poza tem wymienić jeszcze należy kilka litograficznych portretów współczesnych i dawnych rosyjskich arcybiskupów, ale te wisiały na innych ścianach. Miusow obejrzał powierzchownie cały ten „odpustowy kram" i zatrzymał badawcze spojrzenie na starcu. Szanował bowiem swój wzrok; słabostki tej nie możemy mu brać za złe, ponieważ miał już lat pięćdziesiąt, osiągnął zatem ów krytyczny wiek, kiedy każdy mądry, elegancki i zamożny człowiek czasem nawet niechcący poczyna sobie wymierzać większe uszanowanie.

Starzec nie spodobał mu się z pierwszego wejrzenia. Istotnie, było coś w wyrazie jego twarzy, co mogło się nie spodobać nie samemu tylko Miusowowi. Był to niewysoki, zgarbiony zakonnik, o bardzo wątłych nogach; miał zaledwie sześćdziesiąt pięć lat, lecz, wycieńczony chorobą, wyglądał o dziesięć lat starzej. Oblicze jego, bardzo wysuszone, było w całości przeorane drobnemi zmarszczkami, które skupiły się szczególnie koło oczu. Te zaś były nieduże, jasne, bystre i błyszczące, jakby dwa skrzące punkty. Siwiuteńkie włoski zachowały się jedynie przy skroni, bródka była malutka i rzadziutka, klinem rosnąca, a wargi, składające się często do uśmiechu, wąziuteńkie jak dwa postronki. Nos nietyle długi, ile ostry jak u ptaszyny.

„Sądząc z powierzchowności złośliwa i małostkowa, nadęta duszyczka" — pomyślał Miusow, bardzo z siebie samego niezadowolony.

Uderzenia zegara ułatwiły nawiązanie rozmowy. To lichy mały zegar ścienny z ciężarkami wydzwonił spiesznie godzinę dwunastą.

— Akurat w sam czas! — zawołał Fedor Pawłowicz. — A syna mego Dymitra Fedorowicza jak niema, tak i niema. Przepraszam za niego, święty starcze! (Aljosza wzdrygnął się, usłyszawszy ten zwrot: „święty starcze"). Ja na-

tomiast jestem zawsze punktualny, co do minutki, pomny, że słowność jest grzecznością królów.

— Ale pan przecie w każdym razie nie jesteś królem — nie mógł się dłużej powstrzymać Miusow.

— Jużci, święta prawda, nie jestem królem. I wyobraź pan sobie, Piotrze Aleksandrowiczu, że i sam o tem wiedziałem, jak Bozię kocham! A zawsze jakoś wyrwie mi się słówko niestosowne! Wasza wielebność! — zawołał nagle z jakimś niespodzianym patosem — widzisz przed sobą wierutnego skomorocha! Oto się prezentuję. Stare przyzwyczajenie, niestety. A że czasem niestosownie koloryzuję, to nawet umyślnie, umyślnie, aby rozśmieszyć i miłym być. Trzebaż przecie, na sumienie, miłym być, nieprawdaż? Przyjechałem ci ja, już temu siedem lat chyba będzie, do pewnej mieściny, za interesem ma się rozumieć, z jakimiś kupczykami wszedłem w spółkę. Idziemy razem do sprawnika*), bo trzeba było i zapytać go o coś tam i na obiad zaprosić. Wychodzi do nas sprawnik — wysoki, tęgi, ponury blondyn — tacy są najniebezpieczniejsi w tego rodzaju okoliczności: wątroba im dolega, wątroba. Ja bez ogródki do niego, i, wiecie panowie, z całą swobodą światowca: „Panie sprawniku, zechciej pan być" — powiadam — „naszym, że tak powiem, naprawnikiem". „Jakim naprawnikiem, co za naprawnikiem". A ja miarkuję już w drugiej sekundzie, że mu się koncept mój nie podoba, uparł się chłop, stoi zasępiony. „Chciałem", powiadam, „pożartować sobie tylko tak, dla humoru, niby, gdyż pan Naprawnik to znaczy nasz rosyjski dyrygent, a my właśnie gwoli harmonji naszego przedsiębiorstwa potrzebujemy też jakby dyrygenta"... Wszak rozumnie wykręciłem i porównałem, nieprawdaż? „Przepraszam", powiada, „jestem sprawnikiem i nie pozwolę kalamburów stroić z mego tytułu". Odwrócił się i już go niema. Ja za nim w te pędy, krzyczę: „tak, jużci, pan jest sprawnikiem, a nie naprawnikiem". I wyobraźcie sobie panowie, cały nasz interes spalił na panewce! I wciąż ja tak jakoś, i zawsze to samo. Bezwarunkowo grzecznością swo-

*) Starosta.

ją sam sobie szkodę wyrządzam. Pewnego znowu razu, wiele lat temu, powiadam do pewnej wpływowej osobistości: „Małżonka pana to łechciwa*) niewiasta". Oczywiście, miałem na myśli jej drażliwość moralną na punkcie honoru. A on mi na to ni mniej ni więcej: „A czy pan ją łechotał?". Nie wytrzymałem, naraz myślę sobie, niechże się uśmieje: „jużci" powiadam „łechotałem"; to on mnie wówczas, dalibóg, połechotał... Tylko że to już dawno było, więc i nie wstyd opowiadać; zawsze jakoś muszę sobie samemu szkodzić.

— I teraz pan nic innego nie robisz — odezwał się z obrzydzeniem Miusow.

Starzec w milczeniu oglądał jednego i drugiego.

— Czyżby? Niechże pan dobrodziej sobie wyobrazi, że ja i o tem wiedziałem, Piotrze Aleksandrowiczu, a nawet powiem panu coś więcej: przeczuwałem na co się zanosi od pierwszego swego słówka, i nawet, wie pan, przeczułem i to, że od pana pierwszego usłyszę reprymendę. Gdy uświadamiam sobie, że żart mi się nie udał, oba policzki poczynają mi przysychać do dolnych dziąseł i łapie mnie cosik jakby skurcz; to mi jeszcze z młodości zostało, z tych czasów, gdy jadałem pieczenie po dworkach szlacheckich. Pajac jestem rdzenny, urodzony błazen, wasza wielebności, prawie że prostaczek boży; owszem, nie przeczę, że może siedzi we mnie bodaj nieczysta siła, ma się rozumieć podlejszego gatunku bies, ważniejszy innąby sobie kwaterę obrał, tylko że i nie waszą, Piotrze Aleksandrowiczu, boście i wy także nieosobliwa kwatera. Ale przynajmniej wierzę, w Boga wierzę. Dopiero od niedawna zwątpiłem, lecz zato teraz siedzę tu i czekam wielkich słów. Ja, wasza świątobliwości, to jak nieprzymierzając filizof Diderot. Czy wiadomo wam, ojcze najświętszy, jak to ów Diderot filozof zjawił się u metropolity Platona za cesarzowej Katarzyny. Wchodzi i powiada bez ceregieli: „Niema Boga". Co usłyszawszy, cny ów metropolita podnosi palec i rzecze: „rzekł głupi

*) Po rosyjsku „szczekotliwaja" oznacza zarówno „łechciwa" jak i „drażliwa. (Przyp. tłum.).

w sercu swojem: Niemasz Boga!". A tamten tak jak był odrazu dał drapaka. „Wierzę" zawołał gromkim głosem „i chrzest święty przyjmę". Zmiejsca go ochrzcili. Księżna Daszkowa była matką chrzestną, a Patiomkin ojcem...

— Fedorze Pawłowiczu, to już zaczyna być nie do zniesienia! Wszak pan sam wie, że kłamiesz, jak najęty, że w tej niedorzecznej anekdocie słowa prawdy niema, więc poco się zgrywasz? — rzekł Miusow drżącym głosem, tracąc nad sobą panowanie.

— Całe życie przeczuwałem, że to kłamstwo! — zawołał z uniesieniem Fedor Pawłowicz. — Ja wam, panowie, całą zato prawdę jak na spowiedzi wyłożę: starcze wielki! Przebacz mi, proszę, ale dodatek o chrzcie Diderota ja sam w ostatniej chwili dorobiłem, dopiero przed małą chwileczką wymyśliłem, jak opowiadać przyszło, zaś przedtem nigdy mi takie coś do głowy nie przychodziło. Gwoli pikanterji dodałem o chrzcie. A poto się zgrywam, Piotrze Aleksandrowiczu, aby nam milej było. Zresztą, między nami mówiąc, niezawsze wiem dlaczego. A co się tyczy Diderota, to całą tę historję z „rzekł głupi" ze dwadzieścia razy słyszałem na własne uszy od tutejszych obywateli jeszcze młodzieńcem, jakem u nich rezydował; ciotka pana, Piotrze Aleksandrowiczu, nieboszczka Mawra Fominiczna, też mi między innemi opowiadała. Wszyscy oni do tej pory są święcie przekonani, że ateusz Diderot przychodził do metropolity Platona dyskutować o Bogu...

Miusow podniósł się; nietylko stracił cierpliwość, ale jakby się zapomniał. Był wściekły i czuł, że gniew czyni go śmiesznym. Istotnie to, co się działo w celi, było nielada skandalem. W tej samej celi od lat może czterdziestu czy pięćdziesięciu, jeszcze za dawnych starców, zbierali się goście, ale zawsze z najgłębszą pokorą i czcią, nigdy inaczej. Wszyscy, którzy wchodzili do tej izby, zdawali się rozumieć, że wyświadczano im wielką łaskę. Niektórzy padali na klęczki i nie podnosili się aż do samego wyjścia. Wiele osób nawet z „wyższej" sfery, i nawet bardzo wykształconych, co więcej nawet niektórzy wolnomyśliciele, którzy przyszli z ciekawości czy innego powodu, słowem wszyscy

bez wyjątku poczytywali sobie za obowiązek zachowywać się tu z szacunkiem i delikatnością. Tem bardziej, że nie brano tu żadnej zapłaty, że z jednej strony była tylko miłość i łaska, a z drugiej — skrucha i gorące pragnienie rozwikłania jakiejś zawiłości duchowej, jakiegoś trudnego momentu w życiu własnego serca. To też nagłe błazeństwa Fedora Pawłowicza, tak nielicujące z powagą miejsca, wywarły na świadkach, przynajmniej na niektórych, przykre wrażenie, przejęły zdziwieniem i zakłopotaniem. Ojcowie, którzy zresztą zachowali niewzruszoną maskę, z poważnem skupieniem spoglądali na starca, ale widać było, że zamierzają wstać za przykładem Miusowa. Aljosza był bliski płaczu; stał ze spuszczoną głową. Najdziwniejsze było to, że brat jego Iwan Fedorowicz, na którego tak liczył, który miał taki wpływ na ojca, że mógłby go łatwo osadzić, siedział zupełnie nieruchomo na krześle, spuścił oczy i widocznie z jakiemś nawet ciekawskiem zainteresowaniem oczekiwał końca, jakgdyby był zgoła postronnym widzem. Na przyjaciela swego Rakitina, (seminarzystę), Aljosza nie śmiał nawet spojrzeć: znał dobrze jego myśli. (Coprawda on jeden znał je w całym monasterze).

— Proszę mi wybaczyć... — zaczął Miusow, zwracając się do starca — być może, że i ja wydaję się uczestnikiem tego nikczemnego błazeństwa. Błąd mój chyba na tem polega, że wierzyłem, iż nawet taki jak Fedor Pawłowicz w obecności tak czcigodnej osoby zechce sobie uprzytomnić swoje obowiązki.. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że wypadnie mi prosić o wybaczenie, iż się tu z nim wybrałem...

Piotr Aleksandrowicz nie skończył; zmieszany do ostateczności, zbierał się do wyjścia.

— Niech się pan nie przejmuje, proszę pana — odpowiedział starzec i nagle powstał na swoje wątłe nogi i, ująwszy Piotra Aleksandrowicza za obie ręce, posadził go zpowrotem na krześle. — Niechże pan się raczy uspokoić. Proszę pana bardzo, abyś zechciał nadal być moim gościem — co rzekłszy, ukłonił się i, obróciwszy się, usiadł na poprzedniem miejscu.

— Orzeknij, starcze wielki, czy obrażam waszą wielebność swojem ożywieniem, czy nie? — zawołał nagle Fedor Pawłowicz, uchwyciwszy się oburącz poręczy fotelu, jakgdyby chciał stosownie do odpowiedzi skoczyć na równe nogi.

— Stanowczo i pana proszę uspokoić się i nie krępować — z powagą odpowiedział starzec. — Proszę się nie krępować i czuć się zupełnie jak u siebie w domu. A nadewszystko nie wstydzić się tak samego siebie, bo z tego tylko wszystko złe wynika.

— Zupełnie jak u siebie w domu? To znaczy w stanie naturalnym? O, to za wiele, grubo za wiele, ale godzę się z rozczuleniem! Ojcze błogosławiony, nie wywołuj naturalnego mego stanu, nie ryzykuj... do naturalnego stanu ja sam nie dojdę. Mówię to, aby ostrzec. Ale, ale a wszystko inne pogrążone jest jeszcze w mroku nieświadomości, jakkolwiek niektórzy z obecnych chcieliby mnie wymalować. To ja nod adresem pana, Piotrze Aleksandrowiczu, mówię, zaś tobie, istoto najświętsza, zachwyt swój wyrażam, ot co! — Wstał i podniósł ręce do góry. — Błogosławione łono, które cię nosiło, i sutki, które cię karmiły, zwłaszcza sutki! Powiedziawszy: nie wstydź się samego siebie, bo z tego tylko wszystko złe wynika, przejrzałeś mnie, ojcze święty, nawyloł. Właśnie o to chodzi, że gdy spotykam się z ludźmi, wydaje mi się, że jestem najpodlejszy z nich wszystkich i że wszyscy mnie mają za błazna, tak, że „i owszem, będę robił z siebie błazna, nie obchodzi mnie nic a nic wasza opinja, ponieważ wszyscyście bez wyjątku postokroć podlejsi ode mnie!“ Ot czemu jestem błaznem, ze wstydu błazgonię, starcze wielki, ze wstydu. Z podejrzliwości, tylko z podejrzliwości, figle płatam. A przecież gdybym był przekonany, że jak wejdę, wszyscy mnie będą uważać za najsympatyczniejszego na świecie i najmądrzejszego człowieka — Boże wielki, jakże byłbym dobry! Mistrzu! — padł nagle na klęczki — co mam czynić, aby dziedziczyć życie wieczne?

Trudno było istotnie poznać, czy kpi znowu czy naprawdę jest tak wzruszony.

Starzec podniósł oczy i rzekł z uśmiechem:

— Sam pan już dawno wie, co czynić wypada, rozumu ci przecie nie brak: nie oddawaj się pijaństwu, nie oddawaj się rozpuście, a zwaszcza ubóstwieniu mamony, a szynki swoje zamknij. Jeśli nie można wszystkich, to przynajmniej dwa czy trzy. A rzecz najważniejsza — nie kłamać.

— To względem Diderota, czy tak?

— Nie, niezupełnie względem Diderota. Najważniejsza rzecz, niech pan przed sobą samym nie kłamie. Ten, kto przed sobą samym kłamie i własnego kłamstwa słucha, prawdy żadnej już nie widzi ani w sobie, ani dookoła siebie, a przeto szacunek traci dla siebie i dla innych. Zasię, nie szanując nikogo, kochać przestaje, a chcąc, z braku miłości, zagłuszyć się i rozerwać, oddaje się namiętnościom i grubym rozkoszom i dochodzi do zezwierzęcenia w nieprawości swej. A to wszystko z nieustannego okłamywania siebie samego i innych. Ten, kto samego siebie okłamuje, łacno sam siebie obrazić może. Wszak przyjemnie jest czasem obrazić się, prawdaż? I sam człowiek wie, że nikt go nie obraził, że sam wymyślił sobie obrazę i nakłamał dla..., dla upiększenia, że przesadził, żeby obraz był lepszy, że do słów się przydziera i z muchy wołu robi. Sam o tem wie, a jednak pierwszy się obraża, obraża się, aby odczuć przyjemność, aby wielką przyjemność odczuć, a przeto dochodzi i do prawdziwej wrogości... Wstańże pan, siadajże, proszę pana bardzo, przecież to są wszystko kłamliwe gesty.

— Święty człowieku! Pozwól mi rączkę twą ucałować. — Fedor Pawłowicz skoczył i szybko cmoknął starca w chudziutką rękę. — Właśnie że tak, właśnie że przyjemnie się obrażać. Takeś to, ojcze, dobrze powiedział, że jeszczem w życiu czegoś podobnego nie słyszał. Właśnie, właśnie, ja właśnie całe życie obrażałem się dla przyjemności, dla estetyki obrażałem się, albowiem nietylko przyjemnie, ale i pięknie jest czasem być obrażonym; — tegoś przepomniał, ojcze święty, pięknie. Ja to sobie zapiszę! A kłamałem-ci ja, kłamałem gracko, bezwarunkowo całe swoje życie, o każdej godzinie i każdego dnia. Zaprawdę,

kłamstwem jestem i ojcem kłamstwa! Zresztą, zdaje się, nie ojciec kłamstwa, stale się plącze w tekstach, no choćby synem kłamstwa, i to wystarczy. Tylko... aniele ty mój... o Diderocie czasem to i wolno! Diderot nie zaszkodzi, ale zato insze słowo mocno zaszkodzi. Starcze wielki, przy sposobności, omal nie zapomniałem, a przecież postanowiłem sobie ze trzy lata temu wypytać się tu, specjalnie tu przyjechać i stanowczo się dowiedzieć i zapytać; nakaż tylko Piotrowi Aleksandrowiczowi, aby nie przerywał. Właśnie się zapytam: czy to prawda, ojcze wielki, że w „Żywotach Świętych" jest opowieść o świętym cudotwórcy, którego zamęczono za wiarę, a gdy odrąbano mu głowę, wstał, podniósł swoją głowę i „ucałował oną z lubością", i długo szedł, niosąc ją w ręku i „całował z lubością". Prawda to, czy nie, ojcowie czcigodni?

— Nie, nieprawda — odrzekł starzec.

— Nic podobnego niema w „Żywotach świętych". Któregoż to świętego ma pan na myśli? — zapytał ojciec bibljotekarz.

— Nie wiem który i nie mam żywnego pojęcia. Wprowadzono mnie w błąd, oszukano. Słyszałem, a wistocie, kto mi to mówił? A oto ten pan, Piotr Aleksandrowicz Miusow, ten sam, który za Diderota się rozsierdził, onże sam właśnie opowiadał.

— Nigdy panu tego nie opowiadałem, ja z panem wogóle nigdy nie mówię.

— Prawda, pan mi nie opowiadał, ale pan opowiadał w towarzystwie, w którem i ja byłem, ze cztery lata temu. Ja dlatego tylko wspomniałem, że opowieścią oną pocieszną zachwiał pan dobrodziej moją wiarę, Piotrze Aleksandrowiczu. A jakże, nie wiedział pan, nie zdawałeś sobie sprawy, a ja, panie dobrodzieju, wróciłem do domu z zachwianą wiarą i od tego właśnie czasu wiara moja jest coraz chwiejniejsza. Tak jest, Piotrze Aleksandrowiczu, to jest pierwsza wielkiego upadku przyczyna. To już nie jakiś tam Diderot, juści!

Fedor Pawłowicz gorączkował się patetycznie, cho-

ciż widać było, że i tym razem udaje. Lecz Miusow był dotknięty do żywego:

— Co za androny, wszystko to są brednie i androny — mruknął gniewnie. — Ja być może, istotnie mówiłem kiedyś, ale nie panu. Ja to sam słyszałem od kogoś. Mnie pewien Francuz w Paryżu opowiadał, że u nas na nabożeństwie w „Żywotach swiętych" czytają... To bardzo wykształcony człowiek, studjował szczegółowo statystykę... i w Rosji długo bawił... Ja osobiście nie czytałem „Żywotów świętych"... i czytać nie będę. I o czem to wszystko gwarzy się przy stole! Siedzielismy wówczas przy obiedzie...

— Pan dobrodziej jadł obiad, a jam wiarę stracił — przedrzeźniał Fedor Pawłowicz.

— Co mnie obchodzi wiara pana! — krzyknął zrazu Miusow, ale pohamował się wnet i dodał pogardliwie. — Pan literalnie bruka wszystko, czego tylko dotykasz.

W tej chwili starzec podniósł się raptownie.

— Darujcie mi, panowie, że opuszczę was na kilka chwil — rzekł, zwracając się do wszystkich — ale czekają mnie pątnicy, którzy wcześniej przyszli. A pan niechaj jednak nie kłamie — dodał, zwracając ku Fedorowi Pawłowiczowi wesołe oblicze.

Wyszedł z celi. Aljosza i młody kleryk podbiegli, aby go sprowadzić ze schodów. Aljosza dusił się ze wstydu, chętnieby poszedł, gdzie oczy poniosą, lecz pocieszał się myślą, że świątobliwy starzec nie jest obrażony, że wręcz przeciwnie, ma wygląd żwawy. Starzec skierował się ku galerji, aby błogosławić zebranych pielgrzymów. Lecz zanim wyszedł, Fedor Pawłowicz zatrzymał go w drzwiach celi.

— Błogosławiony po trzykroć mężu! — zawołał z przejęciem. — Zezwólcie mi jeszcze raz ucałować waszą rączkę! Nie, z wami to i rozmówić się jeszcze można, i żyć można! Myślisz, ojcze święty, że ja jeszcze ciągle blazgonię? Teraz mogę powiedzieć wszem wobec, że zbłaźniłem się tylko poto, aby was ojcze, wypróbować. Cały czas macałem was, czy można z wami żyć? Czy znajdzie się zakąt jakowyś i dla mnie obok waszej pychy? Wydaję wam list

pochwalny: można z wami żyć! A teraz milczę i słówka już nie pisnę. Teraz pana kolej, Piotrze Aleksandrowiczu, pana kolej mówić, teraz pan jest pierwszą personą... na dziesięć minut.

III.

Wierzące baby.

Na dole zaś na drewnianej galerji, dobudowanej od zewnątrz do muru pustelni, oczekiwały tym razem same kobiety, koło dwudziestu bab wiejskich. Powiadomione o rychłem wyjściu starca, zastygły w niecierpliwem oczekiwaniu. Były tu również dwie panie Chochłakow, matka i córka, które wyszły na galerję z rozmównicy, przeznaczonej dla pań z wyższych warstw społeczeństwa. Pani Chochłakow, bogata i dystyngowanie ubrana dama, była jeszcze dosyć młoda i przystojna, twarz miała nieco bladą i sympatyczną o bardzo żywych i niemal czarnych oczach. Mogła mieć najwyżej lat trzydzieści trzy, od pięciu zaś lat była wdową. Czternastoletnia jej córka chorowała na paraliż nóg. Biedna dziewczynka od sześciu miesięcy nie mogła chodzić; wożono ją w fotelu na kółkach. Prześliczna jej twarzyczka, wychudzona skutkiem choroby, była mimo to wesoła. W jej ciemnych, dużych oczach o długich rzęsach tliły skierki figlarności. Matka zamierzała jeszcze na wiosnę wywieźć ją zagranicę, lecz sprawy majątkowe zatrzymały ją przez lato. Od tygodnia bawiły w naszem mieście, przyjechały coprawda głównie dla załatwienia pewnych spraw, ale zdążyły już trzy dni temu odwiedzić świątobliwego starca. Teraz znowu nagle przybyły i, chociaż wiedziały, że starzec prawie już nikogo nie może przyjmować, błagały uporczywie, aby pozwolono im raz jeszcze „ujrzeć oblicze wielkiego uzdrowiciela". Czekając więc na wyjście starca, pani Chochłakow siedziała na krześle obok fotelu córki, w dwóch zaś krokach od nich stał stary mnich, przybyły z daleka, z nieznanej, gdzieś na Północy zarzuconej

pustelni, aby uzyskać błogosławieństwo wielkiego starca. Atoli starzec, wyszedłszy na galerję, skierował się naprzód ku wieśniaczkom, które stłoczyły się koło ganku o trzech schodkach, wychodzącego na pole. Starzec stał na górnym schodku; włożył na siebie stułę i począł błogosławić zbliżające się baby. Przyciągnięto przed niego za obie ręce „klikuszę". Na widok starca poczęła nagle czkać, wierzgać nieludzko, i cała zatrzęsła się jak w konwulsji. Starzec przykrył jej głowę stułą i zmówił nad nią krótką modlitwę, zaczem natychmiast uspokoiła się i ucichła. Nie wiem, jak to się teraz dzieje z tą chorobą, ale w latach dziecinnych zdarzało mi się często widzieć po wsiach i klasztorach tego rodzaju histeryczki. Gdy przyprowadzano je do nabożeństwa, zrazu wizgały i ujadały po piesku na całą świątynię, lecz ledwo dopuszczano je do świętego sakramentu, „djabelstwa" ustępowały, i chore przynajmniej na jakiś czas odzyskiwały spokój. Dzieckiem będąc, nie mogłem się temu dosyć nadziwić. Ale niektórzy sąsiedzi, a zwłaszcza nauczyciele moi z miasta zapewniali mnie skwapliwie, że to wszystko jest mistyfikacją, szalbierstwem, że babom z lenistwa nie chce się pracować, i że można wyplenić tę urojoną chorobę odpowiednią srogością, w dowód czego przytaczali różne anegdoty. Znacznie później dopiero dowiedziałem się ze zdumieniem od specjalistów lekarzy, że niema w tem żadnego udawania, że to straszliwa choroba kobieca, rozpowszechniona, zdaje się, szczególnie u nas, w Rosji, świadcząca o ciężkiej doli naszych bab wiejskich. Niemoc ta bowiem przeważnie powstaje wówczas, kiedy kobieta zbyt wcześnie po ciężkim połogu, odbytym bez pomocy akuszerki, wraca do wyczerpującej pracy; czasem też powstaje ona z ciężkiego, beznadziejnego strapienia, z bicia i wszelkich tego rodzaju przeciwieństw, które niekażda natura kobieca potrafi znieść. Zastanawiające zaś, natychmiastowe uzdrawianie opętanej w bliskości Darów Ducha świętego nie jest bynajmniej, jak mi się to starano wmówić, komedją i mistyfikacją, wrzekomo ukartowaną przez klerykałów, lecz zjawiskiem najzupełniej naturalnem. Kobiety, które doprowadzają opętaną do ołtarza, a, co naj-

ważniejsza, ona sama wierzy najmocniej, jako w prawdę ustaloną, że zły duch, co ją był opętał, nie wytrzyma, gdy się ją zmusi do pokłonu przed św. Sakramentem. Tedy następuje (i musi następować) w takiej chwili gwałtowne jakby wstrząśnienie całego organizmu nerwowo i psychicznie chorej kobiety, wstrząśnienie, powodowane pełnem ufności oczekiwaniem cudu, niezachwianą wiarą w to, że musi się stać cud. I staje się cud, choćby na chwilę. Stał się i teraz, gdy starzec przykrył stułą głowę chorej baby.

Efekt chwili wycisnął łzy zachwytu i wzruszenia z oczu kobiet obstępujących starca; niektóre szukały ustami poły jego sukni, inne szeptały pacierze. On zaś błogosławił wszystkie i z niektóremi wszczął rozmowę. Opętaną znał już poprzednio, przyprowadzano ją już nieraz z wioski, odległej o sześć wiorst od monasteru.

— Zdaleka? — zwrócił się do wcale jeszcze nie starej, ale wyjątkowo chudej i wyniszczonej baby, której twarz nie była zwyczajnie opalona, ale wprost czarna. Stała na klęczkach i wlepiła w starca osłupiałe wejrzenie. Bezprzytomny zachwyt malował się w jej oczach.

— Oj, zdaleka, ojcze, zdaleka, ze trzysta wiorst będzie. Zdaleka, ojcze, zdaleka — rzekła śpiewnym tonem, kiwając głową miarowo i płynnie i podpierając policzek dłonią. Mówiła zaś jakby zawodząc.

Zgryzota ludu jest milcząca i cierpliwa: zasklepia się w sobie i milczy. Ale bywa też innego rodzaju zgryzota, naderwana: znalazłszy sobie upust we łzach, przechodzi w niemilknące zawodzenie. Zwłaszcza u kobiet. Ale i taki frasunek nie jest lżejszy od niemego strapienia. Skargi przynoszą jeno tę ulgę, że jątrzą i podsycają boleść, która nie szuka pociechy i żywi się poczuciem swojej niepocieszalności. Zawodzenie tedy odpowiada potrzebie ciągłego drażnienia rany.

— Mieszczanką jesteście? — zapytał starzec, patrząc na nią ciekawie.

— Miastowe jesteśmy, ojcze, miastowe, choć my

i z chłopów, ale miastowe, przy mieście mieszkający. Ciebie obaczyć, ojcze, przyszłam. Słyszeliśmy o tobie, ojcze, słyszeli. Syneczka, dzieciątko, pochowałam i teraz chodzę i do Boga się modlę. W trzech klasztorach byłam ja i wszędzie mówili: „Tam idź, Nastusiu, tam idź", do ciebie znaczy ojcze. To i przyszłam, wczoraj do cerkwi, dziś i tu.

— Po kim płaczesz?

— Synusia płaczę, ojcze, trzy latka miał, przez trzech miesięcy tylko i trzy latkaby miał. O syneczka się smucę, ojcze o syneczka. Ostatni syneczek się ostał, czworo ich było, ale nijak nie chowają się nam dzieciaki, nie chowają się. Trzech pierwszych pogrzebałam-ci ja, ale nie bardzo ich żałowałam, ale tego ostatniego pochowałam i zabaczyć go nie mogę. Ochapia mi się cięgiem, nie odchodzi. Duszę mi wysuszył. Popatrzę na jego bieliznę, na koszulinę, albo i na trzewiczki i w ryk. Rozłożę co się po nim ostało, patrzę i wyję. Powiadam do Nikituszki, do męża mojego: puść mnie z domu, pójdę po miejscach świętych. Mój jest dorożkarzem, nie biedne jesteśmy, ojcze, nie biedne, sami sobie gospodarzym, i konik własny i dorożka własna. Ale co nam z naszego dobra? Pić zaczął przezemnie, Nikituszka mój, pewnikiem pije, ano i dawniej tak bywało: niechno się obrócę, a chłop jużci słabnie. A tera to i o niego nie dbam. Ot już trzeci miesiąc, jakem z domu precz poszła. Przepomniałam-ci ja, przepomniałam o wszystkiem i pamiętać nie chcę; i co ja z nim pocznę, ojcze mój? Skończyłam z nim, skończyłam, ze wszystkiem skończyłam. I już mi się patrzeć nie chce na mój dom, i na dobro, i nie chcę na oczy go widzieć!

— Słuchajcie, matko — odezwał się starzec — za dawnych czasów był pewien wielki święty, który zobaczył w świątyni kobietę, tak jak wy płaczącą syna swojego, jedynaka, którego Bóg powołał do siebie. „Czy ty nie wiesz, kobieto" przemówił do niej święty „ jak dzieci one zuchwałe są w obliczności Boga? Zuchwalszych nad dzieci niema w całem Bożem Królestwie. Tyś, Panie Boże, życie nam darował, powiadają do Boga, a ledwośmy przejrzeli, jużeś nas zabrał z powrotem". I tak zuchwale proszą i bła-

gają, że Pan Bóg odrazu czyni ich aniołami. „A przeto, mówił święty, i ty się raduj, niewiasto, i nie płacz, i dzieciak twój teraz aniołem jest przed Bogiem". Oto, co mówił święty płaczącej kobiecie w dawnych czasach. A przeto i ty wiedz matko, że i twój dzieciak na pewno stoi przed obliczem Pana, i cieszy się i raduje i do Boga się modli za ciebie. A dlatego nie płacz, lecz raduj się matko.

Kobieta słuchała go, podpierając ręką policzek i opuszczając oczy na ziemię. Westchnęła głęboko.

— Tak samo pocieszał mnie i mój, Nikituszka, te same słowa gadał: „Głupiaś ty" gadał „czego płaczesz, synek nasz tam pewnikiem z aniołami Bożemi śpiewa". Tak-ci do mnie mówił, i sam płacze, widzę ja, że sam jak i ja płacze. Wiem-ci ja, Nikituszka, gdzieby miał być, jak nie u Pana Boga, ino go między nami, Nikituszka, niema, tu wedle, gdzie dawniej siedział! I gdybym ja tylko raz jeden na niego popatrzała, gdybym ino raz jeden jemu się znów przyjrzała, nie podeszłabym, nie przemówiłabym, inobym się w kącie zaczaiła, tylko chwilkę jedną spozierać, posłuchać, jak ugania po dworze, jak przyjdzie i krzyknie swoim głosikiem: „Mamo, a gdzieś ty?" Tylko raz go posłuchać, jak nóżkami swojemi po izbie się przejdzie, tylko raz jeden, nóżkami swojemi, tuk-tuk, tak często, często, pamiętam, jak podbiega do mnie, krzyczy i śmieje się, tylkobym nóżki jego posłyszała, posłyszałabym, poznała! Ale niema go, ojcze, niema i nie usłyszę go nigdy! Oto jego paseczek, a jego samego niema, i nigdy już nigdy nie zobaczę, nie posłyszę go nigdy!...

Wyjęła z za stanika mały szychem wyszyty paseczek swego synka, i ledwo spojrzała nań, wybuchła łkaniem, zasłaniając oczy palcami, na które wnet pociekły łzy.

— Oto „Rachel płacze synów swoich a nie chce przyjąć pocieszenia nad nimi, że ich niemasz" — rzekł starzec — i taka już dola wasza matczyna na tej ziemi. I nie pocieszaj się, i nie trzeba ci się pocieszać, nie pocieszaj się i płacz, tylko ilekroć popłaczesz, wspomnij, że syn twój — jest jednym z aniołków Pańskich, z nieba na ciebie spogląda i widzi ciebie i z łez twoich się cieszy i Panu Bogu na

łzy twe pokazuje. I długo jeszcze starczy ci tego wielkiego płaczu macierzyńskiego, ale w końcu w cichą radość się przemieni, i będą łzy twoje gorzkie łzami cichego roztkliwienia i serdecznego oczyszczenia, które grzechy twe wygładzi. A za spokój duszy synka twojego modlić się będę. Jak mu było na imię?

— Aleksy, ojcze.

— Miłe imię. Od Aleksego, sługi Bożego?

— Bożego, ojcze, Bożego, Aleksego sługi Bożego!

— Wielkiż to był święty! Modlić się za niego będę, matko, i o smutku twoim wspomnę i o zdrowie męża twego będę się modlił. Ale grzech opuszczać męża. Wracaj do dom, matko i miej o nim staranie. Zobaczy stamtąd chłopczyk twój, żeś rzuciła ojca jego, i rozpłacze się: pocóż jego spokój zakłócać? Wszak żywie on, żywie, bo żywa jest dusza na wieki, i niemasz go w domu, a jest niewidocznie przy was. Jakże będzie mógł do domu przyjść, jeżeli mówisz, żeś domu swego znienawidziła? Do kogóż przyjdzie, jeżeli was razem nie znajdzie, ojca i matki? Teraz śni ci się i jeno się męczysz, a w domu ześle ci dobre sny. Wracaj do męża, matko, dzisiaj jeszcze wracaj.

— Pójdę, ojcze, pójdę, jakeś rzekł. Serce moje poruszyłeś. Nikituszko ty mój, Nikituszko, czekasz ty mnie, mój drogi, pocwarujesz się — zaczęła znów zawodzić baba, ale starzec już odwrócił się ku innej bardzo starej kobiecinie, ubranej z miejska. Z oczu jej patrzało, że przyszła tu w określonej sprawie, że chciała się o coś zapytać. Podała się za wdowę po podoficerze z naszego miasteczka. Syneczek jej, Wasieńka, w jakimś urzędzie pracował i wyjechał do Syberji, do miasta Irkucka. Dwa razy pisał, a teraz już przeszło rok ni widu ni słychu. Chciała się o niego dowiedzieć, ale nie wiedziała, dokąd się zwrócić.

— Więc powiada mi przedwczoraj Stepanida Iljiniczna Bedrjagina, kupcowa, bogata bardzo: idź ty, powiada, Prochorowno, do cerkwi i daj na mszę świętą za syneczka swego. Zackni się jego duszy, to i napisze do ciebie list syneczek twój. Jużci, wiadoma rzecz, powiada Stepanida Iljiniczna, już to niejedna matka wypróbowała. Ino mnie się

jakoś widzi, że to nie tego... Słoneczko ty nasze, powiedz, prawda to czy nieprawda, i czy tak dobrze będzie?

— Nie myśl nawet o tem. Wstyd się pytać o coś takiego. Jakto można, aby własna matka zamawiała mszę świętą za żywą duszę! To grzech wielki, czarodziejstwem trąci, jeno żeś ciemna, to ci i Bóg tego nie policzy. Lepiejbyś, matko, pomodliła się do królowej Niebios, orędowniczki naszej, aby zdrów był syneczek twój i aby ci darowała pomyślenie twoje zdrożne. I jeszcze ci to powiem, Prochorowno: albo on sam do siebie rychło przyjedzie, synek twój, albo napewno list przyśle. Spodziewaj się tego. A teraz idź z Bogiem i bądź nadal spokojna. Żyje twój synek, ja ci to mówię.

— O ty ukochanie nasze. Niech cię Bóg wynagrodzi, dobroczyńco nasz, modlicielu za wszystkich nas i za grzechy nasze!

Tymczasem starzec zwrócił uwagę na gorejące spojrzenie, które utkwiła w nim młoda wieśniaczka, bardzo wymizerowana, robiąca wrażenie suchotnicy. Spoglądała nań w milczeniu, oczy jej o coś błagały, lecz bała się widocznie podejść bliżej.

— Ty o czem to, córko moja?

— Rozgrzeszenia dla grzesznej duszy, ojcze — rzekła cicho i powoli, upadła na klęczki i pokłoniła mu się do nóg.

— Zgrzeszyłam ojcze, i grzechu swojego się boję

Starzec usiadł na dolnym schodku, wieśniaczka zaś zbliżyła się do niego, nie podnosząc się z klęczek.

— Już ze trzy lata jakem owdowiała — zaczęła półgłosem z dreszczem wewnętrznym. — Źle mi było z mężem, stary był, katował mnie. Leżał chory; ano myślę, patrzę się na niego i myślę, jak wyzdrowieje, znowu wstanie to i co wtedy? I jak ta myśl we mnie weszła!...

— Poczekaj — przerwał jej starzec i przybliżył ucho do warg, które szeptały tak cicho, że nic nie można było zrozumieć. Szeptały niedługo.

— Trzeci już rok? — przepytał starzec.

— Trzeci rok. Z początku nicem nie myślała, ino tera cięgiem choruję. Zgryzota mnie toczy.

— Zdaleka?

— Pięćset wiorst stąd.

— Mówiłaś na spowiedzi?

— Mówiłam, ze dwa razy.

— I dostałaś rozgrzeszenie?

— Dostałam. Stracham się; umierać się boję.

— Niczego się nie bój, i nigdy się nie bój i nie gryź się niepotrzebnie. Byleby tylko nie schnęła skrucha twoja — to i Bóg ci wszystko przebaczy. Niema takiego grzechu i być nie może, aby go Bóg Miłosierny nie przebaczył sercu pokutę szczerze czyniącemu. I nie mógłby nawet człek popełnić grzechu tak wielkiego, iżby wyczerpał nieskończone miłosierdzie Boże. Zaliż może być grzech taki, któryby przerastał miłosierdzie Boże? O skrusze tylko pamiętaj, o ciągłej skrusze, a strach wszelki odpędź od siebie. Wierzaj, że Bóg kocha cię tak jak się nawet tego spodziewać nie możesz, kocha cię mimo twego grzechu, kocha cię z grzechem twoim. Więcej przecie w niebie radości z jednego nawróconego grzesznika niż ze sprawiedliwych dziesięciu. Idź i przestań się strachać. Na ludzi się nie gniewaj, krzywdy przebaczaj. Nieboszczykowi w sercu wszystko daruj, pogódź się z nim na wieki. Kto żałuje za grzechy swoje, ten jużci kocha. A jak będziesz kochać, to już będziesz człowiekiem Bożym... Miłość wszystko okupuje i wszystko zbawia. Jeżeli ja, taki sam, jak ty grzeszny człek, ulitowałem się nad tobą, to cóż dopiero Bóg. Miłość jest skarbem tak bezcennym, że możesz świat cały kupić, i nietylko swoje ale i cudze grzechy odkupić. Idźże, córko, w pokoju i nie bój się niczego.

Przeżegnał ją trzykrotnie, zdjął medalik i zawiesił jej na szyi. Nic nie mówiąc, ukłoniła się do samej ziemi. Następnie podniósł się i z wesołym uśmiechem spojrzał na zdrową babę z niemowlęciem na ręku.

— Z Wyszyhory, ojcze.

— To jednak sześć wiorst, ciężko ci było z dzieckiem na ręku. Czegoż ci trzeba?

— Przyszłam na ciebie popatrzeć, ojcze. Bywałam

już ja tu, zabaczyłeś widać, ojcze? Krótką masz pamięć, kiedy mnie zobaczyłeś. Powiadali nasi, żeś chory, więc myślę sobie, pójdę, sama popatrzę: ano i widzę ciebie, ki ty tam chory? Jeszcze dwadzieścia lat pożyjesz z Bożą pomocą. Siła to ludzi modli się za ciebie?

— Bóg ci zapłać, córko.

— A mam tu ja i prośbę do ciebie, ojcze, prośba moja maleńka: naści sześćdziesiąt kopiejek, oddaj ty je, ojcze, której biedniejszej ode mnie. Przyszłam tu i myślę sobie: to to jemu oddam, on już wie najlepiej, który więcej potrzebujący.

— Dziękuję ci, córko, dobra jesteś, miłuję cię. Zrobię, o co prosiłaś. To dziewczynka?

— Dziewczynka, słoneczko ty nasze, Lizaweta.

— Niech was Bóg błogosławi, i ciebie i twoją dziewczynkę Lizawetę. Rozradowałaś moje serce, matko. Zostańcie z Bogiem, moje drogie, bądźcie zdrowe, moje miłe, dobre owieczki!

Pobłogosławił wszystkich zebranych i złożył głęboki ukłon.

IV.

Niewiasta małej wiary.

Obywatelka ziemska, Chochłakowowa, przyglądając się przez cały czas rozmowie starca z babami, płakała pocichu i ocierała łzy chusteczką. Była to wrażliwa i uczuciowa dama z prawdziwie zacnemi skłonnościami. Skoro starzec doszedł wreszcie do niej, przywitała go entuzjastycznie:

— Ja tyle, tyle przeżyłam, patrząc na tę rozczulającą scenę... — nie mogła aż dokończyć ze wzruszenia. — O ja teraz pojmuję, że lud kocha was, ojcze, bo i ja sama bardzo kocham lud, pragnę go kochać, i jak można nie kochać go tego naszego wspaniałego, prostodusznego w swej wielkości ludu rosyjskiego!

— Jak zdrowie córki? Chciała pani znowu ze mną pomówić?

— O, ja usilnie prosiłam, błagałam, gotowam była na klęczkach stać bodaj trzy dni i noce pod oknem ojca, byleby mnie tylko wpuścili. Przyjechałyśmy do was, wielki uzdrowicielu, aby wypowiedzieć naszą radosną i zachwyconą wdzięczność. Przecież, ojcze, uzdrowiliście moją Lizę, uzdrowiliście ją zupełnie, któżby to pomyślał — czem? Modlitwą i przyłożeniem ręki. Przyszłyśmy pocałunkami okryć te ręce, wyrazić nasze uczucia i nasz najgłębszy pietyzm!

— Jakto uzdrowiłem? Przecież nie chodzi jeszcze o własnych siłach?

— Ale nocna gorączka zupełnie przeszła, już od dwóch dni, od owego czwartku, kiedyśmy tu były po raz pierwszy — zawołała dama nerwowo. — Co więcej, nogi jej wzmocniły się znakomicie. A dzisiaj rano obudziła się zdrowa, całą noc spała, spójrz, ojcze, na jej rumieniec, na oczki jej błyszczące. Dawniej wciąż płakała, a teraz śmieje się, wesoła, rozradowana. Dziś koniecznie domagała się, aby ją na nogi postawiono, i doprawdy, doprawdy całą minutę o własnych siłach stała, bez żadnej podpory. Ojcze, ona idzie ze mną o zakład, że za dwa tygodnie będzie tańczyła kadryla. Przywołałam tutejszego lekarza Hertzenstube; wzrusza ramionami, powiada: podziwiam, nie pojmuję. I chcielibyście, ojcze, abyśmy was zostawiły w spokoju, abyśmy nie przybiegły tu, nie dziękowały *Lise*, podziękuj-że, dziękuj-że!

Milutka, roześmiana twarzyczka *Lise* nagle spoważniała: dziewczynka uniosła się, o ile to było w jej mocy i, patrząc na starca, złożyła dziękczynnie rączki. Nie wytrzymała jednak długo i nagle wybuchła śmiechem...

— To z niego, z niego! — zawołała, wskazując na Aljoszę, w naiwnie dziecięcy sposób czyniąc sobie wyrzut, że nie potrafiła zachować powagi. Ktoby spojrzał w tej chwili na twarz Aljoszy, stojącego o krok za starcem, zauważyłby nagły rumieniec na jego policzkach i przelotny błysk w oczach, które wnet spuścił.

— Ona ma do pana zlecenie, Aleksy Federowiczu... Jak się pan miewa — odezwała się matka, zwracając się nagle do Aljoszy i podając mu swoją rękę opiętą w elegancką rękawiczkę. Starzec obrócił się i uważnie przyjrzał się

Aljoszy. Ów zaś podszedł do Lizy i, uśmiechając się jakoś dziwnie i nieswojo, wyciągnął i do niej rękę. *Lise* skroiła poważną minę.

— Katarzyna Iwanowna przesyła to panu przeze mnie — rzekła i podała mu liścik. — Poza tem prosi pana bardzo, aby pan przyszedł do niej, i to jak najprędzej, i bez żadnych wykrętów, koniecznie, aby pan przyszedł.

— Prosi, abym przyszedł? Do niej, ja... Pocóż to? — wykrztusił Aljosza z głębokiem zdziwieniem. Zatroskanie odmalowało się nagle na jego twarzy.

— To wciąż z powodu Dymitra Fedorowicza i... wszystkich ostatnich wydarzeń — wyjaśniła natychmiast matka. — Katarzyna Iwanowna powzięła teraz postanowienie... ale właśnie dlatego musi się z panem zobaczyć... W jakim celu? Oczywiście, ja tego nie wiem. Ale prosiła, aby jak najprędzej. Zrobi to pan, na pewno pan to zrobi, nawet zwykłe uczucie chrześcijańskie nakazuje.

— Widziałem ją tylko raz w życiu — tłumaczył się Aljosza.

— O, to taka wzniosła, niedościgła natura!... Chociażby przez wzgląd na cierpienia... Niech pan pomyśli, co ona przeżyła, co ona teraz przeżywa, niech pan zastanowi się tylko, co ją czeka... to straszne, straszne!

— Dobrze więc, pójdę — zdecydował Aljosza, przejrzawszy króciutki i zagadkowy liścik, który zresztą nic nie zawierał poza stanowczą prośbą o przybycie.

— Ach, jak to ładnie będzie i wspaniale ze strony pana! — zawołała nagle Liza z przejęciem. — Mówiłam przecież mamie: on za nic na świecie nie pójdzie, myśli tylko o własnem zbawieniu. Jaki pan wspaniały! Zawsze myślałam, że pan jest wspaniały chłopak, cieszę się, że mogę to panu teraz powiedzieć!

— *Lise!* — strofowała ją matka, ale nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

— Zapomniał pan o nas, Aleksy Fedorowiczu, wcale pan nie chce u nas bywać; a tymczasem *Lise* dwukrotnie mi powiedziała, że tylko z panem czuje się dobrze.

Aljosza podniósł oczy, znowu się zarumienił i znowu,

nie wiedząc czemu, uśmiechnął się niespodziewanie. Zresztą, starzec przestał już na niego zważać. Zawiązał rozmowę z braciszkiem zakonnym, który, jak już rzekliśmy, stał koło fotelu Lizy. Był to według wszelkiego prawdopodobieństwa zgoła ciemny mnich, to znaczy zwyczajnego pochodzenia, z ciasnym, niezachwianym światopoglądem, ale zato mocnej i uporczywej wiary. Wyjaśnił, że przybywa z dalekiej Północy, z Obdorska, z bardzo ubogiego klasztoru pod wezwaniem św. Sylwestra, składającego się z dziewięciu zaledwie mnichów. Starzec, udzieliwszy błogosławieństwa, zaprosił go do siebie, do celi.

— Jakożeś się ważył, ojcze, czynić takowe rzeczy? — zapytał nagle mnich, surowo i uroczyście wskazując na Lizę. Miał na myśli jej „uzdrowienie".

— O tem jeszcze mówić niewcześnie. Polepszenie nie jest jeszcze uzdrowieniem, a no i przyczyny mogły być insze. Wszakże, jeżeli nawet coś było, to jeno z woli Bożej. Wszystko od Boga jest. Odwiedźcie mnie — dodał po chwili — czasu już niewiele mi zostało, wciąż choruję i wiem, że dni moje są policzone.

— O nie, nie, Bóg nie odbierze was, ojcze, pożyjecie jeszcze długo, długo — zawołała pani Chochłakowowa.—I co wam, ojcze, dolega? Wyglądacie tak zdrowo, wesoło, szczęśliwie.

— Dzisiaj czuję się o wiele lepiej, ale wiem, że to tylko chwilka. Teraz doskonale rozumiem moją chorobę. Jeżeli zaś wydaję się pani naprawdę taki wesoły, to chybaż niczem nie mogła mnie pani tak uradować, jak tem spostrzeżeniem. Albowiem do szczęścia stworzył nas Bóg, i kto jest zupełnie szczęśliwy, ten jest godzien powiedzieć: „wypełniłem przykazanie Boże na tej ziemi". Wszyscy sprawiedliwi, wszyscy święci, wszyscy święci męczennicy byli zaiste szczęśliwi.

— O, jak pięknie mówicie, ojcze, jakie śmiałe i podniosłe słowa! — zawołała pani Chochłakowowa. — Mówicie i jakgdyby przebijacie duszę nawylot. A jednak szczęście, szczęście — w czem ono? Kto może powiedzieć o sobie, że jest szczęśliwy? O, skoro już jesteście, wielebny ojcze, tak dobrzy, żeście nas dopuścili jeszcze raz do

siebie, to wysłuchajcie już wszystko, czego w czwartek nie dopowiedziałam, czegom nie śmiała powiedzieć, co mnie nęka, co mnie tak nęka oddawna, z dawien dawna! Cierpię, ojcze, darujcie mi, cierpię... — I z jakiemś namiętnem uniesieniem splotła przed nim ręce.

— Czemuż to właściwie?

— Cierpię.... z powodu niewiary...

— Niewiary w Boga?

— O nie, nie śmiem o tem myśleć: ale życie przyszłe — to taka zagadka! A przecież nikt na nią nie odpowiedział! Słuchajcie, ojcze wielebny, wy uzdrowicielu, znawco ludzkiej duszy; naturalnie nie śmiem wymagać, abyście, ojcze, zupełnie mi zawierzyli, ale zapewniam was słowem najwyższem, że nie mówię tego teraz przez lekkomyślność, że myśl ta o życiu zagrobowem dotyka mnie do żywego, rodzi strach i zgrozę... I nie wiem, do kogo się zwrócić, całe życie nie ważyłam się... I oto teraz ośmieliłam się zwrócić do was, ojcze. O Boże, za jaką mnie ojciec będzie miał!

Co rzekłszy plasnęła w dłonie.

— Niech pani nie myśli o mojem zdaniu — odpowiedział starzec. — Wierzę zupełnie w szczerość pani strapienia.

— O, jakże ojcu jestem wdzięczna! Widzicie, ojcze: przymykam oczy i myślę: Skoro wszyscy wierzą, to skądże się to wzięło? A tu zapewniają, że to wszystko ze strachu wobec groźnych zjawisk przyrody, i że tego wszystkiego wcale niema. No cóż, myślę, całe życie wierzyłam — umrę i naraz nic niema i tylko „łopian wyrośnie na mogile", jak przeczytałam u jakiegoś pisarza. To straszne! Jak, jak odzyskać wiarę? Zresztą, wierzyłam, będąc małem dzieckiem, mechanicznie, o niczem nie myśląc... Jak, jak tego dowieść, poto właśnie przyszłam teraz ukorzyć się przed wami, ojcze, i prosić. Bo jeżeli i teraz tego zaniedbam, to już nigdy nikt mi na to nie odpowie. Jak dowieść, czem się przekonać? O, biada mi! Stoję i widzę dookoła, że wszyscy są na to obojętni, prawie wszyscy, nikt się teraz o to nie frasuje, tylko ja jedna nie potrafię tego znieść. To zabójcze, zabójcze!

— Bezwątpienia zabójcze! Ale dowieść tu nic nie można, można się tylko przekonać.

— Jak? Czem?

— Doświadczeniem czynnej miłości. Niech się pani stara kochać bliźnich czynnie i nieustannie. W miarę jak wdrożysz się w dzieła miłości, będzie się pani równocześnie utwierdzać w wierze w Boga i w duszy nieśmiertelność. Skoro zaś dojdzie pani do zupełnego samozaparcia się z miłości ku bliźniemu, wtedy uwierzy pani stanowczo i już żadne zwątpienie nie będzie miało dostępu do duszy. Niezawodne to i wypróbowane.

— Czynnej miłości? Oto znowu pytanie, i jakie pytanie, jakie? Widzi ojciec: ja tak kocham ludzkość, że, wierzy ojciec, marzę czasem o tem, aby porzucić wszystko, wszystko co posiadam, zostawić Lizę i zostać siostrą miłosierdzia. Przymykam oczy, myślę i marzę i w takich chwilach czuję w sobie nieodpartą siłę. Żadne rany, żadne wrzody przegniłe nie mogłyby mnie odstraszyć. Obmywałabym i opatrywałabym je własnemi rękoma, byłabym pielęgniarką nieszczęśliwych, gotowamby całować te wrzody.

— I to już bardzo dobrze, że umysł pani marzy o tem właśnie, a nie o czem innem. Nie, nie, i mimochcący zrobi pani w istocie dobry uczynek.

— Tak, ale czybym długo wytrzymała? — kontynuowała z zapałem, wprost bezprzytomnym. — Oto najważniejsze pytanie. To najbardziej męczące z moich pytań. Przymykam oczy i pytam siebie: czy długobyś wytrzymała na tej drodze? I jeżeli chory, którego rany przemywasz, nie odpowie ci odrazu wdzięcznością, lecz owszem, pocznie cię dręczyć kaprysami, nie oceniając i nie rozumiejąc twego altruistycznego wysiłku, jeżeli zacznie krzyczeć na ciebie, wymyślać, bodaj nawet użalać się na ciebie jakiejś władzy (bo i tak nieraz bywa z obłożnie chorymi) — to wówczas co? Miłość twoja nadal będzie trwała, czy nie? I oto — wyobraź sobie, ojcze — rozstrzygnęłam już w sobie ku wielkiemu przerażeniu: jeżeli istnieje coś, co mogłoby odrazu oziębić moją „czynną“ miłość ku ludzkości, to chyba tylko niewdzięczność. Słowem, płatną jestem pracownicą, wymagam odrazu zapłaty, to znaczy pochwały dla siebie

i wetowania miłości miłością. Inaczej nikogo nie potrafię kochać!

Mogło się wydawać, że ogarnęła ją pasja samobiczowania. Skończywszy swoją spowiedź, z wyzywającą stanowczością spojrzała na starca.

— Coś zupełnie podobnego mówił mi, dawno już zresztą, pewien lekarz — zauważył starzec. — Był to człowiek starszy i bezsprzecznie mądry. Mówił równie szczerze, jak i pani, chociaż niby żartem, ale z prawdziwą goryczą; kocham, mówił, ludzkość, ale dziwię się sobie: im bardziej kocham ludzkość, tem mniej kocham ludzi, to znaczy każdego zosobna człowieka. W marzeniach, powiadał, dochodziłem nieraz do dziwnych pomysłów; chciałem służyć ludzkości, i być może w rzeczy samej poniósłbym krzyż za ludzi, gdyby zaszła potrzeba, a mimo to wszystko dwóch dni nie potrafię przeżyć z kimkolwiek w jednym pokoju, wiem o tem z doświadczenia. Niech kto zbliży się do mnie, a już osobowość jego przygnębia moją miłość własną i krępuje moją swobodę. Przez jedną dobę mogę znienawidzieć najzacniejszego na świecie człowieka: tego za to, że za długo trawi przy obiedzie, drugiego za to, że ma katar i ciągle uciera nos. Staję się, mówił, wrogiem ludzi, ledwo się do mnie zbliżają. I zawsze jakoś tak się zdarzało, że im bardziej nienawidziłem poszczególnych ludzi, tem płomienniej kochałem całą ludzkość.

— Ale co robić? Co w takim razie robić? To przecież może doprowadzić do rozpaczy?

— Nie, wystarczy, że pani nad tem ubolewa. Niech pani robi to, na co cię stać, i to będzie pani policzone. A wiele już pani zrobiła, skoro tak głęboko i szczerze zdajesz sobie sprawę ze swojej natury! Jeno że jeżeli mówiła pani ze mną tak szczerze poto tylko, aby uzyskać pochwałę za swoją prawdomówność, to oczywiście nie doprowadzi to pani do doskonalenia się w czynnej miłości, wszystkie dobre uczynki pozostaną w marzeniach, i całe życie przeminie jak cień. Zapomni pani, naturalnie, i o życiu przyszłem i wkońcu uspokoi się pani sama przez się.

— Zmiażdżyłeś mnie, wielebny ojcze! Dopiero teraz, w tej samej chwili, kiedy ojciec to powiedział, zrozu-

miałam, że w istocie spodziewałam się tylko pochwały za szczerość i dlatego tylko opowiadałam, iż nie zniosę niewdzięczności. Podpowiedział mi ojciec moje własne intencje, odgadł mnie ojciec i nauczył mnie rozumieć samą siebie!

— Czy naprawdę? Ano teraz, po takiem wyznaniu, wierzę, że pani jest szczera i że masz dobre serce. Jeśli nawet nie osiągnie pani szczęścia, to pamiętaj jednak zawsze, żeś jest na dobrej drodze i że nie wolno z niej schodzić. A przedewszystkiem unikać trzeba kłamstwa, wszelkiego kłamstwa, zwłaszcza okłamywania samego siebie. Trzeba uważać na swoje kłamstwa i przyglądać im się o każdej godzinie, o każdej chwili. Unikaj pani również brzydliwości w stosunku do siebie i do obcych: to co pani wydaje się ohydą własnego serca, oczyszcza się już przez to, że zdajesz sobie z tego sprawę. Uciekaj też od strachu, aczkolwiek strach jest następstwem wszelakiego kłamstwa. Nie lękaj się nigdy swojej małoduszności w osiąganiu czynnej miłości, nie trzeba się bardzo lękać nawet własnych brzydkich postępków. Żałuję że nie mogę pani powiedzieć nic bardziej pocieszającego, albowiem miłość czynna w porównaniu z marzycielską jest okrutna i przerażająca. Miłość w marzeniu domaga się doraźnych i prędkich czynów ofiarnych, szybko wykonalnych i jawnych. Zdarza się niekiedy rzeczywiście, że i życie się chętnie poświęca, byleby nie trwało to długo, i byle wszyscy widzieli i chwalili. Miłość zaś w czynie — to praca i wytrwałość, a dla niektórych to i cała nauka. Ale zapowiadam pani, że w chwili, gdy pani z przerażeniem stwierdzi, że mimo wszelkie wysiłki nietylko nie zbliżyłaś się do celu, ale bodaj się oddaliłaś — w tej samej chwili, zapowiadam to pani, nagle osiągniesz ów cel i ujrzysz wyraźnie przed sobą cudotwórczą moc Pana, który nie przestał cię przez cały czas kochać i nieustannie tobą kierował. Wybaczy pani, ale dłużej nie mogę być z wami, czekają mnie w celi. Bądźcie zdrowe.

Dama poczęła płakać.

— *Lise, Lise*, błogosław ją, ojcze, błogosław! — zaperzyła się nagle.

— Jej to i kochać nie warto. Widziałem, jak przez

cały czas dokazywała — odezwał się żartobliwie starzec. — Dlaczego panienka wyśmiewała się z Aljoszy?

Istotnie *Lise* przez cały czas zachowywała się niespokojnie. Przedtem jeszcze, za pierwszym pobytem, spostrzegła, że Aljosza miesza się na jej widok i stara się na nią nie patrzeć. Bawiło ją to bardzo i wyzywało jej przekorę. Wypatrywała więc uporczywie i chwytała jego spojrzenie. Aljosza bowiem od czasu do czasu wbrew woli, zmuszony jakąś nieodpartą siłą, rzucał na nią przelotne spojrzenia; mała wietrznica chwytała je wlot i odpowiadała triumfującym uśmiechem. Oczywiście wzmagało to zakłopotanie nieśmiałego chłopca. Wkońcu odwrócił się zupełnie i schował za plecami starca. Jednakże po kilku minutach, ulegając znowu jakiejś nieodpartej przemocy, obrócił się na chwilę, aby sprawdzić, czy ona wciąż na niego spogląda. W rzeczy samej Liza, wychyliwszy się z fotelu, mało sobie oczu nie wypatrzyła, usiłując ściągnąć na siebie jego uwagę; zaś postawiwszy na swojem, roześmiała się tak głośno, że nawet starzec nie wytrzymał:

— Czemuż to, swawolnico, starasz się go zawstydzić?

Lise nagle, zupełnie niespodzianie, oblała się rumieńcem, błysnęła okiem, spoważniała i zaczęła się prędko skarżyć urywanym, oburzonym głosem:

— A dlaczego on o wszystkiem zapomniał? Gdy byłam mała, na ręku mnie nosił, bawiliśmy się razem. Przecież to on mnie uczył czytać, wie ojciec o tem? Dwa lata temu, żegnając się ze mną, przyrzekł nigdy nie zapomnieć, że jesteśmy na wieki przyjaciółmi, na wieki, na wieki! I czego on się teraz nagle mnie boi, czy ja go zjem, czy co? Dlaczego nie chce podejść, dlaczego nie pomówi ze mną? Dlaczego nie chce do nas przyjść? Czy to ojciec go nie puszcza: wszak wiemy, że on wszędzie bywa. Nie wypada mi go wzywać, on pierwszy powinien był sobie przypomnieć, jeśli nie zapomniał. Nie, on teraz zbawienia szuka! I pocoście kazali mu tę długą kapuzę włożyć... Pobiegnie i przewróci się...

I nagle, nie panując już nad sobą, zakryła twarz rękoma i zalała się niepowstrzymanym, nerwowym śmiechem, wstrząsającym i bezgłośnym. Starzec słuchał jej z uśmie-

chem i z tkliwością pobłogosławił; ona zaś poczęła całować jego rękę, lecz naraz przycisnęła ją do oczu i rozpłakała się:

— Niech się ojciec na mnie nie gniewa, głupia jestem i niegodna, i Aljosza ma może słuszność, wielką nawet słuszność, że nie chce do takiej śmiesznej przychodzić.

— Napewno ci go przyślę — postanowił starzec.

V.

Spełni się, spełni.

Nieobecność starca w celi trwała jakie dwadzieścia pięć minut. Było już po wpół do pierwszej, kiedy wrócił, lecz Dymitra Fedorowicza, w którego sprawie wszyscy się tu zebrali, wciąż jeszcze nie było. Zdawało się jednak, że zupełnie o nim zapomniano. W każdym razie gdy starzec wszedł do celi, toczyła się tu nader ożywiona rozmowa. Prowadzili ją przedewszystkiem Iwan Fedorowicz i obydwaj ojcowie. Wtrącał się czasem, i to zapewne bardzo zapalczywie, Piotr Aleksandrowicz Miusow, ale jakoś mu się tego dnia nie szczęściło: był w sposób widoczny zepchnięty na drugi plan, niezawsze nawet mógł się doczekać odpowiedzi, co oczywiście ogromnie potęgowało jego wciąż wzbierającą irytację. Trzeba wiedzieć, że już od dłuższego czasu rywalizował do pewnego stopnia z Iwanem Fedorowiczem pod względem wykształcenia. Oburzało go jawne poniekąd lekceważenie, jakie okazywał mu jego młody partner. „Dotychczas przynajmniej stało się na wysokości postępowych prądów europejskich, a oto nadchodzi pokolenie młokosów, którzy stanowczo nas ignorują" — myślał sobie z goryczą.

Fedor Pawłowicz, który przyrzekł był zasiąść na krześle i milczeć, istotnie jakiś czas nie odzywał się wcale, tylko szyderczym uśmieszkiem sekundował niepowodzeniom najbliższego sąsiada swego, Piotra Aleksandrowicza i z nietajoną uciechą radował się z jego rozdrażnienia. Dawno już szukając na nim odwetu za jakąś tam swoją krzywdę, uważał bacznie, aby nie przepuścić stosownej okazji. Wkoń-

cu nie wytrzymał, pochylił się ku sąsiadowi i raz jeszcze rozjątrzył go półgłosem:

— A dlaczego to pan dobrodziej nie wyszedł po „całował oną z lubością" i zgodził sie pozostać w tak lichej kompanji? A dlatego, a dlatego, że czułeś się skrzywdzonym i poniżonym; dlatego zostałeś, iżby dla rewanżu olśnić ich swoim umysłem. Teraz mosterdziej nie ruszy się stąd, pokąd nie popisze się swoim umysłem.

— Znowu to samo? Właśnie, że zaraz odjadę.

— Ostatni, ostatni odjedziesz! — ukłuł go raz jeszcze Fedor Pawłowicz. Lecz w tej chwili starzec wrócił do celi.

Spór ucichł na chwilę, wszakże starzec, usiadłszy na poprzedniem swem miejscu, spojrzał uprzejmie po gościach, jakby zapraszając do podjęcia rozmowy. Aljosza, który doskonale znał wszelki wyraz jego twarzy, widział wyraźnie, że starzec jest ogromnie przemęczony i że goni ostatkami sił. W ostatnich czasach skutkiem wycieńczenia ulegał często omdleniom. Bladość, poprzedzająca zazwyczaj zamroczenie, i teraz oblekła jego twarz i bezkrwiste wargi. Widocznie jednak nie chciał jeszcze przerwać zebrania; zdawało się, że upatrzył sobie jakiś cel — ale jaki? Aljosza przyglądał mu się badawczo.

— O nader ciekawym artykule dziennikarskim pana dyskutujemy — odezwał się ojciec Józef, bibljotekarz, zwracając się do starca i wskazując na Iwana Fedorowicza. — Rzecz ciekawa bardzo i wiele nowego przynosi, ale zdaje się, że idea obosieczna. W kwestji duchownego sądu i jego prerogatyw pan właśnie artykuł napisał w pismach jako odpowiedź na książkę o onym przedmiocie traktującą, a napisaną przez osobę stanu duchownego.

— Żałuję bardzo, że nie czytałem artykułu pana, alem wiele o nim słyszał — odpowiedział starzec, patrząc uporczywie i wnikliwie na Iwana Fedorowicza.

— Pan zajmuje ciekawe nader stanowisko — kontynuował ojciec bibljotekarz — w kwestji sądu duchownego jakgdyby nie uznaje rozdziału kościoła od państwa.

— To bardzo ciekawe, ale w jakim sensie? — zapytał starzec Iwana Fedorowicza.

Ów odpowiedział mu wreszcie, ale wbrew obawom Aljoszy, nie zgóry, nie z chłodnem bynajmniej ugrzecznieniem, lecz skromnie i powściągliwie, z uprzedzającą grzecznością i zapewne bez myśli ubocznych.

— Wychodzę z założenia, że pomieszanie tych dwóch elementów, to znaczy istoty Kościoła i istoty państwa będzie trwało, rzecz jasna, wiecznie, mimo że elementy owe nie dadzą się doprowadzić do normalnej względem siebie równowagi i żadną miarą uzgodnić, bo fałszywa jest podstawa ich wzajemnego stosunku. Kompromis między państwem a Kościołem w takich sprawach jak sąd, mojem zdaniem jest z natury swej absolutnie niewykonalny. Autor dzieła w tej sprawie, z którym polemizowałem, twierdził, że Kościół zajmuje określone i dokładnie dające się ustalić miejsce w państwie. Ja mu na to odpowiedziałem, że, wręcz przeciwnie, Kościół powinien zawierać w sobie całe państwo, a nie zajmować w niem jakiś kącik; że, jeżeli to teraz jest z tych czy innych powodów niemożliwe, to z natury rzeczy powinno przecież stanowić główny i bezpośredni cel dalszego rozwoju chrześcijańskiego społeczeństwa.

— Święta prawda — twardo i nerwowo potwierdził ojciec Paisy, wykształcony lecz milkliwy zakonnik.

— Ultramontanizm najczystszej wody! — zawołał nagle Miusow, niecierpliwie przekładając nogę na nogę.

— Przecie i gór to u nas wcale niema! — rzekł ojciec Józef i, zwracając się do starca, dodał: — Pan odpowiada na następujące „podstawowe i najważniejsze" twierdzenia swego przeciwnika, duszpasterza, proszę to mieć na uwadze. Pierwsze mianowicie: że „Żadna społeczna organizacja nie może i nie powinna rościć sobie prawa do rozporządzania się obywatelskiemi i politycznemi prawami swoich członków". Drugie: że „sprawy kryminalne i cywilne nie powinny podlegać kompetencji Kościoła, nie godzą się zresztą z istotą Kościoła, jako istytucji ustanowionej przez Boga i jako zrzeszenia o celach religijnych"; wreszcie, trzecie: że „Kościół jest królestwem nie z tego świata"...

— Niegodna gra słów w ustach kapłana! — nie wytrzymał i znowu przerwał ojciec Paisy. — Czytałem ową książkę, na którą pan odpowiedział — dodał, zwracając się

do Iwana Fedorowicza — i zdumiony byłem słowami owego kapłana, iż „Kościół jest królestwem nie z tego świata". Jeżli bo nie z tego świata, to i wcale nie może na ziemi istnieć. W świętej ewangielji słowa: „nie z tego świata" mają inne zupełnie znaczenie. Nie godzi się przekręcać znaczenia takich słów. Pan nasz, Jezus Chrystus przyszedł przecie, iżby ustanowił Kościół na ziemi. Królestwo Niebieskie jest, rzecz pewna, nie z tego świata, w niebiesiech, lecz jakoż go dostąpić, jeżeli nie jedynie przez Kościół, ustanowiony i założony na ziemi. A przeto kalambury świeckie w tym przedmiocie są nieprzystojne i niedorzeczne. Kościół zasię jest królestwem i przeznaczony królować, koniec końców będzie panował wiekuiście na całej ziemi, jak nam było przyrzeczone...

Nagle umilkł, jakby hamując się z ledwością. Iwan Fedorowicz, wysłuchawszy go z szacunkiem i uwagą, zwrócił się znów do starca i z niezwykłym spokojem, prostodusznie i chętnie jak poprzednio podjął:

— Artykuł mój przeprowadza tę myśl, że w pierwszych trzech wiekach chrześcijaństwa objawiało się ono na ziemi jedynie przez Kościół i było tylko Kościołem. Następnie pogańskie państwo rzymskie, chcąc się stać chrześcijańskiem, zagarnęło tylko Kościół, lecz samo zostało nadal pogańskie w rozlicznych swoich funkcjach. Tak się zresztą powinno było i musiało stać. Atoli w Rzymie, jak i w państwie, tkwi jeszcze zbyt wiele z cywilizacji i mądrości pogańskiej, choćby naprzykład same podstawy i cele państwa. Kościół zaś Chrystusowy, wcielony do państwa, rzecz jasna, nie mógł wyrzec się swoich zasad i podstaw, zejść z owej opoki, na której był zbudowany, bo Kościół może zdążać tylko do swoich celów, jasno i stanowczo wytkniętych i wskazanych przez Pana, a więc i do tego, aby obrócić cały świat, a przeto i całość dawnego pogańskiego państwa w Kościół. W ten sposób (zastrzegam się, że w wymiarach przyszłości) nie Kościół ma szukać sobie określonego miejsca w państwie, jako „zrzeszenie społeczne" lub jako „zrzeszenie ludzi o celach religijnych" (jak wyraża się o Kościele autor, z którym polemizuję), lecz wręcz przeciwnie, wszelkie państwo na ziemi powinnoby w przyszłości

przeistoczyć się całkowicie w Kościół i stać się jedynie i wyłącznie Kościołem, oczywiście wyparłszy się wszelkich obcych Kościołowi celów. Twierdzę, że nie poniży to bynajmniej państwa, nie pozbawi go ani honorów, ani chwały, splendoru wielkiego mocarstwa, ani sławy jego panujących, lecz z fałszywej, pogańskiej jeszcze i błędnej drogi przerzuci go na drogę słuszną i prawdziwą, jedynie wiodącą ku wiecznym celom. Oto czemu autor pracy o „podstawach sądu duchownego" miałby tylko w tym wypadku słuszność, gdyby, analizując i podając w swej książce owe podstawy, uważał je wyłącznie za tymczasowy kompromis, nieuniknione w naszych grzesznych i dalekich od doskonałości czasach, i nic ponadto. Wszakże gdy autor ośmiela się twierdzić, że te właśnie założenia, które on wysnuwa, a których część zaledwie przytoczył nam ojciec Józef, są niezachwiane, przyrodzone i wieczne, to stanowczo postępuje wbrew Kościołowi i świętym, wiecznym i niezachwianym jego przeznaczeniom. Oto i cały mój artykuł, przynajmniej jego dokładny zarys.

— To znaczy w dwóch słowach — akcentując każdy wyraz, znowu odezwał się milkliwy ojciec Paisy — wedle innych teoryj, zbytnio rozplenionych w naszem dziewiętnastem stuleciu, Kościół winien przeobrazić się w państwo, jako forma niższa w wyższą, iżby następnie zniknął w niem doszczętnie, wyparty przez naukę, ducha czasu i cywilizację. Jeżeli tego sobie nie życzy i temu przeciwstawia, to mu się zato wyznacza w państwie jakiś kącik, i to pod nadzorem ścisłym — jak to się dziś dzieje wszędy po współczesnych państwach europejskich. Wedle zaś rosyjskiego rozumienia naszego i pragnienia, nie Kościół ma się przepostaciować w państwo, jako w wyższą formę swego istnienia, lecz naopak, państwo ma przysposobić się, aby się stało jedynie Kościołem i niczem inszem. Co się spełni, spełni!

— No, przyznaję, żeście mnie panowie trochę uspokoili — uśmiechnął się Miusow, znowu przekładając nogę na nogę. — O ile zrozumiałem, ma to być urzeczywistnieniem jakiegoś nieskończenie odległego ideału, które nastąpi po drugiem oczywiście przyjściu. Jeśli tak, to i owszem. Przepiękna marzycielska utopja o zniknieciu wojen, dyplo-

matów, banków i t. d. Coś, co przypomina nawet socjalizm. A ja już myślałem, że to wszystko było mówione na serjo, i że Kościół już *teraz*, naprzykład, będzie sądził sprawy kryminalne i skazywał na rózgi i katorgę, a może nawet na śmierć.

— Gdyby nawet już, teraz istniały tylko sądy kościelne, to i teraz Kościółby nie wysyłał nikogo na katorgę ani nie skazywał na śmierć. Przestępstwo i osąd przestępstwa musiałyby się bezwarunkowo odmienić, oczywiście pomału, stopniowo, nie odrazu i napoczekaniu, ale przecież dosyć prędko... — spokojnie, nie mrugnąwszy nawet okiem odparł Iwan Fedorowicz.

— Pan na serjo? — przyjrzał mu się bacznie Miusow.

— Gdyby wszystko stało się Kościołem, to Kościół poprostu wyrugowałby przestępcę i nieposłusznego wyznawcę, ale nie odrąbywał głów — kontynuował Iwan Fedorowicz. — Niechże mi pan powie, gdzieby się podział ekskomunikowany? Musiałby przecież oddalić się nietylko od ludzi, jak obecnie, ale i od Chrystusa. Wszak występkiem swoim targnąłby się nietylko na ludzi, lecz i na Kościół Chrystusowy. Naturalnie, ściśle rzecz biorąc, i teraz jest to samo, ale niedość wyraźnie określone, to też sumienie dzisiejszego przestępcy często bardzo wchodzi ze sobą w ugodę: „Ukradłem, a jakże, ale z Kościołem nie zadarłem i nie wróg jestem Chrystusowi" — tak sobie perswaduje często dzisiejszy przestępca. No, a w czasach, kiedy Kościół zastąpi państwo, trudno mu to będzie powiedzieć, chyba że zechce negować powszechny na całej ziemi Kościół: Wszyscy więc mylą się, wszyscy obłąkali się, to fałszywy Kościół, tylko ja morderca i złodziej jestem sprawiedliwym Kościołem chrześcijańskim". Trudno jednak tak sobie powiedzieć, wymaga to szczególnych, niezwykłych warunków, okoliczności nader rzadkich. Teraz z drugiej strony proszę przyjrzeć się stosunkowi Kościoła do przestępstwa: czy może on zostać taki sam, jak dziś, gdy jest niemal pogański; czy z mechanicznego odrąbywania zakażonego członka, jak to się obecnie praktykuje gwoli bezpieczeństwa powszechnego, nie zmieni się, całkowicie i prawdziwie, w ideę ponownego odrodzenia człowieka, wskrzeszenia go i uratowania...

— Cóż to ma znaczyć? Znowu przestaję rozumieć — przerwał Miusow — znowu jakieś mrzonki. Coś bezkształtnego i zresztą nie można tego zupełnie zrozumieć. Jak to ekskomunikować, cóż to za ekskomunikowanie? Podejrzewam pana, że pan z nas poprostu pokpiwa sobie, Iwanie Fedorowiczu.

— Przecież w rzeczywistości to i teraz jest nie inaczej — odezwał się nagle starzec, przyczem wszyscy się ku niemu obrócili — przecież gdyby nie było teraz Kościoła Chrystusowego, to przestępca nie miałby żadnych hamulców i bodaj żadnej kary, bo chybaż nie można uważać za prawdziwą karę ową mechaniczną, jak to Iwan Fedorowicz objaśnił, która w większości wypadków jątrzy tylko serce. Prawdziwą bowiem karą, jedynie rzeczywistą, jedynie zastraszającą i skuteczną jest ta, którą zbrodzień sam sobie wymierza w głębi własnego sumienia.

— Pozwólcie, pozwólcie, ojcze, jakże to tak? — z najwyższem zaciekawieniem zapytał Miusow.

— Zgodzi się pan przecież — zaczął starzec — iż wszystkie one katorgi, no i dawniejsza chłosta nikogo nie poprawiają, a, rzecz najważniejsza, nikogo nie potrafią zastraszyć; ilość zbrodni nietylko się wcale nie zmniejsza, ale owszem z biegiem czasu coraz bardziej narasta. Wszak musi pan to przyznać. Z tego wynika, że społeczeństwo nie ma żadnej ochrony, bo na miejscu jednego mechanicznie odrąbanego lub wydalonego na skraj świata szkodliwego członka natychmiast powstaje drugi, niemniej występny, a może nawet i dwa naraz. Jeżeli jest jakaś ochrona dla społeczeństwa nawet w naszych czasach, jeżeli nawet samego przestępcę zmienia, nawraca i odradza, to czemże ona jest, jak nie zakonem Chrystusowym, objawiającym się w głosie własnego sumienia. Dopiero gdy przestępca uświadamia sobie swoją winę jako syn społeczności Chrystusowej, to znaczy Kościoła, dopiero wtedy rozumie również winę swoją wobec samej społeczności, to znaczy wobec Kościoła. Oto czemu współczesny zbrodniarz może uświadomić sobie winę swoją jedynie wobec Kościoła, a nie, jak się naogół myśli, wobec państwa. I gdyby wobec tego społeczność w postaci Kościoła miała prawo sądu, to przecież ona sama wiedziałaby najle-

piej, komu przebaczyć, kogo na nowo przyjąć do siebie. Obecnie zaś Kościół, nie rozporządzając żadnym wykonawczym sądem, mając tylko możność moralnego potępiania, sam się od czynnego karania złoczyńców uchyla. Nie ekskomunikuje go, i tylko daje mu ojcowskie napomnienia. Co mówię, szczególnie nawet zabiega o to, ażeby zachować z przestępcą wszystką chrześcijańską kościelną spójnię: dopuszcza go do nabożeństw, do św. darów, jałmużną go wspiera i obchodzi się z nim raczej jako z nieszczęśliwym niż złoczyńcą. I cóżby się z przestępcą stało, o, Panie! gdyby i społeczność chrześcijańska, to znaczy Kościół od siebie go odtrącił, podobnie jak odtrąca go i odkrawa prawo cywilne? Cóżby się z nim stało, gdyby i Kościół karał go ekskomuniką wraz ze skazującym wyrokiem państwowym? Niepodobna wymyślić gorszej rozpaczy, przynajmniej dla rosyjskiego przestępcy, albowiem rosyjscy przestępcy zachowali jeszcze wiarę. Zresztą, kto wie: może stałaby się wówczas rzecz straszna: zrozpaczone serce zbrodniarza straciłoby wiarę, a wtedy co? Wszelako Kościół, jako macierz czuła i miłująca, sama się od kary czynnej uchyla, albowiem i bez tego złoczyńca srogo jest karan wyrokiem sądów państwowych, a niemasz innego, ktoby go pociechą poił. I nadewszystko przez to się uchyla, że sąd kościelny jest jedynym sądem, prawdę posiadającym, a więc z żadnym innym sądem nie może wchodzić w bodaj nawet tymczasową ugodę. Tu są niemożliwe żadne układy i frymarki. W innych krajach przestępca, jak powiadają, rzadko odczuwa skruchę, albowiem najnowsze nawet teorje utwierdzają go w przekonaniu, iż występek jego wcale występkiem nie jest, lecz protestem słusznym przeciwko ciemiężącej go niesprawiedliwie przemocy. Społeczeństwo odkrawa go od siebie całkiem mechanicznie przemożną nad nim potęgą, a czyni to w dodatku z nienawiścią (tak przynajmniej oni sami tam o sobie w Europie rozpowiadają) — z nienawiścią i z najzupełniejszem zapomnieniem i obojętością względem dalszych losów swego nieszczęsnego brata. W ten sposób wszystko to odbywa się bez najsłabszego politowania ze strony Kościoła, bo i w wielu wypadkach i Kościoła niema tam wcale, bo ostali się tam jeno urzędnicy kościelni i wspaniałe przybytki,

bo Kościół tamtejszy dąży do przejścia z niższego rodzaju, a więc Kościoła, w wyższy — mianowicie państwo, aby się w niem zczasem całkiem roztopił. Tak, zdaje się, rzecz się ma w krajach luterańskich. W Rzymie zasię i tak już od lat tysiąca zamiast Kościoła ustanowione jest państwo. A przeto i sam złoczyńca nie uznaje się za członka Kościoła i wydalony w desperacji żyje. Jeśli zaś wraca do społeczeństwa, to niekiedy z taką nienawiścią, jakby już samo społeczeństwo poczynało się rozszczepiać. Czem to się skończy, snadnie przewidzieć możecie. W wielu wypadkach wydaje się, że i u nas zdarza się to samo: ale właśnie o to chodzi, że u nas, okrom ustanowionych sądów, istnieje jeszcze nadto Kościół, który nigdy nie traci łączności z przestępcą, jako z miłym i nadal jeszcze drogim synem swoim; poza tem uchował się i istnieje sąd kościelny, lubo teraz nie czynny, przecież trwający gwoli przyszłości, choćby nawet w marzeniu, i niezawodnie wyczuty i uznany przez samego złoczyńcę instynktem duszy jego. Słuszne jest i to również, co już raz rzeczono, że gdyby w rzeczywistości zaistniał sąd kościelny w całej swej pełni, to znaczy gdyby wszystka społeczność ludzka w Kościółby się żywy obróciła, to niechybnie nietylko sąd kościelny odziaływałby umoralniająco na złoczyńcę w takim stopniu, w jakim dziś w żadnym razie oddziaływać nie może, ale i, być może, naprawdę i liczba przestępstw zmniejszyła się ogromnie. Kościół, co nie ulega wątpliwości, rozumiałby przyszłego przestępcę i przyszły występek w wielu wypadkach zupełnie inaczej jak dzisiaj, i potrafiłby przywrócić wyłączonego, zawczasu odwrócić nieszczęście i odrodzić upadłego. Prawda — uśmiechnął się starzec — teraz społeczność chrześcijańska i sama jeszcze nie sposobna i siedmiu sprawiedliwymi stoi; ale że oni trwają, więc i ona nie uszczupla się, trwa niezachwiana w oczekiwaniu swojej pełnej przemiany ze społeczeństwa jako związku nieledwie pogańskiego w jedyny, ekumeniczny i panujący Kościół. Co się spełni, spełni! choćby u kresu wieków, albowiem jedno owo spełnić się może! I ninacz się frasować o czasy i terminy, albowiem tajemnica czasów w mądrości Bożej, w przewidywaniu Jego i w miłości Jego. Co na rozum ludzki bar-

dzo być może dalekie, to z wyroku Bożego może już stoi za drzwiami w przededniu wkroczenia. Co się spełni, spełni!

— Co się spełni, spełni! — surowo i z pobożną pokorą potwierdził ojciec Paisy.

— Dziwne, nad wyraz dziwne! — odezwał się Miusow, nie tyle zapalczywie, ile z jakiemś zatajonem oburzeniem.

— Co się panu wydaje tak dziwnem? — zapytał ostrożnie ojciec Józef.

— Cóżto jest takiego doprawdy? — zawołał Miusow, jakby naraz zrywając tamy — usuwa się na ziemi państwa i Kościół podnosi się do godności państwa! To już nie ultramontanizm, to jakiś arcyultramontanizm? Coś takiego nie śniło się nawet papieżowi Grzegorzowi Siódmemu!

— Raczył pan naopak rozumieć! — odrzekł surowo ojciec Paisy. — Nie Kościół przemienia się w państwo, niechże pan to wreszcie pojmie. To właśnie jest Rzym i jego marzenie. To właśnie trzecie czarcie kuszenie! Odwrotnie, państwo przeobraża się w Kościół, wznosi się ku Kościołowi i staje się na całej ziemi powszechnym Kościołem — chybaż to przeciwieństwem jest i ultramontanizmu, i Rzymu, i rozumienia pana, bo to jest wielkie prawosławia przeznaczenie na ziemi. Od Wschodu ziemia się rozświetli.

Miusow znacząco milczał. Cała jego postać wyrażała rozrosłe poczucie własnej godności. Uśmiech pełen pobłażania wykrzywił mu usta. Aljosza przysłuchiwał się rozmowie z łomoczącem sercem. Był do głębi wzruszony. Przypadkowo zerknął na Rakitina; ów stał nieruchomo wciąż na tem samem miejscu pode drzwiami i uważnie słuchał i przyglądał się wszystkiemu, choć oczy miał spuszczone. Lecz z żywych wypieków na policzkach Aljosza zmiarkował, że przyjaciel jest niemniej od niego wzburzony. Aljosza domyślał się powodu.

— Pozwólcie mi powiedzieć maleńką anegdotkę, moi panowie — odezwał się nagle Miusow z miną szczególnie jakoś partesową i pewną siebie. — W Paryżu już kilka lat temu wkrótce po grudniowym przewrocie wypadło mi któregoś razu na wizycie u pewnego bardzo a bardzo wysokiego podówczas dygnitarza, a mego dobrego znajomego,

spotkać niezmiernie ciekawego jegomościa. Był to, nie powiem ajent tajny, ale coś w rodzaju szefa całej komendy szpiegów politycznych—a więc w swoim rodzaju wpływowa osobistość. Korzystając ze sposobności na dobrą sprawę pociągnąłem go z wielkiej ciekawości za język, a że znalazł się tu nie jako znajomy pana domu, lecz jako podwładny urzędnik, który przyszedł był z pewnego rodzaju raportem, więc widząc, w jakiej jestem zażyłości z jego zwierzchnikiem, uraczył mnie szczerością — no, oczywiście, do pewnego stopnia, to znaczy był raczej uprzejmy niż szczery, a trzeba znać tę uprzejmość francuską, zwłaszcza w stosunkach z cudzoziemcami. W każdym razie mogłem sobie wiele rzeczy dopowiedzieć. Mówiliśmy o socjalistach, rewolucjonistach, których wówczas policja prześladowała. Pomijając milczeniem główny temat naszej rozmowy, przytoczę tylko nader ciekawą uwagę, która się naraz wyrwała temu jegomości: „właściwie mówiąc" rzekł „niebardzo się lękamy tych wszystkich socjalistów, anarchistów, ateistów i rewolucjonistów — mamy ich na oku, i znamy wszystkie ich fortele. Ale jest śród nich niewielka coprawda garstka osobliwych przewrotowców, to są ci, którzy w Boga wierzą, wyznają chrystjanizm, a jednocześnie socjalizm. Tych to właśnie najbardziej się lękamy, to straszliwa grupa! Socjalista chrześcijanin jest groźniejszy od socjalisty bezwyznaniowca!" Słowa te bardzo mnie wówczas zastanowiły, ale teraz u was, panowie, jakoś w pamięci stanęły...

— To znaczy stosuje je pan do nas i nas uważa za socjalistów? — zapytał bez ogródki ojciec Paisy.

Lecz zanim Piotr Aleksandrowicz zdążył sobie ułożyć odpowiedź, drzwi otworzyły się i wszedł z tak wielkiem opóźnieniem Dymitr Fedorowicz. Jakoż zupełnie o nim zapomniano, to też w pierwszej chwili nagłe jego przyjście poniekąd wywołało nawet powszechne zdziwienie.

VI.

I pocóż-to żyje taki człowiek!

Dymitr Fedorowicz, dwudziesto-ośmioletni mężczyzna, średniego wzrostu o sympatycznej twarzy wydawał się zna-

cznie starszym nad swój wiek. Muskularna jego budowa zdawała się znamionować wielką siłę fizyczną, ale zato na twarzy był jakiś wyraz chorobliwy. Szczupła, o wpadnię tych policzkach mieniła się niezdrową żółkliną. Dosyć duże, ciemne i cokolwiek wypukłe oczy spoglądały z twardą ale przytem nieokreśloną krnąbrnością. Nawet w chwilach gdy najbardziej się gorączkował i perorował z alteracją, spojrzenie jego nie zestrajało się bynajmniej z wewnętrznym nastrojem i wyrażało coś zgoła innego, czasem nawet jakieś uczucie rażąco skłócone z bieżącemi okolicznościami. „Trudno poznać, o czem on myśli" — mawiali nieraz jego rozmówcy. Inni znowu, dopatrywajacy się w jego oczach posępnej zadumy, baranieli na dźwięk jego nagłego śmiechu. Śmiech jego świadczył bowiem, że wesołe i frywolne myśli zaprzątały jego umysł właśnie w chwili, kiedy spoglądał tak ponuro zpodełba.

Zresztą chorobliwy do pewnego stopnia wyraz twarzy tłumaczył się obecnie zupełnie naturalnie: wszyscy wiedzieli albo słyszeli o nieprawdopodobnie burzliwem i „hulaszczem" życiu, jakie w czasach ostatnich wiódł w naszem miasteczku; podobnie wiadomo było, że zatarg z ojcem o sporne pieniądze doprowadzał go do ostatnich granic rozdrażnienia. Krążyły nawet na ten temat przeróżne anegdotki. Coprawda, od dziecka był już gorąco kąpany, „umysłu porywczego i nieprawidłowego" jak określił go nasz sędzia pokoju Semion Iwanowicz Kaczalnikow na pewnem zebraniu towarzyskiem. Wszedł więc do celi ubrany nader elegancko i bez zarzutu, w zapiętym tużurku, w czarnych rękawiczkach i z cylindrem w ręku. Jako były oficer odniedawna w rezerwie zapuszczał wąsy i golił brodę. Jego ciemno blond włosy były krótko ostrzyżone i zaczesane jakoś specjalnie na skroniach. Poruszał się stanowczo, swobodnie, po żołniersku. Przez chwilę stał na progu zaczem, obrzuciwszy obecnych przelotnem spojrzeniem, podszedł ku starcowi, w którym domyślił się gospodarza. Ukłonił mu się głęboko i poprosił o błogosławieństwo. Starzec podniósł sie i pobłogosławił go. Dymitr Fedorowicz, z czcią ucałowawszy jego rękę, odezwał się z niezwykłem wzburzeniem, nieledwie z gniewem:

— Raczcie mi, ojcze, wybaczyć, że tak długo dałem na siebie czekać. Ale służący Smerdjakow, wysłany przez tatkę, na moje energiczne zapytanie odpowiedział dwukrotnie najbardziej stanowczym tonem, że spotkanie wyznaczono na godzinę pierwszą. Teraz nagle dowiaduję się, że...

— Niech się pan nie przejmuje — przerwał mu starzec — nie szkodzi, trochę się pan spóźnił, to drobnostka...

— Jestem wdzięczny nad wyraz za pobłażliwość, której zresztą spodziewać się mogłem, ojcze, po waszej dobroci.

Co rzekłszy dobitnym głosem, Dymitr Fedorowicz jeszcze raz się ukłonił, następnie odwrócił się nagle ku swemu „tatce", złożył mu równie głęboki i pełen uszanowania ukłon. Widać było, że zawczasu obmyślił ten ukłon z całą szczerością, mając sobie za powinność okazać ojcu szacunek i swoją dobrą wolę. Fedor Pawłowicz zrazu stropił się zaskoczony, ale wnet znalazł się po swojemu. W odpowiedzi na gest Dymitra Fedorowicza, skoczył na równe nogi i odmierzył synowi taki sam głęboki ukłon. Twarz jego nagle spoważniała i nastroszyła się, co dodało mu szczególnie złego wyrazu. Dymitr Fedorowicz, nic nie mówiąc, ogólnym ukłonem przywitał obecnych, rozkraczonym, stanowczym krokiem podążył ku oknu i usiadł na jedynem wolnem krześle, obok ojca Paisego. Podając się naprzód, sposobił się do słuchania dalszego ciągu chwilowo przerwanej rozmowy.

Incydent ten trwał nie dłużej jak dwie minuty, to też rozmowa nie mogła się urwać ostatecznie. Ale tym razem, na stanowcze i prawie zagniewane pytanie ojca Paisego, Piotr Aleksandrowicz nie raczył dać odpowiedzi.

— Pozwolicie państwo, że uchylę się od odpowiedzi — rzekł z jakąś światową niedbałością. — Temat jest zresztą za mądry. Oto Iwan Fedorowicz uśmiecha się, widać, że ma znowu co ciekawego do powiedzenia. Jego więc spytajcie.

— Nic szczególnego nie mam do powiedzenia, tylko chciałem uczynić drobną uwagę — odrzekł natychmiast Iwan Fedorowicz. — Uważam tedy, że europejski liberalizm wogóle i nawet rosyjski liberalny dyletantyzm często i oddawna już miesza ostateczne osiągnięcia socjalizmu z chrześcijaństwem. Dziki ten wywód oczywiście jest bardzo charakte-

rystycznym rysem. Zresztą okazuje się teraz, że nietylko liberałowie i dyletanci mieszają socjalizm z chrześcijaństwem, ale w niektórych wypadkach żandarmi, nie nasi rozumie się, zagraniczni. Paryska anegdotka pana, Piotrze Aleksandrowiczu, jest bardzo znamienna.

— Jeszcze raz pozwolę sobie pominąć milczeniem ten temat — powtórzył Piotr Aleksandrowicz — a zamiast tego opowiem wam, panowie, drugą anegdotę o samym Iwanie Fedorowiczu, ogromnie ciekawą i znamienną. Dopiero jakie pięć dni temu w pewnem tutejszem towarzystwie, składającem się przeważnie z dam, Iwan Fedorowicz w toku dyskusji oznajmił uroczyście, że niema stanowczo na świecie nic takiego, coby zniewalało ludzi do kochania bliźnich, że wogóle niema takiego prawa natury, żeby człowiek kochał ludzkość, i że jeżeli jest i była dotychczas jaka miłość na ziemi, to nie wskutek prawa natury, lecz jedynie dzięki temu, że ludzie wierzyli w nieśmiertelność swej duszy. Iwan Fedorowicz dodał przytem w nawiasach, że na tem właśnie polega prawo natury, że wystarczy, co za tem idzie, pozbawić ludzkość wiary w nieśmiertelność, aby natychmiast wyginęła miłość i nawet więcej—wszelka siła żywotna, zniewalająca do przedłużania życia światów. To nie wszystko: wówczas nic już nie będzie niemoralne, wszystko będzie dozwolone, nawet ludożerstwo. I nie poprzestając na tem wszystkiem, orzekł Iwan Fedorowicz na zakończenie, że dla każdego uczciwego człowieka, jak my naprzykład, który nie wierzy ani w Boga ani w nieśmiertelność duszy, prawo moralne powinno się natychmiast stać przeciwieństwem poprzedniego religijnego prawa, że zatem egoizm, posunięty do zbrodni, powinien być nietylko dozwolony człowiekowi, ale i uznany za niezbędne, najrozsądniejsze i omal nie najszlachetniejsze wyjście z jego sytuacji. Z tego poglądu możecie wnosić, panowie, o wszystkiem, co raczył i co zamierza jeszcze oznajmić nasz sympatyczny ekscentryk i paradoksalista, Iwan Fedorowicz.

— Pozwoli pan — krzyknął nagle Dymitr Fedorowicz — jeżeli dobrze słyszałem, to „zbrodnia powinna być nietylko dozwolona, ale i uznana za najbardziej konieczne

i najrozsądniejsze wyjście z sytuacji każdego niewierzącego!" Tak czy nie?

— Tak jest — odpowiedział ojciec Paisy.

— Zapamiętam to sobie.

Co rzekłszy, Dymitr Fedorowicz umilkł równie raptownie, jak się był wyrwał. Wszyscy obejrzeli go ze zdziwieniem.

— Azaliż w istocie wierzy pan, że unicestwienie wiary w nieśmiertelność duszy pociąga za sobą takie skutki? — zapytał nagle starzec Iwana Fedorowicza.

— Tak, rzeczywiście to mówiłem. Niema cnoty, gdy niema nieśmiertelności.

— Błogosławiony jesteś, kiedy tak wierzysz, albo bardzo już nieszczęśliwy!

— Dlaczego nieszczęśliwy? — uśmiechnął się Iwan Fedorowicz.

— Albowiem według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wierzy pan ani w nieśmiertelność swej duszy, ani nawet w to, coś napisał o Kościele i o sprawie kościelnej.

— Może nie mylisz się, ojcze!... Jednakże niezupełnie żartowałem... — przyznał się naraz dziwnie Iwan Fedorowicz, oblewając się przelotnym rumieńcem.

— Niezupełnie żartowałeś, to prawda. Idea ta nie jest jeszcze rozstrzygnięta w sercu pana i męczy je. Aliści czasem nawet męczennik lubi poigrać swoją rozpaczą też jakgdyby z rozpaczy. Chwilowo zabawia się pan z rozpaczy artykułami dziennikarskiemi i dyskusjami w salonach, sam nie wierząc w swoją dialektykę, uśmiechając się nad nią do siebie z bólem serca... W panu kwestja ta nie jest rozstrzygnięta, i to właśnie stanowi wielką mękę pana, albowiem usilnie domaga się rozstrzygnięcia...

— A czy może być we mnie rozstrzygnięta? Rozstrzygnięta twierdząco? — znowu zapytał dziwnie Iwan Fedorowicz, spoglądając na starca z jakimś niewyjaśnionym uśmiechem.

— Jeżeli nie może rozstrzygnąć się w sensie twierdzącym, to nigdy też nie rozstrzygnie się w przeczącym; sam pan zna właściwość swego serca; i to pana najbardziej dręczy. Wszakże dziękuj Stwórcy, że dał ci serce wzniosłe,

zdolne do takich cierpień, że pozwolił „wzniośle rozumować i szukać wzniosłości, nasze bo siedlisko na niebiesiech jest". Oby Bóg dał, aby rozstrzygnięcie serca twego zastało cię jeszcze na ziemi, oby Bóg błogosławił drogi twoje!

Starzec podniósł rękę i zamierzał ze swego miejsca przeżegnać Iwana Fedorowicza. Lecz ów porwał się nagle, podszedł do starca, przyjął błogosławieństwo i, ucałowawszy jego rękę, wrócił w milczeniu na swoje miejsce. Był poważny i stanowczy. Postępek ten jak i zresztą poprzednia jego rozmowa ze starcem była dla obecnych taką niespodzianką, i tak działał swoją zagadkowością i nawet niejaką solennością, że wszyscy na chwilę umilkli, a na twarzy Aljoszy odmalował się nieledwie przestrach. Lecz naraz Miusow wzruszył ramionami, i w tejże chwili Fedor Pawłowicz zerwał się na nogi.

— Boży i najświętszy starcze! — zawołał, wskazując na Iwana Fedorowicza. — Mój to syn, kość z kości mojej, najkochańsza latorośl moja! To mój najzacniejszy, że tak powiem, Karol Moor, a ot tamten, co usiadł przed chwilą, Dymitr Fedorowicz, przeciw któremu szukam waszego wstawiennictwa — ten-ci jest najnieposłuszniejszy Franc Moor — obaj ze „Zbójców" Szyllera. Ja zaś, ja sam wobec tego jestem regierender graf von Moor! Osądź nas i ratuj! Łakniemy nietylko modlitwy waszej ale i proroctwa.

— Proszę, zechciej pan mówić bez błazeństw i nie zaczynaj od obrażania synów swoich — odrzekł starzec słabym, wymęczonym głosem. Widocznie coraz bardziej słabł i tracił siły.

— Niegodziwa komedja, przeczuwałem to, idąc tutaj! — zawołał Dymitr Fedorowicz z oburzeniem, również podniósłszy się z krzesła. — Wybacz, przewielebny ojcze — zwrócił się do starca — jestem człowiekiem niewykształconym i nie wiem nawet, jak się do was zwracać, ale oszukano was, ojcze, byliście zbyt dobrzy, przystając na ten zjazd. Tatce trzeba jedynie wyprawiać skandale, a w jakim celu, to już jego wyrachowanie. On zawsze ma swoje wyrachowanie. Ale zdaje się, że teraz wiem już poco...

— Oskarżają mnie wszyscy, wszyscy oni! — krzyknął zkolei Fedor Pawłowicz — nawet Piotr Aleksandrowicz

oskarża mnie. Oskarżał pan, Piotrze Aleksandrowiczu, oskarżałeś! — obrócił się naraz do Miusowa, chociaż ten ani myślał zaprzeczać. — Oskarżają o to, że pieniądze dzieci przywłaszczyłem sobie, żem je capu łapu za cholewy schował; ale pozwólcie, moi państwo, od tego są przecież sądy! Tam wam wyliczę, Dymitrze Fedorowiczu, co do gronia na podstawie waszych pokwitowań, listów i umów, ileście posiadali, ile roztrwonili, a ile zostało! Czemu to Piotr Aleksandrowicz uchyla się od orzeczenia. Dymitr Fedorowicz jest jego krewniakiem. I czemuż to wszyscy są przeciwko mnie, skoro Dymitr Fedorowicz jest mi jeszcze winien, a jakże, i to nie drobiazg jaki, lecz kilka tysięcy, co mogę dokumentami zaświadczyć! Wszak i miasto nasze trzęsie się i grzmi od jego pohulanek! A tam, gdzie dawniej kwaterował załogą, tam to nawet po tysiączce i po dwie tysiączki płacił odszkodowania za uwodzenie uczciwych dziewic; znamy to, Dymitrze Fedorowiczu, znamy w najbardziej sekretnych szczegółikach, i dowiodę tego łacno... Najświętszy ojcze, czy da ojciec wiarę: rozkochał w sobie najszlachetniejszą z dziewic, pannę z dobrego domu, posażną córkę dawnego swego zwierzchnika, chwackiego pułkownika, wielce zasłużonego z Anną z mieczami na szyi, skompromitował pannę, bo był z nią po słowie; teraz ona tu przyjechała, sierotka, jego narzeczona, a on pod jej nosem rozjurzył się do jednej tutejszej kusicielki. I chociaż kusicielka ta żyła, że tak powiem, w ślubie cywilnym z pewnym zacnym urzędnikiem, ale charakter ma niezależny, twierdza że tak rzeknę nieprzystępna, to samo co ślubna żona, bo cnotliwa — tak jest! ojcowie święci — cnotliwa jest ta białogłowa! Zaś Dymitr Fedorowicz chce fortecę oną złotym kluczem otworzyć i dlatego właśnie dziś wobec ojca się buńczuczy, wark ma na pieniążki ojcowskie, a tymczasem ileż to ciężkich tysiączek na kusicielkę przepuścił; to też i długi robi i, powiedzcie panowie, kogo na pożyczki naciąga, jak wam się zdaje? Mitia, mam powiedzieć!

— Milczeć! — krzyknął Dymitr Fedorowicz — poczekaj aż ja wyjdę, lecz w mojej obecności nie ważyć mi się kalać najszlachetniejszej dziewuszki... Niemała dla niej hańba, żeście imię jej wymienili... Nie pozwolę!

Zabrakło mu tchu.

— Mitia! Mitia! — wyciskając z siebie łzy, zawołał Fedor Pawłowicz rozsłabionym histerycznie głosem — to już za nic masz błogosławieństwo ojcowskie? A jak przeklnę, to co?

— Bezwstydny komedjant! — ryknął wściekle Dymitr Fedorowicz.

— To on na ojca własnego, na ojca! To jakże obcy? Panowie, wyobraźcie sobie: mieszka tu biedny, lecz zacny człeczyna, były kapitan, noga mu się powinęła, dostał dymisję, ale nie jawnie, nie sądownie, wyszedł z honorem, nieszczęsny człowiek, obarczony liczną rodziną. A trzy tygodnie temu nasz Dymitr Fedorowicz w traktjerni chwycił go za brodę, wyciągnął za tę samą brodę na środek ulicy i tuż mu wszem wobec skórę wyłoił. A za co, moi panowie? Za to, że ów kapitan pośredniczył w pewnej mojej sprawie.

— Kłamstwo! Zewnętrznie prawdziwe, ale wewnętrznie kłamstwo! — drżąc z gniewu, zawołał Dymitr Fedorowicz. — Ojcze! Ja swego postępowania nie wybielam; tak, wyznaję to wobec wszystkich: postąpiłem z tym kapitanem jak istny zwierz, i teraz żałuję i sobą się brzydzę za zwierzęcą swą wściekłość, ale ten wasz kapitan, wasz faktor, poszedł właśnie do owej pani, którą przezwaliście kusicielką i w waszem imieniu dał jej moje weksle, które były w waszem posiadaniu, aby mnie do sądu zaskarżyła, gdy będę upominał się o spadek po matce! Teraz zarzucacie mi, że podoba mi się ta pani, a wyżeście sami namawiali, aby mnie przywabiła! Przecież ona to sama opowiada; mnie opowiadała, śmiejąc się z ojca! I chcieliście wsadzić mnie do więzienia, ponieważ jesteście zazdrośni, ponieważ samiście się palili do niej, nie dawaliście jej spokoju, a ja wiem o tem dobrze, bo ona, śmiejąc się z was, sama mi to opowiadała. Macie oto, ojcowie świątobliwi, tego człowieka, tego ojca, który zawstydza rozpustnego syna! Panowie świadkowie, wybaczcie mi moje uniesienie, ale przeczuwałem wszak, że przecherny ten staruch zwołał nas tu wszystkich, aby urządzić skandal. Przyszedłem, żeby przebaczyć, o ileby wyciągnął rękę do zgody, przebaczyć i o przebaczenie prosić! Ale że obraził w tej chwili nietylko mnie, lecz

i najszlachetniejszą pannę, której imienia nie śmiem wymówić nadaremnie, taką czcią ją otaczam, więc postanowiłem publicznie odsłonić całą jego grę, pomimo że jest mi ojcem...

Nie mógł dłużej mówić. Oczy mu błyszczały, oddech dobywał się ze świstem. Wszyscy zresztą byli wzburzeni. Nikt już prócz starca nie siedział. Obaj ojcowie nasrożyli się, wszakże czekali, jak się starzec zachowa. Ten zaś był wyjątkowo blady, ale nie ze wzruszenia, lecz z ostatecznego osłabienia. Błagalny uśmiech drżał koło warg; chwilami podnosił rękę, jakby chciał pohamować opętanych; jeden jego gest byłby niezawodnie przerwał tę burzliwą scenę. Aliści on sam jakgdyby bacznie się przyglądał, chcąc coś jeszcze zrozumieć, jakgdyby jeszcze sobie czegoś nie wyklarował. Nakoniec Piotr Aleksandrowicz, który poczuł się ostatecznie poniżony i shańbiony, odezwał się namiętnie:

— Wszyscyśmy winni, że doszło do tego skandalu! Lecz nie mogłem przeczuć, idąc tu, chociaż wiedziałem dobrze, z kim mam do czynienia... Trzeba temu natychmiast kres położyć! Wielebny ojcze, zechciej wierzyć mi, żem nie znał dokładnie wszystkich ujawnionych tu szczegółów, nie chciałem im dać wiary, i dopiero teraz po raz pierwszy dowiaduję się... Ojciec rywalizuje z synem o względy kobiety lekkich obyczajów, i knuje z tą kreaturą intrygi, aby syna do więzienia wsadzić... I w takiej to kompanji zmuszono mnie tu przyjść... Jestem oszukany, oświadczam wobec wszystkich, że jestem oszukany niemniej od innych...

— Dymitrze Fedorowiczu! — wrzasnął nagle jakimś nieswoim głosem Fedor Pawłowicz — gdybyś nie był moim synem, w tejże sekundzie wyzwałbym cię na pojedynek... na pistolety, odległość trzy kroki... przez chusteczkę, przez chusteczkę! — zakończył, tupiąc nogami.

Są chwile w życiu starych łgarzy, którzy całe życie odgrywali kabotyńską komedję, kiedy tak się zaczynają zgrywać, iż w istocie drżą i płaczą ze wzruszenia, jakkolwiek w tym samym czasie (albo sekundę później) mogliby szepnąć do siebie: „wszak łżesz, stary bezwstydniku, komedjantem jesteś i teraz nawet pomimo swego „świętego" gniewu, i „świętej" minuty oburzenia".

Dymitr Fedorowicz straszliwie się zachmurzył i z niezmierną pogardą spojrzał na ojca.

— Myślałem, myślałem — rzekł jakoś cicho i powściągliwie — że przyjadę do ojczyzny z aniołem duszy swej, ze swą narzeczoną, aby pielęgnować i osładzać jego starość... I cóżem zastał? Wyuzdanego rozpustnika i najpodlejszego komedjanta!

— Na pojedynek! — wrzasnął ponownie starowina, dusząc się i bryzgając śliną na wszystkie strony. — A pan, Piotrze Aleksandrowiczu Miusow, wiedz, mosterdzieju, że w całej rodzinie twojej być może niema i nie było wyższej i uczciwszej — słyszysz pan, uczciwszej kobiety od tej kreatury, jak ją ośmieliłeś się przezwać przed chwilą! A ty, Dymitrze Fedorowiczu, na tę kreaturę swoją narzeczoną zamieniłeś, a zatem sameś uznał, że narzeczona twoja podeszwy tamtej niewarta, taka to i kreatura!

— Wstyd! — nie wytrzymał ojciec Józef.

— Wstyd i hańba! — zawołał nagle milczący dotychczas Kałganow młodzieńczym i drżącym ze wzruszenia głosem, oblewając się jednocześnie purpurą.

— I pocóżto żyje taki człowiek! — głucho wyryknął Dymitr Fedorowicz, który nie posiadał się z wściekłości, w szczególny jakiś sposób unosząc ramiona i garbiąc się. — Nie, powiedzcie mi, czy można jeszcze pozwolić mu bezcześcić ziemię swoją osobą — dodał powolnym i miarowym głosem, tocząc wokoło spojrzenie i wskazując ręką na ojca.

— Słyszycie, słyszycie wy, mnichy, ojcobójcę — narzucił się Fedor Pawłowicz na ojca Józefa. — Oto odpowiedź na wasze „wstyd!" Czego wstyd? Ta „kreatura", ta „lekkich obyczajów kobieta" jest może świętsza od was samych, panowie pokutnicy! Ona może w młodości upadła, stoczona przez środowisko, ale „miłowała wiele", a takiej sam Chrystus przebaczył...

— Chrystus nie za taką miłość przebaczył... — odparł zniecierpliwiony poczciwy ojciec Józef.

— Nie za taką, za samotaką, mnichy, za tę właśnie! Wy tu kapustą duszę zbawiacie i kroicie odrazu na sprawiedliwych! A jakże, kiełbikami się żywicie po kiełbiku dziennie i myślicie, że Boga kiełbikami przekupicie!

— To niemożliwe, niemożliwe! — rozległo się ze wszystkich stron.

Lecz cała ta ohydnie nieprzyzwoita scena zakończyła się w zgoła nieoczekiwany sposób. Naraz bowiem podniósł się ze swego miejsca starzec. Aljosza, napół przytomny ze strachu o niego i o wszystkich, zdążył jednak podtrzymać go w porę. Starzec postąpił ku Dymitrowi Fedorowiczowi, zaś podszedłszy doń zupełnie blisko, osunął się na klęczki. Aljosza pomyślał zrazu, że starzec upadł z osłabienia, ale to było zgoła co innego. Stojąc na klęczkach, starzec pokłonił się Dymitrowi Fedorowiczowi do nóg pełnym, wyraźnym, świadomym ukłonem i nawet czołem dotknął ziemi. Aljosza był tak zdumiony, że nie zdążył go wesprzeć, gdy ów zaczął się podnosić. Słaby uśmiech ledwo ledwo błąkał się na jego wargach.

— Darujcie! Darujcie wszyscy! — przemówił, kłaniając się na wszystkie strony obecnym.

Dymitr Fedorowicz postał jeszcze kilka chwil jak rażony piorunem: jemu pokłon do nóg — cóżto takiego? Wreszcie zawołał: „o Boże!" i, zasłoniwszy twarz rękoma, wybiegł z celi. Za nim wybiegli hurmem wszyscy goście, z pomieszania nie żegnając się nawet i nie odpowiadając na ukłon gospodarzowi. Tylko obaj ojcowie podeszli prosić go o błogosławieństwo.

— Cóżto mu do nóg, emblemat to jakowyś? — spróbował niby nawiązać rozmowę Fedor Pawłowicz, który niewiadomo czemu nagle spokorniał. Nie śmiał jednak zwrócić się do nikogo bezpośrednio.

— Ja za dom obłąkanych i za warjatów nie odpowiadam — warknął ze złością Miusow — ale zato uwolnię się od towarzystwa pana, Fedorze Pawłowiczu, i wierzaj mi pan, że na zawsze. Gdzie się podział nasz znajomy braciszek?...

„Znajomy braciszek", który zaprosił ich poprzednio na obiad w imieniu ojca przełożonego, czekał na nich tuż za pustelnią, jakgdyby przestał tu cały czas i nigdzie się nie oddalał.

— Bądźcie łaskawi, czcigodny ojcze, wyrazić ojcu ihumenowi moje najgłębsze poważanie. I proszę wytłuma-

czyć mnie osobiście, Miusowa przed przewielebnym ojcem, że wskutek nieprzewidzianych okoliczności nie mogę w żaden sposób skorzystać z zaszczytnego zaproszenia na obiad, pomimo najgorętszych chęci — odezwał się Piotr Aleksandrowicz z rozdrażnieniem do mnicha.

— Wszak nieprzewidziana okoliczność — to przecież ja jestem! — natychmiast podchwycił Fedor Pawłowicz. — Słyszycie, ojcze, Piotr Aleksandrowicz ze mną nie życzy sobie pozostać, inaczejby napewno zaraz na obiad poszedł. I pójdziesz, Piotrze Aleksandrowiczu, bądź pan łaskaw iść do ojca ihumena i dobrego apetytu życzę! Wiedz, że to ja się uchylam, a nie pan. W domu, w domu, w domu sobie zjem, bo tu czuję się nieswojo, Piotrze Aleksandrowiczu, mój najmilszy krewniaku.

— Nie jestem krewniakiem pana, i nigdy nie byłem, podły człowieku.

— Specjalnie to powiedziałem, aby pana podbechtać ponieważ wyrzekasz się pan pokrewieństwa, ale jakkolwiek pan nosem kręci, jesteś bądź co bądź moim krewnym, mogę panu dowieść w każdej chwili; po ciebie, Iwanie Fedorowiczu, w odpowiednim czasie przyślę konie, zostań i ty, jeśli chcesz. Panu zaś, Piotrze Aleksandrowiczu, chociażby zwykła przyzwoitość nakazuje być u ojca ihumena, trzeba przeprosić za to, cośmy tam z panem nabroili...

— Czy to aby prawda, że odjeżdża pan? Czy to nie znowu podstęp?

— Piotrze Aleksandrowiczu, jakżebym śmiał po tem wszystkiem, co zaszło! Uniosłem się, darujcie panowie, uniosłem się! A poza tem głębokie wstrząśnienie! No i wstyd. Panowie, jedni mają serce jak Aleksander Macedoński, inni jak psina Filuśka. Ja mam jak psina Filuśka. Zdudkował! No, i jakto wy po takiej eskapadzie jeszcze na obiad, sosy monasterskie wyjadać? Wstyd, nie mogę, przepraszam bardzo!

„Djabli go wiedzą, a nuż oszuka i przyjdzie!" zawahał się Piotr Aleksandrowicz, śledząc podejrzliwym wzrokiem oddalającego się komedjanta. Ów zaś obejrzał się i, widząc wlepione w siebie spojrzenie Piotra Aleksandrowicza, posłał mu ręką całusy.

— Pan idzie do ihumena? — zapytał porywczo Miusow Iwana Fedorowicza.

— Czemu nie? Tembardziej, że ojciec ihumen specjalnie jeszcze wczoraj mnie prosił.

— Na nieszczęście, istotnie czuję się w obowiązku pójść na ten przeklęty obiad — podjął wciąż z tą samą podrażnioną goryczą Miusow, nie zważając na to, że słyszy go braciszek. — Chociaż tam przynajmniej trzeba będzie przeprosić za to, cośmy tu narobili, i wyjaśnić, że to nie my właśnie... Jak pan sądzi?

— Tak, trzeba wyjaśnić, że to nie my. A poza tem tatki nie będzie — odpowiedział Iwan Fedorowicz.

— Jeszczeby tego brakowało! Przeklęty ten obiad!

Mimo to szli wszyscy. Braciszek słuchał i milczał. Przez drogę tylko raz jeden zauważył, że ojciec ihumen dawno już czeka i że spóźnili się więcej niż o pół godziny. Nie otrzymał na to żadnej odpowiedzi. Miusow z nienawiścią spojrzał na Iwana Fedorowicza.

„A ten jednak idzie na obiad, jakby nigdy nic!" pomyślał. „Miedziane czoło i sumienie Karamazowów".

VII.

Seminarzysta karjerowicz.

Aljosza doprowadził swego starca do alkowy i posadził go na łóżku. Był to bardzo mały pokoik umeblowany najniezbędniejszemi tylko sprzętami: łóżko było wąskie, żelazne, przykryte wojłokiem zamiast materaca. W kącie pod świętemi obrazami stał pulpit kościelny, na którym leżał krzyż i Nowy Testament. Starzec osunął się bezsilnie na łóżko; oczy mu błyszczały i oddech był ciężki i urywany. Usiadłszy, badawczo wpatrywał się w Aljoszę, jakgdyby coś obmyślał.

— Idź, drogi, idź, Porfiry mi tu wystarczy, a ty pospiesz się. Tam jesteś potrzebny, idź do ojca ihumena i usługuj przy obiedzie.

— Zezwólcie mi tu zostać — odparł błagalnym głosem Aljosza.

— Tam jesteś potrzebniejszy. Tam pokoju niema. Usłużysz, i inaczej się przydasz. Gdy rozpętają się biesy, zmawiaj modlitwę. I wiedz, synku, (starzec lubił go tak nazywać) że nie tutaj jest miejsce twoje w przyszłości. Zapamiętaj to sobie, chłopcze. Skoro tylko spodoba się Bogu powołać mnie do siebie, opuść klasztor. Opuść całkowicie.

Aljosza drgnął.

— Coś ty? Nie tutaj jest twoje miejsce, do czasu przynajmniej. Błogosławię cię na wielkie posłuszeństwo w życiu świeckiem. Czeka cię jeszcze długa tułaczka. I ożenić się trzeba będzie, trzeba będzie. Wszystko będziesz musiał znieść, pokąd nie powrócisz. Zasię pracy będzie poddostatkiem. Chrystus jest z tobą. Zachowaj Go i On ciebie zachowa. Cierpienie wielkie zobaczysz i w cierpieniu tem szczęśliwy będziesz. Oto masz mój testament: w cierpieniu szczęścia szukaj. Zapamiętaj sobie słowa moje, albowiem chociaż będę jeszcze z tobą rozmawiał, przecież nietylko dni ale i godziny moje są policzone.

Twarz Aljoszy znowu drgnęła gwałtownie. Kąciki ust zadygotały.

— Cóż ty znowu? — uśmiechnął się łagodnie starzec. — Niechaj łzy świeckie odprowadzają ich nieboszczyków, lecz my tu radować się będziemy z odejścia ojca. Radować się i modlić za niego. Zostaw mnie więc samego. Trzeba się modlić. Idź do nich, spiesz się. Bądź przy braci swojej. I nie przy jednym, ale przy obydwóch.

Starzec podniósł rękę do błogosławieństwa. Niepodobna było się sprzeciwiać, aczkolwiek Aljosza z całej duszy pragnął zostać. Miał poza tem ochotę zapytać, — pytanie to wprost zrywało mu się z ust — co oznaczał ów czołobitny pokłon przed bratem Dymitrym? Lecz nie ośmielił się zapytać. Wiedział nadto, że starzec samby mu to powiedział bez zapytania, gdyby uważał za stosowne. W każdym razie pokłonów ogromnie poraził Aljoszę; dopatrywał się w nim jakiegoś tajemniczego sensu. Tajemniczego a może nawet i przerażającego. Gdy wyszedł z pustelni, aby zdążyć do obiadu u ihumena (oczywiście, aby tylko usugiwać przy stole) naraz serce jego ścisnęło się tak boleśnie, że był zmuszony przystanąć: w uszach znów rozbrzmiały mu słowa starca,

zapowiadające rychły zgon. Musiało się bezwzględnie spełnić, co starzec zapowiadał, w dodatku z taką wyrazistością. Aljosza wierzył w to święcie. Ale co się z nim stanie, jak tu żyć, nie widząc go i nie słysząc? I dokądże pójść. Płakać zabrania i iść każe z klasztoru, o Panie! Dawno już Aljosza nie przeżywał takiego smutku.

Prędkim krokiem pospieszył przez lasek, oddzielający pustelnię od monasteru, i nie mogąc dłużej znieść swych myśli, do takiego stopnia nękały go, począł rozglądać się po niektórych sosnach, wznoszących się po obu stronach drożyny leśnej. Droga ta była niedługa, zaledwie pięćset kroków, nie więcej; o tej godzinie zwykle była pusta, ale tym razem nagle przy pierwszym zakręcie Aljosza zauważył Rakitina, który zdawał się kogoś oczekiwać.

— Czy na mnie czekasz? — zapytał Aljosza, zrównawszy się z nim.

— Właśnie na ciebie — uśmiechnął się Rakitin. — Do ojca ihumena tak pędzisz. Wiem, obiad wydaje. Od tamtego czasu, jak przyjmował archireja *) z jenerałem Pachatorym, pamiętasz chyba, nie było jeszcze takiego stołu. Ja tam, ma się rozumieć, nie będę, ale ty idź, sosy gościom podawać. Powiedz mi jedno, Aleksy: co ten sen oznacza? O to cię chciałem spytać.

— Jaki sen?

— No niby ten pokłon przed braciszkiem twoim, Dymitrym Fedorowiczem. I jeszcze łbem stuknął!

— Ty o ojcu Zosimie?

— Tak, o ojcu Zosimie.

— Łbem?

— Ba, wyraziłem się bez uszanowania! Niech i tak będzie. Więc ów sen oznacza?

— Nie wiem, Misza, co oznacza.

— Zgóry wiedziałem, że on ci nic nie wyjaśni. Mądrego, ma się rozumieć, niema w tem nic, same, widzi mi się, zwykłe brednie zbożne. Ale sztuczka była dobrze obmyślona. No i dudlić teraz będą wszystkie liziobrazki w mieście i w

---

*) Arcybiskup wschodniego obrządku (przyp. tł.).

gubernji: „Co to niby ów sen oznacza?" Mojem zdaniem, stary ma naprawdę dobry węch: kryminał zwąchał. Bo i cuchnie u was, zakaty.

— Jaki kryminał?

Rakitin chciał widocznie coś więcej powiedzieć.

— W waszej rodzince kryminał. A zajdzie coś takiego między twoimi braćmi a bogatym ojczaszkiem twoim. Dlatego ojciec Zosima i stuknął łbem na wszelki możliwy wypadek. Potem, jak się co zdarzy: „ach, wszak to starzec święty przewidział, naprorokował"—chociaż jakie to proroctwo, że łbem stuknął? Nie, to niby emblemat był, alegorja i djabli wiedzą co! Rozsławią, zapamiętają sobie: niby że przestępstwo przeczuł, zbrodniarza naznaczył. Prostaczkowie boży zawsze tak: na szynk się przeżegna, a w kościół kamieniem ciśnie. Tak ci twój starzec: sprawiedliwego pałką w łeb, a mordercy — pokłon czołobitny.

— Jaka zbrodnia? Jakiemu mordercy! O czem ty? — Aljosza stał jak skamieniały. Rakitin zatrzymał się również.

— Jaki? Niby to sam nie wiesz? Idę o zakład, że tyś sam już o tem myślał. Zresztą to ciekawe: słuchaj, Aljosza, ty zawsze szczerą prawdę mówisz, chociaż przeważnie pomiędzy dwa stołki siadasz: myślałeś o tem, czyś nie myślał, odpowiadajże?

— Myślałem — odrzekł cicho Aljosza. Nawet Rakitin zmieszał się potrosze.

— Co ty? Więc i tyś to pomyślał? — zawołał.

— Ja... ja nie to, że myślałem — wybełkotał Aljosza — ale gdyś zaczął o tem przed chwilą tak dziwnie mówić, zdawało mi się, że i ja to samo myślałem.

— Widzisz (i jakżeś ty to jasno wyraził) widzisz? Dzisiaj, patrząc na ojca i na braciszka Mitię, pomyślałeś o zbrodni? To znaczy, że się nie mylę?

— Ale poczekaj, poczekaj — przerwał mu trwożnie Aljosza — z czego ty to wnioskujesz?... I, przedewszystkiem, cóż to ciebie tak obchodzi?

— To są dwie kwestje odrębne, lecz naturalne. Odpowiem na każdą zosobna. Z czego wnioskuję? Nicbym nie dostrzegł, gdybym dziś Dymitra Fedorowicza, brata twego nie przejrzał całego nawylot, odrazu, w okamgnieniu i cała-

go. Poznałem go, mogę powiedzieć z jednego tylko rysu. Takie wysoce uczciwe, lecz zmysłowe natury mają struny, których lepiej nie przeciągać, bo wówczas to i własnego ojca nożem dźgnie. A ojczulek, łyktus i rozpustnik na całego, nigdy żadnej miary nie znał — nie utrzymają się obadwaj i buch w rynsztok...

— Nie, Misza, nie, jeżeli tylko to, toś mi dodał otuchy. Do tego nie dojdzie.

— A czegóż ty się trzęsiesz cały? Wiesz, co będzie? Co z tego, że on uczciwy, brat twój Mitia (głupi jest ale uczciwy), kiedy lubieżnik. Masz oto jego określenie i całą wewnętrzną istotę. Po ojcu odziedziczył jego podłą lubieżność. To mnie tylko dziwi, Aljosza: jakżeś ty jeszcze niewinny? Wszak i tyś Karamazow! Wszak w waszej rodzinie lubieżność doszła do stanu zapalnego. Tamci trzej lubieżnicy śledzą się teraz nawzajem... z majchrami za cholewą. Stuknęli się trzej łbami, a tyś jest bodaj czwarty.

— Ty się mylisz co do tej kobiety. Dymitr nią... gardzi — dygocząc jakoś rzekł Aljosza.

— Gruszą? Nie, bracie, nie gardzi. Skoro narzeczoną swą porzucił dla niej jawnie, to chybaż nie gardzi. Tu... tu, bracie, jest coś, czego ty teraz nie pojmujesz. Tu człek zakocha się w jakąś krasę, w ciało kobiece, albo nawet tylko w część jakąś ciała kobiecego (to lubieżnik może tylko rozumieć), a wówczas odda za nią własne dzieci, ojca sprzeda i matkę, Rosję i ojczyznę; będąc uczciwym, pójdzie i ukradnie; będąc łagodnym — zarznie; wiernym będąc — zdradzi. Poeta nóżek kobiecych, Puszkin nóżki we wierszach opiewał, inni nie opiewają, lecz bez dreszczu nie potrafią patrzeć na nóżki. Ale nie jedne nóżki. Tu bracie, pogarda nie wystarczy, choćby nawet pogardzał Gruszeńką.

— Ja to pojmuję — wyszepnął nagle Aljosza.

— Niby to? Zapewne, musisz to rozumieć, skoro tak z pierwszego słowa brzdąknąłeś, że pojmujesz — odezwał się ze złośliwą radością Rakitin — tyś to przypadkowo brzdąknął, tobie to się wyrwało. Tem cenniejsze wyznanie; a więc znasz już ten temat, myślałeś już o tem, o lubieżności! Ach ty niewiniątko! Ty Aljosza trusią jesteś, święty, zgoda, ale choć trusią jesteś, lecz djabli wiedzą,

o czemeś już nie myślał, djabli wiedzą, coś już zgłębił! Niewiniątko, a takie głębie już zwiedzał, ja się tobie oddawna już przyglądam. Ty sam Karamazow jesteś, rdzenny Karamazow — coś chyba znaczy rasa i dobór. Z ojca lubieżnik, z matki prostaczek Boży. Czego drżysz? Zali prawdę mówię? Wiesz co: Gruszeńka prosiła mnie „przyprowadź ty mi jego (to znaczy ciebie), ja z niego kapicę zedrę". A jak mnie prosiła: przyprowadź i przyprowadź! Pomyślałem tylko: co ona w tobie widzi ciekawego? Wiesz, to niezwykła kobieta, doprawdy!

— Kłaniaj się ode mnie, powiedz, że nie przyjdę — wykrzywił się w uśmiechu Aljosza. — Dopowiadaj, Michale, coś zaczął, ja ci myśl swoją wyłożę.

— Co tu dopowiadać, wszystko jasne jak na dłoni. Wszystko to, bracie, stara śpiewka. Jeśli ty już masz w sobie lubieżnika, to cóż dopiero brat Iwan, twój rodzony? Wszak i on Karamazow. Na tem cały wasz karamazowski problem polega: lubieżniki, dusigrosze i prostaczkowie! Brat twój Iwan teraz teologiczne artykuliki płodzi, tymczasowo niby i dla żartu, z jakiegoś nieznanego a najgłupszego wyrachowania, chociaż jest ateistą i w podłości swej do tego się przyznaje — ten twój brat Iwan. Oprócz tego odbija braciszkowi Dymitrowi narzeczoną, i zdaje mi się, że cel ten osiągnie. Jakżeż nie ma osiągnąć: za zgodą samego Dymitra, bo ten chce się jej pozbyć i czem prędzej związać się z Gruszeńką. A przecież zwróć na to uwagę, szlachetny jest i bezinteresowny, a jakże! Posłuchaj dalej. Stary włazi teraz Dymitrowi w drogę. Zadurzył się w Gruszeńce do szaleństwa, ślina mu z ust cieknie, gdy na nią spogląda. Przecież to tylko o nią zrobił tam w celi taki skandal, zato, że ją Miusow wszeteczną kreaturą nazwał. Zakochany jak kot. Z początku wyręczał się nią za wynagrodzeniem w jakichś tam podejrzanych, karczemnych interesach, ale nagle się połapał, spostrzegł się i wściekł, wciąż jej się propozycjami naprzykrza, ma się rozumieć niebardzo czyste są te jego propozycje. No i stukną się oni, ojczulek z synalkiem, na tej drożynie. A Gruszeńka ani w tę ani w drugą stronę, jeszcze wciąż kręci, rozgląda się, gdzie wygodniej. Bo stary, choć flotę ma, ale zato nie ożeni się, wkońcu poskąpieje i kabzę

zamknie. I Dymitr nie jest bez wartości; goły jest, ale zato może do ołtarza poprowadzić! Porzuci narzeczoną, bajecznej urody, Katarzynę Iwanowną, bogatą, szlachciankę, córkę pułkownika i ożeni się z Gruszeńką, byłą utrzymanką starego kupczyka, wyuzdanego chama, burmistrza Samsonowa. W takich warunkach nietrudno o kryminalne zdarzenie. A tego właściwie braciszek twój wypatruje, na to on łasy: i Katarzynę Iwanowną dostanie, za którą usycha z miłości, i sześćdziesiąt tysięcy posagu capnie. Ładny początek dla takiego jak on chudopachołka. I pomyśl sobie: nietylko brata nie skrzywdzi, ale owszem na wdzięczność jego sobie dozgonną zasłuży. Ja sam słyszałem w zeszłym tygodniu, jak Mitia na głos krzyczał w szynku, upiwszy się z cygankami, że niegodzien jest swojej narzeczonej Kati, że jeśli kto jest jej wart, to brat Iwan. Sama zaś Katarzyna Iwanowna oczywiście nie oprze się wkońcu takiemu uwodzicielowi jak Iwan Fedorowicz. I czemże ten Iwan oczarował was, że wszyscyście przed nim na łapkach? A on przecież z was się śmieje: panoszę się tu u was i na dobitkę coś mi tam kapnie.

— Skąd ty to wiesz? Jakże mówisz o tem z taką pewnością? — zapytał ostro Aljosza i zachmurzył się.

— A czemu się ty o to pytasz i odpowiedzi mojej z lękiem oczekujesz? Widać sam jesteś przekonany, że ja prawdę mówię.

— Ty Iwana nie lubisz. Iwan nie złakomi się na pieniądze.

— Niby to? A uroda Katarzyny Iwanownej? Nie o same pieniądze chodzi, lecz sześćdziesiąt tysięcy to też nie bagatelka!

— Iwan wyżej patrzy. Iwan nie złakomi się na tysiące. Iwan nie goni za pieniędzmi, ani spokoju szuka. On męki może poszukuje!

— Cóżto znowu za sen? Ach, wy... szlachta.

— Ech, Misza, dusza jego burzliwa. Umysł jego w niewoli. Nurtuje go wielka i nierozstrzygnięta myśl. Iwan jest jednym z tych, którym nie trzeba miljonów, którzy mają rozstrzygnąć ideę.

— Literacka kradzież, Aljoszka. Starca swego para-

frazujesz. To wam dopiero Iwan zagadkę zadał! — zawołał z jawną złośliwością Rakitin. Twarz jego nawet zmieniła wyraz i wargi wykrzywiły się złośliwie. — Ale zagadka głupia, niema co rozwiązać. Weź to na rozum — a pojmiesz. Artykuł jego jest śmieszny i niedorzeczny. A słyszałeś jego idjotyczną teorję: „niema nieśmiertelności duszy, to i cnoty niema, a zatem, wszystko jest dozwolone". (A braciszek Mitia, nawiasem mówiąc, pamiętasz, jak krzyknął „Zapamiętam to sobie"). Kusząca teorja dla łajdaków... niepotrzebnie wymyślam, to głupio... nie dla łajdaków, ale dla fanfaronów niedowarzonych z „nierozwikłaną głębią myśli". Samochwał, a cała istota: „Z jednej strony nie można się nie przyznać, a z drugiej nie można nie wyznać!" Cała ta jego teorja jest podłością! Ludzkość znajduje sama w sobie dość mocy, aby żyć w cnocie, nawet bez wiary w nieśmiertelność duszy! W ukochaniu wolności, równości i powszechnego braterstwa...

Rakitin ledwo nad sobą panował. Ale nagle pohamował się, jakgdyby sobie coś przypomniał.

— No, dosyć już — uśmiech bardziej jeszcze niż poprzednio wykrzywił jego wargi. — Czego ty się śmiejesz? Myślisz, że jestem pospolity i banalny?

— Nie ,ani mi w głowie nie pozostało pomyśleć, że jesteś pospolity. Jesteś mądry, lecz... dajmy temu pokój. Uśmiechnąłem się ot tak, z głupia. Rozumiem, że mogło cię to wzburzyć. Z twego uniesienia widać, że i sam nie jesteś obojętny względem Katarzyny Iwanownej, ja, bracie, już dawno cię o to podejrzewałem, d'atego tak nie lubisz Iwana. Jesteś o niego zazdrosny?

— I o pieniądze jej też jestem zazdrosny? Dlaczego i tego nie dodasz?

— Nie, o pieniądzach nic nie dodam, nie mam zamiaru cię obrażać.

— Wierzę, skoro tak twierdzisz, ale niech was djabli wezmą z twoim bratem Iwanem. Nie zrozumie nikt z was, że i bez Katarzyny Iwanownej można go bardzo nie lubić. I za cóżbym miał go lubić, do licha ciężkiego! Wszak i on mnie oczernia, czemużbym i ja nie miał go oczerniać?

— Nigdy nie słyszałem, aby cokolwiek o tobie mówił, dobrze, czy źle: on o tobie wcale nie mówi.

— A ja słyszałem, że parę dni temu u Katarzyny Iwanownej gębę sobie mną wymywał, ile się zmieściło — do takiego stopnia interesuje się pokornym sługą twoim. Kto zatem o kogo jest zazdrosny, nie wiem! Raczył wyrazić się, że jeśli ja niby nie zgodzę się na karjerę archimandryty w bardzo bliskiej przyszłości i nie przyjmę święceń, to bezwarunkowo wyjadę do Petersburgu i wstąpię do redakcji jakiegoś bardzo grubego pisma, obejmę niezawodnie dział krytyki, będę pisał lat dziesięć i koniec końców zostanę właścicielem tego pisma. Wówczas będę go redagował w duchu liberalnie-ateistycznym, z odcieniem socjalistycznym, nawet z małym połyskiem socjalistycznym, ale oczywiście ostrożniutko, to znaczy i Bogu stawiając świeczkę i djabłu ogarek, tudzież głupców tumaniąc. Koniec mojej karjery, w komentarzu twego brata, jest taki, że niby socjalizm nie przeszkodzi mi zbijać floty i puszczać jej przy okazji w obrót pod firmą jakiego Żydziaka, i że wreszcie wybuduję sobie pierwszorzędną kamienicę w Petersburgu, przeniosę do niej natychmiast redakcję i wpuszczę dobrze płacących lokatorów. Nawet miejsce pod dom wyznaczył: koło Nowo-Kamiennego mostu przez Niewę, który ma być przerzucony pomiędzy Litiejną a Wyborską...

— Ach, Misza, przecież to co do joty się spełni! — zawołał naraz Aljosza, nie mogąc się powstrzymać od uśmiechu.

— I wy sarkazmem się zabawiacie, Aleksy Fedorowiczu.

— Nie, nie, ja żartuję, wybacz. Zupełnie co innego mam na myśli. Pozwól jednak: któż cię w te szczegóły wtajemniczył, od kogo mogłeś się dowiedzieć. Nie byłeś chyba u Katarzyny Iwanownej, kiedy Iwan o tobie mówił?

— Ja osobiście nie byłem, ale był Dymitr Fedorowicz i właśnie od niego się dowiedziałem, to znaczy on mi sam tego nie opowiadał, lecz podsłuchałem, rozumie się mimowoli, bo byłem akurat u Gruszeńki w sypialni i nie mogłem wyjść, póki Dymitr Fedorowicz był w drugim pokoju.

— Ach tak, zapomniałem, ona jest twoją krewną...

— Krewną? Gruszeńka jest moją krewną? — zawołał nagle Rakitin, oblewając się rumieńcem. — Coś ty zgłupiał, czy co? Na głowę chyba upadłeś.

— Bo i co? Czy nie krewna? Tak słyszałem...

— Gdzieś ty to mógł słyszeć? Nie, wy, panowie Karamozowowie udajecie znakomitą i starą szlachtę, a tymczasem ojciec twój patrzał, gdzie z komina kurzy i dzwonkiem potrząsał po cudzych domach. Owszem, jestem tylko biedny popowic i hołota wobec was, szlachciców, lecz nie obrażajcie mnie tak pustomyślnie i nikczemnie. Ja też mam swój honor, Aleksy Fedorowiczu. Nie mogę być krewnym Gruszeńki, dziewki publicznej, proszę to sobie pamiętać!

Rakitin był niezmiernie rozdrażniony.

— Wybacz mi na miłość Boską, nie mogłem przypuszczać i jakaż ona tam publiczna? Czy rzeczywiście jest... taka? — zarumienił się nagle Aljosza. — Powtarzam ci, słyszałem, że jest twoją krewną. Często u niej bywasz i sam mi to mówiłeś, że nie łączy was stosunek miłosny... Ale nigdy nie myślałem, że masz ją w takiej pogardzie! Czy naprawdę zasługuje na to?

— Że ją często odwiedzam, to chyba mam swoje powody, to powinno ci wystarczyć. Co się tyczy pokrewieństwa, to prędzej twój braciszek, a może nawet i ojczulek nawiąże ci tę parantelę. Doszliśmy nareszcie. Idźże lepiej do kuchni. A to co znowu, co się stało? Czyśmy się spóźnili? Ale chyba obiad nie mógł się tak wcześnie skończyć? Widać, że Karamazowowie znowu tu coś nawarzyli? Z całą pewnością. Oto i ojczulek twój, a Iwan Fedorowicz za nim. Wybiegli śpiesznie, i ojciec Izydor coś za nimi z ganka woła. Ojczulek twój również drze się, rękoma wymachuje, na pewno psioczy. Ba, widzisz, Miusow już siedzi w swoim powozie, i konie ruszają. Maksymow biegnie — ależ to skandal; więc i obiad się nie odbył! Kto wie, czy nie pobili ojca ihumena? A może to ich pobito? A warto było!...

Rakitin nie dziwił się napróżno. W samej rzeczy zaszedł skandal, i to niesłychany i nieoczekiwany. Wszystko to stało się „z natchnienia".

VIII.

Skandal.

Gdy Miusow i Iwan Fedorowicz wchodzili do ojca przełożonego, w Piotrze Aleksandrowiczu — jako że był naprawdę przyzwoitym i delikatnym człowiekiem — dokonał się w swoim rodzaju delikatny proces: zawstydził się własnego gniewu. Uprzytomnił sobie, że tak podłego człowieka jak Fedor Pawłowicz nie należało traktować na serjo, a w każdym razie nie trzeba było tracić z powodu niego zimnej krwi i zapomnieć się do takiego stopnia. „Trzeba przyznać, że zakonnicy nic tu nie zawinili" — zakonkludował, wchodząc na ganek — „a jeżeli to są przyzwoici ludzie (ten ojciec Mikołaj, ihumen, jest zdaje się nawet szlachcicem) to czemuż to nie być wobec nich miłym, uprzejmym i grzecznym?..." „Nie będę dyskutował, będę nawet potakiwał, oczaruję ich uprzejmością i... i... wreszcie, dowiodę im, że nic mnie nie łączy z tym Ezopem, tym błaznem, tym pierrotem, że sam wpadłem niewinnie, tak samo jak oni"...

Postanowił im wielkodusznie ostatecznie raz na zawsze ustąpić sporne prawo do wyrębu i rybołóstwa (nie wiedział nawet gdzie) właśnie dzisiaj, tem bardziej, że gest ten niewiele go w istocie kosztował.

Utwierdził się jeszcze bardziej w tych szlachetnych zamiarach, skoro weszli do jadalni ojca ihumena. Nie była to jadalnia we właściwem tego słowa znaczeniu, gdyż ojciec ihumen miał tylko dwa pokoje, znacznie jednak większe i wygodniejsze od mieszkania starca. Urządzenie to nie odznaczało się również szczególnym komfortem: meble mahoniowe, starodawne, w stylu lat dwudziestych, obite skórą, podłoga nie była nawet pokostowana, ale wszystko błyszczało czystością, a na oknach stało mnóstwo drogich roślin i kwiatów. Wszakże główny luksus stanowił w tej chwili wspaniale jak na te stosunki zastawiony stół: bielizna stołowa była czysta, statki pierwszorzędne; znakomicie wypieczony chleb w trzech gatunkach, dwie butelki wina, dwie butle cudownego miodu monasterskiego, i wielki szklany

dzban z klasztornym kwasem, słynącym z wybornego smaku. Wódki wcale nie było. Rakitin opowiadał później, że obiad miał się składać z pięciu dań: miała więc być zupa z czeczugi z pierożkami, nadzianemi rybą; następnie gotowana ryba w jakiś specjalny sposób przyrządzona; potem kotlety z łososia, lody i kompoty, a na zakończenie kisielek w rodzaju blamanżu. Wszystko to przewąchał Rakitin, który nie omieszkał zajrzeć do kuchni ihumena, gdzie również miał znajomości. Wszędzie bowiem miał znajomości, i wszędy zasięgał języka. Był to młodzieniec niespokojnego i zawistnego serca. Zdawał sobie sprawę z wielkich swych zdolności, ale znacznie je przeceniał. Z całą pewnością wiedział, że zostanie w przyszłości znanym działaczem; Aljosza, który szczerze się doń przywiązał, martwił się bardzo, że Rakitin nie jest uczciwy, i w dodatku nie zdaje sobie z tego sprawy, wręcz przeciwnie, uważa się za wyjątkowo rzetelnego człowieka, jako że nie ukradłby pieniędzy, zostawionych przez kogoś na stole. I nietylko Aljosza, ale i nikt na świecie nie zdołałby go zachwiać w tem przeświadczeniu.

Rakitin jako nieznaczna figura nie mógł być dopuszczony do tego obiadu; byli natomiast zaproszeni ojciec Józef i ojciec Paisy i jeszcze jeden zakonnik. Czekali już w jadalni, gdy wszedł Piotr Aleksandrowicz, Kałganow i Iwan Fedorowicz. Poza tem na uboczu stał ziemianin Maksymow. Ojciec ihumen wyszedł gościom naprzeciw na środek pokoju. Był to wysoki, szczupły, ale bardzo jeszcze krzepki starzec o czarnych włosach, przeplecionych siwizną, o długiej ascetycznej i poważnej twarzy. Milcząc, ukłonił się gościom, którzy tym razem zdecydowali się prosić o błogosławieństwo. Miusow zamierzał nawet pocałować go w rękę, lecz ojciec ihumen na czas cofnął ją, i pocałunek nie doszedł do skutku. Zato Iwan Fedorowicz i Kałganow dopełnili całej ceremonji i prostodusznie i po chłopsku cmoknęli ojca w rękę.

— Musimy prosić o wybaczenie, przewielebny ojcze— zaczął Piotr Aleksandrowicz uprzejmie, ale poważnym i szanowitym tonem — prosić o przebaczenie, że przychodzimy sami, bez zaproszonego towarzysza naszego, Fedora Pawłowicza; niestety, nie mógł on skorzystać z zaszczytnego

zaproszenia, a to z pożałowania godnych powodów. W celi wielebnego ojca Zosimy, ulegając nieszczęsnej swej porywczości, zapomniał się do takiego stopnia, że wypowiedział kilka słów, nader niewłaściwych, słowem nieprzyzwoitych... których echo, zdaje się (zerknął na obu ojców) doszło do waszej przewielebności. Poczuwając się zatem do winy i szczerze żałując swego postępku, Fedor Pawłowicz czuł się zawstydzony i prosił nas, mnie i syna swego Iwana Fedorowicza, abyśmy wyrazili jego najszczersze ubolewanie i skruchę... Słowem spodziewa się winę swą zagładzić później, a tymczasem prosi o błogosławieństwo wasze i o zapomnienie ubolewania godnych faktów...

Miusow skończył. Wygłaszając ostatnie słowa swej tyrady, był tak z siebie zadowolony, że zapomniał całkowicie o niedawnem rozdrażnieniu. Znowu szczerze i bez ograniczenia kochał całą ludzkość. Ihumen, wysłuchawszy go z powagą, zlekka schylił głowę i rzekł w odpowiedzi:

— Żałuję gorzko, że nasz drogi gość nie przyjdzie. Być może, obcując z nami, pokochałby nas, tak jak my jego kochamy. Prosimy, panowie, do obiadu.

Stanął przed obrazem i na głos zmówił modlitwę. Wszyscy z uszanowaniem opuścili głowy, zaś ziemianin Maksymow wysunął się naprzód i zbożnie złożył ręce.

I oto Fedor Pawłowicz wypłatał ostatnią owego dnia psotę. Trzeba wiedzieć, że po wyjściu z celi starca miał naprawdę szczery zamiar wrócić do domu. Czuł bowiem istotnie, że po haniebnych wybrykach u starca Zosimy nie może pójść jakby nigdy nic do ojca ihumena na obiad. Nie dlatego, żeby się tak bardzo wstydził lub poczuwał do winy; może nawet było odwrotnie; ale bądź co bądź zdawał sobie doskonale sprawę z ostentacyjnej nieprzyzwoitości takiego postępku. Atoli gramoląc się już do swej rozklekotanej kolasy, nagle się zawahał. Stanęły mu w pamięci własne jego słowa, wypowiedziane w celi starca: „Zawsze mi się zdaje, gdy wchodzę do kogoś, że jestem podlejszy od wszystkich, i że wszyscy mają mnie za błazna — niechże więc w istocie na błazna kroję, ponieważ wszyscy bez wyjątku są głupsi i podlejsi ode mnie". I oto zapragnął zemścić się na wszystkich za swoje własne bezeceństwa. Przypomniał sobie naraz,

że kiedyś, dawno już temu, zapytano go: „za co pan tego a tego nienawidzi?", na co odpowiedział z całym bezwstydnym cynizmem: „ Ot za co: on coprawda nic mi złego nie zrobił, ale za to ja dopuściłem się względem niego wielkiego świństwa, zaś ledwo to zrobiłem, odrazu zapałałem do niego nienawiścią". Przypomniawszy to sobie, uśmiechnął się cicho i złośliwie w chwilowem zamyśleniu. Oczy mu błysnęły, i nawet wargi drgnęły. „Jakem już zaczął, tak skończę" — postanowił nagle. Najtajniejsze jego odczucie w tej chwili możnaby w ten sposób scharakteryzować: „Wszak już i tak się nie oczyszczę, niechaj więc napluję im bezwstydnie w twarz: nie wtydzę się was i basta!" Stangretowi polecił czekać, sam zaś prędkim krokiem wrócił do monasteru i podążył wprost do ihumena. Nie wiedział jeszcze dobrze, co zrobi, ale rozumiał, że nie panuje już nad sobą, że dość będzie najmniejszego bodźca, aby pchnąć go do ostatnich granic świństwa — zresztą tylko świństwa, i nie żadnego występku lub wybryku, karalnego przez sądy. Zawsze bowiem umiał się pohamować w porę przed tego rodzaju wyskokami i nawet czasem sam siebie pod tym względem podziwiał. W jadalni ojca ihumena stanął akurat w chwili, kiedy przestano się modlić i zasiadano do stołu. Zatrzymawszy się na progu, powiódł okiem po zebranych i, zaglądając pokolei każdemu w oczy, zaśmiał się długim, bezczelnym złym chichotem.

— Wyście myśleli, żem wyjechał, a ja znów tu jestem! — zawołał.

Przez chwilę oglądano go osłupiałym wzrokiem, nie mówiąc ani słowa; lecz nagle wszyscy obecni poczuli, że zanosi się na coś ohydnego, niedorzecznego, na nieunikniony skandal. Piotr Aleksandrowicz z błogiego dotychczas stanu wpadł natychmiast w ostateczną wściekłość. Wszystkie stłumione niedawno gniewne uczucia obudziły się naraz ze zdwojoną gwałtownością.

— Nie, tego nie mogę już ścierpieć! — zawołał — nie mogę żadną miarą... w żaden sposób nie mogę!

Krew uderzyła mu do głowy. Słowa plątały mu się na języku, ale nie dbał tym razem o piękną wymowę. Sięgnął natychmiast po kapelusz.

— Czego on nie może? — zapytał Fedor Pawłowicz. — „Żadną miarą nie może i w żaden sposób nie może?" Wasza przewielebność, mam-że wejść czy nie? Przyjmiecie współbiesiadnika?

— Ależ prosimy z całego serca — odrzekł ojciec ihumen. — Panowie! Pozwolę sobie — dodał nagle — prosić was z całej duszy, abyście zaniechali sporów swoich przypadkowych i zasiedli tu w miłości i rodzinnej zgodzie, z modlitwą do Boga...

— Nie, nie, to niemożliwe! — wykrzyknął jakby nieprzytomnie Piotr Aleksandrowicz.

— Jeśli to dla Piotra Aleksandrowicza niemożliwe, to i dla mnie niemożliwe, to i ja nie zostanę. Potom właśnie przyszedł. Będę teraz wszędzie towarzyszył Piotrowi Aleksandrowiczowi: odejdzie pan, Piotrze Aleksandrowiczu, to i ja pójdę; zostanie pan — to i ja zostanę. Rodzinną zgodą najbardziejście go drasnęli, ojcze przewielebny: nie uznaje on mnie za swego familjanta. Prawda, von Son? Ot i von Son tu stoi. Jak się masz, von Son?

— Pan... to do mnie? — wykrztusił zdumiony obywatel z pod Tuły, Maksymow.

— Oczywiście, że do ciebie — krzyknął Fedor Pawłowicz. — A do kogóżby to innego? Chybaż to nie ojciec przełożony jest von Sonem.

— Wszak nie nazywam się von Sonem. Maksymow jestem.

— A właśnie, że nie, jesteś von Son. Wasza przewielebność, czy wiecie, kim był von Son? Była swego czasu taka sprawa kryminalna: zakatrupiono go w domu nierządu — tak, zdaje się, zowią się u was takie miejsca — zabito i ograbiono i bez szacunku dla jego czcigodnego wieku, wterebiono do skrzynki, przybito pokrywę i z Petersburgu do Moskwy wysłano za numerkiem w wagonie bagażowym. A gdy przybijano pokrywę, ladaszczyce w onym zamtuzie śpiewały piosnki i grały na gęślach, to znaczy na fortoplasach. Tegoż to właśnie von Sona mamy tu przed sobą. Powstał z martwych, prawda, von Son?

— Cóżto takiego? Jakżeto? — zaszeptali zakonnicy.

— Idziemy! — krzyknął Piotr Aleksandrowicz, zwracając się do Kałganowa.

— Nie, przepraszam bardzo! — przerwał piskliwym głosem Fedor Pawłowicz, postąpiwszy o krok — pozwólcie i mnie się wytłumaczyć. Tam w celi wymawiano mi, że zachowywałem się nieprzyzwoicie, jako że mówiłem o kiełbikach. Piotr Aleksandrowicz Miusow, krewniak mój, lubi, aby w mowie było *plus de noblesse que de sincerité*, ja zaś, naodwrót, wolę, aby w moich słowach było *plus de sincerité que de noblesse* — i kichać na *noblesse!* Nieprawdaż, von Son? Pozwólcie, ojcze ihumenie, choć błazen jestem i błazna z siebie robię, lecz jestem rycerzem honoru i pragnę się wypowiedzieć. Tak jest, jestem rycerzem honoru, zaś Piotr Aleksandrowicz to stłamszone samolubstwo i nic więcej. Przyjechałem tu do was może właśnie poto, aby się wszystkiemu przyjrzeć i wypowiedzieć. Tu mój syn Aleksy zbawienia szuka; wszak ojcem jestem, o los jego dbam i dbać powinienem. Nadstawiałem ucha i udawałem, i rozglądałem się cichaczem, a teraz chcę przed wami odegrać ostatni akt przedstawienia. U nas to jak? U nas, co pada, to już leży. U nas co raz upadło, to już na wieki leżeć musi. To tak być powinno, moi panowie?! Ja powstać chcę. Ojcowie święci, oburzony jestem na was! Spowiedź jest wielkim sakramentem, przed którym i korzę się i w prochu gotów leżeć, a ot, naraz w celi starca wszyscy na klęczkach i na głos się spowiadają. Co jest, czy wolno na głos się spowiadać? Święci ojcowie ustanowili, aby spowiedź odbywała się zausznie, i tylko taka spowiedź jest sakramentem od najstarodawniejszych czasów po dziś dzień. Bo i ja jakże mam przy wszystkich wyjaśnić, że ja, na ten przykład, to a to... to znaczy niby tamto a to, rozumiecie mnie? Czasem to nawet samo słówko takie jest nieprzyzwoite. Przecież to skandal! Nie, ojcowie, z wami można tu się wciągnąć w herezję... przy najbliższej okazji doniosę Synodowi, a syna mego, Aljoszę, do domu zabiorę.

Nota bene: Fedor Pawłowicz słyszał, że dzwonią, ale nie wiedział, w jakim kościele. Krążyły dawniej nikczemne gadki, które nawet dotarły do uszu archireja (nietylko w naszym klasztorze, ale wszędzie, gdzie byli starcy), że za

bardzo honoruje się starców, z ujmą dla przełożonych, i że między innemi nadużywają oni sakramentu spowiedzi i t. d. Niedorzeczne te oskarżenia upadły w swoim czasie same przez się, u nas jako też powszędy. Atoli głupi czart, co pochwycił Fedora Pawłowicza i poniósł go na jego własnych nerwach coraz dalej i dalej w haniebną otchłań, podszepnął mu tę przebrzmiałą potwarz, którą zresztą Fedor Pawłowicz nie bardzo w istocie rozumiał. Nie potrafił nawet zresztą wypowiedzieć jej jako tako rozumnie, tem bardziej, że w celi starca tym razem nikt na klęczkach nie stał, ani się spowiadał na głos. Fedor Pawłowicz oczywiście nic podobnego nie widział, powtarzał jeno stare plotki, które przyszły mu na pamięć. Wszakże, wypowiedziawszy się, uprzytomnił sobie, że wypalił bezsensowną brednię; przez przekorę zaś zapragnął dowieść wszystkim obecnym i przedewszystkiem sobie samemu, że jest odwrotnie, że nie są to znowu wcale brednie. I chociaż doskonale wiedział, że każde dalsze słowo będzie coraz niedorzeczniejsze i bezsensowniejsze, nie mógł się już pohamować i poprawił się z pieca na łeb.

— Co za podłość! — krzyknął Piotr Aleksandrowicz.

— Darujcie — odezwał się nagle ojciec przełożony. — Oddawna już powiedziano: „i spadną na ciebie zniewagi i krzywdy wszelakie. Lecz ja wszystko usłyszę i rzekę sobie: to lekarstwo Chrystusa, owe które zesłał, iżby wyleczyło pyszną duszę moją". A przeto i my dziękujemy wam w pokorze, gościu najdroższy.

Co mówiąc, ukłonił się w pas Fedorowi Pawłowiczowi.

— Klituś - bajduś! Świętoszkostwo i oklepane frazesy! Oklepane frazesy i oklepane gesty! Stara blaga i udana czołobitność! Znamy te pokłony. „Pocałunek w usta i sztylet w serce" jak w „*Zbójcach*" Szyllera. Nie lubię, ojcze, fałszu, łaknę prawdy! Ale prawdy nie znajdzie się w kiełbikach, jak już orzekłem! Ojcowie zakonnicy, czemu pościcie? Przecz spodziewacie się zapłaty na niebiesiach? Wszak za taką zapłatę i jam gotów pościć! Nie, mnichu świątobliwy, bądź-że cnotliwy w tuczy świeckiej, bądź pożyteczny dla społeczeństwa, nie zamykając się w klasztorze na chleb gotowy, nie licząc na nagrodę tam w górze — z tem to trud-

niej będzie. I ja też potrafię, ojcze święty, ładnie mówić. Czego oni tu nie naszykowali? — mówiąc to, podszedł do stołu. — Portwajn stary, miodek braci Jelisiejewów, to ci frajda! Nie wygląda na kiełbiki. Patrzajcie, co butelczyn ojcowie nastawili, che-che-che! A kto tego wszystkiego dostarczył? Chłop rosyjski, a jakże, grosze swoje tu znosi, zaharowane strudzonemi rękoma, ostatni kawałek chleba wydziera rodzinie swej i państwu! Wszak wy, ojcowie święci, z ludu naszego ostatnie soki wysysacie!

— To już całkiem nieprzyzwoicie ze strony pana — przemówił ojciec Józef. Ojciec Paisy milczał uporczywie. Miusow wybiegł z pokoju, a za nim Kałganow.

— No, ojcowie, i ja za Piotrem Aleksandrowiczem! Więcej już do was nie powrócę, będziecie mnie błagać na klęczkach, a nie wrócę. Tysiąc rubelków przesłałem wam, toście się do mnie zaczęli mizdrzyć, che-che-che. Nie, więcej już nie dodam. Mszczę się za moją zmarnowaną młodość, za całe poniżenie moje! — wyciął pięścią w stół w przystępie afektacji. — Dał mi się we znaki ten wasz miły klasztorek! Wiele łez gorzkich wylewałem przez niego! To wyście żonę moją kaduczną przeciw mnie podjudzali. Wyście mnie wyklinali na siedmiu soborach, wyście mnie oczernili po całej okolicy! Dość tego, ojcowie, dziś jest wiek liberalny, wiek parostatków i kolei żelaznych. Ani tysiąca, ani setki, ani stu kopiejek, grosza złamanego ode mnie się nie spodziewajcie!

Nota bene, nigdy klasztor nie odgrywał żadnej roli w życiu Fedora Pawłowicza, który nigdy żadnych łez gorzkich z powodu niego nie wylewał. Ale tak się przejął fałszywemi łzami, że omal nie uwierzył sobie; nawet rozpłakał się z rozrzewnienia; jednakże w tej chwili poczuł, że czas już odwrócić dyszle. Ojciec przełożony na złośliwe oszczerstwo odparł ze zwieszoną głową:

— Powiedziano również: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, a módlcie się za prześladujące i potwarzające was". Tak postąpimy.

— Tere-fere, potwarzające, powtarzające! Zawracanie głowy! Nie szwargoczcie, ojcowie, ja i tak pójdę. A sy-

na mego, Aleksego odbieram stąd władzą swą ojcowską na zawsze. Iwanie Fedorowiczu, mój przykładny synku, pozwolisz, że rozkażę ci pójść za sobą! Von Son, czego się tu będziesz wałkonił! Przyjdź zaraz do mnie, do miasta. U mnie jest wesoło, a jakże! Wszystkiego wiorsta; zamiast postnego masła dam ci prosię z kaszą; będziemy wcinać, bracie, naschwał; i koniaczku nie pożałuję i likierek będzie; i malinówki też nie zabraknie... Ejże, von Son, nie przepuszczaj okazji!

Wyszedł, krzycząc i gestykulując. W tej właśnie chwili Rakitin ujrzał go i wskazał Aleksemu.

— Aleksy! — zawołał zdala Fedor Pawłowicz na widok syna — żebyś mi dziś jeszcze przeprowadził się do domu, siennik i poduszkę pakuj, i żeby mi tu noga twoja więcej nie postała!

Aljosza stanął jak wryty; nic nie mówiąc, przyglądał się uważnie wszystkiemu. Fedor Pawłowicz tymczasem wgramolił się do kolasy, za nim zaś wsiadł milczący i ponury Iwan Fedorowicz; nawet się nie obejrzał, aby pożegnać Aljoszę.

W tej chwili rozegrała się jeszcze jedna błazeńska i prawie że niewiarogodna scena, będąca godnem zakończeniem całości. Naraz ukazał się obywatel z pod Tuły, Maksymow. Przybiegł co tchu, bojąc się spóźnić. Rakitin i Aljosaz widzieli, jak mknął. Tak mu było pilno i tak się rozpędził, że postawił nogę na stopniu, choć Iwan Fedorowicz stał jeszcze na nim lewą nogą. I oto, uczepiwszy się budy, Maksymow uniósł się do skoku na siedzenie.

— I ja, i ja z wami! — wykrzykiwał z rozpromienioną twarzą, gotowy do wszystkiego, podskakując i zalewając się urywanym, wesołym śmieszkiem — weźcie mnie ze sobą.

— No, czy nie mówiłem, — zawołał zachwycony Fedor Pawłowicz — że to von Son! Że to wierutny. zmartwychwstały von Son! Ale jakżeś się stamtąd wyrwał? Coś ty tam nafonsonił takiego i jakżeś to mógł od obiadu odejść? Trzebaż dopiero mieć czoło wytarte! Mam ja czoło, ale twoje, bracie, podziwiam! Skocz, skocz prędzej! Puść go, Wania, wesoło będzie. On tu jakoś w nogach się zmieści.

Poleżysz, von Son? A może na kozioł wleziesz, u boku woźnicy?... No, krop się na górę, von Son.

Atoli Iwan, który już zajął był miejsce, nic nie mówiąc, znienacka pchnął Maksymowa w pierś z taką siłą, że ów odleciał na sążeń. Cud był doprawdy, że się nie przykrył nogami.

— Jazda! — zawołał ze złością Iwan Fedorowicz do stangreta.

— Ale czegóż ty? Co cię ugryzło? Czemuż ty go tak? — obruszył się Fedor Pawłowicz, lecz kolasa ruszyła już z miejsca. Iwan Fedorowicz nic nie odpowiedział.

— Jakiś ty! — po krótkiej pauzie odezwał się Fedor Pawłowicz, patrząc zpodełba na syna. — Sam przecież wymyśliłeś cały ten klasztor, sam podbechtałeś mnie, sameś to chwalił, czegóż się więc teraz żurzysz?

— Dosyć już ojciec bzdurstw naplótł — odciął surowo Iwan Fedorowicz.

Fedor Pawłowicz znowu milczał dwie minuty.

— Koniaczku-by teraz golnąć — zauważył sentencjonalnie. Lecz Iwan Fedorowicz zbył go milczeniem.

— Przyjedziemy, to i ty wypijesz.

Iwan Fedorowicz wciąż milczał.

Fedor Pawłowicz poczekał jeszcze dwie minuty:

— Lecz Aljoszę w każdym razie z monasteru odbiorę, aczkolwiek nie bardzo wam to się uśmiecha, mój najzacniejszy Karolu von Moor.

Iwan Fedorowicz pogardliwie wzruszył ramionami i, odwróciwszy się, przypatrywał się drodze. Zaczem do samego domu nie przemówili już ani słowa.

KSIĘGA TRZECIA.

LUBIEŻNICY.

I.

W czeladni.

Dom Fedora Pawłowicza Karamazowa stał dość daleko od centrum miasta, ale też niezupełnie na krańcu. Był dosyć stary, lecz nazewnątrz wyglądał wcale przyjemnie: jednopiętrowy, z facjatą, powleczony szarawą farbą, i kryty czerwoną blachą. Zresztą mimo starości miał jeszcze przed sobą długie lata życia. Wewnątrz był przestronny i wygodny, obfitował w mnóstwo schowków, zakamarków i krytych schodów. Szczury harcowały po pokojach i śpiżarniach, lecz Fedor Pawłowicz nic sobie z tego nie robił: „zawszeć to człekowi weselej, gdy wieczorem zostaje sam w domu". Miał bowiem zwyczaj odsyłać służbę na odwieczerz do oficyny i zamykać się na całą noc w domu. Oficyna zaś stała na podwórzu i była również obszerna i mocna. Mieściła się w niej kuchnia z rozkazu Fedora Pawłowicza, chociaż i w domu była odpowiednio do celów tych urządzona ubikacja; Fedor Pawłowicz nie znosił bowiem zapachów kuchennych, to też obiad noszono mu zimą i latem przez podwórze. Właściwie oba budynki były przeznaczone dla dużej rodziny i mogły pomieścić pięć razy tyle osób, co obecnie. W czasie naszego opowiadania w do-

mu mieszkał tylko Fedor Pawłowicz z Iwanem Fedorowiczem, w czeladni zaś, w oficynie troje służby: stary Grzegorz, starucha Marta, jego żona, i młody służący, Smerdjakow. Wypada teraz zająć się tą nieliczną czeladką. O starym Grzegorzu Wasiljewiczu Kutuzowie wspominaliśmy już zresztą w swoim czasie. Był to człek twardy i niewzruszony, uporczywie zmierzający prostą drogą do celów, które sobie zakładał, o ile z tych czy innych powodów (nieraz zdumiewająco nielogicznych) wydawały mu się wierutną prawdą. Biorąc rzecz ogólnie, był uczciwy i nieprzedajny. Żona jego, Marta Ignatjewna, aczkolwiek całe życie ulegała bez sprzeciwu woli męża, wkrótce po uwłaszczeniu chłopów namawiała go natrętnie, aby porzucił Fedora Pawłowicza, przesiedlił się do Moskwy, i za uciułane pieniądze założył jakiś sklepik; atoli Grzegorz zdecydował wówczas raz na zawsze, że baba bredzi „ponieważ każda baba jest nieuczciwa", i że nie wypada odejść od dawnego pana, jaki tam on jest, „ponieważ tera to ich obowiunzek".

— „Czy ty rozumiesz, co to obowiunzek?" — zwrócił się do Marty Ignatjewnej.

— Względem obowiunzku to i rozumiem, Grzegorzu Wasiljewiczu, ale jakiż tam obowiunzek tu zostać, tego na śmierć nie rozumiem — odparła stanowczo Marta Ignatjewna.

— To sobie nie rozumiej, a tak ma być. I więcej o tem ani mru mru.

Tak się też stało: zostali. Fedor Pawłowicz wyznaczył im pensję, niewielką coprawda, ale wypłacał ją dość regularnie. Grzegorz wiedział nadto, że ma wielki wpływ na dziedzica. Wyczuwał to, i tak było w rzeczywistości: chytry i uparty błazen, Fedor Pawłowicz, nader twardy „w niektórych okolicznościach życia" jak się sam wyrażał, miewał nieraz ku własnemu zdumieniu momenty słabości w poniektórych innych „okolicznościach życia". Wiedział zresztą w jakich, wiedział i lękał się ich okropnie. W „poniektórych" okolicznościach życia trzeba się było mieć na baczności, i trudno było bez wiernego człowieka. Grzegorz zaś był wyjątkowo wierny. Zdarzało się nawet, że Fedor Pawłowicz w ciągu swej karjery obrywał cięgi, i to bardzo

dotkliwe; wówczas przychodził mu z pomocą Grzegorz, nie szczędząc mu zresztą przy okazji wymówek i pouczeń. Ale samo bicie nie przerażało Fedora Pawłowicza: zdarzały się gorsze opresje, czasem nawet wyjątkowo zagmatwane i subtelne; Fedor Pawłowicz i samby nie mógł niekiedy określić tej potrzeby oparcia się na bliskiej i wiernej istocie, niezwykłej i palącej potrzeby, którą tak gwałtownie i niepojętnie zaczynał nagle odczuwać. Były to wypadki nieledwie chorobliwe. Wyjątkowo rozpasany i w lubieżności swej nieraz okrutny jak zły owad, Fedor Pawłowicz nagle poczynał odczuwać w stanie podchmielonym jakieś trwogi nieokreślone i moralne wstrząsy, które budziły niemal fizyczny odzew w jego duszy. „Dusza jakgdyby w gardle się trzepoce w takich chwilach" — powiadał czasami. I wówczas sprawiała mu ulgę świadomość, że obok, w pobliżu, chociaż i nie w tym samym pokoju, w oficynie, jest taki człowiek, oddany, niezłomny, nie taki jak on, nie rozpustny, który, choć jest nawet świadkiem całego wyuzdania i zna wszystkie tajemnice, jednak przez wierność przyzwala na nie, nie sprzeciwia się, a co najważniejsza — nie sarka i niczem nie grozi, ani w tem życiu, ani w przyszłem; który, co więcej, w razie potrzeby gotów jest bronić — od kogo? Od kogoś nieznanego, ale straszliwego i niebezpiecznego. Chodziło właściwie o to, żeby istniał bezwzględnie taki *drugi* człowiek, dawny i sprzyjający, żeby można było w chwili bolesnej zawezwać go, poto tylko, aby zajrzeć mu w twarz, pogwarzyć ewentualnie o rzeczach obojętnych; a jeżeli on nic, nie złości się, to sercu ulga, jeżeli się zaś złości, to i duszy smutniej. Bywało i tak (zresztą bardzo rzadko), że Fedor Pawłowicz szedł w nocy do oficyny po Grzegorza, aby mieć go przy sobie, choćby przez minutę. Grzegorz zrywał się ze snu i przychodził; Fedor Pawłowicz wszczynał rozmowę o najgłupszych błahostkach, prędko go odpuszczał, czasem nawet z żarcikiem i szyderstwem, zaczem, splunąwszy setnie, kładł się i zasypiał snem sprawiedliwego. Coś podobnego odczuł Fedor Pawłowicz po przyjeździe syna Aljoszy. Aljosza „przeszył jego serce" tem „że pomieszkał, wszystko zobaczył i nic nie potępił". Niedość tego, wniósł ze sobą rzecz zupełnie niebywałą: absolutny

brak pogardy dla starego ojca, owszem nieustanną tkliwość i zupełnie naturalne szczere przywiązanie, tak niezasłużone przez Fedora Pawłowicza. Było to dla starego wszetecznika, żyjącego bez rodziny, i dotychczas miłującego wyłącznie porubstwo, zupełną niespodzianką, absolutnie nieoczekiwaną. Po odejściu Aljoszy, Fedor Pawłowicz przyznał się przed sobą samym, że zrozumiał pewne rzeczy, których dotychczas nie chciał rozumieć.

Wspominałem już na początku opowiadania, jak Grzegorz nienawidził Adelaidy Iwanownej, pierwszej żony Fedora Pawłowicza i matki jego pierwszego syna, Dymitra, i jak natomiast bronił drugiej jego małżonki „klikuszy" Zofji Iwanownej przeciw samemu nawet dziedzicowi, przeciw wszystkim, którzy odzywali się o niej źle lub lekkomyślnie. Sympatja do nieboraczki stała się zczasem czemś świętem, i to do takiego stopnia, że nawet w dwadzieścia lat po jej śmierci Grzegorz nie pozwoliłby nikomu wspomnieć ją złem słówkiem.

Grzegorz był w obejściu chłodny i poważny, stateczny, powściągliwy w mowie, ważący każde słówko. Nie można było naprzykład na pierwszy rzut oka określić, czy kocha swoją potulną, posłuszną żonę; a jednak kochał ją w istocie, i ona to doskonale rozumiała. Marta Ignatjewna była wcale niegłupia, może nawet mądrzejsza od swego małżonka, a w każdym razie rozważniejsza w kwestjach życiowych; a przecież od pierwszych dni małżeństwa bez sprzeciwu ulegała we wszystkiem woli męża i uważała go bezsprzecznie za istotę duchowo wyższą. Rzecz godna uwagi: małżonkowie bardzo mało ze sobą rozmawiali, i to tylko o rzeczach najniezbędniejszych i bieżących. Ważny i pełen godności Grzegorz sam rozważał wszystkie swoje sprawy i troski, a Marta Ignatjewna oddawna już raz na zawsze zrozumiała, że rady jej nie mogą mu się przydać. Czuła, że mąż wielce sobie ceni jej milczenie i nawet dopatruje się w tem dowodu jej mądrości. Co się tyczy bicia, to tylko raz jeden ją potarmosił i to ledwo ledwo. Było to w pierwszym roku pożycia Adelaidy Iwanownej z Fedorem Pawłowiczem, jeszcze za czasów pańszczyźnianych. Zwołano wówczas do dworku baby i dziewczęta wiejskie na

pląsy i śpiewy. Naraz Marta Ignatjewna, wówczas jeszcze młoda kobieta, wyskoczyła z korowodu i odtańczyła „kacapkę" w specjalny sposób, nie po wiejsku, jak baby, ale inaczej, tak jak swego czasu tańczyła w domowym teatrze bogaczy Miusowów, u których poprzednio służyła, jak ją nauczył był baletmistrz, specjalnie z Moskwy sprowadzony. Grzegorz był świadkiem tego popisu swej żony, i po godzinie, u siebie w izbie, oduczył ją na wszystkie czasy, potargawszy ociupinkę za włosy. Ale był to jedyny wypadek w ciągu całego ich pożycia, i zresztą sama Marta Ignatjewna wyrzekła się wówczas na zawsze wszelkich tańców.

Dzieci im Bóg nie dał; urodziło się jedno dzieciątko, ale rychło umarło. Grzegorz zaś kochał dzieci, i nawet nie krył się z tem, to znaczy nie wstydził się okazywać po sobie tej miłości. Zaopiekował się trzyletnim Dymitrem Fedorowiczem natychmiast po ucieczce Adelaidy Iwanownej, piastował go rok cały, sam go grzebykiem czesał, sam nawet kąpał w korytku. Następnie zajmował się Iwanem Fedorowiczem i Aljoszą, zaś w nagrodę oberwał po twarzy; ale o tem wszystkiem już pisałem. Gdy Marta Ignatjewna zaszła w ciążę, Grzegorz ucieszył się wielce nadzieją. Lecz skoro dziecko urodziło się, zmroziło jego serce smutkiem i grozą: miało bowiem sześć palców u ręki. Grzegorz był tak tym faktem przejęty i zmartwiony, że nietylko milczał do samych chrzcin, ale całemi dniami przepadał z domu. Była wiosna, przez trzy dni kopał grządki w sadzie i ogrodzie. Na trzeci zaś dzień trzeba było chrzcić noworodka. Grzegorz tymczasem już coś zmiarkował. Wszedł do izby, gdzie zebrali się już goście i przyszedł pop i nakoniec sam Fedor Pawłowicz, który miał być ojcem chrzestnym, i naraz wypalił prosto z mostu, że „dzieciaka wcale nie trza chrzcić" — wymemłał to niegłośno, ledwo odcedził słówka, nic ponadto nie dodał i tylko tępo i uporczywie wpatrywał się w popa.

— A to dlaczego? — zapytał z wesołem zdziwieniem kapłan.

— Dlatego, że... smok... — mruknął Grzegorz.

— Jaki smok, jaki smok?

Grzegorz milczał chwilę.

—Stało się niby pomieszanie przyrody... — wybełkotał, bardzo niewyraźnie, ale nader statecznie, widocznie nie chcąc się nad tem dłużej rozwodzić.

Roześmiano się i oczywiście ochrzczono biedniusią dziecinę. Grzegorz modlił się gorliwie, ale mniemania swego o dziecku nie zmienił. Zresztą nie czynił żadnych trudności i dopóki dzieciak żył, nie patrzał nań, nie chciał nawet zerknąć i przeważnie wychodził z izby. Kiedy zaś chłopczyk po dwóch tygodniach zmarł na pleśniawkę, Grzegorz własnoręcznie włożył go do trumny, spoglądał nań z głębokim smutkiem i po zasypaniu płytkiej, niewielkiej mogiłki stał długo na klęczkach i składał głębokie pokłony. Od tego czasu przez wiele lat ani razu nie wspomniał o swojem dziecku, a nawet Marta Ignatjewna, gdy zdarzało się jej mówić z kimś o „dziecince", mówiła szeptem, choćby nawet Grzegorza Wasiljewicza nie było w pokoju. Jak twierdziła Marta Ignatjewna, Grzegorz od czasu właśnie owej „mogiłki" począł się szczególnie zajmować „boskiem"; czytał Żywoty świętych, przeważnie pocichu, patrząc przez wielkie w srebrnej oprawie okulary. Bardzo rzadko czytał na głos, chyba tylko we wielki post. Upodobał sobie szczególnie w księdze Joba i wydobył skądyś zbiór kazań „ojca naszego błogosławionego Izaaka Siryna", kawęczył nad nim uporczywie wiele lat, nic zapewne nie rozumiał, ale zato właśnie być może cenił tę książkę i lubił najbardziej. W ostatnich czasach począł wnikać w herezję „chłystów", do czego przyczyniło się sąsiedztwo wyznawców tej sekty; bardzo się nią przejął, ale przejść na nową wiarę nie uważał za stosowne. Oczytanie w świętych księgach oczywiście nadało jego fizjonomji jeszcze poczesniejszą solenność.

Być może z natury był skłonny do mistycyzmu. I jakgdyby umyślnem zrządzeniem losu jednocześnie niemal z narodzinami dziecka o sześciu palcach u ręki i jego śmiercią, wydarzył się inny, bardzo dziwny, nieoczekiwany i oryginalny wypadek, który odcisnął na duszy Grzegorza trwałą, jak on się sam pewnego razu wyraził „pieczęć". Otóż w nocy po pogrzebaniu dziecka, Martę Ignatjewną wybił ze snu jakgdyby płacz noworodka. Przerażona obudziła

natychmiast męża. Ów nadstawił ucha i orzekł, że to raczej wedle jego rozumienia stękanie kobiety. Wstał, ubrał się; była ciepła noc majowa. Wyszedł na ganek i tym razem wyraźnie usłyszał, że jęki dochodzą z ogrodu. Wszakże jedyne wejście do ogrodu, otoczonego mocnym i wysokim parkanem, było na noc zamykane. Grzegorz wrócił do domu, zapalił latarkę, wziął klucz od furtki i, nie zważając na histeryczne przerażenie żony, która wciąż jeszcze zapewniała, że słyszy płacz noworodka, że to ani chybi płacze i woła jej własny dzieciak, wyszedł do ogrodu. Tu dopiero stwierdził z całą pewnością, że to istotnie kobieta i że jęczy ona w łazience, stojącej w ogrodzie, wpobliżu furtki. Otworzywszy łazienkę, skołczał na niezwykły widok, który się oczom jego przedstawił. Oto znana wszystkim, wałęsająca się po mieście obłąkana Lizaweta Smerdjaszcza, niewiadomo jakim sposobem przedostawszy się do łazienki, przed chwilą właśnie zległa. Noworodek leżał koło niej, ona zaś konała z bólów dartych. Nie można się było od niej niczego dowiedzieć bo była niemową. Ale wszystko to trzeba wyjaśnić bardziej szczegółowo.

II.

Lizaweta Smerdjaszcza.

Jedna szczególnie okoliczność wywarła mocne wrażenie na Grzegorzu i ostatecznie utwierdziła go w wielce przykrem i obrzydliwem podejrzeniu. Lizaweta Smerdjaszcza była bardzo małego wzrostu „dwa arszyny z czubkiem", jak z rozczuleniem opowiadano sobie po jej śmierci po babińcach naszego miasta. Twarz jej, dwudziestoletnia, zdrowa, szeroka i rumiana nosiła piętno zupełnego zidjocenia; wyraz oczu był zastygły i nieprzyjemny, chociaż bardzo pokorny. Przez całe życie i latem i zimą wałęsała się boso i w koszuli ze zgrzebnego płótna. Włosy jej niemal krucze, wyjątkowe gęste, pokręcone jak wełna, tworzyły nad jej głową jak-

gdyby ogromną czapę. Zawsze były zmierzwione, wywalane w błocie, przeplatane liśćmi, śmieciem, trocinami, albowiem Lizaweta sypiała zawsze na ziemi, na grudzie. Ojcem jej był bezdomny, zrujnowany i chory mieszczanin Ilja, który od wielu lat pracował u jednego z zamożniejszych naszych mieszczan i stale zapijał się bez pamięci. Matka Lizawety dawno już nie żyła. Zawsze chory i zgryźliwy Ilja znęcał się nieludzko nad córką, gdy zaglądała do domu. Lecz zdarzało się to rzadko, gdyż zwykle wałęsała się po całem mieście, uchodząc powszechnie za naszego miejskiego „prostaczka Bożego". Gospodarze Ilji, i nawet on sam, jako też wielu litościwych obywateli naszego miasta, zwłaszcza kupców i kupcowych, próbowali już nie raz ubrać przyzwoiciej Lizawetę; każdej zimy dawano jej kożuch i obuwie. Spokojnie i potulnie pozwalała się odziać i obuć, ale zaraz potem, zazwyczaj w jakimś przedsionku cerkiewnym, pozbywała się przyodziewku — zrzucała z siebie i chustkę, i spódnicę, i kożuch, i obuwie — porzucała te dary i odchodziła boso i w jednej koszuli na ciele. Zdarzyło się pewnego razu, że ujrzał ją nowy gubernator, który przyjechał był na inspekcję do naszego miasta. I chociaż wyjaśniono mu, że to niepoczytalna idjotka, czuł się przecież tak dotknięty w najlepszych uczuciach, że kazał położyć kres temu „zgorszeniu publicznemu" jakim niezawodnie jest widok młodej dziewczyny w koszuli. Atoli gubernator wyjechał, zaś Lizawetą przestano się zajmować. Wkońcu ojciec jej umarł, wskutek czego zyskała większy mir u dewotek, jako sierota bez ojca i matki. Można nieomal powiedzieć, że Lizaweta była ulubienicą naszego miasta; nawet chłopcy nie krzywdzili jej, nie obrażali, jakkolwiek chłopcy nasi, zwłaszcza sztubacy, nie odznaczali się łagodnością. Wchodziła do nieznajomych, lecz nikt jej nie wyganiał, wręcz przeciwnie, opiekowano się nią i obdarzano ją jałmużną. Pieniądze, owszem, przyjmowała, lecz każdy grosik wrzucała zaraz potem do puszki, cerkiewnej albo nawet więziennej. Obdarowywano ją na targu obwarzankiem lub bułką: brała i oddawała pierwszemu spotkanemu dziecku, a czasem nawet którejś z naszych najbogatszych pań, które zwykle przyjmowały ten podarunek z ra-

dością. Żywiła się bowiem wyłącznie razowym chlebem i wodą. Zachodziła nieraz do wystawnego sklepu, siadała sobie gdzieś, i chociaż pod ręką były towary i nawet pieniądze, nikt się jej nie wystrzegał, bo wiedziano, że i brylantów nie tknie. W świątyni rzadko bywała; sypiała zaś albo pod cerkwiami, albo też, przelazłszy przez płot, w ogrodach prywatnych. Do domu, to znaczy do domu chlebodawców swego nieboszczyka ojca, przychodziła zwykle raz na tydzień, a zimą to nawet codziennie, lecz tylko na noc, którą spędzała zresztą albo w jakiejś sionce, albo w oborze. Dziwiono się, że potrafi znieść takie życie, ale widocznie przyzwyczaiła się do niego; chociaż drobnego wzrostu, była wyjątkowo mocno zbudowana. Powiadali niektórzy panowie, że Lizaweta prowadzi taki tryb życia z dumy, ale jak można było posądzać o dumę istotę, która nawet mówić nie umiała i tylko niekiedy poruszała językiem i dobywała głosu, podobnego myczeniu.

Otóż pewnego razu (wiele wody upłynęło od tego czasu) pewnej ciepłej i jasnej nocy wrześniowej zawiane grono naszych lampartów, składające się z pięciu czy sześciu panów, o późnej jak na nasze stosunki godzinie wracało z klubu tylnemi dróżkami. Po obu stronach zaułka ciągnęły się płoty, ogradzające sady przyległych domów; zakamarek kończył się mostkiem, przerzuconym przez naszą długą i cuchnącą kałużę, którą się przecież nazywało czasem rzeką. Pod płotem, śród pokrzywy i łopianu w świetle księżyca zauważono śpiącą Lizawetę. Podochoceni pankowie stanęli nad nią, i śmiejąc się, zaczęli sypać niezupełnie cenzuralnemi dowcipami. Jednemu z paniczów strzelił do głowy ekscentryczny i nieprawdopodobny wyrwas: „Czy aby można tak czy inaczej uważać takie zwierzątko za kobietę, choćby naprzykład w obecnej chwili" i t. d. Wszyscy z dumną odrazą stanowczo zaprzeczyli. Tylko Fedor Pawłowicz, który brał udział w tej eskapadzie, wyskoczył momentalnie i orzekł, że i owszem, można ją uznać za kobietę, i to nawet bardzo, że jest w tem coś szczególnie pikantnego i t. d. Coprawda oddawna już wuczył się wówczas w upatrzoną rolę trefnisia, ze szczególnem upodobaniem rozśmieszał młodych paniczyków, niby napozór będąc z nimi za

pan brat, ale w istocie traktowany przez nich z lekceważeniem. A zdarzyło się to w tym okresie, gdy, dostawszy z Petersburga wiadomość o śmierci pierwszej swej żony, Adelaidy Iwanownej, z krepą na kapeluszu urzynał się i łajdaczył na całego, budząc nawet w niejednym rozpustniku prawdziwą odrazę. Hulaszcza paczka przyjęła to nieoczekiwane oświadczenie hucznym śmiechem; któryś nawet z birbantów zaczął namawiać Fedora Pawłowicza do urzeczywistnienia swego poglądu, ale pozostali pluciem dawali wyraz obrzydzeniu, zaczem w najlepszych humorach odeszli sobie dalej. Później Fedor Pawłowicz bożył się, że i on wtenczas odszedł był wraz ze wszystkimi; być może, że tak było w istocie, nikt nie wie na pewno i nikt nigdy nie wiedział, wszelako po pięciu czy sześciu miesiącach zaczęto w mieście mówić ze szczerem i ogromnem oburzeniem, że Lizaweta zaszła w ciążę; poczęto się dopytywać i badać; kto winien, kto ją skrzywdził? I wtedy rozniosła się po całem mieście okropna pogłoska, że winowajcą jest Fedor Pawłowicz. Kto puścił tę pogłoskę? Z owej wesołej kompanji został koło tego czasu w naszem mieście tylko jeden uczestnik, i to starszy, powszechnie szanowany radca stanu, mający dom, rodzinę i dorosłe córki; onby chyba o niczem nie opowiadał, gdyby nawet wiedział; pozostali birbanci rozjechali się tymczasem w różne strony. A jednak fama wskazywała wyraźnie na Fedora Pawłowicza, jako na sprawcę występku. Zresztą Fedor Pawłowicz nie odpierał oskarżenia zbyt energicznie: nie uważał za stosowne odpowiadać jakimś tam kramarzom i mieszczanom. Dumny był wówczas, a jakże, i wdawał się wyłącznie z ludźmi swojej sfery, z urzędnikami i szlachcicami, których tak rozśmieszał. Natomiast Grzegorz energicznie i stanowczo wystąpił w obronie swego pana przeciw wszystkim jego potwarcom, sprzeczał się i kłócił i wielu przekonał: „Ona sama, podła, jest winna" — powiadał z powagą — „zaś winowajcą był nikt inny ino Karp Bagnet" (tak przezwano groźnego aresztanta, który zbiegł wówczas z gubernjalnego więzienia i ukrywał się w naszem mieście). Domysł ten wydawał się prawdopodobny. Karpa pamiętano dobrze; przypomniano sobie, że koło tego właśnie czasu

grasował po mieście i ograbił trzech przechodniów. Wypadek ów i wszystkie komentarze nietylko nie odwróciły powszechnej sympatji od biednej idjotki, ale owszem o wiele ją spotęgowały. Kupcowa Kondratjewna, bardzo bogata wdowa, wzięła ją nawet pod koniec kwietnia do siebie do domu i zamierzała ją zatrzymać przez czas porodu. Strzeżono jej pilnie; ale mimo całą pilność Lizaweta ostatniego właśnie dnia, wieczorem wykradła się od Kondratjewnej i przedostała się do ogrodu Fedora Pawłowicza. W jaki sposób w tym stanie przelazła przez wysoki i mocny parkan? Jest to i nadal do pewnego stopnia zagadką. Jedni twierdzili, że ją „przeniesiono" inni, że ją „przeniosło". Najprawdopodobniej wszystko to odbyło się zupełnie naturalnie: Lizaweta miała w tem wielką wprawę, nocując bowiem zwykle w cudzych ogrodach, wciąż łaziła przez płoty. I tym razem udało się jej wgramolić na parkan Fedora Pawłowicza, zgóry zaś zeskoczyła do ogrodu, oczywiście ze szkodą dla zdrowia. Grzegorz, ujrzawszy ją w łazience, pobiegł w te pędy do Marty Ignatjewnej, która natychmiast pospieszyła z pomocą, a następnie sprowadził starą babkę, mieszkającą wpobliżu. Dziecko odratowano, lecz Lizaweta skonała nad ranem. Grzegorz wziął noworodka, zaniósł do domu, następnie posadził żonę i położył jej na kolanach przy samej piersi osyska: „Boża sierota to dziecko wszyckich ludzi, a nasze przedewszyckiem. Nieboszczyk nasz zesłał go, a zrodzon on jest z syna czarciego i ze sprawiedliwej. Karmić go masz i łzy swoje obetrzeć". Tak więc Marta Ignatjewna wychowała dzieciaka. Na chrzcie świętym dano mu imię Pawła, zaś z ojca wszyscy poczęli go nazywać Fedorowiczem. Stary Karamazow nie przeciwstawił się temu i nawet uznał to za trefny żart, chociaż stanowczo wypierał się ojcostwa. Chwalono go bardzo zato, że przyjął podrzutka do domu. Później Fedor Pawłowicz wymyślił dla chłopca nazwisko Smerdjakow, biorąc asumpt z przezwiska matki, Lizawety Smerdjaszczej. Ów właśnie Smerdjakow wyrósł na drugiego służącego Fedora Pawłowicza i mieszkał na początku naszej historji w oficynie, pospołu ze starym Grzegorzem i Martą. Chwilowo kucharował. Wartoby i o nim szczegółowo pomó-

wić, ale przykro mi doprawdy tak długo zaprzątać uwagę czytelnika zwykłymi lokajami, a przeto wracam do rzeczy, tusząc, iż postać ta uwydatni się z dalszego przebiegu powieści.

III.

Spowiedź gorącego serca. Wierszem.

Aljosza, wysłuchawszy zlecenie ojcowskie, rzucone z kolasy, przez kilka chwil stał na miejscu jak wryty. Nie można powiedzieć, że osłupiał, bo nic takiego nigdy mu się nie zdarzało. Wręcz przeciwnie mimo niepokoju zakrzątnął się, pobiegł do kuchni ihumena i tam dowiedział się szczegółowo, jakie to brewerje wyprawiał jego ojczulek. Następnie udał się do miasta, myśląc, że po drodze zdąży jakoś rozwiązać nękające go zagadnienie. Powiem odrazu: Aljosza nie zląkł się bynajmniej wrzasku ojca, jego pogróżek i nakazu przeprowadzenia się do domu wraz z „poduszkami i siennikiem". Zbyt dobrze rozumiał, że ojciec rozporządził się na głos i z nadrabianym krzykiem, w „uniesienu", nawet że tak powiem gwoli efektu — podobnie jak jeden z naszych mieszczan, który na swoich własnych imieninach, ze złości, że nie dają mu więcej wódki, urządził wobec gości burdę, rozbił własne statki i naczynia, podarł garderobę własną i żony, połamał meble i wytłukł szyby w oknach, i to wszystko też gwoli efektu. Coś podobnego zdarzyło się teraz Fedorowi Pawłowiczowi. Nazajutrz oczywiście, ocmuchnąwszy się, awanturniczy mieszczanin ubolewał nad potłuczonemi filiżankami i talerzami. Aljosza wiedział, że i ojciec jutro pozwoli mu wrócić do monasteru, a może nawet odrazu dzisiaj. Zresztą miał przeświadczenie, że kogo jak kogo, ale jego to ojciec napewno nie zechce skrzywdzić. Aljosza był przekonany, że nikt go wogóle na świecie nigdy nie zechce skrzywdzić, co więcej, nietylko nie zechce, ale i nie potrafi. Wierzył w to, jak w aksjomat, raz na zawsze, bez medytacji, i z tą wiarą szedł przez życie, nie znając żadnych wahań i niepewności.

Ale w tej chwili dręczył go inny jeszcze lęk, zupełnie

innego rodzaju, już przez to męczący, że nie mógłby go określić. Był to lęk przed kobietą, przed Katarzyną Iwanowną, która tak natarczywie błagała go w kartce, doręczonej przez panią Chochłakow, aby ją w jakiejś tam sprawie odwiedził. Wymaganie to i zresztą konieczność pójścia napawała serce Aljoszy nieznanem, męczącem uczuciem. Od samego rana uczucie owo stawało się z chwili na chwilę boleśniejsze, pomimo wszystkich scen i przygód, które się rozegrały u starca, i w końcu u ojca przełożonego. A lękał się dlatego, że nie wiedział o czem ona z nim pomówi, i co on jej odpowie. I nie lękał się jej jako kobiety wogóle: niewiele znał kobiet, ale spoufalił się z niemi od powijaków i tylko z niemi obcował aż do samego wstąpienia do klasztoru. Lecz bał się tej a nie innej kobiety, właśnie Katarzyny Iwanownej. Obawiał się jej od czasu, jak ją po raz pierwszy ujrzał. Widział ją raz, albo dwa razy, a, dokładnie mówiąc, nawet trzy razy, co więcej zamienił z nią kiedyś kilka słówek. Stawała mu w pamięci — piękna, dumna i ambitna dziewczyna. Ale nie piękność jej dręczyła Aljoszę, lecz co innego. I właśnie to, że nie mógł uświadomić sobie swej trwogi, potęgowało ją znacznie. Wiedział, że pobudki działania Katarzyny Iwanownej są nawskroś szlachetne: usiłowała uratować brata jego, Dymitra Fedorowicza, który przecież ciężko względem niej zawinił. Czyniła to z wielkoduszności. I oto, mimo że musiał ocenić i uznać wszystkie owe piękne i wspaniałomyślne uczucia, oblatywał go ziąb, gdy zbliżał się do jej domu.

Zmiarkował, że nie zastanie teraz u niej brata swego Iwana Fedorowicza, który był z nią w zażyłych stosunkach: brat Iwan napewno siedzi teraz u ojca. Nie spodziewał się też zastać Dymitra, przeczuwał, co go gdzieindziej zatrzymywało. A zatem rozmowa ich odbędzie się sam na sam. Chętnieby pierwej zobaczył się z Dymitrem i zaszedł doń po drodze. Nie pokazałby mu listu, ale pomówił o tem i o owem. Lecz brat Dymitr mieszkał dalej i na pewno nie było go teraz w domu. Aljosza namyślał się przez chwilę, wkońcu zaś zdecydował się ostatecznie. Przeżegnawszy się spiesznie i uśmiechnąwszy do czegoś, stanowczym krokiem skierował się ku swojej strasznej damie.

Znał jej dom. Jeśli pójść przez Wielką, potem przez plac i t. d., to odległość jest wcale niemała. Nasza niewielka mieścina jest wyjątkowo rozrzucona, i dystanse od jednego jej krańca do drugiego są dosyć znaczne. W dodatku Aljosza wiedział, że ojciec oczekuje go, że może jeszcze nie zapomniał swego rozkazu, może złości się i kaprysi; przeto spieszył się bardzo, chcąc po wizycie u Katarzyny Iwanownej zdążyć do ojca. Więc postanowił skrócić sobie drogę, sagować, pójść od tyłu ulic. Znał wszystkie te dróżki nasze, jak własną kieszeń. Zresztą, nie były to nawet dróżki, trzeba było iść wzdłuż parkanów, przełazić przez płoty, przechodzić przez cudze podwórka, gdzie zresztą wszyscy go znali i witali. W ten sposób mógł sobie skrócić drogę o połowę. Wypadło mu przechodzić w pobliżu ojcowskiego domu, mianowicie mimo sąsiedniego ogródka, który wraz z malutkim, starym i przekrzywionym domeczkiem o czterech oknach był własnością pewnej mieszczanki naszej, bezmogiej staruszki. Mieszkała ona w tym domku z córką, która niedawno jeszcze służyła jako pokojówka w stolicy u rozmaitych jenerałów, lecz od roku wróciła do chorej matki i zadawała szyku eleganckiemi strojami. Ostatnio starucha i jej córka wpadły w nędzę i nawet kołatały do sąsiada, Fedora Pawłowicza, o wsparcie. Marta Ignatjewna chętnie odlewała im zupy i odkrawała chleba. A przecież mimo tej nędzy strojnisia ze stolicy nie chciała sprzedać żadnej ze swych sukien, z których jedna miała nawet bardzo długi tren. O tem wszystkiem Aljosza dowiedział się zupełnie przypadkowo od przyjaciela swego, Rakitina, przed którym nic, co się działo w miasteczku, nie mogło się ukryć. Aljosza jednem uchem wysłuchał a drugiem wypuścił. Dopiero teraz, przechodząc koło ogródka sąsiadki, przypomniał sobie ów tren, porywczo podniósł spuszczoną w zadumie głowę i... ujrzał znienacka najmniej oczekiwaną osobę.

W ogródku sąsiadki, za płotem stał na jakiemś podniesieniu Dymitr Fedorowicz i energicznie machał ręką, przywołując go, i kiwał głową—widocznie bał się krzyknąć, a nawet odezwać się głośnem słówkiem. Aljosza natychmiast podbiegł do płotu.

— Dobrze, żeś się sam obejrzał, bobym wkońcu zawołał — szepnął Dymitr Fedorowicz prędko i radośnie. — Właź tu! Żywo! Jak to pysznie, żeś przyszedł. Dopiero co miałem cię na myśli...

Aljosza był również uradowany, i tylko zastanawiał się jak przeleźć przez płot. Wszakże „Mitia" bohaterską łapą pochwycił go za łokieć i ułacnił mu skok. Zakasawszy habit, Aljosza przesadził płot ze zręcznością bosonogiego urwisa.

— No i hulaj duszo, pójdziemy sobie, bracie! — zachwyconym szeptem odezwał się Dymitr.

— Dokąd — szepnął Aljosza, oglądając się na wszystkie strony i widząc dookoła siebie pusty ogród, w którym nikogo poza nimi nie była. Ogródek był niewielki, ale od domku dzieliło ich przynajmniej pięćdziesiąt kroków. — Przecież tu niema nikogo, czemuż ty szepczesz?

— Czemu szepczę? Ach, do djabła!— zawołał nagle Dymitr Fedorowicz normalnym głosem. — I czemużto ja szepczę? Ano sam widzisz, jak łatwo o galimatjas w naturze. Stoję tu, bo to sekret, i strzegę sekretu. Później ci wyjaśnię, ale uważasz, wiedząc, że strzegę sekretu, przejąłem się tem do takiego stopnia, że i mówić zacząłem sekretnie, szeptem, jak bałwan, kiedy mogę przecie mówić na głos. Idziemy! Ot tam! Milcz do czasu. Pocałować cię pragnę!

Chwała Panu na świecie,
Chwała Panu i we mnie...

Dopiero co przed twojem przyjściem, siedząc tu, powtarzałem ten wiersz...

Ogród zajmował obszar przeszło dwumorgowy i był zadrzewiony tylko wokoło, wzdłuż czterech płotów. Stały tu jabłonki, klony, lipy i brzozy. Pośrodku ogrodu ciągnął się trawnik, który latem dawał kilka pudów siana. Za kilka rubli staruszka właścicielka oddawała go na wiosnę w dzierżawę. Ciągnęły się tu również wzdłuż płotu grządki malin, agrestu i porzeczek; około domu zaś grządki owocowe, odniedawna zasadzone. Dymitr Fedorowicz zaprowadził

gościa do najdalszego od domu zakątku. Pośród stłoczonych lip i krzaków porzeczki, bzu i czeremchy ujrzeli szczątki starej zielonej altanki, szczerniałej i wykrzywionej, o rzeszotowatych ścianach, z daszkiem, pod którym można się jeszcze było schronić przed deszczem. Wystawił tę altankę, jak głosiła wieść, pięćdziesiąt lat temu ówczesny właściciel tej posiadłości, Aleksander Karłowicz von Schmidt, podpułkownik w rezerwie. Ale wszystko już spróchniało, podłoga zgniła, wszystkie deski trzeszczały, od drzewa zalatywało wilgocią. Wewnątrz stał dotąd zielony stół drewniany, zaryty w ziemię, i dookoła ławki, również zielone, na których można było jeszcze siedzieć. Aljosza odrazu spostrzegł, że Dymitr jest w nienaturalnym stanie zachwytu; w altanie na stole zobaczył pół butelki konjaku i kieliszek.

— To tylko konjak! — roześmiał się Mitia — a ty już patrzysz: „znowu żłopie?" Nie wierz ułudzie.

Nie wierz gawiedzi pustej i kłamliwej,
Zaniechaj zwątpień...

Nie żłopię, tylko „smakuję", jak się wyraża ta świnia twoja, Rakitin, który jeszcze będzie radcą stanu i będzie się stale wyrażał „smakuję". Siadajże. Wziąłbym cię, Aljoszka, i przycisnął do serca, ale tak, aby cię zadusić, bo na całym świecie... prawdziwie... praw-dzi-wie... (uważaj! uważaj!) kocham tylko ciebie jednego!

Ostatnie zdanie wypowiedział w jakiemś ostatecznem zapamiętaniu.

— Tylko ciebie i jeszcze jedną „podłą", w której zakochałem się na własną zgubę. Ale zakochać się to nie jest to samo co kochać. Zakochać się można, jednocześnie nienawidząc. Zapamiętaj to sobie! Teraz, póki gadam na wesoło! Siadaj, ot tu, przy stole, a ja usiądę zboku i będę patrzał na ciebie i mówił. Ty będziesz wciąż milczał, a ja będę wciąż mówił, ponieważ wybiła godzina. A zresztą, wiesz, pomyślałem sobie, że istotnie należy mówić cicho, bo tu... tu... mogą nadsłuchiwać uszy, których najmniej się spodziewam. Wszystko wytłumaczę, powiedziałem ci już,

że wszystko wyjaśnię potem. Czemu wyrywałem się ku tobie, czemu pragnąłem cię teraz, przez wszystkie te dni i teraz? (Bo od pięciu dni już zarzuciłem kotwicę). Przez wszystkie te dni? Ponieważ tylko tobie opowiem, ponieważ tak trzeba, ponieważ ty jesteś potrzebny, ponieważ jutro spadnę z obłoków, ponieważ jutro życie skończy się i rozpocznie. Czy czułeś, czy widziałeś we śnie, jak z góry leci się w przepaść? Otóż ja tak lecę i nie we śnie. I nie boję się, i ty się nie bój. A właściwie boję się, ale tak słodko. Właściwie nie słodko, lecz zachwyt... No, do licha, wszystko mi tam jedno, niech będzie jak jest. Mocny duch, słaby duch, niewieści duch — niech będzie jak jest! Sławmy przyrodę: widzisz ile słońca, niebo jakie czyste, liście wszystkie ziielone, jeszcze lato, czwarta po południu, cisza! Gdzieś ty szedł?

— Szedłem do ojca, a przedtem chciałem zajść do Katarzyny Iwanownej.

— Do niej i do ojca. Och! Zbieg okoliczności! A przecież ja dlaczego cię wzywałem, dlaczegoż pragnąłem, dlaczego łaknąłem każdym przegubem duszy a nawet żeber? Żeby właśnie wysłać cię do ojca i do niej, do Katarzyny Iwanownej, i skończyć już raz z nią i z ojcem. Posłać anioła. Mógłbym posłać każdego, ale musiałem posłać anioła. I toś ty sam zmierzał do niej i do ojca.

— Czy naprawdę chciałeś mnie posłać? — zapytał Aljosza z bolesnym wyrazem twarzy.

— Czekaj, tyś to sam wiedział. Widzę ja przecie, żeś odrazu zrozumiał. Ale milcz, tymczasem milcz. Nie żałuj i nie płacz!

Dymitr Fedorowicz wstał, zamyślił się i stuknął się palcem w czoło:

— Ona sama cię wezwała, napisała do ciebie list, albo coś w tym rodzaju, bo inaczejbyś nie poszedł?

— Oto kartka — rzekł Aljosza, wyjmując ją z kieszeni.

Dymitr szybko przebiegł ją spojrzeniem.

— I tyś poszedł tylną drogą! O bogowie! Dziękuję wam, żeście go skierowali wzdłuż parkanów, abym go mógł złapać, jak durny rybak z bajki złotą rybkę. Posłu-

chaj, Aljosza, posłuchaj uważnie, bracie. Teraz mam zamiar wypowiedzieć się całkowicie. Trzeba przecież komuś wszystko powiedzieć. Aniołowi z nieba jużem powiedział, a teraz muszę powiedzieć aniołowi na ziemi. Wysłuchasz, zastanowisz się i potem przebaczysz... A właśnie tego potrzebuję, aby ktoś wyższy przebaczył. Posłuchaj: jeżeli dwie istoty nagle odrywają się od wszystkiego, co ziemskie i szybują ku niezwykłym lądom, albo przynajmniej jedna z nich przed odlotem i może zatraceniem, przychodzi do drugiej i mówi: zrób dla mnie to a to, coś, o co nigdy nikogo się nie prosi, chyba na łożu śmierci — to czy tamta istota nie spełni tego, jeśli to przyjaciel, jeśli brat?

—Spełnię, ale powiedz co, i mów prędzej — rzekł Aljosza.

— Prędzej... Hm. Nie spiesz się, Aljosza. Spieszysz się i niepokoisz. Teraz niema się czego spieszyć. Teraz świat wyległ na nową ulicę. Ach, Aljosza, szkoda wielka, żeś się do zachwytu nie zapamiętał! A zresztą, co ja mówię? Toś ty niby się nie zapamiętał! Co ja, paliwoda, mówię:

„Człowieku, bądź szlachetny!"

Czyj to wiersz?

Aljosza postanowił czekać. Zrozumiał, że wszystkie jego sprawy istotnie ogniskują się może tu tylko i w chwili obecnej. Dymitr zamyślił się na chwilę, oparłszy się łokciem na stole i zwiesiwszy głowę na ręce. Obaj milczeli.

— Ljosza, ty jeden nie będziesz się śmiał! Chciałbym zacząć swoją spowiedź... od „Hymnu do radości" Szyllera: An die Freude! Ale ja niemieckiego nie znam, znam jeno te dwa słówka: an die Freude! Nie myśl, że po pijanemu gaworzę. Bynajmniej. Konjak jest konjakiem, ale upijam się dopiero po dwu butelkach.

I Sylen rumianogęby
Na rozkraczonym osiołku,

a ja nawet ćwiartki nie wypiłem i zresztą nie jestem Sylenem. Nie jestem Sylen, ale silny jestem, bo powziąłem na

wieki postanowienie. Nie bierz mi za złe kalamburu, musisz mi dziś wiele wybaczyć, nietylko ten kalambur. Nie bój się, nie będę rozwlekły. Mówię do rzeczy i wlot przystąpię do właściwej sprawy. Nie będę frymarczył swoją duszą. Poczekaj, jak to...

Podniósł głowę, zamyślił się i nagle zaczął zachwyconym głosem:

Grozą i lękiem zewsząd gnany,
Kryjąc się w grotach górskich skał,
Człowiek pierwotny, troglodyta,
Pustkę i wkoło zniszczenie siał.
Łowom oddany zbrojny, dziki,
Przebiegał leśnych puszczy głąb...
O biada wyrzuconym falą
Na niegościnnych brzegów zrąb!...

Z Olimpu, za porwaną córą,
Ceres bogini spieszy wślad.
Aż przed nią w całej swej ohydzie
Ściele się pusty, dziki świat —
Nigdzie schronienia, ni gościny,
Żaden tu czci nie bierze bóg,
Wonnych kadzideł dym ofiarny
Nie płynie znikąd w niebios próg.

Nikt na biesiadny stół nie stawi
Soczystych gron ni złotych zbóż —
Wszędy pobitych trupów szczątki
I ofiar krwią dymiący nóż....
Gdzie rzuci okiem niebios córa,
Niosący zbożny, święty trud,
Wszędy w najgłębszem poniżeniu
Nurza się biedny ludzki ród.

Nagle łkanie gwałtowne wyrwało mu się z krtani. Pochwycił brata za rękę.

— Przyjacielu, przyjacielu, w poniżeniu, w poniżeniu dotychczas. Strasznie wiele musi człowiek cierpieć na

ziemi, strasznie wiele znieść! Nie myśl, że jestem tylko chamem w oficerskim mundurze, który sączy konjak i hultai. Ja, bracie, prawie o tem tylko myślę, o tym poniżonym człowieku, kiedy tylko nie kłamię. Daj Boże, abym i teraz nie kłamał i nie przechwalał się. Dlatego myślę o tym człowieku, bo ja sam jestem takim człowiekiem:

Człowiek, by wznieść się z poniżenia
I hartem wzmocnić duszę,
Musi z prastarą matką ziemią
W wieczyste wejść sojusze!

Tylko widzisz, o to właśnie chodzi: jak ja wejdę w sojusze z ziemią na wieki? Ja nie całuję ziemi, nie wdzieram się do jej piersi: cóż, czy chłopem mam zostać albo skotopasem? Idę naprzód i nie wiem: w smród wpadłem i hańbę, czy w światło i radość. W tem-ci jest bieda, że wszystko na świecie jest zagadką! I gdy zdarzało mi się pogrążać w najgłębszą hańbę rozpusty(a właściwie to jedno tylko zdarzało mi się w życiu), to zawsze deklamowałem ów wiersz o Cererze i o człowieku. Czy przez to byłem lepszy? Nigdy! A to dlatego, że jestem Karamazow, że — jeżeli lecę w otchłań, — to już prościuteńko, piętami do góry, głową na dół, i bodaj rad jestem, że właśnie w tak poniżający sposób, bodaj czy nie dopatruję się w tem dla siebie pewnego rodzaju piękna. I tu właśnie, w tej hańbie najgłębszej, nagle intonuję hymn. Jestem może przeklęty, jestem może nikczemny i podły, ale niech mi wolno będzie przycisnąć usta do skraju szaty, w którą przyobleczon jest Bóg mój; może w tej samej chwili idę za djabłem, przecież synem Twoim jestem, Panie, i kocham Ciebie, i czuję radość, bez której i światby nie istniał.

Ale dosyć wierszy. Przelewałem łzy, i ty pozwól mi popłakać. Może to i głupstwo, z którego wszyscy się będą wyśmiewać, niech tam, ale przecież nie ty. Otóż i oczęta ci płoną. Dosyć wierszy. Chcę ci teraz opowiedzieć o „owadach", o tych właśnie, których Bóg obdarzył lubieżnością.

„Owadom dał lubieżność!"

Ja, bracie, jestem takim właśnie owadem i to o mnie specjalnie napisano. I my wszyscy Karamazowowie jesteśmy tacy, i w tobie, aniele, żyje ten owad, i krew twoją burzy. Tak, burzy, bo lubieżność to burza, więcej niż burza! Piękno — straszliważ to i przerażająca rzecz! Straszliwa, bo nieokreślona, i określić się nie da, bo Bóg zadał nam tylko zagadki. Tu brzegi się schodzą, tu wszystkie przeciwieństwa zestrajają się i żyją z sobą. Ja, bracie, jestem nieukiem, ale wiele o tem myślałem. Straszliwie dużo tajemnic! Za wiele tajemnic gnębi na ziemi człowieka. Rozwiązuj jak możesz i wygmeraj się suchy z wody. Piękno! Nie mogę tego ścierpieć, że czasem człowiek podniosłego nawet serca i wysokiego umysłu, zaczyna od ideału Madonny i kończy ideałem Sodomji. Okropniej jest, gdy już z ideałem Sodomji w duszy nie odtrąca ideału Madonny, który serce jego rozpala, że płonie ono, zaiste, zaiste płonie, jak za młodych niewinnych lat. Nie, szeroki jest człowiek, za bardzo szeroki, jabym go zwęził. Licho wie, co to takiego, ot co! Co rozumowi hańbą się wydaje, to sercu czystem pięknem. Czy piękno jest w Sodomie? Wierzaj mi, że dla większości ludzi jest ono w Sodomie — znałeś ty tę tajemnicę czy nie? Przerażające jest to, że piękno jest nietylko straszną, ale i tajemniczą rzeczą. Tu djabeł z Bogiem się zmaga, a polem walki jest serce człowiecze. A zresztą, każdy mówi o tem, co go boli. Słuchaj, teraz do rzeczy.

IV.

Spowiedź gorącego serca; w anegdotach.

Ja tam hulałem. Ojciec mówił u starca, że po kilka tysiączek płaciłem za uwodzenie dziewic. Bydlęcy to wymysł, i nic podobnego nigdy się nie zdarzyło, a co było, to na „to“ pieniądze były niepotrzebne. Dla mnie pieniądze to akcesorjum, istota — żar duszy, nastrój. Dziś ta jest moją damą, jutro na jej miejscu uliczna dziewka. I tę i tamtą bawię jak mogę, rzucam pieniądze garściami, muzyka, harmider, cyganki. Jeśli trzeba, to i jej daję, ponie-

waż biorą, biorą szelmy z hazardem, to trzeba przyznać, i zadowolone są i wdzięczne. Paniusie lubiły mnie, nie wszystkie, ale zdarzało się, zdarzało; ale ja zawsze wolałem zaułki głuche i ciemne zakamarki, za placem — tam są przygody, tam niespodzianki, samorodki w bagnie. Ja, bracie, mój, wyrażam się alegorycznie, bo i w mieścinie naszej takich zaułków materjalnych nie było, ale zato były moralne. Ale gdybyś ty był taki jak ja, tobyś zrozumiał, co to znaczy. Lubiłem rozpustę, lubiłem też hańbę rozpusty. Lubiłem okrucieństwo: czyż nie jestem pluskwą, złym owadem? Powiedziano — Karamazow! Pewnego razu tośmy piknik urządzili, pomknęliśmy siedmiu trójkami: w mroku, zimą, w saniach, począłem miętosić bliską rączkę dziewczęcia, zmusiłem do pocałunków biedną, miłą, łagodną i pokorną dziewuszkę, córkę urzędnika. Pozwoliła, na wiele rzeczy pozwoliła w ciemnościach. Myślała niebożę, że nazajutrz przyjadę do niej i oświadczę się (wszak uchodziłem, wyobraź sobie, za dobrą partję), a ja z nią po tem ani słowa, przez pięć miesięcy, ani słówka nie zamieniłem. Widzałem, jak ścigały mnie z kąta sali na tańcach (a u nas stale bywały tańce) oczęta jej, widziałem, jak płonęły ogniem — ogniem pokornego oburzenia. Bawiła ta gra moją lubieżność owadzią, którą w sobie podsycałem. Po pięciu miesiącach wyszła za urzędnika i wyjechała z miasta... oburzona i może jeszcze kochająca. Teraz są szczęśliwi oboje. Wiedz, że nic o tem nikomu nie mówiłem, nie zniesławiłem jej; chociaż mam podłe żądze i lubuję się w podłości, nie jestem wyzbyty czci. Rumienisz się, oczęta twoje błysnęły. Dosyć masz tych brudów. A to wszystko to jeszcze nic, to drobiazgi, kwiatuszki poldekokowe, chociaż okrutny owad żył już, rozrastał się w duszy. Tu, bracie miły, cały album wspomnień. Niech Bóg im, najmilszym, da wiele zdrowia. Nie lubiłem się kłócić przy zerwaniu I nigdy nie obgadywałem, nigdy nie zniesławiałem. Ale dość tego. Cóż ty myślisz, że ja cię tu dla tych świństw zawezwałem? Nie, opowiem ci ciekawszą historję; ale nie dziw się, że nie wstydzę się ciebie, że, owszem, jakgdyby rad jestem.

— Mówisz to dlatego, że się zarumieniłem — odez-

wał się nagle Aljosza. — Nie rumieniłem się z powodu twoich słów, ale dlatego, że jestem taki sam jak ty.

— Ty niby! No, toś się trochę zapędził.

— Nie, niebardzo — odparł z zapałem Aljosza. (Wdocznie myśl ta już dawno w nim kiełkowała) — To te same stopnie. Ja na najniższym, a ty na górnym, gdzieś tam na trzydziestym. Tak to widzę, ale to na jedno wychodzi. Kto wszedł na pierwszy szczebel, musi już się piąć na wyższe.

— To lepiej wcale nie wchodzić?

— Jeżeli można, to lepiej wcale nie wchodzić.

— A ty możesz?

— Zdaje się, że nie.

— Milcz, Aljosza, milcz miły, Chciałoby mi się rączkę twoją pocałować, tak sobie, z rozrzewnienia. Ta szelma Gruszeńka zna się na ludziach, mówiła mi kiedyś, że i ciebie zje! Milczę już, milczę! Z paskudztwa, z pola splugawionego muchami, przejdziemy do mojej tragedji, więc też na pole splugawione muchami, to znaczy podłością wszelaką. Chodzi o to, że staruch, chociaż, mówiąc o uwodzeniu dziewic zmyślał, przecież trafił w sedno. W istocie, w tragedji mojej coś takiego jest, ale tylko raz i też się nie odbyło. Stary nie zna tej sztuczki: nigdy jej nikomu nie opowiadałem, teraz ty pierwszy dowiesz się, z wyjątkiem wszakże Iwana. Iwan wie wszystko. Dawniej niż ty. Ale Iwan to grób.

— Iwan — grób?

— Tak.

Aljosza słuchał w niezwykłem napięciu.

— W bataljonie służyłem w randze podchorążego, ale byłem pod nadzorem, niby zesłaniec jaki. A przecież mieścina okazywała mi niezwykłą serdeczność. Pieniądze rzucałem przez okno, myślano, że jestem bogaczem, i ja sam w to wierzyłem. Ale co iszego musiało im tam we mnie przypaść do gustu. Głową kiwali, ale lubili. Lecz mój podpułkownik, stary wojak, nagle mnie znienawidził. Przyczepiał się do mnie o byle co; plecy miałem, całe miasto za mną stało, więc nie mógł mi zbytnio dokuczać. Coprawda ja sam byłem winien, umyślnie nie okazywałem mu na-

leżnego szacunku. Stupurczyłem się. Stary ten uparciuch, niezły człowiek i ogromnie dobroduszny i gościnny gospodarz miał w swoim czasie dwie żony, i obie przeżył. Pierwsza była podobno zwyczajnego pochodzenia i zostawiła mu córkę, również bardzo prostą. Miała ona za moich czasów lat dwadzieścia cztery, mieszkała z ojcem i ciotką, siostrą nieboszczki matki. Ciotka to trusiowata prostota, zaś siostrzenica jej, starsza córka pułkownika — chwacka prostota. Lubię wspominając chwalić: nigdy, bracie miły, nie znałem cudniejszego charakteru niewieściego. Agafją nazywała się, wyobraź sobie, Agafją Iwanowną. I niebrzydka była, wcale niebrzydka, w stylu rosyjskim — wysoka, dorodna, pełna, o pięknych oczkach, o rysach, powiedzmy jednak, grubych. Nie chciała wyjść zamąż, dwaj się oświadczali, dała odkosza i nie traciła humoru. Zbliżyliśmy się — nie tak, wiesz, nie, tu było czysto, ale tak, po przyjacielsku. Często mi się zdarzało przyjaźnić się z kobietami bez żadnego erotyzmu. Gawędziliśmy wiele, mówili o pewnych rzeczach tak otwarcie, że inne panny, ach!, a ona tylko się śmiała. Niejedna niewiasta lubi mówić otwarcie, wierzaj mi, bracie, ale ona była nadto panienką, co mnie niezwykle bawiło. I co: żadną miarą nie można jej nazywać panienką. Mieszkała z ciotką u ojca, ale jakoś poniżały się obie dobrowolnie, pomniejszały się przed towarzystwem. Wszyscy lubili Agafję i korzystali z jej usług, bo była znakomitą krawczynią: miała duży talent, pieniędzy oczywiście nie brała, ale podarunki — owszem. Podpułkownik zaś — ho ho! Podpułkownik był jedną z pierwszych osobistości w naszem miasteczku. Prowadził dom otwarty, przyjmował całe miasto, wydawał kolacje, tańce. Kiedy ja przyjechałem i wstąpiłem do bataljonu, całe miasteczko tylko o tem mówiło, że niebawem ma przyjechać ze stolicy druga córka podpułkownika, niezwykła piękność, najpiękniejsza z pośród pięknych. Dopiero co ukończyła jakiś arystokratyczny instytut stołeczny. Ta druga córka — to właśnie Katarzyna Iwanowna we własnej osobie, córka podpułkownika z drugiej żony, która wywodziła się z dobrej jeneralskiej rodziny, chociaż skądinąd nie wniosła mężowi posagu. Były coprawda koligacje znakomite i jakieś nadzieje, ale go-

tówki — śladu. A jednak, gdy przyjechała „pensjonarka" (przytem nie na zawsze) całe miasteczko obnowiło się, najznakomitsze nasze damy — dwie jaśnie oświecone, jedna pułkownikowa, no i wszystkie, wszystkie natychmiast zajęły się nią, zaczęły ją sobie wyrywać, bawić, królową balów, pikników obwoływać, żywe obrazy urządziły na cel jakichś guwernantek. Ja milczę, ja hulam, i wywijam właśnie jedną taką sztuczką, że w całem miasteczku potem huczało. Widzę, zmierzyła mnie ona wówczas okiem u dowódcy baterji na przyjęciu, ale nie podszedłem: nie pilno mi poznać. Podszedłem zaś do niej później, też na wieczorku, zagadnąłem ją, lecz ona ledwo zerknęła, pogardliwie wykrzywiła wargi; wówczas pomyślałem sobie: poczekaj, zemszczę się! Birbantem byłem straszliwym w owym czasie, sam to czułem. Rzecz najważniejsza, wiedziałem, iż „Katia" nie jest niewinną gąską, ale osobą z charakterem, hardą i bardzo w istocie cnotliwą, a przedewszystkiem mądrą i wykształconą, ja zaś szwankuję i pod tym i pod tamtym względem. Myślisz może, że zamierzałem się oświadczyć? Nic podobnego, poprostu chciałem się zemścić, że taki ze mnie zuch, a ona tego nie czuje. A tymczasem hulanki i pogrom. Wkońcu zasadził mnie podpułkownik do paki na trzy dni. Koło tego czasu ojciec przysłał mi sześć tysięcy, oczywiście przedtem posłałem mu formalne zrzeczenie się wszelkich dalszych pretensyj. Nic nie rozumiałem wówczas; do przyjazdu i nawet do ostatniego czasu, i co więcej może do dnia dzisiejszego absolutnie nie rozumiem tych wszystkich z ojcem rozrachunków. Ale pal licho, do tego jeszcze wrócimy. Lecz akurat wówczas, kiedy otrzymałem te sześć tysięcy, dowiedziałem się z listu od przyjaciela o pewnej wielce ciekawej dla mnie rzeczy, mianowicie, że wyższe władze nie są zadowolone z naszego podpułkownika, że posądzają go o nieporządki, słoprzyjaciela o pewnej wielce ciekawej dla mnie rzeczy, samej zwalił się nam na głowę szef dywizji i wyciął sakramencki pater noster. Nieco później kazano podpułkownikowi podać się do dymisji. Nie będę ci opowiadał szczegółów, miał on wielu, jak się okazało, wrogów, mieścina, jakby ją zimną wodą oblał, ochłonęła z sympatji dla podpuł-

kownika i jego domowników, i znajomi odstrychnęli się ostentacyjnie. Wówczas właśnie wypuściłem próbny balonik krotochwilny: spotykam Agafję Iwanowną, z którą przyjaźniłem się po dawnemu, i powiadam bez ceregieli: „Ojcu brakuje do rozrachunku czterech tysięcy pięciuset rubli". — „Co pan, skądże to? Niedawno był tu jenerał, znalazł wszystko w porządku"... „Wówczas było w porządku, a teraz nie". Strasznie się przelękła: „niech mnie pan nie przeraża, kto panu mówił?" — „Niech się pani nie przeraża", powiadam, „schowam piszczele w miechy, wie pani, że ja pod tym względem jak grób, ale co chciałem tam powiedzieć, że tak powiem „na wszelki wypadek": jeżeli zażądają brakującej kwoty, a ojciec nie będzie mógł wpłacić, co pociągnąć może za sobą sąd i degradację na stare lata, to niech mi pani przyśle „pensjonarkę" waszą, potajemnie, ja akurat mam pieniądzy jak lodu, dam jej ile trzeba i sekretu święcie dochowam". — „Ach, jaki pan, powiada, podły! (tak powiedziała) — jaki pan zły, powiada, i podły! I jak pan śmie!" Odeszła straszliwie oburzona, a ja jeszcze zawołałem za nią, że święcie dochowam tajemnicy. Obie baby, to jest Agafja i ciotka jej, muszę ci zgóry powiedzieć, w całej tej sprawie zachowały się jak przeczyste anioły, dumną Katię poprostu ubóstwiały, poniżały się przed nią i wysługiwały się jej niczem pokojówki. Jednak Agafja powtórzyła siostrze naszą rozmowę. Ustaliłem to później z całą pewnością. Nie ukryła pod korcem, a mnie o to tylko, oczywiście, chodziło.

Naraz przyjechał nowy major, aby przejąć batalion. Zaczął sprawować swe funkcje. Stary podpułkownik nagle się rozchorował, ruszyć się nie może, przez dwie doby nie wysunął nosa z domu i kasy nie zdaje swemu następcy. Doktór nasz, Krawczenko, zapewniał, że stary istotnie zaniemógł. Ale ja już oddawna miałem w sekrecie wiadomość: że kwota owa od czterech już lat po każdorazowej rewizji znikała na dłuższy okres. Podpułkownik pożyczał ją bowiem na procent zaufanemu człowiekowi, staremu Trifonowi. Wiesz, kupiec taki, wdowiec, brodacz w złotych okularach. Ów zaś z kasą pułkową wyjeżdżał na targi, robił dobre obroty i zwracał pożyczkę wraz z gościńcami i pro-

centami. Lecz tym razem (dowiedziałem się przypadkowo od synalka Trifonowa, zaślinionego wyrostka, tak straszliwie rozpustnego, że trudno sobie wyobrazić) tym razem, powiadam, Trifonow, wróciwszy z targów, gronia podpułkownikowi nie zwrócił. Stary czekał, czekał, ale wkońcu kropnął się do kupca. „Nic od pana pułkownika nigdy nie brał, i gdzieżbym tam mógł co brać od pana pułkownika" — naści i odpowiedź. Więc siedzi nasz podpułkownik w domu, głowę prześcieradłem owinął, wszystkie trzy baby lód mu co chwila do głowy przykładają, nagle goniec z książką i rozkazem: „Zdać pieniądze rządowe natychmiast, za dwie godziny". Podpułkownik podpisał, sam oglądałem później ten podpis w książce — wstał, powiedział, że idzie się przebrać, wbiegł do sypialni, wziął dubeltówkę, nabił, zrzucił z prawej nogi but, wparł wylot lufy w pierś i nogą począł szukać kurka. A tymczasem Agafja Iwanowna coś przeczuwała, pamiętała moje słowa, podkradła się i w porę podpatrzyła ojca: wdarła się, dopadła go ztyłu, objęła, dubeltówka wystrzeliła w sufit, nikogo nie raniąc. A tu już go wszystkie trzy niewiasty trzymają, odebrały dubeltówkę, ręce mu skrępowały... Dowiedziałem się później o wszystkiem bardzo szczegółowo. Siedziałem - ci ja wówczas w domu, był wieczór, zbierałem się właśnie do wyjścia, ubrałem się, uczesałem, czapkę wziąłem, naperfumowałem chusteczkę, nagle drzwi otwierają się — i przede mną, u mnie w mieszkaniu, Katarzyna Iwanowna.

Zdarzają się dziwne wypadki: nikt nie zauważył, jak szła do mnie, to też miasteczko dotychczas nic o tem nie wie. Dwie staruszki, u których mieszkałem, wdowy po urzędnikach, słuchały się mnie ślepo i na mój rozkaz milczały potem jak zaklęte. Oczywiście, odrazu zmiarkowałem wszystko. Weszła i spojrzała na mnie stanowczo swemi ciemnemi oczyma, więcej niż stanowczo, bo zuchwale. Jednakże w ustach i koło ust zauważyłem marszczki chwiejności.

— Siostra mówiła mi, że da pan cztery tysiące pięćset rubli, jeśli przyjdę po nie... sama do pana. Przyszłam... niech pan da pieniądze! — nie wytrzymała, zabrakło jej

tchu, zlękła się, głos jej się załamał, a kąciki warg i linje koło ust drgnęły. Aljoszka, słuchasz ty mnie czy śpisz?

— Mitia, wiem, że powiesz mi całą prawdę — odpowiedział ze wzruszeniem Aljosza.

— Ależ naturalnie. Jak całą prawdę, to dobrze, już ja siebie nie oszczędzę. Pierwsza moja myśl — karamazowska. Pewnego razu, bracie, ukąsiła mnie tarantula, dwa tygodnie przeleżałem potem w gorączce, i oto w owej chwili nagle czuję, tarantula, zły owad, serce mi kąsa, pojmujesz? Zmierzyłem ją okiem. Czyś ty ją widział? Piękna jest, piękna jest nietylko z urody. Piękna ona była w owej chwili, bo była szlachetna, a ja byłem podły, bo ona we wzniosłości swego poświęcenia i ofiary za ojca, zaś ja byłem pluskwą. I oto ode mnie, podłego człowieka i pluskwy, ona cała zależy, cała z duszą i ciałem. Cała. Ja ci to odrazu wyłożę: ta myśl, myśl tarantuli, do takiego stopnia owładnęła mojem sercem, że omal nie wyciekło mi ono z tęsknoty. Zdawałoby się, że tu nawet żadnej walki być nie może: muszę przecież postąpić jak tarantula, jak pluskwa, bez żadnego zlitowania... Tchu mi nawet zabrakło. Posłuchaj, przecież jabym oczywiście nazajutrz pojechał i oświadczył się, żeby to wszystko zagładzić, że tak powiem szlachetnie, i żeby nikt nie wiedział i nie mógł wiedzieć. Bo jestem bądź co bądź człowiekiem, aczkolwiek podłych żądz, przecież i honoru. I oto nagle ktoś mi jakgdyby szepnął do ucha w tejże sekundzie: Wszak jutro, jak przyjedziesz, aby się oświadczyć, to nietylko nie wyjdzie taka do ciebie, ale każe stangretowi wyrzucić cię za drzwi. „Zniesławiaj mnie potem po całem mieście, jużci nie boję się ciebie". Spojrzałem na nią: głos ów nie skłamał, tak napewno się stanie. Wyrzucą mnie za drzwi, widzę to z jej miny. Złość mnie porwała, kipi we mnie i oto strzelił mi do głowy najordynarniejszy, bydlęcy, kramarski figiel; a co, jeśli tak popatrzę na nią z szyderczym uśmiechem i z intonacją, z jaką tylko subjekci potrafią mówić:

— Cztery tysiączki! Ale ja żartowałem, cóż pani sobie myśli? Zbyt łatwowiernie, moja panno, obliczała to sobie pani. Ze dwie setki, to i owszem, z największemi nawet przyjemnościami i ochotą, ale cztery tysiące to nie

bagatelka, moja panno, nie można na lekkomyślność szastać takiemi pieniążkami. Daremnie się pani trudziła.

Widzisz, jabym oczywiście wszystko stracił; uciekłaby niechybnie, ale zato wyszłoby infernalnie, mściwie! Wyłbym potem przez całe życie ze skruchy, tak jest, ale cóż to za rozkosz taką sztuczkę wypłatać! Dasz wiarę, nigdy mi się to nie zdarzało, z żadną kobietą, abym w takiej chwili patrzał na niewiastę z nienawiścią — i oto klnę się: na tę kobietę patrzałem wówczas przez trzy czy pięć sekund ze straszliwą nienawiścią — z tą samą nienawiścią, którą od miłości, od najbardziej szaleńczej miłości, tylko krok jeden dzieli! Podszedłem do okna, przyłożyłem czoło do zmarzniętej szyby, i pamiętam, że lód opalił mi czoło niczem płomień. Nie zatrzymywałem jej długo, nie bój się, odwróciłem się, podszedłem do stołu, otworzyłem szufladę, wydobyłem list zastawny na pięć tysięcy rubli, wystawiony na okaziciela (leżał między kartkami francuskiego dykcjonarza). Pokazałem jej w milczeniu, złożyłem, wręczyłem, sam otworzyłem drzwi od sieni, i, cofnąwszy się o krok, złożyłem jej bardzo głęboki ukłon, pełen czci, doprawdy wierzaj mi! Ona drgnęła, patrzała na mnie przez sekundę, straszliwie zbladła, jak płótno, i naraz, nie mówiąc ani słowa, nie w uniesieniu, lecz jakoś miękko, głęboko, cicho pokłoniła mi się prosto do nóg, czołem ziemi dotknęła, nie po pensjonarsku, po rosyjsku! Zerwała się natychmiast i uciekła. Miałem przy sobie szpadę, wyciągnąłem ją, chciałem się natychmiast przebić — dlaczego nie wiem, byłoby to straszne głupstwo, oczywiście, ale zapewne z zachwytu. Czy ty pojmujesz, że z podobnego zachwytu można się zabić. Jednak nie zabiłem się, pocałowałem brzeszczot, włożyłem napowrót do pochwy — czego zresztą nie musiałem chyba dodawać. A wiesz, że, opowiadając to wszystko, o tych wszelkich walkach, rozwodziłem się zanadto, aby siebie pochwalić. Ale niech, niech tam i tak będzie, i niech djabli biorą wszystkich szpiegów serca ludzkiego! Oto i cały mój dawny „incydent" z Katarzyną Iwanowną. Teraz, uważasz, tylko brat Iwan zna go, no i ty.

Dymitr Fedorowicz podniósł się, przeszedł się kilka razy ogromnie wzburzony, wyjął chustkę, otarł pot z czoła,

zaczem usiadł napowrót, ale nie na miejscu, na którem poprzednio siedział, lecz na przeciwległem, pod drugą ścianą, wskutek czego Aljosza musiał się doń odwrócić.

V.

Spowiedź grzesznego serca. „Piętami do góry".

— Teraz — rzekł Aljosza — znam już pierwszą połowę historji twojej.

— Pierwszą połowę pojmujesz: to był dramat i rozegrał się ten dramat tam. Druga zaś połowa to tragedja i skończy się tutaj.

— Tej drugiej połowy zupełnie dotąd nie rozumiem — rzekł Aljosza.

— A ja? Czy myślisz, że ja rozumiem?

— Czekaj, Dymitrze, tu jest jedno najważniejsze słowo. Powiedz mi: jesteś narzeczonym, jesteś nim dotychczas?

— Narzeczonym zostałem nie odrazu, ale w trzy miesiąc po tamtych wypadkach. Nazajutrz po tem wszystkiem powiedziałem sobie, że incydent jest wyczerpany i skończony, że dalszego ciągu nie będzie. Przyjść i oświadczyć się o rękę — to byłaby zbytnia nikczemność. Poza tem i ona przez sześć tygodni, pokąd nie wyjechała z naszego miasteczka, nie dała o sobie znaku życia. Prawda, było tam jeszcze coś. Nazajutrz po jej wizycie przyszła ich pokojówka i, nic nie mówiąc, zostawiła paczkę. Na paczce był adres: do tego a tego. Otwieram — reszta z pięciu tysięcy. Trzeba było mieć cztery tysiące pięćset, zaś przy wymianie zastawnego listu straciło się przeszło dwieście rubli. Odesłała mi więc, zdaje się, dwieście sześćdziesiąt rubelków, nie pamiętam dokładnie, i nic ponadto, ani słówka, żadnego wyjaśnienia. Szukałem na paczce jakiego bądź znaku ołówkiem — nic absolutnie! Cóż przepuściłem te ostatki tak hucznie, że nawet nowy major musiał mi wyrznąć reprymendę. A tymczasem podpułkownik doręczył rządowe pieniądze, wszystko odbyło się

w największym porządku, ku ogólnemu zdziwieniu, ponieważ wszyscy posądzali go o sprzeniewierzenie. Zaraz potem zaniemógł, leżał trzy tygodnie, przyłączyły się komplikacje, rozmiękczenie mózgu i po pięciu dniach wyzionął ducha. Pochowano go z wojskowemi honorami, pewnie, bo nie zdążył otrzymać dymisji. Katarzyna Iwanowna, siostra jej i ciotka tejże w dziesięć dni po pogrzebie ojca wyruszyły do Moskwy. I oto przed samym wyjazdem, w dniu wyjazdu (nie widziałem się z niemi i nie odprowadziłem) dostałem malutki liścik, błękitny papierek i na nim tylko jedno zdanie, ołówkiem skreślone: „Napiszę do pana, proszę czekać. K." Oto wszystko.

Wyjaśnię ci to w dwóch słowach. W Moskwie sprawy ich wzięły nowy obrót z błyskawiczną wprost szybkością i z niespodziankami w stylu bajek arabskich. Generałowa, najbliższa krewna Katarzyny Iwanownej, naraz straciła dwie swoje właściwe spadkobierczynie, najbliższe dwie siostrzenice — obie bowiem w jednym tygodniu umarły na ospę. Zrozpaczona i spiorunowana tym ciosem staruszka przyjęła Katię jak córkę rodzoną, jak gwiazdę ratunku, narzuciła się na nią, natychmiast przerobiła testament na jej korzyść — to na przyszłość, tymczasem zaś doraźnie, wprost do ręki dała jej osiemdziesiąt tysięcy, — „masz niby posag, rób sobie z nim, co tylko zechcesz". Histeryczna baba, później ją w Moskwie obserwowałem. No i nagle dostaję pocztą cztery tysiące pięćset rubli; oczywista jestem zdumiony i poprostu osłupiały ze zdziwienia. W trzy dni potem nadszedł przyrzeczony list. Mam go jeszcze teraz przy sobie, zawsze go mam i umrę z nim — chcesz, to ci pokażę. Bezwarunkowo przeczytaj: proponuje mi swą rękę, sama proponuje, „kocham pana bez pamięci, i choćbyś mnie nie kochał — wszystko jedno, bądź tylko moim mężem. Niech się pan nie obawia — nie będę krępowała pana, będę sprzętem pana, będę tym dywanem, po którym będziesz stąpać... Chcę kochać pana wiecznie, chcę zbawić pana od siebie samego"... Aljosza, niegodzien jestem nawet powtarzać ci tego listu swojemi podłemi słowy i swoim podłym tonem, tym moim podłym tonem, od którego nie mogę się odzwyczaić! Przebił mnie ów list i czuję jego ostrze aż do dnia

dzisiejszego. A jednak czy mi teraz lepiej, czy mi lżej? Natychmiast jej wówczas odpisałem (nie mogłem żadną miarą wyjechać do Moskwy). Pisałem łzami i jednej rzeczy tylko wstydzić się będę wiekuiście: napomknąłem, że ona jest teraz bogata, posażna, ja zaś jestem jeno ubogim birbantem — o pieniądzach bąknąłem! Nie powinienem był tego pisać, ale wypsnęło mi się z pod pióra. Wówczas napisałem bezzwłocznie do Moskwy, do Iwana, wszystko mu wytłumaczyłem wedle możności, na sześciu arkusikach i posłałem do niej Iwana. Co ty patrzysz, cóż ty tak na mnie oczy wyłupiasz? No tak, Iwan zakochał się w niej i teraz ją kocha, wiem o tem, palnąłem głupstwo, po waszemu, w opinji świata, ale, być może, tylko to moje głupstwo wszystkich nas teraz uratuje! Och! Czy ty nie widzisz, jak ona go czci, jak go poważa? Czy może ona, mając nas obu przed sobą, kochać takiego jak ja, i to po tem wszystkiem, co tu zaszło?

— Przekonany jestem, że ona kocha takiego jak ty, a nie takiego jak on.

— Ona kocha swoją szlachetność, a nie mnie — mimowoli, ale prawie ze złością wyrwało się Dymitrowi Fedorowiczowi. Zaśmiał się, lecz po sekundzie oczy mu błysnęły, zarumienił się po białka, i trzasnął pięścią w stół.

— Przysięgam, Aljosza — krzyknął ze straszliwym i szczerym przeciw sobie gniewem — wierz albo nie wierz, ale jak Bóg Bogiem, jak Chrystus Zbawicielem Naszym, przysięgam, że ja, chociem lekceważąco drwił przed chwilą z jej wzniosłych uczuć, wiem jednakowoż, że jestem miljon razy mniej wart od niej, że te jej uczucia szlachetne są szczere jak u anioła z nieba! Na tem cała tragedja polega, że wiem o tem napewno. Cóż z tego, że człek kapkę deklamuje? Czyż nie deklamuję i ja teraz? A przecież szczery jestem, szczery. Co się tyczy Iwana, to ja przecież rozumiem, jak on, który ma taką tęgą głowę, musi teraz kląć i pomstować na naturę! Komuż to dano pierwszeństwo nad nim? Potworowi, który już tutaj, będąc oficjalnie narzeczonym, wszem wobec wylewał się na rozpustę, nie mógł się pohamować — i to przy narzeczonej, przy narzeczonej swojej! I oto taki jest wybrany, a on odpalony. Ale dla-

czego? Dlatego, że panna przez nadmiar szlachetności chce gwałt zadać swemu życiu i przeznaczeniu! Niedorzeczność! Ja z Iwanem w ten sposób nigdy oczywiście nie mówiłem, Iwan też, rozumie się, ani słówkiem nie wspominał; ale los musi się spełnić, godny stanie u celu, zaś niegodny zaszyje się w zaułek na wieki — w brudny swój zaułek, i tam w bagnie i smrodzie zginie dobrowolnie i z rozkoszą. Zablagowałem się cokolwiek, słowa moje wszystkie są wychełtane, ale tak się stanie, jak mówiłem. Dlatego jestem w zaułku, a ona wyjdzie za Iwana.

— Poczekaj, bracie — przerwał znów Aljosza z niezwykłym niepokojem — aleś ty mi jednej rzeczy dotychczas nie wyjaśnił: wszak jesteś narzeczonym, jesteś bądź co bądź narzeczonym? Jakże ty chcesz zerwać, skoro ona, narzeczona, nie chce?

— Jestem narzeczonym, formalnym i błogosławionym, zaręczyny odbyły się w Moskwie, po moim przyjeździe, z wielką paradą, z obrazami i jak się patrzy. Generałowa pobłogosławiła i — uwierzysz? — nawet winszowała Kati: wybrałaś, rzekła, trafnie, widzę go nawylot. I, uwierzysz, Iwana nie lubiła, nie spodobał się jej. W Moskwie wiele z Katią rozmawiałem, wymalowałem siebie szlachetnie z całą dokładnością i szczerością. Wszystko wysłuchała:

„Było miłe zawstydzenie
były słówka roztkliwione"...

Ano, słowa były też dumne. Musiałem jej przyrzec, że się poprawię. Przyrzekłem. I oto...

— Cóż?

— I oto wezwałem ciebie i ściągnąłem cię dzisiejszego dnia — zapamiętaj sobie datę — żeby cię posłać i to dziś jeszcze, dzisiaj, do Katarzyny Iwanownej i...

— Co?

— Abyś jej powiedział, że ja już nigdy do niej nie przyjdę, kazał niby kłaniać uniżenie.

— Czy to możliwe?

— Dlatego ciebie posyłam, a nie siebie samego, że to niemożliwe. Bo jakżebym mógł jej to powiedzieć?

— A ty dokąd pójdziesz?

— Do zaułka.

— A więc do Gruszeńki? — zawołał z goryczą Aljosza, plasnąwszy w dłonie. — Więc Rakitin miał naprawdę słuszność? A ja myślałem, żeś tylko chwilowo do niej chodził i że już przestałeś.

— Czyż może człowiek zaręczony do niej chodzić? Czy to możliwe zwłaszcza, kiedy się ma taką narzeczoną, i wobec wszystkich? Wszak i ja mam jakiś honor, a jakże. Skoro zacząłem chodzić do Gruszeńki, odrazu przestałem być narzeczonym i honorowym człowiekiem, rozumiem to przecież doskonale. Czego się patrzysz? Ja, widzisz z początku poszedłem do niej, aby jej skórę wytrzepać. Wiedziałem i wiem teraz na pewno, że ojciec za pośrednictwem tego sztabs-kapitana dał Gruszeńce moje weksle, aby podała mnie w razie czego do sądu. Chcieli mnie zastraszyć. Poszedłem tedy pobić Gruszeńkę. Widziałem ją już przedtem, ale przelotnie. Na pierwszy rzut oka nie wywiera piorunującego wrażenia. Wiedziałem również co nieco o starym kupcu, który na dobitkę jest teraz obłożnie chory, ale podarunek nie byle jaki zostawi jej przed śmiercią. Wiedziałem także, że lubi ona zarabiać flotę, zarabia, pożycza na okrutne procenty, awanturnica, szelma bez skrupułów i litości. Poszedłem ją bić no i zostałem się u niej. Rozszalała burza, padł mór, zaraziłem się i dotychczas jestem zarażony, i wiem, że już wszystko jest skończone, że nic innego już nigdy nie będzie. Dopełnił się cykl czasów. Otóż to i moja historja. I wówczas nagle, jakby umyślnie w kieszeni mojej, w trzosie nędzarza, trzy tysiączki sterczały. Odrazu - żeśmy kropnęli do Mokrej, dwadzieścia pięć wiorst stąd, cygańską kapelę sprowadziłem, cyganki, szampana, wszystkich chłopów tamtejszych szampanem poiłem, wszystkie baby i dziewczęta, pieniędzy huk wydałem. Po trzech dniach goły, choć wesoły. Myślisz, że dopiąłem czego ową wesołością? Nawet zdaleka nie pokazała. Powiadam ci — przegub. Ma-ci ona, Gruszeńka, szelma, jeden taki przegub, nawet w nóżce się odzywa, nawet w paluszku lewej nóżki widoczny. Widziałem i całowałem — ale to wszystko — przysięgam! Powiada: „chcesz, to za

ciebie wyjdę, choć goły jesteś jak bizun. Powiedz, że bić nie będziesz, że pozwolisz mi wszystko robić, co mi się tylko żywnie spodoba, to może i wyjdę" — śmieje się, szelma. I do tej pory się śmieje!

Dymitr Fedorowicz zerwał się z miejsca z jakąś ledwie hamowaną wściekłością, ale nagle zatoczył się jak pijany. Oczy zaszły mu krwią.

— I ty naprawdę chcesz się z nią żenić?

— Jak ona zechce, to natychmiast, a jeżeli nie zechce, to tak zostanę; będę u niej w domu stróżem. Ty... ty.... Aljosza — stanął naraz przed nim i, ująwszy go za ramiona, potrząsnął z całej siły — czy wiesz ty, niewinny mój chłopcze, że wszystko to jest majaczeniem, majaczeniem nieprawdopodobnem, albowiem tu tkwi tragedja! Wiedz-że, Aleksy, że mogę być nikczemnym człowiekiem, z nikczemnemi i lichemi żądzami, ale złodziejem, złodziejaszkiem kieszonkowym, złodziejaszkiem Dymitr Karamazow być nie może. Ano, więc dowiedz się teraz, że jestem właśnie złodziejaszkiem, złodziejem kieszonkowym! Zanim poszedłem bić Gruszeńkę, rano tegoż dnia zawezwała mnie Katarzyna Iwanowna i w największej tajemnicy, aby nikt się nie dowiedział (nie wiem dlaczego, widocznie tak trzeba) prosiła, bym pojechał do sąsiedniego gubernjalnego miasta i stamtąd wysłał pocztą te trzy tysiące Agafji Iwanownej do Moskwy. Poto miałem jechać do sąsiedniego miasta, aby w naszem mieście nikt się nie dowiedział. I właśnie z temi trzema tysiącami znalazłem się u Gruszeńki i z niemi pojechałem wówczas do Mokrej. Potem udawałem przed nią, że wykonałem jej zlecenie, ale pokwitowania z poczty nie dałem jej oczywiście, powiedziałem, że przyniosę i do tej pory nie przyniosłem, zapomniałem niby. Teraz, jak myślisz, pójdziesz jej powiedzieć: „kazał kłaniać", to i ona tobie „A pieniądze?". Mógłbyś jej jeszcze powiedzieć: „to nikczemny rozpustnik, podła kreatura, nie panująca nad swemi popędami. Nie wysłał wówczas pieniędzy pani, sprzeniewierzył, ponieważ nie mógł się pohamować, jak nikczemne bydlę". Ale mógłbyś dodać: „ale zato złodziejem nie jest, oto owe trzy tysiące, przysyła z powrotem, niech

pani sama prześle Agafji Iwanownej, kazał pani kłaniać". A teraz ona naraz: „a gdzie pieniądze?"

— Mitia, jesteś nieszczęśliwy, tak! Ale nie do takiego stopnia, jak myślisz — nie zadręczaj się rozpaczą, nie zadręczaj!

— A cóż ty sądzisz, że zastrzelę się, jeśli nie wydostanę trzech tysięcy, żeby jej zwrócić? Właśnie o to chodzi, że się nie zastrzelę. Nie mógłbym teraz, potem — może, ale teraz pójdę do Gruszeńki...

— A u niej?

— Będę jej mężem, jeśli raczy mnie uczynić swoim małżonkiem, a gdy przyjdzie kochanek, do drugiego pokoju wyjdę. Będę czyścił zabłocone kalosze jej przyjaciół, rozdmuchiwał samowar, będę na posyłki biegał...

— Katarzyna Iwanowna wszystko zrozumie — odezwał się nagle uroczystym tonem Aljosza. — Zrozumie całą głębię tej niedoli i pogodzi się z nią. Ona ma wyższy umysł; nie można być bardziej nieszczęśliwym od ciebie, ona sama to pojmie.

— Wcale się nie pogodzi — odwarknął Mitia. — To, bracie, jest coś, z czem żadna kobieta się nie zgodzi. A wiesz, co najlepiej zrobić?

— Co?

— Zwrócić jej trzy tysiące.

— Skąd je wziąć? Posłuchaj, ja mam dwa tysiące. Iwan da ci też tysiączkę, weź i zwróć jej.

— A kiedyż to one nadejdą, te twoje trzy tysiące? Jesteś jeszcze w dodatku niepełnoletni, a musisz bezwzględnie, bezwzględnie dziś jeszcze pożegnać ją ode mnie, z pieniędzmi czy bez pieniędzy, bo ja już dalej odwlekać tego nie mogę, tak się to zaogniło. Jutro już za późno, za późno. Ja cię do ojca poślę.

— Do ojca?

— Tak, do ojca przedtem. Jego poprosić o trzy tysiące.

— Ależ, Mitia, on nie da.

— Gdzieżby tam dał, wiem, że nie da. Wiesz ty, Aljosza, co znaczy rozpacz?

— Wiem.

— Posłuchaj: prawnie nic mi nie jest winien. Wszystko już wybrałem, wszystko, wiem sam. Ale moralnie jest mi przecież winien, tak czy nie? Wszak on zaczął od dwudziestu ośmiu tysięcy, które matce odebrał, i dorobił się do stu tysięcy. Niech mi da tylko trzy tysiące z tych dwudziestu ośmiu, tylko trzy, a duszę moją z piekła wyciągnie, i odpuszczę mu wiele grzechów! Ja zaś na tych trzech tysiącach, daję ci słowo, skończę ostatecznie, i nigdy już nie usłyszy ode mnie słówka. Po raz ostatni daję mu możność być ojcem. Powiedz mu, że sam Bóg zsyła mu tę sposobność.

— Mitia, on ci za nic nie da.

— Wiem, że nie da, wiem doskonale. A teraz w szczególności. Co więcej, wiem jeszcze to: teraz, w tych dniach, może być, że dopiero wczoraj, dowiedział się po raz pierwszy *na serjo* (możesz podkreślić to słówko), że Gruszeńka może wcale nie żartuje i naprawdę zamierza wyjść za mnie. Zna on jej charakter, zna tę kotkę. To i co, da mi może w dodatku pieniądze, aby mi ten krok ułatwić, on, który sam kocha ją bezprzytomnie? Ale i to jeszcze nie wszystko, mogę ci jeszcze więcej rzeczy powiedzieć: wiem, że już od pięciu dni leżą trzy tysiące w banknotach sturublowych, pod pięcioma pieczęciami, w paczce, przewiązanej na krzyż czerwoną tasiemeczką. Widzisz, jakże znam szczegóły! Na paczce napis: „Dla anioła mego, Gruszeńki, jeśli zechce przyjść". Sam nabazgrał, w cichości i tajemnicy, i nikt nie wie, że leżą u niego te pieniądze, prócz lokaja Smerdjakowa, któremu bezgranicznie ufa. Oto już trzeci, czy czwarty dzień wypatruje u siebie Gruszeńki, tuszy, że ona przyjdzie po paczkę, zawiadomił ją, zaś ona odpowiedziała: „może i przyjdę". Otóż jeśli ona przyjdzie do starego, to czyż będę się z nią mógł ożenić? Rozumiesz ty teraz, dlaczego ja tu siedzę w sekrecie i czatuję?

— Na nią czatujesz?

— Na nią. Wynajmuję tu komórkę u tych kocmołuchów, tutejszych gospodyń. Tomasz, chłop z naszych stron, były mój żołnierz stróżuje tu, po nocach czuwa, a w dzień poluje na ptaki, z tego się utrzymuje. Siedzę tu

u niego; ani on, ani właścicielki nie znają sekretu, nie wiedzą, że ja tu na czatach siedzę.

— Tylko Smerdjakow wie?

— Tylko on. On mnie zawiadomi, kiedy ona przyjdzie do starego.

— To on ci opowiadał o paczce?

— On. Największy sekret. Nawet Iwan nic nie wie o niczem. Stary zaś Iwana wysyła na dwa, trzy dni do Czermaszni: zdarzył się kupiec na las, osiem tysięcy daje, ojciec więc prosi Iwana: pomóż mi, proszę cię, jedź sam na dwa trzy dni. Nie chce, aby Gruszeńka zastała Iwana.

— A więc dzisiaj spodziewa się Gruszeńki?

— Nie, dzisiaj ona nie przyjdzie, są oznaki. Napewno nie przyjdzie! — zawołał nagle Mitia. — Smerdjakow jest tegoż zdania. Ojciec teraz pije, siedzi przy stole z bratem Iwanem. Idź-że, Aleksy, poproś go o te trzy tysiące...

— Mitia, drogi, co z tobą jest! — zawołał Aljosza, zrywając się z miejsca i wpatrując się w nieprzytomną twarz Dymitra. Zdawało mu się, że Dymitr postradał zmysły.

— Co jest? Nie jestem obłąkany — odezwał się Dymitr Fedorowicz, patrząc jakoś uważnie i nawet uroczyście. — Posyłam cię do ojca i wiem, co mówię: wierzę w cud.

— Cud?

— Cud Opatrzności. Bóg czyta w mojem sercu. Widzi całą mą rozpacz. On widzi tę całą niedolę. Czy dopuści do tak straszliwej rzeczy? Aljosza, ja w cud wierzę, idź!

— Pójdę. Powiedz, czy tu będziesz czekał?

— Będę, rozumiem, że nie prędko, że nie można tak przyjść i odrazu buch! On teraz jest pijany. Będę czekał i trzy godziny, i cztery, i pięć, i sześć, i siedem, ale wiedz, że dziś, choćby nawet w północ, pójdziesz do Katarzyny Iwanownej *z pieniędzmi lub bez pieniędzy* i powiesz: „kazał kłaniać". Tak właśnie masz powiedzieć „kazał kłaniać".

— Mitia! I nagle Gruszeńka przyjdzie dziś... nie dziś, to jutro, albo pojutrze?

— Gruszeńka? Jak zobaczę, wtargnę i przeszkodzę...
— A jeżeli...
— A jeżeli, to zabiję. Żywcem nie ujdzie.
— Kogo zabijesz?
— Starego. A jej nie zabiję.
— Bracie, co ty mówisz!
— Nie wiem przecie, nie wiem... Może i nie zabiję, a może zabiję. Boję się, że znienawidzę go nagle w tej chwili, znienawidzę jego twarz. Nienawidzę jego podbródka, jego nosa, jego oczu, jego bezwstydnego szyderstwa. Wstrętem mnie przejmuje. Tego się boję. A nuż, nie pohamuję się...
— Pójdę, Mitia. Wierzę, że Bóg obróci wszystko na dobre i uchroni od złego.
— A ja będę siedział i cudu czekał. Ale, jeśli się nie spełni, to...
Aljosza, głęboko zamyślony, udał się do ojca.

VI.

Smerdjakow.

Rzeczywiście zastał jeszcze ojca przy stole. Fedor Pawłowicz obiadował jak zwykle w salonie, chociaż w domu była osobna jadalnia. Salonem zaś był największy pokój, umeblowany ze staroświecką pretensjonalnością. Sprzęty były bardzo stare, białe, z czerwonem półjedwabnem, bardzo zniszczonem obiciem. Między oknami wisiały długie zwierciadła, w kunsztownie rzeźbionych staromodnych ramach, również białych ze złoceniami. Na ścianach, pokrytych białą, w wielu miejscach popękaną tapetą wisiały dwa wielkie portrety: kontrefekt jakiegoś księcia, który trzydzieści lat temu był generał-gubernatorem, i archireja, dawno już spoczywającego w grobie. W kącie mieściło się kilka ikon, przed któremi na noc zapalano lampkę, aby i religji uczynić zadość i pokój oświetlić. Fedor Pawłowicz kładł się do łóżka zazwyczaj bardzo późno, o trzeciej, i nawet czwartej nad ranem; do tej pory przechadzał się zwy-

kle po pokoju lub siedział na fotelu i zapadał w zadumę. Taki już miał zwyczaj. Spędzał noce nieraz sam jeden w domu, przeważnie jednak zatrzymywał służącego Smerdjakowa, który w takich razach sypiał w przedpokoju na ławie.

W chwili wejścia Aljoszy obiad miał się już ku końcowi. Podano właśnie kawę i konfitury. Fedor Pawłowicz lubił po obiedzie zażywać słodyczy i koniaczku. Iwan Fedorowicz pił kawę. Obaj słudzy, Grzegorz i Smerdjakow, stali przy stole. Panowie jako też lokaje byli w niezwykle wesołych i podnieconych humorach. Fedor Pawłowicz zalewał się głośnym śmiechem; Aljosza w przedpokoju usłyszał piskliwy, tak mu dobrze znany śmiech ojca, i z intonacji zmiarkował, że ojciec nie jest jeszcze pijany, że tymczasem jest tylko podochocony.

— Otóż i on, otóż i on! — wrzasnął Fedor Pawłowicz, ciesząc się niezmiernie z przyjścia Aljoszy. — Przyłączysz się do naszego towarzystwa, siadaj, kawy się napijesz — postna, bracie, postna, ale gorąca i przewyborna! Konjaczku nie proponuję, wszak postnik z ciebie, a może chcesz, a może? Nie, ja ci lepiej likierek dam, paluszki lizać! — Smerdjakow, machnij się do kredensu, na drugiej półce na prawo, masz klucze, żywo, bracie!

Aljosza wymawiał się od likieru.

— Wszystko jedno, niech poda, nie dla ciebie, to dla nas — odrzekł Fedor Pawłowicz, wciąż rozpromieniony.— Ale poczekaj, czyś jadł obiad?

— Jadłem — odpowiedział Aljosza, mimo że całym jego dzisiejszym posiłkiem był glon chleba i szklanka kwasu, któremi uraczono go w kuchni ihumena. — Ale gorącej kawy napiję się z przyjemnością.

— Ty mój najmilejszy! Zuch z ciebie! Kawy się napije. Czy nie odgrzać? Chociaż nie, widzę, że kipi. Pyszna kawka, smerdjakowska. Względem kawy i kulebiaki Smerdjakow jest prawdziwym artystą i pod względem polewki rybiej również. Przyjdź kiedyś na polewkę, ale uprzedź zawczasu... Ale czekaj, czekaj przecież kazałem ci dziś przeprowadzić się z siennikiem i poduchami? Siennik sprowadziłeś? Che-che-che.

— Nie, nie sprowadziłem — odrzekł z uśmiechem Aleksy.

— A zląkłeś się, zląkłeś się przecież, co, zląkłeś się? Ach, ty, mój skarbie, czyż mógłbym ja ciebie skrzywdzić. Uważaj, Iwanie, nie mogę patrzeć jak on tak w oczy zagląda i śmieje się, doprawdy nie mogę. Wszystkie bebechy skręcają się do śmiechu, kocham-że go, Aljoszka, pójdź, dam ci błogosławieństwo ojcowskie.

Aljoszka podniósł się, lecz Fedor Iwanowicz zdążył zmienić zamiar. — Nie, nie, ja cię tylko przeżegnam, o tak, siadaj. Będziesz miał przednią przyjemność i to na swój temat. Uśmiejesz się, bracie. Wyobraź sobie, że oślica Balaama przemówiła i jak przemówiła, trzeba było posłuchać.

Oślicą Balaama okazał się lokaj Smerdjakow. Miał lat dwadzieścia cztery, ale był straszliwym mrukiem i odludkiem. A przecież nie był dziki, ani nieśmiały, wręcz przeciwnie charakter miał pyszałkowaty, i mogło się wydawać, że wszystkich ma w pogardzie. Widzę, że muszę tym razem przemycić o nim słów kilka. Wychowywali go Marta Ignatjewna i Grzegorz Wasiljewicz, ale chłopak rósł „przez nijakiej wdzięczności" jak wyrażał się Grzegorz. Był dzikim chłopcem, spoglądał na wszystkich z podełba. W dzieciństwie ulubionem jego zajęciem było wieszanie kotów, które następnie grzebał z ceremonją. W takich razach owijał się prześcieradłem, które miało zastępować komżę, i nucił i machał byle czem nad martwym kotem, naśladując popie ruchy. Czynił to oczywiście w największej tajemnicy, pokryjomu. Grzegorz nakrył go pewnego razu i potraktował rózgami. Dzieciak zaszył się w kąt i przez cały tydzień boczył się na wszystkich. „Nie lubi on nas, potwór zatracony, i nikogo nie lubi". — mawiał Grzegorz do Marty Ignatjewnej — „Coś ty za człek" — zwracał się nagle wprost do Smerdjakowa — „żaden z ciebie człek, z mokrości powstałeś w łazience, takiś ty"... Smerdjakow, jak się później okazało, nigdy mu nie mógł darować tych słów. Grzegorz nauczył go czytać i pisać, a kiedy malec dorósł dwunastu lat, począł go wdrażać w historję świętą. Wszakże nie wiele się to zdało. Któregoś razu, zdaje się,

że bodaj na drugiej czy trzeciej lekcji, chłopak uśmiechnął się nagle nad książką.

— Czego ty? — zapytał Grzegorz, groźnie patrząc przez okulary.

— Niczego. Światło Pan Bóg stworzył pierwszego dnia, a słońce, księżyc i gwiazdy czwartego. Skądże światło świeciło pierwszego dnia?

Grzegorz osłupiał. Chłopak szyderczo spoglądał na nauczyciela. W oczach jego malował się wyraz szczególnej wyniosłości. Grzegorz nie wytrzymał. „Ot skąd" — zawołał i wściekle trzepnął chłopca po twarzy. Ów nic nie odrzekł, lecz ponownie zaszył się w kąt na kilka dni. Po tygodniu uległ poraz pierwszy atakowi padaczki, która męczyła go odtąd do końca życia. Dowiedziawszy się o tem, Fedor Pawłowicz zmienił swój stosunek do podrzutka. Dotychczas odnosił się doń obojętnie, chociaż nigdy go nie beształ i przy spotkaniu dawał mu nawet po kopiejce. Niekiedy zaś, będąc w szczególnie dobrym nastroju, posyłał mu ze stołu jaki smakołyk. Ale dowiedziawszy się o chorobie, zaopiekował się chłopcem, zawezwał lekarza, kazał go nawet kurować, lecz niestety okazało się, że choroba jest nieuleczalna. Naogół ataki zdarzały się raz na tydzień, ale bardzo nieregularnie. Czasem były lekkie, a czasem wyjątkowo ciężkie. Fedor Pawłowicz zabronił surowo Grzegorzowi stosowania kary fizycznej, kres położył wszelkiej nauce i kazał wpuszczać malca do pańskich pokojów. Pewnego razu zauważył, że chłopak, który już miał podówczas piętnaście lat, krząta się koło szafy z książkami, i przez szybę odczytuje tytuły. Książek Fedor Pawłowicz miał dosyć wiele, przeszło setkę tomów, ale nigdy nie widziano go przy lekturze. Widząc zaciekawienie chłopca, wręczył mu klucz od szafy. „No czytaj sobie, będziesz bibljotekarzem, jak masz po dworze wankować, to lepiej siadaj i czytaj. Na początek bierz tę książkę" — Co mówiąc, wyjął ze szafy „Wieczory na Futorze" Gogola.

Mały przeczytał, ale snać nie bardzo mu się spodobało, bo ani razu się nie uśmiechnął, owszem, zasępił się nawet po przeczytaniu.

— Co? Nie śmieszy cię? — zapytał Fedor Pawłowicz.

Smerdjakow milczał.

— Gadaj-że, durniu jeden.

— To wszystko nieprawda — wybełkotał Smerdjakow z głupim uśmiechem.

— To się wypchaj, lokajska duszyczko. Poczekaj, masz Historję Powszechną Smaragdowa, tu już wszystko jest prawdą, czytaj.

Lecz Smerdjakow nie dociągnął do dziesiątej stronicy, widocznie nudziła go historja. Dość, że zamknęły się drzwiczki szafy. Niebawem Marta i Grzegorz donieśli Fedorowi Pawłowiczowi, że chłopak ni stąd ni zowąd począł okazywać wyjątkową drażliwość: jedząc zupę, bierze łyżkę, bełta, szuka, przygląda się uważnie, nachyla się, podnosi i bada.

— Pająk, czy co? — pyta czasem Grzegorz.

— Chyba mucha — odzywa się Marta.

Schludny młodzian nic nie odpowiada, ale powtarza to samo z chlebem, z mięsem, z każdą potrawą: podnosi kąsek na widelcu, patrzy jakby przez mikroskop i długo medytuje, zanim bierze do ust. „Widzieliśta go, jaki paniczyk" — burczał, patrząc nań, Grzegorz. Fedor Pawłowicz inaczej zareagował na tę wiadomość: postanowił wykształcić chłopca na kucharza, i wysłał go na naukę do Moskwy. Nauka trwała kilka lat. Smerdjakow wrócił ze stolicy bardzo zmieniony na twarzy. Zestarzał się jakoś niezwykle, nieodpowiednio do swych lat, zmarszczył się, zżółkł, sprawiał wrażenie trzebieńca. Moralnie zaś nie odmienił się zupełnie: był wciąż tym samym odludkiem i milczkiem, i obywał się doskonale bez wszelkiego towarzystwa. Jak się dowiedziano później, nieinaczej zachowywał się w Moskwie; stolica wywarła na nim jakoś wyjątkowo słabe wrażenie, coś tam widział i na tem przestał. Był wprawdzie raz jeden w teatrze, lecz wyszedł wielce niezadowolony. Ale zato wrócił z Moskwy w przyzwoitem ubraniu, w czystym tużurku i porządnej bieliźnie. Od tego czasu stale się czyścił, z niezmiernem upodobaniem smarował eleganckie swe obuwie specjalną angielską pastą i szorował do połysku lustrzanego. Kucharzem był znakomitym. Fedor Pawłowicz wyznaczył mu pensję, którą Smerdjakow

prawie w całości wydawał na ubranie, pomadki, perfumy i t. d. A jednak płcią piękną zdawał się równie pogardzać, jak i brzydką, w towarzystwie kobiet zachowywał się niezależnie, statecznie i nawet niedostępnie. Fedor Pawłowicz interesował się nim z innego jeszcze względu. Chodzi o to, że ataki padaczki zaczęły się coraz częściej powtarzać. W takich razach obiad przyrządzała Marta Ignatjewna ku wielkiemu niezadowoleniu Fedora Pawłowicza.

— Jaki jest powód pogorszenia? — zapytywał czasem Fedor Pawłowicz, patrząc na kucharza. — A możebyś się ożenił, hę? Chcesz, to cię wyswatam?

Smerdjakow bladł tylko ze złości i nic nie odpowiadał. Fedor Pawłowicz oddalał się, machnąwszy nań ręką. W jego stosunku do Smerdjakowa jedna okoliczność wysuwała się na pierwszy plan: ufał mu bezgranicznie, wierzył, że Smerdjakow cudzego nie weźmie i nie ukradnie. Zdarzyło się bowiem, że razu pewnego Fedor Pawłowicz, będąc pod dobrą datą, zgubił na własnem podwórzu trzy sturublowe banknoty, które niedawno przedtem był otrzymał. Stwierdził zaś zgubę dopiero nazajutrz po wytrzeźwieniu i począł nerwowo szperać po kieszeniach, a tu patrzy, wszystkie trzy banknoty leżą na stole. Skąd? Smerdjakow znalazł je w błocie i wczoraj jeszcze przyniósł. „No, bracie, takich jak ty w życiu jeszcze nie widziałem" — zaopinjował Fedor Pawłowicz i podarował mu dziesięć rubli. Trzeba dodać, że nie tylko wierzył w uczciwość Smerdjakowa, ale nawet lubił go poniekąd, mimo że ów przeważnie milczał i patrzał na swego dobroczyńcę równie niechętnie jak i na innych ludzi.

Zdarzało się niekiedy, że Smerdjakow w domu, na ulicy czy na podwórzu, zatrzymywał się, zapadał w zadumę i stał tak nieruchomo czasem nawet przez dziesięć minut. Fizjonomista orzekłby, że niema tu żadnej myśli, ani zadumy, że jest tylko jakieś zapatrzenie się. Malarz Kramski wymalował wspaniały obraz pod nazwą „Zapatrzony". Krajobraz zimowy, las, zaś w lesie na dróżce w podartej odzieży i łapciach chłopek, sam jak kołek, stoi jakby zadumany, ale nie myśli o niczem, jeno „zapatrzył się". Gdybyś go trącił, drgnąłby, popatrzał jakby ze snu wytrącony,

bezprzytomnem wejrzeniem. Ocmuchnąłby się rychło, lecz gdybyś go zapytał, o czem to myślał, nie umiałby sobie nic przypomnieć. Lecz napewnoby zataił owo głębokie wrażenie, które odczuwał przez czas „zapatrzenia się". Wrażenia owe są mu bardzo drogie, zbiera je zpewnością, nie zdając sobie z tego sprawy, nie wiedząc czemu i poco. Być może znienacka, uciuławszy przez wiele lat sporo takich wrażeń, porzuci wszystko i pójdzie na tułaczkę do Jerozolimy szukać zbawienia, a może sioło swoje z dymem puści, a może zrobi jedno i drugie. Wiele jest takich zapatrzonych wśród ludu. Jednym z takich był napewno Smerdjakow. Zapewne i on gromadził chciwie wrażenia owe, sam jeszcze niebardzo wiedząc w jakim celu.

VII.

Kontrowersja.

Lecz oślica Balaama nagle przemówiła. Temat był dziwny: Grzegorz, będąc rano za sprawunkami u kupca Łukjanowa, dowiedział się ciekawej historji o pewnym żołnierzu rosyjskim, którą podały tego dnia pisma. Żołnierz ów, wzięty do niewoli przez azjatów, mimo gróźb najstraszliwszych, nie chciał się wyrzec wiary i poniósł okropną śmierć męczeńską. Sławił i chwalił Chrystusa, gdy wrogowie zdzierali zeń pasy. Grzegorz powtórzył tę wiadomość obu panom przy obiedzie. Fedor Pawłowicz lubił po obiedzie przy deserze pośmiać się nieco i pogaworzyć, choćby nawet z Grzegorzem. Dziś zaś był w szczególnie lekkim i przyjemnie wylewnym nastroju. Cykając konjaczku, wysłuchał opowieść Grzegorza i orzekł, że takiego żołnierza należałoby natychmiast zamianować świętym, zaś zdarte z niego ciało umieścić w jakimś klasztorze: „To - to dopiero nazbierałoby się ludzi i floty". Grzegorz jeżył się, miarkował, że Fedor Pawłowicz nie jest wcale rozrzewniony, i że jak zwykle zacznie bluźnić. I oto naraz Smerdjakow, który stał pode drzwiami, skroił dziwny uśmiech.

— Ty czego się uśmiechasz? — zapytał Fedor Pawłowicz, rozumiejąc, że uśmiech ów dotyczy Grzegorza.

— A ja właśnie wedle tego — przemówił głośno Smerdjakow — że choć bohaterstwo tego chwalonego żołnierza było faktycznie wielkie, to przecież mojem zdaniem nie byłoby całkiem grzechu, gdyby się wyrzekł imienia, na ten przykład, Chrystusowego i własnego niby to chrztu, a przez to uratowałby swoje życie, aby dobremi uczynkami wygładzić chwilową małoduszność.

— Jakto nie byłoby grzechu? Łżesz, za takie gadanie będą cię w piekle smażyć jak baraninę — odpowiedział Fedor Pawłowicz.

W tej chwili nadszedł Aljosza. Fedor Pawłowicz, jak już wiemy, niezwykle się ucieszył z jego przyjścia.

— Na twój temat, na twój temat! — chichotał radośnie.

— Wedle baraniny to jeszcze wielkie zapytanie, i nic mi się za to stać nie może, i nie powinno się stać, jeśli faktycznie po sprawiedliwości mówić — odparł statecznie Smerdjakow.

— Jakto po sprawiedliwości — zawołał wesoło Fedor Pawłowicz, trącając Aljoszę kolanem.

— Podły on jest, ot co! — odezwał się naraz Grzegorz i ze złością spojrzał na wychowanka.

— Wedle podłości, to poczkajcie, Grzegorzu Wasiljewiczu, — odciął się spokojnie i powściągliwie Smerdjakow — a lepiej weźcie to na rozum, zastanówcie się, Grzegorzu Wasiljewiczu, że, jeżeli jestem w niewoli u katów chrześcijańskiego ludu, jeżeli żądają oni, ażebym przeklął imię Boże i wyparł się chrześcijańskiego chrztu, to jestem do tego odstępstwa upoważniony przez własny rozum, bo i żadnego faktycznie grzechu w tem niema.

— Mówiłeś już to, nie rozwlekaj, daj dowód — krzyknął Fedor Pawłowicz.

— Parzygnat — szepnął Grzegorz pogardliwie.

— Wedle parzygnata, to też poczkajcie, i nie wymyślając, zastanówcie się sami, Grzegorzu Wasiljewiczu. A bo, jak tylko powiem do oprawców ludu chrześcijańskiego: „Nie, nie jestem chrześcijanem, i Boga swego

prawdziwego przeklinam", to odrazu najwyższy Sąd Boży wyklina mnie natychmiastowo i specjalnie, i od świętego kościoła wyłącza, i staję się jako poganin urodzony. A dzieje się to faktycznie odrazu w oka mgnieniu, prędzej niż zdążę powiedzieć, niż zdążę pomyśleć, i nie upłynie nawet ćwierć sekundy, jak jestem wyłączony. Prawdę mówię, Grzegorzu Wasiljewiczu?

Ze specjalnem zadowoleniem zwracał się do Grzegorza Wasiljewicza, chociaż odpowiadał jedynie na pytania Fedora Pawłowicza. Zdawał sobie z tego sprawę; umyślnie się tak zachowywał jakby to Grzegorz zadawał mu owe pytania.

— Iwanie — krzyknął nagle Fedor Pawłowicz — nachyl się do mego ucha. To on dla ciebie się popisuje, chce, abyś go pochwalił. Pochwal go.

Iwan Fedorowicz wysłuchał z powagą rady ojca.

— Poczekaj, Smerdjakow, milcz przez chwilę — wykrzyknął znowu Fedor Pawłowicz — Iwanie, nachyl się jeszcze raz.

Iwan Fedorowicz znowu się nachylił z poczciwą miną.

— Kocham cię tak samo jak Aljoszkę. Nie myśl, że ja cię nie kocham. Konjaczku?

— Proszę. „A jednak porządnie się wstawił" — pomyślał Iwan Fedorowicz, przyglądając się bacznie ojcu. Smerdjakowa zaś obserwował z niezwykłem zainteresowaniem.

— Jużeś i tak przeklęty — zagrzmiał nagle Grzegorz — i jak ty śmiesz potem, zbereźniku podły, roztrząsać, jeżeli...

— Nie wymyślaj, Grzegorzu, nie wymyślaj — przerwał mu Fedor Pawłowicz.

— Poczkajcie kapkę, Grzegorzu Wasiljewiczu, ociupinkę jeszcze i posłuchajcie, bo ja jeszcze nie skończyłem. Owóż w tej samej chwili, jak Bóg mnie przeklnie, w tej samej chwileczce stanę się jakby wierutnym poganem, i chrzest mój i tak ze mnie spadnie. Prawdę mówię, czy nie?

— Kończ, bratku, kończ prędzej — naglił go Fedor Pawłowicz, z rozkoszą pociągając z kieliszka.

— A jeśli już nie jestem chrześcijanem, to pewnikiem, nie skłamałem oprawcom, kiedy pytali „Chrześcijan jesteś czy nie jesteś?", boć przecie sam Bóg obdarł mnie z wszelkiego chrześcijaństwa, z powodu myśli mojej, zanim zdążyłem coś powiedzieć oprawcom. A jeżelim już zdegradowany, to w jaki sposób i jakiem prawem będą mnie sądzić, na tamtym niby świecie, jak chrześcijana prawdziwego, za to, żem wyrzekł się Chrystusa, skoro ino za myśl samą, zanim wyrzekłem się Chrystusa, przekreślono faktycznie mój chrzest. Jeśli już nie jestem chrześcijanem, to nie mogę Pana Jezusa się wyrzec, bo i nie mam się czego wyrzekać, w takim niby to wypadku. Ktoby tam miał złość do Tatarzyna, Grzegorzu Wasiljewiczu, nawet w niebie, że nie urodził się jako chrześcijan, i ktoby go za coś takiego karał. Zaś Bóg Wszechmocny, jak się nawet gniewa na Tatarzyna po jego śmierci, to tak sobie, nie bardzo i karę mu wymierza najmniejszą (nie można całkiem bez kary), bo nie Tatarzyn jest winien faktycznie, że urodził się poganem z pogańskich rodziców. Nie może przecie Pan Bóg wziąć Tatarzyna i wmawiać, że chrześcijanem był. Bo mówiłby kłamstwo wierutne. Ano czy może Pan Bóg Wszechmocny, panujący nad niebem i ziemią, kłamać bodajby jednem najmniejszem słóweczkiem?

Grzegorz zdrętwiał, spoglądał na oratora wyłupionemi oczyma. Chociaż niezupełnie rozumiał, o co chodzi, coś tam jednak zmiarkował; miał minę człowieka, który naraz stuknął łbem o ścianę. Fedor Pawłowicz wychylił kieliszek do dna i zanosił się od piskliwego chichotu.

— Aljoszka, Aljoszka, co? Ach, ty kazuisto! U jezuitów był, czy co, Iwanie? Ach, ty jezuito śmierdzący, kto cię tego nauczył? Ale łżesz, kazuisto, łżesz, łżesz i łżesz. Nie płacz, Grzegorzu, my go w mig rozbijemy na miazgę. Ty mi powiedz, oślico jedna: przypuśćmy, że wobec oprawców masz słuszność, ale przecież sam ty w sercu swojem sprzeniewierzyłeś się wierze swojej, zresztą i sam przecie mówiłeś, że w onej chwili wyklęto cię, a skoro wyklęto, to za to w piekle nie będą się z tobą ceckać. Co ty o tem myślisz, nadobny jezuito?

— Niema wątpliwości, że sam w sobie wyrzekłem się,

ale faktycznie żadnego specjalnego grzechu tu nie było, a jeżeli był jaki grzech, to nader pospolity.

— Jakże to nader pospolity?

— Łżesz, przeklęty — syknął Grzegorz.

— Zastanówcie się sami, Grzegorzu Wasiljewiczu — rezolutnie i spokojnie kontynuował Smerdjakow, jakgdyby zdawał sobie sprawę ze swego zwycięstwa i szlachetnie oszczędzał pokonanego przeciwnika. — Zastanówcie się sami, Grzegorzu Wasiljewiczu, przecież napisane jest w samej Historji Świętej, że jeżeli macie wiarę choćby na tycie ziarenko, i mówicie do góry, żeby szła do morza, to pójdzie ona, nie zwlekając, na pierwsze wasze wezwanie. Cóż, Grzegorzu Wasiljewiczu, jeżeli ja jestem niewierzący, a wy jesteście faktycznie tak wierzący, że nawet stale mnie beształacie, to sprobujcież sami powiedzieć onej górze, aby (nie powiem do morza, bo do morza jest stąd daleko) aby, no, do rzeczki naszej cuchnącej weszła, do tej, co to za ogrodem naszym płynie, a wówczas zobaczycie w tej samej chwili, że ona nie tylko nie wejdzie, lecz zostanie na dawnem miejscu, w porzundku i całości, choćbyście nie wiem jak krzyczeli. A to znaczy, że i wy także nie wierzycie, Grzegorzu Wasiljewiczu, jak należy, a na innych za to pomstujecie. Zaś, jeśli zważyć, że nikt, nie tylko wy, Grzegorzu Wasiljewiczu, ale nikt przezwarunkowo, od najwyższych osób do ostatniego chama nie potrafi zepchnąć góry do morza, z wyjątkiem może jednego człowieka na całej ziemi — jednego albo najwyżej dwoch, którzy zbawiają się na pustyni egipskiej w tajemnicy, wskutek czego nikt ich nie znajdzie, — jeżeli tak jest, jeżeli wszyscy inni okazują się niedowiarkami, to czyż wszystkich tych innych, to znaczy ludność całej ziemi, oprócz tamtych dwoch pustelników, przeklnie Pan Bóg i, mimo miłosierdzie swoje, tak znane i rozsławione, nikomu z nich nie odpuści? A przetóż i ja tuszę, że chociem wątpił, nie będą jednak policzone mi grzechy moje, jeżeli wyleję łzy skruchy.

— Stój! — pisnął Fedor Pawłowicz w zenicie zachwytu — to jednak przyznajesz, że dwaj tacy istnieją, którzy mogą góry przenosić? Iwanie, zakarbuj to sobie w pamięci, zapisz: w tem wyraził się cały rosyjski człowiek!

— Słusznie ojciec zauważył, że to charakterystyczna cecha wiary ludu — zgodził się Iwan Fedorowicz z potakującym uśmiechem.

— Godzisz się! To znaczy, że tak jest, jeśli i ty się godzisz. Prawda, Aljoszka? Wszak rosyjska wiara jest taka akurat?

— Nie, wiara Smerdjakowa wcale nie jest rosyjska — stanowczo odrzekł Aljosza.

— Ja nie o wierze jego mówię, ale o tym rysie, o tych dwóch pustelnikach, o tym jednym charakterystycznym rysie: wszak to rys rosyjski, rdzennie rosyjski.

— Tak, ten rys jest rdzennie rosyjski — uśmiechnął się Aljosza.

— Dukata warte jest słowo twoje, oślico, i przyślę ci go dzisiaj niechybnie, ale pod innemi względami łżesz, łżesz i łżesz: wiedz, durniu jeden, że my tu wszyscy przez lekkomyślność nie wierzymy, ponieważ nie mamy nawet kiedy: po pierwsze, głowa jest wciąż zaprzątnięta interesami, a po drugie, Bóg nam mało czasu odmierzył, dał na dzień wszystkiego dwadzieścia cztery godziny, niema się nawet kiedy wyspać, cóż dopiero kajać się. A tyś się tam wiary swojej wyparł, kiedy nie było o czem innem myśleć i kiedy właśnie trzeba było wiarę swoją okazać! A to, bratku, chyba liczy się, tak ja myślę?

— Liczy się, to prawda, ale zastanówcie się sami, Grzegorzu Wasiljewiczu, tem lepiej, jeśli się liczy. Wszak gdybym wówczas wierzył w samą prawdę, jak wierzyć należy, tobym istotnie ciężki grzech popełnił, jeślibym się wiary swojej wyrzekł i na pogańską wiarę Mahometa przeszedł, ażeby się od śmierci męczeńskiej wykręcić. Ale przecież w takim razie nie byłoby faktycznie mowy o mękach, bo wystarczyłoby mi powiedzieć w tej chwili onej górze: ruszaj i zgnieć oprawcę, to ruszyłaby i natychmiast go jak pająka zgniotła, a jabym sobie poszedł jakby nigdy nic, chwaląc sobie Pana. A gdybym ja to wszystko w tej samej chwili wypróbował i umyślnie krzyczał do onej góry: zgnieć tych oprawców, a góraby faktycznie nie zgniotła, to jakżebym mógł w tejże chwili nie zwątpić, zwłaszcza w takiej strasznej godzinie śmiertelnego, wielkiego strachu. I przez

tego już wiem, że nie dostąpię Królestwa Bożego (bo przecież nie ruszyła na mój rozkaz góra, a więc nie bardzo tam cosik wierzą w moją wiarę i niewielka tam oczekuje mnie nagroda), pocóż przez wszelkiej dla siebie korzyści pozwolić z siebie pasy zdzierać? Bo, gdy nawet połowę skóry zdążą ze mnie zerwać, to i wówczas na moje słowo lub krzyk nie ruszy ona góra. W takiej-ci to chwili nietylko zwątpić można, ale nawet ze strachu i rozum postradać, a przeto zastanowienie wszelkie stracić. To czy faktycznie zawinię, jeźli, nie widząc ani tu ani tam dla siebie korzyści, czy nagrody, przynajmniej skórę swoją zachowam? Dlatego, ufając miłosierdziu Bożemu, mam nadzieję, że mi grzechy będą odpuszczone...

VIII.

Przy konjaczku.

Spór dobiegał końca. Rzecz dziwna, Fedor Pawłowicz tak dotychczas wesoły, pod koniec całkiem się zasępił. Zasępił się i kropnął jeszcze jeden, zbyteczny kieliszek konjaku.

— Wynoście się stąd, jezuici — krzyknął na służących. — Poszedł precz, Smerdjakow. Dziś dam ci obiecanego talara, a ty sobie idź. Nie płacz, Grzegorzu, idź do Marty, ułoży cię, pocieszy. Nie dają mu, kanalje, po obiedzie posiedzieć spokojnie — rzekł opryskliwie, gdy obaj służący wyszli z pokoju. — Smerdjakow tu codziennie przy obiedzie sterczy. To tyś go tak zaciekawił, powiedz mi, czem go przynęciłeś? — dodał, zwracając się do Iwana Fedorowicza.

— Niczem absolutnie — odparł Iwan. — Nie wiem, co mu strzeliło do głowy otaczać mnie takim respektem. To fagas i cham. Przednie mięso, zresztą, gdy pora nastąpi.

— Przednie?

— Będą inni lepsi, ale będą i tacy. Z początku będą tacy, a potem po nich lepsi.

— A kiedy pora nastąpi?

— Zapłonie rakieta i nie dopali się, być może. Tymczasem lud nasz nie bardzo lubi słuchać tych parzygnatów.

— Właśnie, właśnie, bracie, taka-ci oślica Balaama myśli i myśli i djabli wiedzą, do czego się domyśli.

— Ciuła myśli — rzekł z uśmiechem Iwan.

— Uważasz, wiem doskonale, że on mnie nie znosi, zresztą tak samo nie znosi i innych, i ciebie również, tak, chociaż ci się wydaje, że począł cię „respektem otaczać". A szczególnie niecierpi Aljoszki. Aljoszką gardzi. Ale nie kradnie, plotek nie roznosi, milczy, kulebiakę znakomicie pitrasi no i w dodatku, niech go tam flanela ogarnie. Doprawdy, czy warto o nim mówić?

— Oczywiście, że nie warto.

— A co się tyczy tego, do czego on się domyśli, to wogóle uważam, że rosyjskiego chłopa trzeba prać. Zawsze to twierdziłem. Rosyjski chłop to matacz, na urwisa tylko patrzy, nie warto go żałować, i całe szczęście, że jeszcze mu się od czasu do czasu plagi daje. Rosyjska ziemia stoi brzeziną, wytniesz las, to i ziemia przepadnie. Ja jestem bezwarunkowo za mądrymi ludźmi. Chłopów przestaliśmy prać, z wielkiej mądrości, ale oni się sami prać nie przestali. I dobrze czynią. Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzone będzie, czyli jak tam inaczej... Słowem, odmierzone będzie. Zaś Rosja — to świństwo. Przyjacielu drogi, gdybyś ty wiedział, jak ja nienawidzę Rosji... to znaczy nie Rosji, ale wszystkich tych świństw... a zresztą może i Rosji. Tout cela c'est de la cochonnerie. Wiesz, co ja lubię? Lubię dowcip.

— Znowu ojciec wypił. Już dosyć tego będzie.

— Poczekaj, ja jeszcze jeden kieliszek, i jeszcze jeden i na tem koniec. Nie, poczekaj, znowuś mi przerwał. W Mokrej byłem mimojazdem, nagabuję starego chłopa, a on mi odpowiada: „U nas, powiada, z wielką przyjemnością o byle co wymierza się dziewuchom cielesną karę; a piorą zwykle parobczaki. Przeważnie, którą dzisiaj ćwiczy, jutro do ołtarza prowadzi, to też, powiada, dziewczyniskom to i poręcznie". Co za markizowie de Sad, co? Jak uważasz, ale to wcale dowcipne. A możebyśmy tak pojechali i popatrzyli, co? Aljoszka, raka spiekłeś? Nie wstydź

się, dziecinko. Szkoda, że nie zostałem u ihumena na obiedzie, opowiedziałbym kapuzom o dziewkach z Mokrej. Aljoszka, nie gniewaj się, mój drogi, żem tego ihumena obraził. Opęta mnie czasem taka złość. Bo jeżeli jest Bóg, jeżeli istnieje, no to faktycznie jestem winien i za grzechy odpowiem, a jeżeli wcale Go niema, to nacóż nam oni, ojcowie twoi? Wszak w takim razie głowy im poodrąbać a i tego za mało, bo rozwój wszelki hamują. Uwierzysz mi, Iwanie, że mnie to korci do żywego. Nie, nie wierzysz, poznaję to po twoich oczach. Ty wierzysz ludziom, że twój ojciec jest tylko błaznem. Aljoszka, czy wierzysz, że jestem nietylko błaznem?

— Wierzę, że ojciec jest nietylko błaznem.

— Wierzę ci, że wierzysz i że mówisz szczerze. Szczerze ci z oczu patrzy i co masz w sercu, to na języku. Iwan — nie. Iwan jest zarozumiały... A jednak rozprawiłbym się z twoim monasterkiem. Wziąłbym całą tę mistykę i odrazu wyplenił ją z ziemi rosyjskiej, aby za jednym zamachem wszystkich dudków ucywilizować. A ileżby to srebra, ile złota wpłynęło do mennicy!

— I pocóż wypleniać? — odezwał się Iwan.

— Aby prawda rychlej zapanowała, poto wyplenić.

— Skoro ta prawda zapanuje, to przedewszystkiem ojca ograbią, a potem i... wyplenią.

— Ba! A właściwie bodaj czy nie masz racji. Ach, co za osioł ze mnie — zawołał nagle Fedor Pawłowicz, uderzając się w czoło. — No, to niech sobie tam stoi twój monasterek, Aljoszka, jeżeli tak ma być. A my, mądrzy ludzie, będziemy siedzieć w cieple i konjaczku smakować. Wiesz co, Iwanie, prawdopodobnie, że pewnikiem sam Bóg tak to specjalnie urządził? Iwanie, powiedz: czy jest Bóg czy go niema? Poczekaj: mów z całą stanowczością, poważnie! Czego się znowu śmiejesz?

— Śmieję się, bo ojciec sam poprzednio zrobił bardzo dowcipną uwagę na temat wiary Smerdjakowa w dwóch starców, którzy potrafią góry przenosić.

— Czy to podobne?

— Bardzo.

— Ano, to i ja jestem rdzennie rosyjskim typem, i ja

mam cechę rosyjską, a ciebie, filozofie mój, też można przyłapać na podobnych rzeczach. Chcesz, to złapię. Idźmy o zakład, że jutro złapię. A teraz odpowiedz, jest Bóg czy niema Go! Tylko poważnie. Teraz wymagam powagi.

— Nie, niema Boga.

— Aljoszka, jest Bóg?

— Jest Bóg.

— Iwanie, a nieśmiertelność, powiedzmy, maluśka no najmniejsza?

— Niema nieśmiertelności.

— Żadnej?

— Żadnej.

— To znaczy absolutne zero, albo jakaś ociupinka. A może jest jakaś ociupinka? Przecież chyba nie nicość!

— Absolutne zero.

— Aljoszka, jest nieśmiertelność?

— Jest.

— I Bóg i nieśmiertelność?

— I Bóg i nieśmiertelność.

— Hm! Prawdopodobnie Iwan ma słuszność. Boże, pomyśleć tylko, ile to wiary, ile wszelkich sił potracił człowiek nadaremnie na to marzenie, i to od tylu tysięcy lat! Kto sobie tak pokpiwa z człowieka, Iwanie? Po raz ostatni i stanowczo: jest Bóg czy niema? Po raz ostatni!

— I po raz ostatni niema.

— Któż sobie pokpiwa z ludzi, Iwanie?

— Djabeł, zapewne — uśmiechnął się Iwan Fedorowicz.

— A djabeł jest?

— Nie, djabła też niema.

— Szkoda. Do licha, cóżbym zrobił z tym, który pierwszy Boga wymyślił! Powiesiłbym go na suchej wierzbie, a i to za mało.

— Gdyby nie wymyślono Boga, nie byłoby cywilizacji.

— Nie byłoby? Bez Boga nie byłoby?

— Tak. I konjaczku tęższy nie było. A konjak trzeba będzie, chcąc nie chcąc, sprzątnąć ze stołu.

— Poczekaj, poczekaj, poczekaj, mój drogi, jeszcze jeden kieliszeczek. Obraziłem Aljoszkę. Aljoszka, nie

gniewasz się na mnie? Miły Aljoszeczka ty mój, ty mój najdroższy!

— Nie, nie gniewam. Znam myśli ojca. Serce wasze jest lepsze od głowy.

— Moje serce jest lepsze od głowy? Boże, i któż to mówi? Iwanie, czy kochasz Aljoszkę?

— Kocham.

— Kochaj go (Fedor Pawłowicz był już mocno podchmielony). — Posłuchaj, Aljoszka, postąpiłem po grubjańsku z twoim starcem. Ale byłem wzburzony. A wiesz, że starzec twój ma dowcip, cóż ty o tem myślisz, Iwanie?

— Może i ma.

— Tak, tak, il y a du Piron la — dedans. To jezuita, rosyjski, rozumie się. Jako szlachetna jednostka, dręczy się i gniewa zapewne, że musi udawać... robić z siebie świątka.

— Przecież wierzy w Boga.

— Nic podobnego. Nie wiedziałeś o tem? Wszak on to sam wszystkim mówi, bez ogródki, nie wszystkim oczywiście, ale wszystkim mądrym ludziom, którzy go odwiedzają. Gubernatorowi Szulcowi powiedział wręcz: „credo, ale nie wiem w co".

— Czyżby?

— Ależ tak. Lecz ja go bardzo szanuję. Ma w sobie coś z Mefistofelesa albo raczej z „Bohatera naszych czasów"... Arbenin, czy jak go tam... to znaczy, uważasz, lubieżnik z niego. Taki z niego lubieżnik, że nie byłbym pewny córki swojej ani żony, gdyby poszła do niego do spowiedzi. Wiesz, jak-ci zacznie opowiadać... Trzy lata temu zawezwał nas do siebie na herbatkę z likierkiem oczywiście (paniusie mu likierku dostarczają) jak-ci zaczął nas zabawiać, tośmy się śmiali do zdechu... Trzeba ci było słyszeć, jak pewną chorą niewiastę uzdrowił: „Gdyby mnie nogi nie bolały" rzekł „tobym wam tu wywinął taki jeden taniec". Co, jak ci się podoba? „W życiu swojem nabroiłem niemało". A Demidowowi, wiesz, kupiec taki, ściągnął sześćdziesiąt tysięcy.

— Jakto, ukradł?

— Ten przywiózł, jako do poczciwego człeka: „Scho-

waj, bratku" rzekł „jutro jest u mnie rewizja". A tamten schował. „Tyś przecież" powiada „na kościół ofiarował". Ja mu na to „łajdak jesteś" powiadam. Nie", powiada, „nie łajdak, lecz szeroka natura"... A zresztą, to nie on... To kto inny. Poplątało mi się... nie zauważyłem nawet. No, jeszcze kieliszeczek i dosyć będzie. Zabierz butelczynę, Iwanie. Zmyślałem, czemuś mnie nie powstrzymał, Iwanie... i nie powiedział, że zmyślam?

— Wiedziałem, że ojciec sam się powstrzyma.

— Łżesz, ty ze złości, jaką masz na mnie, tak, masz na mnie wark. Gardzisz mną. Przyjechałeś do mnie i w domu moim mną-że pogardzasz.

— To też wyjadę; na ojca konjak podziałał.

— Prosiłem cię, na miłość Boga, abyś do Czermaszni pojechał... na dzień, na dwa, ty nie jedziesz.

— Jutro pojadę, skoro ojciec tak nalega.

— Nie pojedziesz. Chciałbyś mnie podglądać, o to ci chodzi, zła duszo, ty dlatego nie pojedziesz?

Nie chciał się uspokoić. Doszedł do tego stopnia czmeru, kiedy i najłagodniejszy człowiek musi zrobić awanturę i postawić na swojem.

— Co ty na mnie gały wyłupiasz? Jakie ty oczy robisz? Oczy twoje gapią się na mnie i powiadają: „Pijana morda". Podejrzliwe są twoje oczy... Tyś, bracie, tu przyjechał nie bez kozery, szpakami jesteś karmiony. Patrz, Aljoszka spogląda i oczy mu błyszczą. Aljoszka nie gardzi mną. Aleksy, nie kochaj Iwana.

— Nie gniewajcie się, ojcze, na brata! Przestańcie go obrażać — odezwał się Aljosza stanowczym głosem.

— No cóż, ja nic. Ach, głowa mnie boli. Sprzątnij konjak, Iwanie, po raz trzeci to powtarzam. — Zamyślił się i naraz uśmiechnął się długim i przebiegłym uśmiechem. — Nie gniewaj się, Iwanie, na starego mazgaja. Wiem, że mnie nie kochasz, ale nie gniewaj się. Niema mnie za co kochać. Jedź do Czermaszni, a ja do ciebie przyjadę i podarunek przywiozę. Wskażę ci tam jedną dziewuszkę, dawno już zwróciłem na nią uwagę. Tymczasem jeszcze kopciuszek. Nie bój się kopciuszków, nie gardź — to perełki!

Cmoknął własne palce.

— Dla mnie — ożywił się nagle, jakgdyby otrzeźwiał, wpadłszy na swój ulubiony temat — dla mnie... Ech, wy chłopcy! Dzieciątka, prosiątka wy malusie, dla mnie... przez całe moje życie nie było brzydkiej niewiasty, oto moja zasada! Czy potraficie to zrozumieć? Gdzie wam tam rozumieć: w żyłach waszych jeszcze mleczko zamiast krwi krąży, nie wyłupiliście się jeszcze! Wedle mojej zasady, w każdej niewieście można znaleźć coś niezwykle, niech djabli biorą, ciekawego, czego żadna inna nie ma — lecz trzeba umieć to znajdować, w tem-ci cała sztuka. To-ci talent! Dla mnie nie było brzydkich; już to samo, że kobietą jest, już to jest połową wszystkiego... ale cóż wy tam możecie wiedzieć! Nawet stare panny, nawet w starych pannach znaleźć można czasem coś takiego, że z podziwu wyjść nie możesz, jakie to durnie ci samcy, że pozwolili jej zestarzeć się i dotychczas nie zauważyli! Kopciuszka i brzydką trzeba najsampierw zdziwić — trzeba, bracie, umieć się do nich brać. A tyś nie wiedział? Trzeba ją zdziwić, do zachwytu, do wstydu, że w takim kopciuszku jak ona zakochał się taki pan. Pyszne to, że zawsze są i będą chamy i panowie, że zawsze będzie taki cacany wycieruch i jej pan; nic innego przecież nie trzeba do szczęścia. Poczekaj... słuchaj, Aljoszka, ja twoją matkę tak zdziwiłem, ale w innym niby to sensie. Zdarzało się, że nic, tygodniami jej nie popieszczę, a tu naraz taka chwila się nadaje — naraz cały przed nią się rozpływam, buch do nóg, u stóp jej się tarzam, nóżki całuję i doprowadzam ją zawsze, zawsze — pamiętam to, jakby się teraz stało — do takiego maluśkiego śmieszku, dźwięcznego, niegłośnego, nerwowego, do takiego osobliwego śmieszku. Nigdy inaczej się nie śmiała. Wiem, niby, że tak się u niej atak zaczyna, że jutro miotać się będzie i wić i wizgać, i że ten spazm obecny, słabiutki nie wyraża żadnego zachwytu, no tak, chociaż to złudzenie, ale zawsze — zachwyt. Ot co znaczy umieć znajdować we wszystkiem taki jeden rys! Pewnego razu Bielawski — był tu taki gładysz i bogacz — zaczął się za nią włóczyć i do domu nawet zaglądać. Nagle u mnie w domu wyciął mi policzek siarczysty i to w jej obecności. I wyobraźcie sobie, taka niby to trusia — myślałem, że mnie zabije za ten poli-

czek; wpada-ci na mnie: Ty, powiada, teraz spoliczkowany jesteś, spoliczkowany, on cię spoliczkował! Ty, powiada, sprzedawałeś mu... I jakże on śmiał cię uderzyć w mojej obecności! I nie waż się do mnie przychodzić, nigdy, nigdy! Natychmiast biegnij i wyzwij go na pojedynek"... Ja ją wtenczas do monasteru zawiozłem, ojcowie nad nią modlitwę zmawiali. Ano, Bogiem się świadczę, Aljosza, nigdy nie krzywdziłem mojej „klikuszeczki"! Jeden raz tylko, może raz jeden, pierwszego roku: modliła się ona już wtedy bardzo wiele, przestrzegała świąt, zwłaszcza Matki Boskiej, i odpędzała mnie stale od siebie do gabinetu. Myślę sobie: wypłoszę z niej tę całą mistykę! „Widzisz, powiadam, widzisz, biorę twój obraz, masz go, oto zdejmuję ze ściany: patrzaj-że, ty go masz za cudotwórczy, a ja zaraz w twojej obecności splunę nań i nic mi się za to nie stanie!"... Jak zobaczyła, mój Boże, myślę sobie, zabije mnie ona teraz, bezwarunkowo zabije, lecz ona tylko zerwała się z miejsca, plasnęła w ręce, nagle zakryła twarz rękoma, zatrzęsła się cała i rymnęła na podłogę... osunęła się... Aljosza, Aljosza! Co ci jest, co ci jest!

Staruch skoczył przerażony. Od chwili, gdy zaczął mówić o nieboszczce żonie, Aljosza coraz bardziej zmieniał się na twarzy. Sponsowiał, oczy mu pałały, wargi trzęsły się nerwowo. Pijany starodub bryzgał śliną i nic nie widział, dopóki z Aljoszą nie zaczęło się dziać jotę w jotę to samo, co z nieszczęsną „klikuszką". Chłopak nagle zerwał się z miejsca, zupełnie tak samo, jak ongi jego matka, plasnął w dłonie, potem zakrył niemi twarz, opadł jak podcięty na krzesło i zatrząsł się od histerycznych bezgłośnych łkań. Fedora Pawłowicza poraziło przedewszystkiem jego niezwykłe podobieństwo do matki.

— Iwanie! Iwanie! Prędzej wody mu daj. Zupełnie jak ona, rumel w rumel jak ona, jak wówczas jego matka! Pryśnij na niego wodą z ust, ja tak z matką zrobiłem. O matkę swoją, o matkę... — bełkotał do Iwana.

— Przecież to i moją, sądzę, matką była jego matka, jak ojciec myśli? — krzyknął z niepohamowanym gniewem i pogardą Iwan.

Starzec dostrzegł ten nagły błysk w jego oczach i za-

drżał. I oto wyszła na jaw rzecz bardzo dziwna, chociaż coprawda chwilowa: starzec istotnie na chwilę utracił świadomość, że matka Aljoszy była również matką Iwana...

— Jakto twoja matka? — wymemłał, niewiele rozumiejąc — Coś ty? O jaką matkę?... czyżby ona... Ach, do kaduka! Przecież to i twoja! Ach, do kaduka! No, bracie, to zaćmienie, nigdy mi się nie zdarzało, wybacz, a ja myślałem, Iwanie... Che-che-che!

Urwał. Długi, pijany, napół bezmyślny uśmiech rozparł się na jego twarzy. I oto naraz, w tej-że chwili z przedpokoju doniósł się straszliwy zgiełk, dobiegły dzikie krzyki, drzwi otwarły się z hukiem, i do salonu wpadł Dymitr Fedorowicz. Staruch przypadł do Iwana, straszliwie przerażony:

— Zabije, zabije! Nie dawaj mnie, nie dawaj! — krzyczał, wpijając się palcami w połę jego surduta.

IX.

Lubieżnicy.

Za Dymitrem Fedorowiczem wdarli się do salonu Grzegorz ze Smerdjakowym. Oni to przed chwilą szamotali się z nim w przedpokoju, nie chcąc go wpuścić na skutek wyraźnego zlecenia Fedora Pawłowicza, wydanego kilka dni przedtem. Dymitr zatrzymał się na minutę, aby rozejrzeć się wokoło. Grzegorz wyzyskał tę krótką chwilę, okrążył stół, zamknął oba skrzydła drzwi do dalszych pokojów i stanął przed niemi ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, gotowy bronić wejścia do ostatniej, jak to się mówi, kropli. Na widok tego Dymitr wrzasnął, a raczej jakoś wizgnął i wpadł na Grzegorza.

— A więc tam ona jest! Tam ją schowali! Precz łajdaku!

Szarpnął starego, ale ów odepchnął go od siebie. Nie posiadając się ze wściekłości, Dymitr zamierzył się i z całej siły uderzył Grzegorza. Starzec runął jak podcięty, Dymitr zaś skoczył przez niego do drzwi. Smerdjakow stał na

drugim końcu salonu; blady i drżący przywarł do Fedora Pawłowicza.

— Ona tu jest! — krzyczał Dymitr Fedorowicz. — Widziałem na własne oczy, jak skręciła ku domowi, lecz nie mogłem jej dogonić. Gdzie ona jest? Gdzie ona?

Okrzyk ów „Ona tu jest" wywarł niezwykłe wrażenie na Fedorze Pawłowiczu. Cały jego przestrach jakgdyby momentalnie wywietrzał.

— Trzymaj go, trzymaj go! —wrzasnął i skoczył za Dymitrem Fedorowiczem.

Grzegorz tymczasem podniósł się z podłogi, ale był jeszcze mocno oszołomiony. Iwan Fedorowicz i Aljosza pobiegli za ojcem. W trzecim pokoju rozległ się brzęk tłuczonego szkła: to Dymitr strącił w biegu szklaną wazę, niebardzo kosztowną, stojącą na marmurowej podstawie.

— Łapaj go! — ryczał starzec. — Policja!

Iwan Fedorowicz i Aljosza dopadli wreszcie starca i przemocą wciągnęli go do salonu.

— Czego ojciec pędzi za nim! Jeszcze gotów ojca naprawdę zabić! — ofuknął go gniewnie Iwan Fedorowicz.

— Wanieczka, Ljoszeczka, więc ona jest tutaj, Gruszeńka jest tutaj: na własne oczy, powiada, widział, jak przemknęła...

Zachłysnął się. Nie oczekiwał teraz Gruszeńki, i naraz ta wiadomość, że ona jest tu, w domu, pozbawiła go nieledwie przytomności. Drżał od stóp do głów, i robił wrażenie obłąkanego.

— Ale ojciec sam widział, że nie weszła! — krzyczał Iwan.

— A może tamtem wejściem?

— Zamknięte jest tamto wejście, i sam ojciec ma klucz...

W tej chwili wrócił Dymitr. Istotnie stwierdził, że drugie wejście jest zamknięte na klucz, który w rzeczy samej leżał w kieszeni Fedora Pawłowicza. Wszystkie okna domu były również szczelnie zamknięte: zatem Gruszeńka nie mogła tu żadną miarą wejść, a tembardziej zpowrotem wyskoczyć.

— Trzymaj go! — pisnął Fedor Pawłowicz na widok Dymitra. — On mi z sypialni pieniądze ukradł!

Wyrwał się z ramion Iwana i rzucił się na Dymitra. Ów zaś podniósł obie ręce i nagle pochwycił starego za dwa ostatnie kosmyki, wegetujące na skroniach, szarpnął go do góry i z siłą grzmotnął o podłogę. Zdążył jeszcze ze dwa czy trzy razy kopnąć leżącego starca w twarz. Fedor Pawłowicz przeraźliwie stęknął. Iwan Fedorowicz, chociaż słabszy był od brata, objął go wpół i z całej siły oderwał od ojca. Aljosza pomógł mu, chwyciwszy Dymitra ztyłu.

— Szaleńcze, wszak zabiłeś go! — krzyknął Iwan.

— Dobrze mu tak! — zawołał, dusząc się, Dymitr. — Jak teraz nie zabiłem, to jeszcze wrócę, aby zabić. Nie dopilnujesz.

— Dymitr! Precz stąd w tej chwili! — krzyknął rozkazującym tonem Aljosza.

— Aleksy! Powiedz mi ty, tobie tylko uwierzę: była tu czy nie była? Widziałem ją na własne oczy, jak czmychnęła koło parkanu w tę stronę. Zawołałem, a ona uciekła...

— Przysięgam ci, że jej tu nie było, i że nikt się jej zresztą nie spodziewał!

— A ja ją widziałem... To znaczy, że ona... Zaraz się dowiem, gdzie ona jest... Żegnaj Aleksy! O pieniądzach teraz już nie mów z Ezopem, lecz do Katarzyny Iwanownej biegnij natychmiast i bezwzględnie: „kłaniać kazał, kłaniać. Właśnie kłaniać!" Opisz jej tę scenę.

Tymczasem Iwan i Grzegorz podnieśli starca i usadowili go na fotelu. Twarz miał zakrwawioną, ale był przytomny i chciwie słuchał krzyków Dymitra. Zdawało mu się wciąż, że Gruszeńka w rzeczy samej jest tu gdzieś w domu. Dymitr Fedorowicz na odchodnem zmierzył go nienawistnem spojrzeniem:

— Nie żałuję, żem krew twoją przelał! — zawołał — strzeż się, starcze, pilnuj swego marzenia, bo i ja mam marzenie! Przeklinam cię i wyrzekam się ciebie na zawsze...

Wybiegł z pokoju.

— Ona jest tutaj, na pewno jest tutaj! Smerdjakow

Smerdjakow — rzęził ledwo uchwytnym głosem Fedor Pawłowicz, przyzywając Smerdjakowa palcem.

— Niema jej tu, niema, szalony starcze — krzyknął ze złością Iwan. — Zemdlał! Wody, prześcieradła. Uwijaj się, Smerdjakow!

Smerdjakow wybiegł po wodę. Starca wreszcie rozebrano, zaniesiono do sypialni i ułożono na łóżku. Głowę przewiązano mu mokrem prześcieradłem. Zmęczony z konjaku, z mocnych wrażeń, odczuć i z pobicia, natychmiast, oparłszy głowę na poduszce, zamknął oczy i zasnął. Smerdjakow wynosił szczątki stłuczonej wazy, zaś Grzegorz stał przy stole, posępnie zapatrzony.

— Przydałyby się i tobie zimne okłady, i położyć się do łóżka — zwrócił się Aljosza do Grzegorza. — My tu będziemy czuwać; brat mój mocno cię uderzył... po głowie.

— Ośmielił się na mnie rękę podnieść! — ponuro i dobitnie odezwał się Grzegorz.

— On i na ojca „ośmielił się", nietylko na ciebie — odrzekł z grymasem Iwan Fedorowicz.

— Jam go w korytku kąpał... on ośmielił się na mnie! — powtarzał Grzegorz.

— Do djaska, gdybym go nie był oderwał, zabiłby może. Niewiele trzeba Ezopowi — szepnął Iwan Fedorowicz do Aljoszy.

— Uchowaj Boże! — zawołał Aljosza.

— Dlaczego uchowaj — kontynuował szeptem Iwan, złośliwie wykrzywiając twarz. — Jeden gad pożre drugą gadzinę, i słusznie się to stanie.

Aljosza wzdrygnął się.

— Rozumie się, nie dopuszczę do morderstwa, jak i teraz nie dopuściłem. Zostań tu, Aljosza, wyjdę trochę się przejść, głowa mnie boli.

Aljosza wrócił do sypialni i przesiedział koło wezgłowia za firaneczką blisko godzinę. Fedor Pawłowicz naraz otworzył oczy i długo patrzał na Aljoszę, snać przypominając sobie coś i skupiając myśli. Nagle niezwykłe wzburzenie odbiło się na jego twarzy.

— Aljosza — szepnął niespokojnie — gdzie Iwan?

— Na dworze, głowa go boli. On nas pilnuje.

— Podaj mi lusterko, tam stoi!

Aljosza podał mu małe, okrągłe, składane lusterko, które stało na komodzie. Starzec przyjrzał się sobie: nos mocno spuchnięty, a na czole nad lewą brwią duży brązowy siniak.

— Co mówi Iwan? Aljosza miły, jedyny mój synu, boję się Iwana bardziej niż tamtego. Tylko ciebie się nie boję...

— Niech ojciec nie boi się Iwana. Iwan gniewa się, ale obroni ojca.

— Aljosza, a tamten? Do Gruszeńki pobiegł! Drogi aniele mój, powiedz prawdę: czy była Gruszeńka, czy nie?

— Nikt jej nie widział. To nieprawda, nie była!

— Wszak Mitia chce się z nią ożenić, ożenić!

— Ale ona za niego nie wyjdzie.

— Nie wyjdzie, nie wyjdzie, nie wyjdzie, nie wyjdzie, żadną miarą nie wyjdzie!... — radośnie zatrząsł się starzec, jakgdyby nic nad to przyjemniejszego nie mógł w tej chwili usłyszeć. W zachwycie złapał rękę Aljoszy i mocno przycisnął ją do serca. Nawet łzy zakręciły mu się w oczach. — Obrazek tamten, Bogarodzicy, ten, o którym mówiłem poprzednio, możesz sobie wziąć i zabrać. I do monasteru pozwalam ci wrócić... to były tylko żarty, nie gniewaj się. Głowa mnie boli, Aljosza... Ljosza, ukój me serce, bądź aniołem, powiedz prawdę!

— Ojciec znowu o tem: była czy nie była? — zapytał z goryczą Aljosza.

— Nie, nie, nie, wierzę tobie, ale widzisz: idź ty sam do Gruszeńki, albo zobacz się z nią w inny sposób: wypytaj corychlej, czemprędzej, domyśl się sam, staraj się swem okiem rozpoznać: kogo ona chce, mnie czy jego? Co? Jak? Możesz czy nie możesz?

— Jak ją zobaczę, to zapytam — wyjąkał Aljosza, wielce zakłopotany.

— Nie, ona ci nie powie — przerwał starzec. — To bałamutka. Ona cię całować pocznie i powie, że za ciebie chce się wydać. Flader baba, bezwstydnica, nie, ty nie idź do niej, nie powinieneś iść.

— Niedobrze byłoby, ojcze, niedobrze, bardzo niedobrze.

— Dokąd-że on cię posyłał, krzyczał „idź", uciekając stąd?

— Do Katarzyny Iwanownej posyłał.

— Po pieniądze? Prosić o pieniądze?

— Nie, nie po pieniądze.

— Nie ma on pieniędzy, ani gronia. Słuchaj, Aleksy, poleżę sobie przez noc i wszystko to obmyślę, a ty tymczasem idź. Może i ją spotkasz... Tylko że przyjdź do mnie jutro rano; ale na pewno. Jutro ci jedno słówko powiem; przyjdziesz?

— Przyjdę.

— Jak przyjdziesz, to udawaj, że z własnej woli, żeś przyszedł mnie odwiedzić. Nikomu nie mów, że cię wzywałem. Iwanowi ani słówka.

— Dobrze.

— Żegnaj, aniele, ująłeś się za mną, do grobu nie zapomnę. Jutro ci jedno słówko powiem... tylko muszę jeszcze pomyśleć.

— A jak się ojciec czuje?

— Jutro już, jutro wstanę i pójdę, będę zdrów, zupełnie zdrów, zupełnie zdrów!...

Przechodząc przez podwórze, Aljosza zauważył brata Iwana. Siedział na przyzbie i zapisywał coś ołówkiem w notatniku. Aljosza oznajmił mu, że starzec obudził się zupełnie przytomny, i pozwolił mu wrócić na noc do klasztoru.

— Aljosza, z największą przyjemnością spotkałbym się z tobą jutro rano — rzekł Iwan, podnosząc się z serdecznością, która zaskoczyła Aljoszę.

— Jutro będę u pani Chochłakow — odpowiedział Aljosza. — Będę też może jutro u Katarzyny Iwanownej, o ile jej dziś nie zastanę...

— A teraz idziesz jednak do Katarzyny Iwanownej? To „kłaniać, kłaniać kazał"? — zapytał z uśmiechem Iwan.

Aljosza zmieszał się.

— Zdaje się, że zrozumiałem te okrzyki Dymitra, no

i coś jeszcze. Dymitr zapewne prosił cię, abyś poszedł do niej i powiedział, że on... no... no... słowem „kłaniać"?

— Bracie! Czemże się skończy ta straszna zwada ojca z Dymitrem? — zawołał Aljosza.

— Nie można napewno orzec. Może niczem: sprawa się rozpłynie. Ta kobieta to zwierz. W każdym razie trzeba trzymać starca w domu, Dymitra zaś nie wpuszczać.

— Bracie, pozwól, że cię jeszcze zapytam: czy istotnie każdy człowiek ma prawo zapytać, patrząc na innych ludzi, który z nich godzien jest żyć, a który nie godzien?

— Pocóż wtrącasz do tego zagadnienia kwestję godności? W sercach ludzkich pytania tego rodzaju rozstrzygają się nie na podstawie godności, lecz na innych podstawach, o wiele naturalniejszych. Co się tyczy prawa, to któż nie ma prawa pragnąć czegokolwiek?

— Ale przecież nie czyjej śmierci?

— A choćby nawet śmierci? Poco się okłamywać, kiedy wszyscy ludzie tak żyją, a nawet nie mogą inaczej żyć. Pijesz do mego powiedzenia „o gadach, które się nawzajem pożrą"? Pozwól wobec tego, że cię zapytam: czy sądzisz, że i ja jestem zdolny, podobnie, jak Dymitr, przelać krew Ezopa, no, zabić go, co?

— Cóż ty, Iwanie! Nigdy mi to przez myśl nie przeszło! Nie uważam też, aby Dymitr...

— Dziękuję ci i za to — uśmiechnął się Iwan. — Wiedz, że zawsze będę go bronił. Ale pragnieniom swoim zostawiam w danym wypadku zupełną swobodę. Dowidzenia, do jutra. Nie potępiaj mnie, i nie patrz na mnie jak na złoczyńcę — dodał z uśmiechem.

Uścisnęli sobie mocno dłonie, jak nigdy jeszcze dotychczas. Aljosza poczuł, że brat jego uczynił pierwszy krok ku zbliżeniu, i że zrobił to nie bez kozery, mając jakiś określony zamiar.

X.

Obie razem.

Aljosza wyszedł z domu ojca w stanie wyjątkowego rozstroju i przygnębienia. Umysł jego był rozbity i roz-

strzelony; jednocześnie zaś czuł, że boi się skupić rozstrzelone myśli i połączyć w ogólną ideę wszystkie dręczące sprzeczności, które przeżył w ciągu tego dnia. Jego stan ducha graniczył prawie z desperacją, której serce jego nigdy jeszcze dotąd nie zaznało. Nad wszystkiem górowało główne, fatalne i nie dające się rozwiązać pytanie: czem skończy się kłótnia ojca i Dymitra o tę straszną kobietę? Teraz już on sam był świadkiem. On sam widział to starcie ojca z synem. Zresztą nieszczęśliwym, ostatecznie i straszliwie nieszczęśliwym mógł tu być tylko brat Dymitr: to na niego dybało wciąż nieszczęście. Wyłoniły się przytem inne postacie, których wszystko to dotyczyło, może nawet w stopniu o wiele większym, niż to się mogło Aljoszy wydawać. Wyłoniła się jakaś zagadka. Brat Iwan uczynił pierwszy krok ku zbliżeniu, Aljosza pragnął tego od tak dawna, a jednak przejęło go to jakimś lękiem. Pozatem, te kobiety? Rzecz dziwna: przedtem szedł do Katarzyny Iwanownej z niezwykłem zakłopotaniem, teraz zaś zakłopotanie znikło; owszem, spieszył do niej, jakgdyby spodziewał się znaleźć u niej rozwiązanie zagadki. A przecież miał teraz znacznie trudniejsze zlecenie: sprawa trzech tysięcy była ostatecznie rozstrzygnięta, to też brat Dymitr, czując się teraz obdartym z czci i nadziei, oczywiście nie zatrzyma się przed żadnym upadkiem. Nadomiar kazał jeszcze powtórzyć Katarzynie Iwanownej scenę, która się rozegrała w domu ojca.

Była już godzina siódma, i zmierzch zapadał, kiedy Aljosza wszedł do Katarzyny Iwanownej. Zajmowała ona w naszem mieście przestronny i bardzo wygodny dom przy ulicy Wielkiej. Aljosza wiedział, że Katarzyna Iwanowna mieszka z dwiema ciotkami. Jedna z nich była zresztą ciotką siostry Katarzyny Iwanownej, Agafji; było to ciche zafukane stworzenie, które swego czasu mieszkało w domu podpułkownika. Druga zaś ciotka była otyła i szanowita moskiewska dama, uboga krewna. Powiadano, że obie kobiety ulegały we wszystkiem woli Katarzyny Iwanownej i bawiły przy niej jedynie dla zachowania etykiety. Katarzyna Iwanowna zaś zdawała sprawę ze swych czynności wyłącznie swojej dobrodziejce, generałowej, która

z powodu choroby została w Moskwie. Pisywała do tej ciotki dwa razy tygodniowo obszerne listy z najdrobniejszemi szczegółami o sobie.

Gdy Aljosza wszedł do przedpokoju i kazał się zameldować służącej, która otworzyła mu drzwi, w salonie wiedziano już o jego przyjściu (być może zauważono go przez okno). W tej chwili usłyszał gwar, szelest spódniczek, odgłos szybkich kroków, jakgdyby dwie czy trzy kobiety wybiegły z pokoju. Zdziwiło go bardzo, że jego przybycie może wywołać takie zamieszanie. Wprowadzono go jednak niezwłocznie do salonu. Był to obszerny pokój, zastawiony eleganckiemi meblami w stylu wielkomiejskim. Było tu mnóstwo kanap i sof, kanapek, małych i większych stolików; na ścianach wisiały obrazy, na stołach stały wazy i lampy, wszędzie pełno kwiatów, a na oknie nawet akwarjum. O tej godzinie zmierzchu było tu dosyć ciemno. Aljosza zauważył na kanapie, na której zapewne przed chwilą ktoś siedział, niedbale porzuconą jedwabną mantylę, a na stole przed kanapą dwie niedopite filiżanki czekolady, biszkopty, bakalje na kryształowym talerzyku i cukierki na drugim. Aljosza sądząc, że trafił na przyjęcie, zmarszczył się niezadowolony. Ale w tej chwili uniosła się portjera i do pokoju szybkim krokiem weszła Katarzyna Iwanowna, z zachwyconym uśmiechem wyciągając do Aljoszy obie ręce. Jednocześnie pokojówka postawiła na stole dwie zapalone świece.

— Dzięki Bogu, nareszcie pan przyszedł! Cały dzień dzisiejszy modliłam się do Boga, aby mi zesłał pana! Niechże pan siada.

Uroda Katarzyny Iwanownej uderzyła już Aljoszę za pierwszym pobytem, trzy tygodnie temu, kiedy brat Dymitr zawiózł go przedstawić narzeczonej. Podobno sama Katarzyna Iwanowna bardzo pragnęła go poznać. Rozmowa wówczas zresztą niezbyt się kleiła. Katarzyna Iwanowna myślała, że Aljosza jest bardzo skonfudowany, chcąc zatem go oszczędzić, zwracała się prawie wyłącznie do Dymitra Fedorowicza. Aljosza milczał, ale wiele rzeczy zauważył. Uderzyła go zwłaszcza hardość, dumna swoboda, pewność siebie wyniosłej dziewczyny. Nie było to złudzeniem, Al-

josza zdawał sobie sprawę, że nie przesadza. Stwierdził, że ogromne, czarne, płomienne jej oczy są przepiękne, i wspaniale harmonizują z bladą, jakgdyby nawet nieco blado-żółtą, podłużną twarzą. Ale w oczach tych, jako też w rysunku przepięknych ust było coś, w czem brat jego mógł się zakochać do szaleństwa, czego jednak nie można było długo kochać. Aljosza wypowiedział tę myśl swoją szczerze, skoro Dymitr po wizycie zaczął go natarczywie wypytywać o wrażenie.

— Będziesz z nią szczęśliwy, ale być może... szczęśliwy, ale nie w spokoju.

— Tak, tak, bracie, takie kobiety nie zmieniają się. One się przed losem nie ukorzą. A więc myślisz, że nie będę jej kochał wiecznie?

— Nie, może ją będziesz wiecznie kochał, ale, być może, nie będziesz z nią zawsze szczęśliwy...

Aljosza rumienił się ustawicznie i wogóle wyrzucał sobie z gniewem, że uległ prośbom brata i wypowiedział takie „głupie" myśli. Albowiem mniemanie jego wydawało mu się wyjątkowo głupie, ledwo je wyrzekł. Zresztą wstyd mu było tak arbitralnie odzywać się o kobietach. Jakże się zdziwił teraz i zawstydził, gdy z pierwszego wejrzenia stwierdził, że twarz Katarzyny Iwanownej zadaje kłam jego ówczesnej opinji. Tym razem bowiem promieniowała niekłamaną, prostoduszną dobrocią, prostą i płomienną szczerością. Z dawnej „dumy i wyniosłości", która tak silne wrażenie wywarła na Aljoszy, została teraz tylko śmiała, szlachetna energja, i jakaś jasna, potężna wiara we własne siły. Aljosza zrozumiał z pierwszego wejrzenia, z pierwszych jej słów, że cały tragizm jej sytuacji w stosunku do tak ukochanego człowieka nie jest dla niej tajemnicą, że być może wie już ona o wszystkiem, o wszystkiem bez wyjątku. A jednak, mimo to biła od niej taka jasność, taka wiara w przyszłość! Aljosza poczuł się względem niej poważnie i świadomie winnym. Zdobyła go i przejednała odrazu. Zauważył też odrazu, że jest niezwykle podniecona, poprostu bliska egzaltacji.

— Dlatego tak bardzo oczekiwałam pana, że tylko pan może mi powiedzieć całą prawdę — i nikt inny!

— Przyszedłem... — bąknął zmieszany Aljosza — ja... on mnie tu wysłał...

— Ach, to on pana przysłał, o tak, przeczuwałam to. Teraz wszystko wiem, wszystko! — zawołała Katarzyna Iwanowna, ciskając z oczu błyskawice. — Poczekaj pan, Aleksy Fedorowiczu, powiem panu uprzednio, dlaczego tak pana wypatrywałam. Widzi pan, ja, być może, o wiele więcej wiem, niż pan sam, nie chodzi mi o wiadomości. Chodzi mi o to:muszę znać pana własne, osobiste, ostatnie wrażenie, które on na panu wywarł, chodzi mi o to, aby pan mi opowiedział w najprostszej, w brutalnej nawet formie (o, może być najbrutalniejszej!) — co pan sam myśli o nim, i o jego sytuacji po dzisiejszem spotkaniu? Będzie to może lepsze, niż gdybym ja sama, do której on nie chce już przychodzić, rozmówiła się z nim osobiście. Rozumie pan, czego od pana wymagam? Teraz, niech mi pan powie, co panu kazał powiedzieć (wiedziałam, że on pana przyśle) — proszę, niech pan mówi, bez ogródki, niech pan powie ostatnie słowa.

— Kazał... kłaniać, i że już nigdy nie przyjdzie... i pani kłaniać.

— Kłaniać? Tak powiedział, tak się wyraził?

— Tak.

— A może przypadkiem, mimowoli omylił się, użył tego słowa nierozmyślnie, bez zastanowienia?

— Nie, kazał mi właśnie powtórzyć te słowa „kazał kłaniać". Prosił ze trzy razy, abym nie zapomniał powtórzyć dokładnie.

Katarzyna Iwanowna oblała się rumieńcem.

— Niech mi pan pomoże, Aleksy Fedorowiczu, teraz właśnie potrzebna mi pomoc pana: powiem panu, co ja myślę, a pan tylko odpowie na to, czy słusznie, czy niesłusznie? Niech pan posłucha: gdyby mi się kazał kłaniać mimochodem, nie przywiązując wagi do tego, jak pan powtórzy, nie podkreślając słów, to wówczas — byłoby... Wszystko byłoby skończone!... Ale jeżeli specjalnie kładł nacisk na to słowo, jeśli szczególnie polecił panu oddać mi ten *ukłon* — to znaczy, że był wzburzony, że może nie panował nad sobą? Zdecydował się i zląkł decyzji! Nie odszedł

ode mnie twardym krokiem, lecz zleciał z góry. Podkreślenie tego słowa świadczy tylko o brawurze...

— Tak, tak! — potwierdził z zapałem Aljosza — i mnie się to samo wydaje.

— A jeżeli tak jest w istocie, to on jeszcze nie zginął! Jeszcze rozpacza, ale ja mogę go uratować. Niech pan poczeka: czy nie mówił panu o pieniądzach, o trzech tysiącach?

— Nietylko mówił, ale to, zdaje się, najbardziej go gnębi. Powiedział, że teraz jest zgubiony na honorze, i że już wszystko mu jedno — odpowiedział z zapałem Aljosza, czując, jak nadzieja zaczyna wstępować w jego serce. Może istotnie znajdzie się jakieś wyjście i ratunek dla brata? — Ale czy podobna, aby pani wiedziała... o tych pieniądzach? — dodał i raptownie urwał.

— Wiem już dawno i z całą pewnością. Wysłałam do Moskwy telegram z zapytaniem, i wiem oddawna, że nie przekazał pieniędzy. Nie posłał, a ja milczałam. Ale w tym tygodniu dowiedziałam się, naco mu były potrzebne pieniądze... Założyłam sobie jeden cel: aby dowiedział się, do kogo wrócić i kto mu jest przyjacielem najwierniejszym. Nie, on nie chce wierzyć, że jestem mu najwierniejszym przyjacielem, nie chciał mnie zrozumieć, patrzy na mnie wyłącznie jak na kobietę. Przez cały tydzień gnębiła mnie troska straszliwa: jak tu urządzić, aby nie musiał się wstydzić z powodu sprzeniewierzenia tych trzech tysięcy? A raczej, niechaj się wstydzi wszystkich i siebie samego, tylko nie mnie. Wszak Bogu wszystko wyznaje, nie wstydząc się bynajmniej. Dlaczego on jeszcze dotąd nie wie, że jestem gotowa dla niego wszystko znieść? Dlaczego, dlaczego nie zna mnie, i jak on śmie nie znać mnie po tem wszystkiem, co między nami zaszło? Chcę go uratować na wieki. Niech zapomni o mnie, jako o narzeczonej swojej! Wszak panu, Aleksy Fedorowiczu, nie bał się zwierzyć? Czemuż to ja dotąd nie zasłużyłam na to?

Ostatnie słowa wypowiedziała przez łzy, które nagle trysnęły jej z oczu.

— Muszę pani opowiedzieć — odezwał się drżącym

głosem Aljosza — o awanturze, która zaszła między nim a ojcem.

Opowiedział całą scenę. Dodał, że Dymitr posłał go do ojca po pieniądze, ale że następnie sam wtargnął do domu, pobił ojca, zaczem jeszcze raz dobitnie kazał mu iść do niej i „kłaniać"... — Poszedł do tej kobiety... — skończył cicho Aljosza.

— A pan myśli, że ja tej kobiety nie zniosę? On myśli, że ja jej nie zniosę? Ale on się z nią nie ożeni — roześmiała się naraz nerwowo. — Czy Karamazow może wiecznie pałać taką namiętnością? To namiętność a nie miłość. On się nie ożeni, ponieważ ona wcale nie wyjdzie za niego... — uśmiechnęła się znowu dziwnie Katarzyna Iwanowna.

— A może się ożeni — odrzekł smutnie Aljosza, spuszczając oczy.

— Nie ożeni się, powiadam panu. Ta dziewuszka — to anioł, czy wie pan o tem? Czy wie pan o tem! — zawołała nagle z niezwykłą żarliwością Katarzyna Iwanowna. — To najfantastyczniejsze z fantastycznych stworzeń! Wiem, jaka ona czarująca, ale wiem też, jaka dobra, stanowcza i szlachetna. Co pan tak na mnie spogląda, Aleksy Fedorowiczu? Może to pana dziwi, może pan nie wierzy? Agrafeno Aleksandrowna, aniele mój! — zawołała naraz do przyległego pokoju — niech pani do nas przejdzie, to miły człowiek, to Aljosza, on wie o wszystkiem, niechże mu się pani pokaże!

— Właśnie czekałam za portjerą, aby mnie pani wezwała — odezwał się miękki, nawet cokolwiek zbyt ckliwy głos kobiecy.

Portjera uniosła się i... sama Gruszeńka, roześmiana i uradowana, doszła do stołu. Aljosza poczuł, że coś mu się w sercu zapadło. Wlepił w nią oczy i nie mógł ich oderwać. Otóż i ona, ta straszna kobieta, „zwierz" jak pół godziny przedtem wyrwało się Iwanowi. A jednak przed nim stała, zdawałoby się, najzwyklejsza napozór i najprostsza istota — dobra, miła kobieta, powiedzmy, piękna, ale tak podobna do wszystkich innych pięknych, lecz „pospolitych" kobiet! Prawda, była bardzo piękna, bardzo nawet — ro-

syjska piękność, za którą tak wielu przepada. Dosyć wysoka, trochę tylko niższa od Katarzyny Iwanownej (bo ta była zupełnie wysoka) pełna, dorodna, o miękkich, jakby bezgłośnych nawet ruchach, jakgdyby również wydelikaconych do szczególnej ckliwej wyprawy podobnie zresztą jak głos jej. Podeszła — nie jak Katarzyna Iwanowna — mocnym, rzeźkim krokiem; wręcz przeciwnie — zupełnie bezgłośnie. Kroków jej wcale nie było słychać. Miękko osunęła się na krzesło, miękko zaszeleściła swą pyszną, czarną, jedwabną suknią, pieszczotliwym ruchem tuląc białą pełną szyję i szerokie plecy drogim ciemnym szalem wełnianym. Miała dwadzieścia dwa lata, i na tyle wyglądała. Cera jej była biała z wysokim bladoróżowym rumieńcem. Owal twarzy był jakgdyby za szeroki, a dolna szczęka nieco wystająca. Górna warga była cienka, dolna zaś nieco wysunięta, dwakroć pełniejsza i jakby lekko spuchnięta. Ale przepiękne bujne ciemno blond włosy, ciemne sobole brwi i prześliczne szarobłękitne oczy o długich rzęsach ściągnęłyby na nią uwagę nawet najobojętniejszego i najbardziej roztargnionego przechodnia i na długo zostałyby mu w pamięci. Aljoszę uderzył przedewszystkiem dziecięcy, prostoduszny wyraz jej twarzy. Spoglądała jak dziecko, cieszyła się jak dziecko, podeszła właśnie do stołu „ciesząc się" i jakby spodziewając się czego niezwykłego z dziecięcem, niecierpliwem i ufnem zaciekawieniem. Spojrzenie jej radowało duszę — Aljosza doświadczył tego po sobie. Było w niej coś jeszcze, z czego nie mógł i nie umiałby sobie zdać sprawy, ale co i na niego podziałało nieświadomie, mianowicie owa właśnie miękkość, delikatność ruchów, owa ich kocia cichość. A przecież było to ciało jędrne i pełne. Pod szalem odznaczały się szerokie pełne plecy, wysoka, młoda pierś. Przyrzekało ono jakgdyby — przeczuwało się to wyraźnie — kształty Wenus Milońskiej, chociaż — nawet już teraz — w nieco przesadzonej proporcji. Znawcy rosyjskiej niewieściej urody mogliby nieomylnie przepowiedzieć, patrząc na Gruszeńkę, że ta świeża, jeszcze dziewczęca piękność koło trzydziestki straci harmonję, rozleje się i że rysy jej twarzy zgrubieją, że bardzo prędko pojawią się zmarszczki wokoło oczu i na czole, że cera zbrzydnie,

że wystąpią może plamy — słowem, że to piękność chwilowa, piękność przelotna, która jest nierzadkiem zjawiskiem u Rosjanek. Aljosza oczywiście nie myślał o tem; atoli chociaż oczarowany, pytał siebie z jakiemś przykrem odczuciem, jakby z ubolewaniem: „dlaczego ona tak przeciąga słowa, i nie potrafi mówić naturalnie?“ Zapewne dopatrywała się szczególnego wdzięku w takiem przeciąganiu zgłosek i dźwięków i w zbyt słodkim akcencie. Był to, rozumie się, zły nałóg najgorszego tonu, świadczący o kiepskiem wychowaniu, o wulgarnie od dzieciństwa pojętej dystynkcji. Jednakże wymowa ta i intonacja słów wydawała się Aljoszy nieledwie niemożliwem przeciwieństwem dziecięco-prostodusznego i radosnego wyrazu twarzy, tego cichego, szczęśliwego jak u dziecka promieniowania oczu! Katarzyna Iwanowna posadziła ją na fotelu naprzeciw Aljoszy i z zachwytem pocałowała ją kilkakrotnie w roześmiane wargi. Można byłoby sądzić, że się w niej durzy.

— Widzimy się po raz pierwszy, Aleksy Fedorowiczu — odezwała się z upojeniem. — Chciałam ją poznać, zobaczyć, chciałam pójść do niej, ale ona na pierwsze moje życzenie przyszła sama. Wiedziałam, że we dwie rozstrzygniemy wszystko, wszystko! Tak me serce przeczuwało... Proszono mnie, abym zaniechała tego zamiaru, ale ja przeczuwałam, że to się na dobre obróci i nie zawiodłam się. Gruszeńka wszystko mi wyjaśniła, wszystkie swoje zamiary: niby anioł dobry sfrunęła do mnie i przyniosła pokój i radość...

— Nie pogardziła mną miła, dobra panienka — śpiewnie zaszczebiotała Gruszeńka z tym samym miłym, radosnym uśmiechem.

— Zabraniam używać takich słów, urocza czarodziejko! Gardzić panią! Jeszcze raz pocałuję panią w dolną wargę. Wygląda, jakby była lekko spuchnięta, a będzie jeszcze bardziej spuchnięta, jeszcze, jeszcze... Niech pan popatrzy, Aleksy Fedorowiczu, jak się ona śmieje, serce się raduje, gdy się spogląda na tego anioła...

Aljosza rumienił się i drżał niedostrzegalnie.

— Pieści mnie pani, droga panienko, a może nawet wcale nie warta jestem tych pieszczot.

— Nie warta! Ona nie warta! — zawołała wciąż z tym samym zapałem Katarzyna Iwanowna. — Niech pan wie, Aleksy Fedorowiczu, że jesteśmy fantastyczną główką, że mamy swawolne, kapryśne, ale dumne, wyniosłe serduszko! Jesteśmy wdzięczną, Aleksy Fedorowiczu, wielkoduszną naturą, czy wie pan o tem? Byłyśmy tylko nieszczęśliwą dziewczynką. Zbyt łatwo zaufałyśmy niegodziwemu czy może lekkomyślnemu człowiekowi. Był taki jeden, oficer, pokochałyśmy go, wszystko poświęciłyśmy, dawno już temu, pięć lat będzie, a on o nas zapomniał i z inną się ożenił. Teraz owdowiał, napisał list, przyjeżdża tu — i proszę sobie zapamiętać, że tylko jego, jego jedynego kochamy dotąd i kochałyśmy całe życie! Przyjedzie on, i Gruszeńka znowu będzie szczęśliwa, a przez te pięć lat była bardzo nieszczęśliwa. Ale któż ją potępi, kto może przechwalać się, że zdobył jej względy! Jeden tylko starzec beznogi, kupiec — ale on był raczej naszym ojcem, przyjacielem naszym, opiekunem. On zastał nas wtedy w rozpaczy, w cierpieniach, porzuconą przez tego, któregośmy tak kochały... tak, wszak utopić się chciała wówczas, wszak starzec ów uratował ją, uratował!

— Bardzo mnie już pani broni, miła panienko, bardzo mnie pani rozpieszcza — zaśpiewała znowu Gruszeńka.

— Bronię? Czy ja mogę bronić, czy śmiałabym bronić? Gruszeńka, aniele mój, niech mi pani da swoją rączkę; popatrz pan na tę pulchniutką, drobniusią, śliczną rączką, Aleksy Fedorowiczu; widzi ją pan, ona mi szczęście przyniosła i wskrzesiła mnie, ja ją całować będę zaraz, i z góry i wewnątrz, tak, tak, i tak!

Trzykrotnie, jakby w upojeniu pocałowała istotnie śliczną, zbyt może pulchną rączkę. Gruszeńka z nerwowym, dźwięcznym, ślicznym śmieszkiem przypatrywała się, jak „miła panienka“ całuje jej rękę. Prawdopodobnie sprawiało jej to wielką przyjemność. „Może nawet przesadna egzaltacja“ — przemknęło przez myśl Aljoszy. Zarumienił się. Serce jego było przez cały czas jakoś szczególnie niespokojne.

— Niech mnie pani nie zawstydza, miła panienko, całując rączkę moją wobec Aleksego Fedorowicza.

— Czy chciałam panią tem zawstydzić? — zapytała nieco zdziwiona Katarzyna Iwanowna — ach, miła moja, jak mnie pani brzydko rozumie!

— Pani mnie może wcale nie tak rozumie jak trzeba, miła panienko, ja może jestem o wiele gorsza, niż to pani się zdaje. Serce mam złe, samowolna jestem. Ja Dymitra Fedorowicza wówczas dla śmiechu zbałamuciłam.

— Ale zato teraz go pani ratuje. Dała pani słowo. Pani mu otworzy oczy, pani mu wyzna, że kochasz innego, oddawna, człowieka, który teraz chce panią poślubić...

— Ach, nie dawałam ja pani takiego słowa. To pani sama mi mówiła, lecz ja nie dawałam.

— A więc źle panią zrozumiałam — odrzekła Katarzyna Iwanowna, jakgdyby blednąc zlekka. — Pani przyrzekła...

— Ach nie, anielska panienko, niczego ja pani nie przyrzekałam — cicho i spokojnie, wciąż z tym samym wesołym i niewinnym wyrazem przerwała jej Gruszeńka. — Teraz widać, wielmożna panienko, jaka ja wobec pani jestem zła i kapryśna. Co zechce, to i robię. Może nawet i przyrzekłam co pierwej, ale teraz myślę sobie znowu: a nuż on mi się znowu spodoba, Mitia — już raz mi się przecie podobał,całą godzinę podobał mi się. Może ja teraz pójdę i powiem mu zaraz, aby już u mnie od dnia dzisiejszego został... Taka ja jestem niestała...

— Przedtem mówiła pani... zupełnie co innego... — ledwo szepnęła Katarzyna Iwanowna.

— Ach, przedtem! Wszak serce mam delikatne, głupie. Bo pomyśleć tylko, ile on przeze mnie wycierpiał! I nagle do domu wrócę i żal mi go będzie — to i co wtedy?

— Nie spodziewałam się...

— Ech, panienko, jaka pani dobra, szlachetna w porównaniu ze mną. Ot teraz może przestanie pani kochać taką durną za mój zły charakter. Niech mi pani poda swoją rączkę, panienko anielska — prosiła tkliwym tonem i jakgdyby z pietyzmem ujęła dłoń Katarzyny Iwanownej. — Ot ja, panienko miła, rączkę waszę wezmę i pocałuję tak, jak pani moją pocałowała. Pani mi trzy razy pocałowała, a ja, żeby się skwitować, musiałabym ze trzysta razy pocało-

wać. Niech już tak będzie, a potem, co Bóg da, może ja będę niewolnicą pani i zechcę jak niewolnica słuchać pani. Jak Bóg zechce, tak niech będzie, bez żadnych między nami umów i obietnic. Rączka, rączka jaka milusia! Panienko moja miła, śliczności moje najpiękniejsze!

Cicho podniosła tę rączkę do ust swoich, coprawda z dziwnym zamiarem: aby skwitować pocałunki. Katarzyna Iwanowna nie cofnęła ręki: z nieśmiałą nadzieją słuchała ostatniego dość dziwnego przyrzeczenia Gruszeńki, że ta może będzie jej słuchać jak niewolnica; z natężeniem zaglądała jej w oczy: ujrzała w nich wciąż ten sam prostoduszny, ufny wyraz, tę samą pogodną wesołość... „Ona może jest tylko bardzo naiwna" — myślała z otuchą w sercu Katarzyna Iwanowna. W tym czasie Gruszeńka, jakgdyby zachwycając się „miłą rączką", powoli podnosiła ją do ust, lecz już przy samych ustach nagle zatrzymała ją na dwie czy trzy sekundy, jakgdyby się nad czem zastanawiając.

— A wie pani co, aniele mój — zaśpiewała naraz najczulszym i najsłodszym głosikiem. — Wie pani co: wezmę ja rączkę pani i nie pocałuję.

Zarazem roześmiała się cichym, wesołym śmieszkiem.

— Jak pani chce... Co się pani stało? — wzdrygnęła się nagle Katarzyna Iwanowna.

— Niechże to pani sobie zachowa na pamiątkę, że pani moją rączkę całowała, a ja paninej rączki nie — odezwała się Gruszeńka z błyskiem w oczach. Co mówiąc, z wyjątkową mocą wpatrywała się w oczy Katarzyny Iwanownej.

— Arogantka! — rzekła nagle Katarzyna Iwanowna, jakby dopiero teraz zrozumiała. Zarumieniła się i zerwała z miejsca. Gruszeńka podniosła się również, ale ruchem powolnym.

— A ja Miti zaraz opowiem, jak to pani całowała moją rączkę, a ja paninej nie całowałam. To się dopiero uśmieje!

— Łajdaczka, precz!

— Ach, jaki wstyd mówić takie słowa, ach, jaki wstyd, nie przystoi panience mówić coś takiego, panienko moja miła.

— Precz stąd, dziewko przedajna! — wrzasnęła Katarzyna Iwanowna. Każdy rys jej twarzy drżał z oburzenia.

— Zaraz przedajna. Sama panienka biegała o zmroku po kawalerskich mieszkaniach, urodę swoją sprzedawać za pieniądze, czy ja nie wiem.

Katarzyna Iwanowna krzyknęła; chciała się rzucić na Gruszeńkę, ale Aljosza powstrzymał ją w porę.

— Ani słowa, ani kroku! — zawołał, trzymając ją mocno. — Niech pani nie mówi, niech pani nie odpowiada, ona odejdzie, zaraz odejdzie!

W tej chwili, zwabione krzykiem Katarzyny Iwanownej wbiegły do pokoju obie jej krewne i służąca. Wszystkie one rzuciły się ku Katarzynie Iwanownej.

— Odejdę, a jakże — odrzekła Gruszeńka, zrywając z kanapy mantylę — Aljosza, najmilszy, odprowadź mnie!

— Niech pani odejdzie, prędzej, prędzej — błagał ją Aljosza ze złożonemi rękoma.

— Miły Aljoszeńka, odprowadź mnie! Ja ci po drodze jedno słóweczko dobre powiem! Ja to dla ciebie, Aljoszeńka, tę scenę urządziłam. Odprowadź, kochasiu, później będziesz rad.

Aljosza odwrócił sie, załamując ręce. Gruszeńka z dźwięcznym śmiechem wybiegła z domu.

Katarzyna Iwanowna dostała ataku histerycznego. Łkała, spazmy ją dusiły. Wszyscy się koło niej krzątali.

— Uprzedzałam cię — mówiła starsza ciotka — powstrzymywałam cię od tego kroku... jesteś zbyt porywcza... jakże można było coś podobnego zrobić! Nie znasz takich kreatur, a ta podobno jest gorsza od innych... Nie, za bardzo jesteś uparta!

— To tygrysica! — wrzasnęła Katarzyna Iwanowna. — Dlaczego mnie pan zatrzymał, Aleksy Fedorowiczu, byłabym ją zbiła, zbiłabym ją.

Nie mogła zapanować nad sobą mimo obecności Aljoszy. A może nawet nie chciała nad sobą panować.

— Takąby trzeba na szafocie, pletniami, publicznie, wobec wszystkich!...

Aljosza wycofał się ku drzwiom.

— Lecz, Boże! — zawołała naraz Katarzyna Iwa-

nowna, klasnąwszy w dłonie — lecz on! On mógł być tak nikczemny, tak nieludzki! On śmiał opowiedzieć tej dziewce, co zaszło między nami owej fatalnej, przeklętej, na wieki przeklętej godziny! „Biegała urodę swoją sprzedawać, miła panienko!" Ona wie o tem! Brat pana jest szubrawcem, Aleksy Fedorowiczu.

Aljosza chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów. Serce ściskało mu się z bólu.

— Niech pan idzie, Aleksy Fedorowiczu! Wstydzę się, to straszne! Jutro... błagam pana na klęczkach, niech pan jutro przyjdzie. Niech mnie pan nie potępia, proszę mi wybaczyć, nie wiem, co ze sobą zrobię!

Aljosza wyszedł na ulicę, chwiejąc się na nogach. Chciało mu się płakać, podobnie jak Katarzynie Iwanownej. Wkrótce dogoniła go służąca.

— Panienka zapomniała wręczyć panu list od pani Chochłakow. Leży już od obiadu.

Aljosza przyjął machinalnie kopertę i, nie zdając sobie z tego sprawy, wsunął ją do kieszeni.

XI.

Jeszcze jedna zgubiona reputacja.

Odległość do monasteru nie wynosiła więcej jak wiorstę z okładem. Aljosza szybkim krokiem szedł po bezludnej o tej porze drodze. Była już prawie noc, z trzydziestu kroków trudno było cokolwiek odróżnić. W połowie drogi, na rozstaju, pod osamotnionym wiązem majaczyła jakaś postać. Ledwo Aljosza podszedł, postać owa szarpnęła się, rzuciła ku niemu i dzikim głosem wrzasnęła:

— Pieniądze lub życie!

— To ty, Mitia — zdziwił się Aljosza, wzdrygnąwszy się mimowoli.

— Cha-cha-cha! Nie oczekiwałeś tu? Myślę sobie: gdzieby tu na ciebie zaczekać? Koło jej domu? Stamtąd

rozchodzą się trzy drogi, mógłbym cię jeszcze nie zauważyć. Wkońcu postanowiłem tu cię wypatrywać, ponieważ niema innej drogi do monasteru. No, wyłóż całą prawdę, zdepcz mnie jak pająka... Ale co ci jest?

— Nic, bracie... ja tak z przestrachu. Ach, Dymitrze! Przedtem ta krew ojcowska (Zapłakał, dawno mu się już zbierało na płacz, ale dopiero teraz coś mu się załamało w duszy) — O mało co go nie zabiłeś... przekląłeś go... i oto... teraz... tutaj... żarty sobie stroisz... pieniądze lub życie!

— Abo co! Nieprzyzwoicie, czy jak? Nie licuje z położeniem?

— Ależ nie... ja tak...

— Stój. Popatrz na nockę: widzisz, jaka mroczna, obłoki jakie, wiatr jaki zadął? Schroniłem się tu, pod wiązem, czekam ciebie i nagle pomyślałem sobie: (Bóg mi świadkiem!) i pocóż będę się tłukł po świecie, poco czekać? Oto i wiąz, chustkę mam przy sobie, koszula jest, powróz zaraz się skręci, szelki na dokładkę — i uwolnić ziemię od takiego brzemienia, nie będę jej bezcześcił niegodną swą istotą! I oto słyszę: idziesz — Panie Boże, jakgdyby coś mnie nagle nawiedziło: przecież jest taki człowiek, którego i ja kocham, wszak to on, ten człowieczek, braciszek mój miły, którego najbardziej na świecie kocham, którego jedynie na świecie kocham! I tak cię pokochałem, tak cię w tej chwili kochałem, żem pomyślał sobie: rzucę mu się odrazu na szyję? No i głupia myśl strzeliła mi do głowy: „ubawię go, przerażę". I wrzasnąłem jak głupi: „pieniądze!" Wybacz mojej głupocie — to tylko tak, napozór, zaś w duszy mojej... też niebardzo... Ano, pal sześć, mów-że, co tam słychać? Co ci ona powiedziała? Zgnieć mnie, depcz, nie oszczędzaj! W złość wpadła?

— Nie, nie to... Tam było zupełnie co innego, Mitia. Tam... Zastałem tam obydwie razem.

— Jakto obydwie?

— Gruszeńkę i Katarzynę Iwanowną.

Dymitr Fedorowicz zdrętwiał.

— To być nie może! — zawołał. — Bredzisz chyba! Gruszeńka u niej?

Aljosza opowiedział mu wszystko, co widział u Katarzyny Iwanownej. Opowiadał dziesięć minut, niezbyt coprawda płynnie i składnie, ale plastycznie, chwytając istotne słówka i ruchy i dobitnie wyrażając nieraz jednem słówkiem swoje własne uczucia. Dymitr słuchał w milczeniu, oczy mu w słup poszły, ale pomimo to Aljosza wiedział, że brat wszystko rozumie i uprzytamnia sobie całą scenę. Twarz jego nabierała coraz mroczniejszego wyrazu, a raczej, mówiąc właściwie, coraz groźniejszego. Nachmurzył brwi, zaciął zęby, spoglądał coraz uporczywiej i straszliwiej... I ku zdziwieniu Aljoszy znienacka oblicze to, dotąd gniewne i srogie, zmieniło się jaskrawie z niepojętą wprost szybkością, zaciśnięte szczęki rozluźniły się, i Dymitr naraz zalał się niepohamowanym śmiechem. Literalnie zalewał się śmiechem i od śmiechu nie mógł przez długi czas słowa przemówić.

— I wkońcu nie pocałowała rączki! Nie pocałowała, i uciekła! — wykrzykiwał z chorobliwym zachwytem — można byłoby powiedzieć z bezczelnym zachwytem, gdyby ten zachwyt nie był tak szczery i niewymyślny. — Więc tamta krzyczała, że to tygrysica! Tak jest, tygrysica! Więc ją na szafocie trzeba smagać? Tak, tak, trzebaby, trzeba, sam jestem tego zdania, że trzeba i to już dawno! Widzisz, bracie, niech będzie szafot, ale przedtem trzeba wyzdrowieć. Pojmuję królowę arogancji, całą ją tu masz, cała w tej rączce się wyraziła, piekielnica? Królowa wszystkich piekielnic, jakie tylko istnieć mogą na świecie! W swoim rodzaju zachwycające! Więc do domu uciekła? Zaraz ja... ach... Biegnę do niej! Aljoszka, nie potępiaj mnie, zgadzam się przecież, że zadusić ją to za mało...

— A Katarzyna Iwanowna! — zawołał ze smutkiem Aljosza.

— I tę widzę, widzę nawylot, i tak, jak nigdy jeszcze dotąd! Tu nastąpiło odkrycie wszystkich czterech, czy tam pięciu części świata! Ważyć się na taki krok! To ta sama Katienka, pensjonareczka, która do głupiego, gburowatego oficera przybiegła, nie zawahała się narazić na straszną zniewagę, gdy trzeba było uratować ojca! Ale hardość ta nasza, pragnienie ryzyka, ale wyzwanie, rzucone losowi, wy-

zwanie w nieskończoność! Powiadasz, że tamta ciotka powstrzymała ją? Ta ciotka, widzisz, sama jest hardą babą, to przecie rodzona siostra owej moskiewskiej generałowej, swego czasu jeszcze bardziej od tamtej zadzierała nosa, ale mężusia przyłapano na kradzieży grosza rządowego, zabrano im wszystko, majątek i cały dobytek, więc od tego czasu spuściła nos na kwintę i do tej pory już nie podniosła. Więc ona powstrzymała Katię, ale nadaremnie. „Wszystko, niby, mogę pokonać, wszystko mi ulega, zechcę to i Gruszeńkę oczaruję". Przecież sama wierzyła, sama przeciągnęła strunę, któż więc temu winien? Myślisz może, że ona specjalnie, nieszczerze pierwsza pocałowała rączkę Gruszeńki, z chytrego wyrachowania? Nie, ona naprawdę, naprawdę zakochała się w Gruszeńce, to znaczy nie w Gruszeńce, ale w swojem marzeniu, w swojem majaczeniu — jako że to *moje* marzenie, *moje* majaczenie! Drogi mój, Aljosza, jakżeś od nich, od takich salwował się? Uderzyłeś w nogi, podkasawszy habit? Cha-cha-cha!

— Bracie, tyś na to nie zwrócił uwagi, jaką wyrządziłeś krzywdę Katarzynie Iwanownej, żeś Gruszeńce opowiedział o tamtym dniu. Gruszeńka rzuciła jej teraz w oczy, że ona sama „po kawalerskich mieszkaniach sprzedawać swoją urodę chodziła!" Bracie, czy można gorzej znieważyć?

Aljoszę raziło to niezmiernie, że Dymitr zdaje się jakgdyby cieszyć z poniżenia Katarzyny Iwanownej, chociaż to było niemożliwe.

— Ba! — nachmurzył się naraz Dymitr Fedorowicz i uderzył się w czoło. Dopiero teraz zwrócił na to uwagę, chociaż Aljosza wszystko mu już opowiedział i nie zapomniał o zniewadze i o krzyku Katarzyny Iwanownej: „Brat pana jest szubrawcem!" — Tak, istotnie, być może, że opowiedziałem Gruszeńce o owym „fatalnym dniu" jak mówi Katia. — Tak, tak jest, opowiadałem, przypominam sobie! To było wówczas w Mokrej, byłem pijany, cyganki śpiewały... Ale wszak szlochałem, szlochałem wówczas sam, stałem na kolanach, modliłem się do obrazu Kati, i Gruszeńka doskonale to rozumiała. Ona wówczas wszystko zrozumiała, przypominam sobie, że i sama płakała... A, u licha!

czy mogło teraz być inaczej? Wówczas płakała, a teraz, teraz „sztylet w serce!" Baby tak zawsze.

Sposępniał i zamyślił się.

— Tak, szubrawiec jestem! Niewątpliwie szubrawiec — przemówił nagle ponurym głosem. — Wszystko jedno, czy płakałem, czy nie, wszystko jedno szubrawiec! Powiedz tam, że przyjmuję to określenie, jeśli to może ją pocieszyć. No i na tem koniec, bądź zdrów, nie warto mówić! Nic wesołego. Ty swoją drogą, a ja swoją. I już nie chcę cie więcej widzieć, aż do jakiejś tam ostatniej minuty. Żegnaj, Aleksy!

Mocno uścisnął rękę Aljoszy i z opuszczoną posępnie głową szybko podążył w kierunku miasta. Aljosza patrzał za nim, spodziewając się, że brat jeszcze zawróci.

— Stój, Aleksy, jeszcze jedno wyznanie, tylko tobie! — zawrócił naraz Dymitr. — Popatrz na mnie, popatrz uważnie: o tu, o tu — szykuje się straszliwa nikczemność. (Mówiąc „o tu" Dymitr uderzał się pięścią w pierś, jakimś dziwnym gestem, jakgdyby nikczemność w rzeczy samej leżała tu właśnie na piersiach, w jakiemś miejscu, w kieszeni, albo na szyi, zaszyta w torebce). Znasz mnie już: łajdak, łajdak zawołany! Ale wiedz, że nic z tego, co zrobiłem dotychczas, co robię teraz i co może zrobię w przyszłości — nie może się równać podłością z tą nikczemnością, którą w tej chwili właśnie noszę tu na piersi swej, o tu, tu — która działa i urzeczywistnia się, i którą mogę bezwzględnie powstrzymać lub wykonać. Ale wiedz, zapamiętaj to sobie, że wykonam, i nie powstrzymam. Wszystko ci już dziś opowiedziałem, tylko tego nie, albowiem i moje czoło nie było dość wytarte! Mogę się jeszcze zatrzymać; jeślibym się zatrzymał, tobym jutro mógł odzyskać połowę utraconej czci, ale ja się nie zatrzymam, urzeczywistnię podły zamysł, i ty bądź mi świadkiem, że ja to zgóry i wszystkim oświadczam! Zatracenie i mrok! Nie trzeba wyjaśniać, dowiesz się w swoim czasie. Smrodliwy zaułek i piekielnica! Żegnaj. Nie módl się za mnie, niewart jestem, nie trzeba zresztą, nie potrzebuję zupełnie... to zbyteczne! Precz!...

I oddalił się znienacka, tym razem ostatecznie. Aljo-

sza udał się w stronę klasztoru. „Jakto, jakże to: nigdy go nie zobaczę, co on wygaduje?" — myślał — „jutro go napewno zobaczę i odszukam, specjalnie odszukam, co on tu wygaduje!..."

Okrążył monaster i przez sosnowy lasek wszedł wprost do pustelni. Otworzono mu furtkę, chociaż o tej godzinie nie wpuszczano już nikogo. Drżało mu serce, gdy wszedł do celi starca: „Czemu, czemu wyszedł, czemu starzec go wysłał „w świat"? Tu cisza, tu świątynia, a tam — zamęt, tam mrok, w którym odrazu gubisz się i błądzisz..."

Zastał w celi kleryka Porfirjusza i ojca Paisego, który w ciągu tego dnia co godzinę przychodził się informować o zdrowiu starca Zosimy. Aljosza ze strachem dowiedział się, że stan starca coraz bardziej się pogarsza. Nawet zwykła wieczorna pogadanka z braćmi nie mogła się dzisiaj odbyć. Zazwyczaj wieczorkiem po nabożeństwie a przed snem zbierali się codziennie zakonnicy w celi starca. Każdy z nich na głos wyznawał całodzienne swe błędy, grzeszne marzenia, myśli, pokusy, nawet kłótnie, o ile one się zdarzały. Niektórzy spowiadali się na klęczkach. Starzec odpuszczał grzechy, jednał, wymierzał pokutę, błogosławił, żegnał. Przeciw tym to właśnie „spowiedziom" występowali swego czasu przeciwnicy starców, twierdząc, że jest to profanacja spowiedzi, jako sakramentu, że jest to nieledwie bluźnierstwo, aczkolwiek oczywiście było to zupełnie co innego. Oskarżali nawet przed władzą kościelną, że takie spowiedzi nietylko nie osiągają dobrego celu, ale co więcej wwodzą w grzech i pokuszenie. Niektórzy pono braciszkowie zakonni chętnieby nie szli do starca, ale że wszyscy to czynią, więc i oni idą, aby nie uchodzić za dumnych i zbuntowanych. Opowiadano przytem, że niektórzy braciszkowie przed spowiedzią umawiają się ze sobą: „powiem, niby, że gniewałem się na ciebie dzisiaj, a ty potwierdzisz" — byleby coś powiedzieć, byleby się tego pozbyć. Aljosza wiedział, że tak się istotnie czasem zdarzało. Wiedział również, że niektórzy zakonnicy są wielce oburzeni,

iż nawet listy od krewnych wedle panującego tu zwyczaju otwiera i czyta najpierw starzec, a później dopiero adresat. W zasadzie oczywiście wszystko to miało się odbywać swobodnie i szczerze, z całej duszy, w imię wolnej pokory i zbawiennego pouczenia, lecz w praktyce wychodziło nieraz bardzo nawet nieszczerze, fałszywie i wykrętnie. Wszakże starsi i bardziej doświadczeni upierali się przy swojem, uważając, że „kto prawdziwie przyszedł do tej pustelni szukać zbawienia, ten będzie miał wielką korzyść z tego posłuszeństwa i z tych zbawczych czynów; który zaś naodwrót, narzeka i buntuje się, ten i tak nie jest prawdziwie zakonnikiem i niepotrzebnie siedzi w monasterze, zamiast żyć w świeckiej tuczy. Od grzechu zaś i djabła nigdzie, nawet w świątyni ustrzec się nie można, a zatem niema co pobłażać grzechowi."

— Osłabł, senność go opadła — rzekł szeptem ojciec Paisy, pobłogosławiwszy Aljoszę. — Trudno nawet obudzić. Ale nie trzeba. Obudził się sam na pięć minut, prosił, aby oddać błogosławieństwo jego braciom, a dla siebie prosił o modlitwy nocne. Jutro zamierza jeszcze raz przyjąć komunję świętą. Wspominał o tobie, Aleksy, pytał, czyś poszedł, odpowiedziano, że do miasta. „Błogosławiłem go na to: tam miejsce jego tymczasem, a nie tu" — tak wyraził się o tobie. Z miłością o tobie wspominał, z troską, czy pojmujesz, czegoś dostąpił? Ale jak to określił, że masz być tymczasem w świecie? To znaczy, że przewidział on twój los! Zrozum, Aljosza, że jeśli nawet wrócisz do świata, to jakgdyby z posłuszeństwa dla starca twego, a nie na czczą lekkomyślność, nie na świeckie uciechy...

Ojciec Paisy wyszedł. Aljosza nie miał już żadnych wątpliwości, że starzec kona, aczkolwiek może jeszcze przeżyć dzień czy dwa. Postanowił więc sobie w duchu, chociaż przyrzekł był zobaczyć się z ojcem, z paniami Chochłakow, z bratem i Katarzyną Iwanowną — że jutro nie wyjdzie z klasztoru i zostanie przy starcu aż do samej jego śmierci. Serce jego zapałało miłością; wymawiał sobie z goryczą, że mógł w mieście zapomnieć na chwilę o tym, kogo zostawił w monasterze na łożu śmierci, i kogo czci najbardziej na świecie. Wszedł do alkowy starca, ukląkł

przy jego łóżku i ukłonił się śpiącemu do ziemi. Starzec spał cicho i nieruchomo; oddech jego był miarowy i słaby, prawie nieuchwytny. Na obliczu malował się spokój.

Wróciwszy do drugiego pokoju — do tego, w którym rano starzec przyjmował gości, Aljosza, nie rozebrawszy się, lecz tylko zdjąwszy obuwie, położył się na skórzanej, twardej i wąskiej kanapce, na której sypiał już oddawna. Już oddawna przestał używać siennika, o którym wspominał jego ojciec. Kładł tylko poduszkę i przykrywał się habitem zamiast kołdry. Ale przed zaśnięciem padł na kolana i długo się modlił. W gorącej swej modlitwie nie prosił Boga o rozproszenie trosk, łaknął jeno radosnego roztkliwienia, dawnego roztkliwienia, które zawsze nawiedzało jego duszę, po modlitwie na noc. Owa radość, która go nawiedzała, sprowadzała zawsze lekki i spokojny sen. Modląc się teraz, nagle przypadkowo natrafił w kieszeni na różową małą kopertę, którą mu wręczyła wieczorem służąca Katarzyny Iwanownej. Zmieszał się na chwilę, lecz dokończył modlitwy. Następnie po krótkiem wahaniu otworzył kopertę. Leżał w niej liścik, noszący podpis *Lise* — imię córki pani Chochłakow, młodziutkiej dziewuszki, która rano tak sobie z niego drwiła w obecności starca.

„Aleksy Fedorowiczu" — pisała — „piszę do pana w tajemnicy przed wszystkimi i przed mamą, i wiem, że to brzydko. Ale nie mogę dłużej żyć, jeżeli nie powiem panu tego, co zrodziło się w mojem sercu, ale o tem nikt oprócz nas dwóch nie może się do czasu dowiedzieć. Ale jakże ja panu opowiem to, co chcę panu powiedzieć? Papier, jak powiadają, nie rumieni się, zapewniam pana, że to nieprawda, i że rumieni się on równie dobrze, jak i ja cała. Miły Aljosza, kocham pana, kocham od dzieciństwa, z Moskwy, kiedy pan był zupełnie nie taki, jak teraz, i kocham na całe życie. Wybrałam pana sercem swojem, aby się z panem połączyć i w starości pospołu życia dokonać. Oczywiście pod tym warunkiem, że pan opuści klasztor. Co się tyczy naszych lat, to poczekamy, ile tam prawo wymaga. Do tego czasu na pewno wyzdrowieję, będę chodziła o własnych siłach i nawet tańczyła. Co do tego niema żadnej wątpliwości.

Widzi pan, jakem to wszystko obmyśliła, jednego tylko nie mogę sobie wyobrazić: co pan pomyśli o mnie, kiedy pan to przeczyta? Śmieję się wciąż i dokazuję, rozgniewałam pana poprzednio, ale zapewniam, że przed chwilą, zanim wzięłam pióro do ręki, modliłam się do Matki Boskiej. I teraz jeszcze się modlę i bliska jestem płaczu.

Moja tajemnica jest w ręku pana, jutro jak pan przyjdzie, nie wiem, jak na pana spojrzę. Ach, Aleksy Fedorowiczu, co będzie, jeśli się znowu nie powstrzymam, jak głupia, i roześmieję się, patrząc na pana? Wszak będzie mnie pan uważał za brzydką śmieszkę i nie zaufa moim słowom. A przeto błagam pana, mój drogi, jeśli masz litość nade mną, to jutro nie zaglądaj mi zbytnio w oczy, ponieważ będę musiała się roześmiać, tem bardziej, że pan będzie w tej długiej sukience... Nawet teraz aż mi się zimno robi, kiedy o tem myślę, a dlatego, jak pan wejdzie, niech pan wcale z początku nie patrzy, tylko na mamę albo przez okno.....

Oto napisałam do pana list miłosny. Mój Boże, co ja zrobiłam. Aljosza, nie pogardzaj mną, a jeżeli zrobiłam co złego i zmartwiłam pana, to niech mi pan wybaczy. Teraz tajemnica mojej, być może na wieki straconej reputacji jest w ręku pana.

Dzisiaj będę bezwarunkowo płakać. Do zobaczenia, do *straszliwego* zobaczenia. Lise.

„P. S. Aljosza, tylko niech pan bezwarunkowo, bezwarunkowo, bezwarunkowo przyjdzie. Lise".

Aljosza przeczytał ze zdziwieniem, przeczytał dwa razy, zastanowił się i naraz cicho i słodko się roześmiał. Drgnął jednak, bo śmiech ów wydał mu się grzeszny. Ale po chwili znowu się roześmiał, równie cicho i błogo. Powoli wsunął list do koperty, przeżegnał się i położył. Zamęt, odczuwany przed chwilą, znikł zupełnie.

„Boże, zmiłuj się nad nimi wszystkimi, chroń cierpiących i błądzących i wskaż im drogi, któremi kroczyć mają. Ty, który jesteś miłością, ześlij im wszystkim radość" — szepnął Aljosza, żegnając się, i zasnął głębokim snem niewinności.

CZĘŚĆ DRUGA

KSIĘGA CZWARTA.

SZARPANINA.

I.

Ojciec Terapont.

Nazajutrz bardzo wcześnie, bo jeszcze przed świtem, obudzono Aljoszę.

Starzec już nie spał i chociaż czuł się bardzo słabo, pragnął przesiąść się z łóżka na fotel. Był zupełnie przytomny. Twarz jego mimo wycieńczenia była pogodna, prawie radosna, a spojrzenie wesołe, pełne wezwania i dobroci. „Być może nie przeżyję nadchodzącego dnia" — rzekł do Aljoszy. Później zapragnął natychmiast się spowiadać i przyjąć dary Ducha Świętego. Spowiednikiem jego był jak zawsze ojciec Paisy. Po przyjęciu przez starca św. Sakramentów, zaczęli się schodzić do jego celi ojcowie i braciszkowie z pustelni. Tymczasem nastał dzień. Przyszli również zakonnicy z monasteru. Po nabożeństwie starzec zapragnął pożegnać się ze wszystkimi, i wszystkich odpuszczał z pocałunkiem. Ze względu na ciasnotę ci, którzy przyszli wcześniej, musieli wyjść i ustąpić miejsca następnym. Aljosza stał przy starcu, który siedział na fotelu. Starzec mówił i pouczał, na ile mu siły pozwalały. Głos jego, aczkolwiek słaby, był jeszcze dosyć twardy.

„Tyle lat uczyłem was, i przez tyle to lat mówiłem na głos, że przywyknąłem do mówienia, a mówiąc do uczenia was i to w takim stopniu, że trudniej mi milczeć niż mówić, ojcowie i bracia moi mili, nawet teraz, pomimo słabości mojej" — odezwał się żartobliwie, spoglądając z rozczuleniem na otaczających go mnichów. Aljosza spamiętał dobrze jego ówczesne przemówienie. Mówił coprawda wyraźnie i dosyć twardym głosem, ale skądinąd nieskładnie. Wspominał o wielu rzeczach, zdawało się, że chciałby wszystko wypowiedzieć, wypowiedzieć jeszcze raz, w chwili przedzgonnej, nie zostawić żadnych niedomówień i nie tylko gwoli pouczenia ale jakgdyby dlatego, że łaknął podzielić się radością swą i zachwytem ze wszystkimi, podzielić się jeszcze raz swem wylewnem sercem...

— Kochajcie się wzajem ojcowie — pouczał starzec (jak to spamiętał później Aljosza). — Kochajcie lud Boży. Nie jest bardziej święty ten, który tu przyszedł, od tego, który w życiu świeckiem został, iż przyszedłszy tu, zamknął się w murach tych, ale owszem każdy, który tu przyszedł, poznał w sobie, że gorszy jest od wszystkich, którzy w świecie żywią, i od wszystkiego, co jest na ziemi. I im dłużej żyje tu w murach tych, tem bardziej powinien czuć to i pojmować. Bo inaczej przecz-że tu przychodził? Zasię jeźli-że poznaje, że nie tylko gorszy od wszystkich i wszystko; ale że i winien jest przed wszystkimi ludźmi, za wszystkie grzechy ludzkie, powszechne i osobiste, to tylko wtedy cel naszego zespolenia osiągany bywa. Albowiem wiedźcie, mili moi, że każdy z nas winien jest za wszystkich i za wszystko na ziemi, nie tylko z powszechnej winy, ale osobiście każdy za wszystkich ludzi i za każdego człowieka na ziemi. Świadomość ona jest koroną drogi zakonnej, i wszelakiego na ziemi człowieka. Albowiem zakonnicy nie różnią się od inszych ludzi i są, jakimi wszyscy być powinni. Dopierobyśmy serca nasze skąpali w miłości nieskończonej, powszechnej, nienasyconej. Wtenczas każdy z was będzie mógł cały świat zdobyć miłością i łzami wygładzić świeckie grzechy swoje... Niechaj każdy chodzi koło serca swojego, niechaj nieustannie siebie spowiada. Grzechów się swoich nie bójcie, nawet poznawszy je, iżbyście tylko za nie szczerze

żałowali, ale w układy z Bogiem nie wchodzili. Najpierw powiadam wam, nie bądźcie pyszni. Nie pysznijcie się wobec małych, ne pysznijcie się wobec wielkich. Nie miejcie w sercach waszych nienawiści względem nikogo, względem tych, którzy wami pogardzają, którzy was hańbią i spotwarzają. Nie miejcie nienawiści względem ateistów, fałszywych proroków, materjalistów, nawet złych, a nie tylko dobrych, bo i między nimi jest wielu dobrych w obecnych czasach szczególnie. Módlcie się jeno za nich, mówiąc „Boże zmiłuj się nad tymi, za których się nikt nie modli i wybaw, którzy do Ciebie zwracać się nie chcą". A dodajcie też: „Nie w pysze serca mego modlę się do Ciebie, Panie, boć sam najlichszym i najgrzeszniejszym się czuję"... Kochajcie lud Boży, nie pozwalajcie obcym rozszarpywać trzody waszej, jako że jeżli zgnuśniejecie w lenistwie i hardości, a w chciwości, przyjdą one zewsząd i zabiorą wam owieczki wasze. Objaśniajcie ludowi ewangelję nieustannie... Nie kochajcie się w złocie i srebrze i nie posiadajcie go. Wierzcie i chorągiew trzymajcie. Wznoście ją wysoko".

Starzec mówił jednak naogół chaotyczniej niż to zapisał później Aljosza. Chwilami brakło mu tchu, wówczas przerywał, jakby skupiając siły, ale nie wypadał z uniesienia. Zakonnicy słuchali go uważnie, wielce rozrzewnieni, chociaż niektórzy dziwili się jego słowom i nie zupełne rozumieli... Później dopiero przypomniano sobie szczegółowo te wszystkie słowa. Aljosza, zmuszony wyjść na chwilę, zdumiał się na widok powszechnego wzruszenia, które ogarnęło tłumiących się w celi i nazewnątrz mnichów. Jakiś uroczysty albo trwożny nastrój oczekiwania udzielił się obecnym. Wszyscy oczekiwali czegoś wielkiego, co miało nastąpić natychmiast po zgonie starca. Pod pewnym względe mnastrój ten był skądinąd nieco lekkomyślny, lecz nawet najpoważniejsi i najsurowsi ojcowie nie mogli mu się oprzeć. Najbardziej surowy i uroczysty wyraz malował się na twarzy ojca Paisego.

Aljosza wyszedł z celi, ponieważ wywołał go potajemnie przez mnicha Rakitin, który wrócił z miasta z dziwnym listem pani Chochłakow. Donosiła ona Aljoszy o bardzo ciekawej, zwłaszcza w tej chwili, rzeczy. Między ba-

bami, które wczoraj przyszły do pustelni, aby pokłonić się starcowi i poprosić go o błogosławieństwo, była niejaka Prochorowna, staruszka z naszego miasta, wdowa po podoficerze. Pytała się starca, czy można dać na mszę świętą za syna Wasię, który wyjechał był na Syberję, do Irkucka i od roku nie dał o sobie znaku życia. Starzec, jak przypominamy sobie, zgromił ją zato ostro i przyrównał te praktyki do czarów. Ale potem przebaczył jej i dodał, „jakby zajrzawszy do księgi przyszłości", (jak pisała pani Chochłakow), że syn jej, Wasia, żyje napewno i albo sam rychło przyjedzie, albo list napisze. Kazał jej nawet wrócić do domu i oczekiwać syna. „I cóż" — dodawała z zachwytem pani Chochłakow — „proroctwo spełniło się dokładnie, a nawet jeszcze lepiej". Wróciwszy bowiem do domu, staruszka została list z Syberji. Nadto, w liście tym, wysłanym z Ekaterinoburgu, z drogi, syn zawiadamiał ją, że wraca do Rosji z jakimś urzędnikiem, i że trzy tygodnie po doręczeniu tego listu „spodziewa się uściskać matkę". Pani Chochłakow błagała gorąco Aljoszę, aby natychmiast zawiadomił przeora i braci o tym „cudzie proroczym". „Wszyscy, wszyscy powinni o tem wiedzieć" — wołała w zakończeniu. Widać było, że list napisała naprędce, pod mocnem wrażeniem nowiny. Lecz Aljosza nie potrzebował opowiadać, bo wszyscy już o tem wiedzieli. Rakitin bowiem, posyłając po Aljoszę mnicha, prosił jednocześnie tegoż o sprowadzenie ojca Paisego, do którego ma, jak powiadał, sprawę tak pilną, że ani chwili nie śmie tego odłożyć i „prosi o wybaczenie mu tego zuchwalstwa". Ponieważ mnich ów pierwej zawiadomił ojca Paisego, więc Aljoszy pozostało tylko odczytać ojcu list pani Chochłakow. I oto nawet ten surowy i nieufny zakonnik, wysłuchawszy z zasępionem czołem wiadomości o „cudzie", nie mógł się powstrzymać od objawów wewnętrznej radości. Oczy jego zapłonęły, a na ustach ukazał się poważny i wzruszony uśmiech.

— Nie to jeszcze ujrzymy — wyrwało mu się naraz.

— Nie to jeszcze ujrzymy, nie to jeszcze ujrzymy — powtarzali dookoła zakonnicy, lecz ojciec Paisy, znowu zasępiony, prosił wszystkich, aby przynajmniej chwilowo ni-

komu o tem nie opowiadali „póki to się nie potwierdzi, albowiem wielu jest lekkomyślnych w życiu świeckiem, i zresztą wypadek ów mógł się stać całkiem naturalnie“ — dodał ostrożnie jakby dla spokoju sumienia, ale jakgdyby sam nie wierząc w to zastrzeżenie, co zresztą nie uszło uwadze słuchaczy. W mgnieniu oka wieść o „cudzie“ obiegła cały klasztor i trafiła nawet do parafjan, którzy przyszli na nabożeństwo. Największe, zdawało się, wrażenie wywarła na mnichu „od św. Sylwestra“, który przybył niedawno z dalekiej Północy, z pustelni Obdorskiej; był to ten, który wczoraj, stojąc przy pani Chochłaków i wskazując na jej „uzdrowioną“ córkę, odezwał się do starca z przejęciem: „Jak ważycie się robić coś takiego?“

Chodzi o to, że czuł się teraz jakby na rozdrożu i nie wiedział właściwie, w co wierzyć. Wczoraj bowiem wieczorem odwiedził ojca Teraponta, który mieszkał w osobnej celi za pasieką, i dotychczas jeszcze był pod straszliwem i wprost piorunującem wrażeniem tego spotkania. Ojciec Terapont był tym samym staroletnim mnichem, wielkim postnikiem, o którym już w swoim czasie wspominaliśmy, jako o przeciwniku starca Zosimy, i wogóle instytucji starców, którą uważał za szkodliwe i lekkomyślne nowatorstwo. Był to przeciwnik groźny, mimo że przestrzegał milczenia, a przeto prawie z nikim nie zamieniał słówka. Groźny zaś był dlatego, że miał wśród braci wielu zwolenników; i nie tylko wśród braci, bo i wielu obcych czciło go nieledwie jako świętego i surowego ascetę. Ale i ci nie mogli nie stwierdzić, że ojciec Terapont jest niezawodnie pomieszany. Wszakże pomieszanie zwiększało jego urok. Do starca Zosimy ojciec Terapont nigdy nie wchodził. Chociaż mieszkał w pustelni, nie wymagano odeń stosowania się do wszystkich reguł, ze względu właśnie na jego pomieszanie. Miał lat siedemdziesiąt pięć, mieszkał za pasieką, koło muru pustelni, w starej, napół rozwalonej drewnianej celi, którą postawiono tu jeszcze w zeszłym wieku dla również ongi słynącego z umartwień ojca Jonasza, który dożył tu do stu i pięciu lat, i o którym jeszcze dziś opowiadano sobie w klasztorze i w mieście wielce ciekawe historje. Ojciec Terapont wywalczył sobie siedem lat temu prawo do za-

mieszkiwania tej samotnej celi, właściwie mówiąc chałupy, która sprawiała wrażenie kapliczki z powodu ogromnej ilości ofiarowanych obrazów z palącemi się nieustannie lampkami. Było tych lampek tyle, że mogło się zdawać, iż ojciec Terapont specjalnie tu mieszka poto, aby zapalać je i podtrzymywać płomyki. Pożywienie jego stanowiły, jak powiadano (i tak było w istocie) dwa funty chleba na trzy dni, i nic więcej; przynosił mu bochenek regularnie co trzy dni bartnik, doglądający pobliskiej pasieki, ale i z nim ojciec Terapont rzadko zamieniał słówko. A zatem całotygodniowy jego wikt składał się z czterech funtów chleba i proskury, którą przysyłał mu w niedzielę ojciec ihumen. Pozatem codziennie zmieniano mu wodę w kubku. Rzadko bywał na mszy. Zato czasami klęczał po całych dniach w swej celi i modlił się żarliwie, bez wytchnienia. Jeśli nawet przemawiał, to wyrażał się zwięźle, oderwanemi słowami, bardzo dziwnie i prawie zawsze gburowato. Zdarzały się jednak nader rzadkie wypadki, że wchodził w rozmowę z pątnikami, ale i wówczas przeważnie powtarzał jedno dziwaczne słowo, bardzo ciemne i niezrozumiałe, którego mimo próśb i błagań nie chciał wyjaśnić. Nie miał wyższych święceń kapłańskich i był tylko braciszkiem. Lud okoliczny wierzył, że ojciec Terapont utrzymuje stosunki z duchami niebiańskiemi, że tylko z niemi rozmawia i dlatego wobec ludzi zachowuje milczenie. Mnich z Obdorska znalazł jego celę, idąc za wskazaniami pasiecznika, również wielce ponurego i małomównego mnicha. „Może i powie co, jako że zdaleka przyszliście, a może i nic nie powie“ — uprzedził go pasiecznik. Podszedł więc do celi z najwyższym, jak sam później wyznał, strachem. Godzina była już dosyć późna. Ojciec Terapont siedział tym razem na niziutkiej przyzbie. Nad nim szumiał ogromny stary wiąz. Zrywał się wieczorny chłodny wiaterek. Nieśmiały pątnik upadł na twarz przed pustelnikiem i poprosił go o błogosławieństwo.

— Chcesz mnichu, abym i ja przed tobą na twarz upadł? — odezwał się ojciec Terapont. — Powstań!

Braciszek wstał.

— Błogosławiąc, bądź błogosławion, siadaj tu przy mnie. Skąd cię przyniosło?

Najbardziej zastanowiło biednego mnicha, że ojciec Terapont mimo wielkich umartwień i podeszłego wieku, był jeszcze krzepki, wysoki, trzymał się prosto, nie garbił się i cerę miał świeżą i zdrową.

Niezawodnie był bardzo silny, tak przynajmniej świadczyła jego atletyczna budowa. Co najdziwniejsza, włosy i broda jego były jeszcze czarne, gęste, zaledwie posrebrzone siwizną. Oczy miał duże, szare, błyszczące, i rażąco wypukłe. Mówiąc, kładł szczególny nacisk na literę „o". Odzież jego stanowił długi kaftan z grubego aresztanckiego sukna, rudawego koloru, przepasany sznurem. Szyja i piersi były obnażone. Z pod kaftana wyłaziła sczerniała z brudu, gruba płócienna koszula, której miesiącami całemi nie zdejmował z siebie; wreszcie na nogach miał stare, prawie rozpadające się chodaki. Powiadano, że pozatem na nagiem ciele nosi trzydziestofuntowe kajdany.

— Z małej Obdorskiej pustelni, od świętego Sylwestra — odpowiedział potulnie przybysz, oglądając pustelnika swemi małemi, nieco wyłęknionemi ale wielce zaciekawionemi oczyma.

— Bywałem u twego Sylwestra. Byłem u niego. Jakże tam, zdrów, zdrów twój Sylwester? — pytał ojciec Terapont.

Braciszek zmieszał się.

— Głupie ludziska! Postów przestrzegacie?

Braciszek zaczął szczegółowo wykładać:

— W wielki post — post ścisły w poniedziałki, piątki i środy, we wtorki i czwartki dostajem białego chleba, klusek z miodem, lub kapusty kwaszonej, w sobotę białego barszczu, kaszy i grochu z masłem, a w niedzielę zupy, ryby suszonej i kaszy. Zasię w wielki tydzień, od poniedziałku aż do wielkiej soboty pożywamy jeno chleb i wodę, i to nie codzień, bo od piątku powstrzymujem się od jadła wszelakiego, aż do godziny trzeciej po południu w sobotę, a i wtedy dostajemy po niewielkim tylko glonie chleba i po czarze wina. Nawet i we Czwartek Wielki nie pożywamy

nic gotowanego, bo powiedziano na Łaodzkim soborze, „nie przystoi bezcześcić całego czterdziestodniowego postu, łamiąc go ostatniego tygodnia we czwartek". — Ot, jak u nas poszczą; ale cóż to wszystko znaczy w porównaniu z wami, światobliwy ojcze? Wy przecie cały Boży rok, a nawet i w święto Zmartwychstania, żywicie się jeno chlebem i wodą, a i tego chleba starczy wam przez tydzień, co my we dwa dni pożywamy, — dodał z podziwem obdorski braciszek. — Zaprawdę, wielka i zadziwiająca jest wstrzemięźliwość wasza.

— A jagody? — zawołał nagle ojciec Terapont, kładąc osobliwy nacisk na g.

— Jakto jagody?

— Ja od chleba ich ujść mogę, nie potrzebny mi ich chleb. Pójdę w las, to i jagodami pożyję, zaś oni od stawinogi swojej nie ujdą, z czartem pokumane. Powiadają, bałwochwalce, że post to tyle co i nic. Pycha i djabelność — mowy ich.

— Och! to prawda — westchnął braciszek.

— A czartów widziałeś u tych? — spytał ojciec Terapont.

— U kogo? — pytał trwożliwie braciszek.

— Rok już mija, jak nie byłem u ihumena. Widziałem, który ma swego cura na piersiach, pod kapuzą, jeno różki sterkają, a któremu z kieszeni zaś wygląda: oczy bystre, mnie się boi. Któremu do kałduna zalazł, w wańtuchu, w ogromnym mu cupnął, który to i na szyi swoje licho nosi, a sam nie widzi.

— A wy widzicie? — dopytywał braciszek.

— Mówię, że widzę, wskroś widzę. Jakem wychodził od ihumena, to jeden za drzwiami się przede mną chował, wielki taki, dwa arszyny wysoki, ogonisko długie, bure, koniec ogona wsunął w szparę. Ja nie w ciemię bity, zatrzasnąłem drzwi, ogon zgniotłem. Jak wizgnął, jak się szarpał, a jam go krzyżem przeżegnał, trzykrotniem go przeżegnał. I zdechło licho, jak pająk zgnieciony. Teraz to chyba i zgnił w kącie, śmierdzi, a oni nie widzą, nie czują. Rok już nie chodzę. Tobie tylko mówię, boś obcy.

— Straszne słowa wasze — mówił braciszek, ośmielając się coraz bardziej. — A powiedźcie, wielki i błogosławiony ojcze, czy prawda, co o was sława niesie, że z duchami niebieskimi rozmawiacie, że nawiedzają was duchy one niebieskie?

— A bywa, bywa, że zlatują.

— A w jakiejże postaci zlatują?

— W postaci ptaka.

— To pewnie duch święty w postaci gołębia?

— Raz duch święty, raz Świętoduch. Świętoduch to inszy: pojawić się może w postaci każdego ptaka, raz jaskółka, to znowu szczygieł, albo i zimorodek.

— A jakże wy poznajecie, że to, naprzykład, nie zimorodek?

— A bo mówi.

— Jakże on mówi, jakim językiem?

— Ludzkim.

— A cóż on takiego mówi? — wypytywał braciszek.

— Ot dziś mówił, że przyjdzie dureń i dopytywać się będzie niewiadomo o co. Zanadtoś, bracie, ciekawy.

— Bolesne słowa wasze, świątobliwy ojcze, — odrzekł, kiwając głową, braciszek. W jego wylęknionych oczach pojawił się wyraz niedowierzania.

— A widzisz one drzewo? — spytał po krótkiem milczeniu ojciec Terapont.

— Widzę, błogosławiony ojcze.

— Dla ciebie to wiąz, a dla mnie całkiem inszy obraz.

— Co takiego? — szepnął zaciekawiony braciszek.

— Bywa w nocy... Widzisz te dwa sęki? To nieraz w nocy Pan Jezus ręce do mnie wyciąga, i szuka mnie temi rękami, ja widzę to i drżę. Strasznie wtedy, och strasznie!

— Czegoóż strasznie, jeżeli to Pan Jezus?

— A jak porwie, i wzniesie.

— Żywego?

— A boć co, nie słyszałeś o proroku Eljaszu? Tak i mnie zrobić może, obejmie i poniesie...

Chociaż obdorski braciszek powrócił do wskazanej mu

kwatery z zamętem w głowie, serce jego niewątpliwie lgnęło bardziej do ojca Teraponta, niż do starca Zosimy. Złożyło się na to wiele powodów. Słowa ojca Teraponta były wprawdzie chwilami dziwne i niedorzeczne, ale Bóg jeden raczy wiedzieć, czy nie kryje się w nich głębsze znaczenie; wszyscy zresztą prostaczkowie Boży mówią i działają dziwnie. Przedewszystkiem braciszek ów miał w wielkiem nabożeństwie posty, wskutek czego wierzył, że taki wielki postnik może przecie wistocie widywać cudy niewidy. W ogon czarci wierzył chętnie i nie tylko przenośnie. Pozatem jeszcze przed przybyciem do klasztoru usposobiony był bardzo nieprzychylnie względem instytucji starców, którą znał tylko z opowiadań i uważał za szkodliwe nowinkarstwo. Dodajmy do tego, że w samym monasterze zauważył niezgodę i tłumioną niechęć niektórych lekkomyślnych zakonników do starca. Był bowiem chytry, podstępny i ogromnie ciekawy. Oto czemu wiadomość o nowym „cudzie", dokonanym przez ojca Zosimę, wywarła i na nim ogromne wrażenie i wtrąciła go znowu w niepewność. Aljosza przypomniał sobie później, jak wśród tłumów, oblegających celę starca, nurkowała wciąż postać ciekawego gościa z Obdorska, który nadstawiał wszędzie uszu i wszystkich nagabywał . Ale Aljosza nie zwracał nań wówczas uwagi i dopiero potem przypomniał go sobie. Co innego zaprzątnęło jego myśli: starzec Zosima, który w tym czasie wskutek zmęczenia położył się znowu do łóżka, przypomniał sobie o nim i wezwał go do siebie. Aljosza przybiegł natychmiast. W celi był tylko ojciec Paisy, ojciec Józef i Porfiry.

Starzec podniósł znużone powieki i wpatrzył się uważnie w twarz Aljoszy.

— Czekają tam na ciebie, synu? — spytał nagle.

Aljosza zmieszał się.

— Czy nie potrzebują ciebie? A czy może przyrzekłeś komu ze swoich wczoraj, że będziesz dzisiaj?

— Wistocie... przyrzekłem... ojcu... braciom... innym też.

— A widzisz. W takim razie idź koniecznie. Nie

martw się. Wiedz, że nie umrę, dopóki nie przekażę ci ostatnich słów, które wypowiem tu na ziemi. Tobie powiem, synku, tobie przekażę. Tobie, synku miły, bo wiem, że mnie miłujesz. A tymczasem idź do tych, którym obiecałeś.

Aljosza usłuchał się starca, chociaż trudno mu było odejść. Ale obietnica starca, że powie mu ostatnie swoje słowa na ziemi, jakby specjalnie dla niego przeznaczone, napawała duszę jego zachwytem. Pospieszył więc, aby czemprędzej być z powrotem. W dodatku ojciec Paisy wyszedł z nim z celi starca i udzielił mu na drogę rad i napomnień, które wywarły na nim głębokie wrażenie.

— Pamiętaj, młodzieńcze, nieustannie — rzekł nagle bez żadnego wstępu, — że świecka nauka, urósłszy w wielką potęgę, rozłożyła zwłaszcza w ostatniem stuleciu wszystko, co przekazały nam księgi święte, i po okrutnej analizie nie zostawiła nic zgoła z całej dotychczasowej świętości. Ale rozkładając cząstkami, całość prześlepili; zaiste podziwu godna jest ta ich ślepota. Przecież całość owa stoi przed ich oczyma, niewzruszona i niezmienna, i nie zmogą jej wrota piekielne. Azaż nie żyła ona wieków dziewiętnaście, azaż nie żyje w duchowych porywach jednostek, jako też mas ludowych! Nawet w duszach tych samych, wszystko wyniszczających ateistów żyje ona niewzruszona. Albowiem i ci, którzy wyrzekli się chrześcijaństwa i zbuntowali się przeciw niemu, wistocie swojej, w duszy z Chrystusa poczęci, w Chrystusie zostali, albowiem ani mądrość ich, ani serca żarliwość nie zdołała nic lepszego, ani wyższego stworzyć, nad obraz, który Chrystus ukazał ludziom w dawnych wiekach. A każda inna próba była i jest jedynie potwornością. Zapamiętaj to sobie, młodzieńcze, te słowa moje, bo z woli starca konającego masz iść w świat. Może, wspominając ów dzień wielki, nie przepomnisz i słów moich, albowiem młody jesteś, a pokusy w świecie są ciężkie i ponad siły twoje. A teraz idź, sierota.

Z temi słowy błogosławił go ojciec Paisy. Aljosza, wyszedłszy z klasztoru, rozpamiętywał je długo, czując, że

w surowym dotychczas i skrytym zakonniku znalazł nagle nowego przyjaciela i gorąco miłującego przewodnika. Mogłoby się wydawać, że starzec Zosima, umierając, zlecił mu specjalnie Aljoszę. „A może tak było w rzeczy samej" — pomyślał Aljosza.

Słowa owe, poważne i rozumne, świadczyły o gorącem sercu ojca Paisego, który pokwapił się czemprędzej uzbroić powierzony sobie umysł młodzieńca do walki z pokusą, i obwarować młodą duszę najmocniejszym murem.

II.

U ojca.

Aljosza udał się najpierw do ojca. W pobliżu domu przypomniał sobie natarczywą prośbę ojca, aby się do niego zgłosił dziś w sekrecie przed bratem Iwanem. „Czemuż to?" — pytał siebie Aljosza — „Jeśli ojciec chce mi coś zawierzyć pokryjomu, w sekrecie, to czyż dlatego muszę i wejść pokryjomu? Zapewne chciał mi wczoraj powiedzieć co innego, ale w zamęcie ducha nie zdążył" — wyperswadował sobie Aljosza. Mimo to był zadowolony, gdy Marta Ignatjewna, która otworzyła mu furtkę (Grzegorz podobno rozchorował się obłożnie), powiedziała mu, że Iwan Fedorowicz już od dwuch godzin wyszedł z domu.

— A ojciec?

— Wstał, kawę pije — odpowiedziała jakoś oschle Marta.

Aljosza wszedł. Starzec siedział sam przy stole w pantoflach i w starym palcie i przeglądał rachunki, ale dość niedbale, raczej gwoli rozrywki. Był teraz sam w domu (Smerdjakow wyszedł po zakupy do obiadu). Chociaż wstał rano z łóżka i nic sobie z wczorajszego wypadku nie robił, wyglądał marnie. Czoło jego mocno posiniaczone było przewiązane czerwoną chustką. Nos również spuchł przez noc, a sine plamy, aczkolwiek nieliczne, nadawały mu

dziwnie przykry i złośliwy wygląd. Stary zdawał sobie z tego sprawę i spojrzał niechętnie na wchodzącego Aljoszę.

— Kawa zimna! — zawołał ostro. — Nie poczęstuję, sam dziś poprzestaję na postnej polewce, i nikogo nie zapraszam. Pocoś przylazł?

— Chciałem się dowiedzieć, jak ojciec się czuje — odrzekł Aljosza.

— Tak, a prócz tego sam ci wczoraj kazałem przyjść. Ale to wszystko duby smalone. Napróżnoś się fatygował. Wiedziałem zresztą, że odrazu się przywleczesz.

Mówił to wszystko niechętnie, jednocześnie powstał z miejsca i spojrzał mimochodem w lustro (może już poraz czterdziesty od rana), na swój nos. Poprawił czerwoną chustkę na czole.

— Czerwona zawsze lepsza, niż biała, nie wygląda się przynajmniej tak szpitalnie — zauważył sentencjonalnie. No, co tam u ciebie? Jak twój starzec?

— Bardzo źle, może dzisiaj skona — odrzekł Aljosza, ale ojciec nie słuchał go, może zapomniał nawet swego pytania.

— Iwana niema — rzekł nagle — poleciał odbijać narzeczoną Dymitrowi. Poto przyjechał — dodał złośliwie i, wykrzywiwszy usta, spojrzał na Aljoszę.

— Czy on sam to ojcu mówił? — spytał Aljosza.

— Dawno już mówił. Już ze trzy tygodnie temu mówił. Przecież nie poto i on tu przyjechał, żeby mnie potajemnie zarżnąć? Nie przyjechał chyba całkiem bez celu?

— Ależ ojcze! Dlaczego ojciec to mówi? — pytał rozżalony Aljosza.

— O pieniądze nie prosi, prawda, ale i tak nie dostanie, na owinięcie paluszka nie dostanie. Tak jest, tak, najmilszy Aleksy Fedorowiczu, mam zamiar długo jeszcze na świecie pożyć, zakarbujcie to sobie w pamięci, i dlatego każda kopiejeczka jest mi droga i potrzebna, a im dłużej żyć będę, tem będzie potrzebniejsza — dodał, chodząc z kąta w kąt, i trzymając ręce w kieszeniach szerokiego, zatłuszczonego palta z żółtego materjału. — Teraz jestem jeszcze mężczyzną, a jakże, mam dopiero pięćdziesiąt siedem lat, ale mam

zamiar przynajmniej jeszcze dwadzieścia lat utrzymać się na froncie męskości, a przecież, gdy się zestarzeję, nie będą przychodzić z własnej woli. Wtedy to i bez mamony ani rusz się nie obejdzie. Dlatego ciułam grosz do grosza dla siebie samego, zapamiętajcie to sobie, bo do końca żyć będę w porubstwie, a jakże, zapamiętajcie to sobie. Słodkie jest życie w porubstwie: wszyscy pioruny niby ciskają, a sami nic lepszego nie robią, jeno oni skrycie, a ja otwarcie, Za tę moją szczerość cała furfanterja tak się na mnie rzuca. A twojego raju, Aleksy Fedorowiczu, to ja wcale nawet nie pragnę, i nie przystoi wcale poczciwemu człowiekowi do raju się pchać, jeśli ów raj nawet istnieje. Dla mnie, zasnąć snem nieprzespanym i nie obudzić się więcej, i nic więcej niema. Módlcie się za mnie, jak chcecie, a jak nie chcecie, to i niech was djabli. Taką-ci jest moja filozofja. Dobrze mówił wczoraj Iwan, chociaż byliśmy wszyscy ululani. Iwan to samochwał. Żadnej on tam nie ma nauki... ani wykształcenia żadnego nie ma. Milczy i uśmiecha się wciąż i wszyscy myślą, że wszystkie rozumy zjadł.

Aljosza słuchał w milczeniu.

— Czemu to nie raczy rozmówić się ze mną? A gdy mówi, to zawsze czegoś niedomawia, podły ten twój Iwan! A z Gruszą rychło się ożenię, jeśli zechcę. Kto ma pieniądze, ten może wszystko mieć co zechce, Aleksy Fedorowiczu. Iwan boi się tego i pilnuje mnie, żebym się z Gruszą nie ożenił, i dlatego namawia Mitię, żeby się z Gruszka ożenił. W ten niby sposób mnie od Gruszy ustrzeże. (Jemu się zdaje, że mu pieniądze zostawię, jeżeli się z Gruszą nie ożenię). A z drugiej strony, jeżeli Mitia ożeni się z Gruszką, to Iwan poślubi jego bogatą narzeczoną. Takie ma wyrachowanie! Podły ten twój Iwan!

— Jakże ojciec rozdrażniony! To po wczorajszem przejściu. Możeby się ojciec położył? — rzekł Aljosza.

— Ot ty, mówisz mi takie rzeczy, — nagle zauważył starzec, jakby to poraz pierwszy wpadło mu do głowy — a ja się na ciebie nie gniewam. Żeby tak Iwan, tobym mu tego nie darował. Przy tobie tylko mam dobre chwile, bo ja przecie jestem zły człowiek.

— Ojciec nie jest zły, tylko wypaczony, — uśmiechnął się Aljosza.

— Słuchaj, ja tego rozbójnika, Mitię, chciałem do więzienia wsadzić, i dziś jeszcze nie wiem, co postanowię. Wprawdzie, wedle dzisiejszych modnych nauk, ojciec i matka to przesąd, ale wedle prawa to i dziś nie wolno kopać starego ojca po mordzie, za włosy targać i to w jego własnym domu, a na dobitkę krzyczeć przy świadkach, że się go zabije. Gdybym chciał, mógłbym natychmiast twego Mitię do więzienia wsadzić.

— Ale ojciec nie chce, prawda?

— Iwan odradza. Jabym na rady Iwana kichał, ale i sam jedną sztuczkę rozumiem...

Tu pochylił się ku Aljoszy i rzekł mu konfidencjonalnym szeptem:

— Gdybym tego hycla do więzienia wsadził, onaby sie wnet dowiedziała i poleciała zaraz do niego. Przeciwnie, gdy się dowie, jak on mnie, słabego starca, skatował, ukrzywdził, to gotowa go rzucić i przyjść do mnie, obaczysz... Już ja ją znam, taki ma charakter, wszystko na przekór. Znam ją na wylot! Chcesz konjaczku? Wiesz, kawa zimna, ale dolać ćwierć kieliszka, to i wcale dobra będzie.

— Nie, nie trzeba, dziękuję. Bułeczkę wezmę ze sobą, jeśli ojciec pozwoli, — rzekł Aljosza, poczem wziął bułeczkę i włożył ją do kieszeni, — a konjaku niech ojciec nie pije, zwłaszcza teraz — dodał troskliwie, patrząc mu w twarz.

— Racja, drażni i spokoju nie daje. Ale kapeczkę przecie można... Ja przecież z szafeczki...

Co mówiąc, otworzył „szafeczkę", nalał sobie kieliszek konjaku i wypił, potem zamknął szafkę i klucz do kieszeni schował.

— Od jednego kieliszka nie zginę.

— Ot, już ojciec znowu lepszy — uśmiechnął się Aljosza.

— Ja ciebie i bez konjaczku kocham, a z podłymi tom zawsze podły. Wańka nie chce jechać do Czermaszni,

a dlaczego? Szpieguje mnie, chce wiedzieć, ile dam Gruszy, gdy do mnie przyjdzie. Wszyscy są podli. Ja do Iwana wcale się nie przyznaję, wcale go nie znam. Nie wiem nawet skąd się taki mógł wziąć! On nie ma wcale takiej duszy, jak my. A czy ja mu co zostawię? Nawet testamentu nie zrobię, zapamiętajcie to sobie. Zaś twego Mitię zgniotę, jak karalucha. Ja czarne karaluchy po nocach depczę pantoflami. Jak postawisz nogę, to ci trzaśnie. Tak samo trzaśnie ten twój Mitia. Twój Mitia, bo go kochasz. Ot, ty go kochasz, ja się jednakże nie boję, że go kochasz. A gdyby go tak Iwan kochał, tobym się bał o siebie. Jeno że Iwan nikogo nie kocha. Iwan to nie nasz człowiek, tacy ludzie, jak on, to nie nasi ludzie, ot, pył przydrożny. Powieje wiatr, to i zmiecie... Wczoraj kiedym ci kazał przyjść, miałem na myśli jedno głupstwo. Chciałem się dowiedzieć przez ciebie od Mitki: gdybym mu tak jaką tysiączkę lub dwie teraz sypnął, to czyby zgodził się, żebrak jeden i huncwot, zmiatać stąd na pięć, albo lepiej na trzydzieści pięć lat, bez Gruszki, żeby się niby Gruszy wyrzekł, co?

— Ja... ja... go spytam — wymamrotał Aljosza. — Gdyby tak trzy tysiące, toby on może...

— Kłamiesz! Nie trza pytać, nic nie trzeba! Rozmyśliłem się. Wczoraj mi to z głupoty do głowy strzeliło. Nic nie dam, nic absolutnie, sam potrzebuję pieniędzy, — gestykulował żywo starzec. — Ja go i bez tego jak karalucha zgniotę. Nic mu nie mów, bo jeszcze na to będzie liczył. A i ty nie masz co tu robić, wynoś się. Narzeczona jego, Katarzyna Iwanowna, którą przede mną tak starannie przez cały czas ukrywał, pójdzie za niego czy nie pójdzie? Tyś tam do niej chodził, zdaje się?

— Ona się go żadną miarą nie wyrzeknie.

— Ot, w takich durzą się delikatne panieneczki, w hulakach i szubrawcach! Podłe, powiadam ci, są te panieneczki blade... Ech, żebym ja miał jego lata i taką twarz, jaką wtedy miałem, (bo byłem od niego przystojniejszy w dwudziestym ósmym roku życia), tobym także podbijał. Kanalja! Ale Gruszy i tak nie dostanie, nie dostanie... W pył go obrócę!

Słowa te znowu go rozjątrzyły.

— I ty także ruszaj stąd, nie masz tu dziś co robić — rzekł szorstko.

Aljosza podszedł, aby się pożegnać, i pocałował go w ramię.

— A ty czego? — zdziwił się nieco stary, — Zobaczymy się jeszcze. A może myślisz, że się już nie zobaczymy?

— Ależ nie, ja tylko tak sobie, nieumyślnie.

— I ja tylko tak sobie... — spojrzał na niego stary. — Słuchaj! — krzyknął jeszcze za nim, — przychodź czemprędzej i na zupę, zupę znakomitą, nie taką jak dziś, specjalną, ale koniecznie przyjdź! Jutro, słyszysz, jutro przyjdź!

Ledwo Aljosza zniknął za drzwiami, Fedor Pawłowicz podszedł do szafki, i kropnął jeszcze pół kieliszka.

— Więcej nie będę! — mruknął, chrząkając, zamknął szafkę, wsunął klucz do kieszeni, poszedł do sypialnego pokoju, położył się i z osłabienia natychmiast zasnął.

III.

Spotkanie ze sztubakami.

„Bogu dzięki, ojciec nie pytał mnie o Gruszę" — pomyślał Aljosza, wyszedłszy od ojca, kierując się ku domowi pani Chochłakow — „jeszczebym musiał opowiedzieć wczorajsze spotkanie".

Aljosza zmiarkował, że zapaśnicy przez noc zebrali siły i że serca ich znowu obróciły się w kamień. „Ojciec jest rozdrażniony i zły, powziął widać jakieś postanowienie. A Dymitr? Prawdopodobnie również przez tę noc ukrzepił się w swej nienawiści, też zapewne rozjątrzony i zły, też chyba powziął jakie postanowienie... O tak, trzeba go koniecznie odszukać, i to dzisiaj, za wszelką cenę"...

Ale niedługo mógł myśleć: przytrafiła mu się bowiem przygoda napozór nikła, która jednak wywarła na nim głę-

bokie wrażenie. Przeszedł właśnie przez plac i skręcił w zaułek, aby wyjść na Michajłowską, która biegła równolegle do Wielkiej i była oddzielona od niej zaledwie rynsztokiem (w mieście naszem roiło się od rynsztoków), gdy zobaczył za mostem grupkę chłopców, w wieku od lat dziewięciu do dwunastu. Szli gwarnie ze szkoły, niosąc książki w tornistrach, zawieszonych na plecach, lub w torebkach skórzanych. Jedni byli w kurtkach, inni w paletkach, a niektórzy w butach z cholewami, noszonych przez zamożniejsze dzieci. Cała garstka debatowała z ożywieniem, widocznie nad czemś się naradzała. Aljosza nie przechodził obojętnie mimo dzieci nigdy, nawet w Moskwie. Najbardziej lubił zupełnie małe dzieci, trzyletnie, chociaż i dziesięcioletnie bardzo mu się podobały. Przeto, pomimo że był bardzo zatroskany, zachciało mu się dojść do nich i wszcząć rozmowę. Wpatrywał się w ich rumiane, ożywione twarze i naraz zauważył, że każdy z nich trzyma po parę kamieni. Rozejrzał się wokoło i zobaczył na drugiej stronie rynsztoku, w trzydziestu krokach od nich, chłopca, który również szedł ze szkoły. Był bladziutki, wątły, o czarnych płonących oczach i wyglądał najwyżej na lat dziesięć, a może i na mniej. Przyglądał się bacznie tamtej gromadce, składającej się z sześciu chłopców, zapewne kolegów, z którymi widocznie się porożnił. Aljosza, zbliżywszy się do chłopców, zwrócił się do jednego z nich, rumianego, kędzierzawego blondynka, w czarnej kurtce i, obejrzawszy go, rzekł:

— Kiedy ja chodziłem do szkoły, to nosiliśmy zwykle torbę na lewym boku, aby łacniej było sięgnąć prawą ręką, a kawaler ma na prawym, to o wiele uciążliwiej.

Aljosza zaczął bez żadnego wyrachowania od praktycznej uwagi. Jest to zresztą jedyny sposób zdobycia zaufania dziecka, a zwłaszcza całej gromadki dzieci. Trzeba właśnie zaczynać tak poważnie i praktycznie i jakby do sobie równego. Aljosza wyczuł to instynktem.

— To mańkut, — odpowiedział natychmiast jeden z malców, zdrowy i zuchowaty jedenastoletni sztubak.

Pozostali chłopcy otoczyli ich kołem i wlepili oczy w Aljoszę.

— On i kamienie potrafi ciskać lewą ręką, — dodał trzeci malec.

W tejże chwili kamyk, ciśnięty zręczną i pewną ręką, ugodził zlekka małego mańkuta. Cisnął go chłopak z przeciwka.

— Łap go Smurow, oddaj mu — wołali chłopcy. Lecz Smurow (mańkut) nie czekał na zachętę, aby odwzajemnić się przeciwnikowi. Cisnął kamyk i chybił. Przeciwnik zaś natychmiast odpowiedział i dosyć mocno ugodził Aljoszę w plecy. Obie kieszenie jego palta były wypchane kamieniami.

— On umyślnie pana uderzył. Wszak pan jest Karamazow, Karamazow? — zawołali chłopcy ze śmiechem. — No! teraz my na niego wszyscy, pal! — I sześć pocisków poleciało przez rynsztok. Jeden uderzył chłopca w głowę tak mocno, że mały przewrócił się. Ale zerwał się natychmiast i zaczął odpowiadać ze wściekłością. Przez chwilę zażarta bójka trwała bez przerwy. Okazało się, że i po tej stronie niektórzy chłopcy mieli w kieszeniach pociski.

— Jak możecie! Jak wam nie wstyd, panowie! Sześciu na jednego! Zabijecie go, doprawdy! — zawołał Aljosza.

Wyskoczył naprzód i zasłonił sobą chłopca. Trzej czy czterej natychmiast przestali rzucać.

— On pierwszy zaczął! — krzyknął chłopczyk w czerwonej bluzie zirytowanym dziecięcym głosikiem. — Podły jest, Krasotkina w klasie dżgnął scyzorykiem, aż krew się polała. Krasotkin nie chciał się skarżyć, a tego trzeba sprać...

— Za co? sami go chyba drażnicie?

— A on znowu kamieniem pana uderzył. On pana zna — zawołali chłopcy — i ciska teraz nie w nas, lecz w pana. No! dalej! wszyscy razem. Uważaj, Smurow.

I zaczęła się znów wymiana pocisków, tym razem bardzo okrutna. Kamień rymnął chłopca z za rynsztoka tak mocno w piersi, że zapłakał z bólu i zaczął uciekać w kierunku Michajłowskiej.

— Aha! stchórzył, zmyka! Wiechetek! — wołali chłopcy.

— Pan jeszcze nie wie, Karamazow, jaki on podły,

takiego nie wystarczy zabić — zawołał z zapałem chłopak w kurtce, widocznie najstarszy w tem gronie.

— Cóż on takiego zrobił? — zapytał Aljosza — Skarżył się na was?

Malcy spojrzeli po sobie jakgdyby z uśmiechem.

— Pan idzie tą samą drogą co on? — podjął ów chłopak — Dogoni go pan... Ot tam, zatrzymał się znowu, czeka i na pana spogląda.

— Na pana spogląda, na pana! — podchwycili chłopcy.

— Niech go pan zapyta, czy lubi wiecheć kąpielowy, rozwichrzony wiecheć. Niech go pan zapyta!

Wszyscy się roześmiali. Aljosza patrzał na nich, a oni na niego.

— Niech pan nie idzie. On pana uderzy — ostrzegał Smurow.

Ów chłopczyk oczekiwał go, nie ruszając się z miejsca. Zbliżywszy się bardziej, Aljosza dokładnie przyjrzał się napastnikowi. Był to dziewięcioletni dzieciak, bardzo wątły i chuderlawy, o szczuplutkiej, bladziutkiej i podłużnej twarzyczce, o ciemnych, nienawiścią pałających oczach. Ubrany był ubogo w stary wyszarzany paltocik, z którego dawno wyrósł, w połatane na prawem kolanie spodenki i stare buciki, z których prawy był podziurawiony, zaś dziura zasmarowana atramentem. Obie kieszenie palta były wypchane kamieniami. Aljosza zatrzymał się przed nim w dwóch krokach i spoglądał nań badawczo. Malec, poznawszy po jego twarzy, że nic mu bezpośrednio nie grozi, spuścił nieco z tonu i sam nawet zaczął rozmowę.

— Ja jeden, a ich sześciu. A przecież wszystkich pokonam — odezwał się nagle, łyskając oczyma.

— Jeden kamień musiał kawalera mocno uderzyć — zauważył Aljosza.

— Za to ja trafiłem Smurowa w łeb !— zawołał malec.

— Oni mi tam powiedzieli, że kawaler mnie zna i umyślnie za coś we mnie kamieniem cisnął?

Malec spojrzał nań chmurnie.

— Odczep się pan — zawołał naraz ze wściekłością, chociaż sam nie ruszał się z miejsca, jakby wciąż na coś czekał.

— Dobrze, pójdę — rzekł Aljosza — tylko ja kawalera nie znam i nie drażnię. Tamci mnie nauczyli, czem można drażnić kawalera, ale ja nie chcę drażnić, do widzenia.

— Mnich w portkach pstrych! — krzyknął brzdąc, ścigając Aljoszę wyzywającym i złym wzrokiem. Stanął w nienaturalnej pozie, spodziewając się zapewne, że obrażony teraz napewno się nań rzuci. Wszakże Aljosza obrócił się tylko, zmierzył go okiem i poszedł dalej. Nie uszedł trzech kroków, gdy ugodził go dotkliwie w plecy największy kamień z arsenału brzdąca.

— A to kawaler ztyłu napada? Widać tamci prawdę mówili, że kawaler napada ztyłu? — rzekł Aljosza i znowu się odwrócił. Tym razem malec z wściekłością cisnął kamień, mierząc prosto w twarz. Na szczęście Aljosza zasłonił się w porę i kamień trafił go w łokieć.

— Jak kawalerowi nie wstyd. Co ja kawalerowi zrobiłem? — zawołał.

Napastnik nie odpowiadał i wyzywająco oczekiwał natarcia. Bierność Aljoszy doprowadziła go widocznie do ostatecznej wściekłości, bo zerwał się nagle jak zwierzątko, dopadł Aljoszy, pochwycił jego lewą rękę, wpił się w palec zębami i przez dziesięć sekund nie puszczał. Aljosza krzyknął z bólu, wydzierając z całej siły rękę. Chłopak wypuścił ją wreszcie i odskoczył na poprzednią odległość. Palec był pogryziony do samej kości i broczył krwią. Aljosza wyjął chustkę i mocno owiązał zranioną rękę. Wszystko to trwało prawie minutę.

Chłopiec stał i czekał. Wreszcie Aljosza podniósł nań łagodne oczy.

— Widzisz, jakeś mnie mocno ukąsił, — przemówił owijając palec chustką, — no chyba dosyć, prawda? Teraz powiedz, co ci zrobiłem.

Chłopiec obejrzał go ze zdziwieniem.

— Przecież ja kawalera nie znam i poraz pierwszy

widzę — dodał spokojnie Aljosza — ale chyba niemożliwie, abym kawalerowi nic złego nie wyrządził, boby kawaler mnie nie skaleczył tak bez powodu. Więc co zrobiłem, i czem sobie zasłużyłem na to?

W odpowiedzi chłopiec rozpłakał się na głos i nagle uciekł od Aljoszy. Ów poszedł za nim na Michajłowską ulicę i długo spoglądał, jak malec biegł przed siebie, nie zwalniając kroku, nie oglądając się i zapewne płacząc. Aljosza postanowił odszukać go koniecznie i wyjaśnić tajemnicze zajście. Chwilowo jednak miał pilniejsze sprawy.

IV.

U pani Chochłakow.

Rychło doszedł do domu pani Chochłakow, dwupiętrowej, pięknej kamienicy, jednej z najokazalszych w naszem mieście. Pani Chochłakow przebywała najczęściej albo w innej gubernji, w której miała majątek, albo w Moskwie, gdzie miała dom. W naszem mieście posiadała nieruchomość, odziedziczoną po ojcu i dziadku, w której rzadka bywała, mimo że majątek jej w naszym powiecie był największy ze wszystkich trzech jej posiadłości ziemskich.

— Czy dostał pan list, który napisałam do pana w sprawie cudu? — zawołała z nerwowym pośpiechem, wybiegłszy na spotkanie Aljoszy do przedpokoju.

— Tak, dostałem.

— A czy go pan wszystkim pokazał? Rozpowszechnił pan? Wszak on matce syna powrócił.

— Zapewne dziś jeszcze zgaśnie — odparł Aljosza— Słyszałem, owszem.

— O, jak ja pragnę z panem pomówić! Z panem lub kim innym o tem wszystkiem. Nie, z panem, z panem! Jakaż szkoda, że nie mogę raz jeszcze go widzieć. Całe miasto jest wzburzone, wszyscy czekają. Ale teraz... Wie pan, że Katarzyna Iwanowna jest w tej chwili u mnie?

— Ach, jak to dobrze, — zawołał Aljosza. — Zoba-

czę ją więc tutaj, bo kazała mi wczoraj koniecznie przyjść do siebie.

— Wiem, wiem o wszystkiem. Słyszałam z najdrobniejszemi szczegółami o tem przejściu... i o tych wszystkich okropnościach... z tą... kreaturą. C'est tragique, i jabym na jej miejscu, doprawdy nie wiem, nie wiem, cobym zrobiła. A ten brat pana, Dymitr, co za gagatek. — O Boże, kłębi mi się w głowie, tam, tam, w salonie siedzi brat pana, ale nie, nie tamten, straszny, wczorajszy, ale ten, drugi, Iwan Fedorowicz siedzi tam i rozmawia z nią: poważna rozmowa. I gdyby pan wiedział o czem? To straszne, to powiadam panu, szarpanina, straszliwa baśń, doprawdy, trudno uwierzyć. Gubią siebie sami, niewiadomo po co, wiedzą o tem, delektują się swojem udręczeniem. Ja pana oczekiwałam, łaknęłam obecności pana! Ja, rzecz najważniejsza, nie potrafię tego znieść. Zaraz panu to opowiem, ale tymczasem co innego i najważniejszego, o mało nie zapomniałem, że to najważniejsze: niech mi pan powie, dlaczego moja Lise dostała histerycznego ataku.

— Maman, to mama teraz ma histerję a nie ja — doniósł się z drugiego pokoju przez szparę ledwo uchylonych drzwi przenikliwy głosik Lizy. Drgał w nim jakby z trudnością powstrzymywany śmiech.

Aljosza odrazu zauważył tę szparę i domyślił się, że Liza podgląda, ale nie mógł jej oczywiście dostrzec.

— Nic dziwnego, Lise, nic dziwnego... Z twoich kaprysów to i ja dostanę histerji, a zresztą ona jest tak chora, Aleksy Fedorowiczu, całą noc gorączkowała i stękała. Ledwom się doczekała doktora Hertzenstube, który powiedział, że nic nie rozumie, że trzeba poczekać. Ten Hertzenstube nigdy nic nie rozumie. Jakeś pan podszedł do domu, Lise krzyknęła, dostała ataku nerwowego i kazała się przenieść do drugiego pokoju.

— Mamo, wcale nie widziałam, że on przychodzi, i bynajmniej nie dlatego kazałam się przenieść do drugiego pokoju.

— A to już nieprawda, Lise, doskonale wiedziałaś,

że Aleksy Fedorowicz idzie, bo Julja ci powiedziała, kazałaś jej stać na czatach.

— Mamo kochana, doprawdy, że to bardzo niedowcipnie wygadywać takie rzeczy. Jeżeli chcesz poprawić się i powiedzieć coś mądrego, to zechciej, droga mamo, oświadczyć wielmożnemu panu Aleksemu Fedorowiczowi, że to niedowcipnie z jego strony przychodzić tu po tem wszystkiem, co wczoraj zaszło, mimo że wszyscy się z niego śmieją.

— Lise, zanadto już sobie pozwalasz, wiedz, że cię za to skarcę. Któż się tu z niego śmieje? Cieszę się, że chciał przyjść — tak mi jest potrzebny, tak niezbędny. Och, Aleksy Fedorowiczu, jestem wyjątkowo nieszczęśliwa.

— Cóż się mamie stało?

— Ach te twoje ciągłe kaprysy, to roztrzepanie, twoja choroba, ta straszna noc i ten straszny Hertzenstube, przedewszystkiem wieczny, wieczny, wieczny. I wreszcie, wszystko, wszystko... I wreszcie ten cud. Jak mnie to wzruszyło, jak do głębi wstrząsnęło, Aleksy Fedorowiczu. I tam ta tragedja w salonie, której znieść nie mogę, nie mogę, powiadam panu, że nie mogę. Zresztą, to nie tragedja, może komedja. Powiedz pan, Aleksy Fedorowiczu, czy starzec Zosima dożyje jutra, dożyje? Boże mój, co się ze mną dzieje, zamykam oczy i myślę sobie: wszystko to głupstwo, głupstwo.

— Przepraszam bardzo — przerwał Aljosza — czy mógłbym prosić o kawałek czystego płótna do przewiązania palca. Skaleczyłem go sobie i bardzo mnie teraz boli.

Aljosza pokazał ukąszony palec. Chusteczka nasiąkła krwią. Pani Chochłakow krzyknęła i zakryła oczy.

— Boże, jaka rana, to straszne.

Liza zaś, ujrzawszy przez szczelinę palec Aljoszy, otworzyła raptownie drzwi.

— Chodź pan, chodź pan tu — zawołała rozkazująco— Teraz już bez głupstw. — Boże mój, jak pan mógł stać tyle czasu i nic nie powiedzieć? Mamo, on mógł przecie zemdleć z upływu krwi. — Jakże tak można? Przedewszystkiem wody. Ranę trzeba przemyć i zanurzyć palec w wo-

dzie, aby ból minął, i trzymać, trzymać... Prędzej, prędzej wody, mamo. Ależ prędzej. — Była naprawdę przestraszona, rana Aljoszy bardzo ją przeraziła.

— Może posłać po Hertzenstubego? — pytała pani Chochłakow.

— Mama, ty mnie zabijesz. Twój Hertzenstube przyjdzie i powie, że nie może zrozumieć. Julja niech wody przyniesie, tylko prędko, mamo, na miłość Boską, prędko, bo umrę...

— Ależ to drobnostka! — zawołał Aljosza, przestraszony ich przestrachem.

Julja przyniosła wody. Aljosza zanurzył palec.

— Mamo! na miłość Boga, trzeba przynieść bandaż i tę białą gryzącą wodę do ran, nie wiem jak się ona nazywa! Jest, jest... stoi duża butelka w pokoju sypialnym, w szafce na prawo. Butelka duża i bandaż...

— Zaraz, przyniosę wszystko, Lise, tylko nie krzycz tak, i nie lękaj się. Widzisz, z jaką siłą ducha Aleksy Fedorowicz znosi swoje nieszczęście. I gdzie się pan tak zranił, Aleksy Fedorowiczu?

Pani Chochłakow wyszła. Lizie o to właśnie chodziło.

— Przedewszystkiem niech pan opowie, gdzieś się pan raczył tak skaleczyć, a potem pomówimy o innych rzeczach. Prędzej, mów pan!

Aljosza wyczuł instynktem, że Liza chce wykorzystać czas nieobecności matki. Opowiedział więc naprędce, ale jasno i dokładnie, całe zagadkowe zajście z chłopcami. Liza, wysłuchawszy opowiadania, plasnęła w ręce.

— Jak można, jak można i jeszcze w tym habicie zadawać się ze smarkaczami! — zawołała z gniewem, jakgdyby miała doń jakieś prawa. — Ale wobec tego sam pan jest chłopczykiem, najmniejszym chłopczykiem! Ale niech się pan postara dowiedzieć o tym złośliwym brzdącu, a potem opowiedzieć mi wszystko, bo musi w tem tkwić jakaś tajemnica. Teraz, druga rzecz, ale przedtem zapytanie: czy może pan pomówić ze mną mimo bólu, o głupstwach coprawda, ale rozsądnie?

— Mogę i zresztą już mnie nie boli.

— To dlatego, że trzyma pan palec w zimnej wodzie. Ale ona zaraz ogrzeje się, trzeba ją zmienić. Juljo! biegnij prędko do piwnicy i przynieś kawałek lodu i świeżej wody. No, teraz ona poszła, pomówimy o rzeczy: miły Aleksy Fedorowiczu, proszę mi oddać ten list, który do pana wczoraj napisałam. — Tylko prędko, bo mama zaraz wróci, a nie chcę...

— Nie mam przy sobie tego listu.

— To nieprawda: ma pan przy sobie! Byłam pewna, że pan mi tak odpowie. Leży w kieszeni pana. Tak żałowałam. Tak żałowałam przez całą noc. Proszę zwrócić list odrazu, natychmiast!

— Został tam.

— Ale nie może mnie pan nie uważać za dziewczynkę, za małą, malutką dziewczynkę, po moim liście, z tym głupim żartem. Niech mi pan daruje, ale list mi pan bezwarunkowo odniesie, jeśli go pan naprawdę nie przyniósł — proszę mi dziś jeszcze przynieść, koniecznie, koniecznie!

— Dziś to niemożliwe; gdy wrócę do klasztoru, to nie wyjdę już przez jakie trzy lub cztery dni, bo starzec Zosima...

— Cztery dni, co za głupstwo! Niech mi pan powie, czy się pan bardzo ze mnie śmiał?

— Wcale się nie śmiałem.

— Dlaczego?

— Bo uwierzyłem w list zupełnie poważnie.

— Pan mnie obraża.

— Ani troszeczkę. Przeczytawszy list, pomyślałem sobie odrazu, że wszystko się tak istotnie stanie, ponieważ po śmierci starca Zosimy będę musiał zaraz opuścić klasztor, potem zdam wszystkie egzamina, a jak nastanie czas, to pobierzemy się. Będę panią kochał. Nie miałem jeszcze wprawdzie czasu myśleć, ale pomyślałem sobie, że lepszej żony nie znajdę, a starzec kazał mi się ożenić...

— Ja przecież jestem kaleką, w wózku mnie wożą — zaśmiała się Liza z wypiekami na twarzy.

— Sam panią będę woził, chociaż pewien jestem, że do tego czasu wyzdrowieje pani.

— Pan oszalał — mówiła nerwowo Liza — jak można brać na serjo głupie żarty!... Ale otóż i mama, w samą porę. Czemu mama tak długo siedziała, zawsze się mama musi spóźnić! Oto i Julja z lodem!

— Ach, Lise, nie krzycz, tylko proszę cię, nie krzycz. Mam już dosyć twoich krzyków... Co robić, schowałaś tak bandaże, że znaleźć ich nie mogłam. Szukałam, szukałam... Posądzam cię, że umyślnie to zrobiłaś.

— Nie mogłam przecież przewidzieć, że on przyjdzie ze skaleczonym palcem; gdybym wiedziała, możebym naprawdę to zrobiła. Mamusiu, aniele, stajesz się naprawdę bardzo dowcipną.

— Niech i tak będzie, Lise, ale jak się wyrażasz, choćby teraz, o skaleczonym palcu naszego gościa. Och, Aleksy Fedorowiczu, zabija mnie nie każda drobnostka, nie Hertzenstube jaki, ale wszystko to razem, całość, tego znieść nie potrafię!

— Dosyć, mamo, dosyć już tego Hertzenstube — roześmiała się wesoło Liza — niech mi mama prędzej da bandaże, mamo, i tej wody. Niech mama sobie wyobrazi, że pobił się z chłopakami na ulicy, i jeden z tych smarkaczy ukąsił go w palec. Sam taki dzieciak, to czy może się żenić, bo niech mama sobie wyobrazi, że chce się żenić. Niech mama sobie go wyobrazi jako męża, czy to nie jest śmieszne, czy to nie jest okropne?

I Liza zaśmiała się nerwowym śmieszkiem, patrząc na Aljoszę.

— Jakto się ożenić? I co to ciebie obchodzi? To wcale nie dla ciebie..., a przecież ten chłopak może był wściekły.

— Ach, mamo, czy istnieją wściekli chłopcy?

— Jakto nie isnieją, Lise! Waszego chłopca może ukąsił wściekły pies, skutkiem czego i chłopak się wściekł i rzuca się na ludzi. Jak ona panu doskonale obandażowała rękę, jabym tak nigdy nie potrafiła. Czuje pan jeszcze ból?

— O wiele mniejszy.

— A nie ma pan wodowstrętu? — pytała Liza.

— Dosyć już tego, Lise. Wymknęło mi się o tym wściekłym chłopcu, a ty już nicujesz moje powiedzenie.

Aleksy Fedorowiczu, Katarzyna Iwanowna dowiedziała się, że pan jest tutaj, rzuciła się na mnie, ona pana łaknie, łaknie.

— Ach mamo! idź do niej sama, on jeszcze nie może, zanadto go boli.

— Ależ nie boli, mogę zaraz pójść... — rzekł Aljosza.

— Jakto! pan odchodzi! To pan taki? To pan taki?

— Cóż? Jak tam skończę, to wrócę i będziemy mogli znowu pomówić. A chciałbym bardzo zobaczyć jaknajprędzej Katarzynę Iwanowną, bo pragnę dziś wcześnie wrócić do klasztoru.

— Weź go, mamo, stąd i jaknajprędzej wyprowadź. Aleksy Fedorowiczu, niech się pan nie fatyguje do mnie po rozmowie z Katarzyną Iwanowną, wróć prosto do swojego klasztoru! A ja spać chcę, nie spałam całą noc.

— Ach, Lise, to tylko żarty sobie stroisz, ale gdybyś ty tak naprawdę zasnęła! — zawołała pani Chochłakow.

— Nie wiem, czem... Jeżeli pani chce,to zostanę tu trzy minuty jeszcze, nawet pięć — wyjąkał Aljosza.

— Nawet pięć minut! Zabierz go, mamo, zabierz stąd tego potwora!

— Oszalałaś, Lise. Chodźmy, Aleksy Fedorowiczu, ona dziś taka rozkapryszona. Boję się jej drażnić. Źle jest z nerwową kobietą, Aleksy Fedorowiczu, chociaż kto wie, może naprawdę spać jej się chce. Jak pan wspaniale na nią oddziaływa: usposabia ją pan do snu, Aleksy Fedorowiczu!

— O, to mama ładnie powiedziała, niech cię uściskam za to, mamo.

— I ja ciebie nawzajem, Lise. Posłuchaj pan — szepnęła tajemniczo pani Chochłakow, wyszedłszy z Aljoszą — Nie chcę panu nic mówić, nie chcę uchylić tej zasłony, pójdź pan i sam zobacz, co się dzieje w salonie. To straszne, to najdziwniejsza w świecie komedja: ona kocha brata pana, Iwana Fedorowicza, a wmawia w siebie i w drugich, że kocha Dymitra Fedorowicza. To straszne. Wejdę do nich razem z panem i, jeżeli mnie nie przepędzą, to doczekam się końca.

V.

Szarpanina w salonie.

Atoli w salonie rozmowa dobiegała końca. Katarzyna Iwanowna była ogromnie wzburzona, aczkolwiek nadrabiała miną. W chwili wejścia Aljoszy i pani Chochłakow, Iwan Fedorowicz podniósł się, zbierając się ku wyjściu. Bladość jego zaniepokoiła Aljoszę. Wypada stwierdzić, że Aljosza w tej chwili spodziewał się tu rozstrzygnąć jedną z wątpliwości, jedną z niepokojących zagadek, które ostatniemi czasy bardzo go trapiły. Jeszcze miesiąc temu z rozmaitych stron słyszał wielokrotnie powtarzane domysły, że brat Iwan kocha Katarzynę Iwanowną i, co najważniejsza, że zamierza ją istotnie „odbić" Dymitrowi. Domysły owe wydawały się Aljoszy niedorzeczne, a jednak nie dawały mu spokoju. Kochał obu braci i wzdrygał się na myśl o takiej między nimi rywalizacji. I oto sam Dymitr Fedorowicz wczoraj bez ogródki oświadczył, że owszem cieszy się z rywalizacji brata Iwana i że mu ona nawet bardzo pomoże. Pomoże? Do czego? Do poślubienia Gruszeńki? Ale małżeństwo z Gruszeńką uważał Aljosza za czyn ostateczny i desperacki. W dodatku Aljosza wierzył święcie, do wczorajszego wieczoru, że Katarzyna Iwanowna kocha wielką, namiętną miłością brata jego, Dymitra — ale tylko do wczorajszego wieczoru. Niewiadomo czemu uroił sobie, że nie może ona kochać takiego człowieka jak Iwan, że kocha tylko takiego człowieka jak Dymitr i właśnie jako takiego, mimo całą dziwaczność takiej miłości. Wszakże wczoraj, w czasie sceny z Gruszeńką zmienił niejako zdanie. Słowo „szarpanina", wypowiedziane przed chwilą przez panią Chochłakow, trafiło mu w nastrój, więcej nawet, uderzyło go. Chodzi o to, że tej nocy właśnie, przed świtem, gdy ocknął się, ale jeszcze niezupełnie obudził, szepnął do siebie jakby w związku ze snem to samo słowo: „Szarpanina, szarpanina!" Śniła mu się zaś przez całą noc wczorajsza scena u Katarzyny Iwanownej. To też ogromnie go zastanowiło uporczywie twierdzenie pani Chochłakow, że Katarzyna

Iwanowna kocha brata Iwana i że jeno gwoli „szarpaniny" oszukuje siebie i sama się zamęcza wrzekomą miłością ku Dymitrowi przez wzgląd na jakąś wdzięczność. „Tak, być może, w rzeczy samej tak jest, jak to ona powiedziała!" Ale w takim razie, jakaż jest sytuacja brata Iwana? Aljosza wyczuwał instynktem, że taki charakter jak Katarzyna Iwanowna, musi panować i rządzić, zaś rządzić mogła tylko Dymitrem, a nie Iwanem. Albowiem Dymitr (chociaż po dłuższym dopiero czasie) mógł ukorzyć się przed nią wkońcu „dla swego szczęścia" (czego mu zresztą Aljosza gorąco życzył), natomiast Iwan — nie, Iwan nie mógłby się przed nią ukorzyć, i zresztą ukorzenie nie dałoby mu szczęścia. Takie o nim mniemanie urobił sobie mimowoli Aljosza. I oto wszystkie te pytania i myśli przemknęły mu przez głowę w chwili, gdy wchodził do salonu. Jeszcze jedna myśl przyszła mu do głowy, niespodziana i przemożna: „A jeżeli ona wogóle nikogo nie kocha, ani tego, ani tamtego?" Muszę zwrócić uwagę czytelnika, że Aljosza sam jakgdyby wstydził się takich myśli, i był z siebie bardzo niezadowolony, gdy mu się mimochodem narzucały, co mu się zdarzało szczególnie często w ostatnim miesiącu: „Bo i cóż ja tam wiem o miłości i kobietach, i jakie prawo mam wydawać sąd o takich rzeczach" — beształ siebie po każdej tego rodzaju myśli, po każdym domyśle. Przecież nie mógł nie myśleć. Rozumiał instynktem, że naprzykład teraz, w obecnej chwili rywalizacja obu braci jest niezmiernie ważną kwestją, i wiele od niej zawisło. „Jeden gad pożre drugą gadzinę" — wyraził się wczoraj brat Iwan o Dymitrze Fedorowiczu i ojcu. A zatem Iwan uważa brata Dymitra za gada. I to może oddawna? Czy aby nie od tego czasu, jak poznał Katarzynę Iwanowną? Słowa owe wymknęły mu się mimowoli, w gniewie, ale właśnie dlatego były tem istotniejsze. A jeżeli tak jest w rzeczywistości, to czy można mówić o pokoju? Czy nie są to nowe ogniska nienawiści i niesnasek w rodzinie? A przedewszystkiem, nad kim się litować? I czego każdemu z nich życzyć? Kocha jednego i drugiego, ale nie wie, czego każdemu z nich życzyć pośród tych wszystkich straszliwych sprzeczności! W tej gmatwaninie

można się było zupełnie zgubić, zaś serce Aljoszy nie znosiło rzeczy niewiadomych, bo charakter jego miłości był zawsze czynny. Nie mógł kochać biernie; kochając, musiał odrazu przychodzić w pomoc. Aby pomagać, trzeba sobie wytknąć cel, trzeba z pewnością wiedzieć, co dla osoby, której się chce pomóc, jest dobre i pożyteczne; dopiero, gdy się uzyskało pewność, w sposób naturalny pomagać. Tu zaś zamiast pewnych celów była mgławica i gmatwanina. „Szarpanina" powiedziano przed chwilą! Ale cóż może on zrozumieć nawet w tej szarpaninie? Nie pojmował bodaj pierwszego jej słowa!

Na widok Aljoszy Katarzyna Iwanowna porywczo i z jakąś dziwną radością odezwała się do Iwana Fedorowicza, który zbierał się już do wyjścia:

— Na chwilkę! Niech pan zostanie jeszcze chwileczkę. Chciałabym wysłuchać opinję tego człowieka, któremu ufam z całej duszy. Katarzyno Osipowna, niechże i pani nie wychodzi — dodała zwracając się do pani Chochłakow.

Posadziła Aljoszę obok siebie, a pani Chochłakow usiadła naprzeciw, obok Iwana Fedorowicza.

— Tu są wszyscy moi przyjaciele, jedyni, których mam na świecie, najdrożsi moi przyjaciele — zaczęła żarliwym głosem, w którym brzmiały szczere łzy cierpiętnicze, a który zmiejsca zdobył serce Aljoszy. — Aleksy Fedorowiczu, pan był wczoraj świadkiem tej... ohydy, i widział pan, w jakim ja stanie byłam. Pan nie widział tego, Iwanie Fedorowiczu, lecz on widział. Co on o mnie wczoraj pomyślał — nie wiem, wiem tylko to, że gdyby to samo powtórzyło się dzisiaj, okazałabym te same uczucia, wypowiedziałabym te same słowa i wykonała te same gesty. Pan pamięta moje gesty, Aleksy Fedorowiczu, pan sam mnie powstrzymywał od jednego... (Co mówiąc, zarumieniła się i błysnęła okiem). Oświadczam panu, Aleksy Fedorowiczu, że nie mogę się z niczem pogodzić. Ja nawet nie wiem, czy kocham go teraz. Wydaje mi się politowania godny. To kiepskie świadectwo miłości. Gdybym go kochała, gdybym go nadal kochała, to zapewne nie litowałabym się nad nim, lecz przeciwnie, nienawidziła go...

Głos jej zadrżał, i łzy zawisły na rzęsach. Aljoszę przeszedł dreszcz wewnętrzny: szczera jest i prawdomówna — pomyślał — i... nie kocha już Dymitra!

— Tak jest! Tak! — zawołała pani Chochłakow.

— Niech pani poczeka, droga Katarzyno Osipowna, nie powiedziałam rzeczy najważniejszej, nie powiedziałam ostatecznie, co postanowiłam dzisiejszej nocy. Czuję, że być może, postanowienie to jest okropne, dla mnie oczywiście, ale przeczuwam, że już za nic w świecie nie zmienię go, że tak już będzie do końca mego życia. Mój miły, mój dobry, mój stały i wielkoduszny doradca, i głęboki znawca serc, i jedyny przyjaciel, którego mam na świecie, Iwan Fedorowicz aprobuje mnie i pochwala moje postanowienie... Iwan Fedorowicz jest wtajemniczony we wszystko.

— Tak, pochwalam — odezwał się Iwan cichym lecz stanowczym głosem.

— Ale pragnę, aby i Aljosza (ach, Aleksy Fedorowiczu, niech mi pan wybaczy, że tak poufale nazywam pana Aljoszą) — pragnę, aby i Aleksy Fedorowicz powiedział mi teraz, wobec obu przyjaciół moich — czy mam słuszność, czy nie? Przeczuwam instynktem, że pan, Aljosza, bracie mój miły (bo jest pan bratem moim miłym) — zawołała w uniesieniu, chwytając swoją rozpaloną ręką jego chłodną dłoń — przeczuwam, że postanowienie pana, że aprobata pana, mimo moich cierpień, da mi spokój, ponieważ po słowach pana ucichnę i pogodzę się z losem — tak, przeczuwam to całem sercem.

— Nie wiem, o co mnie pani chce zapytać — odezwał się Aljosza z zapłonioną twarzą — wiem tylko, że miłuję panią i że życzę pani w tej chwili więcej szczęścia niż sobie samemu!.. Ale ja przecież zupełnie się nie znam na tych sprawach... — dodał nagle z pośpiechem.

— W tych sprawach, Aleksy Fedorowiczu, w tych sprawach najważniejszą jest teraz rzeczą — honor i obowiązek i coś jeszcze, nie wiem co, ale coś wznioślejszego od obowiązku. Serce mi mówi o tem niepohamowanem uczuciu, które mnie pociąga. Wszystko zresztą, w dwóch słowach... zdecydowałem już. Jeśli nawet on ożeni się z tą

szmatą (zaczęła uroczyście), której nigdy, nigdy nie przebaczę, to i wówczas ja go nie porzucę! Od tej pory nigdy już, nigdy go nie porzucę! — zawołała w jakiejś bladej, sztucznej i wymęczonej egzaltacji. — To nie znaczy, że będę się za nim wlokła, że będę mu się rzucała w oczy, dokuczała — o nie, wyjadę do innego miasta, wszystko jedno gdzie, lecz całe życie, życie całe będę śledziła nieustannie każdy jego krok. A kiedy będzie z tamtą nieszczęśliwy, a to stać się musi, to niechaj przyjdzie do mnie i wówczas znajdzie we mnie przyjaciela, siostrę... Tylko siostrę, rozumie się, i to na wieki, ale przekona się wreszcie, że ta siostra jest istotnie jego siostrą, kochającą go i ofiarującą mu całe swe życie. Dopnę tego, doprowadzę do tego, że wreszcie pozna mnie i wszystko mi wyzna, niczego się nie wstydząc! — zawołała bezprzytomnie. — Będę mu Bogiem, do którego będzie się modlił, winien mi to jest choćby za zdradę swoją, za to, co wczoraj przez niego przecierpiałam. I niech widzi przez całe swe życie, że całe życie swoje będę mu wierna, będę wierna danemu słowu, któremu on się sprzeniewierzył... Będę... Stanę się jedynie środkiem jego szczęścia (albo jak to powiedzieć) instrumentem, maszyną jego szczęścia, i to na całe życie, na całe życie, i żeby on to wiedział całe swe życie! Oto moje postanowienie! Iwan Fedorowicz całkowicie mnie aprobuje.

Zabrakło jej tchu. Zapewne o wiele godniej, lepiej i naturalniej zamierzała wypowiedzieć swoją myśl, wszakże wypadło zbyt porywczo i zbyt nago. Wiele było w tych słowach młodej niewytrzymałości, wiele akcentów wczorajszego gniewu i obrażonej dumy. Wiedziała o tem sama. Twarz jej nagle zasępiła się, oczy nabrały złego wyrazu. Nie uszło to uwadze Aljoszy. Poczuł dla niej głębokie współczucie. I wówczas Iwan dolał oliwy do ognia.

— Ja tylko myśli swe wypowiedziałem — rzekł. — U każdej innej kobiety mogłoby się to wydawać nieszczere, nadrabiane, a u pani — bynajmniej. Inna nie miałaby słuszności, lecz pani ma słuszność. Nie wiem jak to umotywować ale widzę, że pani jest głęboko szczera, a przeto ma pani słuszność...

— Ale przecież to tylko w tej chwili... Czemże jest ta minuta? To tylko wczorajsza zniewaga — macie państwo całą tę minutę! — zawołała pani Chochłakow. Aczkolwiek chciała się widocznie nie wtrącać, tym razem nie mogła się pohamować i wypowiedziała tę trafną zresztą uwagę.

— Tak, tak — podjął Iwan z jakąś nagłą zapalczywością, niezadowolony snać, że mu przerwano — tak, ale dla innej kobiety ta minuta jest tylko wczorajszem wrażeniem i tylko minutą, natomiast dla takiego charakteru jak Katarzyna Iwanowna, minuta owa ciągnąć się będzie całe życie. Co dla innych jest tylko obietnicą, to dla niej — wiecznym, ciężkim, może ponurym ale nieustannym obowiązkiem. I będzie ona odtąd napawać się poczuciem spełnionego obowiązku! Życie pani, Katarzyno Iwanowna, upłynie w cierpiętniczej kontemplacji własnych uczuć, własnego bohaterstwa i własnej niedoli; atoli wkońcu cierpienia pani złagodnieją, i życie pani obróci się w słodkie rozpamiętywanie urzeczywistnionego raz na zawsze niezłomnego i dumnego zamysłu, zaiste w swoim rodzaju dumnego, w każdym razie — desperackiego. lecz zakończonego zwycięstwem; i ta właśnie świadomość da pani wkońcu najpełniejsze zadowolenie i pogodzi ją ze wszystkiem...

Wypowiedział tę orację z jakąś złośliwością, z jawnem szyderstwem, którego zapewne nie chciał nawet utaić.

— O Boże, jak to wszystko jest nie tak jak powinno być! — znowu zawołała pani Chochłakow.

— Aleksy Fedorowiczu, niech mi pan powie swoje zdanie! Muszę wiedzieć koniecznie, co mi pan powie! — krzyknęła Katarzyna Iwanowna i nagle zalała się łzami.

Aljosza podniósł się z kanapy.

— To nic, nic! — mówiła z płaczem. — To z rozstroju, z dzisiejszej nocy, ale w obecności takich przyjaciół, jak pan i brat pana, czuję się jeszcze dosyć silną... ponieważ wiem... wy mnie obydwaj nigdy nie opuścicie.

— Niestety, jutro już może będę musiał wyjechać do Moskwy i na długo rozstać się z panią... Nic na to nie poradzę... — odezwał się naraz Iwan Fedorowicz.

— Jutro do Moskwy! — Cała twarz Katarzyny Iwa-

nowej drgnęła raptownie — ależ... ależ mój Boże, jak to dobrze! — zawołała zmienionym odrazu głosem, natychmiast pozbywszy się łez, tak że nawet śladu po nich nie zostało. Zdumiewająca ta zmiana odbyła się w mgnieniu oka i ogromnie zdziwiła Aljoszę: z biednej, znieważonej dziewczyny, płaczącej żałośnie, Katarzyna Iwanowna przedzierzgnęła się w kobietę, panującą nad sobą i nawet jakgdyby nadzwyczaj z czegoś zadowoloną, jakby uradowaną.

— O, nie to jest dobre, że pan wyjeżdża, oczywiście, że nie to — poprawiła się naraz z miłym, wielkoświatowym uśmiechem — taki przyjaciel jak pan nie może mnie o to posądzać; przeciwnie, jestem zbyt nieszczęśliwa, że pana tracę (podbiegła nagle do Iwana Fedorowicza i, chwyciwszy go za ręce, uścisnęła je serdecznie). Lecz dobrze jest, że pan będzie mógł sam, osobiście opowiedzieć w Moskwie ciotce mojej i Agafji moją sytuację, całe obecne jej okropieństwo, oczywiście oszczędzając moją miłą cioteczkę, jak to pan zresztą sam potrafi zrobić najlepiej, i nic nie ukrywając przed siostrą Agafją. Nie może pan sobie wyobrazić, jaka byłam wczoraj i dzisiaj rano nieszczęśliwa, nie wiedziałam bowiem, jak napisać straszliwy list... przecież w liście niesposób tego opisać... Natomiast teraz przyjdzie mi to z łatwością, skoro wiem, że pan je odwiedzi i wszystko wyjaśni osobiście i uzupełni. O, jakże jestem zadowolona! Ale tylko z tego się cieszę, niech mi pan wierzy. Sam pan, oczywiście, jest mi tu tak potrzebny... Idę napisać list — dodała nagle, i postąpiła o krok, zamierzając wyjść z pokoju.

— A Aljosza? A zdanie Aleksego Fedorowicza, które pani tak pragnęła wysłuchać? — zawołała pani Chochłakow gniewnym i zjadliwym tonem.

— Nie zapomniałam o tem — zatrzymała się Katarzyna Iwanowna. — I czemuż to pani jest tak niechętnie do mnie usposobiona w takiej chwili, Katarzyno Osipowna? — zapytała z gorzkim i namiętnym wyrzutem. — Jest tak, jak powiedziałam. Muszę znać jego zdanie. Ale to nie wszystko: potrzebne mi jego rozstrzygnięcie! Stanie się tak,

jak on powie — oto do jakiego stopnia pragnę usłyszeć słowa pana, Aleksy Fedorowiczu... Ale co się panu stało?

— Nigdy nie myślałem, nie mogę sobie tego wyobrazić! — zawołał nagle Aljosza, ogromnie rozgoryczony.

— Czego, czego?

— On wyjeżdża do Moskwy, a pani zawołała, że to bardzo dobrze — to pani umyślnie zawołała! A potem odrazu zaczęła się pani tłumaczyć, że pani nie z tego się cieszy, że owszem, żałuje pani, że... traci przyjaciela — ale i wtedy pani umyślnie udawała, zagrała pani jak w komedji, w teatrze!...

— W teatrze? Jakto?... Cóż to takiego? — zawołała Katarzyna Iwanowna, niezwykle zdumiona, rumieniąc się gwałtownie i chmurząc brwi.

— Mimo tych zapewnień, że szkoda pani tracić przyjaciela, powtarza pani ustawicznie, że bardzo dobrze się stało, iż on wyjeżdża... — wypalił bez tchu Aljosza, stojąc przy stole.

— O czem pan, nie rozumiem...

— Ja sam nie wiem... Nagle olśniło mnie jak objawienie... Wiem, że niedobrze to wypowiadać, ale mimo to powiem — kontynuował Aljosza drżącym wciąż i załamującym się głosem — olśniło mnie, że pani brata mego Dymitra wcale może nie kocha... i to od początku... I Dymitr pani, być może, też wcale nie kocha... jeno czci... Doprawdy nie wiem, jak ja to śmiałem wyrazić, ale musi przecież ktoś prawdę powiedzieć, skoro tu nikt nie chce mówić prawdy.

— Jaka prawda? — krzyknęła Katarzyna Iwanowna, i jakaś nutka histeryczna zabrzmiała w jej głosie.

— A taka — wyszepnął Aljosza, poprawiając się z pieca na łeb — niech pani zawezwie tu Dymitra — i niech on przyjdzie tu i weźmie panią za rękę, potem weźmie za rękę brata Iwana i połączy wasze ręce. Ponieważ pani dręczy Iwana tylko dlatego, że pani go kocha... dręczy pani dlatego, że w Dymitrze kocha pani własną szarpaninę, kocha pani nieprawdziwie... bo wmówiła pani sobie to uczucie...

Aljosza urwał nagle i umilkł.

—Ty... ty... mały prostaczku! — zgrzytnęła naraz Katarzyna Iwanowna z pobladłą twarzą i wykrzywionemi wargami. Iwan Fedorowicz zaśmiał się i podniósł się z miejsca. Trzymał kapelusz w ręku.

— Omyliłeś się, mój dobry chłopcze — odezwał się nagle. Twarz jego miała wyraz, jakiego Aljosza nigdy u niego nie widział: biła z niej jakaś młodzieńcza szczerość i silny, niepowstrzymanie otwarty zapał. — Katarzyna Iwanowna nigdy mnie nie kochała! Wiedziała przez cały czas, że ją kocham, mimo że nigdy jej o tem ani słowa nie mówiłem — wiedziała, ale nie kochała mnie. Przyjacielem jej również nie byłem, ani razu, ani jednego dnia: dumna i harda, nie potrzebowała mojej przyjaźni. Trzymała mnie przy sobie, aby się nieustannie mścić. Mściła się na mnie za wszystkie zniewagi, które stale, każdej chwili wyrządzał jej Dymitr od czasu ich pierwszego spotkania. Bo i to spotkanie wyryło się w sercu jej jako zniewaga. Takie ma serce! Przez cały czas byłem powiernikiem, słuchałem tylko jej wynurzeń na temat miłości do Dymitra. Teraz wyjeżdżam, ale niech pani wie, Katarzyno Iwanowna, że pani istotnie kocha tylko jego. I im bardziej panią obraża, tem mocniej go pani kocha. Oto i cała wasza szarpanina. Kocha go pani, jakim jest, kocha go pani jako krzywdziciela. Gdyby się poprawił, przestałaby go pani odrazu kochać. Jest pani potrzebny, aby pani mogła kontemplować nieustannie heroizm swej wierności i aby mu wyrzucać jego wiarołomstwo. Wszystko to płynie z dumy... O, niebrak tu poniżeń i upokorzeń, ale i to z dumy... Jestem zbyt młody i zbyt mocno panią kochałem. Wiem, że nie powinienem tego mówić, że godniej byłoby odejść bez słowa, nie obraziłbym tak pani. Ale przecież jadę w daleką podróż i nigdy nie wrócę. Przecież to na wieki... Nie chcę żyć w tej szarpaninie... Zresztą, nie mogę już nic powiedzieć, wszystko już powiedziałem... żegnam panią, Katarzyno Iwanowna, niech się pani na mnie nie gniewa, bo jestem stokrotnie bardziej od pani ukarany: ukarany choćby tem, że nigdy już pani nie zobaczę. Żegnam. Nie trzeba mi pani rączki. Zbyt świadomie dręczyła

mnie pani, abym mógł w tej chwili przebaczyć. Później przebaczę, a teraz nie trzeba rączki.

Den Dank, Dame, begehre ich nicht! —

dodał z wykrzywionym uśmiechem, nawiasem mówiąc, dowodząc Aljoszy, że i on potrafi czytać Szyllera i nawet cytować go z pamięci, czegoby Aljosza nigdy dotychczas nie przypuszczał. Wyszedł z pokoju, nie pożegnawszy się nawet z panią domu. Aljosza załamał ręce.

— Iwanie! — zawołał za nim nieprzytomnie — wróć Iwanie! Nie, nie, on teraz za nic w świecie nie wróci! — zawołał znowu w rozpaczliwem olśnieniu — ale ja jestem winien, to ja zacząłem. Iwan mówił to przez złość. Niesprawiedliwie i złośliwie... Powinien tu przyjść jeszcze, wrócić, wrócić... — wykrzykiwał Aljosza jak nieprzytomny.

Katarzyna Iwanowna wyszła do drugiego pokoju.

— Nic pan złego nie zrobił, pan mówił istotnie zachwycająco jak anioł — odezwała się szybko i z zachwytem pani Chochłakow do zrozpaczonego Aljoszy. — Dołożę wszelkich starań, aby Iwan Fedorowicz nie wyjechał...

Twarz jej, ku najwyższej rozpaczy Aljoszy, promieniowała radością. W tej chwili wróciła Katarzyna Iwanowna. W ręku trzymała dwa banknoty.

— Mam do pana wielką prośbę, Aleksy Fedorowiczu — rzekła, zwracając się do Aljoszy, głosem napozór spokojnym i opanowanym, jakgdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło. — Tydzień, tak, zdaje się, że tydzień temu Dymitr Fedorowicz popełnił w zapalczywości niesprawiedliwy czyn, o tak, bardzo szkaradny. Jest tu taki podejrzany lokal, podrzędna restauracyjka. Dymitr spotkał się w niej z tym oficerem dymisjonowanym, sztabs-kapitanem, zausznikiem ojca pana. Rozgniewany na tego sztabs-kapitana, Dymitr Fedorowicz chwycił go za bródkę i wobec wszystkich wyciągnął na ulicę, no i na ulicy długo w ten sposób ciągnął. Powiadają, że synek tego sztabs-kapitana, który uczy się w tutejszej szkole, dziecko jeszcze, wyszedłszy ze szkoły przypadkowo natknął się na tę scenę. Biegł za nimi i płakał na głos, i prosił o zlitowanie, zwracał się do przechodniów o pomoc, ale wszyscy się tylko zaśmiewali. Wy-

baczy pan, Aleksy Fedorowiczu, ale nie mogę mówić bez najgłębszego oburzenia o tym jego haniebnym postępku... o tym postępku... na jaki tylko Dymitr może się zdobyć w gniewie... i w rozpętaniu swoich namiętności! Nie mogę o tem mówić, nie jestem w stanie... Plączą mi się słowa. Informowałam się, i powiedziano mi, że to bardzo biedny człowiek. Nazywa się Sniegirow. Za jakieś nadużycie usunięto go z wojska, nie znam bliższych szczegółów. Teraz, obarczony rodziną, nieszczęsną rodziną, choremi dziećmi i obłąkaną żoną, wpadł w ostateczną nędzę. Dawno już mieszka w tem mieście, coś tam robił, był pisarzem, ale naraz przestano mu płacić! Spojrzałam na pana... to jest myślałam — nie wiem, język mi się plącze. Widzi pan, chciałam pana prosić, Aleksy Fedorowiczu — najlepszy mój Aleksy Fedorowiczu, aby pan odwiedził go, odszukał jakiś pretekst, poszedł do niego, do tego kapitana — o, Boże, jak mi trudno mówić — i delikatnie, ostrożnie, tak właśnie, jak tylko pan to potrafi zrobić (Aljosza zarumienił się) — wręczył mu to wsparcie, dwieście rubli. Napewno przyjmie... to jest, jeśli go namawiać... Ale nie, jakby się wyrazić? Widzi pan, to nie jest odczepne, aby nie zaskarżył Dymitra do sądu (zdaje się, że zamierzał to zrobić), tylko współczucie, litość; to ja mu daję, ja, narzeczona Dymitra Fedorowicza, a nie on sam... Słowem, pan już to potrafi... Samabym pojechała, ale pan to zrobi lepiej ode mnie. Mieszka on na Jeziornej ulicy, w domu mieszczanki Kałmykowej... Na miłość Boską, Aleksy Fedorowiczu, niechże pan to zrobi, a teraz... teraz jestem trochę... zmęczona. Dowidzenia...

Tak porywczo odwróciła się i wyszła z pokoju, że Aljosza nie zdążył słówka powiedzieć, chociaż pragnął coś powiedzieć. Chciał mianowicie prosić o wybaczenie — obwinić siebie — w każdym razie coś powiedzieć, albowiem serce miał za bardzo przepełnione, i nie mógł wyjść z pokoju, nie ulżywszy mu. Atoli pani Chochłakow uchwyciła go za rękę i wyprowadziła do przedpokoju. Tu stanęła z nim, podobnie jak przy powitaniu.

— Dumna jest, walczy ze sobą, ale dobra, zachwy-

cająca, wielkoduszna — wołała półgłosem pani Chochłakow. — Jakże ją kocham, zwłaszcza chwilami, i jak się teraz znowu, znowu z wszystkiego cieszę! Drogi Aleksy Fedorowiczu, pan przecie nic o tem nie wiedział: niechże pan wie, że my wszystkie, — ja, obie ciotki, — no wszystkie, nawet Lise, od miesiąca pragniemy tylko tego, i modlimy się, aby rzuciła ulubieńca pańskiego, Dymitra Fedorowicza, który nie chce jej znać i wcale jej nie kocha, i wyszła zamąż za Iwana Fedorowicza, wykształconego i wspaniałego młodzieńca, który ją kocha nad życie. Uknułyśmy nawet cały spisek, i właściwie może dlatego tylko nie wyjeżdżam...

— Ale przecież znowu płakała, obraziłem ją! — zawołał Aljosza.

— Niech pan nie wierzy łzom kobiecym, Aleksy Fedorowiczu — zawsze jestem przeciwko kobietom, zawsze w takich razach jestem po stronie mężczyzn.

— Mamo, mama go psuje i gubi — rozległ się piskliwy głosik Lizy.

— Nie, zawiniłem, strasznie zawiniłem! — powtarzał niepocieszony Aljosza, wstydząc się straszliwie swego postępowania i nawet zakrywając ze wstydu twarz rękoma.

— Przeciwnie, postąpił pan jak anioł, jak anioł, gotowa jestem powtarzać to tysiąckrotnie.

— Mamo, dlaczego on postąpił jak anioł? — rozległ się znowu głosik Lizy.

— Nie wiem, co mi się przywidziało — kontynuował Aljosza, jakgdyby nie słysząc Lizy — że ona kocha Iwana, i wówczas palnąłem to głupstwo... i co teraz będzie!

— Ale z kim, z kim! — krzyknęła Liza. — Mama chce mnie do grobu wpędzić. Pytam się wciąż, i mama mi nie odpowiada.

W tej chwili do przedpokoju wbiegła służąca.

— Katarzyna Iwanowna zachorowała... Płacze... spazmuje, rzuca się.

— Co się stało! — zawołała Liza przestraszonym głosem. — Mamo, to ja dostaję ataku histerycznego, a nie ona!

— Lise, na miłość Boską nie krzycz, nie zabijaj mnie.

Jeszcze jesteś w tym wieku, że nie wszystko możesz wiedzieć, co starsi wiedzą; jak wrócę, to wszystko ci opowiem, wszystko, co można ci opowiedzieć. O mój Boże! Biegnę, biegnę... Atak histeryczny — to dobra wróżba, to wspaniale, Aleksy Fedorowiczu, że dostała ataku. Tak właśnie być powinno. Ja w takich razach zawsze jestem przeciw kobiecie, przeciw wszystkim tym atakom histerji i kobiecym łzom. Juljo, biegnij i powiedz, że ja pędzę. Że Iwan Fedorowicz tak wybiegł, to ona sama jest winna. Ale on nie wyjedzie. Lise, na miłość Boską, nie krzycz! Ach tak, to nie ty krzyczysz, to ja krzyczę, daruj swej mamusi, ale jestem w zachwycie, w zachwycie, w zachwycie! A czy zauważył pan, Aleksy Fedorowiczu, jak młodzieńczo wyglądał Iwan Fedorowicz, gdy to mówił i gdy wyszedł! Myślałam sobie, taki uczony, profesor, a tu naraz tak gorąco — gorąco, szczerze i młodo, popędliwie, i młodo, i tak jakoś pięknie — pięknie, jakby to pan... I ten wierszyk niemiecki powiedział, no tak jakby pan! Ale pędzę, pędzę. Aleksy Fedorowiczu, niechże pan prędzej idzie, niech pan to załatwi i tutaj wróci czemprędzej. Lise, czy nie potrzebujesz czego? Na miłość Boską, nie zatrzymuj Aleksego Fedorowicza, zaraz do ciebie wróci.

Pani Chochlakow wreszcie uciekła. Aljosza przed odejściem chciał otworzyć drzwi do pokoju Lizy.

— Za nic w świecie! — zawołała Liza — teraz już za nic w świecie! Niech pan tak mówi, przez drzwi. Za co pan został aniołem! Tylko to chciałam wiedzieć.

— Za okropne głupstwo, Lise! Dowidzenia.

— Niech się pan nie waży tak odejść!—krzyknęła Liza.

— Lise, jestem poważnie zmartwiony! Wrócę zaraz, ale mam wielkie, wielkie zmartwienie.

VI.

Szarpanina w izbie.

Istotnie, był poważnie zmartwiony, jak jeszcze nigdy dotychczas. Niepotrzebnie się wyrwał i palnął głupstwo, i o czem — o miłości! „Ale co ja o tem wiem, co ja mogę

o tem wiedzieć?" powtarzał po raz setny, oblewając się rumieńcem — „och, wstyd to jeszcze nic, wstyd jest słuszną dla mnie karą — ale jest o wiele gorzej, bo teraz ja będę powodem wielu nowych nieszczęść... A tymczasem starzec wysłał mnie, abym godził i łączył. Zaliż tak się łączy?" Tu znowu przypomniał sobie, jak „złączył ręce" i znowu się okropnie zawstydził. „Chociaż działałem zupełnie szczerze, na przyszłość jednak trzeba być mądrzejszym" — postanowił sobie wreszcie i nawet nie uśmiechnął się z tego postanowienia.

Z polecenia Katarzyny Iwanownej miał iść na ulicę Jeziorną, brat zaś Dymitr mieszkał po drodze, w zaułku nieopodal Jeziornej. Aljosza postanowił odwiedzić go przed wizytą u sztabs-kapitana, chociaż przeczuwał, że nie zastanie go w domu. Przypuszczał nawet, że brat Dymitr jakgdyby rozmyślnie unika go, chowa się przed nim. Jednak za wszelką cenę musi go odszukać. A tymczasem czas upływał; i ani na chwilę nie zapomniał o dogorywającym starcu, odkąd wyszedł z monasteru.

W misji, którą mu powierzyła Katarzyna Iwanowna, jedna okoliczność zastanawiała go i interesowała najbardziej. Kiedy Katarzyna Iwanowna napomknęła o małym uczniaku, synku sztabs-kapitana, jak biegał obok ojca, płacząc nagłos, Aljoszy nagle się wydało, że jest to napewno ów brzdąc, który go był ugryzł w palec. Przypuszczenie rychło stało się pewnością, niewiadomo zresztą dlaczego. Zastanawiając się nad tem, postanowił skorzystać z tej dystrakcji i nie „myśleć" o tym „bigosie", którego sobie narobił, nie dręczyć się skruchą, lecz przejść do czynów, działać, a co ma być, niech się stanie. Natchnęło go to ostatecznie otuchą. Skręciwszy zaś w zaułek, gdzie mieszkał Dymitr, poczuł głód, przypomniał sobie ojcowską bułkę, wyjął z kieszeni i zjadł ją po drodze. Pokrzepiło go to i dodało świeżych sił.

Dymitra nie było w domu. Gospodarze — stary stolarz, jego syn i staruszka żona — jakoś podejrzliwie obejrzeli Aljoszę. „Trzeci dzień, jak nie nocuje, może gdzie wyjechał" — odparł staruszek na natarczywe pytania Aljo-

szy. Widocznie, tak mu kazano odpowiedzieć. Na pytanie: „Czy nie poszedł do Gruszeńki, a może chowa się u Tomasza?“ (Aljosza specjalnie chciał im dać do zrozumienia, że jest wtajemniczony w sprawy brata), spojrzeli nań z wyraźnym lękiem. „Lubią go tu, nie chcą go zdradzić“ pomyślał Aljosza „może to i lepiej“.

Wreszcie odszukał na Jeziornej ulicy dom mieszczanki Kałmykowej. Był to stary, pochylony budynek o trzech oknach na ulicę. Na brudnem podwórzu stała samotnie krowa. Z podwórza wchodziło się do sieni. Na lewo mieszkała stara gospodyni ze swoją również starą córką. Obie, zdaje się, były głuche. Na zapytanie Aljoszy, kilkakrotnie powtórzone, jedna z nich, zrozumiawszy wreszcie, o co chodzi, wskazała palcem na drzwi. Mieszkanie sztabs-kapitana było zwyczajną izbą. Aljosza ujął już za żelazną klamkę, lecz niezwykła cisza za drzwiami zdziwiła go. Wiedział przecież ze słów Katarzyny Iwanownej, że sztabs-kapitan ma liczną rodzinę. „Albo śpią wszyscy, albo usłyszeli mnie i czekają, abym wszedł. Lepiej zastukać“. Więc zastukał. Odpowiedź rozległa się nie odrazu, dopiero pod dziesięciu sekundach.

— Kto tam? — zawołano głośno opryskliwym i gniewnym głosem.

Aljosza otworzył drzwi i przeszedł przez próg. Znalazł się w izbie, dosyć coprawda przestronnej, ale zastawionej różnemi sprzętami. Na lewo stał wielki rosyjski piec. Od pieca do lewego okna przez całą długość pokoju przeciągnięty był sznur, na którym wisiały rozmaite szmatki. Wzdłuż obu ścian, na lewo i na prawo, stały łóżka, pokryte szydełkowemi kapami. Na jednem, z lewej strony wznosiła się sterta z czterech poduszek, rozmaitych rozmiarów, większych na dole i mniejszych ku górze. Na drugiem łóżku, z prawej strony, leżał tylko jasiek. Dalej w pokuciu niewielkie miejsce było odgrodzone zasłoną czy prześcieradłem, również przerzuconem przez sznur. Za zasłoną zaś na ławce i na przystawionym krześle leżała pościel. Zwykły drewniany, chłopski stół był wysunięty w kierunku środkowego okienka. Wszystkie trzy okna, z których każde miało

po cztery małe, zielone i spleśniałe szybki, przepuszczały niewiele światła i były szczelnie zamknięte, wskutek czego w pokoju było bardzo duszno i dosyć ciemno. Na stole stała patelnia z resztkami jajecznicy, przy niej nadgryziona kromka chleba i butelka piwa, z niedopitemi resztkami doczesnych rozkoszy na samem dnie. Koło lewego łóżka siedziała na krześle kobieta w perkalikowej sukni. Była bardzo chuda i cerę miała żółtą; niezwykle wpadnięte policzki świadczyły o chorobie. Ale najbardziej uderzył Aljoszę wzrok ubogiej damy — wzrok niezwykle pytający i zarazem straszliwie wyniosły. I przez cały czas, zanim sama przemówiła, póki Aljosza rozmawiał z gospodarzem, wyniośle i pytająco przenosiła z jednego na drugiego swoje duże piwne oczy. Obok niej pod lewem oknem stała młoda dziewczyna, o dosyć nieładnej twarzy, o rzadkich rudawych włosach, ubrana ubogo ale nader schludnie. Niechętnie i z pewnem nawet obrzydzeniem spojrzała na Aljoszę. Na prawo przy łóżku siedziała jeszcze jedna kobieta. Było to biedne stworzenie, młoda dwudziestoletnia dziewczyna, garbata i kulawa, a raczej o uschniętych nogach, jak dowiedział się później Aljosza. Kule jej stały tuż obok, w kącie, między łóżkiem a ścianą. Wyjątkowo piękne i dobre oczy biednego dziewczęcia z jakąś spokojną łagodnością spojrzały na Aljoszę. Wreszcie przy stole, zjadając resztki jajecznicy, siedział czterdziestopięcioletni mężczyzna, niewysoki, szczupły, wątłej budowy, o rudych włosach, o rudawej rzadkiej bródce, przypominającej wiecheć kąpielowy (porównanie to i słowo „wiecheć" narzuciły się Aljoszy z pierwszego wejrzenia, jak to sobie później przypomniał). On to zapewne odezwał się w odpowiedzi na stukanie Aljoszy, gdyż w pokoju nie było innego mężczyzny. Na widok przybysza, zerwał się z ławki i podbiegł doń, naprędce ocierając usta dziurawą serwetką.

— Mnich po kweście, wiedział, do kogo się wybrać! — rzekła na głos dziewczyna, stojąca w lewym kącie.

Jegomość, który podbiegł ku Aljoszy, natychmiast odwrócił się na obcasach i wzburzonym, załamującym się głosem odpowiedział:

— Nie, Barbaro Iwanowna, to nie to, nie domyśliła się pani! Pozwoli łaskawy pan zapytać swoją drogą — obrócił się znów ku Aljoszy — co pana skłoniło do przyjścia do naszej... czeluści?

Aljosza przyjrzał mu się badawczo. Widział tego człowieka zapewne po raz pierwszy. Była w nim jakaś kanciastość, jakiś pośpiech, popędliwa irytacja. Chciaż zapewne dopiero co zajrzał do kieliszka, nie był bynajmniej pijany. Mina jego wyrażała skrajne zuchwalstwo i jednocześnie — dziwne to było naprawdę — jawną tchórzliwość. Sprawiał wrażenie człowieka, który przez długi czas ulegał i znosił wszelkie zniewagi, lecz naraz zbuntował się i pragnie okazać swoją niezależność. Albo dokładniej mówiąc, człowieka, który ma ogromną ochotę uderzyć swego gościa w twarz, ale boi się jednocześnie okropnie, że raczej sam oberwie.

W mowie jego i w intonacji piskliwego głosu brzmiała nutka jakiegoś głupawego humoru, to złego, to znów trwożliwego. Wymawiając słowo „czeluść", zachmurzył się jakgdyby, wyłupił oczy, przyskoczył do Aljoszy tak blisko, że ów cofnął się mimowoli o krok. Ubrany był w ciemne, nader liche, nankinowe palto, całe w łatach i plamach. Spodnie miał wyjątkowo jasne, arcyniemodne, w kratkę, z nader cieniutkiego materjału, zmiętoszone u dołu i buchaste u góry, niczem wyrośnięte spodenki uczniaka.

— Jestem... Aleksy Karamazow... — zaczął w odpowiedzi Aljosza.

— Doskonale potrafię to zrozumieć — odparł odrazu gospodarz, dając do zrozumienia, że wiedział, kogo ma przed sobą. — Sztabs-kapitan Sniegirow, chciałbym jednakowoż wiedzieć, co pobudziło...

— Ja tylko tak zaszedłem. Ja właściwie chciałem powiedzieć panu słówko od siebie... Jeśli tylko pan pozwoli...

— W takim razie proszę krzesełko, zechciej pan zająć miejsce. To w starych komedjach mówiono: „zechciej pan zająć miejsce..."

Co mówiąc, sztabs-kapitan porywczym gestem chwycił niezajęte krzesło (zwyczajne, chłopskie, bez obicia) i postawił je prawie że pośrodku pokoju; następnie, postawiw-

szy drugie krzesło dla siebie, usiadł naprzeciw Aljoszy, twarzą w twarz i tak blisko, że kolana ich nieledwie się stykały.

— Mikołaj Iljicz Sniegirow, były sztabs-kapitan rosyjskiej piechoty, jakkolwiek shańbiony skutkiem swoich ułomności, jednakowoż, bądź co bądź, sztabs-kapitan. Należałoby raczej powiedzieć: sztabs-kapitan Czapkow zamiast Sniegirow, bo począwszy od drugiej połowy życia swego wszystkim czapkowałem. To z poniżenia przychodzi. Czemże jednak zasłużyłem sobie na ciekawość łaskawego pana, albowiem mieszkam w warunkach, które uniemożliwiają gościnność.

— Przyszedłem... w tej samej sprawie...

— W tej samej sprawie? — przerwał niecierpliwie sztabs-kapitan.

— Z powodu spotkania pana z moim bratem Dymitrem Fedorowiczem — wymknęło się niezręcznie Aljoszy.

— Jakiego tam spotkania? Czy aby nie tamtego? To znaczy w sprawie wiechetka, wiechetka kąpielowego?

Wysunął się tak bardzo, że stuknął kolanami o kolana Aljoszy. Wargi jego zbiegły się w niteczkę.

— Jaki wiechetek? — wykrztusił Aljosza.

— To na mnie, tatusiu, przyszedł się skarżyć! — zawołał znany Aljoszy głos z poza zasłony. — To ja go w palec ugryzłem!

Zasłona rozsunęła się, i Aljosz ujrzał swego niedawnego wroga. Leżał w kącie pod obrazami świętemi, na posłaniu, urządzonem z ławki i krzesła. Był przykryty paltocikiem i starą watową kołderką. Widać było, że jest niezdrów, zaś rozpalony wzrok świadczył o gorączce. Odważnie, inaczej jak poprzednio, spoglądał teraz na Aljoszę: „W domu nic mi przecie nie zrobisz".

— Jaki palec, co za palec? — uniósł się na krześle sztabs-kapitan. — to pana w palec ugryzł?

— Tak, mnie. Spotkałem go na ulicy, obrzucał się z kolegami kamieniami: ich było sześciu a on sam jeden. Podszedłem doń, a on i we mnie rzucił i drugi raz w głowę trafił. Zapytałem go: co ja ci zrobiłem? Wówczas rzucił

się na mnie i dotkliwie ugryzł mnie w palec, nie wiem za co?

— Zaraz go spiorę! W tej chwili spiorę! — zerwał się z krzesła sztabs-kapitan.

— Ale ja się nie żalę, ja tylko opowiedziałem... Wcale nie chcę, aby go pan bił! I zresztą zdaje się, że jest chory...

— A pan myślał, że ja go prać będę? Że ja Iljuszeczkę wezmę i zaraz go bić poczne w obecności pana, dla pańskiej nibyto satysfakcji? Czy łaskawemu panu bardzo pilno? — odezwał się sztabs-kapitan, zwracając się nagle do Aljoszy z takim gestem, jakgdyby zamierzał się nań rzucić. — Bardzo żałuję, łaskawco, że pana palec bolał, ale czy nie chciałby pan zobaczyć, jak to ja, zanim podniosę rękę na Iljuszeczkę, odciachnę sobie dla pańskiej nibyto satysfakcji tym nożem cztery własne palce! Cztery palce pana zadowolą, mam nadzieję, nasycą żądzę zemsty, piątego chyba pan nie wymaga?

Nagle urwał, jakgdyby dech mu zaparło. Cała jego twarz, każde włókno twarzy trzęsło się i drgało, oczy zaś rzucały zuchwałe wyzwanie. Był w jakimś stanie nieprzytomnego podniecenia.

— Zdaje się, że teraz wszystko zrozumiałem — odrzekł cicho i smutnie Aljosza, nie podnosząc się z miejsca. — A więc synek pana jest dobrym chłopczykiem, kocha swego ojca i napadł na mnie jako na brata krzywdziciela... Teraz ja to rozumiem — mówił zamyślony. — Ale brat mój, Dymitr Fedorowicz żałuje swego czynu, wiem o tem, i gdy tylko będzie mógł przyjść do pana, albo najlepiej spotkać się z panem w tem samem miejscu, to poprosi pana wobec wszystkich o przebaczenie... o ile się pan zgodzi.

— To znaczy wyrwał bródkę i przeprosił... Niby skwitował i dał satysfakcję, tak?

— O nie, zrobi wszystko, czego pan sobie będzie życzył, i jak pan zechce!

— Więc jeżeli poproszę jaśnie oświeconego panicza, aby stanął przede mną na klęczkach w tej samej traktjerni— zowie się „Stołeczny Gród" — albo na placu, to stanie?

— Tak, stanie na klęczkach.

— Przeszył mnie pan. Rozczulił do łez i przeszył. Zbyt głęboko czuję wielkoduszność brata pańskiego. Pozwoli łaskawy pan, że przedstawię obecnych: moja rodzina, moje dwie córki i mój syn — mój pomiot. Umrę ja, to kto ich pokocha? A póki żyję, kto mnie, prócz nich, kto mnie niegodnego kocha? Cudnie to urządził Pan Bóg dla każdego człowieka mego pokroju. Powinno tak być, aby ktoś mógł pokochać takiego człowieka...

— Ach, to święta prawda! — zawołał Aljosza.

— Dosyć już będzie tych błazeństw, byle dureń przyjdzie, to ojciec przed nim się wygłupia! — zawołała naraz dziewczyna, stojąca pod oknem, i popatrzyła na ojca z niechętną i pogardliwą miną.

— Poczekaj cokolwiek, Barbaro Mikołajewna, pozwól pani podtrzymać honor domu — zawołał ojciec tonem rozkazującym, chociaż patrzał na nią z uznaniem. — Taki to charakter! — odezwał się znów do Aljoszy.

„I nie chciał nic w naturze całej błogosławić".

Trzebaby w rodzaju żeńskim: nie chciała błogosławić. A teraz pozwoli pan, że przedstawię go mojej małżonce: oto Arina Petrowna, beznoga dama, czterdzieści trzy lata, włada nogami, ale słabo. Z prostej sfery pochodzi. Arino Petrowna, wypogódź oblicze: oto Aleksy Federowicz Karamazow. Niech pan wstanie, Aleksy Fedorowiczu.

Uchwycił go za rękę i z siłą, której nie można było się po nim spodziewać, podniósł gościa:

— Damie pana przedstawiam, trzeba wstać. Nie ów Karamazow, mamusiu, który... hm! i tam dalej, ale brat jego, pełen cnót i pobożny. Pozwolisz, Arino Petrowna, pozwolisz, mamuśko, pozwolisz rączkę twoją ucałować.

I z szacunkiem, nawet z tkliwością pocałował żonę w rękę. Córka, stojąca przy oknie, z oburzeniem odwróciła się do nich plecami. Pytająco-wyniosłe oblicze żony naraz wyraziło niezmierną łagodność.

— Witamy pana, niech pan siada, panie Czernomazow — rzekła.

— Karamazow, mamuśko, Karamazow. — Z prostej sfery — szepnął znowu.

— Ano, Karamazow, czy jak tam, a ja zawsze Czernomazow... A niechno pan siada, pocóż on pana podniósł? Beznoga dama powiada, nogi są, ale spuchły jak wiadra, a ja sama usycham. Dawniej byłam taka tęga, a teraz jak tyczka...

— Z prostej sfery, z prostej pochodzimy — powtórzył sztabs-kapitan.

— Ojcze, ach, ojcze! — odezwała się naraz garbata córka, która dotychczas milczała, i zasłoniła oczy chustką.

— Pajac! — burknęła druga córka.

— Widzi pan, jakie u nas wieści — rozczapierzyła palce matka, wskazując na córki — jakby chmury szły, i przeszły chmury i znowu nasza muzyka. Dawniej, jakeśmy w wojsku służyli, odwiedzała nas siła takich gości. Ja, ojcze drogi, nie porównuję. Kto kogo kocha, ten niech tego kocha. Żona diakona wtedy przychodzi i mówi: Aleksander Aleksandrowicz najzacniejszy człek, a Nastazja Petrowna, powiada, z piekła rodem. No, odpowiadam, jak kto kogo ubóstwia, ale ty jesteś mała kupka, a śmierdząca. — A ciebie, powiada, trzeba pod batem trzymać. — Ach ty, czarna, powiadam, wrono, ty kogo uczyć chcesz? — Ja, powiada ona, czyste powietrze wpuszczam, a ty nieczyste. — A zapytaj ty, powiadam, wszystkich panów oficerów, czy nieczyste we mnie powietrze, czy insze jakie? I tak to mi od tego czasu na sercu leży, że niedawno siedzę tu jak teraz i widzę, ten-ci sam jenerał idzie, co to na święta tu przyjechał; ano, powiadam mu, panie jenerale, czy szlachetnej damie wolno wpuszczać wolne powietrze? — Tak, odpowiada, trzebaby lufcik albo drzwi otworzyć, bo u was powietrze nieświeże. No i wszyscy tak samo! I co im moje powietrze szkodzi? Umarli wydają gorsze powietrze. Ja, powiadam, powietrza waszego nie psuję, a pantofle zamówię i pójdę. Drodzy moi, serdeczni, nie przymawiajcie matce rodzonej! Mikołaju Iljiczu, ojcze drogi, czy ci nie dogadzam; tylko tyle pociechy mam, że Iljusza ze szkoły wraca i kocha. Wczoraj jabłuszko przyniósł. Wybacz, ojcze, wybaczcie, drodzy moi, matce rodzonej, przebaczcie matce, samotna jestem i dlaczegóżto moje powietrze tak wam obrzydło?

I biedna obłąkana kobieta nagle zaszlochała. Sztabs-kapitan podbiegł do niej:

— Mamusiu, mamusiu, droga moja, no dosyć, dosyć! Nie jesteś samotna. Wszyscy cię kochają, wszyscy ubóstwiają!

Począł całować ją po rękach, z ogromną czułością głaskać po twarzy, poczem chwycił serwetkę i otarł nią łzy żonine. Aljoszy wydawało się, że i jemu w oczach zakręciły się łzy.

— Ano, widział pan? Słyszał? — z jakąś nagłą wściekłością zwrócił się sztabs-kapitan do Aljoszy, wskazując palcem obłąkaną żonę.

— Widzę i słyszę — mruknął Aljosza.

— Tatusiu, tatusiu! Czy naprawdę ty z nim... Zostaw go, tatusiu! — zawołał naraz chłopczyk, podnosząc ręce i patrząc na ojca błyszczącemi gorączkowo oczyma.

— Dosyć już wreszcie tych błazeństw, niechże ojciec przestanie wyprawiać swoje głupie błazeństwa, które zdadzą się psu na budę!.. — tym razem już ze szczerą złością krzyknęła z kąta Barbara Mikołajewna i nawet tupnęła nogą.

— Zupełnie słusznie tym razem tracisz pani cierpliwość, Barbaro Mikołajewna, i natychmiast uczynię pani zadość. No, niech pan swoją czapeczkę włoży, Aleksy Fedorowiczu, a ja swoją czapkę do ręki — i wyjdziemy. Muszę panu przecie słówko poważne powiedzieć, ale nie tu. Ta siedząca panienka — to córka moja, Nina Mikołajewna, zapomniałem przedstawić panu — wcielony anioł Boży... do śmiertelników zesłany... o ile pan to potrafi zrozumieć.

— A cały dygocze, jak w konwulsjach — dodała z oburzeniem Barbara Mikołajewna.

— A ta, która teraz na mnie nóżką tupie, i pajacem mnie przezwała, to również anioł Boży wcielony i słusznie mnie potępiła. Chodźmy, Aleksy Fedorowiczu, trzeba skończyć...

I, uchwyciwszy Aljoszę za rękę, wyprowadził go z mieszkania na ulicę.

VII.

I na powietrzu.

— Czyste powietrze —a tam, w moich komnatach istotnie nieświeżo, i to pod każdym względem. Przejdźmy się panie łaskawy, małym kroczkiem. Bardzobym chciał zainteresować pana.

— Ja również mam do pana pewną sprawę, tylko nie wiem jak zacząć — zauważył Aljosza.

— Ma się rozumieć, że ma pan do mnie jakąś sprawę, inaczej nie byłbyś do nas zajrzał. E, chyba nie przyszedł pan tylko skarżyć się na malca. Co to to nie. Tam nie mogłem panu wszystkiego opowiedzieć, ale teraz opiszę panu całą scenę. Widzi pan, wiecheć mój gestszy był jeszcze tydzień temu — ja o bródce swej mówię, tak moją bródkę przezwano, zwłaszcza uczniacy. Wywlókł mnie pański brat, Dymitr Fedorowicz, za bródkę z restauracji na plac, ot tak, bez żadnej przyczyny, rozjędyczył się, a ja mu się w tej chwili pod rękę nawinąłem. A właśnie wychodzili ze szkoły uczniacy, a z nimi mój Iljusza. Jak mnie zobaczył w takim stanie, rzucił się ku mnie. „Papo, woła, papo!" i cwyta mnie, obejmując rączkami, chce wyrwać z rąk mego prześladowcy, woła do niego: „puść go pan, daruj, to mój tatuś, to mój tatuś!" Tak wołał „daruj" i za rękę go chwycił, i w rękę, w tę rękę ucałował. Pamiętam o! pamiętam, jaką miał wtedy twarzyczkę, nie zapomniałem i nie zapomnę, póki żyć będę.

— Klnę się na wszystko, — zawołał Aljosza — że brat mój przeprosi pana najszczerzej w świecie i da panu najzupełniejsze zadośćuczynienie, bodaj publicznie, na klęczkach, na tym samym placu... Zmuszę go do tego, inaczej znać go nie chcę!

— Ach! więc to dopiero w projekcie. Nie wprost od niego, ale ze szlachetności pańskiego gorącego serduszka. Trzeba było odrazu powiedzieć. Nie, wobec tego i ja opowiem panu o wysoce rycerskiej i oficerskiej szlachetności, jaką brat pana wówczas okazał. Gdy przestał mnie targać

za wiecheć i puścił mnie, powiada: „ty oficer i ja oficer, jeśli znajdziesz sekundanta, porządnego człowieka, to przysyłaj, dam ci satysfakcję, chociaż szubrawcem jesteś". Tak mi powiedział. Zaprawdę, rycerski gest! Odeszliśmy wtedy z Iljuszką, a obrazek ów pozostanie już wyryty na zawsze w jego duchowej pamięci. Nie, gdzieżtam możemy się uważać za szlachtę? Niech pan sam powie, raczyłeś być w moich kamnatach — i coś pan zobaczył? Trzy damy siedzą, jedna beznoga i garbata, druga beznoga i obłąkana, a trzecia, no ta z nogami, ale zbyt mądra, studentka, do Petersburgu się znowu rwie, aby tam, nad brzegami Newy, wywalczyć prawa dla rosyjskiej kobiety. Nie mówię już o Iljuszce moim, dziewięć lat ma chłopiec. Jeżeli umrę, co stanie się z całą tą biedotą? Pytam pana — co? Jeśli go wyzwę na pojedynek, a on mnie zabije — co wówczas? Co z nimi będzie? A jeśli nawet nie zabije, jeno skaleczy, to i co: do pracy niezdatny, a gęba została, któż gębę tę nakarmi? Kto wszystkich wyżywi? Czy Iljuszka, zamiast chodzić do szkoły, ma iść po żebraninie? Oto czem byłby dla mnie ten pojedynek, głupie słowo i nic więcej.

— On pana przeprosi, na placu do nóg się panu pokłoni — zawołał Aljosza z rozpłomienionem spojrzeniem.

— Chciałem go pozwać do sądu za obrazę, — opowiadał dalej sztabs-kapitan — ale przejrzyj pan nasz kodeks, a sam się przekonasz, że niewielebym wskórał za moją krzywdę. A potem Agrafena Aleksandrowna wezwała mnie i krzyczy: „Ani myśl o tem. Jeśli go pozwiesz do sądu, to takci wykręcę sprawę, że najaw wyjdzie, iż Mitia bił ciebie za twoje łajdactwo i sam pójdziesz do więzienia". A jeden Bóg tylko wie, czyje to było łajdactwo, i z czyjego polecenia ja, robak nikczemny, działałem — czy to aby nie z polecenia Agrafeny Aleksandrownej i Fedora Pawłowicza? „Nadto wypędzę cię na wieki i grosza u mnie nie zarobisz" — powiada — „No i kupca mego (tak go nazywa, tego starego: kupiec mój) zawiadomię, to i on cię wypędzi". Ot, myślę sobie, jeżeli i kupiec mnie wypędzi, to u kogo zarobię? Wszak mi teraz tylko ich dwoje zostało, ona i ten kupiec, bo ojczulek pański, Fedor Pawłowicz, nie tylko przes-

tał mi ufać z pewnych postronnych przyczyn, ale tak się na mnie zawziął, że jeszcze chce mnie do sądu podać. Wskutek tego milczę, i sam pan widział moje czeluści. A teraz pozwól pan zapytać, czy mój Iljuszka mocno pana w palec ugryzł? W komnatach nie śmiałem przy nim mówić o tem.

— Bardzo mocno. Nic dziwnego, mścił się na mnie jako na Karamazowie, za ojca. Był bardzo rozdrażniony, ale gdyby pan widział jego bójki z kolegami! To bardzo niebezpieczne, oni go jeszcze kiedy zabiją, dzieci, głupie dzieci, nie rozumieją, a kamień leci, głowę mu jeszcze może, nie daj Boże, rozbić.

— Już trafił — nie w głowę, to w piersi. Duży siniak powyżej serca, wrócił ze szkoły z płaczem, a teraz stęka i chory.

— I wie pan, pierwszy on napada na wszystkich, mści się za pana, powiadają, że kolegę Krasotkina scyzorykiem w bok dźgnął...

— Słyszałem o tem, to niebezpieczne. Stary Krasotkin urzędnik tutejszy, mogą jeszcze być kłopoty...

— Jabym też radził panu — rzekł z zapałem Aljosza — aby go przez jakiś czas do szkoły nie posyłać, dopóki się nie uspokoi i z gniewu ochłonie...

— Gniew! — podchwycił sztabs-kapitan — tak, właśnie gniew. Takie małe stworzenie, a taki ogromny gniew. Pan wszystkiego nie wie. Niech mi pan pozwoli jedną rzecz opowiedzieć. Chodzi o to, że dzieci po tem wszystkiem drażnić go zaczęły wiechetką. Dzieci bywają często okrutne. Każde z osobna aniołek z nieba, ale w gromadzie, zwłaszcza w szkole bezlitosne. Zaczęli go drażnić, aż w Iljuszce obudził się gniew rycerski. Inny chłopak, mniej dobry syn, wstydziłby się ojca, zapierał, on przeciwnie, ujął się za mną. Za ojcem i za prawdą, za słusznością. Co on wycierpiał wtedy na ulicy, gdy całował brata pańskiego po rękach i krzyczał: „daruj pan tatusiowi, daruj", to już tylko Bóg wie i ja. I oto tak dzieci nasze, to jest nie wasze, ale nasze, dzieci szlachetnych biedaków, poznają wcześnie prawdę, w dziewiątym roku życia. Dzieci bogaczy całe życie takiej głębi nie ujrzą, lecz mój Iljusza w ciągu jednej chwili, na

placu, gdy całował po rękach, w ciągu jednej chwili całą prawdę zgłębił. Weszła w niego ta prawda, i przybiła go na wieki — zawołał w nieprzytomnem uniesieniu, uderzając prawą pięścią po lewej dłoni, jakgdyby chcąc tym gestem pokazać, jak to prawda przybiła Iljuszę.—Mój Iljuszka gorączkował, w nocy majaczył. Cały ten dzień niewiele ze mną mówił, tylko w kącie siedział, niby lekcji się ucząc, a wciąż raz po raz z kąta ku mnie zerkał. Nazajutrz, upiłem się — zwyczajnie, grzeszny człowiek, z frasunku. Mamusia płakać zaczęła — kocham mamusię bardzo — ano i z frasunk uszturchnąłem ją. Niech pan mną nie gardzi, mój panie łaskawy. W Rosji pijacy są najlepszymi ludźmi. Leżałem i nie bardzo tego dnia pamiętam Iljuszkę, a w szkole chłopcy dokuczać już zaczęli Iljuszce, „wiechetek" wołali, „ojca twego za wiecheć wyciągnęli z knajpy, a tyś biegał za nim i prosiłeś o przebaczenie". Na trzeci dzień znowu przyszedł ze szkoły bardzo blady, pytam, co mu jest? — on nic. W komnatach i mówić nie można było: baby odrazu wtrącają swoje trzy grosze, a wiedziały już o tem, odrazu, pierwszego dnia. Barbara Mikołajewna już zdążyła skarcić. „Błazny, mówi, pajace, czy może u was coś rozsądnego być". „Tak jest" odpowiadam „nic rozsądnego u nas nie może być". Takem się jej pozbył. Wieczorem wyszedłem z Iljuszą na przechadzkę po tej samej drodze, po której teraz chodzimy — od furtki naszej ciągnie się do tamtego wielkiego głazu, za którym już wygony się zaczynają. Pusto tu i pięknie. Idziemy z Iljuszą. Rączka jego w mojej ręce, malutka rączyna, palce zimne, bo chorobę ma piersiową. „Papo!", mówi „papo". „A co, synku?" — widzę, że oczki mu świecą „Jak on tam ciebie wtedy!... „Cóż robić, synku", mówię. „Ty się z nim, papo nie gódź. Chłopcy mówią, że on ci dał za to dziesięć rubli". „Nie, Iljuszka" mówię „za nic nie wezmę od niego pieniędzy". Zatrząsł się cały, uchwycił moją rękę i całować zaczął. „Papo" mówi „wyzwij ty jego na pojedynek, oni mówią, żeś ty tchórz, na pojedynek nie wyzwiesz i dziesięć rubli weźmiesz". „Na pojedynek nie mogę wyzwać" powiadam i wtedy mu o pojedynku powiedziałem mniej więcej to samo, co panu przed

chwilą. „Papo" mówi „ty się i tak z nim nie gódź, jak wyrosnę, wyzwę go i zabiję". Oczki błyszczą i płoną. Cóż, wszak ojcem jestem, trzebaż mu słówko prawdy powiedzieć, powiadam więc, że grzech zabijać, nawet w pojedynku, „Papo, mówi „jak wyrosnę, to go powalę, szablę mu swoją szablą z ręki wytrącę, rzucę się na niego, zamierzę się szablą i powiem: mogę cię teraz zabić, ale daruję ci, masz!" Widzi pan, co się działo w jego główce przez te dwa dni, o zemście marzył, o szabli, i w nocy o tem zapewne bredził. Tymczasem codzień przychodził ze szkoły zbity, dowiedziałem się o tem na trzeci dzień, i pan ma słuszność, że nie można go tam dłużej posyłać. Dowiedziałem się, że on sam przeciw całej klasie, że wszystkich wyzywa, serce gniewliwe zapłonęło, i zląkłem się o niego. Znowu idziemy na spacer. „Papo" pyta mnie „wszak bogaty zawsze jest najsilniejszy na tym świecie". „Tak, synku" mówię „bogaty na tym świecie zawsze silniejszy". „To ja zbogacę się" mówi „oficerem zostanę i wszystkich pokonam, car mnie wynagrodzi, wrócę tu, a wtedy nikt już nie będzie śmiał..." Milczy, a potem znowu mówi — a wargi wciąż mu się trzęsą: „Papo! jakie to nasze miasto brzydkie!" — „Tak, odpowiadam, nieładne jest nasze miasto". „To pojedźmy do innego miasta, do dobrego miasta, gdzie nas nie znają, gdzie nic o nas nie wiedzą". „Pojedziemy, powiadam, pojedziemy, Iljusza, niech tylko trochę grosza uzbieram". — Cieszyłem się bardzo, że go od ciemnych myśli odciągam, i zaczęliśmy obaj marzyć, jak to pojedziemy sobie do innego miasta, konika własnego kupimy i powóz. Mamę i siostry wsadzimy do powozu, a sami będziemy chodzili z boku, chwilami i ciebie do powozu wsadzę, bo konika trzeba oszczędzać, wszyscy nie możemy siedzieć, w ten sposób wywędrujemy do innego miasta. Był zachwycony, zwłaszcza, że konik własny i że popędzi na nim. Wiadoma rzecz, że chłopak rosyjski odrazu z konikiem się rodzi. Gawędziliśmy długo. Dzięki Bogu, myślę sobie, rozerwałem go cokolwiek, pocieszyłem. To było dwa dni temu, wieczorem, lecz wczoraj wieczór wszystko się odmieniło. Znowu rano poszedł do tej szkoły, wrócił zasępiony, strasznie zasępiony. Wieczorem

wziąłem go za rączkę, wyprowadziłem na spacer, milczy, nic nie mówi. Wiaterek się zerwał, słońce zgasło, zawiało jesienią, no i zmrok już zapadł — idziemy, smutno nam obu. — „No, chłopcze, powiadam, jakże wybierzemy się w drogę? — myślę sobie: trzeba nawiązać do wczorajszej rozmowy. Milczy. Tylko palce jego, czuję, drgnęły. Ech, myślę sobie, źle jest, coś nowego. Doszliśmy jak teraz do tego kamienia, usiadłem na tem kamieniu, a na niebie latawce, furkoczą i fruwają, ze trzydzieści sztuk. Wszak teraz sezon na latawce. „Ot", powiadam „i nam pora puścić zeszłorocznego latawca. Poprawię go, gdzieżeś ty go schował?" Milczy mój chłopaczek, spogląda gdzieś w bok, odwrócił się ode mnie. A tu wiaterek znowu się zerwał, piasek podniósł... Rzucił mi się nagle na szyję, oburącz mnie za szyję ścisnął. Wie pan, dzieci, jeżeli są milczące i ambitne, to długo łzy hamują, ale jak już ból wielki się przerwie, to łzy nie ciurkiem płyną, lecz całym strumieniem z oczu bryzgają. Ciepłemi opryskami całą twarz mi zmoczył. Zaszlochał, zatrząsł się jak w konwulsjach, przycisnął mnie do siebie, siedziałem właśnie na kamieniu. „Tatusiu" woła „tatusiu, drogi tatusiu, jak on ciebie poniżył!" Zapłakałem i ja, siedzimy i trzęsiemy się obaj. „Tatusiu" powiedział „tatusiu!" — „Iljusza" mówię „Iljuszeczka!" Nikt nas wtedy nie widział, tylko Bóg nas widział, może mi to do formularza wpisze. Niech pan podziękuje bratu, Aleksy Fedorowiczu. Nie, dla pańskiej przyjemności nie będę bił mego chłopca!"

Skończył znowu poprzednim złym i głupawym konceptem. Aljosza wyczuł jednak, że posiadł już jego zaufanie. Sztabs-kapitan nie „rozmawiałby" tak z kim innym i nie opowiedziałby tego wszystkiego. Aljosza nabrał otuchy, choć serce drżało mu od łkań.

— Ach, jakżebym pragnął pogodzić się z synkiem pana! — zawołał — gdyby to pan urządził...

— Ano tak — mruknął sztabs-kapitan.

— Ale teraz nie oto chodzi, nie o to, niech pan mnie wysłucha — wołał Aljosza — niech mnie pan wysłucha! Mam do pana zlecenie: ten mój brat, Dymitr znieważył również swoją narzeczoną, najszlachetniejszą na świecie

pannę, o której pan zapewnę słyszał. Mam prawo powiedzieć panu o tej zniewadze, i powinienem to uczynić, bo ona, dowiedziawszy się o krzywdzie pana i o całej nieszczęśliwej sytuacji, poleciła mi teraz... niedawno... wręczyć panu to wsparcie od niej... tylko od niej, nie od Dymitra, który ją porzucił, bynajmniej, i nie ode mnie, od jego brata, ani od nikogo innego, jeno od niej, od niej tylko! Błaga pana, aby pan zechciał przyjąć jej pomoc... Przypomniała sobie dopiero o panu, gdy Dymitr ją znieważył, równie ciężko jak pana! To znaczy, że siostra przynosi bratu pomoc... Prosiła mnie właśnie, abym namówił pana do przyjęcia tych dwustu rubli jako od siostry. Bo wie ona, że się panu źle powodzi. Nikt się o tem nie dowie, żadnych plotek niesprawiedliwych nie będzie... oto te dwie setki i, klnę się, że pan powinien je przyjąć, w przeciwnym razie... w przeciwnym razie wypada, że wszyscy powinniśmy sobie być wrogami na świecie! Ale przecież są na świecie bracia... Pan ma szlachetne serce... pan powinien to zrozumieć... powinien!

Aljosza wyciągnął rękę z dwoma nowiutkiemi sturublowemi banknotami. Stali obaj koło wielkiego kamienia. Dokoła nie było żywej duszy. Banknoty wywarły, zdaje się, na sztabs-kapitanie straszliwe wrażenie: drgnął, ale zrazu jakgdyby ze zdiwienia: nic podobnego nie śniło mu się nawet; nie mógł się spodziewać takiego rozwiązania. Nie marzył nawet we śnie o tak znacznej pomocy. Wziął banknoty i przez chwilę nie mógł dobyć głosu, jakiś zupełnie nowy wyraz przebił się na jego twarzy.

— To dla mnie, dla mnie, tyle pieniędzy, dwieście rubli! Boże wielki! Już ze cztery lata chyba nie widziałem na oczy takich pieniędzy. Panie Boże! I prawda że jako siostra... czy naprawdę, czy naprawdę?

— Przysięgam, że wszystko, co powiedziałem, jest prawdą! — zawołał Aljosza.

Sztabs-kapitan zarumienił się i rzekł:

— Niechże pan posłucha, drogi mój, niech pan posłucha, jeżeli przyjmę, to nie będę łajdakiem? W oczach pana, Aleksy Fedorowiczu, niech pan wysłucha mnie, niech

pan wysłucha — mówił szybko, dotykając co chwila Aljoszy — namawia mnie pan, że niby to „siostra" przysyła, a wewnętrznie, w skrytości serca, czy nie poczuje pan do mnie pogardy, jeśli przyjmę, co?

— Ależ nie, nigdy w życiu! Przysięgam na zbawienie swoje że nie! I nikt nie dowie się prócz nas: ja, pan i ona, i jeszcze jedna dama, jej przyjaciółka...

— Co mi tam dama! Niech pan posłucha, Aleksy Fedorowiczu, niech mnie pan wysłucha, wszak już taka chwila przyszła, że trzeba wysłuchać, albowiem nie może pan nawet zrozumieć, jaką wartość mają dla mnie obecnie te dwieście rubli! — wykrzykiwał nieborak, wpadając stopniowo w jakąś chaotyczną, dziką egzaltację. Był zupełnie zbity z tropu, mówił niezmiernie prędko, jakgdyby się obawiał, że nie zdąży całkowicie się wypowiedzieć. — Oprócz tego, że dostanę to uczciwie, od tak szanownej i świętej „siostry", czy wiadomo panu, że ja mamusię i Ninę — anioła mego garbatego, córeczkę moją, będę mógł leczyć? Był u mnie doktór Hertzenstube, z dobrego serca badał obydwie całą godzinę. „Nie rozumiem, powiada, nic, a jednakowoż woda mineralna, którą można dostać w tutejszej aptece (zapisał ją), napewno bardzo jej ulży", a potem kazał jej brać wanny nożne z lekarstw. Woda mineralna kosztuje trzydzieści kopiejek, a trzeba tego może ze czterdzieści dzbanów. Wziąłem więc receptę i położyłem na półce pod obrazem, tam dotąd leży. A Ninoczkę kazał kąpać w jakimś rozczynie, w gorących wannach jakichś, dwa razy dziennie, rano i wieczorem, ale jak zmajstrować takie leczenie u nas, w naszych komnatach, bez służby, bez pomocy nijakiej, bez naczyń, bez wody? Ninoczce reumatyzm dokucza, nie mówiłem panu tego, po nocach prawy bok ją boli, męczy się, i, czy da pan wiarę, aniołeczek Boży, tłumi ból, aby nas nie niepokoić, nie stęka, aby nas nie obudzić. Jemy, co się da, co się wytrzaśnie, a ona najgorszy kąsek sobie wybiera, piesby nie wziął: „Nie warta jestem, niby to, tego kęska, wam go odbieram, jestem ciężarem zbytecznym". To mówią jej oczy anielskie. Podajemy jej, a ją tylko to dręczy. „Nie warta jestem, niewarta, niegodna kaleka, nieużytecz-

na" — gdzież tu nie warta, kiedy swoją anielską łagodnością wszystkich nas zbawia, bez niej, bez jej cichego słówka byłoby tu piekło u nas. Nawet Basię ugłaskała. Barbary Mikołajewnej niech pan też nie potępia, też anioł ale skrzywdzona. Przybyła ona do nas latem, miała szesnaście rubli, zarobiła sobie lekcjami, żeby mieć na wyjazd, żeby niby teraz w sierpniu do Petersburgu wrócić. Zabraliśmy jej te pieniądze i zjedliśmy, nie ma teraz za co wrócić. I nie może wcale wrócić, bo haruje na nas ciężko, wszakżeśmy ją zaprzęgli, osiodłali, jak klacz, wszystko sama robi, pierze, reperuje, sprząta, mamusię do łóżka kładzie, zaś mamusia jest obłąkana, zaś mamusia jest skora do płaczu, zaś mamusia jest obłąkana! Przecież teraz za te dwieście rubli, to i służącą będę mógł przyjąć, rozumie pan, Aleksy Fedorowiczu, leczyć miłe istotki, studentkę do Petersburgu wysłać, mięsa do obiadu kupić, nową dietę wprowadzić. Boże wielki, toć to marzenie!

Aljosza cieszył się niezmiernie, że przyniósł tyle szczęścia biednemu sztabs-kapitanowi, i że ów godził się przyjąć to szczęście.

— Poczekaj pan, Aleksy Fedorowiczu, poczekaj — uchwycił się sztabs-kapitan nowego marzenia i w dalszym ciągu mówił z gorączkowym pośpiechem — czy wie pan, że z Iljuszką będziemy mogli urzeczywistnić nasze marzenie: konika kupimy i powóz, konika karego, Iljuszka prosił koniecznie, aby karego, i wyjedziemy, jakeśmy to sobie uplanowali. W K. . . gubernji mam znajomego adwokata, kolega z lat dziecinnych, dał mi znać, że jeżeli przyjadę, to mi da posadę, w swoim kantorze, kto go tam wie, może i da... Wsadzić mamusię, wsadzić Ninoczkę, Iljuszkę na koźle, a ja pieszo, pieszo, pieszo, obok... Boże wielki, gdyby tak odebrać jeden przepadły dług, to możeby i na to starczyło!

— Starczy, starczy! — zawołał Aljosza — Katarzyna Iwanowna przyśle panu, ile trzeba będzie, i, wie pan co, ja sam mam też fundusze, weźmie pan ile trzeba, jak od brata, jak od przyjaciela, później pan zwróci (Dorobi się pan majątku, napewno!) I wie pan, że nic lepszego nie

mógł pan wymyślić nad ten wyjazd do innej gubernji! To zbawienie dla pana, a, najważniejsza rzecz, dla chłopczyka pańskiego, i wie pan co, przeprowadzi się pan jaknajprędzej, przed zimą, przed mrozami i napisze pan do nas stamtąd i będziemy nadal braćmi... Nie, to nie jest bynajmniej marzenie!

Aljosza chciał go uścisnąć, do takiego stopnia był uszczęśliwiony. Ale spojrzawszy nań, powstrzymał ten odruch: sztabs-kapitan z nieprzytomną i pobladłą twarzą, z wyciągniętą szyją poruszał dziwnie wargami, jakgdyby chcąc coś powiedzieć. Lecz nie mógł dobyć żadnego dźwięku, tylko wciąż poruszał wargami.

— Co się stało! — zawołał Aljosza, drgnąwszy nagle.

— Aleksy Fedorowiczu... ja... pan... — bełkotał sztabs-kapitan, patrząc nań dziko i dziwacznie, niezwykle uporczywie, z desperacką miną, lecz wargami złożonemi jakby do uśmiechu — ja... pan... A chce pan, to panu pokażę zaraz mały fokus! — wypowiedział prędkim, stanowczym szeptem.

— Jaki fokus?

— Fokusik, hokus-pokus — szepnął sztabs-kapitan, usta jego wykrzywiły się ku lewej stronie, lewe oko zwęziło się. Wlepił wzrok w Aljoszę z niezwykłym uporem.

— Ale co panu jest, jaki fokus? — zawołał Aljosza z przerażeniem.

— A taki, niech pan patrzy! — pisnął naraz sztabs-kapitan.

I, pokazawszy mu oba banknoty, które przez cały ten czas trzymał wielkim i wskazującym palcem prawej ręki, z jakąś niespodzianą wściekłością zgniótł je, zmiął i mocno ścisnął w garści.

— Widział pan, widział pan! — piszczał blady i rozwścieczony i, podniósłszy rękę, z całej siły cisnął oba zgniecione banknoty na drogę — widział pan? — piszczał wciąż, wskazując na nie palcem — naści!

I naraz , podniósłszy prawą nogę, z dziką złością począł je deptać, krzycząc z zapartym tchem:

— Macie pieniądze wasze! Macie pieniądze wasze! Macie pieniądze wasze! Macie pieniądze wasze! — I nagle cofnął się i wyprostował. Cała jego figura tchnęła niewymowną dumą.

— Proszę powiedzieć swoim mocodawcom, że wiecheć nie sprzedaje swego honoru! — krzyknął, wyciągając do góry ręce. Zaczem odwrócił się i prędko zaczął uciekać. Ale nie odbiegł pięciu kroków, gdy znowu się obrócił i przesłał Aljoszy znak ręką. I znowu pomknął i znowu po pięciu krokach obrócił się poraz ostatni, lecz tym razem na twarzy jego nie było wykrzywionego śmiechu, przeciwnie, drżała od łkań. Spłakanym, załamującym się i zachłystującym głosem zawołał:

— A cobym chłopcu swemu powiedział, gdybym pieniądze wziął za hańbę swoją?

Co rzekłszy, znowu zaczął uciekać i już się nie odwracał. Aljosza ścigał go wzrokiem z niewymownym smutkiem. O, rozumiał, iż sztabs-kapitan aż do ostatniej chwili nie wiedział, że zgniecie i odrzuci ofiarowane pieniądze. Aljosza rozumiał również, że nieszczęśliwy ojciec już się teraz nie odwróci. Nie chciał zaś iść za nim i wołać go, zapewne nie bez powodu. Skoro zaś sztabs-kapitan skrył się, Aljosza podniósł oba banknoty. Były tylko zgniecione i wdeptane w piasek, ale zupełnie nieuszkodzone i nawet chrzęściły, gdy Aljosza rozwinął je i wygładził. Następnie złożył je, wsunął do kieszeni i poszedł do Katarzyny Iwanownej, aby zdać jej sprawę z powodzenia swojej misji.

KSIĘGA PIĄTA.

PRO I CONTRA.

I.

Zmowa.

Pani Chochłakow znowu wybiegła na spotkanie Aljoszy. Spieszyła się bardzo: w międzyczasie zdarzyły się przykre rzeczy, Katarzyna Iwanowna po spazmach zemdlała, potem wpadła w „okropne, straszliwe wyczerpanie, położyła się do łóżka,zamknęła oczy i poczęła bredzić z gorączki. Posłano po doktora Hertzenstube, posłano po ciotki. Hertzenstubego jeszcze niema, ale ciotki już przyszły. Siedzą w jej pokoju i czekają. Ona jest nieprzytomna, i coś wisi w powietrzu. Bo, ach, jeżeli gorączka!"

Pani Chochłakow oznajmiła to z miną szczerze przestraszoną: „to już nie żarty, to nie żarty!" dodawała do każdego słowa, jakgdyby wszystko, co się przedtem stało, było tylko żartem. Aljosza wysłuchał i zmartwił się bardzo. Zaczął jej opowiadać swoje własne przygody, lecz przerwała mu odrazu: nie miała bowiem teraz czasu. Prosiła aby Posiedział przy Lise i poczekał w jej pokoju.

— Lise, najdroższy Aleksy Fedorowiczu — szepnęła mu nieledwie do ucha — Lise zdziwiła mnie dzisiaj niezmiernie, ale i rozczuliła, a przeto serce moje wszystko jej

przebacza. Niech pan sobie wyobrazi, że, skoro pan wyszedł, zaczęła szczerze żałować, że dziś i wczoraj śmiała się z pana. Ale przecież wcale się z pana nie śmiała, tylko żartowała. I tak szczerze żałowała, niemal ze łzami w oczach, że poprostu byłam zdumiona. Nigdy ona dotąd poważnie nie żałowała, że ze mnie śmiechy stroi, a jeżeli żałowała, to też żartobliwie, Zaś teraz to poważnie, teraz całkiem poważnie. Ona nadzwyczaj ceni zdanie pana, Aleksy Fedorowiczu, i jeśli pan może, to niech pan nie obraża się na nią i nie ma do niej pretensji. Ja sama stale ją oszczędzam, bo przecież dziecina jest tak mądra — czy uwierzy pan? Mówiła niedawno, że pan był przyjacielem jej lat dziecięcych — „najpoważniejszym przyjacielem moich lat dziecięcych" — niech pan sobie wyobrazi, najpoważniejszym — a ja to co? Pod tym względem uczucia jej są nad wyraz poważne, i nawet wspomnienia, a przedewszystkiem te zdania, i słóweczka, nieoczekiwane słówka, nigdybyś się ich nie spodziewał, a tu naraz wyskakują. Naprzykład niedawno o sośnie. Stała u nas ta sosna w ogrodzie, Lise była jeszcze mała, a może i teraz stoi i nie należy wcale mówić w czasie przeszłym. Sosny to nie ludzie: długo się nie zmieniają. „Mama" powiada „ja tę sosnę jak ze snu pamiętam" — pojmuje pan „sosnę jak ze snu" — a właściwie inaczej jakoś się wyraziła, poplątało mi się, sosna to głupie słówko, ale ona mi coś przy tej okazji oryginalnego powiedziała, czego stanowczo nie potrafię powtórzyć. I zresztą wszystko zapomniałam. No, do widzenia, jestem głęboko wstrząśnięta i napewno dostaję pomieszania zmysłów. Ach, Aleksy Fedorowiczu, dwa razy w życiu dostałam pomieszania zmysłów, i leczono mnie, a jakże. Niechże pan idzie do Lise. Niech ją pan pokrzepi otuchą, jak to pan umie świetnie robić. Lise — zawołała, podchodząc do drzwi jej pokoju — oto przyprowadziłam ci Aleksego Fedorowicza, któregoś tak dotkliwie obraziła, i zapewniam cię, że on się wcale nie gniewa, wręcz przeciwnie, dziwi się nawet, żeś mogła tak pomyśleć!

— Merci, maman, niech pan wejdzie, Aleksy Fedorowiczu.

Aljosza wszedł. Lise była skonfudowana i odrazu zarumieniła się gęsto. Widocznie wstydziła się czegoś, i jak to zazwyczaj bywa w takich razach, zaczęła mówić wyjątkowo prędko o rzeczach postronnych z takiem przejęciem, jakgdyby tylko one w tej chwili zaprzątały jej uwagę.

— Mama mi dopiero co opowiadała, Aleksy Fedorowiczu, o tych pieniądzach i o tem zleceniu... do tego biednego oficera... i wyjaśniła mi tę całą straszliwą historję, jak go znieważono i skrzywdzono... i wie pan, chociaż mama opowiada bardzo chaotycznie, przeskakując z tematu na temat... ale doprawdy słuchałam i płakałam. No i jak-że, dał pan te pieniądze, i jak teraz czuje się ten nieborak?

— Właśnie że nie dałem, i to jest osobna znowu historja — odpowiedział Aljosza z takiem również przejęciem, jakgdyby nie miał innych trosk i zmartwień. A jednak Lise zauważyła odrazu, że i on unika jej spojrzenia i stara się mówić o rzeczach postronnych.

Aljosza usiadł przy stole i zaczął opowiadać o rozmowie ze sztabs-kapitanem. Zapalał się w miarę opowiadania, zapomniał o swojem zmieszaniu, i całkowicie zajął uwagę Lizy. Był pod silnem wrażeniem niedawnych niezwykłych doznań, to też mówił dobrze i wyczerpująco. Jeszcze za czasów moskiewskich, kiedy Liza była dzieckiem, lubił do niej przychodzić i opowiadać jej bądź swoje własne przeżycia, bądź przeczytane historje, albo wspominać fakty z dzieciństwa. Czasami oboje marzyli wspólnie i snuli całe powiastki, przeważnie wesołe i śmieszne. Mogło się teraz wydawać, że wrócili naraz do dawnych moskiewskich czasów, dwa lata wstecz. Lizę rozczuliła ogromnie opowieść Aljoszy, zwłaszcza gdy z żarliwem uczuciem nakreślił portret „Iljuszeczki". Skoro opowiedział szczegółowo scenę z deptaniem pieniędzy, Liza klasnęła w dłonie i zawołała z niepohamowanym żalem:

— I pan nie dał mu ponownie tych pieniędzy, pan pozwolił mu uciec! Mój Boże, mógł pan przynajmniej dogonić go...

— Nie, Lise, lepiej, że nie pobiegłem — rzekł Aljo-

sza, zaczem podniósł się i z miną zatroskaną przeszedł się kilkakrotnie po pokoju.

— Jakto lepiej, dlaczego lepiej? Teraz zostali bez chleba, zginą z nędzy!

— Nie zginą, ponieważ te dwieście rubli i tak ich nie miną. Jeżeli dziś nie przyjął, to w każdym razie jutro przyjmie. Jutro napewno przyjmie — rzekł Aljosza, chodząc w zamyśleniu z kąta w kąt — Widzi pani, Lise — dodał, zatrzymując się przed nią — ja tu popełniłem pewien błąd, ale i to wyszło na dobre.

— Jaki błąd i dlaczego na dobre?

— Dlatego, że to człowiek tchórzliwy i słabego charakteru. Tak jest sterany i taki dobry. Właściwie zastanawiam się teraz: czegóż się tak nagle obraził i podeptał pieniądze, bo zapewniam panią, że on do ostatniej chwili nie wiedział, iż podepcze. I zdaje mi się, że wiele rzeczy mogło go obrazić... i tak być musiało, jeśli wziąć pod uwagę jego sytuację... Po pierwsze, dlatego się obraził, że zanadto w mojej obecności cieszył się z tych pieniędzy, nie zamaskował swojej radości. Gdyby się ucieszył, ale nie bardzo, gdyby nie okazał po sobie radości, fochy stroił, jak to inni czynią, gdy przyjmują wsparcie, gdyby grymasił, toby mógł jeszcze przyjąć. Ale on zanadto szczerze się uradował, i to stanowi kamień obrazy. Ach, Lise, to dobry, zacny człowiek, i dlatego właśnie tak trudno z nim! Gdy mówił, głos jego brzmiał tak słabo, tak był wymęczony, a mowa jego była tak prędka, z takim jakimś chichotem czy może płaczem... naprawdę płakał, w takiej był egzaltacji... i o córkach swoich mówił... i o posadzie, którą mu w innem mieście obiecano... A później zawstydził się, że był tak wylewny, że całą swą duszę przede mną obnażył. I w tej chwili zapałał do mnie nienawiścią. To jeden z tych ubogich, którzy się strasznie wstydzą swego ubóstwa... A najbardziej obraził się dlatego, że zbyt pochopnie uznał mnie za przyjaciela i zbyt prędko się poddał: zrazu rzucał się na mnie, straszył, a tu naraz, ledwo zobaczył banknoty, zaczął mnie ściskać, obejmować. Bo obejmował mnie, tak, wciąż dotykał mnie rękoma. Zapewne z tych względów poczuł się

naraz poniżony, i wówczas w dodatku popełniłem błąd fatalny. Nagle bowiem powiedziałem mu, że jeżeli nie starczy mu pieniędzy na przeprowadzkę do innego miasta, to mu się doda, że nawet ja z własnych funduszów dodam mu, ile trzeba będzie. To go właśnie zastanowiło: niby z jakiego powodu chcę mu pomóc? Wie pani, Lise, to strasznie przykre dla pokrzywdzonego człowieka, gdy wszyscy naraz narzucają mu się na dobroczyńców... mówił mi o tem starzec. Nie wiem jak to wyrazić, ale i ja sam widziałem to nieraz. I zresztą sam tak czuję. I rzecz najważniejsza — chociaż do ostatniej chwili nie wiedział, że podepcze banknoty, przeczuwał coś takiego, z całą pewnością. Stąd ta jego niezwykła egzaltacja... I chociaż źle jest, wszystko to na dobre się obróci. Pomyślałem sobie nawet, że tak jest najlepiej, że lepiej być nie mogło...

— Dlaczego, dlaczego nie mogło być lepiej? — zawołała Liza, ze zdumieniem spoglądając na Aljoszę.

— Dlatego, Lise, że gdyby nie podeptał, gdyby wziął te pieniądze, i wrócił do domu, to po godzinie rozpłakałby się w poczuciu swego poniżenia. Nie ulega to wątpliwości. Zapłakałby i może jutro skoro świt przybiegłby do mnie i rzucił te banknoty i podeptał jak to był zrobił dzisiaj. Natomiast teraz odszedł niezwykle dumny, z prawdziwym triumfem, chociaż zdaje sobie sprawę, że „siebie zgubił". A zatem teraz już łacno będzie zmusić go najpóźniej jutro do przyjęcia tych pieniędzy, albowiem dowiódł już swego honoru, bo odrzucił pieniądze, podeptał... Nie mógłże wiedzieć, gdy deptał, że jutro wrócę doń z banknotami. Chociaż jest bardzo z siebie dumny, nawet dziś już nie może nie myśleć, czego się dobrowolnie wyrzekł. W nocy zaś będzie tem bardziej myślał o tem, będzie mu się to nawet śniło, i może nawet gotów będzie nazajutrz rano przyjść do mnie i prosić o wybaczenie. Ja zaś sam się pojawię: „Widzi pan, dumny z pana człowiek, dałeś dowód honoru, a teraz niech pan przyjmie i daruje nam". A wówczas napewno przyjmie!

Aljosza w jakiemś upojeniu wołał: „A wówczas napewno przyjmie!"

Lise klasnęła w dłonie.

— Ach, to prawda, ach, zrozumiałam to odrazu! Ach, Aljosza, skąd pan o tem wie? Taki młody i już wie, co u kogo w duszy... Nigdybym się tego nie domyśliła...

— Trzeba go teraz nadewszystko przekonać, że on jest z nami wszystkimi na równej stopie, pomimo że bierze od nas pieniądze — mówił wciąż w upojeniu Aljosza — i nie tylko na równej, ale i na wyższej stopie...

— „Na wyższej stopie" — zachwycająco, Aleksy Fedorowiczu, ale niech pan mówi!

— To znaczy, niezbyt dobrze się wyraziłem... z tą wyższą stopą, ale to nic, ponieważ...

— Ach, nie, nic, oczywiście, że nic! Niech mi pan daruje, Aljosza drogi... Wie pan, że ja pana dotychczas prawie że nie szanowałam... to znaczy szanowałam, ale na równej stopie, a teraz będę szanowała na wyższej... Miły, nie gniewaj się, że ja „dowcipkuję" — dodała nagle żarliwie — Jestem śmieszna i maleńka, ale pan, pan!... Słuchaj pan, Aleksy Fedorowiczu, czy niema w tem całem naszem rozumowaniu, nie, w rozumowaniu pana... nie, niech lepiej będzie w naszem... czy niema pogardy względem niego, względem tego nieboraka... że jego duszę tak rozbieramy, jakgdyby zgóry, co? Że tak napewno orzekliśmy teraz, że on przyjmie pieniądze, co?

— Nie, Lise, niema pogardy — odpowiedział stanowczo Aljosza, jakgdyby już znał to pytanie i miał na to swój pogląd — myślałem już o tem, gdy szedłem do was. Niech pani się zastanowi, jakaż tu pogarda, jeśli my sami jesteśmy tacy jak on, jeżeli wszyscy są tacy jak on. Bo przecież wszyscy jesteśmy tacy, nie lepsi. A nawet jeżeli jesteśmy lepsi, to w jego położeniu bylibyśmy tacy sami... Nie wiem jak pani, Lise, ale ja wiem o sobie, że pod wielu względami mam małostkową duszę. — A on wcale nie ma małostkowej, owszem, nawet bardzo delikatną... Nie, Lise, niema w tem żadnej pogardy względem niego! Wie pani, Lise, mój starzec powiedział kiedyś: z ludźmi trzeba się obchodzić jak z dziećmi, a z niektórymi to nawet jak z chorymi w szpitalu!

— Ach, Aleksy Fedorowiczu, ach, kochanie, będziemy się obchodzić z ludźmi jak z chorymi!

— Zgoda, Lise, jestem gotów, lecz nie jestem jeszcze całkowicie przygotowany, niekiedy jestem bardzo zniecierpliwiony, a czasem to i wzrok mam przytępiony. Pani to co innego.

— Ach, nie wierzę! Aleksy Fedorowiczu, jakem szczęśliwa!

— Jakto dobrze, że pani to mówi, Lise.

— Aleksy Fedorowiczu, pan jest zdumiewająco dobry, ale czasami jakgdyby nieco pedantyczny... a jednak zastanowisz się, to i wcale nie pedantyczny. Niech pan zobaczy, niech pan drzwi pocichu otworzy, i zobaczy, czy mama nie podsłuchuje — szepnęła nagle nerwowym, niecierpliwym głosem.

Aljosza podszedł do drzwi, uchylił i stwierdził, że nikt nie podsłuchuje.

— Niech pan tu podejdzie, Aleksy Fedorowiczu — mówiła Liza, coraz bardziej się rumieniąc — niech pan poda mi swą rękę, o tak. Niech pan słucha, muszę panu zrobić wielkie wyznanie: wczorajszy list napisałam nie żartem, ale na serjo...

Zasłoniła ręką oczy. Widać było, że wstydzi się o tem mówić. Naraz pochwyciła rękę Aljoszy i porywczo pocałowała ją trzykrotnie.

— Ach, Lise, jak to pięknie! — zawołał radośnie Aljosza — Ale ja byłem święcie przekonany, że pani napisała na serjo.

— Święcie był przekonany, wyobraźcie sobie państwo! — odepchnęła jego rękę, nie wypuszczając jej jednak z uścisku, rumieniąc się bardzo i śmiejąc drobnym uszczęśliwionym śmieszkiem. — Ja go w rękę pocałowałam, a on powiada: „pięknie".

Niesłusznie go jednak karciła: Aljosza był bardzo zmieszany.

— Pragnąłbym zawsze podobać się pani, Lise, ale nie wiem, jak to zrobić — wykrztusił z trudem, z wypiekami na twarzy.

— Aljosza drogi, pan jest oziębły i zuchwały. Widzieliście go. Raczył mnie upatrzyć sobie na małżonkę i odrazu się uspokoił! Był nawet święcie przekonany, że napisałem na serjo, a jakże! Ale to bezczelność, zwyczajna bezczelność!

— Czy źle jest, że byłem przekonany? — roześmiał się naraz Aljosza.

— Ach, Aljosza, wręcz przeciwnie, nadzwyczaj dobrze, strasznie dobrze — spojrzała nań tkliwie, głęboko uszczęśliwiona.

Aljosza trzymał jej rączkę w swojej. Naraz nachylił się i pocałował ją w usteczka.

— A to co znaczy? Co się panu stało? — zawołała Lise.

Aljosza zmieszał się ostatecznie.

— Wybaczy pani, jeżeli nie tak... Być może, straszliwie głupio... Powiedziała pani, że jestem oziębły, więc pocałowałem panią... Ale widzę, że wszystko głupio...

Liza roześmiała się i zasłoniła twarz rękoma.

— I w tym stroju! — zawołała przez śmiech.

Naraz przestała się śmiać, spoważniała a nawet się zasępiła.

— No, Aljosza, poczekamy jeszcze z pocałunkami, bo jeszcze oboje my nie potrafimy całować, i przyjdzie nam czekać bardzo długo — dodała po chwili — Niech pan mi lepiej powie, czemu pan bierze taką głupią, taką chorą i głupią, pan, taki mądry, taki myślący, taki spostrzegawczy? Ach, Aljosza, jestem niezmiernie szczęśliwa, ponieważ nie warta jestem pana!

— Niech pani nie mówi, Lise. W tych dniach opuszczę klasztor, to trzeba się ożenić, wiem o tem. I tak on mi nakazał. Czy mógłbym lepszą od pani wybrać... i zresztą kto mnie zechce? Zastanawiałem się już nad tem. Po pierwsze pani mnie od dziecka zna, a po drugie pani ma wiele takich zalet, których ja nie mam zupełnie. Dusza pani jest weselsza od mojej, a, rzecz najważniejsza, pani jest niewinniejsza ode mnie, bo ja już dotknąłem się niejednej, niejednej rzeczy... Ach, pani nie wie, wszak i ja jestem Kara-

mazow! To mnie cieszy, że pani się śmieje i żartuje, niechże się pani i ze mnie śmieje i żartuje... Ale pani się śmieje, jak mała dziewczynka, lecz myśli jak cierpiętnica.

— Jaka cierpiętnica? Jakto?

— Tak, Lise, pani poprzednie pytanie: czy niema pogardy względem tego nieboraka, że tak sekcjonujemy jego duszę — to cierpiętnicze pytanie... Widzi pani, nie umiem tego wypowiedzieć, ale kto takie pytania sobie zadaje, ten sam jest zdolny do cierpienia. Zmuszona do siedzenia w fotelu, przemyślała pani zapewne wiele rzeczy...

— Aljosza, proszę mi dać swoją rękę, poco ją pan zabiera — odezwała się Liza osłabionym ze szczęścia głosikiem — Aljosza, w co się pan ubierze, kiedy pan opuści klasztor, w jaki strój? Niech pan się nie śmieje i nie gniewa, to bardzo, bardzo dla mnie ważne.

— O stroju nie pomyślałem jeszcze, Lise, ubiorę się, jak pani zechce.

— Chciałabym, aby pan włożył granatowy aksamitny tużurek, białą pikową kamizelkę i miękki popielaty kapelusz pilśniowy... Niech mi pan powie, więc pan sobie pomyślał, że pana nie kocham, gdym się wyparła mojego listu?

— Nie, Lizo, nie uwierzyłem.

— Ach, nieznośny człowieku!

— Widzi pani, wiedziałem, że mnie pani... zdaje się... kocha, ale udawałem, że wierzę, iż pani mnie nie kocha, aby pani było poręczniej...

— Coraz gorzej! I gorzej i najlepiej. Aljosza, ja pana strasznie kocham. Poprzednio, jak pan miał przyjść, powiedziałam sobie: jeżeli on zwróci mi mój list, to znaczy, że wcale mnie nie kocha, nic nie czuje, jest poprostu głupi, niegodny chłopak, a ja jestem zgubiona. Ale pan zostawił list w domu, i to mi dodało otuchy, bo pan dlatego zostawił, że przeczuwałeś, iż będę go chciała odebrać. Czy tak? Prawda?

— Och, Lise, wcale nie tak. List ten miałem i mam przy sobie, w tej oto kieszeni, niech pani zobaczy. — Śmiejąc się, wyjął list z kieszeni i pokazał jej zdaleka. — Tylko nie dam pani, mogę tylko zdaleka pokazać.

— A to ładnie, to pan skłamał, pan — mnich, zakonnik?

— Owszem, skłamałem — roześmiał się Aljosza — aby list przy sobie zatrzymać. Zanadto jest mi drogi, — dodał z głębokiem wzruszeniem, znowu się rumieniąc — to już na wieki i nigdy go nikomu nie oddam!

Liza patrzała na niego z zachwytem.

— Aljosza! — zaszczebiotała — niech pan podejdzie do drzwi i zobaczy, czy mama nie podsłuchuje?

— Dobrze, Lise, zobaczę, ale czy nie lepiej tego zaniechać? Z jakiej racji podejrzewać matkę o tak niski postępek?

— Jaki tam niski? Jaki niski postępek? To prawo matki podglądać i podsłuchiwać, co robi córka, — zaperzyła się Liza — I bądź pan pewien, Aleksy Fedorowiczu, że kiedy zostanę matką i będę miała taką córkę, jak ja, to bezwarunkowo podsłuchiwać ją będę.

— Istotnie, Lise? To niedobrze.

— Ach, mój Boże, co niedobrze? Byłoby niedobrze, gdybym podsłuchiwała zwyczajną, towarzyską rozmowę, ale tu rodzona córka zamknęła się sam na sam z młodym człowiekiem... Niech pan posłucha, Aljosza, niech pan wie, że skoro się tylko pobierzemy, będę pana podglądać i otwierać wszystkie listy... Jesteś pan uprzedzony...

— Tak, oczywiście, jeżeli tak... — bełkotał Aljosza — ale zawsze to nieładnie.

— Och! Jaka pogarda! Aljosza, miły mój, nie będziemy się przecie odrazu kłócili. Powiem panu lepiej odrazu całą prawdę: podsłuchiwać, oczywiście, jest bardzo źle, i pan ma słuszność, a nie ja, ale mimo to będę zawsze podsłuchiwała.

— Niech pani podsłuchuje. I tak niczego się nie dosłuchasz, — roześmiał się Aljosza.

— Aljosza! a będzie mi pan ulegał we wszystkiem? Bo i to trzeba zgóry postanowić.

— Z przyjemnością, Lise, bezwzględnie, ale z wyjątkiem rzeczy zasadniczych. W rzeczach zasadniczych, choć-

byśmy mieli odmienne zdania, będę postępował, jak mi powinność każe.

— Tak być powinno. I wiedz o tem, że ja nietylko w ważnych, ale i w najdrobniejszych rzeczach ulegać będę panu — przysięgam teraz — i to we wszystkiem, i przez całe życie — zawołała płomiennie — i ze szczęściem, ze szczęściem! To nic jeszcze: przysięgam na wszystko, że nie będę pana nigdy podpatrywała, ani podsłuchiwała, ani razu, nigdy, i listu żadnego nie otworzę, ponieważ pan ma rację, a ja nie. I chociaż mi się strasznie będzie chciało, wiem, że mi się będzie chciało, ale nie zrobię tego, bo pan to potępia. Pan jest teraz jakby mojem przywidzeniem, Aleksy Fedorowiczu, dlaczego pan taki smutny, dzisiaj i wczoraj, wiem, że pan ma swoje kłopoty, ale prócz tego, zdaje się, że pan ma jakieś specjalne zmartwienie, utajone, prawda?

— Istotnie, mam ukryte zmartwienie — odparł Aljosza ze smutkiem — Widzę, Lise, że kocha mnie pani naprawdę, skoro to odgadłaś.

— Jakież to? Czy mogę wiedzieć? — zapytała Liza z nieśmiałą prośbą.

— Potem powiem, Lise... potem... — mówił niepewnie Aljosza. — Teraz nie zrozumiałaby pani. I ja sam zresztą tego nie rozumiem.

— Prócz tego wiem, że martwią pana bracia, ojciec?

— Tak, i bracia, — szepnął Aljosza jakby w zamyśleniu.

— Nie lubię brata pana, Iwana Fedorowicza — zauważyła nagle Liza.

Uwaga ta zdziwiła Aljoszę, ale pominął ją milczeniem.

— Bracia moi gubią się, — rzekł — ojciec także. I gubią innych wraz ze sobą. To już taka „przyziemna siła Karamazowów", jak to określił ojciec Paisy. Siła żywiołowa, wściekła, dzika. Czy unosi się nad nią duch Boży? Nie wiem. Wiem tylko, że i ja sam jestem Karamazow. Mnichem jestem, mnichem? Mnichem jestem, Lise? Powiedziała pani, że jestem mnichem?

— Tak, powiedziałam.

— A ja może nawet w Boga nie wierzę.

— Pan nie wierzy? Co panu jest? — cicho i ostrożnie zapytała Liza. Ale Aljosza nie odpowiedział. W tych nieoczekiwanych słowach było coś zbyt tajemniczego i subjetywnego, czego może sam nie rozumiał, ale co go już niewątpliwie dręczyło poprzednio.

— I oto teraz opuszcza mnie mój przyjaciel, najwyższy człowiek na świecie. O, gdyby pani wiedziała, gdyby pani wiedziała, Lise, jak silne łączą nas więzy duchowe! I oto zostanę sam. Ja do pani przyjdę. Odtąd będziemy razem...

— Tak! razem, razem! Od dziś razem przez całe życie. Niech mnie pan pocałuje, teraz pozwalam.

Aljosza pocałował ją.

— A teraz idź. Bóg z panem (przeżegnała go). — Idź prędzej do niego i bądź z nim, póki jeszcze żyje. Widzę jak okrutna byłam, żem pana zatrzymała tu tak długo. Modlić się dziś będę za niego i za pana. Aljosza, będziemy szczęśliwi?

— Zdaje się, że będziemy, Lise.

Wyszedłszy od Lizy, Aljosza nie zamierzał zajść do pani Chochłakow. Chciał zatem, nie pożegnawszy się z nią nawet, wyjść z domu. Ale ledwo otworzył drzwi i stanął w korytarzu, natknął się na panią domu. I z pierwszych jej słów domyślił się, że czekała tu na niego umyślnie.

— Aleksy Fedorowiczu, to straszne. To dziecięce bzdury i mrzonki — narzuciła się na Aljoszę — Mam nadzieję, że nie będzie pan marzył... głupstwa, głupstwa i głupstwa!

— Tylko niech jej pani tego nie mówi, — odrzekł Aljosza, — zdenerwuje się tylko i to jej zaszkodzi.

— Słyszę rozumne słowo rozumnego młodzieńca. Czy mam tak zrozumieć, że zgodził się pan z nią z litości, ze względu na jej stan zdrowia, aby nie rozgniewać jej sprzeciwem?

— O bynajmniej. Rozmawiałem z nią najzupełniej poważnie — zaprzeczył stanowczo Aljosza.

— Tu niema mowy o żadnej powadze, i po pierwsze,

od dziś nie przyjmę pana ani razu u siebie, a po drugie, wyjadę stąd i ją ze sobą zabiorę. Wiedz pan o tem.

— I pocóż to? — mówił Aljosza. — Przecież to jeszcze nie prędko, półtorej roku trzeba będzie może czekać.

— Ach, Aleksy Fedorowiczu, to, naturalnie, prawda, a przez te parę lat jeszcze z tysiąc razy poróżnicie się i rozejdziecie. Ale tak jestem nieszczęśliwa, tak nieszczęśliwa. Powiedzmy, że to bzdury, ale to mnie tak uderzyło. Teraz to ja jak Famusow w ostatniej scenie, pan — Czacki, ona — Zofja, i ja specjalnie wybiegłam do pana na schody, a przecież i tam wszystko stało się na schodach. Wszystko słyszałam, ledwo na nogach stałam. Teraz rozumiem te noce bezsenne Lizy i jej histeryczne ataki. Córce miłość, a matce śmierć. Kładź się za życia do grobu. Teraz druga rzecz i najważniejsza: co to za list, który ona panu napisała, niech pan pokaże, natychmiast, natychmiast!

— O nie, nie zrobię tego. Niech mi pani powie, jak zdrowie Katarzyny Iwanownej, muszę wiedzieć.

— Wciąż nieprzytomna. Obie jej ciotki stoją nad nią, wołają och! i ach! i wobec mnie nosa zadzierają! Posłałam po doktora Hertzenstube, ale on tak się zląkł, że nie wiedziałam już, co z nim począć, i jak go uratować i chciałam sprowadzić do niego innego doktora. Odwieźli go do domu w mojej karecie. A teraz nadomiar wszystkiego jeszcze pan z tym listem. Prawda, to wszystko jeszcze za półtorej roku. Zaklinam pana na wszystko, na miłość dla wielkiego, konającego świętego starca, pokaż mi ten list, Aleksy Fedorowiczu, mnie, matce! Jeśli pan chce, to niech pan trzyma go w ręku, przeczytam sobie zdala.

— Nie, nie pokażę, Katarzyno Osipowna, choćby nawet ona pozwoliła, nie pokażę. Jutro, jeśli pani sobie życzy, mogę przyjść i pomówić o tem, a teraz — dowidzenia!

I Aljosza wybiegł na ulicę.

II.

Smerdjakow z gitarą.

Spieszył się bardzo. Jedna myśl błysła mu, gdy żegnał się z Lizą. Jakby tu w jakiś przebiegły sposób odszukać brata Dymitra, który się najwidoczniej przed nim ukrywa? Było już dosyć późno, trzecia po południu. Całą swoją duszą dążył do monasteru, do swego „wielkiego" umierającego starca, ale nad wszystkiem górowała konieczność spotkania się z bratem. W umyśle jego kiełkowała i stopniowo dojrzewała myśl o straszliwej katastrofie, która niezawodnie rychło się dopełni. Nie umiałby może zdać sobie sprawy, na czem polegać będzie katastrofa, i o czem zamierza mówić z bratem. „Chociażby nawet nauczyciel mój zgasł beze mnie, to przynajmniej nie będę sobie wyrzucać całe życie, że, mogąc ocalić, nie ocaliłem, wykręciłem się, myślałem tylko o sobie. Zaś czyniąc tak, będę czynił wedle słów jego".

Plan jego polegał na tem, żeby go zaskoczyć znienacka: mianowicie przeleźć przez ten sam płot, co wczoraj, wejść do ogrodu i zakraść do altanki. „A jak go tam niema, to nie zawiadamiać Tomasza, ani gospodyń, lecz przyczaić się i czekać choćby do wieczoru. Jeżeli wciąż czatuje na Gruszeńkę, to napewno wróci jeszcze do altanki". Aljosza zresztą nie zastanawiał się nad szczegółami tego planu; postanowił go poprostu wykonać, chociażby nawet przyszło spędzić noc poza obrębem klasztoru.

Nie natrafił na żadne przeszkody: przelazł przez płot, w tem samem niemal miejscu co wczoraj, i cichaczem dotarł do altanki. Pragnął przejść niepostrzeżenie: gospodyni i Tomasz sprzyjali zapewne bratu i słuchali się go, a zatem było możliwe, że nie wpuszczą Aljoszy do ogrodu, albo też ostrzegą Dymitra. W altanie nie było nikogo. Aljosza usiadł na wczorajszem miejscu i zaczął czekać. Obejrzał altankę: wydała mu się dziś o wiele bardziej nędzną, niż wczoraj. Dzień zaś był również jasny i pogodny. Na zielo-

nym stole został okręgły ślad po kieliszku z koniakiem. Przychodziły mu do głowy puste i czcze myśli, jak zwykle w chwilach nudnego oczekiwania: naprzykład, dlaczego usiadł na tem samem miejscu, na którem wczoraj siedział, a nie na innem? Wreszcie smutno mu się zrobiło, bardzo smutno, i zatrwożył się nie wiedzieć czemu. Lecz nie upłynął kwadrans, gdy naraz gdzieś w pobliżu usłyszał dźwięki gitary. O jakie dwadzieścia kroków od altany pomiędzy krzakami ktoś siedział, albo dopiero co usiadł. Aljosza przypomniał sobie, że wczoraj zauważył w tem miejscu zieloną, starą, niziutką ławkę, na lewo od płotu. A zatem ktoś tutaj jest. Ale kto? I oto męski głos, słodkim falsetem akompanjując gitarze, zaśpiewał kuplety:

Niezwyciężona jest siła,
z jaką mnie trzymasz, o miła.
Panie Boże u-cho-waj
Ciebie i mnie!
Ciebie i mnie!
Ciebie i mnie!

Śpiew urwał się. To śpiewał tenor lokajski, lokajski w brzmieniu. Drugi, kobiecy głos odezwał się nagle z łaszczącą się i jakgdyby wstydliwą kokieterją:

— Dlaczego to pan tak dawno u nas nie był, Pawle Fedorowiczu? Pogardza pan, widzi mi się, naszą chatą.

— Wcale nie — odpowiedział głos męski grzecznie, ale ze stanowczą i pewną siebie godnością.

Widocznie mężczyzna miał tu przewagę, zalecała się zaś kobieta. „Mężczyzna to zdaje się, sądząc z głosu, Smerdjakow, towarzyszką zaś jego jest zapewne córka właścicielki tej chałupy, ta, która przyjechała z Moskwy, suknię nosi z trenem i po zupę do Marty Ignatjewnej przychodzi".

— Lubię strasznie, nad wyraz wszelkie wierszyki, jeżeli składne — mówił kobiecy głos. — Czemu pan przestał, Pawle Fedorowiczu?

Głos męski zaśpiewał znowu:

Niźli carska korona,
Milsza mi ulubiona,
Panie Boże u-cho-waj
Ciebie i mnie!
Ciebie i mnie!
Ciebie i mnie!

— Przeszłym razem to jeszcze lepiej wychodziło — zauważył głos kobiecy. — Śpiewał pan o koronie: „Milejsza mi ulubiona" . Tak delikatniej wychodziło, chyba pan dzisiaj przepomniał.

— Wiersze to bzdura — zawyrokował Smerdjakow.

— Ach nie! Ja bardzo lubię wierszyki.

— Brednie, mówię pani. Niech pani sama na rozum weźmie, kto na świecie do rymu gada? I gdybyśmy z rozkazu władzy zaczęli wszyscy gadać do rymu, to wielebyśmy się nagadali? Wiersze to żaden interes, Marjo Kondratjewna.

— Jaki pan mądry, wszystko sam rozumiejący — przymilał się coraz czulej głos kobiecy.

— Nie tegobym ja jeszcze, nie tego dokazał, gdyby nie los mój nieszczęśliwy od pierwszych powijaków. Jabym w pojedynku zabił z pistoletu każdego, ktoby śmiał utrzymywać, że podły jestem przez to, żem urodził się przez ojca, z matki śmierdzącej. A oni mi tam w Moskwie w oczy kłuli, bo Grzegorzowi Wasiljewiczowi zachciało się faktycznie wszystko wygadać. Grzegorz beszta mnie, że ja niby to buntuję się przeciw własnemu urodzeniu. „Tyś jej łono rozdarł". Łono łonem, a jabym się chętnie dał zabić jeszcze w żywocie, byleby na ten świat wcale nie przychodzić. W bazarze nawet opowiadają tutejsi ludzie, i mamusia pani też mi opowiadać zaczęła ze swojej wielkiej niedelikatności, że nibyto miała kołtun na głowie i wysoka była wszystkiego dwa arszyny z czubeczkiem. Żeby niby to z łezką było, z chłopską chamską łezką, z chamskiem uczuciem. Czy może rosyjski chłop dla wykształconego faktycznie człowieka mieć jakiebądź uczucie? Ciemny jest, to i uczucia mieć nie może. Ja, jakem w maleństwie słyszał z „czubecz-

kiem", to bodajbym ścianę gryzł. Całej Rosji nienawidzę, Marjo Kondratjewno.

— Inaczejby pan mówił, gdybyś pan wojskowym był, sierżancikiem jakim lub huzarem młodziutkim. — Wyjąłby pan wtedy szabelkę z pochwy, i całej Rosjiby pan bronił.

— Nietylko wcale nie chcę być wojskowym huzarem, Marjo Kondratjewno, ale życzyłbym sobie zniesienia wszystkich żołnierzy.

— A jakby nieprzyjaciel przyszedł, to ktoby nas wtedy bronił?

— A i poco bronić! W dwunastym roku był najazd cesarza Napoljona francuskiego pierwszego, ojca niby to dzisiejszego, i dobrzeby było, gdyby nas wtedy te same Francuzy zwyciężyły: mądry naród zwyciężyłby bardzo głupi naród i przyłączyłby do siebie. Inne byłyby porządki.

— A czy tam są lepsze niż nasze? Ja niejednego naszego lalusia przenoszę nad trzech młodych Anglików samych.

Słowom tym towarzyszyło prawdopodobnie czułe, powłóczyste spojrzenie.

— To już, jak kto woli.

— Ale pan to faktycznie całkiem zagraniczny człowiek, niby jaki szlachetny cudzoziemiec. Muszę to panu w oczy powiedzieć, choć i nie wypada.

— Chce pani wiedzieć, to powiem pani, że co do rozpusty, to zagraniczni ludzie zupełnie podobni są do naszych, szelmy jedne i drugie. Tylko, że tam chodzą w lakierowanych trzewikach, a nasze flejtuchy babrają się w swoich cuchnących brudach i dobrze im z tem. Rosyjskich ludzi powinno się trzymać pod batem, jak słusznie mówił wczoraj Fedor Pawłowicz, chociaż on jest warjat, jak i wszystkie jego synowie.

— Przecież pan sam mówił, że szanuje pan Iwana Fedorowicza.

— A on mnie nazwał cuchnącym lokajem. Ano jemu się zdaje, że ja mogę się buntować, ale bardzo się pomylił. Gdybym tylko miał w kieszeni jaką sumę, toby śla-

du mego tu nie było oddawna. Przecie Dymitr Fedorowicz względem rozumu i zachowania gorszy od każdego lokaja, i goły też, i nic nie umie robić, a mimo to każden go szanuje. Ja, dajmy na to, jestem faktycznie tylko parzygnat, ale jak mi szczęście dopisze, tobym mógł założyć kawiarnię i restaurację na samej Piotrówce w Moskwie, bo gotuję specjalnie, a nikt w Moskwie prócz cudzoziemców nie umie podawać specjalnie. Dymitr Fedorowicz, to goły chłystek, a przecież gdyby wyzwał na pojedynek jakiego najpierwszego hrabskiego syna, to tenby zaraz z nim poszedł, czemże on lepszy ode mnie? Bo nieprzymierzając, znacznie jest ode mnie głupszy. A ileż to on pieniędzy zmarnował przez nijakiej potrzeby!

— W pojedynku, musi być, jest bardzo dobrze, — zauważyła naraz Marja Kondratjewna.

— Dlaczego?

— Tak strasznie i tak dzielnie, kiedy dwaj młodzi oficerkowie palą do siebie przez jakąś niewiastę z pistoletów. Jak obraz malowany. Gdyby panienkom pozwalano patrzeć na to, zarazbym poleciała.

— Dobrze temu, kto pali, ale jak komu prosto w mordę mierzą, to musi być głupio się czuje. Pani zaraby drałowała stamtąd, Marjo Kondratjewna.

— A pan, toby nie darował?

Smerdjakow nie raczył odpowiedzieć. Po chwili znowu rozległy się dźwięki gitary i ostatni kuplet piosenki:

Choć przyjdzie cię rzucić
Nie będę się smucić,
Tęsknej piosnki nucić.
Pójdę w świat daleki,
Zapomnę na wieki,
Zapomnę na wieki,

Tu zaszedł niespodziewany wypadek: Aljosza nagle kichnął.

Głosy przycichły. Aljosza wstał i skierował się ku parze, siedzącej na ławce. Był to w istocie Smerdjakow,

ale wyelegantowany, wypomadowany, niemal ufryzowany i w lakierkach. Gitara leżała na ławce. Damą zaś jego, Marją Kondratjewną, była córka gospodyni. Nosiła suknię jasnobłękitną z długim trenem, była dosyć młoda i niebrzydka, o zbyt okrągłym zarysie twarzy, usianej gęsto piegami.

— Czy prędko wróci brat mój, Dymitr? — spytał spokojnie Aljosza.

Smerdjakow podniósł się zwolna z ławki, Marja Kondratjewna podniosła się również.

— A skąd ja mogę mieć jakie wiadomości o Dymitrze Fedorowiczu? Insza rzecz, gdybym był jego stróżem!— rzekł Smerdjakow cicho, cedząc zwolna słówka, z wyraźnem lekceważeniem.

— Poprostu zapytałem, czy nie wiecie? — wyjaśnił Aljosza.

— Nic ja o miejscu pobytu Dymitra Fedorowicza nie wiem i wiedzieć nie chcę.

— A jednak brat mówił mi, że dajecie mu znać o wszystkiem, co się dzieje w domu, i że przyrzekliście go zawiadomić, gdy przyjdzie Agrafena Aleksandrowna.

Smerdjakow zmierzył go spokojnym wzrokiem i rzekł wcale niezmieszany:

— A jakimże sposobem pan raczył wejść tutaj, skoro brama tutejsza już od godziny zamknięta? — zapytał, patrząc uważnie na Aljoszę.

— Przelazłem przez ogrodzenie z zaułka i wszedłem do altany. Mam nadzieję, że mi pani tego za złe nie weźmie — zwrócił się do Marji Kondratjewnej. — Muszę jaknajprędzej przyłapać mego brata.

— Ach, czy możemy się na pana obrażać — odrzekła śpiewnie Marja Kondratjewna, ujęta uprzejmością Aljoszy — Dymitr Fedorowicz przychodzi także często tą samą drogą, i same nawet nie wiemy kiedy, a on już w altance siedzi.

— Szukam go teraz, chciałbym go koniecznie widzieć, albo od was się dowiedzieć, gdzie on się teraz podziewa. Muszę go widzieć w bardzo dla niego ważnej sprawie.

— Dymitr Fedorowicz nam nie mówi gdzie bywa,— szczebiotała Marja Kondratjewna.

— Chociaż przychodzę tutaj z wizytą do znajomych,— zaczął Smerdjakow, — ale i tu prześladuje mnie pytaniami: ano jak u dziedzica? kto był i kto wyszedł, i czy nie mogę coś więcej powiedzieć? A już ze dwa razy śmiercią mi groził.

— Jakto śmiercią? — zdziwił się Aljosza.

— Co to dla pana Dymitra, kiedy się ma taki charakter, sam pan przecie widział wczoraj, czego się może dopuścić. Jeśli, powiada, Agrafenę Aleksandrowną wpuścisz i ona tu przenocuje, to ty pierwszy zginiesz. Ja się Dymitra Fedorowicza boję, a gdyby nie to, dawnoby już trzeba dać znać do policji. A to Bóg wie, co tu jeszcze może wyprawiać.

— Wczoraj jeszcze powiedział: „w moździerzu cię utłukę" — dodała Marja Kondratjewna.

— No, jeżeli w moździerzu, to tylko są żarty... — odezwał się Aljosza. — Gdybym się zobaczył z Dymitrem, wspomniałbym mu o tem...

— Tyle tylko mogę powiedzieć, — dodał nagle Smerdjakow, jakby po namyśle. — Bywam tu ja po sąsiedzkiej znajomości. Insza rzecz, że Iwan Fedorowicz posyłał mnie skoro świt do mieszkania Dymitra Fedorowicza na Jeziorną bez listu, a tylko kazał powiedzieć, że czekać będzie w tutejszej restauracji na placu, aby razem z braciszkiem swoim obiadować. Poszedłem ale Dymitra Fedorowicza w domu nie było, a była już godzina ósma. „Był" powiadają „ale wyszedł" — tak mi gospodarze powiedzieli. Wygląda to, jakby się zmówili. A teraz to może obaj obiadują w tej chwili w restauracji, bo Iwan Fedorowicz nie przyszedł do domu na obiad, a Fedor Pawłowicz przed godziną już zjadł, a teraz położył się i śpi. Prosiłbym tylko najusilniej, żeby pan nie wspominał, żem to wszystko panu opowiadał, boby mnie napewno zakatrupił.

— Więc brat Iwan zapraszał Dymitra do restauracji? — przepytał Aljosza.

— Tak jest.

— Do „Stołecznego grodu" na placu?

— Tak jest, proszę pana.

— To bardzo możliwe — zawołał Aljosza, wielce wzburzony. — Dziękuję wam, Smerdjakow. Ważna wiadomość, natychmiast tam pobiegnę.

— Tylko niech pan mnie nie wyda.

— Bądźcie spokojny, zajrzę tam niby przypadkowo.

— Ale dokąd pan, ja panu furtkę otworzę — odezwała się Marja Kondratjewna.

— Nie trzeba, bliżej przez płot.

Uzyskana wiadomość ogromnie go wzburzyła. Pobiegł ku restauracji. Nie wypadało mu wprawdzie w tym stroju wchodzić do szynku, ale zamierzał wywołać brata na korytarz i tam się z nim porozumieć. Zaledwie jednak zbliżył się do lokalu, otworzyło się okno, i sam brat Iwan zawołał nadół:

— Aljosza, możesz tu przyjść?

— Mogę, ale nie wypada mi, ze względu na strój.

— Właśnie zamówiłem osobny gabinet, wejdź, a ja zejdę naprzeciw i wprowadzę cię.

Po chwili Aljosza siedział na górze.

Iwan był sam i jadł obiad.

III

Poznanie braci.

Iwan nie siedział jednak w osobnym gabinecie. Był to poprostu kącik przy oknie, odgrodzony zasłonami od ogólnej sali i doskonale zasłonięty. Sala zaś owa była pierwszą od wejścia, z bufetem pod boczną ścianą. Kręcili się tu nieustannie kelnerzy, lecz gości nie było. Jedyny gość — stary wojskowy w rezerwie — pił w kącie herbatę. Natomiast w innych pokojach panował zwykły restauracyjny gwar, padały okrzyki, strzelały korki, stukały kule bilardowe i hukał instrument muzyczny. Aljosza wiedział, że Iwan nie

zagląda naogół do tej restauracji i nie jest wogóle bywalcem knajp; jeżeli więc tu przyszedł, to chyba tylko dlatego, że umówił się z bratem Dymitrem. Ale Dymitra nie było.

— Każę ci podać zupę albo co innego, przecież nie żyjesz samą herbatą — zawołał Iwan, widocznie ogromnie zadowolony z tego spotkania. On sam dopiero co zjadł obiad i pił teraz herbatę.

— Zupę, zupę zamów, a potem herbatę, bardzo jestem głodny — odezwał się wesoło Aljosza.

— A konfitury z wisien? Można tu dostać. Pamiętasz, jak u Poljenowa przepadałeś za konfiturami?

— A ty pamiętasz? Mogą być konfitury, lubię je dotychczas.

Iwan zawołał kelnera i zamówił zupę, herbatę i konfitury.

— Wszystko pamiętam, Aljosza, pamiętam ciebie do jedenastego roku życia, ja miałem wówczas piętnaście. Piętnaście a jedenaście to taka różnica, że bracia w tym wieku nigdy się nie przyjaźnią. Nie wiem nawet, czy cię wówczas kochałem: gdy wyjechałem do Moskwy, w pierwszych latach nigdy o tobie nie myślałem. Potem dopiero, kiedyś i ty przyjechał do Moskwy, spotkaliśmy się, zdaje się, raz jeden. A oto tu już czwarty miesiąc jestem, i jakoś ani razu nie zetknęliśmy się naprawdę. Jutro zaś wyjeżdżam, i właśnie, siedząc tu, myślałem sobie: jakby cię spotkać przed wyjazdem? Wyglądam przez okno, a ty idziesz ulicą.

— I bardzo mnie chciałeś spotkać?

— Bardzo, chcę z tobą zawrzeć raz na zawsze znajomość. I zarazem pożegnać się. Mojem zdaniem, najlepiej się poznać przed rozstaniem. Widziałem, jak przez te trzy miesiące patrzałeś na mnie, w oczach twoich było jakieś nieustanne oczekiwanie. A ja tego właśnie nie znoszę i dlatego nie zbliżyłem się do ciebie. Ale w końcu nauczyłem się ciebie szanować. Mocno przecież stoi sobie człowieczek. Wiedz, że chociaż się śmieję teraz, mówię to całkiem poważnie. Wszak stoisz mocno, co? A takich ludzi bardzo lubię, bez względu na to, na czem stoją, choćby nawet byli takiemi małemi maleństwami jak ty. W końcu przestał mnie

irytować twój wzrok wyczekujący, owszem polubiłem go wreszcie. Ty, Aljosza, kochasz mnie, zdaje się, nie wiem zresztą za co?

— Kocham, Iwanie. Brat Dymitr mówi o tobie. „Iwan — grób". Ja mówię: Iwan — zagadka. Jesteś i teraz dla mnie zagadką, ale coś tam już zrozumiałem, i to dopiero dziś rano!

— I cóż takiego? — roześmiał się Iwan.

— A nie pogniewasz się na mnie? — wtórował mu śmiechem Aljosza.

— Więc cóż?

— Bo dziś dopiero spostrzegłem, że jesteś takim-że młokosem, jak wszyscy inni w dwudziestym trzecim roku życia młodzieńcy, taki sam młody, młodziutki, świeży pyszny chłopak, no żółtodziubek! Cóż, niebardzo cię obraziłem?

— Nie, bynajmniej, przeciwnie, zdumiewasz mnie przenikliwością — zawołał wesoło i z zapałem Iwan. — Bo czy uwierzysz, że w chwili tego spotkania, tam, u niej, o niczem nie myślałem, tylko o tej wielkiej żółtodziobej młodości. A tyś jakby to odgadł, odrazu od tego zaczynasz. Czy wiesz, co mówiłem sobie, siedząc tu przed chwilą?... Choćbym nawet utracił wiarę w życie, choćbym się zawiódł na ukochanej kobiecie, choćbym przestał wierzyć w porządek rzeczy i przekonał się, że wszystko jest przeklętym, skłębionym i piekielnym chaosem, choćbym zaznał wszelkich okropności ludzkiego rozczarowania, — to przecież będę nadal chciał żyć, to przecież, przywarłszy raz ustami do brzegów puharu, nie oderwę się od niego, dopóki nie wychylę do dna. Zresztą, koło trzydziestki napewno odrzucę puhar, chociaż nie wypróżnię do końca, i odejdę... nie wiem dokąd. Ale do trzydziestego roku, wiem to z całą pewnością, młodość moja wszystko pokona — wszelki zawód, wszelki wstręt do życia. Zapytywałem siebie nieraz, czy jest na świecie taka rozpacz, któraby mogła zagłuszyć we mnie tę wściekłą i nieprzyzwoitą może żądzę życia, i stwierdziłem że niema takiej, zdaje się, to znaczy do trzydziestki, bo potem sam nie zechcę, tak mi się wydaje. Niektórzy suchotniczy, niedołężni moraliści,

zwłaszcza poeci, nazywają tę żądzę podłą. Do środkowej siły jest jeszcze bardzo wiele, Aljosza, na naszej planecie. Żyć chce mi się, i żyję chociażby wbrew prawom logiki. Mogę nie wierzyć w porządek wszechrzeczy, a jednak drogie mi są rozwijające się na wiosnę kleiste listeczki, drogie niebo błękitne, drogi mi ten czy ów człowiek, którego czasem kochasz niewiadomo za co, drogie to czy owo bohaterstwo ludzkie, w które już dawno może przestałeś wierzyć, ale które czcisz ze starego nałogu serca. — Przynieśli ci twój obiad, jedz, bracie, na zdrowie. Świetnie tu gotują tę polewkę. Do Europy chcę jechać, Aljosza, stąd właśnie pojadę, i wiem zgóry, że jadę na cmentarz, ale na najdroższy, na najdroższy cmentarz! Drodzy tam spoczywają zmarli, każdy kamień nad nimi świadczy o tak żarliwie przeżytem życiu, o takiej wierze namiętnej w swoje bohaterstwo, w swoją prawdę, w swoją walkę i w swoją naukę, że ja, wiem to zgóry, padnę na ziemię i całować będę owe kamienie i zmywać łzami, chociaż jednocześnie będę wierzył z całego serca, że wszystko to już cmentarzysko i nic ponadto. I nie z rozpaczy będę płakał, lecz poprostu dlatego, że łzy owe będą dla mnie szczęściem. Upoję się własnym zachwytem. Kleiste listeczki wiosenne kocham i niebo błękitne, ot co! To nie rozum, nie logika, wnętrznościami i żywotem kochasz, pierwsze swoje siły młode kochasz... Rozumiesz ty co, Aljosza, z tej mojej gadaniny? — roześmiał się naraz Iwan.

— Rozumiem aż zbyt dobrze, Iwanie: wnętrznościami i żywotem chce się kochać. Przepięknie to powiedziałeś, i cieszę się ogromnie, że tak żyć pragniesz. Myślę, że trzeba przedewszystkiem na świecie życie pokochać.

— Jakto? Życie samo kochać bardziej, niż jego istotę?

— Tak, stanowczo tak. Kochać je przed logiką, jak powiadasz, koniecznie przed logiką, a dopiero wtedy można istotę jego zrozumieć. Oddawna już tak myślę. Tyś dokonał już połowy dzieła, kochasz życie. Teraz trzeba pomyśleć o drugiej połowie, a będziesz zbawiony.

— Już mnie zbawiać zaczynasz? Możem przecie je-

szcze nie zgubiony. A na czem ona polega ta twoja druga połowa?

— Na tem, że trzeba wskrzesić twoich zmarłych, którzy, być może, wcale jeszcze nie skonali. Daj herbaty. Rad jestem, że rozmawiamy ze sobą.

— Widzę, że jesteś w jakiemś natchnieniu. Strasznie lubię takie professions de foi z ust takich... nowicjuszów. Twardy z ciebie człowiek, Aleksy. Czy to prawda, że rzucasz klasztor?

— Prawda. Mój starzec kazał mi wrócić w świat.

— W takim razie spotkamy się jeszcze, może zobaczymy się jeszcze przed trzydziestką, gdy zaczną odrywać wargi od puharu. Ojciec nasz nie chce oderwać się od swego puharu, chce pić do osiemdziesięciu nawet lat, sam to mówił, i to bardzo u niego poważne, mimo że jest błaznem. Stanął na lubieżności, też jakby na opoce, chociaż, coprawda, po trzydziestce można przecież tylko na tem stanąć... Ale do siedemdziesięciu lat to podłość, lepiej do trzydziestki: można zachować „cień dostojności", oszukując siebie. Nie widziałeś dziś Dymitra?

— Nie, nie widziałem, zato widziałem Smerdjakowa.

I Aljosza szczegółowo opowiedział bratu przypadkowe spotkanie ze Smerdjakowym. Iwan wysłuchał go z zakłopotaną miną, nawet parę razy o czemś przepytał.

— Tylko prosi, abym Dymitrowi nic nie powiedział o tej rozmowie — dodał Aljosza.

Iwan zamyślił się posępnie.

— Cóż to, z powodu Smerdjakowa spochmurniałeś? — zapytał Aljosza.

— Tak, z powodu Smerdjakowa. Ale do licha z nim. Istotnie chciałem się widzieć z Dymitrem, ale teraz nie trzeba — odrzekł niechętnie Iwan.

— Więc ty naprawdę tak rychło wyjedziesz?

— Tak.

— A cóż będzie z Dymitrem i z ojcem? Jak się to między nimi skończy? — zapytał trwożnie Aljosza.

— A ty wciąż swoje! Cóż ja? Czy jestem stróżem brata Dymitra? — odrzekł z rozdrażnieniem Iwan i naraz

uśmiechnął się gorzko. — Odpowiedź Kaina Bogu o zamordowanym bracie. Co? Może to sobie pomyślałeś w tej chwili? Ale do licha, nie mogę przecież w samej rzeczy tkwić tu przy nich i stróżować? Załatwiłem swoje sprawy i jadę. Nie myślisz chyba, że zazdrosny jestem o Dymitra, że przez te trzy miesiące usiłowałem mu odbić jego pięknotkę, Katarzynę Iwanownę. Do djabła! Miałem swoje własne sprawy. Załatwiłem je i jadę. Skończyłem niedawno, byłeś świadkiem.

— U Katarzyny Iwanownej?

— Tak, u niej i odrazu się uwolniłem. I cóż takiego? Co mnie obchodzi Dymitr? Dymitr nie ma z tem nic wspólnego. Miałem własne porachunki z Katarzyną Iwanowną. Sam wiesz, że naodwrót, sam Dymitr tak postępował, jakby był ze mną w zmowie. Przecież nie prosiłem go absolutnie; sam mnie uroczyście swatał i błogosławił. Wszystko to śmiechu warte! Nie! Aljosza, nie! Gdybyś mógł wiedzieć, jak ja się teraz czuję lekko! Siedziałem tu. Jadłem obiad i, uwierzysz, miałem ochotę postawić szampana, aby święcić pierwszą godzinę wolności. Tfu! Pół roku prawie — a teraz pozbyć się odrazu! Czyż mogłem sądzić, że, jeśli się chce, tak łatwo jest skończyć!

— Mówisz o swojej miłości, Iwanie?

— O miłości, jeśli chcesz. Tak zakochałem się w panience, w pensjonarce waszej. Dręczyłem się, wraz z nią. Ona mnie dręczyła... aż naraz wszystko znikło. Mówiłem tam u niej z uniesieniem, w natchnieniu, a skorom wyszedł, roześmiałem się na głos — czy uwierzysz! Mówię ci to szczerze.

— I teraz mówisz o tem dziwnie wesoło, — zauważył Aljosza, wpatrując się w istotnie rozpogodzoną twarz Iwana.

— Skądże mogłem wiedzieć, że jej wcale nie kocham! Che! che! I naraz okazało się, że nie. A jak ona mi się podobała! Jak mi się nawet niedawno jeszcze podobała, kiedy oracje wygłaszałem. I wiesz, że nawet teraz strasznie się podoba, a jednak tak mi łatwo się z nią rozstać. Myślisz może, że to fanfaronada?

— Nie. Ale może nie była to wcale miłość.

— Aljoszka! — roześmiał się Iwan. — Daj pokój rozumowaniom o miłości. Tobie to nie przystoi. A jakeś wtedy wyskoczył. Co! Zapomniałem pocałować cię za to. — A jak mnie ona męczyła! Zaiste szarpanina. Och, wiedziała, że ją kocham! Kochała mnie, a nie Dymitra — przedrzeźniał wesoło Iwan. — Dymitr to tylko szarpanina. Wszystko, co poprzednio tam mówiłeś, jest świętą prawdą. Ale o to chodzi, że dopiero za lat może piętnaście czy dwadzieścia przekona się ona, że nie Dymitra kocha, lecz mnie, którego dręczy. A może i nigdy się nie przekona, pomimo dzisiejszej nauczki. Tak jest najlepiej: powstał i wyjechał na zawsze. Ale, ale, a co się z nią teraz dzieje? Co tam zaszło po mojem wyjściu?

Aljosza opowiedział mu o ataku histerycznym, i o tem, że Katarzyna Iwanowna dotąd gorączkuje.

— Czy nie kłamie ta Chochłakowowa?

— Zdaje się, że nie.

— Wartoby sprawdzić. Zresztą z ataku histerycznego nikt nigdy nie umarł. Bóg dał kobiecie histerję z miłości. Nie pójde tam. Poco leźć znowu!

— Tyś jej jednak powiedział, że nie kochała cię nigdy?

— To umyślnie, Aljoszka; każę podać szampana i wypijemy za moją wolność. Gdybyś wiedział, jak jestem zadowolony.

— Nie, bracie — odrzekł naraz Aljosza — nie będziemy pili. Pozatem jest mi czegoś smutno.

— Dawno ci już smutno, zauważyłem to oddawna.

— Więc ty naprawdę wyjeżdżasz jutro rano?

— Rano? Nie powiedziałem, że rano... Ale może i rano. Czy wiesz, dlaczego przyszedłem tu dzisiaj? Poprostu nie mogę już siedzieć przy obiedzie z naszym starym, tak mi obrzydł. Dawnobym już odjechał, byle go na oczy nie widzieć. Ale dlaczego się tak niepokoisz moim odjazdem? Mamy jeszcze moc czasu do mego wyjazdu. Cała wieczność czasu, powiadam ci, nieskończoność.

— Jeżeli wyjeżdżasz jutro, to cóż to za wieczność?

— A cóż nas to obchodzi? — roześmiał się Iwan. — Wszak zdążymy powiedzieć sobie wszystko, co przyszliśmy sobie powiedzieć. Cóż tak patrzysz na mnie ze zdziwieniem? Odpowiadaj: pocośmy się tu zeszli? Czy poto, aby gadać o miłości mojej ku Katarzynie Iwanownej, o starym, o Dymitrze? O zagranicy może? O fatalnej sytuacji Rosji? O cesarzu Napoleonie? Czy poto?

— Nie, nie poto.

— Rozumiesz równie dobrze, pocośmy tu przyszli. Niech się świat kłopocze o co chce, my żółtodzioby, musimy przedewszystkiem nasze odwieczne pytania rozstrzygnąć. Cała młoda Rosja tylko o odwiecznych kwestjach rozprawia. Właśnie teraz, kiedy wszyscy starzy naraz zabrali się do praktycznych zagadnień. Dlaczego patrzałeś na mnie całe trzy miesiące z takiem oczekiwaniem? Żeby wybadać mnie: „jak wierzysz? Czy wcale nie wierzysz?" Oto co mówiły mi wasze oczy przez całe trzy miesiące, Aleksy Fedorowiczu. Czy nie tak?

— Być może — uśmiechnął się Aljosza — ale nie śmiejesz się ze mnie teraz, Iwanie?

— Jabym się śmiał? Nie chciałbym przecież zmartwić mego braciszka, który czekał trzy miesiące. Popatrz na mnie, Aljosza, jestem przecież taki sam rumel w rumel mały chłopak, jak i ty, tylko tyle, że nie kleryk. A co robią dziś takie rosyjskie chłopaki? Ot, zejdą się, w takiej cuchnącej knajpie, wszyli się w kąt, całe życie przedtem się nie znali, a skoro wyjdą z tej knajpy, znowu ze czterdzieści może lat nie będą się znać. Więc co, o czem będą rozprawiać, korzystając z tej chwilki w knajpie? O wszechświatowych zagadnieniach, a jakże; czy jest nieśmiertelność? Zaś którzy w Boga nie wierzą, o socjalizmie, o anarchizmie, o przeistoczeniu ludzkości, wszak i to są te same zagadnienia, tylko od drugiego końca. I wielu, wielu takich najoryginalniejszych rosyjskich chłopaków o tem tylko rozprawia w dzisiejszych czasach. Prawda?

— Tak — odparł Aljosza z tym samym łagodnym i przenikliwym uśmiechem. — Takie kwestje: czy jest Bóg, czy jest nieśmiertelność, albo kwestje od drugiego końca,

jakeś powiedział, są najważniejsze dla prawdziwych Rosjan, i tak być powinno.

— Widzisz Aljosza, niekiedy nie jest to wcale mądra rzecz być Rosjaninem, ale niesposób sobie wyobrazić nic głupszego nad to, czem się zajmuje obecnie rosyjska młodzież. A mimo to, jest tu pewien rosyjski chłopak, Aljosza, którego strasznie kocham.

— Bardzo to ładnie wypowiedziałeś — roześmiał się Aljosza.

— No, bracie, powiedz od czego zaczniemy, rozkaż sam. Od Boga? Czy niby istnieje Bóg, co?

— Zaczynaj od czego chcesz, choćby „od drugiego końca". Wszak wczoraj u ojca oświadczyłeś, że niema Boga — odparł Aljosza i badawczo zajrzał mu w oczy.

— Wczoraj przy obiedzie umyślnie cię drażniłem. Jakże ci oczy błysnęły! Ale dziś co innego, dziś chętnie mówić będę poważnie. Bo chcę się z tobą zejść, Aljosza. Nie miałem dotąd przyjaciela, sprobuję, czy ty nim być możesz? No więc, przypuśćmy, przyjmuję Boga. Dla ciebie to niespodzianka, co? — roześmiał się Iwan.

— Tak oczywiście, o ile i teraz nie drwisz tylko?

— Drwisz. To samo zarzucano mi wczoraj, w celi starca, że drwię. Widzisz, był już w XVIII-ym wieku taki grzesznik, który powiedział, że gdyby nie było Boga, należałoby go wymyślić „Si Dieu n'existait pas il faudrait l'inventer". I w rzeczy samej człowiek wymyślił Boga. I nie to jest dziwne, nie to byłoby dziwne, że Bóg istnieje, lecz to, że taka wzruszająca i przemądra myśl mogła przyjść do mózgownicy tak dzikiego i złośliwego bydlęcia, jakiem jest człowiek. Co się mnie tyczy, to już dawno postanowiłem nie myśleć o tem, czy człowiek stworzył Boga, czy Bóg człowieka! Nie będę oczywiście rozstrząsał teraz wszystkich współczesnych aksjomatów naszej rosyjskiej młodzieży, wysnutych całkowicie z europejskich hipotez. Bo co tam jest hipotezą, to u rosyjskich chłopczyków odrazu pewnikiem, i nie tylko u chłopców, ale i u ich profesorów, albowiem dzisiejsi nasi profesorowie są bardzo często również takimi-że rosyjskimi młodziankami. Dlatego pomijam wszelkie hipo-

tezy. Bo i jakie mamy teraz zadanie? Chodzi o to, aby ci jaknajprędzej wyjaśnić swoją istotę, to znaczy, kim jestem, w co wierzę, prawda? No to odrazu powiadam ci, że Boga przyjmuję, prosto i szczerze. Bo jest jeden szkopuł: jeżeli Bóg istnieje i jeżeli istotnie stworzył ziemię, to jak nam wiadomo stworzył ją wedle geometrji euklidesowej, i rozum ludzki uzbroił w rozumienie jedynie trzech wymiarów przestrzeni. A przecież byli i są jeszcze matematycy i filozofowie i to najpoważniejsi, którzy podają w wątpliwość, czy istotnie cały wszechświat, a raczej całe istnienie stworzone było jedynie według geometrji euklidesowej. Co więcej ośmiela się twierdzić, że dwie linje równoległe, które podług praw Euklidesa na ziemi zetknąć się nie mogą, stykają się może jednak gdzieś w nieskończoności. Otóż ja, mój drogi, rozstrzygnąłem to sobie w ten sposób, że jeżeli umysł mój nie może tego pojąć, to gdzieżby mógł pojąć Boga. Przyznaję z pokorą, że jestem absolutnie niezdolny do rozstrzygania takich kwestyj, że umysł mój jest euklidesowy, ziemski, a przeto skądże nam wyrokować o tem, co nie jest z tego świata. I tobie też nie radzę, bracie, myśleć o tem, a zwłaszcza o Bogu, czy jest czy go niema? Wszystkie te pytania niezgodne są z naszym umysłem, rozumiejącym jedynie trzy wymiary. A więc uznaję Boga, bardzo chętnie, uznaję jego mądrość i cel — dla nas zupełnie niepojęty — wierzę w porządek, w sens życia, wierzę w wieczystą harmonję, w której połączymy się kiedyś wszyscy, wierzę w Słowo, które „było u Boga", a które było Bogiem, do którego świat dąży i t. d. w nieskończoność. Wiele już słów wypowiedziano na ten temat. Zdaje się, że jestem już chyba na dobrej drodze, co? A przecież, wyobraź sobie, że w ostatecznym rezultacie nie uznaję jednak tego świata Bożego — nie przyjmuję go i chociaż wiem, że istnieje, mimo to, nie przyjmuję go wcale. Uważaj — nie Boga nie uznaję, — świata, przezeń stworzonego, świata Bożego nie uznaję i nie mogę go uznać. Zastrzegam się, wierzę, jak dziecko, że przyjdzie czas, gdy wszystkie cierpienia zagoją się i wygładzą, gdy cała bolesna komedja sprzeczności ludzkich rozwieje się, jak nędzny miraż, gnuśny wymysł niskiego euklidesowego umysłu; wierzę, że gdzieś, pod koniec, u finału świata, w chwili dopełnienia

się wiecznej harmonji zdarzy się i objawi coś tak cennego, że starczy dla wszystkich serc, na ukojenie wszelkich oburzeń, na odkupienie wszelkich występków ludzkich, wszystkiej krwi przelanej, że starczy tego nietylko na przebaczenie, ale nawet na usprawiedliwienie wszystkiego, co się ludziom zdarzyło. Choćby, choćby nawet tak było, jednak ja tego nie przyjmuję i nie chcę przyjąć! Choćby nawet dwie równoległe linje zetknęły się z sobą, choćbym to widział na własne oczy, zobaczę i powiem, że się zeszły, a jednak nie uznam. Oto moja istota, Aljosza, moja teza. To już mówiłem poważnie... Umyślnie zacząłem rozmowę naszą tak głupio, że głupiej nie można, ale doprowadziłem ją do tej spowiedzi, bo wiem, że tylko o nią ci chodzi. Nie o Boga, ale o to, aby się dowiedzieć, czem żyje brat twój, którego kochasz. Powiedziałem.

Iwan zakończył długą swoją tyradę ze szczególnem, nieoczekiwanem przejęciem.

— A czemu zacząłeś „tak głupio, że głupiej nie można"? — zapytał Aljosza, patrząc w zamyśleniu na brata.

— Po pierwsze, żeby to było rdzennie po rosyjsku, rosyjskie rozmowy na te tematy zawsze są prowadzone tak głupio, a po drugie, że im głupiej, tem bliżej rzeczy. Im głupiej tem jaśniej. Głupota jest jasna i niewymyślna, rozum zaś wykręca się i zasłania, rozum jest podły, zaś głupota uczciwa i prosta. Odsłoniłem ci rozpacz moją, a im głupiej to przedstawiłem, tem dla mnie wygodniej.

— Czy zechcesz mnie objaśnić, dlaczego „nie przyjmujesz świata?" — zapytał Aljosza.

— Oczywiście, że objaśnię, to żaden sekret, i do tego właśnie zmierzałem — odparł Iwan. — Nie chcę ja ciebie zgorszyć, braciszku drogi, ani zepchnąć cię z twoich podstaw. Może przeciwnie, sam pragnąłbym uzdrowić się tobą.

Iwan uśmiechnął się jak łagodny chłopczyk. Nigdy jeszcze Aljosza nie widział na jego twarzy takiego uśmiechu.

IV.

Bunt.

— Muszę ci zrobić jedno wyznanie — zaczął Iwan. — Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak można kochać swoich bliźnich. Właśnie bliźnich niepodobna, mojem zdaniem, kochać, raczej już dalekich. Czytałem gdzieś, że wielki święty Jan Miłosierny przygarnął kiedyś do swego łoża głodnego, straszliwie chorego i zmarzniętego wędrowca, objął go, własny oddech zmieszał z oddechem zgniłych i cuchnących ust jego. Przekonany jestem, że zrobił to nieszczerze, z wymuszonej miłości, podyktowanej przez obowiązek. Człowieka można kochać, gdy jest ukryty, ledwo zaś pokazuje swą twarz, miłość znika.

— Mówił mi to nieraz starzec Zosima — zauważył Aljosza — mówił także, że twarz człowieka nie pozwala często ludziom, niewprawionym w miłości, kochać człowieka. Ale przecież wiele jest miłości w ludzkich sercach, miłości podobnej Chrystusowej. Wiem o tem, Iwanie.

— A ja o tem jeszcze nie wiem, i nie mogę tego pojąć. I nie tylko ja, ale wielu innych ludzi. Pytanie, czy to wynika ze złych skłonności ludzi, czy też taka już jest natura ludzka. Mojem zdaniem, miłość Chrystusowa do ludzi jest swego rodzaju niemożliwym na ziemi cudem. Prawda, Chrystus był Bogiem. Ale my nie jesteśmy bogami. Przypuśćmy, że ja, naprzykład, głęboko cierpię, ale kto inny nigdy przecie nie potrafi poznać, do jakiego stopnia cierpię — dlatego właśnie, że jest innym człowiekiem, a nie mną, i dlatego ponadto, że człowiek niechętnie wierzy w cudze cierpienie (jakgdyby ono było jakimś zaszczytem). Czemu nie wierzy, jak myślisz? Dlatego naprzykład, że czuć mi z ust albo że mam głupią fizjonomję, że kiedyś przez nieuwagę nastąpiłem mu na nogę. W dodatku są rozmaite cierpienia: hańbiące cierpienia, cierpienia, które mnie poniżają, głodowe naprzykład — tego rodzaju cierpienia uzna mój łaskawca, ale cierpienia wyższego gatunku, powiedzmy dla

idei, przeważnie nie uznaje: bo popatrzy na mnie i zobaczy, że twarz moja zupełnie nie odpowiada tym wymogom, które fantazja jego stawia człowiekowi, cierpiącemu dla takiej a takiej idei. I oto pozbawia mnie natychmiast całej swej życzliwości i to nie ze złego serca. Ubodzy, zwłaszcza t. zw. szlachetni ubodzy, nie powinni się nigdy osobiście pokazywać, raczej niech proszą o jałmużnę za pośrednictwem gazet. Abstrakcyjnie można kochać bliźniego, czasem nawet zdaleka, ale zbliska prawie nigdy. Gdyby to tak było jak na scenie, w balecie, gdyby ubodzy nosili jedwabne łaszki i podarte koronki i gdyby żebrali tańcząc, to możnaby jeszcze patrzeć na nich z upodobaniem. Z upodobaniem ale nie z miłością. Ale dość tego. Chciałem cie tylko wciągnąć na swój teren. Chciałem mówić o ludzkiem cierpieniu wogólności, ale lepiej ograniczymy się do cierpień dzieci. Zwęża to bodaj dziesięciokrotnie zasięg mojej argumentacji, lecz wolę mówić o samych dzieciach. Oczywiście, że to dla mnie mniej wygodne. Ale po pierwsze dzieci można kochać nawet zbliska, nawet brudne i brzydkie dzieci (wydaje mi się jednak, że dzieci nigdy nie są brzydkie). Po drugie, o dorosłych dlatego też nie będę mówił, że — nie mówiąc już o tem, że są obrzydliwi i nie zasługują na miłość — biorą odwet: zjedli jabłko, poznali dobre i złe i stali się „jako bogowie". Nie przestają go i teraz jeść. Ale dzieci nic nie jadły i są jeszcze zupełnie niewinne. Czy kochasz dzieci, Aljosza? Wiem, że kochasz i zrozumiesz, dlaczego chcę teraz tylko o nich mówić. Jeżeli zaś i one na świecie tak strasznie cierpią, to tylko za ojców swoich, karane są za ojców, którzy jabłko jedli. Ale takie rozważanie nie jest ludzkie, niezrozumiałe jest dla ludzkiego serca. Nie powinien niewinny cierpieć za winnego, i w dodatku jaki niewinny! Podziwiaj mnie, Aljosza, ja również strasznie kocham dzieci. I zwróć na to uwagę, że ludzie okrutni, namiętni, mięsożerni, karamazowcy, czasem nadzwyczaj kochają dzieci. Dzieci, póki są dziećmi, do siódmego roku życia, straszliwie różnią się od innych ludzi jakgdyby zupełnie inne istoty, odmiennej natury. Znałem pewnego bandytę, który w ciągu swej karjery wymordował całe rodziny i oczywiście również mnóstwo dziatek. Ale siedząc w więzieniu,

kochał je niezwykle. Z poza kraty spoglądał całemi godzinami na dzieciarnię, bawiącą się na podwórku więziennem. Z jednym chłopczykiem zaprzyjaźnił się nawet i rozmawiał przez okienko... Nie wiesz, poco ja ci to wszystko mówię, Aljosza. Głowa mnie jakoś boli i smutno mi.

— Mówisz z jakąś dziwną miną, z niepokojem, jakgdyby w gorączce — zauważył troskliwie i niespokojnie Aljosza.

— Ale, ale, niedawno opowiadał mi pewien Bułgar w Moskwie — ciągnął dalej Iwan, jakgdyby nie słysząc uwagi brata — jak Turcy i Czerkesi pastwią się nad jego rodakami, w obawie przed powstaniem. Puszczają wioski z dymem, mordują, gwałcą kobiety i dzieci, na noc przybijają więźniom uszy ćwiekami do płotów, a nazajutrz wieszają i t. d. niepodobna sobie wszystkiego wyobrazić. Mówi się czasem o „zwierzęcem" okrucieństwie ludzi, ale uważam, że wyrażając się w ten sposób, krzywdzi się niesprawiedliwie zwierzęta. Zwierzę nigdy nie potrafi być tak okrutne jak człowiek, tak artystycznie, tak wyszukanie okrutne. Tygrys poprostu gryzie, szarpie i nic ponadto. Nigdyby mu do głowy nie strzeliło przybijać ludzi na noc gwoździami do parkanów, gdyby nawet mógł to wykonać. Otóż Turcy tamtejsi z wyjątkową namiętnością męczą dzieci, poczynając od wyrzynania sztyletem płodu z brzucha matki, i kończąc na podrzucaniu do góry niemowląt i łapaniu ich na ostrza bagnetów w obecności matek. Obecność matek jest właśnie największą delicją. Ale oto obrazek, który mnie nader zainteresował. Wyobraź sobie: osysek na ręku drżącej matki, dookoła Turcy. Zaczęli wesołą zabawę: pieszczą dziecko, śmieją się, aby je rozweselić, w końcu udało im się: niemowlę śmieje się. W tej chwili Turek przysuwa do twarzyczki lufę rewolweru. Dzieciak śmieje się radośnie, wyciąga rączki po rewolwer, i wówczas wirtuoz spuszcza kurek i rozrywa niemowlęciu główkę... Artystycznie, co? Podobno Turcy bardzo lubią słodycze.

— I poco to wszystko, bracie? — zapytał Aljosza.

— Bo myślę, że jeżeli szatan nie istnieje, że jeżeli go stworzył człowiek, to stworzył go na podobieństwo swoje.

— W takim razie tak samo i Boga.

— Umiesz nader zręcznie wykręcać słówka jak mówi Polonjusz w Hamlecie — roześmiał się Iwan — złapałeś mnie za słówko, proszę, bardzo mi to miło. Dobry jest twój Bóg, jeżeli człowiek stworzył go na swoje podobieństwo. Pytałeś się, poco mi to. Uważasz, jestem miłośnikiem i zbieraczem niektórych fakcików i, wiesz, zapisuję z gazet i z opowiadań przeróżne anegdotki, mam już wcale niezłą kolekcję. Turcy oczywiście weszli do kolekcji, ale to są zagraniczne fakty. Ale i my mamy nasze rodzime, wcale nie gorsze, a nawet lepsze od tureckich. Wiesz, u nas przeważnie bije się rózgą i pletnią, — to narodowe środki. Przebite gwoździami uszy są u nas niemożliwe, bądź co bądź jesteśmy europejczykami, ale rózgi, pletnia to już swojskie, tego nam nie odbiorą. Zagranicą bicie jest zabronione, obyczaje lepsze, czy prawo takie wydano, że człowiek człowieka nie śmie bić. Ale zato powetowali to sobie inaczej, też po swojsku, narodowo, i tak narodowo, że u nasby się nie przyjęło, chociaż coprawda i u nas zaczyna się przyjmować zwłaszcza od czasu jak w wyższych sferach zaczęły się szerzyć nowe prądy religijne. Mam bardzo charakterystyczną broszurkę, przełożoną z francuskiego, opisującą jak niedawno, pięć lat temu, w Szwajcarji stracono złodzieja i bandytę, Ryszarda, dwudziestoletniego zucha, który nawrócił się niedługo przed straceniem. Było to dziecko nieślubne, rodzice za młodu *podarowali* je góralom, pastuchom alpejskim. Ryszard miał wówczas lat sześć, i górale wcześnie zaprzęgli go do pracy. Rósł jak zwierzak, nie nauczono go niczego i posyłano na pastwisko z trzodą, o chłodzie i deszczu, nie żywiąc go i nie odziewając. Oczywiście żaden z górali nie zastanawiał się nad tem i nie odczuwał skruchy, bo przecież Ryszarda podarowano im jak rzecz martwą. Sam Ryszard stwierdził, że jako syn marnotrawny z Ewangelji łasił się na jedzenie dawane świniom, kradł je z koryta, i oczywiście chłostano go okrutnie, gdy łapano go na gorącym uczynku. Tak spędził dzieciństwo i młodość. Gdy dorósł i nabrał sił, poszedł kraść. Pracował jako wyrobnik w Genewie, zarobione pieniądze przepijał, nie umiałby nawet użyć ich inaczej, żył jak potwór i ostatecznie ograbił i zamordował jakiegoś

starca.. Schwytano go, sądzono i skazano na śmierć. Tam nie bawią się w sentymentalizm. I oto w więzieniu otoczyły pastory różne i członkowie rozmaitych bractw chrystusowych, dobroczynne paniusie i t. d. Nauczono go w więzieniu czytać i pisać, wtajemniczono w zasady wiary, namawiano go, przekonywano, doradzano, aż wreszcie doprowadzono go do wyznania. Nawrócił się, napisał sam do sędziów, że żył dotąd jak zwierzę, ale nakoniec i na niego spłynęło światło łaski niebieskiej. Poruszyła się cała Genewa, cała dobroczynna i pobożna Genewa. Wszystko, co było w mieście znakomitszego i zajmowało się dobroczynnością, zwaliło się do więzienia; całowano, ściskano biednego Ryszarda, „ty bracie nasz, spłynęło na cię światło". A sam Ryszard wylewał łzy wzruszenia: „tak, spłynęło na mnie światło! Przedtem w dzieciństwie i młodości zazdrościłem świniom karmi, a teraz spłynęło na mnie światło i łaska i umrę w Panu". „Tak, tak, Ryszardzie, umrzyj w Panu, boś przelał krew i powinieneś umrzeć w Panu. Może tyś niewinien, żeś nie znał wcale Pana, gdy zazdrościłeś świniom karmi i gdy cię bito za to, żeś wykradał świniom karmię (bardzo źle czyniłeś, bo niewolno kraść), ale przelałeś krew i powinieneś umrzeć". I oto nastąpił ostatni dzień. Sterany Ryszard płacze i powtarza co chwila: „To najlepszy mój dzień, bo umieram w Panu". Tak krzyczą pastorzy i dobroczynne damy i sędziowie „To najszczęśliwszy twój dzień, bo umierasz w Panu". I oto śpieszą tłumnie na miejsce egzekucji pieszo i konno za haniebnym wozem, na którym siedzi Ryszard. Oto dotarli do miejsca straceń. „Umieraj, Ryszardzie, umieraj bracie nasz, umieraj w Panu, bo na ciebie spłynęła łaska Jego". I oto, pokrytego pocałunkami braci, brata Ryszarda wciągnięto na szafot, położono mu głowę pod gilotynę, i odcięto mu po bratersku łepetynę, bo spłynęło nań światło łaski. Prawda, że to charakterystyczne? Broszurka ta jest przełożona na język rosyjski przez któreś ze stowarzyszeń luterańskich i dodawana bezpłatnie do dzienników i innych wydawnictw. Żarcik z Ryszardem jest dobry przez to, że jest tak narodowy. U nas wprawdzie nie morduje się brata za to, że stał się nam bratem i że spłynęła nań łaska, ale wzamian mamy, jak już wspomniałem, nasze własne żar-

ty. Naprzykład historycznie najbliższe nam, i bezpośrednie napawanie się biciem. Jest śliczny wiersz Niekrasowa, bardzo znamienny. Rosyjski chłop tnie konia po ślepiach, po „łagodnych ślepiach". To takie swojskie, któż tego nie widział? Biedne zwierzę, obarczone ciężarem nad siły, ugrzęzło w błocie i nie może ruszyć z miejsca. Chłop bije je zapamiętale, bezrozumnie, upojony biciem smaga je dotkliwie bez końca. „Chociaż nie możesz, sam to widzę, zdychaj, ale ciągnij". Klacz szarpie się, i oto zaczyna ją bić bezbronnie po płaczących „po łagodnych ślepiach". Ostatnim wysiłkiem szarpnęła się i wyciągnęła wóz i poszła drżąca, zataiwszy oddech, poruszając się bezładnie, bokiem, podskokami, nienaturalnie i haniebnie. Strasznie opisał to Niekrasow. Ale to tylko koń; konia Pan Bóg stworzył, aby człowiek miał kogo okładać batem. Tak nas Tatarzy nauczyli i zostawili nam knut w dziedzictwie. Ale można przecie okładać również ludzi. Naprzykład pewna inteligentna, wykształcona para traktuje własne dziecko, córeczkę siedmioletnią, rózgami, mam to zapisane z najdrobniejszemi szczegółami. Ojczulek rad, gdy rózgi są z kolcami, to się lepiej czuje. A trzeba ci wiedzieć, że są ludzie, którzy w miarę bicia zagrzewają się, zapalają namiętnie, w upojeniu lubieżnem i to coraz bardziej, co raz mocniej. Biją minutę, pięć, dziesięć minut, coraz bardziej, coraz mocniej, dziecko nie może już krzyczeć, wreszcie słabnie „Ojcze, ojcze, ojczulku, tatusiu" woła! Sprawę w jakiś piekielnie głupi sposób wytoczono przed sąd, rodzice biorą adwokata. Niedarmo lud nasz mówi oddawna o adwokatach: „adwokát — język w płat". Adwokat podniósł wrzawę w obronie swojego klijenta. „Sprawa taka prosta, zwyczajna, familijna, ojciec skarcił dziecko, czyż nie wstyd sprawę taką wytaczać przed kratki sądowe". Sędziowie przysięgli, zupełnie przekonani, uniewinniają dręczyciela. Publiczność wyje z zachwytu z powodu sprawiedliwego wyroku. Szkoda, że mnie tam nie było, zaproponowałbym składkę na stypendjum imienia tego kata!... Piękny obraz. Dużo, dużo dokumentów udało mi się zebrać o naszych rosyjskich dzieciach, Aljosza. Pewni rodzice, „ludzie zacni, wykształceni, cywilizowani, dobrze wychowani" znienawidzili własne dziecko, pięcioletnią dziewczynkę. Wspo-

minałem ci już, że są ludzie, którzy znajdują specjalną przyjemność w dręczeniu dzieci i tylko dzieci. Pozatem w stosunku do ludzi dorosłych mogą być uprzejmi, delikatni, ogładzeni, jak przystało na cywilizowanych, humanitarnych europejczyków. Lubią jeno dręczyć dzieci. I to jest ich sposób lubienia dzieci. Właśnie ta zupełna bezbronność, anielska ufność maleństwa, to nęci, to rozpala plugawą krew dręczyciela. Bo w każdym oczywiście człowieku tai się zwierz — zwierz złości, zwierz spuszczonych z łańcucha żądz i chorób nabytych w rozpuście, podagry, chorych śledzion, zwierz, który rozżera się krzykiem dręczonych ofiar. Ową biedną pięcioletnią dziewczynkę poddawali „wykształceni, zacni" rodzice wszelkiego rodzaju torturom. Bili ją bez żadnej przyczyny; deptali nogami, tak że całe ciało pokryte było czarnemi sińcami, w końcu doszli do wyrafinowania: zamykali w zimne, mroźne noce w ustępie na kilka godzin, pod pretekstem, że nie budzi się w nocy (jakgdyby pięcioletni dzieciak, śpiący mocnym anielskim snem, mógł na siebie zważać). Za to twarzyczkę jej wymazywali jej własnym kałem, i kazali jeść ten kał, i to matka! I matka mogła zasypiać spokojnie, słysząc rozpaczliwe krzyki biednego dziecka, zamkniętego w nikczemnym, smrodliwym ustępie. Zastanów się teraz, co mogło czuć takie biedne, bezradne stworzenie, nie będące jeszcze w stanie zrozumieć, co się z niem dzieje. Jak tłukło się drobnemi rączynami w dziecięcą wątłą pierś, wzywając łagodnemi łzami Bozi w pomoc. Czy zrozumiałeś ty teraz te niedorzeczności, czy rozumiesz bracie ty mój, pokorny i słodki sługo Boży, naco i poco potrzebne są i stworzone takie niedorzeczności! Bez nich, powiadają, nie mógłby człowiek żyć na ziemi, bo nie potrafiłby odróżnić dobrego od złego. A poco? poco to piekielne poznanie złego i dobrego, jeżeli ma się je nabywać takim kosztem? Wszak cały bezmiar poznania nie wart jest owych łez dziecka wzywającego „Bozi". Nie mówię o męce dorosłych, ci zjedli jabłko, pal ich licho, i niech ich wszystkich djabli biorą. Męczę cię, bracie, jesteś jakby nieswój. Jeżeli chcesz — to przestanę.

— To nic, ja też chcę cierpieć, — wyszeptał Aljosza.

— Jeszcze jeden, jeden ci tylko przytoczę obrazek,

dla ciekawości, bardzo charakterystyczny, fakt, którego opis czytałem w jednym z naszych starych roczników w „Archiwum" czy w „Starinie", niepamiętam, trzeba sprawdzić. Działo się to w pełnym rozkwicie pańszczyzny, gdzieś na początku stulecia, niechaj żyje Oswobodziciel! Mieszkał wówczas na wsi pewien generał, bardzo ustosunkowany i bogaty obywatel. Należał on do licznego grona obywateli, którzy po wysłużeniu emerytury przekonani są, że mają prawo życia i śmierci nad swymi poddanymi. Wielu takich było wówczas w Rosji. Mieszkał więc ów generał w swoim majątku, liczącym dwa tysiące dusz. Uboższych sąsiadów traktował per nogam, mając ich za swoich rezydentów i błaznów. Miał niezmiernie liczną psiarnię i całe setki psiarczyków, umundurowanych i konnych. Otóż jedno z dzieci, będących na służbie, chłopak ośmioletni, skaleczył kamieniem nogę ulubionej charcicy pana generała. — „Czemuż to charcica moja ulubiona kuleje?" Wytłumaczono mu, że ów chłopczyk przetrącił jej nogę kamieniem. „A to ty, ty" — obejrzał go generał — „brać go!" Biorą dzieciaka, zamykają go na całą noc w jakiejś piwnicy. Rankiem, skoro świt, wyjeżdża generał na polowanie. Dosiadł konia, otaczają go rezydenci, służba, leśnicy, dojeżdżacze, wszystko konno, sfory psów gończych. Dalej gwoli przykładu zebrana cała służba, a na przodzie matka chłopczyka. Wyprowadzają chłopca, ranek jesienny, dżdżysty, chłodny, wyborny do polowania. Generał rozkazuje rozebrać chłopca do naga, dzieciak drży oszołomiony, prawie nieprzytomny ze strachu. „Gonić go", — komenderuje generał, „Biegaj! Biegaj!" — wołają psiarze i dojeżdżacze, i chłopak biegnie. „Huć! ha! huć! ha!" — krzyczy generał i wypuszczają na chłopca wszystkie psy, spuszczone ze smyczy. Rozszarpały go psy w oczach matki, rozszarpały w strzępie... Generała zdaje się wzięto pod kuratelę. A ty, jak myślisz, Aljosza, rozstrzelać takiego, aby zadość uczynić uczuciu moralnemu, co? Mów, Aljosza!

— Rozstrzelać! — szepnął, blady jak ściana, Aljosza, krzywiąc usta w dziwnym jakimś uśmiechu i podnosząc wzrok na brata.

— Brawo! — wrzasnął w zachwycie Iwan — bra-

wo! — Jeżeli tyś to powiedział... ty pustelniku! A widzisz! jaki to szatan czai się i w tobie, Aljoszka Karamazow.

— Powiedziałem głupstwo — ale...

— Otóż to — że ale... Wiedz, ty nowicjuszu, że niedorzeczności potrzebne są na świecie. Świat stoi niedorzecznościami i bez nich może nicby się nie działo. Wiemy swoje.

— Cóż ty wiesz?

— Ja nic nie rozumiem — mówił dalej Iwan, jakby w gorączce, i nie chcę teraz rozumieć, chodzi mi tylko o fakty. Dawno już postanowiłem nie rozumieć. Jeśli zechcę coś zrozumieć, to odrazu tem samem zmienię fakty, a ja postanowiłem trzymać się faktu.

— Czemu mnie kusisz? — z obolałą goryczą zawołał Aljosza — powiesz mi wreszcie?

— Oczywiście, że powiem. Do tego przecież zmierzałem —odrzekł Iwan. — Zanadto mi jesteś drogi, nie chcę cię utracić, nie odstąpię cię twemu starcowi, Zosimie.

Iwan zamilkł na chwilę, i twarz jego nagle bardzo posmutniała.

— Słuchaj mnie. Wspomniałem tylko o cierpieniach dzieci, aby rzecz moją bardziej uwydatnić. O innych łzach ludzkich, któremi ziemia nasza przesiąknięta jest nawskroś, nie powiem już ani słowa, specjalnie bowiem zwęziłem temat. Pluskwą jestem i przyznaję z całem uniżeniem, że nie rozumiem, dlaczego świat jest tak a nie inaczej urządzony. Człowiek niby sam sobie winien , dano mu raj na ziemi, a on zapragnął wolności i wykradł ogień z niebios, wiedząc zgóry, że ściąga na siebie nieszczęście, zatem nie warto go żałować! O, nędzny mój, ziemski, euklidesowy rozum mówi mi tylko to, że na ziemi jest cierpienie, że winnych niema — i że wszystko wypływa logicznie, jedno z drugiego, wszystko płynie i układa się w równowadze. Ale przecież to euklidesowa dzicz, przecież znam to już, i nie godzę się żyć według tego! Co mi z tego, że niema winnych, i że wszystko wynika z siebie logicznie, i że wiem o tem — ja domagam się odwetu, bo w przeciwnym razie zniszczę siebie. I odwetu domagam się nie gdzieś, kiedyś, tam, w nie-

skończoności, ale tu na ziemi, koniecznie sam widzieć muszę. Wierzyłem, chcę sam widzieć, a gdybym umarł przedtem, to niech mnie wskrzeszą, bo jeżeli to wszystko odbędzie się beze mnie, poczuję się skrzywdzonym. Nie potom cierpiał, — aby cierpienie i występki moje służyły jako nawóz do użyźnienia jakiejś przyszłej harmonji. Ja widzieć muszę na własne oczy jak trwożliwa łania uśnie spokojnie obok lwa drapieżnego, a zamordowany wstanie i trzymać będzie w objęciach mordercę. Chcę być tu, gdy wszyscy naraz się dowiedzą, poco to wszystko tak było. Na tem pragnieniu opierają się wszystkie religje, a przecież wierzę. Ale jednakowoż, dzieci, co ja z niemi wówczas poczne? Oto pytanie, którego nie mogę rozstrzygnąć. Setny raz powtarzam — pytań jest moc, lecz wziąłem tylko dzieci, ponieważ to demonstruje absolutnie dokładnie, co chcę ci powiedzieć. Słuchaj: jeżeli wszyscy powinni cierpieć, aby cierpieniem okupić wieczną harmonję, to co tu robią dzieci, powiedz mi, proszę? Zupełnie zrozumieć nie mogę, czemu one mają cierpieć, i dlaczego mają cierpieniem kupować harmonję? Dlaczego oni też stali się mierzwą do użyźniania jakiejś przyszłej harmonji? Rozumiem, że ludzie mogą być solidarni w grzechu, rozumiem solidarność w odwecie, ale przecież niema z dziećmi solidarności w grzechu. A jeżeli prawdą jest, że i one odpowiadać muszą za grzechy ojców swoich, to prawda ta jest nie z tego świata i dla mnie niepojęta. Może wprawdzie utrzymywać jaki dowcipniś, że dzieci także dorosną kiedyś i zdążą grzeszyć, zatem i one powinny być karane, ale wszakże on jeszcze nie dorósł, zaszczuli go psami, gdy miał osiem lat. O! Aljosza, ja nie bluźnię! Wyobrażam sobie doskonale, jaki dreszcz powszechnej radości przeniknie świat cały w chwili, gdy wszystko na niebie i na ziemi zleje się w jeden pochwalny hymn, i wszystko, co kiedy żyło i żyje, zawoła chórem „sprawiedliwe są zrządzenia Twoje, Panie, bo objawiłeś nam wreszcie drogi Twoje". Kiedy matka zamordowanego dziecięcia zespoli się w uścisku z mordercą i wszyscy troje zawołają ze łzami: „Sprawiedliwe są zrządzenia Twoje, o Panie", wówczas nastąpi korona poznania i wszystko się wyjaśni. Ale tu właśnie jest przecinek, ja takiego rozwią-

zania przyjąć nie mogę. Dopóki jeszcze żyję na ziemi, sprzeciwiam się temu. Widzisz Aljosza, może się istotnie tak zdarzyć, że kiedy sam dożyję tej chwili, albo zmartwychwstanę, aby ją zobaczyć, to może i ja zawołam, patrząc na matkę, ściskającą kata jej dziecięcia: „Sprawiedliwe są zrządzenia Twoje", ale ja nie chcę wtedy wołać. Póki jeszcze czas odsuwam się, a przeto rezygnuję z wyższej harmonji. Nie warta ona łezki bodaj tego zamęczonego maleństwa, które biło się piąstkami w pierś i modliło się w swej smrodliwej kloace z nieodkupionemi łezkami do „Bozi". Nie warta, ponieważ te łezki są nieodkupione. Muszą być odkupione, bo inaczej harmonja jest niemożliwa. Ale czem, czemże je odkupisz? Czy to możliwe, czy aby tem, że będą pomszczone? Ale naco mi pomsta, naco mi piekło dla katów, co tu piekło może naprawić, skoro tamci są umęczeni? I jaka tu może być harmonja, jeśli istnieje piekło: ja przebaczyć chcę i uścisnąć, ja nie chcę aby cierpiano dłużej. I jeżeli cierpienia dzieci mają uzupełnić tę sumę cierpień, która jest niezbędna do kupna prawdy, to ja zgóry twierdzę, że cała ta prawda nie warta takiej ceny. Nie chcę wreszcie, aby matka uścisnęła kata, który zaszczuł jej syna psami! Nie śmie mu ona przebaczyć! Jeżeli chce, to niech przebaczy za siebie, niech mu przebaczy swoje wielkie cierpienie macierzyńskie, lecz nie ma prawa ona przebaczyć cierpienia dziecka swego, nie śmie przebaczyć oprawcy, choćby mu sama ofiara przebaczyła! A jeżeli tak, jeżeli nie śmieją przebaczyć, to gdzie tu harmonja? Czy istnieje na świecie całem istota, któraby mogła i miała prawo przebaczyć? Nie chcę harmonji, z miłości do człowieczeństwa nie chcę. Chcę razej zostać z niepomszczonemi cierpieniami. Wolę zostać przy niepomszczonych cierpieniach swoich, przy oburzeniu, *choćbym i nie miał racji.* Za drogo ocenili harmonję, nie na naszą kieszeń zapłata za wejście. A przeto bilet wejścia skwapliwie zwracam z powrotem. Jeżeli jestem uczciwym człowiekiem, to powinieniem jaknajprędzej zwrócić. To właśnie czynię. Nie Boga nie przyjmuję, lecz zwracam mu z uszanowaniem bilet.

— To bunt! — zauważył cicho Aljosza, spuszczając oczy.

— Bunt? Nie chciałbym od ciebie słyszeć tego słowa — odrzekł z przejęciem Iwan. — Buntem przecież żyć nie można, a ja żyć chcę. Powiedz mi sam bez ogródki, wzywam cię, odpowiedz: wyobraź sobie, że sam budujesz gmach przeznaczeń ludzkich, aby w finale uszczęśliwić ich, dać im wreszcie pokój, ale że w tym celu należy bezwarunkowo zadręczyć jedno tylko drobne stworzenie, choćby to biedne dziecko, które biło się piąstkami w pierś, i na jego niepomszczonych łzach zbudować ów gmach — powiedz, czy zgodziłbyś się za taką cenę zostać architektem, mów prawdę, nie kłam!

— Nie, nie zgodziłbym się — odrzekł cicho Aljosza.

— A czy przypuszczasz, że ludzie, dla którychbyś budował ową szczęśliwość, zgodziliby się przyjąć swoje szczęście za cenę niewinnie przelanej krwi zadręczonego dziecka, zaś przyjąwszy je, byliby nawieki szczęśliwi?

— Nie i tego nie przypuszczam. Bracie — odezwał się naraz Aljosza i oczy mu błysnęły, — pytałeś przed chwilą, czy jest na świecie istota, którąby mogła i miała prawo przebaczyć wszystko i za wszystkich? Ale Istota taka jest, i może Ona przebaczyć za wszystkich i wszystko i za wszystko, bo sama oddała krew swoją niewinną, za wszystko i za wszystkich. Zapomniałeś o Nim, a na Nim powstanie ów gmach, i do niego zawołają „Panie, sprawiedliwe są zrządzenia Twoje, albowiem objawiłeś drogi Twoje".

— A, to „Jedyny bezgrzeszny" i jego krew! Nie, nie zapomniałem o Nim, i dziwiłem się nawet, że dotychczas nie wspominałeś o Nim, bo zwykle wasi we wszystkich dysputach wytaczają najsampierw Jego imię. Wiesz Aljosza, ale nie śmiej się, napisałem poemat, rok temu. Jeśli masz jeszcze dziesięć minut czasu, to opowiem ci.

— Ty napisałeś poemat?

— O, nie, nie napisałem, — roześmiał się Iwan. — W życiu swojem nie skleciłem dwóch wierszy. Ale poemat ten wymyśliłem i zapamiętałem. Stworzyłem go z żarliwością. Będziesz moim pierwszym czytelnikiem, właściwie słuchaczem. Pocóż pozbawiać się może jedynego słuchacza — uśmiechnął się Iwan. — Opowiadać czy nie?

— Posłucham chętnie — odrzekł Aljosza.

— Poemat mój nazywa się „Wielki Inkwizytor" — rzecz bezsensowna, ale chciałbym ją tobie opowiedzieć.

V

WIELKI INKWIZYTOR

Wszak nie obejdzie się bez przedmowy — to znaczy bez literackiej przedmowy. Tfu! — roześmiał się Iwan. — Cóż ze mnie za literat! Widzisz, akcja odbywa się w szesnastem stuleciu. W owych czasach — wiesz zresztą o tem zapewne jeszcze ze szkoły — zwykło się w literackich utworach sprowadzać na nasz padół wyższe moce. Pomijam nawet Danta. We Francji klerycy sądowi i zakonnicy w klasztorach urządzali przedstawienia i wysyłali na scenę Madonnę, aniołów, świętych, Chrystusa i samego Boga Ojca. Traktowano to wówczas bardzo prostodusznie. W „Notre Dame de Paris" Wiktora Hugo, z okazji urodzin francuskiego następcy tronu, za Ludwika XI, w sali ratuszowej odbywa się pouczające i darmowe widowisko pod tytułem „Le bon jugement de la tres sainte et gracieuse Vierge Marie", w którem Matka Boska osobiście wygłasza swoje bon jugement. U nas w Moskwie, w czasach dopiotrowskich urządzano również od czasu do czasu podobne dramatyczne przedstawienia, zwłaszcza czerpane ze Starego Testamentu; tekst składał się z przypowieści i wierszy, i pełen był świętych, aniołów i wszystkich mocy niebieskich. U nas po klasztorach zajmowano się również tłumaczeniem, zapisywaniem i nawet komponowaniem takich poematów — i to jeszcze za tatarskiej niewoli. Istnieje naprzykład poemat (oczywiście przetłumaczony z greckiego): „Chodzenie Bogarodzicy po mękach" z obrazkami, doprawdy niemniej śmiały od dantejskiego. Bogarodzica zwiedziła piekło, oprowadzona przez archanioła Michała. Przyglądała się grzesznikom i ich cierpieniom. Jest tam między innemi bardzo ciekawa kategorja grzeszników, topionych w płonącem jezio-

rze: otóż tych, którzy pogrążają się tak głęboko, że nie mogą już wypłynąć, „zapomina już sam Pan Bóg". Jest to powiedziane z niezwykłą głębią i siłą. I oto strapiona i płacząca Matka Boska pada przed tronem Bożym i prosi o zlitowanie dla wszystkich bez wyjątku potępieńców, których widziała w piekle. Rozmowa jej z Bogiem jest nadzwyczaj interesująca. Błaga, nie odchodzi i, kiedy Bóg wskazuje jej przebite ćwiekami nogi i ręce Jej syna i pyta: „Jakże przebaczę Jego katom", Matka Boska zwraca się do wszystkich świętych i archaniołów, wzywa ich, aby padli wraz z nią przed tronem Bożym i błagali o zlitowanie dla wszystkich bez wyjątku potępieńców. Wkońcu Bóg godzi się zwolnić grzeszników od mąk każdego roku od Wielkiego Piątku do Zielonych Świątek. Potępieńcy z piekła dziękują Bogu i wołają: „Słusznieś to, Boże, zrządził". Widzisz, mój poemacik byłby w tym guście, gdyby został napisany w owym czasie. W poemacie moim występuje On; coprawda, nic nie mówi, tylko pojawia się i przechodzi. Piętnaście już wieków minęło od czasu, jak przyrzekł przyjść i założyć królestwo swoje, piętnaście wieków minęło od czasu, gdy prorok Jego pisał, że przyjdzie rychło, a o godzinie i dniu przyjścia On sam nawet nie wie, tylko Ojciec w niebie. Ale ludzkość oczekuje Go z niezmienną wiarą i z dawnem wzruszeniem. O, z większą bodaj wiarą, bo piętnaście wieków już minęło od czasu, jak skończyło się obcowanie człowieka z niebem.

Wierz głosowi serca swego:
Niema, niema znaków z niebios.

I tylko wiara w głos serca! Prawda, zdarzało się jeszcze wówczas wiele cudów. Byli święci, dokazujący cudownych uzdrowień; byli sprawiedliwi, których, jak podają ich życiorysy, nawiedzała królowa Niebios. Atoli djabeł nie drzemie, i ludzkość poczyna już wątpić o owych cudach. Właśnie koło tego czasu zaczęła się szerzyć na Północy, w Niemczech, nowa straszliwa herezja. Ogromna gwiazda „podobna świecznikowi (t. zn. Kościołowi) spadła na źródła wód i stały się one gorzkie". Herezje owe odrzucały

tamte cuda. Ale tem żarliwsza była wiara tych, którzy nie zwątpili. Łzy ludzkości po dawnemu łakną Go, czekają, kochają i ufają Mu... I oto przez tyleż-to wieków ludzkość błagała Go z płomienną wiarą „Ukaż się nam, panie Boże", przez tyle wieków wzywała Go, że w nieskończonem swem miłosierdziu zapragnął zstąpić na ziemię. Zstępował już nieraz, lecz nawiedzał dotąd jeno sprawiedliwych, męczenników i świątobliwych pustelników, jak stwierdzają ich „żywoty". Nasz Tiutczew, który wierzył płomiennie i dosłownie, pisał o tem:

I pod krzyżem pochylony,
Wszelkiej rzeczy błogosławiąc,
Zkrążył ziemię umęczony
Król Niebieski w ciele raba.

I tak było w istocie, powiadam ci. I oto zapragnął objawić się bodaj na chwilę wszystkim, ludowi — dręczonemu, cierpiącemu, smrodliwie grzeszącemu, ale miłującemu Go jak dziecko ludowi. Akcja moja rozgrywa się w Hiszpanji, w Sewilli, czasu najokrutniejszego rozkwitu inkwizycji, kiedy to ku chwale Bożej każdego dnia płonęły stosy

i w przepysznych autodafe
palono grzesznych heretyków.

O, oczywiście, nie było to owo przyjście, owo przyjście obiecane u kresu czasów, w pełni chwały niebiańskiej, owo przyjście, które wybuchnie znieniacka, „jak błyskawica, jaśniejąca od Wschodu do Zachodu". Nie, bynajmniej, zapragnął On poprostu bodaj na chwilę odwiedzić dzieci swoje i właśnie tam, gdzie trzeszczały stosy heretyków. Z nieskończonego miłosierdzia swojego zjawia się ieszcze raz pośród ludzi w postaci człowieczej, w której przez trzydzieści trzy lata mieszkał na ziemi piętnaście wieków wstecz. Zstępuje tedy na „gorące pierzeje południowego miasta", w którem dopiero poprzedniego dnia w przepysznem autodafe, w obliczności króla, dworu, rycerzy, kardynałów i przepięknych dam, wobec zbiegowiska wszystkich mieszkańców Sewilli sam kardynał, wielki inkwizytor spalił niemal setkę kacerzy ad majorem gloriam Dei. Pojawił się

cichaczem, niepostrzeżenie, lecz oto wszyscy — i to jest najdziwniejsze — poznali Go odrazu. Może to być jedno z najlepszych miejsc mego poematu, a mianowicie to, dlaczego właśnie wszyscy poznali Go odrazu. Cały lud z niepowstrzymanego popędu garnie się Doń, otacza Go, tłoczy się dokoła Niego, idzie za Nim. On zaś milcząco przechodzi z cichym uśmiechem nieskończonej litości. Słońce miłości płonie w Jego sercu, promienie Światła, Oświaty i Siły godzą z ócz Jego i, przebijając ludzi, wstrząsają im serca odzewem miłości. Wyciąga ku nim rece, błogosławi ich, i oto dotknięcie bodaj skraju Jego szat uzdrawia chorych. Oto starzec, ślepy od wielu lat, krzyczy: „Panie, uzdrów mnie, abym Cię zobaczył", ślepota jak łuska schodzi z jego oczu, i widzi Pana. Lud płacze i całuje ziemię, po której On stąpa. Dzieci obrzucają Go kwiatami, śpiewają i wołają „Hosanna!" „To On, to On Sam" — powtarzają wszyscy. „To może być tylko On, nikt inny jak On". On staje na schodach katedry sewillskiej w chwili, gdy z płaczem sunie ku świątyni kondukt żałobny z białą otwartą trumienką, na której leży siedmioletnia jedynaczka znakomitego granda. Nieboszczka zasypana jest kwieciem. „On wskrzesi twoje dziecko" — woła tłum do matki. Pater wyszedł z kościoła, rozgląda się w zdumieniu i chmurzy brwi. Ale w tej chwili już się rozlega jęk matki. Rzuca Mu się do nóg: „Jeśliś to Ty, to wskrześ dziecko moje" — woła matka, wyciągając ku Niemu ręce. Procesja staje, mary stawiają na schodach u Jego nóg. On spogląda z litością, i usta Jego cicho i jeszcze raz powtarzają: „Talitha kumi! — dzieweczko wstań". Dzieweczka podniosła się, usiadła na marach i patrzy, z podziwem uśmiechając się okrągłemi oczętami. W ręku trzyma bukiet białych róż, które leżały w trumnie. Wzruszenie ogarnia lud, popłoch, płacz, krzyki i łkania. I oto w tej chwili przechodzi tędy sam kardynał, wielki inkwizytor. Jest to dziewięćdziesięcioletni starzec, wysoki i wyprostowany, o suchej twarzy, o oczach wpadniętych, w których pełga jednak żywa iskierka. O, nie jest odziany w swoje wspaniałe kardynalskie szaty, które wczoraj, gdy palono wrogów rzymskiego wyznania, cały lud podziwiał; dziś nosi stary, gruby habit mnisi. Za nim w pewnej od-

ległości idą posępni pachołkowie jego, niewolnicy, i „świątobliwa" straż. Wielki inkwizytor zatrzymuje się i przygląda zdaleka. Wszystko widział, widział, jak postawiono mary u nóg Jego, widział, jak zmartwychstała dzieweczka. Oblicze jego spochmurniało, jeży gęste siwe brwi nad oczyma, które błyszczą złowieszczym blaskiem. Wyciąga swą rękę i rozkazuje ceklarzom, aby Go ujęli. I taka jest moc jego, i tak mu przywykł ulegać powolny strwożony lud, że ciżba bez sprzeciwu rozsuwa się, przepuszcza strażników, i pozwala im położyć na Nim ręce i uprowadzić Go śród grobowej ciszy. Tłum natychmiast, jak jeden mąż, schyla głowy do ziemi przed starym inkwizytorem. Ów zaś milcząc błogosławi tłum i oddala się. Pachołkowie wtrącają Go do ciemnego i mrocznego, ostrołucznego więzienia w starym pałacu Inkwizycji i zamykają za Nim zawory. Mija dzień, nastaje „ciemna, gorąca i duszna noc sewilska". Powietrze „pachnie laurem i cytryną". Śród głębokiego mroku naraz otwierają się żelazne drzwi więzienia, i do celi wchodzi sam wielki inkwizytor ze świecznikiem w ręku. Wszedł sam, drzwi za nim natychmiast zamknięto. Zatrzymuje się na progu i długo, minutę albo dwie, wpatruje się w Jego oblicze. Nakoniec podchodzi, pocichu stawia świecznik na stole i odzywa się: — To Ty? Ty? — Nie otrzymując odpowiedzi, dodaje prędko: — Nie odpowiadaj, milcz. I cóżbyś mógł powiedzieć? Wiem aż nazbyt dobrze, co Ty powiesz. Nie masz zresztą prawa dodawać nic do tego, coś ongi był powiedział. Pocóżeś przyszedł nam przeszkadzać? Albowiem przyszedłeś nam przeszkadzać i sam o tem wiesz. Ale czy wiesz, co jutro będzie? Nie wiem, kim Ty jesteś, i nie chcę wiedzieć: czyś to Ty, czyś tylko podobieństwem Jego, jutro będę Cię sądził i spalę Ciebie na stosie, jako najgorszego heretyka, i ten sam tłum, który dziś całował Cię po nogach, jutro na mój znak będzie podsycał płomień na Twoim stosie, czy wiesz o tem? Może i wiesz — dodał w zamyśleniu, nie odrywając wzroku od swego więźnia.

— Niezupełnie rozumiem, Iwanie, co to ma znaczyć? —uśmiechnął się milczący dotąd Aljosza. — Czy to nieo-

graniczona twoja fantazja, czy jakaś pomyłka starego inkwizytora, jakieś niemożliwe qui pro quo?

— Niech to będzie qui pro quo, jeśli cię tak zmanierował współczesny realizm, że nie możesz znieść nic fantastycznego — chcesz qui pro quo, to niech i tak będzie. Coprawda — roześmiał się znowu Iwan — starzec mój ma dziewięćdziesiąt lat i dawno już mógł zwarjować na punkcie swych idej. Więzień zaś może wywarł na nim piorunujące wrażenie swoją powierzchownością. Mogło to być zresztą majaczenie, halucynacja dziewięćdziesięcioletniego, bliskiego śmierci starca, wzburzonego okrutną kaźnią z poprzedniego dnia. Czy to nie wszystko jedno dla nas, czy to nieograniczona fantazja czy qui pro quo? Chodzi tu o to, że stary inkwizytor musi się wypowiedzieć, że musi się wypowiedzieć za wszystkie swoje lata, że mówi na głos to, co uchował w milczeniu przez dziewięćdziesiąt lat.

— A więzień wciąż milczy? Patrzy na niego i nie mówi ani słowa?

— Tak powinno być, i to pod wszelkim względem — znowu roześmiał się Iwan. — Starzec inkwizytor zrobił Mu uwagę, że On nawet nie ma prawa dodawać coś do tego, co ongi powiedział. Jeśli o to chodzi, to jest to bodaj najbardziej zasadniczy rys rzymskiego katolicyzmu, przynajmniej według mego zdania: „Wszystko zleciłeś papieżowi, a więc wszystko teraz jest w mocy papieża, a Ty lepiej wcale nie przychodź, nie przeszkadzaj, przynajmniej aż do czasu". Nietylko mówią, ale i piszą w tym sensie, w każdym razie jezuici. Sam czytałem coś podobnego u ich teologów. „Czy masz prawo oznajmić bodaj jedną z tajemnic tego świata, z któregoś przybył?" — pyta Go mój starzec i sam za Niego odpowiada — „Nie, nie masz, aby nie dodawać nic do tego, co jest już powiedziane, i aby nie odbierać ludziom wolności, którą tak ceniłeś, gdyś mieszkał na ziemi. Wszystko, co teraz nam znowu oznajmisz, ograniczy wolność wiary ludzkiej, bo objawi się jako cud, zaś wolność wiary droższa ci była nad wszystko jeszcze wówczas, półtorej tysiąca lat temu. Czyś nie mawiał często: „Chcę was uczynić wolnymi". Ale teraz ujrzałeś tych „wol-

nych" ludzi — dodał naraz starzec z zamyślonym uśmiechem. — Tak, to nas drogo kosztowało — ciągnął dalej, surowo spoglądając na Niego — lecz wreszcie dokończyliśmy tego dzieła w imię Twoje. Piętnaście wieków męczyliśmy się z tą wolnością, ale teraz to się skończyło, skończyło się na zawsze. Nie wierzysz, że skończyło się na zawsze? Patrzysz na mnie łagodnie i nie raczysz mi odpowiedzieć nawet oburzeniem? Wiedz, że teraz, właśnie teraz ludzie są przeświadczeni bardziej niż kiedykolwiek, iż są wolni całkowicie, a tymczasem sami oni ofiarowali nam swoją wolność i potulnie złożyli nam do nóg. Myśmy tego dokonali. Czyś Ty tego pragnął, czy takiej pragnąłeś wolności?

— Znowu nie rozumiem — przerwał mu Aljosza. — Czy on szydzi, śmieje się?

— Bynajmniej. Poczytuje to sobie i swoim za zasługę, że zgnębili wreszcie wolność poto, aby ludzi uszczęśliwić. „Albowiem teraz dopiero (oczywiście mowa o inkwizycji) można było pomyśleć po raz pierwszy o szczęściu ludzkości. Człowiek urodził się buntownikiem, zaliż buntownik może być szczęśliwy? Ostrzegano cię — zwrócił się do Niego — nie brakowało Ci ostrzeżeń i wskazań, ale Tyś ich nie słuchał, odrzuciłeś jedyną drogę, która prowadziła ku uszczęśliwieniu ludzkości, wszakże na szczęście odchodząc oddałeś nam swoje dzieło. Obiecałeś, upewniłeś swojem słowem, dałeś nam moc związywania i rozwiązywania, to się już nie odstanie, nie możesz już w żaden sposób odebrać nam tego prawa. Przecz - żeś przyszedł nam przeszkadzać?"

— Cóż ma to znaczyć: „nie brakowało Ci ostrzeżeń i wskazań?" — zapytał Aljosza.

— To właśnie dotyczy sedna tych rzeczy, o których chce się wypowiedzieć wielki inkwizytor.—„Straszliwy i mądry duch, duch samopotępienia i niebytu — kontynuował starzec — wielki Duch mówił z Tobą na pustyni; księgi nam przekazały, że jakoby Cię „kusił". Jest-że tak w istocie? Zaliż można było powiedzieć coś prawdziwszego nad to, co Ci był oznajmił w trzech pytaniach, coś Ty odrzucił, co w księgach nazwano „kuszeniem"? Przecież, jeśli na świecie wydarzył się kiedy jaki wielki prawdziwy cud, to

jeno owego dnia, owego dnia trzykrotnego kuszenia. Cud polegał na tem, że takie trzy pytania były postawione. Gdybyśmy przypuścili gwoli próby i przykładu, że owe trzy pytania straszliwego ducha zniknęły bez śladu z ksiąg i z pamięci ludzkiej, że trzeba je wskrzesić, odnowa wymyślić, stworzyć, aby zpowrotem zamknąć w księgach; że w tym celu zebrano wszystkich mędrców tego świata — władców, arcykapłanów, uczonych, filozofów, poetów, i dano im zadanie: wymyślcie, stwórzcie takie trzy pytania, aby nietylko były na miarę owego wydarzenia, ale nadomiar w trzech słowach jeno, w trzech ludzkich zdaniach wyrażały całe przyszłe dzieje świata i ludzkości" — cóż Ty myślisz, że wszystka mądrość ziemska, połączona i skończona, potrafiłaby wymyślić coś podobnego pod względem mocy i głębi owym trzem pytaniom, zadanym Ci w rzeczywistości przez potężnego i mądrego ducha, wonczas na pustyni? Już z tych samych zapytań, z cudu ich powstania można zrozumieć, że się ma do czynienia nie z lotnym umysłem ludzkim, ale z odwiecznym i absolutnym. Albowiem w owych trzech pytaniach jest jakgdyby zogniskowana i przewidziana cała dalsza historja ludzka, i objawione są trzy obrazy, w których skupią się wszystkie nierozwiązane historyczne przeciwieństwa natury ludzkiej na ziemi. Wówczas nie mogło to być jeszcze tak widoczne, albowiem przyszłość była nieznana, atoli obecnie po piętnastu wiekach widzimy, że w owych trzech pytaniach wszystko jest tak przeczute i przepowiedziane, wszystko tak się sprawdziło, że nic nie można dodać ani ująć".

„Rozstrzygnij sam, kto miał słuszność: Ty czy tamten, który Cię pytał? Przypomnij sobie pierwsze pytanie; chociaż nie literalnie, ale sens jego głosi: Chcesz wejść w świat, wchodzisz z pustemi rękoma, z jakąś obietnicą wolności, której oni w prostocie swojej i przyrodzonej zdrożności nie mogą pojąć, której boją się i lękają — albowiem niemasz i nie było nic bardziej nieznośnego dla człowieka i dla ludzkiego społeczeństwa niż wolność! Czy widzisz owe kamienie na nagiej i rozpalonej pustyni? Przemień je w chleby, a pójdzie za Tobą cała ludzkość, jak trzoda, szlachetna i posłuszna, chociaż wiecznie drżąca, że możesz odjąć

rękę Swoją i przepadną im chleby Twoje. Ale nie chciałeś pozbawiać człowieka wolności, albowiem jaka-ci to wolność, pomyślałeś, jeśli posłuszeństwo kupione jest chlebem? Odparłeś, że nie samym chlebem żyje człowiek, ale czy wiesz, że w imię tego chleba powstanie przeciw Tobie duch ziemi i będzie z Tobą walczył i pokona Ciebie, i wszyscy za nim pójdą, wołając: „Kto jest podobny zwierzowi temu, on dał nam ogień z niebios!" Czy wiesz, że wieki miną, i ludzkość oznajmi przez usta swojej mądrości i nauki, że niema zbrodni, a więc i niema grzechów, lecz są jeno głodni. „Nakarm, a potem będziesz mógł się od nich domagać cnoty!" oto co napiszą na chorągwi, którą podniosą przeciw Tobie, w której imię zburzą Twoją świątynię. Na miejscu Twej świątyni wzniosą nowy przybytek, wzniosą znowu straszną wieżę Babel, i chociaż tej również nie dokończą, ale mogłeś tej nowej wieży uniknąć i o tysiąc lat skrócić cierpienia ludzkie — albowiem do nas przecież przyjdą oni, namęczywszy się przez tysiąc lat ze swoją wieżą! Znajdą nas wówczas znowu pod ziemią, w katakumbach, ukrywających się (bo będziemy znowu prześladowani i męczeni) znajdą nas i zawołają do nas: „Nakarmcie nas, albowiem ci, którzy przyrzekli nam ogień z niebios, nie dali go". A wówczas dobudujemy do końca ich wieżę, bo dobuduje ten, kto nakarmi, my zaś jedni nakarmimy ich w imię Twoje i skłamiemy, że w imię Twoje. O, nigdy bez nas nie zdołają się nakarmić! Żadna nauka nie da im chleba, póki będą wolni. Ale skończy się na tem, że przyniosą nam swoją wolność, do nóg naszych i powiedzą: „weźcie nas w niewolę, ale nakarmcie nas". Zrozumieją wreszcie sami, że wolność i chleb ziemski poddostatkiem dla każdego nie dadzą się pogodzić, albowiem nigdy, nigdy nie potrafią oni rozdzielić między sobą! Przekonają się również, iż nie mogą być nigdy wolni, ponieważ słabi są, występni, małostkowi, ponieważ są buntownikami. Przyrzekłeś im chleba niebieskiego, lecz znowu Ci powtarzam, zaliż może się on równać w oczach mdłego, wiecznie występnego i wiecznie niewdzięcznego rodu ludzkiego z ziemskim? I jeżeli za Tobą, w imię chleba niebieskiego, pójdą tysiące i dziesiątki tysięcy, to cóż się stanie z miljonami i dziesiątkami mil-

jonów istot, które nie będą miały tyle mocy, aby wzgardzić chlebem ziemskim dla niebieskiego? Czy może drodzy są Tobie jeno owe dziesiątki tysięcy wielkich i silnych, a pozostałe miljony, liczne jak piasek morski, słabe lecz kochające Cię, mają być zaledwie surowcem wielkich i silnych? Nie, nam są również drodzy i słabi. Występni są, buntują się, ale wkońcu i oni będą poskromieni. Będą nas podziwiać i czcić jako bogów, bo, stanąwszy na czele ich, zgodziliśmy się znosić za nich wolność, której się zlękli, i panować nad nimi. Zaiste, tak nieznośna stanie się dla nich wolność! Wszakże my powiemy, że jesteśmy Tobie posłuszni i panujemy w imię Twoje. Oszukamy ich ponownie, albowiem już nie dopuścimy Cię do siebie. Oszustwo to będzie naszem cierpieniem, albowiem będziemy musieli kłamać. Oto co oznaczało owo pierwsze zapytanie na pustyni, i oto coś odtrącił w imię wolności, którą wyniosłeś nadewszystko. A przecież w pytaniu owem zawiera się wielka tajemnica tego świata. Przyjąwszy „chleby", dałbyś tem samem odpowiedź na powszechną i odwieczną tęsknotę ludzką, tęsknotę poszczególnej jednostki i wszystkiej ludzkości — owo „komu się pokłonić?" Najbardziej to męczący i nieustanny frasunek człowieka: mając wolność, szukać tego, przed kim można się ukorzyć. Lecz ukorzyć się chce człowiek przed tem, co jest niewątpliwe, tak niewątpliwe, aby wszyscy ludzie odrazu się godzili ukorzyć przed tem. Albowiem frasunkiem tych nędznych istot jest nietylko szukanie tego, komuby się można pokłonić — objekt musi być taki, aby wszyscy w niego uwierzyli i wszyscy mu się pokłonili, bezwarunkowo *wszyscy razem*. Właśnie ta potrzeba *powszechności* ukorzenia jest najistotniejszą męką każdego poszczególnego człowieka i całej ludzkości od zarania wieków. Z powodu tej powszechności ukorzenia tępili się wzajemnie mieczem. Stworzyli sobie bogów i wołali sobie nawzajem: „Porzućcie waszych bogów i przychodźcie ukorzyć się przed naszymi, a jak nie, to śmierć wam i waszym bogom!" I tak do końca świata, nawet i wówczas, gdy znikną z oblicza świata bogowie. Znałeś, nie mogłeś nie znać tej zasadniczej tajemnicy ludzkiej natury, lecz odrzucałeś jedyną absolutną chorągiew, którą Ci

proponowano, jedyną, która wszystkich mogła zniewolić do bezwzględnego korzenia się przed Tobą — chorągiew chleba ziemskiego; odrzuciłeś ją w imię wolności i chleba niebieskiego. Patrz, coś następnie zrobił. I znowu w imię wolności! Powiadam Ci, zaiste, najbardziej męczącą troską człowieka jest to: znaleźć kogoś, komuby można jaknajprędzej oddać dar wolności, z którym nieszczęsny ród ludzki się rodzi. Zaś nad wolnością człowieczą panuje ten, kto uspokaja sumienia ludzkie. Chleb był wielką, niewątpliwą chorągwią: dasz chleb, to i człowiek się ukorzy, albowiem niema nic badziej niewątpliwego nad chleb; wszelako jeżeli w tym samym czasie kto inny opanuje ich sumienia pomimo Ciebie, porzucą nawet chleb Twój, aby iść za tym, który podbił ich sumienia. Pod tym względem miałeś słuszność. Albowiem tajemnicą ludzkiego istnienia nie jest to, aby jeno żyć, lecz: poco żyć. Nie mając niezawodnego wyobrażenia o celu swego życia, człowiek nie zgodzi się żyć i raczej sam siebie unicestwi, choćby nawet był otoczon chlebami. Zaprawdę, ale cóż z tego wynikło: zamiast opanować wolność ludzką, jeszcze bardziej ją rozszerzyłeś! Zali zapomniałeś, że człowiek woli spokój, a nawet śmierć od wolnego wyboru w poznaniu dobrego i złego? Niema nic bardziej ponętnego dla człowieka nad wolność sumienia, ale niema też nic bardziej męczącego. I oto zamiast dać twarde podwaliny pod uspokojenie sumienia ludzkiego raz na zawsze — przyjąłeś wszystko, co jest nieoznaczone, ciemne, niezwykłe, wszystko, co przerasta siły ludzkie, postąpiłeś tak, jakbyś ich wcale nie kochał — i kto: Ten, który przyszedł oddać za nich życie Swoje! Zamiast opanować ludzką wolność, pomnożyłeś ją i obciążyłeś jej mękami duchowe królestwo człowieka na wieki. Zapragnąłeś wolnej miłości ludzkiej, aby z wolnej woli poszedł za Tobą, pociągnięty, ujęty Tobą. Zamiast dawnego twardego prawa — wolnem sercem miał człowiek odtąd rozstrzygać sam, co jest dobre a co złe, mając tylko przed sobą Twój obraz, Twój wzór. Ale czyś Ty nie pomyślał, że wkońcu odrzuci nawet Twój obraz i Twoją prawdę, jeśli się go obciąży takiem strasznem brzemieniem jak wolność wyboru? Ogłoszą wkońcu, że nie w Tobie jest prawda,

albowiem nie można ich było zostawić w większym zamęcie i męczarni, niż Tyżeś to zrobił, zostawiwszy im tyle trosk i tyle nierozstrzygniętych zadań! W ten sposób sam dałeś początek zburzeniu Swego królestwa, a zatem nie możesz nikogo winić. A przecież to-li ci ofiarowano? Istnieją trzy siły, jedynie trzy siły na ziemi, które mogą na wieki zniewolić i zjednać sumienia słabych buntowników gwoli ich szczęścia. *Cud, tajemnica i autorytet.* Odrzuciłeś jedno i drugie i trzecie i sam dałeś przykład. Kiedy straszliwy i mądry duch postawił Cię na ganku świątyni i powiedział: „Jeśli chcesz wiedzieć, czy jesteś Synem Bożym, to rzuć się wdół, albowiem napisano jest, że aniołom swoim rozkazał o Tobie i będą Cię na ręku nosić, abyś snadź nie obrażał o kamień nogi Swojej, a wówczas dowiesz się, czy Synem jesteś Bożym, i dowiedziesz, jaką jest Twoja wiara w Ojca Twojego". Ale Tyś odrzucił i to, i nie poddałeś się i nie rzuciłeś się wdół. O, rozumie się, postąpiłeś dumnie i wspaniale, jak Bóg, ale ludzie, ale słaby buntowniczy ród to chybaż nie bogowie? O, Tyś odrazu zrozumiał, że, gdybyś zrobił zaledwie krok, jeden bodaj ruch, kusiłbyś Pana, stracił w Niego wiarę, i rozbiłbyś się o ziemię, którą przyszedłeś zbawić, ku uciesze złego kusiciela. Ale powtarzam Ci, czy wielu jest takich jak Ty? I czy naprawdę mogłeś przypuszczać przez chwilę, że pokusa owa nie jest ponad siły ludzkie? Zaliż tak jest stworzona natura ludzka, żeby odtrącać cuda, i w takich straszliwych chwilach życia, w chwilach najstraszniejszych, podstawowych i męczących zagadnień duszy swej być zdaną na wolny wybór swego serca? O, Tyś wiedział, że czyn Twój zostanie w księgach, że dotrze do końca czasów i ostatnich rubieży ziemi, i spodziewałeś się, że idąc za Tobą, człowiek będzie z Bogiem, nie będzie potrzebował cudu. Atoli nie wiedziałeś, że ledwo człowiek odrzuci cud, natychmiast odrzuci Boga, albowiem człowiek szuka nie tyle Boga ile cudu. I ponieważ nie może żyć bez cudu, więc stworzy sobie nowe cuda, własne, i kłaniać się będzie cudom znachorskim, babim czarom, jakkolwiek jest buntownikiem, heretykiem i bezbożnikiem. Nie zeszedłeś z krzyża, gdy wołano, natrząsając się i drażniąc Cię: „Zejdź z krzyża, a uwierzymy, że to Ty". Nie zsze-

dłeś, ponieważ nie chciałeś zniewolić człowieka cudem, i pragnąłeś wolnej wiary, a nie wiary z cudu. Pragnąłeś wolnej wiary, a nie zachwytów niewolnika wobec potęgi, która go raz na zawsze przejęła zgrozą. Ale i w tem zbyt wysokie miałeś mniemanie o człowieku, który jest wszak niewolnikiem, aczkolwiek się buntuje. Rozejrz się i osądź sam, oto minęło piętnaście wieków, pójdź, popatrz na nich: kogóż to wzniosłeś ku Sobie? Przysięgam, człowiek jest słabszy i nikczemniejszy, niż myślałeś! Czy może, czy może on zrobić to, coś Ty zrobił? Tedy tak go ceniąc, postępowałeś z nim bez litości, albowiem zbyt wiele od niego wymagałeś. I kto? Ten, który ukochał go bardziej niż Siebie samego! Gdybyś go mniej cenił, mniejbyś też żądał, byłbyś zatem bliższy miłości, albowiem ulżyłbyś jego brzemieniu. Słaby jest i podły. Cóż z tego, że teraz powszędy buntuje się przeciw naszej władzy i dumny jest z tego, że się buntuje? To duma dziecka, żaka. To małe dzieci, które zbuntowały się w szkole i wypędziły nauczyciela. Ale nastąpi kres zachwytom dziecka i da im się dobrze we znaki. Zburzą świątynie i krwią zaleją ziemię. Wszakże domyślą się nakoniec te głupie dzieci, że chociaż są buntownikami, ale słabymi, że nie podołają własnemu rokoszowi. Oblewając się głupiemi łzami swemi, przyznają się wkońcu, że Ten, który stworzył ich buntownikami, chciał niewątpliwie kpić z nich. I powiedzą to w rozpaczy i będzie to bluźnierstwem, które spotęguje ich cierpienia, albowiem natura ludzka nie znosi bluźnierstwa i koniec końców sama na sobie mści zawsze za bluźnierstwo. Zatem niepokój, zamęt i niedola — oto los ludzi, za których wolność tak bardzo cierpiałeś! Wielki prorok Twój w wizjach i przenośniach powiada, że widział wszystkich uczestników pierwszego zmartwychwstania, i że było ich z każdego pokolenia do dwunastu tysięcy. Ale jeśli było ich tylu, to byli oni jakgdyby nie ludźmi, lecz bogami. Nosili krzyż Twój, wytrwali dziesiątki lat o głodzie na nagiej pustyni, żywiąc się korzeniami i szarańczą — oczywiście z dumą możesz wskazać na te dzieci wolności, wolnej miłości i wspaniałej ofiary w imię Twoje. Ale uprzytomnij sobie, że jest ich tylko kilka tysięcy, i to nie ludzi, lecz bogów! Zaś reszta?

I cóż zawinili pozostali słabi ludzie, że nie mogli znieść tego, co znosili tamci potężni? Co zawiniła słaba dusza, że nie była w stanie zmieścić w sobie tak straszliwych darów? Zaliż przyszedłeś do wybranych i gwoli nich? Ale jeżeli tak jest, to jest to tajemnica, której nie zrozumiemy. A jeżeli tajemnica, to i my mamy prawo wyznawać tajemnicę i pouczać ich, że nie wolny wybór serc ich jest istotny i nie miłość, lecz tajemnica, której powinni się słuchać ślepo, nawet naprzekór sumieniu. Tośmy przecie zrobili. Poprawiliśmy bohaterstwo Twoje i zasadzili go na cudzie, tajemnicy i autorytecie. I ludzie ucieszyli się, że poprowadzono ich znowu jako trzodę i że z serc ich zdjęto wreszcie tak straszliwy dar, który tyle im mąk przysporzył. Czy mieliśmy słuszność, czyniąc tak i ucząc, powiedz? Zaliż nie kochaliśmy człowieczeństwa, tak pokornie uświadamiając sobie jego niemoc, miłośnie zdejmując z niego brzemię, i pozwalając jego słabej naturze grzeszyć nawet, ale z naszego pozwolenia? Pocóżeś przyszedł teraz nam przeszkadzać? I cóżto patrzysz na mnie w milczeniu i badawczo swemi łagodnemi oczyma? Rozgniewaj się, nie chce Twej miłości, albowiem nie kocham Ciebie. I cóż będę tail przed Tobą? Czyż nie wiem, z Kim mówię? Znasz już to, co chcę Ci powiedzieć, czytam to z Twoich oczu. Zali potrafię ukryć przed Tobą naszą tajemnicę? A może chcesz ją usłyszeć z ust moich, słuchajże więc: nie z Tobą jesteśmy, lecz z *nim*, oto nasza tajemnica! Dawno już nie jesteśmy z Tobą, lecz z *nim*, już osiem wieków. Dokładnie osiem wieków temu przyjęliśmy z rąk jego to, coś Ty z oburzeniem odrzucił, ostatni ów dar, który Ci ofiarował był, pokazując Ci wszystkie królestwa ziemskie: przyjęliśmy odeń Rzym i miecz Cezara i ogłosiliśmy się cesarzami ziemi, jedynymi cesarzami, chociaż dotychczas jeszcze nie zdążyliśmy doprowadzić do końca naszego dzieła. Ale kto jest winien? O, dzieło to jest dotychczas dopiero w zaczątku, ale przecież się zaczęło. Długo jeszcze czekać trzeba będzie na całkowite wykończenie tego dzieła, i wiele jeszcze nacierpi się ziemia, ale wkońcu dopniemy swego i będziemy cesarzami, a wówczas pomyślimy o powszechnem szczęściu ludzkości. A tymczasem Tyś mógł jeszcze wówczas przyjąć miecz Ce-

zara. Czemuś odrzucił ostatni ów dar? Przyjąwszy trzecią radę potężnego ducha, dokonałbyś wszystkiego, czego szuka człowiek na ziemi: przed kim się pokłonić, komu oddać swoje sumienie, i w jaki sposób się złączyć w zgodne, wspólne i niezawodne mrowisko, albowiem potrzeba powszechnego zjednoczenia jest trzecim i ostatnim frasunkiem człowieka. Zawsze ludzkość w całości swej dążyła do form powszechności. Wiele było wielkich narodów z wielką przeszłością, ale im były wyższe, tem bardziej nieszczęśliwe, albowiem najmocniej odczuwały potrzebę powszechnego zjednoczenia. Tamerlany i Dżingischany przemknęły nad ziemią jak wichr, dążąc do podbojów świata, ale nawet oni, coprawda podświadomie, wyrażali tę samą wielką potrzebę wszechświatowego i powszechnego zjednoczenia. Przyjąwszy świat i purpurę Cezara, byłbyś założył wszechświatowe państwo i pokój powszechny. Albowiem któż ma panować nad ludźmi, jak nie ci, którzy panują nad ich sumieniami, i którzy mają w swej ręce ich chleb. Myśmy przyjęli miecz Cezara, zaś przyjąwszy go, oczywiście wyrzekliśmy się Ciebie i poszli za nim. O, miną jeszcze wieki bezeceństwa wolnej myśli, ich nauki i antropofagji, albowiem, jeśli zaczną wznosić Babilońską wieżę swoją bez nas, to skończą na antropofagji. Atoli wtedy przypełznie do nas zwierz i będzie lizał nogi nasze i obryzga je krwawemi łzami. I siądziem na zwierza i podniesiem czarę, na której będzie napis: „Tajemnica!" I jeno wówczas, wówczas jeno nastanie dla ludzi królestwo pokoju i szczęścia. Chełpisz się swoimi wybrańcami, ale Ty masz tylko wybrańców, a my ukoimy wszystkich. Co więcej: iluż to z pośród wybrańców, z pośród ludzi potężnego ducha, którzy mogliby się stać Twoimi wybrańcami, zmęczyli się oczekiwaniem Twego przyjścia i przenieśli i jeszcze przenosić będą moc swego ducha i żarliwość serca na insze niwy, i wkońcu wzniosą wolną swoją chorągiew przeciw Tobie. Ale Ty sam wzniosłeś tę chorągiew. Zaś u nas wszyscy będą szczęśliwi i nie będą się buntować, ani tępić wzajem, jak w wolności Twojej, wszędzie. O, przekonamy ich, że tylko w tym wypadku będą wolni, gdy wyrzekną się swej wolności, nam ją oddadzą i nam ulegną.

I cóż, słuszność będzie po naszej stronie, czy fałsz? Oni

sami przekonają się, że mamy słuszność, albowiem pamiętać będą do jakiego stopnia niewolnictwa i zamętu doprowadziła ich wolność Twoja. Wolność, wolna myśl i nauka wciągną ich w takie gęstwiny i postawią przed takiemi cudami i nierozwikłanemi tajemnicami, że jedni, krnąbrni i okrutni, wytępią się nawzajem, a inni, którzy zostaną, słabowolni i nieszczęsni, przyczołgają się nam do nóg i wezwą: „Tak, mieliście słuszność, wy jedni posiedliście Jego tajemnicę, wracamy do was, ratujcie nas od nas samych". Otrzymując od nas chleby, zobaczą oczywiście, że to są ich własne chleby, dobyte ich własnemi rękoma, że bierzemy je od nich, aby im rozdać, bez żadnego cudu; zobaczą, że nie przemieniliśmy kamieni w chleb, ale zaiste bardziej niż z chlebów cieszyć się będą z tego, że otrzymają je z rąk naszych! Albowiem będą dobrze pamiętać, że poprzednio, bez nas te same chleby, dobyte ich rękoma, przemieniały się w ich rękach w kamienie; zaś skoro wrócili do nas, kamienie przemieniły się w ich rękach w chleby. Za bardzo, za bardzo ocenią, co znaczy raz na zawsze się poddać! I póki ludzie nie pojmą tego, będą nieszczęśliwi. Kto najwięcej przyczynił się do tego nierozumienia, powiedz? Kto rozproszył trzodę po drogach nieznanych? Aliści trzoda znowu się zbierze i znowu ulegnie, tym razem na zawsze. Wówczas damy im ciche, pokorne szczęście słabowolnych istot, jakiemi są z przyrodzenia. O, przekonamy ich nakoniec, że nie powinni być dumni, albowiem toś Ty ich podniósł i nauczył dumy; udowodnimy im, że są słabowolni, że są jeno politowania godną dzieciarnią, że przecie szczęście dziecięce jest najsłodsze. Onieśmielimy ich, i będą na nas spoglądać i tulić się do nas, jak pisklęta do kwoki. Będą nas podziwiać i pysznić się nami, żeśmy tak potężni i mądrzy, że mogliśmy ugłaskać tak krnąbrne tysiącomiljonowe stado. Będą drżeć przed gniewem naszym, umysły ich onieśmielą się, oczy będą skore do łez, jak oczy dzieci i kobiet, ale równie skorzy będą na nasz znak do śmiechu i wesela, do pogodnej radości i błogiej dziecięcej piosenki. Zmusimy ich do pracy, tak, lecz w wolnych od pracy godzinach urządzimy im życie niby dziecięcą zabawę z dziecięcemi śpiewami, chórem, z niewinnemi pląsami. O, pozwolimy im nawet na grzech,

słabi są i niemocni, i będą nas kochali, że pozwalamy im grzeszyć. Powiemy im, że każdy grzech odkupiony będzie, który popełniony jest z naszego pozwolenia; pozwolimy im grzeszyć dlatego, że kochamy ich, karę zaś za te grzechy przyjmujemy na siebie. I przyjmiemy zaiste na siebie, i będą nas ubóstwiać jako dobroczyńców, którzy chcą odpowiadać za ich grzechy przed Bogiem. I nie będą mieli przed nami żadnych tajemnic. Będziemy im pozwalać lub zabraniać żyć z żonami i kochankami, mieć lub nie mieć dzieci — stosownie do ich posłuszeństwa — i będą się nas słuchać z radością i uciechą. Najbardziej męczące tajemnice ich sumienia — wszyscy, wszyscy zwierzą je nam, my zaś wszystko rozstrzygniemy. O uwierzą w nasze wyroki z radością, albowiem uwolnią ich one od wszelkiej troski i straszliwych mąk osobistego i wolnego rozstrzygania. I wszyscy będą szczęśliwi, wszystkie miljony istot, prócz setki tysięcy ich kierowników. Albowiem my jeno, my, strzegący tajemnicy, tylko my będziemy nieszczęśliwi. Będzie tysiące miljonów szczęśliwych niemowląt i sto tysięcy cierpiętników, którzy wzięli na siebie przekleństwo poznania dobrego i złego. I umrą oni cicho, cicho zgasną w imię Twoje, a za grobem tylko śmierć będzie ich udziałem. Wszakże my zachowamy tajemnicę, i gwoli ich szczęścia będziemy ich łudzili nagrodą niebieską i wieczną. Albowiem jeśli nawet jest co na tamtym świecie, to przecie nie dla takich jak oni. Powiadają i prorokują, że przyjdziesz i znowu zwyciężysz, przyjdziesz ze swoimi wybrańcami, ze swoim dumnym i potężnym zastępem, atoli my powiemy, że ci tylko siebie zbawili, myśmy zaś zbawili wszystkich. Powiadają, że pohańbiona będzie wszetecznica, siedząca na zwierzu i trzymająca w ręku *tajemnicę*, że znowu zbuntują się słabowolni, że podrą purpurę jej i obrażą jej „plugawe" ciało. Ale ja wówczas powstanę i wskażę Tobie na tysiące miljonów szczęśliwych niemowląt, które nie znały grzechu. I my, którzyśmy gwoli ich szczęścia wzięli ich grzechy na siebie, staniemy przed Tobą i rzekniemy: „Sądź nas, jeśli śmiesz". Wiedz, że się nie boję Ciebie. Wiedz, że i ja byłem na pustyni, że i ja żywiłem się szarańczą i korzonkami, że i ja błogosławiłem wolność, którą ofiarowałeś ludziom, i ja spo-

sobiłem się do poczetu Twoich wybrańców, do grona potężnych i silnych, „aby dopełniła się liczba". Ale opamiętałem się i nie chciałem służyć szaleństwu. Wróciłem i przystałem do tych, którzy *poprawiali* Twoje bohaterstwo. Odszedłem od dumnych i wróciłem do pokornych, gwoli ich-że szczęścia. Spełnią się moje słowa, i królestwo nasze nastanie. Powtarzam Ci, jutro zobaczysz posłuszną trzodę, która na mój pierwszy znak rzuci się, aby podsycać płomień na tym stosie, na którym spalę Ciebie zato, żeś przyszedł nam przeszkadzać. Albowiem nikt nie zasłużył sobie tak na nasz stos jak Ty. Jutro Ciebie spalę. Dixi".

Iwan urwał nagle. Był podniecony, mówił w jakiemś uniesieniu, lecz, wyrzekłszy ostatnie słowo, uśmiechnął się pogodnie.

Aljosza zaś, niezwykle wzburzony, słuchał brata w milczeniu. Niejednokrotnie chciał mu przerwać, lecz hamował się i milczał. Ale wreszcie wybuchnął:

— Ale... to niedorzeczność! — zawołał, oblewając się rumieńcem. — Poemat twój jest pochwałą Jezusa Chrystusa, a nie bluźnierstwem, jakeś tego pragnął. I któż ci uwierzy w to, co mówisz o wolności? Czyż tak, czy tak powinno się ją rozumieć! Jakże inaczej pojmuje ją prawosławie.. To Rzym, i nie cały Rzym, to nieprawda, — to najgorsze elementy katolickiego Kościoła, inkwizytorzy, jezuici!... I zresztą nie mogło być na świecie tak fantastycznego człowieka, jak twój inkwizytor. Jakież to grzechy ludzkie wziął na siebie? Jacyż to przechowywacze tajemnicy, obarczający się jakiemś przekleństwem gwoli szczęścia ludzkości? Kiedy to było? Znamy jezuitów, mówią o nich bardzo źle, ale czyż są tacy jak u ciebie? Zupełnie nie to, wcale nie to... Stanowią poprostu armję rzymską dla przyszłego wszechświatowego mocarstwa, z imperatorem — arcykapłanem rzymskim na czele... oto ich ideał lecz żadnych tajemnic i wzniosłego smutku... Najprostsze pożądanie władzy, przyziemnych brudnych dobrodziejstw życia, niewolnictwa... coś niby przyszłego prawa pańszczyźnianego, przyczem oni mają być dziedzicami... oto cały ich ideał. Oni może nawet w Boga nie wierzą. Twój cierpiący inkwizytor jest tworem wyłącznie fantazji...

— Ale poczekaj, poczekaj — roześmiał się Iwan — jakżeś się rozgorączkował. Fantazja, powiadasz, ależ zgoda. Oczywiście, że fantazja. Lecz pozwól mi jednak: czy istotnie myślisz, że cały ów ruch katolicki ostatnich wieków jest w istocie rzeczy jedynie pożądaniem władzy wyłącznie gwoli brudnych dobrodziejstw życia? To może ojciec Paisy tak cię uczy?

— Nie, nie, wręcz przeciwnie, ojciec Paisy mówił pewnego razu coś w rodzaju tego... ale oczywiście nie to, zupełnie nie to — opamiętał się naraz Aljosza.

— Cenna informacja, mimo nawet twego zastrzeżenia, że „zupełnie nie to". Pytam się ciebie, czemuż to twoi jezuici i inkwizytorzy połączyli się tylko gwoli materjalnych lichych dobrodziejstw życia? Czemu nie może być śród nich ani jednego cierpiętnika, dręczonego wielkim smutkiem i kochającego ludzkość? Widzisz: przypuść, że znalazł się bodaj jeden taki pośród tylu innych, pragnących jedynie materjalnych dobrodziejstw życia — bodaj jeden taki, jak mój inkwizytor, który sam jadał korzenie na pustyni, i umartwiał ciało swoje, aby osiągnąć wolność i doskonałość, ale całe życie kochał ludzkość i naraz przejrzał i przekonał się, że osiągnięcie doskonałości osobistej nie jest wielkiem moralnem szczęściem, skoro miljony innych istot nigdy nie będą mogły sobie poradzić ze swoją wolnością. Stworzeni jakby przez szyderstwo, marni buntownicy nigdy nie staną się olbrzymami; nie dla takich gęsi wielki idealista marzył o swojej harmonji. Zrozumiawszy to wszystko, wrócił i przystał do... mądrych ludzi. Czy coś takiego nie mogło się zdarzyć?

— Do kogo przystał, do jakich mądrych ludzi? — krzyknął w uniesieniu Aljosza. — Żadnej mądrości nie mają i żadnych tajemnic i sekretów... Bezbożność — oto ich cały sekret. Inkwizytor twój nie wierzy w Boga, oto jego tajemnica!

— No to i cóż z tego? Nareszcie się domyśliłeś. Istotnie tak jest, istotnie to jest cały sekret, ale czy to nie męka dla takiego przynajmniej jak on człowieka, który całe życie strawił na umartwieniach w pustyni i nie wyleczył się z miłości ku ludziom? U schyłku życia przekonywa się ja-

sno, że tylko rady straszliwego ducha mogłyby jako tako urządzić w jakimś możliwym porządku słabowolnych buntowników „niewykończone próbne twory, stworzone ku szyderstwu". I oto, tak się przekonawszy, widzi, że trzeba iść za wskazaniem mądrego ducha, straszliwego ducha śmierci i zagłady, a przeto przyjąć kłamstwo i oszustwo i prowadzić ludzkość świadomie ku śmierci i zagładzie i oszukiwać ją przez całą drogę, aby nie zauważyła, dokąd się ją prowadzi, aby przynajmniej w drodze byli szczęśliwi nieszczęśni ślepcy. I zwróć na to uwagę, oszukaństwo w imię Tego, w którego ideał starzec wierzył tak namiętnie całe życie! Czy to nie jest nieszczęście! I gdyby chociaż jeden taki znalazł się na czele tej armji „łaknącej władzy gwoli tylko brudnych dobrodziejstw życia" — to czy niedość tego jednego, aby stała się tragedja? Co więcej, dość jednego takiego, stojącego na czele, aby znalazła się wreszcie prawdziwa kierownicza idea Rzymu, z jego armjami i jezuitami, wyższa idea Rzymu. Mówię ci wręcz, wierzę niezłomnie, że takich ludzi nigdy nie brakowało w pierwszych szeregach kierowników tego ruchu. Kto wie, może nawet takimi byli niektórzy papieże. Kto wie, może ów przeklęty starzec, tak uporczywie i tak po swojemu miłujący ludzkość, istnieje nawet dotychczas w całym bezliku takich starców. I nie przypadkowo bynajmniej rozproszonych, lecz zorganizowanych w związku tajnym, dawno już założonym w celu przechowywania tajemnicy. Napewno tak jest i być powinno. Wydaje mi się, że i masoni mają podobną tajemnicę, i że przeto katolicy tak nienawidzą masonów jako konkurentów, rozbijających jedność idei, bo wszak powinna być jedna trzoda i jeden pasterz... Zresztą, bronię swej myśli, jak pisarz, którego dzieło nie wytrzymało twojej krytyki. Przestańmy o tem mówić.

— Ty może sam jesteś masonem! — wyrwało się naraz Aljoszy. — Nie wierzysz w Boga — dodał z niezwykłem namaszczeniem.

Zdawało mu się, że Iwan spogląda nań ironicznie.

— Jakże się kończy twój poemat? — zapytał, spuszczając oczy. — Czy jest już skończony?

— Chciałem go tak skończyć: inkwizytor umilkł i cze-

kał kilka chwil na odpowiedź Więźnia. Ciążyło mu Jego milczenie. Widział, że Więzień przez cały czas słuchał go, wnikliwie i łagodnie zaglądając mu w oczy i zapewne nie chcąc nic odpowiedzieć. Starzec pragnął gorąco usłyszeć jakąbądź odpowiedź, bodaj gorzką, straszliwą. Aliści On, milcząc wciąż, podszedł do starca i cicho pocałował go w jego bezkrwiste dziewięćdziesięcioletnie wargi. Oto i cała odpowiedź. Starzec drgnął. Usta mu zadrżały; podchodzi do drzwi, otwiera je i mówi Mu: idź i nie przychodź więcej... wcale nie przychodź... nigdy, nigdy! I wypuszcza Go na „ciemne pierzeje grodu". Więzień odchodzi.

— A starzec?

— Pocałunek pali go w sercu, ale wytrwał przy swojej idei.

— I ty pospołu z nim, i ty? — zawołał z goryczą Aljosza.

Iwan roześmiał się.

— Ale przecież to brednie, Aljosza, przecież to niedorzeczny poemat niedorzecznego studenta, który nigdy nie napisał dwóch wierszy. Poco tak poważnie traktujesz? Czy może myślisz, że ja odrazu teraz pojadę do jezuitów, aby stanąć w poczecie ludzi, poprawiających Jego dzieło? O Boże, cóż to mnie obchodzi? Wszak ci powiedziałem: chcę tylko dociągnąć do trzydziestki, a potem puhar o podłogę!

— A kleiste listeczki, a drogie mogiły, a błękitne niebo, a ukochana kobieta! Jakże żyć będziesz, czemże ich kochać będziesz? — pytał z goryczą Aljosza. — Bo czy można z takiem piekłem w sercu i w głowie? Nie, ty właśnie jedziesz, aby do nich przystąpić... a jeżeli nie, to zabijesz się, nie wytrzymasz!

— Istnieje taka moc, która wszystko wytrzyma! — odpowiedział Iwan z chłodnym uśmiechem.

— Cóż to za moc?

— Karamazowska... moc podłości karamazowskiej.

— Niby pogrążyć się w rozpuście, stłumić duszę w znieprawieniu, tak, tak?

— Bodaj i to... tylko że do trzydziestki, być może, uniknę tego, a potem...

— Jakże unikniesz? Dzięki czemu unikniesz? To niemożliwe, gdy się ma takie myśli.

— Również po karamazowsku.

— To niby, że „wszystko dozwolone". Wszystko dozwolone, czy tak, tak?

Iwan zasępił się i nagle zbladł straszliwie.

— Łapiesz mnie za wczorajsze słówko, które tak uraziło Miusowa i które podjął i powtórzył Dymitr? — uśmiechnął się krzywo. — Tak, owszem „wszystko dozwolone", skoro słowo się rzekło. Nie wypieram się. No i redakcja Miti też niezgorsza.

Aljosza popatrzał na niego w milczeniu.

— Ja, bracie, wyjeżdżając, myślałem, że na całym świecie mam przynajmniej ciebie jednego — odezwał się nagle z niespodzianą serdecznością Iwan — lecz teraz widzę, że i w twojem sercu niema dla mnie miejsca, mój drogi asceto. Nie wyrzeknę się formuły „wszystko dozwolonne", no i co, wobec tego ty się mnie wyrzekniesz, czy tak?

Aljosza podniósł się, podszedł doń i milcząco, cicho pocałował go w usta.

— Plagjat literacki! — zawołał Iwan, wpadając naraz w jakąś egzaltację. — Skradłeś to z mego poematu! Dziękuję ci jednak. Wstań, Aljosza, chodźmy, już czas na mnie i na ciebie.

Wyszli, ale zatrzymali się przed gankiem.

— Widzisz, Aljosza — odezwał się Iwan stanowczym głosem — jeżeli istotnie starczy mnie na kleiste listeczki, to kochać je będę na myśl o tobie. Wystarczy mi, że gdzieś tu jesteś, i nie odechce mi się żyć. Czy cię to zadowala? Jeżeli chcesz, to przyjm to bodaj za wyznanie miłosne. A teraz ty idziesz na prawo, ja na lewo — i dość, słyszysz, dość. To znaczy, że jeżeli jutro nie wyjadę (ale zdaje się, że wyjadę na pewno) i spotkamy się ponownie, to na ten temat ani słówka więcej. Proszę cię o to bardzo. I na temat brata Dymitra, proszę cię, nigdy ze mną nie mów — dodał podrażnionym głosem — wszystko jest wyczer-

pane, wszystko omówione, prawda? A ja tobie ze swej strony również dam przyrzeczenie: gdy koło trzydziestki zechcę „rozbić puhar", to, gdziekolwiek wówczas będę, przyjdę jeszcze raz pomówić z tobą... choćby nawet z Ameryki, wiedz o tem. Specjalnie przyjadę. Bardzo ciekawie będzie na ciebie popatrzeć w tym czasie, jaki ty jeszcze będziesz? Widzisz, dość uroczysta obietnica. W rzeczy samej, być może, być może, żegnamy się na lat siedem, czy dziesięć. No, idź teraz do swego Pater Seraphicus, który jest konający; jeżeli umrze przed twoim powrotem, to jeszcze się rozgniewasz na mnie, że cię zatrzymywałem. Dowidzenia, pocałuj mnie jeszcze raz, o tak, i idź...

Iwan odwrócił się znienacka i poszedł przed siebie, nie odwracając się ani razu. Aljosza przypomniał sobie, jak to wczoraj brat Dymitr odszedł tak samo raptownie. Ale tamten odszedł inaczej. Dziwne to spostrzeżenie przemknęło błyskawicznie przez zasmucony i rozgoryczony umysł Aljoszy. Przeczekał kilka chwil, odprowadzając brata okiem. Zauważył nagle, że brat Iwan jakoś się chwieje w chodzie, i że prawe jego ramię, oglądane ztyłu, wydaje się niższe od lewego. Nigdy tego dotychczas nie zauważył. Ale nagle również się odwrócił i popędził ku monasterowi. Zmierzch już zapadał. Aljosza, zgrozą niemal zdjęty czuł, że coś w nim nowego narasta, czego niepotrafi określić. Znowu jak wczoraj zerwał się wiatr i odwieczne sosny ponuro zaszumiały, gdy wchodził do lasku monasterskiego. Biegł nieledwie. „Pater Seraphicus"—skąd wziął to imię—skąd— pomyślał naraz. — Iwanie, biedny Iwanie, kiedyż ja cię ujrzę... Oto i pustelnia, o Boże! Tak, tak, to on, to Pater Seraphicus, on mnie zbawi... od niego i na wieki!

Znacznie później kilkakrotnie w życiu z wielkiem zdumieniem zapytywał siebie, jak to się stało, że tak nagle, po pożegnaniu Iwana, zapomniał o Dymitrze, którego wszak jeszcze rano, zaledwie parę godzin przedtem postanowił odszukać za wszelką cenę, choćby nawet wypadło nie wrócić na noc do monasteru.

VI.

Tymczasem jeszcze bardzo niejasna.

Iwan Fedorowicz zaś, rozstawszy się z Aljoszą, poszedł ku domowi Fedora Pawłowicza. Atoli rzecz dziwna: coś nagle zaczęło go nękać nieznośnie i to coraz dotkliwiej w miarę zbliżania się do domu. Nie ów stan był dziwny, ale to, że Iwan nie mógł ustalić, na czem on polega. Zdarzało mu się nieraz doświadczać podobnego uczucia, i zresztą nie byłoby w tem nic dziwnego, że doświadcza go teraz, w takiej chwili, gdy, zerwawszy naraz ze wszystkiem, co go tu sprowadziło, sposobił się odwrócić ostro i wstąpić na nową, całkowicie nieznaną drogę, po której będzie znowu samotnie kroczył, żywiąc nadzieję i nie wiedząc na co, spodziewając się od życia wielu, wielu rzeczy, ale nie umiejąc określić ani tego oczekiwania ani swych pragnień. Lecz nie to go nękało owej chwili: „Czy to aby nie obrzydzenie do ojcowskiego domu?“ — pomyślał — „bardzo być może, do takiego stopnia mi obrzydł, i chociaż dzisiaj przekraczam po raz ostatni plugawy próg, przejmuje mnie to wstrętem.“ Ale nie to, to nie to. Więc czyżby pożegnanie z Aljoszą, rozmowa z nim, „tyle lat milczałem, nie raczyłem z nikim mówić, i naraz naplotłem tyle bredni“. Tak, istotnie, mogło to być „młode niezadowolenie młodego niedoświadczenia i młodej ambicji“, niezadowolenie z tego, że nie potrafił się rozmówić, i to z kim? Z Aljoszą, na którego w sercu swojem tak bardzo niewątpliwie liczył. Oczywiście i to również, i to niezadowolenie jest jednym ze składników złego humoru, powinno być, ale nie i to nie to, to wszystko nie jest to. „Ckni się do mdłości, a określić nie potrafię, czego chcę. Trzeba nie myśleć“.

Iwan Fedorowicz spróbował „nie myśleć“, ale i to nie pomogło. Najbardziej mu dolegała okoliczność, że owo dziwne uczucie miało jakiś przypadkowy, zupełnie zewnętrzny podkład; czuł to wyraźnie: stała i sterczała gdzieś jakaś drażniąca istota, czy przedmiot, jak to nieraz sterczy

ci przed oczyma, lecz zajęty pracą czy rozmową gorącą nie apercepujesz go długo, irytujesz się i męczysz nieledwie, i dopiero po dłuższym czasie domyślasz się, że trzeba usunąć przedmiot irytacji, czasem bardzo śmieszny i nikły, naprzykład rzecz, zapomnianą na niewłaściwem miejscu, chustkę, która spadła na podłogę, książkę, której nie schowałeś do szafy i t. d. Podobnie Iwan Fedorowicz w najgorszym i rozdrażnionym stanie ducha doszedł do ojcowskiego domu i naraz, może piętnaście kroków od furtki, spojrzawszy na nią, odrazu ustalił, co było powodem jego irytacji i trwogi.

Na ławce przed furtką, szukając zapewne ochłody na wieczornem powietrzu, siedział lokaj Smerdjakow. Iwan Fedorowicz z pierwszego wejrzenia zrozumiał, że to lokaj Smerdjakow siedział w jego duszy, i że nie mogła ona znieść tego właśnie fagasa. Wszystko się naraz wyklarowało. Poprzednio jeszcze, słuchając opowiadania Aljoszy o spotkaniu ze Smerdjakowym, czuł, że coś mrocznego i obmierzłego wpija mu się w serce i budzi w niem gniewny i złośliwy odzew. I choć potem w toku romowy zapomniał o Smerdjakowie, ale ów tkwił nadal w jego duszy; skoro zaś Iwan Fedorowicz pożegnał Aljoszę i wrócił do domu, zapomniane odczucie natychmiast zaczęło wychodzić na jaw. „Czyżby ten nędzny łajdak mógł mnie do takiego stopnia niepokoić!“ — pomyślał Iwan z rozjątrzoną złością.

Chodzi o to, że Iwan Fedorowicz ostatniemi czasy, a zwłaszcza w ostatnich dniach niecierpiał tego człowieka. Co więcej, zdawał sobie sprawę z rosnącej neledwie nienawiści do tej kreatury. Być może, że ów proces nienawiści tak się zaostrzył właśnie dlatego, że na początku, zaraz po przyjeździe Iwana Fedorowicza, rzecz miała się zgoła inaczej. Wówczas bowiem Iwan Fedorowicz zainteresował się jakoś szczególnie Smerdjakowym, miał go nawet za bardzo oryginalnego człowieka. Ośmielił go do pogawędek, i zawsze podziwiał niejaką absurdalność, albo mówiąc dokładniej, niespokojność jego umysłu, nie mogąc zrozumieć, co „tego zapatrzeńca“ może tak nieustannie niepokoić. Rozprawiali o filozoficznych kwestjach, a nawet o tem,

jak świeciło światło pierwszego dnia stworzenia, skoro słońce, księżyc i gwiazdy były stworzone dnia czwartego, i jak to należy pojąć; wszakże Iwan Fedorowicz przekonał się rychło, że nie chodzi wcale o słońce, gwiazdy i księżyc, że chociaż słońce, księżyc i gwiazdy to temat nader ciekawy, ale dla Smerdjakowa trzeciorzędny, i że ów na co innego zagiął parol. Tak czy owak, prędko obnażył się bezgraniczny samolub, obrażony w swej godności. Zdegustowało to bardzo Iwana Fedorowicza. Stąd zaczęła się jego niechęć. Potem powstał galimatjas w domu, wyłoniła się Gruszeńka, zaczęły się historje z bratem Dymitrem, troski i kłopoty. Rozmawiali oni i o tem, i chociaż Smerdjakow był przy poruszaniu takich tematów bardzo wzburzony, nie można było pojąć, do czego zmierza. Dziwny był zamęt i nielogiczność w niektórych jego pragnieniach, wychodzących najaw, zawsze mętnych. Smerdjakow pytał wciąż, zadawał jakieś wymijające, pośrednie i zgóry obmyślone pytania, ale nie wyjaśniał w jakim celu i zwykle w najgorętszej chwili urywał lub przechodził na inny temat. Ale co najbardziej i ostatecznie drażniło Iwana Fedorowicza i przejmowało wstrętem — to jakaś ohydna i specjalna poufałość ze strony Smerdjakowa, z dnia na dzień widoczniejsza. Nie o to chodziło, że pozwalał sobie być niegrzecznym względem panicza, owszem, zawsze odzywał się z niezwykłym szacunkiem; ale tak się jakoś ułożyło, że Smerdjakow poczuwał się widocznie pod jakimś tam względem do solidarności z Iwanem Fedorowiczem, wskutek czego przybrał jakiś ton porozumiewawczy, jakgdyby między nimi stanęła tajna ugoda, coś, co obopólnie ongi omówili, co oni tylko znają, czego nikt z mrowiących się dokoła śmiertelników nawet nie zdoła pojąć. Jednakże mimo to wszystko Iwan Fedorowicz długi czas nie mógł sobie wytłomaczyć istotnej przyczyny wciąż wzbierającego wstrętu do Smerdjakowa, i dopiero w ostatnich czasach zaczęło mu coś świtać w głowie.

Pełen wstrętu i gniewu chciał teraz przejść, milcząc i nie patrząc na Smerdjakowa. Aliści ów podniósł się z ławki. Iwan Fedorowicz zrozumiał z tego ruchu, że przebrzydły fagas specjalnie na niego czeka i chce mu coś powie-

dzieć. Spojrzał więc nań i zatrzymał się. I to, że zatrzymał się nagle i nie przeszedł, jak zamierzał był przed chwilą, rozzłościło go do żywego. Gniewnie i z obrzydzeniem spojrzał na trzebieńczą i mizerną fizjonomję Smerdjakowa z zaczesanemi do góry włoskami u skroni i z malutkim czubkiem nad czołem. Lewe , nieco przymrużone oko migało i uśmiechało się jakgdyby mówiąc: „czego się spieszysz, nie przejdziesz, widzisz, że tacy dwaj rozumni ludzie jak my mają o czem pogadać". Iwan Fedorowicz zatrząsł się z oburzenia.

„Precz, łajdaku, coś ty mi za kompan, durniu!" — zrywało mu się z języka, lecz ku największemu jego zdumieniu zerwało się zgoła co innego:

— Co ojciec, śpi jeszcze czy się obudził? — przemówił cicho i spokojnie, sam się tego nie spodziewając, i nagle, nie spodziewając się tego również, usiadł na ławce. Przez chwilę był nieledwie przerażony, jak sobie przypomniał w przyszłości. Smerdjakow stał naprzeciw niego, z założonemi do tyłu rękoma, i przyglądał mu się stanowczo i niemal surowo.

— Jeszcze śpi — odpowiedział powoli („Sameś mnie niby zaczepił"). — Podziwiam ja pana faktycznie — dodał po krótkiej pauzie, jakoś kokieteryjnie opuszczając oczy, wystawiając prawą nogę i wiercąc noskiem lakierowanego trzewika.

— Czemu podziwiasz? — odezwał się załamującym się, surowym głosem Iwan Fedorowicz, ledwo się hamując, i oto naraz ze wstrętem odczuł, że trzyma go tu silniejsza od niego ciekawość, która nie opuści go, dopóki jej nie zaspokoi.

— Czemuż to pan do Czermaszni nie jedzie? — podniósł raptownie oczki Smerdjakow i uśmiechnął się poufale. „A czego się uśmiecham, sam powinieneś zrozumieć, jeżeli niby jesteś mądrym człowiekiem" — mówiło jakgdyby jego zmrużone lewe oko.

— Pocóż mam jechać do Czermaszni? — zdziwił się Iwan Fedorowicz.

Smerdjakow znowu milczał.

— Sam Fedor Pawłowicz tak pana o to prosił — rzekł wreszcie powoli, jakgdyby nie przywiązując wagi do własnej odpowiedzi: „wykręcam się niby trzeciorzędną przyczyną, byleby co powiedzieć".

— E, do licha, gadaj wyraźniej, o co ci chodzi? — krzyknął wreszcie z gniewem Iwan, wpadając nagle z uprzejmości w grubjaństwo.

Smerdjakow przystawił prawą nóżkę do lewej, wyprostował się nieco, ale spoglądał wciąż z niezmąconym spokojem i z niezmienionym uśmieszkiem.

— Nic niby to istotnego... tak sobie od słówka do słówka...

Znowu zapanowało milczenie. Trwało może całą minutę. Iwan Fedorowicz wiedział, że powinien teraz wstać i rozgniewać się; Smerdjakow stał przed nim i jakgdyby na to czekał: „Ano, zobaczę czy się rozgniewasz czy nie?" Tak przynajmniej wydawało się w tej chwili Iwanowi Fedorowiczowi. Wreszcie dźwignął się powoli. Smerdjakow wyzyskał sposobność.

— Okropne jest faktycznie moje położenie, Iwanie Fedorowiczu, nie wiem nawet, jak sobie pomóc — odezwał się naraz twardo i wyraźnie, cedząc każde słówko, poczem westchnął. Iwan Fedorowicz natychmiast usiadł zpowrotem.

— Obaj oni doszli do zdziecinnienia — kontynuował Smerdjakow. — Mówię o ojczulku pańskim i o braciszku, Dymitrze Fedorowiczu. Oto teraz na ten przykład, Fedor Pawłowicz wstanie i zacznie mi głowę suszyć co minutę: „Jakże, czy nie przyszła? A dlaczegoj nie przyszła?" — i tak aż do samej północy, i nawet po północy. A jak Agrafena Aleksandrowna nie przyńdzie (bo ona może wcale nie ma zamiaru nigdy przyjść), to narzuci się na mnie od samego rana: „Dlaczegoj nie przyszła? Czemu to nie przyszła? Kiedy przyńdzie?"—jakby to ja był temu winien. Z drugiej strony, to znowu insza komedja: ledwo się zmierzcha, a czasem wcześniej braciszek pański ze strzelbą w ręku przychodzi do sąsiadów: „Uważaj, niby to, szelmo, parzygnacie; jak przegapisz ją i nie zawiadomisz mnie, że przyszła, to nasamprzód ciebie zakatrupię". Przej-

dzie noc, rano braciszek pana i ojczulek męczyć mnie znów zaczynają do uprzykrzenia: „dlaczegoj nie przyszła, czy prędko przyńdzie" — jakby ja znowu był winien, że ta pani nie przyszła. I z każdym dniem i z każdą godziną coraz gorzej, że ano myślę sobie nieraz, żeby tak ze strachu życia się pozbawić. Nie mam od nich spokojności.

— A pocoś się wścibiał? Pocoś Dymitrowi Fedorowiczowi znosił plotki? — zapytał gniewnie Iwan Fedorowicz.

— A jakże z łaski pańskiej mogłem się nie wścibiać. I wcale się nawet nie wścibiałem, jeżeli chce pan faktycznie wiedzieć. Od samego początku milczałem, nie śmiałem przeczyć, a on sam mnie zrobił służką swoim, gieremkiem niby. Od tego czasu tylko jedno słowo ma na języku: „Zakatrupię cię, szelmo, jeżeli przegapisz!" Napewno wiem, panie, że jutro dostanę długiej padaczki.

— Jaka to znowu długa padaczka?

— Długi atak taki, nader długi. Kilka godzin, a nieraz to i dzień cały i dwa dni trwa. Raz to nawet trzy dni trwało, ze strychu spadłem. Przestanie mnie trząść i znowu zacznie; a ja przez te trzy dni nie mogłem wrócić do rozumu. Fedor Pawłowicz posyłał wtedy po Hertzenstube, po tutejszego doktora, przykładał mi on lód do ciemienia, i jeszcze jakiś tam środek zastosował... Skonać mogłem faktycznie.

— A przecież mówią, że nie można zgóry przewidzieć, o której godzinie atak nastąpi. Jakże możesz twierdzić, że jutro dostaniesz? — zapytał Iwan Fedorowicz z jakąś osobliwą i zirytowaną ciekawością.

— Tak jest, nie można przewidzieć.

— Pozatem, wtedy spadłeś ze strychu.

— Na strych codzień łażę i mogę jutro tyż spaść ze strychu. A jak nie ze strychu, to do piwnicy wpadnę, do piwnicy tyż codzień schodzę, wedle swojej potrzeby.

Iwan Fedorowicz obrzucił go długiem spojrzeniem.

— Pleciesz trzy po trzy, nie rozumiem cię — rzekł cicho i jakoś groźnie — chcesz może udawać od jutra przez trzy dni padaczkę, co?

Smerdjakow, spoglądający na fertający nosek z prawej nogi, cofnął ją, wysunął natomiast lewą, podniósł głowę i rzekł z uśmiechem:

— Choćbym nawet mógł zrobić tę sztuczkę, to znaczy niby to udawać, a nietrudno to przychodzi doświadczonemu człowiekowi, to mam przecie prawo w ten-ci sposób wykręcić się od pewnej śmierci; bo jak w chorobie leżę, to i Agrafena Aleksandrowna może sobie przyńść do pańskiego ojczulka, a mnie nie można się czepić, że niby „pocoś nie zawiadomił". Wstyd mu chyba będzie.

— Do licha! — zawołał naraz Iwan Fedorowicz, ze skrzywioną ze złości twarzą. — Co ty ciągle nad swojem życiem się trzęsiesz! Wszystkie te groźby Dymitra są niepoważne. Nie zabije ciebie; zabije, ale nie ciebie.

— Zabije jak muchę i nasamprzód mnie. A najwięcej to jednego się boję: żeby mnie o wspólnictwo z nim nie posądzono, jak się co przytrafi pańskiemu ojczulkowi.

— Dlaczego mają cię posądzać ?

— A dlatego będą mnie posądzać, że ja jemu sam te znaki faktycznie w sekrecie powiedziałem.

— Jakie znaki? Komuś powiedział? Niech cię djabli wezmą, mów-że wyraźniej!

— Muszę się przyznać—podjął Smerdjakow z pedantycznym spokojem—że mam jeden sekret z Fedorem Pawłowiczem. Jak to panu wiadomo (o ile to pan raczy wiedzieć), już od kilku dni, na noc, albo nawet na odwieczerz Fedor Pawłowicz zamyka się od wewnątrz! Pan zaczął teraz wcześnie wracać do siebie na górę, a wczoraj to pan wcale nigdzie nie wyszedł, to pan nie wie jak starannie Fedor Pawłowicz zaczął się na noc zamykać. I choćby stukał sam Grzegorz Wasiljewicz, to ino po głosie go poznawszy, otwiera. Ale Grzegorz Wasiljewicz nie stuka, bo teraz to ja sam usługuję w pańskich pokojach — tak zrządził sam Fedor Pawłowicz od tej samej chwili, jak zamyślił tę rzecz z Agrafeną Aleksandrowną. A na noc to i ja teraz z jego rozkazu idę spać do oficyny, ale do samej północy mam nie spać, ino czatować, wstawać, chodzić wokoło i czekać, czy czasem Agrafena Aleksandrowna nie nadchodzi, bo już od kilku dni czeka na nią jakby niespełna rozumu.

Myśli on sobie tak: ona, jak powiadają, boi się Dymitra Fedorowicza (Mitką go nazywa), a dlatego późno w nocy przyńdzie okólną drogą; ty więc czatuj do samej północy i później. Jak przyńdzie, to ty do drzwi skocz i sztukniesz w drzwi albo w okno z ogrodu dwa razy ciszej, tak: raz dwa, a zaraz potem trzy razy prędko: puk-puk-puk. To ja poznam odrazu, powiada, że ona przyszła, i pocichutku otworzę drzwi. Drugi znak to na wypadek specjalny, z początku dwa razy prędko: puk-puk, a potem po chwileczce jeszcze raz o wiele mocniej. Jak ojczulek pański usłyszy ów znak, to odrazu zmiarkuje, że wypadek nagły jakiś się zdarzył, i że bardzo mi pilno z nim się zobaczyć, więc mi tyż otworzy, a ja wejdę i co jest zamelduję. To na wypadek, że Agrafena Aleksandrowna faktycznie sama nie przyńdzie i ino przyśle cóś powiedzieć; oprócz tego Dymitr Fedorowicz tyż może nadejść i trzeba ojczulka powiadomić, że nadchodzi. Bardzo się ojczulek pański boi Dymitra Fedorowicza. Więc jakby nawet Agrafena Aleksandrowna przyszła i z nim się zamknęła, zaś Dymitr Fedorowicz tymczasem gdzieś tu wankował blisko, to ja obowiązany jestem przezwarunkowo natychmiast zawiadomić, sztuknąwszy trzy razy. Tak że pierwszy znak z pięciu sztuknięć oznacza: „Agrafena Aleksandrowna przyszła" ,drugi znak z trzech sztuknięć — „bardzo niby to muszę pana widzieć" — tak Fedor Pawłowicz po kilkakroć na przykładach mnie uczył i objaśniał. A ponieważ w całym wszechświecie o tych znakach faktycznie wiem tylko ja i on, to Fedor Pawłowicz bez wątpliwości i nie odzywając się wcale (bo boi się odezwać na głos) otworzy drzwi. To te znaki są teraz wiadome Dymitrowi Fedorowiczowi.

— Dlaczego są mu wiadome? Tyś powiedział? Jak śmiałeś mu powiedzieć?

— A bo właśnie ze strachu. I jakżebym śmiał utaić przed nim cóś takiego? Dymitr Fedorowicz codzień nalegał: „Ty mnie oszukujesz, ty ukrywasz cóś przede mną? Ja ci ręce i nogi połamię!" To tyż go wtajemniczyłem w te znaki sekretne, niech sam widzi, że jestem posłuszny, że nie oszukuję go, i o wszystkiem donoszę.

— Jeżeli myślisz, że on zechce wykorzystać te znaki i wejść, to ty go nie puszczaj.

— A jeżeli ja sam faktycznie będę leżał w ataku padaczki, jakże go nie puszczę, choćbym nawet ośmielił się go nie puszczać, znając jego krewki charakter.

— Do licha ciężkiego! Dlaczego jesteś tak pewny, że dostaniesz ataku, niech cię djabli biorą. Drwisz ze mnie czy co?

— Jakżebym ośmielił się drwić, i komu drwinki w głowie, kiedy taki strach. Przeczuwam, że będzie atak, takie mam przeczucie, że ze strachu dostanę ataku.

— Do licha! Jak ty będziesz leżał, to Grzegorz będzie na czatach. Uprzedź zgóry Grzegorza, ten go nie puści.

— O znakach przez przyzwolenia dziedzica nie śmiem nijak powiadomić Grzegorza Wasiljewicza. Co się tycze tego, że Grzegorz Wasiljewicz usłyszy go i nie puści, to on sam przecie z wczorajszego rozchorował się, i Marta Ignatjewna ma go od jutra leczyć. Tak się niedawno zmówili. A leczenie u nich jest bardzo ciekawe: Marta Ignatiewna zna taki napar mocny, z jakichś ziół, sekret ma taki. I leczy ona tem sekretnem lekarstwem Grzegorza Wasiljewicza trzy razy do roku, kiedy mu w boki nieruchawość wchodzi, niby paraliż, co mu się trafia akurat trzy razy do roku. Bierze ona prześcieradło, macza w tem sekretnem lekarstwie, i całe plecy przez pół godziny aż do suchości trze, aże skóra czerwieni i nabrzmiewa, a potem to co ostało się we flaszce daje mu do picia i modlitwę zmawia, i sama tyż pije cokolwiek. I oboje, powiadam panu, faktycznie natychmiast zasypiają mocno i śpią przez przytomności bardzo długo. A potem po przebudzeniu Grzegorz Wasiljewicz jest zdrów, jakby ręką odjął, a Marcie Ignatjewnej potem głowa bardzo boli. Otóż to, jeśli Marta Ignatjewna jutro swój zamiar wykona, to chyba Grzegorz Wasiljewicz nic nie usłyszy i nie będzie mógł przeszkodzić Dymitrowi Fedorowiczowi.

— Co za brednie! I wszystko to jakby specjalnie się zbiegło: ty z padaczką, tamci oboje nieprzytomni! — zawołał Iwan Fedorowicz. — Czy aby ty sam nie urządzi-

łeś tego tak, aby wszystko się zbiegło? — dodał nagle, groźnie chmurząc brwi.

— Jakżebym tak ułożył... i pocobym układał, kiedy to wszystko od jednego Dymitra Fedorowicza zależy, ino od jego myśli... Zechce co zrobić — to zrobi, a nie, to przecie nie ja go specjalnie przyprowadzę, ażeby do rodzica wepchąć.

— A pocóżby miał od ojca przyjść i to pokryjomu, jeśli, jak to sam mówiłeś, Agrafena Aleksandrowna wcale nie przyjdzie — podjął Iwan Fedorowicz, blednąc ze złości. — Przecież to sam zresztą mówiłeś, no i ja przez cały czas pobytu u was byłem przekonany, że stary tylko fantazjuje, i że ta kreatura nie przyjdzie do niego. Pocóżby więc Dymitr miał wtargnąć do starego, skoro ona nie przyjdzie? Mów! Chcę wiedzieć, co ty sobie myślisz.

— Sam pan raczy wiedzieć, poco wtargnie, co panu po moich myślach? Wtargnie, bo wtargnie ze złości wielkiej, albo z podejrzenia, w razie na ten przykład mojej choroby, jako że nie będzie pewny i zechce jej szukać po pokojach, jak to wczoraj: czy nie przyszła pokryjomu, ukradkiem. Dymitr Fedorowicz wie także, że Fedor Pawłowicz wielką kopertę przygotował, a w niej trzy tysiące pod trzema pieczęciami, i koperta przewiunzana jest wstążeczką, i napis jest własnoręczny dziedzica: „dla anioła mego, Gruszeńki, jeżeli zechce przyńść", a potem, trzy dni potem Fedor Pawłowicz dopisał jeszcze „i kurczątka". To niby jest podejrzane.

— Bzdury! — krzyknął Iwan Fedorowicz, nie posiadając się ze złości. — Dymitr nie dopuści się grabieży, i w dodatku morderstwa. Mógł go wczoraj zabić ze względu na Gruszeńkę, jak rozwścieczony zły dureń, ale nie dopuści się grabieży.

— Bardzo mu teraz pieniądze są potrzebne, w najwyższym stopniu są mu potrzebne, Iwanie Fedorowiczu. Pan nawet nie wie, jak mu są potrzebne — wyjątkowo spokojnie i wyraziście wycedził Smerdjakow. — Na dobitkę uważa te trzy tysiące jakby za swoje własne i sam mi to powiedział: „mnie, powiedział, rodzic winien jest akurat trzy tysiące". A przy tem wszystkiem niech pan sam

osądzi, Iwanie Fedorowiczu, czystą prawdę: wszak można powiedzieć, że napewno i przezwarunkowo jeśli Agrafena Aleksandrowna zechce, to może samego dziedzica, to jest Fedora Pawłowicza zmusić, ażeby się z nią ożenił, jeżeli tylko ona zechce — a zechce chyba pewnikiem. Przecie ja tylko tak sobie mówię, że ona nie przyńdzie, a ona może jeszcze więcej zechce, bo dziedziczką zostać. Wiem dobrze, że jej kupiec Samsonow mówił jej z całą szczerością, że będzie to niegłupi interes, i oboje się bardzo przytem zaśmiewali. To baba szpakami karmiona. Nie warto jej wychodzić zamąż za takiego golca jak Dymitr Fedorowicz. Niechże pan to weźmie pod uwagę i niech pan sam się zastanowi, Iwanie Fedorowiczu, że w takim przypadku ani Dymitr Fedorowicz ani nawet pan z braciszkiem swoim, Aleksym Fedorowiczem, złamanego szeląga po śmierci ojca swego nie dostanie, bo Agrafena Aleksandrowna poto za niego wyńdzie, aby wszystko na siebie przepisać i wszystkie kapitały odziedziczyć. A jak ojczulek pański teraz pomrze, kiedy faktycznie jeszcze nic, to każden z was pewnikiem ze czterdzieści tysięców dostanie, nawet Dymitr Fedorowicz, którego ojciec nienawidzi, bo i nijakiego testamentu nie zrobił dotąd... Dymitr Fedorowicz wszystko to doskonale miarkuje.

Jakieś nerwowe drgnienie przebiegło po twarzy Iwana Fedorowicza. Oblał się nagle rumieńcem.

— Więc potoś — przerwał Smerdjakowowi — radził mi jechać do Czermaszni? Coś chciał przez to powiedzieć? Ja wyjadę, a u was wszystko się w ten sposób rozegra?

Iwan Fedorowicz z trudem oddychał.

— Tak jest, słusznie — cicho i z namysłem odpowiedział Smerdjakow, uważnie przyglądając się Iwanowi Fedorowiczowi.

— Jakto słusznie? — przepytał Iwan Fedorowicz, ledwo powściągając się i rzucając groźne błyskawice.

— Mówiłem, bo mi pana żal. Na pańskiem miejscu, gdyby to mnie przyszło, rzuciłbym tu wszystko... nie siedziałbym tutaj... — odpowiedział Smerdjakow, szczerze zaglądając w oczy Iwanowi Fedorowiczowi.

Zapadło milczenie.

— Jesteś, zdaje się, wielkim idjotą i stanowczo... strasznym łajdakiem!—zerwał się Iwan Fedorowicz z ławki.

Zamierzał wejść do ogrodu, ale nagle zatrzymał się i obrócił ku Smerdjakowowi. I stała się rzecz dziwna: Iwan Fedorowicz znagła, jakby w febrze, zaciął wargę, zacisnął pięści i — jeszcze chwila, a rzuciłby się niechybnie na Smerdjakowa. Ów przynajmniej spostrzegł to w tejże chwili, drgnął i całem ciałem cofnął się odruchowo. Ale moment przeszedł bez szkody dla Smerdjakowa, i Iwan Fedorowicz, milcząc, jakby wielce czemś zdumiony, skierował się ku furtce.

— Jutro do Moskwy wyjeżdżam, jeśli chcesz wiedzieć — jutro rano — i to wszystko! — odezwał się naraz głośno ze złością. Potem nie mógł zrozumieć, w jakim celu oznajmił to Smerdjakowowi.

— Tak będzie najlepiej — pochwycił ów, jakby na to czekał — tylko że z Moskwy mogą pana telegraficznie zaniepokoić w takim czy owakim przypadku.

Iwan Fedorowicz znowu przystanął i prędko obrócił się ku Smerdjakowowi. Ale i temu jakgdyby coś się stało. Znikła momentalnie cała jego poufałość i niedłaby ton; twarz jego wyrażała wytężoną uwagę i oczekiwanie, ale bardzo nieśmiałe i uniżone: „Czy aby nie powiesz, nie dodasz jeszcze czego?" — można było wyczytać to pytanie w jego wlepionem w Iwana Fedorowicza spojrzeniu.

— A z Czermaszni nie zawezwaliby... w razie takiego przypadku? — wrzasnął niewiadomo czemu Iwan Fedorowicz, podnosząc nagle głos.

— Tyż... w Czermaszni... zaniepokoiliby — mruknął Smerdjakow niemal szeptem, jakby omdlewając, ale bardzo uważnie zaglądając Iwanowi Fedorowiczowi prosto w oczy.

— Tylko że Moskwa jest dalej, a Czermasznia bliżej, szkoda ci pieniędzy na bilet, co? Upierając się przy Czermaszni, chciałbyś mi zaoszczędzić drogi?

— Tak jest, słusznie... — wybełkotał załamującym się głosem Smerdjakow, uśmiechając się gnuśnie, i znowu przysposobił się odruchowo do skoku.

Atoli Iwan Fedorowicz nagle, ku zdumieniu Smerdjakowa, roześmiał się i prędkim krokiem wszedł do ogrodu,

nie przestając się śmiać. Wystarczyło jednak spojrzeć na jego twarz, aby stwierdzić, że śmiech ów nie jest bynajmniej znamieniem dobrego humoru. Zresztą, on sam nie potrafiłby wyjaśnić, co się z nim działo w owej chwili. Ruchy jego były nienaturalne, skurczowe.

VII

Z mądrym człowiekiem to i pogadać ciekawie.

Podobnie zresztą i mowa. Spotkawszy Fedora Pawłowicza odrazu w salonie, zamachał rękoma i zawołał nagle: „Ja do siebie na górę, a nie do ojca, dowidzenia". Wyminął go, nie racząc nawet obrzucić spojrzeniem. Bardzo być może, że w owej chwili szczególnie nienawidził ojca. Fedor Pawłowicz był szczerze zaskoczony taką bądź co bądź bezceremonjalną manifestacją wrogich uczuć. Tem bardziej, że chciał corychlej mu coś powiedzieć i w tym celu umyślnie wyszedł mu naprzeciw. Jednak na uprzejmość syna nie odpowiedział, stał jeno i w milczeniu, z szyderczą miną ścigał go okiem przez schody, dopóki się ów nie skrył.

— Co mu się stało? — zapytał Smerdjakowa, który wślad za Iwanem wszedł do salonu.

— Gniewa się na co, kto go tam wie — odpowiedział wymijająco Smerdjakow.

— Pal go licho! Niech się gniewa. Dawaj samowar, i wynoś mi się żywo. Nic nowego?

Tu zaczęła się serja pytań, na które Smerdjakow użalał się poprzednio przed Iwanem Fedorowiczem. Dotyczyły one tak niecierpliwie wypatrywanej kobiety. Pominiemy je tu milczeniem. W pół godziny potem dom był zamknięty, i postrzelony starzec przechadzał się sam po pokojach, drżąc z trwożnego oczekiwania, nasłuchując, czy aby nie rozlegnie się pięć umówionych stuknięć, zaglądając chwilami w ciemne okna i nic nie widząc prócz nocy.

Było już bardzo późno, a Iwan Fedorowicz wciąż jeszcze nie spał i medytował. Tej nocy położył się późno, dopiero o godzinie drugiej. Ale nie będziemy tu powtarzać całego biegu jego myśli, i nie pora nam teraz wdzierać mu się w duszę: przyjdzie na to sposobny czas. A gdybyśmy nawet spróbowali co powtórzyć, to i takby się to na nic nie zdało, ponieważ nie były to wcale myśli, lecz coś nieokreślonego i, co najważniejsza — zbyt wzburzonego. Sam Iwan czuł w owej chwili, że gubi wszystkie wątki. Dręczyły go nadto przeróżne dziwne i prawie nieoczekiwane pragnienia, naprzykład już po północy zachciało mu się nagle i nieodparcie zejść nadół, otworzyć drzwi, przejść do oficyny i zbić na kwaśne jabłko Smerdjakowa. Ale gdyby go zapytano za co, nie umiałby stanowczo ani jednej przyczyny wyłożyć dokładnie, oprócz tej jednej, że nienawidzi tego fagasa, jak najgorszego wroga. Z drugiej strony nie raz tej nocy ogarniała jego duszę jakaś niewyjaśniona i poniżająca tchórzliwość, która — czuł to wyraźnie — osłabiała go nawet fizycznie. Cierpiał na ból i zawroty głowy. Nienawiść jakaś gryzła mu serce, jakgdyby miał za chwilę dokonać jakiej zemsty. Nienawidził nawet Aljoszy, szczególnie gdy stawała mu w pamięci niedawna z nim rozmowa, nienawidził chwilami samego siebie, i to z całej duszy. O Katarzynie Iwanownej nieledwie zapomniał, nie myślał o niej wcale — wspominał to później ze zdziwieniem, ponieważ jeszcze wczoraj rano, kiedy tak zamaszyście przechwalał się przed Katarzyną Iwanowną, że wyjedzie nazajutrz, szeptał sobie jednocześnie w duszy: „brednie, nie wyjedziesz, nie tak łatwo ci się będzie oderwać, jak to się teraz przechwalasz". Ze wspomnień tej nocy największą odrazą przejmował go później jeden szczegół: oto chwilami zrywał się raptownie z kanapy i cichaczem, jakgdyby lękając się, aby kto go nie zaskoczył, uchylał drzwi, wychodził na schody i nasłuchiwał, jak na dole Fedor Pawłowicz porusza się niespokojnie, chodzi po pokojach. Iwan Fedorowicz nasłuchiwał długo, pięć minut, z jakiemś osobliwem zaciekawieniem, z zapartym tchem i z bijącem sercem, sam nie wiedząc, czemu to wszystko robi, czemu nasłuchuje. Potępił później to nasłuchiwanie jako nikczem-

ność, i przez całe życie w tajnikach duszy uważał je za najpodlejszy postępek swego życia. Przeciw samemu Fedorowi Pawłowiczowi nie żywił w tej chwili nienawiści. Poprostu pożerała go ciekawość: jak to on tam na dole chodzi, co teraz robi; odgadywał więc, miarkował, jak ojciec na dole zagląda w ciemne okna i naraz zatrzymuje się pośrodku pokoju i czeka, czeka na stuknięcia. W tym oto celu Iwan Fedorowicz dwukrotnie w ciągu nocy wykradał się na korytarz. Skoro wszystko ucichło, i na dole Fedor Pawłowicz położył się wreszcie — była już godzina druga — Iwan Fedorowicz rzucił się na łóżko, pragnąc corychlej zasnąć, albowiem czuł się wyjątkowo zmęczony. I w rzeczy samej zasnął nagle i mocno, i spał resztę nocy bez marzeń sennych, lecz obudził się wcześnie, koło godziny siódmej. Ledwo otworzył oczy, poczuł w sobie naraz ku najwyższemu swemu zdumieniu przypływ jakiejś niezwykłej energji, zerwał się na równe nogi, prędko się ubrał, wydobył walizę i natychmiast przystąpił do układania rzeczy. Dopiero wczoraj rano praczka przyniosła bieliznę. Iwan Fedorowicz z uśmiechem pomyślał o tem, jak to się wszystko dobrze złożyło, że nic już nie stoi na przeszkodzie nagłemu wyjazdowi. Bo istotnie wyjazd jego był nagły. Aczkolwiek Iwan Fedorowicz mówił wczoraj (Katarzynie Iwanownej, Aljoszy a potem Smerdjakowowi), że nazajutrz wyjedzie, przecież, kładąc się wczoraj spać, — doskonale to pamiętał — ani myślał o wyjeździe. W każdym razie nie myślał, że nazajutrz odrazu po przebudzeniu zacznie układać rzeczy. Nakoniec waliza i worek podróżny były gotowe; godzina była może dziewiąta, gdy Marta Ignatjewna przyszła na górę zapytać jak zwykle: „Gdzie pan raczy herbatki się napić, u siebie, czy na dole?“ Iwan Fedorowicz zeszedł nadół, wygląd miał raźny, nawet wesoły, jakkolwiek w słowach jego i ruchach znać było jakiś pośpiech i roztargnienie. Uprzejmie przywitał się z ojcem i nawet zapytał go o stan zdrowia. Następnie, nie przeczekawszy do końca odpowiedzi, wypalił prosto z mostu, że za godzinę wyjeżdża do Moskwy, na zawsze, i prosi o konie. Starzec wysłuchał jego zapowiedź bez żadnego zdziwienia, co więcej wcale nieprzyzwoicie zapomniał okazać po sobie

frasunku z powodu wyjazdu syna; zakrzątnął się tylko niespokojnie i odrazu przypomniał sobie własne sprawy.

— Ach, ty! Takiś ty! Nie powiedziałeś wczoraj... no, wszystko jedno, zdążymy to omówić. Zrób ty mi, kochasiu, przysługę wielką, ojcze ty mój, pojedź do Czermaszni. Masz tylko ze stacji Wołowej skręcić na lewo, dwanaście marnych wiorst i jesteś w Czermaszni.

— Niechże ojciec zrozumie, że nie mogę: do kolei osiemdziesiąt wiorst, a pociąg odchodzi ze stacji do Moskwy o siódmej wieczór — mam właśnie tyle czasu, aby zdążyć.

— Zdążysz jutro, albo pojutrze, a dzisiaj jedź do Czermaszni. Co ci to szkodzi ojcu się przysłużyć! Gdyby nie tutejsze interesy, jabym sam już dawno się kropnął, bo rzecz jest pilna i ważna, a tu mi... nie w porę... Widzisz, tam bór mój, koło Begiczowa i Diaczkina. Masłow, stary i syn jego, kupiec leśny, dają mi wszystkiego osiem tysięcy za wyrąb, a przeszłego roku trafił mi się kupiec, co dwanaście dawał, prawda, że nie tutejszy. Bo tutejsi Masłowa się boją, ojca i syna. Ten Masłow to bogacz, sto tysięcy w majątku, nikt z tutejszych nie śmie mu w drogę wchodzić, ile da, tyle bierz. Ale pop znajomy z Ilińska pisał mi w zeszły czwartek, że przyjechał Gorstkin, też kupiec, znam go, na szczęście nie tutejszy, z Pogrebowa, zatem nie lęka się Masłowa, bo nie tutejszy. Jedenaście tysięcy, powiada, za bór dam, słyszysz? A będzie tu, pisze mi pop, wszystkiego jeszcze tydzień. Pojechałbyś więc i z nim to obgadał.

— Niech ojciec temu popowi napisze, aby on się rozmówił.

— Kiedy nie potrafi, o to chodzi, że nie potrafi, oka nie ma. Poczciwości człek, złote serce, dwadzieścia tysięcy zaufałbym mu natychmiast bez cyrografu na przechowanie, ale gdzie mu tam do interesów, jakgdyby całkiem nie człowiek, wrona go oszwabi. A przecież uczony człowiek, wyobraź sobie. Gorstkin zaś, napozór chłopisko w granatowym przyodziewku, charakter ma podły, to cały nasz wspólny tadynek: kłamie on, powiadam ci, jak z nut. Czasem to tak kłamie, że aż podziw bierze, poco on to wszy-

stko nakłamał. Powiadał dwa lata temu, że mu żona umarła i że powtórnie się ożenił, a wyobraź sobie, że nic podobnego nie było: żyje jego żona, nigdy nie umierała i bije go raz na trzy dni. Więc trzeba to teraz wymacać: czy kłamie, czy też na serjo chce las kupić za jedenaście tysięcy.

— Ale i ja tu nie poradzę, bo i ja nie mam oka.

— Stój, poczekaj, owszem, bardzo potrafisz, bo ja ci go całego wymaluję. Znam-ci go, dawno już z nim interesa mam wspólne. Widzisz, jemu to na brodę trza patrzeć: bródka ryża, plugawa, rzadziutka. Jak bródka mu się trzęsie, a on gada i złości się — to dobrze, prawdę mówi, na serjo interes traktuje: a jak brodę gładzi lewą ręką i sam chichocze — to znaczy, że chce cię z mańki zażyć, kręci. W oczy ty mu nigdy nie zaglądaj, nic z oczu nie poznasz, mętna woda, matacz — na brodę patrzaj. Ja ci kartkę dam, ty mu pokaż. Nie Gorstkin właściwie, lecz Legawy, ale nie mów mu, że Legawy, bo się obrazi. Jak się z nim zmówisz i zobaczysz, że dobrze, to mi napisz. Tylko tyle napisz „nie łże". Upieraj się przy jedenastu tysiącach, jedną tysiączkę możesz ustąpić, ale nie więcej. Pomyśl jeno: osiem a jedenaście — trzy tysiące różnicy. Te trzy tysiące to jakby znalezione, niełatwo tu o kupca, a pieniądze są do zdechu potrzebne. Zawiadomisz, że poważnie, to ja już sam się kropnę i dobiję targu. A teraz pocobym tam miał jechać, jeśli to wszystko z palca wyssane? No, jedziesz czy nie?

— Niech ojciec daruje, nie mam czasu.

— Ech, wyręcz ojca, popamiętam ci to! Wszyscy wy serca nie macie, ot co! Co ci po dniu czy po dwóch? Dokąd tak spieszysz, do Wenecji? Nie zapadnie się twoja Wenecja w dwa dni. Posłałbym Aljoszkę, ale czy Aljosza zna się na tem? Ja ciebie dlatego, żeś mądry, przecież widzę to. Lasem nie handlujesz, ale oko to masz dobre. Tu tylko o to chodzi, żeby wiedzieć: czy na serjo traktuje, czy nie. Powiadam ci, patrzaj na brodę: jak bródka się trzęsie, — to na serjo.

— Sam mnie ojciec do Czermaszni tej przeklętej pcha co? — krzyknął Iwan Fedorowicz, uśmiechając się złośliwie.

Fedor Pawłowicz nie zauważył, czy też nie chciał zauważyć złośliwości, widział tylko uśmiech.

— Więc jedziesz, jedziesz? Zaraz karteczkę napiszę.

— Nie wiem, czy pojadę, nie wiem, w drodze postanowię.

— Co tam w drodze, postanów zaraz. Kochasiu, postanów. Rozmówisz się i napiszesz mi parę słów, wręczysz popowi, a on mi natychmiast prześle. A potem nie będę cię trzymał, jedź bodaj do Wenecji. Konie do Wołowej stacji da ci „batiuszka"...

Starzec był w jakimś stanie zachwytu; napisał kilka słów, kazał przygotować konie, podać zakąski, koniak. Dobry humor nastrajał go ekspansywnie, wylewnie; ale teraz widać było, że się miarkuje. O Dymitrze Fedorowiczu naprzykład nie pisnął ani słówka. Rozłąka z synem nie wzruszała go bynajmniej. Mogłoby się nawet zdawać, że nie wie o czem z nim mówić. Iwan Fedorowicz spostrzegł to odrazu:

— Sprzykrzyłem mu się widać porządnie — pomyślał sobie.

Lecz, sprowadzając już syna z ganku, Fedor Pawłowi zaperzył się nagle i podał się naprzód, aby się z nim wycałować na pożegnanie. Ale Iwan Fedorowicz uprzedził go i porywczo wyciągnął rękę, unikając ostentacyjnie pocałunków. Starzec zauważył to i osadził się natychmiast.

— Ano, z Bogiem! z Bogiem! — powtarzał z ganku. — Chyba jeszcze przyjedziesz kiedy w życiu? No, przyjedź, zawsze rad będę. No, Bóg z tobą!

Iwan Fedorowicz wsiadł na tarantas.

— Żegnaj Iwanie, nie potępiaj mnie za bardzo! — krzyknął po raz ostatni ojciec.

Cała czeladź wyszła odprowadzić panicza: Smerdjakow, Marta i Grzegorz. Iwan Fedorowicz podarował każdemu z nich po dziesięć rubli. Wreszcie rozsiadł się wygodnie. Smerdjakow pobiegł poprawić koc.

— Widzisz... jadę do Czermaszni... — odezwał się mimowoli Iwan Fedorowicz. Podobnie jak i wczoraj zdanie to zerwało mu się samo z języka, objaśnione nerwowym śmieszkiem.

Zakarbował sobie ten szczegół w pamięci.

— Więc prawdę mówią ludziska, że z mądrym człowiekiem to i pogadać ciekawie — odpowiedział twardym głosem Smerdjakow, spoglądając przenikliwie na Iwana Fedorowicza.

Pojazd ruszył z miejsca. Mglisto było na duszy podróżnemu, a jednak chciwie rozglądał się wokoło. Patrzał na pola, na pagórki, na drzewa, na stada gęsi, szybujące w pogodnem niebie. I nagle znowu poczuł, ze jest mu tak dobrze. Spróbował zagadnąć woźnicę, był bowiem niezmiernie ciekaw odpowiedzi tego chłopa. Ale po minucie zmiarkował, że przepuścił ją mimo uszu, że poprawdzie nie zrozumiał nawet jego słów. Umilkł więc, było mu tak dobrze: powietrze czyste, świeże, chłodne, niebo pogodne. W oczach stanęli mu na chwilę Aljosza i Katarzyna Iwanowna. Uśmiechnął się łagodnie, i łagodnie dmuchnął na miłe widziadła, które rozwiały się wnet w przestworzach.

„Przyjdzie jeszcze na nich czas" — pomyślał.

Minęli stację, zmienili zaprzęg i pomknęli ku Wołowej.

„Dlaczegoż to z mądrym człowiekiem i pogadać ciekawie?" — zapytał siebie i naraz mu aż dech zaparło. — „I poco mu oznajmiłem, że do Czermaszni wyjeżdżam?"

Dojechali do stacji Wołowej. Iwan Fedorowicz wysiadł z tarantasu. Natychmiast obstąpili go woźnice. Do Czermaszni było dwanaście wiorst. Kazał zaprzęgać. Następnie wszedł do budynku, rozejrzał się wokoło. Zagapił się na żonę naczelnika stacji i nagle wyszedł zpowrotem na ganek.

— Nie jadę do Czermaszni. Czy nie spóźnię się, chłopcy, na pociąg, który odchodzi o siódmej?

— W sam raz zdążymy. Zaprzęgać, panie?

— Zaprzęgaj natychmiast. Czy nikt jutro nie będzie w mieście?

— A jużci, Mitry będzie.

— Czy nie możesz mi, Mitry, przysługę zrobić? Zajdź do ojca mego, Fedora Pawłowicza Karamazowa, i powiedz mu, że nie pojechałem do Czermaszni. Możesz czy nie?

— Dlaczego nie, zajdę; Fedora Pawłowicza znam już kawał czasu.

— Masz na piwo, bo on ci może i nie da — roześmiał się wesoło Iwan Fedorowicz.

— Nie da, a jużci — roześmiał się Mitry. — Dziękuję, panie, napewno zajdę.

O siódmej wieczór Iwan Fedorowicz wsiadł do wagonu i pojechał do Moskwy.

„Precz z tem wszystkiem, zerwałem na wieki z dotychczasowem życiem, i nie chcę nic o niem wiedzieć; do nowego świata, do nowych miejsc, i nie oglądać się za siebie!"

Ale miast radości, duszę jego naraz opadł taki mrok, a w sercu zawyła rozpacz, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał w życiu. Całą noc przedumał; dopiero o świcie, gdy wjeżdżał już do Moskwy, nagle się ocknął.

— Łajdak jestem — szepnął do siebie.

Tymczasem Fedor Pawłowicz, odprowadziwszy syna, był w doskonałym humorze. Przez dwie bite godziny popijając koniaczku, czył się niemal szczęśliwy; aliści w domu wydarzył się wysoce irytujący i arcynieprzyjemny dla wszystkich wypadek, który odrazu i zdecydowanie zmącił dobry nastrój Fedora Pawłowicza. Smerdjakow zeszedł po coś od piwnicy i runął z najwyższego schodka. Szczęśliwie się stało, że przez podwórze przechodziła właśnie Marta Ignatjewna i usłyszała w porę. Nie widziała upadku, ale słyszała krzyk, krzyk osobliwy, dziwny, lecz dobrze jej znany — krzyk epileptyka, który pada, rażony atakiem. Nie można było stwierdzić, czy dostał ataku kiedy schodził, i wskutek tego oczywiście runął wdół, czy też zaniemógł z upadku i wstrząsu. W każdym razie znaleziono go na dnie piwnicy w silnych drgawkach, z pianą na ustach. Zrazu myślano, że połamał sobie rękę czy nogę, ale „Bóg uchował", jak się wyraziła Marta Ignatjewna: nic mu się złego nie stało. Trudno go było wynieść z piwnicy na światło dzienne. Zawezwano do pomocy sąsiadów i jakoś sobie

poradzono. Sam Fedor Pawłowicz asystował przy całej ceremonji, i nawet pomagał wnieść go na górę. Był bardzo zaniepokojony, można nawet powiedzieć wstrząśnięty. Chory nie odzyskał przytomności: drgawki coprawda chwilami ustawały, ale rychło znowu powracały. Było rzeczą oczywistą, że powtórzy się to samo, co w zeszłym roku, kiedy to Smerdjakow upadł ze strychu. Przypomniano sobie, ze przykładano mu do głowy lód. Znaleziono trochę lodu w piwnicy. Marta Ignatjewna sama pielęgnowała wychowanka. Pod wieczór Fedor Pawłowicz posłał po doktora Hertzenstube, który natychmiast przybył. Obejrzawszy skrupulatnie pacjenta (był to najbardziej skrupulatny i dbający o pacjentów lekarz w całej gubernji, nader poczciwy staruszek), orzekł, że atak jest niezwykle silny i że „może grozić niebezpieczeństwem", że tymczasem on, Hertzenstube, jeszcze nic nie rozumie, ale że jutro rano, jeśli nie pomogą obecnie zapisane lekarstwa, zastosuje mocniejsze środki. Chorego umieszczono w oficynie, w pokoju przylegającym do pomieszkania Grzegorza Wasiljewicza i Marty Ignatjewnej. To był smutny początek niepowodzeń tego dnia. Nie skończyło się bowiem na tem: obiad ugotowała Marta Ignatjewna, zupa w porównaniu ze słynną zupą Smerdjakowa miała „smak pomyj", a kura była tak sucha, że poprostu nie można jej było przeżuć. Marta Ignatjewna na gorzkie, chociaż sprawiedliwe wyrzuty Fedora Pawłowicza odpowiedziała, że kura była i tak bardzo stara, i że ona zresztą nie uczyła się sztuki kucharskiej. Wieczorem zdarzył się nowy kłopot: zameldowano Fedorowi Pawłowiczowi, że Grzegorz, który od trzech dni kaweczył, rozchorował się na dobre i nie może się ruszać. Fedor Pawłowicz wypił bardzo wcześnie herbatę i zamknął się w domu. Znajdował się w stanie straszliwego i trwożnego oczekiwania. Albowiem tego wieczoru prawie że na pewno spodziewał się przyjścia Gruszeńki; przynajmniej tak go zapewnił Smerdjakow: „dziś na pewno przyrzekła przyjść". Serce niepowściągliwego starca tłukło się trwożnie, gdy przechadzał się po swych pustych pokojach i nasłuchiwał. Trzeba było mieć się na baczności: Dymitr Fedorowicz zapewne gdzieś na nią czeka. Przeto ledwo

ona zastuka w okno (Smerdjakow jeszcze dwa dni temu zapewnił Fedora Pawłowicza, że zawiadomił ją, gdzie i jak ma stukać), trzeba będzie czemprędzej otworzyć drzwi i nie zatrzymywać jej ani sekundy w korytarzu, aby, Boże broń, nie przelękła się i nie uciekła. Wiele miał kłopotów na głowie, ale nigdy jeszcze serce jego nie kąpało się w słodszej nadziei: wszak można było powiedzieć prawie z pewnością, że tym razem przyjdzie ona niewątpliwie!

TEODOR DOSTOJEWSKI

DZIEŁA

Serja 4. Tom III i IV

POD REDAKCJĄ
MELCHJORA WAŃKOWICZA
POPRZEDZONE STUDJUM
ANDRZEJA STRUGA

TEODOR DOSTOJEWSKI

BRACIA KARAMAZOW

1928
Towarzystwo Wydawnicze „Rój"

PRZEŁOŻYŁ Z ORYGINAŁU
ALEKSANDER WAT

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Szpitalna 12

KSIĘGA SZÓSTA.

ROSYJSKI MNICH

I

Starzec Zosima i jego goście.

Aljosza, wchodząc z trwogą i z bólem serca do celi, był zaskoczony naprawdę nieoczekiwanym widokiem: obawiał się, że zastanie chorego w agonji, może już w stanie nieprzytomnym, a tymczasem ujrzał go w fotelu, z twarzą niezmiernie zmęczoną, ale wesołą i otuchy pełną, otoczonego gośćmi, z którymi wiódł cichą i pogodną rozmowę. Coprawda starzec wstał z łóżka dopiero kwadrans przed przyjściem Aljoszy; goście zaś zebrali się w celi wcześniej i czekali, aż się starzec obudzi, stanowczo zapewnieni przez ojca Paisego, że „nauczyciel napewno wstanie, iżby jeszcze raz porozmawiać z miłą sercu jego bracią, jak to rzekł i obiecał". Ojciec Paisy wierzył w to święcie. I gdyby nawet starzec leżał teraz w ostatniej agonji, ale jeśliby był przyrzekł, że jeszcze raz podniesie się i pożegna z nim, ojciec Paisy aniby wątpił, że tak się zaiste stanie. Otóż zrana starzec Zosima przed zaśnięciem rzekł stanowczo: „Nie umrę, póki się jeszcze raz nie upoję rozmową z wami, ukochani serca mojego, jeszcze raz na miłe oblicza wasze popatrzę i duszę swoją jeszcze raz przed wami wyleję". Zebrali się tedy na tę ostat-

nią zapewne pogawędkę starca najbardziej oddani mu przyjaciele z dawnych lat. Było ich czterech: ojciec Józef, ojciec Paisy i ojciec Michał, przełożony pustelni, niebardzo jeszcze stary zakonnik, o wiele mniej uczony od tamtych i pochodzący ze stanu niższego, ale niezłomnego ducha, niezachwianej i prostej wiary. Napozór wydawał się surowy, zaś w istocie serce jego było skore do wzruszeń i roztkliwień, chociaż je wstydliwie maskował. Czwartym gościem był brat Antem, bardzo stary, prosty mniszek, z pochodzenia chłop bezrolny, ledwo umiejący pisać i czytać, milczący i cichy, rzadko rozmawiający, najpokorniejszy z pokornych. Robił wrażenie człowieka zafukanego, którego w swoim czasie coś wielkiego i straszliwego, przerastającego jego siły umysłowe, przestraszyło na wieki. Starzec Zosima bardzo kochał tego wiecznie strwożonego braciszka, zawsze odnosił się doń z niezwykłym szacunkiem. Coprawda z nikim chyba w życiu nie zamienił mniej słów jak z nim, mimo że niegdyś spędzili razem wiele wspólnych lat w samowtórnych wędrówkach po całej świętej Rosji. Było to już dawno, lat czterdzieści temu, kiedy starzec Zosima dopiero rozpoczynał swoje życie klasztorne w bardzo ubogim Kostromskim monasterze, skąd też wnet wyruszył z bratem Antemem zbierać kwestę na ubogi klasztor.

Wszyscy, gospodarz i goście, siedzieli w drugim pokoju starca, w którym zazwyczaj sypiał. Była to tak ciasna celka, że goście ledwo zmieścili się wokoło starca na przeniesionych z drugiego pokoju krzesłach. Zmrok już zapadł, w pokoju jednak światło sączyły lampki i świece woskowe przed obrazami. Starzec uśmiechnął się radośnie na widok Aljoszy, który bardzo się zmieszał i stał nieruchomo na progu, — i wyciągnął doń rękę.

— Witaj cichy, witaj mój miły, otóż i ty. Wiedziałem, że przyjdziesz.

Aljosza podszedł doń, schylił się do samej ziemi i zaszlochał. Coś mu się wydzierało z serca, dusza trzepotała, chciało mu się łkać.

— Cóż ty, czas jeszcze opłakiwać — uśmiechnął się starzec, kładąc prawą rękę na jego głowie. — Widzisz, siedzę i rozmawiam, może jeszcze dwadzieścia lat pożyję, jak

mi życzyła wczoraj ta dobra, miła kobieta z Wyszegory, z dziewczynką Lizawetą na ręku. Pobłogosław Boże i matce i dzieweczce Lizawecie! (Przeżegnał się) Porfiry, czy zaniosłeś datek podług mego polecenia?

Przypomniał mianowicie o owych sześciu złotówkach, które podarowała wesoła pielgrzymka, dla tej „która od niej biedniejsza". Starzec posłał Porfirego jeszcze wczoraj wieczorem do jednej z naszych mieszczanek, wdowy z dziećmi, która po niedawnym pożarze musi chodzić po żebraninie. Porfiry oznajmił, że wykonał polecenie i dał ofiarę, jak mu kazano „od nieznanej ofiarodawczyni".

— Wstań, miły — przemówił starzec do Aljoszy — niechaj-że na ciebie popatrzę. Byłeś u swoich i widziałeś brata?

Aljoszy wydawało się, że pytanie starca dotyczy wyraźnie i bezpośrednio jednego z braci. Ale którego? Zatem starzec wysłał go specjalnie do tego właśnie brata, zarówno wczoraj jako też dzisiaj.

— Jednego z braci widziałem — odrzekł Aljosza.

— Ja o tamtym, wczorajszym, starszym, któremu pokłoniłem się do ziemi.

— Tego ja wczoraj widziałem, a dziś nie mogłem znaleźć — odpowiedział Aljosza.

— Znajdź-że go czemprędzej, jutro znowu idź i spiesz się, wszystko pozostaw i idź. Może jeszcze zdążysz zapobiec okropnemu wydarzeniu. Pokłoniłem się wczoraj przyszłemu jego wielkiemu cierpieniu.

Nagle umilkł i jakgdyby się zamyślił. Słowa jego były dziwne. Ojciec Józef, świadek wczorajszego pokłonu starca, spojrzał porozumiewawczo na ojca Paisego. Aljosza nie wytrzymał.

— Ojcze mój i nauczycielu — rzekł z niezwykłem wzruszeniem — zbyt niejasne mi są słowa wasze... Jakie cierpienie oczekuje go?

— Nie bądź ciekaw. Wczoraj zdawało mi się, że widzę coś okropnego... jakgdyby cały jego los skupił się w jego wejrzeniu. Miał takie wejrzenie w pewnej chwili... że przeraziłem się w sercu mojem o to, co ów człowiek gotuje dla siebie. Raz albo dwa razy w życiu widziałem taki sam

wyraz twarzy... który jakgdyby wyrażał cały los tych ludzi, i los ów niestety sprawdził się. Posłałem cię doń, Aleksy, albowiem myślałem, że bratnie oblicze twoje ulży mu. Wszakże wszystko od Boga jest i wszystkie losy nasze. „Jeżli ziarno pszeniczne wpadłszy w ziemię, nie obumrze, samo zostawa; lecz jeżli obumrze, wielki owoc przynosi". Zapamiętaj to sobie. A ciebie, Aleksy, wielekroć błogosławiłem w myśli swej za oblicze twoje, wiedz o tem — wyrzekł starzec z łagodnym uśmiechem. — Myślę o tobie tak: wynijdziesz z murów tych i w świecie żyć będziesz jako mnich. Wielu będziesz miał przeciwników, wszelako nawet wrogowie twoi kochać cię będą. Wiele nieszczęść przyniesie ci życie, ale mimo to będziesz szczęśliw i życie błogosławić będziesz i inszych nauczysz błogosławić, co jest bodaj najważniejszą rzeczą. Bo taki jesteś. Ojcowie i nauczyciele moi — zwrócił się do obecnych z rozczulonym uśmiechem — nigdy do tej pory nawet jemu nie mówiłem, czemu były tak miłe duszy mojej lica tego młodzianka. Teraz dopiero powiem: lica jego były mi niby przypomnieniem i proroctwem. W zaraniu dni swoich, dzieckiem jeszcze będąc, miałem brata starszego, który umarł w młodym wieku, w siedemnastym roku życia. A potem, płużąc dni swoje, uprzytamniałem sobie stopniowo, że brat mój nieboszczyk był wskazówką i zapowiedzią mego losu, albowiem, gdyby się był nie pojawił w życiu mojem, to być może, tak sobie to przekładam, nie znalazłbym drogi do klasztoru, nie wstąpiłbym na wielką drogę swoją. Pierwsze to objawienie zdarzyło się jeszcze w dzieciństwie mojem, i oto u schyłku drogi jawiło mi się naocznie jakby jego powtórzenie. Dziwne to, ojcowie moi i nauczyciele, że nie będąc podobny zewnętrznie, przynajmniej bardzo niewiele, Aleksy wydaje mi się tak doń podobny duchowo, iż wielokrotnie uważam go wręcz na onego młodzianka, jakgdyby ów tajemniczo wrócił do mnie u kresu drogi, gwoli niejakiego rozpamiętywania i przenikania. Dziwiłem się nawet sobie samemu i takowemu dziwnemu marzeniu. Czy słyszysz to, Porfiry? — zwrócił się do usługującego mu nowicjusza. — Wielokroć widziałem na twojej twarzy rozgoryczenie, że kocham Aleksego bardziej niż ciebie. Teraz wiesz dlacze-

go, ale i ciebie kocham, wiedz o tem, i często martwiłem się z powodu twego rozgoryczenia. Wam zaś, mili goście, chcę opowiedzieć o onym młodzianku, bracie moim, albowiem nie było w życiu mojem cenniejszego zdarzenia, bardziej proroczego i bardziej wzruszającego. Wzruszyło się serce moje i widzę całe życie moje w tej chwili, jakbym je napowrót przeżywał od początku...

Ostatnia rozmowa starca z gośćmi, którzy odwiedzili go ostatniego dnia jego życia, jest częściowo zapisana. Zapisał ją zaś Aleksy Fedorowicz Karamazow niedługo po śmierci starca. Nie mogę jednak ustalić, czy dokładnie spisał jeno ówczesną rozmowę starca, czy też uzupełnił ją urywkami z dawnych pogadanek swego nauczyciela. Ponadto mowa starca w tych zapiskach nie urywa się wcale, jest płynna, jakgdyby starzec spowiadał się przyjaciołom z życia swego w formie powiastki; wiadomo zaś, że w rzeczywistości odbywało się to zgoła inaczej, bo owego wieczora toczyła się ogólna rozmowa, i chociaż goście rzadko przerywali gospodarzowi, bądź co bądź wtrącali swoje uwagi, nawet opowieści i zdarzenia z własnego doświadczenia; skądinąd opowiadanie starca nie mogło być płynne choćby z tego powodu, że mówca chwilami nie mógł złapać tchu, że chwilami nie mógł dobyć głosu i nawet kładł się na łóżko, aby wypocząć. Dwa czy trzy razy podczas przerwy ojciec Paisy czytał ewangelję. Rzecz zastanawiająca: nikt z obecnych nie sądził, że starzec skona tej samej nocy, zwłaszcza, że tego ostatniego wieczora swego życia po głębokim śnie dziennym poczuł jakby przypływ nowych sił, które podtrzymywały go przez cały czas rozmowy z przyjaciółmi. Były to ostatnie jego wzruszenia, podsycające niezwykłe ożywienie, ale nie na długo, bo życie jego nagle się urwało... Ale do tego wrócimy w swoim czasie. Teraz natomiast chcę oznajmić, że nie wdając się w szczegóły owej rozmowy, ograniczyłem się do powtórzenia opowieści starca według rękopisu Aleksego Fedorowicza Karamazowa. Wypadnie to krócej i nie tak nużąco, chociaż, powtarzam, Aljosza dodał zapewne wiele szczegółów z dawnych rozmów i połączył to w jedną całość.

II.

ŻYWOT W BOGU ZMARŁEGO STARCA OJCA ZOSIMY.

Z własnych jego słów spisał Alekśy Fedorowicz Karamazow

a) O młodziance, bracie starca Zosimy.

Ukochani ojcowie moi i nauczyciele, urodziłem się w dalekiej północnej gubernji, w mieście W. z ojca szlachcica, ale niebardzo znakomitego i zajmującego dosyć podrzędne stanowisko. Obumarł mnie ojciec, kiedy miałem dwa lata, i nie pamiętam go zupełnie. Zostawił matce mojej w spuściźnie domek niewielki i skromny fundusz, tyle tylko, aby nie zaznać biedy. A było nas dwoje dzieci: ja, Zinowji, i starszy brat mój, Markel. Ów był ode mnie starszy o lat osiem, charakter miał zapalczywy i skory do gniewu, ale był dobry, nie szyderczy, milczący, zwłaszcza w domu, z matką, ze mną i ze służbą. Uczył się w gimnazjum dobrze; ale z kolegami się nie zadawał, ani się przyjaźnił ani kłócił, tak przynajmniej zapewniała mateczka. Pół roku przed śmiercią, skończył siedemnaście lat — zaczął odwiedzać pewnego zesłańca, za wolnomyślne przekonania wygnanego z Moskwy. Był to wielce uczony i znakomity profesor uniwersytetu. Niewiadomo czemu pokochał naszego Markela i zaczął z nim obcować. Przesiadywał brat mój u niego całemi wieczorami, i trwało to przez całą zimę, dopóki nie zawezwano zpowrotem tego uczonego do Petersburga na służbę państwową, albowiem miał znakomitych protektorów. Zaczął się Wielki Post, a Markel nie chciał pościć; bluźnił i szydził: „wszystko to są bzdury, powiadał, i niema żadnego Boga". Przerażał mateczkę i służbę i mnie małego, albowiem, chociem wówczas miał dopiero dziewięć latek, usłyszawszy słowa one, przeraziłem się wielce. Służbę mieliśmy pańszczyźnianą, czworo ludzi, kupionych na imię znajomego obywatela ziemskiego. Pamiętam jesz-

cze jak mateczka sprzedawała kucharkę Afimję, kulawą i starszą kobietę, za sześćdziesiąt rubli papierowych, a na jej miejsce przyjęła wolną najmitkę. I oto w szóstym tygodniu postu brat mój zaczął nagle narzekać, a był zawsze chorowity, wątłej budowy, skłonny do gruźlicy; miał wzrost dość słuszny, ale szczupły był i pochylony, o twarzy nadzwyczaj miłej i statecznej. Przeziębił się niebożę, czy co, doktór przyszedł i oświadczył mateczce, że syn jej ma suchoty galopujące i nie przeżyje wiosny. Zaczęła matka płakać, prosiła brata ostrożnie (aby go nie przestraszyć), iżby poszedł do cerkwi wyspowiadać się i przyjąć komunję świętą, albowiem nie leżał on jeszcze wówczas w łóżku. Co usłyszawszy, rozgniewał się bardzo i bluźnił przeciw świątyni Pańskiej, ale wnet zamyślił się: odgadł snać że chory jest niebezpiecznie, skoro matka posyła go do cerkwi, do spowiedzi. Zresztą sam już wiedział, że niezdrów i jeszcze rok przedtem wyraził się obojętnie przy stole wobec mnie i mateczki: „nie długo pomieszkam między wami, może roku nawet nie przeżyję" — jakby sobie wywróżył. I oto brat mój we wtorek rano poszedł do spowiedzi. „Ja to, mateczko, jeno dla ciebie robię, aby cię ucieszyć i uspokoić" — rzekł do niej. Rozpłakała się matka z radości i ze strapienia: „widać bliska śmierć, skoro się tak nagle odmienił". Ale niedługo chodził do cerkwi, zachorował obłożnie, tak że spowiadał się i przyjął komunję świętą w domu. Nastały jasne, pogodne, cudnie pachnące dni. Wielkanoc wypadła tego roku późno. Po całych nocach, pamiętam, kaszlał, nie sypiał, a nazajutrz zawsze ubierał się i próbował usiąść na miękkim fotelu. Pamiętam go tak: siedzi łagodny, cichy, uśmiecha się, chory, a jednak lica wesołe, radosne. Zmienił się cały duchowo — taka dziwna zaszła w nim zmiana! Wchodzi doń do pokoju stara niańka: „pozwól kochanie, lampkę zapalę przed obrazem". Dawniej nie pozwalał, sam nawet gasił. „Zapal, miła moja, zapal, zwierzęciem byłem, żem bronił wam przedtem. Lampkę zapalając, do Boga módl się, a ja modlę się, patrząc na ciebie i radując się. Zatem do jednego Boga modlimy się oboje". Dziwne wydawały się nam one jego słowa, matka wracała do siebie i ciągle płakała. Ale do nie-

go wchodząc, ocierała oczy i starała się wydawać wesołą. „Mateczko, nie płacz kochanie, powiada czasem, długo jeszcze pożyję na świecie, wiele radości z wami przeżyję, a życie, życie przecież jakie wesołe i radosne!" „Ach, drogi mój, jakaż tobie radość, kiedy całą noc gorączka cię męczy i kaszel mało ci piersi nie rozerwie". — „Mamo, odpowiada jej, nie płacz, życie jest rajem, i wszyscy jesteśmy w raju, ale nie chcemy tego uznać, a gdybyśmy chcieli to uznać, to już jutro byłby raj na całym świecie". I wszyscy podziwiali jego słowa, tak dziwnie to i stanowczo mówił; roztkliwiali się wszyscy i płakali. Przychodzili do nas znajomi: „mili moi, mówił, drodzy, i czemże to sobie zasłużyłem, że mnie kochacie, za co mnie kochacie, i jakże przedtem tego nie wiedziałem, nie ceniłem". Służbie stale powtarzał: „Mili moi, za co mi usługujecie, niewart jestem, aby mi służono. Gdyby Bóg się zlitował i zostawił mnie przy życiu, sambym wam usługiwał, albowiem wszyscyśmy powinni sobie służyć wzajem". Matka, słuchając go, potrząsała głową: „Drogi ty mój, z choroby tak mówisz!" „Mamo, radości ty moja, mówił, jeśli muszą być panowie i słudzy, to niechże i ja będę sługą moich sług. I jeszcze ci co powiem, mamo, że każdy z nas jest winien za wszystko przed wszystkimi, ja zaś winien jestem najwięcej". Mateczka uśmiechnęła się nawet; płacze i uśmiecha się. „I za co ty jesteś przed wszystkimi za wszystkich najwięcej winien. Są mordercy i zbóje, a ty cóżeś zdążył nagrzeszyć, że siebie najbardziej winisz?" „Mateczko, szczęście moje najdroższe (zaczął on pieszczotliwych słów używać) najdroższe moje szczęście, wiedz, że zaprawdę każdy jest przed każdym za wszystko winien. Nie wiem jak ci wytłumaczyć, ale czuję, że tak jest, do udręki to czuję. I jakżeśmy to żyli, gniewali się i nic nie wiedzieli?" Tak się budził codziennie, coraz bardziej tkliwy i radosny, miłością drgający. Przychodził lekarz, stary Niemiec, Eisenschmidt. Przekomarzał się z nim brat mój: „No cóż, doktorze, jeszcze dzień pożyję na świecie?" — „Nietylko dzień, bo wiele dni pożyje pan" odpowiadał zazwyczaj doktór „i miesiące i lata jeszcze pan pożyje". — „Pocóż lata, poco miesiące! woła brat mój, poco dni liczyć, kiedy jednego dnia dość człowiekowi, aby

całe szczęście zgłębił. Mili wy moi, przecz-że się kłócimy, przecz-że się chełpimy i wypominamy sobie wzajem urazy: chodźmy do ogrodu, aby się cieszyć i dokazywać, kochać się nawzajem i chwalić i całować i życie nasze błogosławić". — „Niedługo pożyje na świecie pani syn" — mówił doktór do matki, która odprowadzała go do wyjścia — „z choroby dostaje pomieszania". Okna jego pokoju wychodziły na ogród, bardzo cienisty. Stare drzewa puściły wiosenne pączki. Przyleciały wczesne ptaszęta, świergolą i ćwierkają mu pod oknem. I począł on naraz, patrząc na nie i wzruszając się, prosić je o wybaczenie: „Ptaszkowie Boży, ptaszkowie radosni, darujcie, mi, ponieważ i przed wami winien jestem". Tego już nikt z nas nie mógł wtedy zrozumieć, on zaś płacze z radości: „Tak, powiada, była taka Boża chwała wokoło mnie: ptaszęta, drzewa, łąki, niebiosa, i ja sam tylko żyłem w hańbie, sam wszystko plugawiłem i chwały i krasy nie dostrzegałem". — „Zawiele grzechów na siebie bierzesz" płakała nieraz mateczka. „Mateczko, droga moja, przecież to z radości, a nie ze smutku płaczę; sam przecie pragnę poczuwać się do winy, nie mogę ci tylko tego wytłumaczyć, nie wiem nawet jak ich kochać. Niechże będę przed wszystkimi grzeszny, ale przecież wszyscy mi przebaczą, otóż to i raj. Czyżem teraz nie w raju?"

I wiele było takich powiedzeń, że ani spamiętać, ani spisać. Przypominam sobie, razu pewnego wszedłem do niego, kiedy on sam tylko był w pokoju. Godzina była wieczorna, pogodna, słonko zachodziło i cały pokój zalało skośnym promieniem. Przywołał mnie do siebie, podszedłem doń, a on wziął mnie oburącz za plecy, zaglądał mi w twarz ze wzruszeniem, miłośnie; nic nie mówił, tylko popatrzał tak minutkę: „Idź teraz, rzekł, baw się, żyj za mnie!" Wyszedłem do ogrodu i zacząłem się bawić. A potem całe życie wielekroć przypominałem sobie ze łzami, jak mi kazał żyć za siebie. Wiele jeszcze mówił słów dziwnych i pięknych, chociaż niezrozumiałych. Zgasł zasię w trzecim tygodniu po Wielkiej Nocy zupełnie przytomny, i chociaż przestał już mówić, nie zmienił się do ostatniej swojej godziny: spoglądał radośnie, w oczach miał radość, szukał nas spojrzeniem, uśmiechał się, wzywał. W mieście wiele

mówiono o jego zgonie. Wstrząsnęło to mną, ale nie bardzo, chociaż płakałem gorzko, kiedy go chowano. Młody byłem, dziecię jeszcze, ale w sercu wszystko zostało na zawsze, zataiło się, aby w swoim czasie odżyć i odezwać się. I tak się też stało.

b) O piśmie świętem w życiu ojca Zosimy.

Zostałem wówczas z matką. Poradzili jej rychło dobrzy znajomi, że mając po temu środki, powinna za przykładem innych rodziców jedynego obecnie syna posłać do Petersburgu i nie zwichnąć wielkiej może karjery. I wmówili w matkę moją, aby mnie do stołecznego korpusu kadetów oddała, skąd łatwy jest dostęp do gwardji cesarskiej. Mateczka długo się wahała: jakże tu rozstać się z ostatnim synkiem, ale wkońcu się przemogła, bo nie chciała stać na przeszkodzie memu szczęściu. Zawiozła mnie do Petersburga, umieściła w korpusie kadetów i od tego czasu nie widziałem jej więcej; albowiem po trzech latach zgasła, a przez te całe trzy lata tęskniła za nami, za bratem nieboszczykiem i za mną. Z domu rodzicielskiego wyniosłem cenne wspomnienia, niemasz bowiem cenniejszych dla człowieka pamiątek, jak wspomnienia z wczesnego dzieciństwa, spędzonego w domu rodzinnym, o ile panuje w nim względna bodaj zgoda i miłość. Zresztą z najgorszego domu możesz wynieść cenne wspomnienia, jeśli tylko dusza twoja potrafi szukać cennych wartości. Do wspomnień dziecinnych zaliczam również znajomość Historji Świętej, której jeszcze dzieckiem bardzo byłem ciekaw. Miałem wówczas książkę z pięknemi obrazkami, pod tytułem „Sto i cztery święte historye Starego i Nowego Testamentu"; z niej to uczyłem się czytać. I teraz jeszcze leży tu na półce, przechowuję ją jako drogocenną pamiątkę. Ale nim jeszcze nauczyłem się czytać, pamiętam, jak poraz pierwszy nawiedziła mnie jakaś światłość duchowa. Miałem wówczas osiem lat. Mateczka zaprowadziła mnie (nie pamiętam, gdzie był wówczas mój braciszek) do świątyni Pańskiej w Wielki Tydzień.

Dzień był jasny — wywołując teraz ów obraz w pamięci, widzę znowu, jak kadzidła unoszą się nad kadzielnicą, a z góry z kopuły przez wąskie okieneczko leją się na nas promienie, w których roztapiają się fale kadzidła. Patrzałem wzruszony i pierwszy raz wchłonąłem świadomie pierwsze ziarno słowa Bożego. Wyszedł na środek świątyni młodzian z wielką księgą, z tak wielką, że, zdawało mi się, z trudem ją niósł, położył ją na pulpicie, otworzył i począł czytać. I nagle po raz pierwszy coś niecoś zrozumiałem, po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, co czytają w świątyni Bożej. Był mąż w ziemi Hus, szczery i prosty, bojący się Boga, a miał taką a taką majętność, tyle a tyle wielbłądów, owiec i osłów; i dzieci jego żyły w radości, i kochał je bardzo, i modlił się za nie do Boga: by snadź nie zgrzeszyli synowie jego. I oto stanął przed Panem szatan wraz z synami Bożymi i rzekł do Pana, że zkrążył ziemię i schodził ją. I rzekł Pan do niego: A baczył-żeś Ioba, sługę mego? I pochwalił się Bóg przed szatanem, wskazując wielce cnotliwego sługę swego. I uśmiechnął się szatan i rzekł: „oddaj go w moje ręce, a zbuntuje się sługa Twój i przeklnie imię Twoje". I oddał Bóg sługę swego ukochanego w ręce szatana, i zgładził szatan jego dzieci i pozbawił go majętności. Tedy Iob rozerwał szaty swoje i, ogoliwszy głowę, upadłszy na ziemię, pokłonił się i rzekł: „Nagom wyszedł z żywota matki mojej i nago się tam wrócę: Pan dał, Pan odjął. Niech będzie imię Pańskie błogosławione!" Ojcowie i nauczyciele, darujcie mi obecne łzy moje — albowiem całe moje dzieciństwo jakby zmartwychwstaje teraz i oddycham teraz, jak oddychałem podówczas dziecięcą swoją ośmioletnią piersią, i czuję, jak i wówczas, zdumienie, i zmieszanie i radość. I wielbłądy tak wówczas wyobraźnię moją zajęły, i szatan, który tak z Bogiem mówi, i Bóg, który sługę swego oddał na zatracenie, i sługa jego wołający: „Niech będzie imię Twoje błogosławione" — a potem cichy i słodki śpiew, i znowu kadzidła i modlitwa na klęczkach! Od tego czasu — nawet wczoraj jeszcze wziąłem ją i nie mogę czytać tej przenajświętszej opowieści bez łez. I ile tu wielkiego, tajemnego, niepojętego! Słyszałem potem drwiny szyderców i bluźnierców, słowa pychy pełne: „Jakże mógł Bóg oddać

najukochańszego ze swoich sprawiedliwych w pazury szatana, odebrać mu dzieci, pokryć go wrzodem złym, że ropę skorupą oskrobywał, siedząc na gnoju, — i to w jakim celu: aby móc się pochwalić przed szatanem: „patrzaj niby, co znosi święty Mój w imię Moje!". Wszakże w tem właśnie jest wielkość, że to tajemnica, że tu przelotne oblicze ziemskie i prawda wieczna zetknęły się ze sobą. Przed prawdą ziemską dopełnia się działanie prawdy wiecznej. Tu Stwórca, podobnie jak w pierwsze dni stworzenia, gdy kończył każdy dzień pochwałą: „I widział Bóg iż były dobre", spogląda na Ioba i znowu chwali się stworzeniem swojem. A Iob, chwaląc Pana, służy nietylko Jemu, ale i całemu wszechstworzeniu na wieki wieków, albowiem do tego był powołany. Panie, cóż to za księga i jakie pouczenie! Co za księga to Pismo Święte; jaki cud i jaką siłę dano człowiekowi! Niczem rzeźba świata i człowieków i charakterów człowieczych, i wszystko jest w niej nazwane i wskazane na wieki wieków. I ile tajemnic rozstrzygniętych i objawionych! Bóg podnosi znowu Ioba, daje mu wszego co miał w dwójnasób, mijają lata, i oto Iob znowu jest ojcem i znowu kocha dzieci swoje. — „Panie! Jakże mógł on, zdawałoby się, pokochać nowe dzieci swoje, skoro tamtych niema, skoro tamte stracił? Zaliż, tamte wspominając, może być szczęśliwy jak dawniej, z temi nowemi, jakkolwiek je kocha?" Ależ może, może: stare cierpienie, i to jest wielka tajemnica ludzkiego żywota, może stopniowo przejść w cichą wzruszoną radość; zamiast młodej kipiącej krwi nastaje krótka, pogodna starość: błogosławię wschód słońca codzienny i serce moje po dawnemu śpiewa mi, ale bardziej kocham już zachód jego, długie, skośne promienie i pospołu z niemi ciche, łagodne, wzruszone wspomnienia, miłe obrazy swego długiego i błogosławionego życia — a nad tem wszystkiem unosi się prawda Boża, roztkliwiająca, jednająca, wszechprzebaczająca! Kończy się życie moje, wiem o tem i słyszę, ale czuję każdego z pozostałych mi dni, jak życie moje styka się już z nowem, nieskończonem, nieznanem, ale tak już bliskiem życiem, w którego przeczuciu trzepoce dusza moja z zachwytu, promieniuje umysł i radośnie szlocha serce... Przyjaciele moi i nauczyciele, słyszałem

nieraz, a teraz w ostatnich czasach coraz głośniej, o tem, że nasi kapłani, zwłaszcza wiejscy, żalą się i płaczliwie utyskują na swoje małe dochody i na poniżenie swoje, i wręcz zapewniają, nawet w druku — sam to czytałem, — że nie mogą już wykładać ludowi Pisma Świętego, albowiem mają małe dochody, i że jeżeli przychodzą teraz luteranie i heretycy i poczynają odbijać trzodę, to niech sobie odbijają, albowiem małe są dochody pasterzy. Boże! daj im więcej tych tak drogich im dochodów (bo słuszna jest ich skarga), ale zaprawdę powiadam wam: jeżeli kto jest winien, to poniekąd my sami! Albowiem choćby nawet nie mieli czasu, choćby nawet słusznie uskarżali się, że ich męczy praca nadmierna, przecież nie cały czas im zabiera, przecież znaleźć mogą godzinkę bodaj w tygodniu, aby i o Bogu popamiętali. I nie cały przecież rok mają pracę. Niechaj zbiorą raz na tydzień na odwieczerz zrazu jeno dzieci — dowiedzą się ojcowie, to i oni zaczną przychodzić. Nie trzeba odrazu pałaców, wystarczy przyjąć ich w izbie: nie bójcie się, nie zapaskudzą izby, tylko na godzinę przyjdą. Niech im otworzy tę księgę, niech zacznie czytać, bez wymyślnych wstępów, bez dumy, nie wynosząc siebie, pokornie i tkliwie, ciesząc się z tego czytania, z tekstu i z tego, że oni słuchają i rozumieją,—kochając te słowa, chwilami zatrzymując się i objaśniając niezrozumiałe wyrazy. Wszystko zrozumieją, wszystko zrozumie serce prawosławne! Niechaj przeczyta im o Abrahamie i Sarze, o Izaaku i Rebece, o tem, jak Jakób poszedł do Labana, i mocował się we śnie z Bogiem i nazwał „imię onego miejsca Phanuel", a wywrze największe wrażenie na pobożnym umyśle chłopa. Niech przeczyta im, zwłaszcza dzieciom, o tem, jak bracia sprzedali w niewolę własnego brata, Józefa, pachołęcia miłego, widosna i proroka wielkiego, ojcu zasię rzekli, że zwierz rozszarpał jego syna i pokazali mu szaty skrwawione. Przeczyta, jak potem bracia przyjeżdżali po chleb do Egiptu, jak Józef, dworzanin faraona, od nich nie poznany, dręczył ich, oskarżał, zatrzymał braciszka Benjamina i to wszystko z miłości. „Miłuję was, zaś miłując dręczę". Albowiem całe życie przypominał sobie, jak sprzedali go przy studni kupcom, jak, załamując ręce, płakał i prosił

braci, aby go nie sprzedawali w niewolę do obcego kraju. Tedy ujrzawszy ich po tylu latach, pokochał ich znowu niezmiernie, ale dręczył ich z miłości. Odchodzi wreszcie od nich, nie wytrzymawszy męki swego serca, wpada do komory swojej i płacze. I umywszy twarz, rzecze: „Jam-ci jest Józef, brat wasz!" Niech przeczyta dalej o tem, jak ucieszył się starzec Jakób, dowiedziawszy się, że żywie jeszcze jego miłe chłopię, jak wyruszył do Egiptu, ojczyznę porzuciwszy, i umarł w ziemi obcej, wyrzekłszy na wieki wieków w testamencie swoim największe słowo, tajemniczo nurtujące w łagodnem i struchlałem jego sercu całe życie: że z rodu Judy wyjdzie Oczekiwanie świata, Pojednawca i Zbawiciel! Ojcowie moi i nauczyciele, wybaczcie i nie gniewajcie się, że jak małe dzecko mówię o tem, co dawno już wiecie i czego mnie możecie nauczyć, postokroć lepiej i godniej. Z zachwytu mówię owo i darujcie mi łzy moje, albowiem kocham tę księgę! Niech i on zapłacze, duszpasterz ów, i zobaczy, że drgną w odpowiedzi serca słuchaczów. Trzebaż jeno małego nasienia, drobniusiego: rzuć go w serce chłopa, nie obumrze ono, będzie żyć w duszy jego całe życie, taić się śród mroku, śród smrodliwości grzechów jego, jako jasny punkt, jako wielkie upomnienie. I nie trzeba, nie trzeba wiele wykładać i uczyć, wszystko bowiem zrozumie. Myślicie może, iż chłop nie zrozumie? Niech sprobuje, niechaj przeczyta mu opowieść, wzruszającą i rozczulającą, o pięknej Esther i dumnej Wasthi; albo cudowną powiastkę o proroku Jonasie w brzuchu wieloryba. Niechaj mówi im o przypowiastkach Pana, zwłaszcza z Ewangelji według Łukasza (tak ja czyniłem), a potem z Dziejów Apostolskich nawrócenie Szawła (koniecznie, koniecznie!) i wreszcie z Żywotów Świętych bodaj żywot Aleksego sługi Bożego, i wielkiej z pośród wielkich, radosnej cierpiętnicy, matki Marji z Egiptu — i przebije im serca owemi prostemi opowiadaniami. I dość nawet godziny w tygodniu, całkiem jednej godziny. I sam się przekona, że wdzięczny jest lud nasz i miłościwy, odwdzięczy mu się stokrotnie: pomny starania kapłana i jego słów wzruszających, pomoże mu dobrowolnie na jego niwie, pomoże mu i w domu i większy szacunek okazywać mu bę-

dzie — a wówczas powiększą się również dochody kapłana.

Kto w Boga nie wierzy, nie uwierzy i w lud Boży. A kto uwierzy w lud Boży, ten ujrzy i świątnicę Jego, choćby nawet nie wierzył w nią do tej pory. Jedynie lud i duchowa jego moc przyszła nawróci oderwanych od ziemi rodzimej naszych ateistów. I cóż to za słowo Chrystusowe bez przykładu? Zginąłby lud bez słowa Bożego, albowiem dusza ludu łaknie słowa i wielkiego pięknego doznania. W młodości swej, dawno już, czterdzieści lat temu, chodziłem z bratem Antemem po całej Rosji, zbierając ofiary na klasztor; i przenocowaliśmy razu pewnego nad wielką spławną rzeką na brzegu wraz z rybitwią, i przysiadł się do nas młodzieniec stateczny, chłop osiemnastoletni, który ciągnął w dzień barkę kupiecką. I widzę, patrzy on przed siebie tkliwie i pogodnie. Noc jasna, cicha, ciepła, lipcowa, rzeka szeroka, opary się nad nią unoszą, rzeźwią nas, chwilami pluśnie rybka, a my rozprawiamy o piękności świata Bożego i o wielkiej jego tajemnicy. Wszelkie źdźbło, każdy owad, mrówka, pszczółka złota, wszystko to zna zdumiewająco drogę swoją, nie posiadając umysłu, tajemnicę Bożą przyświadcza, dokonywa jej — tak to my gawędzimy i widzę, że rozgorzało serce miłego młodzieńca. Wyznał mi, że kocha las, ptaszęta leśne: był ptasznikiem dotychczas, każdy głos ptasi rozumiał, każdą ptaszynę umiał wabić: „nie znam nic lepszego od życia w lesie, rzecze, ale wszystko jest dobre". „Zaiste, odpowiadam, wszystko jest dobre i wspaniałe, ponieważ wszystko jest prawdą. Popatrz, prawię mu, na konia, zwierzę duże, bliskie nam, albo na wołu, co żywi człowieka i pracuje dlań, ponurego i zamyślonego, popatrz na mordy ich: jaka łagodność, jakie przywiązane do człowieka, który przecież bije je często bez litości, jaka dobroć, jaka ufność i jakie piękno. Rozczula mnie świadomość, że nie mają one żadnego grzechu, albowiem wszystko jest doskonałe, wszystko — okrom człowieka — bezgrzeszne, i z nimi Chrystus jest wcześniej niż z nami".

— Jakże to —pyta mnie młodzieniec ów — i u nich jest Chrystus?

— Zaliż może być inaczej? — odpowiadam — Dla wszystkich jest Słowo, całe wszechstworzenie, wszelki twór, każdy liścik dąży ku Słowu, Pana Boga chwali, po Panu Jezusie płacze, sam nie wiedząc, życia swego tajemnicą bezgrzesznego. Ot, powiadam mu, po lesie tuła się straszny niedźwiedź, groźny i okrutny, ale niewinny" I opowiedziałem mu, jak pewnego razu niedźwiedź przyszedł do wielkiego świętego, który w lesie schronił się, w małej pustelni, i rozczulił się nad niedźwiedziem wielki święty, wyszedł doń bez strachu i podał mu kęs chleba. „Idź sobie, Pan Jezus z tobą". I odszedł srogi zwierz łagodnie i posłusznie, żadnej krzywdy mu nie czyniąc. Rozczulił się ów młodzieniec, że niedźwiedź krzywdy mu nie czynił, i że i z nim jest Pan Jezus. „Ach, jak, powiada, dobre, jakże dobre i cudowne jest wszystko, co Pan Bóg stworzył". Siedzi, zamyślił się cicho i słodko. Widzę, że pojął. I zasnął on koło mnie snem lekkim, bezgrzesznym. Boże, błogosław młodości! I modliłem się zań, nim zasnąłem. Panie Boże, ześlij pokój i światło dzieciom Twoim!

c) Wspomnienia z młodości starca Zosimy. Pojedynek.

W Petersburgu, w korpusie kadetów byłem długo, prawie osiem lat, i nowe wychowanie zagłuszyło we mnie wiele wrażeń dziecięcych, chociaż niczegom nie zapomniał. Wzamian zaś nabrałem tyle nowych nałogów i nawet przekonań, że przeistoczyłem się w istotę prawie że dziką, okrutną i bezmyślną. Nabrałem poloru wychowania, ogłady towarzyskiej i znajomości języka francuskiego. Szeregowców, którzy nam usługiwali w korpusie, miałem, jak i wszyscy koledzy, za bydło. Może nawet bardziej od kolegów, bo byłem od nich wrażliwszy. Gdy zostaliśmy oficerami, gotowiśmy byli przelewać krew za obrażony honor naszego pułku, wszelako o prawdziwym honorze nikt z nas nie miał pojęcia, a gdyby nawet dowiedział się, czem jest istotny honor, to pierwszyby się z tego wyśmiał. Chlubiliśmy się nieledwie pijaństwem, rozpustą i junactwem. Nie powiem,

żeśmy byli źli; wszyscy moi koledzy byli bardzo dobrzy z natury, tylko że żyli źle, najgorzej zaś żyłem ja. W dodatku odziedziczyłem pieniądze po matce, zacząłem więc używać życia, z całą młodzieńczą, niepowstrzymaną popędliwością. I rzecz dziwna: czytałem wówczas rozmaite książki i z wielką nawet przyjemnością, ale do Biblji prawie nigdy nie zaglądałem, aczkolwiek się z nią nigdy nie rozstawałem i wiozłem ją wszędzie ze sobą; zaiste, strzegłem tej księgi, sam tego nie wiedząc „na dzień i godzinę, na miesiąc i rok". Po czterech latach służby znalazłem się wreszcie w mieście K., gdzie pułk nasz stał załogą. Towarzystwo miejskie było mieszane, wesołe i liczne, bardzo gościnne i zamożne; przyjmowano mnie wszędzie bardzo życzliwie, albowiem miałem wesołe usposobienie, i w dodatku uchodziłem za zamożnego oficera, czego się w świecie nie waży lekce. I oto zaszedł wypadek, od którego wszystko się zaczęło. Upodobałem sobie w pewnej młodej i pięknej pannie, szlachetnego i dobrego charakteru, córce czcigodnych rodziców. Byli to bogaci, bardzo ustosunkowani ludzie, przyjmowali mnie u siebie uprzejmie i serdecznie. I oto przywidziało mi się, że panna owa czuje do mnie skłonność — rozpłonęło serce moje w przeczuciu szczęścia. Później dopiero pojąłem i domyśliłem się, że jej wcale tak bardzo nie kochałem, że tylko ceniłem jej rozum i wzniosły charakter, co zresztą było zupełnie naturalne. Samolubność nie pozwoliła mi jednak oświadczyć się w owym czasie o jej rękę: trudno mi się wydawało rozstać z pokusami wolnego, kawalerskiego i rozwiązłego życia, do którego pociągał mnie mój wiek, tembardziej, że nie brakowało mi pieniędzy. Wszakże niejednokrotnie robiłem w tym kierunku aluzje. W każdym razie postanowiłem odwlec na jakiś czas rozstrzygające wyjaśnienie. Tymczasem wysłano mnie na dwa miesiące do innego powiatu. Po dwóch miesiącach wracam, a owa panna już jest zamężna, wyszła za bardzo bogatego obywatela, starszego coprawda ode mnie, ale dosyć jeszcze młodego, który miał jeszcze nade mną tę przewagę, że posiadał stosunki w najlepszych sferach stolicy i był bardzo wykształcony. Ja zaś ani jednem ani drugiem nie mogłem się chełpić. Byłem tak rozgoryczony

tym nieoczekiwanym zwrotem, że mi się poprostu rozum mieszał. Co najważniejsza, dowiedziałem się wówczas, że oboje byli już oddawna zaręczeni, i że ja sam widziałem go w salonie jej rodziców nieraz ale nie zwróciłem nań uwagi, dufny w siebie, oślepiony własnemi zaletami. I to mnie najbardziej obraziło: jakże to, wszyscy prawie wiedzieli, tylko ja nic nie wiedziałem? I poczułem w sobie nagle złość piekącą. Z rumieńcem na twarzy zacząłem sobie przypominać, jak wielokrotnie oświadczałem się jej niemal w miłości, ona zaś bynajmniej nie przeszkadzała mi i nie ostrzegała. Wnosiłem z tego, że poprostu kpiła ze mnie. Potem oczywiście zmiarkowałem i przypomniałem sobie, że nie kpiła, owszem przerywała zawsze tego rodzaju rozmowy żartobliwym konceptem i czem prędzej zmieniała temat. Ale wówczas nie mogłem tego sobie przełożyć i zapałałem pragnieniem zemsty. Przypominam sobie ze zdumieniem, że owo pragnienie zemsty i ów gniew przygnębiały mnie i były mi wysoce wstrętne, z natury bowiem byłem beztroski i nie mogłem się długo gniewać. Ale tym razem podsycałem w sobie sztucznie złość i snułem brzydkie i niedorzeczne pomysły. Przeczekałem jakiś czas i oto pewnego razu w większem towarzystwie powiodło mi się nieoczekiwanie obrazić mego przeciwnika napozór z przyczyny postronnej: wyśmiałem jego opinję o pewnem bardzo znamiennem wówczas wydarzeniu — było to w dwudziestym szóstym roku — i, jak powiadali świadkowie, uczyniłem to zręcznie i dowcipnie. Następnie zmusiłem go do wyjaśnienia i zachowałem się przytem tak grubjańsko, że przyjął moje wyzwanie mimo ogromnej między nami różnicy, bo przecież byłem i młodszy od niego i stanowisko miałem o wiele skromniejsze. Później ustaliłem z całą pewnością, że przyjął wyzwanie niejako przez zazdrość: był bowiem o mnie zazdrosny jeszcze z czasów narzeczeństwa. Obecnie zatem myślał sobie: jeżeli żona dowie się, iż został przeze mnie obrażony, a nie zdecydował się na pojedynek, to być może, mimowoli zacznie nim pogardzać i nawet zachwieje się w miłości. Sekundanta rychło znalazłem, kolegę porucznika z naszego pułku. Naówczas karano za pojedynki z całą surowością, lecz mimo to były one bardzo modne w sfe-

rach wojskowych — do takiego stopnia narastają wbrew zakazom i utrzymują się przesądy. Był koniec czerwca. Spotkanie wyznaczono nazajutrz, za miastem o siódmej rano — i oto coś się ze mną stało niezwykłego. Wieczorem wróciwszy do domu, rozwścieczony i duchowo szkaradny, rozzłościłem się na mojego ordynansa Atanazego i z całej siły uderzyłem go dwa razy w twarz, że aż broczyła krwią. Służył mi on już od dawna i nie raz go uderzałem poprzednio, ale nigdy z tak zwierzęcem okrucieństwem. I uwierzycie, mili moi, czterdzieści lat minęło od tego czasu, a przypominam sobie i teraz ze wstydem i męką. Położyłem się, przespałem trzy godziny, wstałem, zaczęło już świtać. Zerwałem się nagle, spać mi się nie chciało, podszedłem do okna, otworzyłem je — wychodziło ono na ogród, widzę, słoneczko wschodzi, ciepło, pięknie, gwiżdżą ptaszęta. Cóż to, myślę sobie, czuję w duszy jakiś haniebny i niski obrzask? Czy nie dlatego, że zamierzam krew przelać? Nie, myślę sobie, jakgdyby nie dlatego. Czy nie dlatego, że śmierci się boję, boję się, że zginę? Nie, ani to , nic podobnego... I naraz domyśliłem się: to dlatego, że pobiłem wczoraj wieczór Atanazego! Ujrzałem to wszystko przed oczyma, jakgdyby się powtórzyło w rzeczywistości: stoi on przede mną, a ja biję go z rozmachem prosto w twarz, on zaś nie śmie drgnąć, stoi na baczność, głową nie rusza, wyłupił na mnie oczy jak w szeregu, wzdryga się przy każdem uderzeniu, i nawet nie ośmiela się podnieść rąk, aby zasłonić twarz — toż człowiek jest do tego stanu doprowadzony, toż człowiek bije człowieka! Co za szkaradność! Jakby igła ostra przeszyła mi duszę nawylot. Stoję jak oszalały, słoneczko ci świeci, listeczki się radują, skrzą się, a ptaszęta, ptaszęta-ci Pana Boga chwalą... Zakryłem twarz rękoma, upadłem na łóżko i zapłakałem na głos. I przypomniał mi się brat mój Markel, i słowa jego wyrzeczone przed śmiercią do służby: „Mili moi, drodzy, za co mi usługujecie, za co mnie kochacie, czyż wart jestem, abyście mi usługiwali". „Tak, czy wart jestem" — błysnęło mi w głowie. W istocie, czemże to sobie zasłużyłem, żeby drugi człowiek, taki jak ja, obraz i podobieństwo Boże, usługiwał mi? Wówczas po raz pierwszy w ży-

ciu przebiło mi umysł to pytanie: „Mateczko moja, najdroższa moja radości, zaiste każdy jest winien za wszystkich przed wszystkimi, tylko że ludzie o tem nie wiedzą, a gdyby wiedzieli, to byłby odrazu raj!" „Panie Boże, czy i to jest nieprawda" — płaczę ja i myślę sobie — „zaiste, być może za wszystkich jestem winien i bardziej od wszystkich, i najgorszy jestem ze wszystkich na świecie!". I nagle objawiła mi się cała prawda, w pełnem świetle: co ja zamierzam uczynić? Idę zabić dobrego, mądrego, szlachetnego człowieka, który nic złego mi nie wyrządził, żonę jego zaś zamierzam na wieki pozbawić szczęścia, skazać na katusze i śmierć. Leżałem na łóżku plecami do góry i nie zauważyłem, jak czas minął. Naraz wchodzi po mnie kolega z pistoletami: „A, powiada, dobrze, żeś wstał. Czas już, idziemy". Zaprzątnąłem się, struchlałem, wyszliśmy jednak i doszli do powozu. „Poczekaj chwilkę, powiadam, za chwilę wrócę, zapomniałem trzosu". I wbiegłem zpowrotem do mieszkania, wprost do komórki Atanazego: „Atanazy, powiadam, wczoraj uderzyłem cię dwa razy w twarz, daruj mi" powiadam. Drgnął cały, zląkł się jakgdyby, patrzy — widzę, że to nic, że to za mało, i nagle w mundurze, przy epoletach, buch mu do nóg, łbem o ziemię: „Wybacz mi!" — powiadam. Atenazy zupełnie struchlał: „Panie poruczniku, ojcze, dziedzicu... jakto... czy wart jestem..." i sam zapłakał, jak ja poprzednio, zasłonił twarz rękoma, odwrócił się do okna i trząsł się od łkań. Ja zaś wybiegłem do kolegi, skoczyłem do pojazdu. „Ruszaj" krzyknąłem: „Widziałeś, wołam, zwycięzcę? oto go masz przed sobą!" Taki zachwyt mnie ogarnął, śmieję się całą drogę, mówię, mówię, nie pamiętam już, o czem to mówiłem. Patrzy na mnie mój kolega: „No, bracie, zuch z ciebie, widzę, że nie shańbisz munduru". Takeśmy przyjechali na miejsce spotkania, a oni już tam są, wypatrują nas. Rozstawiono nas, odmierzono dwanaście kroków, on miał prawo do pierwszego wystrzału — stoję przed nim wesoły, twarzą w twarz, okiem nie mrugam, z miłością patrzę na niego, wiem już, jak postąpię. Wystrzelił — ledwo drasnął mnie po policzku i w ucho. — „Dzięki Bogu, krzyczę, nie zabił pan człowieka!" i chwyciłem mój pisto-

let, odwróciłem się i rzuciłem do lasu: „Tam twoje miejsce!" Odwróciłem się do przeciwnika: „Szanowny panie, powiadam, wybaczy pan głupiemu młokosowi, który pana obraził i nadomiar zmusił do strzelania. Jestem od pana gorszy dziesięciokrotnie, a może nawet bardziej. Niech pan to opowie owej osobie, którą czcisz najbardziej w świecie". Ledwo to powiedziałem, wszyscy trzej w krzyk. „Ależ panie, rzekł mój przeciwnik — nawet się zaperzył — jeżeli pan nie chciał pojedynku, to pocóżeś mnie wyzywał?" — „Wczoraj, odpowiadam, byłem jeszcze głupi, a dzisiaj zmądrzałem". Tak mu to wesoło powiedziałem. „Wierzę, jeżeli chodzi o wczorajsze, odpowiedział, ale co do dzisiejszego, to trudno to stwierdzić z pańskiego zdania". — „Brawo, krzyczę i klaszczę nawet w dłonie, godzę się z panem i pod tym względem, zasłużyłem sobie na to!" — „Czy będzie pan, szanowny panie, strzelał, czy nie?" — „Nie będę, odpowiadam, a pan, jeśli pan chce, niech pan jeszcze raz strzeli, ale lepiej będzie, jeśli pan tego nie zrobi". Krzyczą sekundanci, zwłaszcza mój: „Jakto, hańbisz pułk, stojąc przy barjerze, prosisz o przebaczenie; gdybym był poprzednio wiedział!" Stanąłem przed nim i rzekłem, ale już bez śmiechu: „Panowie, czy to tak dziwne w czasach dzisiejszych, że człowiek sam żałuje swego głupiego postępku i wyraża publicznie skruchę?" — „Ale przecież nie przy barjerze" — krzyczy mój sekundant. „Owszem, tak jest, odpowiadam im, właśnie to jest najdziwniejsze. Bo właściwie powinieniem był przeprosić pana odrazu po przybyciu i nie narażać pana na wielki i śmiertelny grzech. Ale tak potwornie urządziliśmy się sami, że prawie niesposób było tak postąpić, albowiem dopiero teraz, skoro wytrzymałem wystrzał pana z dwunastu kroków, słowa moje mają jakieś znaczenie. Zaś poprzednio, przed wystrzałem, powiedzielibyście poprostu: tchórz, pistoletu się zląkł, nie warto go słuchać. Panowie, zawołałem z całego serca, rozejrzyjcie się wokoło na dary Boże: niebo jasne, powietrze czyste, trawka słodka, ptaszęta, przyroda piękna i bezgrzeszna, a my, tylko my jedni jesteśmy bezbożni i głupi, i nie pojmujemy, że życie jest rajem. Bo wystarczy tylko to zrozumieć, a raj otworzy się w całej swej krasie, i obejmiemy

się i zalejemy się łzami..." Chciałem jeszcze co dodać, ale nie mogłem, dech mi zaparło, słodko jakoś, młodzieńczo, i w sercu poczułem takie szczęście, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznałem. „Rozsądne to wszystko i zacne, rzekł mój przeciwnik, ale w każdym razie jest pan oryginalnym człowiekiem". — „Niech się pan śmieje, śmieję mu się w odpowiedzi, potem pan sam pochwali!" — „Ależ gotów jestem i teraz, powiada, pochwalić, proszę pana, wyciągam do pana rękę, bo jest pan, zdaje się, szczerym człowiekiem". — „Nie, powiadam, teraz nie trzeba, a potem, kiedy będę lepszy i zasłużę sobie na szacunek pana, wówczas będzie pan mógł podać mi rękę i dobrze pan zrobi". Wróciliśmy do domu, sekundant mój przez całą drogę klął, a ja wciąż go całowałem. Odrazu wszyscy koledzy dowiedzieli się, zebrali się tegoż dnia na sąd honorowy: „mundur niby shańbił, niech się do dymisji poda". Znaleźli się również obrońcy: „wystrzał, powiadają, dzielnie wytrzymał". — „Tak, ale zląkł się następnych wystrzałów, i przeprosił przy barjerze". — „A gdyby zląkł się wystrzałów, odpierają obrońcy, wypaliłby sam ze swego pistoletu, zanim przeprosił, on zaś do lasu go cisnął, nie, tu co innego zachodzi, to wypadek oryginalny". Słuchałem, patrzę na nich i wesoło na duszy. „Najdrożsi przyjaciele i koledzy, rzekłem, nie kłopoczcie się o moją dymisję, bo już to zrobiłem, dziś rano do dymisji się podałem, a jak się z wojska zwolnię, to natychmiast do klasztoru wstąpię, dlatego się podałem od dymisji". Ledwo to powiedziałem, wszyscy roześmieli się na głos: „Powinieneś był to odrazu powiedzieć, teraz wszystko się wyjaśniło, mnicha nie można sądzić", śmieją się, nie przestają, i wcale nie kpiąco, owszem szczerze, wesoło, polubili mnie oni nagle, wszyscy, nawet najzawziętsi oskarżyciele. I cały ten miesiąc, póki nie zostałem zwolniony z wojska, na rękach mnie nosili. „Ach, ty mnichu", powiadali. I każdy mi powie słówko uprzejme, zaczęli mnie odwodzić od zamiaru, nawet ubolewać nade mną: „Co ty ze sobą robisz?" — „Nie, powiadają, odwagi mu nie brak, stał pod wystrzałem, a sam z pistoletu nie mógł wystrzelić, ponieważ mu się w przeddzień śniło, że powinien wstąpić do klasztoru", tak mnie

niby usprawiedliwiali. To samo było w towarzystwie tamtejszem. Dawniej nie zwracano na mnie specjalnej uwagi, a teraz okazywano mi wszędzie serdeczność, zapraszano mnie wszędzie. Wszyscy śmieli się ze mnie, lecz kochali. Dodam tu jeszcze, że chociaż wszyscy wiedzieli i mówili o naszym pojedynku, ale władze wojskowe zatuszowały łę sprawę, albowiem przeciwnik mój był bliskim krewnym mego generała, pozatem nic nikomu się nie stało, wszystko odbyło się humorystycznie, w dodatku podałem się do dymisji, słowem obrócono to w żart. I zacząłem wówczas wypowiadać swe myśli na głos odważnie, mimo ich śmiechu, albowiem śmiech ich nie był złośliwy, owszem był zacny. Przeważnie rozmowy te toczyły się wieczorami w towarzystwie kobiecem, bo kobiety mnie najbardziej lubiły słuchać i pobudzały do tego mężczyzn. „Jakże to możliwe, abym ja był za wszystkich winien, śmiał się niejeden w oczy, czyż ja mogę naprzykład być winien za pana?“ — „I skądżebyście mogli to zrozumieć, odpowiadam, skoro cały świat dawno już na inną drogę wkroczył, skoro wierutne kłamstwo przyjmujemy za prawdę i od innych tego kłamstwa wymagamy. Oto ja w życiu swojem raz jeden postąpiłem szczerze i cóż? Wszyscy mnie mają odtąd za głuptaska; chociaż polubiliście mnie, śmiejecie się ze mnie“. — Jakże nie kochać pana?“ — śmieje się na głos pani domu, a gości było wówczas bardzo wiele. Naraz patrzę, podnosi się z grona dam owa właśnie młoda mężatka, o którą chciałem się pojedynkować, i którą sobie niedawno jeszcze za żonę obiecywałem. Nie zauważyłem dotąd, że była tu. Wstała, podeszła od mnie, wyciągnęła rękę i rzekła: „Pozwoli pan sobie powiedzieć, że ja pierwsza nie śmieję się z pana, owszem ze łzami dziękuję panu i wyrażam panu swój najwyższy szacunek za ówczesne postępowanie“. Podszedł również jej mąż, a potem już i wszyscy do mnie się garnęli, o mało co mnie nie zaczęli całować. Wesoło mi się zrobiło, radośnie. Zwróciłem szczególną uwagę na jednego z panów, którego znałem dotąd z nazwiska. I ten również uścisnął mi rękę owego wieczoru.

c) *Tajemniczy gość.*

Dawno już służył on w mieście naszem, zajmował wybitne stanowisko, był od wszystkich szanowany, bardzo zamożny, słynął z dobroczynności, ofiarował znaczne fundusze na dom starców i sierot, i oprócz tego wspierał wielu biedaków potajemnie, co dopiero po śmierci jego wyszło najaw. Miał lat pięćdziesiąt, powierzchowność dosyć surową, i był bardzo małomówny. Żonaty od niespełna dziesięciu lat miał troje dzieci. Otóż siedzę nazajutrz wieczorem u siebie w mieszkaniu, gdy naraz otwierają się drzwi i wchodzi do mnie ów pan.

A trzeba wiedzieć, że tego czasu mieszkałem już gdzieindziej. Podawszy się do dymisji, opuściłem poprzednią kwaterę i przeniosłem się do pewnej wdowy po urzędniku. Nie korzystałem już z usług Atanazego. Po powrocie z pojedynku odrazu zrezygnowałem z ordynansa, ponieważ wstyd mi było patrzeć mu w oczy po ówczesnym moim postępku — człowiek bowiem niezaprawiony w miłosierdziu skłonny jest się wstydzić najsprawiedliwszego swego czynu.

— Słucham pana — zaczął mój gość — od kilku dni w rozmaitych towarzystwach z największem zaciekawieniem, i zapragnąłem wreszcie poznać pana osobiście, aby się poważnie rozmówić. Czy może mi pan, szanowny panie, wyświadczyć tak wielką przysługę?

— Mogę — powiadam — z największą przyjemnością i poczytam to sobie za honor.

Byłem ośmielony, ponieważ bardzo mnie pod wszelkiemi względami zastanowił. Bo chociaż słuchano mnie nieraz z ciekawością, ale nikt jeszcze nie zwracał się do mnie z taką powagą i wewnętrzną surowością. W dodatku przyszedł specjalnie mnie odwiedzić. Usiadł.

— Wielką — rzekł — widzę w panu siłę charakteru, skoro nie zląkł się pan służyć prawdzie, choć łatwo mogłeś się narazić na powszechną pogardę.

— Pan, zdaje się, chwali mnie przesadnie — odpowiadam mu.

— Nie, nie przesadnie, niech mi pan wierzy, że o wiele trudniej jest zdobyć się na podobny czyn, niż pan sądzi. Bardzo mnie to zastanowiło i dlatego tu przyszedłem. Niechże mi pan powie, proszę, o ile pan nie pogardzi tak nieprzyzwoitą zapewne ciekawością, co pan odczuwał owej chwili, gdyś zdecydował się przeprosić przeciwnika na placu, jeśli pan to jeszcze pamięta? Niechże pan nie uważa mego pytania za lekkomyślną i czcą ciekawość; zadając je panu, mam swój cel, w który zapewne wtajemniczę pana później, jeżeli Bóg zezwoli się nam zbliżyć.

Póki mówił, zaglądałem mu w oczy. Naraz poczułem doń najwyższe zaufanie, a także niezwykłe zaciekawienie, albowiem zrozumiałem, że ma on jakąś swoją tajemnicę.

— Pyta mnie pan, co odczuwałem owej chwili, kiedy przepraszałem przeciwnika na placu, — odpowiedziałem mu — ale ja panu wolę opowiedzieć wszystko od samego początku, czegom jeszcze nikomu nie powiedział.

I opowiedziałem zajście z Atanazym i mój pokłon czołobitny.

— Z tego samego może pan sądzić — zakończyłem— że na placu przyszło mi to już łatwo, albowiem zacząłem jeszcze w domu, zaś, gdy się raz wstępuje na tę drogę, idzie się nią dalej radośnie i wesoło.

Wysłuchał mnie, spoglądał na mnie tak zacnie.

— Wszystko to — rzekł — jest nadzwyczaj ciekawe, ja do pana jeszcze wrócę.

I zaczął od tego czasu przychodzić do mnie niemal co wieczór. I zaprzyjaźnilibyśmy się bardzo, gdyby mi o sobie co powiedział. Ale o sobie nie mówił ani słowa, tylko wciąż się mnie wypytywał. Mimo to pokochałem go bardzo i zwierzałem mu się szczerze ze wszystkich swoich uczuć, albowiem myślałem sobie: nacóż mi jego tajemnica, widzę przecież, że sprawiedliwy to człowiek. Przytem taka poważna osobistość, pod względem stanowiska i lat, i do mnie młokosa przychodzi i nie gardzi mną. I wielu się rzeczy od niego nauczyłem, bo mądry był, wzniosłą mądroś-

cią. „Że życie jest rajem, rzekł do mnie, o tem już dawno myślałem". I nagle dodał: „I tylko o tem myślę". Spoglądał na mnie i uśmiechał się. „Jestem nawet bardziej od pana o tem przeświadczony, dowie się pan później dlaczego". Słucham go i myślę sobie: „Napewno zechce mi coś wyznać". — „Raj, rzekł, w każdym z nas się tai, i we mnie teraz się tai, jeśli zechcę, to już jutro objawi mi się w rzeczywistości i odtąd już na całe życie". Patrzę, rozczulony jest i patrzy na mnie tajemniczo, jakby mnie badał. „I o tem, że każdy człowiek jest za wszystkich i wszystko winien, nietylko za własne grzechy, o tem też pan słusznie mówił, i dziwię się nawet, jak pan mógł w takiej pełni myśl tę objąć. I zaiste skoro ludzie zrozumieją tę myśl, nastąpi dla nich królestwo niebieskie już nie tylko w marzeniu, lecz w rzeczywistości".

— Kiedyż to się stanie, — zawołałem z goryczą — i czy się stanie kiedykolwiek? Czy to wszystko nie jest mrzonką?

— Oto już pan sam nie wierzy, wieścisz to i sam nie wierzysz. Niechże pan wie, że mrzonka owa, jak się pan wyraża, napewno się spełni, niech pan wierzy, ale nie teraz, bo wszelka rzecz ma swój czas. To kwestja duchowa, psychologiczna. Aby przeinaczyć świat, trzeba, aby ludzie najpierw sami psychicznie się przeinaczyli. Dopóki nie staniesz się naprawdę bratem każdego człowieka, nie może nastąpić braterstwo. Nigdy ludzie na podstawie nauki czy wygody nie potrafią podzielić się własnością i prawami bez krzywdy społecznej. Zawsze każdy będzie miał za mało, zawsze będą sarkać, zazdrościć i tępić się wzajemnie. Pyta mnie pan, jak to się spełni. Spełni się, ale przedtem musi się skończyć okres ludzkiego osamotnienia.

——Jakiegoż to osamotnienia? — zapytałem go.

— Takiego, jakie teraz wszędy panuję, zwłaszcza w naszym wieku, a nie skończyło się jeszcze, nie nastąpił kres. Albowiem każdy człowiek dąży teraz do tego, aby odosobnić się jaknajbardziej, pragnie w sobie samym doświadczyć pełni życia, a tymczasem ze wszystkich jego wysiłków zamiast pełni życia wynika samobójstwo, bo zamiast określić w pełni swoją istotę, wpada w najzupełniej-

sze osamotnienie. Albowiem ludzkość w wieku naszym rozpadła się na jednostki, każdy odosabnia się w swojej norze, każdy oddala się od drugiego, chowa się i chowa, co posiada, i wkońcu sam się odpycha od gromady i sam odpycha ludzi od siebie: „jaki ja silny teraz jestem i zabezpieczony", a nie wie, szaleniec, że im więcej ciuła, tem głębiej pogrąża się w samobójczej niemocy. Albowiem przywykł liczyć jeno na siebie i od całości wyodrębnił się jako jednostka, przyzwyczaił duszę swoją do niewiary w ludzką pomoc, w ludzi i ludzkość i tylko trzęsie się nad swemi pieniędzmi i zdobytemi prawami. Wszędzie dziś umysł ludzki zaczyna urągliwie nie rozumieć, że prawdziwe bezpieczeństwo ludzi zasadza się nie na indywidualnym odosobnionym jego wysiłku, lecz na zbiorowem ludzkiem scaleniu. Ale napewno nastąpi czas, kiedy skończy się to straszliwe osamotnienie i wszyscy pospołu pojmą, jak nienaturalnie oddalili się od siebie wzajem. Taki będzie duch czasu, i będą ludzie się dziwić, że tak długo siedzieli w mroku, i światła nie widzieli. Wówczas jawi się chorągiew Syna Człowieczego w niebiesiech... Ale do tej pory trzeba chorągiew przechować, i bodaj jednostkowo powinien ten czy ów dawać przykład i wyprowadzić duszę z samotności na drogę prawdziwego braterstwa, choćby nawet miał uchodzić za prostaczka Bożego. Aby nie umarła myśl wielka".

Na takich zachwycających i płomiennych rozmowach spędzaliśmy wszystkie nasze wieczory. Przestałem nawet bywać u znajomych, w każdym razie zaglądałem do nich rzadko, tembardziej że zacząłem wychodzić z mody. Nie chcę przez to nic złego powiedzieć, bo kochano mnie po dawnemu; ale muszę jednak przyznać, że była to w dużej mierze rzecz mody. Do tajemniczego gościa mojego zacząłem się odnosić z zachwytem, albowiem, oprócz tego, że czerpałem wiele pożytku i przyjemności z obcowania z takim umysłem, przeczuwałem już wówczas, że żywi on w sobie jakiś zamysł i sposobi się do wielkiego, być może, czynu. Zapewne spodobało mu się, że nie jestem ciekaw jego sekretu. Przynajmniej nie okazywałem ciekawości, bo ani pośrednio ani bezpośrednio nigdy go na ten temat nie nagabywałem. Wszakże zauważyłem wreszcie, że trudno

mu powstrzymać cisnące się widocznie na usta wyznanie. Zaczęło się ujawniać wyraźnie w miesiąc po jego pierwszej wizycie.

— Wie pan, — rzekł do mnie razu pewnego — że w mieście wiele o naszej przyjaźni mówią i dziwią się, że ja tak często pana odwiedzam; ale niech ich tam, bo *wszystko się rychło wyjaśni.*

Czasami ogarniało go jakieś dziwne wzruszenie, i prawie zawsze w takich chwilach podnosił się i wychodził. Czasami spoglądał na mnie długo i badawczo — myślę: napewno teraz co powie, ale nie, odrazu poczyna mówić o rzeczach zwykłych i powszednich. Zaczął się skarżyć na bóle głowy. I oto pewnego razu, zupełnie nieoczekiwanie po długiej i płomiennej przemowie, zbladł naraz, rysy mu się wykrzywiły i oczyma wpił się w moje oczy.

— Co panu jest — pytam — czy pan się źle czuje? Bo właśnie żalił się na ból głowy.

— Ja... wie pan... ja... człowieka zabiłem.

Wyrzekł to, uśmiechnął, a blady był jak kreda. Czemu się uśmiecha — pomyślałem sobie i myśl ta przeszyła mi serce, zanim cokolwiek zrozumiałem. Zbladłem i ja.

— Co pan? — krzyczę.

— Widzi pan — odpowiada mi wciąż z owym bladym uśmieszkiem — jak trudno mi było powiedzieć pierwsze słowo. Teraz powiedziałem, i zdaje się, że stanąłem na drodze. Pojadę dalej.

Długo mu nie wierzyłem, tego dnia mnie nie przekonał, uwierzyłem dopiero po trzech dniach, gdy mi wszystko szczegółowo opowiedział. Miałem go zrazu za obłąkanego, atoli wkońcu przekonałem się z wielką goryczą i zdumiałością. Popełnił wielkie i straszliwe przestępstwo, czternaście lat temu, zabił młodą, piękną i bogatą obywatelkę, wdowę, która w mieście naszem mieszkała we własnym pałacu. Poczuł do niej miłość wielką, oświadczył się i zaczął ją namawiać do zamążpójścia. Wszakże ona oddała już serce pewnemu wybitnemu oficerowi, który wkrótce miał do niej wrócić z wyprawy. Odmówiła więc tamtemu i zabroniła przychodzić. Przestał u niej bywać, ale pewnego razu wkradł się do niej z ogrodu przez dach z niezwykłem

zuchwalstwem i ryzykiem. Jak to się zwykle zdarza, zbrodnie wykonywane z niezwykłem zuchwalstwem najczęściej się udają. Znał dobrze rozkład domu. Z dachu dostał się na strych, stąd po drabince do korytarza, wiedział bowiem, że bardzo często służba przez niedbalstwo zapomina zamykać drzwi do korytarza na klucz. Liczył na to niedbalstwo i nie przeliczył się. Pociemku dotarł do sypialni, w której paliła się lampka. Traf zrządził, że obie pokojówki poszły bez wiedzy pani do sąsiedniego domu na imieniny. Reszta służby nocowała w czeladnej izbie i w kuchni na niższem piętrze. Na widok śpiącej, obudziła się w nim namiętność, następnie zaś ogarnęła go zazdrosna, mściwa złość. Nieprzytomny, jakby pijany podszedł do niej i wbił jej nóż prosto w serce, że nawet nie krzyknęła. Zaczem z piekielnem i występnem wyrachowaniem urządził wszystko w ten sposób, aby podejrzenie padło na służbę; nie brzydził się wziąć jej torebki, otworzył kluczami, które znalazł pod poduszką, komodę i zabrał niektóre rzeczy, ale takie, które mogłby zabrać służący, nie znający się na wartości rzeczy: zostawił więc cenne papiery, wziął jeno pieniądze, kilka większych złotych rzeczy, chociaż leżały tam o wiele kosztowniejsze drobiazgi. Zabrał jeszcze coś dla siebie na pamiątkę, ale o tem później. Dokonawszy ohydnego przestępstwa, wydostał się z domu tą samą drogą. Ani nazajutrz, ani nigdy w życiu nie wpadło nikomu do głowy posądzić go o tę zbrodnię! Nikt zresztą nie wiedział nic o miłości jego, albowiem był zawsze skryty i nietowarzyski i nie miał przyjaciela, któremuby się zwierzał ze swoich uczuć. Uchodził za zwykłego znajomego zamordowanej i nawet niezbyt bliskiego, bo ostatnie dwa tygodnie przed zabójstwem ani razu jej nie odwiedził. Natomiast odrazu posądzono o zbrodnię służącego, Piotra, przeciw któremu znalazło się mnóstwo poszlak. Nieboszczka nie ukrywała przed nim, że zamierza go oddać do wojska w poczet rekrutów należnych z jej wioski, bo był kawalerem i pozatem źle się prowadził. Słyszano w szynku, jak podchmielony odgrażał się w złości, że ją zabije. Dwa dni przed jej nienaturalną śmiercią zbiegł i skrywał się gdzieś w mieście. Nazajutrz po morderstwie znaleziono go na trakcie, za rogatkami, spitego, z no-

żem w kieszeni i z zakrwawioną prawą ręką. Twierdził, że miał krwotok z nosa, ale nikt mu nie wierzył. Pokojówki zaś przyznały się, że były na imieninach, i że aż do powrotu zostawiły drzwi z ganka niezamknięte. Pozatem było jeszcze wiele innych w tym rodzaju poszlak, i oczywiście niewinnego człowieka wsadzono do więzienia. Wszakże do sprawy nie doszło, bo po tygodniu więzień rozchorował się i umarł w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności. Sprawę więc umorzono, przekazano woli Bożej, i wszyscy, sędziowie i władze, i całe społeczeństwo było pewne, że popełnił przestępstwo nikt inny, jeno zmarły służący. Zaczem rozpoczęła się właściwa kara.

Tajemniczy gość mój, a teraz już przyjaciel opowiedział mi, że z początku nie czuł wcale wyrzutów sumienia. Cierpiał bardzo, ale raczej z żalu, że zabił ukochaną kobietę, że nie żyje już ona, że zabiwszy ją, zabił miłość swoją, lecz nie zabił namiętności, która rozpalała mu krew. Lecz o krwi przelanej, o zabójstwie człowieka prawie wcale nie myślał. Nie mógłby znieść myśli, że ofiara jego mogłaby się stać małżonką innego człowieka, a przeto był przeświadczony w sumieniu swojem, że nie mógł inaczej postąpić. Zrazu dręczyło go uwięzienie służącego, ale rychła choroba, a następnie śmierć więźnia uspokoiły go, albowiem ów umarł nie ze strachu czy więziennych warunków (tak to sobie wówczas przekładał), ale poprostu dlatego, że się przeziębił, nocując na wilgotnej ziemi. Niebardzo go też niepokoiły skradzione rzeczy i pieniądze, albowiem (tak to sobie wówczas myślał) nie ukradł gwoli korzyści, lecz aby skierować podejrzenia w inną stronę. Suma zaś była nieznaczna, i równowartość jej i nawet więcej ofiarował na organizujący się wówczas dom starców. Chciał uspokoić sumienie z powodu rabunku i, rzecz dziwna, istotnie na jakiś czas się uspokoił. Zaczął wówczas bardzo usilnie pracować, wyprosił sobie wielce trudną i kłopotliwą misję, która mu zajęła dwa lata i, dzięki silnemu charakterowi, zapomniał całkiem o zbrodni; a jak sobie nawet przypominał, to starał się opędzić tym myślom. Zajął się również dobroczynnością, wiele w tym kierunku zdziałał w naszem mieście, i nietylko, bo i w stolicach, został nawet wybrany

do moskiewskich i petersburskich filantropijnych towarzystw. Ale zaczął wkońcu często zapadać w męczącą zadumę. Spodobała mu się wówczas piękna i mądra panna, ożenił się z nią, spodziewając się, że życie rodzinne złagodzi jego udręki, że wstąpiwszy na nową drogę, wykonywując żarliwie obowiązki względem żony i dzieci, stłumi ostatecznie stare wspomnienia. Atoli nastąpiło coś wręcz przeciwnego. Odrazu pierwszego miesiąca po ślubie poczęła go dręczyć myśl: „Żona mnie kocha, ale gdyby się dowiedziała?" Kiedy zaszła po raz pierwszy w ciążę, i powiedziała mu to, zmieszał się bardzo: „daję życie, a sam życie odebrałem". Dzieci rosły: „jak śmiem kochać je, uczyć i wychowywać, jak będę im mówił o cnocie, kiedy krew przelałem". Dzieci rosną piękne, chciałoby się je popieścić: „A nie mogę patrzeć na ich niewinne, jasne twarzyczki, niewart jestem". Wreszcie zaczęła mu się przywidywać krew zabitej ofiary, zgubione młode życie, krew, wołająca o pomstę. Poczęły go nawiedzać straszliwe sny. Ale, mając twarde serce, długo znosił mękę. „Odkupię występek tajemną męką swoją". Atoli próżna była ta nadzieja: im dalej, tem gorzej cierpiał. Zaczęto go wielce szanować za działalność dobroczynną, chociaż wszyscy bali się potrosze jego surowego i mrocznego charakteru. Ale im bardziej go szanowano, tem większe znosił katusze. Przyznał mi się, że zamierzał popełnić samobójstwo. Ale zamiast tego, insza myśl poczęła mu świtać — marzenie, które zrazu uważał za szaleńczą i niemożliwą mrzonkę, ale które tak się wessało mu w serce, że już nie mógł go oderwać. Marzył więc: wstać, wyjść na plac i wszystkim oznajmić, że zabił człowieka. Trzy lata tak marzył, w rozmaitych postaciach. Nakoniec uwierzył całem sercem swojem, że, gdy wyzna swoją zbrodnię, uzdrowi duszę swoją i uspokoi się na zawsze. Uwierzywszy zaś, poczuł znowu piekło w duszy: bo jak to urzeczywistnić? I oto dowiedział się o moim pojedynku. „Patrząc na pana, postanowiłem to zrobić". A ja spoglądam na niego uważnie.

— Czy naprawdę — zawołałem, plasnąwszy w dłonie — taki błahy wypadek mógł w panu zrodzić to postanowienie?

— Postanowienie moje trzy lata się rodziło — odpowiedział — a wypadek pański był mi jeno bodźcem. Patrząc na pana, gryzłem się i zazdrościłem panu — rzekł z pewną nawet surowością.

— Ale nie uwierzą panu — zauważyłem — czternaście lat już minęło.

— Mam dowody. Przedstawię.

Zapłakałem i wycałowałem go.

— Jedno niech pan rozstrzygnie! — rzekł do mnie (jakgdyby ode mnie wszystko teraz zależało). — Żona, dzieci! Żona umrze może z rozpaczy, a dzieci nie będą wprawdzie pozbawione majątku i szlachectwa, ale shańbione na wieki. I pamięć, pamięć jaką po sobie w sercach ich zostawię!

Milczałem.

— I rozstać się z niemi, porzucić na wieki? Wszak to na wieki, na wieki!

Siedziałem i tylko modlitwę pocichu odmawiałem. Zaczem podniosłem się, strasznie mi się zrobiło.

— Cóż? — spoglądał on na mnie.

— Niech pan idzie i oznajmi ludziom. Wszystko minie, tylko prawda zostanie. Dzieci zrozumieją, gdy dorosną, ile szlachetności było w welkiem postanowieniu pana.

Wyszedł on wówczas odemnie, jakby zupełnie przekonany. A jednak potem jeszcze przeszło dwa tygodnie do mnie chodził, co wieczór, sposobił się wciąż, nie mógł się wciąż zdecydować. Sterał mi serce. Czasem przychodził zdecydowany i mówił z rozczuleniem:

— Wiem, że nastąpi dla mnie raj, natychmiast nastąpi, skoro powiem. Czternaście lat byłem w piekle. Chcę cierpieć. Przyjmę cierpienie i żyć zacznę. Nieprawdą świat przejdziesz, ale się nie wrócisz. Teraz nie śmiem kochać nietylko bliźniego, ale i dzieci moich własnych. Boże wielki, przecież zrozumieją dzieci moje, jak mi się dały we znaki cierpienia moje, i nie potępią mnie. Bóg jest nie w sile lecz w prawdzie.

— Wszyscy zrozumieją czyn pana — powiadam — jeśli nie odrazu, to potem napewno pana zrozumieją, albowiem służył pan prawdzie, wyższej prawdzie, nieziemskiej...

I wychodził ode mnie jakgdyby pocieszony; a następnego wieczoru znowu przychodził zły, blady, szyderczy.

— Ilekroć wchodzę do pana, spoziera pan na mnie z taką ciekawością: „Znowu, niby, nie wyznał?“ Niech pan poczeka, niech pan nie kwapi się z pogardą. Nie jest tak łatwo to zrobić, jak się panu wydaje. A może wcale się na to nie zdobędę. Czy nie pójdzie pan w takim razie zameldować policji, co?

A ja nietylko nie patrzałem nań z nierozumną ciekawością, ale wogóle patrzeć się lękałem. Byłem ostatecznie zmęczony i dusza moja była łez pełna. Nawet po nocach spać nie mogłem.

— Ja teraz — ciągnął dalej — od żony. Czy rozumie pan, co to jest żona? Dzieci, kiedy wychodziłem, wołały za mną: „Dowidzenia, tatusiu, niech tatuś prędko wraca, będziemy razem czytać książkę“. Nie, pan tego nie rozumie, cudza bieda rozumu nie uczy.

Błysnął oczyma, wargi mu drgnęły. Naraz stuknął w stół pięścią, że aż wszystkie rzeczy podskoczyły — a taki był przecie łagodny, pierwszy raz to się z nim zdarzyło.

— I czy trzeba to robić? — krzyknął. — Czy trzeba? Wszak nikt nie był za mnie karany, służący umarł z choroby. Za przelaną krew ukaran jestem udręką. I nie uwierzą mi zresztą, żadnym dowodom nie uwierzą. Czy trzeba wyznać, czy trzeba? Za przelaną krew gotów jestem życie całe się męczyć, byleby żony i dzieci oszczędzić. Czy to sprawiedliwie gubić ich wraz ze sobą? Czy nie mylimy się? Gdzie tu prawda? I czy poznają się na tej prawdzie ludzie, czy ocenią, czy uszanują?

„Boże!“ myślę sobie „o szacunku ludzkim myśli w takiej chwili!“ I tak mi się go żal zrobiło, że gotów byłbym może los jego podzielić, byleby mu ulżyć. Widzę, że miota się jak furjat. Wzdrygnąłem się w duszy ze zgrozy, pojąwszy nietylko umysłem, ale i żywą duszą, jak trudno zdobyć się na taki czyn.

— Niech pan rozstrzygnie los mój! — zawołał ponownie.

— Niech pan idzie i wyzna — szepnąłem. Ledwo mogłem dobyć głosu, ale wyszeptałem to dobitnie. Wzią-

łem ze stołu ewangelję, wskazałem mu według Jana werset 24 rozdziału XII:

„Zaprawdę, zaprawdę mówię wam: jeźli ziarno pszeniczne wpadłszy w ziemię, nie obumrze, samo zostawa; lecz jeźli obumrze, wielki owoc przynosi".

Przeczytałem to właśnie przed jego przyjściem.

Spojrzał — „Prawda" rzekł, ale uśmiechnął się gorzko i dodał po chwili: — w tych książkach znajduje się wiele straszliwych rzeczy. Łatwo podsunąć komu pod nos. I kto to pisał, czy naprawdę ludzie?

— Duch święty pisał — powiadam.

— Łatwo panu bajać — uśmiechnął się znowu, ale niemal nienawistnie.

Znowu wziąłem Pismo Święte, otworzyłem, i wskazałem werset 31 rozdziału X Listu do Żydów. Przeczytał:

„Strasznoć jest, wpaść w ręce Boga żywego".

Przeczytał i odrzucił księgę. Drgnął nawet cały.

— Straszne miejsce — rzekł — tak, trafnie to pan dobrał. No, żegnam pana, może już nie przyjdę... w raju się zobaczymy. Więc czternaście już lat temu wpadłem „w ręce Boga żywego" — tak się zatem te lata nazywają. Jutro poproszę tych rąk, aby mnie puściły.

Chciałem go objąć i ucałować, ale nie starczyło mi śmiałości — twarz jego była wykrzywiona i oczy miały złowieszczy wyraz. Wyszedł. „Boże" pomyślałem „dokąd poszedł człowiek!" Padłem na klęczki przed obrazem świętym i ze łzami modliłem się za niego do Świętej Bogarodzicy, Orędowniczki naszej. Pół godziny modliłem się tak we łzach, a była późna godzina, koło północy. Naraz słyszę, drzwi się otwierają, i on znowu wchodzi. Zdziwiłem się.

— Gdzie pan był? — pytam go.

— Ja — powiada — ja, zdaje się, czegoś zapomniałem... chusteczki, zdaje się... Chociaż nic nie zapomniałem, ale niech mi pan pozwoli usiąść.

Usiadł na krześle. Stałem nad nim. „Niechże i pan usiądzie" — rzekł. Usiadłem. Siedzieliśmy tak ze dwie minuty, patrzał na mnie przenikliwie i nagle uśmiechnął się — zapamiętałem to sobie dobrze — następnie mocno mnie uścisnął i pocałował.

— Pamiętaj — rzekł — jakem do ciebie po raz drugi przyszedł. Słyszysz, zapamiętaj to sobie.

Po raz pierwszy zwracał się do mnie przez „ty". I odszedł. „Jutro" pomyślałem sobie.

I tak się stało. Nie wiedziałem tego wieczoru, że właśnie nazajutrz był dzień jego imienin. Ostatniemi czasy nigdzie nie wychodziłem, a przeto nie mogłem się o tem dowiedzieć. Co roku dnia tego urządzał przyjęcie, odwiedzało go całe towarzystwo miejskie. I tym razem goście zeszli się licznie. I oto po kolacji wyszedł na środek salonu, trzymając w ręku arkusz papieru: formalny meldunek do władz. A ponieważ władze owe były w salonie, więc przeczytał arkusz wobec wszystkich. Był to dokładny opis sbrodni, ze wszystkiemi szczegółami! „Wykreślam siebie ze środowiska ludzkiego. Bóg mnie nawiedził" — zakończył — „cierpieć pragnę!" Jednocześnie położył na stole wszystkie dowody przestępstwa, które przechowywał czternaście lat: złote wyroby, które zabrał, chcąc od siebie odwrócić podejrzenie, medaljon i krzyżyk, zdjęte z szyi ofiary — w medaljonie portret jej narzeczonego — notesik i wreszcie dwa listy: list narzeczonego do niej, zawiadamiający o rychłem przybyciu, i odpowiedź jej na ten list, niedokończona, zostawiona na stole do jutra. Oba listy zabrał wówczas ze sobą — w jakimże celu? W jakim celu czternaście lat przechowywał te rzeczy miast zniszczyć, jako niebezpieczne poszlaki? I oto, co się stało: goście zdumieli się i przerazili, i nikt nie chciał mu dać wiary, chociaż słuchano go z niezwykłem zaciekawieniem; słuchano go bowiem jak chorego, i w kilka dni później wszędzie orzeczono i zawyrokowano, że nieszczęsny człowiek zwarjował. Władze sądowe i administracyjne zmuszone były wszcząć sprawę, ale rychło ją wstrzymali. Przedstawione rzeczy i dokumenty były zagadkowe, wszakże uznano, że choćby nawet były autentyczne, nie dają podstawy do aktu oskarżenia. Zresztą mógł on te wszystkie rzeczy otrzymać od nieboszczki, jako jej znajomy. Słyszałem, że wielu znajomych i krewnych zamordowanej poddało badaniu owe dowody i stwierdziło z całą stanowczością ich autentyczność. Ale nie sądzono było i teraz tej sprawy dociągnąć do końca. W pięć dni później

dowiedziano się, że nieborak zaniemógł bardzo niebezpiecznie. Na jaką chorobę — nie mogę określić, powiadano, że na sercową. Jednak wiadomo było również, że konsyljum, zwołane przez małżonkę jego, stwierdziło rozstrój nerwowy, a nawet obłęd. Ja milczałem, chociaż wszyscy poczęli mnie badać. Poszedłem go odwiedzić, lecz nie chciano mnie wpuścić doń, zwłaszcza żona jego. Mówiła: „To pan go doprowadził do tego czynu, on i przedtem był posępny, a od roku wyjątkowo wzburzony i dziwny, ale pan go dokonał, pan go do reszty zgubił, on od pana przez miesiąc cały nie wychodził". I cóż, nietylko ona, ale wszyscy w mieście narzucali się na mnie i oskarżali mnie: „To wszystko pan" powiadali. Milczałem i byłem nawet rad w duszy, albowiem dopatrywałem się niewątpliwej łaski Boga względem nieboraka, który się sam ukarał. W obłęd zaś jego nie chciałem wierzyć. Wreszcie wpuścili mnie do niego, sam tego żądał, chciał się pożegnać ze mną. Wszedłem doń, i stwierdziłem odrazu, że nietylko dni, ale i godziny jego są policzone. Osłabiony był, żółty, ręce mu drżały, nie mógł złapać tchu, ale był pełen radosnego rozczulenia.

— Stało się! — rzekł — dawno już pragnę cię widzieć, czemuś nie przychodził?

Nie powiedziałem mu oczywiście, że mnie nie wpuszczano.

— Bóg zlitował się nade mną i wezwał ku Sobie. Wiem, że umieram, ale czuję radość i spokój, po raz pierwszy od tylu lat. Naraz w duszy swej poczułem raj, ledwom wypełnił swoją powinność. Teraz już śmiem kochać dzieci swoje i całować je. Nie wierzą mi, nikt mi nie uwierzył, ani żona, ani sędzia; i dzieci nigdy nie uwierzą. Dopatruję się w tem łaski Bożej dla moich dzieci. Umrę, i imię moje będzie dla nich niesplamione. A teraz przeczuwam Boga, serce jak w raju się cieszy: powinność spełniłem...

Mówić nie może, dusi się, gorąco mi ręce ściska, patrzy na mnie płomiennym wzrokiem. Ale niedługośmy ze sobą rozmawiali, bo żona jego wciąż do nas zaglądała. Zdążył mi jednak szepnąć:

— A pamiętasz, jakem do ciebie wtedy po raz drugi

przyszedł, o północy? Kazałem ci zapamiętać to sobie? A wiesz, pocom przyszedł? Wszak przyszedłem cię zabić!

Wzdrygnąłem się.

— Wyszedłem od ciebie w ciemności, wędrowałem po ulicach i zmagałem się ze sobą. I nagle znienawidziłem cię do takiego stopnia, że serce ledwo nie pękło. „Teraz" myślę sobie „on jeden związał mnie i sędzią moim jest, nie mogę już zrzec się jutrzejszej kary, bo on wszystko wie". Nie bałem się bynajmniej, że mnie niby oskarżysz w policji (ani mi to w głowie postało), ale myślałem: „Jak będę mógł patrzeć na niego, jeśli nie wyznam swej zbrodni?" I gdybyś nawet był za morzem i górami, ale żyw, nie mógłbym znieść tej myśli, że żyjesz, i wszystko wiesz i mnie potępiasz. Znienawidziłem cię, jakgdybyś ty był przyczyną, jakgdybyś ty był wszystkiemu winien. Wróciłem do ciebie wówczas, pamiętam, że u ciebie na stole leżał sztylet. Usiadłem, poprosiłem cię, abyś usiadł, i całą minutę myślałem. Gdybym zabił ciebie, to i takbym zginął za to zabójstwo, choćbym przemilczał dawną zbrodnię. Ale nie o tem myślałem, i nie chciałem o tem myśleć owej chwili. Nienawidziłem ciebie i pragnąłem się zemścić na tobie. Aliści Bóg pokonał szatana w mojem sercu. Ale wiedz, żeś nigdy jeszcze nie był tak bliski śmierci.

Po tygodniu umarł. Za konduktem szło całe miasto. Kapłan wypowiedział rozczulającą mowę. Opłakiwano straszliwą chorobę, która przecięła dni jego. Ale po pogrzebie wszyscy byli przeciwko mnie i nawet przestali mnie przyjmować. Prawda, niektórzy, z początku nieliczni, a potem coraz liczniejsi, zaczęli wierzyć w jego zeznania i mnie odwiedzać i pytać mnie z wielkiem zaciekawieniem i uciechą: albowiem człowiek podoba sobie w upadku sprawiedliwego i jego hańbie. Atoli milczałem i wnet opuściłem miasto, a w pięć miesięcy potem stanąłem na twardej poczciwej drodze, błogosławiąc palec niewidzialny, który mi ją wskazał. Zasię sługę Bożego, Michała, wspominam w modlitwach swoich dotąd dnia każdego.

III

Z ROZMÓW I POUCZEŃ STARCA ZOSIMY

c) O mnichu rosyjskim i o możliwem jego znaczeniu.

Ojcowie i nauczyciele moi, czem jest mnich? W oświeconem społeczeństwie słowo to w dzisiejszych czasach często jest wypowiadane z uśmiechem szyderczym, a często nawet jako urągowisko. I im dalej, tem bardziej. Prawda, och, prawda, wielu jest pośród mnichów rozleniwionych pasibrzuchów, wszeteczników i zuchwałych włóczęgów. Na tych wskazują ludzie oświeceni: „Jesteście trutniami i bezużytecznymi członkami społeczeństwa, żyjecie z cudzej pracy, bezwstydni żebracy". A tymczasem iluż to pośród mnichów maluczkich i pokornych, samotności łaknących i płomiennej w ciszy modlitwy. Na tych mniej wskazują, tych nawet zupełnie milczeniem pomijają, a jakżeby się zdziwili, gdybym powiedział, że od tych maluczkich i łaknących samotnej modlitwy wynijdzie raz jeszcze zbawienie Ziemi Rosyjskiej! Albowiem zaprawdę przygotowani są w ciszy „na dzień i godzinę, na miesiąc i rok". Obrazu Chrystusowego strzegą tymczasem w samotni swej w postaci nieskażonej, prawdy Bożej strzegą, przekazanej przez dawnych ojców, apostołów i męczenników. Zasię, gdy trzeba będzie, ukażą ją zachwianej prawdzie tego świata. To jest myśl życia zakonnego wielka. Ze Wschodu światłość przyjdzie.

Tak myślę o mnichu, i azaż fałszywie, azaż dumnie? Popatrzcie na tych, którzy w świecie żyją, popatrzcie na ten świat, wynoszący się nad ludem Bożym, zaliż nie skaziło się w nim oblicze Boga i prawda Jego? Mają naukę, lecz nauka jeno to zawiera, co dostępne zmysłom ludzkim. Świat duchowy, wyższa dziedzina istoty ludzkiej, odrzucona jest, wygnana z niejakim triumfem, nawet z nienawiścią. Ogłosił świat wolność, zwłaszcza w czasach ostatnich, i cóż my widzimy w onej ich wolności: niewolnictwo jeno i samobójstwo! Albowiem tak mówi świat: „Masz potrze-

by, a przetoć nasycaj je, albowiem masz takie same prawa, co i najznakomitsi i najbogatsi. Nie bój się nasycać ich, a nawet pomnażać" — oto dzisiejsza nauka ich. W tem dopatrują się wolności. I co wynika z tego prawa do pomnażania potrzeb? Dla bogaczy osamotnienie i duchowe samobójstwo, dla biednych — zawiść i morderstwo, albowiem prawa im dano, lecz sposobów nasycenia potrzeb nie wskazano. Zapewniają, że świat coraz bardziej się zespala, że zespala się ku braterskiemu obcowaniu, ponieważ skraca odległości, myśli przenosi powietrzem. Niestety, nie wierzcie takowemu zespoleniu ludzi. Pojmują wolność jako pomnożenie i zaspokojenie potrzeb, wypaczają naturę swoją, albowiem krzewią w sobie moc wielką bezmyślnych i głupich pragnień, nawyków i wymysłów niedorzecznych. Żyją jeno gwoli wzajemnej zawiści, gwoli instynktów swoich niskich i przechwałek. Wydawać obiady, bywać w świecie, mieć pojazdy, rangi i niewolników służących — to uchodzi już za taką konieczność, że poświęcają życie, cześć i altruizm, aby jej dopiąć, i zabijają się, jeżli nie dopinają. U biednych to samo, jeno biedni potrzeb nienasycenie i zawiść tymczasem zagłuszają pijaństwem. Wszakże rychło miast winem upiją się krwią, ku temu się ich bowiem prowadzi. Pytam was: zali wolny jest taki człowiek? Znalazłem pewnego „bojownika idei", który sam mi opowiadał, że kiedy w więzieniu pozbawiono go tytoniu, cierpiał tak okrutnie, że mało co nie zdradził swojej „idei" za prymkę tytoniu. A przecie takowy powiada: „idę walczyć za ludzkość". I dokąd takowy pójdzie i do czego zdolny? Chyba jeno do czynu porywczego , doraźnego, bo długo nie wytrzyma. I nie dziw, że miasto wolności wpadli w niewolę, a miasto służby dla braterstwa i ludzkiego zespolenia, wpadli wręcz przeciwnie w odosobnienie i osamotnienie, jak mówił był w młodości swojej tajemniczy gość mój i nauczyciel. A przeto w świeckiem życiu coraz bardziej wygasa myśl o służeniu ludzkości, o braterstwie i zespoleniu, i zaprawdę coraz bardziej staje się urągowiskiem, albowiem jakże tu odzwyczaić się od nawyków swoich, dokądże pójdze niewolnik ów, jeźli przywykł zadowolić niezliczone swoje potrzeby, które sam sobie wymyślił? Odo-

sobniony jest, cóż go więc obchodzi całość? I dopięli tego, że nagromadzili więcej rzeczy, a radości jest coraz mniej.

Insza jest droga zakonnego życia. Z posłuszeństwa, postu i modlitwy śmieją się nawet, a tymczasem jeno one stanowią drogę do prawdziwej, istotnej wolności: odcinam od siebie niepotrzebne i zbyteczne potrzeby, samolubną i pychy pełną wolę swoją poskramiam i biczuję posłuszeństwem, i z Bożą pomocą osiągam wolność ducha, a z nią radość duchową! Który z nich jest bardziej zdolny wznieść myśl wielką i służyć jej — czy bogacz odosobniony czy ów *wyzwolony* od tyranji rzeczy i przyzwyczajeń? Mnicha potępiają za jego odosobnienie: „Odosobniłeś się, aby siebie zbawić w murach klasztornych, i zapomniałeś służyć po bratersku ludzkości". Ale przyjrzyjmy się, kto bardziej do braterstwa się przyczynia? Albowiem nie myśmy się odosobnili, lecz oni, a nie widzą tego. Z naszego grona wychodzili z dawien dawna przywódcy ludu, czemuż i teraz nie może się to powtórzyć? Ci sami pokorni i maluczcy, postnicy i pustelnicy wstaną i pójdą wielką rzecz zdziałać. Zbawienie Rosji od ludu. Rosyjski zasię monaster zawsze był z ludem. Gdy lud jest w rozproszeniu, to i my jesteśmy w rozproszeniu. Lud wierzy po naszemu, a niewierzący działacz nic u nas w Rosji nie zrobi, choćby nawet był szczerego serca i genjalnego umysłu. Zapamiętajcie to sobie. Lud spotka ateistę i zwycięży go, i stanie się jedna prawosławna Rosja. Strzeżcie więc ludu i chrońcie serce jego. W ciszy wychowujcie go. Oto wasza działalność zakonna, albowiem jest to lud bogonośny.

f) O panach i sługach i o tem, czy to możliwe, aby panowie i słudzy stali się z ducha braćmi.

Boże, kto mówi, że i śród ludu zamieszkał grzech. Płomień zepsucia pomnaża się widocznie, z każdą godziną, z góry pełgający. Następuje i śród ludu odosobnienie: powstają bogacze wiejscy i wyzyskiwacze; już kupiec coraz bardziej łakomi się na honory, chce uchodzić za wykształconego, nie mając żadnego wykształcenia, a przeto gardzi gnu-

śnie starodawnym obyczajem i wstydzi się nawet wiary ojców. Bywa u książąt, a sam jest jeno zakałą ludu. Lud zaczął gnić od pijaństwa i nie może się od pijaństwa odzwyczaić. A ileż okrucieństwa względem rodziny, względem żony, względem dzieci nawet; wszystkoć od pijaństwa. Widywałem w fabrykach dziewięcioletnie dzieci: wątłe, chorowite, zgarbione a już zepsute. Duszna hala, stukające maszyny, cały Boży dzień trwająca praca, słowa wyuzdane i trunek, trunek, zaliż to jest potrzebne duszy małego dziecięcia? Trzeba mu słońca, igraszek dziecięcych, przykładu promiennego i choćby odrobiny miłości. Aby znikło to, bracia i ojcowie zakonni, aby nie było katowania i dręczenia dzieci, powstańcie wy i apostołujcie. I to prędko, jak najprędzej. Aliści zbawi Bóg Rosję, bo lubo zepsuty jest chłop i nie może się zaprzec grzechu smrodliwego, przecież wie, że przeklęty jest od Boga grzech jego smrodliwy, wie, że źle czyni, grzesząc. I nieustannie jeszcze wierzy lud nasz w prawdę, Boga uznaje, płacze rozrzewniająco. Inaczej jest w wyższych warstwach: tam, idąc za głosem nauki, chcą się urządzić jeno wedle rozumu swego, ale już bez Chrystusa, i oznajmili, że niema przestępstwa, niema już grzechu. I tak być musi wedle ich nauk: albowiem jeżli Boga niema, to jak może być przestępstwo? W Europie lud przeciw bogaczom powstaje, i przywódcy ludu wiodą go ku krwi i uczą, że sprawiedliwy jest grzech jego. Ale „przeklęty jest gniew ich, albowiem okrutny". Zasię Rosję zbawi Pan Nasz, jak zbawiał już tylokrotnie. Od ludu przyjdzie zbawienie, od wiary jego i pokory. Ojcowie i nauczyciele moi, strzeżcie wiary ludu, a nie jest to jeno marzenie: uderzało mnie przez całe życie moje w wielkim ludzie naszym jego dostojeństwo stateczne i szczere, sam to widziałem, sam świadczyć mogę, widziałem i podziwiałem, mimo smrodu grzechów i ubogiego wyglądu ludu naszego. Nie jest czołobitny mimo niewolę dwa wieki trwającą. Swobodny jest w powierzchowności i obcowaniu i nie czuje żadnych uraz. Nie jest mściwy, ani zawistny. „Ty jesteś bogaty, mądry i zdolny — niech ci będzie na zdrowie, niech Bóg ci błogosławi. Czczę ciebie ale wiem, że i ja jestem człowiek. I czcząc ciebie bez zawiści, okazuję po sobie dosto-

jeństwo ludzkie". Zaprawdę, jeśli nie mówią tego (bo jeszcze nie umieją wypowiadać tego), to tak *postępują*, sam to widziałem, sam doświadczyłem, i czy uwierzycie: im biedniejszy i niższy jest człek nasz rosyjski, tem więcej w nim onej dostojnej prawdy, albowiem bogacze i wyzyskiwacze pod wielu względami są już zepsuci, co jest w dużej części naszą winą, winą naszej niezaradności i niedbalstwa! Lecz zbawi Bóg sługi swoje, albowiem pokorą swoją wielka jest Rosja. Marzę, że widzę, i nawet jakgdyby już naprawdę widzę co nastąpi: albowiem wkońcu najbardziej zepsuty bogacz nasz wstydzić się pocznie bogactwa swego przed biednymi, a biedny, widząc pokorę jego, zrozumie i ustąpi mu, radością i pieszczotą odpowie mu na jego bogobojny wstyd. Wierzcie, że tak będzie wkońcu: na to się zanosi. Równość jest jeno w ludzkiem duchowem dostojeństwie i to będzie zrozumiane tylko u nas. Niech jeno będą bracia, to i będzie braterstwo, a dopóki nie nastąpi braterstwo, nigdy ludzie nie rozdzielą dóbr swoich. Obrazu Chrystusowego pilnujmy, a zajaśnieje jak brylant drogocenny na cały świat...

Ojcowie i nauczyciele moi, zdarzyła mi się razu pewnego rozrzewniająca historja. W wędrówkach po kraju spotkałem w mieście gubernjalnem K. byłego mego ordynansa, Atanazego, a nie widziałem go już lat osiem. Przypadkowo ujrzał mnie na targu, poznał, podbiegł i, mój Ty Boże, jakże się uradował: „Dziedzicu, czy to wielmożny pan? Czy to prawda, że pana widzę?" Zaprowadził mnie do siebie. Był już zwolniony z wojska, zdążył się ożenić, dochować się dwojga dzieci. Utrzymywał się z drobnego handlu, miał stragan na targu. Pokoik jego ubogi był, ale czyściutki i wesoły. Posadził mnie, samowar postawił, posłał po żonę, niby święto mu sprawiłem, przychodząc doń. Przyprowadził swoje dziatki: „Błogosław, ojcze". — „Czyż mogę błogosławić, jestem jeno prosty i pokorny mnich, do Boga się będę modlił za nie, i ciebie, Atanazy, codzień w modlitwie swej wspominam, bo od ciebie to wszystko się zaczęło". I wyjaśniłem mu to wszystko, jak mogłem. Patrzy na mnie i wciąż nie może sobie uprzytomnić, że to ja, dawny jego pan, oficer, przed nim stoję

w takim stanie, w takiej szacie: nawet się rozpłakał. „Czego ty płaczesz, powiadam mu, niezapomniany człowieku, lepiejbyś cieszył się duszą, miły mój, bo radosna i promienna jest droga moja". Wiele nie mówił, ale kiwał i potrząsał wciąż głową z rorzewnieniem. „Gdzie pańskie bogactwo?" — pyta. Odpowiadam: „Do klasztoru oddałem, żyjemy tam wspólnotą". Po herbacie zacząłem się z nim żegnać i naraz dał mi pół rubla, ofiarę na monaster, a drugie pół rubla, patrzę, do ręki mi wsuwa, spieszy się „to już dla was, powiada, w drodze przyda się, ojcze mój". Przyjąłem jego datek, ukłoniłem się jemu i małżonce jego i wyszedłem ucieszony i myślę sobie po drodze: „Owóż obaj my, i ja wędrujący i on u siebie w domu, wzdychamy zapewne i uśmiechamy się radośnie, ku uciesze serc naszych kiwając głowami i wspominając". I od tego czasu więcej go nie widziałem. Byłem ongi panem jego, a on moim sługą, a teraz, skorośmy się pocałowali miłosiernie i w rozrzewnieniu duchowem, nawiązało się między nami wielkie ludzkie zespolenie. Myślałem o tem bardzo wiele, a teraz tak myślę: zaliż rozum tego ludzki nie potrafi pojąć, że to, co między nami nastąpiło, nastąpi w swoim czasie wszędzie, między Rosjanami? Wierzę, że tak będzie i czas ów już jest bliski.

A o sługach dodam ot co: złościłem się, młodzieńcem będąc, nieraz na sług naszych: „kucharka podała jedzenie zbyt gorące, ordynans nie wytrzepał ubrania". Ale olśniła mnie wonczas myśl brata mego kochanego, którą słyszałem w dzieciństwie swojem: „zaliż wart jestem tego, żeby mi usługiwał i żebym nim z powodu ubóstwa jego i ciemnoty pomiatał?" I zdumiewałem się, jak to najprostsze myśli, najbardziej oczywiste, tak późno pojawiają się w umyśle naszym. Bez służby nie można się obejść na świecie, ale czyń tak, aby sługa twój był wolniejszy duchem, sługą twoim będąc, niżby był, gdyby twoim sługą nie był. I czemużto nie mógłbym być sługą sługi swego tak, ażeby widział to, i bez żadnej z mojej strony pychy i niewiary z jego strony? Czemuż nie może być moim niejako krewnym, abym przyjął go do rodziny swojej i cieszył się, patrząc nań! Już obecnie jest to wykonalne, a stanie się podstawą przyszłego wspaniałego zespolenia ludzkości. kiedy człowiek nie będzie

szukał sług i nie będzie w sługę obracał podobnego sobie człowieka, jak obecnie czyni, lecz sam z całej siły zechce stać się sługą w myśl ewangelji. Azaż to jeno marzenie, że u kresu człowiek znajdować będzie radości swe jeno w czynach miłosierdzia, a nie w okrutnych uciechach jak obecnie — w obżeraniu się, w porubstwie, w ambicji, w przechwalaniu się, w wynoszeniu się zawistnem nad bliźnim? Wierzę święcie, że nie, i że bliskie już są te czasy. Śmieją się ludzie i pytają: „a kiedy czas ów nastąpi i czy zanosi się na to, że nastąpi?" Ja zaś myślę, że my z Chrystusem wielką tę sprawę rozstrzygniemy. I ileż było idej w historji ludzkości, które nawet dziesięć lat przedtem były nie do pomyślenia i które nagle się pojawiły, gdy termin ich tajemniczy następował, i szerzyły się rychło po całej ziemi? Tak i u nas będzie i promieniować będzie lud nasz, i rzeką ludzie wszyscy: „kamień przez wszystkich odrzucony stał się kamieniem węgielnym". A szyderców zapytaćby wypadało: jeśli my uroiliśmy sobie mrzonkę, to kiedyż wy wzniesiecie gmach swój i urządzicie się sprawiedliwie jeno wedle rozumu swego, bez Chrystusa? Jeżli zaś oni twierdzą, że oni dążą ku zespoleniu, to zaiste wierzą w owo jeno najprostoduszniejsi z pośród nich. Zaprawdę więcej mrzonek sobie uroili niżeli my! Myślą, że urządzą się po sprawiedliwości, wszakże odrzuciwszy Chrystusa, nakoniec zaleją świat krwią, albowiem krew krwi się domaga, a którzy mieczem wojują, od miecza giną. I gdyby nie obietnica Chrystusa, to już wytępiliby się nawzajem, i wkońcuby zostali jeno dwaj ostatni ludzie na ziemi. I ci ostatni dwaj nawet nie zdołaliby w pysze swej zespolić się, i ostatni zabiłby przedostatniego, a potem i samego siebie. I takby było w istocie, gdyby nie obietnica Chrystusa, że czas ów skróci się gwoli pokornych i maluczkich. Po pojedynku moim, w oficerskim jeszcze mundurze będąc, zacząłem mówić o służących w sposób takowy, a wszyscy się dziwowali: „Cóż, powiadali, posadzić mamy służących na kanapie i herbatę im podawać?" A ja im w odpowiedzi: „i czemużby nie, choćby od czasu do czasu". Wszyscy się wówczas śmieli ze mnie. Pytanie ich było lekkomyślne, a odpowiedź moja niejasna, atoli myślę, że i w tem była cząstka prawdy.

g) O modlitwie, o miłości i o stykaniu się z innemi światy.

Młodzieńcze, nie zapominaj się modlić. Zawsze, za każdym razem w modlitwie twojej, jeśli szczerą będzie, mignie nowe uczucie, a w nowem uczuciu i nowa myśl, której przedtem nie znałeś, a która cię pokrzepi, i zrozumiesz wówczas, że modlitwa jest wychowaniem. Zapamiętaj to sobie: każdego dnia i kiedy tylko możesz, zmawiaj pocichu: „Boże zlituj się nad wszystkimi, którzy umarli". Albowiem każdej godziny i każdej chwili tysiące ludzi opuszczają życie swoje na tej ziemi i dusze ich stają przed Panem — a iluż zewlekło powłokę ziemną w odosobnieniu, samotniczo, w smutku i tęsknocie, w strapieniu, że niemasz, ktoby ich pożałował i bodaj wiedział: czy żyli czy nie. I oto, być może, z drugiego końca ziemi wzniesie się do Boga modlitwa za spokój jego duszy, twoja modlitwa, luboś go nie znał, i on ciebie nie znał. Jak cudnie jest duszy, stojącej w struchleniu w obliczności Pana, gdy poczuje w tej chwili, że istnieje na świecie człowiek, który za nią się modli, który ją kocha. I Bóg litościwie spojrzy na obu was, albowiem skoroś ty jej tak żałował, to ileż bardziej żałować będzie On, nieskończonie bardziej miłosierny i dobry od ciebie. I przebaczy jej dzięki tobie.

Bracia, nie bójcie się grzechu ludzkiego, miłujcie człowieka i w grzechu jego, albowiem to jest podobieństwo Bożej miłości, i szczyt miłości na ziemi. Miłujcie wszelkie stworzenie Boskie, i całość i każde ziarnko piasku. Każde źdźbło, każdy promień Boży miłujcie. Miłujcie zwierzęta, miłujcie rośliny, miłujcie rzecz każdą. Będziesz miłował każdą rzecz, to i tajemnicę Bożą rowiążesz w rzeczach. Rozwiążesz raz jeden i już odtąd nieustannie będziesz ją poznawał coraz bardziej, wszelkiego dnia. I pokochasz wreszce świat cały wielką miłością. Miłujcie zwierzęta: Bóg dał im zaczątek myśli i radość niezakłóconą. Nie dręczcie ich, nie odbierajcie im radości, nie sprzeciwiajcie się myśli Pańskiej. Człowiek niech nie wynosi się nad zwierzętami: bezgrzeszne bowiem są, ty zasię ze swoją wielkością gnoisz ziemię swoją obecnością i ślad gnojny zostawiasz po

sobie — niestety! Słuszneć-to prawie o każdym z nas! — Dzieci kochajcie szczególnie, albowiem również i one są bezgrzeszne jakby anioły i żyją ku rozrzewnieniu, ku oczyszczeniu serc naszych, niejako wskazówką dla nas będąc. Biada temu, kto dziecko skrzywdzi, Mnie ojciec Antem uczył miłować dzieci: miły jest, milczący, podczas wędrówek naszych za ofiarowane grosiki kupował cukierki i ciasteczka i dziatkom rozdawał; nie mógł przejść mimo dzieci bez wstrząsu duchowego: taki to człowiek.

Przed niejedną myślą staniesz zdziwiony i stropiony, zwłaszcza gdy grzech ludzki obaczysz i siebie zapytasz: „zdobyć siłą czy miłością pokorną?" Zawsze rozstrzygaj: „zdobędę miłością pokorną". Rozstrzygniesz raz, to już na zawsze i cały świat będziesz mógł zdobyć. Pokora miłosna— strasznać to siła, najpotężniejsza ze wszystkich, że niemasz podobnej. Każdego dnia i godziny, każdej minuty bacz na siebie i uważaj, aby obraz twój był zacny. Przeszedłeś mimo małego dziecka ze złością w sercu, ze słowem szpetnem, z duszą zapienioną; nie zauważyłeś może dzieciaka, a on już ciebie widział i obraz twój, niecny i nieprzystojny, może w sercu jego został bezbronnem na zawsze. Tyś o tem nie wiedział, a może już ziarnoś złe rzucił w niego, i wyrośnie ono i nie obumrze, i to wszystko przez to, żeś nie ustrzegł się przed dziecięciem, albowiem nie wypiastowałeś w sobie uważnej, czynnej miłości. Bracia, miłość uczy, wszakże trzeba umieć ją nabyć, albowiem trudno się nabywa, drogo się kupuje, długą pracą i cierpliwością, albowiem nie na chwilę jeno przypadkową trzeba kochać, lecz na cały czas. Bo przypadkowo to każdy kochać umie, i złoczyńca umie. Brat mój, pacholę zacne, prosił ptaszęta o przebaczenie: zdaje się, że to niedorzeczne, a przecie wielka to prawda, albowiem wszystko jest niby ocean jeden, wszystko płynie i styka się, w jednem miejscu się dotkniesz, w drugiem się odezwie. Niechże to będzie szaleństwem prosić ptaszęta o przebaczenie, ale wszak i ptaszkom byłoby lepiej, i dzieciom, i wszelkiemu zwierzęciu dokoła ciebie, gdybyś ty sam był zacniejszy, bodaj trochę zacniejszy. Wszystko jest jak ocean, powiadam ci. Wówczas i do ptaszątbyś się modlił, miłością powszechną dręczony, niejako

w zachwycie, i błagałbyś, aby ci grzechy twoje odpuściły. Zachwyt zaś ów ceń sobie wielce, jakkolwiek się wyda ludziom szalony.

Przyjaciele moi, proście Boga o wesołość i pogodę. Bądźcie weseli, jak dzieci, jak ptaszkowie niebiescy. I niech was nie gnębi grzech ludzi w działalności waszej, nie bójcie się, że zatrze on działalność waszą i udaremni ją; nie mówcie: „mocny jest grzech, mocna niecnota, mocne środowisko grzeszne i nie dopuści do dobrych czynów". Unikajcie, dzieci, tajnej rozpaczy! Jeden tylko jest ratunek: bierz siebie i uczyń się odpowiedzialny za wszystek grzech człowieczy. Przyjacielu, przecież tak jest zaprawdę, albowiem ledwo uczynisz się szczerze odpowiedzialnym za wszystkich i wszystko, natychmiast zobaczysz, że tak jest zaiste, i że i ty właśnie jesteś za wszystkich i za wszystko winien. Zaś zrzucając swoje lenistwo i niemoc na innych ludzi, wkońcu wdrożysz się w pychę szatańską i przeciw Bogu powstaniesz. O pysze zasię szatańskiej tak myślę: trudno ją nam na ziemi pojąć, a przeto tak nam snadnie wpaść w błąd, grzechem się pokalać, sądząc w dodatku, że czynimy dobrze i pięknie. I wiele najmocniejszych uczuć i znaków przyrody nie możemy tymczasem na ziemi pojąć, lecz niech cię to nie wwodzi w pokuszenie, i nie myśl, że to cię może usprawiedliwić, bo snadź Sędzia Wieczny sądzić cię będzie za to, co mogłeś pojąć, a nie za to, czegoś nie mógł pojąć; sam się przekonasz o tem, albowiem wówczas wszystko zobaczysz właściwie i nie będziesz się już sprzeciwiał. Na ziemi zaś zaprawdę niejako błądzimy, i gdybyśmy nie mieli cennego przed sobą obrazu Chrystusowego, to zginęlibyśmy niechybnie i zbłąkali się, jak ród człowieczy przed potopem. Wiele jest na ziemi tajemnic, ale wzamian darowano nam tajemnicze, drogie i wnętrzne poczucie żywej spójni naszej ze światem inszym, ze światem górnym i wyższym, i korzenie naszych myśli i uczuć tkwią nie tu, lecz w inszych światach. Oto czemu powiadają mędrce i filozofowie, że istoty rzeczy nie można poznać na ziemi. Bóg wziął nasiona z innych światów i zasiał na tej ziemi i wyhodował ogrójec swój, i wzeszło wszystko, co mogło wzejść, ale żywie jeno poczuciem stykania się tajemniczego z innemi światy; jeźli-że

zaś słabnie lub znika w tobie owo poczucie, to i umiera w tobie, co wzeszło. Wtedy stajesz się obojętny względem życia i nawet zaczynasz go nienawidzieć. Tak myślę o tem.

h) Czy można być sędzią swoich bliźnich? O wierze do końca.

Pamiętaj szczególnie, że nie możesz być niczyim sędzią. Albowiem nie może istnieć na ziemi sędzia względem przestępcy, pók sędzia nie pozna, że i on jest takimże przestępcą, jak ów, stojący przed nim, i że on sam jest przedewszystkiem winien za przestępstwo owego, który stoi przed nim. Skoro zaś to zrozumie, będzie mógł być sędzią. Jakkowiek myśl ta wydaje się szaloną, prawdą jest. Albowiem gdybym ja sam był sprawiedliwy, to możeby i nie było wcale tego przestępcy, który stoi przede mną. Jeźli możesz przyjąć na siebie przestępstwo przestępcy owego, który stoi przed tobą, i którego sądzisz sercem swoim, to bezzwłocznie przjm i sam za niego znoś cierpienia, jego zasię odpuść bez wyrzutu. I gdyby nawet prawo uczyniło cię jego sędzią, to o ile będzie to w twej mocy — uczyń to samo, albowiem odejdzie on od ciebie i sam siebie osądzi gorzej od sądu twojego. Jeśli zaś odejdzie z pocałunkiem twoim a będzie nieczuły i śmiać się będzie z ciebie, to i wtedy nie gorsz się onem; bo czas jego nie nadszedł jeszcze, i wszystko to jedno: nie on, to kto inszy za niego powie i pocierpi i osądzi, i obwini się sam, i prawda będzie dopełniona. Wierzaj w to, stanowczo wierz, albowiem na tem zasadza się nadzieja i cała wiara świętych.

Bądź nieustannie czynny. Jeźli przypomnisz sobie w nocy, do snu się kładąc: „nie zrobiłem tego, com powinien był zrobić", to natychmiast wstań i zrób. Jeźli cię otaczają ludzie źli i nieczuli i nie zechcą cię słuchać, to padnij przed nimi i proś ich o przebaczenie, albowiem zaprawdę ty sam jesteś winien, że nie chcą cię słuchać. A jeźli już nie możesz mówić z rozgniewanymi, to służ im w milczeniu i poniżeniu, nigdy nadziei nie tracąc. Jeźli zaś wszyscy cię porzucą i wypędzą przemocą, to, sam zostawszy, padnij na

ziemię i całuj ją, zroś ją łzami swemi, i wzrośnie owoc z łez twoich, choćby nikt cię nie widział i nie słyszał w samotności twojej. Wierz do końca, choćby nawet zdarzyło się tak, że wszyscy na ziemi stracą wiarę i jeno ty sam zostaniesz wierny; składaj nadal ofiarę i chwal Boga, sam jeden. A jeźliże dwóch was się zejdzie, to już masz i wszystek świat, świat żywej miłości; obejmiecie się w rozczuleniu i będziecie chwalić Pana: albowiem chociaż was dwóch jeno, przecież spełniła się prawda Jego.

Jeźli sam zgrzeszysz i będziesz się trapił do śmierci grzechami swojemi, lub grzechem swoim nagłym, to ciesz się za inszych, ciesz się za sprawiedliwych, ciesz się, że chociaż ty zgrzeszyłeś, on zato sprawiedliwy jest i nie grzeszy.

Jeźli zasię występki ludzi oburzą cię i nieposkromionym smutkiem ogarną, że aż zapragniesz zemsty szukać na występnych, to nie daj się opanować temu uczuciu; natychmiast idź i szukaj mąk dla siebie, jakgdybyś ty był winien owego występku. Przyjm męki owe i ścierp, i uciszy się serce twoje i pojmiesz, że i sam winien jesteś, albowiem mogłeś świecić złoczyńcom jako jedyny bodaj bezgrzeszny, lecz nie świeciłeś. Gdybyś świecił, tobyś światłem swoim innym oświetlił drogę, i ów, który popełnił występek, być może przy świetle onem byłby go wcale nie popełnił. A jeźliś nawet świecił, lecz zobaczysz, że nie zbawiają się ludzie przy świetle twojem, to wytrwaj i nie wątp o sile światła niebieskiego; wierz w to, że lubo dotychczas się nie zbawili, w przyszłości się zbawią. A jeźli w przyszłości się nie zbawią, to zbawią się synowie ich, albowiem nie umrze światło twoje, choćbyś i ty nawet umarł. Sprawiedliwy odchodzi, lecz światło jego zostaje. Zbawiają się i po śmierci tego, który zbawiał. Nie przyjmuje ród ludzki proroków swoich i tępi ich, lecz miłują ludzie męczenników swoich i czczą tych, których zamęczyli. Ty zasię gwoli całości pracujesz, gwoli przyszłości działasz. Nagrody zaś nigdy nie szukaj, albowiem i bez niej wielka jest nagroda twoja na tej ziemi: duchowa radość twoja, której jeno sprawiedliwy zaznaje. Nie bój się ani możnych, ani silnych, ale bądź mądry i zawsze zacny. Znaj miarę, znaj czas wszystkiego, naucz się tego. Będąc zasię w samotni, módl się. Padaj na ziemię i całuj ją

i czyń to z upodobaniem. Ziemię całuj i nieustannie, niewyczerpanie kochaj ją, kochaj wszystkich, wszystko kochaj, szukaj zachwytu i egzaltacji onej. Zroś ziemię łzami radości swojej i kochaj łzy one. Egzaltacji nie wstydź się, ceń ją, albowiem jest darem Bożym wielkim i staje się jeno udziałem wybrańców.

i) O piekle i ogniu piekielnym, mistyczna medytacja.

Ojcowie i nauczyciele, myślę: „czemże jest piekło? Rozumuję tak: „Cierpienie nad tem, czego nie można już kochać". Raz jeden, w nieskończonym bycie, niewymiernym w czasie i przestrzeni, dano istocie duchowej przez postawienie jej na ziemi możność powiedzenia: „Jestem i kocham". Raz, jeno raz jeden, dano jej mgnienie miłości czynnej, żywej, i w tym to celu dano jej życie ziemskie, i czas i kresy, i cóż: odrzuciła owa istota szczęśliwa dar bezcenny, nie oceniła go, nie pokochała, urągała mu i okazywała nieczułość. Takowa, ziemię opuściwszy, widzi łono Abrahama i rozmawia z Abrahamem jak w przypowieści o bogaczu i Łazarzu wskazano nam, i raj ogląda i do Boga wzbić się może, wszelako tem się właśnie zadręcza, że do Boga wzbije się ona, która nie kochała, i zetknie się z kochającymi, ona, która miłością wzgardziła. Albowiem widzi wyraźnie i sama sobie już mówi: „teraz już wiedzę mam, i lubo zapragnąłem miłości, przecież bohaterstwa nie będzie już w mej miłości, nie będzie ofiary, albowiem skończone jest życie moje na ziemi, i nie przyjdzie już patrjarcha Abraham kroplą bodaj wody żywej (to znaczy darem życia na ziemi, poprzedniego i czynnego) ochłodzić płomień pragnienia miłości duchowej, którym płonę teraz, bo na ziemi wzgardziłem nią; bo niemasz już życia i czasu już więcej nie będzie! Chociaż życiebym złożył w ofierze za innych, jest już to niemożliwe, albowiem minęło to życie, które mogłem w ofierze złożyć i teraz otchłań między tamtem życiem a tem istnieniem się otwarła". Mówią o płomieniu piekielnym materjalnym: nie zgłębiam tajemnicy owej i lękam się zgłębiać, lecz myślę, że gdyby nawet był ów płomień materjalny, to zaiste cieszyliby się z niego potępieni, albowiem w cierpie-

niu materjalnem bodaj na chwilę zabaczyliby straszliwszego cierpienia duchowego. I odjąć od nich tej męki duchowej niepodobna, albowiem męka owa jest wnętrzna a nie zewnętrzna. I gdyby nawet można było ją odjąć, to, zdaje mi się, byliby jeszcze bardziej z tego nieszczęśliwi. Albowiem choćby przebaczyli im sprawiedliwi z raju, oglądając męki ich, i zawezwaliby ich do siebie, kochając bezgranicznie, lecz przebaczeniem przysporzylibv im jeno mąk, albowiem podnieciliby w nich jeszcze bardziej płomień ów pragnienia odpowiedzialnej, czynnej i wdzięcznej miłości, która jest już niemożliwa. W struchlałem sercu swojem myślę jednakowoż, że sama świadomość owej niemożliwości obróci się wreszcie w niejaką pociechę i ulgę. Albowiem, przyjąwszy miłość sprawiedliwych, a nie mogąc odwzajemnić się, w pokorze i w działaniu pokory znajdą wreszcie podobieństwo owej miłości czynnej, którą wzgardzili na ziemi... Żałuję, bracia moi i przyjaciele, że nie potrafię wypowiedzieć tego jasno, lecz biada tym, którzy się zgładzą na ziemi, biada samobójcom! Myślę, że nie może być bardziej nieszczęśliwych od nich. Grzech, mówią nam, do Boga za nich się modlić, i Kościół jakby pozornie wyłącza ich, lecz myślę w tajnikach duszy mojej, że i za nich można się pomodlić. Za miłość nie rozgniewa się przecież Chrystus Pan. O takich wewnętrznie całe życie się modliłem, wyznaję wam to, ojcowie i nauczyciele moi, i dziś jeszcze dnia każdego się modlę.

O, są i w piekle tacy, którzy zacięli się w pysze i okrucieństwie swojem, mimo wiedzy niewątpliwej i oglądania prawdy — ci są straszni, służkowie szatana i pysznego ducha jego. Ci mają piekło dobrowolne i nienasycone; ci są męczennikami z własnej woli. Albowiem sami siebie przeklęli, przekląwszy Boga i życie. Żywią się złą pychą swoją, jako głodny na pustyni, który własną krew z siebie wysysać począł. Ale nienasyceni są na wieki wieków i przebaczenie odrzucają, Boga, który ich wzywa, przeklinają. Boga żywego bez nienawiści oglądać nie mogą i żądają, żeby nie było Boga życia, aby zniszczył siebie Bóg i całe stworzenie Swoje. I będą gorzeć w ogniu gniewu własnego wiecznie, łaknąc śmierci i niebytu. Lecz nie zaznają śmierci...

Tu się kończy rękopis Aleksego Fedorowicza Karamazowa. Powtarzam: jest niecałkowity i fragmentaryczny. Biograficzne wiadomości dotyczą naprzykład wyłącznie wczesnej młodości starca. W pouczeniach zaś zebrano w jedną jakby całość to, co starzec mówił w rozmaitych czasach i z rozmaitych powodów. Trudno jest zatem wyodrębnić treść tej ostatniej na ziemi gawędy starca, lecz mimo to tak żywo odczuwa się jej ducha.

Starzec Zosima skonał nieoczekiwanie. I chociaż goście jego wiedzieli, że śmierć jest w pobliżu, nie mogli przecież wyobrazić sobie, że przyjdzie tak rychło i znienacka. Wręcz przeciwnie, przyjaciele starca, jak już raz stwierdziłem, widząc go owej nocy w tak rzeźkim i rozmownym nastroju, byli przeświadczeni, że nastąpiła poprawa w jego zdrowiu, jeśli nie trwała to przynajmniej na dłuższy czas. I nawet pięć minut przed zgonem, jak potem twierdzili ze zdumieniem, niepodobna było nic przewidzieć. Starzec poczuł naraz silny ból w piersiach, zbladł i przycisnął rękę do serca. Wszyscy zerwali się i otoczyli go; wszakże on, chociaż cierpiał bardzo, patrzał na nich z uśmiechem, cicho osunął się z fotelu na podłogę, stanął na klęczkach, następnie upadł na twarz, rozpostarł ręce i jakby w radosnej egzaltacji, całując ziemię i modląc się (jak to sam pouczał) cicho i radośnie wyzionął ducha. Wiadomość o jego śmierci rozeszła się lotem błyskawicy po pustelni i dookoła monasteru. Najbliżsi przyjaciele zmarłego i ci, którzy byli do tych czynności powołani, zaczęli ubierać wedle starodawnego obrządku ciało nieboszczyka, następnie wszyscy zebrali się na sobór. I jeszcze przed świtem, jak powiadano, wiadomość o śmierci starca dotarła do naszego miasta. Rano całe miasto mówiło o tem, i mnóstwo ludzi udało się do klasztoru. Do tego jeszcze wrócę w następnej księdze, teraz chcę tylko dodać, że nie minął dzień, a wydarzył się fakt tak nieoczekiwany i wywarł zarówno w monasterze jako też w mieście tak dziwne, trwożne i sprzeczne wrażenia, że i dotychczas, po tylu jeszcze latach, zachowała się u nas o tym tak strasznym dniu najżywsza pamięć...

CZĘŚĆ TRZECIA

KSIĘGA SIÓDMA.

ALJOSZA.

I.

Zaduch trupi.

Zwłoki zgasłego ojca, starca Zosimy, przygotowano do pogrzebania wedle ustalonego obrządku. Jak wiadomo, nie obmywa się zwłok mnichów i pustelników. Ojciec Paisy zaledwie skropił ciało ciepłą wodą, zakreślając gąbką znak krzyża na czole, na piersiach, na rękach, nogach i kolanach. Wytarłszy zaś, ubrał ciało w szaty zakonne i zawinął w płaszcz; zgodnie z rytuałem rozciął ów płaszcz w paru miejscach, aby móc go zawiązać w kształcie krzyża. Na głowę nieboszczyka włożono odsłonięte na twarzy nakrycie zakonne z krzyżem, oblicze zaś przykryto czerwoną gazą. W ręce wetknięto ikonę Zbawiciela. Nad ranem przełożono ciało do trumny (już dawno przygotowanej). Trumna zaś miała stać przez cały dzień w celi (w pierwszym, większym pokoju, w którym nieboszczyk przyjmował braci i gości świeckich). Ponieważ nieboszczyk miał święcenia kapłańskie, więc ojcowie mieli nad nim czytać nie psałterz, lecz ewangelję. Rozpoczął czytanie zaraz po mszy żałobnej ojciec Józef; ojciec Paisy zaś, który pragnął czytać potem przez cały dzień i całą noc, chwilowo był jeszcze zajęty

i nadto bardzo zatroskany, podobnie jak i ojciec ihumen, albowiem z coraz większą siłą poczęło się ujawniać śród braci jako też śród pielgrzymów, wciąż napływających z miasta i z gospody monasterskiej, niesłychane, i nawet „nieprzystojne" wzburzenie, i niejako niecierpliwe oczekiwanie. Ojciec ihumen i ojciec Paisy starali się uspokoić lekkomyślnie wzburzonych. Kiedy dzień wstał w pełni, z miasta zaczęto przyprowadzać chorych, zwłaszcza chore dzieci — jakgdyby czekano tylko na tę chwilę, ufając w niezwłoczne cudowne uzdrowienia nad trumną nieboszczyka. I teraz dopiero okazało się w pełni, do jakiego stopnia w mieście naszem uważano starca Zosimę za niewątpliwego i wielkiego świętego. Napływał nietylko lud. To wielkie naprężone oczekiwanie wierzących, wyrażone tak pospiesznie i nago, i nawet niecierpliwie, jakgdyby z jakiemś wymaganiem, wydało się ojcu Paisemu wielkiem zgorszeniem. Coprawda spodziewał się tego, ale nie w tak wyraźnej i powszechnej formie. Przemawiał więc niektórym ze wzburzonych mnichów do rozumu: „Takie natarczywe oczekiwanie czegoś wielkiego" powiadał „jest lekkomyślnością, możliwą tylko w życiu świeckiem, ale nie licującą z życiem zakonnem". Ale niewiele go słuchano, i ojciec Paisy z niepokojem zdawał sobie z tego sprawę, mimo że on sam (jeżeli już mówić szczerze), oburzając się na zbyt niecierpliwe oczekiwanie i uważając je za czczą lekkomyślność, potajemnie w głębi duszy spodziewał się tego samego, co i tamci, przezeń potępieni. I nie mógł się do tego nie przyznać. Niemniej z niesmakiem i przykrością spoglądał na niektórych ludzi, którzy budzili w nim nieokreślone wątpliwości. Śród tłumu, tłoczącego się w celi zmarłego starca, z wewnętrzną odrazą (którą sam sobie brał za złe) spostrzegł naprzykład Rakitina, albo mnicha z obdorskiej pustelni, który wciąż jeszcze znajdował się w monasterze; obaj wydali mu się niewiadomo czemu podejrzani, chociaż nie wyodrębniali się szczególnie. Mnich z Obdorska krzątał się może najbardziej ze wszystkich; można go było powszędy zauważyć: wszędzie nagabywał, słuchał i szeptał w jakiś szczególnie tajemniczy sposób. Twarz jego wyrażała zniecierpliwienie, jakgdyby irytację, że to, czego wypatruje, nie następuje tak długo. Rakitin zaś, jak się potem okazało,

znalazł się tak wcześnie w pustelni ze szczególnego polecenia pani Chochłakow. Poczciwa ale lekkomyślna dama, dowiedziawszy się o śmierci starca, zapałała tak niepowstrzymaną ciekawością, że, nie mogąc sama wejść do pustelni, posłała Rakitina i zleciła mu co pół godziny przesyłać jej na piśmie wiadomości *o wszystkiem, co się wydarzy*. Rakitina miała za nader bogobojnego i wierzącego młodzieńca. Zręczny był bowiem i umiał nadawać sobie rozmaite pozory, stosownie do tego, jak było korzystnie. Dzień był jasny i pogodny, pobożni pielgrzymi skupiali się koło grobów pustelnicznych, najbardziej stłoczonych wokoło świątyni, ale ustawionych wszędzie. Mijając ich, ojciec Paisy naraz przypomniał sobie Aljoszę, którego nie widział już dawno, od samej nocy. I ledwo go sobie przypomniał, ujrzał go w najbardziej oddalonym zakątku, pod murem, siedzącego na kamiennym grobowcu dawno zmarłego i znanego z umartwień zakonnika. Odwrócił się plecami do pustelni, twarzą do muru, chowając się jakgdyby za grobowcem. Zbliska ojciec Paisy zauważył, że Aljosza, zasłoniwszy twarz rękoma, płacze gorzko i bezgłośnie, trzęsąc się od spazmatycznych łkań. Ojciec Paisy postał nad nim chwil kilka.

— Dość, synu miły, przyjacielu — przemówił wreszcie tkliwie — czego płaczesz? Ciesz się, a nie płacz. Zaliż nie wiesz, że dzień dzisiejszy jest największym z *jego* dni? Gdzież on teraz przebywa, uprzytomnij sobie jeno!

Aljosza spojrzał nań, odsłoniwszy twarz spuchniętą od płaczu, ale natychmiast, nie mówiąc ani słowa, odwrócił się i znowu zatopił ją w dłoniach.

— A zresztą płacz — odezwał się ojciec Paisy. — Pan Jezus ci te łzy zesłał. „Rzewne łezki twoje dadzą ci wypoczynek duchowy i radość sercu twemu miłemu" — dodał niejako do siebie, odchodząc od Aljoszy i myśląc o nim z miłością. Oddalił się zaś czemprędzej, bo poczuł, że on sam, spoglądając na chłopca, zapłacze. Czas mijał, odprawiono przepisane nabożeństwa. Ojciec Paisy znowu zobaczył ojca Józefa nad grobem i zastąpił go w czytaniu ewangelji. Lecz nie minęła jeszcze trzecia godzina popołudniu, gdy zdarzyło się coś, o czem już napomknąłem na końcu poprzedniej księgi, a co nietylko nie odpowiadało pow-

szechnemu oczekiwaniu, ale szło mu naprzekór, i do takiego stopnia wzburzyło opinję miasta, że, jak już rzekłem, wspomina się o tem żywo do dnia dzisiejszego. Dodam jeszcze raz od siebie osobiście: przykro mi a nawet wstrętnie opowiadać o tem czczem i gorszącem wydarzeniu, w istocie rzeczy zupełnie naturalnem i pustem, i oczywiście pominąłbym je chętnie milczeniem, gdyby nie to, że oddziałało ono bardzo głęboko na duszę i serce głównego, *chociaż przyszłego* bohatera powieści mojej, Aljoszy. Był to jakby przełom i przewrót, który wstrząsnął nim, ale zarazem utwierdził umysł jego w określonym kierunku na całe życie.

A zatem do rzeczy: kiedy jeszcze przed świtem ułożono zwłoki starca do trumny i przeniesiono do pierwszego pokoju, powstała kwestja, czy trzeba otworzyć okna? Pytanie to jednak, rzucone przez kogoś mimochodem, nie doczekało się odpowiedzi — jeżeli nawet usłyszeli je niektórzy z obecnych, to myśleli, że niedorzecznie jest spodziewać się rozkładu, trupiego zapachu po zwłokach takiego nieboszczyka, i czuli, że tylko uśmieszkiem politowania odpowiedzieć można na lekkomyślność i słabą wiarę zadającego takie pytanie. Albowiem powszechnie spodziewano się czegoś wręcz przeciwnego. I oto rychło po południu zaczęło się dziać coś, co wchodzący do celi i wychodzący spostrzegali w milczeniu, bojąc się widocznie podzielić się swojem spostrzeżeniem z kim innym. Lecz około trzeciej popołudniu fakt ów był tak oczywisty i pewny, że momentalnie wiadomość o nim obiegła całą pustelnię i wszystkich pielgrzymów, dotarła do monasteru i wprawiła w zdumienie wszystkich zakonników, i wreszcie rychło rozeszła się po mieście i wzburzyła wszystkich, wierzących i niewierzących. Niewierzący triumfowali, zaś niektórzy z wierzących cieszyli się bardziej od niewierzących, albowiem „ludzie podobają sobie w upadku sprawiedliwego i hańbie jego", jak był rzekł sam starzec w jednym ze swoich pouczeń. Chodzi mianowicie o to, że z trumny począł się dobywać pomału, ale coraz wyraźniej zapach trupi, bardzo wyraźny już koło trzeciej po południu i coraz mocniejszy. I dawno już nie było i nie można sobie było nawet przypomnieć w dziejach naszego monasteru ta-

kiego zgorszenia, brutalnie wyuzdanego, a nawet wręcz nieprawdopodobnego, jakie powstało wśród samej braci monasterskiej. Znacznie później, po wielu latach, niektórzy rozumni zakonnicy, przypominając sobie ów dzień w całej jego rozciągłości, ze zdziwieniem i z przerażeniem zastanawiali się nad tem, w jaki sposób zgorszenie mogło się rozpętać do takiego stopnia. Bo i przedtem się zdarzało, że umierali wybitni zakonnicy, słynący z cnotliwego życia i pobożności, starcy bogobojni, i po pewnym czasie wydawali naturalny i zwykły wszystkim śmiertelnikom zaduch trupi, a jednak nikogo to nie wtrącało w zgorszenie i nie wywoływało żadnego wzburzenia. Oczywiście, byli i tacy, — i pamięć ich przechowała się w naszym monasterze — których zwłoki, wedle podań, nie uległy żadnemu rozkładowi, co na braci działało tajemniczo i rozrzewniająco i zachowało się w pamięci jako cud i obietnica większej jeszcze w przyszłości chwały. Szczególnie żywo wspominano o starcu Jobie, który dożył stu i pięciu lat. Był to słynny asceta, wielki postnik i sylencjusz, zmarł koło 1810 roku. Mogiłę jego ze szczególną i nadzwyczajną czcią pokazywano wszystkim przybywającym po raz pierwszy pątnikom, tajemniczo napomykając o pokładanych w niej wielkich nadziejach. (Była to ta właśnie mogiła, na której ojciec Paisy zastał dziś Aljoszę). Prócz tego dawno zmarłego starca żyła jeszcze pamięć o stosunkowo niedawno zmarłym wielkim ojcu, starcu Warsonofji — tym samym, którego następcą był starzec Zosima, i który za życia uchodził za „jurodiwego". O tych zachowała się legenda, że leżeli oni w grobach swoich jako żywi i do ostatniej chwili nie wydawali żadnego złego zapachu, owszem oblicza ich jakgdyby wypogodziły się i rozjaśniły. A niektórzy zakonnicy twierdzili stanowczo, że z ciał ich wydobywała się miła woń. Ale biorąc nawet pod uwagę te uporczywe wspomnienia, trudno sobie wyjaśnić bezpośredni powód, który wywołał dookoła trumny starca Zosimy tak lekkomyślne, niedorzeczne i złośliwe zamieszanie. Co się mnie tyczy, przypuszczam, że złożyło się na to wiele rozmaitych przyczyn, jednocześnie działających. Jedną z nich była niechęć do instytucji starców, jako szkodliwego nowatorstwa,

głęboko zakorzeniona w umysłach wielu mnichów. Następną, najważniejszą przyczyną była zawiść względem świętości nieboszczyka, która tak mocno ustaliła się w opinji za jego życia i uchodziła za pewnik, nie ulegający żadnej wątpliwości. Albowiem, lubo zgasły starzec przyciągnął do siebie wielu ludzi i to nietyle cudami, ile miłością, i otoczył się jakby całym światem miłujących go, jednak, a nawet właśnie dlatego, zyskał sobie zazdrośników, i co za tem idzie, zaciętych wrogów, jawnych i tajnych, zarówno w monasterze, jako też w mieście. Nikomu nigdy nie wyrządził szkody, ale: „Dlaczego uważają go za świętego?“ I to jedno pytanie, stale powtarzane, zrodziło nakoniec całą otchłań nienasyconej złości. Oto czemu, sądzę, niektórzy, poczuwszy zaduch trupi i to tak prędko po śmierci — albowiem nie minął jeszcze dzień — byli niezmiernie uradowani. I nawet śród tych, którzy byli przywiązani do starca i dotychczas czcili go, znaleźli się i tacy, co czuli się tem wydarzeniem niejako pokrzywdzeni i osobiście obrażeni. A oto i same wypadki tego dnia w ich kolejności:

Ledwo zaczął się ujawniać rozkład, można było poznać po twarzach zaglądających do celi mnichów, w jakim celu tu zaglądają. Wchodzili, stali chwilkę i wychodzili potwierdzić wiadomość innym, którzy skupili się dookoła pustelni. Niektórzy z owych czekających kiwali smętnie głowami, ale inni nie raczyli nawet ukrywać radości, jawnie świecącej w złośliwych oczach. I nikt ich nie zawstydził, nikt dobrego słowa nie mówił, co było szczególnie dziwne, bo większość jednakże mnichów była wierna starcowi: ale widać już sam Bóg dopuścił, żeby tym razem mniejszość wzięła górę nad większością. Wkrótce zaczęli zaglądać do celi na przeszpiegi goście świeccy, zwłaszcza inteligenci. Chłopi przeważnie czekali koło wrót pustelni. Po godzinie trzeciej ogromnie się wzmogły pielgrzymki osób świeckich, i to właśnie wskutek gorszącej nowiny. Nawet tacy, którzyby nie przyszli tego dnia i nie zamierzali przyjść wcale, specjalnie teraz przybyli; między nimi były niektóre wybitne osobistości. Zresztą ojciec Paisy z surową twarzą dobitnie i wyraźnie czytał na głos ewangelję, jakgdyby nie widząc nic

chociaż w istocie już dawno spostrzegł, że święci się coś niezwykłego. Ale oto i jego zaczęły dobiegać zrazu ciche, ale stopniowo coraz bardziej stanowcze i wyraźne głosy. „Widać Sąd Boży inszy od ludzkiego!" — usłyszał naraz ojciec Paisy. Wypowiedział te słowa po raz pierwszy urzędnik przybyły z miasta, starszy już człowiek i, jak mówiono, bardzo pobożny. Wypowiedział przecie głośno to, co już dawno szptem powtarzali sobie zakonnicy. Ci bowiem dawno już wyrzekli owe rozpaczliwe słowa, i rzecz najgorsza, z każdą minutą wyrażali je z coraz większym triumfem. Wkrótce przestano dbać nawet o pozory przyzwoitości. „I jak to mogło się zdarzyć" mówili niektórzy zakonnicy, zrazu jakgdyby z ubolewaniem—„ciało było małe, suche, do kości przyschnięte, skądże ten zaduch?". „Znaczy specjalnie chciał Bóg wskazać" — odrazu dodawali inni, i zdanie to natychmiast przyjęło się, albowiem miarkowano, że zaduch jest nienaturalny, nie taki, jak od każdego zwykłego grzesznika, bo zbyt wczesny, zbyt pospieszny, o wiele godzin za wcześnie. „Ten zaś przyrodzenie ubiegł", zatem nikt inny jeno sam Bóg dopuścił na znak szczególny. Rozumowanie to narzucało się umysłom zebranych. Łagodny ojciec Józef, bibljotekarz, ulubieniec nieboszczyka, zaczął zrazu dowodzić niektórym z obmawiaczy, że „nie zawsze tak jest": w Kościele wschodnim nie jest to bynajmniej dogmatem, iż zwłoki sprawiedliwych nie mogą ulegać rozkładowi; w najbardziej prawosławnych krajach, naprzykład na Athosie, nie zważają na zaduch trupi, i nie to uchodzi tam za znamię wybrania czy potępienia, lecz kolor kości w długi czas po pogrzebaniu: „jeżli kości będą żółte jak wosk, jest to znak główny, że zmarły dostąpił chwały Pańskiej, jeżli zaś nie żółte są lecz czarne, to znaczy niegodny jest i nie wybrany" — oto jak jest na górze Athos, gdzie Kościół wschodni zdawien dawna zachował się w całej swej świetlistej czystości — zakończył ojciec Józef. Lecz twierdzenia pokornego ojca nie wywarły żadnego wrażenia i nawet doczekały się ironicznej odprawy: „to wszystko teorje i nowinki, nie warto tego słuchać" — zdecydowali zakonnicy. „U nas po staremu. Mało teraz nowinek namnożyło się: zaliż wszystkie

będziemy naśladować?" — dodawali inni. „Mieliśmy nie mniej świętych ojców, co oni. Oni tam są poddani Turkom i wszystko przepomnieli. U nich wiara prawosławna dawno się zmąciła, i dzwonów nawet nie mają" — dorzucali bardziej szyderczy oponenci. Ojciec Józef odszedł rozgoryczony, tem bardziej że sam wypowiedział swoją opinję nie bardzo stanowczo, jakgdyby wątpił o własnych słowach. Lecz wyczuł, że zanosi się na jakiś skandal, i że podnosi głowę nieposłuszeństwo. Pomału za przykładem ojca Józefa umilkły wszystkie inne co roztropniejsze głosy. I jakoś się zdarzyło, że ci wszyscy, którzy miłowali zgasłego starca i z rozczulonem posłuszeństwem przyjmowali instytucję starców, jakoś naraz straszliwie struchleli i, spotykając się ze sobą, trwożnie zaglądali sobie w oczy. Wrogowie zaś tej instytucji hardo podnosili czoła. „Z nieboszczyka starca Warsonofji nietylko nie było zaduchu, ale owszem sączył się miły zapach" — przypominali złośliwie—„ale zasłużył sobie nie tem, że był starcem, lecz że sam był sprawiedliwy". I rychło zaczęto wypominać nieboszczykowi rozmaite rzeczy, potępiać go i oskarżać: „źle pouczał; uczył, że życie jest wielką radością, a nie łzawem posłuszeństwem" — mówili niektórzy najbardziej niedorzeczni. „Wierzył jakoś modnie, ognia materjalnego w piekle nie uznawał" — dodawali inni, jeszcze bardziej niedorzeczni. „Nie bardzo przestrzegał postów, dogadzał sobie, słodycze, wiśniowe konfitury do herbaty jadał, które mu paniusie przysyłały. Czy pustelnikowi godzi się herbatki popijać?" — pytali niektórzy zawistni. „Wzbił się w dumę" — okrutnie wypominali mu inni bardziej złośliwi — „uważał się za świętego, na kolana przed nim padano, jako powinne sobie przyjmował". — „Sakramentu spowiedzi nadużywał" — dodawali złośliwym szeptem najzawziętsi przeciwnicy instytucji starców, i to nawet bardzo starzy i surowi względem siebie postnicy, którzy milczeli za życia zmarłego starca, ale nagle teraz otworzyli usta; i było to szczególnie okropne, bo słowa ich działały na młodych i jeszcze wahających się braciszków. Nasłuchał się tych rozmów gość obdorski, zakonnik od świętego Sylwestra, wzdychając głęboko i kiwając głową. „Nie,

widać ojciec Terapont słusznie wczoraj mówił" — myślał sobie, — a tu naraz pojawił się sam ojciec Terapont, jakgdyby poto właśnie, aby pogłębić rozruch.

Mówiłem już poprzednio, że wychodził ze swojej drewnianej celki za pasieką bardzo rzadko, nawet do cerkwi, uważano go niejako za „jurodiwego", i nie zmuszano do przestrzegania wszystkich prawideł życia klasztornego. Zresztą, prawdę mówiąc, tolerowano jego uchybienia z musu. Albowiem tak wielkiego postnika, ascetę, modlącego się po dniach całych i nocach (zasypiał czasem na klęczkach) nieporęcznie jakoś było obciążać regułą, skoro sam nie chciał się jej poddać. „I świętszy jest od nas wszystkich i żyje surowiej niż wedle reguły" — powiedzieliby niektórzy zakonnicy „a że do cerkwi nie chadza, to chyba sam wie, kiedy ma chodzić, ma własną regułę". Ze względu na te możliwe sprzeciwy i zgorszenie zostawiono ojca Teraponta w spokoju. Starca Zosimy, jak powszechnie było wiadomo, ojciec Terapont nie lubił wielce. I oto do jego celi za pasieką naraz dotarła wieść „że sąd Boży inszy jak sąd człowieka, i że przyrodzenie ubiegł". Należy sądzić, że przedewszystkiem pokwapił się z tą nowiną gość z Obdorska, który ojca Teraponta wczoraj był odwiedził i wyszedł odeń zdjęty zgrozą. Wspominałem również o tem, że ojciec Paisy, który trwał na swojem stanowisku i czytał nad grobem ewangelję, choć nie mógł widzieć i słyszeć, co się działo nazewnątrz celi, przecież w sercu swojem nieomylnie odgadł główne rzeczy, albowiem znał nawskroś swoje środowisko. Nie był zmieszany, oczekiwał dalszych wypadków bez trwogi, wzrokiem przenikliwym śledząc przyszłe koleje zamieszania, które przedstawiały się jego oku duchowemu. Lecz naraz zdziwił go niezwykły i zakłócający spokój hałas w sieni. Drzwi otworzyły się nagoścież i na progu stanął ojciec Terapont. Za nim, jak widać było z celi, stłoczył się na dole koło ganku tłum świeckich i duchownych gapiów. Nie weszli jednak do celi ani na ganek, — zatrzymawszy się, czekali, co powie i uczyni ojciec Terapont, albowiem przeczuwali — z niejakim nawet strachem mimo swoje całe zuchwalstwo — że ów przybył tu nie naprożno.

Zatrzymawszy się na progu, ojciec Terapont wyciągnął ręce, i wówczas z pod prawego jego ramienia wyjrzały ostre i ciekawe oczki gościa z Obdorska, jedynego, który się odważył i wbiegł wślad za ojcem Terapontem do celi, pobudzony arcywielką swoją ciekawością. Pozostali zaś, ledwo z hałasem otworzyły się drzwi, wręcz przeciwnie cofnęli się jakgdyby z wielkiej trwogi. Wzniósłszy ku górze ręce, ojciec Terapont wrzasnął:

— Wyrzucając wyrzucę! — i, obróciwszy się na wszystkie cztery strony, przeżegnał ściany i wszystkie cztery kąty. Wszyscy zrozumieli okrzyk i postępowanie ojca Teraponta; albowiem zawsze tak czynił, dokądkolwiek wchodził; nie siadł, słowa nie mówił, dopóki nie wypędził nieczystej siły.

— Wynijdź, szatanie, wynijdź szatanie! — powtarzał przy każdym znaku krzyża. — Wyrzucając wyrzucę — wrzasnął ponownie.

Nosił na sobie swój gruby habit, przepasany powrozem. Z pod grubej koszuli wyglądała obnażona pierś, zarośnięta siwemi włosami. Nogi były całkiem bose. Gdy zaczął machać rękoma, zadzwoniły okrutne kajdany, które nosił na ciele. Ojciec Paisy przestał czytać, wystąpił naprzód, stanął przed nim i czekał.

— Przecz-żeś przyszedł, ojcze czcigodny? Przeczże pokój naruszasz? Przecz-że trzodę burzysz? — odezwał się wreszcie, patrząc nań surowo.

— Przecz-żem przyszedł? Jako wierzący? Czego proszący? — zawołał ojciec Terapont, wyrażając się dziwacznie. — Przybieżałem tutejszych waszych gościów powyganiać, curów zatraconych. Patrzę, czy wiele się ich uzbierało. Rózgą brzozową wymiatać będę.

— Nieczystą siłę wyganiasz, a może i sam jej służysz — odrzekł bez trwogi ojciec Paisy — i kto o sobie może rzec: święty jestem? Może ty, ojcze?

— Przeklęty jestem, a nie święty. Na fotelu nie zasiądę i nie zachcę pokłonów sobie! — zagrzmiał ojciec Terapont. — Teraz człowieki wiarę gubią świętą. Nieboszczyk, świątek wasz — zwrócił się ku tłumowi, wskazując palcem

na trumnę — nie przyznawał djabłów. Rycynę na czartów dawał. To to namnożyło się ich u was, jak pająków po kątach. A teraz i sam cuch wydaje. W tem wskazówka wielka od Boga.

Istotnie coś takiego zdarzyło się za życia starca Zosimy. Mnichowi pewnemu zaczęły się śnić djabły, wkońcu przywidywały mu się na jawie. Gdy struchlały wyznał to starcowi, ów poradził mu nieustanną modlitwę i srogi post. A kiedy i to niepomogło, zalecił mu, nie ustając w modlitwie i w poście, przyjąć pewne lekarstwo. Mówiono o tem wiele w swoim czasie ze zgorszeniem, kiwając głową — najwięcej zaś oburzał się ojciec Terapont, któremu gorliwi informatorzy natychmiast donieśli o „niezwykłem" w takim wypadku zarządzeniu starca.

— Wynijdź, ojcze! — rzekł rozkazująco ojciec Paisy. — Nie ludzie sądzą, lecz Bóg. Może widzimy tu wskazówkę, której nie zdołasz pojąć ani ty, ani ja, ani nikt. Wynijdź, ojcze, i trzody nie buntuj! —powtórzył z mocą.

— Postów nie przestrzegał, jak należało, a przetoć to wszystko wyszło. Przed Bogiem grzechu nie skryjesz! — wrzeszczał fanatyczny starzec. — Na cukierki się złakomił, paniusie mu słały, herbatki popijał, maćkowi dogadzał, napełniając go słodyczami, zasię rozum wzbił w pychę... Przetoć i srom wyszedł..

— Lekkomyślne są słowa wasze, ojcze! — podniósł głos ojciec Paisy — podziwiam post wasz i umartwienie, wszakże lekkomyślne są słowa wasze, godne młodzieniaszka wietrznego i nierozumnego. Wynijdź stąd, ojcze, rozkazuję ci! — huknął wreszcie ojciec Paisy.

— Wyjdę ja, wyjdę! — odrzekł ojciec Terapont, jakby zlekka się miarkując, chociaż nie ochłonął z gniewu— uczone to, mędrce! Z wielkiego rozumu wynosicie się nademną, maluczkim. Przyszedłem tu nieuczony, a com wiedział, tegom do reszty tu przepomniał. Sam Bóg uchronił mnie maluczkiego od waszej przemądrzałości...

Ojciec Paisy stał nad nim i czekał stanowczo. Ojciec Terapont umilkł i nagle rozrzewnił się, przyłożył prawą rękę do policzka i począł zawodzić, spoglądając na trumnę starca:

— Nad nim „Pomocnika i Opiekuna" czytać będą, a nade mną, kiedy zdechnę, ino „Jaka życia słodycz" — tekst lichy — rzekł łzawym i strapionym głosem. I nagle ryknął jak oszalały: — W pychę się wzbili, puste jest miejsce ono!

I machnąwszy ręką, prędko się odwrócił i zbiegł nadół po schodach. Czekający na dole tłum poruszył się niespokojnie; niektórzy poszli za nim natychmiast, inni wahali się, albowiem cela była jeszcze wciąż otwarta. Ojciec Paisy wyszedł za ojcem Terapontem na ganek, stał i obserwował. Lecz rozkiełznany starzec nie poprzestał na dotychczasowych dziwactwach: oddaliwszy się o dwadzieścia kroków, zwrócił się w stronę zachodzącego słońca, wyciągnął ku górze ręce i — jakgdyby kto go podciął — runął na ziemię z przejmującym krzykiem:

— Mój Bóg zwyciężył! Chrystus zwyciężył zachodzące słońce! — krzyknął nieprzytomnie, wyciągając ku słońcu ręce i, padłszy na twarz, zaszlochał na głos, jak małe dziecko, drżąc od łkań i rozpościerając na ziemi ramiona.

Wówczas wszyscy już rzucili się ku niemu, padały okrzyki, rozlegało się łkanie... Jakiś szał fanatyczny opętał zbiegowisko.

— Oto kto święty! Oto kto sprawiedliwy! — wołano już odważnie — oto kto starcem winien być — dodawano ze złością.

— Nie zechce być starcem... Sam odrzuci... nie będzie służył przeklętym nowinkom... nie będzie naśladował ich głupstw—podjęli natychmiast inni. Trudno określić, do czegoby doszło, gdyby nie uderzył w tej chwili dzwon cerkiewny, wzywający do nabożeństwa. Wszyscy się przeżegnali. Podniósł się również ojciec Terapont i, przeżegnawszy się, odszedł do swojej celi, nie oglądając się za siebie, wydając jakieś okrzyki, ale zupełnie już niezrozumiałe. Za nim poszli niektórzy, ale większość zaczęła się rozchodzić, spiesząc do cerkwi. Ojciec Paisy powierzył czytanie ewangelji ojcu Józefowi i zeszedł nadół. Nie mogły nim zachwiać nieprzytomne krzyki fanatyków, lecz serce jego nagle zasmu-

ciło się i zatęskniło dziwnie. Zatrzymał się i naraz zapytał siebie: skąd ten smutek rozpaczliwy? I ze zdziwieniem uprzytomnił sobie, że ów nagły smutek powstał zapewne z bardzo błahej i szczególnej przyczyny: mianowicie w tłumie, skupiającym się niedawno przed celą, zauważył śród wzburzonych zakonników Aljoszę, a ujrzawszy go, poczuł w sercu dojmujący ból. „Czyżby ten młodzian obchodził tak bardzo serce moje?" — zapytał siebie ze zdziwieniem. W tej chwili Aljosza akurat wymijał go, spiesząc gdzie, lecz nie w stronę cerkwi. Spojrzenia ich spotkały się. Aljosza prędko odwiódł oczy i spuścił nadół. Ojciec Paisy zrozumiał, co się dzieje w jego duszy.

— Zali i tyś się zgorszył? — zawołał naraz ojciec Paisy — i tyś przystał do ludzi małej wiary! — dodał z goryczą.

Aljosza zatrzymał się i z jakimś nieokreślonym wyrazem spojrzał na ojca Paisego, ale znowu szybko odwiódł oczy i znowu spuścił je nadół. Stał zaś bokiem i nie odwracał się twarzą ku ojcu Paisemu. Ów obserwował go uważnie.

— Dokąd spieszysz? Do nabożeństwa dzwonią — zapytał znowu.

Wszakże Aljosza znowu nie dawał odpowiedzi.

— Zali z pustelni wychodzisz? I tak, bez zapytania, bez błogosławieństwa!

Aljosza naraz uśmiechnął się z grymasem, dziwnie, bardzo dziwnie obrzucił okiem badającego go ojca, któremu zawierzył go przed śmiercią były kierownik, były władca jego serca i umysłu, ukochany starzec; nagle, wciąż milcząc, machnął ręką, jakby już nie dbał o względy przyzwoitości, prędkiemi krokami pospieszył ku wrotom i wyszedł z pustelni.

— Wrócisz jeszcze! — szepnął ojciec Paisy, patrząc za nim z gorzkiem zdziwieniem.

II.

Taka minutka.

Ojciec Paisy, oczywiście, nie omylił się, twierdząc, że jego „miły chłopak" jeszcze powróci, i może nawet wniknął (bardzo trafnie chociaż nie całkowicie) w stan jego ducha. Jednakże przyznaję szczerze, że sam z trudem zdołałbym określić wyraźnie i dokładnie treść owej dziwnej i nieokreślonej minuty w życiu tak ukochanego i tak jeszcze młodego bohatera mojej powieści. Na gorzkie zapytanie ojca Paisego: „i tyś przystał do ludzi małej wiary" — mógłbym, rozumie się, odpowiedzieć z całą stanowczością za Aljoszę: „Nie, on nie przystał do ludzi małej wiary". Co więcej, działo się tu coś wręcz przeciwnego: zamęt powstał właśnie z tego względu, że bardzo wierzył. Ale zamęt był, istniał, i był tak męczący, że nawet potem, wiele czasu potem, Aljosza uważał ów gorzki dzień za jeden z najbardziej męczących i fatalnych dni swego życia. Jeśli zaś zapytacie wprost: „czyżby cały zamęt i rozpacz wynikła z tego, że zwłoki zmarłego starca, miast dokonywać uzdrowień, uległy niewczesnemu rozkładowi?" — to odpowiem na to bez ogródki: „Tak, istotnie tak było". Prosiłbym jeno czytelnika, aby nie śmiał się zbyt skwapliwie z czystego serca mego ulubieńca. Sam zaś nietylko nie zamierzam prosić dlań o pobłażliwość, usprawiedliwiać prostoduszną jego wiarę młodością naprzykład, albo słabemi postępami w szkole średniej i t. d., lecz wręcz przeciwnie, stanowczo stwierdzam, że czuję szczery szacunek dla jego serca. Niewątpliwie, inny młodzian, przyjmujący wrażenia serdeczne ostrożnie, umiejący już miłować nie gorąco, lecz ciepło, mający umysł wprawdzie wierny, ale zbyt rezolutny jak na swe lata (a więc lichy), inny młodzian, powiadam, uniknąłby tego, co przytrafiło się Aljoszy. Wszakże w wielu wypadkach o wiele zacniej jest poddać się jakiemuś porywowi, niechby nawet nierozsądnemu, lecz płynącemu z wielkiej miłości, niż wcale mu się nie poddawać. Szczególnie zaś

w młodym wieku, albowiem niepewny jest zbyt już zawsze rezolutny młodzieniec i niewiele wart jest — tak ja przynajmniej mniemam! „Lecz — zawołają zapewne rozsądni ludzie — nie może przecież każdy młodzieniec wierzyć w taki przesąd, i ulubieniec pana nie jest bynajmniej wzorem dla innych". Na to znowu odpowiem: tak, mój ulubieniec wierzył, wierzył święcie i niezachwianie, lecz mimo to nie będę go usprawiedliwiał.

Widzicie bowiem: chociaż stwierdziłem powyżej (może zbyt pochopnie), że nie będę prosił o pobłażliwość dla mego bohatera i usprawiedliwiał go, widzę, że coś niecoś trzeba będzie koniecznie wyjaśnić, aby czytelnik mógł zrozumieć dalszy ciąg opowieści. Więc powiadam: tu nie o cuda chodzi. Oczekiwanie cudu nie było w tym wypadku lekkomyślne. I nie gwoli triumfu jakichś przekonań potrzebował Aljosza cudów (bo o tem nie może być mowy), nie gwoli idei jakiejś, zgóry powziętej, któraby zatriumfowała nad inną — o nie, bynajmniej: w tej sprawie na pierwszem miejscu stała dlań osoba, i tylko osoba — osoba ukochanego starca, osoba sprawiedliwego, którego czcił i niemal ubóstwiał. O to właśnie chodzi, że cała miłość serca jego młodego i czystego dla „wszystkich i wszystkiego", w tym czasie i przez cały poprzedzający rok, chwilami ogniskowała się niejako, może niesłusznie, w jednej osobie, w ukochanym starcu, obecnie zmarłym. Prawda, osoba ta tak długo przyświecała mu jako niewątpliwy ideał, że wszystkie młode jego siły i popędy musiały się skierować wyłącznie ku temu ideałowi, chwilami nawet każąc mu zapomnieć „wszystkich i wszystkiego". (Przypomniał sobie, że owego ciężkiego dnia wyszedł mu zupełnie z pamięci brat Dymitr, o którego tak niepokoił się jeszcze dnia poprzedniego. Zapomniał również zanieść ojcu Iljuszy dwieście rubli, co tak żarliwie projektował poprzedniego dnia). I nie cudów pragnął, lecz „wyższej sprawiedliwości", która zdaniem jego była naruszona, i przez to właśnie tak okrutnie i nieoczekiwanie zraniła jego serce. I cóż z tego, że „sprawiedliwość" owa w marzeniach Aljoszy naturalnym biegiem rzeczy przyjęła postać cudów, oczekiwanych niecierpliwie od zwłok ubó-

stwianego kierownika? Przecież tak myśleli i spodziewali się wszyscy w monasterze, ci nawet, których umysły podziwiał Aljosza, sam ojciec Paisy naprzykład. I oto Aljosza, nie trwożąc siebie żadnemi wątpliwościami, oblókł marzenie swe w tę samą postać, co i wszyscy. I dawno już zasiadło owe marzenie w jego sercu, które więc przywykło oczekiwać cudów. Lecz sprawiedliwości, sprawiedliwości łaknął, nie tylko cudów! I oto ten, który powinien być wyniesiony najwyżej na świecie, zamiast winnej mu chwały, został strącony w hańbę! Za co? Kto sądził? Kto mógł tak osądzić — oto pytania, które zmęczyły wówczas niedoświadczone i dziewicze jego serce. Nie mógł znieść bez urazy, bez serdecznej złości, aby najsprawiedliwszy ze sprawiedliwych wydany był na takie wzgardliwe i złe urąganie tak lekkomyślnej i tak niżej odeń stojącej zgrai. Niechby nie było cudów, niechby nie objawiło się nic cudownego i nie sprawdziło oczekiwań — ale czemuż ta niesława, czemuż ten srom, czemu ten niewczesny rozkład, który „ubiegł przyrodzenie", jak powiadali złośliwi braciszkowie? Czemuż ta „wskazówka", którą teraz z takim triumfem ogłaszają za ojcem Terapontem, roszcząc sobie niewiadomo czemu prawo do takiego wywodu? Gdzie tu Opatrzność i palec Jej? Czemu ukryło swój palec w „najpotrzebniejszej chwili" (myślał Aljosza) i jakby samo pragnęło poddać Siebie ślepym, niemym, nieubłaganym prawom natury.

Oto czemu oblewało się krwią serce Aljoszy. I niewątpliwie, jak już rzekłem, na pierwszym planie stała ukochana przezeń istota, obecnie tak „shańbiona", tak „zniesławiona"! Może nawet bunt mego młodzieńca był lekkomyślny i niedorzeczny, ale znowu, powtarzam to po raz trzeci (i godzę się zgóry, że może również lekkomyślnie): rad jestem, że mój ulubieniec nie okazał się rozsądny w owej chwili, albowiem na rozsądek zawsze przyjdzie czas u człowieka niegłupiego, natomiast jeżeli w podobnie wyjątkowej chwili nie objawi się miłość w sercu młodzieńca, to kiedyż ona się objawi? Jednakowoż nie chcę przemilczeć przy sposobności pewnego dziwnego zjawiska, które, coprawda chwilowo, ujawniło się wówczas w umyśle Aljoszy. To

nagle wyłaniające się *coś* było właściwie męczącem wrażeniem z rozmowy jego wczorajszej z bratem Iwanem, którą sobie teraz wciąż przypominał. Właśnie teraz. O, nie chcę przez to powiedzieć, że zachwiały się w jego duszy podstawowe, żywiołowe, że tak powiem, wierzenia jej. Boga swego kochał i wierzył w Niego absolutnie, chociaż nagle przeciw niemu się zbuntował. Lecz jakieś mętne, lecz męczące i złe wrażenie z wczorajszej rozmowy z bratem Iwanem nagle znowu drgnęło w jego duszy i coraz bardziej wybijało się nawierzch.

Zmierzch już zapadał, gdy Rakitin, przechodząc przez lasek sosnowy z pustelni do monasteru, naraz zauważył Aljoszę, leżącego pod drzewem, twarzą na ziemi, zastygłego w bezruchu i jakby we śnie. Podszedł bliżej i zawołał.

— Ty tu, Aleksy? Czyżbyś... — przemówił ze zdziwieniem, ale nagle urwał.

Chciał powiedzieć: „czyżbyś *do tego doszedł?*" Aljosza nie spojrzał nań, lecz poruszył się niespokojnie.

— Co się z tobą dzieje? — pytał Rakitin ze zdziwieniem.

Rychło jednak zdziwienie na jego twarzy ustąpiło miejsca coraz bardziej szyderczemu uśmiechowi.

— Słuchaj-że, szukam cię już od przeszło dwóch godzin. Nagle przepadłeś. Co ty robisz? Co za zbożne głupstwa? Popatrz na mnie...

Aljosza podniósł głowę i oparł się plecami o drzewo. Nie płakał, ale cierpienie uwidoczniło się na jego obliczu, w oczach zaś był wyraz rozdrażnienia. Nie patrzał na Rakitina, lecz gdzieś obok w przestrzeń.

— Wiesz, że zupełnie zmieniłeś się na twarzy. Gdzie się podziała twoja przysłowiowa łagodność? Rozgniewałeś się na kogo, co? Obrazili cię?

— Zostaw mnie! — rzekł Aljosza, nie patrząc nań, i znużonym gestem machnął ręką.

— Oho, tacyście! Tak samo jak wszyscy inni śmiertelnicy zacząłeś pokrzykiwać! I to anioł! No, Aljoszka, zdziwiłeś mnie niezmiernie. Wiesz, mówię szczerzę. Dawno

już niczemu się nie dziwię. Ale ja cię za wykształconego człowieka miałem...

Aljosza popatrzał, popatrzał na niego, ale jakoś z roztargnieniem, jakgdyby niebardzo go jeszcze rozumiał.

— Czy to naprawdę dlatego, że twój starzec gnije? Czyżbyś i ty wierzył, że cuda zacznie odwalać? — zawołał Rakitin, znowu wpadając w szczere zdumienie.

— Wierzyłem, wierzę i chcę wierzyć i będę wierzył, czego jeszcze chcesz! — krzyknął, irytując się, Aljosza.

— Ale nic absolutnie, mój drogi. Tfu, do djabła, przecież dziś nie wierzy w to pierwszy lepszy trzynastoletni berbeć. A zresztą, do licha... A tyś się już rozgniewał na Boga swego, zbuntowałeś się: „pominąłeś niby przy nominacji, na święta orderu nie dałeś!" Ech, wy!

— Ja przeciw Bogu swemu nie buntuję się, ja jeno „świata jego nie przyjmuję" — uśmiechnął się nagle Aljosza z grymasem.

— Jakto świata nie przyjmujesz? — Rakitin zastanowił się chwilę nad jego odpowiedzią. — Co to znowu za abrakadabra?

Aljosza nie odpowiedział.

— No, dość już o bzdurstwach, przystąpimy do rzeczy: jadłeś dzisiaj co?

— Nie pamiętam... zdaje się, że jadłem.

— Musisz się przecie pokrzepić, z oczu ci to patrzy. Żal na cię spoglądać. Wszak i w nocy nie spałeś, słyszałem, mieliście tam posiedzenie. A potem cały ten galimatjas. Napewno ledwo chleba kawałek poświęconego połknąłeś. Mam w kieszeni kiełbasę, na wszelki wypadek kupiłem w mieście, tylko że ty nie będziesz kiełbasy...

— Dawaj kiełbasę.

— Ehe! A więc tak! A więc prawdziwy rokosz i barykady! No, bracie, nie trza tego lekceważyć. Chodźmy do mnie... Jabym sam kropnął łyk wódeczki, strasznie się zmachał. Na wódkę się chyba nie zdecydujesz... a może i ty wypijesz?

— Dawaj i wódki.

— No, no! Cudnie, bracie! — popatrzał dziko Rakitin. — Tak czy owak, wódka czy kiełbasa, a sprawa stoi dobrze, nie trza zasypiać gruszek w popiele. Chodźmy!

Aljosza milcząc podniósł isę i poszedł za Rakitinym.

— Bodajby to widział brat Wanieczka, toby się zdumiał! A propos braciaszek twój Iwan Fedorowicz dziś rano wyjechał do Moskwy, czy wiesz o tem?

— Wiem — odrzekł obojętnie Aljosza.

I naraz stanął mu w umyśle obraz brata Dymitra, ale tylko mignął przelotnie i przypomniał coś, jakąś sprawę pilną, której nie wolno było odwlec ani na chwilę, jakąś powinność, jakiś obowiązek straszliwy; wszakże i to wspomnienie nie wywarło na Aljoszy żadnego wrażenia, nie dotarło do jego serca, odrazu ulotniło się z pamięci. Ale później długo to sobie wypominał.

— Braciszek twój, Waniczka, wyraził się o mnie kiedyś, że jestem „bezdarnym liberalnym workiem". I ty również któregoś razu nie wytrzymałeś i dałeś mi do zrozumienia, że jestem „nieuczciwy"... Niech i tak będzie! Popatrzę teraz na wasze talenty i uczciwość (ostatnie zdanie wypowiedział już do siebie, szeptem). Tfu, posłuchaj! — zaczął znowu na głos — ominiemy klasztor, pójdziemy do miasta... Hm, powinienem zajść przy sposobności do pani Chochlakow. Wyobraź sobie: napisałem jej o wszystkiem, co się tu wydarzyło, a ona mi natychmiast odpisała ołówkiem (strasznie paniusia lubi korespondować), że „żadną miarą nie spodziewała się po takim czcigodnym stracu, jak ojciec Zosima, *takiego postępku*". Tak właśnie napisała: „postępku"! Też się zbuntowała; ech, wszyscy wy! Poczekaj! — zawołał nagle, stanął i, chwyciwszy Aljoszę za ramię, zatrzymał go.

— Wiesz co, Aljosza — rzekł, zaglądając mu badawczo w oczy, wzburzony myślą, która nagle strzeliła mu do głowy, której — chociaż nadrabiał miną — nie śmiał jednak wypowiedzieć, do jakiego stopnia nie mógł się jeszcze oswoić z dziwnym i niespodzianym nastrojem Aljoszy. — Aljoszka, wiesz, dokąd byłoby najlepiej pójść? — rzekł wreszcie nieśmiało.

— Wszystko jedno... dokąd chcesz.

— Pójdziemy do Gruszeńki, co? Pójdzesz? — ośmielił się Rakitin, drżąc w trwożliwem oczekiwaniu.

— Chodźmy do Gruszeńki — odparł spokojnie Aljosza.

Skora i spokojna zgoda była taką niespodzianką dla Rakitina, że omal nie podskoczył zdumiony.

— No, no!... Masz tobie! — zawołał ze zdumieniem. Lecz naraz, chwyciwszy Aljoszę pod rękę, pociągnął go po dróżce do miasta, bojąc się strasznie, aby Aljosza nie zmienił zamiaru. Szli w milczeniu, Rakitin lękał się bowiem przemówić.

— A jak zadowolona będzie, jak zadowolona... — wybełkotał i natychmiast umilkł.

Lecz nie gwoli zadowolenia Gruszeńki ciągnął ku niej Aljoszę; był to człek poważny i nic nie robił bez korzystnego dla siebie celu. Cel zaś przyświecał mu teraz podwójny: po pierwsze mściwy, to znaczy chęć ujrzenia „hańby sprawiedliwego" i prawdopodobnie jego upadku, którym się zgóry napawał, po drugie zaś materjalne wyrachowanie, bardzo dlań korzystne, do którego później wrócimy.

„To znaczy, że taka minutka wypadła" myślał wesoło i złośliwie „chwycimy ją teraz za kołnierz, minutkę oną, albowiem jest nam teraz na rękę".

III.

Cebulka.

Gruszeńka mieszkała w najbardziej ożywionym punkcie koło placu sobornego, w domu Morozowowej, wdowy po kupcu. Odnajmowała niedużą drewnianą oficynę. Sam dom był wielki, murowany, dwupiętrowy, stary i bardzo brzydki. Zajmowała go stara właścicielka wespół z dwiema siostrzenicami, również dosyć leciwemi. Nie miała potrzeby odnajmować oficyny, ale wszyscy wiedzieli, że przyjęła Gruszeńkę do domu (jeszcze cztery lata temu) jedynie na prośbę krewniaka swego, kupca Samsonowa, jawnego opiekuna

Gruszeńki. Mówiono więc, że zazdrosny staruch umieścił swoją „faworytkę" u Morozowowej, aby ta miała nadzór nad konduitą swej lokatorki. Ale nadzór okazał się rychło zbyteczny, i wkońcu Morozowowa przestała się opiekować Gruszeńką i dokuczać jej nadzorem. Coprawda cztery lata minęły już od czasu, jak starzec przywiózł do tego domu z miasta gubernjalnego osiemnastoletnią dzieweczkę, nieśmiałą trusię, chudziutką, mizerną, zamyśloną i smutną, i wiele wody upłynęło od owego czasu. Biografję tej dzieweczki naogół znano u nas w mieście, ale bardzo słabo i mętnie; nie dowiedziano się dokładniej nawet później, kiedy wiele osób poczęło się interesować taką piękną kobietą, w jaką w ciągu czterech lat przeistoczyła się Agrafena Aleksandrowna. Opowiadano tylko, że siedemnastoletnią dzieweczkę uwiódł jakiś oficer a następnie porzucił. Oficer wyjechał i gdzieś tam ożenił się z inną, zaś Gruszeńka została w nędzy i hańbie. Powiadano również, że aczkolwiek istotnie Samsonow znalazł ją w wielkiej nędzy, przecież pochodziła z uczciwej rodziny, była córką jakiegoś diakona albo kogoś w tym rodzaju. I oto po czterech latach z uczuciowej, skrzywdzonej i nieszczęśliwej sierotki wyrosła rumiana, dorodna rosyjska piękność, kobieta ze śmiałym i stanowczym charakterem, harda i zuchwała, znająca się na wartości pieniądza, skąpa i ostrożna, która prawem czy lewem zdążyła sobie, jak powiadano, uciułać własny fundusik. Jedno było pewne: że Gruszeńka była niedostępna, i że prócz starego opiekuna, nie było przez cztery lata ani jednego mężczyzny, który mógłby się pochwalić jej względami. Fakt ten był niewątpliwy, albowiem sporo było amatorów owych względów, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch lat. Wszystkie usiłowania były daremne, a niektórzy nawet zalotnicy musieli rejterować w sposób komiczny i hańbiący, otrzymawszy stanowczą i urągliwą odprawę. Wiedziano jeszcze to, że Gruszeńka, szczególnie w ostatnim roku, puściła się na fale tak zwanych „geszeftów" i okazała się w tym kierunku tak zdolna, że aż w końcu zaczęto ją przezywać „żydowską duszą". Nie zajmowała się co prawda lichwą, ale wiadomo było naprzykład, że do spółki z Fedorem Paw-

łowiczem Karamazowym przez jakiś czas skupywała weksle za bezcen, po dwadzieścia groszy za rubel, a potem odbierała całą sumę. Chory Samsonow, który ostatniemi czasy nie władał swemi spuchniętemi nogami, wdowiec, tyran swoich dorosłych dzieci, wielki bogacz, ale nieubłagany kutwa, wpadł pod wpływ swej protegowanej, którą zrazu trzymał w żelaznych karbach, „na postnem maśle" jak powiadali obgadywacze. Ale Gruszeńka potrafiła się wyemancypować, zdobywszy sobie uprzednio jego bezgraniczne zaufanie. Starzec ów, sprytny kupiec (teraz już dawno nie żyje), miał również wybitny charakter, był skąpy i twardy jak krzemień, i chociaż Gruszeńka wywierała na nim ogromne wrażenie, chociaż nie mógł nawet bez niej żyć (zwłaszcza ostatnie dwa lata), nie obdarowywał jej szczodrze, i nie uląkł się nawet jej gróźb. W każdym razie jakiś fundusz jej wydzielił, co wszystkich w mieście wprawiło w zdumienie. „Kuta jesteś baba" — rzekł do niej, dając jej osiem tysięcy.—„Sama spekuluj, ale wiedz, że oprócz utrzymania nic więcej do samej mojej śmierci nie dostaniesz, i w testamencie nic ci nie zapiszę". Istotnie, dotrzymał słowa: umarł i wszystko zostawił synom, których całe życie trzymał przy sobie wraz z ich żonami i dziećmi, i traktował jako czeladź; natomiast o Gruszeńce ani słówkiem nie wspomniał. Wszystko to później wyszło najaw. Wspierał ją jednak radami, jak należy „spekulować" i wskazywał przeróżne „interesy". Gdy Fedor Pawłowicz, który zrazu zetknął się z Gruszeńką dla pewnego przypadkowego „geszeftu", zupełnie nieoczekiwanie dla siebie zakochał się w niej bez pamięci, stary Samsonow, który już patrzał na księżą oborę, bardzo z tego się zaśmiewał. Trzeba wiedzieć, że Gruszeńka przez cały czas znajomości była ze swoim staruszkiem zupełnie i jakby nawet serdecznie szczera, z nim jednym, zdaje się, na świecie. Ostatniemi czasy, gdy pojawił się Dymitr Fedorowicz ze swoją miłością, stary Samsonow przestał się śmiać. Wręcz przeciwnie, któregoś razu poważnie i surowo poradził Gruszeńce: „Jeśli wybierać z tych dwóch, ojca i syna, to wybierz starego, ale tylko w tym wypadku, gdy stary łajdak ożeni się z tobą i przed-

tem zapisze jaki taki fundusz. Z kapitanem zaś nie zadawaj się, nic dobrego z tego nie wyniknie". Tak poradził Gruszeńce stary rozpustnik, który wówczas przeczuwał rychłą śmierć swoją i nie omylił się, bo oto w pięć miesięcy po udzieleniu tej rady umarł. Dodam jeszcze mimochodem, że znana była w mieście naszem potworna rywalizacja Karamazowów, ojca z synem, o Gruszeńkę, ale mało kto zdawał sobie jasno sprawę z jej stosunku do obydwuch. Nawet obie służące Gruszeńki (po katastrofie, którą w swoim czasie opiszę) zeznały w sądzie, że Agrafena Aleksandrowna przyjmowała Dymitra jeno ze strachu, bo „groził, że ją zabije". Oprócz tych dwóch służących miała przy sobie starą kucharkę, która służyła jeszcze u jej rodziców, chorowitą i głuchą babę, oraz jej wnuczkę, żywą dwudziestoletnią dziewczynę, którą mianowała pokojówką.

Mieszkanie jej było licho i skąpo urządzone. Składało się z trzech pokoi, zastawionych starodawnemi meblami mahoniowemi właścicielki domu. Gdy Rakitin przyprowadził Aljoszę, był już zupełny zmierzch, ale świateł w pokojach jeszcze nie zapalono. Gruszeńka leżała w salonie na dużej niezgrabnej kanapie, obitej skórą, oddawna już przetartą i podziurawioną. Pod głową miała dwie puchowe poduszki z łóżka. Leżała nieruchomo, wyciągnięta wzdłuż, z głową na rękach. Była ubrana — jakgdyby spodziewała się czyjej wizyty — w jedwabną, czarną suknię, miała szal koronkowy na głowie, w którym było jej do twarzy; na ramionach miała zarzuconą koronkową chustkę, spiętą masywną złotą broszką. Wypatrywała kogoś, to było widoczne, zniecierpliwiona, z bladą twarzą, z pałającemi wargami i oczyma—i noskiem prawego pantofelka niecierpliwie stukała po poręczy kanapy. Gdy weszli Rakitin i Aljosza, powstał mały popłoch: słychać było w korytarzu, że Gruszeńka zerwała się z kanapy i z lękiem zawołała: „Kto tam?" Otworzyła drzwi pokojówka, która natychmiast odezwała się:

— To nic, to kto inszy.

— Cóż tu się dzieje? — wybełkotał Rakitin, wprowadzając Aljoszę za rękę do salonu.

Gruszeńka stała przy kanapie, jakgdyby spłoszona. Gęste pasmo kasztanowych włosów wysunęło się z pod szalu i opadło na prawe ramię. Lecz nie zwróciła na to uwagi i nie poprawiła, póki nie przyjrzała się wyraźnie przybyszom.

— Ach to ty, Rakitka? Przeraziłeś mnie. Z kim przyszedłeś? Któż to z tobą? Boże mój, kogoś tu sprowadził!— zawołała, poznawszy Aljoszę.

— Każ świece podać! — odezwał się Rakitin ze swobodną miną dobrego znajomego i bliskiego człowieka, który ma prawo rozporządzać się w domu.

— Świece... rozumie się, świece... Fenia, przynieś-no mu świeczkę... No wybrałeś się z nim w porę! — zawołała znowu, kiwnąwszy głową na Aljoszę, zaczem odwróciła się do zwierciadła i szybko poprawiła uczesanie.

Była jakby niezadowolona z tej wizyty.

— Nie dogodziłem ci? — zapytał Rakitin, obraziwszy się odrazu.

— Przeraziłeś mnie, Rakitka, uważasz — rzekła i zwróciła się z uśmiechem do Aljoszy. — Nie bój się mnie, drogi Aljosza, strasznie się cieszę, żeś przyszedł, gościu mój nieoczekiwany. Tyś mnie, Rakitka, przestraszył: myślałam, że Mitia wdziera się. Widzisz, oszukałam go niedawno, słowo honoru musiał mi dać, że mi będzie wierzył, a sama nakłamałam. Powiedziałam mu, że do Kuzmy Kuzmicza, staruszka mojego, na cały wieczór pójdę i pieniądze będę z nim do samej nocy liczyć. Uważasz, co tydzień idę doń rachunki robić. Zamykamy się na klucz: on stuka na liczydle, a ja siedzę i do ksiąg wpisuję — tylko mnie samej ufa. Mitia uwierzył, że tam jestem, a ja tymczasem w domu zamknęłam się — siedzę i oczekuję kurjera z wieścią. Jakże to Fenia wpuściła was! Fenia, Fenia! Biegnij do wrót, otwórz i rozejrz się wkoło, czy niema gdzie kapitana? Może schował się gdzie i wypatruje, strasznie się boję!

— Niema nikogo, Agrafeno Aleksandrowna, dopiero co patrzałam, i co chwila przez otwór w zamku wyglądam, sama na śmierć się boję.

— Czy okiennice zamknięte, i zasłony wartoby spuścić, o tak! — co mówiąc, sama spuściła ciężkie zasłony. — Bo światło go jeszcze zwabi. Miti, brata twego, Aljosza, boję się dzisiaj strasznie.

Gruszeńka mówiła głośno, podnieconym głosem.

— Cóż to tak nagle Miti się zlękłaś? — zapytał Rakitin. — Zdaje się, robiłaś z nim, coś chciała, tańczył jak mu grałaś.

— Powiadam ci, wieści oczekuję, złotej takiej wieści, i Mitienka teraz może mi tylko przeszkodzić. I nie wierzył mi, czuję to, że ja teraz do Kuzmy Kuzmicza poszłam. Zapewne siedzi tam u siebie, u Fedora Pawłowicza w ogrodzie, na mnie dybie. A jeżeli tam zasiadł, to chybaż tu nie przyjdzie, tem lepiej! A u Kuzmy Kuzmicza byłam, owszem, Mitia mnie sam odprowadził, powiedziałam, że do północy posiedzę, i żeby bezwarunkowo przyszedł o północy, aby mnie do domu odprowadzić. A potem pożegnałam się z nim, posiedziałam dziesięć minut u staruszka i znowu tu, ach, bałam się — biegłam, aby go nie spotkać.

— A cóżeś się tak wystroiła? Patrzajcie jaki czepiec ciekawy?

— Jakiś ty sam ciekawy, Rakitin! Powiadam ci, oczekuję wieści takiej jednej. Przyjdzie wieść, wskoczę, polecę i tyleście mnie widzieli. Potom się wystroiła, aby być gotową.

— Dokąd wyfruniesz?

— Zawiele się dowiesz, to i prędko się zestarzejesz.

— Patrzajcie ją, jaka uradowana. Nigdy cię nie widziałem w takim stanie. Wystroiłaś się jak na bal — oglądał ją Rakitin.

— Dużo ty się znasz na balach.

— A ty niby więcej?

— O, ja widziałam bal. Trzy lata temu Kuzma Kuzmicz syna żenił, a ja z galerji patrzałam. Co będę z tobą, Rakitka, rozprawiała, kiedy tu taki królewicz siedzi. Co za gość! Aljosza, kochanie moje, patrzę na ciebie i nie wierzę; Boże, jakżeś tu do mnie trafił! Mówiąc po prawdzie, nie spodziewałam się tego i nigdy nie wierzyłam, że ty do mnie

przyjdziesz. Chociaż nie w porę się wybrałeś, cieszę się strasznie! Siadaj na kanapie, tu bliżej, o tak, księżycu ty mój młody. Doprawdy, jeszcze się nie rozgarnęłam... Ech, ty, Rakitka, gdybyś mi wczoraj go sprowadził albo dwa dni temu!... Oho, i tak jestem rada. Może to nawet i lepiej, że teraz, w takiej chwili, a nie dwa dni temu...

Przysiadła się żywo do Aljoszy, bardzo blisko, i patrzała nań z wyraźnym zachwytem. I w rzeczy samej była bardzo rada, i mówiąc to, nie kłamała. Oczy jej płonęły, wargi śmiały się, ale dobrodusznie i wesoło. Aljosza nie spodziewał się ujrzeć tak dobrego wyrazu na jej twarzy... Spotykał ją aż do wczorajszego dnia bardzo rzadko, urobił sobie o niej przestraszające pojęcie, zaś wczoraj tak był wstrząśnięty jej złośliwem i podstępnem zachowaniem się względem Katarzyny Iwanownej, że zdawało mu się teraz, iż ma przed sobą zupełnie inną istotę. I jakkolwiek był przygnębiony własnem nieszczęściem, oczy jego mimowoli zatrzymały się na niej z uwagą. Wszystkie jej maniery zmieniły się od wczorajszego dnia na lepsze: nie miała już tej ckliwej słodyczy w wymowie, tych wczorajszych wypieszczonych i zmanierowanych ruchów... była prosta, prostoduszna, gesty jej były porywcze, proste, ufne, ale zarazem zdradzały wielkie podniecenie.

— Boże wielki, jak to się dziś wszystko składa, doprawdy — zaszczebiotała ponownie. — I czego się tak cieszę z twego przyjścia, Aljosza, sama nie wiem. Zapytaj mnie, nie potrafię ci odpowiedzieć.

— No niby nie wiesz? — uśmiechnął się Rakitin. — Dawniej wciąż mi głowę suszyłaś, przyprowadź, ano przyprowadź, wyrachowanie przecież miałaś.

— Przedtem miałam inne wyrachowanie, teraz przeszło, niesposobna chwila. Ugoszczę was, prawda. Lepszą się zrobiłam, Rakitka. Siadaj i ty, Rakitka, czego sterczysz? Już usiadłeś? Ano tak, Rakitka o sobie nie zapomni. Siedzi teraz, Aljosza, naprzeciw nas i obraża się: dlaczego przedtem ciebie prosiłam, abyś usiadł. Och, obraźliwy to on jest, a jużci — roześmiała się Gruszeńka. — Nie gniewaj się,

Aljoszeczka, cóż, boisz się mnie? — zajrzała mu w oczy z wesołem szyderstwem.

— Zmartwienie ma. Rangi nie dali — rzekł Rakitin.

— Jakiej rangi?

— Starzec jego śmierdzi.

— Jakto śmierdzi? Pleciesz jakieś głupstwa, chcesz powiedzieć coś obrzydliwego. Milcz, durniu. Pozwolisz mi, Aljosza, na kolanach twoich usiąść, o tak! — I nagle w mig skoczyła mu na kolana jak łasząca się kotka, śmiejąc się i czule obejmując go ręką za szyję. — Rozweselę cię, chłopczyku mój bogobojny. Nie, naprawdę, pozwolisz mi na kolanach twoich posiedzieć, nie będziesz się gniewał? Powiedz, to zeskoczę.

Aljosza milczał. Siedział nieruchomo, bojąc się poruszyć. Słyszał jej słowa: „Powiedz to zeskoczę", ale nie odpowiedział, jakby zamarł. Ale z innego powodu, niż sądził zapewne Rakitin, obserwujący go obleśnie ze swego miejsca. Wielkie strapienie jego duszy zagłuszało wszelkie odczucia, jakie się kolwiek mogły zrodzić w jego sercu. Gdyby mógł sobie w tej chwili zdawać z tego sprawę, stwierdziłby, że nigdy nie był lepiej zabezpieczony od wszelkiej pokusy i zgorszenia. Jednakże mimo tę mętną nieodpowiedzialność usposobienia i mimo całe strapienie, ze zdziwieniem stwierdził w sobie nowe i dziwne uczucie, które nagle się zrodziło: ta kobieta, ta „straszna" kobieta nietylko nie budziła w nim tego lęku, jaki odczuwał względem każdej kobiety, lecz wręcz przeciwnie: ta kobieta, której lękał się najbardziej, która siedziała teraz na jego kolanach i obejmowała go, obudziła w nim inne, nieoczekiwane i osobliwe uczucie, uczucie jakiegoś niezwykłego, ogromnego i czystego zaciekawienia, pozbawione wszelkiej domieszki strachu, dawnych przerażeń — oto, co było najważniejsze i dziwiło go mimowoli.

— Dajcie pokój bredniom — zawołał Rakitin, — lepiejbyś szampana nam podała, dług mam u ciebie, wiesz jaki!

— A prawda, że dług. Wszak ja mu za ciebie oprócz tego szampana przyrzekłam, jeźli cię przyprowadzi. Niech

będzie szampan, i ja się napiję! Fenia, Fenia, przynieś nam szampana, tę butelkę, którą Mitia zostawił, prędzej uwijaj się. Chociem skąpa, butelkę podam, nie tobie, Rakitka, ty grzybem jesteś, a on królewicz! I chociaż nie tem jest dusza pełna, ale niech i tak będzie, napiję się z wami, chce mi się pohulać!

— Co to za chwila i jaka to wieść, można zapytać, czy to może sekret? — wtrącił z zaciekawieniem Rakitin, udając, że nie zwraca uwagi na nieustanne docinki Gruszeńki.

— Ech, nie sekret i sam wiesz — odrzekła Gruszeńka, naraz znowu zatroskana, obracając głowę ku Rakitinowi i odsuwając się nieco od Aljoszy (lecz nie schodziła z jego kolan i obejmowała go nadal za szyję). — Oficer przyjeżdża, Rakitin, oficer mój jedzie!

— Słyszałem, że jedzie, ale czy jest już tak blisko?

— W Mokrej jest, stamtąd przyśle mi wiadomość, sam to pisał, niedawno list otrzymałam. Siedzę i czekam na kurjera.

— No, no! Czemuż w Mokrej?

— Długoby o tem gadać, powinno ci to wystarczyć.

— Ano Mitienka teraz — o la Boga! Wie czy nie wie?

— Czego wie! Nic nie wie! Gdyby się dowiedział, zabiłby natychmiast. I nie tego się teraz boję, nie boję się jego noża. Milcz, Rakitka, nie wspominaj mi teraz o Dymitrze Fedorowiczu, serce mi całe zmęczył. I nie chcę o niczem myśleć w tej chwilce. A o Aljoszcze mogę teraz myśleć, na Aljoszkę spoglądać... Uśmiechnij się do mnie, złotko moje, rozwesel się, uśmiechnij się z mojej głupoty, z radości mojej... A przecież uśmiechnął się, naprawdę się uśmiechnął! Jak łagodnie patrzy. Wiesz, Aljosza, myślałam, że ty się ciągle na mnie gniewasz, za tę onegdajszą, za tę panienkę. Suką byłam, suką złą... Ale dobrze, że tak się stało. I źle było i dobrze — uśmiechnęła się nagle w zamyśleniu, i jakiś okrutny rys drgnął w jej uśmieszku. — Mitia opowiadał, że krzyczała: „Pletnią ją trzeba potraktować!" Bardzo ją obraziłam wówczas. Zaprosiła mnie,

chciała mnie ująć, czekoladą swoją skusić... Nie, dobrze, że się tak stało — uśmiechnęła się ponownie. — Tylko się wciąż boję, żeś się rozgniewał...

— To prawda — potwierdził z poważnem zdziwieniem Rakitin. — Prawda, że ona boi się ciebie, takiego kurczaka.

— To dla ciebie, Rakitka, jest kurczakiem, tak... bo sumienia ty żadnego nie masz, tak! Ja, widzisz, kocham go z całej duszy, tak! Czy wierzysz Aljosza, że kocham cię z całej duszy?

— Ach, ty bezwstydnico! W miłości ci się oświadcza, Aleksy!

— Ano co, kocham, bo kocham.

— A oficer, a wieść złota z Mokrej?

— To jedno, a tamto drugie.

— Masz tobie babskie rozumowanie!

— Nie złość mnie, Rakitka — podjęła z zapałem Gruszeńka. — To jedno, a tamto drugie. Aljoszkę inaczej kocham. Prawda, Aljoszka, dawniej miałam inne względem ciebie zamiary. Bo podła jestem, szalona, a czasem, Aljosza, patrzę na ciebie jako na sumienie swoje. Myślę wciąż: „ach jak musi gardzić taką wstrętną". I onegdaj to pomyślałam, gdym od tamtej panienki uciekała. Dawno już zwróciłam na ciebie uwagę Aljosza, Mitia wie, bo mu mówiłam. Mitia, widzisz, rozumie. Czasem, uwierzysz, doprawdy Aljosza, patrzę na ciebie i wstydzę się, siebie się wstydzę... I ja o tobie myśleć zaczęłam i od jakiego czasu, sama tego nie wiem i nie pamiętam...

Weszła Fenia i postawiła na stole tacę, a na niej odkorkowaną butelkę i trzy napełnione puhary.

— Szampan na stole! — zawołał Rakitin. — Podniecona jesteś, Agrafeno Aleksandrowna i nad sobą nie panujesz. Wychylisz puhar to i w pląs się puścisz. E-ech, nawet tego nie potrafiono tu zrobić — dodał, oglądając butelkę. — W kuchni nalała i butelkę przyniosła bez korka, ciep.ą. Cóż, niech i tak będzie.

Podszedł do stołu, wziął puhar, jednym haustem wypił i nalał sobie ponownie.

— Szampan nie codzień się zdarza — dodał, oblizując się. — Ano, Aljosza, bierz puhar, pokaż, co potrafisz. Za co pijemy? Bierz, Grusza, puhar, pij i ty za rajskie wrota.

— Za jakież to wrota rajskie?

Wzięła puhar. To samo zrobił Aljosza, lecz tylko umaczał wargi i odstawił puhar zpowrotem.

— Nie, lepiej nie! — uśmiechnął się łagodnie.

— A stawiał się, a jakże! — krzyknął Rakitin.

— Jeżeli tak, to i ja nie będę — zawołała Gruszeńka — i nie chce mi się wcale. Wypij, Rakitka, sam całą butelkę. Jak Aljosza się napije, to i ja również.

— Co za cielęce czułości! — przedrzeźniał Rakitin.— A sama siedzi mu na kolanach! On, powiedzmy, ma zmartwienie, a ty co? On przeciw Bogu swemu zbuntował się, kiełbasę zamierzał żreć...

— Co takiego?

— Starzec jego umarł dziś, starzec Zosima, świątek.

— Więc umarł starzec Zosima — zawołała Gruszeńka. — Boże Wielki, nic o tem nie wiedziałam! — Przeżegnała się pobożnie. — Boże Wielki, a ja co, na kolanach mu siedzę! — zawołała nagle, zerwała się raptem i usiadła na kanapie.

Aljosza długo ze zdziwieniem popatrzał na nią, i na twarz jego jakgdyby się wypogodziła.

— Rakitin — przemówił naraz głośno i twardo — nie drażnij mnie, że przeciw Bogu memu zbuntowałem się. Nie chcę mieć na ciebie złości, a przeto i ty bądź lepszy. Straciłem taki skarb, jakiegoś ty nigdy nie miał, i nie możesz mnie teraz sądzić. Popatrz lepiej na nią: widzisz, jak mnie ona oszczędziła? Szedłem tu, aby znaleźć złą duszę — ciągnęło mnie właśnie do tego, ponieważ byłem podły i zły, a znalazłem siostrę szczerą, znalazłem skarb — duszę kochającą... Ona mnie teraz oszczędziła... Agrafeno Aleksandrowna, ja o tobie mówię. Moją duszę teraz wskrzesiłaś.

Drgnęły mu wargi i zaparło dech. Urwał.

— Już cię zbawiła! — roześmiał się Rakitin złośliwie. — A ona cię połknąć chciała, wiesz ty o tem?

— Stój, Rakitka! — skoczyła naraz Gruszeńka — milczcie wy obadwaj. Teraz ja wszystko powiem: Aljosza milcz, bo od twoich słów wstyd mnie bierze, bo zła jestem, a nie dobra — taka ja jestem. A ty, Rakitka milcz, bo łżesz. Była taka myśl, podła, że chciałam go połknąć, a teraz ty kłamiesz, teraz nic podobnego... i żebym już tego więcej nie słyszała, Rakitka!

Wypowiedziała to z niezwykłem wzburzeniem.

— Jak się oboje migdalą, hoho! — syknął Rakitin, patrząc na nich ze zdumieniem — jak obłąkani, jakbym się do czubków dostał. Rozczulili się obopólnie, płakać zaraz poczną!

— A właśnie, że zacznę płakać, zacznę płakać! — przymawiała Gruszeńka — on mnie siostrą swoją nazwał, nigdy już tego nie zapomnę! Tylko widzisz, Rakitka, chociaż zła jestem, cebulkę podałam.

— Jaką cebulkę? Tfu, djabli, naprawdę rozum postradali!

Rakitin dziwił się ich egzaltacji i złościł się obrażony, aczkolwiek nietrudno było zmiarkować, że oboje przeżywali chwilę, jaka się rzadko trafia w życiu. Rakitin, bardzo subtelny i wrażliwy, gdy go co dotyczyło bezpośrednio, był wyjątkowo tępy i gruboskórny w stosunku do uczuć i doznań swoich bliźnich — zapewne poczęści wskutek swego młodego niedoświadczenia, a poczęści wskutek wielkiego egoizmu.

— Widzisz, Aljoszeczka — roześmiała się nerwowo Gruszeńka, zwracając się ku niemu — przed Rakitką pochwaliłam się, że podałam cebulkę, ale przed tobą się nie pochwalę, w innym celu ci to powiem. Jest to tylko bajka, ale dobra bajka, opowiadała mi moja Matrena, obecnie kucharka moja, kiedy jeszcze dzieckiem byłam. „Była sobie kiedyś zła baba, no i umarła. I nie zostało po niej ani jednego dobrego uczynku. Chycili ją djabli i rzucili do ognistego jeziora. Zaś anioł stróż stoi i medytuje: jakiby tu znaleźć dobry uczynek jej, by Panu Bogu powiedzieć. Na-

raz sobie przypomniał i rzekł do Boga: ona, powiada, z sadu cebulkę wyrwała i podała żebraczce. I odpowiedział Pan Bóg: weź ty, mówi, tę samą cebulkę, wsuń do jeziora, niech się baba za cebulkę chwyci, a ty ją pociągnij, a jeżeli ją wyciągniesz z tego jeziora, to niech sobie do raju idzie, a jeżeli oberwie się cebulka, to niech zostanie tam gdzie jest. Pobiegł anioł do baby, podał jej cebulkę: naści, powiada, babo, złap się i trzymaj. I począł ją ostrożnie wyciągać, a grzesznicy inni w jeziorze jak zobaczyli, że ją wyciągają, dalejże czepiać się jej, aby razem z nią się wydostać. A baba była zła, bardzo zła, i poczęła nogami brykać: „Mnie wyciągną, nie was; moja cebulka nie wasza". Ledwo to powiedziała, cebulka się urwała. I upadła baba w jezioro i gore po dziś dzień. A anioł zapłakał i odszedł". Oto i cała bajka, zapamiętałam ją sobie dobrze, ponieważ sama jestem tą złą babą. Przechwalałam się przed Rakitką, że podałam cebulkę, a tobie inaczej powiem: *wszystkiego* może cebulkę jaką przez życie całe podałam, ot i wszystkie moje dobre uczynki. I nie chwal mnie po tem wszystkiem, Aljosza, nie uważaj mnie za dobrą, zła jestem, bardzo zła, chwaląc zawstydzasz mnie. Ech, niechże się całkiem pokajam. Stój, Rakitka, poczekaj!

Podeszła do stołu, otworzyła szufladę, wyjęła portmonetkę i dobyła dwudziestopięciorublowy banknot.

— Ach, co za dzieciństwo! co za dzieciństwo! — wołał zażenowany Rakitin.

— Bierz, Rakitka, dług, przecież nie odtrącisz, sam prosiłeś. — Co mówiąc, rzuciła mu banknot.

— Miałbym jeszcze odtrącić — odpowiedział, nadrabiając miną, Rakitin — bardzo mi to na rękę, durnie żyją poto, aby mądry człowiek ciągnął z nich profit.

— A teraz milcz, Rakitka, wszystko, co teraz powiem, nie jest dla twoich uszu. Wszyj się tu w kącik i milcz, nie kochasz nas, to sobie milcz.

— A dlaczegóżbym miał was kochać? — warknął Rakitn, nie maskując już złości. Dwadzieścia pięć rubli wsunął do kieszeni. Wstydził się Aljoszy. Do tej

chwili uważał za stosowne nie odpowiadać na nieustanne docinki Gruszeńki, widać było, że trzyma go ona w szachu jakimś sekretem. Ale teraz ostatecznie się rozzłościł:

— Kocha się za coś, wy zaś oboje coście mi dobrego wyświadczyli?

— Powinieneś kochać za nic, tak jak Aljosza.

— A niby czem on cię tak kocha i co on ci takiego zrobił?

Gruszeńka stała pośrodku pokoju. Mówiła z zapałem i w głosie jej zabrzmiały histeryczne nutki.

— Milcz Rakitka, nic ty u nas nie rozumiesz. I nie waż mnie się odtąd tykać, nie pozwalam ci, i cóżeś ty się tak rozzuchwalił! Wszyj się w kąt i milcz jako lokaj mój! A teraz, Aljosza, całą prawdą ci wyłożę, tylko tobie, żebyś wiedział, jaka ze mnie jędza. Nie do Rakitki mówię, lecz do ciebie. Chciałam cię zgubić, Aljosza, wielka to prawda, taki parol sobie zagięłam; tak tego pragnęłam, że podkupiłam Rakitkę, żeby cię tu przyprowadził. I czemu pragnęłam? Ty, Aljosza, wcaleś tego nie wiedział, odwracałeś się ode mnie, przechodziłeś — oczy spuszczałeś, a ja na ciebie sto razy spoglądałam, wszystkich zaczęłam wypytywać. Twarz twoja w sercu mi utkwiła: „pogardza on mną, popatrzeć nawet nie chce". I takie mnie wkońcu opętało uczucie, że sama się sobie dziwię: czego się takiego chłopczyka lękam? Przełknę go i śmiać się będę. Zupełnie się rozzłościłam. Czy uwierzysz, nikt tu nie śmie powiedzieć i pomyśleć, żeby do Agrafeny Aleksandrownej przychodzić na tę złą rzecz; tylko staruszek mój, zaprzedana mu jestem, związana, djabeł nas pożenił; ale nikt inny. Lecz patrząc na ciebie, postanowiłem sobie: połknę go. Połknę i śmiać się będę. Widzisz, jaka ze mnie zła suka i taką nazwałeś swoją siostrę! Ot teraz przyjechał ten krzywdziciel mój, siedzę tu i czekam wieści. A czy wiesz, kim był dla mnie ten mój krzywdziciel? Pięć lat temu, jak przywiózł mnie tu Kuzma — siedziałam, od ludzi stroniłam, żeby mnie nie widzieli i nie słyszeli, wątła, głupiutka, siedziałam i płakałam, po całych nocach płaka-

łam — myślę sobie: „I gdzie on teraz jest, ten mój krzywdziciel? Śmieje się zapewne z inną, żeby go tylko widzieć, myślę sobie, żeby tylko kiedy spotkać, to ja mu już odpłacę, to ja mu już odpłacę!" W nocy, w ciemnościach łkałam gorzko, wszystko to przemyślałam, serce moje umyślnie rozdzieram, sycę je złością: „Ja mu już odpłacę, ja mu już odpłacę!" I tak na głos czasem w ciemnościach. A jak uświadamiałam sobie nagle, że nic mu nie zrobię, a on się ze mnie śmieje teraz, a może nawet zapomniał i nie pamięta, rzucałam się z łóżka na podłogę, zalewałam się łzami bezsilności i trzęsłam się, trzęsłam się do świtu. Rano wstaję gorsza od psa, chętniebym świat cały połknęła. Potem, cóż ty myślisz: poczęłam pieniążki zbijać, pozbyłam się wszelkiej litości, roztyłam się — myślisz, że zmądrzałam, co? Nic podobnego, nikt nie wie i nie widzi tego na całym świecie — ledwo zapada mrok nocny, tak samo jak pięć lat temu, leżę tu czasami, zgrzytam zębami i całą noc płaczę: „Ja mu już odpłacę, ja mu już!" — myślę. Słyszałeś mnie? Ano, jakże mnie teraz zrozumiesz: miesiąc temu dostaję nagle ten list: jedzie on, owdowiał, chce się ze mną ożenić. Dech mi wówczas zaparło, „Boże, myślę sobie naraz: jak przyjdzie, jak gwizdnie na mnie, zawoła mnie, to polecę jak pies bity łasić się!" Myślę sobie i sama sobie nie wierzę: „Podła jestem, czy niepodła, pobiegnę doń, czy nie pobiegnę?" I stale mnie złość ogarniała na siebie samą przez cały ten miesiąc, że gorzej nawet niż pięć lat temu. Widzisz teraz, Aljosza, jaka ja jestem wściekła, jaka dzika, całą ci prawdę wypaliłam! Mitią się bawiłam, aby do tamtego nie biec. Milcz, Rakitka, nie ty mnie masz sądzić, nie dla ciebie mówiłam. Zanimeście przyszli, leżałam tu, czekałam, medytowałam, cały mój los rozstrzygałam, i nigdy się nie dowiecie, co przeżyłam. Nie, Aljosza, powiedz swojej panience, aby nie złościła się za onegdajsze!... I nie wie nikt na świecie, jak mi jest teraz i nikt nie może wiedzieć... Bo ja może dzisiaj tam nóż ze sobą zabiorę, jeszczem tego nie rozstrzygnęła...

I wyrzekłszy to „żałosne" słowo, Gruszeńka nagle nie wytrzymała, nie dokończyła, zasłoniła twarz rękoma,

rzuciła się na poduszki i zaszlochała jak małe dziecko. Aljosza powstał z miejsca i podszedł do Rakitina.

— Misza — powiedział — nie złość się. Ona cię obraziła, ale ty się nie złość. Czy słyszałeś ją teraz? Nie można tyle wymagać od duszy ludzkiej, trzeba być bardziej litościwym.

Mówił z niepowstrzymanego porywu serca. Musiał się wypowiedzieć, zwrócił się tedy do Rakitina. Gdyby tego tu nie było, mówiłby sam do siebie. Ale Rakitin obejrzał go szyderczo, i Aljosza pohamował się nagle.

— Nabito cię starcem twoim, i teraz we mnie wypaliłeś, Aljoszeńka, człowieku Boży — rzekł Rakitin z nienawistnym uśmiechem.

— Nie śmiej się, Rakitin, nie uśmiechaj się, nie mów o nieboszczyku: wyższy ponad wszystkich, którzy żyli na tej ziemi! — krzyknął Aljosza z płaczem w głosie. — Nie jako sędzia przemówiłem do ciebie, lecz jako ostatni z podsądnych. Czemż jestem wobec niej? Szedłem tu, aby zginąć, i mówiłem sobie: „a niech, niech!" przez małoduszność swoją; a ona, po pięciu latach męki, ledwo kto przyszedł i pierwszy szczere słówko jej powiedział — wszystko przebaczyła, wszystkiego zapomniała i jeno płacze! Krzywdziciel jej wrócił, wzywa jej, a ona wszystko mu przebacza i śpieszy ku niemu w radości, i nie weźmie noża, nie weźmie! Nie, nie jestem taki. Nie wiem, Misza, czy ty jesteś takim, ale ja takim nie jestem. Dziś, teraz miałem naukę... Ona prześciga nas w miłości... Czy słyszałeś kiedy to, co teraz mówiła? Nie, nie słyszałeś; gdybyś słyszał, dawnobyś zrozumiał... i tamta, obrażona onegdaj, niech i ona jej przebaczy! I przebaczy jej, gdy pozna... i pozna! To dusza jeszcze nie pojednana, trzeba jej oszczędzać... W duszy tej może być skarb...

Umilkł, tchu mu zabrakło. Rakitin, mimo całą złość, spoglądał ze zdziwieniem. Nigdy nie spodziewał się po małomównym Aljoszy takiej tyrady.

— To adwokat się znalazł! Doprawdy, zakochałeś się w niej, czy co? Agrafeno Aleksandrowna, wszak pos-

tnik nasz doprawdy zakochał się w tobie, zwyciężyłaś! — zawołał z zuchwałym śmiechem.

Gruszeńka uniosła głowę i popatrzyła na Aljoszę z rozrzewnionym uśmiechem, który rozjaśnił jej twarz, nabrzmiałą od płaczu.

— Zostaw go, Aljosza, cherubinie mój, widzisz, jaki to człowiek, niema co z nim mówić. Ja, Michale Osipowiczu — zwróciła się do Rakitina — chciałam cię przeprosić za obelgę, ale teraz znowu mi się odechciało. Aljosza, podejdź do mnie, siadaj tu — przyzywała go z radosnym uśmiechem — o tak, usiądź tu, powiedz mi (wzięła go za rękę i zajrzała mu z uśmiechem w twarz) — powiedz mi: czy kocham tamtego czy nie? Krzywdziciela mego kocham czy nie? Leżałam tu przedtem w ciemnościach, wciąż pytałam się serca: kocham go czy nie kocham? Rozstrzygnij, Aljosza, nadszedł czas sposobny, jak uznasz tak będzie. Przebaczyć mu czy nie?

— Przecie już przebaczyłaś — odpowiedział z uśmiechem.

— I naprawdę przebaczyłam, — rzekła Gruszeńka w zamyśleniu. — Jakie to serce podłe! Za podłe moje serce! — chwyciła naraz puhar ze stołu, wypiła duszkiem, podniosła go i cisnęła o ziemię. Szkło stłukło się z brzękiem. Jakiś wyraz okrucieństwa mignął w jej uśmiechu.

— A może wcalem nie przebaczyła — powiedziała groźnie, spuściwszy powieki, jakby rozprawiając ze sobą.— Może serce dopiero sposobi się przebaczyć. Pomęczę się jeszcze z tem sercem. Widzisz, Aljosza, strasznie polubiłam te moje pięcioletnie łzy... Ja może ino krzywdę moją kochałam, a wcale nie jego!

— No, nie chciałbym być w jego skórze! — syknął Rakitin.

— I nie będziesz, Rakitka, nigdy w jego skórze nie będziesz. Buty mi czyścić będziesz, Rakitka, na to cię tylko przeznaczyłam, i nie zobaczysz w swem życiu takiej jak ja... I on może nie zobaczy...

— On? A pocoś się tak wyfioczyła? — drażnił ją złośliwie Rakitin.

— Nie kłuj mi w oczy strojem, Rakitka, nie znasz ty jeszcze serca mego! Zechcę, to zerwę z siebie te łaszki, natychmiast zerwę, w tej chwili — zawołała dźwięcznym głosem. — Nie wiesz, poco ten strój, Rakitka! Może wyjdę doń i rzeknę: „Czy widziałeś mnie taką, czy jeszcze nie?" Wszak porzucił siedemnastoletnią chudziutką, suchotniczą płaksę. Siądę przy nim, rozpalę go: „Widziałeś, jaka ja teraz jestem, powiem, na tem poprzestań, łaskawy panie, po brodzie ciekło, a do gęby nie wpadło!" — może poto się tak wystroiłam, Rakitka — zakończyła Gruszeńka ze złośliwym śmieszkiem. — Wściekła jestem, Aljosza, dzika. Zedrę z siebie strój, pokaleczę siebie, swoją piękność, spalę sobie twarz i pokraję nożem, pójdę po żebrach. A jak zechcę, to nigdzie nie pójdę, — i do nikogo, jak zechcę, to odrazu jutro odeślę Kuzmie wszystko, co mi podarował, wszystkie jego pieniądze, a sama na całe życie stanę się zwykłą robotnicą najemną!... Myślisz, że nie zrobię tego, Rakitka, nie ośmielę się tego zrobić? Zrobię, zrobię, teraz mogę to zrobić, nie drażnijcie mnie tylko... ale tego wypędzę, temu figę pokażę, ten mnie nie zobaczy!

Ostatnie słowa wykrzykiwała histerycznie, ale znowu nie wytrzymała, zatopiła twarz w rękach, rzuciła się na poduszki i zatrzęsła od łkań. Rakitin podniósł się:

— Czas już — rzekł — późno, do monasteru nie wpuszczą.

Gruszeńka zerwała się na równe nogi.

— I ty już odejść chcesz, Aljosza! — zawołała zdziwiona i rozgoryczona. — Cóż ty ze mną wyprawiasz: całą wstrząsnąłeś, rozstroiłeś, a teraz znowu taka noc, teraz znowu samej przyjdzie zostać!

— Chybaż nie przenocuje u ciebie? Zresztą skoro chcesz, niech i tak będzie! Sam sobie pójdę! — zażartował zjadliwie Rakitin.

— Milcz, duszo zła — krzyknęła wściekle Gruszeńka — nigdy takich słów mi nie mówiłeś, jakie on mi powiedział.

— Cóż takiego ci powiedział? — mruknął rozdrażniony Rakitin.

— Nie wiem, nie wiem, nic nie wiem, co on mi takiego powiedział, sercu przyśniło się, serce mi przewróciło... Pierwszy, jedyny, nade mną się zlitował! Dlaczego, cherubinie, nie przyszedłeś do mnie wcześniej — upadła nagle przed nim na kolana. — Całe życie czekam na takiego jak ty, wiedziałam, że taki przyjdzie i przebaczy mi. Wierzyłam, że i mnie ktoś pokocha, nikczemną, nietylko za hańbę!...

— Cóż ja takiego zrobiłem — rzekł z rozczulonym uśmiechem Aljosza, nachylając się nad nią i delikatnie ujmując ją za ręce — cebulkę tylko podałem ci, najmniejszą cebulkę tylko, tylko!...

Co rzekłszy, zapłakał. W tej chwili w korytarzu rozległ się hałas, ktoś wszedł do przedpokoju. Gruszeńka zerwała się przerażona. Wbiegła z krzykiem Fenia.

— Panienko złota, panienko, kurjer przyjechał! — zawołała wesoło, ledwo dysząc. — Powóz po panienkę z Mokrej zajechał, Tymofej z trójką, zaraz zmienią konie... List, list, panienko, oto list!

Machała listem. Gruszeńka wyrwała go jej z ręki i zbliżyła do świeczki. Zawierał zaledwie kilka wierszy, przeczytała je jednym tchem.

— Zawołał! — krzyknęła blada z uśmiechniętym grymasem — gwizdnął! Pełzaj, piesku!

Chwilę stała niezdecydowana; nagle krew jej napłynęła do głowy i zalała policzki purpurą.

— Jadę! — krzyknęła nagle. — Pięć moich lat! Żegnajcie! Dowidzenia, Aljosza, teraz rozstrzygnięty mój los... Idźcie, idźcie, idźcie już sobie ode mnie wszyscy, nie chcę was widzieć ani chwili dłużej!... Poleciała Gruszeńka na nowe życie... Nie myśl o mnie źle i ty, Rakitka... Może na śmierć idę! Uch! Jak pijana!

I, nie patrząc na nich, wybiegła do sypialni.

— No, teraz nie nas ma na myśli! — warknął Rakitin. — Idźmy, bo jeszcze znowu zacznie się babi pisk, sprzykrzyły mi się te łzawe krzyki...

Aljosza pozwolił się machinalnie wyprowadzić. Na dworze stał tarantas, wyprzęgano konie, stangret krzątał się

z latarką. Przez otwarte wrota wprowadzono świeżą trójkę. Ledwo jednak Aljosza i Rakitin zeszli z ganku, otworzyło się na górze okienko, i Gruszeńka dźwięcznym głosem zawołała do Aljoszy:

— Aljoszeczka, kłaniaj się braciszkowi swemu, Miti, i powiedz mu, by nie myślał źle o mnie, podłej. I powtórz mu moje słowa: „Łajdak dostał Gruszeńkę, a nie ty, szlachetny!" I dodaj mu też, że kochała go Gruszeńka godzinkę tylko, tylko jedną godzinkę kochała — więc żeby sobie tę godzinkę całe życie zapamiętał, tak Gruszeńka na całe życie nakazała!...

Zakończyła głosem, nabrzmiałym od łkań. Okno się zatrzasnęło.

— Hm, hm! — myczał Rakitin ze śmiechem — zarżnęła brata Mitienkę i jeszcze mu każe na całe życie zapamiętać. Co za mięsożerność!

Aljosza nic nie odpowiedział, jakgdyby wcale nie słyszał; szedł z Rakitinym prędko, zdawałoby się, że strasznie się spieszy; był jakby nieobecny duchem i poruszał się machinalnie. Rakitina nagle coś ukłuło, jakgdyby jakiejś świeżej jego rany dotknięto palcem. Zupełnie czego innego spodziewał się, gdy zetknął ich ze sobą; wypadło inaczej, niż pragnął.

— To Polak, ten jej oficer — odezwał się znowu, hamując się—i wcale nawet nie oficer, na komorze celnej w Syberji był urzędnikiem, gdzieś tam nad granicą chińską, zapewne chuderlawy Polaczek. Powiadają, że posadę stracił. Usłyszał, że Gruszeńka ma pieniądze, więc wrócił — oto i cały cud.

Aljosza znowu przepuścił to mimo ucha. Rakitin stracił nad sobą panowanie:

— Cóż, nawróciłeś nierządnicę? — roześmiał się złośliwie do Aljoszy. — Wróciłeś nierządnicę na drogę prawdy? Siedem djabłów wypędziłeś, co? Oto gdzie te cuda wasze oczekiwane spełniły się!

— Przestań, Rakitin — odezwał się z bólem w sercu Aljosza.

— Ty mną teraz za te dwadzieścia pięć rubli gar-

dzisz? Sprzedałem niby prawdziwego przyjaciela. Ale tyś przecie nie Chrystus, a jam nie Judasz.

— Ach, Rakitin, zapewniam cię, że zapomniałem o tem — zawołał Aljosza — sam mi to przypomniałeś...

Ale Rakitin rozgniewał się do żywego.

— Niech was wszystkich razem i każdego zosobna djabli biorą! — ryknął nagle. — I poco do licha wiążę się z tobą! Nie chcę cię już znać więcej. Idź sobie sam, ruszaj swoją drogą!

I skręcił nagle w inną ulicę, zostawiwszy Aljoszę samego w ciemnościach. Aljosza wyszedł z miasta i skierował się polem ku monasterowi.

IV.

Kana galilejska.

Było już bardzo późno jak na zwyczaje klasztorne, gdy Aljosza wrócił do pustelni; odźwierny wpuścił go przez boczne wejście. Wybiła dziewiąta — godzina wytchnienia i odpoczynku po dniu tak niespokojnym. Aljosza nieśmiało otworzył drzwi i wszedł do celi, w której stała trumna. Był tu tylko ojciec Paisy, czytający nad trumną ewangelję; młody posłusznik Porfiry, strudzony wczorajszą gawędą nocną i dzisiejszym rozgardjaszem, spał w drugim pokoju na podłodze mocnym snem młodzieńczym. Ojciec Paisy usłyszał wejście Aljoszy, lecz ani sie obejrzał. Aljosza doszedł do prawego kąta, stanął na klęczkach i zatopił się w modlitwie. Dusza jego była przepełniona po brzegi, ale jakże niewyraźne były uczucia, które ją przepełniały. Żadne nie wyróżniało się, jedno wypierało drugie w jakiejś równomiernej, cichej rotacji. Przecież serce napawało się dziwną słodyczą. Znowu miał przed sobą tę trumnę, te zakryte, tak mu drogie zwłoki, a jednak nie odczuwał już, jak rano, płaczliwej, ostrej, piekącej żałości. Wszedłszy, upadł przed trumną jak przed ołtarzem, lecz radość, ra-

dość promieniała w jego sercu i umyśle. W celi jedno okienko było otwarte, wpływało świeże i chłodne powietrze — „a zatem zaduch wzmógł się, skoro zdecydowano się otworzyć okno" — pomyślał Aljosza. Ale nawet myśl o zaduchu trupim, niedawno jeszcze tak przerażająca i hańbiąca, nie budziła, jak poprzednio, oburzenia i bólu. Zaczął cicho odmawiać modlitwy, wszakże wkrótce uprzytomnił sobie, że powtarza je nieledwie machinalnie. Strzępy myśli przebłyskiwały w mózgu jak gwiazdeczki, gasły natychmiast, ustępując miejsca innym; mimo to dusza ogarniała jakąś całość, jakąś treść twardą i nasycającą, która docierała również do świadomości. Chwilami modlił się żarliwie, chciało mu się tak dziękczynić i kochać... Jednakże ledwo zaczynał modlitwę, wpadał w zadumę, zapamiętywał się, zapominał o modlitwie i przerywał ją. Potem zaczął się przysłuchiwać do słów ojca Paisego i, ogromnie znużony, wpadł w drzemkę...

„A dnia trzeciego były gody małżeńskie w Kanie Galilejskiej; a była tam Matka Jezusowa. Wezwan też był i Jezus i uczniowie jego na gody".

— Gody? Co za... gody — przemknęło jak wicher przez głowę Aljoszy. — Jej się też radość zdarzyła... pojechała na ucztę... Nie, nie wzięła noża, nie wzięła... To było jeno „żałosne" słówko... Tak... trzeba pobłażać słówkom żałosnym, tak, stanowczo. Żałosne słówka duszę pocieszają.... Bez nich zmartwienie byłoby za ciężkie. Rakitin znalazł się w zaułku. Póki Rakitin będzie myślał o swojej krzywdzie, póty będzie brnął w zaułkach... A droga... droga jest wielka, prosta, jasna, krystaliczna i wkońcu słońce... Co?... o czem czyta?

„...A gdy nie stawało wina, rzekła Matka Jezusowa do Niego: wina nie mają..." — usłyszał Aljosza.

— Ach tak, przepuściłem to, a nie chciałem przepuścić, lubię to miejsce. To Kana Galilejska, pierwszy cud. Ach, to cud, ach, to miły cud. Nie cierpienie lecz radość ludzką odwiedził Chrystus, po raz pierwszy czyniąc cud, radości ludziom przysporzył... „Kto kocha ludzi, ten kocha również radość"... Nieboszczyk powtarzał to nieustannie,

była to jedna z najistotniejszych jego myśli... Bez radości nie przyszła godzina moja. Rzekła Matka Jego sługom: co jest prawdziwe i piękne, zawsze jest pełne wszechprzebaczenia — to też mawiał...

„I rzekł Jej Jezus: Co mnie i tobie, niewiasto? jeszcze nie przyszła godzina moja. Rzekła Matka Jego sługom: Cokolwiek wam rzecze, czyńcie..."

— Czyńcie... Radość, radość jakimś biednym, bardzo biednym ludziom... Oczywiście, że biednym, skoro nawet na wesele nie starczyło wina... Wszak piszą historycy, że w okolicach jeziora Genezaretu mieszkała wówczas biedota... I wiedziało drugie, wielkie serce istoty wielkiej, będącej z Nim, serce Jego Matki, że nietylko gwoli swej straszliwej i wielkiej ofiary zstąpił na ziemię, że do serca Jego znajdzie dostęp również prostoduszna, niewymyślna radość jakichś ciemnych, ciemnych i prostych ludzi, którzy Go zaprosili na wesele swoje ubogie. „Jeszcze nie przyszła godzina moja". Rzekł to z łagodnym uśmiechem (napewno uśmiechał się łagodnie)... Istotnie, czyż poto zstąpił na ziemię, aby przysporzyć wina na ubogich godach? A przecież poszedł i uczynił zadość Jej prośbie... Ach, znowu czyta:

„Rzekł im Jezus: Napełnijcie stągwie wodą. I napełnili je aż do wierzchu.

I rzekł im Jezus: Czerpajcież teraz a donieście przełożonemu wesela.

A gdy skosztował przełożony wesela wody, która się stała winem, a nie wiedział, skądby było; (lecz słudzy wiedzieli, którzy wodę czerpali) wezwał oblubieńca przełożony wesela.

I rzekł mu: Wszelki człowiek pierwej kładzie wino dobre, a gdy się napiją, tedy podlejsze; a tyś dobre wino zachował aż do tego czasu".

— Ale cóżto, cóżto? Czemu pokój się rozsuwa... Ach tak, przecież to gody, wesele... tak, oczywiście. Oto i goście, oto i młodzi siedzą, i wesoły tłum i... gdzie jest mądry przełożony wesela? Ale kto to? Kto? Znowu rozsunął się pokój... Kto wstaje tam z za wielkiego stołu?

Jakto... I on tu jest? Wszak leży w trumnie... Jest i tu... wstał, zobaczył mnie, idzie tu... Chryste Panie!...

Tak, ku niemu, ku niemu podchodzi ten suchy staruszek, z drobnemi zmarszczkami na twarzy, rozpromieniony i uśmiechnięty. Niema już trumny — nosi tę samą odzież, w której siedział z nimi i rozmawiał bezpośrednio przed zgonem. Oblicze odsłonięte, oczy błyszczą. Jakże to, a więc i on jest na godach, i on jest zaproszony na wesele w Kanie Galilejskiej.

— Też, miły, też zaproszony, zaproszony i wezwany — rozlega się cichy głos. — Pocoś się tak ukrył, że cię nie widać... Chodź i ty do nas.

To jego głos, głos starca Zosimy... I czy to może być kto inny, skoro przywołuje? Starzec podniósł Aljoszę za rękę.

— Radujemy się — podjął — pijemy wino nowe, wino radości nowej, wielkiej; widzisz ile gości? Oto i oblubieniec i oblubienica, oto i mądry przełożony wesela kosztuje nowego wina. Cóżto mnie podziwiasz? Cebulkę podałem, i ja tu jestem. I wielu z obecnych podało jeno cebulkę, po jednej małej cebulce... Co znaczą nasze czyny? I ty, cichy, i ty, łagodny mój chłopcze, i tyś podał dziś cebulkę łaknącej. Zaczynaj, miły, zaczynaj, łagodny, czyny swe! A czy widzisz słońce nasze, czy widzisz Go?

— Boję się... nie śmiem spoglądać... — szepnął Aljosza.

— Nie bój się Go. Straszny jest swoją wielkością, przerażający swoją wysokością, lecz nieskończenie miłosierny; upodobnił się do nas z miłości i weseli się z nami, wodę w wino przemienia, aby nie skończyła się radość gości, nowych gości wypatruje, nowych wciąż wzywa na wieki wieków. Oto i wino przynoszą, widzisz stągwie niosą...

Coś płonęło w sercu Aljoszy, coś przepełniło je aż do bólu, łzy zachwytu rwały się z duszy... Wyciągnął ręce, krzyknął i obudził się...

Znowu trumna; okno otwarte, i cichy, poważny, dobitny głos, czytający ewangelję. Lecz Aljosza nie słuchał. Rzecz dziwna, zdrzemnął się na klęczkach, a teraz obudził w postawie stojącej; nagle zerwał się z miejsca i trzema stanowczemi krokami podszedł do samej trumny. Potrącił nawet ramieniem ojca Paisego, ale nie zauważył tego. Ojciec Paisy na chwilę podniósł nań oczy i opuścił je natychmiast, rozumiejąc, że z chłopcem dzieje się coś niezwykłego. Aljosza pół minuty spoglądał na trumnę, na zakrytego, nieruchomego, wyciągniętego trupa, z ikoną na piersiach i krzyżem nad głową. Dopiero co słyszał głos jego — brzmiał mu jeszcze w uszach. Nasłuchiwał jeszcze, spodziewał się dalszych dźwięków... i naraz, obróciwszy się stanowczo, wyszedł z celi.

Nie zatrzymał się na ganku, prędko zeszedł nadół. Zachwytem przepełniona dusza pragnęła wolności, wolnych rozłogów. Nad nim szeroko przewrócił się strop niebieski, usłany gwiazdami. Od zenitu do widnokręgu dwoiła się mleczna droga. Świeża i cicha noc obległa ziemię. Białe wieżyczki i złote kopuły cerkwi połyskiwały na niebie. Jesienne rozkoszne kwiaty w klombach zasnęły do rana. Cisza na ziemi zlewała się jakgdyby z ciszą niebios, tajemnica ziemi stykała się z tajemnicą niebios... Aljosza stał, patrzał i nagle, jak podcięty, runął na ziemię.

Nie wiedział, czemu ją obejmuje, nie zdawał sobie sprawy, dlaczego chce mu się tak niepowściągliwie całować ją, całować ją całą, lecz całował ją z płaczem, z łkaniem, oblewając łzami i nieprzytomnie ślubował, że będzie ją kochał na wieki wieków. „Zroś ziemię łzami radości swojej i kochaj łzy swoje"... zabrzęczało mu w duszy. Za czem płakał? O, w zachwycie swoim płakał nawet za temi gwiazdami, które świeciły mu z bezdni, i nie wstydził się „uniesienia swego". Jakgdyby wątki ze wszystkich światów zbiegły się w duszy jego — drżała, „stykając się z innemi światami". Chciało się przebaczyć wszystkim i za wszystko prosić o przebaczenie, — o! nie dla siebie — dla wszystkich i dla wszystkiego, bo „dla mnie inni już proszą" — zabrzęczało znowu w jego duszy. Jakaś nowa idea zapanowała w jego

umyśle — i to już na całe życie, na wieki wieków. Padł na ziemię, jako młodzian słaby, a podniósł się jako niezłomny zapaśnik; uświadomił to sobie, i poczuł to nagle w chwili swego zachwytu. I nigdy, nigdy nie mógł Aljosza zapomnieć owej chwili. „Ktoś nawiedził wówczas duszę moją“— mawiał później z całą ufnością i wiarą w słowa swoje.

Trzy dni potem wystąpił z monasteru, zgodnie z zaleceniem nieboszczyka starca Zosimy.

KSIĘGA ÓSMA.

MITIA.

I.

Kuzma Samsonow.

Dymitr zaś Fedorowicz, któremu Gruszeńka przed odlotem na nowe życie przesłała ostatnie pozdrowienie i kazała na wieki zapamiętać godzinkę jej miłości, był w straszliwym zamęcie i tarapatach, jakkolwiek nie wiedział nic o nowych groźnych jej zamiarach. Ostatnie dwa dni przemęczył się w takim stanie ducha, że doprawdy był bliski pomieszania zmysłów, jak to sam później twierdzi. Jak wiadomo, poprzedniego dnia Aljosza próżno szukał go przez cały ranek, Iwan zaś bezskutecznie oczekiwał w restauracji. Gospodarze Dymitra Fedorowicza na jego rozkaz nie zdradzili nikomu, gdzie przebywa. Właściwie mówiąc, w ciągu tych dwu dni literalnie szarpał się i miotał na wszystkie strony „zmagając się ze swoim losem i ratując siebie", jak się później wyraził, i nawet na kilka godzin wyjechał z miasta w pilnej sprawie, chociaż tak się lękał opuścić Gruszeńkę bodaj na chwilkę bez nadzoru. Wszystko tu wyszło później najaw dokumentnie i szczegółowo. Lecz teraz ograniczymy się do najważniejszych momentów historji owych dwóch dni, poprzedzających straszliwą katastrofę, w której tak znienacka rozbił się jego los.

Gruszeńka w istocie kochała go godzinkę szczerze i prawdziwie, lecz przeważnie dręczyła go okrutnie, bez litości. Ale nic go tak nie męczyło, jak zupełna nieświadomość co do jej najbliższych zamiarów; żadną miarą nie mógł jej wybadać, ani po dobroci, ani przemocą. Rozumiał bowiem doskonale, że nic nie wskóra, że najwyżej tylko rozgniewa ją i ściągnie na siebie jej niełaskę. Zresztą wyczuwał wówczas trafnie, że Gruszeńka sama nic nie wie, że walczy ze sobą, że się jakoś dziwnie waha, że pragnie na coś się zdecydować, ale nie może; przeczuwał przeto słusznie z zamierającem sercem, że są chwile, kiedy go ona nienawidzi wraz z całą jego namiętnością. Może tak istotnie było, ale to bynamniej nie rzucało światła na jej myśli i dążenia. Właściwie mówiąc, cała męcząca kwestja sprowadzała się, jego zdaniem, do dylematu: „on, Mitia, albo Fedor Pawłowicz". Tu trzeba ustalić fakt niezawodny: Dymitr był bezwzględnie przeświadczony, że Fedor Pawłowicz napewno zaproponuje (jeżeli jeszcze nie zaproponował) Gruszeńce małżeństwo, ponieważ wie, że Gruszeńka nie zadowoli się trzema tysiącami: zna przecie Gruszeńkę i jej charakter Przeto zdawało Miti się chwilami, że cała męka Gruszeńki i jej wahanie pochodzi stąd, że nie wie ona, kogo wybrać i który będzie wygodniejszy. Dziwna rzecz: ani razu nie pomyślał o rychłym powrocie „oficera", którego Gruszeńka oczekiwała z takim lękiem i wzburzeniem. Coprawda, Gruszeńka w ostatnim czasie nie poruszała z nim tego tematu. Ale bądź co bądź zawiadomiła go o liście otrzymanym miesiąc temu od swego uwodziciela, co więcej nie utaiła przed nim poczęści treści listu. Pokazała ten list w chwili złego humoru, lecz Dymitr, ku jej wielkiemu zdumieniu, nie przywiązywał doń żadnej wagi. Trudno byłoby wyjaśnić tę obojętność; być może płynęła stąd, że zmiażdżony całą hańbą i okropnością rywalizacji z rodzonym ojcem o kobietę, nie mógł już sobie wyobrazić, wówczas przynajmniej, nic nad to straszliwszego i niebezpieczniejszego. Nie chciało mu się zgoła wierzyć w istnienie a szczególnie w rychły powrót narzeczonego, który naraz wyskoczył skądyś po pięciu latach zapomnienia. Zresztą w tym pierwszym liście „oficer" nie-

wyraźnie napomykał o przyjeździe: całość była nader mglista, styl górnolotny i ogromnie „uczuciowy". Lecz trzeba wiedzieć, że Gruszeńka nie pokazała Dymitrowi ostatnich zwrotek, które już nieco wyraźniej mówiły o powrocie. Pozatem Mitienka, jak to sobie później przypomniał, w tej samej chwili dostrzegł na twarzy Gruszeńki jakiś mimowolny wyraz dumnej pogardy względem tego posłania z Syberji. O dalszej zaś korespondencji z nowym rywalem Gruszeńka nic mu nie wspomniała. To też wkrótce „oficer" całkowicie wywietrzał mu z pamięci. Umysł jego zaprzątnięty był myślą o nieuniknionem ostatecznem starciu z Fedorem Pawłowiczem, które zdaniem jego musiało niebawem nastąpić, jakkolwiekby rzeczy się ułożyły. Z trwogą w sercu oczekiwał każdej chwili postanowienia Gruszeńki, wierząc, że zapadnie ono nagle, niejako pod wpływem natchnienia. O tak, raptem powie mu Gruszeńka: „Weź mnie, twoją jestem na wieki" — i wszystko się skończy: chwyci ją i natychmiast zawiezie na skraj świata. O tak, natychmiast wywiezie ją jak najdalej, jeżeli nie na skraj świata, to przynajmniej na skraj Rosji, ożeni się i zamieszka z nią incognito, aby nikt o nich nie wiedział ani tu, ani tam i nigdzie. Wówczas, o wówczas zacznie się odrazu nowe życie! O tem drugiem, nowem i już „cnotliwem" życiu (bezwzględnie, bezwzględnie cnotliwem) marzył stale i namiętnie. Łaknął tej odnowy, tego zmartchwychwstania. Straszne odmęty, w których ugrzązł z własnej woli, za bardzo mu się dały we znaki; jak wiele osób w jego sytuacji, wierzył w uzdrawiającą moc zmiany miejsca: byle dalej od tych osób, dalej od tych warunków, byleby uciec z tego przeklętego miasta, a wszystko się odrodzi i potoczy inaczej! Oto, w co wierzył i czego pragnął żarliwie.

Ale to wszystko urzeczywistni się w razie pierwszego — szczęśliwego — rozstrzygnięcia dylematu. Przecież równie możliwe było i drugie rozstrzygnięcie, drugie straszliwe wyjście. Gruszeńka powie mu nagle: „idź sobie, postanowiłam wyjść za Fedora Pawłowicza, a ty jesteś mi niepotrzebny" — wówczas... lecz wówczas... Zresztą Mitia nie wiedział co nastąpi wówczas, nie wiedział do ostatniej godziny,

to trzeba przyznać. Nie miał określonych zamiarów, zbrodnia nie była ukartowana. Śledził, szpiegował i męczył się, jednakże sposobił się tylko do pierwszego szczęśliwego rozstrzygnięcia. Odpędzał wszelką inną myśl od swego serca. Wszakże i tu czyhała nań nowa męka, czaiła się nowa i postronna, ale również fatalna i niezwyciężona przeciwność.

Bo właśnie, skoro mu Gruszeńka powie: „Twoją jestem, wywieź mnie" — jakże ją wywiezie? Skąd na to weźmie środki, pieniądze? Albawiem ustały właśnie wszelkie dochody, które dotychczas w ciągu kilku lat ciurkały nieustannie z ręki Fedora Pawłowicza. Ano tak, Gruszeńka ma własne fundusze, lecz pod tym względem ambicja Dymitra Fedorowicza jest wyjątkowo czuła: chce ją sam wywieźć i zacząć z nią nowe życie za własne pieniądze; nie może nawet dopuścić tej myśli, że weźmie od niej pieniądze, nie może myśleć o tem bez męki i wstrętu. Nie będę się nad tem uczuciem rozwodził, nie będę go analizował, stwierdzam tylko: taki był stan jego ducha w owym czasie. Być może, tak to w pośredni i podświadomy sposób odezwały się wyrzuty sumienia, powstałe z powodu sprzeniewierzenia po złodziejsku trzech tysięcy Katarzyny Iwanownej: „wobec jednej jestem już szubrawcem, niechże nie będę nim wobec drugiej" — myślał wówczas, jak to później opowiedział „pozatem, jak się dowie Gruszeńka, to może wcale nie zechce wyjść za takiego szubrawca". A więc: skąd wziąć pieniądze, skąd wziąć te fatalne pieniądze? Bo bez pieniędzy wszystko przepadnie i nic z tego nie wyjdzie: „i to tylko dlatego, że nie starczyło pieniędzy, o hańbo!"

Uprzedzam fakty: być może wiedział, skąd wziąć te pieniądze, co więcej — wiedział, gdzie one leżą. Ograniczam się do tego dictum, chwilowo nic więcej nie dodam, bo wszystko później się wyjaśni; najgorszą niewątpliwie rzeczą było to (muszę chwilowo powiedzieć to bardzo mętnie): aby wziąć te leżące gdzieś-ci pieniądze, aby *mieć prawo* do nich, trzeba uprzednio zwrócić trzy tysiące Katarzynie Iwanownej; — bo, jeśli nie zwróci, to — „jestem złodziejem kieszonkowym, jestem szubrawcem, a nie chcę zaczynać nowego życia jako szubrawiec!" — mówił sobie Mitia.

Przeto zdecydował stanąć bodaj na głowie, a trzy tysiące zwrócić bezwarunkowo Katarzynie Iwanowej zanim cokolwiek uczyni. Ostateczny proces tego postanowienia dokonał się w nim ostatniej, rzec można, chwili jego życia. Było to mianowicie dwa dni temu, wieczorem, kiedy spotkał Aljoszę na trakcie i, dowiedziawszy się o scenie między Gruszeńką a Katarzyną Iwanowną, przyznał „że jest szubrawcem" i kazał to powtórzyć Katarzynie Iwanownej „o ile jej to może dać jaką ulgę". Tejże nocy, pożegnawszy brata, poczuł, że lepiej będzie bodaj „zabić i ograbić kogo, a zwrócić dług Kati". „Niechże raczej będę wobec zamordowanego i całego świata mordercą i złodziejem, niech raczej pójdę na Syberję, ale niech Katia nie ma prawa powiedzieć, że zdradziłem ją, że zdradziwszy, ukradłem jej pieniądze i za skradzione pieniądze uciekłem z Gruszeńką rozpoczynać cnotliwe życie! Tak być nie może!" Tak przekonywał siebie Mitia, zgrzytając zębami, i naprawdę mogło mu się chwilami wydawać, że rozchoruje się na zapalenie mózgu. Ale tymczasem zmagał się...

Rzecz dziwna: zdawałoby się, że wobec tego wszystkiego zostaje mu jedynie rozpacz: bo i skąd on, nędzarz, wytrzaśnie taką kwotę? Przecież do samego końca ufał, że wydostanie te trzy tysiące, że przyjdą, zlecą same, bodaj z nieba. Tak zawsze ufają ludzie tacy, jak Dymitr Fedorowicz, którzy całe życie umieją tylko tracić i szastać odziedziczonym majątkiem, nie mając pojęcia o tem, jak się pieniądze zarabia. Najbardziej fantastyczny wicher zerwał się w jego głowie owej nocy po pożegnaniu Aljoszy, i splątał wszystkie jego myśli. Nic więc dziwnego, że rozpoczął od najbardziej dzikiego pomysłu. Należy przypuszczać, że ludzie tego pokroju w podobnych sytuacjach uważają najfantastyczniejsze i niemożliwe pomysły za najbardziej naturalne i prawdopodobne. Dość, że Dymitr Fedorowicz postanowił udać się do kupca Samsonowa, opiekuna Gruszeńki, zaproponować mu pewien „plan" i sprzedać ten „plan" za owe potrzebne trzy tysiące. „Plan" zaś wydawał mu się pod względem handlowym absolutnie niezawodnym i korzystnym; jeżeli się czego obawiał, to tylko tego, że Samsonow

może powodować się względami nietylko handlowemi. Mitia znał go z widzenia, lecz ani razu z nim nie rozmawiał. Wszakże niewiadomo czemu oddawna już uroił sobie, że stary deprawator, patrzący obecnie na księżą gródź, zapewne nie będzie już miał nic przeciwko temu, aby Gruszeńka rozpoczęła uczciwe życie i wyszła za „pewnego człowieka". O tak, nietylko nie będzie miał nic przeciwko temu, ale może nawet rad będzie, może nawet tylko tego pragnie i gotów nawet dopomóc. Zdawało się również Dymitrowi Fedorowiczowi—może Gruszeńka coś napomknęła, lub skądinąd się dowiedział — że stary prawdopodobnie woli go od Fedora Pawłowicza. Niewątpliwie, czytelnik wzdrygnął się z odrazy, że Dymitr Fedorowicz liczy na taką pomoc i zamierza wziąć żonę, rzec można, z rąk jej opiekuna. Na to mogę tylko to powiedzieć, że przeszłość Gruszeńki była dla Miti czemś ostatecznie minionem. Odnosił się do niej z nieskończoną litością i powiedział sobie z całym żarem swej namiętności, że skoro tylko Gruszeńka powie mu, że go kocha i poślubi, rozpocznie się nowa Gruszeńka, a wraz z nią i nowy Dymitr Fedorowicz, wyzbyty całowicie złych nałogów, pełen cnót; wówczas obaj przebaczą sobie nawzajem i rozpoczną życie odnowa. Kuzmę zaś Samsonowa bezwzględnie uważał za człowieka fatalnego w minionej przeszłości Gruszeńki, ale wiedział przecież, że ona go nigdy nie kochała, a co najważniejsza, że on już też „przeminął", skończył się, że zatem wcale już nie istnieje. Zresztą nie można go było na serjo traktować jako mężczyznę, albowiem wiadomo było powszechnie, że obecnie jest chorą ruiną, że utrzymuje z Gruszeńką co najmniej od roku stosunki, rzec można, ojcowskie, nie takie jak dawniej. Oczywiście poniekąd wchodziła tu w grę przyrodzona prostoduszność Dymitra Fedorowicza, bo wszak mimo swoich wad był arcyprostoduszny. I właśnie dzięki swej prostoduszności był przeświadczony, że stary Kuzma, szykując się do przejścia na tamten świat, ze szczerą skruchą myśli o swojem dawnem postępowaniu z Gruszeńką; że nie ma ona zatem bardziej oddanego opiekuna i przyjaciela od tego nieszkodliwego obecnie staruszka.

Nazajutrz po rozmowie z Aljoszą w polu, po nocy nieprzespanej Dymitr Fedorowicz koło dziesiątej rano wszedł do domu Samsonowa i kazał się zameldować. Był to stary, ponury, bardzo obszerny budynek dwupiętrowy z przybudówkami i oficyną. Na dole mieszkali dwaj żonaci synowie Samsonowa ze swemi rodzinami, bardzo stara jego siostra i niezamężna córka. Oficynę zaś zajmowali obaj jego subjekci, z których jeden miał liczną rodzinę. Zarówno dzieci jako też subjekci dusili się w swoich ciasnych mieszkaniach, gdy tymczasem całe piętro zajmował stary Samsonow sam jeden. Nie pozwolił nawet mieszkać przy sobie córce, która go pielęgnowała, więc musiała w określonych godzinach i na każde jego zawołanie mimo swoją astmę biec na górę. „Góra" składała się z całego szeregu obszernych paradnych pokojów, umeblowanych wedle starej mody kupieckiej, — z długiemi nudnemi rzędami niezgrabnych foteli i krzeseł z mahoniu, ustawionemi równo wzdłuż ścian, z kryształowemi żyrandolami w pokrowcach, z posępnemi zwierciadłami między oknami. Wszystkie pokoje były puste i niezamieszkane, bo chory starzec gnieździł się w jednej ciupce, w ciasnej alkowie, gdzie usługiwała mu stara służąca, nigdy niezdejmująca chustki z głowy, i „mały", przesiadujący na ławce w przedpokoju. Samsonow miał tak spuchnięte nogi, że nie mógł prawie chodzić i tylko zrzadka podnosił się ze skórzanego fotelu i, wsparty na starej służącej, przechadzał się raz czy dwa razy po pokoju. Nawet w stosunku do niej był surowy i małomówny.

Gdy zameldowano mu „kapitana", kazał go natychmiast odprawić. Lecz Mitia nalegał i kazał się po raz drugi zameldować. Kuzma Kuzmicz wypytał szczegółowo „małego": „niby jak wygląda, czy aby nie pijany? Czy się nie awanturuje?" Otrzymał odpowiedź, że „trzeźwy, ale nie chce odstąpić". I ponownie kazał go odprawić. Wówczas Mitia, który przewidział tę ewentualność i specjalnie na ten wypadek zabrał ze sobą papier i ołówek, wyraźnie napisał na skrawku jedno zdanie: „W sprawie nader ważnej, dotyczącej Agrafeny Aleksandrownej" i przesłał staremu. Po długiem zastanowieniu kazał go Samsonow wreszcie wpuścić

do salonu, a jednocześnie przez starą służącą sprowadził z dołu młodszego syna. Był to olbrzym, niebywale silny, ogolony i ubrany po europejsku (stary Samsonow nosił brodę i rosyjski strój kupiecki). Syn przybiegł natychmiast bez słowa zapytania: wszystkie dzieci truchlały przed ojcem. Samsonow sprowadził syna nie dlatego bynajmniej, aby się bał kapitana, — bo charakter miał wcale nietchórzliwy, — poprostu chciał mieć w razie potrzeby świadka. W towarzystwie zatem syna, który go podpierał ramieniem, i „małego", wtoczył się wreszcie do salonu. Zapewne powodowała nim ciekawość: był zaintrygowany niezwykłą wizytą. Salon, w którym czekał Mitia, był ogromnie posępnym, przygnębiającym pokojem, z galeryjką, ze ścianami wymalowanemi „pod marmurek", z trzema ogromnemi kryształowemi żyrandolami w pokrowcach. Mitia siedział na krzesełku przy wejściu i z nerwowem zniecierpliwieniem oczekiwał swego losu. Na widok starca, który stanął w przeciwległych drzwiach, w dziesięciu odeń sążniach, skoczył raptownie i swemi długiemi żołnierskiemi krokami poszedł mu naprzeciw. Ubrany był przyzwoicie. Był w zapiętym surducie, z okrągłym kapeluszem w ręku, w ciemnych rękawiczkach, w tym samym zresztą stroju, co i trzy dni temu w monasterze, u starca, na zebraniu familijnem. Samsonow poważnie i surowo oczekiwał go, nie ruszając się z miejsca, i mierząc go okiem od stóp do głów. Zastanowiła Dymitra Fedorowicza wyjątkowo spuchnięta twarz Kuzmy Kuzmicza: dolna, i tak już dość gruba warga jego wydawała się teraz zwisającym placuszkiem. Gospodarz ukłonił się gościowi z godnością i, nic nie mówiąc, wskazał mu fotel koło kanapy, sam zaś powoli, opierając się na ramieniu syna i chorowicie chrząkając, począł się usadawiać na kanapie naprzeciw gościa. Mitia na widok bolesnych wysiłków odczuł w sercu swem skruchę i zawstydził się, że on, taki lichy człowiek, ośmielił się niepokoić tak poważną osobistość.

— Czego pan sobie życzy ode mnie? — odezwał się, usadowiwszy się wreszcie, gospodarz: bardzo powoli, dobitnie, surowo, ale grzecznie.

Mitia drgnął, zerwał się, gestykulując nieprzytomnie.

Widać było, że człowiek dobrnął do kresu, zginął i szuka ostatniej deski ratunku, a jeżeli i ona się ułamie, to — tylko pogrążyć się w topiel. Niewątpliwie zmiarkował to stary Samsonow, chociaż twarz jego zachowała niezmiennie chłodny wyraz, niczem oblicze posągu.

— Wielce szanowny Kuzma Kuzmicz zapewne słyszał już nieraz o moich niesnaskach z ojcem moim rodzonym, Fedorem Pawłowiczem Karamazowym, który wywłaszczył mnie z macierzyzny... całe miasto zresztą huczy o tem... bo tu wszyscy huczą niepotrzebnie o nieswoich sprawach... A oprócz tego mogła o tem mówić Gruszeńka... przepraszam: Agrafena Aleksandrowna, wielce szanowna i czczona przeze mnie Agrafena Aleksandrowna... — tak zaczął Mitia i potknął się odrazu.

Nie będziemy jednak powtarzali jego mowy w całej jej rozciągłości, powtórzymy tu jeno jej treść zasadniczą. Chodziło mu o to, że jeszcze trzy miesiące temu radził się naumyślnie (powiedział naumyślnie, a nie umyślnie) z adwokatem z miasta gubernjalnego, „ze znakomitym adwokatem, Kuzmo Kuzmiczu, z Pawłem Pawłowiczem Korniepłodowym, raczył pan zapewne słyszeć o nim? Łepetyna tęga, ano, można powiedzieć ministerjalna głowa... zna szanownego pana, a jakże... wyrażał się bardzo pochlebnie...“ — tu zaplątał się po raz drugi. Ale to go nie powstrzymało, skoczył dalej i brnął coraz bardziej. Zatem Korniepłodow, wypytawszy się szczegółowo i obejrzawszy dokumenty, które Mitia mu przedstawił (o dokumentach Mitia mówił niewyraźnie, nie wdając się w szczegóły) orzekł, że o Czermasznię, która właściwie powinna należeć do Miti, jako spadek po matce, można bezwzględnie wszcząć sprawę i przytrzeć rogów staremu wszetecznikowi... „bo nie wszystkie furtki są zamknięte, a justycja wie już, którędy przeleźć“. Słowem można było liczyć, że Fedor Pawłowicz będzie zmuszony dopłacić sześć a może nawet siedem tysięcy, ponieważ Czermasznia warta jest co najmniej dwadzieścia pięć tysięcy, to jest na pewno dwadzieścia osiem „trzydzieści, trzydzieści, Kuzmo Kuzmiczu, a ja, proszę sobie wyobrazić, nawet siedemnastu nie wybra-

łem od tego okrutnego człeka!"... Lecz on, Mitia, dał temu pokój, bo nie jest pieniaczem, lecz gdy przyjechał tu, okazało się, że ojciec pozwał go do sądu (tu Mitia znowu się zaplątał i znowu raptownie przeskoczył): „więc niby czy nie zechce pan, wielce szlachetny Kuzmo Kuzmiczu, przejąć wszystkie prawa na tego huncwota, a mnie tylko trzy tysiące wypłacić... Pan przegrać żadną miarą nie może, daję na to słowo honoru, natomiast odbierze pan na pewno sześć czy siedem tysięcy, zamiast tych trzech... A najważniejsza rzecz, to — skończyć bodaj dzisiaj jeszcze... Ja panu u rejenta, albo jak tam podpiszę... Słowem, gotów jestem na wszystko, wydam wszelkie dokumenty, jakich pan tylko zażąda, wszystko podpiszę... i odrazubyśmy ten dokument sporządzili i jeżeli można, gdyby można było, to dziś rano... Dałby mi pan te trzy tysiące... Czy jest większy kapitalista w tej mieścinie... i uratowałby pan mnie od... słowem uratowałby pan moją biedną głowę dla arcyszlachetnej sprawy, dla wzniosłej sprawy, rzec można... albowiem żywię arcyszlachetne uczucia dla pewnej osoby, którą pan zna bardzo dobrze, i o którą dba pan po ojcowsku. Inaczejbym nie przyszedł przecie, gdyby nie po ojcowsku. I jeśli pan chce, to tu trzy osoby stuknęły się łbami, albowiem los — to okropieństwo, Kuzmo Kuzmiczu! Realizm, Kuzmo Kuzmiczu, realizm! A ponieważ pana już dawno należy wyłączyć, to zostają dwa łby, jak się wyrażam może niezręcznie, ale wszak nie jestem literatem. To znaczy — jeden łeb mój, i drugi tego potwora. A zatem, niech pan wybiera: albo ja, albo potwór? Wszystko teraz jest w ręku pana — trzy przeznaczenia i dwa losy... to znaczy, poplątało mi się, przepraszam, ale pan rozumie... poznaję to z poczciwych oczu pana, że pan zrozumiał... A jeżeli pan nie zrozumiał, to dziś jeszcze buch! do wody, otóż to!"

Mitia zakończył swoją niedorzeczną mowę okrzykiem i, zerwawszy się z miejsca, oczekiwał odpowiedzi na swoją głupią propozycję. Jednakże ledwo wyrzekł ostatnie zdanie, nagle i beznadziejnie poczuł, że wszystko przepadło, że naplótł straszliwych bredni. „Dziwna rzecz, póki szedłem tu, zdawało mi się, że dobrze, a teraz jaki galimatjas!" — po-

myślał sobie naraz. A Samsonow słuchał go uważnie i śledził zlodowaciałem spojrzeniem. Następnie przetrzymał go minutę w naprężonem oczekiwaniu, i wkońcu odezwał się wielce stanowczym i okrutnym tonem:

— Wybaczy pan ale nie zajmuję się takowemi interesami.

Mitia poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

— Jakże ja teraz, Kuzmo Kuzmiczu — wymemłał, uśmiechając się blado. — Wszak zginąłem teraz, jak pan myśli?

— Daruje pan...

Mitia postawił oczy w słup. Naraz zauważył, że coś drgnęło na twarzy starca, — i zatrząsł się cały.

— Widzi pan, niezręcznie jest nam zajmować się takowemi interesami — powoli wycedził Samsonow — sądy, adwokaty, tylko kłopotów moc! A jeżeli pan chce, to jest tu jeden człowiek, do niego niech się pan zwróci...

— Boże Wielki!.. Wskrzesza mnie pan, Kuzmo Kuzmiczu — zaszczebiotał Mitia.

— Nie tutejszy, i niema go nawet w mieście... Dawny chłop, lasem handluje, nazywa się Legawy. Z Fedorem Pawłowiczem od roku targuje się o lasek w Czermaszni waszej, nie mogą się zgodzić co do ceny, może pan słyszał. Teraz akurat przyjechał tu i stanął u popa z Ilińska, dwanaście wiorst od Wołowej stacji, w siole Ilińsku. Pisał on do mnie w pewnej sprawie, to znaczy radził się co do tego samego lasku. Fedor Pawłowicz wybiera się do niego. Gdyby pan Fedora Pawłowicza ubiegł i zaproponował Legawemu, to możeby...

— Genjalna myśl! — przerwał mu z zachwytem Mitia. — Właśnie on, to jemu właśnie na rękę! Targuje się, żądają od niego za drogo, a tu dostaje dokument na całą posiadłość, cha-cha-cha! — I Mitia roześmiał się swoim krótkim jakby drewnianym śmiechem tak niespodziewanie, że aż Samsonow szarpnął głową.

— Jak podziękować panu, Kuzmo Kuzmiczu — pienił się Mitia.

— To nic — spuścił głowę Samsonow.

— Ale pan nie wie, pan mnie uratował, o, jakieś przeczucie kazało mi do pana się zwrócić... A zatem, do tego popa! Śpieszę się i pędzę. Zaniepokoiłem pana. Do grobu nie zapomnę. Rosyjski człowiek mówi to panu, Kuzmo Kuzmiczu, r-rosyjski człowiek!

— Te-ek.

Mitia pochwycił starca za dłoń, aby nią potrząsnąć, lecz naraz dojrzał w jego oczach złośliwy błysk. Opuścił rękę, lecz jednocześnie zbeształ siebie za podejrzliwość. „Poprostu zmęczony"... przemknęło mu przez głowę.

— Dla niej! Dla niej, Kuzmo Kuzmiczu! Pan pojmuje, że to dla niej! — ryknął naraz na cały głos, ukłonił się, stanowczo odwrócił i swojemi prędkiemi, długiemi krokami skierował ku wyjściu, ani razu się nie obracając. Trząsł się z zachwytu. „Wszystko już ginęło, i oto anioł stróż uratował mnie" — pomyślał. „I jeżeli tak praktyczny człowiek jak ten starzec (arcyszlachetny starzec, i co za postawa!) wskazał mi tę drogę, to... rozumie się, jest to droga niezawodna. Natychmiast do tamtego. A na noc wrócę, w nocy wrócę i zwycięstwo pewne. Czyżby sobie kpił ze mnie?" Tak wołał Mitia, idąc do swego mieszkania, i oczywiście nie mógł tego sobie inaczej wyobrazić — to znaczy: albo dzielna rada (od tak praktycznego człowieka), oparta na znajomości rzeczy i tego Legawego (dziwne zaiste nazwisko) albo — albo starzec kpi sobie z niego! Niestety! ta druga alternatywa była jedynie słuszna. Potem, wiele czasu po całej katastrofie, starzec Samsonow sam się przyznał ze śmiechem, że brał kapitana „na fundusz". Był to złośliwy, chłodny szyderca, pełen chorobliwych antypatyj. Egzaltacja kapitana, czy głupia pewność „tego trwoniciela", że on, Samsonow, może iść na lep takiego „planu", czy też zazdrość o Gruszeńkę, w imię której ów „oberwaniec" zwrócił się doń z tak niedorzecznemi propozycjami po pieniądze — nie wiem, co mianowicie powodowało starym kupcem, ale w chwili, gdy Mitia stał przed nim, czując, jak uginają się pod nim nogi, i bezmyślnie wykrzykiwał, że zginął — w tej chwili starzec popatrzał nań z bezgraniczną złością i postanowił spłatać mu figla. I ledwo Mitia wy-

szedł, Kuzma Kuzmicz, blady ze złości, zwrócił się do syna i kazał mu pamiętać, aby tego szaławiłę nie wpuszczano nawet do korytarza, bo...

Nie dokończył groźby, lecz syn, który często widywał go w gniewie, tym razem drgnął ze strachu. Godzinę całą pienił i trząsł się ze złości, zaś pod wieczór zaniemógł i posłał po lekarza.

II.

Legawy.

A więc trzeba było jechać. Lecz nie miał na przejazd ani grosza. To znaczy miał zaledwie czterdzieści kopiejek— wszystko, co pozostało z „niegdysiejszego dobrobytu",. Wszakże w domu leżał stary srebrny zegarek, który już dawno przestał chodzić. Dymitr Fedorowicz wziął go więc i zaniósł do zegarmistrza Żyda, właściciela sklepu w bazarze. „I tegom się nie spodziewał!" — zawołał zachwycony, otrzymawszy sześć rubli (wciąż trwał w owym stanie zachwytu), chwycił pieniądze i uciekł do domu. W domu pożyczył jeszcze trzy ruble od gospodarzy, którzy z przyjemnością dali mu ostatni grosz, tak bardzo go kochali. Z tym samym zachwytem opowiedział im, że teraz decyduje się jego los, i pokrótce, śpiesząc się, wtajemniczył ich w swój plan, który dopiero co wyjaśnił Samsonowowi, pozatem w radę Samsonowa, przyszłe swoje nadzieje i t. d. Gospodarze znali wszystkie jego sekrety, a przeto poczytywali go za *swojego* człowieka, a nie za hardego panicza. Zgarnąwszy w ten sposób dziewięć rubli, Mitia posłał po konie do Wołowej stacji. I oto ustaliło się, że „bezpośrednio przed pewnem wydarzeniem, koło południa, Mitia był bez grosza i, żeby mieć na podróż, sprzedał swój zegarek i pożyczył trzy ruble od swych gospodarzy — wszystko to odbyło się przy świadkach".

Zaznaczam to zawczasu — później wyjaśni się w jakim celu.

Jadąc zatem do Wołowej stacji, pełen radosnego przeczucia, że wreszcie skończy i rozwiąże „te wszystkie sprawy", drżał jednakowoż ze strachu: co będzie z Gruszeńką podczas jego nieobecności? No, a jeżeli dziś wreszcie zdecyduje pójść do Fedora Pawłowicza? Dlatego właśnie wyjechał bez pożegnania i zlecił nadomiar gospodarzom, aby nikomu nie mówili o jego wyjeździe. „Bezwarunkowo, bezwarunkowo dziś wieczór trzeba będzie wrócić" — powtarzał, trzęsąc się na bryczce — „i tego Legawego do miasta zaciągnąć, aby sporządzić odpowiedni akt"... tak marzył Mitia z zamierającem sercem — niestety! marzenia jego nie miały się spełnić według tego „planu".

Po pierwsze spóźnił się, bo z Wołowej stacji pojechał gościńcem wiejskim, co przedłużyło drogę o jakie sześć wiorst. Po drugie, nie zastał w Ilińsku popa, albowiem ów wyjechał niedawno do sąsiedniego sioła. Nim go Mitia odszukał, udawszy się do tego sioła tym samym zmęczonym już zaprzęgiem, zaczęło się zmierzchać. „Batiuszka", nieśmiały i potulny, wyjaśnił, że Legawy coprawda z początku stanął u niego, ale teraz znajduje się w Suchym Przysiółku u tamtejszego leśnika, bo i tam zamierza kupić las. Nieodrazu też uległ natrętnym prośbom Miti, aby go natychmiast zaprowadzić do Legawego i tem „uratować". Z początku wahał się, wreszcie zgodził iść z przybyszem do Suchego Przysiółka, zapewne z prostej ciekawości; lecz poradził iść „piechtą", ponieważ droga wynosi zaledwie „wiorstę z małym okładem", Mitia oczywiście przystał na to i ruszył swoim ogromnym krokiem, zmuszając popa nieledwie do biegania. Był to jeszcze wcale niestary i bardzo ostrożny człowiek. Mitia i z nim mówił o swoich planach, namiętnie i nerwowo domagał się informacyj o Legawym i przez całą drogę nie zamykał ust. „Batiuszka" słuchał uważnie, ale niewiele powiedział. Na pytanie Miti, odpowiadał wymijająco: „nie wiem, och, nie wiem, skądbym mógł wiedzieć" i t. d. Gdy zaś Mitia zaczął opowiadać niesnaski z ojcem o spuściźnę po matce, pop zląkł się poważnie, ponieważ był jakoś zależny od Fedora Pawłowicza. Ze zdziwieniem zresztą zapytał, czemu Dymitr nazy-

wa Gorstkina Legawym; wyjaśnił dokładnie, że chociaż Gorstkin jest w istocie Legawym, jednak Legawym nie jest, co więcej nazwisko to obraża go bardzo, słowem że trzeba go koniecznie nazywać Gorstkinym „inaczej nic pan nie wskóra, i nie zechce on pana wcale wysłuchać" — zakończył „batiuszka". Mitia zdziwił się cokolwiek i odpowiedział, że Legawym nazwał go Samsonow. Co usłyszawszy, pop odrazu przerwał rozmowę, chociaż lepiejby zrobił, gdyby wyjaśnił Dymitrowi Fedorowiczowi swoje przypuszczenia: jeżeli Samsonow posłał go do tego chłopa jako do Legawego, to zapewne chciał go wystawić na śmiech i na przykrość. Ale Mitia nie miał czasu zastanawiać się nad takiemi „fraszkami". Spieszył, kroczył prędko i gdy dopiero przybył do Suchego Przysiółka, zmiarkował, że przeszedł nie jedną wiorstę i nie półtorej, lecz co najmniej ze trzy; bardzo go to rozgniewało, ale stłumił w sobie gniew. Weszli obaj do leśniczówki. Leśnik, znajomy popa, zajmował połowę izby, drugą zaś połowę, schludniejszą, odstąpił Gorstkinowi. Weszli więc do tej połowy i zapalili łojówkę. W izbie było gorąco, piec był mocno napalony. Na stole sosnowym stał zgaszony samowar, taca z filiżankami, pusta butelka po rumie, niedopity litr wódki i kawałki białego chleba. Gorstkin leżał wyciągnięty na ławie, z głową na zwiniętym przyodziewku zwierzchnim i głośno chrapał. Mitia stanął niezdecydowany. „Oczywiście, trzeba go obudzić; zbyt pilną mam sprawę, specjalnie pędziłem, muszę dziś jeszcze wrócić" — niepokoił się Mitia. Lecz pop i stróż milczeli, nie wypowiadając swego zdania. Mitia podszedł i sam zaczął budzić śpiącego bardzo energicznie, ale ów ani drgnął. „Pijany" — zdecydował Mitia, „ale co mam robić, Boże, co mam robić!". I naraz straszliwie zniecierpliwiony, jął tarmosić śpiącego za ręce, za nogi, potrząsał go za głowę, unosił i sadzał na ławce, i po długim wysiłku wskórał tylko tyle, że Gorstkin począł myczeć i siarczyście chociaż bełkotliwie kląć.

— Nie, niech pan lepiej poczeka — odezwał się wreszcie pop — widać, że nieprzytomny.

— Cały dzień chlał — wtrącił leśnik.

— Boże! — krzyknął Mitia — gdybyście wiedzieli jak mi jest potrzebny i w jakiej jestem rozpaczy!

— Nie, niech pan lepiej do jutra poczeka — powtórzył pop.

— Do jutra? Zlitujcie się, to niemożliwe!

I pełen rozpaczy znowu chciał budzić pijanego, ale odrazu zrezygnował: zdał sobie sprawę z płonności wysiłków. Pop milczał, zaspany leśnik toczył po izbie osowiałym okiem.

— Jakie straszliwe tragedje wyprawia z ludźmi realizm! — rzekł Mitia, zdjęty ostateczną rozpaczą. Pot lał mu się strumieniem z twarzy. Skorzystawszy ze sposobnej chwili, pop wytłumaczył mu rezolutnie, że gdyby nawet obudził śpiącego, to w tym jego stanie nie mógłby z nim nic mówić „a pan ma ważną sprawę, wobec tego lepiej odwlec to do jutra"... Mitia rozłożył ręce i zrezygnował.

— Ja tu zostanę ze świeczką i będę łapał sposobność. Obudzi się, to zacznę... Za świeczkę wam zapłacę — zwrócił się do leśnika — za kwaterę również, popamiętacie Dymitra Karamazowa. Tylko nie wiem, co ojciec zrobi i gdzie się tu położy?

— Nie, ja do siebie wrócę. Na jego kobyłce pojadę — rzekł „batiuszka", wskazując na stróża.—Zostań pan z Bogiem, życzę panu spełnienia pragnień.

Pop odjechał na kobyłce, rad, że się wreszcie pozbył natręta, choć niespokojnie kiwał głową i medytował: czy aby nie trza będzie zawczasu zawiadomić o tym ciekawym fakcie dobrodzieja Fedora Pawłowicza, „bo w złą godzinę dowie się, rozsierdzi i przestanie popierać". Stróż, drapiąc się w głowę, przeszedł do swojej izby, Mitia zaś siadł na ławce, aby złapać sposobną chwilę, jak się był wyraził. Głęboki smutek jak ciężka mgła padł na jego duszę. Głęboki, straszliwy smutek! Siedział, myślał, ale nic nie mógł wymyślić. Świeczka topiła się, buzował ogień, w pokoju zaczęło być niemożliwie ciemno. Nagle przywidział mu się ogród, dróżka za ogrodem, w domu ojca tajemniczo uchylają się drzwi, i wpada Gruszeńka... Zerwał się z ławki.

— Tragedja! — rzekł, zgrzytając zębami, machinalnie

podszedł do śpiącego i począł mu się przyglądać. Był to suchy, jeszcze niestary chłop, o bardzo podłużnej twarzy, z lnianemi włosami i długą rzadziutką bródką. Ubrany był w bluzę płócienną i czarną kamizelkę, którą zdobił łańcuszek od srebrnego zegarka. Mitia oglądał tę fizjonomję ze straszliwą nienawiścią; szczególną nienawiść budziły w nim kędzierzawe włosy. Najbardziej drażniło to, że oto on, Mitia, stoi nad tym chłopem ze swoją pilną sprawą, tak się zmachał, tyle spraw rzucił, a ten próżniak „od którego zależy teraz cały mój los, chrapie jakby nigdy nic, jakgdyby istota z innej planety". „O, ironjo losu!" — zawołał Mitia i naraz, nie panując nad sobą, zaczął ponownie budzić śpiącego. Cucił go z jakąś wściekłością, popychał, tarmosił, nawet tłukł, lecz po pięciu minutach płonnych zabiegów wrócił na ławkę i usiadł bezsilnie zrozpaczony.

— Głupio, głupio! — wołał Mitia — i... jakie to wszystko jest niecne! — dodał naraz niewiedząc czemu. Poczuł okrutny ból głowy: „Rzucić to? Wyjechać stąd?" — przeleciało mu przez głowę. „Nie, poczekam do jutra. Umyślnie zostanę, umyślnie! I pocóż przyjechałem wobec tego? Zresztą jak tu wracać, jakże teraz wrócę, co za nonsens!

Głowa go bolała coraz bardziej. Siedział nieruchomo i już nie pamiętał, jak zdrzemnął się, i w końcu zasnął, siedząc na ławce. Przespał zapewne dwie godziny czy nawet więcej. Ocknał się z migreny tak straszliwej, że jeno krzyczeć w niebogłosy. Ocknąwszy się zaś, długo nie mógł sobie uprzytomnić co się dzieje. Wreszcie zmiarkował, że z pieca wydziela się okropny czad, i że niewiele brakowało, aby wcale się nie obudził. Pijany chłop wciąż chrapał; świeczka dopalała się. Mitia krzyknął i, zataczając się, wyszedł do izby stróża. Ten prędko się obudził i wysłuchał wiadomości o czadzie z dziwną obojętnością, która zdziwiła i uraziła Dymitra.

— Ale on umarł, umarł, a wówczas... wówczas co?— krzyczał bezprzytomnie.

Otworzono drzwi, otworzono okna, odkryto rurę, Mitia przywlókł z sieni wiadro z wodą, z początku zmoczył

sobie głowę, potem, znalazłszy jakąś szmatę, umaczał ją i przyłożył Legawemu do głowy. Stróż zaś zachował pierwotną, niejako wzgardliwą obojętność i, otworzywszy okno, odezwał się ponuro: „ano niech i tak będzie" i wrócił do siebie, zostawiwszy Miti zapaloną latarkę żelazną. Mitia zajmował się zaczadzonym pijakiem pół godziny, niezmordowanie mocząc mu głowę. Postanowił czuwać do rana. Wszakże był tak zmęczony, że, usiadłszy na chwilę, natychmiast zamknął oczy, zaczem nieświadomie wyciągnął się na ławce i zasnął jak zabity.

Obudził się bardzo późno. Była prawdopodobnie godzina dziewiąta rano. Słońce jaskrawie zaglądało do obu okienek. Kędzierzawy chłop siedział na ławie. Był już ubrany. Przed nim stał nowy samowar i nowy litr gorzałki. Wczorajszy był już wypróżniony, zaś nowy wysuszony więcej niż do połowy. Mitia skoczył i w mig domyślił się, że przeklęty chłop jest znowu pijany, ścięty jak bela, nieodwołalnie. Patrzał nań przez chwilę wyłupionemi oczyma. Chłop zaś oglądał go chytrze i w milczeniu, z jakimś urągliwym spokojem, nawet z pogardliwą jakąś wyniosłością, jak się zdawało Dymitrowi.

— Proszę pana, widzi pan... ja... pan zapewne słyszał od tutejszego stróża w tej izbie: — jestem porucznik Dymitr Karamazow, syn starego Karamazowa, od którego zamierza pan odkupić las.

— Łżesz! — wycedził spokojnie i dobitnie chłop.

— Jakto łżę? Fedora Pawłowicza zna pan chyba?

— Żadnego twego Fedora Pawłowicza nie znam chyba — ciężko ruszając językiem, odpowiedział kupiec.

— Las, las pan kupuje od niego: niechże pan się obudzi, niech się pan opamięta. Ojciec Paweł z Ilińska przyprowadził mnie tu... Pan pisał do Samsonowa, on mnie do pana przysłał... — mówił Dymitr z zapartym tchem.

— Łżesz! — znowu wycedził Legawy. Mitia poczuł ziąb w nogach.

— Niechże pan się zlituje, to nie przelewki! Może pan podchmielony. Potrafi pan przecie mówić, rozumieć... inaczej... inaczej nic nie pojmuję.

— Maliarz jesteś!

— Ale na miłość Boską, jestem Karamazow, Dymitr Karamazow... mam dla pana propozycję... korzystną propozycję... nader korzystną... właśnie względem lasu.

Chłop poważnie pogładził brodę.

— Nie, tyś dostawę wziął i łajdak jesteś. Łajdak jesteś!

— Zapewniam pana, że się pan myli! — załamywał ręce z rozpaczy.

Chłop gładził brodę i naraz chytrze zmrużył oko.

— Nie, ty mi jedno pokaż: pokaż-no mi takie prawo, aby świństwa wolno było robić, słyszysz! Łajdak jesteś, wiesz?

Mitia posępnie cofnął się, i odrazu coś go jakby „w łeb palnęło" jak się później wyrażał. W mgnieniu oka zaświtało mu w głowie, „zapaliło się światełko i wszystko zrozumiałem". Stał osłupiały, nie pojmując jak mógł on, Dymitr, mądry przecie człowiek, wdać się w takie głupstwo, wciągnąć się w taką przygodę i całą dobę zajmować się tym Legawym, moczyć mu głowę. „Pijany jest człek, ululany jak cztery dziewki i żłopać będzie jeszcze tydzień — na co tu czekać? A co, jeżeli Samsonow umyślnie mnie tu wysłał? A co, jeżeli ona... O Boże, com ja narobił!"...

Chłop siedział, spoglądał nań i śmiał się do rozpuku. Kiedyindziej Mitia zakatrupiłby może durnia ze złości, ale teraz osłabł jak dziecko. Powoli podszedł do ławki, wziął swoje palto, włożył je pocichu i wyszedł z izby. W drugiej izbie nie znalazł leśnika, świeciła pustką. Wyjął więc z kieszeni pięćdziesiąt kopiejek i położył na stole, za nocleg, za świeczkę i tarapaty. Wyszedłszy z izby, zobaczył, że wokoło ciągną się lasy. Poszedł przed siebie na chybi trafi, nie pamiętając nawet, w którą stronę skręcić — na prawo czy na lewo; wczoraj w nocy, spiesząc co tchu z popem, nie zwracał uwagi na drogę. Nie żywił względem nikogo żadnego mściwego uczucia, nawet względem Samsonowa. Chodził wąską leśną drożyną bezmyślnie, roztargniony, ze „zgubioną ideą" nie myśląc o tem, dokąd idzie. Mógłby go powalić byle dzieciak, tak osłabł na duchu i cie-

le. Wkońcu jednak wydostał się jakoś z lasu: stanął przed ciągnącemi się w nieskończoną dal polami. „Jaka rozpacz, jaka śmierć wokoło!“ — powtarzał, idąc wciąż naprzód.

Przyszli mu w pomoc przejezdni: woźnica wiózł gościńcem jakiegoś staruszka — kupca. Zrównawszy się z nimi, Mitia zapytał o drogę. Okazało się, że i oni jadą do Wołowej stacji. Po krótkich układach Mitia wgramolił się na wóz. W trzy godziny później byli u celu. Na Wołowej stacji Mitia zamówił konie pocztowe do miasta i naraz poczuł straszliwy głód. Póki wprzęgano konie, spałaszował jajecznicę, kęs chleba, kiełbasę i wypił trzy kieliszki wódki. Posiliwszy się, nabrał otuchy. Naglił woźnicę, po drodze zaś ułożył sobie nowy i już „niezawodny“ plan, który niechybnie pozwoli mu zdobyć do wieczoru „te przeklęte pieniądze“. „I pomyśleć tylko, że z powodu tych nędznych trzech tysięcy marnuje się życie ludzkie!“ — zawołał wzgardliwie. — „Dzisiaj z tem skończę!“. I gdyby nie myśl nieustanna o Gruszeńce i o tem, co mogło się zdarzyć podczas jego nieobecności, byłby może znowu wesół. Wszakże myśl o niej co chwila przeszywała mu serce jak ostry nóż. Nakoniec przyjechali, i Mitia natychmiast pobiegł do Gruszeńki.

III.

Kopalnia złota.

Była to ta sama wizyta, o której Gruszeńka z takim strachem opowiadała Rakitinowi. Czekała wówczas na „kurjera“, szczęśliwa, że Mitia nie przyszedł ani wczoraj, ani dzisiaj; tuszyła sobie, że da Bóg, może wcale nie przyjdzie aż do jej wyjazdu, — a tu zwalił się znienacka. Wiemy już, co się potem działo: chcąc się go pozbyć, kazała się odprowadzić do Kuzmy Samsonowa, gdzie miała jakoby „pieniądze liczyć“. Przy pożegnaniu zaś kazała mu wrócić po nią o dwunastej w nocy, aby ją zpowrotem odprowadzić do domu. Mitia bardzo się cieszył: „Posiedzi u Kuzmy, więc

nie pójdzie do Fedora Pawłowicza... o ile tylko nie kłamie" — dodał odrazu. Ale zdawało mu się, że nie kłamie. Należał do tego typu zazdrośników, którzy zdala od ukochanej kobiety roją sobie niestworzone historje o jej zdradach, spieszą do niej, zgnębieni, zrozpaczeni, głęboko przeświadczeni, że zdążyła już zdradzić, i — z pierwszego rzutu oka na jej twarz, na roześmianą, wesołą i łagodną twarz ukochanej — odrazu nabierają otuchy, natychmiast zapominają o podejrzeniach i z radosnem zawstydzeniem besztają siebie za zazdrość.

Odprowadziwszy zatem Gruszeńkę, pobiegł do siebie do domu. O, tyle jeszcze musiał dzisiaj zrobić! Bądź co bądź, kamień spadł mu z serca. „Tylko dowiedzieć się jak najprędzej od Smerdjakowa, czy nie było tam czego wczoraj wieczorem, czy nie była wczoraj, nie daj Boże, u Fedora Pawłowicza, och!" — przesunęło mu się przez głowę. Nie zdążył przeto wrócić jeszcze do domu, gdy znowu zazdrość zakłębiła się w niezmordowanem jego sercu.

Zazdrość! „Otello nie jest zazdrosny, owszem, jest pełen zaufania" — zauważył Puszkin i już to jedno spostrzeżenie świadczy o niezwykłej głębi umysłu naszego wielkiego poety. Otello ma tylko duszę zmiażdżoną, zachwiał się tylko jego cały światopogląd, ponieważ *zginął jego ideał.* Ale Otello nie będzie się chował, nie będzie szpiegował i podglądał: jest pełen zaufania. Trzeba go dopiero naprowadzić, rozpalać z niezwykłym trudem, aby domyślił się zdrady. Inna jest natura prawdziwego zazdrośnika. Niepodobna sobie wyobrazić całej hańby i moralnego upadku, z jakim potrafi się oswoić zazdrośnik bez wyrzutów sumienia. I niekoniecznie musi to być nikczemna, pospolita duszyczka. Wręcz przeciwnie: z wzniosłem sercem, z czystą miłością, pełną poświęcenia, można się chować pod stołami, przekupywać najpodlejszych ludzi i wdrażać się w najlichszą nędzę szpiegowania i podsłuchiwania. Otello nie mógłby za nic pogodzić się ze zdradą — nie mówię, że nie mógłby przebaczyć zdrady, — lecz stanowczo nie mógłby się z nią pogodzić, chociaż dusza jego jest niewinna i dobra jak dusza dziecka. Inaczej rzecz się ma z prawdziwym zazdroś-

nikiem: trudno sobie wyobrazić, z czem może się pogodzić i do czego przyzwyczaić, i co może przebaczyć prawdziwy zazdrośnik! Zazdrosny kochanek jest bardziej skory do przebaczenia od innych, i kobiety wiedzą o tem dobrze. Zazdrośnik wyjątkowo prędko (oczywiście po strasznej scenie) może i jest w stanie przebaczyć prawie dowiedzioną zdradę, widziane na własne oczy pocałunki i objęcia, jeśli jednocześnie potrafi zapewnić siebie, że było to „po raz ostatni", że rywal jego teraz już zniknie, wyjedzie na koniec świata; albo że on sam wywiezie ją do takiego zakątka, kędy straszliwy ów rywal nie dotrze. Rozumie się, pogodzi się tylko na godzinę, albowiem, jeśli nawet zniknie tamten rywal, to zazdrosny kochanek jutro wynajdzie sobie innego, nowego, i będzie o niego zazdrosny. I zdawałoby się: co widzi w tej miłości, którą trzeba tak poglądać, i co warta jest miłość, której trzeba tak pilnować? Ale tego nigdy nie zrozumie prawdziwy zazdrośnik, mimo że doprawdy nie brak śród nich ludzi wzniosłego serca. Zastanawiające jest jeszcze to, że ci ludzie wzniosłego serca, stojąc w komórce, szpiegując i podsłuchując, pojmują „wzniosłemi swemi sercami" całą haniebność tego, a jednak nie czują, przynajmniej póki są w tej komórce, żadnych wyrzutów sumienia. Mitia na widok Gruszeńki zapomniał o zazdrości i przez chwilę był szlachetny i ufny, gardził nawet sam sobą za te złe uczucia. Ale to świadczyło tylko, że miłość jego do tej kobiety była znacznie wznioślejsza, niż sam przypuszczał, i że składało się na nią nietylko pożądanie, nietyko „przegub ciała", o którym mówił do Aljoszy. Natomiast, gdy tracił ją z oka, odrazu zaczynał ją znowu posądzać o wszelkie podłości i podstępne zdrady. I nie czuł żadnych wyrzutów sumienia.

A zatem znowu zawrzała w nim zazdrość. W każdym razie trzeba było się spieszyć. Przedewszystkiem trzeba było postarać się o jakie bądź pieniądze na drobne wydatki. Wczorajsze dziewięć rubli rozeszło się całkowicie na przejażdżkę, zaś z płótnem w kieszeni nie można ani kroku postąpić. Ale na wozie jeszcze obmyślił sposób wydostania floty na bieżące wydatki. Posiadał parę znakomitych pojedynkowych pistoletów i dotychczas nie zastawił ich, ponie-

waż lubił je najbardziej ze wszystkich posiadanych rzeczy. Otóż w knajpie „Gród Stołeczny" dawno już zawarł znajomość z pewnym młodym urzędnikiem i dowiedział się mimochodem, że urzędnik ów, dosyć zamożny, kawaler, namiętnie zbiera broń, nabywa pistolety, rewolwery, sztylety, rozwiesza u siebie po ścianach, pokazuje znajomym, chlubi się kolekcją, tłumaczy system, sposób nabicia i inne szczegóły. Nie zastanawiając się długo, Mitia udał się do niego i zaproponował rewolwery na zastaw dziesięciorublowej pożyczki. Urzędnik zaczął go namawiać do sprzedaży, ale Mitia nie zgodził się, wobec czego amator broni wydał mu dziesięć rubli i oświadczył, że za nic w świecie nie weźmie procentów. Rozstali się po przyjacielsku. Mitia spieszył się, podążył tylną drogą do swej altanki, aby czemprędzej wywołać Smerdjakowa. Ale w ten sposób znowu ustaliło się, że trzy czy cztery godziny przed pewnem wydarzeniem, które szczegółowo omówię poniżej, Mitia nie miał ani grosza, i za dziesięć rubli zastawił ulubioną rzecz, zaś później, w trzy godziny potem szastał tysiącami... Lecz nie uprzedzajmy faktów.

Marja Kondratjewna (sąsiadka Fedora Pawłowicza) zaskoczyła go nowiną o chorobie Smerdjakowa. Stropiło go to wielce i zmieszało. Wysłuchał historji upadku do piwnicy, ataku epilepsji, przyjazdu doktora, kłopotów Fedora Pawłowicza; z zaciekawieniem pytał się o wyjazd brata Iwana Fedorowicza do Moskwy. „Zapewne przede mną przejeżdżał przez Wołową stację" — pomyślał. Choroba Smerdjakowa ogromnie go zaniepokoiła: „jakże teraz, kto będzie pilnował, kto mi doniesie?". Niecierpliwie jął badać kobiety, czy nie zauważyły czego wczoraj wieczorem? One zaś, rozumiejąc o co mu chodzi, zapewniły go, że nikogo nie było, nocował Iwan Fedorowicz i „wszystko było w zupełnym porządku". Mitia zamyślił się. Bezsprzecznie i dzisiaj trzeba będzie czatować, ale gdzie: tu czy pod bramą Samsonowa? Rozstrzygnął, że tu i tam, stosownie do okoliczności, a tymczasem, tymczasem... Chodzi o to, że teraz miał przed sobą do wykonania ten „plan", dawny, a jednak nowy i już pewny plan, wyrozumowany na wozie, i że nie

można było dłużej zwlekać. Mitia postanowił poświęcić na to godzinę: „w godzinę wszystko załatwię, wszystkiego się dowiem, a potem, po pierwsze do Samsonowa, dowiem się, czy jest Gruszeńka, i pędem wrócę tutaj, przed jedenastą tu będę, a następnie znowu do Samsonowa, aby ją odprowadzić do domu". Tak to sobie wszystko ułożył.

Pomknął do domu, umył się, uczesał, wyczyścił odzież, ubrał się i poszedł do pani Chochłakow. Niestety, plan jego opierał się na niej. Postanowił bowiem pożyczyć od niej trzy tysiące. I rzecz najważniejsza, jakoś nagle, raptownie nabrał niezwykłej pewności, że mu ona nie odmówi. Ale w takim razie, zapytać można, jeśli był tak pewny, to czemu nie udał się odrazu do niej, bądź co bądź osoby ze swojej sfery, zamiast zwracać się do Samsonowa, obcego sobie człowieka, z którym nie wiedział nawet jak należy mówić. Otóż nie uczynił tego dlatego, że w ostatnim miesiącu stosunki jego z panią Chochłakow ogromnie ochłodły, zresztą nigdy nie były specjalnie żywe: co więcej, wiedział, że pani Chochłakow niecierpi go. Znienawidziła go od pierwszej chwili, poprostu dlatego, że był narzeczonym Katarzyny Iwanownej, jej zaś niewiadomo czemu zachciało się nagle, aby Katarzyna Iwanowna porzuciła Mitię i wyszła zamąż za „miłego, rycerskiego i wykształconego Iwana Fedorowicza, który ma tak świetne maniery". Zaś manier Miti nienawidziła całą duszą. Mitia śmiał się z niej i pewnego razu wyraził się o niej, że jest „równie żywa i swobodna co i nieinteligentna". I oto rano na wozie olśniła go raptownie nowa myśl: „Jeżeli ona tak bardzo nie chce, abym ożenił się z Katarzyną Iwanowną, i to do takiego stopnia (wiedział bowiem, że niemal histerycznie), to dlaczegóżby miała odmówić mi teraz tej pożyczki, tych trzech tysięcy, bo przecie, mając te pieniądze, będę mógł porzucić Katię i wyjechać stąd na zawsze? Te rozkapryszone damy, gdy ubrdają sobie jakieś głupstwa, niczego już nie żałują, byle je urzeczywistnić. Pozatem baba jest tak bogata" — rozumował Mitia. Co się tyczy planu, to pozostał ten sam, to znaczy polegał na odstąpieniu praw jego do Czermaszni, ale nie z handlowych względów, jak wczoraj u Samsonowa, i bez

przynęty podwójnego zarobku, a poprostu w postaci szlachetnej gwarancji. Zastanawiając się nad tą nową myślą, Dymitr wpadł w zachwyt, jak zwykle przy wszystkich swoich poczynaniach, przy wszystkich nagłych decyzjach. Oddawał się każdej nowej myśli z całą żarliwością. Jednakże, gdy wszedł na ganek pani Chochłakowowej, przeszło go mrowie z przerażenia: dopiero w tej sekundzie zdał sobie sprawę wyraźnie i z matematyczną jasnością, że jest to ostatnia jego nadzieja, że więcej już nic nie zostaje na świecie, że jeżeli tu się nie uda, to przyjdzie „chyba zarznąć i ograbić kogo o te trzy tysiące, i nic więcej"... Było pół do ósmej, gdy zadzwonił do pani Chochłakow.

Z początku los jakgdyby się uśmiechnął doń: ledwo kazał się zameldować, przyjęto go, z niezwykłą jakąś szybkością. „Jakby czekała na mnie" — błysnęło mu w głowie. I gdy tylko wszedł do salonu, wybiegła mu naprzeciw pani domu i oznajmiła wręcz, że wypatrywała go niecierpliwie...

— Czekałam, czekałam! Wszak nie miałam żadnej podstawy, nie mogłam nawet pomyśleć, że pan przyjdzie do mnie, niech pan sam powie, a jednak czekałam pana, proszę podziwiać mój instynkt, Dymitrze Fedorowiczu, od rana byłam pewna, że pan dziś przyjdzie.

— To istotnie dziwne — odpowiedział Mitia, siadając ociężale — ale... przyszedłem w niezmiernie ważnej sprawie... najważniejszej z pośród ważnych, to znaczy dla mnie, tylko dla mnie. Chodzi mi właśnie...

— Wiem, że w najważniejszej sprawie, Dymitrze Fedorowiczu, to nie są przeczucia jakie, nie reakcyjne zakusy na cuda (słyszał pan o starcu Zosimie?), to była matematyka: nie mógł pan nie przyjść po tem, co zaszło z Katarzyną Iwanowną; nie mógł pan, nie mógł pan i to jest matematyka.

— Realizm rzeczywistego życia, pani! Ale pozwoli mi pani jednak przystąpić...

— Właśnie realizm, Dymitrze Fedorowiczu. Teraz jestem za realizmem; za bardzo się sparzyłam na tych cudach. Słyszał pan, że umarł starzec Zosima?

— Nie, pierwszy raz słyszę — zdziwił się nieco Mitia. Przypomniał sobie brata Aljoszę.

— Dziś w nocy, i niechże pan sobie wyobrazi...

— Łaskawa pani — przerwał jej Mitia — wyobrażam sobie tylko to, że jestem w arcyrozpaczliwej sytuacji, i jeżeli mi pani nie pomoże, to wszystko pęknie i ja pęknę pierwszy. Wybaczy pani, że trywialnie się wyrażam, ale mówię w gorączce...

— Wiem, wiem, że pani mówi w gorączce, wszystko wiem, nie może pan nie być w takim stanie ducha, i cokolwiek pan powie, wiem już o tem zgóry. Dawno już wzięłam pod uwagę los pana i śledzę, Dymitrze Fedorowiczu, i studjuję go... O, niech mi pan wierzy, że jestem doświadczonym lekarzem duszy, Dymitrze Fedorowiczu.

— Łaskawa pani, jeśli pani jest doświadczonym lekarzem, to ja jestem doświadczonym chorym — sadził się na grzeczność Mitia, — i przeczuwam, że, skoro śledzi pani tak mój los, to chyba nie odmówi mi pani pomocy w krytycznej chwili. Ale właśnie dlatego muszę pani wyłożyć pewien plan, z którym śmiałem przyjść do pani... i to, czego od pani oczekuję. Przyszedłem, po..

— Niechże pan nie wykłada, to rzecz nieistotna. Dymitrze Fedorowiczu. Słyszał pan zapewne o mojej kuzynce Belmiesowowej, mąż jej ginął, pękał, jak pan się wyraził charakterystycznie, Dymitrze Fedorowiczu, i cóż, wskazałam mu na hodowlę koni i powiadam panu, że znowu się dorobił. Czy zna się pan na hodowli koni, Dymitrze Fedorowiczu?

— Nie mam pojęcia, — och, pani, najmniejszego pojęcia! — zawołał nerwowo zniecierpliwiony Mitia i nawet zerwał się z miejsca.—Błagam panią tylko, abyś zechciała mnie wysłuchać, niech mi pani udzieli dwóch minut rozmowy, abym mógł wyłożyć wszystko, cały projekt, z którym przyszedłem. W dodatku, nie mam czasu, spieszę się bardzo!... — krzyknął histerycznie Mitia, czując, że ona znowu zacznie swoje i pragnąc ją przekrzyczeć. — Przyszedłem tu w rozpaczy... w ostatnim stopniu rozpaczy, aby prosić pani

o trzy tysiące rubli, o pożyczkę pod pewny zastaw, z najwierniejszą gwarancją! Pozwoli pani tylko wytłumaczyć...

— To potem, wszystko potem! — zawołała, machając rękoma, pani Chochłakow. — I cokolwiek pan powie, wiem już o tem zgóry, jak już panu mówiłam. Prosi pan o jakąś kwotę, potrzebne są panu trzy tysiące, ale ja panu dam więcej, bezgranicznie więcej, ja pana uratuję, Dymitrze Fedorowiczu, ale musi się pan słuchać mnie!

Mitia znowu skoczył z miejsca.

— Pani, czy istotnie jesteś pani tak dobra! — krzyknął z niezwykłem przejęciem. — Boże, uratowała mnie pani. Ratuje pani człowieka od śmierci, od pistoletu... Wieczna moja wdzięczność...

— Dam panu nieskończenie, nieskończenie więcej, niż te trzy tysiące! — zawołała pani Chochłakow, patrząc z rozpromienionym uśmiechem na egzaltację Miti.

— Nieskończenie? Ależ tyle mi nie trzeba. Koniecznie muszę mieć te fatalne dla mnie trzy tysiące, i chciałem pani dać gwarancję. Proponuję pani plan, który...

— Dosyć, Dymitrze Fedorowiczu, co powiedziałam, spełnię — ucięła pani Chochłakow ze wstydliwą wspaniałomyślnością filantropki.—Przyrzekłam pana uratować i uratuję. Uratuję pana, jak Belmiesowa. Co pan myśli o złotych piaskach, Dymitrze Fedorowiczu?

— O złotych piaskach, łaskawa pani! Nigdy o nich nie myślałem.

— Ale ja za pana myślałam. Medytowałam i obmyślałam! Już cały miesiąc obserwuję pana z tą myślą. Stokrotnie spoglądałam na pana, kiedy pan przechodził, i myślałam sobie: oto człowiek energiczny, który nadaje się do szukania złota. Wystudjowałam nawet chód pana i doszłam do wniosku: człowiek ten znajdzie wiele złota.

— Z chodu? — uśmiechnął się Mitia.

— Ano i z chodu. Czy nie uważa pan, że z chodu można poznać charakter człowieka, Dymitrze Fedorowiczu? Nauki przyrodnicze potwierdzają to. O, teraz jestem realistką, Dymitrze Fedorowiczu. Od dnia dzisiejszego, po tej całej historji w klasztorze, która mnie tak rozstroiła, jestem

absolutną realistką i chcę zająć się praktyczną działalnością. Jestem uzdrowiona. Basta! — jak powiedział Turgieniew.

— Ale te trzy tysiące, które pani tak wielkodusznie przyrzekła mi pożyczyć...

— Nie miną pana, Dymitrze Fedorowiczu—przerwała mu odrazu pani Chochłakow—te trzy tysiące ma pan jakby w kieszeni i nie trzy tysiące, lecz trzy miljony, Dymitrze Fedorowiczu i to w najkrótszym czasie! Rozumiem ideę pana: znajdzie pan złoto, dorobi się miljonów, wróci do nas i będzie pan działaczem, będzie pan działał i pobudzał nas do dobrych uczynków. Czyż wszystko należy zostawić Żydom? Będzie pan budował domy i różne przedsiębiorstwa, będzie pan wspierał ubogich, a oni będą pana błogosławić. Dziś jest wiek kolei żelaznych, Dymitrze Fedorowiczu. Zasłynie pan, stanie się niezbędnym człowiekiem w ministerstwie finansów, które teraz tak potrzebuje dzielnych ludzi. Spadek banknotów nie pozwala mi spać spokojnie, Dymitrze Fedorowiczu, nie znacie mnie z tej strony...

— Łaskawa pani, łaskawa pani! — przerwał jej znów Dymitr Fedorowicz w jakiemś niespokojnem przeczuciu — bardzo, bardzo być może, że pójdę za radą pani, za mądrą radą pani — i udam się może tam... do kopalni złota... i jeszcze wrócę rozmówić się z panią na ten temat... wiele razy nawet... ale teraz te trzy tysiące, które pani tak wielkodusznie... O, uratowałyby mnie i gdyby można było dziś jeszcze... Bo widzi pani, nie mam teraz godzinki, godzinki czasu.

— Dość już, Dymitrze Fedorowiczu, dość! — przerwała stanowczo pani Chochłakow — pytanie: jedzie pan do kopalni złota, czy nie, zdecydował się pan, niechże pan odpowie natychmiast?

— Jadę, łaskawa pani, potem... Pojadę, dokąd pani zechce... ale teraz....

— Niechże pan poczeka! — krzyknęła pani Chochłakow, zerwała się z miejsca i podbiegła do swego wspaniałego biurka z niezliczonemi szufladkami, które zaczęła niespokojnie wysuwać, jakgdyby szukając czegoś w pośpiechu.

„Trzy tysiące — pomyślał z zamierającem sercem Dymitr Fedorowicz,—i to poprostu, bez żadnych dokumentów

i podpisów... o naprawdę po dżentelmeńsku! Wspaniała kobieta, i gdyby nie była tak wymowna..."

Otóż to! — zawołała radośnie pani Chochłakow, wracając do Miti — oto, czego szukałam!

Był to drobny, srebrny medaljonik na sznurku, z tych, które się zwykle nosi na szyi razem z krzyżykiem.

— To z Kijowa, Dymitrze Fedorowiczu — odrzekła z pietyzmem — od relikwij świętej Barbary. Pozwoli pan, że sama zawieszę panu na szyi i pobłogosławię na nowe życie i wielkie czyny.

Istotnie, zarzuciła mu przez głowę sznurek i zaczęła układać. Mitia, zmieszany bardzo, nachylił się i pomógł jej wepchnąć obrazek pod kołnierzyk i koszulę.

— A teraz może pan jechać! — zawołała, siadając na poprzedniem miejscu.

— Łaskawa pani, jestem tak wzruszony... nie wiem, jak nawet dziękować... za taką serdeczność, ale... gdyby pani wiedziała, jak mi teraz pilno!.. Ta kwota, której oczekuję od pani wspaniałomyślności!.. O, łaskawa pani, jeżeli pani jest już tak dobra, tak wzruszająco wielkoduszna dla mnie (krzyknął naraz w uniesieniu) — to niech mi pani pozwoli powiedzieć sobie... co pani zresztą dawno już wie... że kocham jedną kobietę... Zdradziłem Katję..., Katarzynę Iwanowną, chciałem powiedzieć... O byłem nieludzki i nieuczciwy w stosunku do niej, ale pokochałem tę inną... jedną kobietę, łaskawa pani, którą pani zapewne gardzi, ponieważ wie pani już o wszystkiem, ale której żadną miarą nie mogę porzucić, a przeto teraz, te trzy tysiące...

— Niech pan wszystko porzuci! — przerwała pani Chochłakow stanowczym głosem. — Niech pan wszystko rzuci, zwłaszcza kobiety. Cel pana to kopalnia złota, a z kobietami do kopalni się nie jedzie. Potem, kiedy pan wróci z majątkiem i sławą, znajdzie pan sobie towarzyszkę życia z najwyższych sfer społeczeństwa. Będzie to współczesna panna, wykształcona i bez przesądów. Do tego czasu dojrzeje zapoczątkowana obecnie kwestja kobieca i pojawi się nowa kobieta...

— Łaskawa pani, nie o to, nie to... — rzekł Dymitr Fedorowicz, składając błagalnie dłonie.

— To właśnie, Dymitrze Fedorowiczu, właśnie tego panu potrzeba, tego pan właśnie łaknie, sam o tem nie wiedząc. Nie jestem obca obecnej kwestji kobiecej, Dymitrze Fedorowiczu. Rozwój kobiety i nawet polityczna rola kobiety w najbliższej przyszłości — oto mój ideał. Ja sama mam córkę, Dymitrze Fedorowiczu, i nie zna się mnie z tej strony. Pisałam w tej kwestji do piszarza Szczedryna, który tyle powiedział o powołaniu kobiet, w roku zeszłym posłałam mu anonimowy list, składający się z dwóch zwrotek: „Ściskam i całuję pana, autorze mój, za dzisiejszą kobietę. Niech pan dalej idzie tą drogą". I podpisałam: „matka". Chciałam podpisać: „współczesna matka"; wahałam się, ale wolałam poprostu matkę: wiecej moralnego piękna, Dymitrze Fedorowiczu, zresztą słowo „współczesna" przypomniałoby mu „Współczesnika" — a wie pan, że to przykre przypomnienie ze względu na obecną cenzurę... Ach, mój Boże, co panu jest?

— Łaskawa pani — skoczył wreszcie Mitia, składając dłonie w bezsilnem błaganiu — doprowadzi mnie pani do łez, łaskawa pani, jeżeli pani będzie zwlekała z tem, co tak wspaniałomyślnie...

— I niech pan płacze, Dymitrze Fedorowiczu, niech pan zapłacze! To piękne uczucie... oczekuje pana taka droga! Łzy panu ulżą, potem wróci pan i będziesz się cieszył. Specjalnie przyjedzie pan do mnie z Syberji, aby wraz ze mną się cieszyć...

— Ale niechże pani pozwoli — wrzasnął naraz Mitia — ostatni raz błagam pani, czy będę mógł dzisiaj dostać od pani przyrzeczoną kwotę? Bo jeżeli nie, to kiedy mam przyjść po nią?

— Jaką kwotę, Dymitrze Fedorowiczu?

— Przyrzeczone trzy tysiące... które pani tak wspaniałomyślnie...

— Trzy tysiące? Niby rubli? Och nie, nie mam trzech tysięcy — z jakiemś spokojnem zdziwieniem odezwała się pani Chochłakow. Mitia zamarł...

— Jakże to... przed chwilą... pani powiedziała... pani wyraziła się, że mam je jakby w kieszeni...

— Och, nie, pan mnie źle zrozumiał, Dymitrze Fedorowiczu. Jeżeli tak, to pan mnie nie zrozumiał. Mówiłam o kopalni złota... Prawda, przyrzekłam panu więcej, nieskończenie więcej, niż trzy tysiące, teraz sobie przypominam, ale miałam na myśli tylko kopalnię.

— A pieniądze? A trzy tysiące? — bezmyślnie zawołał Dymitr Fedorowicz.

— O, jeżeli pan miał na myśli pieniądze, to ja nawet nie mam pieniędzy. Nie mam teraz zupełnie pieniędzy, Dymitrze Fedorowiczu, wojuję właśnie z zarządzającym i sama pożyczyłam w tych dniach pięćset rubli od Miusowa. Nie, nie, nie mam pieniędzy. I wie pan, Dymitrze Fedorowiczu, gdybym nawet miała pieniądze, tobym panu nię dała. Po pierwsze, nikomu nie pożyczam. Pożyczyć, to znaczy pokłócić się. Ale panu, zwłaszcza panubym nie dała, kochając pana, nie dałabym, żeby uratować, nie dałabym panu, ponieważ jeden jest tylko ratunek dla pana: kopalnia złota, kopalnia i kopalnia!..

— Niech djabli!... — ryknął naraz Mitia i z całej siły grzmotnął pięścią w stół.

— Aj, aj! — krzyknęła pani Chochłakow przerażona i uciekła na drugi koniec salonu.

Mitia splunął i szybkiemi krokami wyszedł z pokoju, z domu na ulicę, w ciemności! Szedł jak obłąkany, uderzając się w pierś, w to samo miejsce, w które się był uderzał dwa dni temu wobec Aljoszy w czasie ich ostatniego spotkania na trakcie. Co oznaczało to uderzenie się w piersi, dokładnie *w to miejsce*, i co chciał przez to wskazać — to chwilowo jeszcze tajemnica, której nie znał nikt na świecie, której nie odsłonił nawet Aljoszy. Wszakże tajemnica ta była dlań hańbą, była zgubieniem i samobójstwem — tak już sobie był powiedział na wypadek, gdy nie dostanie tych trzech tysięcy dla Katarzyny Iwanownej, aby zdjąć z piersi z „tego miejsca na piersi" hańbę, którą tam nosił, i która tak męczyła jego sumienie. Wszystko to wyjaśni się później, teraz zaś po straceniu ostatniej nadziei ten człowiek, tak silny

fizycznie, w paru krokach do domu Chochłakowowej zalał się łzami, jak małe dziecko. Szedł i nieprzytomnie wycierał łzy pięścią. Tak wyszedł na plac i naraz poczuł, że natarł na coś całem ciałem. Jakaś staruszka pisnęła głośno — mało co jej nie przewrócił.

— Boże, mało co nie zabił! Ślepi nie masz, czy co!

— Jakże, to wy? — wołał Mitia, obejrzawszy w ciemnościach staruszkę. Była to stara służąca Samsonowa. którą sobie Mitia wczoraj zapamiętał.

— A kim jesteście, ojcze? — innym już głosem odezwała się staruszka — nie ochapiasz mi się w tej ośmie.

— Służycie u Kuzmy Kuzmicza, prawda?

— Tak jest, ojcze, właśnie co byłam u Prochorycza... Ale czegoj to pana nie mogę opoznać?

— Powiedzcie, matko, Agrafena Aleksandrowna jest teraz u was? — zawołał Mitia. — Sam ją odprowadzałem.

— Była, ojcze, przyszła, posiedziała kapkę i poszła.

— Jakto? Poszła? — krzyknął Mitia. — Kiedy poszła?

— Odrazu poszła, minutkę posiedziała u nas. Kuzmie Kuzmiczowi bajeczkę opowiedziała, rozśmieszyła go, ano i uciekła.

— Łżesz, przeklęta! — wrzesnął Mitia.

— Aj, aj! — krzyknęła staruszka, ale Miti już nie było na miejscu; pobiegł co tchu do domu Morozowowej. Kwadrans jeszcze nie minął czasu, jak Gruszeńka wyjechała do Mokrej. Fenia siedziała ze swoją babką, kucharką Matreną w kuchni, gdy wbiegł nagle „kapitan". Na jego widok, Fenia krzyknęła z przerażenia.

— Krzyczysz? — wrzasnął Mitia — Gdzie ona? — Ale nie doczekawszy się odpowiedzi struchlałej Feni, rzucił się jej do nóg.

— Fenia, na miłość Boską, powiedz, gdzie ona?

— Ojcze, nic nie wiem, drogi Dymitrze Fedorowiczu, nic ja nie wiem, niech mnie pan zabije, ale nie wiem — zaklinała się Fenia — sam pan z nią poszedł...

— Ona wróciła!..

— Kochany panie, nie wróciła, przysięgam, że nie wróciła!

— Łżesz! — krzyknął Mitia. — Z przerażenia twego poznaję, dokąd poszła!..

Wybiegł z kuchni. Fenia była zadowolona, że się go pozbyła tak łatawo; rozumiała, że zawdzięcza to jeno jego pośpiechowi, bo w przeciwnym razie nie przepuściłby jej tego kłamstwa płazem. Lecz zanim uciekł, zdziwił Fenię i starą Matrenę nieoczekiwanym postępkiem: na stole stał mosiężny moździerz z tłuczkiem — długim na ćwierć arszyna. Mitia, jedną ręką otworzywszy drzwi, naraz wyrwał drugą ręką tłuczek z moździerza, wsunął go do bocznej kieszeni, i tyle go widziano.

— Ach, Boże, on chce kogoś zabić! — zawołała Fenia, plasnąwszy w dłonie.

IV.

W ciemnościach.

Dokąd pobiegł Dymitr Fedorowicz? Wiadomo: „Gdzie może ona być, jak nie u Fedora Pawłowicza? Od Samsonowa pobiegła wprost do niego, teraz to nie ulega wątpliwości. Cała intryga, cały podstęp wyszedł teraz na wierzch...“ Wszystkie myśli skłębiły się w jego głowie. Nie zajrzał nawet do Marji Kondratjewnej: „Nie trzeba, nie trzeba... aby żadnego alarmu... odrazu zawiadomią... Marja Kondratjewna oczywiście należy do zmowy, Smerdjakow również, również, wszyscy są przekupieni!“ Ukartował to sobie inaczej: okrążył dom Fedora Pawłowicza, przebiegł przez Dymitrowską ulicę, przez mostek i znalazł się w głuchym pustym i niezamieszkanym zaułku, na tyłach ogrodów, między płotem sąsiedniego sadu a wysokim parkanem willi Fedora Pawłowicza. Obrał sobie miejsce, zdaje się, że to samo, przez które, jak powiadano, jak zresztą i on wiedział, ongi przelazła Lizaweta Smerdjaszcza. „Jeżeli ta mogła przeleźć“, niewiadomo czemu wpadło mu na myśl,

„to jakżebym ja nie przelazł?". W istocie skoczył i odrazu zręcznie uchwycił się ręką brzegu parkanu, zaczem uniósł się energicznie i usiadł okrakiem na palach. Tuż pod nim w ogrodzie stała łazienka, i zgóry widać było okna domu, obecnie oświetlone. „Tak, jest, u starego w sypialni pali się światło, ona tam jest!" — pomyślał i skoczył na ziemię. Chociaż wiedział, że Grzegorz jest niezdrów, i przypuszczał, że Smerdjakow naprawdę jest chory, mógł zatem sądzić, że nikt go nie usłyszy, instynktownie zamarł na miejscu, stłumił oddech i zaczął nadsłuchiwać. Ale wszędzie zalegało głębokie milczenie, a w powietrzu, jakby umyślnie, było zupełne zacisze.

„I cisza tylko szepcze" — przypomniał mu się niewiedzieć czemu wierszyk — „żeby jeno nie usłyszał nikt, że przeskoczyłem; zdaje się, że nie". Postał tak chwilę, poczem cichutkim krokiem smyknął po trawie w kierunku domu, wymijając ostrożnie drzewa i krzewy, skradając się i przysłuchując do każdego swego kroku. Dobierał się przez pięć minut do oświetlonego okna. Pamiętał, że pod samemi oknami stoi kilka wysokich gęstych krzaków hebdu i kaliny. Drzwi z ogrodu po lewej stronie fasady były zamknięte — mijając przyjrzał im się uważnie. Wreszcie dotarł do krzaków i zaczaił się za niemi. Powstrzymywał oddech: „Trzeba przeczekać, pomyślał, jeżeli słyszeli moje kroki i nadsłuchują, to żeby ich uspokoić... byle tylko nie chrząknąć, nie kichnąć"...

Przeczekał dwie minuty, lecz serce straszliwie łomotało w piersiach, a chwilami dusiło go w gardle. „Nie, nie uspokoi się serce" pomyślał „nie mogę dłużej czekać". Stał w cieniu za krzakiem, którego przednia część była oświetlona blaskiem, padającym z okna. „Kaliny, jakie czerwone kaliny" — wyszeptał, nie wiedząc czemu. Cichaczem, pojedyńczemi, bezgłośnemi kroczkami podszedł do okna i wzniósł się na czubkach palców. Widział sypialnię Fedora Pawłowicza jak na dłoni. Był to niewielki pokoik, przedzielony wpoprzek czerwoną zasłoną — „chińską", jak powiadał Fedor Pawłowicz. „Chińska" przemknęło przez głowę Miti, „a za zasłoną Gruszeńka". Zaczął się przyglądać Fedorowi Pawłowiczowi. Ów nosił nowy pasiasty jedwabny szlafrok,

którego Mitia nie znał, przepasany jedwabnym sznurkiem z chwastami. Z pod szlafroku wyglądała czysta elegancka bielizna, koszula z płótna holenderskiego, ze złotemi spinkami. Głowę miał Fedor Pawłowicz obandażowaną tą samą czerwoną przepaską, w której widział go był Aljosza. „Wystroił się" pomyślał Mitia. Fedor Pawłowicz stał zamyślony wpobliżu okna, i nagle szarpnął nerwowo głową, przez chwilę nasłuchiwał, ale nic nie usłyszawszy, podszedł do stołu, nalał sobie z karafki pół kieliszka koniaku i wychylił. Następnie odetchnął pełną piersią, znowu postał, z roztargnioną miną doszedł do lustra, prawą ręką uniósł czerwony bandaż i począł oglądać swoje siniaki i guzy, które jeszcze nie przeszły. „Jest tu sam" pomyślał Mitia „według wszelkiego prawdopodobieństwa sam". Fedor Pawłowicz odszedł od lustra, nagle odwrócił się do okna i wyjrzał. Mitia momentalnie ukrył się w cieniu.

„Ona może leży za zasłoną, może już śpi" — ukłuło go w sercu. Fedor Pawłowicz odszedł od okna. „To Gruszeńki wypatrywał przez okno, a zatem niema jej: bo pocóżby wyglądał w ciemności?.. zniecierpliwiony snać, nie może się doczekać"... Znowu podszedł do okna i znowu zaczął zaglądać. Starzec siedział przy stoliku, napozór bardzo przygnębiony. Wkońcu oparł się na łokciu i przyłożył prawą dłoń do policzka. Mitia śledził go chciwem spojrzeniem.

„Sam, sam!" powtarzał w duchu. „Gdyby ona tu była, miałby inną minę". Rzecz dziwna, w sercu jego naraz zakipiała jakaś bezmyślna i cudaczna złość, że jej niema. „Nie dlatego, że jej tu niema" uświadomił sobie natychmiast Mitia i sam sobie odpowiedział „lecz dlatego, że nie mogę stwierdzić z całą pewnością, czy jest czy jej niema". Mitia przypomniał sobie później, że umysł jego w tej chwili działał niezwykle sprawnie, spostrzegał wszystko, każdy szczegół i chwytał w lot wszelką drobnostkę. Wszakże smutek, męka niepewności i nieświadomości wzbierała w sercu jego z niezmierną gwałtownością. „Jest, czy jej tu niema?" — zakipiało mu serce gniewem. I naraz zdecydował się, wyciągnął rękę: pocichu stuknął w ramę okienną. Wystukał znak umówiony między starym a Smerdjakowym: dwa razy cichutko,

a potem trzy razy prędzej: tuk-tuk-tuk- — znak, stwierdzający, że „Gruszeńka przyszła". Starzec drgnął, szarpnął do góry głowę, prędko skoczył, dopadł okna. Mitia ponownie skrył się w cieniu. Fedor Pawłowicz otworzył okno i wysunął głowę.

— Gruszeńka, to ty? Czy to ty? — przemówił jakimś drżącym półszeptem. — Gdzie jesteś, mateczko, gdzie, aniele mój, gdzie jesteś?

Był strasznie wzburzony, niemal się dusił.

„Sam" — zdecydował Mitia.

— Gdzie jesteś? — krzyknął znowu starzec i wysunął głowę jeszcze bardziej, nawet szyję i ramię, rozglądając się na wszystkie strony, w prawo i w lewo. — Podejdź tu, podarunek przygotowałem, chodź-że, pokażę ci!...

„To on o paczce z trzema tysiącami" — domyślił się Mitia.

— No gdzie jesteś? Czy pode drzwiami? Zaraz otworzę...

I omal nie wylazł przez okno, patrząc w prawo w kierunku drzwi i usiłując rozpoznać co w mroku. Nie doczekawszy się odpowiedzi Gruszeńki, najpóźniej za sekundę otworzy drzwi. Mitia patrzał ze swego ukrycia i ani drgnął. Ten cały, tak mu wstrętny profil ojca, zwisający podbródek, haczykowaty nos, uśmiechające się w słodkiem oczekiwaniu wargi jego — wszystko to było mocno naświetlone ukośnem światłem lampy, umieszczonej z lewej strony w pokoju. Straszna, wściekła złość zawrzała nagle w sercu Miti: „Oto on, jego rywal, jego dręczyciel, kat jego życia!" Był to zalew owej nagłej, mściwej i dzikiej złości, którą przeczuł i o której mówił Aljoszy, cztery dni temu w altance, kiedy brat zapytał go: „jak możesz mówić, że zabijesz ojca?"

„Wszak nie wiem, nie wiem"—rzekł wówczas—„może nie zabiję, a może zabiję. Boję się, że znienawidzę go nagle *w tej samej chwili za jego twarz*. Nienawidzę jego podbródka, jego nosa, jego oczu, jego bezwstydnego uśmiechu. Czuję osobiste obrzydzenie. Boję się, że się nie powstrzymam".

Obrzydzenie narastało do udręki. Mitia już nie pamiętał nic i naraz wyrwał mosiężny tłuczek z kieszeni...

„Bóg", jak się Mitia później wyraził „dopilnował mnie wówczas": w tej samej chwili obudził się chory Grzegorz Wasiljewicz. Pod wieczór poddał się zabiegom, o których Smerdjakow mówił Iwanowi Fedorowiczowi, mianowicie: dał się natrzeć wódką z jakimś mocnym naparem, resztę zaś wypił, zaczem zasnął. Marta Ignatjewna, zamówiwszy chorobę, również skosztowała lekarstwa, i również zasnęła natychmiast twardym snem. I oto nieoczekiwanie Grzegorz obudził się, medytował chwilę i, chociaż znowu poczuł silny ból w boku, podniósł się jednak, znowu się nad czemś zastanowił i naprędce ubrał. Być może sumienie go gryzło, że on tu się wysypia, gdy domu nikt nie pilnuje w taki „czas niebezpieczny". Smerdjakow leżał jak martwy w sąsiedniej komórce. Marta Ignatjewna nie poruszała się: „osłabła baba" — pomyślał Grzegorz Wasiljewicz, patrząc na nią i chrząkając, i wyszedł na ganek. Chciał tylko rozejrzeć się wokoło z ganku, bo obejść willi nie zamierzał — zbyt dotkliwie bolało go w boku i w prawej nodze. Ale naraz przypomniał sobie, że nie zamknął na klucz furtki do ogrodu. Był to człowiek akuratny i arcyskrupulatny, nigdy nie schodził z kolei ustalonego raz na zawsze porządku i wieloletnich przyzwyczajeń. Kusztykając i kurcząc się z bólu, powlókł się do ogrodu. Istotnie, furtka była otwarta naroścież. Odruchowo zagłębił się dalej: może mu się co przywidziało, a może usłyszał jaki dźwięk; spojrzawszy wlewo, ujrzał otwarte okno, puste już, z którego nikt nie wyglądał.

„Dlaczego otwarte, tera nie lato!" — pomyślał Grzegorz.

I naraz w tej samej chwili tuż przed nim w ogrodzie mignęło coś niezwykłego. W czterdziestu krokach odeń przebiegł w ciemnościach jakiś człowiek, którego cień poruszał się szybko po trawie.

— Boże! — odezwał się Grzegorz i, zapominając o bólu, zabiegł drogę uciekającemu.

Biegł bliższą drogą; snać znał lepiej teren. Uciekający skierował się ku łazience, wyminął ją, dopadł parkanu... Grzegorz nie spuszczał go z oka i biegł co tchu. Podbiegł do parkanu w chwili, gdy zbieg już przełaził na drugą stronę.

Nie panując nad sobą, Grzegorz ryknął, rzucił się, wczepił się palcami obu rąk w nogę zbiega.

Tak jest, przeczucie nie zawiodło go; poznał go, to był on — „potwór-ojcobójca!".

— Ojcobójca! — krzyknął starzec na cały głos.

Ale tylko to zdążył wykrzyknąć; nagle upadł, jakby rażony gromem. Mitia zeskoczył zpowrotem do ogrodu i nachylił się nad leżącym starcem. W rękach trzymał mosiężny tłuczek; odruchowo odrzucił go na trawę. Tłuczek upadł w dwu krokach od Grzegorza, ale nie na trawę, lecz na ścieżkę, na miejsce widoczne. Przez kilka sekund Dymitr Fedorowicz oglądał starca. Głowa broczyła krwią; Mitia wyciągnął rękę i zaczął badać tę głowę. Przypomniał sobie później, że strasznie mu się chciało „przekonać się całkowicie" w tej chwili, czy rozpłatał czaszkę, czy tylko ogłuszył? Lecz krew lała się coraz obficiej i w mig oblała gorącą strugą drżące palce Miti. Pamiętał, że wyciągnął z kieszeni nową białą chustkę, którą zabrał ze sobą, idąc do pani Chochłakowowej, i przyłożył do głowy starca, bezmyślnie starając się zetrzeć krew z czoła i twarzy. Ale i chustka momentalnie nasiąkła krwią.

„Boże, czemużto ja? — opamiętał się nagle Mitia „jeśli nawet rozpłatałem, to jakże się teraz dowiem... I czy nie wszystko jedno!" — dodał naraz beznadziejnie — „zabiłem to zabiłem... Upadł stary, to i niech leży!" — odezwał się na głos i wdrapał się zpowrotem na parkan, zeskoczył i puścił się biegiem przez zaułek.

Chustkę, nasiąkniętą krwią, zaciskał w prawej pięści, zaczem wsunął ją w biegu do tylnej kieszeni surduta. Pędził na złamanie karku; nieliczni przechodnie, którzy spotkali go w ciemnościach, na ulicach miasta, zapamiętali sobie, jak tej nocy widzieli nieludzko pędzącego człowieka. Zdążał zpowrotem do domu Morozowowej. Tymczasem Fenia, po wyjściu Miti, odszukała starego stróża Nazara Iwanowicza i błagała go, aby nie wpuszczał kapitana „ani dziś, ani jutro". Nazar Iwanowicz przyrzekł dopilnować, ale traf zrządził, że akurat wezwano go do starszej pani; zapomniał bratankowi swemu, dwudziestoletniemu parobkowi, który niedaw-

no przybył ze wsi, powtórzyć prośbę Feni. I akurat wówczas Mitia zastukał do bramy. Parobek poznał go natychmiast: Mitia nieraz dawał mu sute napiwki. Otworzył więc furtkę, wpuścił gościa i z wesołym uśmiechem uprzedzająco zawiadomił, że przecie Agrafeny Aleksandrownej „to to tera niema w domu".

— A gdzie jest, Prochorze? — zatrzymał się Dymitr Fedorowicz.

— Pojechała, ze dwie godziny będzie z Tymofejem do Mokrej.

— Poco? — krzyknął.

— Ano nie wiem, do jakiegoś oficjera, konie przysełał po nią...

Mitia jak obłąkany wbiegł do Feni.

V.

Nagłe postanowienie.

Fenia zaś siedziała z babką w kuchni; obie zamierzały się już położyć. Ufając przezorności Nazara Iwanowna, nie zamknęły drzwi na klucz. Mitia wbiegł, rzucił się na Fenię i chwycił ją odrazu za gardło.

— Mów natychmiast, gdzie ona, z kim jest teraz w Mokrej? — wrzasnął, nie posiadając się z wściekłości.

Obie kobiety pisnęły.

— O jej, powiem, powiem, łaskawco, Dymitrze Fedorowiczu, zara wszystko powiem, nic nie utaję — krzyknęła przerażona Fenia — Pojechała do oficera.

— Do jakiego oficera? — ryczał Mitia.

— Do dawnego oficera, do tego samego, do dawnego swego, pięć lat temu, który był, rzucił i wyjechał.

Dymitr Fedorowicz spuścił ręce, zaciskające gardło dziewczyny. Stał przed nią blady jak trup i milczał, lecz oczy jego świadczyły, że wszystko odrazu pojął, wszystko z pierwszego słówka, i wszystkiego się domyślił. Ale nie biedna Fenia mogła teraz badać, czy pojął czy nie. Siedzia-

ła na kufrze, jak przed jego przybyciem, cała drżąca, i zastygła z wyciągniętemi do obrony rękoma. Struchlałemi, rozszerzonemi źrenicami wpiła się w niego. A tymczasem ręce jego były powalane krwią. W biegu dotknął zapewne czoła i twarzy, aby wytrzeć pot, bo na czole i na prawym policzku były rozmazane plamy krwiste. Fenia czuła się bliską ataku histerycznego; zaś kucharka skoczyła i spoglądała przed się jak obłąkana bezprzytomnym wzrokiem. Dymitr Fedorowicz postał tak minutę i nagle machinalnie osiadł na krześle obok Feni.

Siedział jakby osłupiały. Wszystko to było jasne jak dzień: ów oficer — słyszał o nim, wszak wiedział doskonale wszystko, sama Gruszeńka opowiedziała mu, mówiła mu nawet o liście, który dostała miesiąc temu. Zatem miesiąc, cały miesiąc dojrzewało to w tajemnicy przed nim, aż do przyjazdu tego nowego intruza, a on nawet o nim nie pomyślał! Ale jakże, jakże mógł o nim nie myśleć? Czemu to zapomniał o tym oficerze, zapomniał odrazu, ledwo się o nim dowiedział? Oto pytanie, które stanęło przed nim i zdumiewało go. I myślał o tem z lękiem, z trwogą, która zmroziła mu krew w żyłach.

Lecz naraz cicho i łagodnie jak ciche i dobre dziecko przemówił do Feni, zpomniawszy, że dopiero co ją przestraszył, obraził i zmęczył. Naraz z niezwykłą i zdumiewającą w takich okolicznościach dokładnością począł wypytywać Fenię. Ta zaś, chociaż wpiła dzikie wejrzenie w jego skrwawione ręce, również z zadziwiającą pochopnością i gotowością odpowiadała mu na wszystkie pytania, jakby pragnąc mu powiedzieć całą prawdę. Pomału wciągnęła się i z radością opowiadała wszystkie szczegóły i nie poto bynajmniej, aby go męczyć, lecz poprostu dlatego, że chciała mu się z całego serca przysłużyć. Wszystko powiedziała, nic nie przepuściła — i wizytę Rakitina i Aljoszy, i o tem, jak ona sama stała na czatach, jak pani pojechała i co zawołała przez okno do Aljoszy, i o pokłonie i o tem, aby Dymitr „wiecznie pamiętał, jak kochała go całą godzinkę..." Słuchając relacji o pokłonie, Mitia nagle oblał się gęstym rumień-

cem. Fenia w tejże chwili zawołała, nie bojąc się już okazać ciekawości:

— Ręce jakie ma pan, Dymitrze Fedorowiczu, całe we krwi!

— Tak — odpowiedział machinalnie Mitia, roztargnionem spojrzeniem wodząc po rękach, lecz zapomniał odrazu i o nich i o pytaniu Feni.

Znowu pogrążył się w milczeniu. Od czasu jak przyszedł, minęło chyba ze dwadzieścia minut. Przestrach jego znikł, lecz widać było, że powziął jakieś nowe, niezachwiane postanowienie. Naraz zerwał się z miejsca i uśmiechnął się w zamyśleniu.

— Panie, co z panem się działo? — odezwała się Fenia, znowu wskazując na jego ręce.

Powiedziała to z litością, niby najbliższa mu istota.

Mitia znowu popatrzał na swoje ręce.

— To krew, Fenia — rzekł, patrząc na nią dziwnie — to krew ludzka i, Boże, czemuż polała się! Ale... Fenia.. tu jest parkan (patrzał na nią tak, jakby zadawał jej zagadkę) wysoki parkan i wygląda strasznie, lecz... jutro o świcie, gdy wypłynie słońce, Mitienka skoczy przez ten parkan... Nie rozumiesz, Fenia, parkan, ale to nic... wszystko jedno, jutro się dowiesz i wszystko zrozumiesz.. a teraz żegnaj! Nie przeszkodzę i usunę się, potrafię się usunąć. Żyj, moja radości... kochała mnie godzinkę, więc popamiętaj na wieki Mitienkę Karamazowa... Przecie nazywała mnie Mitienką, pamiętasz?

Co rzekłszy, wyszedł raptownie z kuchni. Fenia zaś zlękła się tego wyjścia bardziej może niż poprzednio jego wtargnięcia.

Dziesięć minut potem Dymitr Fedorowicz wszedł do młodego urzędnika, Piotra Iljicza Perchotina, któremu dał na zastaw pistolety. Było już pół do dziesiątej, i Piotr Iljicz, napiwszy się w domu herbaty, dopiero co włożył surdut, aby udać się do restauracji „Stołeczny Gród" na partję bilardu. Mitia zatrzymał go w drzwiach. Perchotin, spojrzawszy na jego krwią zawalaną twarz, nie mógł powstrzymać okrzyku:

— Boże! Co panu jest?

— Przyszedłem — odrzekł prędko Mitia — po moje pistolety i przyniosłem panu pieniądze. Dziękuje bardzo. Śpieszę się, Piotrze Iljiczu, proszę pana bardzo prędzej.

Piotr Iljicz dziwił się coraz bardziej: w rękach Miti ujrzał całą paczkę pieniędzy. Co więcej, Mitia trzymał tę paczkę i wszedł z nią do pokoju w sposób wyjątkowo nienaturalny: wszystkie banknoty zaciskał w prawej, wyciągniętej nieco dłoni, jakgdyby chciał je komu pokazać. Chłopak, służący, który spotkał Mitię w przedpokoju, opowiadał potem, że ów odrazu tak wszedł do przedpokoju z pieniędzmi w ręku, a więc zapewne trzymał je tak samo na ulicy. Były to tęczowe banknoty sturublowe. Przytrzymywał je skrwawionemi palcami. Piotr Iljicz później na zapytania, ile było tych pieniędzy, odpowiedział, że trudno było na oko przeliczyć, paczka była gruba, ścisła i mogła zawierać dwa a może trzy tysiące. Sam zaś Dymitr Fedorowicz, według zeznań Petrochina „był w stanie jakgdyby nieprzytomnym; nie był pijany, ale jakoś zachwycony, bardzo roztargniony i jednocześnie skupiony, jakgdyby bił się z jakąś myślą i nie mógł zdecydować. Bardzo się śpieszył, odpowiadał ostro, bardzo dziwnie, chwilami wydawał się jakgdyby nawet wesoły".

— Co się z panem dzieje, co się z panem teraz dzieje? — zawołał znowu Pictr Iljicz, dziko oglądając gościa. — Gdzie się pan tak pokrwawił. czy pan upadł, niechże pan spojrzy!

Ujął go za łokieć i doprowadził do lustra. Mitia na widok swej splamionej krwią twarzy, wzdrygnął się i groźnie nachmurzył.

— E, djabli nadali! Tego mi jeszcze brakowało — mruknął ze złością, przełożył pieniądze do lewej ręki i wyrwał ostrym ruchem chusteczkę z kieszeni. Ale i chusteczka była skrwawiona (wszak wytarł nią głowę i twarz Grzegorza): nie było na niej miejsca białego, krew zaschła, a raczej jakoś się zwarzyła, zgęstniała.

Mitia ze złością rzucił ją na podłogę.

— Do licha! Czy nie ma pan jakiej szmatki... do wytarcia...

— To się pan tylko powalał, więc nie jest pan skaleczony? Niechże się pan lepiej wymyje — odparł Piotr Iljicz — oto ręcznik, podam panu...

— Ręcznik? To dobrze?.. tylko gdzie ja to podzieję? — Z jakiemś dziwnem zdumieniem wskazał Perchotinowi paczkę sturublówek, popatrzał nań pytająco, jakby tylko Perchotin mógł mu poradzić, gdzie on ma podziać własne pieniądze.

— Do kieszeni niech pan wsunie, albo położy tu na stole, nie zginą.

— Do kieszeni? Tak, do kieszeni. To dobrze... Nie, widzi pan: nasamprzód skończymy z jednem, pistolety, niech mi pan zwróci je, a oto pieniądze... bo, widzi pan, bardzo mi są potrzebne, bardzo potrzebne... i czasu, czasu ani chwilki....

I zdjąwszy z paczki wierzchnią sturublówkę, podał ją urzędnikowi.

— Ale ja nawet reszty nie mam — odrzekł ów — czy nie ma pan drobniejszych?

— Nie — rzekł Mitia, znowu spojrzawszy na paczkę i, jakby nie będąc tego pewny, odwrócił kilka następnych banknotów. — Nie, wszystkie takie same — dodał i znowu spojrzał pytająco na Piotra Iljicza.

— Ale skąd się tak pan zbogacił? — zapytał Perchotin. — Niech pan poczeka, poślę chłopca do Płotnikowa, który późno zamyka sklep. Może mu tam zmienią. Hej, Misza! — krzyknął do przedpokoju.

— Do sklepu Płotnikowa — znakomity pomysł! — krzyknął Mitia, jakgdyby olśniony jakąś myślą. — Misza — zwrócił się do chłopca — uważasz, biegnij do Płotnikowa i powiedz, że Dymitr Fedorowicz kazał się kłaniać, niedługo sam przyjdzie... Ale posłuchaj, posłuchaj: niech tam przygotują dla mnie szampana, ze trzy tuziny, i zapakują jak wówczas, kiedy jechałem do Mokrej... A wówczas to nawet cztery tuziny wziąłem (odwrócił się do Piotra Iljicza) — wiedzą już tam, bądź spokojny, Misza — zwrócił

się znowu do chłopca. — I uważaj, niech tam sery przygotują, pierogi strasburskie, sygi wędzone, wędliny, kawioru no i wszystkiego, co tam mają, za jakie sto czy sto dwadzieścia rubli, jak wówczas... Uważaj, żeby nie zapomniano słodyczy, cukierków, gruszek, trzech czy czterech arbuzów, no nie, dość jednego arbuza, karmelków, czekolady, ciągutek, cukrów—no wszystko to samo, co wówczas kupiłem, wraz z szampanem na jakie trzysta rubli... I teraz żeby tak, jak wówczas. I pamiętaj, Misza, jeśli się Misza nazywasz... Wszak Miszą się nazywa? — znowu się zwrócił do Piotra Iljicza.

— Niech pan poczeka — przerwał mu Piotr Iljicz, słuchając go i oglądając z niepokojem — pan niech lepiej sam pójdzie, bo on wszystko przekręci.

— Przekręci, widzę, że przekręci! Ach, Misza, a ja cię wycałować chciałem za wykonanie... Jeżeli nie przekręcisz, to dam ci dziesięć rubli, zmykaj żywo... Szampan, najważniejsza rzecz, żeby szampan przygotowali i koniaczku, białego i czerwonego, i wszystko, jak wówczas... Oni już tam wiedzą, jak wówczas było.

— Niechże pan posłucha! — przerwał mu zniecierpliwiony Piotr Iljicz. — Powiadam panu: niech on tylko idzie zmienić pieniądze i niech im powie, żeby nie zamykali sklepu, a pan sam już wszystko zamówi... Proszę o banknot, żywo Misza, masz, już cię tu niema!

Piotr Iljicz, zdaje się, umyślnie wypędził czemprędzej chłopca, bo ów jak stanął przed gościem, tak już stał z rozdziawioną ze strachu i zdziwienia gębą, łypiąc oczyma na zakrwawioną twarz i na te ręce z paczką banknotów w trzęsących się palcach. Zapewne niewiele zrozumiał z tego wszystkiego, co mu nagadał Mitia.

— No, a teraz pójdziemy się umyć — odezwał się srogim tonem Piotr Iljicz. — Niech pan położy pieniądze na stole, albo wsunie do kieszeni... Tak, idziemy. Niechże pan zdejmie surdut.

Zaczął mu pomagać przy zdejmowaniu surduta i naraz znowu krzyknął:

— Surdut jest również we krwi!

— To... to nie surdut. Tylko troszeczkę przy rękawie... A to tylko tu, gdzie chustka leżała. Kieszeń przesiąkła. Na chustce usiadłem u Feni, krew więc przesiąkła — wyjaśnił Mitia z jakąś dziką ufnością.

Piotr Iljicz słuchał z nachmurzonemi brwiami.

— Zapewne bił się pan z kim — mruknął.

Zaczęło się mycie. Piotr Iljicz trzymał dzbanek i polewał. Mitia spieszył się i źle namydlił ręce. (Ręce mu drżały, jak później przypomniał sobie Piotr Iljicz). Piotr Iljicz kazał mu lepiej namydlić i mocniej nacierać. Miał jakąś nad Mitią przewagę i im dalej, tem bardziej. Dodajmy przy sposobności, że Perchotin miał charakter bardzo nietchórzliwy.

— Nie wymył pan pod paznogciami, no a teraz nacieraj pan twarz; na skroniach, koło ucha... Zamierza pan jechać w tej koszuli? Dokąd pan jedzie? Proszę spojrzeć, cały mankiet prawy zbroczony krwią.

— Tak, krwią — zauważył Mitia, oglądając prawy mankiet.

— Niechże pan zmieni koszulę.

— Nie mam czasu. A ja, widzi pan... — podjął Mitia z tą samą ufnością w tonie, wycierając ręce i twarz ręcznikiem — ja tu założę mankiet, to wcale nie widać będzie... Widzi pan!

— Niechże pan teraz opowiada, skąd się to wzięło? Pobił się pan z kim czy co? Czy nie w restauracji znowu, jak wówczas? Czy nie znowu z kapitanem, jak wtedy, kiedy go pan ciągnął za brodę? — przypomniał jakby z wyrzutem Piotr Iljicz. — Pobił pan kogo... a może i zabił?

— Bzdury! — odrzekł Mitia.

— Jakto bzdury?

— Nie trzeba — rzekł Mitia i nagle się uśmiechnął. — Staruszkę jedną na placu zgniotłem.

— Zgniótł pan? Staruszkę?

— Starca! — zawołał Mitia, zaglądając w oczy Piotrowi Iljiczowi, śmiejąc się i krzycząc jak do głuchego.

— Do licha, starca, staruszkę... Zabił pan kogo, czy co?

— Pojednaliśmy się. Zwarli się i pojednali. W jednem miejscu. Rozeszliśmy się jako przyjacioły. Dureń taki... przebaczył mi... teraz już na pewno przebaczył... Gdyby wstał, toby i nie przebaczył — mrugnął nagle Mitia — Tylko wie pan, do djabła z nim, słyszy pan, Piotrze Iljiczu, do djabła, nie trzeba! W tej chwili nie chcę! — zakończył stanowczym tonem.

— Ja tylko co do tego, że jak to się panu chce zadawać z byle kim... jak wtedy o głupstwa z tym sztabs-kapitanem... pobiliście się a teraz będziecie hulać razem — oto cały charakter pana! Trzy tuziny szampana — i pocóż tyle!

— Brawo! A teraz niech pan da pistolety. Jak Boga kocham, nie mam czasu. I chciałbym z tobą pogadać, kochanie, ale czasu niema. I nie trzeba zresztą, za późno. A gdzie są pieniądze, gdzie podziałem? — zawołał i zaczął szukać po kieszeniach.

— Na stole pan położył... sam... tu leżą. Zapomniał pan? Obchodzi się pan z pieniędzmi jak ze śmieciem lub wodą. Oto i pistolety. Dziwne to, o szóstej zastawił pan za dziesięć rubli, a teraz ma pan pieniędzy wbród. Dwie czy trzy tysiączki chyba?

— Ze trzy chyba — roześmiał się Mitia, wsuwając pieniądze do bocznej kieszeni spodni.

— Zgubi pan. Kopalnię złota odkrył pan, czy co?

— Kopalnia! Kopalnia złota! — zawołał na całe gardło Mitia, pokładając się ze śmiechu. — Chce pan, Perchotin, mieć kopalnię? Jest tu taka dama, która panu trzy tysiące sypnie, byleby pan pojechał po złoto. Mnie sypnęła, do takiego stopnia lubi kopalnie! Zna pan Chochłakowową?

— Nie znam osobiście, ale słyszałem i widziałem. Czy istotnie sypnęła panu trzy tysiące? Tak sobie sypnęła? — zapytał niedowierzająco Piotr Iljicz.

— A pan jutro, jak słońce wypłynie, wiecznie młody Feb, gdy wypłynie, chwaląc i służąc Bogu, pobiegnie pan do Chochłakowowej i zapyta, czy sypnęła mi trzy tysiące, czy nie? Niech się pan poinformuje.

— Nie znam pańskich stosunków... skoro pan tak

twierdzi, to oczywiście... A pan pieniążki do kieszeni, a zamiast do Syberji do... Dokądże to pan teraz, co?

— Do Mokrej.

— Do Mokrej? W nocy?

— Maciek miał, Maciek stracił! — odezwał się nagle Mitia.

— Jakto stracił? Tyle tysiączek i stracił?

— Ja nie o tysiączkach. Do licha z tysiączkami! Ja o niewieścim charakterze mówię.

„Lekkomyślny ród kobiecy,
Zły, zdradliwy i zepsuty".

To Ulisses mówi, ja się z nim godzę.

— Nie rozumiem pana!

— Pijany jestem, czy co?

— Nie pijany, gorzej.

— Duchem jestem pijany, Piotrze Iljiczu, duchem pijany, dość tego, dość.

— Cóżto, pistolet pan nabija?

— Pistolet nabijam.

Mitia w istocie, otworzywszy pudło z pistoletami, nasypał prochu do panewki. Następnie wziął kulę we dwa palce i przyjrzał się jej pod światło.

— Czego pan tak na kulę patrzy? — zapytał z niespokojnem zaciekawieniem Piotr Iljicz.

— Tak. Urojenie. Gdybyś ty chciał sobie tę kulę w łeb wpakować, to czybyś przedtem obejrzał ją, czy nie?

— Poco oglądać?

— Do mózgu mego wejdzie, ciekawie na nią spojrzeć, jaka ona jest... A zresztą brednie, chwilowe brednie. Oto i koniec — dodał, wsadziwszy kulę. — Piotrze Iljiczu, miły mój, to bzdury, wszystko bzdury, gdybyś wiedział, jakie bzdury! Niechże mi pan teraz da skrawek papieru.

— Ma pan.

— Nie, gładkiego, czystego, do pisania. Taki właśnie.

I chwyciwszy ze stołu pióro, prędko nakreślił na papierku dwie zwrotki, złożył go i wsunął do kieszeni kamizelki.

Pistolety włożył do pudła, które zamknął na klucz i następnie wziął do ręki. Poczem spojrzał na Piotra Iljicza i długo uśmiechał się w zamyśleniu.

— Teraz idziemy — rzekł.

— Dokąd idziemy? Nie, niech pan poczeka... Chce pan tę kulę wpakować sobie do mózgu... — rzekł z niepokojem Piotr Iljicz.

— Kula jest bzdurą! Żyć pragnę, życie kocham! Wiedz o tem. Złotowłosego kędzierzawego Feba kocham i gorące jego światło... Drogi Piotrze Iljiczu, czy umiesz się usuwać?

— Jakto usuwać się?

— Drogę dać. Dać drogę miłej istocie, i znienawidzonej. I żeby nienawidzona osoba stała się miłą — tak to trzeba dać drogę! I powiedzieć im: Bóg z wami, idźcie, przechodźcie, a ja...

— A pan?

— Dosyć tego, idziemy.

— Jak Boga kocham, powiem komu (Piotr Iljicz nie spuszczał z niego oka), aby pana nie puszczono tam. Poco teraz jechać do Mokrej?

— Kobieta tam jest, kobieta, i dosyć już wiesz, Piotrze Iljiczu, basta!

— Niech pan posłucha, chociaż pan dziki, podobałeś mi się zawsze... niespokojny jestem teraz.

— Dziękuję ci, bracie. Dziki jestem, powiadasz. Dzikusy, dzikusy! Tylko to jedno powtarzam: dzikusy! A oto i Misza, całkiem o nim zapomniałem.

Wbiegł zadyszany Misza z paczką zmienionych pieniędzy; zameldował, że u Płotnikowa wszystko szykują: butelki, i rybę i herbatę — wkrótce będzie gotowe. Mitia złapał dziesięciorublówkę i podał Piotrowi Iljiczowi, a drugą rzucił Miszy.

— Ani mi się waż! — krzyknął Piotr Iljicz—U mnie w domu nie można, i źle jest tak psuć chłopca. Niech pan schowa swoje pieniądze, niechże pan to włoży, pocóż szastać? Jutro się przydadzą, jeszcze pan wróci do mnie po-

życzyć dziesięć rubli. Co pan pcha do bocznej kieszeni? Ej, bo zgubi pan!

— Słuchaj, człowieku miły, pojedziemy razem do Mokrej?

— A ja tu poco?

— Słuchaj, chcesz, to butelkę odkorkuję, wypijemy za zdrowie! Pić mi się chce, a szczególnie z tobą wypić. Nigdy z tobą nie piłem, co?

— W restauracji owszem, można, chodźmy, właśnie się wybieram.

— Do restauracji czasu nie mam, ale u Płotnikowa w ostatnim pokoju. Chcesz, to ci zagadkę zadam.

— Zadaj.

Mitia wyjął z kamizelki papierek, rozwinął go i pokazał. Wyraźnem i szerokiem pismem było nakreślone następujące zdanie:

„Karam siebie za całe życie, całe życie swe ukaram".

— Doprawdy, powiem komu, pójdę zaraz i zamelduję — rzekł Piotr Iljicz, przeczytawszy skrawek papieru.

— Nie zdążysz, mój drogi, chodźmy i wypijemy, marsz!

Sklep Płotnikowa mieścił się w trzecim domu, na rogu ulicy. Był to największy magazyn gastronomiczny naszego miasta, nieźle urządzony i zaopatrzony. Wszystko tu było, jak i w sklepach stołecznych: wina „braci Jelisiejew", owoce, cygara, herbata, cukry, kawa i t. d. Za ladą zawsze czuwali trzej subjekci, poza tem byli dwaj chłopcy na posyłki. Chociaż kraj nasz zbiedniał, obywatele rozjechali się, handel ucichł, jednak sklep Płotnikowa kwitł z roku na rok: na te artykuły nie brakowało nabywców. Wypatrywano Miti z niecierpliwością. Zbyt dobrze pamiętano, jak trzy—cztery tygodnie temu zakupił win i rozmaitych rzeczy na kilkaset rubli gotówką (oczywiście, na kredyt nicby nie dostał); pamiętano, że wówczas jak i teraz trzymał w ręku całą paczkę tęczowych banknotów, i rozrzucał na prawo i na lewo, nie targując się, nie licząc i nie zastanawiając się nawet, poco mu tyle wiktuałów, win i t. d.? W całem mieście mówiono wówczas, że w ciągu jednej nocy i następnego dnia „prze-

puścił trzy tysiące i wrócił z pohulanki bez złamanego szeląga". Wziął ze sobą cały tabor cyganów (akurat wówczas obozowali pod miastem), którzy wyciągnęli z niego przez dwa dni huk pieniędzy i wychlali całe litry drogiego wina. Opowiadano, śmiejąc się z Miti, że w Mokrej upił szampanem niezguły wiejskie i tuczył dziewki i baby karmelkami i strasburskiemi pierogami. Śmieli się u nas również, zwłaszcza w restauracji, z własnych szczerych publicznych wyznań Miti (oczywiście nie śmiano się w oczy, byłoby to zbyt niebezpieczne), że za całą tę eskapadę uzyskał od Gruszeńki tyle tylko, że „pozwoliła mu nóżkę swoją pocałować i na tem koniec".

Kiedy Mitia z Piotrem Iljiczem podeszli do sklepu, zastali już przed wejściem gotową trójkę, z dzwoneczkami, z brzękadłami, z dywanem na siedzeniu i z woźnicą Andrzejem na koźle. W sklepie zaś zdążono już przygotować skrzynię z towarem i czekano tylko na Mitię, aby ją przybić i umieścić w dorożce. Piotr Iljicz był zdumiony.

— Ale jakże zdążono sprowadzić trójkę? — zapytał Mitię.

— Biegłem do ciebie, jego, Andrzeja, spotkałem i kazałem mu czekać na mnie przed sklepem. Nie można tracić czasu! Zeszłym razem jechałem z Tymofejem, ale ten — fiut! już mnie ubiegł, z piękną wróżką pojechał. Andrzeju, czy bardzo się spóźnimy?

— Może godzinę przed nami przyjadą, a może i to nie! — odezwał się Andrzej. — Tymofejowi pomagałem zakładać, wiem jak pojadą. Ich jazda a nasza to wielka różnica, Dymitrze Fedorowiczu, skąd im do nas. Nawet o godzinę nie wyprzedzą! — odparł gorliwie Andrzej, stosunkowo od niedawna powożący rudawy, szczupły młokos w bluzie, z sukmaną przerzuconą przez lewe ramię.

— Pięćdziesiąt rubli na piwo, jeżeli o godzinę tylko się spóźnisz.

— Za godzinę ręczę, Dymitrze Fedorowiczu, ech, może nawet na pół godziny wyprzedzą, nie więcej.

Mitia zakrzątnął się niespokojnie, ale wydawał zlece-

nia niesporo jakoś, bezładnie. Zaczynał i zapominał skończyć. Piotr Iljicz uznał za stosowne wtrącić się i pomóc.

— Za czterysta rubli, niemniej jak za czterysta, akurat jak wówczas — rozporządzał się Mitia. — Cztery tuziny szampana, ani butelki mniej.

— Pocóż ci tyle, poco? Poczekaj! — krzyknął Piotr Iljicz. — Co to za skrzynia? I tu ma być za czterysta rubli?

Krzątający się wokoło subjekci natychmiast wyjaśnili mu słodkim głosem, że pierwsza skrzynka zawiera tylko pół tuzina butelek szampana i „wszelkich niezbędnych na pierwszy ząb artykułów: zakąsek, cukierków, karmelków i t.d." Lecz główne „zapotrzebowanie" będzie wysłane osobno, jak za pierwszym razem, również trójką i zdąży na czas „może tylko o godzinkę później od Dymitra Fedorowicza".

— Najwyżej godzinę i jak najwięcej karmelków i ciągutek — dziewuchy tamtejsze przepadają — nalegał Mitia.

— Mniejsza o ciągutki. Ale poco ci cztery tuziny butelek? Jeden tuzin wystarczy! — żachnął się Piotr Iljicz.

Zaczął się targować, żądając rachunku, i nie chciał się uspokoić. Uratował jednak setkę. Uchwalono wziąć transport za trzysta rubli.

— A niech was djabli wezmą! — zawołał Piotr Iljicz, nagle się opamiętując. — I co mnie to obchodzi? Szastaj swemi pieniędzmi, skoro nie zapracowałeś.

— Tutaj, ekonomie, tutaj, nie gniewaj się — rzekł Mitia i pociągnął go do osobnego gabinetu za sklepem. — Tu nam zaraz butelkę podadzą, napijemy się. Ech, Piotrze Iljiczu, jedźmy razem, niezły jesteś człowiek, lubię takich.

Mitia usiadł na wyplatanym krześle przy malutkim stoliku, nakrytym bardzo brudną serwetką. Piotr Iljicz zajął miejsce naprzeciw niego. W tejże chwili na stole pojawiła się butelka szampana. Zaproponowano im ostrygi „najlepszego gatunku, dopiero co nadeszły".

— Do djabła z ostrygami, nie jadam, i niczego nie trzeba — prawie ze złością warknął Piotr Iljicz.

— Niema czasu na ostrygi — zauważył Mitia — i apetytu nie mam, wiesz, przyjacielu — rzekł nagle z przejęciem — nigdy nie lubiłem tego całego nieładu.

— I kto to lubi! Trzy tuziny, wybacz, dla chamów, to złość bierze, doprawdy.

— Ja nie o tem. Ja o wyższym ładzie. Ładu we mnie niema, wyższego ładu... Ale... wszystko to skończone, niema co rozpaczać. Późno, i do djabła! Całe życie moje było nieporządkiem i trzeba z tem zrobić porządek. Kalambury, co?

— Brednie, a nie kalambury.

— Chwała Najwyższemu we mnie!

Chwała Najwyższemu na wysokościach.

Wierszyk ten wyrwał mi się kiedyś z duszy, nie wierszyk, lecz łza... sam skleciłem... ale nie wtedy, kiedy sztabs-kapitana za bródkę ciągnąłem...

— Cóżto nagle o nim?

— Cóżto nagle o nim? Bzdury! Wszystko się kończy, wszystko musi się wyrównać, kreska i stop.

— Doprawdy, twoje pistolety nie wychodzą mi z głowy.

— I pistolety — bzdura! Pij i nie fantazjuj. Kocham życie, zanadtom życie pokochał, tak zanadto, że aż obrzydliwie. Dość! Za życie, mój drogi, za życie wypijemy, za życie proponuję wznieść toast! Czemu jestem zadowolony z siebie? Podły jestem, a zadowolony z siebie. A jednak męczy mnie to, że podły jestem i zadowolony z siebie. Błogosławię wszechstworzenie, gotów jestem Boga błogosławić i Jego wszechstworzenie, ale... trzeba unicestwić pewnego smrodliwego robaka, aby nie pełzał, życia innym nie zatruwał... Wypijmy za życie, miły bracie! Co może być droższe od życia! Nie, nie! Za życie i za królowę nad królowemi.

— Wypijemy za życie i, owszem, za twoją królowę.

Wychylili po szklance. Mitia pomimo zochwytu był jakoś roztargniony i smutny. Jakgdyby wciąż stała za nim niezwalczona, ciężka troska.

— Misza... to twój Misza przyszedł? Misza, mój drogi, Misza, podejdź tu, wypij mi tę szklankę za Feba złotowłosego, jutrzejszego...

— Dajże mu spokój! — krzyknął zirytowany Piotr Iljicz.

— Proszę cię, pozwól, ależ tak, ja tak chcę.

— Eech!

Misza wychylił szklankę, ukłonił się i uciekł.

— Dłużej zapamięta — zauważył Mitia. — Kobietę kocham, kobietę! Czem jest kobieta? Królową ziemi! Smutno mi, smutno, Piotrze Iljiczu. Pamiętasz Hamleta: „Tak mi smutno, tak smutno, Horacio... Ach biedny Jorik!" To ja może jestem Jorikiem. Właśnie teraz jestem Jorikiem, a czaszka później będzie.

Piotr Iljicz słuchał i milczał. Zamilkł również Mitia.

— Co to za piesek? — zapytał naraz subjekta, zauważywszy w kącie małą ładną bolonkę o czarnych ślepiach.

— To piesek Barbary Aleksiejewnej, szefowej naszej, bolonka — odpowiedział subjekt. — Pani Barbara przyprowadziła i zapomniała. Trzeba będzie odnieść.

— Widziałem już taką... w pułku... — rzekł w zadumie Mitia — tylko że tamta tylną nóżkę miała złamaną... Piotrze Iljiczu, chciałem cię przy sposobności zapytać: czy ukradłeś co kiedy w życiu, czy nie?

— Co to za pytanie?

— Nie, ja tak. Widzisz, z kieszeni czyjej cudze? Nie mówię o państwie, państwo wszyscy okradają, i ty też, oczywiście...

— Idź do djabła.

— Ja o cudzych pieniądzach: wprost z kieszeni, z sakiewki, co?

— Skradłem kiedyś matce dwadzieścia kopiejek, dziewięć lat miałem, ze stołu. Wziąłem pokryjomu i zacisnąłem w piąstce.

— I cóż?

— I nic. Trzy dni trzymałem, potem wstyd mi się zrobiło, przyznałem się i zwróciłem.

— I co?

— Oczywiście, sprawili mi lanie. A ty co, czyś ty nigdy nie kradł?

— Ukradłem — mrugnął porozumiewawczo Dymitr.

— Coś ukradł? — zainteresował się Piotr Iljicz.

— Matce dwadzieścia kopiejek, dziewięć lat miałem, po trzech dniach zwróciłem.

Co rzekłszy, Mitia podniósł się nagle.

— Dymitrze Fedorowiczu, czy nie czas jechać? — krzyknął naraz z ulicy Andrzej.

— Gotowe? Idziemy! — zaniepokoił się Dymitr. — Jeszcze ostatnie słówko. Dać mi tu Andrzejowi wódki na drogę, natychmiast! I prócz wódki koniaku kieliszeczek! To pudło (z pistoletami) wsunąć mi pod siedzenie. Żegnaj, Piotrze Iljiczu, i nie myśl o mnie źle!

— Wszak jutro wrócisz?

— Oczywiście.

— Rachuneczek teraz pan raczy załatwić? — podbiegł subjekt.

— A tak, rachunek! Oczywiście.

Znowu wyciągnął z kieszeni paczkę banknotów, wyjął trzy sturublówki, rzucił na ladę i prędko wyszedł ze sklepu. Wszyscy go odprowadzali z ukłonami i życzeniami. Andrzej chrząkał po koniaku i skoczył na kozła. Ledwo Mitia zaczął się usadawiać, pojawiła się nieoczekiwanie Fenia. Biegła co tchu, dobiegłszy zaś, z krzykiem złożyła ręce i padła mu do nóg.

— Ojcze, Dymitrze Fedorowiczu, niech pan nie gubi naszej pani! Ja panu wszystko opowiedziałam! I jego niech pan nie gubi, wszak to dawny, jej pierwszy! Ożeni się teraz z Agrafeną Aleksandrowną, poto z Syberji wrócił... Ojcze, Dymitrze Fedorowiczu, nie gub ludzkiego życia!

— To-to, takie rzeczy się święcą! No, narobisz bigosu! — mruknął do siebie Piotr Iljicz. — Teraz już wszystko rozumiem, jakże nie rozumieć. Dymitrze Fedorowiczu, oddaj mi-no zaraz pistolety, jeśli chcesz być porządnym człowiekiem — zawołał głośno do Miti — słyszysz, Dymitrze!

— Pistolety? Poczekaj, drogi mój, w drodze wyrzucę je do kałuży — odpowiedział Mitia. — Fenia, wstań, nie klęcz przede mną. Nie zgubi nikogo Mitia, odtąd nikogo już nie zgubi ten narwaniec. Słuchaj, Fenia — krzyknął do

niej, siadając — obraziłem cię poprzednio, daruj mi i przebacz łajdakowi... A jak nie przebaczysz, to i nie! Bo teraz już wszystko jedno! Ruszaj, Andrzeju, żywo!

Andrzej ruszył, dzwonki zabrzęczały.

— Żegnaj, Piotrze Iljiczu! Dla ciebie ostatnia łza!...

„Nie pijany, a jakie głupstwa plecie!" — pomyślał Piotr Iljicz. Zamierzał zostać i dopilnować transportu win i wiktuałów, przeczuwając, że subjekci napewno oszukają Mitię, ale nagle rozgniewał się na samego siebie, splunął i poszedł do restauracji na bilard.

— Dureń, chociaż zacny chłop... — mruczał do siebie przez drogę. — Słyszałem coś niecoś o tym oficerze, „dawnym" Gruszeńki. Ano jeżeli przyjechał, to... Ach, te pistolety! Do djabła, cóż, jestem guwernerem jego czy co? Niech go tam! I nic z tego nie będzie. Pyskacze i nic więcej. Uchleją się i pobiją, a później pogodzą. Czy to są poważni ludzie? Cóżto za „usunę się, ukaram siebie" — nic z tego nie będzie! Tysiąc razy mówił w tym rodzaju po pijanemu w knajpie. Teraz nie jest pijany. „Pijany duchem" — lubią górnolotnie się wyrażać, szubrawcy. Guwernerem jego jestem, czy co? Musiał się na kogoś dobrze narwać, cała gęba we krwi... Tfu, do licha, u mnie na podłodze została... Gwiżdżę sobie na to!

Wszedł do knajpy w bardzo kiepskim humorze i natychmiast przystąpił do gry. Partja bilardu rozweseliła go. Zagrał drugą i naraz rozgadał się z jednym z partnerów o Dymitrze Karamazowie, o trzech tysiącach, które ów skądyś wytrzasnął, o jego wyjeździe do Mokrej na hulankę z Gruszeńką. Obecni wysłuchali go z jakiemś dziwnem zaciekawieniem. Nikt się nie śmiał, traktowano to poważnie i nawet przestano grać.

— Trzy tysiące? I skąd mógł wziąć te trzy tysiące?

Zaczęto snuć domysły. Przypuszczenie o pani Chochłakow przyjęto z niedowierzaniem.

— Czy aby nie ograbił starego?

— Trzy tysiące! Coś mi się nie bardzo podoba.

— Przechwalał się publicznie, że zabije ojca, wszyscy słyszeli. Właśnie o trzech tysiącach mówił.

Piotr Iljicz słuchał i nagle zaczął odpowiadać oschle i skąpo. Nie wspominał o krwi na twarzy i na rękach Miti, chociaż miał zamiar o tem mówić. Zaczęto trzecią partję i wkońcu przestano mówić na temat Miti. Wszakże po trzeciej partji Piotr Iljicz odłożył kij bilardowy i, nie zjadłszy kolacji, wbrew zamierzeniu, wyszedł z knajpy. Stanął na placu, dziwiąc się sobie. Naraz zmiarkował, że chciał iść do willi Fedora Pawłowicza i dowiedzieć się, czy co nie zaszło. „Będę z powodu jakichś głupich domysłów budził cały dom i wywoływał skandal? Do licha, czy jestem ich guwernerem, czy co?"

W najgorszem usposobieniu skierował się ku swemu domowi i naraz przypomniał sobie o Feni. „Psiakość, trzeba ją było wybadać" pomyślał ze złością „wszystkobym wiedział". I tak mu się zachciało zobaczyć Fenię i pociągnąć ją za język, że zawrócił i poszedł do domu Morozowowej, w którym mieszkała Gruszeńka. Zastukał we wrota, lecz usłyszawszy odgłos tego kołatania w ciszy nocnej, znowu się opamiętał i rozgniewał na dobre. W dodatku nikt się nie odzywał, wszyscy spali. „I tu urządzam burdel" pomyślał z dziwną jakąś męką. Lecz zamiast odejść ostatecznie, zaczął znowu się dobijać i to z całej siły. Narobił hałasu na całą ulicę. „Dostukam się przecie wkońcu, dostukam" — mruczał z gniewnem zapamiętaniem, złoszcząc się na siebie i stukając coraz mocniej.

VI.

Ja jadę.

Tymczasem Dymitr mknął traktem do Mokrej.

Odległość wynosiła dwadzieścia wiorst z okładem, ale dzielna trójka Andrzeja wiozła z taką szybkością, że mogła przebyć ten dystans w godzinę i kwadrans. Ta szybka jazda jakgdyby orzeźwiła nieco Mitię. Noc była świeża, chłodna, na niebie gwiazdy skrzyły jaskrawie. Była to ta sama noc, a może i ta sama chwila, kiedy Aljosza, upadłszy twarzą

na ziemię, bezprzytomnie ślubował, że kochać ją będzie na wieki wieków. Ale niewyraźnie, bardzo niewyraźnie było Dymitrowi na duszy; i chociaż wiele rzeczy nękało go, ale w tej chwili cała jego istota nieodparcie wyrywała się ku niej, ku królowej jego serca, do której spieszył, aby na nią popatrzeć po raz ostatni. Dodam jeno, że serce jego nie zbuntowało się ani razu. Nie uwierzą mi napewno, gdy powiem, że ten zazdrośnik nie był bynajmniej zazdrosny o tamtego intruza, tego „oficera", nowego rywala, który znienacka wyskoczył jakby z pod ziemi. Każdego innego znienawidziłby strasznie i prawdopodobnie znowuby zbroczył swoje ręce krwią. Względem tego jednak pierwszego jej ukochanego nie czuł nie tylko żadnej zazdrosnej nienawiści, ale wogóle żadnych wrogich uczuć — coprawda nie znał go jeszcze. „To ich prawo, święte niezaprzeczone prawo. To jej pierwsza miłość, o której nie zapomniała przez całe pięć lat; jego więc jednego kochała przez te pięć lat, cóż ja zatem, pocóż ja się wścibiałem? co ja mam z tem wspólnego? Usuń się z drogi, Mitia! I cóż ja teraz? Teraz nawet bez oficera wszystko skończone; gdyby go nawet nie było, wszystko byłoby i tak skończone". Takiemi słowy mógłby określić swe uczucia, gdyby stać go było na rozumowanie. Cała obecna jego stanowczość zrodziła się odrazu. W ciągu jednej chwili powziął postanowienie i utwierdził się w niem jeszcze u Feni, bezpośrednio po jej oświadczeniu. Nie myślał o tem, nie zastanawiał się. A jednak, mimo całą stanowczość smutno mu było, smutno do bólu: nie dało mu spokoju to postanowienie, zbyt wiele rzeczy zostawił za sobą, zbyt wiele rzeczy, które go dręczyły. I dziwne to było chwilami: wszak już napisał własnoręcznie wyrok na siebie, „ukaram siebie" już miał tę kartkę przygotowaną w kieszeni, już pistolet był nabity; już postanowił sobie, jak powita jutro pierwszy gorący promień „złotowłosego Feba", a przecież odczuwał boleśnie i z rozpaczą, że niesposób się tak rozprawić z dawnemi sprawami, które go tak męczyły. Była chwila, gdy chciał zatrzymać Andrzeja i wyskoczyć z wozu, aby, przyłożywszy pistolet do skroni, skończyć już raz z tem wszystkiem, nie doczekawszy się świtu. Ale chwila

ta przemknęła tylko, jak iskra. Tymczasem trójka leciała, pożerając przestrzeń; im bliżej do celu, tem mocniej opanowywała go myśl o niej, tylko o niej i odpędzała wszystkie inne straszliwe widma jego serca. O tak, pragnął zobaczyć ją jeszcze raz, choćby przelotnie, choćby zdaleka. „Ona tam teraz jest z nim" — myślał — „ano popatrzę, jak ona tam jest z nim, z tym dawnym ukochanym, dosyć dla mnie". Nigdy dotąd nie czuł w sobie tyle miłości do tej fatalnej kobiety, tyle nowych, nigdy nie zaznanych, tak niespodzianych uczuć, dobrych aż do samozaparcia, aż do samounicestwienia.

— I unicestwię się! — zawołał z histeryczną egzaltacją.

Mknęli tak już prawie godzinę. Mitia milczał, a i Andrzej, chociaż był chłop rozmowny, nie puszczał pary z ust, poganiając swoją lubą trójkę. Naraz Mitia zawołał, nagłym ogarnięty niepokojem.

— Andrzeju! A co będzie, jeżli już śpią?

Przyszło mu to nagle do głowy, dotąd nie myślał o tem wcale.

— A pewnie, że musieli się już pokłaść, Dymitrze Fedorowiczu —odparł Andrzej.

Mitia zachmurzył się: i cóż będzie w samej rzeczy, jeśli on przyjedzie, miotany takiemi uczuciami, a oni tam śpią, śpi... i ona może też...

Zły gniew zakipiał w sercu.

— Popędzaj Andrzeju! Andrzeju. Żywo, żywo! — wrzasnął dzikim głosem.

— A może się jeszcze nie pokładli, — przemówił po chwili namysłu Andrzej — Tymosza gadał, że się tam siła państwa zjechała...

— Gdzie? na stacji?

— Nie na stacji, w zajezdnym domu, u Płastunowa.

— Wiem; ale jakże to powiadasz, że siła ludzi? Jakto? I któż taki? — porwał się Mitia przestraszony niespodziewaną nowiną.

— Gadał Tymofej, że same państwo: dwoch panów z miasta, nie wiem które panowie, dwoch tutejszych,

a i dwoch przyjezdnych zdaleka, a może i kto jeszcze, ani się go dopytać. Gadał ino, że w karty zaczęli grać.

— W karty? to może jeszcze nie śpią, jak w karty grać zaczęli, dopiero jedenasta godzina się kończy. Jedźcie Andrzeju! prędzej, prędzej — naglił nerwowo Mitia.

— Proszę wielmożnego pana, — przemówił nagle Andrzej — ino się stracham.

— Co takiego?

— Tam dopiero co Fedozja Markowna panu do nóg padła, prosiła, aby wielmożny pan jej pani i kogoś tam jeszcze nie gubił, a ja, za przeproszeniem wielmożnego pana, to-to wiozę pana do nich. Tak jakoś głupio to, niby, powiedzieć, ale sumienie mnie tknęło, daruje mi pan.

Mitia chwycił go za ramiona.

— Ty dorożkarzem jesteś? dorożkarzem? — zapytał dzikim głosem.

— Dorożkarz.

— Wiesz ty, że trzeba ludziom dać wolny przejazd? Że jak dorożkarzem jesteś, to już zastawiaj bracie, drogę, przejeżdżaj ludzi, bo niby na bok ludzie, ja jadę? Nie, dorożkarzu, nie przejeżdżaj, nie wolno przejeżdżać człowieka, nie wolno ludziom życia psuć, a jakeś zepsuł, to sam ponieś karę. Jeśliś tylko komu życie zgubił, ukaraj siebie i usuń się.

Wszystko to wyrwało mu się jednym tchem, jakby w ataku histerycznym. Andrzej, choć trochę zdziwiony, podtrzymał rozmowę:

— Prawda, Dymitrze Fedorowiczu, święta prawda, nie wolno człeka mordować, ani męczyć, jak i wszelkie insze stworzenie, bo wszelkie stworzenie to przecie też stworzone. Ot! choćby i koń. Bywa taki z naszych, co okrutnie morduje i biczem pogania, choć bydlę siły nie ma, a przecież gna je i gna prosto przed siebie.

— Do piekła? — przerwał mu nagle Dymitr i zaśmiał się swoim raptownym, urywanym śmiechem.

— Słuchaj Andrzeju, — dodał chwytając go znów za bary, — duszo prosta, powiedz, pójdzie Dymitr Karamazow do piekła, czy nie pójdzie? Jak myślisz?

— Gdzie mam wiedzieć, to już od samego wielmożne-

go pana zależy. Bo to, proszę wielmożnego pana, jak Syn Boży na krzyżu rozpięty, Bogu Ducha oddał, to prosto z krzyża zszedł do piekieł i oswobodził stamtąd wszystkich grzeszników. — To powstał wielki lament w piekle, bo się djabły strapili, że już nikt więcej nie przyńdzie i piekło będzie puste. Wtenczas Zbawiciel powiada: „Nie lamentujta djabły, bo tu do was wielu możnych panów i magnatów, sędziów i bogaczów, tyla ich będzie, aże się znowu piekło zaludni. I tak będzie po wieki wieków, aż znowu do was zaglądnę". Takie im słowo powiedział...

— Podanie ludowe wspaniałe. Zatnij no lewą.

— Toto widzi pan, komu piekło sądzone — mówił dalej Andrzej, zaciąwszy lewą. — Ale my tu wszyscy, Dymitrze Fedorowiczu, szanujem pana, jak niby małe dziecko... Choć się czasem wielmożny pan rozgniewa, ale Pan Bóg pewnie odpuści panu za dobre serce.

— A ty, Andrzeju, odpuścisz mi?

— Cóżbym panu miał odpuszczać, nic mi złego pan nie zrobił.

— Ale nie: za wszystkich, za wszystkich, ty sam, tu, zaraz, na gościńcu, czy za wszystkich mi odpuścisz? Mów, duszo chłopska.

— Och, panie wielmożny, strasznieć doprawdy jechać z panem, taka dziwna mowa.

Ale Mitia słów tych nie słyszał i dziko, nieprzytomnie mówił do siebie szeptem:

— Panie, Boże mój! przyjmij mnie do siebie, mimo bezprawia moje,i i nie sądź mnie, przepuść mnie bez sądu... Nie sądź, bom już sam siebie osądził. Nie sądź, bo kocham Cię, Panie! Wstrętny jestem, lecz kocham Cię: do piekła poślesz, i tam Cię kochać będę. I stamtąd krzyczeć będę, że kocham Cię na wieki wieków... Tylko pozwól mi jeszcze dokochać tu teraz, dokochać pięć godzin, tylko do gorących promieni Twoich. Bo kocham królowę duszy mojej. Kocham i nie mogę jej nie kochać, Sam widzisz mnie nawylot. Powiem jej tylko: „Miałaś prawo mnie odtrącić, żegnaj i zapomnij o tym, który był twoją ofiarą. — nie dręcz się nigdy".

— Mokra! — zawołał Andrzej, ukazując przed siebie biczem

Skroś blady mrok nocy czerniła się masa zabudowań, rozrzuconych na ogromnej przestrzeni. Było to rozległe siołó, liczące 2000 mieszkańców. O tej porze wszyscy już spali, gdzieniegdzie tylko płonęły światełka.

— Mknij, Andrzeju! Ja jadę! — zawołał raz jeszcze Mitia, jakgdyby w gorączce.

— Nie śpią! — przemówił Andrzej, wskazując biczem na zajazd Płastunowa: istotnie sześć okien, wychodzących na ulicę, było rzęsiście oświetlonych. Dom zajazdowy był jednym z pierwszych budynków wiejskich i stał koło traktu.

— Nie śpią! — potwierdził radośnie Mitia.

— Grzmij! Andrzeju! dzwoń, z bicza trzaskaj, niech wiedzą wszyscy kto jedzie! ja jadę, sam jadę! — krzyczał bezprzytomnie Mitia.

Andrzej puścił w cwał spienioną czwórkę i osadził ją przed gankiem z brzękiem i gruchotem. Dymitr wyskoczył z dorożki nim się zatrzymała, a w tejże chwili i sam gospodarz zajazdu, który zamierzał się właśnie położyć, wybiegł na ganek, aby się przekonać, kto w ten sposób zajeżdża o tej porze.

— Tryfonie Borysowiczu! to ty?

Oberżysta nachylił się, aby lepiej widzieć w mroku; zaś poznawszy gościa, zbiegł momentalnie na jego spotkanie ze schodów, okazując po sobie najwyższy zachwyt.

— To pan dobrodziej! Dymitrze Fedorowiczu! Panaż to znowu widzimy!

Tryfon Borysowicz był zdrowym, krzepkim chłopem, średniego wzrostu, o pełnej twarzy, z miną, która była zawsze chmurna wobec chłopów, lecz nabierała niezwykłej słodyczy na widok gościa, rokującego dobry zysk. Ubierał się z chłopska, nosił czerwoną bluzę i kabat. Grosza uciułał już niemało, ale patrzał wyżej. Połowę miejscowych chłopów miał w swej kieszeni: wszyscy byli mu dłużni. Dzierżawił od właściciela ziemię, a pozatem miał własną. Rolę uprawiali mu chłopi za długi, z których nigdy jakoś nie

mogli wybrnąć. Był wdowcem i miał cztery dorosłe córki, z których jedna owdowiała i mieszkała u niego z dwojgiem dzieci. Pracowała zato jak zwyczajna wyrobnica. Druga córka wyszła zamąż za urzędniczka, wysłużonego pisarza. Była to chluba rodziny: fotografja jej męża w mundurze urzędniczym zdobiła ściany któregoś pokoju pomiędzy innemi rodzinnemi podobiznami. Dwie młodsze córki ubierały się w dnie świąteczne, albo gdy szły gdzie z wizytą, w zielone i niebieskie suknie, z długiemi trenami, skrojone modnie, za to w dnie powszednie wstawały skoro świt i z miotłą w ręku wymiatały pokoje, wynosiły kubły, i sprzątały po gościach. Pomimo uzbieranych już tysiączek, Tryfon Borysycz był łasy na każdy zysk i lubił zdzierać skórę z hulających panków. Dopiero niespełna miesiąc temu w ciągu jednego dnia obłowił się kosztem Miti dwiema czy trzema setkami. Nie dziw, że przyjął go teraz radośnie, serdecznie, zwłaszcza, że zwąchał suty połów podług huczku, z jakim Dymitr Fedorowicz zajechał przed ganek.

— Ojcze! Dymitrze Fedorowiczu! Raczyliście więc znowu do nas zawitać!

— Poczekaj, Tryfonie Borysyczu — zaczął Mitia. — Przedewszystkiem powiedz mi zaraz, gdzie ona?

— Niby to Agrafena Aleksandrowna? — pochwycił natychmiast usłużny gospodarz, wpatrując mu się badawczo w twarz. — A jest... jest tutaj...

— Z kim? z kim?

— A są tu z nią jacyś przejezdni... jeden urzędnik jakiś, Polak zda się, z mowy sądząc. On to posełał po nią. A drugi przyjaciel jego, czy towarzysz podróży, kto go tam wie, ubrany po cywilnemu...

— Cóż, hulają? bogaci?

— Jakie tam hulanie! nie bardzo tam widać u nich bogato, Dymitrze Fedorowiczu.

— Nie bardzo, powiadasz? A któż jeszcze?

— Dwóch panów z miasta, jechali z Czarnej i zatrzymali się tu przejazdem. Jeden młody, pana Miusowa siostrzeniec, choć nie mogę spamiętać, jak się nazywa... a dru-

giego też pan chyba zna: obywatel Maksymow, na odpuście był w klasztorze, a tera jedzie gdzieś z tamtym młodym...

— Więcej już nikogo niema?

— Nikogo.

— Stój, milcz, Tryfonie Borysyczu. Mów-że teraz jeszcze najważniejszą rzecz. Cóż ona? Jak?

— Niedawno przyjechała i siedzi z nimi.

— Wesoła? śmieje się?

— Nie bardzo się tam śmieje... Nawet, zdaje się, całkiem nie wesoła, markotna jakaś i temu młodemu włosy odgarniała.

— Polakowi? Oficerowi?

— Ten? Jaki on tam młody i żaden oficer. Nie, nie jemu, a temu siostrzeńcowi pana Miusowa włosy gładzi... Zapomniałem tylko, jak się nazywa.

— Kałganow?

— A tak, tak, Kałganow.

— Dobrze, sam zresztą zobaczę. W karty grają?

— Grali, a teraz przestali. Herbatę już także wypili. Nalewki kazał podać ten urzędnik.

— Czekaj, Tryfonie Borysyczu. Czekaj miły, sam zobaczę. Ale teraz najważniejsze: cygani są?

— Niema już cygan, ani słychu. Dymitrze Fedorowiczu. Władze wypędzić kazały. Ale za to Żydy są, na cymbałach grać umieją i na skrzypcach, można posłać, w te pędy przybiegną.

— Posłać! — zawołał Mitia, — Natychmiast po nich posłać! A dziewuchy obudzić, jak wtedy. Zwłaszcza Manię, Arynę i Stefanję. Dwieście rubli dam za chóry.

— Za takie pieniądze zbudzę całą wieś, chociaż już spać legli. A czy warto, dobrodzieju, tutejszym chłopom i dziewuchom tyla pieniędzy dawać? Ech! dobrodziej już cygara takie dawał im, tym chamom. Śmierdzą przecie zbóje. A dziewki brudne, zawszone. Ja dla pana córki pobudzę za darmo, nie za takie pieniądze. Spać się już coprawda pokładły. Ale ja dla pana kolanem w plecy, to się pozrywają i noc całą śpiewać będą. Nie to, co wtedy, że pan tych chamów szampanem poił. Ech, pożal się Boże.

Zapomniał Tryfon Borysycz, że sam wówczas schował pod stołem pół tuzina butelek szampana, i w dodatku, znalazłszy na ziemi sturublowy banknot, podniósł go szybko, ścisnął w garści i już nie wypuścił.

— Tryfonie Borysyczu, pękła tu wtedy nie jedna tysiączka, pamiętasz?

— Oj, pamiętam, panie. Jak tu nie pamiętać, ze trzy tysiączki chyba zostawił pan u nas w Mokrej.

— A teraz słuchaj! Za godzinę przybędzie tu wino, ciastka, zakąski. Wszystko to masz odrazu wypakować i przynieść na górę. Tymczasem bierz tę skrzynkę, co stoi u Andrzeja na koźle, otwórz natychmiast i szampan na stół każ podać... Ale przedewszystkiem dziewki zwołaj! Słyszysz, dziewki! a zwłaszcza Manię, żeby prędko przyszła.

Wrócił do dorożki i wyjął z pod siedzenia pudło z pistoletami.

— Teraz tobie zapłacić trza za drogę, Andrzeju. Masz tu piętnaście rubli za przejazd, a tu pięćdziesiąt na wódkę... Za gotowość, za przyjaźń twoją... żebyś pamiętał Dymitra Karamazowa.

— Boję się, proszę pana, — zawahał się Andrzej. — Pięć rubli na piwo przyjmę, jeżeli łaska, więcej nie, Tryfon Borysycz niech będzie świadkiem. Niech się wielmożny pan nie gniewa, jeżelim głupie słowo powiedział.

— Czego się ty boisz? — pytał Mitia, mierząc go ostrym wzrokiem. — Ano, w takim razie jechał cię sęk! — krzyknął, rzucając mu pięć rubli. — A teraz to słuchaj, Tryfonie Borysyczu, wprowadź-no mnie cichaczem do gospody, tak. aby tamci mnie nie widzieli, żebym mógł na nich przedtem spojrzeć. Gdzie siedzą? w błękitnym pokoju?

Tryfon Borysycz spojrzał niespokojnie na Mitię, wykonał jednak żądanie. Wprowadził go ostrożnie do sieni, wszedł sam do pierwszej izby, przylegającej do pokoju, w którym siedzieli goście, i przyniósł stamtąd świecę. Potem wprowadził pokryjomu Mitię, ustawił go w ciemnym kącie, skąd łatwo było obserwować zebranych w drugim pokoju gości. Lecz Mitia sam nie wytrzymał długo w swojej kryjówce. Na widok Gruszy serce zaczęło mu łomotać

w piersiach, a w oczach pociemniało: Grusza siedziała przy stole, na fotelu, a obok niej na kanapie siedział bardzo przystojny chłopak, młodziutki Kałganow. Grusza trzymała go za rękę i, zdaje się, śmiała sie. on zaś, nie patrząc na nią, przemawiał jakby gniewnie do siedzącego nawprost Gruszeńki roześmianego Maksymowa. Na kanapie siedział *on*, a przy nim pod ścianą drugi nieznajomy. Ów, co siedział na kanapie, kurzył fajkę. Mitia niewyraźnie stwierdził, że jest gruby, zapewne kusy. Wydawał się zaperzony. Towarzysz jego zato robił wrażenie wielkusza. Nic więcej Mitia nie mógł zauważyć. Zabrakło mu tchu. Nie mógł wytrwać dłużej, postawił pudło na komodzie i, czując śmiertelny chłód w sercu, wszedł do błękitnego pokoju.

VII.

Dawny.

Mitia swoim prędkim i szerokim krokiem podszedł do samego stołu.

— Panowie — zaczął podniesionym głosem, nieledwie krzycząc, lecz jąkając się przy każdym słowie — Ja... ja nic! nie bójcie się! — zawołał — ja wszak nic, absolutnie nic — odwrócił się nagle do Gruszeńki, która przechyliła się do Kałganowa i uczepiła się konwulsyjnie jego ramienia. — Ja... ja też jadę. Ja tylko do rana. Panowie, czy pozwolicie podróżnemu... zabawić tu z wami do rana? Tylko do rana, ostatni raz w tym pokoju?

Co mówiąc, zwrócił się do grubasa, siedzącego na kanapie i kopczącego fajkę. Ów wyjął cybuch z ust i odrzekł surowym tonem:

— Panie, my tu prywatnie, są inne pokoje.

— To pan, Dymitrze Fedorowiczu, co pan? — odezwał się naraz Kałganow. — Niechże pan tu siada, witam pana!

— Witam pana, drogi człowieku... nieoceniony! za-

wsze pana szanowałem... — skwapliwie i radośnie zapewnił go Mitia, wyciągając rękę.

— Ojej, jak pan mocno uścisnął! doprawdy połamał mi palce — zawołał Kałganow ze śmiechem.

— A bo on zawsze tak ściska, zawsze tak — ozwała się wesoło Gruszeńka, uśmiechając się jeszcze trwożliwie. Patrzała na Mitię z naprężoną ciekawością i niepokojem, chociaż była już pewna, że nie dopuści się awantur. Poznała to z jego twarzy, której wyraz uderzył ją i zaskoczył. O tak, nie spodziewała się, że w takiej chwili wejdzie i przemówi w ten oto sposób.

— Moje uszanowanie panu — przemówił słodkim głosem Maksymow.

Mitia podbiegł i do niego.

— Witam pana, cieszę się, że i pan tu jest! Panowie, panowie, ja... (znowu zwrócił się do jegomości z fajką, widocznie uważając go za najważniejszą w tem gronie osobistość) leciałem... chciałem ostatni dzień i ostatnią godzinę moją spędzić w tym pokoju, w tym samym pokoju... w którym ubóstwiałem... królową moją!... Wybacz, panie! — zawołał nieprzytomnie — mknąłem i ślubowałem... o nie bójcie się, ostatnia to noc moja! Wypijemy, panie, na zgodę! Zaraz podadzą wino... przywiozłem to ze sobą.

— (Naraz niewiadomo poco wyciągnął paczkę banknotów) — Pozwól panie! muzyki pragnę, gwaru jak dawniej... robak, niepotrzebny robak pełza po ziemi, a wkrótce przestanie istnieć! Dzień radości mojej niechaj wspomnę ostatniej mojej nocy!...

Wzruszenie dławiło go w gardle, chciał wypowiedzieć wiele, wiele rzeczy, ale zdobył się tylko na dziwne okrzyki. Gruby pan popatrzał nań zastygłym wzrokiem, następnie na paczkę banknotów w jego garści, zaczem na Gruszeńkę, nie wiedząc co o tem myśleć.

— Jeżeli pozwoli moja *królowa**)... — zaczął.

---

*) Słowa i zdania w tym rozdziale wydrukowane kursywą, są dosłownie przepisane z oryginału (przyp. tłum.).

— Śmieszy mnie ta wasza mowa — przerwała mu nagle Gruszeńka — siadaj-że Mitia, co ty pleciesz? proszę cię, nie strasz mnie. Nie będziesz straszył, nie będziesz? Jak nie będziesz, to chętnie z tobą pobędę....

— Ja, jabym straszył? — zawołał Mitia, podnosząc ręce do góry — O przejdźcie koło mnie, przejdźcie, nie przeszkodzę!...

I niespodzianie, niespodzianie dla wszystkich i dla samego siebie, opadł na krzesło i zalał się łzami. Twarz miał odwróconą ku ścianie, rękoma zaś obejmował poręcz krzesła.

— Taki ty jesteś, taki! — sarknęła Gruszeńka. — On i dawniej tak przychodził — nagle zacznie mówić, nic z tego nie rozumiem. A już raz płakał: teraz to już drugi raz a jaki wstyd! I czego ty płaczesz? *Masz co płakać*, mówię ci, dodała zagadkowo, akcentując każde słowo z jakąś dziwną irytacją.

— Ja... ja nie płaczę... Ano witajcie! — obrócił się w mig na krześle i nagle się roześmiał, lecz nie swym zwykłym niejako drewnianym, urywającym się śmiechem, inaczej, długo, nerwowo, wstrząsająco.

— I znowu... Rozwesel-że się, rozruszaj się! — namawiała go Gruszeńka.—Cieszę się, żeś przyjechał, bardzo się cieszę, Mitia, słyszysz, bardzo się cieszę. Chcę, abyś posiedział z nami — zwróciła się rozkazująco do wszystkich obecnych, chociaż widać było, że ma na myśli jegomościa, siedzącego na kanapie. — Chcę, chcę! A jeżeli on odejdzie, to i ja pójdę, tak jest! — dodała, ciskając z oczu błyskawice.

— Życzenie mojej królowej jest dla mnie prawem! — odezwał się niski „pan", całując grzecznie Gruszeńkę w rączkę. Proszę *pana* do naszego towarzystwa — zwrócił się uprzejmie do Miti. Mitia zerwał się, chcąc widocznie znowu wypalić tyradę, ale zdołał tylko wypowiedzieć:

— Wypijmy, panie!

Wszyscy się roześmieli.

— Boże! A ja myślałam, że znów ma zamiar mówić — zawołała nerwowo Gruszeńka.—Słyszysz, Mitia—dodała z naciskiem — więcej mi już nie wskakuj, a co do szampana, to pysznie, żeś przywiózł. Pić będę z rozkoszą, bo

nie znoszę tych nalewek. A najlepiej, żeś sam przyjechał, bo strasznie się tu nudzę... Znowu przyjechałeś na hulankę, co? Schowajże pieniądze do kieszeni! Skąd masz tyle?

Mitia, trzymając wciąż w ręku zgniecione banknoty, które zwróciły na siebie uwagę wszystkich obecnych, a zwłaszcza obu panów, stropił się jakoś i pospiesznie zaczął je wpychać do kieszeni. Zarumienił się nawet. W tejże chwili oberżysta przyniósł na tacy odkorkowaną butelkę szampana oraz szklanki. Mitia chwycił ją, ale był tak skonfudowany, że przez chwilę nie wiedział, co z nią począć. Wyręczył go Kałganow: odebrał butelkę i napełnił szklanki.

— Ależ proszę jeszcze jedną butelkę! — zawołał Mitia do gospodarza. Zapomniał snać trącić się z grubym jegomością, któremu przedtem proponował wspólny toast na zgodę, bo wychylił szklankę, nie czekając na nikogo. Twarz jego zmieniła się momentalnie, i tragiczna mina, z jaką wszedł do pokoju, przeistoczyła się w uśmiech dziecięcy. Rozglądał się nieśmiało i radośnie, chichocząc nerwowo, z wdzięcznym grymasem psiaka, któremu darowano przewinę. Zdawało się, że zapomniał o wszystkiem: oglądał wszystkich z zachwyconym dziecięcym uśmiechem. Patrzał na Gruszeńkę, śmiał się do niej bezustanku i wkońcu przysunął swoje krzesło. Stopniowo przyjrzał się też obu panom, chociaż nie mógł ich rozgryźć. Jegomość z kanapy zastanowił go swoją postawą, polskim akcentem, a zwłaszcza fajką. „Ano i cóż z tego, właśnie dobrze, że pali fajkę" zagapił się Mitia. Nieco obrzękła, prawie czterdziestoletnia twarz „pana" z maleńkim noskiem, pod którym pretensjonalnie sterczała para ostrych, cieniutkich wąsików, nie wzbudziła chwilowo w Miti najmniejszych wątpliwości. Nawet bardzo licha peruczka, kupiona gdzieś w Syberji, głupawo zaczesana do przodu przy skroniach, nie wywarła nań szczególnego wrażenia. „Widać, tak trzeba" gapił się z błogą miną. Drugi młodszy od tamtego „pan", który siedział pod ścianą, spoglądał na całe towarzystwo zuchwale i wyzywająco i przysłuchiwał się do ogólnej rozmowy z milczącą pogardą, uderzył Mitię wysokim wzrostem, wyjątkowo kontrastującym z niziutką postacią tamtego „pana". „Jak

wstanie, to sięgnie chyba głową sufitu" przemknęło Miti przez głowę. Miarkował, że drągal jest zapewne przyjacielem i zausznikiem tego kusajdy, niejako jego „drabant", lecz że ów malutki „pan" z fajką zapewne wodzi na pasku drągala. Ale nawet ich wzajemny stosunek wydał się Miti wyjątkowo słuszny i dobry. W małym psiaku zamarło wszelkie uczucie rywalizacji. Nie zrozumiał jeszcze Gruszeńki i zagadkowego tonu niektórych jej powiedzień; rozumiał tylko z drżącem sercem, że ona jest dlań łaskawa, że „przebaczyła" mu i obok siebie posadziła. Nie posiadał się z zachwytu, gdy łyknęła szampana ze szklanicy. Zdziwiła go tylko cisza, panująca w pokoju. Powiódł po towarzystwie oczyma, które zdawały się pytać: „i cóż tak siedzimy, panowie, czegóż nie zaczynacie?".

— Ano on wciąż łże i myśmy się wszyscy śmieli z niego — odezwał się naraz Kałganow, jakgdyby odgadując jego myśli, i wskazał na Maksymowa.

— Łże? — roześmiał się Mitia swym krótkim, drewnianym śmiechem, niezmiernie uradowany — cha-cha-cha!

— Tak. Niech pan sobie wyobrazi, że utrzymuje, jakoby cała nasza jazda w dwudziestym roku pożeniła się z Polkami; co za banialuki, prawda?

— Z Polkami? — podchwycił Mitia z entuzjazmem.

Kałganow był świadom stosunku Miti do Gruszeńki, domyślał się również, kim jest gruby jegomość, ale widać było, że nie przywiązuje do tego żadnej wagi. W tej chwili interesował go jedynie Maksymow. Oboje trafili tu przypadkiem — i tu dopiero zetknęli się z obu „panami". Gruszeńkę zaś Kałganow znał oddawna i nawet był u niej z jakimś znajomym, ale wówczas niebardzo jej przypadł do gustu. Natomiast teraz okazywała mu wiele serdeczności i przed przyjściem Miti pieściła go nawet, co zresztą nie zmąciło jego obojętności. Był to elegancko ubrany dwudziestoletni blondyn, o bardzo miłej białej twarzyczce, o pełnych gęstych włosach. Piękne jego jasno - błękitne oczy miały mądry, a czasem nawet głęboki wyraz, ponad wiek głęboki, jakkolwiek Kałganow mówił i zachowywał się nieraz jak istny dzieciak, i, zdając sobie z tego sprawę,

wcale się tem nie krępował. Był samowolny, nawet kapryśny, ale zawsze łagodny. Chwilami twarz jego nabierała jakiegoś upartego, zastygłego wyrazu; spoglądał na was, słuchał, lecz myślą przebywał gdzieindziej. Niekiedy wpadał w ociężałość i lenistwo, niekiedy znowu unosił się i denerwował z najbłahszych powodów.

— Wyobraźcie sobie, że już cztery dni włóczę się z nim — ciągnął dalej, leniwie przeciągając słowa, co czynił zresztą naturalnie, bez robionej zalotności. — Pamięta pan, od czasu jak brat pana wyrzucił go z powozu. Bardzo mnie wówczas zainteresował, wziąłem go do siebie na wieś, a on nie przestaje od tego czasu błagować, że aż wstyd słuchać. Teraz odwożę go z powrotem...

— Pan polskich pań na oczy nie widział i plecie niestworzone rzeczy — odezwał się napół po polsku i napół po rosyjsku pan z fajką.

Właściwie mówiąc władał dobrze językiem rosyjskim, w każdym razie o wiele lepiej, niż udawał... Lecz przeplatał rosyjskie słowa polskiemi i w dodatku przekręcał je umyślnie z polska.

— Ano ja sam byłem żonaty z polską „panią" — odrzekł Maksymow.

— Czyż pan służył w jeździe? Wszak pan mówił o kawalerzystach. To może i pan był kawalerzystą? — wtrącił Kalganow.

— Tak, oczywiście, może on był kawalerzystą? Chacha! — krzyknął Mitia, słuchając ich uważnie i przenosząc pytające spojrzenia pokolei na każdego z mówiących. Mogłoby się zdawać, że oczekuje jakiejś niezwykłej rewelacji.

— Nie, bo widzi pan — obrócił się ku niemu Maksymow — ja niby te „panienki"... śliczne to jak malowanie... jak potańczą z naszym ułanem mazura... jak odtańczyła która z naszym ułanem mazura, odrazu szust mu na kolana jak kociątko... bieluśka... a *pan ojciec i pani matka* widzą i pozwalają... zaś ułan nazajutrz przychodzi i o rączkę prosi... tak jest... o rączkę prosi — chichotał Maksymow.

— *Łajdak!* — warknął naraz wysoki pan, przekładając nogę na nogę. Miti rzucił się w oczy ogromny jego but z

cholewami, z grubą zabłoconą podeszwą. Nawiasem mówiąc obaj „panowie" sprawiali dosyć niechlujne wrażenie.

— Odrazu łajdak! Czego wymyśla? — rozgniewała się Gruszeńka.

— *Pani Agrypino, ten pan widział w polskim kraju chłopki nie szlachetne panie* — odrzekł pan z fajką.

— *Możesz na to rachować!* — wtrącił wzgardliwie wysoki jegomość.

— A jakże! Pozwólcie mu mówić! Ludzie mówią, to i czego przeszkadzać! Z nimi wesoło — sarkała Gruszeńka.

— Ja nie przeszkadzam, pani—zauważył znacząco pan z peruką, rzucając na Gruszeńkę wymowne spojrzenie, i po krótkiej pauzie, znowu zaczął ssać swoją fajkę.

— Ależ nie, nie, „pan" słusznie teraz powiedział—gorączkował się znowu Kałganow, jakgdyby chodziło o poważną sprawę. — On wcale w Polsce nie był, jakże może mówić o Polsce? Wszak nie w Polsce się pan żenił?, co?

— A nie, w gubernji smoleńskiej. Bo ją poprzednio ułan wywiózł, moją niby małżonkę przyszłą wraz *z panią matką i z tantą* i z jeszcze jedną krewną z dorosłym synem. A wywiózł z samej Polski, z samej... i mnie odstąpił. Porucznik, bardzo miły młody człowiek. Z początku sam się chciał ożenić, ale się nie ożenił, bo okazało się, że ona jest kulawa...

— To pan się z kulawą ożenił! — zawołał Kałganow.

—Z kulawą a jakże. Oszukali mnie oni i przede mną utaili. Myślałem, że ona tylko tak sobie podskakuje... wciąż jeno podrygiwała, zaś ja myślałem, że swawoli sobie dziewczę z radości...

— Z radości, że za pana wychodzi? — wrzasnął dziecięcym głosem Kałganow.

— Tak jest, z radości. A okazało się, że niby z innego powdu. Potem po ślubie przyznała się, odrazu pierwszego wieczoru, i bardzo gorąco prosiła mnie o przebaczenie. Przez kałużę, powiada, skakałam w dzieciństwie i nóżkę sobie nadwerężyłam, chi-chi!

Kałganow sekundował mu dziecięcym śmiechem; ze śmiechu omal się nie stoczył z kanapy. Roześmiała się również Gruszeńka. Mitia był u szczytu szczęścia.

— A cóż pan, wie pan, że on teraz prawdę mówi, teraz już nie kłamie — wołał Kałganow, zwracając się do Miti. — I wie pan, że dwukrotnie był żonaty — to o pierwszej żonie opowiada — a druga uciekła od niego i żyje dotychczas, wie pan?

— Czyżby? — obrócił się Mitia ku Maksymowowi, z wyrazem niezwykłego zaciekawienia na twarzy.

— Tak jest, uciekła, miałem tę przykrość — skromnie potwierdził Maksymow — z niejakim „mosje". A najdziwniejsze, wioszczynę moją przedtem na siebie kazała przepisać. Ty, powiada, jesteś wykształconym człowiekiem, więc łatwo sobie dasz w życiu radę. Tak ci mnie wywłaszczyła. To też powiedział mi raz pewien wielebny „archirej": „jedna twoja żona była chroma, zaś druga zbyt lekkonoga".

— Posłuchajcie, posłuchajcie! — krztusił się Kałganow — gdy on nawet łże — a łże coprawda często — to jedynie poto, aby sprawić wszystkim przyjemność; przecie to nie jest, to nie jest podłość! Wiecie państwo, lubię go czasem. Podły jest, podły, ale naturalnie, prawda? Jak myślicie? Niektórzy są podli dla zysku, a on poprostu, z natury. Wyobraźcie sobie państwo, twierdzi naprzykład (wczoraj przez całą drogę kłóciliśmy się o to), że Gogol o nim napisał *Martwe dusze*. Pamiętacie, jest tam obywatel Maksymow, którego Nozdrew potraktował rózgami, za co został ukarany. „Za wyrządzenie obywatelowi Maksymowi czynnej zniewagi w stanie nietrzeźwym" — pamiętacie? Więc uważacie ten-ci pretenduje, jakoby to on był, jakoby to jego znieważono czynnie! Jakże to możliwe? Wszak działo się to najpóźniej koło dwudziestego roku, więc daty nie zgadzają się absolutnie. Nie mogli go przecież wówczas rózgami potraktować! Przecież nie mogli, nie mogli?

Trudno było zrozumieć, czemu się Kałganow tak przejmuje. A przejmował się szczerze. Mitia podtrzymywał go z całym zapałem.

— A jeżeli potraktowali! — krzyczał, zanosząc się od śmiechu.

— Właściwie nie potraktowali, ale tak sobie — odezwał się nagle Maksymow.

— Jakże to? Potraktowali, czy nie?

— *Która godzina, panie?* — zwrócił się ze znudzoną miną „pan" z fajką do wysokiego „pana" na krześle.

Ów wzruszył ramionami; bowiem nie miał i on zegarka.

— Nie wolno pogaworzyć? Pozwólcie innym mówić! Jak sami się nudzicie, to już wszyscy mają milczeć? — żachnęła się gniewnie Gruszeńka: mogłoby się wydawać, że się umyślnie przydzierała do obu „panów".

Teraz dopiero Dymitrowi Fedorowiczowi zaczęło świtać w głowie. Tym razem „pan" odpowiedział z nietajoną irytacją:

— *Pani, ja nic nie mówię przeciw, nic nie powiedziałem.*

— Więc dobrze a ty opowiadaj — krzyknęła Gruszeńka do Maksymowa — Coście wszyscy umilkli?

— I niema tu co opowiadać, wszystko to są głupstwa — podjął Maksymow z widocznem zadowoleniem i z lekką domieszką zalotności. — Gogol wszystko to opisał w postaci alegorycznej, bo i wszystkie nazwiska są alegoryczne. Nozdrew wcale się nie nazywał Nozdrew, lecz Nosow, zaś Kuwszynnikow to nawet i niepodobne, w istocie bowiem nazywał się Skwarcew. A Fenardi istotnie był Fenardi tylko że nie Włoch, lecz Rosjanin, Petrow, i mamzel Fenardi była śliczną osóbką, nózia w trykocie, prześliczna, sukienka króciutka, z błyskotkami, wierciła się, ale nie cztery godziny, lecz cztery minuty i wszystkich oczarowała...

— Ale zaco cię potraktowali różgami, za cóż to? — wrzeszczał Kałganow.

— Za Pirona — odpowiedział Maksymow.

— Za jakiego Pirona? — krzyknął Mitia.

— Za francuskiego znanego pisarza Pirona. Cykaliśmy wtedy wino w dużem towarzystwie w restauracji na jarmarku. Zaproszono mnie do stolika, a ja odrazu począłem sypać epigramami. „Tyżeś to Boileau, taki strój po-

cieszny". A Boileau odpowiada, że jedzie na maskaradę, to znaczy do łaźni, chi-chi, więc oni, wyobraźcie sobie, wzięli to na swój rachunek. Następnie zastosowałem drugi epigram, nader zjadliwy, znany każdemu inteligentnemu człowiekowi:

Jam Faon, a tyś Safo hoża,
lecz o bogi,
nie znasz drogi,
do morza.

A oni jeszcze bardziej się poobrażali i nuże mi nieprzyzwoicie wymyślać. Wówczas ja, na swoje nieszczęście, chcąc ich przebłagać, poprawiłem się z pieca na łeb, mianowicie opowiedziałem im bardzo inteligentną anegdotę o Pironie, jakto go nie przyjęto do akademji francuskiej i jak zemścił się, pisząc za życia epitafium dla siebie:

Ci - git Piron, qui ne fit rien,
Pas meme academicien.

Za to mnie właśnie pobili.

— Ale zaco? za co?

— Za moje wykształcenie. Mało za co ludzie człowieka mogą pobić, — zakończył Maksymow krótko i sentencjonalnie.

— Ba, dosyć, marne to wszystko, nie chcę słuchać: myślałam, że to będzie wesołe — zawołała naraz Gruszeńka.

Mitia zaniepokoił się i odrazu przestał śmiać. Wyscki „pan" podniósł się z wyniosłą miną człowieka, który znalazł się w niewłaściwem i nudnem towarzystwie, i począł kroczyć z kąta w kąt, z założonemi do tyłu rękoma.

— Ten-ci się rozchodził! — rzekła Gruszeńka, obrzucając go pogardliwem spojrzeniem.

Mitia niepokoił się coraz bardziej, w dodatku spostrzegł niechętne spojrzenia „pana" z fajką.

— „Pan" — krzyknął Mitia — wypijemy, „panie". I z drugim „panem" też! Wypijem panowie!

Napełnił trzy lampki musującym trunkiem.

— Za Polskę, „panowie", piję za waszą Polskę, za kraj polski! — krzyknął Mitia.

— *Bardzo mi to miło, panie, wypijemy* — z łaskawą wyższością odezwał się „pan" z kanapy i podniósł szklankę.

— A drugi „pan' 'również, jak go tam, *jaśnie wielmożny*, bierz szklankę! — wołał Mitia.

— Pan Wróblewski — podpowiedział „pan" z kanapy.

Pan Wróblewski, kołysząc się zlekka, podszedł do stołu i wziął swoją szklankę.

— Za Polskę „panowie" hura! — zawołał Mitia podnosząc lampkę.

Wszyscy trzej panowie wypili. Mitia chwycił butelkę i napełnił znowu trzy szklanki.

— Teraz za Rosję „panowie", bratajmy się!

— Nalej też nam, i ja chcę pić za Rosję—rzekła Gruszeńka.

— I ja też — wtrącił Kałganow.

— Ano i ja tężbym... za Rasejuszkę, starą babusię — chichotał Maksymow.

— Wszyscy, wszyscy! — krzyknął Mitia — gospodarzu, jeszcze butelki!

Przyniesiono ostatnie trzy butelki ze skrzyni, którą przywiózł Mitia. Napełnił lampki.

— Za Rosję, hura! — zawołał.

Wszyscy wypili oprócz obu panów, Gruszeńka wychyliła do dna. „Panowie" zaś nie dotknęli nawet szklanek.

— Jakże to „panowie"? — zawołał Mitia. — A więc tacy wy jesteście?

Pan Wróblewski wziął szklankę, podniósł ją i gęstym głosem rzekł:

— Za Rosję z przed siedemset siedemdziesiątego drugiego roku!

— *Oto bardzo pięknie!* — krzyknął drugi „pan", i obaj wypili duszkiem.

— Durnie jesteście „panowie"! — wyrwało się naraz Miti.

— Panie! — wrzasnęli obaj „panowie" groźnie i nastroszyli się jak koguty.

Szczególnie oburzył się pan Wróblewski.

— *Ale nie można nie mieć słabości do swego kraju?* — zawołał.

— Milczeć! Nie kłócić się. Aby mi tu kłótni nie było! — krzyknęła rozkazująco Gruszeńka i tupnęła nóżką.

Twarz jej oblała się rumieńcem, oczy błysnęły. Dopiero co wypita szklanka szampana zaczęła działać. Mitia przeraził się okropnie.

— Panowie, wybaczcie, to ja jestem winien, nie będę już. Wróblewski, panie Wróblewski, ja już nie będę!...

— Milcz i ty, ach ty głupi — zawołała ze złością Gruszeńka.

Wszyscy usiedli i milcząc patrzeli po sobie.

— Moi drodzy, to ja jestem wszystkiemu winien—zaczął znowu Mitia, nie zrozumiawszy okrzyków Gruszeńki. — Ano, czego tak siedziemy? Czemby się zająć... żeby było wesoło, znowu wesoło?

— Ach, istotnie strasznie niewesoło — wymamrotał leniwie Kałganow.

— W bankbyśmy zagrali, jak poprzednio... — chichotał Maksymow.

— Bank? Wspaniale! — podjął Mitia — Jeżeli tylko „panowie"...

— *Późno, panie!* — jakby niechętnie odezwał się „pan" z kanapy.

— *To prawda* — potwierdził pan Wróblewski.

Ponieważ rzekli to po polsku, więc Gruszeńka, nie zrozumiawszy ich, przepytała pana z fajką.

— Zawsze im późno, dlaczego nie wolno! — krzyknęła, a właściwie pisnęła ze złością—Sami siedzą znudzeni i zrzędzą, a chcą, żeby inni się też nudzili. Przed twojem przyjściem, Mitia, wciąż tak milczeli i przede mną się stupurczyli...

— *Bogini moja* — krzyknął „pan" z kanapy — *co mówisz, to się stanie. Widzę niełaskę i jestem smutny. Jestem gotów, panie* — dokończył, zwracając się do Miti.

— Zaczynaj, panie — podchwycił Mitia, wyjmując z kieszeni paczkę banknotów, i położył dwie setki na stole. — Chcę do ciebie wiele przegrać, panie. Bierz karty i zakładaj bank.

— Karty muszą być wzięte od gospodarza, panie — poważnie i z naciskiem odezwał się malutki „pan".

— *To najlepszy sposób* — potwierdził pan Wróblewski.

— Od gospodarza? Dobrze, rozumiem, niech będą od gospodarza, bardzo słusznie, panowie! Karty! — zlecił Mitia.

Gospodarz przyniósł nierozpieczętowaną talję i zameldował Miti, że już zaczęły się zbierać dziewuchy, że i żydkowie z cymbałami rychło nadejdą, lecz trójki od kupca jakoś nie widać. Mitia skoczył do drugiego pokoju, aby wydać odpowiednie zlecenia. Tymczasem przyszły dopiero trzy dziewczyny, między niemi nie było Mani. Zresztą Mitia sam nie wiedział, co robić; kazał tylko wypakować ze skrzyni cukierki, ciągutki, ciasteczka i rozdać chórzystkom.

— A dla Andrzeja wódki, wódki dla Andrzeja! — zawołał naprędce — skrzywdziłem Andrzeja.

W tej chwili potrącił go lekko Maksymow, który wybiegł za nim z salonu.

— Niech mi pan da pięć rubli—szepnął — tężbym chętnie zagrał, chi-chi!

— Pięknie, wspaniale! Masz pan dziesięć!

Wyciągnął wszystkie banknoty z kieszeni i wyszukał dziesięciorublówkę.

— A jak przegrasz, to wróć, jeszcze raz wróć...

— Dobrze — wyszeptał radośnie Maksymow i wbiegł z powrotem do błękitnego pokoju.

Zaraz potem wrócił też Mitia. Przeprosił, że kazał na siebie czekać. Panowie już usadowili się i rozpieczętowali talję; mieli o wiele łagodniejsze, prawie że życzliwe miny. „Pan" z kanapy zapalił fajkę i sposobił się do tasowania; twarz jego tchnęła teraz jakimś majestatem.

— *Na miejsca, panowie!* — zawołał pan Wróblewski.

— Nie, ja już nie będę grał — odezwał się Kałganow — poprzednio przegrałem do nich 50 rubli.

— *Pan był nieszczęśliwy, pan może być znowu szczęśliwy* — zauważył „pan" z kanapy.

— Ile w banku? gorączkował się Mitia.

— *Słucham, panie, może 100, może 200,* ile postawisz.

— Miljon! — roześmiał się Mitia.

— Pan kapitan może słyszał o panu Podwysockim?

— Jaki Podwysocki?

— W Warszawie bank stawia ten, kto przychodzi. Przyszedł Podwysocki, widzi *tysiąc złotych*, stawia: va banque. *Bankier mówi: Panie Podwysocki, stawisz złoto, czy na honor? — Na honor, panie — mówi Podwysocki.*—Tem lepiej, panie, Bankier rozdaje talję, Podwysocki bierze tysiąc złotych. — *Poczekaj, panie — mówi bankier,* wyjął szufladę i daje miljon — *bierz, panie, oto jest twój rachunek.* Bank był miljonowy. — Nie wiedziałem tego — *mówi Podwysocki — panie Podwysocki — mówi bankier, — ty stawiłeś na honor i my na honor.* Podwysocki wziął miljon.

— To nieprawda — rzekł Kałganow.

— *Panie Kałganow, w szlachetnej kompanji tak mówić nie przystoi.*

— Zaraz ci odda polski gracz miljon! — zawołał Mitia, ale natychmiast się opamiętał — wybacz, panie, zawiniłem, znowu zawiniłem, odda, odda miljon *na honor, na polski honor!* widzisz, jak mówię po polsku. Ha-ha! stawiam dziesięć rubli, idzie — walet.

— A ja rubelka na damulkę, na czerwienną, na śliczną, na panieneczkę, chi-chi — chichotał Maksymow, kładąc swoją damę, zaczem przysunął się do stołu i naprędce przeżegnał się pod blatem. Mitia wygrał. Wygrał również rubelek.

— Rober! — krzyknął Mitia.

— A ja znowu rubelek, ja po malutku, — bełkotał uszczęśliwiony wygraną Maksymow.

— Siódemkę na *pe!* krzyknął Mitia, przegrawszy tym razem.

Przegrał i na *pe*.

— Przestań pan — odezwał się nagle Kałganow.

— *Na pe, na pe* — podwajał stawki Mitia i wciąż przegrywał.

Natomiast rubelki wygrywały.

— *Na pe!* — ryknął wściekle Mitia.

— *Dwieście*, pan przegrał, panie. Czy jeszcze postawisz dwieście — zapytał jegomość z kanapy.

— Jak-to dwieście przegrałem? już dwieście? całe dwieście *na pe!* — I, wyciągnąwszy z kieszeni banknoty, rzucił dwieście rubli na stół, lecz Kałganow zakrył je ręką.

— Dosyć — wykrzyknął swoim wdzięcznym głosikiem.

— Co się stało? — zdziwił się Mitia.

— Dosyć, nie chcę, nie będzie pan dłużej grał.

— Dlaczego?

— A dlatego. Niech pan splunie i odejdzie, dlatego. Nie pozwolę dłużej grać.

Mitia spoglądał ze zdziwieniem.

— Rzuć to, Mitia, on może prawdę mówi; dość już przegrałeś — wtrąciła Gruszeńka z dziwną jakąś nutką w głosie. Obaj panowie zerwali się z miejsca z obrażonemi minami.

— *Żartujesz, panie?* — odezwał się mały „pan", patrząc surowo na Kałganowa.

— *Jak się poważasz to robić, panie!* ryknął na Kałganowa pan Wróblewski.

Mitia spojrzał po nich ze zdumieniem; nagle coś go uderzyło w wyrazie twarzy Gruszeńki, a jednocześnie niezwykła myśl błysnęła mu w głowie — dziwna, niezwykła myśl!

— *Pani Agrypino!* — zaczął mały pan, czerwony i wyzywający. Nie dokończył, bo podszedł doń Mitia i, klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— *Jaśnie wielmożny*, na dwa słówka.

— *Czego chcesz, panie?*

— Do tego pokoiku, dwa słówka ci powiem, wyborne, zobaczysz, będziesz zadowolony.

Mały pan zdziwił się i spojrzał na Mitię trwożliwie. Zgodził się jednakże odrazu, ale pod tylko warunkiem, że towarzyszyć im będzie pan Wróblewski.

— Drabant? Niech i on pójdzie, dobrze! Nawet powinien iść — zawołał Mitia. — Marsz, panowie.

— Dokąd to? — zapytała niespokojnie Gruszeńka.

— Za chwilkę wrócimy — odpowiedział Mitia.

Jakieś zuchwalstwo, nieoczekiwana brawura odbiła się na jego twarzy—z inną zgoła miną wszedł godzinę temu do tego pokoju. Wprowadził obu panów do sąsiedniego pokoju — jedne drzwi prowadziły do większej izby, w której zbierał się chór wiejskich dziewuch i nakrywano do stołu, drugie zaś do sypialni, gdzie stały kufry i walizy i dwa dębowe łóżka ze stertami poduszek. Weszli do tej właśnie sypialni. Na małym stoliku w kącie paliła się świeczka. Pan z fajką i Mitia usiedli na przeciw siebie, zaś ogromny pan Wróblewski z założonemi do tyłu rękoma usadowił się z boku. Obaj „panowie" spoglądali surowo, ale z ciekawością.

— Czem mogę służyć? — wybełkotał mały pan.

— Oto czem, panie, nie będę się długo rozwodził: masz pieniądze — co mówiąc, wyciągnął banknoty — chcesz trzy tysiące, to bierz i jedź, gdzie cię oczy poniosą.

„Pan" spoglądał badawczo, poprostu wpił się wzrokiem w twarz Dymitra.

— Trzy tysiące, panie?

Obaj panowie obejrzeli się porozumiewawczo.

— Trzy, panowie, Trzy! Słuchaj, panie, widzę, żeś roztropny. Bierz trzy tysiące i wynoś się do wszystkich djabłów, i Wróblewskiego zabierz ze sobą — słyszysz? Ale natychmiast, w tejże chwili i na wieki, rozumiesz, panie, na wieki, przez te drzwi wyjdziesz i nie wrócisz. Co masz, palto czy futro? Zaraz ci przyniosę. Za chwilę trójka będzie gotowa i — do widzenia, panie! Co!

Mitia z pewnością oczekiwał twierdzącej odpowiedzi. Nawet nie wątpił. Oblicze „pana" nabrało większej energji.

— A ruble, panie?

— Ruble, zrobimy tak, panie: pięćset na rękę, na dorożkę i zadatek, a dwa tysiące pięćset jutro w mieście — słowo honoru daj, że będą, bodaj z pod ziemi wytrzasnę! — krzyknął Mitia.

Obaj panowie znowu spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Oblicze grubego „pana" zaczęło się zmieniać na gorsze.

— Siedemset, siedemset, a nie pięćset, w tej chwili, na rękę! — dodał Mitia, czując ze sprawa przyjmuje gorszy obrót. — Czegóż ty, panie, nie wierzysz? Chybaż nie dam ci odrazu całych trzech tysięcy. Dam, a ty wrócisz do niej jutro... Zresztą nie mam teraz przy sobie całych trzech tysięcy, leżą u mnie w mieście, w domu — bełkotał Mitia, tchórząc coraz bardziej — jak Boga kocham, leżą schowane...

W jednej chwili twarz mniejszego „pana" odzyskała wyraz napuszonej godności.

— Czy nie potrzebujesz jeszcze czego? — zapytał ironicznie. — A fe!

Co rzekłszy, splunął. To samo zrobił pan Wróblewski.

— To dlatego plujesz, panie, — rzekł Mitia z rozpaczą, zdając sobie sprawę, że wszystko przepadło — że zamierzasz Gruszeńkę bardziej naciągnąć. Kapłuny przeklęte!

— *Jestem do żywego dotknięty!*—zarumienił się z oburzenia mniejszy „pan" i nie chcąc nic nadto słyszeć, wyszedł z pokoju. Za nim, kołysząc się lekko, poszedł pan Wróblewski, za nimi zaś Mitia, wielce strapiony i zmieszany. Bał się Gruszeńki, przeczuwał, że „pan" podniesie larum. Tak się też stało. „Pan" wrócił do salonu i w teatralnej pozie stanął przed Gruszeńką.

— *Pani Agrypino, jestem do żywego dotknięty* — zaczął podniesionym głosem. Ale Gruszeńka nagle straciła cierpliwość, jakgdyby ją zranił w bolesnem miejscu.

— Po rosyjsku, gadaj po rosyjsku, nie waż mi się ani jednego słowa polskiego wtrącić! — krzyknęła czerwona

z gniewu. — Dawniej mówiłeś po rosyjsku, a teraz niby zapomniałeś przez te pięć lat!

—Pani Agrypino...

— Jestem Agrafeną, jestem Gruszeńką, gadaj po rosyjsku bo cię nie będę słuchała.

Pan nadął się poczuciem godności osobistej i łamanym językiem prędko i z namaszczeniem przemówił:

— Pani Agrafeno, ja przyjechał zapomnieć stare i przebaczyć, zapomnieć co do dzisiaj było...

— Jakto przebaczyć? To tyś mi przyjechał przebaczyć? — przerwała mu Gruszeńka, zrywając się z miejsca.

— Tak jest, pani, ja nie małoduszny, ja wielkoduszny. Ale ja był zdziwiony, kiedy zobaczył twoich kochanków. Pan Mitia w tamtym pokoju dawał mnie trzy tysiące, abym ja odjechał. Splunąłem panu w fizję.

— Jak? On ci za mnie dawał pieniądze? — krzyknęła histerycznie Gruszeńka. — Czy to prawda Mitia? Jakże śmiałeś? Sprzedajna jestem, co?

— Panie, panie — wrzasnął Mitia — ona jest czysta, ona promieniuje czystością, i nigdy nie byłem jej kochankiem! Toś przeholował.

— Jak śmiesz mnie bronić?—wrzeszczała Gruszeńka.— Nie z cnoty byłam czysta i nie dlatego, że Kuzmy się bałam, a tylko poto, aby przed nim być dumną i móc mu to rzucić w twarz przy spotkaniu. I czy rzeczywiście nie chciał wziąć pieniędzy?

— Ależ brał, brał! — zawołał Mitia — Tylko, że chciał odrazu całe trzy tysiące, a ja mu dawałem osiemset na zadatek.

— Naturalnie: dowiedział się, że mam pieniądze, więc przyjechał się żenić!

— Pani Agrypino! — zawołał pan — jestem rycerzem, jestem szlachcicem, a nie łajdakiem! Przybyłem wziąć ciebie za żonę, a widzę nową panią, nie tę co przedtem, *lecz upartą i bez wstydu.*

— A wracajże tam, skąd przyjechałeś! Zaraz każę cię wypędzić, i wypędzę! — krzyknęła ze wściekłością Gruszeńka. — Głupia, głupia byłam, że pięć lat siebie drę-

czyłam! I wcale nie dla niego, lecz ze złości! I to wcale nie jest on! Czy on był taki? To ojciec jego jakiś! Gdzieżeś ty sobie tę perukę kupił? Tamten był sokołem, a ten to kaczor śmieszny. Tamten śmiał się, i piosenki mi śpiewał... A ja głupia pięć lat łzami się zalewałam, przeklęta idjotka, podła, bezwstydna!

Osunęła się na krzesło i ukryła twarz w rękach. W tej chwili rozległa się w pokoju z lewej strony, zaintonowana przez chór, skoczna pieśń hulaszcza.

— *To jest Sodoma* — krzyknął naraz pan Wróblewski — Gospodarzu, proszę wypędzić bezwstydnice.

Gospodarz, który oddawna już z ciekawością zaglądał do pokoju, zwabiony krzykiem i kłótnią gości nie dał na siebie czekać.

— Czego krzyczysz, czego się drzesz? — zapytał Wróbelwskiego z niepojętą brutalnością.

— Bydlę — ryknął pan Wróblewski.

— Bydlę? A ty, bratku, jakiemi kartami teraz grałeś? Podałem ci talję dobrą, a tyś ją schował! Znaczonemi kartami grałeś! Ja cię mogę za to na Syberję wytransportować, wiesz ty o tem, bo to jakbyś pieniądze podrabiał.

Podszedł do kanapy, wsunął palce pomiędzy poręczą a siedzeniem i wyciągnął nierozpieczętowaną talję.

— To jest moja talja nierozpieczętowana! — Podniósł ją i pokazał wszystkim.

— Przecież stamtąd widziałem, jak on karty moje wsunął w szparę, też mi, „pan". Kostera, a nie pan!

— A ja widziałem, jak tamten „pan" dwa razy kartę zamienił — krzyknął Kałganow.

— Ach, jaki wstyd, ach, jaki to wstyd! — krzyknęła Gruszeńka, plasnąwszy w dłonie, i naprawdę zalała się rumieńcem wstydu. — Boże jaki się z niego człowiek zrobił.

— I mnie się coś takiego zdawało! — krzyknął Mitia.

Nie zdążył jeszcze tego wypowiedzieć do końca, gdy pan Wróblewski, zmieszany i jednocześnie wściekły, grożąc Gruszeńce zaciśniętą pięścią, krzyknął:

— *Publiczna szelma!*

Mitienka rzucił się nań, objął go wpół oburącz, podniósł do góry i w mig wyniósł do pokoiku na prawo, w którym niedawno się umawiali.

— Ja go tam ułożyłem na podłodze! — oznajmił, wróciwszy do salonu, zadyszany ze wzburzenia — wydzierał się kanalja, ale już tu nie wróci!...

Zamknął jedno skrzydło drzwi i trzymając naroście drugie, odezwał się do małego „pana":

— *Jaśniewielmożny*, czy nie raczy pan również tędy? *Przepraszam!*

— Ojcze, Mitry Fedorowiczu — zawołał Tryfon Borysycz — a odbierz ty im pieniądze, które do nich przegrałeś! Boć to po złodziejsku z ciebie złupili.

— Ja swoich pięćdziesięciu rubli nie chcę odebrać — oświadczył Kałganow.

— Ani ja swoich dwustu! — zawołał Mitia. — Za nic nie odbiorę, niech sobie mają na utarcie łez.

— Pysznie Mitia! Zuch z ciebie, Mitia! — krzyknęła Gruszeńka z jakąś złośliwą nutką w głosie.

Mały „pan" zsiniał z wściekłości. Nie tracąc kontenansu, zmierzał ku drzwiom, lecz nagle przystanął i rzekł, zwracając się do Gruszeńki:

— *Pani, jeżeli chcesz iść za mną, idźmy, jeżeli nie — bywaj zdrowa!*

I, ciężko dysząc z oburzenia i obrażonej ambicji, wyszedł majestatycznie z salonu. Był to człek mocnego charakteru: nawet po tem, co zaszło, nie tracił nadziei, że „pani" pobiegnie za nim — do takiego stopnia cenił sobie swoją osobę. Mitia zatrzasnął za nim drzwi.

— Niech pan na klucz zamknie — poradził Kałganow.

Lecz zamek zgrzytnął już z tamtej strony.

— Pysznie! — krzyknęła złośliwie i bezlitośnie Gruszeńka.

VIII.

M a l i g n a.

Zaczęła się nieledwie orgja, uc ta powszechna, rozhukana. Gruszeńka pierwsza zażądała wina: „pić chcę do upadłego, jak dawniej, pamiętasz, Mitia, pamiętasz, jak myśmy się tu poznawali!“ Sam Mitia był jakby w malignie i przeczuwał „swoje szczęście“.

Coprwda Gruszeńka wciąż go oddalała od siebie:

— Idź, rozwesel się, powiedz im, aby tańczyły, aby się wszyscy weselili, „tańczy izba, tańczy piec“ jak wtedy! — pokrzykiwała niezwykle podniecona. I Mitia krzątał się, wykonywując jej zlecenia. Chór zebrał się w sąsiedniej izbie. Pokój zaś, w którym dotychczas siedzono, był dość ciasny, w dodatku przegrodzony zasłoną perkalikową, za którą stało szerokie łóżko z ogromną pierzyną i z górą perkalikowych poduszek. Łóżka stały zresztą we wszystkich czterech „czystych“ pokojach tego domu. Gruszeńka rozporządzała się z progu. Mitia postawił tu dla niej krzesło: na tem samem miejscu siedziała „wówczas“ podczas pierwszej hulanki, i stąd patrzała na chór i tańce. Dziewuchy były te same, co i wówczas. Przyjechali już Żydkowie ze skrzypcami i cytrami, w końcu zaś nadjechał oczekiwany wóz z winem i żywnością. Mitia uwijał się wszędzie. Tymczasem zaczęli ze wsi przybywać chłopi i baby, wybici ze snu i zwabieni niezwykłą okazją.

Mitia witał się i ściskał z tymi, których już znał z poprzedniej hulanki, przypominał sobie innych, nalewał wina każdemu, kto podchodził. Na szampan łase były dziewczęta, chłopom bardziej smakował rum i koniak, a zwłaszcza poncz.

Mitia kazał nagotować czekolady dla wszystkich dziewcząt na całą noc; pozatem kipiały trzy samowary do herbaty i ponczu. Zaczęła się straszliwie bezładna i niedorzeczna uczta. Mitia czuł się tu w swoim żywiole; im bardziej było absurdalnie, tem bardziej się ożywiał. Gdyby

go w takiej chwili poprosił pierwszy lepszy o pieniądze, wyciągnąłbym natychmiast całą paczkę i zaczął rozdawać na prawo i lewo. Oto czemu doglądał go nieustannie Borys Tryfonicz, który już zrezygnował z nocnego spoczynku, i pijąc niewiele (wychylił tylko jedną szklankę ponczu) dawał na wszystko baczenie. Gdy trzeba było, łagodnie i uniżenie miarkował Mitię, namawiał, nie pozwalał częstować „jak wówczas chłopów cygarkami i reńskim winem" a zwłaszcza pieniędzmi i badzo sie irytował, że dziewuchy likier pijają i chrupią karmelki „Wszakże to, Mitry Fedorowiczu — krzyknął — ja kolanem szturcham taką i jeszcze za honor każę uważać, takie-ci to panie!". Mitia jeszcze raz przypomniał sobie Andrzeja i kazał mu podać ponczu.. „Skrzywdziłem go" — powtarzał omdlewającym głosem.

Kałganow stronił od trunku; z początku podobał mu się również chór dziewuch; po dwóch puharach szampana, podochocony i wesoły, błąkał się po pokojach, śmiał się, wszystko i wszystkich chwalił, zachwalał śpiew i kapelę. Maksymow ululany i szczęśliwy nie odstępował go na krok. Gruszeńka, również zawiana trunkiem, wskazując Miti na Kałganowa: „Jaki on miły, jaki cudowny chłopczyk?" — wołała. I Mitia w zachwycie podbiegał do Kałganowa i Maksymowa i całował się z nimi. O, w tej chwili przeczuwał swoje szczęście: nic mu jeszcze nie powiedziała i nawet widać umyślnie nie chciała mówić, lecz chwilami obrzucała go pieszczotliwemi i palącemi spojrzeniami. Wreszcie schwyciła go mocno za rękę i z siłą przyciągnęła do siebie. Siedziała wciąż na progu na krześle.

— Jakeś wszedł, co? Jakeś ty wszedł!... tak się przestraszyłam. Więc chciałeś mnie jemu odstąpić, co? Naprawdę chciałeś?

— Szczęścia twego nie chciałem gubić! — szczebiotał nieprzytomny ze szczęścia Mitia.

Gruszeńka nie słuchała go nawet.

— Idź... wesel się — odpędziła go znowu, — ale nie płacz, znowu cię przywołam.

Więc uciekał, ona zaś znowu słuchała pieśni i spo-

glądała na tańce, nie spuszczając go jednak z oka. Lecz po kwadransie przywołała go:

— No siadajże teraz przy mnie, opowiadaj, jakeś się dowiedział, że wyjechałam; kto ci powiedział?

I Mitia zaczął opowiadać bez ładu i ciągłości, namiętnie, i jakoś dziwnie, chwilami chmurząc brwi i urywając.

— Czego się chmurzysz? — pytała go.

— Nic... zostawiłem tam chorego. Gdyby wyzdrowiał, gdybym wiedział, że wyzdrowieje, dziesięć latbym życia oddał!

— Bóg z nim, jeżeli chory. Więc chciałeś zastrzelić się jutro, głuptasie, za cóżto? Kocham takich jak ty postrzeleńców — szczebiotała ociężałym językiem. — Więc dla mnie na wszystko się zdobędziesz? Co? I czy naprawdę, głuptasku, zamierzałeś się zastrzelić! Nie, poczekaj kapkę, jutro może jedno słówko powiem... nie dziś, lecz jutro powiem. A tybyś dzisiaj chciał? Nie, dziś nie chcę... No, idź, idźże teraz, wesel się.

Lecz raz jeden przywołała go zatroskana i niespokojna.

— Dlaczego ci smutno? Widzę, że ci smutno... Nie, już widzę — dodała, zaglądając mu w oczy. — Chociaż się całujesz z chłopami i krzyczysz, widzę żeś nieswój. Nie, bądź wesoły, jestem wesoła i ty się wesel... Jest tu taki, którego kocham, zgadnij kto?... O jej, patrz: chłopczyk mój zasnął, upił się, kochany.

Istotnie Kaganow usnął na chwilę, siedząc na kanapie. I nie tylko z czmeru: zrobiło mu się jakoś nagle smutno, albo jak powiedział „nudno". Zdetonowały go pod koniec pieśni dziewuch i pląsy coraz bardziej wyuzdane. Dwie dziewczyny udawały niedźwiedzie a trzecia, Stefanja, z pałką w ręku — zuchowatego niedźwiednika. Popędzała je, jakby pokazując publiczności. „Żywo, Marusia, żywo — bo pałką zdzielę". Niedźwiedzie w końcu powaliły się na podłogę, bardzo nieprzyzwoicie, ku hucznemu śmiechowi licznej publiczności. — „Niech tam, — mówiła sentymentalnie

Gruszeńka — „jak wypada czasem wesoły dzień, to czemu się nie cieszyć".

Kałganow poczuł się moralnie zbrukany.

— Świństwo to wszystko, cała wasza ludowość — rzekł, odchodząc od widowiska — to są ich gry wiosenne, słońce chowają na letnią noc.

Ale szczególnie raziła go „nowa" piosenka ze skocznym przyśpiewem, o tem jak jechał dziedzic i dziewuchy badał, czy go kochają; ale dziewuchy nie kochają dziedzica, bo bije; potem jechał cygan i ten również badał, czy go dziewuchy kochają, ale i cygana nie można kochać, bo cygan kradnie; i wielu przejechało innych, nawet żołnierz, ale i żołnierza nie kochają; w końcu okazało się, że kochają kupca, bo:

Kupiec będzie handlować
a ja będę królować.

Piosenka miała zwrotki wysoce niecenzuralne; śpiewano je z brawurą ku niezwykłemu zachwytowi słuchaczy. Kałganow natomiast rozgniewał się na dobre:

— Co za głupia piosenka! — rzekł nagłos. — I kto to dla nich układa! Szkoda, że nie przejechał komiwojażer albo Żyd, ciby napewno mieli największe powodzenie.

Był głęboko urażony, oświadczył, że się nudzi, usiadł na kanapie i nagle zasnął. Ładna jego twarzyczka powlekła się bladością.

— Popatrz, jaki on śliczny — rzekła Gruszeńka, podchodząc doń z Mitią — poprzednio odgarniałam mu włosy: mówię ci jak len i gęste...

I nachyliwszy się, tkliwie ucałowała go w czoło. Kałganow natychmiast otworzył oczy, spojrzał na nią, podniósł się i z zatroskaną miną zapytał:

— Gdzie Maksymow?

— Masz tobie, o kim myśli — roześmiała się Gruszeńka — posiedź ze mną chwilkę. Mitia, idź, odszukaj jego Maksymowa.

Okazało się, że Maksymow przylgnął do dziewcząt i odchodził od nich tylko poto, aby nalać sobie kieliszek

likieru (pozatem wypił dwie filiżanki czekolady). Twarz mu się zaczerwieniła, nos spurpurowiał, oczy zalśniły wilgotnym maślanym blaskiem. Zamierzał właśnie wykonać solowy taniec.

— Kiedy byłem dzieckiem, uczono mnie tych wszystkich salonowych tańców...

— No, idź z nim, idź, Mitia, a ja mu się stąd będę przyglądała.

— Nie, i ja pójdę, i ja pójdę popatrzeć — zawołał Kałganow, prostodusznie odtrącając zaproszenie Gruszeńki.

Wszyscy więc przeszli do drugiego pokoju, gdzie miał się odbyć popis Maksymowa.

„Taniec łyżwiarza" jednakże w nikim prócz Miti, nie wzbudził szczególnego entuzjazmu. Polegał jedynie na podrygach, wywracaniu nóg podeszwą do góry i uderzaniu po niej napłask ręką. Kałganow był rozczarowany, natomiast Mitia wycałował tancerza.

— No, dziękuje, zmachałeś się, na co tak patrzysz, karmelki może ci podać, a może cygaro zapalisz?

— Papierosabym chętnie.

— Chcesz co wypić?

— Ja tu likier... A czekoladowych karmelków nie macie?

— Na stole stoi cały wóz, wybierz sobie jakie chcesz, ty duszo gołębia!

— Nie, ja takie chcę, żeby z wanilją... dla staruszków... Chi-hi!

— Nie, bracie, takich tu niema.

— Posłuchaj! — nachylił się staruszek do ucha Miti— dziewuszka Mania, chi-chi! Jakby tu, o ile możecie, poznać się z nią, z pańskiego łaskawego...

— Czego ci się zachciewa? Nie, bracie, to nie.

— Wszak nikomu krzywdy nie wyrządzam — szepnął posępnie Maksymow.

— Ano dobrze już, dobrze. Tu bracie tylko śpiewają i tańcują, a zresztą pal sześć! Poczekaj... Tymczasem posil się, jedz, pij, hulaj. Nie potrzebujesz pieniędzy?

— Chyba potem — uśmiechnął się Maksymow.

— Dobrze, dobrze.

Mitia poczuł, że mu gore w głowie. Wyszedł do sieni na drewniany krużganek, który obiegał część budynku. Świeże powietrze orzeźwiło go. Stał sam w mroku i nagle schwycił się oburącz za głowę. Rozstrzelone myśli i wrażenia naraz się skupiły, zogniskowały i z ogniska trysło światło. Straszliwe, okropne światło! „Jeżeli się zastrzelić, to kiedyż jak nie teraz?" — przyszło mu na myśl. Pójść po pistolet, przynieść tu i tu, w tym ciemnym i brudnym zakącie skończyć ze sobą. Minutę stał niezdecydowany. Poprzednio, gdy mknął do tego zajazdu, miał za sobą hańbę, dokonaną kradzież i tę krew, krew!... Ale wtedy było mu lżej, o znacznie lżej! Bo wtedy wszystko było skończone: stracił ją, odstąpił, przepadła dlań, znikła—o, wyrok nie był tak ciężki, w każdym razie wydawał się nieunikniony, konieczny, bo i w jakim celu miał nadal żyć? Lecz teraz! Czy teraz nie jest zgoła inaczej? Teraz przynajmniej znikł jeden upiór, straszydło: jej „dawny". Ten fatalny człowiek znikł, nie zostawiwszy po sobie śladu. Straszliwa mara przemieniła się naraz w coś tak błahego i komicznego! Zaniesiono go na ręku do sypialni i zamknięto na klucz. Nigdy tu już nie wróci. Ona wstydzi sie tego, i z oczu jej Mitia poznaje teraz wyraźnie, kogo kocha. Więc teraz dopiero zacznie sie naprawde życie a... nie można żyć, nie można, o przekleństwo! „Boże, wskrześ powalonego pod płotem! Oddal ode mnie tę straszliwą czarę! Wszak nieraz dokonywałeś cudów dla takich jak ja grzeszników! Ale co, jeżeli starzec żyje? O, w takim razie hańbę drugiego występku zmyję sam, zwrócę skradzione pieniądze, oddam je, wydobędę z pod ziemi... Nie zostanie śladu hańby, albo zostanie tylko w mem sercu na wieki! Ale nie, nie, o niemożliwe, małoduszne marzenia! O przekleństwo!" Ale jakby promień jasnej nadziei strzelił w mroku, zerwał się z miejsca i pobiegł z powrotem do pokoju — do niej, znowu do niej, do królowej swej na wieki! „Czy jedna godzina, jedna minuta jej miłości nie warta jest całego życia męki i hańby?" Serce jego napawało się tem dzikiem pytaniem. „Do

niej, tylko do niej, słuchać jej i o niczem nie myśleć, o wszystkiem zapomnieć, choćby tylko na tę noc, na godzinę, na chwilę!". Przy wejściu do sieni natknął się na gospodarza, Tryfona Borysycza, który wydał mu się dziwnie zatroskany i ponury.

— Cóż ty, Borysyczu, czy nie mnie szukasz?

— Nie, nie panie — odpowiedział zmieszany oberżysta — czegobym pana miał szukać? A pan... gdzie pan był?

— Coś taki markotny? Gniewasz się na mnie? Poczekaj zaraz będziesz mógł się położyć... Któraż to godzina?

— Już trzecia godzina będzie: może czwarta.

— Zaraz skończymy.

— Ależ proszę pana, nic nie szkodzi. Może pan jak długo pan zechce.

„Co mu się stało?" pomyślał Mitia i wbiegł do izby, gdzie tańczyły dziewuchy. Ale jej tu nie było. Nie było jej również w błękitnym pokoju; Kałganow tylko drzemał na kanapie. Mitia zajrzał za zasłonę — siedziała tam w kącie, na kufrze, ręce i głowę oparła na poręczy krzesła i płakała gorzko, z całej siły powstrzymując się, aby nie wybuchnąć na głos. Ujrzawszy M.tię, przywołała go palcem. Ledwie podbiegł, uchwyciła go mocno za rękę.

— Mitia, Mitia, przecież kochałam go! — rzekła szeptem — tak go kochałam przez pięć lat, przez cały ten czas. Czy jego kochałam, czy tylko złość swoją? Nie, o nie, jego. Och, jego. Przecież kłamię, że kochałam tylko złość swoją, a nie jego! Mitia, miałam wówczas siedemnaście lat, a on był dla mnie taki dobry, taki wesoły, piosenki mi śpiewał... A może mi się wydał taki, byłam jeszcze taka głupia... A teraz, Boże wielki, to wcale nie ten sam. I nawet na twarzy nie ten sam. Nawet go nie poznałam. Jechałam tu z Tymofejem i myślałam przez całą drogę: jak spotkam go, to mu powiem, jak będziemy na siebie patrzeć?... Dusza mi zamierała, a on mnie nagle jakby kubłem pomyj zlał. Mówi jak nauczyciel: wszystko takie uczone, napuszone, spotkał mnie tak uroczyście, zupełnie mnie stro-

pił. Z początku myślałam, że lęka się długiego Polaka. Siedzę, patrzę na nich i myślę: dlaczegoż nie umiem z nim teraz rozmawiać? Wiesz, to go żona zepsuła, ta, z którą rzucił mnie wtedy, ożenił się... To ona go tak przeinaczyła. Jakiż to wstyd, Mitia, wstyd, och na całe życie! Przeklęte, niech będą przeklęte te pięć lat, przeklęte!

Znowu zalała się łzami, zaciskając mocno jego rękę.

— Mitia, kochanie, stój, nie odchodź, chcę ci powiedzieć słówko — wyszeptała i naraz podniosła nań oczy — słuchaj, powiedz mi, kogo ja kocham? Kocham tu jednego człowieka; który to człowiek, powiedz mi — który? — Na twarzy jej, nabrzmiałej z płaczu, zajaśniał uśmiech, oczy zaświeciły w półmroku. — Wszedł tu przedtem sokół — i serce odrazu zamarło. „Ty głupia, oto kogo ty kochasz" — tak mi odrazu serce szepnęło. Wszedłeś tylko i wszystko oświetliłeś. Czego się boi? — myślę sobie: Boś stchórzył, naprawdę stchórzył, nawet głosu nie mogłeś dobyć. „Przecież nie ich się zląkł" — myślę sobie — czy ty możesz się kogo lękać? To mnie się boi, myślę, tylko mnie. Mówiła ci przecież głupia Fenia, jak zawołałam na pożegnanie, że kochałam Mitienkę, a teraz jadę kochać... innego. Mitia, Mitia, jakże mogłam myśleć, że kocham innego, niż ciebie! Wybaczysz mi? Wybaczysz czy nie? Kochasz? Kochasz?

Zerwała się i chwyciła go oburącz za ramiona. Mitia zaniemówił ze szczęścia; zaglądał jej w oczy, patrzał na twarz, uśmiech i naraz, chwyciwszy w objęcia, pokrył ją pocałunkami.

— A wybaczysz mi, że cię dręczyłam? Ze złości wszystkim wam dokuczałam. Ze złości umyślnie starucha twego do szaleństwa doprowadziłam... Pamiętasz, jakeś u mnie pił, i puhar stłukł? Zapamiętałam to sobie i dzisiaj również stłukłam puhar, za „moje serce podłe" piłam, Mitia, sokole mój, czegoż mnie nie całujesz? Raz pocałowałeś i przestałeś, patrzysz tylko na mnie i słuchasz... Poco mnie słuchasz! Całuj mnie, całuj mocno, o tak. Jak kochać, to kochać! Niewolnicą twoją teraz będę, niewolnicą na całe życie! Słodko jest być niewolnicą!... Zbij mnie,

męcz, wyrządź mi co złego... Och, naprawdę trzeba mnie dręczyć... Poczekaj, potem, nie chcę tak... — odepchnęła go nagle. — Idź sobie, precz, Mitia, pójdę teraz wina się napiję, chcę być pijana, pijana będę tańce wywijać, chcę tak, chcę!

Wyrwała się do pokoju. Mitia wyszedł za nią jakby odurzony trunkiem. „Niechaj tam, niechaj, cokolwiek się teraz stanie — za minutę jędną cały świat oddam" — przesunęło mu się przez głowę. Gruszeńka wychyliła duszkiem jeszcze jedną szklankę szampana i odrazu bardzo się upiła. Usiadła na krześle, na dawnem miejscu. Policzki palały, wargi zaczerwieniły się, błyszczące oczy pokryły się blachmalem, namiętne spojrzenie wzywało. Nawet Kałganowa coś jakby ugryzło w serce, wstał i podszedł do niej.

— A czułeś, jak cię pocałowałam w czoło, kiedyś spał? — wyszeptała. — Upiłam się teraz... A ty nie? Czego Mitia nie pije? Czego nie pijesz, Mitia, ja wypiłam, a ty nie pijesz...

— Pijany jestem! I jak pijany, zamroczony tobą, a teraz to i wina chcę.

Wypił szklankę i — sam się temu dziwił — dopiero teraz poczuł się pijany, bo do tej chwili był trzeźwy. Ale obecnie wszystko zawirowało mu przed oczyma, jak w gorączce. Chodził, śmiał się, rozmawiał ze wszystkimi, mało co pamiętając. Tylko jedno zastygłe i gryzące uczucie odzywało się w nim co chwila „niby rozżarzony węgiel w duszy" — jak to później określił. Dochodził do Gruszeńki, siadał przy niej, patrzał na nią, słuchał jej... Gruszeńce zachciało się nagle mówić, przyzywała do siebie wszystkich, przywoływała dziewczyny z chóru, całowała je, a czasem zakreślała nad niemi znak krzyża. Była bliska płaczu. Rozweselał ją tylko „starek" jak nazwała Maksymowa.

Co chwila przybiegał, całował ją w rękę, w każdy paluszek, i w końcu znowu zatańczył jakiś dziwny taniec, akompaniując sobie starą piosenką.

— Daj mu co, Mitia, — rzekła Gruszeńka — podaruj mu, bo biedny. Ach, biedni, skrzywdzeni!... Wiesz,

Mitia, pójdę do klasztoru. Nie, naprawdę, pójdę kiedyś. Aljosza mi dziś słówko na całe życie powiedział... Tak... a dziś wytańczymy się do końca. Jutro do klasztoru, a dziś się wytańczymy. Chcę dokazywać, dobrzy ludzie, ano, cóż, Bóg mi przebaczy. Gdybym była Bogiem, wszystkimbym przebaczyła: „mili wy moi grzesznicy, od dnia dzisiejszego wszystkim przebaczam". A ja pójdę prosić o przebaczenie: „Wybaczcie, dobrzy ludzie, babie głupiej, ot co". — „Zwierzęciem jestem, ot co". I modlić się chcę. Cebulkę podałam. Taka łajdaczka jak ja i też zachciało się modlić! Mitia, niech tańczą, nie przeszkadzaj. Wszyscy ludzie na świecie są dobrzy. Dobrze jest na świecie. Chociaż jesteśmy źli, lecz dobrze jest na świecie. Źli jesteśmy i dobrzy, i źli i dobrzy... Nie, powiedzcie, pytam was, zapytam was wszystkich: powiedzcie mi dlaczego jestem taka dobra.. Bo dobra jestem, bardzo dobra... Ano więc: dlaczego jestem taka dobra?

Gruszeńka szczebiotała w tym sensie, coraz bardziej pijana, i w końcu wręcz oświadczyła, że sama chce pląsać. Podniosła się i zatoczyła.

— Mitia, nie dawaj mi więcej wina, jak cię poproszę nie daj. Wino nie daje spokoju. I wszystko się obraca, piec i wszystko się obraca. Tańczyć chcę. Niech wszyscy patrzą, jak ja tańczę... jak dobrze i pięknie tańczę...

Zamiar był poważny: wyjęła z kieszeni białą batystową chusteczkę i ujęła za jeden róg, aby powiewać nią w tańcu. Mitia zakrzątnął się, chłop ucichły, sposobiąc się do zaintonowania tanecznej pieśni. Maksymow, dowiedziawszy się, że Gruszeńka zamierza popisać się tańcem, pisnął z zachwytu i zaczął przed nią podrygiwać, nucąc swoją piosenkę.

Lecz Gruszeńka machnęła nań chusteczką, odpędziła od siebie. — Cicho! Mitia, czemu nie idą? Niech wszyscy przyjdą... popatrzeć. Zawołaj i tamtych zamkniętych... Dlaczegoś ich zamknął? Powiedz im, że ja tańczę, niech i oni popatrzą, jak ja tańcze.

Mitia z pijackim rozmachem podszedł do zamkniętych drzwi i począł stukać do pokoju „panów".

— Hej wy... Podwysoccy! Wychodźcie, ona chce tańczyć, zapraszam was.

— Łajdak! — zabrzmiało w odpowiedzi.

— A ty sam podły łajdak! Nikczemne szubrawiątko.

— Przestałby pan Polskę znieważać — zauważył sentencjonalnie Kałganow, któremu porządnie kurzyło się z czuba.

— Milcz, chłopcze! Że jego nazwałem szubrawcem, to przecież nie znaczy, że całą Polskę znieważyłem. Jeden łajdak nie stanowi Polski. Milcz, milutki chłopczyku, zjedz karmelek.

— Ach, jacy oni! Co za ludzie. Nawet pogodzić się nie chcą? — rzekła Gruszeńka, wychodząc na środek izby.

Chór zaintonował pieśń taneczną. Gruszeńka szarpnęła do tyłu głowę, otworzyła usta, uśmiechnęła się, machnęła chusteczką i naraz, zatoczywszy się mocno, stanęła stropiona pośrodku izby.

— Słaba jestem... — odezwała się zmęczonym głosem — darujcie mi, słaba jestem, nie mogę... Przepraszam.

Ukłoniła się dziewczętom z chóru, a potem zaczęła się kłaniać na wszystkie cztery strony.

— Przepraszam... darujcie...

— Upiła się paniusia, upiła się ładna paniusia — rozległo się wokoło.

— Czeremere w czubku — wytłomaczył Maksymow dziewuchom z chichotem.

— Mitia, odprowadź mnie... weź mnie, Mitia, — rzekła słabnąc coraz bardziej.

Mitia skoczył ku niej, schwycił za ręce i zaniósł swój drogi łup za zasłonę.

„Już czas na mnie" — pomyślał Kałganow, wyszedł z błękitnego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Lecz w drugim pokoju uczta ciągnęła się dalej, huczna i rozpasana. Mitia położył Gruszeńkę na łóżku i wpił się w jej usta pocałunkiem.

— Nie ruszaj mnie, — rzekła błagalnym głosem. — Nie ruszaj, pókim nie twoja... Mówię, że twoja, ale nie

ruszaj... oszczędzaj... Przy tych, przecież tu nie można. On tu jest. Obrzydliwie tu.

— Bądź spokojna; Ani myślę... czczę!... bełkotał Mitia. — I obrzydliwie tu, paskudnie. — I nie wypuszczając jej z uścisku, osunął się na kolana.

— Wiem, że chociaż jesteś zwierz, jednak szlachetny — rzekła, ciężko poruszając językiem. — Trzeba uczciwie... odtąd będzie uczciwie... i my musimy być uczciwi, i my musimy być dobrzy, już nie zwierzęta, lecz dobrzy... Wywieź mnie, wywieź daleko, słyszysz... Nie chcę tu być, żeby daleko, daleko...

— O tak, stanowczo — tulił ją do siebie Mitia. — Wywiozę cię, wywiozę, wyfruniemy... O, całe życie oddam teraz za jeden rok, żeby tylko wiedzieć co do tej krwi!

— Jaka krew? — zapytała ze zdziwieniem Gruszeńka.

— To nic! — zgrzytnął zębami Mitia. — Gruszeńka, chcesz teraz rozpocząć uczciwe życie, lecz ja jestem złodziejem. Ja skradłem pieniądze Kasi... Hańba, hańba!

— Kasi? To tej panieneczki? Nie, tyś nie skradł. Zwróć jej, ja ci dam... Czego krzyczysz? teraz co moje to i twoje. I poco nam pieniądze? I tak przepuścimy. Nie tacy, aby nie przehulali. Pójdziemy lepiej ziemię orać. Chcę temi rękoma kopać ziemię. Pracować trzeba, słyszysz. Aljosza kazał. Nie będę twoją kochanicą, będę ci wierną, niewolnicą twoją będę. Pójdziemy oboje do panienki twojej i pokłonimy się jej, aby nam przebaczyła. A potem pojedziemy. A jak nie przebaczy, to też pojedziemy. A ty pieniądze jej zanieś, i mnie kochaj... A jej nie kochaj wcale. Więcej jej nie kochaj. Jak pokochasz, to ją zaduszę... Oczy jej igłą wykłuję...

— Ciebie kocham, tylko ciebie, w Syberji będę cię kochał...

— Poco w Syberji? Cóż można i w Syberji, jak chcesz, wszystko jedno będziemy pracować... W Syberji śnieg... Lubię jeździć po śniegu... i żeby dzwoneczki brzęczały... Słyszysz, brzęczą dzwoneczki... Skąd te dzwo-

neczki? Jedzie kto.. oto przestało dzwonić. — Zamknęła oczy ze zmęczenia i zdrzemnęła się na minutę.

Dzwoneczki istotnie brzęczały w oddaleniu i nagle ucichły. Mitia położył głowę na jej łonie. Nie zauważył, jak przestało dzwonić, i jak nagle ucichł cały dom; po dotychczasowym tumulcie i wrzawie zaległa tu martwa cisza. Gruszeńka otworzyła oczy.

— Cóż to, spałam? Tak... dzwonki... Spałam i widziałam sen: że niby jadę po śniegu... dzwoneczki brzęczą, a ja drzemię. Z miłym człowiekiem jadę, z tobą kochanie. I daleko, daleko. Obejmowałam cię i całowałam, przyciskałam cię do ciebie, zimno mi, a śnieg błyszczy... — Wiesz, gdy w nocy śnieg błyszczy, a księżyc spogląda, jestem jakby nie na ziemi. Obudziłam się, a miły mój przy mnie, jak to dobrze.

— Przy tobie — bełkotał Mitia, całując jej suknię, pierś, ręce. I nagle zastanowiło go, że Gruszeńka patrzy przed siebie, ale nie na niego, lecz powyżej jego głowy, że wzrok ma dziwnie nieruchomy i badawczy. W tejże chwili na twarzy jej odmalowało się zdziwienie, niemal lęk.

— Mitia, któż to spogląda na nas stamtąd — odezwała się niespodziewanie.

Mitia obejrzał się i stwierdził, że ktoś istotnie rozsunął zasłonę i patrzy na nich badawczo. I nie jeden człowiek. Mitia podniósł się i szybko podszedł do zasłony.

— Proszę tu, proszę tu do nas — niegłośno, ale stanowczo przemówił czyjś głos.

Mitia wyszedł do nich i nagle się zatrzymał. W pokoju było pełno ludzi, ale nie tych co poprzednio. Drgnął, zimny dreszcz przeszedł go od stóp do głowy. Poznał ich odrazu. Ten wysoki i otyły starzec w palcie, w czapce z kokardą to sprawnik Michał Makarycz. A ten „suchotniczy, schludny elegant" zawsze w starannie wyczyszczonem obuwiu — to podprokurator. „Posiada chronometr za czterysta rubli, pokazywał mi". A ten młodziutki, malutki, w okularach... Mitia zapomniał jego nazwiska, ale znał go, wiedział: to sędzia śledczy, niedawno przyjechał. A ci

z blachami, pocóż oni? I jeszcze dwaj chłopi... A tam we drzwiach Kałganow. I Tryfon Borysycz...

— Panowie! Czego wy, panowie? — zaczął Mitia, lecz naraz, jakby nie panując nad sobą, jakby mimowoli, zawołał na cały głos: — Ro-zu-miem!

Młody człowiek w okularach wysunął się naprzód, podszedł do Miti i rzekł poważnie, ale prędko: — Mamy do pana... słowem, poproszę pana tutaj, o tu, na kanapę... Musimy się koniecznie rozmówić.

— Starzec! — zawołał Mitia nieprzytomnie. — Starzec i jego krew!... Ro-zu-miem!

I jak podcięty opadł na krzesło.

— Rozumiesz? Zrozumiał! Ojcobójca i potwór, krew starego ojca twego woła o pomstę! — ryknął naraz stary sprawnik, zbliżając się do Miti. Nie posiadał się z gniewu, spurpurowiał i zatrząsł się cały.

— Ależ tak nie można! — krzyknął sędzia śledczy.— Michale Makaryczu! Nie tak, nie tak! Proszę pozwolić mi samemu. Nie spodziewałem się po panu takiego epizodu...

— Ależ to maligna, panowie, maligna! — wołał sprawnik. — Popatrzcie na niego: w nocy, pijany, z rozpustną dziewką, we krwi ojca swego... Maligna, maligna!

— Poproszę pana stanowczo, drogi Michale Makaryczu, — aby pan tym razem hamował swoje uczucia — szepnął prokurator do starca — w przeciwnym razie będę zmuszony...

Lecz malutki sędzia śledczy nie pozwolił mu skończyć zdania; zwrócił się do Miti i twardo, głośno i poważnie przemówił:

— Dymitrze Karamazow, muszę panu oznajmić, że jest pan oskarżony o zabójstwo ojca swego, Fedora Pawłowicza Karamazowa, dokonane tej nocy...

Jeszcze coś dodał, prokurator również coś wtrącił, ale Mitia, chociaż słuchał ich, nic już nie rozumiał. Toczył po nich dzikim wzrokiem.

KSIĘGA DZIEWIĄTA.

ŚLEDZTWO.

I.

Początek karjery urzędnika Perchotina.

Piotr Iljicz Perchotin, którego zostawiliśmy dobijającego się z furją do zamkniętej bramy Morozowowej, oczywiście dostukał się w końcu. Wściekły łomot śmiertelnie przeraził Fenię, która jeszcze nie zdążyła ochłonąć z poprzedniego przestrachu. Wzburzona, nie mogąc się opędzić złym myślom, nie zmrużyła oka. Usłyszawszy stuk, pomyślała, że to wrócił Dymitr Fedorowicz, chociaż sama widziała, jak odjeżdżał (bo nikt inny nie dobijałby się tak „zuchwale"). Pobiegła do stróża, który się wreszcie obudził i szedł do bramy, i zaczęła go błagać, aby nie otwierał. Stróż jednak poinformował się, kto stuka i w jakiej sprawie. Dowiedziawszy się, że to nie Dymitr Fedorowicz, i że „w ważnej sprawie" do Fedosji Markownej, zdecydował się wpuścić późnego gościa. Fedosja Markowna zaprowadziła Piotra Iljicza do kuchni. Dla „pewności" asystował im stróż. Piotr Iljicz wziął ją na spytki i odrazu dowiedział się o najważniejszej pracy: że Dymitr Fedorowicz na odchodnem zabrał mosiężny tłuczek, wrócił zaś bez tłuczka, z zakrwawionemi rękoma. „I krew jeszcze kapała, kapie i kapie bezustanku!" opowiadała Fenia, która widocz-

nie uroiła sobie ten straszliwy szczegół w swojej rozstrojonej wyobraźni. Lecz również Piotr Iljicz widział skrwawione ręce — coprawda krew z nich nie kapała — sam zresztą pomógł zmyć tę krew, i nie o to chodziło, czy krew prędko zaschła, lecz o to, dokąd pobiegł Dymitr Fedorowicz z tłuczkiem, to znaczy czy napewno udał się do Fedora Pawłowicza, i co nasuwa to przypuszczenie. Piotr Iljicz w tym kierunku badał Fenię, i chociaż niczego się nie dowiedział, nabrał przeświadczenia, że Dymitr Fedorowicz mógł się udać tylko do ojca swego, i że zatem *coś* musiało tam zajść. „A kiedy wrócił — dodała wzburzonym głosem Fenia — i kiedy mu wszystko już wyznałam, zaczęłam go wypytywać: co to za krew, Dymitrze Fedorowiczu? a on mi odrazu odpowiedział: że krew ludzka i że człowieka zabił — wyznał odrazu i pokajał się przede mną i naraz wybiegł jak obłąkany. Usiadłam i myślę sobie: dokądże teraz pobiegł? Pojedzie do Mokrej, myślę, i panią zabije. Wybiegłam, chciałam go błagać, aby pani mojej nie zabijał, biegłam do jego mieszkania, a tu patrzę przed sklepem Płotnikowa siedzi w dorożce i na rękach już krwi nie ma (Fenia zauważyła to i zapamiętała sobie)". Stara kucharka, babcia Feni, potwierdziła zeznania wnuczki. Zapytawszy o jeszcze jakieś szczegóły, Piotr Iljicz wyszedł wreszcie na ulicę bardziej zdenerwowany i niespokojny, niż poprzednio.

Zdawałoby się, że najprościej i najbliżej byłoby iść wprost do domu Fedora Pawłowicza, zapytać, czy się co nie zdarzyło, a jeżeli tak, to co mianowicie, i dopiero potem w razie potrzeby iść do sprawnika. Tak też sobie Piotr Iljicz uplanował. Ale noc była ciemna, brama Fedora Pawłowicza mocna, znowu trzeba będzie się dobijać, pozatem Piotr Iljicz ledwo znał Fedora Pawłowicza, i cóż — dostuka się wreszcie, otworzą mu i okaże się, że nic się nie zdarzyło; nazajutrz zaś Fedor Pawłowicz, zawołany szyderca, będzie rozpowiadał po mieście, jak to o północy dobijał się nieznajomy urzędnik Perchotin, aby dowiedzieć się, czy go kto nie zabił. Skandal! a skandalu Piotr Iljicz lękał się najbardziej w świecie. A jednak uczucie, które pchnęło

go na drogę poszukiwań, było tak silne, że tupnąwszy ze złością i zwymyślawszy samego siebie, pobiegł dalej, coprawda nie do Fedora Pawłowicza, lecz do pani Chochłakow. Jeżeli na pytanie, czy dała o takiej a takiej godzinie trzy tysiące Dymitrowi Fedorowiczowi, odpowie ona przecząco, to on, Piotr Ilijcz, niezwłocznie pobiegnie do sprawnika; w przeciwnym razie odłoży wszystko do jutra i wróci do domu. Właściwie mówiąc, idąc prawie o jedenastej w nocy do nieznajomej damy światowej, aby zadać dziwne pytanie, narażał sie na grubszy skandal, niż gdyby był poprostu poszedł do Fedora Pawłowicza. Lecz zdarza się to czasem, zwłaszcza w podobnych wypadkach, i to z najbardziej akuratnymi i flegmatycznymi ludźmi. Piotr zaś Iljicz w tej chwili nie był flegmatykiem. Później całe życie sobe przypominał, jak nieodparty niepokój, który nagle nim owładnął, wzbierał gwałtownie i kazał mu działać wbrew jego własnej woli. Rozumie się, przez całą drogę mantyczył i przymawiał sobie, że idzie do nieznajomej damy, wszakże „doprowadzę do końca" — powtarzał po raz dziesiąty, zgrzytając zębami, i wykonał swój zamiar — doprowadził do końca.

Była dokładnie godzina jedenasta, gdy wszedł do pani Chochłakow. Wpuszczono go dosyć prędko, lecz na pytanie: czy pani już śpi — stróż nie mógł dać dokładnej odpowiedzi, nadmienił jeno, że o tej porze zwykle już śpią w domu. „Niech pan na górę idzie — zechce pani przyjąć, to przyńmie, a jak nie zechce, to nie przyńmie". Piotr Iljicz wszedł na górę, ale tu natrafił na przeszkody. Lokaj zrazu nie chciał go wcale zameldować, w końcu zawezwał pokojówkę. Piotr Iljicz uprzejmie ale z naciskiem poprosił, aby zameldowała swej pani, że przyszedł tutejszy urzędnik Perchotin w ważnej sprawie, że gdyby sprawa nie była pilna, nie śmiałby niepokoić: — „proszę tak właśnie, w tych słowach zameldować" — prosił. Dziewczyna odeszła, Piotr Iljicz czekał w przedpokoju. Pani Chochłakow zaś jeszcze się nie położyła, ale była już w sypialni. Rozstrojona niedawną wizytą Miti, przeczuwała, że czeka ją zwykła w takich wypadkach migrena.

Nieoczekiwana i niestosowna wizyta „tutejszego urzędnika" zdziwiła ją bardzo i podnieciła jej kobiecą ciekawość, lecz mimo to kazała mu odmówić. Wszakże Piotr Iljicz tym razem uparł się i jeszcze raz natarczywie poprosił, aby zameldowano i dokładnie powtórzono, że „przyszedł w niezwykle ważnej sprawie, i że pani będzie może później żałować, jeżeli go teraz nie przyjmie".

„Jakgdybym z góry leciał" — tak to potem sam opowiadał. Służąca obejrzała go ze zdziwieniem i poszła ponownie meldować. Pani Chochłakow, zdumiona, zastanowiła się chwilę, zapytała, jak wygląda, z uwagą wysłuchała odpowiedź, że: „bardzo przyzwoicie ubrany, młody i taki grzeczny". Mimochodem zauważymy, że Piotr Iljicz był przystojnym młodym człowiekiem i zdawał sobie z tego sprawę. Pani Chochłakow po namyśle postanowiła go przyjąć. Była w szlafroku i pantoflach domowych, na ramiona zarzuciła tylko czarny szal. „Urzędnika" poproszono do salonu, w którym poprzednio przyjęła Mitię.

Pani domu wyszła do gościa z oschłem zapytaniem na twarzy, nie prosiła nawet, aby usiadł, i zagadnęła obcesowo:

— Czego pan sobie życzy?

— Zdecydowałem się niepokoić z powodu naszego wspólnego znajomego, Dymitra Fedorowicza Karamazowa — zaczął Perechtin, lecz ledwo wymówił to nazwisko, oblicze pani domu przybrało wyraz niezwykłej alteracji. Omal nie pisnęła; przerwała mu z wściekłością:

— Czy długo, długo jeszcze będą mnie męczyć tym strasznym człowiekiem! — krzyknęła nieprzytomnie. — Jak pan śmiał, mój panie, jak pan ważył się niepokoić nieznajomą damę o takiej godzinie... przyjść, aby mówić o człowieku, który tu, w tym salonie, dopiero trzy godziny temu chciał mnie zabić, tupał nogami i wyszedł, jak nikt nie wychodzi z porządnego domu. Niech pan wie, mój panie, że podam na pana skargę, że tego panu nie przepuszczę, niech pan w tej chwili opuści mój dom... Jestem matką, ja w tej chwili... ja... ja...

— Zabić? To i panią chciał zabić?

— A czy już kogo zabił? — zapytała porywczo pani Chochłakow.

— Niech pani raczy wysłuchać, łaskawa pani, tylko pół minuty. W dwu słowach wszystko pani wytłomaczę — odrzekł stanowczym głosem Perchotin. — Dziś o piątej popołudniu pan Karamazow pożyczył ode mnie, po koleżeńsku, dziesięć rubli, a już o dziewiątej przyszedł do mnie z paczką sturublówek w ręku, zapewne na dwa — trzy tysiące. Przytem ręce jego jako też twarz były splamione krwią. Wydał mi się nieprzytomny. Na moje pytanie, skąd wziął tyle pieniędzy, odpowiedział z całą stanowczością, że pani pożyczyła mu trzy tysiące, aby pojechał do kopalni złota...

Na twarzy pani Chochłakow przebił się wyraz niezwykłego i chorobliwego zdenerwowania.

— Boże! To on starca ojca swego zabił! — zawołała, plasnąwszy w dłonie. — Żadnych mu pieniędzy nie dawałam, żadnych! O niech pan pędzi, niech pan pędzi!... Niech pan ani słówka nie mówi! Ratuj starca, biegnij pan do ojca jego, prędzej!

— Niech pani pozwoli, łaskawa pani, a więc nie dała mu pani żadnych pieniędzy? Czy pamięta pani stanowczo, że nie dała mu pani żadnych pieniędzy?

— Nie dawałam, nie dawałam! Odmówiłam mu, ponieważ nie umiał ocenić. Wybiegł wściekły i tupał nogami. Rzucił się na mnie, ledwo się cofnęłam... I powiem panu jeszcze, bo już nic przed panem nie chcę ukrywać, że nawet splunął na mnie, czy może pan to sobie wyobrazić? A czegóż to stoimy? Niechże pan siada... Wybaczy pan, ale... Albo niech pan lepiej pędzi, niech pan pędzi, powinien pan pędzić i uratować nieszczęśliwego starca od strasznej śmierci!

— A jeżeli go już zabił?

— Ach, Boże mój, istotnie! Więc cóż teraz zrobimy? Jak pan myśli, co należy teraz zrobić? — Co mówiąc, posadziła Piotra Iljicza i usiadła naprzeciw.

Piotr Iljicz zwięźle ale dosyć dokładnie poinformował ją o sprawie, przynajmnie o tem, co sam wiedział i co mu

powiedziała Fenia. Wszystkie te szczegóły wstrząsnęły zdenerwowaną panią Chochłakow. Coraz to zasłaniała sobie oczy ręką i pokrzykiwała:

— Niech pan sobie wyobrazi, że ja to przeczuwałam! Mam dar przeczuwania, wszystko, cokolwiek sobie wyobrażam, spełnia się co do joty. I ileż to razy spoglądałam na tego strasznego człowieka i myślałam: oto człowiek, który w końcu mnie zabije. I teraz to się sprawdziło... To znaczy, mnie nie zabił, lecz ojca swego, i to tylko dlatego, że palec Boży ustrzegł mnie, i że nadto wstydził się mnie zabić, bo ja na tem miejscu sama zawiesiłam mu na szyi obrazek święty... Jakżem była bliska śmierci, wszak podeszłam do niego i on szyję swoją ku mnie wyciągnął! Wie pan, Piotrze Iljiczy (wybaczy pan, zdaje się, powiedział pan Piotr Iljicz) wie pan, nie wierzę w cuda, ale ten obrazek, to cud oczywisty — to mną wstrząsnęło i zaczynam znowu wierzyć we wszystko. Słyszał pan o starcu Zosimie?... A zresztą sama nie wiem co plotę... I niech pan sobie wyobrazi, że z tym obrazkiem na szyi splunął na mnie... Rozumie się, tylko splunął, nie zabił... I dokąd się teraz udał! A co my teraz, dokąd my pójdziemy teraz, jak się panu wydaje?

Piotr Iljicz podniósł się i oświadczył, że pójdzie wprost do sprawnika i wszystko mu opowie, a ten niech już sam uzna, co należy zrobić.

— Ach, to zacny człowiek, znam Michała Makarycza. Stanowczo należy się zwrócić do niego. Jaki pan domyślny, Piotrze Iljiczu, i jak pan to wszystko dobrze wymyślił; wie pan, nigdybym nie wpadła na tę myśl!

— Tem bardziej, że i ja sam znam dobrze sprawnika — zauważył Piotr Iljicz, stojąc już i widocznie pragnąc się wyrwać od impetycznej damy, która go nie puszczała.

— I wie pan, wie pan — paplała — niech mi pan przyjdzie opowiedzieć, co pan widział, i dowiedział się... i co się okaże... i jak go będą sądzić... Niech mi pan powie, wszak niema u nas kary śmierci? Proszę przyjść bezwarunkowo, choćby o trzeciej w nocy, choćby o czwartej, nawet o wpół do piątej... Niech mnie pan każe obudzić, jeżeli

nie zechcę wstać... O Boże, ale ja oka nie zmrużę. Wie pan co, może z panem pójdę?...

— Nie, ale gdyby pani napisała własnoręcznie kilka słów w razie czego, że pani żadnych pieniędzy nie dawała Dymitrowi Fedorowiczowi, to być może przyda to się... na wszelki wypadek...

— Naturalnie! — zawołała z entuzjazmem pani Chochłakow i skoczyła do biurka. — I wie pan, pan mnie zdumiewa, pan mnie zdumiewa swoją domyślnością i orjentacją w takich sprawach?... Pan tu pracuje? Jak to miło, że pan tu pracuje...

Co mówiąc napisała na połowie arkusza listowego papieru następujące oświadczenie:

„Nigdy w życiu nie pożyczałam nieszczęśliwemu Dymitrowi Fedorowiczowi Karamazowowi (bo teraz jest bądź co bądź nieszczęśliwy) trzech tysięcy rubli, ani dziś, zresztą żadnych innych pieniędzy nigdy, nigdy! Przysięgam na wszystko, co święte na tej ziemi. *Chochłakowowa.*

— Ma pan kartkę — zwróciła się do Piotra Iljicza.— Niechże pan idzie, niech pan ratuje. To wielkie bohaterstwo ze strony pana. — Trzykrotnie go przeżegnała i odprowadziła do przedpokoju.

— Jakże jestem panu wdzięczna! Nie uwierzy pan, jak panu jestem wdzięczna za to, że pan do mnie pierwszej przyszedł. Czy to możliwe, żebyśmy się już gdzieś nie spotkali? Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby pan zechciał bywać w moim domu. I jak to przyjemnie, że pan tu pracuje... z taką akuratnością, z taką domyślnością... Ale powinni pana cenić, powinni pana wreszcie zrozumieć, — i wszystko, co mogę dla pana zrobić, niech pan wierzy... O, ja tak kocham młodzież! Jestem zakochana w młodzieży. Młodzi ludzie to podstawa całej dzisiejszej, cierpiącej nowej Rosji, cała jej nadzieja... O niech pan idzie, niech pan idzie...

Ale Piotr Iljicz zdążył się już wymknąć, bo inaczej nieprędkoby go wypuściła. Pomimo to Chochłakowowa wywarła na nim dosyć przyjemne wrażenie, co nawet wpłynęło dodatnio na jego humor. Był już bowiem bardzo nie-

zadowolony, że wdał się w taką sprawę. Jak wiadomo gusta bywają różne. „I wcale nie stara“ — pomyślał z satysfakcją — „owszem, wziąłbym ją za jej córkę“.

Co się tyczy pani Chochłakow, to ta była poprostu oczarowana młodym urzędnikiem. „Jaka umiejętność, jaka akuratność, niezwykła w naszych czasach, i co za maniery i powierzchowność. Powiada się o dzisiejszych młodzieńcach, że nic nie umieją, a macie tu przykład i t. d.“ Zapomniała nawet o „straszliwem zdarzeniu“, i dopiero w łóżku, przypomniawszy sobie, jak „bliska była śmierci“ westchnęła: „ach poprostu to straszne, to straszne!“. — Ale mimo to odrazu zasnęła mocnym i słodkim snem. Nie byłbym się tak rozwodził nad tak błahemi i epizodycznemi szczegółami, gdyby to ekscentryczne spotkanie młodego urzędnika z wcale niestarą wdówką nie stało się podwaliną całej życiowej karjery tego dokładnego i akuratnego młodzieńca. Mówi się o tem dotychczas z niejakiem zdziwieniem w naszem miasteczku, no i my też zapewne wrócimy jeszcze do tego, gdy skończymy długą opowieść o braciach Karamazow.

II.

Alarm.

Sprawnik nasz, Michał Makarycz Makarow, podpułkownik rezerwy, mianowany w służbie cywilnej radcą dworu, był nader zacnym człowiekiem. Przybył do naszego miasteczka trzy lata temu , ale zdążył już pozyskać sobie powszechną sympatję, szczególnie dlatego, że miał dar „spikania ze sobą“ różnych ludzi. Stale miał u siebie gości i, zdawało się, nie mógłby się bez nich obejść. Nie było dnia, aby ktoś nie został na obiedzie, bo bez gościa to i do obiadu nie zasiadano. Pozatem wydawał proszone obiady pod wszelkiemi, często zgoła niespodziewanemi pretekstami. Stół był niewyszukany ale obfity, „kulebiaki“ znakomite, a wina, chociaż nie pierwszej marki, ale lały się strumieniem. Miał specjalny pokój bilardowy, wcale przyzwoicie urządzony,

z obrazami w czarnych ramach, przedstawiającemi angielskie wyścigowe konie—niezbędną, jak wiadomo, ozdobę bilardowego pokoju. Co wieczór grywano w karcięta. Oprócz tego zbierała się dosyć często śmietanka naszego miasta z paniami i pannami na tańce. Michał Makaricz był wdowcem, ale mieszkał z rodziną, mianowicie z córką, również owdowiałą, i z dwiema pannami, wnuczkami Michała Makarowicza. Obie panny były już dorosłe, skończyły pensję, były wcale niebrzydkie, wesołe i, chociaż nieposażne, ściągały do domu swego dziadka naszą młodzież. Urzędnikiem był Michał Makarowicz niezbyt sprytnym, ale wykonywał swoje obowiązki nie gorzej od innych. Mówiąc szczerze, był dosyć nieinteligentny i nie bardzo sobie zdawał sprawę z zakresu swojej administracyjnej władzy. Nie umiał naprzykład żadną miarą dobrze zrozumieć niektórych reform, dokonanych za obecnego panowania, albo komentował je rażąco błędnie, i to nie z powodu jakiejś tępoty, lecz jedynie z lekkomyślności: poprostu nie miał kiedy w to wniknąć. „Z duszy panowie, jestem raczej wojskowym niż cywilem" — wyrażał się o sobie samym. Nawet o głównych zasadach reformy chłopskiej nie miał dostatecznego i dokładnego pojęcia, dowiadywał się o nich z roku na rok, mimochodem, w praktyce, aczkolwiek sam był obywatelem ziemskim. Piotr Iljicz wiedział napewno, że tego wieczoru zastanie u Michała Makarowicza gości, ale nie wiedział kogo. A tymczasem akurat w tej chwili siedzieli przy kartach prokurator i nasz lekarz powiatowy, Warwiński, młody człowiek, który niedawno przyjechał z Petersburga, jeden z najzdolniejszych wychowanków petersburskiej akademji lekarskiej. Prokurator zaś (właściwie mówiąc podprokurator, lecz tytułowano go powszechnie prokuratorem), Hipolit Kiryłowicz, uchodził u nas za oryginała. Był jeszcze wcale niestary, miał lat trzydzieści pięć, zalążki gruźlicy, żonaty był z bardzo otyłą i bezdzietną damą. Był to zawołany samolub, skory do irytacji, ale mądry i nawet dobry. Zdaje się, że cała wada jego charakteru polegała na tem, że miał o sobie zbyt wygórowane mniemanie. Miał pozatem wyższe i artystyczne aspiracje, naprzykład uważał się za znakomitego psychologa, znawcę duszy

ludzkiej, umiejącego odgadywać wszelkie pobudki zbrodni. Oto czemu uważał się za pominiętego i pokrzywdzonego w karjerze służbowej, co więcej, był pewny, że w wyższych sferach nie potrafili ocenić go sprawiedliwie, że ma tam wrogów, którzy mu szkodzą. W posępnych chwilach groził nawet, że przejdzie do adwokatury. Sprawa Karamazowa dokonała w nim istnego wstrząsu: „Taka sprawa, że w całej Rosji zasłynie". Lecz nie uprzedzajmy faktów.

W sąsiednim pokoju siedział z pannami nasz młody sędzia śledczy, Mikołaj Partenowicz Nieludow, który dopiero dwa miesiące temu przyjechał do nas z Petersburga. Później żywo omawiano ten dziwny zbieg okoliczności, że wszystkie te oficjalne osobistości jakgdyby umyślnie zebrały się tego wieczoru w domu władzy wykonawczej. W istocie zaś powód był bardzo prosty i naturalny: małżonka Hipolita Kiryłowicza już drugi dzień cierpiała na ból zębów, wskutek czego Hipolit Kiryłowicz chciał uciec od jej jęków; lekarz z natury swej nie mógł wieczorami nie grać w karty. Mikołaj zaś Partenowicz Nieludow już trzy dni temu postanowił zajść tego wieczoru do Michała Makarowicza, jakgdyby przypadkowo, aby zaskoczyć jego starszą wnuczkę, Olgę Mchajłowną. Trzeba wiedzieć, że był to dzień jej imienin, lecz nikomu o tem nie mówiła, bo musiałaby zaprosić całe miasto na tańce. Mikołaj Partenowicz chciał jej oznajmić, że zna jej sekret, napomknąć o jej latach i żartobliwie zagrozić, że jutro wszystkim opowie i t. d. Słowem spodziewał się rozweselić towarzystwo. Miły młodziutki sędzia uchodził za bałamuta i był temu bardzo rad.

Lecz pozatem należał do bardzo dobrego towarzystwa, pochodził z dobrej rodziny, był dobrze wychowany, i chociaż lubił hulać, ale bardzo niewinnie i przyzwoicie. Wzrostu był bardzo małego, wątłej i słabej budowy. Na cieniutkich i bledziutkich jego palcach zawsze skrzyło się kilka grubych pierścieni. Podczas urzędowania stawał się niezwykle namaszczony, pojmując i czcząc swoje znaczenie i obowiązki. Umiał jakoś zaskoczyć przy badaniu morderców i innych przestępców z ludu, i budził w nich, jeśli nie szacunek, to przynajmniej podziw.

Piotr Iljicz, wszedłszy do mieszkania sprawnika, stanął oszołomiony: odrazu stwierdził, że tu już o wszystkiem wiedzą. Istotnie gracze porzucili karty, stali i debatowali i nawet Mikołaj Partenowicz porzucił panienki i miał minę wyjątkowo bojową i energiczną. Przywitano Piotra Iljicza przerażającą wiadomością, że Fedor Pawłowicz Karamazow jest istotnie zabity, że zamordowano go i obrabowano tegoż wieczoru. Dowiedziano się o tem przed chwilą w następujących okolicznościach.

Marta Ignatjewna, żona powalonego pod parkanem Grzegorza, spała kamiennym snem i byłaby tak spała do rana, gdyby nie obudziło jej nagle straszliwe epileptyczne stękanie Smerdjakowa, który leżał nieprzytomny w sąsiednim pokoju. Takie stękanie poprzedzało zwykle atak epilepsji i zawsze przerażało i w chorobliwy sposób działało na Martę Ignatjewną. Nie mogła się żadną miarą do tego przyzwyczaić. Śpiąc jeszcze, skoczyła na nogi i napół przytomna pomknęła do komórki Smerdjakowa. Ale ciemno tu było, że nic nie zobaczy; słychać było jeno, że chory strasznie rzęzi i rzuca się konwulsyjnie na łóżku. Marta Ignatjewna krzyknęła i zaczęła wołać męża, ale naraz przypomniała sobie, że wychodząc z pokoju, nie zauważyła na łóżku Grzegorza. Wróciła więc do izby, patrzy, szuka, ale Grzegorza w istocie nie ma. Zatem wyszedł, ale dokąd? Wybiegła na ganek i zaczęła trwożnie wołać. Odpowiedzi oczywiście nie było. Naraz śród ciszy nocnej usłyszała z ogrodu jakieś jęki. Nadstawiła uszu; jęki się powtórzyły; słychać było teraz wyraźnie, że dobiegają z ogrodu. „Wielki Boże, tak samo, jak wówczas Lizaweta Smerdjaszcza!“ — przyszło jej na myśl. Lękliwie zeszła na dół i stwierdziła, że furtka od ogrodu jest otwarta. „Widać, że tam poszedł“ — pomyślała sobie, podeszła do furtki i wówczas wyraźnie usłyszała głos Grzegorza. Wołał — „Marto, Marto!“ słabym, jękliwym, strasznym szeptem. „Boże uchowaj nas od nieszczęścia“ — szepnęła Marta Ignatjewna i pobiegła w kierunku głosu. W ten sposób znalazła Grzegorza. Nie leżał jednak pod płotem, lecz dalej, w dwudziestu krokach od miejsca, gdzie został po-

walony. Okazało się później, że, ocknąwszy się, zaczął się czołgać w kierunku domu i czołgał długo, zapewnie tracąc chwilami przytomność i znowu się budząc. Marta odrazu zauważyła, że cały jest we krwi. Podniosła wrzask. Grzegorz bełkotał cicho i niewyraźnie: „zabił... ojca, zabił... czego krzyczysz, głupia... biegnij, zawołaj..." Lecz Marta Ignatjewna nie przestała krzyczeć; po chwili, spostrzegłszy światło w pokoju Fedora Pawłowicza, podbiegła do okna i zaczęła wołać dziedzica.

I oto, zajrzawszy przez otwarte okno, zobaczyła straszliwy obraz: dziedzic leżał nawznak na podłodze, jasny szlafrok i biała koszula na piersiach były zalane krwią. Świeczka na stole jasno oświetliła krew i nieruchomą martwą twarz Fedora Pawłowicza. Marta Ignatjewna w najwyższem przerażeniu wybiegła z ogrodu, otworzyła zasuwę i co tchu pomknęła do sąsiadki, Marji Kondratjewnej. Obie sąsiadki, matka i córka, spały już coprawda, lecz rychło obudziły się na krzyki przeraźliwe i łomotanie Marty Ignatjewnej. Z krzykiem i piskiem zawiadomiła je o zbrodni i wezwała do pomocy. Przypadkiem tej nocy nocował w ogrodzie Tomasz. Natychmiast obudzono go, i wszyscy troje pobiegli na miejsce zbrodni. Po drodze Marja Kondratjewna zdążyła sobie przypomnieć, że o dziewiątej słyszała przeraźliwy i straszny jęk — był to zapewne krzyk Grzegorza w chwili, gdy uczepił się nogi siedzącego na parkanie Dymitra Fedorowicza i zawołał: „Ojcobójca". „Ktoś wrzasnął i naraz przestał" — mówiła w biegu Marja Kondratjewna. Przybywszy na miejsce, gdzie leżał Grzegorz, obie kobiety przy pomocy Tomasza przeniosły go do mieszkania. Zapalono światło; okazało się, że Smerdjakow wciąż jeszcze rzuca się konwulsyjnie na łóżku, z pianą na ustach. Głowę Grzegorza zmyto wodą z octem, poczem całkowicie oprzytomniał i odrazu zapytał: „Pan jest zabity czy nie?".

Wówczas dopiero obie kobiety i Tomasz poszli do Fedora Pawłowicza i stwierdzili, że nie tylko okno ale i drzwi są naroścież otwarte, wbrew zwyczajowi Fedora Pawłowicza, który od tygodnia zamykał się szczelnie na

noc i nawet Grzegorza nie wpuszczał do pokoju. Ujrzawszy otwarte drzwi, nikt z nich, ani kobiety, ani też Tomasz, nie odważył się wejść do pokoju „aby coś złego potem nie wyszło". Grzegorz kazał natychmiast biec po sprawnika. Marja Ignatjewna pobiegła i zaalarmowała sprawnika. W pięć minut potem zjawił się Piotr Iljicz, a zatem już nie z domysłami, lecz jako naoczny świadek, potwierdzający powszechne przypuszczenia co do osoby zabójcy. (Trzeba zaznaczyć, że sam Piotr Iljicz aż do tej ostatniej chwili wzbraniał się wierzyć w swoje domysły).

Postanowiono działać energicznie. Pomocnikowi komisarza polecono natychmiast wybrać czterech zdolnych strażników i wedle wszelkich zasad, których nie będę tu opisywał, zbadano teren zbrodni. Lekarz powiatowy z gorliwością nowicjusza sam się narzucił do towarzystwa, Powiem tylko pokrótce: Fedor Pawłowicz miał głowę roztrzaskaną, ale jakiem narzędziem? Zapewnie tem samem, którem ugodzony został Grzegorz. Rychło znaleziono je dzięki wskazówkom Grzegorza, którym odrazu zajął się lekarz, i który słabym i urywanym głosem opowiedział dosyć składnie wszystko co widział. Zaczęto więc szukać z latarka koło parkanu i w rzeczy samej znaleziono mosiężny tłuczek, leżący na dróżce na widocznem miejscu. W pokoju, w którym leżał Fedor Pawłowicz, nie zauważono specjalnego nieładu, tylko za zasłoną koło łóżka leżała na podłodze duża, kancelaryjnych rozmiarów koperta z trzema dużemi pieczęciami z laku i z napisem: „Prezencik z trzech tysięcy rubli dla anioła mego Gruszeńki, jeśli zechce przyjść", nadole był dopisek, zapewne późniejszy: „i kurczątka mego". Była rozdarta z boku i pusta, wewnątrz pieniędzy już nie było. Znaleziono również na podłodze czerwoną wstążeczkę, którą zapewne była przewiązana. Z zeznań Piotra Iljicza szczególnie piorunujące wrażenie wywarła na prokuratorze i sędzi wiadomość, że Dymitr Fedorowicz napewno zastrzeli się skoro świt, że pojechał z tem postanowieniem, że mówił o tem Piotrowi Iljiczowi, nabił w jego obecności pistolet, napisał odpowiednią karteczkę i do kieszeni schował i t. d., i kiedy Piotr Iljicz za-

powiedział, że pójdzie i doniesie komu, aby zapobiec samobójstwu, Mitia odrzekł z uśmiechem: „nie zdążysz".

Zatem należało corychlej mknąć do Mokrej i unieszkodliwić zabójcę, zanim się zastrzeli. „To rzecz jasna, to rzecz jasna! — powtarzał prokurator ogromnie podniecony — tacy narwańcy zawsze tak postępują: jutro się zastrzelę, a przed śmiercią hulaj duszo!" Opowieść o zakupach w sklepie jeszcze bardziej podnieciła prokuratora. „Pamiętacie, panowie, tego draba, który zabił kupca Ołsufiewa, zagrabił półtora tysiąca, poszedł do fryzjera, a potem, nie chowając nawet porządnie pieniędzy, trzymając je również prawie w ręku, poszedł do dziewczynek". Pędzić jednak nie można było, bo zatrzymywało śledztwo, rewizja w domu Fedora Pawłowicza i inne formalności. Wymagały one niestety, dłuższego czasu. Wobec tego o dwie godziny wcześniej wysłano do Mokrej „stanowego" Szmercowa, który tego dnia przybył właśnie do miasta po pensję. Dano mu instrukcję: nie czyniąc żadnego alarmu, śledzić „przestępcę", nie spuszczać go z oka aż do przybycia władz, pozatem rozstawić strażników i t. d.

Szmercow wybornie wywiązał się ze zlecenia, zachował incognito i tylko Tryfona Borysycza, starego swego znajomego, wtajemniczył poczęści w sprawę. Wtedy to właśnie Mitia, spotkawszy w sieni gospodarza, zauważył w nim jakąś zmianę. Ale ani Mitia ani nikt inny nie wiedział nic o zarządzonej obserwacji. Tryfon Borysycz był tak przezorny, że pudło z pistoletami dawno już zabrał i ukrył w jakimś zakamarku.

Dopiero o piątej rano przybyły władze: sprawnik, prokurator i sędzia śledczy nadjechali dwiema trójkami. Doktór zaś został w domu Fedora Pawłowicza, ponieważ miał rano dokonać sekcji zwłok, a pozatem bardzo się zainteresował stanem zdrowia Smerdjakowa. „Takie okrutne i długie ataki padaczki, powtarzające się nieustannie w ciągu dwuch dni, są niezmiernie rzadkie i powinny zainteresować badacza" — wytłomaczyć podniecony swoim partnerom, którzy gratulowali mu ze śmiechem rzadkiego nabytku. Prokurator i sędzia śledczy zapamiętali sobie, iż lekarz

orzekł z całą stanowczością, że Smerdjakow jutra nie dożyje.

Teraz po długiej, ale niezbędnej dygresji nawiązujemy do dalszego toku opowiadania.

III.

Włóczenie duszy po spytkach.

A zatem Mitia siedział i dzikiem wejrzeniem ogarniał przybyszów; słyszał ich ale nie rozumiał. Nagle podniósł się, podniósł ręce do góry i zawołał donośnie: — Nie ja jestem winien! Tej krwi nie jestem winien! Nie winien jestem przelewu krwi ojca mego... Chciałem zabić, ale nie jestem winien! Nie ja!

Ledwo zdążył to powiedzieć, wybiegła z za firanki Gruszeńka i rzuciła się sprawnikowi do nóg.

— To ja jestem winna! — zawołała rozdzierającym głosem, tonąc we łzach, wyciągając ku wszystkim ręce — to przeze mnie zabił! To ja go tak zadręczyłam i doprowadziłam do tego. Ja i tamtego staruszka-nieboszczyka biednego zadręczyłam ze złości swej, i do tego doprowadziłam! Ja jestem winna, ja pierwsza, ja główna winowajczyni!

— Tak, ty jesteś winna! Ty jesteś główną zbrodniarką! Ty wściekła rozpustnico, ty jesteś winna! — krzyknął sprawnik, grożąc jej pięścią.

Ale uspokojono go prędko i stanowczo. Prokurator objął go nawet wpół i odciągnął.

— To już zwyczajny chaos będzie, Michale Makarowiczu — zawołał — pan stanowczo przeszkadza śledztwu... popsuje pan wszystko... — rzekł zadyszany.

— Trzeba środki zaradcze, trzeba środki zaradcze, trzeba środki zaradcze! — denerwował się Mikołaj Partenowicz — inaczej to zupełnie niemożliwe!...

— Sądźcie nas oboje! — krzyczała nieprzytomnie Gruszeńka, stojąc wciąż na klęczkach. — Razem nas sądźcie, pójdę za nim bodaj na śmierć.

— Grusza, życie moje, krew moja, świętość moja! — Nie wierzcie jej, ona jest niewinna, zupełnie niewinna, zupełnie niewinna!

Pamiętał później, że odciągnęło go od niej przemocą kilku ludzi, że gdzieś ją wyprowadzono, i że, kiedy oprzytomniał, siedział już przy stole. Przy nim i za nim stali chłopi z blachami na piersiach — strażnicy. Naprzeciwko na kanapie siedział Mikołaj Partenowicz, sędzia śledczy, i zachęcał go wciąż do wypicia wody ze szklanki, która stała obok na stole: „To pana orzeźwi, to pana uspokoi, niech się pan nie lęka, niech się pan uspokoi" — mówił niezmiernie uprzejmie. Ale Mitię w tej chwili — jak sobie później przypomniał — ogromnie interesowały ciężkie pierścienie sędziego: jeden był z ametystem, a drugi z jasnożółtym, przezroczystym i pięknie połyskującym kamieniem. I długo jeszcze później ze zdziwieniem przypominał sobie Mitia, jak przez cały czas straszliwego badania nie mógł oderwać oczu od tych pierścieni, nie mógł o nich zapomnieć, mimo całej grozy sytuacji. Na lewo na miejscu, które na początku hulanki zajmował Maksymow, siedział teraz prokurator, zaś z prawej strony na krześle, na którem poprzednio siedziała Gruszeńka, zajął miejsce rumiany młodzieniec w myśliwskiej bardzo zniszczonej kurtce, kancelista sędziego śledczego. Sprawnik stał na drugim końcu pokoju, pod oknem obok Kałganowa, który siedział na krześle.

— Niechże pan się wody napije! — powtórzył miękko poraz dziesiąty sędzia śledczy.

— Wypiłem, panowie, wypiłem... ale... cóż, panowie, zgniećcie mnie, rozstrzygnijcie mój los! — zawołał Mitia, wraziwszy w sędziego nieruchome, wybałuszone oczy.

— A zatem utrzymuje pan stanowczo, że nie jesteś pan winien śmierci swego ojca, Fedora Pawłowicza? — zapytał sędzia miękko ale z naciskiem.

— Niewinien! Winien jestem, bo przelałem inną krew, krew innego starca, ale nie ojca mego. I opłakuję starca! Zabiłem, zabiłem starca, zabiłem i powaliłem... Ale ciężko odpowiadać za inną krew, straszną krew, której nie przelałem... Okropne oskarżenie, panowie, jakgdybyście mi

dali obuchem po głowie! Ale kto zabił ojca, kto zabił? Kto mógł zabić, jak nie ja? Absurd, cud, nieprawdopodobieństwo!...

— Tak, kto mógł zabić... zaczął sędzia, lecz prokurator Hipolit Kiryłowicz (właściwie podprokurator, ale dla wygody będziemy go również nazywać prokuratorem) zamieniwszy z nim porozumiewawcze spojrzenie, zwrócił się do Miti:

— Daremnie się pan niepokoi o starego Grzegorza Wasiljewa. Niechże pan wie, że on żyje, oprzytomniał i pomimo ciężkich obrażeń, które mu pan zadał, będzie zapewnie żył, tak przynajmniej orzekł lekarz.

— Żyje? A więc żyje! — wrzasnął Mitia, plasnąwszy w dłonie, z twarzą rozjaśnioną. — Boże, dziękuję Ci za największy cud; wysłuchałeś modlitwy mojej, modlitwy grzesznika!... Tak, tak. Bóg wysłuchał modlitwy mojej, modliłem się całą noc!...

Trzykrotnie się przeżegnał, wzruszony i zadyszany.

— I właśnie ów Grzegorz złożył świadectwo przeciwko panu... — ciągnął dalej prokurator.

Lecz Mitia zerwał sie z krzesła.

— Jedna chwilka, panowie, na miłość Boską, jedna chwilka; polecę do niej... — Pozwoli pan!

— W tej chwili nie można — pisnął nieomal Mikołaj Paretnowicz i również zerwał się na nogi. Mitię zatrzymali chłopi z blachami na piersiach; sam zresztą usiadł z powrotem...

— Panowie, jaka szkoda! Chciałem tylko do niej na jedną chwileczkę... chciałem jej oznajmić, że zmyta została, że znikła ta krew, która całą noc ssała mi serce, że nie jestem zabójcą! Panowie, przecież to moja narzeczona! — odezwał się nagle z nabożnym zachwytem, tocząc wokoło nieprzytomne spojrzenie. — O, dziękuję wam panowie! O, jakżeście mnie wskrzesili, jakżeście mnie ożywili w jednej chwili!... Ten starzec, przecież on mnie na rękach nosił, mył mnie w korytku, gdy w trzecim roku życia wszyscy mnie opuścili, był mi jako ojciec rodzony!...

— A zatem pan... zaczął sędzia śledczy.

— Pozwólcie, panowie, jeszcze jedną chwilkę — przerwał Mitia, umieściwszy łokcie na stole i ukrywszy twarz w dłoniach — pozwólcie mi na chwilę ogarnąć się, odetchnąć, panowie. To wszystko tak strasznie wstrząsa, tak strasznie, przecież człowiek to nie bęben, panowie!

— Proszę trochę wody... — mamrotał Mikołaj Partenowicz.

Mitia odwrócił twarz i roześmiał się. Spojrzenie jego było teraz śmiałe. I nie tylko spojrzenie: zmienił się jakoś cały w ciągu tej jednej chwili. Przybrał inny ton: siedział tu znowu jako równy z równymi, jako znajomy tych wszystkich panów, jakgdyby wszyscy razem siedzieli tu od wczoraj w znajomem towarzystwie. Istotnie byli to jego znajomi. Trzeba wiedzieć, że zaraz po przyjeździe Mitia często bywał u sprawnika, cieszył się nawet jego sympatją, ale później, zwłaszcza w ostatnim miesiącu, przestał go odwiedzać. Zauważył nawet, że Michał Makarowicz przy spotkaniu na ulicy chmurzy się i niechętnie odpowiada na ukłon. Prokuratora znał dosyć słabo, natomiast żonę prokuratora, nerwową i fantastyczną damę, od czasu do czasu odwiedzał, sam zresztą nie wiedząc czemu; faktem jest, że przyjmowała go zawsze chętnie i interesowała się nim aż do ostatniego czasu. Zaś z sędzią śledczym nie zdążył jeszcze zawrzeć ściślejszej znajomości, ale spotykał się z nim i rozmawiał nawet raz czy dwa razy na temat kobiet.

— Pan, Mikołaju Partenowiczu, jest, jak widzę, szczwanym sędzią śledczym — roześmiał się wesoło Mitia— ale ja sam panu pomogę. O, panowie, jestem wskrzeszony... i nie bierzcie mi za złe, że tak prosto i poufale do was się zwracam. Na dobitkę jestem cokolwiek pijany, wyznam to szczerze. Zdaje się, że miałem zaszczyt... zaszczyt i przyjemność spotykać pana, Mikołaju Partenowiczu, u krewnego mego Miusowa... Panowie, panowie, nie pretenduję do równości, ja przecież rozumiem, kim ja jestem teraz wobec was, panowie. Ciąży na mnie, o ile Grzegorz świadczył przeciwko mnie, ciąży na mnie straszne podejrzenie! Okropieństwo, okropieństwo — ja to rozumiem. Ale do rzeczy, panowie, jestem gotów i w jednej chwili wszystko

załatwimy, bo słuchajcie, słuchajcie, panowie. Wszak jeżeli wiem, że jestem niewinien, to przecież, oczywiście, w mig to wszystko załatwimy! Prawda? Prawda?

Mitia mówił prędko, nerwowo i ekspansywnie; zwracał się do nich jak do najlepszych swych przyjaciół.

— A zatem chwilowo zapiszemy, że pan radykalnie zaprzecza oskarżeniu — odezwał się Mikołaj Partenowicz z powagą i, zwróciwszy się do sekretarza, podyktował mu treść protokułu.

— Zapisać? Chcecie to zapisać? Cóż, zapisujcie! Cóż, zapisujcie, zgoda, macie moją zgodę, panowie... Tylko że widzicie... Poczekajcie, poczekajcie, zapiszcie tak: winien jest burd i, winien jest pobicia starca. Ano jeszcze tam wewnętrznie, w głębi swego serca jest winien — ale tego nie trzeba pisać (zwrócił się do sekretarza) to już moje prywatne życie, panowie, to już was nie dotyczy, to głębie serca... Ale zabójstwa swego starego ojca — nie jestem winien! Co za dzika myśl! To zupełnie dzika myśl!.. Dowiodę wam i przekonacie się odrazu. Będziecie się śmiać, panowie, sami będziecie się śmiać ze swego posądzenia!

— Niech się pan uspokoi, Dymitrze Fedorowiczu — upominał go sędzia śledczy, jakgdyby spokojem swym chciał opanować egzaltowanego Dymitra Fedorowicza. — Zanim przystąpimy do dalszych okoliczności, chciałbym — o ile pan się zgodzi na to odpowiedzieć, — aby pan zechciał mi potwierdzić ten fakcik, że jak się zdaje, nie lubił pan nieboszczyka Fedora Pawłowicza i stale się z nim o coś wadził... Tu przynajmniej, kwadrans temu, raczył pan, zdaje się, powiedzieć, że nawet chciał go pan zabić. „Nie zabiłem" wołał pan „ale chciałem zabić!"

— Czy naprawdę tak zawołałem? Och, bardzo być może, panowie! Tak, na nieszczęście, chciałem go zabić, wiele razy obiecałem... na nieszczęście, na nieszczęście!

— Chciał pan! Czy nie zechce pan wyjaśnić, jakie były powody takiej nienawiści względem osoby pańskiego ojca nieboszczyka?

— Co tu wyjaśniać, panowie! — wzruszył ramionami Mitia, posępnie opuszczając oczy. — Nie ukrywałem przecież swoich uczuć, całe miasto o tem wie — wszyscy wiedzą w szynku. Jeszcze niedawno w monasterze oświadczyłem w celi starca Zosimy... Tego dnia biłem i o mało nie zabiłem ojca, i przysięgłem, przy świadkach, że jeszcze wrócę i zabiję... O tysiąc świadków! Cały miesiąc wrzeszczałem, wszyscy mogą świadczyć!... Fakt oczywisty, fakt mówi, krzyczy, ale uczucie, panowie, uczucie to insza rzecz. Widzicie, panowie (Mitia zasępił się) zdaje się, że nie macie prawa badać moich uczuć. Chociaż jesteście powołani, ja to pojmuję, ale to moja rzecz, moja wewnętrzna rzecz, intymna ale... panowie, ponieważ nie ukrywałem moich uczuć poprzednio, w knajpie naprzykład, i o wszystkiem opowiadałem, to... i teraz nie zrobię z tego tajemnicy... Widzicie panowie, przecież pojmuję, że w tym wypadku są na mnie straszne poszlaki — wszystkim mówiłem, że go zabiję, i nagle go zabito: któż więc jak nie ja? Cha-cha! Wybaczam wam, panowie, najzupełniej wybaczam. Sam jestem spiorunowany do epidermy, bo kto go w istocie w takim razie zabił, jeśli nie ja? Prawda? Jeśli nie ja, to kto, kto? Panowie — zawołał naraz — chcę wiedzieć, wymagam tego od was, panowie, gdzie go zabito? Jak go zabito, czem i jak? Powiedzcie mi? — zapytał, spoglądając po kolei na prokuratora i sędziego.

— Znaleźliśmy leżącego na wznak na podłodze, w gabinecie, z rozbitą głową — odrzekł prokurator.

— To straszne, panowie! — wzdrygnął się nagle Mitia i zasłonił twarz lewą ręką.

— Idźmy dalej — przerwał Mikołaj Partenowicz. — A zatem, jaki był powód tego uczucia nienawiści? Zdaje się, mówił pan publicznie, że uczucie zazdrości?

— Ano tak, zazdrość i nie tylko zazdrość.

— Spór o pieniądze?

— Ano tak, o pieniądze.

— Zdaje się, że chodziło o trzy tysiące, które należały sie jeszcze panu ze spadku?

— Jakie tam trzy! Więcej, o wiele więcej — obruszył się Mitia. — Więcej niż sześć, nawet więcej niż dziesięć. Wszystkim to mówiłem, krzyczałem nagłos! Ale zdecydowałem się i na trzy tysiące. Nieodzownie potrzebowałem tych trzech tysięcy... to też paczkę z trzema tysiącami, która, jak wiedziałem, leżała pod jego poduszką, przygotowana dla Gruszeńki, uważałem jakby za swoją własność, panowie, jak za swoje, które mi niejako był ukradł...

Prokurator zamienił porozumiewawcze spojrzenie z sędzią i zdążył mrugnąć nieznacznie.

— Wrócimy do tego — odezwał się natychmiast sędzia — a teraz pozwoli pan zapisać ten punkcik: że uważał pan te pieniądze w kopercie jakgdyby za swoją własność.

— Piszcie, panowie, wszak rozumiem, że i to jest poszlaką, ale ja się nie boję poszlak i sam przeciw sobie świadczę. Słyszycie, ja sam! Widzicie, panowie, zdaje się, uważacie mnie za innego człowieka, niż jestem w rzeczywistości — dodał naraz markotnie i posępnie. — Z wami rozmawia szlachetna osoba, arcyszlachetna osoba, a zwłaszcza— bierzcie to pod uwagę — człowiek, który narobił moc podłości, ale mimo to zawsze był i pozostał arcyszlachetną istotą, wewnętrznie, w głębi, ano słowem, nie umiem się wyrazić... Właśnie to było męką mego życia, że zawsze łaknąłem szlachetności, że byłem, że tak rzeknę, męczennikiem szlachetności, poszukiwaczem szlachetności z latarką, z latarką Diogenesa, a jednak całe życie robiłem tyle świństwa, jak i wy wszyscy panowie, jak ja sam, panowie, nie wszyscy tylko ja, omyliłem się, ja sam, ja sam!... Panowie, głowa mnie boli — dodał marszcząc czoło — widzicie, nie podobała mi się jego powierzchowność, coś haniebnego, podeptanie wszelkiej świętości, szyderstwo i niewiara, szkaradnie! Ale teraz, kiedy umarł, myślę inaczej.

— Jakto inaczej?

— Nie inaczej, ale ubolewam, że go tak nienawidziłem.

— Czuje pan skruchę?

— Nie, nie skruchę właściwie, tego nie zapisujcie. — Sam nie jestem dobry, sam nie jestem piękny, a przeto nie miałem prawa uważać go za wstrętnego. To, proszę, możecie zapisać.

Co rzekłszy, Mitia nagle ogromnie posmutniał. W miarę badania wpadał w coraz większe przygnębienie. I nagle w tej samej chwili zaszła niespodziewana scena. Gruszeńkę umieszczono niezbyt daleko, bo w trzecim pokoju. Była to mała ciupka o jednem okienku, przylegająca do salonu, gdzie przedtem odbywały się tańce. Siedziała tu z Maksymowym, który strasznie stchórzył i przylgnął do niej, jakby szukając u niej ratunku. We drzwiach stał chłop z blachą na piersiach. Gruszeńka płakała i nagle, nie mogąc już dłużej znieść męki, skoczyła na nogi, plasnęła w dłonie i, lamentując: „niedolo moja, niedolo!" wybiegła z pokoju do niego, do swego Miti, tak porywczo, tak raptownie, że nikt nie zdążył jej zatrzymać. Mitia zaś, usłyszawszy jej lament, zadrżał, skoczył, jęknął i nieprzytomnie rzucił się ku niej. Ale nie pozwolono im się spotkać w uścisku. Miti skrępowano ręce: szarpał się, szamotał, i dopiero trzech, czy czterech ludzi zdołało sobie z nim poradzić. Zatrzymano również Gruszeńkę; Mitia widział, jak krzycząc rozpostarła ku niemu ręce, i jak ją odciągano. Scena wreszcie dobiegła końca. Kiedy się znowu opamiętał, siedział na poprzedniem miejscu naprzeciw sędziego, i wykrzykiwał:

— Co macie do niej? Czemu się nad nią znęcacie? Ona jest niewinna, niewinna!...

Prokurator i sędzia starali się go uspokoić. Upłynęło dziesięć minut, wreszcie wrócił Michał Makarowicz i wzburzony zwrócił się na głos do prokuratora:

— Wyprowadzono ją, jest teraz na dole. Czy pozwolicie mi, panowie, powiedzieć jedno słówko nieszczęśliwemu człowiekowi? Przy was, panowie, przy was!

— Ależ proszę bardzo, Michale Makarowiczu — odpowiedział sędzia — w danej chwili nie mamy nic przeciwko temu.

— Dymitrze Fedorowiczu, posłuchaj, bracie — zaczął Michał Makarowicz, zwracając się ku Miti, i cała jego wzburzona twarz tchnęła gorącą ojcowską nieomal litością— sprowadziłem twoją Agrafenę Aleksandrownę na dół i zleciłem ją opiece córek gospodarza. Pozatem jest tam przy niej ten staruszek Maksymow. Uspokoiłem ją — słyszysz ty? — uspokoiłem i wyperswadowałem, że musisz się oczyścić z posądzenia, że nie powinna ci przeszkadzać, nie powinna denerwować, bo jeszcze tylko sam sobie zaszkodzisz, rozumiesz? Ano, słowem namawiałem ją, i ona wszystko zmiarkowała. To bracie, mądra kobieta, zacna jest, chciała mnie po rękach całować, wstawiała się za tobą. Sama kazała mi powiedzieć tobie, żebyś był o nią spokojny, a teraz muszę, kochanie, wrócić do niej i zapewnić ją, że uspokoiłeś się i pocieszyłeś. Więc uspokój się, zechciej mnie zrozumieć. Zawiniłem względem niej, to dusza chrześcijańska, tak panowie, pokorna dusza i zupełnie niewinna. Więc co mam jej powiedzieć, Dymitrze Fedorowiczu, będziesz siedział spokojnie, czy nie?

Poczciwiec nagadał wiele zbytecznych rzeczy, ale rozpacz ludzka, rozpacz Gruszeńki przejęła go do głębi, i nawet łzy zakręciły mu się w oczach. Mitia skoczył i rzucił się ku niemu.

— Wybaczcie, panowie, pozwólcie, o pozwólcie! — zawołał — Anielska, anielska ty duszo, Michale Makarowiczu, dziękuję za nią! Będę, będę spokojny, będę wesoły, powiedz-że jej z dobroci swej bezgranicznej, że jestem wesół, wesół, nawet zaraz zacznę się śmiać, wiedząc, że ma przy sobie takiego anioła stróża jak pan. Zaraz wszystko zakończymy, i skoro tylko się uwolnię, natychmiast do niej pobiegnę, niechże tam na mnie czeka!

— Panowie — zwrócił się do prokuratora i sędziego— teraz duszę swoją całą odsłonię, wszystko powiem, zaraz to skończymy, skończymy wesoło i w końcu wszyscy się śmiać będziemy, prawda? Ale, panowie, ta kobieta to królowa mej duszy! O, pozwólcie mi to powiedzieć, ja wam to powiem... Widzę, panowie, że jestem w towarzystwie arcyszlachetnych ludzi: to świat mój, to świętość moja, i gdy-

byście tylko wiedzieli! Słyszeliście jej krzyki: „z tobą na śmierć!" I cóż ja jej dałem, ja nędzarz, golec, za co taka miłość do mnie, czy wart jestem, ja, niezdarna, haniebna kreatura, z haniebną twarzą. Czy wart jestem takiej miłości, aby ze mną iść dzielić katorgę? To za mnie rzuciła się wam do nóg, ona, dumna i niewinna! Jakże mógłbym jej nie ubóstwiać, nie ryczeć, nie rwać się do niej jak poprzednio? O, panowie, wybaczcie! Ale teraz, teraz jestem pocieszony.

Osunął się na krzesło i, ukrywszy twarz w rękach, zapłakał głośno. Ale były to łzy szczęścia. Rychło się opamiętał. Stary sprawnik był bardzo zadowolony, podobnie zresztą i obaj prawnicy: poczuli, że badanie wchodzi w nową fazę. Odprowadziwszy sprawnika do drzwi, Mitia prawie się rozweselił.

— Teraz, panowie, jestem do waszego rozporządzenia. I... gdyby nie te drobiazgi, tobyśmy się odrazu zmówili. Ja znowu o drobiazgach. Jestem do waszego rozporządzenia, panowie, ale doprawdyż, musi tu być wzajemne zaufanie — wasze do mnie i moje do was — bo inaczej nigdy nie skończymy. Mówię to dla dobra panów. Do rzeczy, panowie, do rzeczy, i rzecz najważniejsza, nie grzebcie się panowie tak w mojej duszy, nie dręczcie jej błahostkami, pytajcie się tylko o fakty, a zadowolę was w zupełności. Do djabła z drobiazgami.

Tak wołał Mitia. Badanie znowu się rozpoczęło.

IV.

DALSZE SPYTKI.

— Nie uwierzy pan, jak pan nas ucieszył swoją gotowością... — zaczął Mikołaj Partenowicz z ożywieniem i widoczną radością, skrzącą w jego dużych jasno szarych, wyłupiastych, bardzo krótkowzrocznych oczach, z których przed chwilą zdjął okulary. — I słusznie to pan zauważył, że nie można w tak ważnych sprawach obejść się bez wza-

jemnego zaufania, w tym oczywiście wypadku, gdy posądzona osoba istotnie chce, tuszy sobie i potrafi oczyścić się z podejrzenia. Ze swej strony zrobimy w tym kierunku wszystko, co w naszej mocy, i sam pan zresztą mógł się przekonać teraz, jak prowadzimy tę sprawę.

...Aprobuje mnie pan, Hipolicie Kiryłowiczu? — zwrócił się do prokuratora.

— O, bezwątpienia — pochwalił prokurator, chociaż cokolwiek oschle w zestawieniu z porywem Mikołaja Partenowicza.

Stwierdzę raz na zawsze: Mikołaj Partenowicz odrazu po przyjeździe do naszego miasta poczuł do Hipolita Kiryłowicza, prokuratora, niezwykłą sympatję, połączoną z szacunkiem. Był to może jedyny człowiek, który bez zastrzeżeń wierzył w niezwykły psychologiczny i oratorski talent naszego „skrzywdzonego i pominiętego w karjerze służbowej" Hipolita Kiryłowicza, i w dodatku wierzył święcie w to skrzywdzenie i pominięcie. Słyszał zaś o nim, będąc jeszcze w Petersburgu. Nawzajem, młodziutki Mikołaj Partenowicz był bodaj jedyną istotą w świecie, którą nasz „pominięty i skrzywdzony" prokurator pokochał szczerze. Otóż w drodze do Mokrej zdążyli się umówić co do sposobu badania, dzięki czemu pojętny umysł Mikołaja Partenowicza chwytał w lot i rozumiał każde słówko, każde mrugnięcie starszego kolegi.

— Panowie, pozwólcie mi tylko samemu opowiedzieć i nie przerywajcie mi głupstewkami — denerwował się Mitia.

— Wybornie, dziękuję panu. Ale zanim przejdziemy do pańskiego sprawozdania, pozwoli mi pan stwierdzić jeszcze jeden fakcik, bardzo nas interesujący, mianowicie, że wczoraj o piątej popołudniu pożyczył pan dziesięć rubli pod zastaw pistoletów od przyjaciela swego Piotra Iljicza Perchotina.

— Pożyczyłem, panowie, pożyczyłem, dziesięć rubli, i cóż z tego? Gdy tylko wróciłem do miasta, wykupiłem zastaw.

— Wrócił pan do miasta? A zatem wyjeżdżał pan dokąd?

— Wyjeżdżałem, panowie, byłem w czterdziestu wiorstach od miasta, a panowie nie wiedzieli?

Prokurator i Mikołaj Partenowicz spojrzeli po sobie.

— Wogóle, gdyby pan opowiedział nam systematycznie przebieg dnia wczorajszego, od samego rana? Pozwoli pan naprzykład: poco pan wyjeżdżał z miasta, i kiedy pan wyjechał i wrócił... i wszystkie fakty.

— Trzeba było odrazu o to spytać — roześmiał się Mitia — i jeżeli chce pan, to należałoby rozpocząć nie od wczorajszego dnia, ale od trzech lat temu. Zrozumielibyście panowie dokąd i jak i poco poszedłem i wyjechałem. A poszedłem, panowie, dwa dni temu, rano do tutejszego kupca Samsonowa, chciałem pożyczyć od niego trzy tysiące rubli pod pewną gwarancję. — Nagle mnie przyparło, nagle przyparło....

— Pozwoli pan, że mu przerwę — wtrącił uprzejmie prokurator — pocóż panu nagle potrzebne były pieniądze i akurat taka kwota, to znaczy trzy tysiące rubli?

— O, panowie, lepiej nie ruszać drobiazgów: jak, kiedy, poco, i dlaczego tyle, a nie tyle i cała ta babranina... wszak tego w trzech tomach nie spiszesz, trzeba będzie jeszcze dodać epilog!

Wypowiedział to wszystko z dobroduszną, lecz niecierpliwą poufałością człowieka, który ma najlepsze zamiary i pragnie wyznać całą prawdę.

— Panowie, — połapał się nagle — jesteście źli na mnie z powodu mojej krnąbrności; znowu was proszę: uwierzcie jeszcze raz, że czuję i rozumiem waszą sytuację. Nie myślcie, że jestem pijany. Zupełnie już wytrzeźwiałem. I nie szkodziłoby wcale, gdybym nawet był pijany. Ze mną to jak wiecie:

Wytrzeźwiał, zmądrzał i całkiem zbaraniał.

Upił się, zbaraniał i znowu zmądrzał.

Cha-cha! A zresztą, widzę, panowie, że chwilowo nieprzyzwoicie jest dowcipkować, chwilowo, póki nie wyjaśnimy sprawy. Pozwólcie mi zachować godność osobistą. Rozumiem przecie obecną różnicę: wszak jestem dla was przestępcą, a zatem w najwyższym stopniu nierówny,

zwłaszcza wam, którzy jesteście powołani do sądzenia: przecież nie pogłaskacie mnie po główce za Grzegorza, nie można przecie bezkarnie rozbijać głowy starcom; tak, wlepicie mi za niego rok czy pół roku twierdzy, nie wiem, jaka zato kara, chyba się praw nie pozbawia, prokuratorze? Ano więc, panowie, pojmuję obecną różnicę... Zgódźcie się, że przecież samego Pana Boga moglibyście zbić z tropu takiemi pytaniami: a gdzieś szedł, a jak szedłeś, a kiedy szedłeś i po co? Wszak muszę bezwarunkowo wszystko poplątać, a wy odrazu to na papier, więc co z tego wyniknie, panowie? Nic nie wyniknie. I zresztą, jeśli już zacząłem teraz kłamać, to już skończę, zaś wy panowie, jako bardzo wykształceni i szlachetni ludzie, przebaczycie mi. Słowem kończę prośbą: odzwyczajcie się panowie od tego papierowego biurokratycznego badania, że to niby z początku należy zaczynać od drobiazgów: jak wstał, co zjadł, jak splunął, gdzie splunął, i „uśpiwszy czujność przestępcy" złapać go oszołamiającem zapytaniem: „kogo zabiłeś, kogo okradłeś?" Che-che! Wszak to są wasze fachowe prawidła, wasze finty, na tem polega wasza przebiegłość! Usypiajcie chłopów taką przebiegłością, a nie mnie. Ja przecież rozumiem się na tem, sam służyłem, cha-cha-cha! Nie gniewajcie się, panowie, wybaczcie mi śmiałość — krzyknął spoglądając na nich z zadziwiającą w tych warunkach dobrodusznością. — Wszak Mitia Karamazow to powiedział, a więc można mu wybaczyć, bo mądremu człowiekowi nie wolno, ale Mitce wolno! Cha-cha-cha!

Mikołaj Partenowicz słuchał i wtórował mu śmiechem. Prokurator nie śmiał się i nie spuszczał oka z Miti, jakgdyby nie chciał przepuścić najmniejszego słówka, najmniejszego ruchu, najmniejszego drgnienia najdrobniejszego rysu jego twarzy.

— Myśmy jednak tak właśnie z panem zaczęli — odezwał się, nie przestając się śmiać, Mikołaj Partenowicz— nie peszyliśmy pana pytaniami: jak pan wstał i co zjadł, ale rozpoczęli odrazu od rzeczy najważniejszych.

— Pojmuję, pojąłem i oceniłem, i jeszcze bardziej cenię dobroć pańską, bezprzykładną, godną najszlachetniej-

szej duszy. Zebraliśmy się tu w trójkę, trzej szlachetni ludzie, i niech już tak będzie nadal między nami to wzajemne zaufanie wykształconych panów, związanych szlachetnem pochodzeniem i honorem. W każdym razie pozwólcie mi uważać was, panowie, za najlepszych moich przyjaciół w tej chwili mego życia, w chwili poniżenia mojej czci! Przecież to was nie obraża, panowie, nie obraża?

— Wręcz przeciwnie, pan to bardzo pięknie wyraził, Dymitrze Fedorowiczu — poważnie i zachęcająco potwierdził Mikołaj Partenowicz.

— A drobiazgi, panowie, wszystkie te drobne haczyki — precz — zawołał z entuzjazmem Mitia — Bo — inaczej djabli wiedzą, co z tego wyniknie, prawda?

— Całkowicie zastosuję się do pańskiej rozsądnej rady — wtrącił naraz prokurator, zwracając się do Miti — ale nie zrezygnuję z mego pytania. Istotnie musimy wiedzieć, naco panu była potrzebna taka kwota, to znaczy właśnie te trzy tysiące rubli?

— Naco była potrzebna? Ano, na to, na tamto... ano, aby dług zwrócić.

— Komu?

— Stanowczo odmawiam odpowiedzi na to pytanie, panowie! Widzicie, nie dlatego, że nie mogę odpowiedzieć, albo że nie śmiem, albo boję się, wszystko to splunięcia warte, lecz dlatego nie powiem, że tu jest zasada: tu zaczyna się moje prywatne życie i nie pozwolę wdzierać się do prywatnego życia. Oto moja zasada. Pytanie nie odnosi się do sprawy, zaś wszystko co nie odnosi się do sprawy, jest mojem prywatnem życiem! Chciałem dług zwrócić, dług honorowy zwrócić, a komu nie powiem.

— Pozwoli pan to zapisać — rzekł prokurator.

— Proszę bardzo. Niechże pan zapisze: że nie powiem. Piszcie panowie, że poczytałbym to sobie za dyshonor — mówić coś podobnego. Ech, macie wiele czasu, możecie zapisywać!

— Pozwoli pan, szanowny panie, uprzedzić pana i jeszcze raz przypomnieć, o ile panu wiadomo—odezwał się prokurator szczególnie surowym tonem — że przysługuje

panu pełne prawo nie odpowiadać na nasze pytania, my zaś, naodwrót nie mamy żadnego prawa wymagać od pana odpowiedzi, jeśli pan z tego czy innego powodu odmawia zenań. To już według pańskiego uznania. Ale rzeczą naszą jest zwrócić uwagę pana i wyjaśnić, jak bardzo pan sobie sam szkodzi, odmawiając nam odpowiedzi. A teraz proszę, niech pan dalej mówi.

— Panowie, ja przecież się nie gniewam... ja... bełkotał Mitia, stropiony tonem prokuratora — otóż, widzicie, panowie, Samsonow, do którego ja wówczas się zwróciłem...

Nie będziemy przytaczali szczegółowo zeznań Miti, bo czytelnik zna już wypadki, z których zdawał sprawę. Z dziwnem zniecierpliwieniem chciał wszystko opowiedzieć naraz, nie przepuszczając najmniejszego szczegółu, a jednocześnie bardzo się spieszył. Lecz że zapisywano jego zeznania, więc trzeba go było wielokrotnie zatrzymywać. Dymitr Fedorowicz sarkał, ale był posłuszny; gniewał się chwilowo jeszcze dosyć dobrodusznie. Niekiedy wołał: „Panowie, to może samego Pana Boga wściec" albo „Panowie, czy wiecie, że mnie tylko niepotrzebnie denerwujecie?", lecz mimo te okrzyki, nie tracił przyjaźnie ekspansywnego tonu. W ten sposób opowiedział, jak go Samsonow „nabił w butelkę" (Domyślił się już teraz, że go Samsonow był oszukał), jak spławił zegarek za sześć rubli — szczegół, którego prokurator i sędzia nie znali jeszcze i który wysłuchali z niezmierną uwagą. Co więcej ku najwyższemu oburzeniu Miti, uznali za stosowne zapisać szczegółowo ten fakt, jako jeszcze jeden dowód, że oskarżony nie miał rano pieniędzy. Mitia pomału posępniał. Opowiedziawszy przygodę swoją z Legawym i powrót do miasta, zaczął sam, bez zachęty, szczegółowo opisywać męki swoje i zazdrość o Gruszeńkę. Słuchano go w skupionem milczeniu, szczególną uwagę zwrócono na to, że miał swój punkt obserwacyjny „na tyłach" w ogrodzie Marji Kondratjewnej, i że informował go o wszystkiem Smerdjakow: wszystkie te szczegóły kazano zapisać sekretarzowi. O zazdrości swojej mówił z zapałem i drobiazgowo i, chociaż wewnętrznie wstydził się, że wystawia „na powszechną hańbę" najbardziej

intymne uczucia, przemógł wstyd, chcąc powiedzieć całą prawdę. Lecz w końcu poczęła go drażnić obojętna surowość utkwionych w nim przez cały czas spojrzeń prokuratora i sędziego.

„Ten chłystek, Mikołaj Partenowicz, z którym dopiero kilka dni temu gadaliśmy głupstwa o kobietach i ten zdechlak prokurator nie są warci, abym im to opowiadał" — pomyślał ze smutkiem „hańba"! „Cierp, ukórz się i milcz" — zakończył myśl swoją wierszem, i znowu się przemógł i dalej zeznawał. Opowiadając o wizycie swej u pani Chochłakow, zawrzał gniewem i zamierzał przytoczyć o tej paniusi niedawną anegdotę, nie mającą jednak nic wspólnego ze sprawą; lecz sędzia śledczy przerwał i uprzejmie poprosił o pominięcie nieistotnych dygresyj. Mitia zaczął opisywać stan swego ducha, rozpacz swoją po wyjściu od Chochłakowowej, i nawet myśli swe przytoczył: „choćby przyszło kogo zarznąć, ale trzeba wytrzasnąć te trzy tysiące rubli".

W tem miejscu zatrzymano go znowu, zapisano że „zarznąć chciał". Mitia milczał, pozwolił zapisać. Wreszcie doszedł do momentu, kiedy dowiedział się o podstępie Gruszeńki, o tem, że niedługo bawiła u Samsonowa, aczkolwiek zapowiedziała, że będzie do północy: „Jeżeli, panowie, nie zabiłem wówczas Feni, to tylko dlatego, że nie miałem czasu" — wyrwało mu się nagle, co również skrzętnie zapisano. Mitia posępnie przeczekał pauzę, poczem zaczął opowiadać, jak pobiegł do ogrodu ojca — ale w tej chwili przerwał mu sędzia i, otworzywszy swoją teczkę, leżącą na kanapie, wyjął mosiężny tłuczek.

— Czy zna pan ten przedmiot? — pokazał Miti.

— Ach, tak! — uśmiechnął się Mitia ponuro — jakże nie znać! Pozwólcie obejrzeć.. Do djabła, nie trzeba!

— Zapomniał pan o nim powiedzieć — zauważył sędzia.

— A do djabła! Nie ukryłbym przed panami, musiałbym i tak powiedzieć, jak panowie myślicie? Ulotniło się z pamięci.

— Zechce pan zatem szczegółowo opowiedzieć, skąd pan to wziął.

— Proszę bardzo, panowie.

I Mitia opowiedział, jak wziął tłuczek i wybiegł na ulicę.

— Ale co pan miał na celu, uzbrajając się w ten przedmiot?

— Co na celu! Chwyciłem i wybiegłem.

— Pocóż właściwie, jeżeli bez celu?

Mitia zżymał się ze złości i oburzenia. Uważnie spojrzał na „chłystka" i uśmiechnął się posępnie, ze złością. Albowiem ogarniał go coraz większy wstyd, że tak szczerze i z takiem wylaniem opowiedział „takim ludziom" historję swej zazdrości.

— Gwiżdżę sobie na tłuczek!—wyrwało mu się nagle.

— A jednak.

— Ano, aby psy w razie czego odpędzić. Ano, mrok... Ano, na wszelki wypadek.

— A czy dawniej, wychodząc w nocy z domu, uzbrajał się pan również, skoro się pan tak lęka ciemności?

— Do djabła, tfu! Panowie, z wami literalnie nie można mówić! — zawołał Mitia do najwyższego stopnia rozdrażniony, i obróciwszy się ku pisarzowi z gniewem, z jakąś histeryczną nutką w głosie zawołał porywczo: — Zapisz natychmiast... natychmiast... „że chciałem tłuczkiem ojca mego zabić... Fedora Pawłowicza... uderzeniem w głowę!". Ano kontenci jesteście teraz, panowie? Ulżyło wam? — rzekł, patrząc z wyzwaniem na sędziego i prokuratora.

— Rozumiemy doskonale, że złożył pan to zeznanie pod wpływem irytacji, czując się obrażonym naszemi pytaniami, które wydają się panu błahe, a które w rzeczywistości są bardzo istotne — odezwał się prokurator oschłym tonem.

— Ależ zlitujcie się, panowie! Ano, wziąłem tłuczek... Ano poco się łapie w takich razach pierwszy lepszy przedmiot? Bo ja wiem poco. Chwyciłem i wybiegłem. I to wszystko. Wstydzilibyście się, panowie, passons, bo przysięgam, że przestanę opowiadać!

Oparł się łokciami na stole i spuścił głowę na ręce.

Siedział do nich bokiem i spoglądał na ścianę, usiłując przemóc w duszy złe uczucia. Bo chciało mu się wstać i oświadczyć wręcz, że nie powie ani słówka więcej „choćby go skazano na śmierć".

— Widzicie, panowie, — podjął naraz, przemagając się z trudem — widzicie. Słucham was i mży mi się... widzicie, miewam często pewien sen... Pewien taki sen, często mi się śni, powtarza się, — że mianowicie ktoś za mną biegnie, goni mnie ktoś, kogo strasznie się lękam, goni w ciemnościach, w nocy, szuka mnie, a ja chowam się za drzwiami, za szafą, chowam się haniebnie, i, co najważniejsza, przecież on wie doskonale, gdzie się schowałem, ale jakby umyślnie udaje, że nie wie, gdzie siedzę, żeby dłużej mnie męczyć, żeby napawać się moim strachem... Wszak to i wy teraz tak sobie ze mną postępujecie! Zupełnie jak we śnie!

— Miewa pan takie sny? — zapytał prokurator.

— Tak, miewam takie sny... Czy nie chce pan zapisać? — wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Nie, zapisać to nie, ale swoją drogą ciekawe są te sny pana.

— Teraz już nie sen! Realizm, panowie, realizm rzeczywistego życia! Jestem wilkiem, panowie myśliwi, ano tropcie wilka.

— Niesłusznie pan robi takie porównanie... — zaczął bardzo łagodnie Mikołaj Partenowicz.

— A owszem, słusznie, bardzo słusznie! — uniósł się znowu Mitia, lecz, rozbroiwszy swój gniew, począł z każdym słowem łagodnieć. — Możecie nie wierzyć przestępcy czy posądzonemu, zadręczonemu waszemi pytaniami, lecz arcyszlachetnemu człowiekowi, panowie, arcyszlachetnym porywom duszy (wołam to śmiało) — nie — nie możecie nie wierzyć... nawet prawa nie macie... lecz:

Milcz serce,
Cierp i ukórz się i milcz!

— Cóż, mówić dalej? — zapytał posępnie.

— A jakże, prosimy bardzo — zachęcił Mikołaj Partenowicz.

V.

I wciąż spytki.

Mitia zaczął tym razem surowym tonem, ale jeszcze bardziej starał się nie zapomnieć i przepuścić żadnego szczegółu. Opowiedział więc, jak przeskoczył przez parkan, jak szedł do okna i jak się schował pod oknem. Jasno, dokładnie, jakby odmierzając każde słowo, opowiedział, co odczuwał w tych chwilach, kiedy stał pod oknem, chcąc za wszelką cenę dowiedzieć się, czy Gruszeńka jest u ojca. Rzecz dziwna: prokurator i sędzia słuchali go tym razem z wyjątkową rezerwą, spoglądali oschle, zadawali o wiele mniej pytań. Mitia nic nie mógł wywnioskować z ich min. „Rozgniewali się i obrazili na mnie" — pomyślał — „ano do djabła z nimi!" Opowiedział następnie, jak postanowił wreszcie dać ojcu *znak*, że przyszła Gruszeńka, aby stary otworzył okno, lecz ani prokurator ani sędzia nie zwrócili żadnej uwagi na słowo „znak" jakgdyby nie rozumieli jego znaczenia, co nawet Mitia odrazu zauważył. Zeznawszy wreszcie, jak na widok ojca, który wysunął głowę, uniósł się nienawiścią i wyciągnął z kieszeni tłuczek, przerwał jakby umyślnie. Siedział i spoglądał na ścianę, wiedząc, że sędziowie wpijają się weń oczyma.

— I co? — odezwał się wreszcie sędzia śledczy — wyciągnął pan broń i... cóż po tem zaszło?

— Potem? A potem zabiłem... uderzyłem go w ciemię i rozłupałem czerep... Przecież tak jest wedle was — tak! — krzyknął, rzucając groźne błyskawice.

Cały ostygły już gniew wezbrał w nim z nową siłą.

— Wedle nas — powtórzył Mikołaj Partenowicz — zaś wedle pana?

Mitia opuścił oczy i długo milczał.

— Wedle mnie, panowie, wedle mnie, oto jak było— rzekł po cichu — łzy czyje, czy matka moja Boga ubłagała, czy też duch jaki promienny musnął mnie w tej chwili — nie wiem, lecz djabeł był pokonany. Uciekłem od okna

w kierunku płotu... Ojciec zląkł się, dopiero teraz mnie zauważył, krzyknął i skoczył od okna — pamiętam to dobrze... A ja przez ogród do płotu... i tu mnie dogonił. Grzegorz, kiedy już siedziałem na płocie.

Podniósł wreszcie oczy na słuchaczy. Patrzeli nań z niewzruszoną uwagą. Mitia zawrzał oburzeniem·

— Przecież wy w tej chwili drwicie sobie ze mnie!— zawołał.

— Z czego pan to wnosi? — zapytał Mikołaj Partenowicz.

— Nie wierzycie mi, nie wierzycie ani trochę, oto z czego! Wszak rozumiem, że doszedłem do głównego momentu: starzec leży tam z rozłupaną głową, a ja — opisawszy tragicznie, jak zamierzałem go zabić i wyrwałem tłuczek, nagle uciekam od okna... Poemat... Wierszem! Można zuchowi uwierzyć na słowo! Cha-cha! Szydercami jesteście, panowie.

I całem tułowiem obrócił się na krześle, które aż pod nim trzeszczało.

— A czy nie zauważył pan — zaczął nagle prokurator, jakby nie zwracają uwagi na wzburzenie Miti — czy nie zauważył pan, kiedy pan odchodził od okna: drzwi od ogrodu były otwarte czy zamknięte?

— Nie, nie były otwarte.

— Nie były?

— Były zamknięte, i któżby je mógł otworzyć? Ba, drzwi, poczekajcie! — opamiętał się jakgdyby i omal nie drgnął — a czy zastaliście drzwi otwarte?

— Otwarte.

— To któż je mógł otworzyć, jeśli wy sami nie otworzyliście? — zdziwił się Mitia.

— Drzwi były otwarte, i zabójca pańskiego ojca niewątpliwie wszedł temi drzwiami, zaś dokonawszy zabójstwa, wyszedł niemi — powoli i wyraźnie wycedził prokurator. — To nie ulega wątpliwości. Zabójstwo zostało dokonane w pokoju, jak ustala w sposób pewny śledztwo i ekspertyza. Pod tym względem nie może być żadnych wątpliwości.

Mitia był okropnie zdumiony.

— Ależ to niemożliwe, panowie! — zawołał, całkiem zbity z tropu — ja... ja nie wchodziłem... stanowczo, z całą stanowczością zapewniam was, że drzwi były zamknięte przez cały czas, póki byłem w ogrodzie, a również, gdy uciekałem. Ja tylko pod oknem stałem i przez okno go widziałem i tylko, tylko... Do ostatniej minuty pamiętam. A gdybym nawet nie pamiętał, to i takbym wiedział, bo o znakach wiedziałem tylko ja i Smerdjakow, no i on, nieboszczyk, zaś bez znaków nikomuby w świecie nie otworzył.

— Znaki? Jakież to znaki? — odezwał się prokurator z chciwem, niemal histerycznem zaciekawieniem, zapominając o swojej powściągliwej sztywności.

Zapytał ostrożnie, jakby skradając się lękliwie. Odrazu wyczuł ważny fakt, dotychczas nieznany, a równocześnie zląkł się, że Mitia może nie zechce o tem mówić.

— Toście panowie nie wiedzieli! — mrugnął Mitia z szyderczym i złośliwym uśmiechem. — A co, jak nie powiem? Od kogo się dowiecie? Bo o znakach wiedział tylko nieboszczyk, ja i Smerdjakow, oto wszyscy, no i niebiosa jeszcze wiedziały, ale one wam nie powiedzą. A fakcik ciekawy, djabli wiedzą, co można na nim skonstruować, cha-cha! Pocieszcie się, panowie, powiem wam, głupie są wasze myśli. Nie wiecie z kim macie do czynienia! Macie do czynienia z takim podsądnym, który sam przeciwko sobie świadczy. Ku własnej szkodzie! Tak, bo jestem człowiekiem honoru, czego nie można o was powiedzieć.

Prokurator przełknął wszystkie pigułki; bał się stracić tak ważnego faktu. Mitia szczegółowo i dokładnie wtajemniczył ich w system znaków, ustalony między Fedorem Pawłowiczem a Smerdjakowym, wyjaśnił co oznaczało każde stuknięcie, zilustrował to nawet na stole, i na zapytanie Mikołaja Partenowicza, czy on sam wówczas wystukał znak, że „Gruszeńka przyszła", dał odpowiedź twierdzącą.

— Macie panowie, teraz budujcie wieżę! — urwał Mitia i odwrócił się od nich z pogardą.

— I o znakach tych wiedział tylko nieboszczyk ojciec pana, pan i służący Smerdjakow? I nikt więcej? — jeszcze raz przepytał Mikołaj Partenowicz.

— Tak, służący Smerdjakow i jeszcze niebiosa. Zapiszcie, że i niebiosa; to nie jest zbyteczna uwaga. I wam, panowie, przyda się Bóg.

Oczywiście o znakach starannie zapisano; lecz w toku zapisywania prokurator, jakgdyby wpadłszy nagle na nową myśl, odezwał się:

— Jeżeli o tych znakach wiedział również Smerdjakow, a pan stanowczo przeczy oskarżeniu, to czy nie Smerdjakow, wystukawszy umówione znaki, skłonił ojca pana do otworzenia drzwi, a następnie sam... popełnił morderstwo?

Mitia obrzucił go szyderczem a zarazem straszliwie nienawistnem spojrzeniem. Patrzył tak długo, że aż prokurator zamrugał oczyma.

— Znowuście złapali lisa! — odrzekł wreszcie Mitia. — I ścisnęliście łajdaka za ogon, che-cha! Widzę pana nawskroś, prokuratorze! Pan myślał, że ja zaraz skoczę, uczepię się tej myśli, którą mi pan podsunął i wrzasnę na całe gardło: Tak, to Smerdjakow, to on zabił! Niechże pan przyzna, że pan tak myślał, niech pan przyzna.

Ale prokurator nie przyznał — milczał i czekał.

— Omylił się pan, nie zawołam na Smerdjakowa! — rzekł Mitia.

— I nie posądza go pan nawet?

— A pan go posądza?

— Posądzaliśmy i jego.

Mitia opuścił oczy.

— Żarty na bok — rzekł ponuro — słuchajcie panowie; odrazu z początku, wtedy jeszcze, kiedy do was wybiegłem z poza zasłony, przemknęło mi nagle przez głowę: „Smerdjakow!". Tu zaś siedziałem przy stole i krzyczałem, że nie jestem winien, a sam myślałem wciąż: „Smerdjakow!" Nie mogłem się opędzić tej myśli. Wreszcie teraz pomyślałem; „Smerdjakow", ale tylko na sekundę: bo odrazu pomyślałem: „Nie, nie Smerdjakow!" To nie jego sprawka, panowie!

— Czy wobec tego nie posądza pan kogo innego? — zapytał ostrożnie Mikołaj Partenowicz.

— Nie wiem, kto, ręka niebios czy szatan ale... nie Smerdjakow, — odciął stanowczo Mitia.

— Ale czemu pan tak stanowczo i z takim naciskiem stwierdza, że to nie on?

— Takie mam przekonanie. Takie wrażenie. Bo Smerdjakow to człowiek nikczemnej natury i podły tchórz. To nie tchórz, to wcielenie wszelkiego tchórzostwa, chodzącego na dwuch nogach! Ma duszę na ramieniu. Kiedy ze mną mówił, dygotał konwulsyjnie, bojąc się, że go zakatrupię, chociaż nawet ręki nie podnosiłem. Padał mi do nóg i płakał, całował mi te buty, literalnie, błagając, żebym go nie straszył. „Słyszycie: „nie straszył" — cóż to za słówko? A ja go nawet, owszem, obdarowywałem. Ta zdechła kura, ten głupawy epileptyk, którego ośmioletni chłopczyk mógłby jednym palcem powalić — czy to jest człowiek? Nie Smerdjakow, panowie, on zresztą wcale pieniędzy nie lubił, podarunków ode mnie nie chciał brać... I pocóżby miał zabijać starego? Przecież to może syn jego, naturalny syn, wiecie panowie?

— Słyszeliśmy tę legendę. Ale pan jest przecież synem swego ojca, a mówił pan wszystkim, żeś go chciał zabić.

— Kamień do mego ogródka! Nikczemny, lichy kamień! Nie boję się! O, panowie, to zbyt nikczemnie mi to wypominać w oczy! Dlatego nikczemnie, że ja to sam panom mówiłem. Nie tylko chciałem zabić, ale go mogłem zabić, jeszcze sam przeciw sobie świadczyłem, że o mały włos go nie zabiłem! Ale nie zabiłem go, uratował mnie mój anioł stróż! Tegoście panowie nie wzięli pod uwagę... Dlatego to nikczemność, nikczemność! Bo ja nie zabiłem, nie zabiłem! Słyszy pan, prokuratorze: nie zabiłem!

Zabrakło mu tchu. Tak wzburzony nie był jeszcze przez cały czas badania.

— A co on panom powiedział, Smerdjakow? — rzekł wreszcie po pauzie. — Czy mogę o to zapytać?

— Może pan o wszystko pytać — odpowiedział ozię-

ble i surowo prokurator — o wszystko, co dotyczy faktycznej strony sprawy, a my, powtarzam panu, jesteśmy obowiązani odpowiedzieć panu na każde pytanie. Zastaliśmy służącego Smerdjakowa, o którego pan pyta, w stanie niepoczytalnym. Leżał na łóżku, rażony niezwykle silnym, może dziesiątym z rzędu atakiem epilepsji. Lekarz, który był z nami, po zbadaniu stwierdził, że zapewnie nie dożyje do rana.

— Ale w takim razie djabeł zabił ojca— wyrwało się Miti, jakgdyby dotąd jeszcze się wahał: „Smerdjakow czy nie Smerdjakow?".

— Wrócimy jeszcze do tego faktu — zdecydował Mikołaj Partenowicz — teraz zechce pan dalej mówić.

Mitia poprosił o parę chwil przerwy. Udzielono mu ich z cała uprzejmością. Odetchnąwszy podjął swoje wynurzenia. Lecz przyszło mu to z trudem. Był zmęczony, znieważony i wstrząśnięty moralnie. W dodatku prokurator teraz już jakby umyślnie szukał zaczepki, przyczepiał się do „drobiazgów".

Mitia zaczął od tego, jak siedząc na płocie, uderzył tłuczkiem po głowie Grzegorza, który trzymał go za lewą nogę, i jak potem zeskoczył z powrotem do ogrodu. Ledwo skończył, prokurator poprosił, aby szczegółowo opisał, w jaki sposób siedział na płocie. Pytanie zdziwiło Mitię...

— Ano tak siedziałem, okrakiem, jedna noga tu, a druga tam...

— A tłuczek?

— Tłuczek w ręku.

— Nie w kieszeni? Napewno pan pamięta? I cóż z rozmachem pan uderzył?

— Widać z rozmachem, a poco się pan pyta?

— Czyby pan nie zechciał usiąść na krześle w podobny sposób i przedstawić nam naocznie, jak pan uderzył, w którą stronę pan się zamierzył?

— Czy nie drwi pan ze mnie? — odrzekł Mitia, patrząc wyniośle na prokuratora.

Ale ów ani mrugnął okiem. Mitia odwrócił się konwulsyjnie, usiadł okrakiem na krześle i zamierzył się ręką.

— Tak uderzyłem! Tak zabiłem! I czego jeszcze?

— Dziękuję. Czy nie zechce pan teraz wyjaśnić, poco właściwie zeskoczył pan na dół, w jakim celu, o co panu mianowicie chodziło?

— Ano do djabła... zeskoczyłem do powalonego... Nie wiem poco!

— Będąc tak wzburzony? I uciekając?

— Tak, wzburzony i uciekając.

— Chciał mu pan pomóc?

— Gdzie tam pomóc... A może i pomóc, nie pamiętam.

— Nie pamięta pan? To znaczy, że był pan poniekąd nieprzytomny?

— O nie, nic podobnego, wszystko pamiętam. Wszystko absolutnie. Zeskoczyłem, aby obejrzeć, i chusteczką krew ocierałem.

— Widzieliśmy tę chusteczkę. Miał pan nadzieję go uratować?

— Nie wiem czy miałem nadzieję? Poprostu chciałem się przekonać, czy żyje.

— A, to się pan chciał przekonać? I cóż?

— Nie jestem lekarzem, nie mogłem stwierdzić. Uciekłem z myślą, że go zabiłem, a tymczasem on się ocknął.

— Pięknie — skończył prokurator. — Dziękuję panu. O to mi chodziło. Zechce pan dalej opowiadać.

Niestety, nie przyszło Miti na myśl opowiedzieć — chociaż doskonale to pamiętał — że zeskoczył do ogrodu z litości; że, stanąwszy nad ogłuszonym Grzegorzem, wypowiedział kilka słów współczucia: „upadł stary, cóż robić to i niech leży". Prokurator zaś wywnioskował z tego, że Mitia zeskoczył „w takiej chwili i w takiem będąc wzburzeniu" tylko poto, aby się przekonać napewno, czy żyje *jedyny* świadek jego zbrodni. I że zatem, cóż to była za stanowczość, zimna krew i wyrachowanie w takiej chwili nawet i t. d. Prokurator był zadowolony: „rozdrażniłem niemoralnego człowieka „drobiazgami" i doprowadziłem do tego, że się wygadał".

Mitia męczył się a mówił. Ale znowu przerwał mu Mikołaj Partenowicz:

— Jakże pan mógł biec do służącej Fedosji Markownej, mając tak skrwawione ręce i twarz, jak się to później okazało?

— Nie zauważyłem nawet, że jestem skrwawiony — odpowiedział Mitia.

— To prawdopodobne, to tak czasem bywa — odrzekł prokurator i spojrzał na sędziego.

— Właśnie, że nie zauważyłem, to pan doskonale, prokuratorze — pochwalił naraz Mitia.

Nastąpiła opowieść o tem, jak Mitia postanowił „usunąć się" i „przepuścić szczęśliwych". Ale nie mógł teraz jak poprzednio, otwierać swego serca i opowiadać o „królowej mojej duszy". Wstrętem go przejmowali ci chłodni wpijający się weń jak pluskwy ludzie. A przeto na powtórzone pytania rąbnął krótko i ostro:

— Ano, postanowiłem się zabić. Poco żyć dalej: pytanie to samo przez się narzucało. Wynurzył się jej dawny, jej krzywdziciel, przyjechał z miłością po pięciu latach, aby małżeństwem odkupić krzywdę. I zrozumiałem wówczas, że wszystko dla mnie przepadło... Za mną hańba, i ta krew, krew Grzegorza... Pocóż żyć? Więc poszedłem wykupić pistolety, nabiłem, aby nad ranem wpakować sobie kulę do mózgownicy...

— A przez noc hulanka?

— Przez noc hulanka. Eh, do djabła, panowie, kończcie prędzej. Zastrzelić się chciałem napewno, tu niedaleko, i skończyłbym ze sobą o piątej nad ranem, zaś w kieszeni miałem przygotowaną kartkę, napisałem ją u Perchotina, kiedy pistolety nabijałem. Oto macie tę kartkę, przeczytajcie ją. Nie dla was opowiadam! — dodał nagle z pogardą.

Wyjął kartkę z kieszeni kamizelki i rzucił ją na stół; sędziowie przeczytali ją z ciekawością i załączyli do akt.

— A rąk nie umył pan, wchodząc do pana Perchotina? Zatem nie obawiał się pan podejrzeń?

— Jakich tam podejrzeń? Podejrzewaj czy nie, wszystko jedno, jabym tu przyjechał i o piątej się zastrzelił, i niktby nie zdążył przeszkodzić. Bo gdyby nie wypadek z ojcem, nie bylibyście nic wiedzieli, nie przyjechalibyście tu!... Jakżeście tak prędko zdążyli? To dziwne, istna bajka!

— Pan Perchotin powiedział nam, że pan, wchodząc doń, trzymał w ręku... w skrwawionych rękach... swoje pieniądze... wiele pieniędzy... paczkę sturublówek, i że widział to również jego młody służący!

— Tak, panowie, zdaje się, że tak.

— Teraz nasuwa się małe pytanie. Nie mógłby pan powiedzieć — zaczął Mikołaj Partenowicz wyjątkowo miękko — skąd pan wziął tyle pieniędzy, skoro, jak się okazuje, jak zresztą wynika z rachuby czasu, nie zaszedł pan do domu?

Prokurator skrzywił się cokolwiek: pytanie było postawione zbyt obcesowo. Ale nie przerywał Mikołajowi Partenowiczowi.

— Nie zaszedłem do domu — odpowiedział Mitia, napozór bardzo spokojnie lecz z opuszczonemi oczyma.

— Pozwoli pan zatem powtórzyć to pytanie — podjął, jakgdyby skradając się, Mikołaj Partenowicz. — Skąd mógł pan wziąć tyle pieniędzy, skoro jak pan sam wyznał, jeszcze o piątej godzinie tego dnia...

— Nie miałem dziesięciu rubli i zastawiłem pistolety u Perchotina, potem poszedłem do Chochłakowowej, nie dostałem od niej i t. d. — przerwał mu ostro Mitia — tak, panowie, dziesięciu rubli potrzebowałem, a tu naraz tysiące w ręku? Wiecie, panowie, obaj teraz truchlejecie: a jeżeli nie powie, skąd wziął? Tak jest: nie powiem, panowie, zgadliście, nie dowiecie się — uciął Mitia z niezwykłą stanowczością.

Obaj prawnicy przez chwilę milczeli.

— Niech pan zrozumie, panie Karamazow, że ta wiadomość jest nam niezbędna — cicho i potulnie odezwał się Mikołaj Partenowicz.

— Rozumiem, a jednak nie powiem.

Wtrącił się również prokurator i znowu stwierdził, że badany ma prawo oczywiście nie odpowiadać na pytania, jeżeli uważa, że tak jest dlań wygodniej i t. d. ale, biorąc pod uwagę szkodę, jako oskarżony może sobie wyrządzić milczeniem zwłaszcza w tak ważnej kwestji, która...

— I tak dalej, panowie, i tak dalej. Dość, słyszałem już to poprzednio! — znowu przerwał Mitia. — Sam rozumiem, jak ważna to kwestja, rozumiem, że to najistotniejszy punkt, a jednak nie powiem.

— My cóż, to nie nasza sprawa, lecz pańska, pan sobie sam szkodzi — zauważył nerwowo Mikołaj Partenowicz.

— Widzicie panowie, żarty na bok — rzekł Mitia, podnosząc oczy i patrząc na nich twardo. — Owszem, przeczuwałem, że na tym punkcie stukniemy się łbami. Ale na początku, kiedy mówiłem o tamtych rzeczach, wszystko to jeszcze płynęło we mgle. Byłem nawet tak naiwny, że zaproponowałem „wzajemne zaufanie". Teraz sam widzę, że nie mogło być wcale zaufania, bo i takbyśmy doszli do tego przeklętego muru! Ano jesteśmy! Nie można i basta! Zresztą, nie biorę tego panom za złe, nie możecie mi przecież wierzyć na słowo, ja to doskonale rozumiem.

Umilkł pochmurnie.

— Czy nie mógłby pan, nie naruszając postanowienia swego, przynajmniej dać nam do zrozumienia: jakież to powody zmuszają pana do milczenia w tak niebezpiecznym momencie pańskich zeznań?

Smutny i zamyślony uśmiech pojawił się na twarzy Miti.

— Jestem o wiele lepszy, niż panowie sądzicie, powiem dlaczego i dam wam do zrozumienia, chociaż panowie nie jesteście warci. Dlatego milczę, że tu kryje się moja hańba. Odpowiedź na zapytanie: skąd wziąłeś te pieniądze, zawiera hańbę, z którą nie może się równać nawet zabójstwo i ograbienie ojca, gdybym go istotnie zabił i ograbił. Dlatego nie mogę mówić. Z powodu hańby nie mogę. Cóż panowie, chcecie to zapisać?

— Tak, zapiszemy — szepnął Mikołaj Partenowicz.

— Nie powinniście tego zapisywać, o tej „hańbie".

Mówiłem to z dobroci, mogłem nie mówić, podarowałem, że tak powiem, a wy odrazu na papier. Ano piszcie, piszcie sobie, co się wam żywnie podoba — dodał z obrzydzeniem i pogardą — nie boję się was i... czuję się ponad wami.

— A czy nie zechce pan powiedzieć, jakiego to rodzaju hańba? — wybełkotał Mikołaj Partenowicz.

Prokurator zmarszczył się.

— Ani mi się śni. C'est fini, nie trudźcie się, panowie. I nie warto się babrać. I tak się wybabrałem. Nie warci jesteście tego, ani wy, i nikt... Dosyć, panowie, przerywam.

Powiedział to z wielką stanowczością. Mikołaj Partenowicz przestał nalegać, ale spojrzenie Hipolita Kiryłowicza mówiło wyraźnie, że nie stracił jeszcze nadziei.

— Czy nie może pan przynajmniej wyjaśnić, jaką pan miał kwotę, kiedy pan wchodził do Perchotina, to znaczy ile rubli.

— Nie mogę tego powiedzieć.

— Zdaje się, że panu Perchotinowi mówił pan o trzech tysiącach rubli, które jakoby dostał pan od pani Chochłakow?

— Może mówiłem. Dosyć, panowie, nie powiem ile.

— Zechce pan w takim razie opowiedzieć, jak pan tu przyjechał i wszystko, co pan tutaj robił?

— Och, o tem możecie tutejszych zapytać. A zresztą opowiem.

Nie będziemy powtarzać jego opowiadania. Było oschłe i zwięzłe. Nie wspominał o egzaltacji miłosnej. Powiedział tylko, że stracił chęć do samobójstwa „z powodu nowych faktów". Nie motywował i nie wdawał się w szczegóły. Zresztą sędziowie nie bardzo go niepokoili tym razem: widać było, że nie to zajmuje ich najbardziej.

— Wszystko to sprawdzimy, wrócimy jeszcze do tego przy badaniu świadków, które oczywiście odbędzie się w obecności pana — zakończył Mikołaj Partenowicz badanie, — teraz poprosimy pana, abyś zechciał wyłożyć na stół całą posiadaną gotówkę i wszystkie inne rzeczy, które pan ma przy sobie.

— Pieniądze, panowie? Proszę bardzo, rozumiem, że tak być powinno. Dziwię się nawet, że przedtem nie byliście ciekawi. Prawda, nie mogłem nigdzie schować, siedzę tu na oczach. Oto są moje pieniądze, przeliczcie, bierzcie, zdaje się, że to wszystko.

Wyjął wszystko z kieszeni, nawet miedziaki wyciągnął z kamizelki. Zliczyli: było osiemset trzydzieści sześć rubli czterdzieści kopiejek.

— I to wszystko? — zapytał sędzia.

— Wszystko.

— Raczył pan powiedzieć przedtem, że u Płastunowa zostawił pan trzysta rubli. Perchotinowi dał pan dziesięć, dorożkarzowi dwadzieścia, tu przegrał pan dwieście, a potem...

Mikołaj Partenowicz zliczył wszystko razem. Mitia chętnie mu pomagał. Przypomniał każdą wydaną kopiejkę. Mikołaj Partenowicz zsumował biegle.

— Z tą gotówką było zatem koło tysiąca pięciuset?

— Zatem tak było — potwierdził Mitia.

— Jakże to wszyscy utrzymują, że było o wiele więcej?

— Niech utrzymują.

— I sam pan mówił.

— I sam mówiłem.

— Sprawdzimy to jeszcze przy badaniu świadków; a o pieniądze może pan być spokojny, złożone zostaną, gdzie należy, i będą panu zwrócone po skończeniu wszystkiego... jeśli okaże się, albo, że tak powiem, dowiedzie pan, że ma pan do nich prawo. A teraz...

Mikołaj Partenowicz nagle się podniósł i oświadczył surowo Miti, „że zmuszony jest i powinien" poddać go surowej i dokładnej rewizji osobistej.

— Proszę bardzo, panowie, wywrócę wszystkie kieszenie, jeśli chcecie.

I rzeczywiście zaczął wywracać kieszenie.

— Trzeba zdjąć odzież.

— Jakto? Rozebrać się? Do djabła! Czy nie możecie tak zrewidować?

— Nie, nie możemy żadną miarą, Dymitrze Fedorowiczu. Trzeba zdjąć ubranie.

— Jak chcecie — odrzekł posępnie Mitia — tylko nie tu, — za zasłoną. Kto będzie rewidował?

— Oczywiście, że za zasłoną — skinął głową Mikołaj Partenowicz. Twarzyczka jego wyrażała uroczystą powagę.

VI.

Prokurator złapał Mitię.

I zaczęło się coś, czego Mitia żadną miarą nie mógł się spodziewać, co go niezmiernie zastanowiło i zdziwiło. Nawet chwilę przed tem nie mógł przypuszczać, że ktoś odważy się tak obejść z nim, z Mitią Karamazowym! Przedewszystkiem było to poniżenie straszliwe, a z ich strony „wyniosłość i pogarda". Gdybyż tylko zdjąć surdut, ale nie, proszono go, aby się rozebrał do naga. I właściwie nie proszono, lecz kazano; Mitia rozumiał to doskonale. Z dumy i pogardy nie opierał się. Weszli za zasłonę; prócz Mikołaja Partenowicza i prokuratora weszło też kilku chłopów „aby w razie czego użyć przemocy" pomyślał Mitia, „a może w innym celu".

— Cóż, może i koszulę zdjąć? — zapytał opryskliwie, ale Mikołaj Partenowicz nie odpowiedział mu; on i prokurator byli pochłonięci oglądaniem surduta, spodni, kamizelki i czapki, i widać było, że rewizja bardzo ich interesuje. „Nie robią ze mną żadnych ceremonij" — pomyślał Mitia — „nawet zwykłych względów grzeczności nie przestrzegają".

— Pytam pana po raz drugi: czy trzeba zdjąć koszulę? — jeszcze opryskliwiej i gniewniej powtórzył Mitia.

— Niech pan się nie denerwuje, powiem panu, kiedy trzeba będzie — odpowiedział Mikołaj Partenowicz hardo. Tak przynajmniej wydawało się Miti.

Sędzia i prokurator naradzali się półgłosem. Na surducie, zwłaszcza na lewej pole z tyłu widoczne były ogromne plamy krwawe, zaschłe i sztywne. Podobnie na spodniach. Mikołaj Partenowicz pozatem własnoręcznie w obecności strażników przesuwał palcami po szwach, wzdłuż kołnierza i mankietów, widocznie czegoś szukając— zapewne pieniędzy. Nie ukrywano przed Mitią, że posądza się go o to, iż mógł on, iż zdolny był zaszyć pieniądze w ubraniu. „Poprostu traktują mnie jak zwyczajnego złodzieja, a nie jak oficera" — zżymał się ze złości. Co więcej dzielono się spostrzeżeniami z wyjątkową szczerością, nie krępując się wcale jego obecnością. Naprzykład sekretarz, który również tu się krzątał i harcował, zwrócił uwagę Mikołaja Partenowicza na czapkę Miti. „Pamięta pan Gridenka, pisarza" — rzekł — „latem pojechał po pensję dla całej kancelarji, wrócił i zameldował, że pieniądze zgubił, będąc pod dobrą datą. Ano gdzie je znaleziono? W tych samych kantach, w czapce, sturublówki były skręcone w rurkę i zaszyte w kantach". Sędzia i prokurator pamiętali doskonale ten fakt, a przeto odłożono czapkę i postanowiono poddać ją szczegółowej rewizji w stosowniejszej chwili.

— Przepraszam — krzyknął Mikołaj Partenowicz, zauważywszy założony mankiet prawego rękawa koszuli, splamiony krwią — przepraszam. Cóż to, krew?

— Krew — odparł Mitia.

— Jaka... i dlaczego pan zawinął mankiet?

Mitia opowiedział, jak splamił mankiet, guzdrając się z Grzegorzem, i jak następnie zawinął go u Perechotina, kiedy mył ręce.

— Koszulę pana też trzeba będzie zabrać, to bardzo ważny... dowód rzeczowy.

Mitia zaczerwienił się i wpadł w gniew.

— Przecie nie będę tu sterczał nagi — krzyknął.

— Niech pan będzie spokojny... jakoś to poprawimy, a tymczasem będzie pan łaskaw zdjąć skarpetki.

— Nie żartuje pan? Czy naprawdę tak być musi? — zawołał Mitia, rzucając gniewne błyski.

— Nie czas na żarty! — odparł surowo Mikołaj Partenowicz.

— Cóż, jeśli trzeba... ja... — wybełkotał Mitia, usiadł na łóżku i zaczął zdejmować skarpetki. Było mu nieznośnie przykro: wszyscy ubrani i tylko on rozebrany. Rzecz dziwna: będąc nagim, poczuł się istotnie winnym wobec wszystkich, gorzej, bo godził się z tem nieledwie, że w rzeczy samej stał się niższy od wszystkich, i że wszyscy mają teraz najzupełniejsze prawo pomiatać nim. „Kiedy wszyscy są rozebrani, to żaden wstyd, ale kiedy jeden rozebrany, a wszyscy patrzą — co za hańba! — przesunęło mu się przez głowę. — Jakby we śnie, we śnie nieraz czułem się tak shańbiony". Przykro mu było zdjąć skarpetki z jeszcze innego względu: były one niezbyt czyste, tak samo jak i dolna bielizna, i wszyscy to teraz mogli stwierdzić. W dodatku Mitia wyjątkowo nie lubił swych nóg, mniemał bowiem, że są wyjątkowo brzydkie; raził go zwłaszcza jeden gruby płaski, wygięty paznogieć u prawej stopy. Teraz wszyscy mieli go oglądać. Z nieznośnego zawstydzenia zaczął nadrabiać grubiaństwem. Sam zerwał z siebie koszulę.

— Czy nie chcecie jeszcze gdzie poszukać, jeśli wam nie wstyd?

— Nie, tymczasem nie trzeba.

— Cóż, mam tu tak sterczyć nagi? — dodał pieniąc się z wściekłości.

— Chwilowo tak być musi... Zechce pan tymczasem usiąść, może pan wziąć kołdrę z łóżka i owinąć się, a ja... ja to wszystko załatwię.

Wszystkie rzeczy pokazano starżnikom, sporządzano akt rewizji; wreszcie Mikołaj Partenowicz wyszedł, a za nim wyniesiono ubranie. Hipolit Kiryłowicz ociągał się przez chwilę, wreszcie i on wyszedł. Z Mitią zostali tylko chłopi, stali w milczeniu, nie spuszczając z niego oka. Zawinął się w kołdrę, było mu jednak zimno. Gołe jego nogi sterczały z pod kołdry, starał się ją naciągnąć, ale w żaden sposób nie mógł. Mikołaj Partenowicz jakoś długo nie wracał. „Jak szczeniaka mnie traktuje" zgrzytał zębami Mitia. „Ta szmata — prokurator też wyszedł, zapewne z po-

gardy, wstrętnie mu było patrzeć na nagusa". Mitia przypuszczał jednak, że gdzieś tam obejrzą jego ubranie i przyniosą mu z powrotem. Ale można sobie wyobrazić jego oburzenie, gdy Mikołaj Partenowicz naraz wrócił z innem zgoła ubraniem, które niósł za nim chłop.

— Oto masz pan ubranie — rzekł swobodnie,widocznie bardzo zadowolony z dobrego wyniku swoich poszukiwań. — To pan Kałganow był tak uprzejmy, że panu wszystko pożyczył. Na szczęście miał przy sobie w walizie zapasowe ubranie i koszulę. Dolną bieliznę i skarpetki może pan zachować swoje.

Mitia zapienił się.

— Nie chcę cudzego ubrania! — krzyknął groźnie— oddajcie mi moje!

— To niemożliwe.

— Oddajcie mi moje, do djabła z Kałganowym, z jego ubraniem i z nim samym!

Namawiano go długo. Wreszcie jakoś się uspokoił. Wyperswadowano mu, że ubranie jako zawalane krwią musi być „załączone do dowodów rzeczowych", że nie ma się nawet prawa zwrócić mu „mając na uwadze ewentualny wynik sprawy". Mitia wreszcie coś tam zrozumiał. Milczał zasępiony i w końcu zaczął się ubierać. Zauważył tylko, że ubranie Kałganowa jest droższe od jego własnego, i że nie chciałby „korzystać". Oprócz tego poniżająco wąskie. „Błazna będę w nim udawał... dla waszej przyjemności?".

I znowu wyperswadowano mu, że pan Kałganow jest niewiele wyższy od niego, i że tylko spodnie będą może cokolwiek za długie. Ale tużurek istotnie okazał się wąski w ramionach.

— Do djabła, zapiąć się trudno — warczał Mitia — proszę was, panowie, powiedzieć w mojem imieniu panu Kałganowowi, że go wcale nie prosiłem o ubranie, i że wystrychnięto mnie na dudka.

— Pan Kałganow rozumie to i żałuje... oczywiście nie ubrania swego, ale ubolewa, że to wszystko tak wypadło — wymamrotał Mikołaj Partenowicz.

— Gwiżdżę na jego ubolewanie! Dokądże teraz? Czy zostaniemy tu?

Prosili go do „tamtego" pokoju. Mitia wyszedł, zasępiony i zły, starając się nie patrzeć na nikogo. W cudzem ubraniu czuł się ostatecznie shańbiony, nawet wobec tych chłopów i Tryfona Borysycza, którego twarz nagle pojawiła się w drzwiach i momentalnie znikła. „Przyszedł popatrzeć na wystrojonego" — pomyślał Mitia. Usiadł na poprzedniem miejscu. Męczyła go jakaś zmora niedorzeczna, zdawało mu się, że postradał zmysły.

— Ano cóż teraz, rózgami okładać zaczniecie czy co, nic innego już nie zostało — zgrzytnął, zwracając się do prokuratora.

Do Mikołaja Partenowicza nie chciał nawet się obrócić, nie raczył z nim mówić. „Zbyt uważnie skarpetki moje oglądał i kazał jeszcze, łajdak, wywrócić na drugą stronę, jakgdyby umyślnie chciał wszystkim pokazać, że noszę brudną bieliznę".

— Wypadnie teraz przystąpić do badania świadków— odezwał się Mikołaj Partenowicz, niejako odpowiadając na pytanie Dymitra Fedorowicza.

— Tak — potwierdził prokurator w zamyśleniu, zastanawiając się nad czemś.

— My, Dymitrze Fedorowiczu, robiliśmy, co można było, dla pańskiego dobra — kontynuował Mikołaj Partenowicz — ale ponieważ odmówił pan stanowczo wyjaśnień, skąd pan wziął te pieniądze, więc w danej chwili...

— Jaki to pierścień? — przerwał mu Mitia, jakgdyby otrząsając się z zadumy, i wskazał palcem na jeden z trzech grubych pierścieni, zdobiących prawą dłoń Mikołaja Partenowicza.

— Pierścień? — zapytał ze zdziwieniem Mikołaj Partenowicz.

— Tak, ten... na średnim palcu z żyłkami, jaki to kamień? — powtórzył Mitia rozdraźnionym głosem, jak uparte dziecko.

— To zadymiony topaz — uśmiechnął się Mikołaj Partenowicz. — Chce pan go obejrzeć, to zdejmę...

— Nie, nie, niech pan nie zdejmuje, nie trzeba... Do djabła... Panowie, zbrukaliście mi moją duszę! Czy naprawdę myślicie, że ukrywałbym przed wami, gdybym w rzeczy samej zabił ojca, że kręciłbym, kłamał i tail! Nie, nie takim jest Dymitr Karamazow, onby tego nie zniósł, i gdyby zawinił, przysięgam, nie czekałby waszego przyjścia i wschodu słońca, jak z początku zamierzał, lecz zabiłby się wprzódy, nie czekając świtu! Czuję to teraz po sobie. Przez dwadzieścia lat nie nabrałbym tyle doświadczenia, co przez dzisiejszą noc!... I czy takim, czy takim byłbym tej nocy i tej chwili nawet, tu z wami — czy takbym mówił, czy takbym się poruszał, takbym patrzał na was i na świat, gdybym naprawdę był ojcobójcą, skoro nawet mimowolne domniemane zabójstwo Grzegorza nie dawało mi spokoju przez całą noc. I nie ze strachu, o! nie tylko ze strachu przed waszą karą! Hańba! I wy chcecie, abym ja takim szydercom, jak wy, którzy nic nie wiedzą i nie wierzą, ślepym kretom i kpinkarzom, odkrył i opowiedział jeszcze jedną moją podłość, jeszcze jedną hańbę, żebym opowiedział, opowiedział, choćby to miało mnie uratować? Ale lepiej na katorgę! Ów, który otworzył drzwi i wszedł przez te drzwi, ów zabił go i ograbił. Kto on — męczę się i gubię w domysłach, ale to nie Dymitr Karamazow, wiedźcie o tem — oto wszystko, co mogę wam powiedzieć, i dość już tego, dość, nie naprzykrzajcie się... Ześlijcie, zastrzelcie, ale przestańcie mnie drażnić. Milczę, wezwijcie waszych świadków.

Mitia wypowiedział swój nieoczekiwany monolog najbardziej stanowczym i nieodwołalnym tonem. Prokurator wysłuchał z uwagą, poczem ozięble i spokojnie odezwał się takim tonem, jakby mówił o rzeczy najbardziej naturalnej:

— Właśnie względem tych otwartych drzwi, o których pan przed chwilą wspomniał, możemy panu przy sposobności teraz właśnie zakomunikować niezmiernie ciekawe, w najwyższym stopniu ważne dla nas i dla pana zeznanie starego, zranionego przez pana Grzegorza Wasiljewicza. Wyraźnie i uporczywie stwierdził on, na nasze wielokrotne pytania, że w chwili, gdy, wyszedłszy na ganek i usłyszawszy w ogrodzie jakieś szmery, zdecydował się wejść do ogrodu przez otwartą furtkę, — a było to zanim zobaczył pana uciekają-

cego, jak pan zeznał, od otwartego okna, w którym pan widział ojca — w tej chwili zauważył, obejrzawszy się nalewo i zobaczywszy istotnie otwarte okno, zauważył zatem w tej chwili, o wiele bliżej siebie otwarte naroścież drzwi, te same, o których pan twierdził, że przez cały czas pobytu pana w ogrodzie były zamknięte. Nie taję też przed panem, że sam Wasiljew z całą stanowczością wnosi i świadczy, że to pan musiał wybiec temi drzwiami, chociaż oczywiście nie widział tego na własne oczy, jak pan wybiegał, zauważył bowiem pana już w pewnem od siebie oddaleniu, pośrodku ogrodu, uciekającego w kierunku płotu...

Mitia jeszcze w połowie tej mowy zerwał się z krzesła.

— Bzdury — wrzasnął nieprzytomnie — bezczelne oszustwo! Nie mógł widzieć otwartych drwi, bo były wówczas zamknięte... On łże.

— Poczuwam się do obowiązku powtórzyć panu, że stwierdził to z całą stanowczością. Nie ma pod tym względem żadnych wątpliwości. Upiera się przy tem. Kilkakrotnie przepytaliśmy go.

— Tak jest, kilkakrotnie przepytałem — potwierdził z zapałem Mikołaj Partenowicz.

— Nieprawda, nieprawda! To albo oszczerstwo, albo halucynacja warjata — krzyczał Mitia — poprostu majaczył z upływu krwi, z rany, przywidziało mu się, kiedy oprzytomniał... — ot bredzi.

— Tak, ale przecież zauważył otwarte drzwi nie wówczas, kiedy oprzytomniał, lecz jeszcze przedtem, kiedy wchodził do ogrodu.

— To nieprawda, nieprawda, to niemożliwe! To on ma chrapkę na mnie... Nie mógł widzieć... Nie wybiegałem drzwiami — krzyczał Mitia, ledwo dysząc.

Prokurator zwrócił się do Mikołaja Partenowicza i rzekł z całą powagą:

— Niech pan pokaże.

— Czy pan zna to? — rzekł Mikołaj Partenowicz, kładąc na stół dużą z grubego papieru kopertę z trzema pieczęciami, pustą i podartą z boku.

Mitia wlepił w nią spojrzenie.

— To... to ojcowska zatem koperta — wymamrotał —

ta sama, w której leżały trzy tysiące... i jeżeli napis, to pozwólcie: „Dla kurczątka..." tak: trzy tysiące rubli — zawołał — trzy tysiące, widzicie?

— A jakże, widzimy, ale pieniędzy już nie znaleźliśmy; koperta była pusta i leżała na podłodze pod łóżkiem, za zasłoną.

Kilka sekund Mitia stał jak ogłuszony.

— Panowie, to Smerdjakow! — zawołał nagle na całe gardło — to on zabił, on ograbił! Tylko on wiedział, gdzie stary schował kopertę... To on, teraz rzecz jasna!

— Ale przecież i pan wiedział o istnieniu koperty, i o tem, że leżała pod poduszką.

— Nigdy nie wiedziałem; nie widziałem jej nigdy na oczy, widzę teraz po raz pierwszy, poprzednio tylko Smerdjakow mi opowiadał... On tylko wiedział, gdzie stary schował, ja zaś nie wiedziałem — mówił Mitia zadyszanym głosem.

— A jednak zeznawał pan poprzednio, że koperta leżała pod poduszką nieboszczyka ojca pańskiego. Powiedział pan wyraźnie, że pod poduszką a zatem wiedział pan, gdzie ona leży.

— Tak właśnie zapisaliśmy! — potwierdził Mikołaj Partenowicz.

— Bzdury, niedorzeczność! Nie wiedziałem, że pod poduszką. A może zresztą wcale nie pod poduszką... Tak sobie mówiłem, że leżała. Co mówi Smerdjakow? To rzecz najważniejsza... A ja umyślnie nakłamałem przeciw sobie... Ja sam skłamałem, bezmyślnie, że leżała pod poduszką, a panowie teraz... Ano, wiecie panowie, zrywa się z języka i mimowoli skłamiesz. Zaś wiedział tylko Smerdjakow, tylko sam Smerdjakow i nikt więcej!... On nawet mnie nie chciał powiedzieć, gdzie leży! Ależ to on, to on, to napewno on zabił, to jasne jak dzień — wołał Mitia coraz nieprzytomniej, coraz chaotyczniej, zacinając się w gniewie.—Zrozumcież to, panowie, i aresztujcie go, czemprędzej, czemprędzej.. Zabił go, kiedy ja uciekałem i kiedy Grzegorz leżał nieprzytomny, to jasne.. Wystukał znaki i ojciec mu otworzył... Bo tylko on wiedział o znakach, a ojciec bez znaków nie otworzyłby nikomu...

— Ale znowu pan zapomina o tej okoliczności — powściągliwie ale z jakąś zwycięską satysfakcją zauważył prokurator — że nie trzeba było wcale dawać znaków, skoro drzwi były otwarte, przecie kiedy pan był ogrodzie...

— Drzwi, drzwi! — bełkotał Mitia i milcząc wraził wzrok w oczy prokuratora; osłabł nagle i opadł na krzesło.

Zapanowało milczenie.

—Tak, drzwi!... To przywidzenie! Bóg jest przeciwko mnie! — zawołał, patrząc przed siebie bezmyślnie.

— Otóż widzi pan — odezwał się prokurator — i niechże pan sam teraz powie, Dymitrze Fedorowiczu: z jednej strony to zeznanie o drzwiach otwartych, któremi pan wybiegł, z drugiej strony — niepojęte, uporczywe i niemal zapamiętałe milczenie pana w kwestji tych pieniędzy, które tak nagle pojawiły się w ręku pana, podczas gdy trzy godziny przedtem musiał pan, jak pan sam zeznał, zastawić pistolety, aby otrzymać zaledwie dziesięć rubli! Biorąc to wszystko pod uwagę, niechże pan sam rozstrzygnie: w co można wierzyć i na czem się opierać? I niechże pan nas nie uważa za „chłodnych cyników i szyderców", którzy nie są w stanie wierzyć w szlachetne porywy duszy pana. Niech pan wreszcie wmyśli się w naszą sytuację...

Mitia był straszliwie wzburzony. Zbladł nawet.

— Dobrze! — zawołał naraz — odkryję wam swoją tajemnicę, powiem, skąd wziąłem pieniądze!... Odsłonię hańbę, aby potem nie skarżyć się ani na was ani na siebie.

— I niechże mi pan wierzy, Dymitrze Fedorowiczu— jakimś zachwyconym, zadowolonym głosem wtrącił Mikołaj Partenowicz — że każde szczere i całkowite zeznanie, złożone przez pana w obecnej chwili, może w przyszłości ogromnie wpłynąć na wymiar sprawiedliwości i pozatem...

Aliści prokurator szturchnął go pod stołem. Mikołaj Partenowicz powstrzymał się w porę. Coprawda Mitia wcale go nie słuchał.

VII.

Wielka tajemnica Miti. — Wygwizdali.

— Panowie — zaczął niezmiernie wzburzony — te pieniądze... chcę się przyznać całkowicie... te pieniądze były *moje.*

Prokurator i sędzia nie tego się spodziewali; nawet twarze wydłużyły im się z niespodzianki.

— Jakto pańskie — mamrotał Mikołaj Partenowicz — kiedy o piątej popołudniu jak pan sam zeznał...

— Do djabła z piątą popołudniu i własnem mojem zeznaniem, nie o to chodzi! Te pieniądze były moje, to znaczy skradzione... nie moje lecz skradzione, skradzione przeze mnie, a było tego półtora tysiąca i miałem je przy sobie przez cały czas...

— A skąd je pan wziął?

—Z szyi, panowie, wziąłem, z tej szyi, z tej samej mojej szyi... tu one były na szyi, zaszyte w szmatkę, i wisiały na szyi już oddawna, miesiąc już nosiłem je na szyi ze wstydem i hańbą...

— Ale czyjeż to pieniądze pan... przywłaszczył sobie?

— Chciał pan powiedzieć „ukradł"? Proszę, niech pan teraz mówi bez obsłonek. Tak, uważam, że ukradłem, a jeżeli pan chce, to istotnie „przywłaszczyłem". Ale mojem zdaniem ukradłem, wczoraj wieczorem to już zupełnie ukradłem.

— Wczoraj wieczorem? Ale pan przed chwilą powiedział, że już cały miesiąc, jak je pan... miał!

— Ale nie ojcu, nie ojcu, niech pan będzie spokojny, nie ojcu ukradłem, lecz jej. Pozwólcie mi opowiedzieć i nie przerywajcie. Przecież i tak ciężko. Widzicie: miesiąc temu przywołała mnie Katarzyna Iwanowna Wierchowcew, była moja narzeczona... Znacie ją panowie?

— A jakże.

— Wiem, że znacie. Arcyszlachetna dusza, najszla-

chetniejsza ze szlachetnych, ale mnie już dawno znienawidziła, o, dawno, dawno już... i słusznie mnie znienawidziła.

— To niby Katarzyna Iwanowna? — zapytał ze zdziwieniem sędzia śledczy.

Prokurator był zdziwiony.

— O, nie wymawiajcie jej imienia nadaremnie! — Jestem szubrawcem, że ją tu wspominam. Tak, wiedziałem, że ona mnie nienawidziła... dawno już, od pierwszej chwili, jeszcze u mnie w mieszkaniu tam... Ale dosyć, dosyć, niegodni jesteście, abym wam to opowiadał, i zresztą nie trzeba wcale... A trzeba tylko tyle, że wezwała mnie miesiąc temu, dała mi trzy tysiące, żebym wysłał jej siostrze i jeszcze jednej krewnej do Moskwy (jakgdyby sama nie mogła wysłać) a ja... było to właśnie owej feralnej godziny mego życia, kiedy... ano słowem, kiedy pokochałem inną, ją, obecną, siedzi teraz tam na dole, Gruszeńkę... Wywiozłem ją wówczas tutaj, do Mokrej i we dwa dni przehulałem tu połowę tych przeklętych trzech tysięcy, to znaczy tysiąc pięćset, zaś drugą połowę zachowałem. I te właśnie tysiąc pięćset, które zachowałem, nosiłem przy sobie na szyi, niejako w rodzaju talizmana, a wczoraj wyjąłem i przepuściłem. Osiemset rubli reszty ma pan teraz w ręku, Mikołaju Partenowiczu, to wszystko, co zostało z wczorajszych pieniędzy.

— Pozwoli pan, jakże to, wszak przehulał pan tu miesiąc temu trzy tysiące, a nie tysiąc pięćset, wszyscy o tem wiedzą?

— Kto liczył, kto wie, komu zdałem rachunek?

— Wybaczy pan, ale pan sam wszystkim opowiadał, że przehulał pan wówczas całe trzy tysiące.

— Prawda, mówiłem, wszystkim mówiłem, i całe miasto mówiło, i wszyscy tak liczyli, że trzy tysiące. A jednak wydałem wówczas nie trzy lecz tysiąc pięćset, drugą zaś połowę zaszyłem do torebki i nosiłem niby talizman: tak było, panowie, stąd te wczorajsze pieniądze...

— Dziwne to bardzo... — mruknął Mikołaj Partenowicz.

— Pozwoli pan zapytać — odezwał się wreszcie pro-

kurator — czy nie mówił pan o tem komu... to znaczy, że te tysiąc pięćset zachował pan miesiąc temu przy sobie?

— Nikomu nie mówiłem.

— To dziwne. Czy naprawdę nikomu?

— Nikomu absolutnie. Nikomu i nikomu.

— Ale pocóż ta dyskrecja? Dlaczego zrobił pan z tego taki sekret! Wyrażę się nieco dokładniej: wyjawił pan nam wreszcie swoją tajemnicę, tak, „hańbiącą", jak pan się wyraził, chociaż doprawdy — oczywiście mówiąc względnie — ów postępek — mianowicie przywłaszczenie sobie cudzych trzech tysięcy rubli, naturalnie nie na zawsze, postępek ów, powtarzam, mojem zdaniem przynajmniej, jest w najwyższym stopniu lekkomyślny, ale nie tak hańbiący, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę charakter pana... Dajmy na to, że naganny postępek, w najwyższym nawet stopniu, godzę się z tem ale naganny to jeszcze nie hańbiący... To znaczy, zmierzam do tego, że przez cały miesiąc mówiono już o tem w mieście, że pan roztrwonił te trzy tysiące, będące własnością panny Wierchowcew, ja sam słyszałem tę legendę... Michał Makarowicz również, naprzykład, słyszał. Słowem, to już jednakże nie legenda, to plotka, obiegająca całe miasto. Pozatem są wskazówki, że pan sam, jeśli się nie myle, wyznał komuś, iż pieniądze te są własnością panny Wierchowcew... A przeto dziwi mnie teraz bardzo, że przywiązywał pan dotychczas, mianowicie do chwili obecnej, taką niezwykłą wagę, i że utrzymywał pan w takiej tajemnicy te odłożone, według pańskiego twierdzenia, tysiąc pięćset rubli, otaczając swoją tajemnicę taką grozą... Niepodobna, aby wyznanie takiej tajemnicy mogło kosztować pana takich katuszy... bo przecież pan krzyczał niedawno, że lepsza katorga od tego wyznania...

Prokurator umilkł. Zdenerwował się i zapalił. Nie tail swego gniewu, prawie złości, wypowiedział się, nie dbając o wymowę, wskutek czego przemówienie jego było chaotyczne i prawie mętne.

— Hańby nie stanowią same pieniądze, lecz ta okoliczność, że odłożyłem połowę — odrzekł stanowczo Mitia.

— Ale cóż z tego — uśmiechnął się rozdrażniony pro-

kurator — cóż w tem haniebnego, że z przywłaszczonych brzydko, albo jeśli pan woli haniebnie, trzech tysięcy odłożył pan połowę wedle swego uznania? Ważniejszą rzeczą jest to, że pan przywłaszczył sobie te trzy tysiące, niż to, jak pan tę kwotę roztrwonił. Przy sposobności zapytuję pana, dlaczego się pan właśnie tak urządził, to znaczy odłożył połowę? Poco, w jakim celu pan to zrobił, czy może pan wyjaśnić?

— O panowie, cały sęk w celu! — zawołał Mitia. — Odłożyłem z podłości, to znaczy z wyrachowania, albowiem wyrachowanie w takich wypadkach jest podłością... I cały miesiąc ciągnęła się ta podłość!

— Nie rozumiem.

— Podziwiam pana. A zresztą wyjaśnię to lepiej, może to naprawdę niezrozumiałe. Widzicie, uważajcie panowie, co powiem: przywłaszczam sobie trzy tysiące, które mi zaufano, hulam za nie, przehulałem wszystko, nazajutrz przychodzę do niej, powiadam: Katiu, zawiniłem, przehulałem twoje trzy tysiące — ano cóż, dobrze? Nie, niedobrze — nieuczciwie i tchórzliwie, bestja i po bestjalsku nie umieć się pohamować, prawda, prawda? Ale bądź co bądź nie złodziej? Nie zwyczajny złodziej, nie zwyczajny, musicie to uznać! Przehulał, ale nie ukradł! Teraz drugi, wygodniejszy wypadek; uważajcie, panowie, bo gotów jestem poplątać — w głowie mi się kręci — więc tak, drugi wypadek: przehulałem tylko tysiąc pięćset z trzech, to znaczy połowę. Nazajutrz przychodzę do niej i przynoszę tę połowę: „Katiu, weź ode mnie, łajdaka, lekkomyślnego szubrawca, tę połowę, ponieważ drugą połowę przepuściłem, przehultaję zatem i tę, zatem dalej od pokusy!“ Ano, cóż w takim wypadku? Wszystko, co wam się podoba, i zwierz i szubrawiec, ale już nie złodziej, albowiem gdyby był złodziejem, to napewnoby nie odniósł tej drugiej połowy z powrotem, lecz poprostu przywłaszczyłby ją sobie również. Tu zaś widzi ona, że, chociaż odniósł tylko połowę, zwróci również drugą połowę, przehulaną, całe życie szukać będzie, pracować, i w końcu znajdzie i zwróci. W ten sposób łajdak, ale

nie złodziej, nie złodziej, jak chcecie, panowie, ale nie złodziej.

— Przypuśćmy, że jest jakaś różnica — uśmiechnął się chłodno prokurator. — Ale dziwi mnie to, że pan dopatruje się w tem aż tak fatalnej różnicy.

— Tak, dopatruję się tak fatalnej różnicy! Łajdakiem może być każdy i jest nim w rzeczy camej, ale złodziejem może być nie każdy, lecz tylko arcyladaco. Ano, ja takich subtelności nie potrafię... Tylko, że złodziej jest podlejszy od łajdaka, oto moje wewnętrzne przekonanie. Niechże pan słucha: cały miesiąc noszę przy sobie pieniądze, jutro je mogę zwrócić, i przestanę być łajdakiem, a jednak nie mogę się zdecydować, tak jest, chociaż każdego dnia sobie postanawiam, każdego dnia popycham siebie: „zdecyduj się, zdecyduj się, łotrze", — otóż przez cały miesiąc nie mogę się zdecydować, tak! Cóż, tak jest dobrze, zdaniem pana?

— Przypuśćmy, że niezbyt dobrze, doskonale to potrafię zrozumieć i temu nie przeczę — powściągliwie odpowiedział prokurator. — I wogóle dajmy pokój tym subtelnościom i różnicom i wróćmy do rzeczy, jeśli pan pozwoli. Chodzi mianowicie o to, że pan jeszcze nie raczył nam wyjaśnić, chociażeśmy o to pytali: poco pan z początku podzielił w ten sposób te trzy tysiące rubli, to znaczy jedną połowę przehulał a drugą schował? Właściwie dlaczego pan schował, na co pan chciał użyć tej gotówki. Proszę o odpowiedź, Dymitrze Fedorowiczu.

— Ach, tak, istotnie! — krzyknął Mitia, uderzając się w czoło — wybaczy pan, ja pana męczę, a najważniejszą rzecz pomijam milczeniem, bo przecież ona pozwoli panu w mig wszystko zrozumieć, bo przecież cel, cel właściwie stanowi o hańbie! Widzi pan, ten stary, nieboszczyk, wciąż tylko niepokoił Agrafenę Aleksandrowną, a ja byłem zazdrosny, myślałem, że ona waha się, kogo wybrać, mnie czy jego; więc myślę sobie każdego dnia: a co jeżeli ona nagle postanowi, jeżeli przestanie mnie męczyć i nagle powie mi: „kocham cię, a nie jego, i wywieź mnie na kraniec świata". Przecież miałem w majątku dwadzieścia kopiejek; jakże ją wywiozę, co wówczas poczne — przecież zgi-

nę marnie. Bo nie znałem jej wówczas i nie wiedziałem i nie rozumiałem, myślałem, że zależy jej na pieniądzach, że nigdy nie zgodzi się na ubóstwo. I oto podstępnie odliczam połowę od trzech tysięcy i z zimną krwią zaszywam z wyrachowaniem, jeszcze przed hulanką, a potem, jak zaszyłem, za drugą połowę jadę hulać! Nie, to jest podłość? Zrozumiał pan teraz?

Prokurator głośno się roześmiał. Sędzia śledczy wtórował.

— Mojem zdaniem, to nawet rozsądnie i moralnie, że pan powstrzymał się i nie wszystko przehulał — chichotał Mikołaj Partenowicz — bo i cóż w tem złego?

— Że ukradłem — ot co! O Boże, przerażacie mnie waszem nierozumieniem! Póki nosiłem te pieniądze na piersiach, codzień i co godzinę mówiłem sobie: „jesteś złodziejem, jesteś złodziejem!". Dlatego tak awanturowałem się w tym miesiącu, dlatego biłem się w szynku, dlatego ojca swego pobiłem, bo czułem się złodziejem! Nawet Aljoszy, bratu memu, nie śmiałem mówić o tych pieniądzach: do takiego stopnia czułem się łajdakiem i oszustem! Ale niech pan wie, że póki je nosiłem, o każdej porze, każdego dnia powtarzałem sobie. „Nie, Dymitrze Fedorowiczu, może jeszcze nie jesteś jeszcze całkiem złodziejem". Dlaczego? Dlatego, że możesz jutro pójść i zwrócić te tysiąc pięćset rubli Kasi. I oto wczoraj dopiero zdecydowałem się zerwać z szyi ten mój talizman, gdym biegł od Feni do Perchotina, do tej chwili nie odważyłem się, i ledwo zerwałem z szyi, stałem się ostatecznie i niewątpliwie złodziejem, złodziejem i niehonorowym człowiekiem na całe życie. Dlatego, że wraz z talizmanem zerwałem również marzenie moje, że pójdę do Kasi i powiem: „jestem łajdakiem ale nie złodziejem"! Rozumiecie mnie teraz panowie, rozumiecie?

— I czemuż to pan zdecydował się na to właśnie wczoraj wieczorem? — przerwał Mikołaj Partenowicz.

— Czemu? Śmieszne zapytanie: ponieważ skazałem siebie na śmierć, i wyrok miałem dziś o piątej nad ranem tutaj wykonać. „Wszystko jedno, pomyślałem sobie, umie-

rać jako łajdak czy jąko człowiek honoru!". Ale nie, okazało się, że nie wszystko jedno. Dacie wiarę panowie, nie to mnie najbardziej dręczyło, tej nocy, że zabiłem starego sługę i że grozi im Syberja i to kiedy? — kiedy urzeczywistniła się miłość moja, i kiedy znowu otwarło się dla mnie niebo! O, to dręczyło mnie, ale nie tak: nie tak, jak ta przeklęta świadomość, że zerwałem nakoniec z piersi te przeklęte pieniądze, że przehulałem je, i że zatem jestem ostatecznie złodziejem! O, panowie, powtarzam wam z całego serca: wiele nauczyłem się tej nocy! Nauczyłem się, że nie tylko nie można żyć w podłości, ale i umierać w podłości nie można... Nie, panowie, trzeba umierać uczciwie!...

Mitia był blady. Straszne wyczerpanie przebiło się na jego twarzy, pomimo ostatecznego podniecenia.

— Zaczynam pana rozumieć, Dymitrze Fedorowiczu — miękko i jakgdyby nawet ze współczuciem przemówił prokurator, zlekka przeciągając słowa — ale swoją drogą to wszystko według mego zdania to tylko nerwy... przeczulone nerwy pana. I dlaczegóż, żeby uwolnić się od takich mąk, trwających cały miesiąc, nie poszedł pan wręcz i nie zwrócił pan tej osobie, która je panu zawierzyła,—bo i czemuż pan nie miał ze względu na ówczesne położenie swoje, tak straszliwe według opisu pańskiego, wypróbować kombinacji, która przecież naturalnym biegiem rzeczy narzucała się umysłowi: to znaczy po szlachetnem wyznaniu swego błędu czemu nie miał pan prosić jej o pożyczenie potrzebnej panu na wydatki gotówki, tembardziej, że wspomniana osoba, mająca tak szlachetne serce, widząc męki pana, napewnoby panu nie odmówiła, zwłaszcza gdyby pan zaproponował taką gwarancję, jaką chciałeś dać Samsonowi i pani Chochłakow? Wszak dotychczas uważa pan tę gwarancję za pewną?

Mitia zaczerwienił się nagle.

— Czy naprawdę uważa mnie pan aż za takiego szubrawca? To niemożliwe, aby pan na serjo! — zawołał z oburzeniem, zaglądając prokuratorowi w oczy i jakby nie dowierzając własnym uszom.

— Zapewniam pana, że na serjo... Dlaczego pan myśli, że nie na serjo? — zdziwił się pokolei prokurator.

— O jakieby to było podłe! Panowie, czy wiecie, jak mnie męczycie! Pozwólcie, zaraz wam wszystko powiem, niech i tak będzie, ja wam teraz wyspowiadam się z całej swej piekielności, i tylko poto, aby was zawstydzić; zdziwicie się nawet, do jakiej nikczemności może dojść kombinacja uczuć ludzkich! Wierzcie, panowie, że już uknułem tę kombinację, tę samą, a której pan teraz mówił, prokuratorze! Panowie, ja również powziąłem tę myśl, w tym przeklętym miesiącu i już nawet postanowiłem iść do Kasi, tak byłem podły! Ale iść do niej, wyznać jej moją zdradę i dla tej zdrady, dla urzeczywistnienia tej zdrady, na wydatki, związane z urzeczywistnieniem tej zdrady, prosić jej, Kasi, o pieniądze (prosić, słyszycie, prosić!) i odrazu uciec od niej z drugą, z jej rywalką, która jej nienawidzi i znieważyła ją — wybaczcie panowie, ale chyba pan oszalał, prokuratorze.

— Oszalał czy nie, ale oczywiście w pierwszej chwili nie zmiarkowałem... nie pomyślałem o niewieściej zazdrości... o ile tu istotnie mogła być zazdrość, jak pan twierdzi... ale oczywiście coś takiego tu zachodzi — uśmiechnął się prokurator.

— Ale toby już było takie łajdactwo. — Mitia uderzył dziko pięścią w stół — toby już tak śmierdziało, że doprawdy! A czy wiecie, że ona potrafiłaby mi dać te pieniądze, i dałaby, napewno dała, aby się zemścić dałaby, dla rozkoszy zemsty, z pogardą dla mnieby dała, bo to również infernalna dusza, niewiasta wielkiego gniewu! Jabym pieniądze wziął, wziąłbym, wziął, i całe życie w takim razie... O Boże! wybaczcie, panowie, dlatego tak krzyczę, że myśl ta jeszcze niedawno, dwa dni temu, kiedy w nocy biedziłem się z Legawym, nurtowała we mnie, i potem wczoraj, tak i wczoraj, przez cały dzień wczorajszy, pamiętam, aż do samego wypadku...

— Do jakiego wypadku? — wtrącił Mikołaj Partenowicz ciekawie, ale Mitia nie słyszał zapytania.

— Zrobiłem wam straszliwe wyznanie — zakończył posępnie. — Oceńcie je, panowie. Ale to nic jeszcze nie wystarczy ocenić, trzeba je cenić, bo jeżeli nie zrobicie tego,

to ono przejdzie mimo dusz waszych: to znaczy, że poprostu nie szanujecie mnie, panowie, powiadam wam, i umrę ze wstydu, że wyznałem to takim ludziom jak wy! O, zastrzelę się! Tak, widzę, już, widzę, że mi nie wierzycie! Jakto, więc i to chcecie zapisać? — zawołał z lękiem.

— To, co pan teraz powiedział — Mikołaj Partenowicz popatrzał nań ze ździwieniem — mianowicie, że do ostatniej godziny wybierał się pan do panny Wierchowcew, aby poprosić o tę pożyczkę... Zapewniam pana, cały wypadek... i zwłaszcza dla pana, zwłaszcza dla pana to istotne.

— Ale zlitujcie się, panowie —załamał ręce Mitia — przynajmniej tego nie zapiszcie, wstydzilibyście się, panowie! Przecież, rzec można, całą duszę moją rozdarłem na połowę przed wami, a wyście to wykorzystali i grzebiecie palcami w bolesnych miejscach... O Boże!

Rozpaczliwie ukrył twarz w dłoniach.

— Niech się pan nie denerwuje, Dymitrze Fedorowiczu — odezwał się prokurator — wszystko, co teraz zapisujemy, sam pan później wysłucha, a jeżeli się pan nie zgodzi z czemś, to zmienimy. A teraz powtórzę po raz trzeci jedno małe pytanie: czy naprawdę nikomu nie mówił pan o tych zaszytych peniądzach? Trudno to sobie nawet wyobrazić.

— Nikomu, nikomu, mówiłem już panu, widzę, że pan nic nie rozumiał! Dajcie mi już pokój.

— Pozwoli pan, ta sprawa musi się wyjaśnić, i jeszcze przyjdzie na to czas, ale tymczasem niechże pan sobie rozważy: mamy, być może, dziesiątki świadectw, orzekających, że pan wszędzie sam mówił i nawet krzyczał o trzech tysiącach, przehulanych przez pana, o trzech, a nie o półtorej, a nawet obecnie dał pan do zrozumienia, że pan znowu przywiózł ze sobą trzy tysiące...

— Nie dziesięć a sto świadectw macie, dwieście świadectw, dwieście osób słyszało, tysiąc słyszało! — zawołał Mitia.

— Ano widzi pan, wszyscy świadczą, wszyscy świadczą. A chyba ma jakieś znaczenie to słowo „wszyscy".

— Żadnego nie ma znaczenia, blagowałem, a po mnie wszyscy zaczęli blagować.

— A pocóż było „blagować", jak się pan wyraził?

— Djabli wiedzą. Dla przechwałek może... tak... że niby tyle pieniędzy przehulałem... Poto może, aby zapomnieć o zaszytych pieniądzach... tak widzicie poto... do djabła... ileż to razy zadaje mi pan to pytanie? Ano poprostu blagowałem i basta, raz skłamałem i nie chciałem już potem prostować i czy można wiedzieć dlaczego się kłamie?

— Bardzo trudno rozstrzygnąć, Dymitrze Fedorowiczu, dlaczego człowiek kłamie — orzekł uroczyście prokurator. —Niechże mi pan jednak powie, czy duży był ten, jak go pan nazywa, talizman na szyi pana?

— Nie, nieduży.

— Jakich naprzykład rozmiarów?

— Banknot sturublowy złożony we dwoje.

— A możeby pan nam pokazał tę szmatkę? Chyba ma pan przy sobie.

— Ech, do djabła... jakie głupstwa... nie mam pojęcia gdzie ona jest.

— Ale pozwoli pan jednak: gdzie i kiedy zdjął ją pan z szyi? Wszak, jak pan sam mówił, nie zaszedł pan do domu?

— Kiedy od Feni wyszedłem i udałem się do Perchoina, po drodze właśnie zerwałem z szyi i wyjąłem pieniądze.

— W ciemnościach?

— A nacóż mi była świeczka? Jednym palcem w sekundę to zrobiłem.

— Bez nożyczek, na ulicy?

— Na placu zdaje się; pocóż aż nożyczki? Stara szmatka, odrazu się przedarła.

— Gdzie ją pan później podział?

— Na miejscu ją rzuciłem.

— Gdzie mianowicie?

— Ależ na placu, wogóle na placu! Djabli wiedzą, w którem miejscu. I nacóż to panu?

— To bardzo ważne, Dymitrze Fedorowiczu: dowód rzeczowy, przemawiający na korzyść pana, jakże pan tego nie rozumie? Kto panu pomógł zaszyć w zeszłym miesiącu?

— Nikt nie pomógł, sam zaszyłem.

— Umie pan szyć?

— Żołnierz musi umieć szyć, i zresztą cóż to za umiejętność.

— Skąd pan wziął materjał, to znaczy szmatkę ową, w którą pan zaszył pieniądze?

— Czy pan się śmieje?

— Bynajmniej, niema powodu do śmiechu, Dymitrze Fedorowiczu.

— Nie pamiętam, skąd wziąłem szmatkę, skąd ją wziąłem.

— Jakże takich rzeczy nie pamiętać?

— Jak Boga kocham nie pamiętam, może podarłem jakąś sztukę bielizny.

— To bardzo ciekawe: w mieszkaniu pana powinna się znaleść zatem ta sztuka, może to koszula, od której pan oderwał kawałek? Z czego była ta szmatka? Z płótna?

— Djabli wiedzą z czego. Zaraz... Zdaję się, że nie odrywałem. Była z perkalu... Zdaje się, że zaszyłem w czepek gospodyni.

— W czepek gospodyni?

— Tak, ściągnąłem go.

— Jakto ściągnął pan?

— Widzi pan, teraz pamiętam, ściągnąłem czepek, szukając gałganka, zdaje się, że poto, aby pióro wytrzeć. Ściągnąłem pokryjomu, bo już stary był, bezużyteczny, a później te pieniądze zaszyłem... Tak, zdaje się, że ten gałganek. Stary perkalikowy czepek, tysiąckrotnie prany.

— Pamięta pan napewno?

— Nie wiem, czy napewno. Zdaje się, że w czepku, zresztą pal sześć!

— W takim razie gospodyni pana może stwierdzić, że zginął jej czepek?

— Wcale nie, właśnie, że nie spostrzegła. Stara szmatka, powiadam panu, grosza nie warta.

— A igłę skąd pan wziął, nici?

— Przerywam, nie chcę więcej. Dosyć! — rozzłościł się wreszcie Mitia.

— I dziwne to naprawdę, że pan zapomniał, w którem miejscu rzucił pan ten... talizman.

— Nech pan każe plac wymieść, to może się i znajdzie — uśmiechnął się Mitia.

— Dość, panowie, dość—dodał zmęczonym głosem.— Widzę jasno: nie uwierzyliście mi panowie! Pod żadnym względem. Moja wina, nie wasza, nie trzeba było się pchać. Czemu to, czemu zohydziłem się dobrowolnie, odsłaniając wam swoją tajemnicę! A was to śmiechem przejmuje, z oczu wam to patrzy. To pan mnie, prokuratorze, doprowadził do tego! Śpiewajcie sobie hymn, jeśli możecie... Bądźcie przeklęci, dręczyciele!

Spuścił głowę i zasłonił twarz ręką. Prokurator i sędzia milczeli. Po minucie podniósł głowę i spojrzał na nich jakoś bezmyślnie. Na twarzy jego malowała się ostateczna, beznadziejna desperacja. Siedział jakoś cicho, zapatrzony i nieobecny duchem. Tymczasem trzeba już było skończyć: wypadało rozpocząć badania świadków. Była już godzina ósma rano. Dawno zgaszono świecę. Michał Makarowicz i Kałganow, którzy w czasie badania wciąż wchodzili i wychodzili, teraz gdzieś przepadli. Prokurator i sędzia śledczy mieli bardzo zmęczone miny. Dzień był słotny, niebo pokryte chmurami, i deszcz lał jak z cebra. Mitia bezmyślnie spojrzał w okno.

— Czy mogę patrzeć w okno? — zapytał nagle Mikołaja Partenowicza.

— Och, jak pan sobie życzy — odpowiedział sędzia.

Mitia wstał i podszedł do okna. Deszcz tłukł w małe zielonkawe szybki. Tuż pod oknami biegł zabłocony gościniec, dalej we mgle deszczowej czarne, ubogie, nędzne rzędy strzech, które w deszczu wyglądały jeszcze nędzniej i marniej. Mitia przypomniał sobie „złotowłosego Feba", którego pierwsze promienie zamierzał uczcić samobójstwem: „w taki ranek byłoby może lepiej" — uśmiechnął się i naraz, machnąwszy ręką z góry na dół, odwrócił się ku swoim „dręczycielom":

— Panowie! — zawołał — Przecież widzę, że zginąłem. Ale ona? Powiedzcie mi, co z nią, błagam was, czy

i ona ma zginąć ze mną? Wszak ona jest niewinna, wszak ona nie zawiniła, wbrew temu co wczoraj nieprzytomnie krzyczała. Absolutnie, absolutnie nie zawiniła... Czy nie można, czy nie możecie mi powiedzieć, co z nią zrobicie?

— Pod tym względem niech pan będzie spokojny, Dymitrze Fedorowiczu — odrzekł natychmiast bardzo skwapliwie prokurator — nie mamy najmniejszych powodów do niepokojenia owej pani, którą się pan tak interesuje. Mamy nadzieję, że to się i nadal nie zmieni... Wręcz przeciwnie, zrobimy wszystko, co jest w naszej mocy. Niech pan będzie zupełnie spokojny.

— Panowie, dziękują wam, przecież wiedziałem, że jesteście mimo wszystko uczciwymi i sprawiedliwymi ludźmi, mimo wszystko. Zdjęliście mi ciężar z serca... Ano cóż teraz będziemy robić? Jestem gotów.

— Trzeba się śpieszyć. Należałoby odrazu przejść do badania świadków. Powinno się to odbyć bezwarunkowo w obecności pana, a przeto...

— A czy przedtem ne napijemy się herbatki? — przerwał Mikołaj Partenowicz. — Zasłużyliśmy sobie na to?

Zdecydowano, że jeżeli jest na dole herbata (prawdopodobnie Michał Makarowicz zeszedł właśnie na herbatę) to wypije się po szklance, zaczem przystąpi się do dalszej pracy. Właściwą herbatkę i zakąski odłoży się do wolniejszej chwili. Herbata w rzeczy samej była gotowa i wkrótce przyniesiono ją na górę.

Mitia zrazu odmówił przyjęcia herbaty, którą zaproponował mu uprzejmie Mikołaj Partenowicz, ale potem sam o nią poprosił i wypił chciwie. Miał jakoś dziwnie zmęczoną minę. Zdawałoby się, że będąc tak silnym, nie powinien zbytnio odczuwać mitręgi jednej pijanej nocy, choćby nawet połączonej z tak oszałamiającemi wrażeniami. A jednak czuł, że ledwo siedzi, zaś chwilami doznawał zawrotu głowy, i wszystkie przedmioty zaczynały się obracać przed oczyma. „Jeszcze trochę, a zacznę majaczyć" — pomyślał przez chwilę.

VIII.

Zeznania świadków. — Dziecioł.

Zaczęło się badanie świadków. Lecz nie będziemy tego powtarzali z dotychczasową dokładnością. Nie będziemy zatem powtarzali, jak Mikołaj Partenowicz przemawiał do każdego pokolei świadka, że powinien świadczyć w zgodzie z prawdą i sumieniem, i że co teraz powie, będzie musiał potwierdzić następnie pod przysięgą. Nie będziemy również opowiadali, jak każdy świadek podpisywał swoje zeznania i t. d. Zwrócimy tylko uwagę na to, że najważniejszym punktem badania, ogniskującym całą uwagę badających, była kwestja owych trzech tysięcy. Chodziło o stwierdzenie, czy Dymitr Fedorowicz po raz pierwszy, podczas pierwszej mianowicie hulanki w Mokrej, miał trzy tysiące, czy połowę tego, jako też czy miał trzy tysiące czy tysiąc pięćset teraz podczas drugiej hulanki. Niestety, wszystkie świadectwa bez wyjątku przemawiały przeciw Miti, a niektóre to nawet dorzucały nowe, niezmiernie ciekawe fakty, obalające wręcz zeznania oskarżonego. Pierwszego zbadano Tryfona Borysycza. Stał przed sędziami bez żadnej trwogi, owszem z surową i poważną miną, pełen oburzenia na obwinionego, co tembardziej podkreślało jego prawdomówność i godność osobistą. Mówił niewiele, powściągliwie, czekał na pytania, odpowiadał dokładnie i z namysłem. Bez wahania, z całą stanowczością stwierdził, że miesiąc temu Dymitr Fedorowicz nie mógł wydać mniej niż trzy tysiące, że mogą wszyscy chłopi tutejsi potwierdzić, iż słyszeli o trzech tysiącach od samego Dymitra Fedorowicza. „Cygankom to ile pieniędzy rozdarował. Napewno przeszło tysiąc rubli".

— Nawet pięciuset nie dałem — posępnie wtrącił Mitia — nie liczyłem wtedy, pijany byłem, a szkoda...

Mitia siedział tym razem z boku, plecami do zasłony, słuchał posępnie ze smutną i zmęczoną miną, jakgdyby mówiąc: „Ech, mówcie, co chcecie, teraz mi wszystko jedno!".

— Więcej niż tysiąc im kapnąło, Dymitrze Fedorowiczu — odparł stanowczo Tryfon Borysowicz — szastał pan, nie patrząc, a oni podnosili. To naród chciwy, wiadoma rzecz, złodzieje i koniokrady, wypędzono ich stąd, a żeby nie to, sami mogliby zaświadczyć, ile wówczas od pana wybrali. Sam widziałem w ręku pana pieniądze — liczyć nie liczyłem, to prawda,—ale na oko pamiętam, o wiele więcej niż półtora tysiąca... Jakie tam półtora! Widzieliśmy pieniądze nie takie, to się wi.

Co się tyczy wczorajszych pieniędzy, to Tryfon Borysycz zeznał, Dymitr Fedorowicz, ledwo wyszedł z trójki, sam mu powiedział, że przywiózł trzy tysiące.

— Czyżby naprawdę, Tryfonie Borysyczu? — zdziwił się Mitia. — Czy istotnie powiedziałem, że przywiozłem trzy tysiące?

— Mówił pan, Mitry Fedorowiczu. Przy Andrzeju pan mówił. Andrzej świadek, może potwierdzić, jeszcze nie pojechał. A tam w salonie, kiedy pan chór częstował, to ino krzyczał pan, że szósty tysiąc pan tu u nas zostawia, z dawnemi znaczy, tak trza rozumieć. Stepan i Semjon słyszeli, a tak, i Piotr Fomicz Kałganow stał tu i też słyszał...

Zeznanie o szóstym tysiącu wywarło wielkie wrażenie. Spodobała się ta nowa redakcja: trzy i trzy stanowi sześć, zatem trzy tysiące wówczas i trzy teraz, oto i całe sześć — prosty i jasny rachunek.

Badano wszystkich wskazanych przez Tryfona Borysycza świadków: Stepana i Semjona, i Andrzeja i Piotra Fomicza Kałganowa. Chłopi i dorożkarze bez wahania potwierdzili zeznanie Tryfona Borysycza. Pozatem zapisano również opowiadanie Andrzeja o rozmowie jego z Mitią podczas jazdy, na temat: „dokąd to niby ja, Dymitr Fedorowicz, trafię po śmierci: do piekła czy do nieba, i czy wybaczą mi na tamtym świecie?" „Psycholog" Hipolit Kiryłowicz wysłuchał z subtelnym uśmiechem i wkońcu polecił tę rozmowę zapisać.

Kałganow wszedł do pokoju niechętnie, posępnie i jakoś krnąbrnie i rozmawiał z prokuratorem i z Mikołajem Partenowiczem, jakgdyby ich pierwszy raz widział w ży-

ciu, chociaż w istocie był ich dawnym znajomym i spotykał się z nimi niemal codziennie. Zaczął od tego, że „nic nie wie i nic wiedzieć nie chce". Ale okazało się, że o „szóstym tysiącu" słyszał, bo w owej chwili stał w pobliżu. Na pytanie, ile pieniędzy miał Mitia w ręku, odpowiedział: „nie wiem ile". Potwierdził, że obaj Polacy oszukiwali w grze. Wyjaśnił również, na wielokrotne zapytania, że po przepędzeniu obu Polaków zmienił się stosunek Agrafeny Aleksandrownej do Miti, powiedziała mu sama, że go kocha. O Agrafenie Aleksandrowej wyrażał się powściągliwie i z szacunkiem, jakgdyby była kobietą z najlepszego towarzystwa, i nawet nie pozwolił sobie ani razu nazwać jej „Gruszeńką". Pomimo widocznej odrazy młodzieńca do zeznań, Hipolit Kiryłowicz badał go długo i dowiedział się od niego wszystkich szczegółów „romansu" Miti. Ten zaś ani razu nie przerywał. Wreszcie Kałganowa zwolniono; wyszedł, nie ukrywając oburzenia.

Badano również obu Polaków. Ci przez całą noc nie zmrużyli oka. Kiedy „władze" przybyły, ubrali się naprędce, spodziewając się badania. Weszli godnie, z partesu, ale nie bez trwogi. Malutki pan, jak się teraz okazało, dymisjowany urzędnik dwunastej kategorji, był weterynarzem i nazywał się panem Musiałowiczem. Pan Wróblewski zaś był dentystą. Obaj oni z początku zwracali się w odpowiedzi na pytania Mikołaja Partenowicza do Michała Makarowicza, biorąc go snać za najważniejszą w tem gronie osobistość, tytułując go wielokrotnie „panem pułkownikiem". Dopiero po kilkakrotnych uwagach samego Mikołaja Makarowicza zmiarkowali, że należy się zwracać bezpośrednio do Mikołaja Partenowicza. Nawiasem mówiąc, okazało się, że językiem rosyjskim władają bardzo a bardzo dobrze, może tylko źle akcentują niektóre słowa. Pan Musiałowicz zaczął zapalczywie i dumnie wywodzić o stosunkach swoich z Gruszeńką, ale niewiele zdążył powiedzieć, bo Mitia odrazu się uniósł i krzyknął, że nie pozwoli „łajdakowi" tak mówić w swojej obecności! Pan Musiałowicz zwrócił uwagę sędziów na słowo „łajdak" i poprosił o zaprotokułowanie. Mitia zawrzał wściekłością.

— A właśnie że łajdak, właśnie że łajdak! Zapiszcie

to i zapiszcie też, że pomimo protokółu jeszcze raz wołam, że łajdak! — krzyczał Mitia.

Mikołaj Partenowicz coprawda kazał wpisać to do protokółu, ale okazał w tym przykrym incydencie wiele taktu i praktyczności: uczynił surową uwagę Miti, ale sam przestał się interesować romantyczną stroną sprawy i natychmiast przeszedł do istotnych rzeczy. Istotną rzeczą zaś było zeznanie „panów", które ogromnie zaciekawiło sędziego i prokuratora. Zeznali oni, że Mitia usiłował przekupić pana Musiałowicza i zaproponował mu trzy tysiące odstępnego, siedmset rubli chciał mu dać na rękę, a resztę, dwa tysiące trzysta — „jutro rano w mieście", przyczem zaręczał słowem honoru, że nie ma tu przy sobie tyle pieniędzy, że zostawił u siebie w domu. Mitia przeczył zapalczywie, jakoby miał przyrzec, że jutro doda napewno resztę, ale pan Wróblewski potwierdził zeznanie swego kolegi, i zresztą sam Mitia, zastanowiwszy się chwilę, orzekł że prawdopodobnie tak było jak „panowie" twierdzą, że był wówczas podniecony, a przeto mógł to w podnieceniu powiedzieć. Prokurator wpił się poprostu w to zeznanie: wynikało bowiem z niego, że połowa czy część tych trzech tysięcy, które wpadły do rąk Miti, prawdopodobnie została gdzieś w mieście, a może i tu gdzieś, w Mokrej; w związku z tem wyjaśniła się również ta bardzo drażliwa okoliczność, że przy obwinionym znaleziono zaledwie osiemset rubli — okoliczność, która była dotąd świadectwem — coprawda jedynem i błahem — przemawiającem na korzyść Miti. I oto teraz runął ten jedyny atut obrony. Na pytanie prokuratora: skądby wziął pozostałe dwa tysiąc i trzysta rubli dla „pana", skoro twierdzi, że miał wszystkiego tysiąc pięćset, Mitia odpowiedział bez wahania, że chciał nazajutrz zaproponować „Polaczkowi" nie pieniądze, lecz formalny akt, odstępujący prawa do majątku Czermaszni. Miał na myśli te same prawa, które proponował już Samsonowowi i pani Chochłakow. Prokurator uśmiechnął się — „wykręt był zbyt naiwny".

— I pan sądzi, że onby się zgodził przyjąć te „prawa" zamiast gotówki?

— Napewnoby się zgodził — odparł z zapałem Mitia. — Niech pan pomyśli, przecież mógł wyciągnąć nie dwa tysiące, lecz cztery, nawet sześć tysięcy! Onby tu natychmiast zwerbował swoich adwokacików, Polaczków i Żydków i nie trzy tysiące, ale całąby Czermasznię zabrali staremu.

Rozumie się, zeznanie pana Musiałowicza z całą pieczołowitością zapisano do protokółu, zaczem puszczono obu „panów". O szulerskiej grze nikt nawet nie wspomniał. Mikołaj Partenowicz za bardzo im był wdzięczny i nie chciał ich niepokoić błahostkami, bo właściwie była to „zwykła kłótnia przy kartach i winie i nic więcej. Jedna z wielu łajdactw tej nocy hulaszczej"... To też pieniądze— dwieście rubli — zostały w kieszeniach „panów".

Zawezwano następnie staruszka Maksymowa. Wszedł z lękiem, stawiał drobne kroczki, był jakoś roztargniony i bardzo smutny. Dotychczas siedział na dole przy Gruszeńce, przykucnął i milczał, tylko od czasu do czasu „zaczynał nad nią szlochać i oczy ocierać chusteczką w kratki", jak opowiadał potem Michał Makarowicz. Gruszeńka musiała go uspokajać i pocieszać. Staruszek natychmiast ze łzami przyznał się, że zawinił, że pożyczył od Dymitra Fedorowicza „dziesięć rubli, wskutek wielkiego mojego ubóstwa" i że gotów jest zwrócić... Na zapytanie Mikołaja Partenowicza czy nie zauważył, ile Dymitr Fedorowicz miał w ręku pieniędzy, bo przecież mógł najlepiej widzieć, gdy pożyczał — Maksymow najbardziej zdecydowanym tonem orzekł, że było tych pieniędzy „dwadzieścia tysięcy".

— A czy widział pan kiedy dwadzieścia tysięcy? — zapytał z uśmiechem Mikołaj Partenowicz.

— A jakże, widziałem, tylko nie dwadzieścia, lecz siedem, kiedy żona wioskę moją zastawiła. Dała mi popatrzeć zdaleka, chwaliła się. Bardzo gruba paczka była, same „tęczówki". Dymitr Fedorowicz też miał tęczówki...

Niedługo badano Maksymowa. Wreszcie nadeszła kolej na Gruszeńkę. Można się było lękać, że wejście jej znowu wywoła burzliwą scenę. Na wszelki wypadek Mikołaj Partenowicz zalecił Miti zachowanie spokoju. Ale

ów w odpowiedzi schylił tylko głowę, zapewniając jakby tym gestem, że „nie będzie nieporządków". Wprowadził Gruszeńkę sam Michał Makarowicz. Weszła z ponurą i surową miną, napozór była spokojna i cicho usiadła na wskazanem sobie krześle, naprzeciw Mikołaja Partenowicz. Była bardzo blada — mogło się wydawać, że z zimna— otuliła się swym pięknym czarnym szalem. Istotnie miała lekkie gorączkowe dreszcze — początek przewlekłej choroby, o którą ją noc ta przyprawiła. Jej surowa prezencja, proste i poważne wejrzenie, i spokojne maniery wywarły badzo dobre wrażenie na wszystkich obecnych. Mikołaj Partenowicz nawet cokolwiek się z początku „zapalił". Przyznał sam, opowiadając to komuś później, że dopiero w tej chwili zrozumiał „urodę" tej kobiety, bo dotychczas, chociaż widział ją nieraz, uważał za „powiatową heterę". „Ma maniery damy z najlepszego towarzystwa" — entuzjamował się później w damskiem kółku. Oburzone panie przezwały go „łobuziakiem", z czego był wielce zadowolony. Z początku Gruszeńka przelotnie spojrzała na Mitię, który patrzał na nią z niepokojem. Ale spokój jej podziałał i na niego. Po pierwszych nieuniknionych formalnych pytaniach i wskazówkach, Mikołaj Partenowicz, lekko się jąkając, lecz z miną najbardziej uprzejmą zapytał: „jakie stosunki łączą ją z porucznikiem rezerwy Dymitrem Fedorowiczem Karamazowym?" Na co Gruszeńka cicho i stanowczo odpowiedziała:

— Znajomy mój był, przyjmowałam go u siebie w ostatnim miesiącu jako znajomego.

Na dalsze pytania, odpowiadała wprost, z całą szczerością, że chociaż jej się „godzinami" podobał, nie kochała go, bałamuciła go tylko przez „podłą moją złośliwość", tak samo zresztą jak i „staruszka" nieboszczyka. Wiedziała, że Mitia był zazdrosny o Fedora Pawłowicza i o innych, ale to ją tylko cieszyło. Do Fedora zaś Pawłowicza nigdy nie miała zamiaru pójść, szydziła jeno z niego. „W tym miesiącu nie o nich myślałam; wypatrywałam innego człowieka, który mnie skrzywdził"... „Tylko, myślę" zakończyła, „że nie powinniście się o to pytać, a ja nie muszę wam odpowiadać, bo to moja, osobna sprawa".

Mikołaj Partenowicz zastosował się do tej uwagi: przestał się interesować „romansem" i przystąpił do poważnych rzeczy, mianowicie do tej wciąż najważniejszej kwestji trzech tysięcy. Gruszeńka potwierdziła, że w Mokrej, miesiąc temu, istotnie wydano trzy tysiące rubli, że wprawdzie nie liczyła pieniędzy, ale sam Dymir Fedorowicz mówił jej o trzech tysiącach.

— Czy sam na sam mówił to pani, czy też w czyjejś obecności. A może pani tylko słyszała, jak mówił do kogoś w obecności pani? — zapytał prokurator.

Gruszeńka oświadczyła, że słyszała jak mówił do kogoś, że mówił to jej również w obecności innych osób i że poza tem rozmawiał z nią o tem sam na sam.

— Czy raz jeden mówił to pani sam na sam, czy kilkakrotnie? — zapytał znowu prokurator. Okazało się, że kilkakrotnie.

Hipolit Kiryłowicz był bardzo zadowolony z tej odpowiedzi. Z dalszych pytań wyjaśniło się, że Gruszeńka zna również pochodzenie tych pieniędzy: mianowicie, że Dymitr Fedorowicz dostał je od Katarzyny Iwanowej.

— A czy słyszała pani kiedy, że wydano w Mokrej miesiąc temu nie całe trzy tysiące, lecz mniej, i że Dymitr Fedorowicz zachował całą połowę gotówki dla siebie?

— Nie, nigdy nic podobnego nie słyszałam — stwierdziła Gruszeńka.

Dalej wyjaśniło się, że wręcz przeciwnie, Mitia często jej mówił przez cały miesiąc, że nie ma ani grosza, „wciąż się spodziewał od ojca" — zakończyła Gruszeńka.

— A czy nie mówił kiedy przy pani... albo jakoś mimochodem, w gniewie — zapytał nagle Mikołaj Partenowicz — że zamierza targnąć się na życie ojca?

— Och, mówił. — westchnęła Gruszeńka.

— Raz jeden, czy wielokrotnie?

— Wielokrotnie, zawsze w gniewie.

— A czy pani wierzyła, że to zrobi?

— Nie, nigdy nie wierzyłam! — odparła stanowczo. — Ufałam jego szlachetności.

— Panowie, pozwólcie — zawołał nagle Mitia — pozwólcie mi przy was powiedzieć słówko Agrafenie Aleksandrownej.

— Proszę — pozwolił Mikołaj Partenowicz.

— Agrafeno Aelksandrowna — podniósł się z krzesła Mitia — wierz Bogu i mnie: śmierci ojca mego, zabitego wczoraj, nie jestem winien!

Co rzekłszy, usiadł z powrotem. Gruszeńka wstała i nabożnie przeżegnała się na ikonę.

— Chwała Bogu! — rzekła żarliwym, przejmującym głosem i, zwracając się do Mikołaja Partenowicza, dodała:

— Jak on teraz powiedział, to i wierzcie! Znam go: może co zmyślić, dla śmiechu, albo przez upór, ale jeżeli przeciw sumieniu, to nigdy nie oszuka. Całą prawdę powie, wierzcie panowie!

— Dziękuję, Agrafeno Aleksandrowna, pokrzepiłaś duszę — odrzekł Mitia drżącym głosem.

Co do wczorajszych pieniędzy oświadczyła, że nie wie, ile ich było, ale słyszała, jak Mitia wielokrotnie mówił różnym ludziom, że przywiózł ze sobą trzy tysiące. A co się tyczy ich źródła, to tylko powiedział, że „ukradł" Katarzynie Iwanowej, na co ona mu odpowiedziała, że nie ukradł, i że trzeba będzie jutro je zwrócić. Na uporczywe pytanie prokuratora: „Które pieniądze miał na myśli, gdy mówił o „kradzieży": wczorajsze, czy tamte z przed miesiąca"—oświadczyła, że miała na myśli tamte z przed miesiąca, i że tak go właśnie zrozumiała.

Wreszcie skończono badanie. Mikołaj Partenowicz skwapliwie ją zapewnił, że jest wolna i może odrazu wrócić do miasta, że jeżeli on, ze swej strony, może jej pomóc, naprzykład co do podwody, albo jeżeli zechce mieć przewodnika, to on... ze swej strony...

— Dziękuję bardzo — ukłoniła mu się Gruszeńka— pojadę z tym staruszkiem, z Maksymowym, jego odwiozę, a tymczasem poczekam na dole, jeżeli panowie pozwolicie, aż tu zdecydujecie co z Dymitrem Fedorowiczem.

Wyszła. Mitia był spokojny, i nawet nabrał otuchy, ale tylko na chwilę. Coraz bardziej ogarniało go dziwne jakieś osłabienie fizyczne. Oczy kleiły się ze zmęczenia.

Wreszcie skończyło się badanie świadków. Przystąpiono do sporządzenia ostatecznej redakcji protokółu. Mitia wstał i przeszedł do kąta, za zasłoną, położył się na dużym kufrze, nakrytym dywanem, i natychmiast zasnął. Przyśnił mu się jakiś dziwny sen, zupełnie niestosowny i niewspółmierny z obecną sytuacją. Jechał przez step, tam gdzie niegdyś służył, na wozie, a przed nim chłop powozi parą koni. Ziąb mu dokuczał, bo był początek listopada, śnieg padał dużemi, mokremi płatkami i odrazu się na ziemi roztapiał. I tęgo wiózł go chłop, chwacko z bicza trzaskał, brodę miał długą, rudą, nie stary jeszcze, miał lat najwyżej pięćdziesiąt, ubrany w szarą chłopską siermięgę. A oto niedaleko już przysiółek, chałupy już widoczne — czarne, bardzo czarne, a większość chałup zwęglona, sterczą jedynie okopcone belki. A na drodze stanęły baby, wiele bab, całym rzędem, wychudzone, zniszczone o brunatnych twarzach. I szczególnie jedna z pierwszych, koścista taka, wysoka, zdaje się, że ma lat czterdzieści, a może ma tylko dwadzieścia, twarz chuda i długa, na ręku trzyma niemowlę, a piersi zapewne wyschnięte, bez kropli mleka. I płacze, płacze osysek, i rączki wyciąga, zaciska piąstki, a rączki gołe z zimna zsiniały.

— Czego płaczą? Czego płaczą? — kłusem ich mijając, pyta Mitia.

— Dzieciok — odpowiada woźnica — dzieciok płacze.

I dziwi to Mitię, że powiedział po swojemu, po chłopsku „dzieciok", a nie dzieciak. I podoba mu się to, że chłop powiedział dzieciok: jakoś bardziej żałośnie.

— A dlaczego płacze? — dopytuje się Mitia jak głupi — dlaczego rączki gołe, dlaczego się nie przykrywa?

— A zziąbł dzieciok, przemarzł przyodziewek, nie grzeje więcej.

— A dlaczego to tak jest? Dlaczego? — nie przestaje pytać głupi Mitia.

— A biedne są, pogorzelcy, chlebusia niema, o jałmużnę proszą.

— Nie, nie — nie może wciąż zrozumieć Mitia — ty mi powiedz: dlaczego stoją tu te matki, dlaczego ludzie

są biedni, dlaczego biedny jest dzieciok, dlaczego nagi step, dlaczego nie obejmują się, nie całują, dlaczego nie śpiewają pieśni radosnych, dlaczego tak sczernieli z czarnej nędzy, dlaczego nie karmią dziecioka?

I czuje, że, chociaż niema sensu pytać, chce mu się tak pytać i że trzeba właśnie takie zadawać pytania. I czuje, że w sercu jego powstaje nigdy nie zaznana tkliwość, że zbiera mu się na płacz, że chce wszystkim co dobrego zrobić, żeby nie płakał dzieciok, żeby nie płakała czarna wychudzona matka dziecioka, żeby nie było już łez od tej chwili, i żeby odrazu, odrazu to zrobić, nie odwlekając, wbrew wszystkiemu, z całą karamazowską popędliwością.

— A ja z tobą, teraz cię nie opuszczę, na całe życie z tobą pójdę — rozlegają się wokoło niego miłe, szczerem uczuciem przejęte słowa Gruszeńki.

I oto zapłonęło serce i porwało się ku jakiemuś światłu, i żyć mu się chce, żyć, iść, iść gdzieś, do nowego, wzywającego światła, i prędzej, prędzej, już, odrazu!

— Co? Dokąd! — zawołał, otwierając oczy i siadając na kufrze. I, jakgdyby budząc się z omdlenia, uśmiechał się promiennie.

Nad nim stoi Mikołaj Partenowicz i prosi go o wysłuchanie i podpisanie protokółu. Domyślił się Mitia, że przespał godzinę a może i więcej, ale nie słuchał Mikołaja Partenowicza. Naraz go zastanowiło, że pod głową ma poduszkę, której przecie nie było, gdy kładł się na kufrze.

— Któż to mi poduszkę pod głowę podsunął? Kto był taki dobry! — zawołał z egzaltowaną wdzięcznością, jakimś płaczliwym głosem, jakgdyby mu wyświadczono Bóg wie jak wielką przysługę.

Dobroczyńca jednak pozostał nieznany; zapewne któryś ze strażników a może i sekretarz Mikołaja Partenowicza uczynił to z litości. W każdym razie Mitia był niezmiernie wzruszony. Podszedł do stołu i oznajmił, że gotów jest podpisać, co tylko zechcą.

— Dobry sen widziałem, panowie — rzekł jakoś dziwnie z twarzą zmienioną, tchnącą radością.

IX.

Wywieziono Mitię.

Skoro podpisano protokół, Mikołaj Partenowicz zwrócił się uroczyście do oskarżonego i przeczytał mu dokument, stwierdzający, że od tej chwili jest aresztantem i że zaraz odwiozą go do miasta, i zamkną tam w pewnem bardzo nieprzyjemnem miejscu. Mitia wysłuchał z uwagą i tylko wzruszył ramionami.

Poczekajcie! — krzyknął nagle Mitia i z jakiemś niepohamowanem przejęciem zawołał, zwracając się do wszystkich obecnych. — Panowie, wszyscyśmy okrutni, wszyscy jesteśmy potworami, wszyscy sprowadzamy łzy gorzkie na twarze ludzkie, na twarze matek i niemowląt, ale ze wszystkich — niech się już tak teraz ustali — ja jestem najpodlejszą gadziną! I niech już tak się ustali! Każdego dnia mego życia, bijąc się w piersi, obiecywałem sobie poprawę i każdego dnia robiłem wciąż nowe świństwa. Pojmuję teraz, że na takich jak ja potrzebny jest cios, uderzenie losu. Nigdy nie podniósłbym się o własnych siłach. Lecz uderzył piorun. Przyjmuję mękę oskarżenia i hańby, chcę cierpieć i oczyszczę się cierpieniem! Bo i może się oczyszczę, panowie, co? Ale posłuchajcie po raz ostatni: nie jestem winien zabójstwa ojca mego! Przyjmuję karę nie za to, że zabiłem go, ale że chciałem go zabić, i kto wie, możebym go naprawdę zabił... Ale mimo to zamierzam walczyć z wami, i oznajmiam to wam odrazu. Będę walczył z wami do ostatka, a potem niechaj Bóg rozstrzygnie! Żegnam was, panowie, nie gniewajcie się, że przy badaniu tak na was krzyczałem, o, ja wtedy byłem jeszcze tak głupi... Za minutę będę więźniem, i teraz, po raz ostatni Dymitr Karamazow, jako wolny jeszcze człowiek, podaje wam swoją rękę. Żegnając się z wami, z ludźmi się żegnam!...

Głos jego zadrżał i w rzeczy samej wyciągnął rękę, atoli Mikołaj Partenowicz, który stał najbliżej, nagle jakoś, mimowolnym gestem schował swoje ręce za siebie. Mitia zauważył to i drgnął. Natychmiast opuścił wyciągniętą rękę.

— Śledztwo jeszcze nie skończone — wymemłał Mikołaj Partenowicz, cokolwiek skonfudowany. — Będziemy jeszcze kontynuować w mieście, i ja, oczywiście, ze swej strony gotów jestem życzyć panu powodzenia... aby pan dowiódł swej niewinności... Właściwie zaś pana, Dymitrze Fedorowiczu, zawsze uważałem za człowieka, że tak powiem, raczej nieszczęśliwego niż winnego... My tu wszyscy pana, jeśli wolno mi przemawiać w imieniu wszystkich, gotowi jesteśmy uważać pana za szlachetnego w głębi duszy człowieka, tylko że niestety zbyt ulegającego niepohamowanym namiętnościom.

Malutka figurka Mikołaja Partenowicza tchnęła uroczystem dostojeństwem. Miti zdawało się przez chwilę, że ten „młokos" zaraz weźmie go pod rękę, zaprowadzi do kąta i ponowi tam niedawną ich rozmowę o „dziewczynkach". Ale Bóg tylko wie, jakie myśli niestosowne i postronne osaczają nieraz zbrodniarza, wiedzionego na szafot.

Przyprowadzono Gruszeńkę, ale pożegnanie obojga kochanków nie trwało długo i rozczarowało Mikołaja Partenowicza. Niewiele słów zamienili ze sobą. Gruszeńka stanęła przed Mitią i ukłoniła mu się głęboko.

— Powiedziałam ci, że jestem twoja, i będę twoją, pójdę z tobą na wieki, dokąd cię kolwiek żeślą. Żegnaj, niewinnie zgubiony człowieku!

Wargi jej drżały, łzy polały się z oczu.

— Przebacz, Gruszeńko, za miłość moją, za to, że miłością swą i ciebie zgubiłem.

i wyszedł. Na dole stały już dwie podwody· „Stanowy", Mawrykji Mawrykiewicz, był bardzo zirytowany, złościł się i krzyczał. Odrazu zbyt surowym tonem kazał Miti usadowić się na podwodzie. „Dawniej jakem go w knajpie częstował, inną miał minę" — pomyślał Mitia, gramoląc się na wóz. Z ganku zeszedł Tryfon Borysowicz. Przed wrotami zaś zebrali się chłopi i baby, przyglądając się Miti.

— Darujcie mi, ludzie Boży! — krzyknął nagle Mitia.

— I ty nam daruj — rozległy się poszczególne głosy.

— Bywaj zdrów i ty, Tryfonie Borysyczu!

Ale Tryfon Borysycz nie odwrócił się nawet, może

dlatego, że był bardzo zajęty. Też krzyczał i krzątał się gniewnie. Z drugą podwodą, przeznaczoną dla dwóch setników, wynikł ambaras.

— I pocóż ta druga podwoda? — wtrącił Mitia. — Pojedziemy jedną, nie bójże się, nie zbuntuję się, nie ucieknę ci, na cóż mi konwój?

— Za przeproszeniem, mój panie, raczy pan nauczyć się rozmawiać ze mną, jeśli pan nie jest jeszcze nauczony, — ze złością warknął „stanowy", folgując sobie tym wybuchem.

Mitia umilkł. Po chwili poczuł niezwykły chłód. Deszcz przestał padać, lecz niebo było zaciągnięte chmurami, i ostry wiatr ciął w plecy.

— Żegnaj, Tryfonie Borysyczu! — krzyknął znowu Mitia i sam poczuł, że tym razem nie z serca, ale ze złości, jakby wbrew woli.

Tryfon Borysycz stał nadęty, z założonemi do tyłu rękoma, i, patrząc na Mitię surowo i gniewnie, nic nie odpowiadał.

— Żegnajcie, Dymitrze Fedorowiczu, żegnajcie! — rozległ się głos Kałganowa, który naraz wyskoczył na ganek.

Podbiegł do podwody i wyciągnął rękę. Był bez czapki. Mitia zdążył uchwycić jego dłoń i mocno ją uścisnąć.

— Żegnaj, miły człowieku, nie zapomnę szlachetności twojej! — krzyknął z zapałem.

Lecz konie ruszyły z miejsca, i ręce ich rozplotły się... Zabrzmiały dzwoneczki — wywieziono Mitię.

Kałganow wbiegł do sieni, wszył się w kąt, spuścił głowę, zasłonił twarz ręką i zapłakał; długo tak siedział i płakał jak mały chłopczyk, jak nie przystoi płakać dwudziestoletniemu młodzieńcowi. O, wierzył w winę Miti prawie absolutnie: „Cóżto za ludzie, jacy wobec tego są ludzie!" — powtarzał bezładnie w gorzkim smutku, nieledwie w rozpaczy. Nie chciało mu się w tej chwili żyć. „Czy warto, czy warto!" — wołał zmartwiony młodzieniec.

TEODOR DOSTOJEWSKI

DZIEŁA

Tom V i VI.

POD REDAKCJĄ
MELCHJORA WAŃKOWICZA
POPRZEDZONE STUDJUM
ANDRZEJA STRUGA

TEODOR DOSTOJEWSKI

BRACIA KARAMAZOW

1928
Towarzystwo Wydawnicze „Rój"

PRZEDŁOŻYŁ Z ORYGINAŁU
ALEKSANDER WAT

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Szpitalna 12

CZĘŚĆ CZWARTA

KSIĘGA DZIESIĄTA.

DZIECIARNIA.

I.

Kola Krasotkin.

Początek listopada. Trzymał niezgorszy przymrozek, jedenaście stopni, ziemia była zmarznięta na kopnię. Wprawdzie przez noc wypadło trochę suchego śniegu, i wiatr „suchy i ostry" podnosił go i zamiatał po nudnych ulicach naszego miasteczka i szczególnie na placu Rynkowym. Dzień wstał mglisty, śnieg przestał padać. Opodal placu, koło sklepu Płotnikowa stoi niewielki, bardzo schludny nazewnątrz i wewnątrz domek pani Krasotkin. Pan Krasotkin, sekretarz urzędu gubernjalnego, umarł już bardzo dawno, bo ze czternaście lat temu, ale wdowa po nim, trzydziestoparoletnia i dotychczas wcale urodziwa damulka, żyje i mieszka jeszcze w swoim schludnym domku, utrzymując się z „własnych funduszów". Żyje uczciwie i skromnie, charakter ma delikatny i nawet dosyć wesoły. Owdowiała wcześnie, mając lat zaledwie osiemnaście, po roku pożycia małżeńskiego i wkrótce po urodzeniu syna. Od tego czasu, to znaczy od czasu śmierci męża, poświęciła się całkowicie wychowaniu jedynaka, Koli, kochała go przez te czternaście lat do szaleństwa, chociaż zaznała od niego bez porównania więcej cierpień niż radości. Nie

było chwili, aby nie truchlała i umierała ze strachu na myśl o tem, że Kola może, Boże broń, zachorować, przeziębić się, wdrapać na krzesło i upaść i t. d. Skoro zaś chłopak wstąpił do szkoły, a potem do progimnazjum, matka wraz z nim zaczęła się uczyć, aby móc mu pomagać przy odrabianiu lekcyj. Pozatem nawiązała znajomość i bliższe stosunki z rodzinami profesorów. Co więcej, przymilała się do kolegów syna, chcąc go uchronić od zaczepek koleżeńskich, zalebków i docinków. Skutek był ten, że koledzy poczęli kpić z Koli, drażnić go i przymawiać mu od „mamusinych synków". Ale Kola nie dawał się zjeść w kaszy. Był śmiały, „strasznie silny", jak wkrótce orzekła opinja szkoły, zręczny, uparty, zuchwały i przedsiębiorczy. Uczył się dobrze, klasa twierdziła nawet, że z arytmetyki i historji „pobije" bodaj samego nauczyciela Dardanelowa. Z kolegami obchodził się nieco wyniośle, z fanfaronadą, skądinąd jednak był bardzo koleżeński, uczynny, i nie zadzierał nosa. Szacunek kolegów uważał na hołd sobie powinny, lecz mimo to był uprzejmy i nawet serdeczny. Rzecz najważniejsza, umiał utrzymać miarę, umiał się w razie potrzeby hamować i naprzykład w stosunkach z nauczycielami nigdy nie przekraczał jakiejś ostatniej i ledwo uchwytnej kreski, za którą przewinienie przeobraża się już w bezład, bunt i anarchję. A przecież skory do wszelkiej łobuzerki, lubił wisusować jak ostatni andrus, i nawet nietyle wisusować, ile zadawać „fernapiksu", feferu, szyku, cudaczyć, postawić się. Trzeba wiedzieć, że był wielkim samolubem. Nawet matkę swoją potrafił uzależnić od swojej woli, i obchodził się z nią nieledwie despotycznie. Ulegała, o już oddawna mu ulegała, i tylko jednej myśli nie mogła znieść: że syn ją „za mało kocha". Wydawało się jej wciąż, że Kola jest „nieczułym synem". Nieraz więc, zalewając się łzami, wyrzucała mu oziębłość. Chłopak niecierpiał takich scen, zwykle postępował wówczas naopak: im wiekszej wymagano odeń serdeczności, tem oschlejszego nabierał tonu. Zresztą nie robił tego umyślnie, poprostu miał już taki charakter. Matka myliła się: kochał ją bowiem bardzo, nie znosił tylko „cielęcych czułości", jak się zwykle wyrażał. Po ojcu została szafa, w której Kola znalazł trochę książek.

A że lubił czytać, więc skorzystał z okazji. Matka nie broniła mu, dziwiła się tylko, że chłopak w tym wieku zamiast się bawić z rówieśnikami, stoi czasem po kilka godzin zrzędu przy szafie zaczytany. Tak się więc stało, że Kola spoufalił się z książkami, których chłopak w jego wieku nie powinien jeszcze znać. Co gorsza, ostatniemi czasy, nie przekraczając w dalszym ciągu pewnej ostatecznej miarki, ku przerażeniu matki zaczął płatać figle, nie powiem, że niemoralne, ale karkołomne i desperackie. W lipcu tego roku podczas wakacji pani Krasotkin z synem wyjechała na tydzień do dalekiej krewnej, której mąż był urzędnikiem stacji kolejowej (tej najbliższej naszego miasteczka stacji, z której Iwan Fedorowicz Karamazow miesiąc potem wyjechał do Moskwy). Kola wziął się do studjowania kolejnictwa, rozkładu jazdy i t. d. spodziewając się po powrocie do domu olśnić kolegów nową wiedzą. Znalazło się tam jednak jeszcze kilku chłopców, z którymi się odrazu zaprzyjaźnił; jedni z nich mieszkali koło stacji, inni nieco dalej. Dwaj nawet byli z naszego miasteczka. Zebrało się więc razem sześciu czy siedmiu wyrostków, w wieku od dwunastu lat do piętnastu. Urządzali wspólne zabawy i wspólne kawały. I oto czwartego, czy piątego dnia stanął między nimi nieprawdopodobny zakład o dwa ruble: mianowicie Kola, prawie najmłodszy w bandzie, a zatem nieco pogardzany przez starszych, założył się, z ambicji czy junakierji, że w nocy o godzinie jedenastej położy się pomiędzy szynami i przeleży spokojnie, póki nie przejdzie nad nim pociąg. Oczywiście uprzednio wybadał, czy można się tak ułożyć i spłaszczyć między szynami, aby móc bezpiecznie leżeć pod przejeżdżającym pociągiem, ale pomyśleć tylko, jak fatalne chwile wypada przeżyć! Kola zapewniał uroczyście, że przeleży i ani mrugnie. Zrazu wyśmiano go, zwymyślono od kłamczuchów i samochwałów, ale to tylko dolało oliwy do ognia. Bolało go to najbardziej, że ci piętnastoletni chłopcy zadzierają przed nim nosa i wzbraniają się przypuścić go do kompanji jako, że jest „mikrusem". Rada w radę i postanowiono wieczorem oddalić się o wiorstę od stacji, aby pociąg zdążył się rozpędzić dostatecznie, i rozegrać zakład. O umówionej godzinie zebrała

się cała banda. Noc była bezksiężycowa, ciemno choć oko wykol. We właściwym czasie Kola położył się między szynami. Pięciu koleżków z zapartym tchem, a wkońcu i ze strachem i skruchą czekało w krzewach na dole koło toru. Wreszcie zagrzmiał zdala pociąg, ruszywszy ze stacji. Błysnęły w mroku dwie czerwone latarnie, zahuczał zbliżający się żelazny potwór.

— Zmykaj, zmykaj z szyn! — zawołali z krzaków chłopcy, umierając ze strachu, ale było już za późno; pociąg nadjechał i wmig przeleciał mimo nich. Podbiegli do Koli: leżał nieruchomo. Zaczęli go potrząsać, szturchać, ale w końcu sam się podniósł i, nic nie mówiąc, zeszedł z nasypu. Na dole powiedział kolegom, że umyślnie leżał bezwładnie, aby ich przerazić; było to jednak kłamstwem, bo w rzeczywistości, jak to sam później, znacznie później, wyznał matce, stracił był przytomność. Zdarzenie to wyrobiło mu na zawsze sławę chwackiego „desperata". Wrócił do domu blady jak płótno. Nazajutrz dostał lekkiej gorączki, ale był bardzo wesoły i zadowolony. Nie odrazu rozeszła się wieść o tym jego czynie; dopiero po powrocie do miasta, bardzo gorąco omawiana w klasach, doszła do wiadomości władz szkolnych. I tylko dzięki usilnym zabiegom matki i wstawiennictwu wielce szanownego i wpływowego profesora Dardanelowa, sprawę zatuszowano i puszczono płazem. Ów wspomniany już dwukrotnie nauczyciel, kawaler jeszcze i wcale nawet niestary, od wielu lat kochał się namiętnie w pani Krasotkin i nawet raz już, rok temu, truchlejąc ze strachu, delikatnie odważył się jej oświadczyć; dała mu jednak odkosza, uważając powtórne małżeństwo na zdradę względem syna. A przecież Dardanelow, sądząc z niektórych tajemniczych objawów, miał prawo marzyć, że nie jest bynajmniej wstrętny zachwycającej, ale zbyt cnotliwej i czułej wdówce. Szaleńczy postępek Koli wzmocnił jego szanse: w podzięce za interwencję pani Krasotkin zrobiła mu dalekie nadzieje, coprawda bardzo dalekie, przecież i Dardanelow był fenomenem moralnej czystości i delikatności, więc i to mu wystarczyło do zupełnego szczęścia. Do chłopca miał feblik, ale ze względu na owe konkury uważał za niewłaściwe widocznie go faworyzować;

owszem w klasie był względem niego surowy i wymagający. Zresztą sam Kola umiał zachować dystans, doskonale odrabiał lekcje, był drugim uczniem, zwracał się do Dardanelowa oschle, i cała klasa wierzyła święcie, że „bije" go z historji powszechnej. I w rzeczy samej Kola zapytał pewnego razu Dardanelowa, kto założył Troję, na co ów odpowiedział ogólnikowo o ludach, ich wędrówkach, o legendach, zamierzchłych czasach, słowem o wszystkiem, tylko nie o tem, kto właściwie, to znaczy jacy ludzie założyli Troję. Co więcej samo pytanie uznał za czcze i bezprzedmiotowe. Klasa orzekła, że Dardanelow nie wie, kto założył Troję. Kola zaś wiedział o założycielach Troi z historji Smaragdowa, którą znalazł w ojcowskiej bibljotece. Wkońcu cała szkoła zaitneresowała się tem zagadnieniem, lecz Kola nie ujawnił swego sekretu i odtąd uchodził za erudyta.

Po wypadku z pociągiem stosunek jego do matki uległ znacznej zmianie. Anna Fedorowna, dowiedziawszy się o bohaterskim wyczynie syna, o mało co nie postradała zmysłów ze zgrozy. Zaczęła chorować na tak straszne i trwające po kilka dni z przerwami ataki histeryczne, że Kola, poważnie przestraszony, dał jej uroczyście słowo honoru, że podobne psoty nigdy się już nie powtórzą. Przysiągł na klęczkach przed obrazem świętym, na pamięć swego ojca, jak tego wymagała pani Krasotkin, przyczem „chwacki" zuch sam się rozpłakał niczem sześcioletni brzdąc z „roztkliwienia"; i matka i syn przez cały ów dzień obejmowali się i łkali ze szczęścia. Nazajutrz Kola obudził się nieczuły jak dawniej, ale też cichszy, skromniejszy, bardziej zamyślony. Coprawda po sześciu tygodniach znowu coś napsocił, i nawet sędzia pokoju dowiedział się o jego istnieniu, ale tym razem był to raczej figiel śmieszny i głupiutki, którego zresztą nie on sam wypłatał. Ale o tem później. Matka po dawnemu truchlała i frasowała się, zaś Dardanelow stosownie do tego krzepił w sobie nadzieję. Trzeba wiedzieć, że Kola zdawał sobie sprawę z jego zamiarów i oczywiście miał go za to w pogardzie; nawet kiedyś w sposób wielce niedelikatny zdradził się z tą pogardą przed

matką swoją, niedwuznacznie dając jej do zrozumienia, że pojmuje cele Dardanelowa. Lecz po wypadku z pociągiem zmienił się również i pod tym względem; nie pozwalał już sobie na żadne aluzje, nawet najmniej przejrzyste, i wobec matki odzywał się o nauczycielu z większym szacunkiem, co odrazu z bezgraniczną wdzięcznością w sercu oceniła subtelna Anna Fedorowna. Jednakowoż, gdy ktoś przypadkowo wspominał o Dardanelowie w obecności Koli, Anna Fedorowna zalewała się rumieńcem wstydu. Kola zaś w takich chwilach albo patrzał pochmurnie w okno, albo oglądał swoje obuwie, albo gwizdał na „Podzwona", dużego i kosmatego kundla, którego miał już miesiąc, niewiadomo skąd, i ukrywał w mieszkaniu w sekrecie przed kolegami. Tyranizował biednego psa straszliwie, tresował i uczył rozmaitych sztuczek i figlów i wkońcu tak go do siebie przywiązał, że kundel wył rozpaczliwie, gdy Kola wychodził z domu; gdy zaś wracał, wizgał z zachwytu, skakał, służył, kładł się do góry nogami i leżał nieruchomo i t. d. Słowem przerabiał wszystkie sztuczki bez żadnej zachęty, z popędu swego wdzięcznego serca i gorącej uczuciowości.

Nawiasem mówiąc, zapomniałem wspomnieć, że Kola Krasotkin był owym uczniakiem, którego znany już czytelnikowi Iljusza, syn eks-sztabs-kapitana Sniegirowa, dźgnął scyzorykiem w biodro, stając w obronie honoru swego ojca, przezwanego przez chłopów „wiechetkiem".

II.

Dzieciarnia.

A zatem w ten mroźny, dżdżysty poranek listopadowy Kola Krasotkin siedział w domu. Była niedziela, zajęć więc nie miał żadnych. Ale wybiła już godzina jedenasta, Kola miał „nader ważną sprawę do załatwienia", a jednak nie wychodził i pilnował domu. Zdarzyło się bowiem, że wszyscy jego mieszkańcy musieli wyjść rano a to z pewnego dość niezwykłego i oryginalnego powodu. W domu wdowy Kra-

sotkin odnajmowała dwa małe pokoje doktorowa z dwojgiem drobnych dzieci. Była rówieśnicą Anny Fedorownej i bliską jej przyjaciółką; mąż, lekarz, już od roku wyjechał z początku do Orenburgu, a potem do Taszkentu, i już pół roku nie dawał o sobie znaku życia. Gdyby nie przyjaźń pani Krasotkin, nieszczęśliwa doktorowa byłaby całkiem skapała ze zgryzoty. I oto nadomiar złego w przeddzień omawianych wypadków, w nocy z soboty na niedzielę, jedyna służąca doktorowej oświadczyła jej, że prawdopodobnie do rana zlegnie. Jak to się stało, że nikt tego dotychczas nie zauważył, trudno było poprostu zrozumieć. Zdumiona doktorowa postanowiła zawieźć ją do zakładu położniczego. Ponieważ bardzo ją ceniła, więc natychmiast wykonała swoje postanowienie, odwiozła ją i ponadto została przy niej. Nad ranem zawezwała pomocy pani Krasotkin, która ponoć mogła kogoś o coś poprosić i wyrobić jakąś protekcję. Tak się więc złożyło, że obie damy wyszły z domu, służąca zaś pani Krasotkin, Agata, poszła na bazar, i oto Kola musiał zostać i pilnować „bębnów": chłopczyka i dziewuszki doktorowej, które zostały bez opieki. Kola nie bał się sam pilnować domu, tem bardziej, że miał przy sobie Podzwona, któremu kazał leżeć w przedpokoju „nieruchomo". Pies jednak ilekroć pojawiał się Kola, wstrząsał mordą i tłukł ogonem po ziemi, napróżno błagając o zmianę. Kola spoglądał groźnie, i biedne zwierzę natychmiast zastygało w bezruchu. Lecz „bębny" nabawiały go kłopotu. Przygoda z Kasią nastroiła go na ton wzgardliwy. Jednak lubił maleństwa teraz osamotnione, i zaniósł im do pokoju książkę dla dzieci. Nastusia, starsze dziecko, ośmioletnie, umiała czytać, młodszy zaś dzieciak, siedmioletni Kostuś, bardzo lubił słuchać jej lektury. Rozumie się, Krasotkin mógł ich zabawić w bardziej interesujący sposób, naprzykład zagrać z nimi w wojsko albo w ciuciubabkę. Czynił to niejednokrotnie i nawet w klasie rozpowiadano sobie, że Krasotkin w domu bawi się z dzieciakami w konika; ale Kola nie dbał o to, dumnie odpierał, że z rówieśnikami byłoby istotnie haniebnie „w tym wieku" bawić się w konika, ale że robi to dla „bębnów", ponieważ je

bardzo lubi, zaś kwestja jego uczuć jest najzupełniej jego osobistą sprawą, do której im i wszystkim na świecie zasięl Zato „bębny" poprostu go ubóstwiały. Lecz tym razem nie był usposobiony do zabaw. Miał do załatwienia bardzo ważną osobistą sprawę, napozór prawie że tajemniczą. A tymczasem czas upływał, i Agata nie wracała jakoś z bazaru. Kola kilkakrotnie wychodził do sieni, zaglądał do mieszkania doktorowej i patrzał zatroskany na dzieci, które jednak siedziały grzecznie nad książką i na jego widok za każdym razem uśmiechały się od ucha do ucha, milcząc lecz spodziewając sie, że ot za chwilę wejdzie i pokaże jakąś pyszną i pocieszną sztuczkę. Ale Kola był niespokojny i zakłopotany i tylko przyglądał im się z progu. Gdy wybiła jedenasta, Kola ostatecznie i stanowczo zapowiedział sobie, że jeżeli Agata nie wróci za dziesięć minut, to on nie będzie dłużej na nią czekał i wyjdzie z domu; oczywiście namówi wprzódy brzdąców, aby siedzieli spokojnie, nie dokazywali i nie płakali ze strachu. Tak to sobie postanowiwszy, ubrał się w swój podwatowany zimowy paltocik z kołnierzem futrzanym, zawiesił tornister przez ramię i, wbrew niejednokrotnym prośbom matki, aby, wychodząc w taki mróz, kładł kalosze, wyminął je w przedpokoju, obrzucił tylko pogardliwem spojrzeniem i wyszedł w bucikach. Podzwon, widząc go w palcie, zaczął machać ogonem i stukać energicznie w podłogę, drżał nerwowo całem ciałem i nawet zaskamlał; wszakże Kola uznał tę porywczość za uchybienie przeciwko dyscyplinie, potrzymał go jeszcze minutkę pod ławką i dopiero, gdy stanął we drzwiach, gwizdnął nań znienacka. Kundel skoczył jak oszalały i wywijał skoki z radości. Przed wyjściem Kola zajrzał jeszcze raz do „bębnów". Oboje siedzieli już przy stoliku, nie czytali już, lecz sprzeczali się zapalczywie. Była to jedna z częstych ich dyskusyj na wyzywające tematy życiowe, z których zwykle Nastusia, jako starsza, wychodziła zwycięsko; Kostuś zaś, jeżeli się koniec końców nie godził z jej zdaniem, prawie zawsze apelował do Krasotkina, i tegoż rozstrzygnięcie było już absolutnym wyrokiem dla obu stron. Tym razem spór „bębnów" zainteresował samego Krasot-

kina, który stał na progu i przysłuchiwał się z uwagą. Oczywiście, dolało to tylko oliwy do ognia szarmyclu.

— Nigdy, nigdy nie uwierzę — szczebiotała z zapałem Nastusia, — że babki znajdują małe dzieci w ogrodzie między grządkami kapusty. Teraz już zima i żadnych grządek niema, więc babka nie mogła przynieść Kasi córeczki.

— Fiu! — gwizdnął Kola.

— Albo tak: przynoszą skądyś, ale tylko tym, które zamąż wychodzą.

Kostuś spojrzał uważnie na siostrzyczkę, wysłuchał i medytował.

— Nastuś, jakaś ty głupia — rzekł wreszcie twardo i spokojnie — jakiego dzieciaka może mieć Kasia, jeżeli nie jest mężatką?

Nastusia ogromnie się zaperzyła.

— Ty nic nie rozumiesz — przerwała rozdrażniona — może miała męża, ale siedzi w więzieniu, a teraz to ona zległa.

— A czy jej mąż umarł? — z powagą zapytał Kostuś.

— Albo tak — zawołała impulsywnie Nastusia, porzuciwszy swoją pierwszą hipotezę — ona nie ma męża, to prawda, ale ona chce wyjść zamąż, no i zaczęła myśleć, jak to wyjdzie zamąż, i wciąż myślała i myślała i tak długo myślała, że aż dostała, ale nie męża, tylko dziecko.

— Chyba że tak — zgodził się przekonany wreszcie Kostuś — a tyś tego przedtem nie mówiła, to skąd ja mogłem wiedzieć.

— Dzieciarnia — rzekł Kola, wchodząc do pokoju — widzę, że niebezpieczny z was ludek.

— Podzwon jest z panem? — zapytał Kostuś i zakrzątnął się koło kundla.

— Bębny, jestem w kłopocie — zaczął poważnie Krasotkin — musicie mi pomóc: Agata napewno nogę złamała, bo dotychczas jeszcze nie wróciła, to już jest fakt pewny, a ja muszę wyjść. Puścicie mnie czy nie?

Dzieci spojrzały po sobie z niepokojem, który odma-

lował się odrazu na ich twarzyczkach. Nie rozumiały jeszcze, czego się od nich wymaga.

— Nie będziecie beze mnie tu zbytkować? Nie wgramolicie się na szafę, nie połamiecie sobie nóżek? Nie będziecie beczeć ze strachu?

Twarzyczki dziecięce wyrażały trwogę i niepokój.

— A jabym wam za to pokazał małą armatkę, z której można strzelać prawdziwym prochem.

Twarzyczki wypogodziły się momentalnie.

— Niech pan pokaże armatkę — zawołał Kostuś.

Krasotkin wyjął z tornistra małą armatkę z bronzu i postawił ją na stole.

— Niech pan pokażeł — przedrzeźniał Kola, tocząc zabawkę po stole. — Patrzaj, na kołach i strzelać można. Nabić prochem i wypalić.

— I zabije?

— Wszystkich zabije, jeżeli trafnie wycelować.

I Krasotkin wytłumaczył, jak się obchodzić z armatką, jak ją nabić i wypalić. Dzieci słuchały z niezwykłem zaciekawieniem. Zainteresowało je najbardziej cofanie się lufy.

— A czy ma pan prochu? — zapytała Nastusia.

— Mam.

— Niech pan pokaże nam proch — zawołała z błagalnym uśmiechem.

Krasotkin znowu sięgnął do tornistra i wyjął małą flaszeczkę, w której było trochę prawdziwego prochu, oraz skręcony papierek ze śrutem. Nawet odkorkował flaszeczkę i wysypał proch na dłoń.

— Tylko daleko trzymać od ognia, bo wybuchnie i wszystkich zrani — uprzedził dla efektu Krasotkin.

Dzieci oglądały proch ze strachem, pogłębiającym przyjemność. Ale Kostusiowi bardziej się spodobał śrut.

— A śrut się nie pali? — zapytał.

— Śrut się nie pali.

— Niech mi pan podaruje trochę śrutu — rzekł błagalnym głosikiem.

— Trochę śrutu podaruję, bierz, tylko mamie nie po-

kazuj, póki nie wrócę, bo pomyśli, że to proch, struchleje i was rózgami wyćwiczy.

— Mama nigdy nigdy nas rózgami nie ćwiczy — rzekła Nastusia.

— Wiem, powiedziałem tylko dla pięknego słówka. I mamy nigdy nie oszukujcie, ale tym razem możecie, póki nie wrócę. A więc, bębny, mogę iść czy nie? Nie będziecie płakać ze strachu?

— Bę-dziem pła-kać — przeciągał Kostuś, bliski płaczu.

— Bę-dziem pła-kać! — potwierdziła Nastusia.

— Och, dzieci, dzieci, jak niebezpieczne są wasze lata. Niema rady, pisklęta, trzeba będzie z wami tu pozostać. A pilno mi, ach, jak mi pilno!

— Niech pan każe Podzwonowi udawać martwego — poprosił Kostuś.

— Niema rady, trzeba będzie Podzwonowi kazać. *Ici*, Podzwon!

I Kola zaczął przerabiać z Podzwonem przeróżne sztuczki. Był to kosmaty kundel, normalnej wielkości, wyróżniający się dziwnem, szaro-sinem zabarwieniem sierści. Prawe ślepie było krzywe, i lewe ucho rozpłatane. Wizgał, skakał, służył, chodził na tylnych łapach, przewracał się na ziemię wszystkiemi łapami do góry i leżał nieruchomo jak zdechły. Tymczasem otworzyły się drzwi i Agata, służąca pani Krasotkin — otyła, ospowata, czterdziestoletnia baba, stanęła na progu, wróciwszy z targu z koszykiem. Stanęła i, trzymając w lewej ręce koszyk, przyglądała się Podzwonowi. Kola, jakkolwiek niecierpliwie wypatrywał Agaty, nie przerwał zabawy, przetrzymał psa w leżącej pozycji i wkońcu gwizdnął. Pies skoczył, pełen uciechy, że spełnił swój obowiązek.

— Widzieliśta — psisko! — ozwała się sentencjonalnie Agata.

— A ty, płeć żeńska, czegoś się spóźniła? — zapytał groźnie Kola.

— Płeć żeńska, też mi coś, bęcwał?

— Bęcwał?

— Bęcwał. Spóźniłam się, bo tak chciałam — mruczała Agata, krzątając się koło pieca, ale nie gniewnie, owszem z ukontentowaniem, jakby lubiła zadzierać z paniczem.

— Słuchaj, lekkomyślna starucho, — zaczął Krasotkin, podnosząc się z kanapy — czy możesz mi przysiąc na wszystko, co święte i jeszcze na coś, że będziesz doglądać bębnów przez czas mojej nieobecności? Bo ja muszę wyjść.

— A poco mam ci przysięgać? — roześmiała się Agata. — I tak będę doglądać.

— Nie, musisz przysiąc na wieczne zbawienie swej duszy. Bo inaczej nie pójdę.

— A nie idź. Co mi z tego, mróz na dworze, to i siedź w domu.

— Bębny — zwrócił się Kola do dzieci — ta niewiasta zostanie z wami, póki ja nie wrócę, albo póki nie wróci wasza matka, która już dawno powinna tu być zpowrotem. Oprócz tego, da wam śniadanie. Dasz im co do jedzenia, Agato?

— Może i dam.

— Do zobaczenia, pisklęta, wychodzę ze spokojnem sercem! A ty, babusiu — rzekł półgłosem do Agaty — spodziewam się, że nie będziesz im plotła babskich bredni o Kasi. Zlituj się nad ich dziecięcemi latkami. Ici, Podzwon!

— Idź se z Bogiem — warknęła już ze złością Agata. — Śmieszny jaki. Dostałby za takie słowa.

III.

Uczniacy.

Ale Kola już nie słyszał. Nareszcie mógł wyjść z domu. Za bramą obejrzał się, wzruszył ramionami i, stwierdziwszy „mróz!" skierował się wprost przez zaułek na plac Rynkowy. Tu stanął przed ostatnim domem, wyjął z kieszeni gwizdawkę i gwizdnął z całej siły, jakby dając umówiony znak. Czekał niedłużej jak minutkę: z furtki wybiegł rumianolicy chłopczyk, ubrany w ciepłe, czyściuteńkie, a nawet

eleganckie paletko. Był to Smurow, uczeń wstępnej klasy (Kola Krasotkin był w drugiej klasie), syn zamożnego urzędnika, któremu rodzice, zdaje się, nie pozwalali się zadawać z Krasotkinem jako znanym łobuzem. Widocznie więc Smurow wymknął się teraz z domu ukradkiem. Był on, o ile czytelnik nie zapomniał, śród tej garstki chłopców, którzy dwa miesiące temu obrzucili kamieniami Iljuszę.

— Czekam już na was godzinę całą, Krasotkin — zaczął stanowczym głosem Smurow, i obaj chłopcy weszli na plac.

— Spóźniłem się — odpowiedział Krasotkin. — Zatrzymały mnie pewne sprawy. Nie zbiją cię, żeś ze mną poszedł?

— Ależ dajże pokój, czyż mnie biją? To i Podzwona bierzesz ze sobą?

— I Podzwona!

— Tam?

— Tam.

— Ach, gdyby Bobka!

— Niema Bobka. Bobek nie istnieje. Bobek zginął w mroku zapomnienia.

— Ach, czyby nie można tak — zatrzymał się naraz Smurow. — Wszak Iljusza powiada, że Bobek był też kosmaty i też szary jak i Podzwon — czy nie możnaby powiedzieć, że to właśnie jest Bobek, — Iljusza może uwierzy?

— Sztubaku, brzydź się kłamstwem, po pierwsze; nawet dla dobrej sprawy, po drugie. A najważniejsza, mam nadzieję, żeś słowa tam nie pisnął o mojem przyjściu.

— Broń Boże, ja przecież wszystko kapuję. Ale Podzwon nie pocieszy go — westchnął Smurow. — Wiesz co: ojciec jego, kapitan, wiechetek, mówił nam, że dzisiaj przyniesie mu rasowego szczeniaka, brytana, z czarnym nosem; wydaje mu się, że tem pocieszy Iljuszę, ale ja myślę, że nie.

— A jak on sam, Iljusza?

— Ach, kiepsko, bardzo kiepsko! Myślę, że ma gruźlicę. Jest przytomny, ale tak źle dysze. Niedawno prosił, aby go poprowadzili; obuli go, stanął i odrazu upadł. „Ach"

powiada „mówiłem ci, tatusiu, że mam złe trzewiki, zawsze były niewygodne". Zdawało mu się, że upadł z powodu bucików, nie wie, że poprostu z osłabienia. Do końca tygodnia nie dociągnie. Hertzenstube go odwiedza. Teraz oni są znowu bogaci, mają wiele pieniędzy.

— Szelmy.

— Kto taki?

— Lekarze i cała doktorska hołota, mówiąc ogólnie i rozumie się i szczególnie. Nie uznaję medycyny. Bezużyteczna instytucja. Zresztą wszystko to jeszcze wybadam. Ale co tam u was za sentymentalne nastroje? Zdaje się, że cała klasa tam u niego siedzi?

— Nie cała, dziesięciu nas tylko, bywam tam zawsze, codziennie. To nic.

— Dziwi mnie najbardziej rola Aleksego Karamazowa; brata jego jutro czy pojutrze będą sądzić za taką zbrodnię, a on ma tyle czasu na czułości z chłopaczkami?

— Niema tu żadnych czułości. Przecież sam idziesz się pogodzić z Iljuszą.

— Pogodzić! Śmieszny wyraz. Nie pozwolę zresztą nikomu analizować swoich czynów.

— A jak Iljusza będzie ci rad! Nie spodziewa się wcale, że go przyjdziesz odwiedzić. Dlaczego, dlaczego nie chciałeś tak długo przyjść?—zawołał zapalczywie Smurow.

— Miły chłopcze, to moja rzecz, a nie twoja. Ja idę z własnej woli, ponieważ tak chcę, a was zaciągnął Aleksy Karamazow, więc chyba jest jakaś różnica. I skąd ty zresztą wiesz, może wcale nie idę się pogodzić? Głupi wyraz.

— Wcale nie Karamazow, wcale nie on. Poprostu zaczęliśmy tam sami chodzić, z początku, rozumie się, z Karamazowym. I nic takiego tam nie było, żadnych głupstw. Zrazu jeden, a potem drugi i trzeci. Ojciec strasznie się cieszył. Wiesz, on napewno zwarjuje, jeżeli Iljusza umrze. I pojęcia nie masz, jak się cieszył, kiedyśmy się z Iljuszą pogodzili. Iljusza pytał się o ciebie, ale nic więcej nie dodał. Zapyta i milczy. A ojciec zwarjuje albo się powiesi. On i dawniej zachowywał się jak obłąkany. Wiesz, to szlachetny

człowiek i wtedy myśmy się mylili. To ten ojcobójca zawinił, że go wtedy pobił.

— A jednak Karamazow jest dla mnie zagadką. Mógłbym już dawno się z nim poznać, ale w pewnych wypadkach lubię być hardy. Pozatem urobiłem sobie o nim opinję, którą muszę jeszcze sprawdzić i wyjaśnić.

Kola umilkł, pełen poczucia godności. Smurow również milczał; otaczał czcią Kolę Krasotkina i ani myślał się z nim równać. Był teraz ogromnie zaintrygowany, ponieważ Kola oświadczył, że idzie „z własnej woli". Było to niewątpliwie zagadką, że Kola naraz postanowił odwiedzić Iljuszę i to właśnie dzisiaj. Szli przez plac, zastawiony chłopskiemi wozami. Baby sprzedawały przy straganach nici, obwarzanki i t. d. Tego rodzaju niedzielne zjazdy nazywa się u nas nieco naiwnie jarmarkami. Podzwon mknął w najlepszem usposobieniu, zbaczając co chwila to w prawo, to w lewo, aby coś obwąchać. Zwłaszcza nie przepuszczał ani jednego psa: zatrzymywał się i wąchał go wedle wszystkich prawideł pieskich.

— Lubię obserwować realizm, Smurow — odezwał się naraz Kola. — Czy zauważyłeś, jak psy spotykają się i obwąchują? Jest w tem jakieś prawo natury.

— Tak, ale jakie śmieszne.

— Wcale nie śmieszne, mylisz się. Przyroda nie ma nic śmiesznego, jakkolwiek to się czasem wydaje człowiekowi z jego zabobonami. Gdyby psy umiały rozmyślać i krytykować, to napewnoby znaleźli tyleż śmiesznego, o ile nie więcej, w socjalnych stosunkach ludzi, ich władców, o ile nie więcej; powtarzam to dlatego, że jestem zdania, iż popełniamy więcej głupstw od nich. To myśl Rakitina, bardzo trafna. Jestem socjalistą, Smurow.

— A cóż to jest socjalista? — zapytał Smurow.

— Żeby wszyscy byli sobie równi, wszyscy mieli jedno zdanie, żeby małżeństw nie było, a religja i wszystkie prawa to jak kto chce, ano i tam dalej. Jeszcześ nie dorósł do tego, masz czas... A jednak chłodno.

— Tak. Dwanaście stopni. Ojciec sprawdził na termometrze.

— I czy zauważyłeś, Smurow, że w połowie zimy, kiedy jest piętnaście czy osiemnaście stopni, nie jest tak zimno, jak naprzykład teraz, na początku zimy, kiedy mróz chwyta znienacka, jak dziś, odrazu na dwanaście stopni, i kiedy w dodatku niema śniegu. To znaczy, że się ludziska jeszcze nie przyzwyczaili. U ludzi wszystkiem jest przyzwyczajenie, nawet w państwowych i politycznych stosunkach. Przyzwyczajenie oto główna dźwignia. Patrz jaki pocieszny chłop.

Kola wskazał na wysokiego chłopa w kożuchu z dobroduszną fizjonomją, który stojąc koło swego wozu, zacierał ręce w rękawiczkach. Długa jego jasna broda zszedziała na mrozie.

— Broda chłopkowi zmarzła! — głośno i w zamyśleniu krzyknął Kola, przechodząc koło niego.

— Niejednemu zamarza — spokojnie i sentencjonalnie odpowiedział chłop.

— Nie zadzieraj z nim — upominał Smurow.

— Nie szkodzi, to dobry człek, nie rozzłości się. Bądź zdrów, Macieju.

— Bądź zdrów.

— A ty naprawdę Maciej?

— Maciej. Nie wiedziałeś?

— Nie wiedziałem. Powiedziałem na chybił trafił.

— Ze szkolnych?

— Ze szkolnych.

— Co, piorą was?

— Nie to, żeby prali, a tak.

— Boli?

— Zdarza się!

— Ech, życie sakramenckie! — westchnął chłop z całego serca.

— Bądź zdrów, Maćku.

— Bądź zdrów. Miły z ciebie chłopak, jużci.

Chłopcy poszli dalej.

— To poczciwy chłopek — odezwał się Kola do Smurowa. — Lubię pogadać z ludem i zawsze chętnie uznaję jego zalety.

— Pocoś blagował, że nas piorą? — zapytał Smurow.

— Żeby go ucieszyć.

— Ejże?

— Widzisz, Smurow, nie lubię, kiedy zaczynają mnie przepytywać po kilka razy, kiedy nie rozumieją mnie z pierwszego słowa. Czasem to i wytłumaczyć takiemu niesposób. Według idei chłopa sztubaków pierze się i powinno się prać: cóż to niby za sztubak, jeśli go nie piorą? Gdybym mu powiedział, że nas nie piorą, to onby naprawdę się zmartwił. Zresztą ty tego nie kapujesz. Z ludem trzeba rozmawiać umiejętnie.

— Tylko nie zadzieraj, proszę cię, bo znów wyniknie coś takiego, jak z tą gęsią.

— A ty masz pietra?

— Nie śmiej się tylko, Kola, jak Boga kocham, mam pietra. Ojciec strasznie się rozgniewa. Zabroniono mi chodzić z tobą.

— Bądź spokojny, dziś nic takiego się nie zdarzy. Dzień dobry, Nataszo — krzyknął do jednej ze straganiarek.

— Jaka-ci tam Natasza, Marja jezdem — krzykliwie odpowiedziała straganiarka, dosyć jeszcze młoda kobieta.

— To ci się chwali, że Marja, bądź zdrowa.

— Ach ty, pędraku, ledwo go widać, też go!

— Nie mam czasu, nie mam czasu z tobą gaworzyć, w przyszłą niedzielę opowiesz — zawołał Kola, machając rękoma, jakgdyby to nie on ją, lecz ona jego zaczepiła.

— A co ci mam powiadać w przyszłą niedzielę? Sam się czepia, a nie ja, urwis — zawołała Marja. — Po tybinkachby ci dać, urwis jezdeś, jużci!

Śród straganów rozległy się chichoty, gdy naraz z pod arkady sklepów miejskich wyskoczył ni stąd ni zowąd bardzo zirytowany mężczyzna w długim granatowym kaftanie, w czapce z daszkiem, młody jeszcze z ciemno blond lokami i z długą, bladą, ospowatą twarzą. Wyglądał na subjekta i nie był tutejszy. Jakoś głupowo wzburzony zagroził Koli pięścią.

— Znam ja ciebie — wołał zirytowany — znam ciebie!

Kola patrzał nań uważnie. Nie mógł jakoś sobie przypomnieć, kiedy zadarł z tym osobnikiem. Ale małoż to ulicznych zatargów miał w swojem życiu!

— Ja cię znam! Ja cię znam! — powtarzał jak głupi mieszczanin.

— Znasz? — zapytał ironicznie Kola. — Tem lepiej dla ciebie. Ano nie mam czasu, bądź zdrów!

— Czego błaznujesz? Znowu będziesz błaznował? Znam ja ciebie! Ty znowu błaznujesz?

— To, bracie, nie twoja teraz rzecz, że ja błaznuję — odezwał się Kola, przystanął i przyjrzał mu się uważnie.

— Jakto nie moja?

— Tak, nie twoja.

— A czyja? Czyja? No czyja?

— Teraz to rzecz Tryfona Nikiticza, a nie twoja.

— Jakiego tam Tryfona Nikiticza? — zapytał subjekt z głupawem zdziwieniem, wpatrując się w Kolę. Ów zmierzył go wyniosłem spojrzeniem.

— Do Wozniesienia chodziłeś? — zapytał naraz surowo i natarczywie.

— Do jakiego Wozniesienia? Poco? Nie, nie chodziłem — stropił się mieszczanin.

— Sabaniejewa znasz? — coraz natarczywiej i bardziej surowo badał go Kola.

— Jakiego Sabaniejewa? Nie, nie znam.

— To i djabli z tobą, jeśli nie znasz! — wypalił naraz Kola i, odwróciwszy się stanowczo, poszedł swoją drogą, jakgdyby gardził człowiekiem, który nie zna nawet Sabaniejewa.

— Stój ty, hej! Jakiego Sabaniejewa? — opamiętał się subjekt i znowu się zaperzył. — Co on takiego gadał?— zwrócił się naraz do straganiarek, wyłupiając głupio gały.

Baby roześmiały się.

— Kuty chłopak — odezwała się jedna.

— Jakiego on tam Sabaniejewa? — powtarzał wciąż nieprzytomnie subjekt, wymachując prawą ręką.

— To chyba tamtego Sabaniejewa, co tu u Kuzmiczewa pracował, to pewnikiem ten sam — domyśliła się wreszcie jedna z bab.

Subjekt wlepił w nią dzikie spojrzenie.

— Kuz-mi-czewa? — podjęła druga baba — jaki on Tryfon? Ten to Kuźma, a nie Tryfon, a chłopak Tryfonem Nikiticzem nazywał go, to i nie ten.

— Ani to Tryfon ,ani Sabaniejew, ino Czyżow — podchwyciła trzecia baba, która dotychczas milczała i słuchała rezolutnie. — Aleksy Iwanycz nazywa się. Czyżow Aleksy Iwanycz.

— Napewno Czyżow — potwierdziła czwarta baba.

Oszołomiony subjekt rozglądał się na wszystkie strony.

— I poco on pytał, poco pytał, dobrzy ludzie! — wołał niemal w rozpaczy. — „Sabaniejewa znasz?" A djabli go wiedzą, jaki on tam Sabaniejew?

— Matyjaśny ty człowieku, gadają ci, że nie Sabaniejew, ino Czyżow, Aleksy Iwanycz Czyżow, ot kto! — zawołała któraś ze straganiarek.

— Jaki Czyżow? Ale jaki? Gadaj, skoro wiesz.

— Niby długi, kostropaty, latem na targu siedział.

— A na kiego licha mi twój Czyżow, dobrzy ludzie, co?

— A skąd wiem, na kiego licha tobie Czyżow?

— A kto cię tam wie, co ci po nim — podjęła druga. — Sam powinieneś wiedzieć, poco ci on, skoro tyle gadasz. Wszak on tobie mówił, a nie nam, głupi człowieku. Naprawdę nie znasz?

— Kogo?

— Czyżowa?

— A niech go djabli biorą, twego Czyżowa, razem z tobą! Skórę mu wygarbuję! Śmiał się on ze mnie!

— Czyżowowi skórę wygarbujesz? Chybaż on tobie! Dureń jezdeś, jużci!

— Nie Czyżowowi, nie Czyżowowi, babo ty zła, wredna, chłopca pobiję! Dajcie mi go, dajcie mi go tu, śmiał się on ze mnie!

Baby śmiały się do zdechu. A Kola kroczył już da-

leko stąd z miną zwycięską. Smurow szedł za nim, oglądając się wciąż na krzyczącą gawiedź. Było mu też bardzo wesoło, jakkolwiek bał się wpaść w opresję.

— O jakiego Sabaniejewa zapytaleś go? — zagadnął Smurow, domyślając się zresztą odpowiedzi.

— A skąd ja wiem jakiego? Teraz to do wieczora będzie tam harmider. Lubię rozruszać durniów wszystkich warstw społeczeństwa. Masz, tu znowu stoi taki olszowy marcin. Powiadają: „niema nic głupszego nad głupiego Francuza", ale, bracie, rosyjska fizjonomja też niezgorsza. Ano czy nie widać z twarzy tego chłopa, że gamuła, co?

— Zostaw go, Kola, przejdźmy spokojnie.

— Za nic w świecie nie zostawię, już się teraz rozpuściłem. Witaj, bracie!

Rosły chłop, z okrągłą, prostoduszną twarzą i z brodą szpakowatą, który wlókł się powolnym krokiem, widocznie już podchmielony, podniósł głowę i spojrzał na chłopca.

— Ano witaj, jak nie żartujesz — odparł powoli.

— A jak żartuję? — roześmiał się Kola.

— To sobie żartuj, Bóg z tobą. To nic, można sobie pożartować. Zawszeć tak można, żeby pożartować.

— Daruj, bracie, żartowałem.

— Niech ci Pan Bóg daruje.

— A ty mi darujesz?

— Bardzo daruję. Ano idź.

— No widzę, żeś mądry chłop.

— Mądrzejszy od ciebie — rzekł niespodziewanie chłop podawnemu poważnie.

— Czyżby? — zmieszał się Kola.

— Tak jest jak mówię.

— A może i tak.

— To-to, bracie.

— Bądź zdrów.

— Bądź zdrów.

— Chłopi bywają różni — rzekł Kola do Smurowa po krótkiej pauzie. — Skąd mogłem wiedzieć, że napatoczę się na mądralę. Zawsze gotów jestem uszanować mądrego chłopa.

Zdala na zegarze katedralnym wybiło pół do dwunastej. Chłopcy przyspieszyli kroku i całą dosyć długą jeszcze drogę do mieszkania sztabs-kapitana Sniegirowa przebyli prawie w milczeniu. W dwudziestu krokach od domu Kola przystanął i kazał koledze pójść naprzód i wywołać Karamazowa.

— Trzeba się uprzednio obwąchać — rzekł do Smurowa.

— A poco go wywoływać? — zaoponował Smurow — wejdź tak, ogromnie się wszyscy ucieszą. Pocóż na mrozie zawierać znajomość?

— Sam wiem poco na mrozie — uciął despotycznie Kola (co bardzo lubił czynić w stosunku do „mikrusów"), i Smurow pobiegł wykonać zlecenie.

IV.

Bobek.

Kola z nadętą miną oparł się o parkan i zaczął czekać na Aljoszę. O tak, już dawno chciał się z nim spotkać. Słyszał o nim wiele od kolegów, ale dotychczas udawał obojętną napozór pogardę, a nawet „krytykował" Aljoszę, gdy powtarzano mu jego uczynki czy słowa. Lecz w głębi duszy ogromnie pragnął go poznać: we wszystkich relacjach o Aljoszy była jakaś nutka sympatyczna, która Kolę bardzo przyciągała. To też chwila obecna była dlań nader ważna: po pierwsze trzeba było postawić się, okazać niezależność ducha: „bo jeszcze pomyśli, że jestem trzynastolatkiem i że nie różnię się od tamtych mikrusów. I cóż go obchodzi ta dzieciarnia? Zapytam go przy sposobności. Najgorsze jest to, że mam wzrost taki mały. Tuzikow jest młodszy ode mnie, a o pół głowy wyższy. Twarz mam coprawda wcale mądrą; nie jestem ładny, wiem o tem, mam parszywą mordę, ale mądrą. Nie trzeba też za bardzo się unosić, uściski i t. d., bo pomyśli... Tfu, jeżeli pomyśli, to kiepsko!...".

Tak się denerwował Kola, starając sobie dodać powagi. Najbardziej dręczył go niski wzrost, nietyle „parszywa" twarz, ile wzrost. U siebie w domu, w kącie na ścianie jeszcze przed rokiem nakreślił ołówkiem swoją miarę, i od tego czasu co dwa miesiące mierzył się z wielkiem wzburzeniem: o ile zdążył urosnąć? Ale, niestety! rósł straszliwie powoli, i to wtrącało go w czarną rozpacz. Co się tyczy twarzy, to nie była ona bynajmniej „parszywa", owszem dosyć miła, bieluśka, blada z piegami. Szare niewielkie ale żywe oczęta, miały zuchwały wyraz i chwilami zapalały się namiętnością. Skronie rozstawione szeroko, wargi — małe, nie bardzo grube, ale bardzo czerwone; nos malutki i zdecydowanie zadarty. Kola, oglądając się w lustrze, szczególnie sarkał na swój nos i zawsze odchodził oburzony. „Czy niby napewno mądra twarz?" — myślał czasami, podając nawet i to w wątpliwość. Zresztą nie trzeba sądzić, że bardzo się tem przejmował. Wręcz przeciwnie, jakkolwiek jadowite były chwile przed zwierciadłem, zapominał o nich rychle i to na długo „pochłonięty ideami i życiem realnem", jak określał swoją działalność.

Aljosza wnet się pojawił i prędkim krokiem podszedł do Koli. Miał jakiś radosny błysk w oczach, który nie uszedł uwadze chłopca. „Czyżby się tak na mój widok ucieszył?" — pomyślał z satysfakcją Kola. Trzeba tu zauważyć, że Aljosza bardzo się zmienił od czasu, jakeśmy go po raz ostatni spotkali; nosił teraz zamiast habitu pięknie uszyty garnitur, miękki, okrągły kapelusz i miał krótko strzyżone włosy. Uroda jego bardzo na tem zyskała, wyglądał jak prawdziwy piękniś. Sympatyczna jego twarz miała zawsze wesoły wyraz, ale wesołość owa była jakaś cicha i spokojna. Ku zdziwieniu Koli Aljosza wyszedł doń tak jak siedział w pokoju, w tużurku, widocznie bardzo się pokwapił. Bez ceregieli podał Koli rękę.

— Nareszcie i pan przyszedł, my tu wszyscy na pana czekaliśmy.

— Były powody, o których wkrótce się pan dowie. W każdym razie rad jestem, że pana poznaję. Dawno

czekałem na sposobność i wiele słyszałem — wymamrotał Kola cokolwiek zadyszanym głosem.

— I takbyśmy się poznali, ja sam o panu wiele słyszałem, ale tu się pan spóźnił.

— Niechże pan powie, jak tu?

— Z Iljuszą bardzo źle, na pewno niedługo pociągnie.

— Co pan! Niech się pan zgodzi, że medycyna to podłość, Karamazow — zawołał z przejęciem Kola.

— Iljusza często, bardzo często wspominał o panu, nawet, wie pan, we śnie. Widać, że pan mu był dawniej bardzo, bardzo drogi... do tamtego wypadku... ze scyzorykiem. Jest jeszcze jeden powód... Niech mi pan powie, czy to pana pies?

— Mój. Podzwon.

— A nie Bobek? — zajrzał mu Aljosza żałośnie w oczy. — A więc Bobek przepadł?

— Wiem, że wszyscybyście chcieli mieć Bobka, słyszałem coś o tem — uśmiechnął się zagadkowo Kola. — Posłuchaj pan, Karamazow, wyjaśnię panu wszystko, potom tu przyszedł i dlatego pana wywołałem, że chciałem panu wyjaśnić całe to przejście zanim wejdziemy — zaczął z ożywieniem. — Widzi pan, Karamazow, na wiosnę Iljusza wstąpił do wstępnej klasy. Ano wiadomo, wstępna klasa: mikrusy, dzieciarnia. Iljuszy odrazu poczęli dokuczać. Ja jestem w drugiej klasie i, oczywiście, przyglądam się zdala, z boku. Widzę, chłopak malutki, słabiutki, ale nie poddaje się, nawet bije, hardy, oczęta mu płoną. Lubię takich. A oni jeszcze bardziej. A najważniejsza, miał on wówczas paltocik lichy, spodenki zadzierały się do góry, a buciki rozdziawiały paszcze. Oni go i za to. Nie, tego to już nie lubię, natychmiast wkroczyłem i zadałem im feferu. Ja przecie tłukę ich, a oni mnie ubóstwiają, wie pan, Karamazow? — pochełpił się wylewnie Kola. — I wogóle, lubię ja dzieciarnię. U mnie w domu i teraz dwoje piskląt siedzi mi na karku, zatrzymali mnie dzisiaj. Ano więc Iljuszę przestano bić, ponieważ wziąłem go pod swoją opiekę. Widzę, chłopiec dumny, mówię panu, że dumny, ale oddany mi jak niewolnik,

wykonywa wszystkie moje rozkazy, słucha mnie jak Boga, i wciąż jeno mnie naśladuje. W przerwach przychodził do mnie, i razemyśmy spacerowali. W niedzielę też. W naszem gimnazjum śmieją się, gdy starszy chłopak zadaje się z malutkim, ale to tylko przesąd. Taką mam fantazję i basta, prawda? Ja go uczę, rozwijam — dlaczegóż, niech mi pan powie, nie mam go rozwijać, skoro mi się podoba? Pan naprzykład, Karamazow, też zadaje się z temi pisklętami, zatem chce pan oddziaływać na młode pokolenie, rozwijać, być pożytecznym? I przyznam panu, że ten rys charakteru pana, o którym dowiedziałem się ze słuchów, zainteresował mnie najbardziej. Zresztą do rzeczy: zauważyłem, że w chłopczyku rozwija się jakaś uczuciowość, sentymentalność, a ja, uważa pan, jestem stanowczo wrogiem wszelkich cielęcych czułości, i to od najwcześniejszych lat. Poza tem te sprzeczności: dumny, a mnie oddany jak niewolnik — oddany jak niewolnik, a tu naraz oczęta błysną i sprzeciwia mi się, nie chce się zgodzić ze mną, sprzecza, upiera się przy swojem. Czasem propagowałem rozmaite idee; a on, widzę, nietyle przeciwstawia się ideom, ile chce zbuntować się, przeciwko mnie powstać, ponieważ odpowiadam oziębłością na jego czułości. I oto, aby go zahartować, stawałem się coraz bardziej oziębły, umyślnie tak postępowałem, bo takie jest moje przekonanie. Miałem na celu wyszkolenie charakteru, zahartowanie, stworzenie człowieka... ano i tam... pan, oczywiście, rozumie z jednego słówka. Naraz widzę, dzień, dwa dni, trzy dni chodzi zmieszany, markotny, ale już nie z powodu czułości, z innych wyższych, poważnych powodów. Myślę sobie, cóż to za tragedja? Badam go i dowiaduję się o wszystkiem: w jakiś tam sposób zeszedł się z lokajem nieboszczyka ojca pana (który wówczas jeszcze żył) ze Smerdjakowym, a ten go nauczył głupiej sztuczki, zwierzęcej podłej sztuczki — wziąć kawał chleba, wetknąć szpilkę i rzucić jakiemuś kundlowi z tych, które są tak wygłodzone, że połykają każdy rzucony im kąsek. Więc rzucili taki kawałek Bobkowi, był to kundel zawsze głodny, nigdy go nie żywiono, całemi dniami ujadał na wiatr. (Czy lubi pan to głupie ujadanie, Karamazow, bo ja tego nie znoszę). Rzucił się tedy pies na ten kąsek, połknął i pisnął

i zaczął kołować i uciekać, ucieka i wciąż piszczy, i wkońcu znikł — tak mi to opisał sam Iljusza. Opowiada i płacze, płacze, ściska mnie, trzęsie się. „Leci i piszczy, leci i piszczy" — Iljusza wciąż to powtarza, uderzył go snać ten obrazek. Ano widzi pan, wyrzuty sumienia. A ja bardzo poważnie. Przytem chciałem mu za dawne sprawki dać nauczkę, więc, przyznam się, udałem, że jestem strasznie oburzony, że bardziej nie można: „Ty" powiadam „postąpiłeś nikczemnie, jesteś podły, oczywiście nikomu nie powiem, ale chwilowo zrywam z tobą wszelkie stosunki. Zastanowię się jeszcze nad tem i dam ci znać przez Smurowa (tego samego chłopczyka, który teraz ze mną przyszedł, i który już wówczas był mi oddany) czy będę z tobą nadal utrzymywał stosunki, czy też zerwę z tobą jako łajdakiem". To na niego strasznie podziałało. Przyznam się, że już wówczas pomyślałem sobie, że może zbyt surowo go potraktowałem, ale co robić, robiłem to z przekonania. Następnego dnia. posłałem doń Smurowa i kazałem powiedzieć, że już więcej nie będę z nim „rozmawiał", tak to się u nas nazywa, kiedy dwaj koledzy zrywają ze sobą stosunki. Chodzi o to, że chciałem go przez kilka dni potrzymać w niełasce, a potem, widząc jego skruchę, wyciągnąć rękę do zgody. Taki miałem zamiar. Ale co pan powie: wysłuchał Smurowa i naraz błysnęły mu oczęta: „Powiedz" zawołał „Krasotkinowi, że teraz będę wszystkim psom rzucał kąski ze szpilkami, wszystkim, wszystkim!" — A, myślę sobie, rogata dusza, trzeba mu będzie rogów przytrzeć, i zacząłem mu okazywać najzupełniejsze lekceważenie, przy każdem spotkaniu odwracałem się albo uśmiechałem ironicznie. I naraz zdarzył się wypadek z jego ojcem, pamięta pan wiechetek? Niechże pan zrozumie, że w ten sposób był on już uprzednio podminowany. Chłopcy, widząc, że z nim nie rozmawiam, narzucili się nań, zaczęli go drażnić: „wiechetek i wiechetek". I wówczas to rozpoczęły się udry, które sprawiły mi wielką przykrość, ponieważ zdaje się, że go mocno wówczas przetrzepano. Pewnego razu narzucił się na kolegów, kiedy wychodzili ze szkoły, i akurat ja stałem w dziesięciu krokach i patrzałem na niego. I przysięgam panu, nie pamiętam, abym się wówczas śmiał, owszem, było mi bardzo,

bardzo żal go i jeszcze chwila, a byłbym go obronił. Ale naraz spotkał moje spojrzenie: nie wiem, co mu się przyśniło, wyrwał scyzoryk, rzucił się na mnie i dźgnął mnie w biodro nad prawą nogą. Nie poruszyłem się, przyznam się panu, że czasami bywam odważny, Karamazow. Tylko spojrzałem nań z pogardą, jakby mówiąc spojrzeniem: „Czy nie chcesz jeszcze za całą moją przyjaźń, jestem do usług". Ale po raz drugi nie dźgnął, nie wytrzymał, sam się przeraził, rzucił scyzoryk, zapłakał na głos i zaczął zmykać. Ja oczywiście nie skarżyłem się i zaleciłem wszystkim milczenie, aby dyrekcja się nie dowiedziała, a matce powiedziałem dopiero, kiedy się zagoiło, zresztą ranka była nikła, poprostu draśnięcie. Potem słyszałem, że tego samego dnia rzucał w pana kamieniami i nawet w palec ugryzł — ale pan chyba zdaje sobie sprawę ze stanu jego ducha! Ano, niema rady, postąpiłem głupio: kiedy zachorował, nie poszedłem mu przebaczyć, to znaczy pojednać się, teraz to żałuję. Ale miałem swoje specjalne cele. Otóż i cała historja... tylko, zdaje się, postąpiłem głupio...

— Ach, jaka szkoda — zawołał wzburzony Aljosza — że nie znałem waszych ówczesnych stosunków, bobym przyszedł do pana wcześniej, aby przyprowadzić pana do niego. Niech mi pan wierzy, w gorączce majaczył wciąż o panu. Nie wiedziałem nawet, jak mu pan jest drogi! I czy naprawdę, czy naprawdę nie odszukał pan Bobka? Ojciec i koledzy po całem mieście go szukali. Czy uwierzy pan, chory we łzach trzykrotnie przy mnie powtórzył: „To dlatego jestem chory, tatusiu, że Bobka wtedy zabiłem, to Bóg mnie ukarał": nie można mu tego wyperswadować! Gdybyż to pan znalazł tego Bobka i pokazał mu, mój Boże napewnoby wyzdrowiał z radości. A przecież mieliśmy nadzieję, że się to panu uda.

— Przepraszam bardzo, co was upoważniło do tego, do tego mianowicie, że ja go odnajdę? — zapytał Kola z nadzwyczajnem zaciekawieniem. — Dlaczego liczyliście właśnie na mnie?

— Ktoś powiedział, że pan go szuka. Zdaje się, że to mówił Smurow. W dodatku chcemy wszyscy siebie prze-

konać, że Bobek żyje i że gdzieś się wałęsa. Chłopcy przynieśli mu żywego zająca, ale on tylko popatrzał, uśmiechnął się i poprosił, abyśmy puścili w pole. Zrobiliśmy to. Dopiero co ojciec jego wrócił i przyniósł szczeniaka, brytana, chciał go pocieszyć, ale zdaje się, że tylko pogorszył...

— Niech mi pan jeszcze co powie, Karamazow: cóż to za człowiek ten jego ojciec? Znam go, ale co pan o nim myśli: czy to błazen, pajac?

— Ależ nie, bywają ludzie głęboko wrażliwi, ale jakoś przygnębieni. Ich błazeństwo to jakby złośliwa ironja względem tych, którym nie śmieją mówić prawdy w oczy. Niech mi pan wierzy, że tego rodzaju błazeństwo jest nieraz bardzo tragiczne. W tym wypadku wszystko skupiło się dlań w osobie Iljuszy, i jeżeli umrze Iljusza, to on albo obłędu dostanie albo popełni samobójstwo. Jestem nawet tego pewny, sądząc z jego obecnego wyglądu!

— Rozumiem pana, Karamazow, widzę, że pan zna człowieka — rzekł z przejęciem Kola.

— Więc teraz, gdy zobaczyłem pana z pieskiem, pomyślałem sobie, że pan przyprowadził tego Bobka.

— Niech pan czeka, Karamazow, może go znajdziemy, ale ten to jest Podzwon. Wpuszczę go teraz do pokoju, i może Iljusza ucieszy się bardziej niż z brytana. Niech pan poczeka, Karamazow, zaraz się pan czegoś dowie. Ach, Boże, cóż tu ja pana trzymam! — zawołał naraz impulsywnie Kola. — Tylko w tużurku na takim mrozie, a ja pana zatrzymuję; widzi pan, widzi pan, jakim jestem egoistą, jakim egoistą! O, wszyscy jesteśmy egoistami, Karamazow!

— Nie szkodzi, prawda, zimno jest, ale nie jestem skłonny do przeziębień. Chodźmy jednak. A propos: jak panu na imię, wiem, że Kola, ale dalej?

— Mikołaj, Mikołaj Iwanow Krasotkin, albo jak mówią Krasotkin syn — roześmiał się Kola, ale naraz dodał: — Rozumie się, nienawidzę tego imienia Mikołaj.

— A to dlaczego?

— Trywialne, urzędowe...

— Ma pan trzynaście lat?

— Czternasty, za dwa tygodnie czternaście, bardzo

niedługo. Wyznam panu swoją jedną słabostkę, feblik taki, tylko panu, aby mnie pan całkowicie przejrzał: nienawidzę, gdy się mnie pyta o lata, bardziej niż nienawidzę... i wreszcie... plotkują o mnie, że ja naprzykład w zeszłym tygodniu bawiłem się ze wstępniakami w rozbójników. Że grałem — to prawda, ale fałszem jest, jakobym grał dla siebie, dla swego zadowolenia. Przypuszczam, że te plotki doszły do pana, ale zapewniam pana, że nie bawiłem się dla siebie, lecz dla dzieciarni, ponieważ beze mnie nicby nie wymyślili. A u nas to zaraz biorą na języki. To miasto plotek, zapewniam pana.

— A gdyby pan nawet bawił się dla swego zadowolenia, to cóż?

— Ano dla siebie... Nie będzie pan przecież bawił się w konika?

— A niech pan to sobie tak przełoży — uśmiechnął się Aljosza. — Wszak dorośli bywają naprzykład w teatrach, a na scenie przedstawia się przygody różnych bohaterów, nieraz to nawet i rozbójników i wojny, to niechże pan powie, czy to nie jest to samo, oczywiście w innym rodzaju? Zabawa w wojnę albo w rozbójników podczas pauzy jest w istocie zaczątkiem sztuki, rodzącą się w młodej duszy potrzebą sztuki. I nieraz te zabawy składają się lepiej od niejednego przedstawienia teatralnego z tą tylko różnicą, że w teatrze ogląda się aktorów, a tu młodzież sama bierze udział w grze. Ale tylko to jest naturalne.

— Pan tak myśli? Takie jest przekonanie pana? — popatrzał nań uważnie Kola. — Wie pan, że to bardzo ciekawa myśl; jak wrócę do domu, to poruszę mózgami. Przyznam się, wiedziałem, że można się od pana wiele nauczyć. Przyszedłem się uczyć od pana, Karamazow — zakończył Kola z przejęciem.

— A ja od pana — uśmiechnął się Aljosza, uścisnąwszy go za rękę.

Kola był wielce zadowolony z Aljoszy. Ogromnie mu się spodobało, że Aljosza jest z nim na zupełnie równej stopie i rozmawia z nim jak z „najbardziej dorosłym".

— Pokażę panu zaraz dowcipną sztuczkę, Karama-

zow, też w swoim rodzaju przedstawienia teatralne — roześmiał się nerwowo Kola. — Poto przyszedłem.

— Ale przedtem pójdziemy na iewo do gospodarzy, tam wszyscy pańscy koledzy zostawili palta, bo w pokoju jest ciasno i gorąco.

— Ale ja tylko na chwilkę, posiedzę w palcie. Podzwon zostanie tu w sieni i położy się: „Podzwon, zdychaj!" Widzi pan zdechł. A ja z początku wejdę, rozejrzę się, a potem, gdy trzeba będzie, gwizdnę: „ici Podzwon!", zobaczy pan, wleci jak nieprzytomny. Żeby tylko Smurow nie zapomniał w stosownej chwili otworzyć drzwi. Ja już coś urządzę, zobaczy pan...

V.

Przy łóżku Iljuszy.

W tym już znanym nam pokoju, w którym gnieździła się rodzina znanego nam dymisjonowanego sztabs-kapitana Sniegirowa, było w tej chwili duszno i ciasno. Siedziało tu kilku chłopców — kolegów Iljuszy. Sprowadził ich i pogodził z Iljuszą Aleksy Karamazow. Coprawda, nie przyznawali sie do tego i nawet gotowi byli temu przeczyć, jak to zresztą uczynił Smurow. Cała sztuka polegała na tem, że Aljosza sprowadził ich bez „cielęcych czułości", jakby nieumyślnie, przypadkowo. Obecność ich sprawiała Iljuszy ogromną ulgę w cierpieniu. Bardzo się wzruszył, widząc jaką czułą przyjaźnią i pieczołowitością otaczają go wszyscy ci, którzy niedawno jeszcze byli mu wrogami. Brakowało tylko Krasotkina, i brak ten strasznie przygnębiał Iljuszę. W pełnych goryczy wspomnieniach Iljuszy najbardziej gorzki był epizod z Krasotkinym, niegdyś jedynym przyjacielem i obrońcą, na którego przecież rzucił się ze scyzorykiem. Zdawał sobie z tego sprawę mądry Smurow (to on pierwszy przyszedł się pogodzić z Iljuszą). Lecz Krasotkin, któremu Smurow zapowiedział wizytę Aljoszy „w pewnej sprawie", wręcz odparował podstęp i kazał po-

wiedzieć Karamazowowi, że sam wie jak postępować, że nie prosi nikogo o radę, i jeżeli odwiedzi chorego, to sam wie kiedy, „bo ma własne wyrachowanie". Było to dwa tygodnie temu. Oto czemu Aljosza zaniechał zamiaru i nie poszedł do Krasotkina. Chociaż nie poszedł, posyłał parokrotnie Smurowa. Lecz miało to tylko ten skutek, że zniecierpliwiony Krasotkin odmówił w zdecydowany sposób i zagroził, że jeżeli sam Aljosza przyjdzie po niego, to on już naprawdę nigdy nie pójdzie do Iljuszy, a wogóle prosi, aby mu dano spokój. Nawet ostatniego dnia Smurow nie wiedział, kiedy Krasotkin zdecyduje się pójść do Iljuszy; i dopiero w przeddzień wieczór przy pożegnaniu Kola kazał mu czekać nazajutrz rano w domu, aby razem pójść do Sniegirowa. Zabronił jednak mówić o tem, ponieważ chciał przyjść niejako przypadkowo. Smurow oczywiście dochował sekretu i czekał. Jeżeli spodziewał się, że Kola sprowadzi psa, to tylko na tej zasadzie, że Kola pewnego razu rzekł mimochodem: „osły jesteście, jeżeli nie możecie odszukać psa, oczywiście o ile on nie zdechł". Ale gdy po pewnym czasie Smurow ośmielił się napomknąć o swoich domysłach, Kola wrzasnął ze złością: „co ja osioł jestem, żeby szukać po mieście cudzych psów, kiedy mam własnego Podzwona? I czy to możliwe, aby pies mógł żyć z przełkniętą szpilką? To są cielęce czułości i nic więcej!"

Tymczasem Iljusza prawie już od dwóch tygodni leżał w łóżku, w kącie pod obrazami. W szkole zaś nie był od owego czasu, kiedy spotkał Aljoszę i ugryzł go w palec. Zresztą wówczas już chorował, chociaż jeszcze przez miesiąc wstawał z łóżka i chodził po pokoju. Ostatnio był tak osłabiony, że nie mógł się poruszyć bez pomocy ojca. Sztabskapitan przestał pić, truchlał i umierał ze strachu na myśl o katastrofie. Czasem, oprowadziwszy syna po pokoju i położywszy zpowrotem do łóżka, wybiegał do sieni, stawał w ciemnym kącie, opierał się czołem o ścianę i szlochał dziwnym wstrząsającym płaczem, tłumiąc głos, aby go Iljusza nie słyszał.

Ale gdy wracał do pokoju, starał się rozerwać i pocieszyć swego drogiego chłopczyka, opowiadał mu bajeczki, śmieszne anegdoty, przedrzeźniał pociesznych przechodniów,

których zdarzyło mu się spotkać, naśladował nawet głosy zwierzęce. Iljusza bardzo nie lubił, gdy ojciec zaczynał zgrywać się i błazna z siebie stroić. Starał się tego nie okazać, ale z bólem serca uświadamiał sobie, że ojciec w towarzystwie jest przygnębiony, poniżony, i nie mógł zapomnieć o „wiechetku" i owym „fatalnym dniu". Nina, sparaliżowana, cicha i dobra siostra Iljuszy, też nie lubiła, gdy ojciec się zgrywał (starsza siostra, Barbara Mikołajewna oddawna już wróciła do Petersburgu na swoje kursa), natomiast obłąkana matka ogromnie się cieszyła i śmiała z całego serca, gdy mąż robił z siebie widowisko, przedstawiał coś i wykonywał śmieszne gesty. Była to zresztą jej jedyna rozrywka, bo pozatem stale płakała i utyskiwała, że wszyscy o niej zapomnieli, że nikt jej nie szanuje, że ją obrażają i t. d. Ale ostatnio i ona również bardzo się zmieniła. Często spoglądała na Iljuszę i wpadała w zadumę. Przycichła, rzadko się odzywała i gdy płakała, to cichym głosem, aby nie słychać było. Sztabs-kapitan ze zdziwieniem i goryczą zauważył tę zmianę. Wizyty chłopców z początku nie podobały się jej zupełnie i nawet gniewały ją, ale potem wesołe okrzyki i opowiadania chłopców zaczęły ją bawić i wkońcu tak jej przypadły do gustu, że gdyby chłopcy przestali przychodzić, byłaby bardzo smutna. Gdy zaczynali coś opowiadać lub bawić się, zalewała się śmiechem i klaskała w dłonie. Niektórych przywoływała do siebie i całowała. Szczególnie polubiła Smurowa. Co się zaś tyczy sztabs-kapitana, to odwiedziny chłopców przepełniały go egzaltowaną radością i nawet nadzieją, że Iljusza przestanie się smucić i dzięki temu rychlej wyzdrowieje. Wierzył bowiem do ostatniej chwili i pomimo strachu ani wątpił, że Iljusza raptownie wyzdrowieje. Witał więc swoich małych gości z wdzięcznością, krzątał się koło nich, usługiwał im, gotów był bodaj nosić ich na barana i nawet zaczął to robić, ale Iljuszy nie spodobała się ta zabawa. Kupował dla nich podarunki, orzeszki, ciasteczka, częstował herbatą i kanapkami. Trzeba wiedzieć, że w czasach ostatnich nie miał kłopotów pieniężnych. Dwieście rubli od Katarzyny Iwanownej przyjął tak, jak to przewidział był Aljosza. A potem Katarzyna Iwanowna, dowiedziawszy się o chorobie

Iljuszy, była u nich, poznała całą rodzinę i nawet potrafiła oczarować obłąkaną kapitanową. Odtąd szczodrobliwa jej ręka nie skąpiła poparcia, a sztabs-kapitan przybity strachem o życie syna, zapomniał o skrupułach i honorze i z pokorą przyjmował wsparcie. Przez cały ten czas doktór Hertzenstube z polecenia Katarzyny Iwanownej akuratnie odwiedzał chorego, ale tyle tylko z tego było korzyści, że zamęczał pacjenta przeróżnemi pigułkami. Dzisiaj oczekiwano tu innego lekarza, znakomitość stołeczną, który przyjechał specjalnie z Moskwy. Sprowadziła go Katarzyna Iwanowna coprawda nie dla Iljuszy, lecz w innym celu, o którym czytelnik dowie się w swoim czasie; wszakże, korzystając z tej sposobności, poprosiła lekarza, aby odwiedził zarazem i Iljuszę, i uprzedził o tem sztabs-kapitana.

Sztabs - kapitan nie spodziewał się wizyty Koli Krasotkina. Lecz odawna już pragnął widzieć u siebie tego chłopca, który tak zaprzątał myśli jego Iljuszeczki. I tak się stało, że w chwili gdy Krasotkin otworzył drzwi i wszedł do pokoju, wszyscy obecni stali wokoło łóżka chorego, oglądając dopiero co przyniesionego malutkiego rasowego szczeniaka. Sztabs - kapitan zamówił to szczenię tydzień temu, zanim się jeszcze urodziło; myślał, że pocieszy i uspokoi Iljuszeczkę, który się wciąż martwił z powodu zaginionego i zapewne już nieżyjącego Bobka. Iljuszeczka już od trzech dni wiedział o tem, że dostanie małego pieska i nie zwyczajnego, lecz rasowego brytana (co oczywiście było ważnym ewenementem). Przez delikatność okazywał zadowolenie z podarunku, ale wszyscy, zarówno ojciec, jako też koledzy, widzieli wyraźnie, że nowy piesek tylko zadrasnął serdeczną ranę i wskrzesił pamięć nieszczęsnego zamęczonego Bobka. Szczeniak leżał i poruszał się niespokojnie na posłaniu, a Iljusza z chorobliwym uśmiechem głaskał go swą bledziutką, suchą rączką: tak, widać było, że podoba mu się ten psiak, ale... Bobka przecie niema, nie jest to przecie Bobek, o, gdyby tak to szczenię i Bobek razem, czego brakowało do szczęścia!

— Krasotkin! — zawołał jeden z kolegów, ujrzawszy naraz wchodzącego Krasotkina. Powstał mały po-

płoch, chłopcy rozstąpili się i odsłonili łóżko. Sztabs - kapitan szarpnął się impulsywnie naprzeciw Koli.

— Prosimy, prosimy... drogi gościu! — zaszczebiotał. — Iljuszeczka, pan Krasotkin przyszedł do ciebie...

Lecz Krasotkin, naprędce uścisnąwszy mu dłoń, opanował wlot sytuację i dowiódł, że zna dobrze zalecenia dobrego tonu. Nasamprzód zwrócił się do siedzącej na fotelu małżonki sztabs - kapitana (była akurat w bardzo złym humorze i opryskliwie zrzędziła na chłopców, że zasłaniają Iljuszeczkę i nie pozwalają jej spojrzeć na szczenię), z najwyższem ugrzecznieniem szurgnął nogą, poczem zwrócił się do Ninoczki i złożył jej podobny ukłon. Ta galanterja wpłynęła bardzo uspokajająco na chorą żonę sztabs - kapitana.

— Odrazu widać, że dobrze wychowany młodzieniec — rzekła nagłos, wyciągając ręce — nie to, co tamci goście: wjeżdżają jeden na drugim.

— Jakto, mateczko, jeden na drugim, jakżeto? — zapytał łagodnie sztabs - kapitan, lękając się wyskoków „mateczki".

— Właśnie, że tak przyjeżdżają. Siądzie w korytarzu jeden na drugim i wjeżdża tak okrakiem do przyzwoitej rodziny. Cóżto za gość?

— Ale kto, kto, mateczko, tak przyjeżdżał, któżto taki?

— Ano tamten chłopak na tym chłopaku dzisiaj przyjechał, i ten też...

Lecz Kola stał już przy łóżku Iljuszeczki. Twarz chorego chłopca pokryła się bladością. Uniósł się nieco na łokciu i bardzo wnikliwie wpatrzył się w kolegę. Krasotkin, który nie widział go już ze dwa miesiące, stanął jak wryty: nie spodziewał się, że ujrzy tak wychudzoną i pożółkłą twarzyczkę, tak płonące gorączkowo i jakgdyby straszliwie powiększone oczy, takie chude rączki. Z gorzkiem zdziwieniem patrzał, jak Iljuszeczka głęboko i często oddycha i nerwowo porusza zaschniętemi wargami. Podszedł bliżej, wyciągnął rękę i, ostatecznie zmieszany, odezwał się:

— No cóż, stary, jak się masz?

Ale głos mu się załamał, swoboda towarzyszka zawiodła, twarzyczka skrzywiła się i coś drgnęło koło warg. Iljusza przyglądał mu się z chorobliwym uśmiechem, nie mogąc dobyć głosu. Kola naraz podniósł rękę i nie wiedzieć czemu pogłaskał Iljuszę po czuprynie.

— To nic! — szepnął jakgdyby chcąc go pocieszyć (zresztą sam nie wiedział dlaczego to powiedział). Przez chwilę obaj milczeli.

— Cóżto, masz nowego szczeniaka? — zapytał wreszcie Kola bezdźwięcznym głosem.

— Ta-a-ak! — odpowiedział Iljusza długim szeptem, dusząc się nieledwie.

— Czarny nos, a zatem zły będzie, na łańcuchu trzeba będzie trzymać — stanowczo i poważnie orzekł Kola, jakgdyby o nic innego nie chodziło. W istocie przez cały czas starał się przezwyciężyć wzruszenie, które pobudzało go do łez, i nie mógł sobie z niem poradzić. — Jak wyrośnie, to trzeba go będzie na łańcuchu trzymać, widzę to już teraz.

— On będzie ogromny! — zawołał któryś z chłopców.

— Wiadomo, brytan, ogromny, taki jak ciołek — rozległo się odrazu kilka głosów.

— Jak ciołek, jak prawdziwy ciołek — podchwycił sztabs-kapitan. — Specjalnie wyszukałem takiego, najbardziej złośliwego, a rodzice jego też ogromne psy i złe, że aż... takie wysokie... Niechże pan usiądzie, o tu, na łóżeczku Iljuszy, albo na ławce. Bardzo prosimy, drogi gość, dawno wypatrywany... Raczył pan przyjść z Aleksym Fedorowiczem?

Krasotkin usiadł na brzegu łóżka. Zapewne przez drogę ułożył sobie wstępną przemowę, ale teraz nic z tego nie pamiętał.

— Nie... ja z Podzwonem... Mam teraz takiego psa, Podzwon się wabi. To bardziej po słowiańsku. Tam czeka.. gwizdnę to wleci. Ja też z psem — zwrócił się naraz do Iljuszy — pamiętasz, stary, Bobka?

Iljuszeczka odrazu zmienił się na twarzy. Spojrzał na Kolę z męczeńską miną. Aljosza, który stał pode drzwia-

mi, zasępił się i ukradkiem mrugnął na Kolę, aby zmienił temat. Ale ów nie zauważył tego, albo też nie chciał zauważyć.

— Gdzie jest... Bobek? — zapytał Iljusza zmęczonym głosikiem.

— Ano, bracie, twój Bobek — fiut! Przepadł twój Bobek.

Iljusza nic nie odpowiedział, ale znowu wnikliwie wpatrzył się w przyjaciela. Aljosza, spotkawszy spojrzenie Koli, znowu kiwnął głową,—napróżno: chłopak udawał, że nie widzi tego, i odwrócił oczy.

— Zginął i przepadł. Jakże miał nie zginąć po takiej zakąsce — kontynuował nielitościwie Kola, ale głosem już zadyszanym. — Ja mam psa... Podzwon... To bardziej po słowiańsku... Przyprowadziłem ci go...

— Nie trzeba! — odezwał się nagle Iljusza.

— Nie, nie, trzeba, bezwarunkowo popatrz... To cię ubawi. Specjalnie sprowadziłem... tak samo kosmaty jak tamten... Pozwoli pani, że sprowadzę tu swego psa?— zwrócił się do pani Sniegirow z jakiemś szczególnem, niepojętem wzburzeniem.

— Nie trzeba, nie trzeba! — wołał z goryczą Iljusza. Z wyrzutem patrzał na Krasotkina.

— Mógłby pan... — szarpnął się sztabs - kapitan z kufra, na którym siedział — mógłby pan... kiedy indziej... — dodał szeptem, ale Kola, nie zwracając na nic uwagi, zawołał do Smurowa: „Smurow, otwórz drzwi", skoro zaś ten otworzył, gwizdnął. Podzwon natychmiast wleciał do pokoju.

— Skocz, Podzwon, służyć! służyć! — wrzasnął Kola, zrywając się z miejsca, i pies stanął na tylnych łapach tuż przed łóżkiem Iljuszy. I oto stało się coś, czego nikt się nie spodziewał: Iljusza drgnął, z niezwykłą siłą poruszył się, nachylił nad Podzwonem i z zapartym tchem oglądał go uważnie:

— Toć to... Bobek! — zawołał głosikiem zachrypniętym od szczęścia i bólu.

— A tyś myślał, że kto? — wrzasnął na całe gardło

Krasotkin dźwięcznym, szczęśliwym głosem i, nachyliwszy się, objął psa i podniósł go ku Iljuszy.

— Patrzaj, stary, widzisz, oko krzywe i lewe ucho rozpłatane, te same oznaki, o których mówiłeś. Dzięki temu go znalazłem. Wtedy odrazu go znalazłem. Był to przecież bezdomny, bezpański pies! — wyjaśnił, zwracając się pokolei do sztabs-kapitana, do żony jego, do Aljoszy, a potem znów do Iljuszeczki. — Był jakiś czas u Fedota, ale ten go nie karmił... Odszukałem go... Widzisz, stary, pies wtedy nie zjadł twojej zakąski. Gdyby zjadł, to jużby oczywiście było po nim! Zdążył więc wyplunąć, skoro żyje. A tyś tego nie zauważył. Wyplunął, ale bądź co bądź ukłuł się w język i dlatego tak wizgał. Uciekał i wizgał, to też tobie się zdawało, że całkiem przełknął. Nie dziw, że tak wizgał, bo przecie pies ma bardzo delikatną skórę w gębie... delikatniejszą niż człowiek, o wiele delikatniejszą! — krzyczał nieprzytomnie Kola z pałającą zachwytem twarzą.

Iljusza nie mógł dobyć głosu. Patrzał na Kolę wielkiemi i dziwnie wypukłemi oczyma, z otwartemi ustami, blady jak płótno. Rozumie się, gdyby Krasotkin wiedział, jak zabójczo i strasznie może podziałać taka chwilka na stan chorego chłopca, to nigdyby się nie ważył wywołać takiej sceny. Ale z pośród obecnych może tylko jeden Aljosza zdawał sobie z tego sprawę. Sztabs-kapitan zaś jakgdyby zupełnie zdziecinniał.

— Bobek! Więc to jest ten Bobek? — wołał uszczęśliwiony. — Iljuszeczka, wszak to Bobek, twój Bobek! Mamuśka, wszak to Bobek.

Był bliski płaczu.

— A ja się nie domyśliłem — zawołał z goryczą Smurow. — Ech Krasotkin, mówiłem, że on znajdzie Bobka, no i znalazł.

— I znalazł! — powtórzył jeszcze ktoś.

— Zuch z ciebie, Krasotkin! — zadźwięczał trzeci głosik.

— Zuch, zuch! — wołali wszyscy chłopcy i zaczęli klaskać w dłonie.

— Poczekajcie, poczekajcie — usiłował ich przekrzy-

czeć Krasotkin — opowiem wam, jak to było, cała sztuka w tem, jak to było! Bo odszukałem go, sprowadziłem do siebie, odrazu ukryłem i aż do ostatniego dnia nikomu nie pokazywałem. Jedynie tylko Smurow dowiedział się dwa tygodnie temu, przekonałem go, że to Podzwon, a on się wcale nie domyślił. Tymczasem tresowałem Bobka i nauczyłem go różnych sztuczek; zaraz zobaczycie, przekonacie sie sami, co on potrafi! Poto go tak uczyłem, stary, aby go sprowadzić do ciebie uczonego, dobrze wychowanego. Że niby: „Patrzaj, stary, jakiego masz Bobka!". Czy nie macie jakiego kawałka wołowiny, zarazbym wam pokazał jedną sztuczkę, że pokładalibyście się ze śmiechu — kawałeczek wołowiny może się znajdzie?

Sztabs-kapitan wybiegł do izby, gdzie gotował się obiad. Kola zaś, nie tracąc drogiego czasu, wrzasnął na Podzwona: „Zdychaj", i pies przewrócił się do góry nogami i w tej pozycji wytrwał kilka chwil. Chłopcy śmieli się, Iljusza patrzał z cierpiętniczym swym uśmiechem, ale figiel najbardziej się spodobał „mamuśce". Śmiała się, prztykała palcami i przywoływała psa:

— Podzwon, Podzwon!

— Za nic się w świecie nie podniesie, za nic w świecie — chełpiąc się zwycięsko, zawołał Kola — choćby wszyscy krzyczeli. A niech ja sprobuję zawołać, a natychmiast się zerwie! Ici, Podzwon!

Pies zerwał się i zaczął skakać i wizgać z radości. Sztabs-kapitan wrócił z kawałkiem ugotowanego mięsa.

— Nie gorące? — zapytał pospiesznie Kola, biorąc do ręki mięso. — Nie, nie jest gorące, bo psy nie lubią gorącej strawy. Patrzajcie wszyscy... Iljuszeczka, patrzaj, patrzajże, patrzaj stary, czego nie patrzysz? Przyprowadziłem go, a on wcale nie patrzy!

Nowy figiel polegał na tem, że na nos psa, który stał na tylnych łapach, kładło się kawałek mięsa. Nieszczęsny pies miał stać nieruchomo z upragnionym kąskiem na nosie i ani drgnąć, bodaj przez pół godziny, póki go nie zwolnią. Tym razem zabawa trwała tylko chwilkę.

— Bierz! — krzyknął Kola, i łakomy kąsek w mig znalazł się w zębach Podzwona.

Widzowie, rozumie się, wyrażali swój zachwyt i zdumienie.

— Czyżby więc dlatego pan tak długo nie przychodził, żeś chciał wytresować psa? — zawołał z mimowolnym wyrzutem Aljosza.

— Dlatego właśnie! — odparł prostodusznie Kola. — Chciałem go pokazać w pełnym blasku.

— Podzwon! Podzwon! — zawołał naraz Iljusza, prztykając swemi chudziutkiemi palcami.

— Niech on sam skoczy na łóżko. Ici Podzwon! — szepnął Kola, uderzając dłonią po kołdrze.

I Podzwon skoczył w mig na łóżko. Iljusza objął go oburącz za głowę. Pies oblizał mu zato policzek. Iljusza przycisnął go do siebie i ukrył w jego kosmatej sierści swoją twarzyczkę.

— Boże, Boże! — wołał sztabs-kapitan.

Kola znowu usiadł na łóżku.

— Iljusza, mogę ci jeszcze jedną sztuczkę pokazać. Przyniosłem ci armatkę. Pamiętasz, mówiłem ci już wówczas o tej armatce, a tyś powiedział: „Ach, gdybym ją mógł zobaczyć!". Więc przyniosłem ci.

I Kola zaczął szperać w tornistrze i wyciągnął małą armatkę z bronzu. Śpieszył się tak bardzo, ponieważ czuł się bardzo szczęśliwy; w innym wypadku poczekałby, aż minie poprzedni efekt: natomiast teraz nie dbał o to: „tak jesteście szczęśliwi, więc bierzcie jeszcze trochę szczęścia!". On sam był w prawdziwem upojeniu.

— Dawno już zagiąłem parol na tę armatkę. Dla ciebie, stary, dla ciebie. Morozow, urzędnik, ją miał. Stała tam u niego bez pożytku, brat mu ją podarował. Dałem mu za nią książkę z ojcowskiej bibljoteki: „*Krewniak Mahometa czyli uzdrawiające androny*". Książka ma sto lat, w Moskwie wyszła, kiedy jeszcze cenzury nie było. Morozow jest amatorem takich książek. Jeszcze mi podziękował..

Kola trzymał armatkę tak, aby wszyscy mogli się nią zachwycać. Iljusza uniósł się na łokciu i, trzymając wciąż prawą ręką psa, ze szczerym zachwytem przyglądał się za-

bawce. Szczyt efektu nastąpił wówczas, kiedy Kola oznajmił, że ma przy sobie trochę prochu i że może wypalić, „jeżeli nie zaniepokoi pań". „Mamuśka" poprosiła, aby jej pozwolono zbliska obejrzeć armatkę. Życzeniu jej stało się natychmiast zadość. Armatka na kółkach przypadła jej ogromnie do gustu; potoczyła ją na swoich kolanach. Na prośbę Koli zgodziła się odrazu, nie rozumiejąc zresztą, o co jej prosi. Kola wydobył prochu i śrutu. Sztabs-kapitan jako były wojskowy sam się tem zajął, wsypał malutką porcję prochu i radził obejść się tym razem bez śrutu. Armatkę ustawiono na podłodze, lufą do pustego miejsca, nabito i podpalono zapałką. Rozległ się pierwszorzędny huk wystrzału. Mamuśka zrazu drgnęła, ale po chwili roześmiała się radośnie. Chłopcy spoglądali z milczącą powagą i triumfem, ale najszczęśliwszym wydawał się sztabs-kapitan, który nie spuszczał oka z Iljuszeczki. Kola podniósł armatkę i podarował ją Iljuszy, wraz ze śrutem i prochem.

— To ja dla ciebie, dla ciebie! Dawno już przygotowałem — powtórzył niezmiernie uszczęśliwiony.

— Ach, podarujcie mi to! Nie, podarujcie lepiej mnie tę armatkę! — zaczęła naraz prosić „mamuśka".

Na twarzy jej odbił się wyraz niepokoju — nie była bowiem pewna, czy jej podarują. Kola zmieszał się. Sztabs-kapitan niespokojnie się poruszył.

— Mamuśka, mamuśka! — podbiegł ku niej. — Armatka jest twoja, twoja, ale niech ona będzie u Iljuszeczki, bo on to dostał, ale to tak samo, jakgdyby była twoja. Iljuszeczka da ci się pobawić, będzie wasza wspólna, wspólna...

— Nie, nie chcę, aby wspólna, nie, chcę, żeby całkiem moja była, a nie Iljuszy — upierała się „mamuśka", bliska płaczu.

— Mamo, weź sobie, masz, weź! — krzyknął naraz Iljusza. — Krasotkin, czy mogę mamie podarować? — zwrócił się z błagalną miną do Krasotkina, jakgdyby się obawiał, że ten może się obrazi.

— Ma się rozumieć, że możesz! — zgodził się odrazu Krasotkin i sam nawet odebrał armatkę Iljuszy i podał ją z grzecznym ukłonem „mamuśce".

Ale ona i tak zapłakała ze wzruszenia.

— Iljuszeczka, drogi, on to naprawdę kocha mamusię! — zawołała i zaczęła toczyć armatkę na kolanach.

— Mamuśka, pozwól, że ci rączkę pocałuję — podbiegł znowu sztabs-kapitan i natychmiast wykonał zamiar.

— I kto jeszcze jest najmilszym młodzieńcem, to ten dobry chłopczyk! — dodała pani domu, wskazując na Krasotkina.

— A prochu będę ci przynosił, Iljusza, ile tylko zechcesz. My teraz sami robimy sobie proch. Borowikow ma receptę: dwadzieścia cztery części saletry, dziesięć siarki i sześć węgla brzozowego, wszystko to razem utłuc, nalać wody, zrobić maść i przetrzeć przez skórę od bębna — i proch gotowy.

— Smurow opowiadał mi już o waszym prochu, ale tatuś mi powiedział, że to nieprawdziwy proch — odezwał się Iljusza.

— Jakto nieprawdziwy? — zarumienił się Kola. — Kiedy się pali. Zresztą nie wiem...

— Ależ nie, to nic — podbiegł ze speszoną miną sztabs-kapitan. — Prawda, mówiłem, że prawdziwy proch inaczej się robi, ale to nic, można i tak.

— Nie wiem, chyba pan lepiej wie. Zapaliliśmy, doskonale się palił, cały spłonął, zostało tylko troszeczkę sadzy... A zresztą, pan wie lepiej, ja nie wiem... A Bełkina to ojciec zbił z powodu naszego prochu, słyszałeś? — zwrócił się znów do Iljuszy.

— Słyszałem — odpowiedział Iljusza. Słuchał kolegi z nieskończonem zainteresowaniem i rozkoszą.

— Zrobiliśmy całą butelkę prochu, i on ją trzymał pod łóżkiem. Ojciec zobaczył. Mógł być wybuch, powiada. I natychmiast wyłoił mu skórę. Chciał nawet się na mnie skarżyć w szkole. Teraz nie pozwalają mu chodzić ze mną, zresztą nikomu już nie pozwalają. Smurowowi też nie, taką mam teraz opinję, bracie, powiadają, że „desperat" — uśmiechnął się pogardliwie Kola. — A zaczęło się to od kolei.

— Ach, słyszeliśmy o pańskim przypadku! — zawołał sztabs-kapitan. — I jakto pan leżał? I czy naprawdę

nie bał się pan, gdy przejeżdżał pociąg? Chyba jednak miał pan stracha.

— Ani trochę! — odparł Kola. — A reputację popsuła mi najbardziej ta przeklęta gęś — zwrócił się znowu do Iljuszeczki. Ale chociaż udawał nonszalancję, jakoś nie mógł się opanować i nawet plątał się w opowiadaniu.

— Ach, słyszałem też o gęsi! — roześmiał się Iljusza. — Opowiadano mi, ale nie zrozumiałem, czy naprawdę zawezwano cię do sądu?

— Najgłupsza, najbłahsza historja, z której u nas jak zwykle zrobiono wołu — zaczął swobodnie Kola. — Szedłem-ci akurat przez plac, a tu przypędzono stado gęsi. Stanąłem i przyglądam się ptakom. Naraz jeden tutejszy parobek, Wiśniakow, teraz pracuje u Płotnikowa, gapi się na mnie i powiada: „Ty czego się na gęsi gawronisz?" Widzę: morda głupia, okrągła, chłop dwudziestoletni, wiecie państwo, ja nie gardzę ludem. Lubię z prostymi... Oddaliliśmy się za bardzo od ludu — to pewnik, zdaje się, że pan raczył się roześmiać, Karamazow?

— Ależ nie, broń Boże, słuchałem z uwagą — odpowiedział Aljosza z prostoduszną miną. Podejrzliwy Kola nabrał otuchy.

— Moja teorja, Karamazow, jest jasna i prosta — dodał znowu radośnie. — Wierzę w lud i zawsze gotów jestem uczcić jego zalety, ale nie rozpieszczając go, to jest sine qua... Ale wracam do gęsi. Otóż zwracam się do gamonia i odpowiadam: „Myślę o czem gęś myśli". Patrzy on na mnie zupełnie ogłupiałym wzrokiem: „A o czem, — powiada, gęś myśli? — „Widzisz, powiadam, tu stoi wóz z owsem. Z worków owies się wysypał na ziemię, a gęś wsunęła szyję pod samo koło i dziobie ziarna — widzisz?" „To się wi, że widzę" — powiada. „Ano więc, powiadam, jeżeli ten wóz popchnąć ociupichnę z miejsca — to czy koło przerznie gęsi szyję, czy nie?" — „Przezwarunkowo, — powiada, przerznie" i uśmiecha się całą gębą rad, jakby go kto na sto koni wsadził. „Ano, powiadam, dawaj, chłopie". — „Dawaj" — mówi. I niedługośmy majstrowali; stanął-ci on koło uzdy, a ja zboku, żeby gęś nakierować. Chłop zaś tymczasem zagapił się na coś, mówił z kimś, to

też nawet nie trzeba było wcale ptaka poruszyć: sam trzymał szyję pod samem kołem. Mrugnąłem na parobasa, ściągnął uzdę i — krach, wóz przejechał się po gęsiej szyi! A tu już nas wszyscy chłopi zauważyli, i podniósł się wrzask: „Toś ty naumyślnie!" — „Nie, nie naumyślnie!" — „Nie, naumyślnie!". No i szwargoczą: „Do sędziego!". Oczywiście, i mnie zaciągnęli. „Tyś go, mówiąc, namówił, ciebie cały bazar zna!". A mnie naprawdę zna cały bazar — dodał z dumą Kola. — Poszliśmy więc do sędziego pokoju. Patrzę, gamuła mój stchórzył i ryczy, naprawdę ryczy jak baba. A hurtownik krzyczy: „W ten sposób można wszystkie gęsi zmarnować!. No, rozumie się, świadkowie. Sędzia niedługo się zastanawiał: „dać rubel hurtownikowi za gęś, którą zabierze parobek. I aby się to więcej nie powtarzało". A gamuła mój wciąż ryczy jak baba: „To nie ja, krzyczy, to on mnie namówił" no i na mnie wskazuje. Ja odpowiadam z zimną krwią, że go nie namawiałem, że tylko wyraziłem zasadniczą myśl, i że mówiłem o tem w projekcie. Sędzia Niefjedow uśmiechnął się, ale zły był na siebie za ten uśmiech: „Ja, powiada, dyrekcję szkoły zawiadomię o tem, abyście na przyszłość nie układali sobie takich projektów, zamiast odrabiać lekcje". Dyrekcji zresztą nie zawiadomił, żartował tylko, ale sprawa nabrała rozgłosu i dotarła do uszu władz szkolnych: bo też długie są te ich uszy! Szczególnie obruszył się Kołbasnikow, ale Dardanelow znowu mnie obronił. A Kołbasnikow zły jest teraz na wszystkich, jak wszyscy djabli. Słyszałeś, Iljusza, ożenił się, dostał tysiąc rubli w posagu, ale brzydką żonę. Trzecioklasiści odrazu ułożyli epigram:

Więc ożenił się brudas Kołbasnikow.

No i tam dalej, bardzo pocieszny, kiedy indziej ci przyniosę. O Dardanelowie nic złego nie mówię: człowiek wykształcony, naprawdę wykształcony. Takich szanuję, i bynajmniej nie dlatego, że mnie obronił..

— A jednak złapałeś go na tem, że nie wie, kto Troję założył! — wtrącił nieoczekiwanie Smurow, snać dumny ze swego przyjaciela. Bardzo mu się podobała historja z gęsią.

— Czy naprawdę złapał go pan? — podchwycił przymilająco sztabs-kapitan. — Nie wie, kto Troję założył. A myśmy już o tem słyszeli, że go pan złapał. Iljuszeczka mi wtedy opowiadał...

— On, ojcze, zna wszystko lepiej od wszystkich! — odezwał się Iljuszeczka. — On tylko udaje, że jest taki, ale naprawdę to on jest prymusem w szkole...

Iljusza z nieskończoną błogością spoglądał na Krasotkina.

— Co tam, ta historja z Trojąto w istocie głupstwo. Ja sam uważam, że to pytanie jest czcze — odpowiedział z chełpliwą skromnością.

Zdążył już odzyskać kontenans, chociaż coprawda niezupełnie pozbył się jakiegoś niepokoju: uświadamiał sobie swoje podniecenie, wiedział, że o gęsi naprzykład mówił zbyt wylewnie i emfatycznie, a tymczasem Aljosza przez cały czas był poważny i nie odezwał się słówkiem. Samolubny i ambitny chłopczyk zaczął się gryźć podejrzeniami: „czy nie dlatego tak milczy, że gardzi mną, myśli, że zabiegam o pochwałę? W takim razie, jeżeli on śmie tak myśleć, to ja"...

— Uważam, że pytanie jest stanowczo czcze — powtórzył pyszałkowato.

— A ja wiem, kto założył Troję — odezwał się nagle jeden z chłopców, jedenastoletni, widocznie nieśmiały i bardzo ładny chłopczyk — milczek, który dotychczas nie puścił pary z ust. Nazywał się Kartaszow.

Kola zmierzył go zdziwionym i buńczucznym wzrokiem. Trzeba wiedzieć, że kwestja: ‚kto właściwie założył Troję" była sekretem dla całej szkoły. Tylko Kola znał ten sekret, ponieważ on jeden posiadał Historję Powszechną Smaragdowa, w której imiona założycieli Troi były podane. I oto pewnego razu Kartaszow pokryjomu zajrzał do tej książki, korzystając z nieuwagi Koli, i akurat wpadł na miejsce, gdzie była mowa o założeniu Troi. Było to już dosyć dawno temu, a jednak Kataszow nie miał odwagi oświadczyć publicznie, że i on wie, kto założył Troję; lękał się, że niedyskrecja jego wyjdzie najaw i Ko-

la go zawstydzi. Ale tym razem nie mógł się pohamować i powiedział.

— A więc kto założył? — zapytał Kola, zwracając się doń lekceważąco. Zmiarkował, że Kartaszow zna jego sekret i odrazu przygotował się do wszelkich konsekwencyj. Prawdziwy co się zowie dysonans zakłócił dotychczasową harmonję.

— Troję założyli: Teucer, Dardanus, Ilus, Tros — wypowiedział wyraźnie Kartaszow, i w tejże chwili zalał się rumieńcem ale takim, że żal było na niego patrzeć. Ale chłopcy patrzali nań uporczywie, patrzali całą minutę, a potem naraz jakby na komendę przenieśli spojrzenie na Kolę. Ów zaś ze wzgardliwą obojętnością mierzył wciąż wzrokiem zuchwałego intruza.

— To znaczy, jak założyli? — raczył wreszcie zapytać. — I wogóle co to znaczy założyć miasto albo państwo? Co oni: przyszli i położyli po cegiełce, co?

Rozległy się śmiechy. Biedny winowajca był cały w ponsach. Milczał, chciało mu się płakać. Kola przetrzymał go tak minutę.

— Aby mówić o takich historycznych wydarzeniach, jak założenie nacji, trzeba przedewszystkiem wiedzieć, co to znaczy — wyciął dobitnie i surowo. — Ja zresztą nie przywiązuję wagi do tych babskich klechd, i wogóle niebardzo szanuję historję powszechną.

— Historję powszechną? — zapytał z jakimś przestrachem sztabs - kapitan.

— Tak, historję powszechną. Studjowanie całego szeregu głupstw ludzkich, nic więcej. Szanuję jedynie matematykę i nauki przyrodnicze — wypalił Kola i zpodełba spojrzał na Aljoszę: dbał tu bowiem tylko o jego zdanie.

Lecz Aljosza milczał i zachowywał powagę. Gdyby cokolwiek powiedział, sprawa byłaby skończona, ale milczał, a przecież „to milczenie może być wyrazem lekceważenia". Kola zirytował się na dobre.

— A znowu ta nauka języków klasycznych: warjactwo i nic więcej.. Zdaje się, że pan znowu nie godzi się ze mną, Karamazow.

— Nie godzę się — uśmiechnął się powściągliwie Aljosza.

— Języki klasyczne, jeśli pan chce wiedzieć, jakie jest moje o tem zdanie, to powiem panu, że to swego rodzaju środek policyjny—Kola znowu mówił zadyszanym głosem— Uczy się ich dlatego, że są nudne i że przytępiają umysł. Nudno jest, a więc jak tu zrobić, aby było jeszcze nudniej? Nonsensów nie brak na świecie, ale jak tu zrobić, aby było ich jeszcze więcej? I oto wymyślono języki klasyczne. Takie jest moje o nich zdanie i mam nadzieję, że nigdy go nie zmienię — skończył Kola zaczepnym tonem z wypiekami na twarzy.

— To prawda — dźwięcznym głosikiem potwierdził z przekonaniem Smurow.

— A sam jest pierwszy z łaciny! — zawołał naraz któryś z chłopców.

— Tak, tatusiu, on tak mówi, ale jest pierwszy uczeń z łaciny — odezwał się Iljusza.

— Więc cóż z tego? — bronił się Kola, chociaż pochwała sprawiła mu przyjemność. — Wkuwam się łaciny, bo muszę, bo przyrzekłem matce skończyć budę, a jak się już do czego bierzesz, to powinieneś to dobrze zrobić. Ale w głębi duszy gardzę tą nauką i całą tą podłością... Nie uważa pan, Karamazow?

— Ale dlaczego „podłość"? — uśmiechnął się Aljosza.

— Wybaczy pan, ale dzieła klasyków są przełożone na wszystkie języki, a zatem nie poto się nauczyłem łaciny, aby czytać klasyków. Chodzi tylko o policyjne cele i o przytępienie zdolności. A czy to nie jest podłość?

— I kto pana tego wszystkiego nauczył? — zawołał wreszcie ze zdziwieniem Aljosza.

— Po pierwsze, ja sam, własnym rozumem mogę to rozumieć, a po drugie, niechże pan wie, że to wszystko, co mówiłem, opowiadał w trzeciej klasie profesor Kołbasnikow...

— Doktór przyjechał! — zawołała naraz Nina, która dotychczas nie odzywała się wcale.

Istotnie przed bramą stanęła kareta pani Chochłakow. Sztabs-kapitan, który od samego rana wypatrywał doktora, rzucił się nieprzytomnie na jego spotkanie. „Mamuśka" napuszyła się i poprawiła na fotelu. Aljosza podszedł do chorego i zaczął mu poprawiać poduszkę. Ninoczka z niepokojem śledziła jego ruchy. Chłopcy zaś zaczęli się śpiesznie żegnać, niektórzy przyrzekli wrócić wieczorem. Kola gwizdnął na Podzwona, który natychmiast zeskoczył z łóżka.

— Nie odchodzę, nie odchodzę! — pokwapił się zapewnić Kola. — Poczekam w korytarzu i wrócę, jak tylko doktór wyjdzie; wrócę z Podzwonem.

A doktór już wchodził — nadęta postać w niedźwiedziej szubie, z długiemi ciemnemi baczkami i błyszczącym wygolonym podbródkiem. Przestąpiwszy próg, stanął jakgdyby zaskoczony: wydało mu się, że trafił niewłaściwie. „Cóżto? Gdzie jestem?" — mruknął, nie zdejmując z siebie futra, ani czapki futrzanej z daszkiem. Ciasnota, ubogi wygląd izby, bielizna rozwieszona na sznurach, wszystko to zbiło go z tropu. Sztabs-kapitan zgiął się przed nim do samej ziemi.

— Wielmożny pan doktór jest tu — bełkotał z uniżoną miną — wielmożny pan doktór jest tu, u mnie, do mnie właśnie...

— Snie-gi-row? — zapytał opryskliwie i głośno lekarz. — Pan Sniegirow — to pan?

— To ja!

— A!

Jeszcze raz z obrzydzeniem obejrzał pokój i zrzucił z siebie futro. Błysnął poważny order zawieszony na szyi. Sztabs-kapitan podchwycił szubę; doktór zdjął czapkę.

— Gdzie pacjent? — zapytał głośno z partesu.

VI.

Wczesny rozwój.

— Jak pan myśli, co orzeknie doktór? — pytał Kola. — Jakażto jednak wstrętna morda, prawda? Nie znoszę medycyny!

— Iljusza nie będzie żył. Zdaje się, że to pewne — odpowiedział ze smutkiem Aljosza.

— Łajdacy! Łajdactwo ta cała medycyna! Rad jestem jednak, że poznałem pana, Karamazow. Dawno już chciałem pana poznać. Szkoda tylko, że spotkaliśmy się tak smutnie...

Kola pragnął to powiedzieć goręcej, ekspansywniej, ale coś go powstrzymywało. Aljosza zauważył to, uśmiechnął się i uścisnął mu dłoń.

— Oddawna szanuję pana jako wyjątkową osobistość — wybełkotał Kola, plącząc się i tracąc wątek. — Słyszałem, że pan jest mistykiem i mieszkał w klasztorze. Wiem, że pan jest mistyk... ale to mnie nie zatrzymało. Obcowanie z rzeczywistością wyleczy pana... Z takiemi jak pan naturami zawsze tak bywa.

— Co pan nazywa mistycyzmem? Z czego wyleczyć? — dziwił się Aljosza.

— Ano Bóg i tam dalej.

— Jakto, a czy pan nie wierzy w Boga?

— Wręcz przeciwnie, nic nie mam przeciw Bogu. Oczywiście Bóg jest tylko hipotezą... ale... przyznaję, że On jest potrzebny, dla porządku... dla porządku we wszechświecie... i gdyby Go nie było, to należałoby Go wymyślić — dodał Kola, zaczynając się rumienić.

Wydało mi się naraz, że Aljosza pomyśli, iż chce on popisać się swoją wiedzą i pokazać, jaki z niego „dorosły" człowiek. „A ja wcale nie chcę popisywać się swoją wiedzą" — pomyślał ze złością Kola. I naraz poczuł się bardzo nieswojo.

— Ja, przyznaję się, nie cierpię tych wszystkich dysput. Wszak można kochać ludzkość, nie wierząc w Boga, jak pan myśli ? Wolter przecie nie wierzył w Boga, a kochał ludzkość! (Znowu! znowu! — pomyślał.)

— Wolter wierzył w Boga, ale, zdaje się, niebardzo, nie, niebardzo też kochał ludzkość — cicho, poważnie i naturalnie odpowiedział Aljosza, jakby zwracając się do rówieśnika albo nawet do starszego od siebie.

Kolę szczególnie uderzyła ta niepewność, z jaką Aljosza wyraził się o Wolterze, i ten ton, który mógł nasuwać

przypuszczenie, że Aljosza daje właśnie jemu, Koli, tę wątpliwość do rozstrzygnięcia.

— A czy pan czytał Woltera? — zapytał Aljosza.

— Nie, nie powiem, żem czytał... Zresztą Kandyda czytałem w przekładzie... w starym, szkaradnym przekładzie, bardzo śmiesznym.... (Znowu, znowu!).

— I zrozumiał pan?

— O tak, wszystko... to znaczy... dlaczego pan myśli, że mogłem nie rozumieć? Oczywiście, wiele tam świństw... Ja, rozumie się, potrafię zrozumieć, że to jest powieść filozoficzna i napisana poto, aby, aby przeprowadzić ideę... — I Kola znowu stracił wątek. — Jestem socjalistą, Karamazow, jestem niepoprawnym socjalistą — wypalił nagle ni w pięć ni w dziewięć.

— Socjalista? —roześmiał się Aljosza. — I kiedy pan zdążył? Wszak ma pan dopiero trzynaście lat, zdaje się?

Kola oburzył się.

— Po pierwsze, nie trzynaście a czternaście, za dwa tygodnie czternaście, a po drugie, zupełnie nie rozumiem, co z tem mają wspólnego moje lata? Chodzi o przekonanie a nie o lata, jak pan myśli?

— Kiedy pan będzie miał więcej lat, to sam pan zobaczy, jaki jest wpływ wieku na przekonania. Zdawało mi się również, że pan nie swoje zdanie wyraził — skromnie i spokojnie odpowiedział Aljosza, ale Kola przerwał mu żarliwie:

— Wybaczy pan, pan wymaga posłuszeństwa i mistycyzmu. Niechże się pan zgodzi, że chrześcijaństwo naprzykład potrzebne było bogatym i możnym, aby utrzymać w niewoli niższe klasy, prawda?

— Ach, wiem, gdzie pan to wszystko przeczytał, ktoś pana napewno nauczył! — zawołał Aljosza.

— Ależ panie, czyż koniecznie musiałem przeczytać? I nikt mnie absolutnie niczego nie nauczył. Ja sam potrafię... I jeżeli pan chce wiedzieć, nie jestem przeciwny Chrystusowi. Była to nader humanitarna osobistość i gdyby on żył w naszych czasach, przystąpiłby niewątpliwie do

rewolucjonistów i może odgrywałby poważną rolę... To nie ulega wątpliwości.

— Ale gdzie pan się tego nauczył? Z jakim durniem się pan zadaje? — zawołał Aljosza.

— Ale wybaczy pan, prawdy nie utai pan pod korcem. Ma się rozumieć w pewnej sprawie spotykam się i często rozmawiam z Rakitinym, ale... To jeszcze, powiadają, stary Bieliński mówił.

— Bieliński? Nie pamiętam. Nigdzie tego nie napisał.

— Jeżeli nie napisał, to, powiadają, mówił. Słyszałem to od jednego... zresztą pal sześć...

— A Bielińskiego pan czytał?

— Widzi pan... nie... nie czytałem ale przeczytałem o Tacjanie, dlaczego nie poszła z Onieginym.

— Jakto nie poszła z Onieginym? Czyżby pan i to już... rozumiał?

— Ależ panie, zdaje się, że pan mnie bierze za małego Smurowa — rozzłościł się Kola. — Zresztą, niech pan nie myśli, że jestem już takim rewolucjonistą. Bardzo często nie godzę się z Rakitynym. Że mówię o Tacjanie, to z tego jeszcze nie wynika, abym był zwolenikiem emancypancji kobiet. Przyznać muszę ,że kobieta jest istotą niższego gatunku i powinna słuchać się mężczyzny. Les femmes tricottent, jak powiedział Napoleon — uśmiechnął się naraz. — W każdym razie pod tym względem podzielam zdanie tego pseudo-wielkiego człowieka. Uważam, że ucieczka z kraju do Ameryki jest podłością, gorzej niż podłością — bo głupstwem. Poco do Ameryki, kiedy i u nas można działać pożytecznie dla ludzkości? Zwłaszcza teraz. Ogromne pole do twórczej działalności. Tak mu odpowiedziałem.

— Jakto odpowiedział pan? Komu? Ktoś pana już namawiał do ucieczki do Ameryki?

— Przyznam się, że tak, ale nie zgodziłem się. O czywiście, niech to zostanie między nami, Karamazow, słyszy pan, nikomu ani słowa. Ja to tylko panu. Nie chciał-

bym wpaść w łapy ochrany i uczyć się w gmachu nad mostem Łańcuchowym.

Popamiętasz ty gmach ów
nad mostem Łańcuchowym.

Pamięta pan? Wspaniałe! czego się pan śmieje? Czy może pan myśli, że blaguję? (A co, jeżeli się dowie, że w ojcowskiej bibljotece jest całkiem tylko ten jeden numer „Dzwonu", i że nic więcej nie przeczytałem? — przelotnie pomyślał Kola).

— Och nie, nie śmieję się i wcale nie myślę, że pan nablagował. Właśnie o to chodzi, że wcale tak nie myślę, że to wszystko jest niestety prawdą! No, a niech pan powie, czy czytał pan Puszkina, Oniegina... Ot, mówił pan o Tacjanie?

— Nie, nie czytałem ale chcę przeczytać. Nie mam żadnych przesądów, Karamazow. Chcę wysłuchać i tę i drugą stronę. Dlaczego się pan pyta?

— Tak sobie.

— Niech mi pan powie, Karamazow, pan bardzo mną gardzi? — zapytał naraz Kola i stanął przed Aljoszą, jak na baczność. — Niechże pan mówi szczerze, bez ogródki.

— Pogardzam panem? — zdziwił się Aljosza. — Ale za co? Przykro mi tylko, że tak zachwycająca natura, jak pan, w zaraniu życia została wypaczona przez te liche bzdury.

— O moją naturę niech się pan nie kłopocze — przerwał mu Kola nie bez chełpliwości — ale faktem jest, że jestem podejrzliwy. Głupio podejrzliwy. Grubo podejrzliwy. Pan się uśmiechnął, a mnie się zdawało, że pan się uśmiechnął, no i zdawało mi się, że pan jakgdyby...

— Ach, uśmiechnąłem się z czego innego. Widzi pan, uśmiechnąłem się z tego: niedawno przeczytałem opinję pewnego Niemca, który mieszkał w Rosji, o naszej dzisiejszej młodzieży szkolnej: „Pokażcie — pisze — rosyjskiemu sztubakowi mapę nieba, o której dotychczas nie miał pojęcia, a zwróci wam ją jutro poprawioną" — kompletna ignorancja i nieodpowiedzialna pewność siebie — oto co mniema Niemiec o rosyjskiej młodzieży.

— Ach, przecież to istotnie trafne! — roześmiał się Kola — trafnissimo! Brawo Niemiec! Ale szwabisko nie zauważyło dobrej strony, a jak pan myśli? Pewność siebie — no tak, to rzecz wieku, zmieni się, o ile tylko powinno się zmienić, ale i zato niezależność ducha, niemal od powijaków, zato odwaga myśli i przekonań, a nie ich serdelkowa prostracja przed autorytetami... Ale dobrze to powiedział! Brawo Niemiec! Chociaż Niemców należy gnębić. Chociaż mocni są w nauce, gnębić ich trzeba...

— Za co gnębić? — uśmiechnął się Aljosza.

— No, zapędziłem się, zgoda. Chwilami jestem strasznie dziecinny, i kiedy się cieszę z czegoś, to już zrywam wszelkie tamy i gotów jestem bujać ile wlezie. Ale my tu rozprawiamy o różnych bzdurach, a tymczasem doktór jakoś tam ugrzązł. Zresztą może tam bada i „mamuśkę" i Ninoczkę. Wie pan, Ninoczka bardzo mi się podobała. Kiedy wychodziłem, nagle mnie zapytała: „Dlaczego pan nie przyszedł wcześniej?". I takim głosem, z wyrzutem! Zdaje się, że jest bardzo dobra i nieszczęśliwa.

— Tak, tak! Jak pan częściej będzie przychodził, to przekona się pan, co to za stworzenie. Przyda się panu poznawać takich właśnie ludzi, aby ocenić wiele rzeczy, których można się nauczyć w obcowaniu z tymi ludźmi — odpowiedział z zapałem Aljosza. — To właśnie najskuteczniej pana przerobi.

— O jak bardzo żałuję i jak zły jestem na siebie, żem nie przyszedł tu wcześniej — zawołał z goryczą Kola.

— Tak, szkoda wielka. Pan sam widział, jak ucieszył pan to biedne maleństwo. I jak on się męczył, że pan nie przychodzi!

— Niech mi pan o tem nie mówi! Pan mi serce rani. A zresztą dobrze mi tak: z egoizmu nie przychodziłem, z egoistycznej pychy i podłej czupurności, z których całe życie nie mogę się wyleczyć, chociaż całe życie pracuję nad sobą. Widzę to teraz wyraźnie, pod wielu względami jestem podły, Karamazow.

— Nie, pan jest zachwycającą naturą, ale wypaczoną, i rozumiem doskonale, dlaczego pan miał taki wpływ

na tego szlachetnego i chorobliwie wrażliwego chłopca! — odrzekł z zapałem Aljosza.

— I to pan mnie mówi! — zawołał Kola—a ja, niech pan sobie wyobrazi, ja myślałem — już kilka razy myślałem, że pan mną gardzi! Gdyby pan wiedział, jak cenię zdanie pana!

— Ale czy istotnie jest pan tak podejrzliwy? W tym wieku! No, niechże pan sobie wyobrazi, właśnie pomyślałem tam, w pokoju, patrząc na pana, kiedy pan opowiadał, — że pewnie jesteś bardzo podejrzliwy.

— Więc pan pomyślał? Jakie jednak oko, widzi pan, widzi pan! Idę o zakład, że to było wówczas, kiedy opowiadałem o gęsi. Właśnie w tym momencie wydało mi się, że pan mną głęboko gardzi zato, że chcę się tak postawić, i wie pan, znienawidziłem pana nawet zato i zacząłem wygadywać brednie. Potem znowu wydało mi się (to już tu) kiedy powiedziałem: „Jeżeli niema Boga, to należałoby go wymyślić", że zbyt skwapliwie wyjeżdżam na harc ze swojem wykształceniem, tem bardziej, że przeczytałem to zdanie w książce. Ale przysięgam panu, chciałem się popisać nie z próżności, ale tak, nie wiem dlaczego, z radości, jak Boga kocham, jakgdyby z radości... chociaż to bardzo haniebny rys, gdy człowiek z radości rzuca się wszystkim na szyję. To wiem napewno. Ale zato przekonany jestem teraz, że pan mną nie pogardza, a to wszystko to ja sam sobie ubrdałem. O Karamazow, jestem głęboko nieszczęśliwy. Roję sobie czasem Bóg wie co, że niby wszyscy się ze mnie śmieją, cały świat, i w takich chwilach poprostu gotów jestem zburzyć cały porządek rzeczy.

— I dręczy pan otoczenie — uśmiechnął się Aljosza.

— I dręczę otoczenie, zwłaszcza matkę. Karamazow, powiedz pan, bardzo jestem teraz śmieszny?

— Niechże pan o tem nie myśli, niech pan o tem wcale nie myśli! — zawołał Aljosza. — I co znaczy śmieszny? Cóż z tego, ileż to razy bywasz albo wydajesz się śmiesznym? A teraz prawie wszyscy zdolni ludzie strasznie się boją śmieszności i wskutek tego są nieszczęśliwi. Dziwi

mnie tylko, że pan tak wcześnie zaczął to odczuwać, chociaż coprawda zauważyłem, że nietylko pan. Teraz to niemal dzieci nawet zaczęły już na to cierpieć. To już prawie obłęd. W to samolubstwo wcielił się sam djabeł: opętał całe pokolenie, właśnie djabeł — dodał Aljosza, wcale się nie uśmiechając, jak się wydało uporczywie patrzącemu nań Koli. — Pan jest jak i wszyscy — skończył Aljosza — to znaczy jak wielu innych ludzi, ale właśnie nie trzeba być takim, jak inni.

— Nawet mimo, że wszyscy są tacy?

— Tak, mimo to, że wszyscy są tacy. Niechże pan jeden nie będzie taki. Pan i w rzeczy samej nie jest taki jak wszyscy: teraz naprzykład nie wstydził się pan przyznać do złych, a nawet do śmiesznych cech. Zaś obecnie kto się odważy przyznać? Nikt, i nawet nie odczuwa się już potrzeby samopotępienia. Niechże pan będzie nie taki jak wszyscy: choćby nawet był pan pod tym względem odosobniony.

— Znakomicie! Nie zawiodłem się na panu. Pan naprawdę potrafi pocieszyć człowieka. O, jak ja dążyłem do pana, Karamazow, jak dawno już szukam spotkania z panem! Czyżby pan i o mnie też myślał? Przedtem mówił pan, że pan o mnie myślał?

— Tak, słyszałem o panu i myślałem też... i jeżeli teraz zapytał pan o to z samolubstwa, to i to nie szkodzi.

— Wie pan, Karamazow, nasza rozmowa przypomina trochę wyznanie miłosne — odezwał się Kola jakimś omdlałym i wstydliwym głosikiem. — Czy to nie śmieszne, nie śmieszne?

— Wcale nie śmieszne, a nawet jeżeli śmieszne, to też nie szkodzi, ponieważ jest dobre — uśmiechnął się pogodnie Aljosza.

— A wie pan, Karamazow, niechże pan przyzna, że i pan się teraz trochę wstydzi. Poznaję to po oczach — chytrze i ze szczęśliwą radością uśmiechnął się Kola.

— Czego się wstydzę?

— A dlaczego pan się zarumienił?

— To przez pana się rumienię! — roześmiał się Aljo-

sza i rzeczywiście oblał się rumieńcem. — No tak, trochę się wstydzę, Bóg wie czemu, nie wiem czemu... — wybąknął nawet nieco zmieszany.

— O, jak ja pana kocham i cenię w tej chwili, właśnie dlatego, że i pan się teraz czegoś wstydzi! Bo i pan jest jak ja! — krzyknął w zachwycie Kola.

Policzki mu pałały, oczy błyszczały.

— Proszę posłuchać, Kola, będzie pan między innemi bardzo też nieszczęśliwym człowiekiem w życiu — rzekł nagle niewiadomo czemu Aljosza.

— Wiem, wiem. Jakto pan wszystko wie zgóry! — potwierdził skwapliwie Kola.

— Ale w całości jednak będzie pan błogosławił życie.

— Właśnie! Hurra! Pan jest prorokiem! O, my się zbliżymy do siebie, Karamazow. Wie pan, najbardziej mnie zachwyca, że pan ze mną zupełnie jak z równym sobie. A my nie jesteśmy sobie równi, bynajmniej, pan stoi wyżej! Ale zbliżmy się do siebie. Wie pan, przez cały ostatni miesiąc wciąż sobie mówiłem: „albo odrazu zaprzyjaźnimy się na wieki, albo odrazu rozstaniemy się jako wrogowie do deski grobowej!".

— I, mówiąc tak, kochał mnie już pan! — roześmiał się wesoło Aljosza.

— Kochałem, kochałem strasznie, kochałem i marzyłem o panu! I skąd pan wie o tem wszystkiem! Ba, oto i doktór. Boże Wielki, co on powie, niech pan popatrzy, jaka twarz!

VII.

Iljusza.

Doktór wyszedł z izby opatulony szubą, z czapką na głowie. Minę miał gniewną i opryskliwą, jakgdyby bał się tu o co zapaskudzić. Przelotnie zerknął na ściany i przy tej okazji surowo spojrzał na Aljoszę i Kolę. Aljosza dał znak woźnicy, i kareta, którą doktór przybył, podjechała do ganku. Sztabs-kapitan porywczo wybiegł z mieszkania

za lekarzem i zgięty w ukłonie, jakgdyby przepraszając, zatrzymał go, aby usłyszeć ostatni werdykt. Mina jego była przygnębiona, spojrzenie wystraszone:

— Ekscelencjo, ekscelencjo... czyżby?... — zaczął i nie dokończył, załamał ręce rozpaczliwie, nie spuszczając zresztą błagalnego wzroku z lekarza, jakgdyby od słów jego zawisło życie biednego chłopca.

— Cóż robić! Nie jestem Bogiem — niedbałym, chociaż autorytatywnym z przyzwyczajenia tonem odezwał się lekarz.

— Panie konsyljarzu... Ekscelencjo... i czy prędko to, prędko?

— Niech pan będzie na wszystko przy-go-to-wa-ny — wycedził lekarz, akcentując każdą zgłoskę i z opuszczonemi oczyma skierował się ku wyjściu.

— Ekscelencjo, na miłość Boską! — zatrzymał go jeszcze raz przestraszony sztabs-kapitan. — Ekscelencjo!... więc nic, czyż naprawdę nic, nic absolutnie go teraz nie uratuje?...

— Nie ode mnie teraz za-le-ży — odrzekł zniecierpliwiony lekarz — a jednak, hm, — zatrzymał się nagle — gdyby pan naprzykład mógł... wysłać... swego pacjenta... natychmiast, nie zwlekając (ostatnie słowa wypowiedział już nawet nie surowym, lecz gniewnym tonem, że aż sztabs-kapitan drgnął cały) do Syrakuz to... przy nowych sprzyjających warunkach klimatycznych... możeby mogło na-stą-pić...

— Do Syrakuz! — krzyknął sztabs-kapitan, jakgdyby jeszcze nic nie rozumiał.

— Syrakuzy to w Sycylji — wtrącił nagle Kola.

Doktór popatrzał na niego z ukosa.

— Na Sycylję! Ojcze, ekscelencjo — zmieszał się całkiem sztabs-kapitan. — Widział pan sam przecież! — zakreślił koło rękoma, pokazując na otoczenie — a mateczka, a rodzina?

— Nie, rodzinę nie na Sycylję, rodzinę na Kaukaz, wczesną wiosną... córkę na Kaukaz, a małżonkę... brać kąpiele też na Kau-ka-zie, wyleczyć reumatyzm... a za-

raz potem wysłać do Paryża, do sanatorjum doktora psychjatry Lepellier, mógłbym dać do niego list polecający, i wówczas... może nastąpiłaby...

— Panie konsyljarzu! Panie konsyljarzu! Przecie pan sam widzi — znowu zagestykulował sztabs-kapitan, wskazując w rozpaczy na nagie z desek sklecone ściany w sieni.

— A to już nie moja rzecz — uśmiechnął się lekarz — ja tylko powiedziałem, co mogła powiedzieć na-u-ka na zapytanie pana o ostatecznych środkach, a reszta... ku mojemu ubolewaniu...

— Niech się pan nie boi, lekarzu, pies mój nie ugryzie pana — odezwał się nagłos Kola, zauważywszy, że lekarz niespokojnie ogląda się na Podzwona.

Gniewna nutka zabrzmiała w głosie Koli. *Umyślnie* tytułował go „lekarzem", chciał go obrazić, jak to potem sam wyjaśnił.

— Co ta-kie-go? — rzekł lekarz, szarpiąc głową i ze zdziwieniem patrząc na Kolę. — Czyj to? — zwrócił się naraz do Aljoszy, jakby żądając od niego meldunku.

— To właściciel Podzwona, lekarzu, niech się pan o moją osobę nie kłopocze — rąbnął znowu Kola.

— Dzwon? — przepytał lekarz, nie rozumiejąc, co znaczy Podzwon.

— A nie wie gdzie on. Żegnam, lekarzu, zobaczymy się w Syrakuzach.

— Kto to? Kto to? — znowu rozjędyczył się lekarz.

— To tutejszy uczeń, panie doktorze, to psotnik, niech pan nie zwraca uwagi — odpowiedział prędko nachmurzony Aljosza. — Kola, proszę milczeć! — zawołał Krasotkinowi. — Nie trzeba zwracać uwagi, panie doktorze — powtórzył już nieco niecierpliwie.

— O-bić, o-bić, trzeba o-bić! — i ostatecznie rozwścieczony lekarz tupnął nogami.

— A wie pan, lekarzu, że Podzwon mój to naprawdę gryzie! — zawołał Kola drżącym głosem; zbladł i błysnął oczyma. — Ici Podzwon!

— Kola, jeżeli usłyszę jeszcze jedno słówko, to zerwę z wami na wieki! — krzyknął rozkazująco Aljosza.

— Lekarzu, istnieje tylko jedna istota na świecie całym, która może rozkazywać Mikołajowi Krasotkinowi, to właśnie ten człowiek (Kola wskazał na Aljoszę). Jego się słucham, żegnam!

Szarpnął się nagle i, otworzywszy drzwi, wbiegł do pokoju. Podzwon rzucił się za nim. Lekarz postał jeszcze pięć sekund jak osłupiały, patrząc na Aljoszę, potem nagle splunął i szybko podszedł do karety, powtarzając na głos: „To, to, to djabli wiedzą, co to takiego!". Sztabs-kapitan podbiegł, aby mu pomóc wsiąść. Aljosza wszedł do mieszkania. Kola stał przy łóżku Iljuszy. Ten trzymał go za rękę i wołał ojca. Po chwili wrócił i sztabs-kapitan.

— Tatusiu, tatusiu, chodź tu... ny... — wyszeptał Iljusza niezwykle wzburzony, ale widać nie mógł dokończyć. Nagle wyrzucił przed siebie obie ręce i mocno, jak tylko mógł najmocniej, objął Kolę i ojca, połączył ich w uścisku i sam się do nich przycisnął.

Sztabs-kapitan naraz zatrząsł się od bezgłośnych łkań, Koli zadrżały wargi i broda.

— Tatusiu, tatusiu! Jak mi żal ciebie, tatusiu! — wyjęczał gorzko Iljusza.

— Iljuszeczka... kochanie... doktór powiedział... będziesz zdrów... będziemy szczęśliwi... doktór.., — odezwał się sztabs-kapitan.

— Ach, tatusiu! Wiem przecież, co ci ten nowy doktór o mnie powiedział... Widziałem przecież! — zawołał Iljusza i znowu mocno, z całej siły przycisnął ich do siebie.

— Tatusiu, nie płacz... a jak ja umrę, to weź dobrego chłopczyka, drugiego... sam go wybierzesz z pomiędzy nich, dobrego, nazwij go Iljuszą i kochaj go zamiast mnie...

— Milcz, stary, wyzdrowiejesz! — jakgdyby gniewnie krzyknął Krasotkin.

— A mnie, tatusiu, nigdy nie zapominaj — kontynuował Iljusza — przychodź do mnie na grób... a wiesz co, tatusiu, połóż mnie pod naszym wielkim kamieniem, gdzieśmy chodzili na spacery i przychodź tam do mnie z Krasot-

kinym, wieczorami... I Podzwon... A ja będę na was czekał... Tatusiu, tatusiu!

Głos mu się urwał, wszyscy trzej trzymali się w objęciu i milczeli. Cicho płakała Ninoczka, i naraz, widząc, że wszyscy płaczą, zalała się łzami mamuśka.

— Iljuszeczka! Iljuszeczka! — krzyknęła.

Krasotkin uwolnił się z objęć Iljuszeczki.

— Żegnaj stary, matka na mnie czeka z obiadem. Jaka szkoda, że jej nie uprzedziłem! Będzie bardzo niespokojna... Ale po obiedzie wrócę do ciebie, na cały dzień, na cały wieczór, i tyle ci opowiem, tyle ci opowiem. I Podzwona sprowadzę, a teraz wezmę go ze sobą, bo beze mnie będzie tu wył i przeszkadzał; do zobaczenia!

I wybiegł do sieni. Chciał powstrzymać łzy, ale w sieni gorzko się rozpłakał. W tym stanie znalazł go Aljosza.

— Kola, powinien pan bezwarunkowo dotrzymać słowa i przyjść, bo Iljusza będzie bardzo zmartwiony — rzekł Aljosza.

— Bezwarunkowo! O, jakże się przeklinam, że nie przyszedłem wcześniej — płacząc i już nie wstydząc się tego, zawołał Kola.

W tej chwili nagle z pokoju wybiegł sztabs-kapitan i skrzętnie zamknął za sobą drzwi. Minę miał nieprzytomną, wargi mu drżały. Stanął przed nimi i wyrzucił obie ręce do góry:

— Nie chcę dobrego chłopczyka! Nie chcę innego chłopczyka! — wyszepnął dzikim głosem, zgrzytając zębami — jeśli cię zapomnę, Jeruzalem, niechaj przyschnie...

Nie skończył, zachłysnął się i opadł na kolana przed drewnianą ławą. Ścisnąwszy głowę pięściami, począł łkać jakoś dziwnie piskliwie. Widać było, że ze wszystkich sił hamuje się, aby nie słyszano jego łkań w izbie. Kola wybiegł na ulicę.

— Żegnajcie, Karamazow! A sam pan przyjdzie? — zawołał szorstko i gniewnie do Aljoszy.

— Wieczorem napewno będę.

— Co on o Jeruzalem... Co to jest?

— To z Biblji: „Jeśli cię zapomnę, Jeruzalem" — to znaczy, jeżeli zapomnę tego, co mam najdroższego, jeśli zamienię to na co innego, to...

— Rozumiem, wystarczy! Niechże pan przyjdzie! Ici Podzwon! — wściekle zawołał na psa i dużemi krokami pospieszył do domu.

KSIĘGA JEDENASTA.

BRAT IWAN FEDOROWICZ.

I.

U Gruszeńki.

Aljosza poszedł w kierunku domu Morozowowej przy placu Srebrnym, do mieszkania Gruszeńki, która rano zaprosiła go do siebie przez Fenię. Służąca, ledwo wszedł, oznajmiła mu, że pani jest od wczoraj jakoś szczególnie zdenerwowana i niespokojna. W ciągu tych dwóch tygodni Aljosza często bywał u Gruszeńki z własnego popędu albo z polecenia brata. W trzy dni po jego uwięzieniu Gruszeńka zachorowała obłożnie i przeleżała niespełna pięć tygodni. Tydzień cały była zupełnie nieprzytomna. Bardzo się zmieniła na twarzy, schudła i pożółkła, chociaż już prawie od dwóch tygodni wolno jej było wychodzić. Ale według Aljoszy twarz jej nawet stała się powabniejsza; wchodząc do niej lubił spotykać jej spojrzenie. Coś się w niem utwierdziło, jakiś twardy i świadomy wyraz. Czuło się, że dokonał się w niej poważny przewrót duchowy, że wyrobiła w sobie jakąś niezmienną, pokorną, ale pomyślną i bezpowrotną stanowczość. Między brwiami na czole pojawiła się niewielka pionowa zmarszczka, która nadawała

miłym licom wyraz skupionej zadumy, na pierwszy rzut oka jakgdyby nawet surowej. Po dawnej naprzykład trzpiotowatości śladu nie zostało. Dziwiło zaś Aljoszę, że mimo nieszczęście, które spadło na biedną kobietę, narzeczoną człowieka, oskarżonego o tak straszną zbrodnię, uwięzionego w chwili, gdy została jego narzeczoną, że mimo to, mimo chorobę i nieunikniony i niezawodnie surowy wyrok sądu, Gruszeńka nie straciła swej młodej wesołości. W hardych przedtem oczach zalśniła teraz jakaś cichość, chociaż... chociaż zresztą oczy te niekiedy pałały jakimś złowieszczym ogniem, mianowicie w chwilach, gdy nawiedzała ją pewna dawna już troska, która nietylko nie znikła, ale nawet się pogłębiła. Przedmiot tej troski był wciąż ten sam: Katarzyna Iwanowna, o której bredziła nawet w gorączce. Aljosza rozumiał, że Gruszeńka jest strasznie zazdrosna o Mitię, o aresztanta Mitię, jakkolwiek Katarzyna Iwanowna ani razu nie odwiedziła go w więzieniu, — a nic przecie nie stało temu na przeszkodzie. Aljosza myślał o tem wszystkiem jako o trudnem zadaniu, bo Gruszeńka tylko jemu zwierzała się i często zasięgała jego rad; on zaś czasem nie umiał jej nic powiedzieć.

Bardzo zatroskany wszedł do mieszkania. Była już w domu; pół godziny temu wróciła od Miti. Zerwała się tak porywczo na jego widok, że zrozumiał, iż wypatrywała go z niecierpliwością. Na stole, przy którym siedziała, leżały karty. Skórzana kanapa po drugiej stronie stołu była posłana. Leżał na niej Maksymow, w szlafroku z papierowym kołpakiem na głowie. Był widocznie chory i bardzo osłabiony, ale uśmiechał się słodko. Bezdomny staruszek jak wrócił wówczas, dwa miesiące temu z Gruszeńką z Mokrej, tak już został u niej i przy niej nieodstępnie. Stało się to tak, że zaraz po przyjeździe, przemoczony plutą i strwożony, usiadł nieśmiało na kanapie i, nic nie mówiąc, wlepił w nią błagalnie uśmiechnięte spojrzenie. Gruszeńka straszliwie zrozpaczona, czując zresztą zbliżającą się chorobę, zrazu o nim zapomniała. Ale pół godziny potem nagle jakoś przyjrzała mu się uważnie: zachichotał jej w twarz nieśmiało i prosząco. Zawołała Fenię i kazała dać mu po-

siłek. Cały ten dzień przesiedział kamieniem na tem samem miejscu; skoro się ściemniło, Fenia, zamknąwszy okiennice, zapytała swą panią:

— Ten pan zostanie na noc?

— Tak, pościel mu na kanapie—odrzekła Gruszeńka,

Wziąwszy go na spytki, dowiedziała się, że istotnie nie ma się gdzie teraz podziać, i że „pan Kałganow, dobroczyńca mój, wręcz mi oświadczył, że nie będzie mnie trzymał dłużej, i podarował mi pięć rubli". — „No Bóg z tobą, zostań tu już" — zdecydowała Gruszeńka i uśmiechnęła się ze współczuciem. Staruszka uśmiech jej rozstroił, wargi mu zadrżały z wdzięcznego płaczu. Tak więc dotychczas pozostał u niej ten wędrujący rezydent. Nawet gdy leżała chora, trwał na posterunku. Fenia i matka jej, kucharka Gruszeńki, nie przepędziły go, zaopiekowały się nim nawet, dawały mu regularnie jeść i słały mu na kanapie. Potem Gruszeńka przyzwyczaiła się do niego i gdy wracała od Miti (którego zaczęła odwiedzać, nim jeszcze zupełnie wyzdrowiała), aby rozproszyć smutek, siadała z Maksymuszką" i wszczynała z nim rozmowę o różnych głupstwach, byle tylko nie myśleć o swojem strapieniu. Okazało się, że staruszek potrafił czasem wcale niezgorzej opowiadać, to też wkońcu nie mogła się bez niego obejść. Oprócz Aljoszy, który nie codziennie przychodził i niedługo bawił, nie przyjmowała prawie nikogo. Zaś „kupiec" jej leżał w tym czasie ciężko chory, „dogorywał", jak mówiono w mieście, i rzeczywiście umarł tydzień po sprawie sądowej Miti. Trzy tygodnie przed śmiercią, czując rychły koniec, zawezwał do siebie na górę synów z ich żonami i dziećmi, kazał im siedzieć przy sobie i nie odchodzić. Co się tyczy Gruszeńki, to kazał jej odtąd żadną miarą nie wpuszczać lecz powiedzieć, gdy przyjdzie: „Kazał, aby pani długo w radości żyła i o nim całkiem zapomniała". Gruszeńka jednak dowiadywała się codziennie przez służącą o stanie jego zdrowia.

— Nareszcie przyszedł! — krzyknęła, rzucając karty, i przywitała się radośnie z Aljoszą. — Maksymuszka już

mnie straszył, że nie przyjdziesz. Ach, jakże mi jesteś potrzebny! Siadaj do stołu; ano, czego chcesz, kawy?

— Chętnie — odrzekł Aljosza, siadając — jestem bardzo głodny.

— Ano właśnie; Fenia, Fenia, kawy! — krzyknęła Gruszeńka — już dawno kipi, czeka na ciebie, no i pierożków przynieś, tylko że gorących! Nie, poczekaj, Aljoszka, z temi pierożkami miałam dziś przeprawę. Zaniosłam mu do więzienia, a on, uwierzysz, rzucił mi zpowrotem, no i nie zjadł. Jeden pierog to nawet na podłogę cisnął i podeptał. Powiedziałam: „zostawię u dozorcy; jak nie zjesz do wieczora, to znaczy, że się złością jadowitą sycisz!" I poszłam. Znowuśmy się pokłócili. Co przyjdę do niego, to się kłócimy.

Wypowiedziała to jednym tchem, ogromnie podniecona. Maksymow struchlał, uśmiechnął się i spuścił oczki.

— Tym razem zacoście się pokłócili? — zapytał Aljosza.

— Któżby się spodziewał! Wyobraź sobie, o „dawnego" zazdrosny. „Poco go, powiada, utrzymujesz. Wzięłaś go więc na utrzymanie?" Wciąż zazdrosny! I śpi i je— zazdrosny. Nawet o Kuzmę w zeszłym tygodniu urządził mi scenę zazdrości.

— Ale przecież wiedział o „dawnym"?

— Ano tłumacz mu. Od samego początku wiedział, a dziś nagle się obruszył i zaczął wymyślać. Wstyd powtarzać co mówił. Głupiec! Rakitka przyszedł, kiedy ja wychodziłam. Może go Rakitka podjudza, co? Jak myślisz? — dodała z roztargnioną miną.

— Kocha cię, to wszystko, bardzo cię kocha. A teraz jest przytem rozdrażniony.

— Miałby nie być rozdrażniony, kiedy jutro sąd. I potom poszła, aby mu powiedzieć o jutrzejszej rozprawie moje słówko, bo widzisz, on rozdrażniony, a ja, a ja czy jestem mniej rozdrażniona. A on o Polaczku! Głupiec! Tylko o Maksymuszkę nie jest zazdrosny.

— Moja podwika też była bardzo zazdrosna — wtrącił Maksymow.

— Także — roześmiała się mimochąc Gruszeńka — o kogo mogła być zazdrosna?

— O pokojówki nasze.

— E, milcz, Maksymuszka, nie jestem teraz usposobiona do śmiechu, pasja mnie porywa. Nie wyłupiaj gałów na pierożki, nie dostaniesz, szkodzą ci, i balsamu też nie dam. Mam też z nim kłopot; co to u mnie przytułek, dom starców — zakończyła ze śmiechem.

— Nie wart jestem dobroczynności pani, nędzny śmieć jestem — odpowiedział łzawym głosem Maksymow. — Lepiejby pani zaopiekowała się kim potrzebniejszym ode mnie.

— Ech, każdy jest potrzebny, Maksymuszka, i czy można wiedzieć, który potrzebniejszy od kogo. Bodajbym nie znała tego Polaka, Aljosza, i jemu się zachciało zachorować. Byłam i u niego. Specjalnie mu poślę pierogi, nie posyłałam dotychczas, a Mitia mnie posądza, że posyłam. Więc umyślnie poślę, umyślnie! Oto i Fenia z listem! Napewno znowu od Polaków, znowu proszą o pieniądze!

Pan Musiałowicz istotnie przysłał długi i jak zwykle bardzo patetyczny list, w którym prosił o pożyczenie mu trzech rubli. Do listu było odrazu załączone pokwitowanie, stwierdzające, że dług będzie zwrócony w przeciągu trzech miesięcy; zaręczał to swoim podpisem również pan Wróblewski. Moc już takich listów i pokwitowań otrzymała Gruszeńka. Zaczęło się to natychmiast po jej wyzdrowieniu, dwa tygodnie temu. Podczas choroby zaś obaj panowie przychodzili się często dowiadywać o zdrowiu. Pierwszy list był bardzo długi na większym arkuszu listowego papieru, z dużą pieczęcią herbową; styl był wyjątkowo ciemny i górnolotny, to też Gruszeńka przeczytała tylko połowę listu i nic wogóle nie zrozumiała. Zresztą gdzieżby tam mogła myśleć o listach. Ale po tym pierwszym liście nadszedł nazajutrz drugi, w którym pan Musiałowicz prosił o pożyczenie mu dwu tysięcy rubli na czas najkrótszy. Gruszeńka i na ten list nie dała odpowiedzi. Potem już nastąpił cały szereg listów, otrzymywanych regularnie każde-

go dnia, równie napuszonych i górnolotnych, ale w których żądana suma, coraz bardziej się obniżając, doszła do stu rubli, potem do dwudziestu pięciu, do dziesięciu, aż wreszcie któregoś dnia Gruszeńka otrzymała list, w którym obaj panowie prosili tylko o rubla i załączyli odrazu pokwitowanie. Wówczas Gruszeńka nagle poczuła litość i o zmierzchu sama pobiegła do „pana". Znalazła obu Polaków w strasznej biedzie, prawie w nędzy, wygłodzonych, zziębniętych, bez papierosów, zadłużonych po uszy. Dwieście rubli, wygrane w Mokrej, rychle się jakoś ulotniły. Zdziwiło jednak Gruszeńkę, że obaj panowie przyjmują ją z nadętą wyniosłością i niezależnością, według najsurowszej etykiety, z pysznemi owacjami. Gruszeńka roześmiała się w odpowiedzi i dała swemu „dawnemu" dziesięć rubli. Odrazu tego samego dnia opowiedziała o tem ze śmiechem Miti, który wtedy nie okazał żadnej zazdrości. Ale od tego czasu „panowie" przyczepili się do Gruszeńki i codziennie bombardowali ją listami z prośbą o pieniądze, które im zresztą cykała niewielkiemi sumami. A teraz nagle Mitia zrobił jej z tego powodu okrutną scenę zazdrości.

— Ja, głupia, do niego też zaszłam tylko na chwilkę po drodze do Miti, bo i on się rozchorował „pan", dawny mój — zaczęła znowu Gruszeńka — śmieję się i opowiadam Miti: wyobraź sobie, powiadam, Polak mój na gitarze zaczął mi grać dawne pieśni, myśli, że ja się rozczulę i wyjdę za niego. A Mitia jak-ci skoczył i zaklął... A właśnie że na złość poślę „panom" pierożków! Fenia, co oni, przysłali znów tę dziewczynkę? Masz, daj jej trzy ruble i z dziesięć pierożków zapakuj, każ jej zanieść, a ty, Aljosza, nie zapomnij powiedzieć Miti, że posłałam im pierożki.

— Za nic w świecie nie powiem — odparł z uśmiechem Aljosza.

— Ech, myślisz, że on się męczy; przecież umyślnie urządził mi tę scenę, bo naprawdę to jemu wszystko jedno — rzekła z goryczą Gruszeńka.

— Jakto umyślnie? — zapytał Aljosza.

— Głupiś ty, Aljoszeńka, nic tu nie rozumiesz, cho-

ciaż wszystkie rozumy zjadłeś. Wcale mnie to nie boli, że on o mnie, o taką, zazdrosny, bolałoby mnie, gdyby nie był zazdrosny... Taka już jestem. Nie obrażę się na scenę zazdrości, mam serce okrutne, sama jestem zazdrosna. Ale mnie to boli, że on mnie wcale nie kocha i teraz *naumyślnie* robi scenę, jużci. Ślepa jestem, czy co, nie widzę? On mi o tej, o Kati, ni stąd ni zowąd powiada: a taka ona, a siaka, doktora z Moskwy wezwała dla mnie, żeby mnie uratować, najlepszego, najbardziej uczonego adwokata sprowadziła. Więc chyba ją kocha, skoro mi ją w oczy zaczął chwalić, bezczelny człowiek. Sam jest przede mną winien, to się do mnie przyczepił, żeby na mnie winę zwalić: „tyś przede mną z Polakiem była, więc i mnie wolno było z Katią". Taki bezwstydny! Na mnie tylko chce winę zwalić. Specjalnie się przyczepił, specjalnie, powiadam ci, tylko że ja...

Nie powiedziała, co zrobi, zasłoniła oczy chusteczką i rozpłakała się gorzko.

— On Katarzyny Iwanownej nie kocha — rzekł stanowczo Aljosza.

— Ano, kocha czy nie kocha, sama o tem rychle się dowiem — odrzekła Gruszeńka groźnym tonem, odejmując chusteczkę od oczu.

Aljosza z goryczą zauważył, jak dobra jej, wesoła i pogodna twarz naraz stała się złą i ponurą.

— Dosyć o tych głupstwach! — zawołała nagle. — Nie potom cię wzywała, Aljosza, drogi mój, jutro, jutro, co to będzie? Oto, co mnie męczy! Tylko mnie to męczy! Patrzę na wszystkich, nikt o tem nie myśli, nikogo to absolutnie nie obchodzi. Czy ty przynajmniej o tem myślisz? Wszak jutro go sądzą! Powiedz mi, jak go będą tam sądzić? Wszak to lokaj, lokaj zabił, lokaj! Panie! Czy naprawdę osadzą go za winy lokaja, i nikt, nikt się tem nie zajmie! Nawet go wcale nie ruszali, tego lokaja, co?

— Badali go surowo — rzekł Aljosza w zamyśleniu — ale wszyscy orzekli, że to nie on. Teraz leży chory. Od tamtego czasu, co upadł, wciąż choruje. Naprawdę chory— dodał Aljosza.

— Boże, poszedłbyś sam do adwokata i opowiedział mu sprawę w cztery oczy. Wszak sprowadzono go, powiadają, z Petersburgu za trzy tysiące.

— To my troje daliśmy trzy tysiące, ja, Iwan i Katarzyna Iwanowna, a doktora z Moskwy za dwa tysiące sprowadziła ona sama. Adwokat Fetiukowicz zażądałby więcej, ale sprawa nabrała rozgłosu, piszą o niej po wszystkich gazetach i pismach, Fetiukowicz zgodził się bardziej dla reklamy. Widziałem się z nim wczoraj.

— No i co? Mówiłeś z nim? — zawołała Gruszeńka.

— Wysłuchał mnie i nic nie odpowiedział. Powiedział, że już ma na to urobione zdanie. Ale przyrzekł moje słowa wziąć pod uwagę.

— Jakto pod uwagę! Ach, matacze! Zgubią go oni! A doktora, doktora to poco sprowadziła?

— Jako eksperta. Chcą dowieść, że brat jest niepoczytalny, i że zabił w obłędzie, nie panując nad sobą — uśmiechnął się łagodnie Aljosza. — Tylko że Mitia nie zgodzi się na to.

— Ach to przecie prawda, jeśliby zabił! — wołała Gruszeńka. — Obłąkany był wtedy, całkiem obłąkany, i to z mojej podłej winy! Ale przecież nie zabił, nie zabił! I wszyscy na niego, że zabił, całe miasto. Nawet Fenia, też tak zeznała, że niby wynika z tego, że zabił. A w sklepie, a ten urzednik, a przedtem w restauracji! Wszyscy, wszyscy przeciwko niemu, wszyscy gadają.

— Tak, zebrało się moc świadków — posępnie zauważył Aljosza.

— A Grzegorz, Grzegorz Wasiljewicz upiera się wciąż, że drzwi były otwarte, twierdzi, że sam widział, nic z nim nie poradzisz, byłam u niego, mówiłam mu. A on jeszcze wymyśla.

— Tak, to może najgorsze dla Miti zeznanie — rzekł Aljosza.

— A to, że Mitia jest obłąkany, to on naprawdę teraz taki sam — rzekła nagle z zatroskaną i tajemniczą miną.— Wiesz Aljoszeczka, dawno już ci to chciałam powiedzieć:

bywam u niego codziennie i poprostu z podziwu wyjść nie mogę. Powiedz mi, jak ty myślisz: o czem on teraz może ze mną rozmawiać? Zacznie, gada, — nic nie potrafię zrozumieć, myślę sobie, mądre rzeczy wywodzi, głupia jestem, to go nie rozumiem, tak to sobie myślę. Ale zaczął on mi nagle mówić o dzieciok jakimś „dlaczego dzieciok jest nieszczęśliwy? Za dzieciok tego ja teraz na katorgę pójdę, nie zabiłem, ale powinienem iść na katorgę". Cóżto jest, co za dzieciok — nic nie rozumiem. Tylko rozbeczałam się, gdy mówił, bo już za dobrze o tem mówił, płakał, i ja płakałam, a on mnie nagle pocałował i przeżegnał ręką. Cóżto takiego, Aljosza, powiedz mi, co to za „dzieciok"?

— To Rakitin zaczął niewiadomo czemu odwiedzać go — uśmiechnął się Aljosza — ale nie... to nie od Rakitina. Nie byłem wczoraj u niego, dziś będę.

— Nie, to nie Rakitka, to go brat Iwan niepokoi, to on do niego chodzi... — rzekła Gruszeńka i nagle urwała.

Aljosza popatrzał na nią, jakgdyby zaskoczony tą wiadomością.

— Jakto chodzi? Iwan chodzi do niego? Mitia mi sam powiedział, że Iwan ani razu nie był.

— No... jaka jestem gadatliwa! Wygadałam się! — zawołała Gruszeńka bardzo zmieszana i nawet zarumieniła się gęsto. — Poczekaj Aljosza, milcz, niech cię tam, skoro już się wygadałam, to znaj całą prawdę: był on u niego dwa razy, pierwszy raz, ledwo co przyjechał z Moskwy, jeszcze byłam na nogach, a drugi raz tydzień temu. Zabronił Miti mówić ci o tem, bezwzględnie zabronił, i wogóle nikomu nie kazał mówić, pokryjomu przylazł.

Aljosza siedział zadumany i nad czemś medytował. Wiadomość ta bardzo go zastanowiła.

— Iwan o sprawie Miti ze mną nie rozmawia — rzekł powoli — i wogóle przez te dwa miesiące bardzo mało ze mną mówił; a kiedy przychodziłem do niego, to zawsze był niezadowolony, że przychodzę, to też od trzech tygodni przestałem go odwiedzać. Hm... Jeżeli był tydzień temu to... przez ten tydzień w Miti istotnie dokonała sie jakaś zmiana...

— Zmiana, zmiana! — podjęła natychmiast Gruszeńka. — Oni mają jakiś sekret, jakiś sekret! Mitia sam mi mówił, że sekret i, wiesz, taki sekret, że Mitia nie może się wcale uspokoić. A przecież poprzednio był wesoły, i teraz zresztą wesoły, tylko że widzisz, jak zaczyna głową szarpać i po celi chodzić, i tym prawym palcem włosy na skroni tarmosić, to już wiem, że coś ma na sercu... to już wiem!... A przedtem był wesoły; no i dziś wesoły!

— A powiedziałaś, że rozdrażniony?

— Tak, rozdrażniony i zarazem wesoły. Rozdrażniony jest, a tu po chwileczce wesoły, a potem znowu rozdrażniony. I wiesz, Aljosza, patrzę na niego i dziwię się: przed sobą ma takie straszne jutro, a on chwilami śmieje się do rozpuku z byle głupstwa, jak dzieciak.

— I naprawdę nie kazał mi mówić o Iwanie? Powiedział ci tak: nie mów?

— Tak powiedział: nie mów. Ciebie się najbardziej boi. Bo to sekret jest, sam mówił, że sekret... Aljosza, mój drogi, idź i dowiedz się: jaki tam mają sekret, i przyjdź mi powiedzieć — poruszyła się niespokojnie i błagalnie Gruszeńka. — Niech już się nieszczęsna dowiem, jaka moja dola przeklęta! Poto cię tu wzywałam.

— A ty myślisz, że to o tobie? Gdyby o tobie, toby ci nic o sekrecie nie wspominał.

— Nie wiem. Może chce mi powiedzieć, ale nie śmie. Uprzedza. Sekret jest, ale jaki sekret — nie powiedział.

— A ty co myślisz o tem?

— A co ja myślę? Koniec mój nastał, ot co myślę. Koniec mi wszyscy troje przygotowali, bo i Katia. Wszystko od niej, wszystko od niej idzie. „A taka ona i siaka" to znaczy, że ja nie jestem taka. To on zgóry mówi, uprzedza mnie. Rzucić mnie zamierza, cały to i sekret! Wymyślili to razem — Mitia, Katia i Iwan Fedorowicz. Aljosza, chciałam cię już dawno zapytać: tydzień temu powiedział mi on naraz, że Iwan zakochany w Kati, bo często u niej bywa. Czy to prawda, czy nie? Ale mów sumiennie, zarznij mnie.

— Ja ci nie skłamię. Iwan nie jest zakochany w Katarzynie Iwanownej, tak ja myślę.

— A co, nie myślałam! Okłamuje mnie, bezwstydnik! I urządził mi scenę zazdrości, aby później na mnie zwalić. Bo i głupi jest, nie potrafi udawać, otwarty charakter... Ale ja mu już, ja mu już! „Ty, powiada, wierzysz, że zabiłem" — to on mnie mówi, mnie, takie rzeczy mnie mówi! Bóg z nim! Ale, poczekaj, doczeka się ode mnie Katia w sądzie! Ja tam jedno słóweczko takie powiem.. Ja tam już wszystko powiem!

I znowu zapłakała gorzko.

— Mogę ci tylko powiedzieć z całą pewnością, Gruszeńka — rzekł, podnosząc się Aljosza — po pierwsze to, że kocha on ciebie, kocha najbardziej na świecie, i tylko ciebie, wierzaj mi. Wiem to. Już ja to wiem. Po drugie zaś to ci powiem, że nie będę wyciągał z niego sekretu, a jeżeli on sam mi zechce dziś powiedzieć, to wręcz mu oświadczę, że przyrzekłem ci to powtórzyć. W takim razie wrócę do ciebie dziś jeszcze i opowiem ci. Tylko... zdaje się... że niema tu mowy o Katarzynie Iwanownej, i że dotyczy to zupełnie innej rzeczy. Napewno jest tak. Wcale nie wygląda, aby tyczyło się Katarzyny Iwanownej, tak mnie się zdaje. A tymczasem dowidzenia!

Aljosza uścisnął jej rękę. Gruszeńka nie przestała płakać. Widział, że nie uwierzyła w jego pocieszenia, ale i to już było dobre, że wypowiedziała, wypłakała swój frasunek. Przykro mu było zostawić ją w takim stanie, lecz było mu zbyt pilno. Miał jeszcze wiele spraw do załatwienia.

II.

Chora nóżka.

Przedewszystkiem trzeba było iść do mieszkania pani Chochłakow, to też skierował się tam odrazu, aby czemprędzej się uwolnić i zdążyć zajść do Miti. Pani Chochłakow już trzy tygodnie chorowała na nogę; chociaż nie

leżała w łóżku, gości przyjmowała leżąc w strojnem, lecz przyzwoitem deshabillé na kanapie w swoim buduarze. Aljosza zauważył, że mimo choroby pani Chochłakow zaczęła się ostatnio stroić: pojawiły się jakieś czepeczki, kokardki, wstążki. Aljosza domyślał się z jakiego powodu, ale opędzał się tym próżnym myślom: od dwóch miesięcy zaczął bywać u pani Chochłakow młody urzędnik tutejszy Perchotin. Aljosza nie był u niej od czterech dni. Zamierzał teraz przejść odrazu do Lizy, bo to ona go właściwie wezwała wczoraj przez służącą w „bardzo ważnej sprawie", co z pewnych powodów ogromnie zainteresowało Aljoszę. Ale póki pokojówka meldowała go Lizie, pani Chochłakow dowiedziała się od kogoś o jego przybyciu i natychmiast kazała poprosić go do siebie, „na jedną tylko minutkę". Aljosza przełożył sobie, że lepiej będzie z początku zadośćuczynić prośbie matki, bo inaczej nie da im ona spokoju i co chwila będzie po niego przysyłać. Pani Chochłakow leżała na kanapie, wystrojona jakoś świątecznie i, jak widać było, bardzo podniecona. Aljoszę przywitała okrzykami zachwytu:

— Wieki, wieki całe nie widziałam pana! Cały tydzień, ach, zresztą był pan cztery dni temu, w środę. Pan do Lizy, jestem tego pewna, że pan chciał na czubkach palców wejść do niej, abym nie słyszała. Miły, miły mój Aleksy Fedorowiczu, gdyby pan wiedział, jak ona mnie martwi! Ale o tem później. Chociaż to najważniejsza rzecz, ale o tem później. Miły Aleksy Fedorowiczu, powierzam Lizę pana opiece. Po śmierci starca Zosimy — niech Bóg go ma w swojej opiece! (przeżegnała się) po nim patrzę na pana jako na pustelnika, chociaż pan tak miło nosi swój nowy garnitur. Gdzie pan tu znalazł takiego krawca? Ale nie, nie, to nie najważniejsze, o tem później. Wybaczy pan, że tak poufale nazywam pana Aljoszą, ale jestem stara, wszystko mi wolno — uśmiechnęła się kokieteryjnie — ale o tem już później. Najważniejsza rzecz, aby nie zapomnieć o rzeczy najważniejszej. Proszę pana, niech mi pan przypomni, jeżeli się zagadam, niech pan zapyta: „a rzecz najważniejsza?". Od czasu jak Liza zpowrotem

odebrała panu swoje przyrzeczenie, Aleksy Fedorowiczu— że wyjdzie za pana zamąż, to pan naturalnie zrozumiał, że to tylko dziecięca kapryśna fantazja chorej dziewczynki, która zasiedziała się w fotelu — dzięki Bogu, że już teraz chodzi. Ten nowy lekarz, którego Katarzyna Iwanowna sprowadziła z Moskwy do tego nieszczęsnego brata pana, którego jutro... Ale co o jutrze! Umieram na myśl o jutrzejszem! Głównie jednak z ciekawości... Słowem, ten lekarz był wczoraj u nas i zbadał Lisę... Dałam mu pięćdziesiąt rubli za wizytę. Ale to nie to, znowu nie to. Widzi pan, już całkiem poplątałam. Spieszę się. Poco się spieszę? Nie wiem. Okropnie przestaję teraz wiedzieć. Dla mnie wszystko to zlepiło się w jakiś kłębek. Boję się, że pan wybiegnie ode mnie z nudów, a ja nic nie powiedziałam. Ach, mój Boże! Cóż tu siedzimy i po pierwsze— kawa, Julja, Głafira, kawy!

Aljosza podziękował pod pozorem, że dopiero co pił kawę.

— U kogo?

— U Agrafeny Aleksandrownej.

— To... to u tej kobiety! Ach, to ona wszystkich zgubiła, a zresztą nie wiem, powiadają, że stała się prawdziwą świętą, chociaż późno. Lepiejby dawniej, kiedy trzeba było, a teraz co z tego za korzyść? Milcz pan, milcz, Aleksy Fedorowiczu, ponieważ chcę tyle powiedzieć, że zdaje się, iż nic nie powiem. Ta straszliwa sprawa... bezwarunwo pojadę, szykuję się, wniosą mnie w fotelu, przecież mogę siedzieć, ze mną będą ludzie, i wie pan, jestem świadkiem. Jak ja będę mówić, jak będę mówić! Nie wiem, co będę mówić. Przecież trzeba przysięgę złożyć, prawda, prawda?

— Tak, ale nie myślę, aby pani mogła pójść.

— Mogę przecież siedzieć; och, pan mi przerywa! Ta sprawa, ten dziki czyn, a potem wszyscy idą na katorgę, inni się żenią, i wszystko to prędko, prędko, i wszystko się zmienia, i nakoniec nic, wszyscy starzy na księżą oborę patrzą. Niechże tam, jestem zmęczona. Ta Katia — cette charmante personne, rozbiła wszystkie moje nadzieje: teraz ona

pójdzie za jednym pańskim bratem na katorgę, a drugi pański brat pojedzie za nią i będzie mieszkał w sąsiedniem mieście, i wszyscy będą się wzajem dręczyć. To mnie doprowadza do obłędu, a rzecz najważniejsza to ten rozgłos: we wszystkich pismach w Moskwie i Petersburgu miljon razy już pisano. Ach tak, niechże pan sobie wyobrazi, i o mnie napisali, że byłam „lubą przyjaciółką" pańskiego brata, nie chcę wypowiedzieć ohydnego słowa, niech pan sobie wyobrazi, no, niech pan to sobie wyobrazi!

— Nie może być! Gdzie i jak napisano?

— Zaraz pokażę. Wczoraj otrzymałam — wczoraj też przeczytałam. O tu, w gazecie *Echa*, w petersburskiej. Te Echa zaczęły wychodzić dopiero w tym roku, strasznie lubię echa, to też zaabonowałam, nawarzyłam sobie bigosu. Ot tu, w tem miejscu, niech pan przeczyta.

I wyciągnęła do Aljoszy gazetę, leżącą pod poduszką.

Była nietylko rozstrojona, była jakoś złamana i, bardzo być może, że wszystko razem zlepiło się w jej głowie w jakiś kłębek. Notatka w dzienniku była nader charakterystyczna i oczywiście musiała na nią bardzo podziałać. Lecz na szczęście nie zdolna była w tej chwili skupić się, dzięki czemu po chwili mogła już przeskoczyć na inny temat. Co się tyczy rozgłosu, to Aljosza wiedział już o tem dawno i, Boże, jakich dzikich wiadomości i korespondencyj naczytał się przez te dwa miesiące o bracie swoim, o rodzinie Karamazowów wogóle i nawet o sobie samym. W jednej gazecie pisano nawet, że ze strachu po zbrodni brata wstąpił do klasztoru; w innej pisano naodwrót, że wraz ze starcem swoim, Zosimą, włamał się do kasy klasztornej i „zbiegł z klasztoru". Korespondencja zaś w „Echach" była zatytułowana: „ze Skotoprygoniewska (niestety, tak się nazywa nasza mieścina, długo ukrywałem tę nazwę) Echa sprawy Karamazowów". Była króciutka, bez nazwisk, a więc też i pani Chochłakow nie była wymieniona. Donosiła tylko, że przestępca, którego z takim huczkiem szykują się teraz sądzić, dymisjonowany kapitan piechoty, rębajło i zawadjaka, wałkoń i szlagon, gachował, gdzie się

dało i szczególnie stroił koperczaki do niektórych „znudzonych osamotnieniem dam". Jedna z takich dam „z nudzących się wdówek", chcąca uchodzić za młodą, aczkolwiek jest matką dorosłej córki, tak się w nim zadurzyła, że dwie godziny przed zbrodnią zaproponowała mu trzy tysiące, jeżeli się zgodzi z nią natychmiast uciec do kopalni złota. Ale zbrodniarz wolał zabić ojca i zrabować te trzy tysiące, licząc na bezkarność, niż wlec się na Syberję z czterdziestoletniemi wdziękami nudzącej się damy. Filuterna korespondencja kończyła się szlachetnem potępieniem ojcobójstwa i dawnego prawa pańszczyźnianego. Przeczytawszy z ciekawością, Aljosza złożył arkusz i podał go zpowrotem pani Chochłakow.

— No co, czy to nie ja? — zaszczebiotała znowu — przecież to ja, godzinę przed tem proponowałam mu kopalnię złota i naraz „czterdziestoletnie wdzięki"! Czy ja poto? To on umyślnie. Niech mu Wieczny Sędzia odpuści za czterdziestoletnie wdzięki, jak ja mu odpuszczam, ale przecież... przecież wie pan kto? To przyjaciel pana, Rakitin.

— Być może, — rzekł Aljosza — chociaż nic nie słyszałem.

— On, on, a nie być może! Przecież go wypędziłam... Pan zna tę historję?

— Wiem, że pani zabroniła mu przychodzić, ale za co właściwie — tego... przynajmniej pani mi tego nie mówiła.

— A więc on panu mówił! Cóż, przeklina mnie, bardzo wymyśla?

— Tak, wymyśla, ale przecież tak na wszystkich. Ale zaco pani mu zabroniła przychodzić — tego i on mi nie powiedział. I wogóle bardzo rzadko się z nim teraz spotykam. Nie jesteśmy przyjaciółmi.

— No, to panu wszystko opowiem, i cóż robić, uderzę się w piersi, bo tu jest pewna rzecz, w której ja sama może zawiniłam. Ale drobniusia, drobniusieńka rzecz, najdrobniejsza, tak że nawet może jej wcale niema. Widzi pan, mój drogi (Pani Chochłakow naraz zrobiła filuterną minę i uśmiechnęła się sympatycznie i zagadkowo). Widzi

pan, podejrzewam... Wybaczy mi pan, Aljosza, ja panu, jak matka... o nie, nie, naodwrót, ja teraz do pana jak do mego ojca... bo z matką to nie licuje... Ano, wszystko jedno; jak do starca Zosimy na spowiedzi, tak będzie najsłuszniej i tak to bardzo nawet licuje: nazwałam przecież pana pustelnikiem — ano więc ten biedny młodzieniec, przyjaciel pana, Rakitin (o Boże... nie mogę się na niego gniewać! Złoszczę się, wściekam, ale nie bardzo). Słowem, ten lekkomyślny młodzieniec nagle, niech pan sobie wyobrazi, zdaje się, zakochał się we mnie. Ja to później, później tylko zauważyłam, ale z początku, to znaczy miesiąc temu zaczął bywać u mnie coraz częściej, prawie codziennie, chociaż znamy się już oddawna. Ja nic nie wiem... i tu nagle jakby mnie olśniło i zaczęłam ze zdumieniem widzieć coraz wyraźniej. Wie pan, już dwa miesiące temu zaczęłam przyjmować tego skromnego, miłego i godnego człowieka, Piotra Iljicza Perchotina, który tu służy. Tylekroć spotykał go pan u mnie. I prawda, to poczciwy, solidny młody człowiek? Przychodził on raz na trzy dni, a nie codziennie (a choćby nawet codziennie) i zawsze tak dobrze ubrany, i wogóle ja bardzo lubię młodzież, Aljosza, zdolną, skromną, jak pan, a on ma poprostu ministerjalną głowę i tak miło opowiada, i bezwzględnie, bezwzględnie mocno go zaprotegu ję. To przyszły dyplomata. Tego okropnego dnia poprostu uratował mi życie, że przyszedł w nocy. No, a pana przyjaciel Ratikin zawsze w takich butach i wyciąga na dywanie... Słowem, zaczął nawet robić jakieś aluzje i nawet pewnego razu, żegnając się, uścisnął mi strasznie mocno rękę. Ledwo mi tak uścisnął rękę, zabolała mnie noga. Jeszcze poprzednio spotykał u mnie Piotra Iljicza i, uwierzy pan, wciąż mu dokuczał i dokuczał, zrzędził niewiadomo za co. A tu nagle siedzę sama, to znaczy nie, wtedy już leżałam, naraz leżę sama, Michał Iwanowicz przychodzi i, niech pan sobie wyobrazi, przynosi wierszyk, bardzo króciutki, o mojej chorej nóżce, słowem opisał wierszem moją chorą nóżkę. Niechże pan posłucha, zaraz, jakże to:

„Ach ta nózia, ach ta nózia" albo jakoś tam—nie mogę żadną miarą zachować w pamięci wierszy — ano, potem

panu pokażę, tylko że zachwycające, zachwycające i, wie pan, nietylko o nóżce, ale dydaktyczne, z zachwycającą ideą, tylko że też zapomniałam, słowem nadaje się jak nic do sztambuchu. Oczywiście, podziękowałam mu, a on czuł się bardzo pochlebiony. Ledwo mu podziękowałam, wchodzi naraz Piotr Iljicz, więc Michał Iwanowicz zasępił się jak noc. Widzę odrazu, że Piotr Iljicz przeszkodził mu, bo Michał Iwanowicz chciał coś powiedzieć po wierszach, przeczułam to, a tu nagle przyszedł Piotr Iljicz. Pokazałam więc nagle Piotrowi Iljiczowi wierszyk, ale nie mówię, kto skomponował. Ale jestem przekonana, jestem święcie przekonana, że odrazu się domyślił, chociaż dotąd się nie przyznaje, twierdzi, że się nie domyślił; ale on to umyślnie. Piotr Iljicz roześmiał się i zaczął krytykować,— lichy, powiada, wierszyk, jakiś seminarzysta mógł to napisać, i wie pan, tak namiętnie, tak namiętnie! Wtedy przyjaciel pana zamiast się roześmiać, do reszty się rozgniewał... Boże Wielki, myślałam, że się pobiją: „To ja, powiada, napisałem. Ja, powiada, napisałem żartem, bo uważam, że nikczemnie jest pisać wiersze. Tylko, że mój wiersz jest dobry. Pańskiemu Puszkinowi za kobiece nóżki chcą teraz pomnik postawić, a u mnie to z ideą, a pan sam, powiada, jest wstecznikiem. Pan, powiada, nie ma w sobie śladu uczucia humanitarnego, nie czuje pan żadnych dzisiejszych oświeconych uczuć, postęp dzisiejszy nie dotarł do pana, pan, powiada, jest urzędniczyną i łapówki pan też bierze". Więc się wtrąciłam i zaczęłam krzyczeć i prosić ich. A Piotr Iljicz, wie pan, taki odważny, odrazu przybrał szlachetny ton: patrzy tak na niego szyderczo, słucha i przeprasza: „Ja, powiada, nie wiedziałem. Gdybym wiedział, nie powiedziałbym, powiada, lecz pochwaliłbym... Poeci, powiada, są wszyscy skorzy do irytacji..." Słowem szyderstwa, wypowiadane najszlachetniejszym tonem. On mi to później wyjaśnił, że to były szyderstwa, bo ja myślałam, że to na serjo. Tylko naraz ja leżę, tak jak teraz, i myślę sobie: czy będzie szlachetnie, czy nieszlachetnie, jeśli Michała Iwanowicza nagle wypędzę zato, że nieprzyzwoicie krzyczy u mnie w mieszkaniu na mego gościa? I oto, czy pan da wiarę: leżę, zasłoniłam oczy i myślę: będzie czy nie będzie

szlachetnie, i nie mogę tego rozstrzygnąć i męczę się i męczę się, i serce mi bije: krzyknąć, czy nie krzyknąć? Jeden głos woła: krzycz, a drugi: nie, nie krzycz! Ledwo co ten drugi głos powiedział, krzyknęlam nagle i zemdlałam. Ale tu, rozumie się, rozgardjasz. A ja nagle wstaję i mówię Michałowi Iwanowiczowi: gorzko mi to panu oświadczyć, że nie chcę pana odtąd przyjmować w swoim domu. Tak go wypędziłam. Ach, Aleksy Fedorowiczu! Sama wiem, że źle zrobiłam, że skłamałam, bo wcale się na niego nie gniewałam, ale nagle, najważniejsze to, że nagle wydało mi się, że tak będzie dobrze, że powinnam zrobić taką scenę... Tylko, że uwierzy pan, scena ta była bądź co bądź naturalna, ponieważ rozpłakałam się nawet, i kilka dni potem płakałam, a potem zaraz po obiedzie, wszystko zapomniałam. A on już od dwóch tygodni nie przychodzi, a ja myślałam: czy naprawdę on już nie przyjdzie? To jeszcze wczoraj, a naraz wieczorem przynoszą te „Echa". Przeczytałam i wzdrygnęłam się, któżto mógł napisać, to on napisał, poszedł wtedy do domu, usiadł — i napisał; posłał — wydrukowali. Wszak to już dwa tygodnie temu było. Tylko, Aljosza, straszne ja rzeczy wygaduję, i wcale nie mówię o tem, co trzeba? Ach, to się samo mówi.

— Ogromnie mi zależy na tem, aby zdążyć na czas do brata — wyjąkał Aljosza.

— Właśnie, właśnie! Pan mi wszystko przypomniał! Niechże pan posłucha, co znaczy afekt?

— Jaki afekt? — zdziwił się Aljosza.

— Sądowy afekt. Taki afekt, za który wszystko darują. Cokolwiek pan zrobi — wszystko panu przebaczą.

— O czem to pani?

— O tem, niech pan posłucha: ta Katia... Ach, to miłe, miłe stworzenie, tylko naprawdę nie wiem, kogo ona kocha. Niedawno siedziała u mnie, a ja nic nie mogłam z niej wydębić. Tem bardziej, że sama ze mną mówi teraz tak powierzchownie, słowem o zdrowiu mojem, i nic więcej, i nawet taki ton przybrała, że powiedziałam sobie: niech sobie, Bóg z panią... Ach tak, ano więc ów afekt: ten doktór więc przyjechał. Wie pan, że przyjechał doktór?

No, jakżeby pan mógł nie wiedzieć: co poznaje się na warjatach, pan przecie go sprowadził, właściwie nie pan, lecz Katia! Wszystko ta Katia! Ano, to widzi pan: siedzi człowiek zupełnie nie obłąkany, tylko że ma afekt. Przytomny jest, no tak, i wie co robi, ale mimo to jest w afekcie. Zapewne i z Dymitrem Fedorowiczem zdarzył się afekt. To wtedy, jak nowe sądy założono, dowiedziano się odrazu o afekcie. To dobrodziejstwo nowych sądów. Doktór był u mnie, i pytał mnie o tamtym wieczorze, no i o kopalni złota: w jakim stanie był wówczas? Jakże to nie w afekcie: przyszedł i krzyczy: pieniądze, pieniądze, trzy tysiące, niech pani da trzy tysiące, a potem poszedł i nagle zabił. Nie chcę, powiada, nie chcę zabić, i nagle zabił. Właśnie zato go uwolnią, że nie chciał, a zabił.

— Ale wszak on nie zabił — cokolwiek ostro przerwał jej Aljosza, który zaczynał się coraz bardziej niecierpliwić i niepokoić.

— Wiem, że zabił ten stary Grzegorz...

— Jakto Grzegorz! — zawołał Aljosza.

— On, on, Grzegorz. Jak Dymitr Fedorowicz uderzył go, to on leżał, a potem wstał, widzi — drzwi otwarte, wszedł i zabił Fedora Pawłowicza.

— Ale poco, poco?

— Ano dostał afektu. Skoro Dymitr Fedorowicz uderzył go w głowę, to on obudził się i dostał afektu, poszedł i zabił. A że mówi, że nie zabił, to może on sam nawet nie pamięta. Tylko widzi pan: o wiele lepiej będzie, jeżeli Dymitr Fedorowicz zabił. I zresztą tak było, chociaż mówię, że Grzegorz, ale to napewno Dymitr Fedorowicz, i tak jest o wiele, o wiele lepiej! Ach, nie dlatego lepiej, że syn zabił ojca, ja tego nie chwalę, naodwrót, dzieci powinny czcić rodziców, a jednak lepiej, że on, a to dlatego, że on to wszystko zrobił w stanie nieprzytomnym, albo, lepiej mówiąc, był przytomny, tylko nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie, niech oni mu przebaczą: tak jest humanitarnie, i niech widzą szlachetność nowych sądów, a ja nawet nic nie wiedziałam, powiadają, że to już dawno, a ja, wie pan, dopiero wczoraj się dowiedziałam, i to mnie tak uderzyło, że

chciałam po pana posłać; a potem, skoro mu przebaczą, to odrazu z sądu do mnie na obiad, i zwołam znajomych i wypijemy za nowe sądy. Nie sądzę, aby był niebezpieczny, pozatem zaproszę bardzo wiele osób, tak że zawsze można go będzie wyprowadzić, jeżeli coś takiego, a potem można go mianować w innem mieście sędzią pokoju albo czemś w tym rodzaju, bo ci, którzy przeżyli nieszczęście, najlepiej potrafią sądzić. A rzecz najważniejsza, któż teraz nie ma afektu — pan, ja, wszyscy mamy afekt, i ile przykładów: siedzi człowiek, śpiewa romans, nagle coś mu się nie spodobało, wziął pistolet i zabił byle kogo, a potem wszyscy mu wybaczają. Czytałam o tem niedawno, i wszyscy lekarze potwierdzili. Doktorzy teraz potwierdzają, wszystko potwierdzają. Daruje pan, ale moja Lise ma afekt. Wczoraj przez nią płakałam, onegdaj płakałam, a dziś dopiero domyśliłam się, że ona ma poprostu afekt. Och, Lise tak mnie martwi! Myślę że ona postradała rozum. Poco pana wezwała? Ona pana wezwała, czy pan sam przyszedł?

— Tak, wezwała mnie i zaraz do niej pójdę — rzekł Aljosza i energicznie podniósł się z miejsca.

— Ach miły, miły Aleksy Fedorowiczu, to może jest najważniejsze — zawołała pani Chochłakow i nagle zapłakała. — Bóg mi świadkiem, że ja panu szczerze zaufałam Lise, i to nic, że ona pana bez wiedzy matki zawezwała. Ale Iwan Fedorowicz, brat pana, wybaczy mi pan, ale nie mogę mu zaufać córki mojej tak łatwo, chociaż wciąż jeszcze uważam go za rycerskiego kawalera. A niech pan sobie wyobrazi, że on nagle był u Lise, a ja tego nie wiedziałam.

— Jak? Co? Kiedy? — zdziwił się ogromnie Aljosza. Ale nie usiadł, słuchał na stojąco.

— Opowiem to panu, poto może pana wzywałam, bo teraz to nawet nie wiem, poco pana wzywałam. A właśnie Iwan Fedorowicz był u mnie wszystkiego dwa razy po powrocie z Moskwy, pierwszy raz przyszedł jako znajomy z wizytą, a drugi raz to niedawno, Katia u mnie siedziała, więc przyszedł, bo się dowiedział, że ona jest u mnie. Ja, ma się rozumieć, nie pretendowałam nawet na jego częste

wizyty, wiedząc, ile ma teraz kłopotów, vous comprenez, cette affaire et la mort terrible de votre papa, tylko naraz dowiaduję się, że był znowu, tylko że nie u mnie, u Lise, sześć dni temu przyszedł, siedział pięć minut i poszedł. A dowiedziałam się dopiero trzy dni potem od Głafiry, tak że to mnie frapowało. Natychmiast przywołałam Lise, a ona tylko się śmieje: myślał niby to, że mama śpi, i dlatego przyszedł się mnie zapytać, jak się mama czuje. Oczywiście. Oczywiście, tak to i było. Tylko że Lise, Lise, o Boże, jak ona mnie martwi! Niech pan sobie wyobrazi: naraz, którejś nocy — to było cztery dni temu, jak pan od niej wyszedł — atak, krzyk, spazmy, atak histeryczny! Dlaczego ja nigdy nie miewam ataków? Potem nazajutrz znowu atak, a potem znowu, i wczoraj, wczoraj ten afekt. Krzyczy naraz: „Nienawidzę Iwana Fedorowicza, żądam, aby go mama nie pjrzyjmowała, aby go mama nie wpuszczała do domu!" Stanęłam jak wryta i powiadam jej: z jakiej racji mam nie przyjmować tak delikatnego i godnego młodego człowieka, i przytem z takiem wykształceniem i z takiem nieszczęściem, przecież swoją drogą wszystkie te historje, to przecież nieszczęście, a nie szczęście — prawda? A ona nagle się roześmiała z moich słów i, wie pan, tak obraźliwie. No, rada jestem, myślę sobie, że ją rozśmieszyłam, więc ataki już się nie powtórzą, tem bardziej, że ja sama chciałam odmówić Iwanowi Fedorowiczowi za dziwne wizyty bez mojej zgody, i żądać wyjaśnień. Tylko naraz dziś rano Liza obudziła się i rozgniewała na Julję i, niech pan sobie wyobrazi, uderzyła ją ręką w twarz. Przecież to monstrualne, ja sama nie tykam nawet swoich pokojówek. I naraz po godzinie ściska Julję i całuje ją po nogach. Mnie zaś kazała powiedzieć, że wcale do mnie nie przyjdzie, i już nigdy nie zechce do mnie przyjść, a kiedy ja sama się do niej przywlokłam, to rzuciła się na mnie, zaczęła mnie całować i płakać, no i wypchnęła mnie z pokoju i nic nie powiedziała, i ja nic nie wiem. Teraz, Aleksy Fedorowiczu, w panu pokładam wszystkie nadzieje i naturalnie los mój jest w ręku pana. Proszę pana, aby pan poszedł do Lise, dowiedział się wszystkiego, jak tylko pan to może zrobić, i przyszedł mi to opowiedzieć, mnie, matce, bo pan rozumie,

ja umrę, umrę poprostu, jeśli to tak będzie nadal trwało, albo ucieknę z domu. Więcej nie mogę, mam cierpliwość, ale mogę stracić, a wówczas... wówczas będą się dziać straszne rzeczy. Ach, Boże wielki, nareszcie pan, Piotr Iljicz! — zawołała i nagle rozpromieniła się pani Chochłakow na widok wchodzącego Piotra Iljicza Perchotina. — Spóźnił się pan, spóźnił! No, niech pan siada, niech pan rozstrzygnie los, co adwokat? A pan dokąd, Aleksy Fedorowiczu?

— Do Lise.

— Ach tak! Więc nie zapomni pan, nie zapomni pan, o co pana prosiłam? Tu los, los!

— Oczywiście, nie zapomnę, jeśli można... ale tak się spóźniłem — mruknął Aljosza, wycofując się spiesznie.

— Nie, napewno, napewno niech pan zajdzie, a nie „jeżeli można", w przeciwnym razie umrę! — krzyknęła za nim pani Chochłakow, ale Aljosza już wyszedł z pokoju.

III.

Djabełek.

Lizę zastał w jej dawnym fotelu, na którym ją wożono, gdy była chora. Nie poruszyła się nawet na jego widok, lecz wraziła w niego swoje ostre, przenikliwe spojrzenie. Oczy jej były teraz nieco zaczerwienione, cera blado-żółta. Aljosza był zaskoczony tą zmianą jej wyglądu, jaka się dokonała w ciągu ostatnich trzech dni. Zdążyła nawet bardzo zeszczupleć.

Nie podała mu ręki. On sam dotknął jej wąskich, długich palców, leżących nieruchomo na sukni, zaczem, nic nie mówiąc, usiadł naprzeciw niej.

— Wiem, że pan się spieszy do więzienia — zaczęła ostro — a pana dwie godziny trzymała moja matka, opowiedziała panu zaraz o mnie i o Julji.

— Skądże pani wie? — zapytał Aljosza.

— Podsłuchiwałam. Co się pan na mnie tak gapi? Chcę podsłuchiwać i podsłuchuję, nic złego w tem niema. Nie proszę o wybaczenie.

— Pani jest zdenerwowana?

— Wręcz przeciwnie, jestem bardzo rada. Dopiero co znowu myślałam o tem, po raz trzydziesty: jak to dobrze, że panu odmówiłam i nie będę żoną pana. Pan się nie nadaje na męża: wyjdę za pana i naraz dam panu liścik, aby pan zaniósł do tego, którego po panu pokocham; pan weźmie i napewno odniesie i nawet odpowiedź mi pan przyniesie. I będzie pan miał czterdzieści lat i będzie pan wciąż nosił moje liściki.

Roześmiała się nagle.

— Pani ma w sobie coś złośliwego, a jednocześnie prostodusznego.

— Prostoduszne jest to, że ja się pana nie wstydzę. To nic jeszcze, że się nie wstydzę, chcę się wstydzić i właśnie pana i przed panem. Aljosza, dlaczego ja pana nie szanuję? Gdybym szanowała, to chybabym nie mówiła tego bez wstydu, prawda?

— Tak.

— A czy wierzy pan, że się pana nie wstydzę?

— Nie, nie wierzę.

Liza znowu roześmiała się nerwowo. Mówiła bardzo prędko.

— Pańskiemu bratu Dymitrowi posłałam cukierki do więzienia. Aljosza, czy wie pan, jaki pan dobry! Będę pana strasznie kochać zato, że pozwolił mi pan tak prędko nie kochać pana.

— Poco mnie pani dzisiaj wzywała, Lise?

— Chciałam panu zakomunikować jedno moje życzenie. Życzyłabym sobie, aby się kto zaręczył, ożenił się ze mną, a potem zadręczył, oszukał, odszedł i wyjechał. Nie chcę być szczęśliwą!

— Polubiła zamęt?

— Ach, chcę zamętu. Wciąż mi się chce podpalić dom. Wciąż o tem myślę: jak podejdę i pocichu podpalę,

ale koniecznie pocichu. Oni gaszą, a on się pali. A ja wiem i milczę. Ach, brednie! I jak nudno!

Z obrzydzeniem machnęła ręką.

— Żyje pani w zbytku — rzekł cicho Aljosza.

— Lepiej może być biedną?

— Lepiej.

— To pański nieboszczyk mnich panu nagadał. To nieprawda. Niech ja będę bogata, a wszyscy biedni, ja będę cukierki chrupała i śmietanę piła, a tamtym nie dam. Ach, niech pan nie mówi, niech pan nic nie mówi (machała ręką, chociaż Aljosza ust nawet nie otworzył), pan mi to już poprzednio mówił, znam to napamięć. Nudno. Jeżeli będę uboga, to kogoś zabiję — no i bogata jak będę, to może zabiję — co będę tak siedziała! A wie pan, chciałabym żąć żyto. Wyjdę za pana, a pan się stanie chłopem, prawdziwym chłopem; będziemy mieli źrebiątko, chce pan? Zna pan Kałganowa?

— Znam.

— On wciąż chodzi i marzy. Powiada: poco naprawdę żyć, lepiej marzyć. Wymarzyć sobie można najbardziej wesoło, a żyć jest nudno. A przecież sam się wkrótce ożeni, nawet mnie się oświadczył. Czy umie pan frygi puszczać?

— Umiem.

— On jak fryga: zakręcić go i puścić, smagać, smagać knutem. Wyjdę za niego, to całe życie będę smagać. Czy nie wstyd panu ze mną siedzieć?

— Nie.

— Pan się okropnie złości, że mówię nie o świętościach. Nie chcę być świętą. Co zrobią na tamtym świecie za największy grzech? Pan to powinien dokładnie wiedzieć.

— Bóg osądzi—wpatrzył się w nią wnikliwie Aljosza.

— Tego to i ja chcę. Przyszłabym, osądziliby mnie, a jabym im wszystkim w oczy się roześmiała. Strasznie mi się chce podpalić dom, Aljosza, nasz dom, nie wierzy mi pan?

— Czemu nie? Bywają dzieci, dwunastoletnie

i starsze, którym bardzo się chce co zapalić, i naprawdę podpalają. To rodzaj choroby.

— Nieprawda, nieprawda. To nic niema wspólnego z temi dziećmi.

— Pani złe bierze za dobre: to chwilowy kryzys, to może skutek pani dawnej choroby.

— To pan mną pogardza! Poprostu, nie chcę czynić dobrze, chcę robić złe, i niema tu żadnej choroby.

— Poco robić złe?

— Ażeby nigdzie nic się nie zostało. Ach, jakby to dobrze było, gdyby nic nie zostało! Wie pan, Aljosza, czasem przychodzi mi na myśl zrobić strasznie wiele złego i najgorszego. Będę długo to robić pokryjomu, a potem nagle wszyscy się dowiedzą. Wszyscy mnie otoczą i będą mnie wytykać palcami, a ja będę na wszystkich patrzeć. To bardzo przyjemnie. Dlaczego to tak przyjemnie, Aljosza?

— Tak. Potrzeba zdeptania czegoś dobrego, albo jak pani mówiła, podpalenia. To się też zdarza.

— Ale ja nietylko mówiłam, ja to też zrobię.

— Wierzę.

— Ach, jak ja pana kocham zato, że pan mówi: wierzę. I pan naprawdę wcale a wcale nie kłamie. A może pan myśli, że ja to umyślnie, aby pana drażnić?

— Nie, nie myślę... chociaż może i tak jest poniekąd.

— Poniekąd jest. Nigdy przed panem nie kłamię — rzekła z jakimś nagłym błyskiem w oczach.

Aljoszę najbardziej dziwiła jej powaga: ani śladu figlarności nie znać było na jej twarzy, jakkolwiek zazwyczaj nie mogła się pozbyć tej figlarności nawet w „najpoważniejszych chwilach".

— Bywają chwile, kiedy ludzie kochają zbrodnię — rzekł w zamyśleniu Aljosza.

— Tak, tak! Wypowiedział pan moją własną myśl, kochają, wszyscy kochają i zawsze kochają, a nietylko „chwile". Wie pan, pod tym względem wszyscy się jakby zmówili, aby kłamać, i wszyscy odtąd kłamią. Wszyscy twierdzą, że nienawidzą złego, a w rzeczywistości kochają.

— Pani po dawnemu czyta złe książki?

— Czytam. Mama czyta i chowa pod poduszkę, a ja wykradam.

— Jak pani ma sumienie tak się niszczyć?

— Chcę siebie niszczyć. Jest tu jeden chłopak, leżał między szynami, kiedy pociąg nad nim przejeżdżał. Szczęśliwy! Niech pan posłucha, teraz brata pańskiego będą sądzić zato, że ojca zabił, a tymczasem wszyscy go kochają, że zabił ojca.

— Kochają, że ojca zabił?

— Kochają, wszyscy kochają! Wszyscy mówią, że to straszne, ale w istocie strasznie kochają. Ja pierwsza kocham.

— W słowach pani o wszystkich jest trochę prawdy— szepnął Aljosza.

— Ach, jakie pan ma myśli! — pisnęła z zachwytem Liza. — A mnich! Nie da pan wiary, Aljosza, jak ja pana szanuję zato, że pan nigdy nie kłamie. Ach, opowiem panu jeden mój śmieszny sen: czasem śnią mi się djabły, po wszystkich kątach i pod stołem, i drzwi otwierają, a za drzwiami cały tłum, wszyscy chcą wejść i złapać mnie. I już się zbliżają, już łapią. A ja nagle żegnam się, i wszyscy się cofają, boją się, tylko że nie odchodzą, stoją we drzwiach i po kątach czekają. I naraz zachciewa mi się okropnie na głos bluźnić przeciw Bogu, i zaczynam bluźnić, a oni znowu na mnie ciżbą, cieszą się, i znowu mnie łapią, a nagle ja znowu się żegnam — a oni znowu wszyscy odstępują. Strasznie wesoło, aż tchu brak.

— I ja miewałem ten sam sen — rzekł naraz Aljosza.

— Czyżby — krzyknęła Liza ze zdziwieniem. — Niech pan posłucha, Aljosza, niech się pan nie śmieje, to bardzo ważne: czy to możliwe, aby dwie osoby śniły ten sam sen?

— Zapewne możliwe.

— Aljosza, powiadam panu, że to bardzo ważne — dodała z jakiemś niezwykłem zdziwieniem. — Nie sen jest ważny, lecz to, że pan mógł widzieć ten sam sen, co i ja.

Nigdy pan nie kłamie, niechże pan i teraz powie prawdę: czy to prawda? Pan się nie śmieje?

— Prawda.

Liza była niezwykle zdumiona; milczała przez pół minuty.

— Aljosza, niech pan przychodzi do mnie, niech pan przychodzi częściej — rzekła błagalnym głosem.

— Zawsze, całe życie będę do pani przychodzić — odparł stanowczo Aljosza.

— Ja to tylko panu mówię — zaczęła znowu Liza.— Ja sobie tylko i panu mówię. Panu tylko na całym świecie. I panu chętniej, niż sobie samej. I pana się wcale nie wstydzę, wcale. Aljosza, dlaczego ja się pana wcale nie wstydzę, wcale? Aljosza, czy to prawda, że Żydy na Wielkanoc wykradają i zarzynają dzieci?

— Nie wiem.

— Mam jedną książkę, czytałam o jakimś sądzie, że Żyd czteroletniemu dzieciakowi z początku wszystkie palce odrąbał, a potem ukrzyżował na ścianie, przybił gwoździami i ukrzyżował, i potem w sądzie powiedział, że chłopczyk umarł prędko, po czterech godzinach. Ładnie prędko! Powiada: jęczał, wciąż jęczał, a tamten stał i rozkoszował się. To dobrze!

— Dobrze?

— Dobrze. Myślę czasem, że samabym ukrzyżowała. On wisi i jęczy, a ja usiądę naprzeciw i będę jadła kompot z ananasów. A pan?

Aljosza milczał i patrzał na nią. Blado-żółta jej twarzyczka nagle drgnęła, oczy zapłonęły.

— Wie pan, jak ja przeczytałam o Żydzie, to potem całą noc trzęsłam się we łzach. Wyobrażam sobie, jak dzieciak krzyczy i jęczy (wszak czteroletnie dzieci już wszystko rozumieją), a ja nie mogę się opędzić tej myśli o kompocie. Nazajutrz posłałam list do pewnego człowieka, żeby *bezwzględnie* przyszedł do mnie. On przyszedł, a ja mu naraz powiedziałam o chłopczyku i o kompocie, *wszystko* opowiedziałam, *wszystko*, i powiedziałam, że „to dobrze". A on się roześmiał i powiedział, że istotnie jest

dobrze. Poczem wstał i poszedł sobie. Wszystkiego pięć minut siedział. Pogardzał mną, pogardzał? Niech pan powie, Aljosza, czy pogardzał on mną, czy nie? — wyprostowała się i błysnęła oczyma.

— Proszę mi powiedzieć — zapytał Aljosza wzburzony — czy go pani sama zawezwała, tego człowieka?

— Sama.

— List mu pani posłała?

— List.

— Poto, aby go zapytać o to, o to dziecko?

— Nie, nie poto, zupełnie nie poto. Ale kiedy wszedł, to go odrazu o to zapytałam. Odpowiedział, roześmiał się, wstał i poszedł.

— Ten człowiek postąpił z panią uczciwie — odezwał się cichym głosem Aljosza.

— Ale gardził? Śmiał się?

— Nie, ponieważ on sam, być może, wierzy w kompot z ananasów. On też jest teraz bardzo chory, Lise.

— Tak, wierzy! — błysnęła oczyma Liza.

— On nikim nie gardzi — kontynuował Aljosza. — On tylko nikomu nie wierzy. Skoro nie wierzy, to oczywiście, gardzi.

— A więc i mną? Mną?

— Tak i panią.

— To dobrze — zgrzytnęła Liza. — Kiedy wyszedł i roześmiał się, powiedziałam, że dobrze jest być w pogardzie. I chłopczyk z odciętemi palcami dobrze i z pogardą dobrze...

I jakoś złośliwie i gorączkowo roześmiała się Aljoszy w oczy.

— Wie pan, wie pan, chciałabym... Aljosza, ratuj mnie! — zerwała się nagle z miejsca, rzuciła się nań i mocno objęła go rękoma. — Ratuj mnie — wyjąkała niemal. — Czyż powiem komu na świecie to, co panu powiedziałam? A przecież prawdę, prawdę powiedziałam! Zabiję siebie, ponieważ wszyscy jesteście mi wstretni! Nie chcę żyć, ponieważ wszystko mi jest wstretne! Wszystko mi wstrętne, wszystko wstrętne! Aljosza, dlaczego mnie zupełnie ale to zupełnie nie kochasz! — zawołała w zapamiętaniu.

— Nie, kocham — zaprzeczył gorąco Aljosza.

— A będzie pan po mnie płakał, będzie pan?

— Będę.

— Nie zato, że nie chciałam być żoną pana, lecz poprostu płakał, poprostu?

— Będę.

— Dziękuję. Mnie tylko łzy pańskie są potrzebne. A wszyscy inni niech mnie zadepczą i zabiją, wszyscy, wszyscy, nie wyłączając *nikogo!* Ponieważ nie kocham nikogo. Słyszy pan, ni-ko-go! Wręcz przeciwnie — nienawidzę! Niech i pan idzie, Aljosza, już czas do brata! — oderwała się od niego raptownie.

— Jakże tu pani zostanie? — rzekł niemal z lękiem Aljosza.

— Niech pan idzie do brata, zamkną więzienie, niech pan idzie, oto kapelusz pana! Niech pan ucałuje Mitię, niech pan idzie, niech pan idzie!

I przemocą prawie popchnęła Aljoszę ku wyjściu. Rozejrzał się z zadziwieniem i goryczą, gdy naraz poczuł w prawej dłoni list, mały liścik, złożony na części i zapieczętowany. Popatrzał i przeczytał adres: „Dla Iwana Fedorowicza Karamazowa". Rzucił przelotne spojrzenie na Lizę. Twarz jej nagle nachmurzyła się groźnie.

— Niech pan wręczy, niech pan koniecznie wręczy! — krzyczała nieprzytomnie, drżąc całem ciałem — dziś, dziś! Bo się otruję! Potom pana wezwała!

I mocno trzasnęła drzwiami. Zgrzytnęła klamka. Aljosza wsunął list do kieszeni i wyszedł na schody, zapomniawszy o pani Chochłakow. A Liza, ledwo odszedł, uchyliła nieco drzwi, wsunęła w szparę palec i z całej siły zatrzasnęła. Po dziesięciu sekundach uwolniła rękę, cicho i powoli usiadła na swoim fotelu, wyprostowała się i uważnie zaczęła oglądać swój sczerniały palec i wyciśniętą z pod paznokcia krew. Wargi jej zadrżały; prędko, prędko szepnęła do siebie:

— Podła, podła, podła, podła!

IV.

Hymn i sekret.

Było już późno (czyż długo trwa dzień listopadowy!), gdy Aljosza zadzwonił do wrót więzienia. Zaczynało się zmierzchać. Lecz Aljosza wiedział, że go wpuszczą do Miti. U nas pod tym względem, jak wszędzie. Z początku oczywiście po zakończeniu śledztwa dostęp do Miti był utrudniony nieuniknionemi formalnościami, ale z biegiem czasu ułożyło się jakoś samo przez się, że niektóre osoby wpuszczano bez trudności. Do takiego stopnia, że czasem rozmowy z więźniem w specjalnej rozmównicy odbywały się nieledwie w cztery oczy. Osób tych zresztą było niewiele: jedynie Gruszeńka, Aljosza i Rakitin. Ale do Gruszeńki czuł specjalną sympatję sam sprawnik, Michał Makarowicz. Stary czuł wyrzuty sumienia z powodu swego krzyku w Mokrej. Dowiedziawszy się o wszystkiem, zmienił o Gruszy zdanie. I rzecz dziwna, aczkolwiek nie wątpił o winie Miti, odkąd go uwięzili, odnosił się doń coraz łagodniej: „dobra może dusza, a tak marnie zginął z pijaństwa i nieporządnego życia!“ Zamiast dawnej zgrozy odczuwał teraz jakąś litość. Co się tyczy Aljoszy, to sprawnik bardzo go lubił i dawno już cenił, Ratikin zaś, który zaczął od pewnego czasu bardzo często odwiedzać więźnia, był jednym z najbliższych znajomych „sprawniczanek“, jak to je nazywał, i bywał u nich codziennie. Pozatem uczył dzieci naczelnika więzienia, poczciwego starca, chociaż surowego służbisty. Z tym znowu poczciwcem Aljosza był oddawna zaprzyjaźniony. Starzec lubił z nim rozmawiać na „mądre tematy“. Natomiast Iwana Fedorowicza naprzykład nie lubił, a nawet lękał się, lękał się szczególnie jego sądów, chociaż sam był zawołanym filozofem, oczywiście „własnym rozumem doszedł“. Ale dla Aljoszy miał żywą sympatję. Tego właśnie roku zaczął studjować apokryfy ewangeliczne i nieustannie dzielił się z Aljoszą swemi refleksjami. Dawniej odwiedzał go w monasterze i rozprawiał

z nim i z ojcami po całych godzinach. Słowem Aljosza miał dostęp do więzienia bardzo ułatwiony, choćby nawet przyszedł o późnej godzinie. Tem bardziej, że wszyscy, nawet klucznicy, przyzwyczaili się do niego. Wchodząc teraz do pokoju, w którym odbywały się „widzenia" z Mitią, Aljosza zderzył się z Rakitinym, który właśnie wychodził. On i Mitia rozmawiali głośno. Mitia, odprowadzając go, śmiał się z czegoś bardzo, a Rakitin mruczał pod nosem. Bardzo nie lubił zwłaszcza w ostatnich czasach spotykać się z Aljoszą, nie mówił z nim prawie, nawet kłaniał się ledwo. Teraz, na jego widok, nachmurzył brwi, spojrzał zukosa, jakby go całkowicie pochłaniało zapinanie ciepłego palta z futrzanym kołnierzem. Potem zaczął szukać parasola.

— Żeby czego własnego nie zapomnieć — mruknął, poto tylko, aby co powiedzieć.

— Ty cudzego nie zapomnij! — odrzekł Mitia i odrazu roześmiał się z własnego żartu.

Rakitin żachnął się ze złością:

— Ty to swoim Karamazowym powiedz, wstecznicy podli, a nie Rakitinowi! — krzyknął, trzęsąc się ze złości.

— Co ty! Żartowałem tylko! — krzyknął Mitia. — Djabła tam, wszyscy oni tacy — rzekł, zwracając się do Aljoszy i kiwając głową na wychodzącego Rakitina — to siedział, śmiejąc się, wesoły był, a tu nagle wybuchnął! Tobie to nawet głową nie skinął; coście się zupełnie pokłócili? Coś ty tak późno? Nie powiem, że cię wypatrywałem, poprostu łaknąłem cię od rana. Ale nic! Odbijemy sobie!

— Cóż on do ciebie zaczął tak często przychodzić? Pokumałeś się z nim, co? — zapytał Aljosza, kiwając również w kierunku drzwi, za któremi znikł Rakitin.

— Z Michałem się pokumałem? Nie, nie żeby... Djabła tam, świnia jest! Liczy na to, że ja jestem... podły. Żartu też nie rozumieją, żartu. I sucho im na duszy, płasko i sucho, tak, jak to ze mną było, kiedy podjeżdżałem do więzienia i na mury więzienne spoglądałem. Ale mądry człek, mądry. No, Aleksy, przepadła moja głowa z kretesem!

Usiadł na ławce i usadowił obok siebie Aljoszę.

— Tak, jutro sąd. Cóż, czy nie masz żadnej nadziei, bracie? — zapytał Aljosza z nieśmiałą serdecznością.

— A ty o czem? — Mitia spojrzał na niego jakoś dziwnie. — Ach, ty o sprawie! No, do licha! Myśmy dotąd ze sobą rozmawiali o samych bzdurach, wciąż o tej rozprawie sądowej, a o najważniejszych rzeczach z tobą milczałem. Tak, jutro sąd, tylko że ja nie o tem myślałem, mówiąc, że przepadła moja głowa. Nie głowa moja przepadła, lecz to, co w głowie tkwiło. Co ty na mnie patrzysz z taką krytyką w oczach?

— O czem mówisz, Mitia?

— Idea, idea, ot co! Etyka! Cóż to znaczy etyka?

— Etyka? — zdziwił się Aljosza.

— Tak, nauka jakaś czy co?

— Tak, jest taka nauka... tylko że... przyznam się, że nie potrafię ci wyjaśnić, co to za nauka.

— Rakitin wie. Dużo wie Rakitin, niech go djabli porwą! Nie będzie mnichem. Wybiera się do Petersburgu. Tam, powiada, krytykiem zostanę, ale szlachetnego kierunku. Cóż, może będzie z niego jaka korzyść, i karjerę zrobi. Uch, w robieniu karjery to mistrze nad mistrzami! Do djaska z etyką. Zginąłem-ci ja, Aleksy, Boży człowieku! Kocham ciebie najbardziej. Serce mi się trzęsie, gdy patrzę na ciebie. Jaki tam był Karol Bernard?

— Karol Bernard? — zapytał Aljosza ze zdziwieniem.

— Nie, nie Karol, poczekaj, omyliłem się: Claude Bernard. Cóżto takiego? Chemja, czy co?

— To zapewne uczony — odpowiedział Aljosza — ale, przyznam się, i o nim niewiele mógłbym ci powiedzieć. Słyszałem tylko, uczony, a jaki — nie wiem.

— No, i djabli z nim, i ja nie wiem — zaklął Mitia.—Łotr jakiś, zapewne, i wszyscy zresztą są łotrami. A Rakitin wślizgnie się, Rakitin przez dziurkę od klucza wślizgnie się, też Bernard. Uch, Bernardy! Namnożyło się ich wiele!

— Ale co z tobą? — zapytał Aljosza z naciskiem.

— Chce on o mnie, o sprawie mojej napisać artykuł i tym artykułem rozpocząć swoją karjerę literacką. Poto przychodzi, sam sam mi to mówił. Z ideą jakąś chce: że niby „nie mógł nie zabić, środowisko go urobiło" i t. d., wyjaśniał mi to. Z odcieniem socjalizmu, powiada, będzie. A niech go licho, z ideą, to z ideą, ani mnie to grzeje ani ziębi. Nie lubi on Iwana, nienawidzi go, ciebie też nie bardzo. No, a ja go nie wypędzam, bo człek mądry. Zanadto się jednak wynosi. Ja mu powiedziałem: „Karamazowowie nie są łotrami, lecz filozofami, a ty, chociaż napchałeś się nauką, filozofem nie jesteś, tylko smerdą". Śmieje się, ale złośliwie. A ja mu: de myślibus non est disputandum, dobry żart, co? Przynajmniej i jam wdepnął w klasyczność — roześmiał się naraz Mitia.

— Dlaczegoś ty przepadł? Coś ty teraz mówił? — przerwał Aljosza.

— Dlaczego przepadłem! Ha! W rzeczywistości... jeśli się zastanowić — Boga mi szkoda, oto dlaczego!

— Jakto Boga szkoda?

— Wyobraź sobie: to jest w nerwach, głowie, to są tam w mózgu te nerwy... (niech to djabli wezmą!) są tam takie ogonki, u tych nerwów ogonki, no, i jak tylko one zadrgają, to znaczy, widzisz, ja spojrzę na coś oczyma, ot tak, i one zadrgają, to ukazuje się obraz, i nie zaraz się ukazuje, przez jakieś mgnienie, sekunda taka przejdzie,i przychodzi taka jakby chwila, to znaczy nie chwila, — niech djabli wezmą chwilę, lecz obraz, to znaczy przedmiot, albo zdarzenie, no, tam do djabła! — otóż dlaczego ja przedtem oglądam, a potem myślę... dlatego, że ogonek, a wcale nie dlatego, że mam duszę, ani dlatego, że na czyjś obraz i podobieństwo stworzony, wszystko to głupstwa. To wszystko, bracie, Michał mi jeszcze wczoraj wytłumaczył, jakby mnie żelazem przypalił. Wspaniała to nauka, Aljosza. Nowy człowiek powstaje, tak ja rozumiem... A jednak żal mi Boga!

—To i tak dobrze — powiedział Aljosza.

— Co, Boga ci szkoda? Chemja, bracie, chemja! Nic

nie poradzisz, wasza wielebność, posuńcie się troszeczkę, chemja idzie... A nie lubi Boga Rakitin, ach, jak nie lubi! To jest największa bolączka ich wszystkich! Ale ukrywają. Kłamią. Udają. „Cóż, będziesz to propagował w dziele krytycznem?" pytam. — „No, tak otwarcie nie pozwolą", mówi. Śmieje się. — „A co w takim razie, pytam się, z człowiekiem? Tak, bez Boga i bez przyszłego życia? Więc wypadałoby — teraz wszystko wolno, wszystko można robić?" — „A tyś o tem nie wiedział?"—mówi. Śmieje się. „Mądremu człowiekowi wszystko wolno, mądry człowiek umie ryby łowić, no a ty, mówi, zabiłeś i wsypałeś się i w więzieniu gnijesz!" Tak mi to mówi. Istna świnia! Kiedyś to ja takich za drzwi wyrzucał, no a teraz słucham. Dużo przecie i mądrych rzeczy mówi. I mądrze pisze. Tydzień temu to mi zaczął artykuł czytać, ja tam trzy zdania to nawet przepisałem, ot poczekaj, to tutaj.

Mitia, spiesząc się, wyciągnął z kieszonki w kamizelce papierek i przeczytał:

„Żeby rozstrzygnąć to pytanie, trzeba przedewszystkiem swoją jaźń przeciwstawić własnej rzeczywistości".

— Rozumiesz, czy nie?

— Nie, nie rozumiem — powiedział Aljosza.

Z ciekawością słuchał i przyglądał się Miti.

— Ja także nie rozumiem. Niewyraźnie jakoś, niezrozumiale, ale mądrze. „Wszyscy, mówi, teraz tak piszą, dlatego, że już takie środowisko"... Środowiska się boją. Wiersze także pisuje, podlec, nóżkę Chochłakowej opiewał, ha, ha, ha!

— Słyszałem — powiedział Aljosza.

— Słyszałeś? A wiersze znasz?

— Nie.

—Mam je, oto one, przeczytam. Ty nie wiesz, nie opowiadałem ci, tu jest cała historja. Szelma! Trzy tygodnie temu zachciało mu się drażnić mnie: „Ty, mówi, wsypałeś się jak głupiec przez trzy tysiące, a ja sto pięćdziesiąt capnę, z wdową się ożenię i dom murowany w Petersburgu sobie kupię". I opowiedział mi, że stroi koperczaki do pani Chochłakow, a ta za młodych lat mądra nie była, a teraz

jako czterdziestolatka zupełnie rozum straciła „Tak uczuciowa, mówi, ale to bardzo, i tem ja ją dobiję. Ożenię się z nią, do Petersburga zawiozę, a tam zacznę pismo wydawać". I taką ma obrzydliwą lubieżną ślinę w ustach — nie ślinę na panią Chochłakow, lecz na te sto pięćdziesiąt tysięcy. I zapewniał, zapewniał, wciąż do mnie przychodzi codziennie: mięknie, powiada. Promieniał radością. Aż tu nagle wypędzili go: Perchotin, Piotr Iljicz, wziął górę, zuch! Pocałowałbym tego idjotę zato, że go wyrzucił! Otóż kiedy tak przychodził, to i sklecił te wiersze. „Pierwszy raz, mówił, ręce sobie brudzę, wiersze piszę, aby ją uwieść, znaczy dla pożytecznej sprawy. Gdy zagarnę jej pieniążki, będę mógł przynosić obywatelski pożytek". U nich przecież każde świństwo ma swoje obywatelskie usprawiedliwienie! „A jednak, mówi, lepiej od twojego Puszkina napisałem, ponieważ w żartobliwy wierszyk umiałem tchnąć obywatelskie strapienie". Co do Puszkina — to ja rozumiem. Cóż, że w rzeczy samej zdolnym był człowiekiem, kiedy tylko nóżki opisywał. Ale pysznił się Rakitka temi swojemi wierszami! Miłość własną mają rozwiniętą, miłość własną! „Ku wyzdrowieniu chorej nóżki mojego objektu", — taki tytuł wymyślił — wesoły człowiek!

Ach jak piękna jest ta nóżka
Spuchnięta na bieli łóżka.
Doktorzy jeżdżą i leczą
Bandażują i kaleczą.

Nie do nóżek ja tęsknię
Niech je Puszkin opiewa,
Lecz za główką ja tęsknię
Co już myśli nie miewa.

Miewała już trochę
Lecz nóżka przeszkodziła,
Niech więc nóżka wyzdrowieje
By się główka oświeciła.

Świnia, prawdziwa świnia, a filuternie u łotra wyszło! I rzeczywiście „obywatelską" tchnął. A jak rozgniewał się, gdy go wyrzucili. Zgrzytał zębami!

— Zemścił się — powiedział Aljosza. — Napisał korespondencję o pani Chochłakow.

I Aljosza naprędce opowiedział o korespondencji w „Echach". — To on, to on — potwierdził Mitia zasępiony, — on! Te korespondencje... wiem przecie... tyle już podłości napisano, o Gruszy naprzykład. I o tamtej również, o Kati... Hm!

Przeszedł się z zatroskaną miną po pokoju.

— Bracie, nie mogę tu u ciebie długo zostać — rzekł po krótkiej pauzie Aljosza. — Jutro straszny wielki dzień dla ciebie: sąd Boży spełni się... i oto podziwiam cię, chodzisz i zamiast o rzeczy, mówisz Bóg wie o czem...

— Nie, nie podziwiaj — przerwał mu z zapałem Mitia. — Cóż będę mówił o tym śmierdzącym psie, czy co? O zabójcy? Dosyć się o tem nagadaliśmy. Nie chcę więcej o śmierdzącym, synu Smierdziaszczej. Jego Bóg zabije, zobaczysz, dość!

Był bardzo podniecony. Podszedł do Aljoszy i nieoczekiwanie pocałował go. Oczy rzucały groźne błyski.

— Rakitin tego nie rozumie — zaczął jakby w jakiemś zapamiętaniu, — a ty, ty wszystko zrozumiesz. Dlatego cię tak pragnąłem tu mieć. Widzisz, już dawno chciałem ci tu, w tych oblazłych murach wiele wyrazić, ale milczałem o rzeczy najważniejszej: jakgdyby czas jeszcze nie nastał. Doczekałem się teraz ostatniego terminu, aby przed tobą duszę swą wylać. Bracie, ja w te dwa ostatnie miesiące nowego człowieka w sobie poczułem, zmartwychwstał we mnie nowy człowiek! Był uwięziony we mnie, ale nigdyby się nie objawił, gdyby nie ten piorun. To straszne! I co mi z tego, że będę w kopalniach dwadzieścia lat rudę młotkiem odbijał — nie boję się tego wcale, co innego mnie teraz przeraża: żeby nie odszedł ode mnie zmartwychwstały człowiek! Można znaleźć i tam, w kopalniach, pod ziemią, obok siebie, w takim samym katorżniku zamarzłe serce, można latami je piastować i wyrwać wreszcie z podziemi ku światłu Bożemu duszę wzniosłą, świadomość cierpiętniczą, wskrzesić anioła, odrodzić bohatera! A takich jest wielu, całe setki, i wszyscy my jesteśmy za nich winni! Dla-

czego mi się wówczas przyśnił „dzieciok", w takiej chwili? „Dlaczego biedny jest dzieciok?" To było prorocze objawienie w tej chwili! Za „dziecioka" pójdę. Ponieważ wszyscy są za wszystkich winni. Za wszystkich „dzieciok", ponieważ są i małe dzieci i duże dzieci. Wszyscy — „dziecioki". Za wszystkich pójdę, ponieważ musi przecież ktoś pójść za wszystkich. Nie zabiłem ojca, ale powinienem iść. Przyjmuję! Wszystko to nawiedziło mnie... ot w tych oblazłych murach. A przecież tam ich jest wielu, tam całe setki podziemnych ludzi z młotkami w ręku. O tak, będziemy w kajdanach i w niewoli, ale wówczas, w naszem wielkiem strapieniu, znowu odrodzimy się ku radości, bez której człowiek żyć nie może, a Bóg bytować, bo Bóg daje radość, to jego przywilej, wielki... Boże, niech omdlewa człowiek w modlitwie! Jak jak tam będę pod ziemią bez Boga? Łże Rakitin: jeżeli Boga wypędzą z ziemi, to my Go tam w podziemiach schronimy. Katorżnik bez Boga żyćby nie mógł, bardziej niż człowiek wolny! I wówczas my, ludzie podziemni, zaśpiewamy z czeluści ziemi tragiczny hymn do Boga, który żyje radością! Niech będzie pochwalony Bóg i Jego radość! Miłuję Go!

Mitia, wypowiadając tę dziką przemowę, dusił się nieledwie. Zbladł, wargi mu drżały, i z oczu potoczyły się łzy.

— Nie, życie jest pełne, życie istnieje i pod ziemią! — zaczął znowu. — Nie uwierzysz, Aleksy, jak ja teraz żyć pragnę, jakie łaknienie i świadomość zrodziła się we mnie! Rakitin tego nie rozumie, jemuby tylko kamienicę zbudować i lokatorów napchać, ale ciebie wypatrywałem. I czemże jest cierpienie? Nie boję się go, chociażby nawet było nieskończone. Teraz się nie boję, przedtem się bałem. Wiesz, ja może nie będę odpowiadał w sądzie... I, zdaje się, tyle we mnie siły teraz, że wszystko przezwyciężę, wszystkie cierpienia, byleby móc sobie powiedzieć i mówić każdej chwili: jestem! W tysiącach mąk — jestem, w katuszach — jestem! W ciemnicy siedzę, ale istnieję, słońce widzę, a jeżeli nawet słońca nie widzę, to wiem, że ono jest. A wiedzieć, że jest słońce, to już i całe życie masz. Aljosza, cherubinie ty mój, zabijają mnie rozmaite filozofje, do djabła z niemi. Iwan...

— Co Iwan? — przerwał mu Aljosza, ale Mitia go nawet nie słyszał.

— Widzisz, dawniej nie miałem wszystkich tych wątpliwości, ale wszystko się we mnie taiło. Może właśnie dlatego, że niewiadome fermentowały we mnie idee, może dlatego tak hulałem, awanturowałem się i wściekałem. Awanturowałem się, aby je okiełznać w sobie, stłumić. Brat Iwan to nie Rakitin, on piastuje swoją ideę. Brat Iwan to sfinks, i milczy, wciąż milczy. A mnie Bóg męczy. Tylko to mnie męczy. A co, jeżeli Go niema? Co, jeżeli ma rację Rakitin, że to wymyślona idea ludzkości? W takim razie jeżeli go niema, to człowiek jest panem ziemi, wszechstworzenia. Wspaniale! Tylko że jakże on będzie moralny bez Boga? Pytanie! Ja wciąż tylko o tem. Bo kogóż on będzie kochał, człowiek mianowicie? Komu będzie wdzięczny, komu hymn zaśpiewa? Rakitin śmieje się. Rakitin powiada, że można kochać ludzkość i bez Boga. No, ten smark gęgliwy może tylko tak twierdzić, a ja nie mogę tego zrozumieć, łatwo jest żyć Rakitinowi: „ty, powiada on do mnie dzisiaj, lepiej się staraj o rozszerzenie obywatelskich praw człowieka, albo choćby o to, aby cena na mięso nie wzrosła; na tej drodze prościej i lepiej okażesz miłość człowieczeństwa niż filozofowaniem". Ja mu na to: „A ty, powiadam, bez Boga sam na mięso podbijesz cenę, jeśli będzie okazja, i będziesz ciułał grosiki". Rozgniewał się. Bo i czem jest moralność? Odpowiedz mi, Aleksy. Ja mam jedną moralność, a Chińczyk — drugą — to znaczy, że to rzecz względna. Albo może nie? Może nie względna? Zdradliwe pytanie! Nie będziesz się śmiał, jeśli ci powiem, że dwie noce przez to nie spałem. Dziwię się tylko, jak to ludziska tam żyją i o tem wcale nie myślą. Marność! Iwan milczy. Myślę, że on mason. Pytałem go — milczy. Chciałem u źródeł jego wody się napić — milczy. Jeden tylko raz słówko powiedział.

— Co powiedział? — podjął skwapliwie Aljosza.

— Powiadam mu: a zatem wszystko jest dozwolone, jeżeli tak? A on się zasępił: „Fedor Pawłowicz, powiada, tatko nasz, był prosięciem, ale myślał prawidłowo". Tak

mi odpowiedział. To wszystko. To już mocniej od Rakitina.

— Tak — potwierdził z goryczą Aljosza. — Kiedy on u ciebie był?

— O tem później, teraz co innego. O Iwanie nic ci dotychczas nie mówiłem. Odkładałem do końca. Kiedy ta sztuczka tu się skończy i wydadzą wyrok, wtedy opowiem ci coś, wszystko opowiem. Jest tu jedna dziwna sprawa... A ty rozsądzisz w tej sprawie. A teraz to nie zaczynaj o tem, teraz milcz. Mówiłeś o jutrzejszej sprawie, a przecież, dasz wiarę, nic o tem nie wiem.

— Rozmawiałeś z tym adwokatem?

— Djabła tam adwokat! Wszystko mu opowiedziałem. Miękka szelma, stołeczna, Bernard! Tylko mi nie wierzy ani trochę. Myśli, że zabiłem, wyobraź sobie, widzę to dokładnie. „Poco pan w takim razie, pytam go, przyjechał mnie bronić?". Gwiżdżę sobie na nich. Też doktora sprowadzili, chce mnie zrobić za warjata. Nie pozwolę! Katarzyna Iwanowa chce do końca spełnić „swój obowiązek". Zmusza się do tego! (Mitia uśmiechnął się gorzko) Kotka! Okrutne serce! A przecież wie ona, co o niej mówiłem wówczas w Mokrej, że to niewiasta „wielkiego gniewu"! Donieśli jej. Tak, zeznań nabrało się jak piasku w morzu. Grzegorz upiera się przy swojem; Grzegorz jest uczciwy ale idjota. Wielu jest ludzi uczciwych z głupoty. To myśl Rakitina. Grzegorz jest mi wrogiem. Niektórych ludzi lepiej mieć za wrogów niż za przyjaciół. Mówię to o Katarzynie Iwanownej. Boję się, och, boję się, że w sądzie opowie o swoim czołobitnym pokłonie po tych czterech tysiącach pięćset! Do końca się skwituje. Nie chcę jej ofiary. Zawstydzi mnie w sądzie. Jakoś-to zniosę. Idź do niej, Aljosza, i poproś, aby nic o tem nie mówiła w sądzie. Czyż nie można? Do licha, wszystko jedno, zniosę to. A jej mi nie żal. Sama tego chce. Jak sobie pościele, tak się wyśpi. Ja, Aleksy, wygłoszę mowę. (Znowu uśmiechnął się z goryczą). Tylko... tylko że Grusza, Grusza, Panie Boże! Ona za co taką mękę na siebie weźmie? — zawołał naraz ze łzami. — Zabija mnie Grusza, myśl o niej zabija mnie, zabija! Była u mnie poprzednio...

— Opowiadała mi. Była dziś bardzo rozgoryczona na ciebie.

— Wiem. Do djabła z moim charakterem. Zazdrosny jestem. Gdy wychodziła, przyznałem się do błędu, całowałem ją. Nie prosiłem o przebaczenie.

— Dlaczego nie prosiłeś o przebaczenie? — zawołał Aljosza.

Mitia roześmiał się wesoło.

— Broń cie Boże, miły chłopcze, prosić kiedyś ukochanej kobiety o przebaczenie! Zwłaszcza ukochanej, zwłaszcza jakkolwiek wielka będzie twoja wina! Dlatego że kobieta — to djabli wiedzą co, na nich to się przynajmniej znam, bracie! Ale spróbuj przyznać się do winy „zawiniłem, wybacz, przepraszam", zobaczysz, jak zasypie cię gradem wyrzutów! Za nic w świecie nie przebaczą odrazu i poprostu, poniża się, zrobią z ciebie szmatę, wynajdą to, czego nie było, wszystko przypomną, nic nie zapomną, dodadzą od siebie i dopiero potem przebaczą! I to najlepsze z pośród nich! Ostatnie wyskrobki wyskrobie i na głowę ci wysypie — taka powiadam-ci sekutność w nich siedzi, we wszystkich bez wyjątku, w anielicach tych, bez których żyć niepodobna! Widzisz, kochanie, powiem ci szczerze i poprostu: każdy przyzwoity człowiek musi być pod pantoflem choćby u jednej jakiejś kobiety. Takie jest moje przekonanie; nie przekonanie lecz uczucie. Mężczyzna powinien być wielkoduszny, i mężczyznę to nie shańbi. Bohatera nawet nie shańbi, Cezara nie shańbi! No, a o przebaczenie bądź co bądź nie proś, nigdy i za nic w świecie. Miej w pamięci prawidło: zlecił ci je brat Mitia, zgubiony przez kobiety. Nie, wolę ja inaczej zasłużyć sobie na przebaczenie Gruszy. Czczę ją, Aleksy, czczę! Nie widzi tylko ona tego, nie, wciąż jej za mało tej miłości. I dręczy mnie, miłością dręczy. Co dawniej! Dawniej tylko przeguby infernalne kusiły mnie, a teraz całą jej duszę wchłonąłem w swoją i przez nią człowiekiem się stałem! Czy nam dadzą ślub? Bo bez tego umrę z zazdrości. Tak mi się wciąż śni, codziennie... Co ona ci o mnie mówiła?

Aljosza powtórzył wszystko, co mu Grusza powiedzia-

ła. Mitia wysłuchał z uwagą, kilka razy przepytał. Był zadowolony z relacji.

— Więc nie gniewa się, że jestem zazdrosny? — zawołał. — To kobieta! „Ja sama mam okrutne serce". Uch, lubię takie okrutnice, chociaż nie znoszę, gdy się urządza mi scenę zazdrości, nie znoszę! Będziemy się tłuc. Ale kochać — kochać ją będę bezgranicznie. Czy dadzą nam ślub? Czy dają ślub katorżnikom? To pytanie. A bez niej żyć nie mogę...

Zasępiony przeszedł się po pokoju. Tymczasem zapadł mrok. Nagle Mitia zatrwożył się niespokojnie.

— Więc sekret, mówi, sekret? Zmówiliśmy się więc we troje przeciw niej, i Katia bierze udział w zmowie? Nie, bracie, Gruszeńka, to nie to. Trafiłaś jak kulą w płot, spudłowałaś głupio, po kobiecemu! Aljosza, kochanie, ech, niech cię tam! Wyznam ci nasz sekret.

Obejrzał się wokoło, podszedł bliżej do Aljoszy i szepnął z tajemniczą miną, aczkolwiek w istocie nikt ich nie mógł usłyszeć: stary dozorca drzemał, zaś wartownicy byli zbyt oddaleni.

— Wyznam ci całą naszą tajemnicę! — szepnął Mitia. — Chciałem ci to później wyznać, bo czy zdecyduję się na co bez ciebie? Ty dla mnie jesteś wszystkiem. Chociaż mówię, że Iwan jest wyższy od nas, ale ty dla mnie cherubinem jesteś. Tylko twoje postanowienie rozstrzygnie. Może to ty jesteś tym wyższym człowiekiem, a nie Iwan. Widzisz, to kwestja sumienia, kwestja wyższego sumienia — tajemnica tak ważna, że nie potrafię sobie sam z nią poradzić i czekałem na twoje rozstrzygnięcie. A jednak teraz to zawcześnie rozstrzygać, bo trzeba czekać wyroku, jak wyrok zapadnie, to rozstrzygniesz mój los. Teraz nie rozstrzygaj; ja ci to zaraz powiem, dowiesz się, ale nie rozstrzygaj. Stój i milcz. Wszystkiego ci nie zdradzę. Powiem ci tylko samą ideę, bez szczegółów, a ty milcz. Ani pytania, ani ruchu, zgoda? A zresztą, Panie Boże, dokąd podzieję oczy twoje? Boję się, że oczy twoje wypowiedzą rozstrzygnięcie, pomimo milczenia. Ach, boję się! Aljosza, słuchaj: brat Iwan proponował *uciec*. Szczegółów ci nie

opowiem: wszystko jest obmyślone, wszystko można urządzić. Milcz, nie rozstrzygaj. Do Ameryki z Gruszą. Wszak bez Gruszy żyć nie mogę! No, a jeżeli jej tam do mnie nie puszczą? Czyż daje się śluby katorżnikom? Brat Iwan twierdzi, że nie. A bez Gruszy co ja tam pod ziemią z młotkiem? Ja sobie łeb rozwalę tym młotkiem! A z drugiej strony — sumienie? Wszak od cierpienia uciekłem! Była wskazówka — pogardziłem wskazówką, była droga oczyszczenia — odwróciłem się. Iwan powiada, że w Ameryce „przy dobrych skłonnościach można większą korzyść przynieść niż pod ziemią". No, a hymn podziemny gdzie się odśpiewa? Co Ameryka, Ameryka to znowu marność! No i oszustwa też nie brak w Ameryce, tak sobie myślę. Od ukrzyżowania uciekłem! Bo mówie ci, Aleksy, że ty jeden możesz to zrozumieć, i nikt inny, dla innych to głupstwa, brednie, majaczenie, to wszystko, co ci o hymnie mówiłem. Powiedzą, że zwarjowałem, albo żem głupiec. A nie zwarjowałem i nie głupiec. Iwan też rozumie hymn, uch, rozumie, ale nie odpowiada, milczy. Nie wierzy w hymn. Nie mów, nie mów, nie mów: wszak widzę, jak spoglądasz. Już rozstrzygnąłeś! Nie rozstrzygaj, miej litość nade mną, bez Gruszy żyć nie mogę, poczekaj do sądu!

Mitia skończył w dzikiem zapamiętaniu. Trzymał Aljoszę oburącz za plecy i swojem pytającem zaczerwienionem spojrzeniem wpił się w jego oczy.

— Czyż dają śluby katorżnikom? — powtórzył po raz trzeci błagalnym głosem.

Aljosza słuchał z niezwykłem zdziwieniem; był głęboko wstrząśnięty.

— Powiedz mi jedno — odezwał się. — Iwan bardzo nalega, i kto to pierwszy wymyślił?

— On, on to wymyślił, on nalega! On do mnie wcale nie przychodził, i nagle przyszedł, tydzień temu i odrazu od tego zaczął. Strasznie nalega. Nie prosi lecz każe. Nie wątpi o tem, że go posłucham, chociaż mu całe serce moje, jak i tobie, obnażyłem, i o hymnie mówiłem. Opowiedział mi, jak to urządzi, zebrał wszelkie potrzebne informacje, ale

o tem później. Wprost histerycznie pragnie tego. Rzecz najważniejsza, pieniądze: dziesięć tysięcy na ucieczkę, a dwadzieścia na Amerykę; za dziesięć tysięcy, powiada, urządzimy ci wspaniałą ucieczkę.

— I mnie zabronił opowiadać? — przepytał Aljosza.

— Wszystkim, a zwłaszcza tobie: tobie za nic w świecie! Boi się zapewne, że ty staniesz przede mną jak sumienie. Nie mów mu, że ci to powiedziałem. Uch, nie mów!

— Masz słuszność — zdecydował Aljosza. — Nie można postanowić przed wyrokiem sądowym. Potem sam rozstrzygniesz; wówczas znajdziesz w sobie nowego człowieka, on już rozstrzygnie.

— Nowego człowieka, albo Bernarda, który rozstrzygnie po swojemu! Bo, zdaje się, że i ja sam jestem Bernardem przeklętym! — warknął z goryczą Mitia.

— Ale czy naprawdę, bracie, nie masz żadnej nadziei na uniewinnienie?

Mitia nerwowo wzruszył plecami i potrząsnął głową.

— Aljosza, kochanie, czas już się pożegnać! — pospieszył Mitia. — Naczelnik zawołał już z podwórza, zaraz tu będzie. Za poźno, nieporządki. Uściśnij mnie czem prędzej, pocałuj, przeżegnaj mnie, kochanie, przeżegnaj na jutrzejszy krzyż...

Uścisnęli się i ucałowali.

— Iwan — rzekł nagle Mitia — każe mi uciec, a przecież wierzy, że zabiłem!

Smutny uśmiech pojawił się na jego wargach.

— Pytałeś go: wierzy czy nie? — zapytał Aljosza.

— Nie, nie pytałem. Chciałem zapytać, ale nie mogłem, siły nie starczyło. I poco, z oczu mu poznaję. Ano, żegnaj!

Jeszcze raz pocałowali się naprędce; Aljosza zbierał się już do wyjścia, gdy nagle Mitia znowu go przywołał:

— Stań przede mną, o tak.

I znowu mocno chwycił go za plecy. Twarz jego nagle pokryła się taką bladością, że nawet w półmroku było to strasznie widoczne. Wargi mu drgnęły, spojrzenie wpiło się w Aljoszę.

— Aljosza, powiedz mi całą prawdę, jak przed Panem Bogiem: wierzysz, że zabiłem, czy nie wierzysz? Ty sam, wierzysz czy nie? Całą prawdę, nie kłam! — krzyknął nieprzytomnie.

Aljosza jakby się zatoczył; zakłuło go w sercu.

— Ależ co ty... — wyjąkał zmieszany.

— Całą prawdę, całą, nie kłam! — powtórzył Mitia.

— Ani minuty nie wierzyłem, że ty jesteś mordercą!— wyrwało się nagle drżącym głosem z piersi Aljoszy; podniósł prawą rękę do góry, jakby biorąc Boga za świadka swych słów.

Błogi wyraz wypogodził momentalnie twarz Miti.

— Dziękuję ci! — rzekł przeciągle, jakgdyby wydając westchnienie po omdleniu. — Teraz mnie wskrzesiłeś... Czy dasz wiarę: dotychczas bałem się zapytać ciebie, pomyśl: ciebie, ciebie! Ano idź, idź! Pokrzepiłeś mnie na jutrzejszy dzień, niech cię Bóg błogosławi! No, idźże, kochaj Iwana!

Aljosza wyszedł we łzach. Taki stopień podejrzliwości, takie niedowierzanie w stosunku nawet do niego, do Aljoszy — wszystko to nagle objawiło Aljoszy taką otchłań nieutulonego strapienia i rozpaczy w duszy jego nieszczęsnego brata, jakiej dotychczas nie podejrzewał nawet. Głęboka bezgraniczna litość nagle opadła go i strasznie zmęczyła. Przeszyte serce okropnie bolało. „Kochaj Iwana" — przypomniał sobie nagle ostatnie słowa Miti. Zresztą szedł właśnie do Iwana. Jeszcze rano zapragnął go zobaczyć. Myśl o Iwanie trapiła go niemniej, jak o Miti, teraz zaś, po rozmowie z Mitią — bardziej niż kiedykolwiek.

V.

Nie ty, nie ty!

Po drodze do Iwana wypadło mu przejść mimo domu, który zamieszkiwała Katarzyna Iwanowna. W oknach się świeciło. Zatrzymał się więc i naraz postanowił wejść. Katarzyny Iwanownej nie widział już dłużej niż tydzień. Ale teraz przyszło mu na myśl, że w przeddzień tak donio-

słego dnia jest u niej zapewne Iwan. Zadzwonił i wszedł na schody, słabo oświetlone chińską latarnią. I w tej chwili ujrzał jakąś postać schodzącą z góry. Po chwili zrównał się z bratem. Iwan wychodził już od Katarzyny Iwanownej.

— Ach, to tylko ty — rzekł oschle Iwan Fedorowicz. — No, żegnaj. Ty do niej?

— Tak.

— Nie radzę, ona teraz „zdenerwowana", a ty ją jeszcze bardziej zdenerwujesz.

— Nie, nie! — zawołał z góry głos kobiecy, i drzwi otwarły się momentalnie. — Aleksy Fedorowiczu, pan od niego?

— Tak, byłem u niego.

— Kazał mi co powiedzieć? Niech pan wejdzie, Aleksy, i pan, Iwanie Fedorowiczu, niech pan bezwzględnie wróci. Sły-szy pan!

W głosie Kati zabrzmiała tak rozkazująca nutka, że Iwan Fedorowicz po krótkiem wahaniu postanowił wrócić na górę wraz z Aljoszą.

— Podsłuchiwała! — szepnął z irytacją do siebie, ale Aljosza usłyszał.

— Pozwoli pani, że zostanę w palcie — rzekł Iwan Fedorowicz, wchodząc do salonu. — Ja nawet nie usiądę. Nie zostanę dłużej niż minutę.

— Niech pan siada, Aleksy Fedorowiczu — rzekła Katarzyna Iwanowna, sama nie siadając. Niewiele się zmieniła od tego czasu, lecz ciemne jej oczy płonęły złowieszczym blaskiem. Aljosza przypomniał sobie później, że Katarzyna Iwanowna wydała mu się wówczas niezwykle piękną. — Co kazał powiedzieć?

— Tylko to jedno — odparł Aljosza, zaglądając jej prosto w oczy — żeby pani siebie oszczędzała i nie mówiła nic w sądzie o tem (trochę się zmieszał)... co było między wami... w pierwszych czasach znajomości... w tamtem mieście...

— A, o czołobitnym pokłonie za te pieniądze!—pod-

chwyciła, śmiejąc się gorzko. — Cóż, boi się o mnie czy o siebie — co? Powiedział, żebym oszczędziła — kogo? Jego czy siebie? Niech pan powie, Aleksy Fedorowiczu.

Aljosza spojrzał na nią uważnie, starając się ją zrozumieć.

— I siebie i jego — rzekł cicho.

— To — to właśnie — wycedziła ze złością i zapłoniła się nagle.

— Nie zna mnie pan jeszcze, Aleksy Fedorowiczu — rzekła groźnie — i ja siebie nie znam. Być może, że zechce mnie pan rozdeptać nogami po jutrzejszem badaniu.

— Pani zezna uczciwie — odezwał się Aljosza — tylko o to chodzi.

— Kobieta bywa często nieuczciwa — zgrzytnęła. — Jeszcze godzinę temu myślałam, że strasznie jest dotknąć tego potwora... jak gadu... a przecież nie, jest jeszcze wciąż dla mnie człowiekiem! I czy to on zabił? Czy on zabił? — zawołała histerycznie, odwracając się porywczo do Iwana Fedorowicza.

Aljosza natychmiast zrozumiał, że to samo pytanie zadała już Iwanowi Fedorowiczowi może minutkę przed jego przyjściem, i to nie po raz pierwszy, lecz setny, i że z tego powodu rozeszli się pokłóceni.

— Byłam u Smerdjakowa... Toś ty, toś ty mnie przekonał, że on jest ojcobójcą. Ja tylko tobie uwierzyłam! — dodała, zwracając się wciąż do Iwana Fedorowicza.

Ów uśmiechnął się z przymusem. Aljosza drgnął, usłyszawszy to „ty". Nie podejrzewał ich o taką bliskość.

— Jednakże dosyć — odparł stanowczo Iwan. — Idę już. Przyjdę jutro.

I odwróciwszy się, wyszedł z pokoju.

Katarzyna Iwanowna naraz jakimś stanowczym gestem uchwyciła Aljoszę za obie ręce.

— Niech pan idzie za nim! Niech go pan dopędzi! Niech go pan nie zostawia ani chwili — zawołała w pośpiechu. — On obłąkany. Pan nie wie, że on zwarjował? Ma gorączkę, nerwową gorączkę! Doktór mi mówił, niech pan idzie, niech pan biegnie za nim...

Aljosza zerwał się i pobiegł za Iwanem Fedorowiczem, który nie zdążył się jeszcze zbytnio oddalić.

— Czego chcesz? — obrócił się naraz ku Aljoszy, widząc, że ten go dogania. — Kazała ci biec za mną, bo zwarjowałem. Znam to na pamięć — dodał rozdrażniony.

— Ona oczywiście się myli, ale i ma słuszność, bo ty jesteś chory — rzekł Aljosza. — Spojrzałem tam na twoją twarz; masz chorą twarz, bardzo, Iwan!

Iwan nie zatrzymał się. Aljosza szedł za nim.

— A ty wiesz, Aleksy Fedorowiczu, jak ludzie warjują? — zapytał Iwan cichym, już zupełnie nierozdrażnionym głosem, w którym brzmiała nutka prostodusznego zaciekawienia.

— Nie, nie wiem; przypuszczam, że wiele jest odmian obłędu.

— A czy można obserwować na sobie, jak się warjuje?

— Myślę, że nie można badać siebie w takim stanie— odrzekł ze zdziwieniem Aljosza.

Iwan milczał pół minuty.

— Jeśli chcesz ze mną o czemś mówić, to proszę cię, zmień temat — odezwał się nagle.

— Ale, żeby nie zapomnieć, mam do ciebie list — rzekł nieśmiało Aljosza i, wyciągnąwszy list Lizy z kieszeni, podał Iwanowi. Podeszli akurat do latarni. Iwan z pierwszego wejrzenia poznał charakter pisma.

— A, to od tego djabełka! — roześmiał się złośliwie i, nie otwierając, podarł list na kilka kawałków i rzucił na bruk. Skrawki rozleciały się.

— Szesnastu lat jeszcze nie ma, zdaje się, a już się narzuca! — rzekł z pogardą, idąc dalej.

— Jakto narzuca? — zawołał Aljosza.

— Wiadomo, jak rozpustne kobiety narzucają się.

— Cóż ty, Iwanie, cóż ty? — zawołał gorzko i z zapałem Aljosza. — To dziecko, krzywdzisz dziecko, krzywdzisz dziecko! Chora jest, ona sama jest bardzo chora, ona też może warjuje... Nie mogłem ci nie oddać tego

listu... Naodwrót, chciałem od ciebie coś usłyszeć... aby ją uratować.

— Nie masz co słyszeć. Jak dziecko, to nie jestem niańką. Milcz, Aleksy. Przestań. Ja nawet o tem nie myślę.

Znowu milczeli.

— Ona teraz całą noc będzie się modlić do Matki Boskiej, aby jej wskazała, jak jutro zeznawać — ostro i złośliwie odezwał się znów Iwan.

— Ty... ty o Katarzynie Iwanownej?

— Tak. Czy ma się stać zbawicielką czy złym duchem Mitienki! Będzie się modlić, aby się jej objawiło. Sama jeszcze, widzicie, nie wie, nie zdążyła się przygotować. Też mnie ma za niańkę, chce abym ją ukołysał.

— Katarzyna Iwanowna kocha cię, bracie — rzekł Aljosza ze smutną serdecznością.

— Być może. Tylko że ja nie jestem na nią amatorem.

— Ona cierpi. I poco jej mówisz... czasem.. takie słowa, że ona zaczyna ufać? — dodał Aljosza z nieśmiałym wyrzutem. — Wszak wiem, że jej dawałeś nadzieję, wybacz, że ja tak mówię.

— Nie mogę tu postąpić jak należy, zerwać i w oczy jej powiedzieć! — odrzekł z irytacją Iwan. — Trzeba poczekać, aż zapadnie wyrok na zabójcę. Jeżeli zerwę z nią, to ona, chcąc się zemścić na mnie, jutro zgubi tego łajdaka w sądzie, bo go nienawidzi i wie, że nienawidzi. Tu wszystko jest kłamstwem, kłamstwo na kłamstwie! Teraz zaś, pókim z nią nie zerwał, wciąż jeszcze ma nadzieję i nie zechce zgubić tego potwora, wiedząc, że ja go chcę uratować. I kiedyż to wreszcie zapadnie ten przeklęty wyrok!

Słowa „zabójca" i „potwór" boleśnie odezwały się w sercu Aljoszy.

— Ale czemże ona może zgubić brata? — zapytał, zastanawiając się nad słowami Iwana. — Cóż ona może powiedzieć takiego, co mogłoby zgubić Mitię?

— Ty tego nie wiesz. Ma w ręku dokument, własnoręczny, Mitienki, dowodzący matematycznie, że on zabił Fedora Pawłowicza.

— Nie może być! — zawołał Aljosza.

— Jakto nie może? Ja sam czytałem.

— Takiego dokumentu być nie może! — powtórzył z zapałem Aljosza. — Nie może być, bo zabójcą jest nie on. Nie on zabił ojca, nie on!

Iwan Fedorowicz nagle przystanął.

— Któż jest zabójcą, po waszemu? — zapytał ozięble i nawet jakoś wyniośle, z góry.

— Ty sam wiesz kto — cicho i wnikliwie odrzekł Aljosza.

— Kto? To ta bajka o tym obłąkanym idjocie, epileptyku? O Smerdjakowie?

Aljosza poczuł nagle, że drży jak w febrze.

— Ty sam wiesz kto — wyrzekł bezsilnie.

Brakło mu tchu.

— Ale kto, kto? — z wściekłością prawie zawołał Iwan.

Stracił całą swą powściągliwość.

— Wiem tylko jedno — mówił szeptem Aljosza — *nie ty* zabiłeś ojca.

— „Nie ty". Co znaczy nie ty? — zdumiał się Iwan.

— Nie ty zabiłeś ojca, nie ty! — powtórzył z mocą Aljosza.

Pół minuty trwało milczenie.

— Ale ja sam wiem, że nie ja, co ty bredzisz? — uśmiechnął się Iwan blado i z grymasem.

— Nie, Iwanie, tyś sam sobie kilka razy mówił, że ty jesteś zabójcą.

— Kiedy mówiłem? W Moskwie byłem... Kiedy mówiłem? — bełkotał Iwan ostatecznie zmieszany.

— Mówiłeś to sobie wiele razy, gdy byłeś sam przez te okropne dwa miesiące — wciąż cicho i wyraźnie mówił Aljosza. Ale teraz mówił jakby nie od siebie, nie z własnej woli, jakby ulegając jakiemuś nieodpartemu rozkazowi. — Oskarżałeś siebie i przyznawałeś się, że zabójcą jesteś

tylko ty. Ale nie ty zabiłeś, mylisz się, nie ty jesteś zabójcą, czy słyszysz mnie, nie ty! Bóg mnie posłał, aby ci to powiedzieć.

Obaj milczeli. Długą minutę trwało to milczenie. Obaj stali i zaglądali sobie w oczy. Obaj byli bladzi. Naraz Iwan zatrząsł się i mocno schwycił Aljoszę za ramię.

— Ty byłeś u mnie! — rzekł zgrzytliwym szeptem.— Ty byłeś u mnie w nocy, kiedy on przyszedł... Przyznaj się... tyś go widział, widziałeś?

— O kim ty mówisz... o Miti? — zapytał ze zdziwieniem Aljosza.

— Nie o nim, do djabła z potworem! — krzyknął dziko Iwan. — Skąd ty wiesz, że on do mnie przychodzi? Jak się dowiedziałeś, mów!

— Kto on? Nie wiem, o kim mówisz — wyszepnął Aljosza jakby w strachu.

— Nie, ty wiesz... inaczej jakżebyś... nie może być, abyś nie wiedział...

Ale naraz jakby pohamował się. Stał i coś jakgdyby obmyślał. Dziwny uśmiech wykrzywił jego wargi.

— Bracie — zaczął drżącym głosem Aljosza — powiedziałem ci to dlatego, że ty mi uwierzysz, wiem to. Ja ci na całe życie słowo to powiedziałem: *nie ty!* Słyszysz, na całe życie. I Bóg kazał mi to powiedzieć tobie, choćbyś mnie miał od tej chwili znienawidzieć na zawsze...

Ale Iwan Fedorowicz zapewne zdążył się już opanować.

— Aleksy Fedorowiczu — odrzekł z chłodnym uśmieszkiem — nie cierpię proroków i epileptyków; a szczególnie posłów od Boga, wiecie o tem dobrze. Od tej chwili zrywam z wami i, zdaje się, na zawsze. Proszę w tejże chwili, na tym rogu, zostawić mnie. Droga wasza prowadzi zresztą tędy. Szczególnie nie ważcie się zajść do mnie dzisiaj! Słyszycie?

Odwrócił się i stanowczym krokiem poszedł przed siebie.

— Bracie — krzyknął za nim Aljosza — jeżeli się dzisiaj co z tobą stanie, to pomyśl przedewszystkiem o mnie!.

Ale Iwan nie odpowiedział. Aljosza stał na rogu pod latarnią, póki Iwan nie skrył się w mroku. Wówczas odwrócił się i powolnym krokiem wszedł w zaułek. Nie mieszkał razem z Iwanem. Żaden z braci nie chciał zamieszkać w pustym domu Fedora Pawłowicza. Aljosza wynajmował pokój umeblowany przy rodzinie mieszczańskiej; Iwan zaś Fedorowicz mieszkał dosyć daleko i zajmował przestronne i dosyć komfortowe mieszkanie w oficynie wcale ładnego domu, należącego do pewnej zamożnej wdowy po urzędniku. Usługiwała mu tylko bardzo sędziwa, zupełnie głucha, zreumatyzowana staruszka, która kładła się o szóstej wieczór i wstawała o szóstej rano. Iwan Fedorowicz przez te dwa miesiące stał się dziwnie niewymagający, i bardzo polubił samotność. Nawet sam sprzątał swój pokój, do innych zaś pokojów swego apartamentu rzadko zaglądał. Doszedł więc do bramy i ujął już za dzwonek, lecz nagle się zatrzymał. Poczuł, że trzęsie się jeszcze ze złości. Naraz opuścił rękę, splunął, odwrócił się i prędko podążył na przeciwległy kraniec miasta, dwie wiorsty od swego mieszkania. Zmierzał do zapadniętego domku drewnianego, w którym kwaterowała Marja Kondratjewna, dawna sąsiadka Fedora Pawłowicza, ta sama, której Smerdjakow swego czasu śpiewał kuplety i przygrywał na gitarze. Dawny swój domek sprzedała i zamieszkała z matką w zwyczajnej izbie, chory zaś, prawie umierający Smerdjakow od samej śmierci Fedora Pawłowicza przeniósł się do sąsiadek. Do niego szedł teraz Iwan Fedorowicz pod wpływem nagłej i nieprzepartej refleksji.

VI.

Pierwsza rozmowa ze Smerdjakowym.

To po raz trzeci szedł Iwan Fedorowicz do Smerdjakowa po powrocie z Moskwy. Pierwszy raz po katastrofie widział go i rozmawiał z nim zaraz po przyjeździe, tego samego dnia, następnie odwiedził go jeszcze raz, dwa tygodnie później. Ale potem przestał do niego chodzić i od

miesiąca już nie widział go i prawie nic o nim nie słyszał. Wrócił zaś wówczas z Moskwy Iwan Fedorowicz na piąty dzień po śmierci rodzica, wskutek czego nie był na pogrzebie, który odbył się akurat w przeddzień jego przyjazdu. A spóźnił się tak bardzo, ponieważ Aljosza, nie znając dokładnie jego moskiewskiego adresu, zwrócił się do Katarzyny Iwanownej, ta zaś zawiadomiła siostrę swą i ciotkę, spodziewając się, że Iwan Fedorowicz zaraz po przyjeździe do Moskwy odwiedzi obie damy. Lecz w istocie Iwan Fedorowicz odwiedził je dopiero w cztery dni po przyjeździe; przeczytawszy depeszę, natychmiast wyruszył w drogę. Pierwszą osobą, którą spotkał w naszem mieście, był Aljosza. Iwan zdumiał się bardzo, że Aljosza nawet podejrzewać nie chce Mitię, a oskarża wręcz Smerdjakowa, naprzekór opinji całego miasteczka. Rozmawiał następnie ze sprawnikiem, prokuratorem, dowiedział się szczegółów aktu oskarżenia, z coraz większem zdziwieniem myślał o opinji Aljoszy i kładł ją na karb uczucia rodzinnego. Sądził, że Aljosza z litości wierzy w niewinność brata Miti, którego bardzo kocha. Przy sposobności w dwóch słowach raz na zawsze określimy stosunek uczuciowy Iwana do Dymitra Fedorowicza: zdecydowanie go nie lubił i w najlepszym razie miał dlań chwilami uczucie litości, ale i ono było zmieszane z pogardą, dochodzącą do obrzydzenia. Mitia nawet zewnętrznie był mu wyjątkowo niesympatyczny. To też oburzała go miłość Katarzyny Iwanownej dla Dymitra. Widział się jednak z nim odrazu po przyjeździe, i wyszedł jeszcze mocniej przeświadczony o jego winie. Zastał go bowiem w stanie niepokoju, w wyjątkowo chorobliwem podnieceniu. Był bardzo wymowny, ale roztargniony, przeskakiwał z tematu na temat, mówił bardzo ostro, oskarżał Smerdjakowa i strasznie się plątał. Najwięcej mówił o tych trzech tysiącach, które mu „ukradł" nieboszczyk. „Pieniądze są moje i były moje — twierdził Mitia — gdybym je nawet ukradł, to i tak miałbym słuszność". Nie przeczył poszlakom, które przemawiały przeciw niemu, i gdy nawet interpretował fakty na swoją korzyść, to też bardzo mętnie i niedorzecznie. Miało się wrażenie, jakby się wcale nie zamierzał usprawiedliwiać i obro-

nić, owszem gniewał się, gorączkował i wymyślał. Z pogardliwym śmiechem wysłuchał o zeznaniu Grzegorza, dotyczącem otwartych drzwi. Zapewniał, że to „djabeł otworzył". Ale żadnych konsekwentnych i logicznych wyjaśnień nie mógł udzielić. Zdążył nawet obrazić Iwana Fedorowicza, powiedział mu ostro, że nie ci mają prawo podejrzewać i oskarżać go, którzy sami twierdzą, że „wszystko jest dozwolone". Wogóle zaś tym razem z Iwanem obszedł się bardzo niesympatycznie. Zaraz po tem spotkaniu z bratem, Iwan Fedorowicz udał się do Smerdjakowa.

Jeszcze w wagonie, jadąc z Moskwy, myślał wciąż o Smerdjakowie i o ostatniej swej z nim rozmowie przed wyjazdem. Wiele rzeczy konfudowało go, niejedna rzecz wydała mu się podejrzaną. Ale, zeznając przed sędzią śledczym, Iwan Fedorowicz chwilowo nie wspominał o tej rozmowie. Wszystko odłożył do spotkania ze Smerdjakowym. Ów leżał wówczas w szpitalu miejskim. Doktór Hertzenstube i doktór Warwiński na uporczywe zapytania Iwana Fedorowicza odpowiedzieli stanowczo, że padaczka Smerdjakowa jest autentyczna, i nawet zdziwili się, gdy zapytał: „Czy Smerdjakow nie symulował w dniu katastrofy?" Dali mu do zrozumienia, że atak był niezwykle silny, powtarzał się i trwał kilka dni, że życie pacjenta było poważnie zagrożone i że dopiero teraz, po zastosowaniu radykalnych środków, można już z całą pewnością orzec, że chory wyliże się jakoś, chociaż bardzo być może (dodał doktór Hertzenstube), że rozum jego nie wróci do równowagi „jeśli nie na całe życie, to przynajmniej na długi okres czasu". Na niecierpliwie zapytanie Iwana Fedorowicza: „zatem jest teraz obłąkany?", odpowiedzieli, że „w pełnem znaczeniu tego słowa — nie, ale ujawniają się pewne nienormalności". Iwan Fedorowicz postanowił się sam przekonać, jakie mianowicie nienormalności. W szpitalu dopuszczono go odrazu do chorego. Smerdjakow leżał na pryczy. Obok niego na drugiej leżał chory na puchlinę wodną mieszczanin, który dogorywał; ten nie mógł im przeszkadzać. Smerdjakow na widok Iwana Fedorowicza wyszczerzył zęby, i w pierwszej chwili jakgdyby nawet struchlał. Tak przynajmniej wydało się Iwanowi Fedo-

rowiczowi. Ale to trwało tylko chwilę, zaraz bowiem potem opanował się i nawet zdumiał gościa swoim spokojem. Z pierwszego wejrzenia nietrudno było stwierdzić, że pacjent jest bardzo chory. Wycieńczony, bardzo chudy i żółty mówił powoli, jakby z trudem poruszał językiem. Żalił się na ból głowy i na łamanie w kościach. Jego sucha, trzebieńcza twarz zmniejszyła się, skurczyła, włoski u skroni były skręcone i do góry sterczało zamiast loku tylko wąziutkie pasemko. Jedynie przymrużone i jakby porozumiewawczo migające lewe oczko przypominało dawnego Smerdjakowa. „Z mądrym człowiekiem to i pogadać ciekawie", pomyślał Iwan Fedorowicz. Usiadł przy łóżku na taburecie. Smerdjakow z męczącym wysiłkiem poruszył się na posłaniu, ale nic nie rzekł, milczał i nawet spoglądał bez zaciekawienia.

— Czy możesz ze mną rozmawiać? — zapytał Iwan Fedorowicz. — Nie zmęczę cię.

— Bardzo nawet mogę — wymemłał Smerdjakow słabym głosem. — Dawno raczył pan przyjechać? — dodał z politowaniem, jakby zachęcając onieśmielonego gościa do mówienia.

— Dopiero dzisiaj... Bigos wasz tutejszy chłeptać.

Smerdjakow westchnął.

— Czego wzdychasz, wszak wiedziałeś? — wyciął Iwan Fedorowicz.

Smerdjakow milczał statecznie.

— Jakże nie wiedzieć. Zgóry wiadomo było. Ale skąd można było wiedzieć, że tak to poprowadzi?

— Co poprowadzi? Nie kręć! Wszak przepowiedziałeś, że dostaniesz ataku, jak tylko zejdziesz do piwnicy? Zgóry mówiłeś o piwnicy.

— Pan mówił o tem sędziemu? — nie odpowiadając wprost, zapytał Smerdjakow ze spokojną ciekawością.

Iwan Fedorowicz nagle się rozgniewał.

— Nie, jeszcze nie mówiłem, ale powiem bezwarunkowo. Ty mi, bracie, musisz wiele rzeczy wyjaśnić, i wiedz, kochasiu, że nie pozwolę ci się bawić ze mną!

— A pocobym miał się bawić, kiedy w panu jest

moja nadzieja, faktycznie jak w Panu Bogu! — odrzekł Smerdjakow, z tym samym spokojem, tylko na chwilę zamknął oczy.

— Po pierwsze — zaczął Iwan Fedorowicz — wiem, że ataków padaczki nie można przewidzieć. Informowałem się, nie kręć bratku. Dnia i godziny nie można przewidzieć. Jakżeś mi wtedy oznajmił dzień i godzinę i w dodatku piwnicę? Skąd mogłeś zgóry wiedzieć, że wpadniesz właśnie do tej piwnicy, o ile nie udawałeś specjalnie padaczki?

— Do piwnicy i przez tego trza było schodzić, kilka razy nawet dziennie — rzekł przeciągle Smerdjakow. — Rychtyk rok temu nieprzymierzając zleciałem zgóry. Przezwarunkowo nie można przepowiedzieć zgóry padaczki, ani dnia ani godziny, to się wi, ale przeczucie mieć można,

— A tyś przepowiedział dzień i godzinę!

— Co się tycze mojej choroby, to niech pan łaskawie dowie się od tutejszych dochtorów: czy prawdziwa była padaczka, czy nie prawdziwa, i niema co z panem o tem gadać.

— A piwnica? Piwnicę jak przeczułeś?

— To się pan uczepił to tej piwnicy! Jakem wtedy złaził do piwnicy, to odraz w strachu wielkim byłem: dlatego w strachu, bo pana straciłem i nijakiej obrony na całym świecie już nie mogłem się spodziwać. Złaże ja rychtyk do tej piwnicy i myślę sobie: „ot zara przyjdzie, zara faktycznie uderzy, rymnę czy nie?". I z tego samego wątpienia chyciła mnie w gardle samotaka spazma... ano i zleciałem. Wszystko to i całą naszą rozmowę z panem łaskawym, co to w przeddzień na odwieczerz przy furtce, jakem ze strachu swego przed panem się spowiadał, i o piwnicy—wszystko to faktycznie opowiedziałem dochtorowi Hertzenstube i sędziemu Mikołajowi Partenowiczowi, i wszyscy oni w protokóle zapisali. A tutejszy dochtór, pan Warwiński, tak im wszystkim tłomaczył, że to wszyskto ino z myśli przyszło, z to-tej podejrzliwości samej „że to niby spadnę, czy nie spadnę?" A ona tu mnie odrazu chyciła.

Tak zapisano, że przezwarunkowo tak musiało być, z tego samego strachu mojego.

Co rzekłszy, Smerdjakow, jakby bardzo zmęczony przemową, zachwycił tchu.

— Więc złożyłeś już takie zeznanie? — zapytał Iwan Fedorowicz, zbity z tropu. Chciał mu bowiem napędzić strachu pogróżką, że poda do wiadomości ich ówczesną rozmowę, — tymczasem okazało się, że już sam Smerdjakow ją rozgłosił.

— Czegoj się bać? Niech całą prawdę zapiszą — odrzekł stanowczo Smerdjakow.

— I całą naszą rozmowę przy furtce opowiedziałeś?

— Nie, nie żeby całą.

— Że umiesz udawać atak padaczki, jakeś się chwalił wówczas?

— Nie, tego nie mówiłem.

— Powiedz mi teraz, pocoś ty mnie wtedy do Czermaszni posyłał?

— Bałem się, że do Moskwy pan pojedzie, a Czermasznia to przecież bliższa.

— Łżesz, ty sam mnie zapraszałeś do wyjazdu: niech pan jedzie, mówiłeś, dalej od grzechu!

— To ja wtedy faktycznie z przyjaźni i że oddany jestem panu serdecznie. Kiedy przeczułem w domu nieszczęście, zrobiło mi się żal pana, jużci. Ino że bardziej jeszcze siebie mi się żal zrobiło niż pana. Dlatego mówiłem faktycznie: niech pan jedzie dalej od grzechu, żeby pan zmiarkował, że w domu źle będzie, i został rodzica bronić.

— Powiedziałbyś to wyraźniej, idjoto! — wybuchnął Iwan Fedorowicz.

— Jakże mogłem mówić wyraźniej? Ze strachu mówiłem, a pan mógł się przecie na mnie rozgniewać. Ja, ma się rozumieć, mogłem się bać, żeby Dymitr Fedorowicz nie zrobił jakiego szkandalu, i żeby tych pieniędzów nie zabrał, bo za swoje uważał, a czy kto mógł wiedzieć, że to się skończy takiem zabójstwem? Myślałem, że on tylko chapnie te trzy tysiące, które u starszego pana pod materacem

leżały, w kopercie, a on przyszedł i zakatrupił. Gdzież tam mogłem się domyślić, mój panie?

— Ale jeśli sam powiadasz, że nie można było się domyślić, to jak ja mogłem się domyślić i zostać? Co ty plączesz? — rzekł Iwan Fedorowicz.

— A przez to mógł się pan domyślić, że ja pana do Czermaszni wysłałam zamiast do tej Moskwy.

— I jakże tu się domyślić?

Smerdjakow wydawał się bardzo zmęczony i znowu umilkł na chwilę.

— A przez to mógł się pan faktycznie domyślić, że jeżeli ja pana do Czermaszni zamiast do Moskwy wysełam, to znaczy potrzebna pańska bliższa tu obecność, ano bo do Moskwy przecie daleko, a Dymitr Fedorowicz, gdyby wiedział, że pan tu gdzie blisko, nie miałby tyla śmiałości. Ano i mnie mógłby pan w razie czego przyjechawszy obronić, bo ja sam panu mówiłem o chorobie Grzegorza Wasilijcza, i że padaczki się boję. I mówiąc panu o tych sztukaniach, co to z nieboszczykiem umówione były, i że Dymitr Fedorowicz zna je ode mnie, miarkowałem sobie, że pan wnet się domyśli, że on na wąs mota, i dlatego nietylko do Czermaszni, ale wcale pan nigdzie nie wyjedzie.

„Mówi bardzo logicznie — pomyślał Iwan Fedorowicz — chociaż nieskładnie; cóżto Hertzentube mówił o jakichś nienormalnościach?"

— Oszukujesz ty mnie coś, niech cię djabli porwą! — krzyknął ze złością.

— A ja, przyznam się, pomyślałem sobie wtedy, że pan faktycznie się domyślił — odrzekł Smerdjakow z prostoduszną miną.

— Gdybym się domyślił, tobym został! — znowu wybuchnął Iwan Fedorowicz.

— Ano, ja myślałem, że pan o wszystkiem się domyśliwszy odraz dlatego prędko wschopił się byle dalej od grzechu, byleby gdzie uciec, uciec ze strachu.

— Myślałeś, że wszyscy są tacy tchórzliwi jak ty?

— Z przeproszeniem, myślałem, że pan taki jak i ja.

— Naturalnie, trzeba było się domyślić — denerwował się Iwan — i zresztą domyślałem się jakiejś podłej

nikczemności z twojej strony... Tylko że ty łżesz, znowu łżesz — zawołał, nagle sobie coś przypominając. — Pamiętasz, jakeś podbiegł do pojazdu i powiedział: „z mądrym człowiek to i pogadać ciekawie!". To znaczy cieszyłeś sie, że jadę, skoro pochwaliłeś?

Smerdjakow raz jeszcze i jeszcze westchnął. Rumieniec ledwo wystąpił na twarzy.

— Jeślim się cieszył, — rzekł zadyszanym głosem — to ino przez to, że zgodził się pan jechać do Czermaszni zamiast do Moskwy. Bo przecie zawszeć to bliżej; a te słowa to powiedziałem nie żeby dla pochwały, ino dla nagany. Pan tego nie zmiarkował.

— Jaka nagana?

— Ano nibyto że pan, wiedząc co się świeci, zostawia własnego rodzica na Boską wolę i mnie bronić nie chce, bo przecie i mnie mogli posądzać, że ja te trzy tysiące świsnąłem.

— Bodaj cię djabli! — znowu zaklął Iwan. — Poczekaj: o znakach, o stukaniach tamtych mówiłeś sędziemu i prokuratorowi?

— Wszystko jak jest mówiłem.

Iwan ponownie się zdziwił.

— Jeśli mogłem o czem pomyśleć, to tylko o podłości z twojej strony. Dymitr mógł zabić, ale żeby ukradł — wtedy nie wierzyłem... A z twojej strony spodziewałem się wszelkiej nikczemności. Sam przecie mówiłeś, że umiesz udawać padaczkę, pocoś to mówił?

— Z naiwności swojej wielkiej. I nigdy w życiu nie udawałem padaczki naumyślnie, a powiedziałem to, żeby się ino przed panem pochwalić. Polubiłem pana bardzo i byłem z panem szczyry.

— Brat wskazuje na ciebie jako na mordercę i złodzieja.

— A co mu inszego zostało? — wyszczerzył zęby Smerdjakow z goryczą. — I któż mu wierzy po tych wszystkich poszlakach? Grzegorz Wasiljewicz widział na własne oczy otwarte drzwi, to niby jak? Niech go tam, Bóg z nim. Siebie ratuje...

Umilkł i nagle po krótkiej pauzie dodał:

— Abo i cóż, znowu to samo: on chce na mnie zwalić, że nibyto ja zabiłem — słyszałem już o tem, jużci — ano to samo wziąć na rozum, że ja umiem udawać padaczkę: to czybym to mówił panu, że udawać umiem, gdybym miał zamiar zabić rodzica pańskiego? Gdybym takie zbrodnie zamyślił, to czy można być faktycznie takim idjotą, żeby zgóry przeciw sobie wskazać takie coś i to jeszcze przed synem rodzonym?! Czy to możliwe? Żeby takie coś mogło faktycznie się zdarzyć, to za przeproszeniem, całkiem niemożliwe. Ot tera to nikt naszej rozmowy nie słyszy prócz totej samej Opatrzności, więc gdyby pan opowiedział prokuratorowi i Mikołajowi Partenowiczowi, to byłby pan mnie tylko obronił: bo i cóż to za zbrodzień, jeżeli zgóry taki szczyry i prostoduszny? To wszystko nietrudno pomiarkować.

— Słuchaj — Iwan Fedorowicz nagle przerwał rozmowę i podniósł się, przekonany ostatnim dowodem Smerdjakowa — ja ciebie wcale nie posądzam i nawet uważam, że to śmiesznie posądzać... przeciwnie, jestem ci wdzięczny, żeś mnie uspokoił. Teraz idę, ale jeszcze do ciebie przyjdę. Tymczasem bądź zdrów. Nie potrzebujesz czego?

— Dziękuję panu. Marta Ignatjewna nie zapomina o mnie i wszystkiego dostarcza, co trzeba, po dawnej swojej dobroci. Codzień odwiedzają mnie dobrzy ludzie.

— Do zobaczenia. Zresztą o tem, że ty umiesz udawać, nikomu nie powiem... no i tobie nie radzę mówić — rzekł nagle Iwan.

— Bardzo to rozumiem. A jeżeli pan nie powie, to i ja tyż nie powtórzę całej naszej rozmowy tamtejszej przy furtce...

Iwan Fedorowicz wyszedł i dopiero w korytarzu uprzytomnił sobie, że ostatnie zdanie Smerdjakowa zawiera jakiś obraźliwy sens. Chciał się wrócić, ale po chwili zaniechał. „Bzdury!" — rzekł do siebie i prędkim krokiem wyszedł ze szpitala. Rzecz najważniejsza, czuł się istotnie uspokojony i właśnie uspokojony tem, iż zabójcą jest nie

Smerdjakow, lecz brat jego własny Mitia. Zdawałoby się, że powinno było się dziać naodwrót. A dlaczego tak właśnie się działo — tego nie chciał wtedy analizować, nawet poczuł obrzydzenie na myśl o babraniu się w swoich wrażeniach. Chciał jakby o czemś czemprędzej zapomnieć. Następnie, kilka dni później, zbadawszy dokładniej sprawę i poszlaki, uwierzył już z całą pewnością w winę brata. Niektóre poszlaki były wprost wstrząsające, jak naprzykład zeznania Feni i jej matki, nie mówiąc już o Perchotinie, o restauracji, o sklepie Płotnikowa. Zwłaszcza obciążające były szczegóły. Tajne sygnały, „stukania" poraziły sędziego i prokuratora prawie w tym samym stopniu, co twierdzenia Grzegorza Wasiljewicza o otwartych drzwiach. Żona Grzegorza, Marta Ignatjewna, na pytanie Iwana Fedorowicza odpowiedziała wręcz, że Smerdjakow całą noc leżał za przepierzeniem „trzech kroków nie było od naszego łóżka"; chociaż spała mocno, ale wielokrotnie się budziła, słysząc jak on jęczy: „wciąż stękał, całą noc stękał". Pomówił też Iwan z doktorem Hertzentube. Powiedział mu, że wedle jego zdania Smerdjakow wcale nie jest nienormalny, tylko może bardzo osłabiony. Doktór odpowiedział lekkim uśmieszkiem. „A czy wie pan, czem on się teraz zajmuje?" zapytał Iwana Fedorowicza — „francuskich liter się wkuwa; pod poduszką ma kajecik, w którym francuskie słowa zapisane są przez kogoś rosyjskiemi literami, che-che-che!" Iwan Fedorowicz pozbył się wreszcie wszelkich wątpliwości. O Dymitrze nie mógł już nawet pomyśleć bez obrzydzenia. Jedno było dziwne: Aljosza uporczywie twierdzi, że zabił nie Dymitr, lecz „ według wszelkiego prawdopodobieństwa" Smerdjakow. Iwan zawsze czuł, że bardzo ceni zdanie Aljoszy, a przeto teraz nie mógł przejść nad jego twierdzeniem do porządku dziennego. Dziwne było i to, że Aljosza nie starał się z Iwanem mówić o Miti, nigdy sam o nim nie zaczynał mówić, i jedynie odpowiadał na pytania brata. I ta okoliczność bardzo zastanowiła Iwana Fedorowicza. Zresztą w tym czasie myślał o zupełnie innych rzeczach. W pierwszych dniach po powrocie z Moskwy całkowicie i bezpowrotnie oddał się płomiennej i szalonej namiętności swej do Katarzyny

Iwanownej. Nie miejsce tu rozwodzić się nad tym nowym wybuchem namiętności Iwana Fedorowicza, który oddziałał na jego późniejsze życie: mogłoby to być kanwą dla innej powieści, którą może kiedy napiszę, a może i nie. Ale bądź co bądź muszę stwierdzić, że wyrażając się w rozmowie z Aljoszą po wyjściu od Katarzyny Iwanownej, że nie jest na nią amatorem, skłamał straszliwie. Bo kochał ją do szaleństwa, chociaż coprawda nienawidził jej w owej chwili do takiego stopnia, że gotów był nawet zabić. Skłębiło się w tem uczuciu wiele, wiele wątków. Katarzyna Iwanowna, wstrząśnięta wypadkiem z Mitią, rzuciła się na Iwana Fedorowicza natychmiast po jego powrocie, jako na zbawcę swego. Była znieważona, poniżona w swoich uczuciach. I oto znowu powrócił człowiek, który ją przedtem tak kochał — o, zdawała sobie z tego doskonale sprawę, — którego umysł i serce tak wysoko ceniła. Ale — harda i surowa — nie uległa mu całkowicie, mimo całej karamazowskiej niepowściągliwości jego pragnień, i mimo to, że tak bardzo na nią działał. Jednocześnie zadręczała się skruchą, że zdradza Mitię, i nie taiła tej skruchy przed Iwanem, mówiła mu o tem w groźnych chwilach ich kłótni (te zaś zdarzały się często). To właśnie miał Iwan na myśli, gdy mówił Aljoszy o „kłamstwie na kłamstwie". Istotnie było tu wiele kłamstwa, i to bodaj najbardziej drażniło Iwana Fedorowicza, ale o tem później. Słowem na jakiś czas zapomniał Iwan o Smerdjakowie. A jednak w dwa tygodnie po pierwszej z nim rozmowie zaczęły go nagle trapić te same dziwne myśli, co i poprzednio. Wystarczy powiedzieć, że nieustannie jątrzył swój umysł pytaniem: pocóż on wówczas w domu Fedora Pawłowicza przed wyjazdem swoim pocichu jak złodziej schodził po schodach i nasłuchiwał, co na dole robi ojciec? Dlaczego przypomniał to sobie później z odrazą, dlaczego nazajutrz rano w drodze tak naraz sposępniał, i dlaczego, dojeżdżając do Moskwy, rzekł: „łajdak jestem!" I oto teraz pewnego razu pomyślał, że osaczony temi męczącemi myślami mógłby zapomnieć bodaj o Katarzynie Iwanownej, do takiego stopnia nie dają mu one spokoju. Złamany

na duchu, natknął się na ulicy przypadkowo na Aljoszę. Zatrzymał go i nagle zadał mu pytanie:

— Czy pamiętasz, gdy po obiedzie Dymitr wtargnął do mieszkania i pobił ojca, i ja potem powiedziałem ci na dworze, że zastrzegam sobie „prawo pragnienia" — powiedz, czy pomyślałeś wówczas, że ja pragnę śmierci ojca czy nie?

— Pomyślałem — odrzekł cichym głosem Aljosza.

— Zresztą tak było, nie miałeś co zgadywać. Ale czy nie pomyślałeś wówczas, że pragnę mianowicie tego, aby „jeden gad pożarł drugą gadzinę", to znaczy, aby właśnie Dymitr zabił ojca, i to czemprędzej... i że sam byłbym gotów przyczynić się do tego?

Aljosza zbladł i, nic nie mówiąc, zajrzał bratu w oczy.

— Mówże! — zawołał Iwan. — Chcę stanowczo wiedzieć, coś ty wtedy pomyślał. Ale prawdę, prawdę!

Ciężko dysząc, patrzał z jakąś złością na Aljoszę.

— Wybacz mi, ale ja i to pomyślałem — szepnął Aljosza i umilkł, nie dodając żadnej „usprawiedliwiającej okoliczności".

Od tego czasu Aljosza zaczął spostrzegać, że Iwan odsuwa się od niego coraz bardziej i zaczął go nie lubić. Przestał więc odwiedzać brata. Ów zaś bezpośrednio po tem spotkaniu udał się do Smerdjakowa.

VII.

Druga rozmowa ze Smerdjakowym.

Smerdjakow w tym czasie nie leżał już w szpitalu. Iwan Fedorowicz znał jego nowe mieszkanie: skrzywiony zapadnięty domek drewniany, składający się z dwóch izb, oddzielonych sionką. W jednej izbie mieszkała Marja Kondratjewna z matką, w drugiej Smerdjakow. Bóg wie, na jakich warunkach zainstalował się u nich: czy zadarmo czy za opłatą? Później opowiadano, że wprowadził się w charakterze narzeczonego Marji Kondratjewnej i z tego wzglę-

du nic za pokój nie płacił. Zarówno matka jak i córka wielce go szanowały i uważały za wyższego człowieka. Iwan Fedorowicz wszedł do sionki i skierował się odrazu nalewo do „białej izby", którą zajmował Smerdjakow. W izbie stał piec kaflowy, mocno napalony. Ściany były obite błękitną tapetą, coprawda bardzo wystrzępioną, pod którą roiło się od prusaków. Było tych owadów takie mnóstwo, że szmer ich ani przez chwilę nie milkł. Umeblowanie było skąpe i liche: dwie ławy wzdłuż ścian i dwa krzesła koło zwyczajnego, niezgrabnego stołu, nakrytego obrusem z różowym haftem. Na dwóch niewielkich okienkach stały w doniczkach gieranje. W kącie wisiała szafka z obrazami świętemi. Na stole stał niewielki miejscami mocno pognieciony samowar mosiężny i taca z dwiema filiżankami. Ale Smerdjakow już był po herbacie, i samowar dawno już wygasł. Gospodarz siedział za stołem i, zaglądając do kajetu, kreślił coś piórem. Obok stała flaszeczka z atramentem oraz niziutki lichtarzyk ze stearynową świeczką. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że Smerdjakow wrócił do normalnego stanu zdrowia. Cera była dosyć świeża, policzki pełne, lok zawinięty do góry, włoski na skroniach wypomadowane. Miał na sobie jaskrawy wywatowany szlafrok, bardzo wytarty i zatłuszczony. Na nosie miał okulary, w których Iwan nigdy go dotąd nie widział. Nieistotny ten szczegół jakgdyby podbechtał złość Iwana Fedorowicza: „taka kreatura i to w okularach!" Smerdjakow powoli podniósł głowę i wnikliwie skroś szkła spojrzał na gościa; zaczem zdjął powoli okulary i uniósł się nieco z ławki, ale jakoś niebardzo uprzejmie, leniwie jakoś, byleby tylko uczynić zadość najbardziej podstawowym zaleceniom grzeczności, bez których nawet obejść się nie można. Wszystko to przemknęło przez umysł Iwana, wszystko to ogarnął i zauważył odrazu, a przedewszystkiem — spojrzenie Smerdjakowa, zdecydowanie złe, niegościnne i nawet nadęte: „czego się włóczysz, o wszystkiem przecie umówiliśmy się wówczas, pocoś znowu przylazł?" Iwan Fedorowicz ledwo się powściągnął.

— Gorąco u ciebie — rzekł, stojąc jeszcze, i uchylił palta.

— Niech pan zdejmie — pozwoli łaskawie Smerdjakow.

Iwan Fedorowicz zdjął palto, rzucił na ławkę, drżącemi rękoma wziął krzesło, porywczym ruchem przysunął je do stołu i usiadł. Smerdjakow zdążył jednak ubiec go i usiąść wcześniej.

— Po pierwsze, czy jesteśmy sami? — zapytał Iwan surowo i impulsywnie. — Czy nie usłyszą nas stamtąd?

— Nikt nic nie słyszy. Sam pan widział: sionka.

— Słuchaj, mój drogi: coś ty takiego bąknął, kiedy wychodziłem od ciebie ze szpitala, że jeżeli nie powiem, coś ty mówił o symulowaniu ataków, to i ty nie opowiesz sędziemu całej naszej rozmowy przy furtce? Co znaczy *cała?* Co chciałeś przez to powiedzieć? Groziłeś mi, czy co? Co ja, w zmowę z tobą wchodziłem, boję się ciebie, czy co?

Iwan Fedorowicz zakończył z prawdziwą wściekłością, dając do zrozumienia, że nie bawi się w ogródki i podstępy, i gra z odkrytemi kartami. Smerdjakow błysnął złośliwie oczyma; lewe oczko zamrugało. Natychmiast z właściwym sobie umiarem i stanowczością, dało ono swoją odpowiedź: „Nie chcesz obwijać w bawełnę, dobrze, masz swoje".

— A ja wedle tego rozumiałem, i dlatego to powiedziałem, że pan, będąc uprzedzony o zabójstwie rodzonego rodzica swego, zostawił go na Boską wolę, więc dowiedziawszy się o tem, ludziska mogliby przecie co złego myśleć o pańskich uczuciach, a może i o czem inszem — o to mi właśnie chodziło, i tego nie chciałem władzy powtórzyć.

Mówił powoli i powściągliwie, ale nawet w głosie jego zabrzmiał jakiś twardy i stanowczy ton, złośliwy i wyzywający. Zuchwale patrzał na Iwana Fedorowicza, któremu w pierwszej chwili zamigało nawet przed oczyma.

— Jak? Co? Przytomny jesteś, czy nie?

— Najzupełniej przytomny.

— Czyż *wiedziałem* wówczas o zabójstwie? — zawołał wreszcie Iwan Fedorowicz i mocno stuknął pięścią

w stół. — Co znaczy „a może i o czem inszem"? — mów, łotrze!

Smerdjakow milczał i nie spuszczał zuchwałego spojrzenia z Iwana Fedorowicza.

— Mów, łajdaku śmierdzący, o „czem inszem?" — wrzasnął Iwan.

— A o „tem inszem", że ja w tej samej minutce miarkowałem, że pan sam życzy sobie śmierci rodzica.

Iwan Fedorowicz skoczył i z całej siły uderzył Smerdjakowa pięścią w plecy, że aż ten się zatoczył ku ścianie. Polały mu się łzy z oczu, powiedział: „wstyd, panie, słabego człowieka bić!", zakrył nagle oczy swoją strasznie zasmarkaną chusteczką w niebieską kratkę i zaczął pocichu szlochać. Tak przeszła chwila.

— Dosyć! Przestań! — rzekł wkońcu Iwan Fedorowicz rozkazującym tonem, siadając znowu na krześle. — Nie wyprowadzaj mnie z cierpliwości.

Smerdjakow odjął od oczu szmatkę. Każdy rys, zmarszczka każda jego twarzy wyrażała dopiero co doznaną zniewagę.

— Toś ty nędzniku myślał, że ja chciałem do spółki z Dymitrem ojca zabić?

— Nie znałem ja pańskich myśli wtedy — obrażonym głosem przemówił Smerdjakow — i dlatego właśnie zatrzymałem pana wtedy, kiedy pan wchodził do bramy, żeby pana wedle tego wybadać.

— Co wybadać? Co?

— A to: czy pan chce, czy nie, żeby rodzic pański był jaknajprędzej zabity?

Najbardziej oburzał Iwana Fedorowicza uporczywy i natrętny ton Smerdjakowa.

— Toś ty go zabił! — wykrzyknął nagle.

Smerdjakow uśmiechnął się pogardliwie.

— Że nie ja zabiłem, to pan sam wi faktycznie najlepiej. A myślałem, że mądremu człekowi nawet mówić o tem więcej nie wypada.

— Ale dlaczego, dlaczego powziąłeś wtedy na mnie takie podejrzenie?

— Jak panu wiadomo to ino ze strachu. Byłem wtedy w takiem położeniu, że, truchlejąc ze strachu, posądzałem wszystkich. Pana chciałem wybadać, bo jeśli pan pragnie tego samego co pański brat, to wtedy przyszła kryska na Matyska, i ja zginę jednocześnie faktycznie jak mucha.

— Słuchaj, tyś dwa tygodnie temu mówił co innego.

— Całkiem to samo w szpitalu, mówiąc z panem, miałem na myśli, ino wierzyłem, że pan bez zbytecznych słów zmiarkuje i że zbyt wyraźnej rozmowy sam pan sobie nie życzący, jako naprawdę mądry człowiek.

— Takiś ty! No odpowiedz, odpowiedz, wymagam tego: dlaczego właściwie, czem właściwie mogłem ośmielić twoją podłą duszę do tak obrażliwego dla mnie podejrzenia?

— Zabić sam pan nie mógł: nie chciał pan, ale żeby ktoś zabił, to pan chciał.

— Ale jak spokojnie, jak spokojnie mówi! Ale dlaczego miałbym chcieć, poco miałbym chcieć?

— Jakto niby poco? A spadek — jadowicie i jakby mszcząc się podchwycił Smerdjakow. — Przecież dla każdego z trzech braci bezmała po czterdzieści tysięcy po ojcu przypada, a może i więcej, a gdyby się ożenił wtedy rodzic z to tą samą Agrafeną Aleksandrowną, toby ona w ciągu miesiąca cały majątek wytryniła, na siebie przepisała, bo baba nie w ciemię bita, tak że dla was wszystkich trzech braci dwóch rubliby po ojcu faktycznie sie nie zostało. A czy wiele brakowało do wianuszka? Jeden włosek tylko: wystarczyłoby tej pani malutkim paluszkiem kiwnąć, a poleciałby z wywieszonym jęzorem.

Iwan Fedorowicz powściągnął się, chociaż cierpiał dotkliwie.

— Dobrze, — powiedział wreszcie — widzisz, nie skoczyłem, nie zbiłem cię, nie zabiłem cię. Mów dalej: zatem wedle ciebie ja brata Dymitra przeznaczyłem do tego, liczyłem na niego?

— Jakżeby pan miał nie liczyć na niego; przecież jakby on zabił, byłby pozbawiony wszystkich praw obywatelskich, zasług i majątku i na dobitkę skazaliby go na ka-

torgę. Wtedy część jego po ojcu na pana i brata Aleksego przypadłaby, i już nie po czterdzieści tysięcy każdyby z was miał ino po sześćdziesiąt dla każdego. Pan wtedy na Dymitra Fedorowicza napewno liczył!

— No, cierpliwy jestem! Słuchaj mnie, ty niegodziwy człowieku: gdybym ja wtedy liczył na kogoś, to już napewno tylko na ciebie, a nie na Dymitra i, przysięgam, przeczuwałem z twojej strony jakąś podłość... wówczas... pamiętam swoje ówczesne wrażenie!

— I ja też pomyślałem wtenczas przez jedną chwilkę, że pan i na mnie liczy — wyszczerzył zęby Smerdjakow — tak że w ten sposób pan się przede mną jeszcze bardziej zdradził, bo jeżeli pan i mnie posądził, a mimo to w tym samym rychtyk czasie wyjechał, to znaczy, że pan jakgdyby mi nibyto mówił wprost: możesz zabić rodzica, ja nie przeszkadzam.

— Łajdak! Toś ty tak rozumiał.

— A wszystko przez tę Czermasznię. Bo i co. Wybiera się pan do Moskwy, i chociaż rodzic pana bardzo prosi, nie godzi się pan ani ani jechać do Czermaszni! A tu na jedno moje głupie słówko odraz się pan zgodził! I pocóż się pan godził jechać do Czermaszni? Jeżeli nie do Moskwy, a pojechał pan do Czermaszni bez powodu, wedle jednego mego słówka, to znaczy spodziewał się pan czego po mnie.

— Nie, przysięgam, że nie! — wrzasnął Iwan, zgrzytając zębami.

— Jakże nie? Należało za takie moje wtenczas słowa odraz mnie do aresztu zaprowadzić, i porządnie sprać... przynajmniej na miejscu mordę skuć. A pan, za przeproszeniem, naodwrót, wcale się nie rozgniewał, odraz po przyjacielsku postępuje pan wedle głupiego słowa i jedzie pan, co było faktycznie bardzo niedorzeczne, bo powinien był pan się zostać, żeby bronić życia rodzica swego... Jakże mogłem inaczej myśleć?

Iwan siedział zasępiony, konwulsyjnie wpierając pięść w kolana.

— Tak, szkoda, że ci nie skułem mordy — uśmiechnął się gorzko. — Do komisarjatu nie można cię było wtedy pociągnąć: któżby mi uwierzył i jakie miałem dowody, ale w mordę... och, szkoda, nie domyśliłem się; chociaż nie wolno prać po mordzie, ale rozbiłbym twoją na kwaśne jabłko.

Smerdjakow patrzał na niego i nieledwie się rozkoszował.

— W zwykłych przypadkach życia — rzekł owym zadowolonym z siebie doktrynerskim tonem, jakim niegdyś drażnił Grzegorza i dyskutował z nim o kwestjach wiary przy stole Fedora Pawłowicza — w zwykłych przypadkach życia dziś faktycznie prawo zakazuje walić w mordę, i wszyscy przestali walić, ano ale w niezwykłych przypadkach życia to nietylko u nas, ale i na całym świecie, nawet w zupełnej francuskiej republice, wszystko jedno, wciąż biją jak za Adama i Ewy i nigdy nie przestaną bić, to przecie i pan w niezwykłym przypadku tyżby się ośmielił.

— Co ty francuskich liter się uczysz? — skinął Iwan na kajecik, leżący na stole.

— A czemużbym nie miał się uczyć, żeby wykształcenie moje rozwinąć, myślę, że może i mnie samemu kiedy w tych szczęśliwych krajach Europy wypadnie być.

— Słuchaj, potworze — błysnął oczyma Iwan i cały się zatrząsł — nie boję się twoich oskarżeń, zeznawaj jak chcesz, i jeżeli cię teraz nie zabiłem na śmierć, to tylko dlatego, że posądzam cię o to zabójstwo i pociągnę do odpowiedzialności. Ja cię jeszcze zdemaskuję.

— A mojem zdaniem, niech pan lepiej milczy. Bo i co może pan na mnie powiedzieć, i kto panu uwierzy? A jak pan zacznie, to i ja wszystko opowiem, abo i jakżebym nie miał się faktycznie bronić?

— Myślisz, że się ciebie teraz boję?

— Niech nawet w sądzie nie wierzą we wszystkie te słowa, które panu mówiłem, ale zato publika uwierzy i panu wstyd będzie.

— To znowu znaczy: „z mądrym człowiekiem i pogadać ciekawie" — co? — warknął Iwan.

— Trafił pan rychtyk. Niech więc pan nadal mądrym będzie.

Iwan podniósł się, drżąc z oburzenia, włożył palto i, nic już nie odpowiadając Smerdjakowowi, nawet nie patrząc nań, wyszedł prędko z izby. Orzeźwiło go świeże wieczorne powietrze. Na niebie świecił księżyc. Straszna zmora myśli i wrażeń kipiała mu w duszy. „Iść i oskarżyć Smerdjakowa? Ale jak oskarżyć: bądź co bądź jest niewinny. Naodwrót, on jeszcze mnie obwini. Bo i w rzeczy samej, dlaczego pojechałem wówczas do Czermaszni? Dlaczego, dlaczego? — pytał siebie Iwan Fedorowicz. — Tak, oczywiście, spodziewałem się czegoś, i on ma słuszność"... I znowu poraz setny przypomniał sobie, jak nocy ostatniej podsłuchiwał ojca, stojąc na schodach. Lecz przypomniał to sobie z takim bólem, że nawet przystanął na miejscu, jakby rażony piorunem: „Tak, spodziewałem się tego, to prawda! Chciałem, życzyłem sobie tego zabójstwa! Czy życzyłem sobie tego zabójstwa, czy chciałem? Trzeba zabić Smerdjakowa!... Jeżeli nie ośmielę teraz zabić Smerdjakowa, to i żyć nie warto!..." Iwan Fedorowicz, nie zachodząc już do domu, poszedł wprost do Katarzyny Iwanownej i przeraził ją swoim wyglądem. Sprawiał wrażenie obłąkanego. Powtórzył jej rozmowę swoją ze Smerdjakowym, całą, bez wyjątku. Nie mógł się uspokoić, jakkolwiek namawiała go do rozwagi, chodził po pokoju i mówił dziwacznie i bez związku. Nakoniec usiadł, oparł łokcie na stole, ścisnął głowę w dłoniach i wypowiedział dziwny aforyzm:

— Jeżeliby zabił nie Dymitr, lecz Smerdjakow, to oczywiście ja wtedy byłem z nim solidarny, bo ja go zachęciłem. Czy go zachęciłem — nie wiem jeszcze. Ale jeżeli to on zabił, a nie Dymitr, to oczywiście ja jestem zabójcą.

Wysłuchawszy ten aforyzm, Katarzyna Iwanowna podniosła się z miejsca, podeszła do biurka, otworzyła stojącą na niem szkatułkę, wyjęła ćwiartkę papieru i położyła przed Iwanem. Był to właśnie ów dokument, o któ-

rym Iwan Fedorowicz później opowiadał Aljoszy, jako o „matematycznym dowodzie" winy Dymitra. Był to mianowicie list Miti, napisany w stanie czmeru do Katarzyny Iwanownej wieczoru owego dnia, kiedy Mitia spotkał się z Aljoszą na drodze do monasteru, po awanturze u Katarzyny Iwanownej między nią a Gruszeńką. Pożegnawszy wówczas Aljoszę, Mitia pobiegł do Gruszeńki: niewiadomo czy się z nią widział, ale w nocy znalazł się w restauracji „Stołeczny Gród", gdzie się oczywiście strąbił. Podchmielony zażądał pióra i papieru i napisał wielce obciążający go dokument. Był to nieprzytomny, chaotyczny i wielosłowny list, „pijany" co się zowie. Było to tak, jakgdyby ktoś bardzo ululany, wróciwszy do domu, zaczął z niezwykłym zapałem opowiadać żonie czy komuś z domowników, jak to go ktoś znieważył, i jakim ten ktoś jest szubrawcem, i naodwrót — jaki on sam jest piękny i szlachetny człowiek, i jak temu szubrawcowi zada feferu — mówił długo, długo, bez sensu i kadensu, w podnieceniu, bijąc pięścią w stół, z pijanemi łzami. Mitia napisał zatem coś podobnego na karteluszu, który podali mu w restauracji — na brudnym skrawku papieru najgorszego gatunku. Na odwrotnej stronie był wypisany rachunek. Pijana wymowność miała tu za mało miejsca, to też Mitia zapisał wszystkie marginesy, a nawet ostatnie wiersze skreślił wpoprzek. List miał treść następującą:

„Feralna Katiu! Jutro dostanę pieniądze i zwrócę ci twoje trzy tysiące i żegnaj — niewiasto wielkiego gniewu, ale żegnaj i miłości moja! Skończmy! Jutro będę się starał wydostać od ludzi, a jak nie dadzą, to daję ci słowo honoru, że pójdę do ojca i rozwalę mu łeb i zabiorę mu z pod poduszki, byleby tylko Iwan wyjechał. Na katorgę pójdę, a trzy tysiące zwrócę. A sama żegnaj. Kłaniam się do samej ziemi, albowiem wobec ciebie jestem łajdakiem. Przebacz mi. Nie, lepiej nie przebacz: łatwiej i mnie i tobie! Lepiej na katorgę, niż twoja miłość, bo inną kocham, a ją zbyt dobrze dzisiaj poznałaś, jakże więc możesz przebaczyć? Zabiję złodzieja mojego! Od wszystkich was odejdę na Wschód, żeby nikogo nie znać. Od niej też, bo i ona jest dręczycielką moją, nietylko ty sama. Żegnaj!

P. S. Piszę przekleństwo, a przecież cię ubóstwiam! Czuję to w piersi. Została się struna i dzwoni. Lepiej serce na dwoje. Zabiję siebie, ale przedtem psa. Wyrwę mu trzy i tobie rzucę. Chociaż podły wobec ciebie, ale nie złodziej! Spodziewaj się trzech tysięcy. Pies ma pod siennikiem, różowa wstążeczka. Nie ja jestem złodziejem, lecz złodzieja mego zabiję. Katiu, nie patrz pogardliwie: Dymitr nie jest złodziejem, lecz mordercą! Ojca zabił i siebie zgubił, żeby stać i nie czuć twojej wyniosłości. I ciebie nie kochać.

P. S. Nóżki twe całuję, żegnaj!

PP. SS. Katiu, na miłość Boską, niech ludzie dadzą pieniądze. W takim razie nie będę we krwi, a jak nie dadzą — we krwi. Zabij mnie!

Niewolnik i wróg

D. Karamazow".

Przeczytawszy „dokument", Iwan podniósł się, najzupełniej przekonany. A zatem, zabił brat a nie Smerdjakow. Nie Smerdjakow i, co zatem idzie, nie on, Iwan. List ten nabrał w jego oczach wagi matematycznej. Nie było żadnych wątpliwości co do winy Miti. Nawiasem mówiąc, o tem, że Mitia mógł zabić do spółki ze Smerdjakowym, Iwan nigdy nawet nie pomyślał, bo i zresztą fakty temu przeczyły. Zatem był zupełnie uspokojony. Nazajutrz z pogardą wspominał Smerdjakowa i jego szyderstwa. Po kilku dniach dziwił się nawet, jak mógł się tak przejąć jego podejrzeniami. Postanowił zlekceważyć go i zapomnieć. Tak minął miesiąc. O Smerdjakowie z nikim już więcej nie mówił, ale słyszał przelotnie ze dwa razy, że ów jest bardzo chory i nienormalny. „Skończy obłędem" — orzekł o nim młody lekarz, doktór Warwiński, i Iwan zakarbował to sobie w pamięci. W ostatnim tygodniu tego miesiąca Iwan sam czuł się bardzo źle. Był nawet u znakomitego lekarza z Moskwy, którego sprowadziła Katarzyna Iwanowna. I w tym samym czasie stosunki jego z Katarzyną Iwanowną stanęły na ostrzu miecza. Byli to dwaj zakochani w sobie wrogowie. Powrotne sentymenty Katarzyny Iwa-

nownej dla Miti, bardzo krótkie ale gwałtowne, doprowadzały Iwana do wściekłości. Rzecz dziwna, aż do tej ostatniej opisanej już sceny, która się odbyła w obecności Aljoszy, Iwan przez cały miesiąc, ani razu nie słyszał, aby Katarzyna Iwanowna wyraziła jakąś wątpliwość co do winy Dymitra. Nie zdarzało się to nawet w momentach jej „nawrotów", których Iwan tak nienawidził. Godne uwagi jest jeszcze to, że Iwan, nienawidząc Miti z każdym dniem coraz mocniej, zdawał sobie jednocześnie sprawę, że nienawidzi go nie za owe „nawroty" Katarzyny Iwanownej, ale właśnie *zato, że zabił ojca!* Czuł i uświadamiał to sobie dokładnie. Niemniej, dziesięć dni przed rozprawą sądową, odwiedził Mitię i zaproponował mu ucieczkę, podał mu nawet plan ucieczki, widocznie oddawna już obmyślony. Oprócz głównej przyczyny pobudziło go do tego kroku obraźliwe i irytujące go przypuszczenie Smerdjakowa; że niby jemu, Iwanowi, wygodniej, że oskarżyli brata, bo przez to, on i Aljosza odziedziczą zamiast po czterdzieści tysięcy po sześćdziesiąt. Zdecydował się zaofiarować ze swojej części trzydzieści tysięcy, aby umożliwić ucieczkę Miti. Po powrocie z więzienia był smutny i zmieszany: poczuł nagle, że życzy sobie ucieczki nie dlatego, że chce zaofiarować trzydzieści tysięcy i zmyć z siebie zniewagę, ale z innego powodu. „Czy dlatego, że moralnie i ja też jestem zabójcą?" — zapytał siebie. Jakaś oddalona i gryząca przyczyna raniła jego duszę. Przedewszystkiem zaś przez cały ten miesiąc strasznie cierpiała jego duma, ale o tem później... Gdy po rozmowie z Aljoszą, trzymając już rękę na dzwonku swego mieszkania, postanowił nagle udać się do Smerdjakowa, działał pod wpływem jakiegoś nagłego oburzenia. Nagle przypomniał sobie, jak Katarzyna Iwanowna zawołała wobec Aljoszy: „Toś ty mnie tylko przekonał, że on (to znaczy Mitia) jest zabójcą!" Przypomniawszy to sobie, Iwan zdumiał się: nigdy w życiu nie przekonywał jej, że Mitia jest mordercą, owszem, mówił jej o swojej winie, gdy wrócił od Smerdjakowa. Wręcz przeciwnie, to *ona*, ona podała mu wtedy „dokument" i dowiodła winy brata! I oto ona teraz krzyczy: „Ja sama byłam u Smerdjakowa!" Kiedy była? Iwan nic o tem nie

wiedział. To znaczy, że nie jest ona znowu tak bardzo przekonana o winie Miti! I co mógł jej powiedzieć Smerdjakow? Co, co właściwie jej mówił? Straszny gniew wzbierał w jego sercu. Nie rozumiał, jak mógł pół godziny temu nie zwrócić uwagi na jej słowa i nie odpowiedzieć odrazu krzykiem. Udał się więc do Smerdjakowa. „Tym razem może go zabiję" — pomyślał po drodze.

VIII.

Trzecia i ostatnia rozmowa ze Smerdjakowym.

W połowie drogi podniósł się ostry, suchy wiatr, taki sam co rankiem tegoż dnia, i zaczął padać drobny, gęsty, suchy śnieg. Nie zlepiał się na ziemi, zamiatany przez wiatr. I oto nagle zerwała się istna wichura. Dzielnica, w której mieszkał Smerdjakow, tonie w głębokim mroku. Iwan Fedorowicz szedł w ośmie nocnej, nie zauważając zamieci, orjentując się instynktem. Bolała go głowa i męcząco huczało w skroniach. W rękach czuł nerwowe kurcze. Niedaleko domku Marji Kondratjewnej spotkał nagle samotnego pijaka, kusego chłopa w połatanej siermiędze, zakreślającego nogami zygzaki. Chłop klął i wymyślał, i naraz przestał wymyślać i zaczynał śpiewać zachrypniętym głosem piosenkę uliczną:

Ach, pojechał Wańka mój
Ja nie będę czekać nań.

Ale urwał na drugiej zwrotce i znowu zaczął kogoś przeklinać, poczem odnowa intonował piosenkę. Iwan Fedorowicz znienawidził go straszliwie, nie myśląc nawet o nim, i naraz to sobie uprzytomnił. Nagle zachciało mu się zdzielić chłopa pięścią po głowie. Akurat w tej chwili zrównali się, i pijak, mocno się zatoczywszy, wpadł z całej siły na Iwana. Ten odepchnął go z tak wściekłą pasją,

że chłopek rymnął jak kłoda na kopnię, wystękawszy tylko raz jeden: o-o! Iwan poszedł swoją drogą.

W sieni jeszcze Marja Kondratjewna, która otworzyła mu ze ścierką w ręku, szepnęła, że Paweł Fedorowicz (to znaczy Smerdjakow) bardzo jest chory, nie leży wprawdzie, ale całkiem jakby obłąkany i nawet kazał herbatę zabrać, nie chce pić.

— Cóż awanturuje się, czy co? — zapytał gburowato Iwan Fedorowicz.

— Gdzieżby tam, naodwrót, całkiem przycichł, tylko niech wielmożny pan niedługo z nim rozmawia... — prosiła Marja Kondratjewna.

Iwan Fedorowicz otworzył drzwi i wszedł do izby.

Było gorąco, jak wówczas za pierwszym razem, ale w pokoju zaszły pewne zmiany: jedna z bocznych ław była usunięta, na jej miejscu pojawiła się duża stara kanapa z mahoniu, obita skórą; leżała teraz na niej pościel z dosyć czystemi białemi poduszkami. Smerdjakow siedział na kanapie, w tym samym szlafroku, co poprzednio. Stół był przysunięty do kanapy, tak że w pokoju było bardzo ciasno. Na stole leżała jakaś gruba książka w żółtej okładce, ale Smerdjakow nie czytał jej — zdaje się, że siedział i nic nie robił. Przywitał Iwana Fedorowicza uporczywem spojrzeniem i napozór nie był wcale zdziwiony. Bardzo się zmienił na twarzy, schudł znacznie i zżółkł. Oczy miał wpadnięte, dolne powieki zaczerwienione.

— A ty naprawdę jesteś chory? — zatrzymał się Iwan Fedorowicz. — Długo cię nie potrzymam i nawet palta nie zdejmę. Gdzie tu można usiąść?

Zaszedł z drugiej strony, przysunął krzesło i usiadł.

— Co patrzysz i milczysz? Ja z jednem tylko pytaniem i, przysięgam, nie odejdę bez odpowiedzi: była u ciebie pani Katarzyna Iwanowna?

Smerdjakow długo milczał, patrząc po dawnemu na Iwana, lecz nagle machnął ręką i odwrócił twarz.

— Cóż ty? — zawołał Iwan.

— Nic.

— Co nic?

— Ano była, była, i wszystko jedno. Niech mi pan da pokój.

— Nie, nie dam ci spokoju! Gadaj, kiedy była?

— Ja nawet pamiętać o niej zapomniałem — uśmiechnął się lekceważąco Smerdjakow i nagle znów, zwracając się ku Iwanowi, wraził w niego nieprzytomne nienawiści pełne spojrzenie, takie same jak miesiąc temu.

— Sam pan chory, twarz wpadnięta, do siebie całkiem niepodobny — odezwał się wreszcie.

— Niech cię nie obchodzi moje zdrowie, gadaj o co pytam.

— A czegoj to panu oczy pożółkły, białka całkiem żółte. Męczy się pan bardzo, co?

Uśmiechnął się wzgardliwie i nagle roześmiał nawet.

— Słuchaj, powiedziałem, że nie odejdę od ciebie bez odpowiedzi! — krzyknął Iwan rozdrażniony do ostateczności.

— Co się pan mnie czepia? Co mnie pan męczy! — rzekł z męką w głosie Smerdjakow.

— E, do licha! Nie o ciebie mi chodzi. Odpowiedz na pytanie, to zaraz sobie pójdę.

— Nie mam co odpowiadać! — i Smerdjakow znowu spuścił oczy.

— Zapewniam cię, że zmuszę cię do odpowiedzi!

— Czegoj się pan cięgiem niepokoi! — popatrzył na niego naraz Smerdjakow nawet nie z pogardą, lecz z jakiemś obrzydzeniem — że to niby sprawa jutro się zaczyna? To przecie nic panu nie grozi, niech się pan uspokoi wreszcie! Niech pan wróci do domu, spokojnie położy się spać; niema się czego bać.

— Nie rozumiem ciebie... czego mógłbym się bać jutro? — zapytał ze zdziwieniem Iwan, i nagle owionął go lodowaty strach. Smerdjakow zmierzył go ostrym wzrokiem.

— Nie ro-zu-mie pan? — rzekł przeciągle tonem wyrzutu. — Że się też chce mądremu człekowi taką komedję ze siebie stroić!

Iwan popatrzał na niego w milczeniu. Niezwykły był nawet sam ton, jakiś niesłychanie wyniosły ton, jakim ten

były jego lokaj zwracał się teraz do niego. Na taki ton bądź co bądź nie pozwolił sobie nawet zeszłym razem.

— Powiadam panu, niema się pan czego bać. Nic przeciwko panu nie zeznam, niema poszlak. Patrzajcie, ręce się trzęsą. Z czego to ręce się panu trzęsą? Niech pan idzie do domu, *nie pan zabił.*

Iwan drgnął, — przypomniał mu się Aljosza.

— Wiem, że nie ja... — wybełkotał.

— Wie pan? — wysylabizował Smerdjakow.

Iwan zerwał się i chwycił go za ramię.

— Mów wszystko, gadzino! Mów wszystko!

Smerdjakow nie zląkł się bynajmniej. Tylko z obłąkaną nienawiścią wpił się w niego oczyma:

— Jużci, że pan zabił, jeżeli tak — szepnął wściekle.

Iwan usiadł zpowrotem, jakby coś zmiarkował. Uśmiechał się złośliwie.

— Ty wciąż o tamtem? O tem, co i za tamtym razem?

— I za tamtym razem stał pan przede mną i wszystko rozumiał i tera pan rozumie.

— Rozumiem teraz, że jesteś obłąkany.

— I nie znudzi się panu! Siedzimy w cztery oczy, pocóżto siebie wzajem oszukiwać, komedję odgrywać? Chce pan wciąż na mnie jednego zwalić, i to w oczy? Pan zabił, pan jest głównym zabójcą, a ja tylko pańskim wspólnikiem, służką wiernym i zrobiłem to wedle pańskiego słowa.

— Zrobiłeś? Więc tyś zabił? — ciarki przeszły po Iwanie.

Odczuł jakiś wstrząs w mózgu, przeszedł go zimny dreszcz. Nawet Smerdjakow popatrzał na niego ze zdziwieniem; zapewne przestrach Iwana zaskoczył go swoją szczerością.

— I czy naprawdę pan nic nie wiedział? — bełkotał z niedowierzaniem, uśmiechając się fałszywie.

Iwan wciąż na niego patrzał, jakgdyby językiem nie mógł poruszyć.

„Ach pojechał Wańka mój
Ja nie będę czekać nań".

zabrzmiało mu nagle w głowie.

— Wiesz co: boję się, że snem jesteś, że przywidzenie siedzi przede mną? — mruknął wreszcie.

— Żadnego tu przywidzenia niema, prócz nas dwóch, i jeszcze kogoś trzeciego. Pewnikiem jest tu teraz, ten trzeci, znajduje się między nami dwoma.

— Kto on? Kto się znajduje? Kto trzeci? — zapytał ze strachem Iwan Fedorowicz, oglądając się wokoło i szukając oczyma po kątach.

— Trzeci ów — Bóg, sama ta Opatrzność, tu ona wedle nas, tylko niech pan nie szuka, nie znajdzie pan.

— Kłamałeś, żeś zabił! — ryknął wściekle Iwan. — Albo warjat jesteś, albo drażnisz mnie, jak poprzednio!

Smerdjakow oglądał go uważnie bez żadnego lęku. Wciąż jakoś nie mógł się wyzbyć niedowierzania, wciąż mu się zdawało, że Iwan „wie o wszystkiem" i tylko udaje, aby „w oczy zwalić na niego całą winę".

— Niech pan poczeka — rzekł wreszcie słabym głosem i nagle, wyciągnąwszy z pod stołu lewą nogę, zaczął zawijać do góry spodnie. Noga miała na sobie długą białą pończochę i była obuta w pantofel. Smerdjakow powoli zdjął podwiązkę i zapuścił palce głęboko za pończochę. Iwan Fedorowicz patrzał nań i nagle zatrząsł się konwulsyjnie ze strachu.

— Warjat! — wrzasnął i, prędko zerwawszy się z miejsca, cofnął się odruchowo i uderzył plecami o ścianę. I tak już przylepił się do ściany, wyprostowany, a raczej wyciągnięty do góry. Z obłąkaną zgrozą patrzał na Smerdjakowa. Ten zaś, nic sobie nie robiąc z jego strachu, wciąż jeszcze szperał w pończosze, jakgdyby usiłując palcami uchwycić co i wysmyknąć. Nakoniec uchwycił i zaczął ciągnąć. Iwan Fedorowicz stwierdził, że to były jakieś papiery, czy jakaś paczka papierów. Smerdjakow wyciągnął je i położył na stole.

— Naści! — powiedział cicho.

— Co? — odpowiedział trzęsąc się Iwan.

— Niech pan pozwoli spojrzeć — znowu szeptem powiedział Smerdjakow.

Iwan podszedł do stołu, dotknął paczki, zaczął ją rozwijać, ale nagle oderwał palce, jakby dotknął jakiego obrzydliwego, strasznego płazu.

— Drżą panu stale palce jak w frybrze — zauważył Smerdjakow, i sam, nie śpiesząc się, rozwiązał paczkę. Były tu trzy paczki tęczowych banknotów sturublowych.

— To wszystko, całe trzy tysiące, niech pan przeliczy. Niech pan weźmie — poprosił Iwana, wskazując na pieniądze.

Iwan osunął się na krzesło. Był blady jak chusta.

— Przestraszyłeś mnie... z tą pończochą — powiedział, uśmiechając się dziwnie.

— Czyżby, czyżby pan do tej pory nie wiedział? — zapytał jeszcze raz Smerdjakow.

— Nie, nie wiedziałem. Ja stale Dymitra podejrzewałem. Brat! Brat! Ach! — schwycił się nagle oburącz za głowę. — Słuchaj, czyś ty sam zabił? Z bratem czy bez brata?

— Narazie tylko z panem, z panem do spółki zabiłem, a Dymitr Fedorowicz jest niewinny.

— Dobrze, dobrze... O mnie potem. Dlaczego ja stale drżę... Słowa nie mogę powiedzieć.

— Wtedy to pan jakoś śmiały był, „że nibyto wszystko jest dozwolone", mówił, a teraz jakoś pan jest przerażony! — rzekł ze zdziwieniem Smerdjakow. — Może lemonjady, zaraz każę podać. To bardzo orzeźwia. Tylko to-ci trza przedtem nakryć.

Znowu wskazał na paczkę. Wstał, chcąc zawołać Marję Kondratjewną. Rozglądał się za nakryciem na pieniądze, zrazu wyjął chusteczkę, ale że była strasznie zasmarkana, więc wziął ze stołu leżącą na nim żółtą książkę i położył na paczce. Tytuł książki brzmiał: Św. Ojca naszego Izaaka Siryna słowa. Iwan Fedorowicz zdążył machinalnie przeczytać.

— Nie chcę lemonjady — powiedział. — O mnie potem. Usiądź i mów: jak tyś to zrobił? Wszystko powiedz...

— Zdjąłby pan palto, bo się pan zgrzeje.

Iwan Fedorowicz, jakby się dopiero teraz domyślił wszystkiego, zerwał z siebie palto i rzucił je na ławkę.

— Mów-że, proszę cię, mów!

Jakby się nawet uspokoił. Był przekonany, że Smerdjakow *wszystko* teraz opowie.

— O tem jak to było zrobione? — westchnął Smerdjakow. — Najbardziej zwykłym sposobem, zresztą wedle pańskich słów.

— O moich słowach potem — przerwał znowu Iwan, ale nie krzycząc już jak przedtem, jakgdyby panując nad sobą, twardo wymawiając słowa. — Opowiedz tylko w szczegółach, jak tyś to zrobił. Wszystko w porządku. Niczego nie pomiń. Szczegóły, głównie szczegóły.

— Pan odjechał, ja wpadłem do piwnicy...

— Z ataku, czy udawałeś?

— To się wi, że udawałem. Ze wszystkiem udawałem. Ze schodów spokojniem zeszedł, aż na sam dół i spokojnie się położyłem, a jak się położyłem, to wrzasnąłem. I rzucałem się, póki wynosili.

— Poczekaj. I przez cały czas, potem, i w szpitalu wciąż udawałeś?

— Co to to nie. Nazajutrz rano, jeszcze przed odejściem do szpitala, zaczął się prawdziwy atak i taki-ci mocny, że już wiele lat takowego nie miałem. Dwa dni byłem nieprzytomny.

— Dobrze, dobrze. Mów dalej.

— Położono mnie na tem łóżku, a wiedziałem, że mnie za tem przepierzeniem położą, bo Marta Ignatjewna zawsze mnie tam kładła, ilekroć byłem chory. Bardzo delikatna było dla mnie od samych powijaków. W nocy stękałem, ino cicho. Wciąż oczekiwałem Dymitra Fedorowicza.

— Jakto oczekiwałeś, u siebie?

— Poco u mnie. W domu oczekiwałem; bo już nijak wątpliwości nie miałem, że on tej samej nocy przyńdzie, gdyż, nie mając żadnych wiadomości, i mnie nie mogąc się

spytać, przezwarunkowo musiał sam wleźć do domu i zrobić co tam miał zrobić.

— A gdyby nie przyszedł?

— Toby nic nie było. Bez niego nie byłbym się odważył.

— Dobrze, dobrze... mów zrozumialej, nie śpiesz się, a najważniejsza niczego nie pomiń!

— Spodziewałem się, że on rychtyk Fedora Pawłowicza zabije... to napewniaka. Bo ja już go przygotowałem... w ostatnich dniach... a przedewszystkiem — o tych znakach zawiadomiłem. Przy tej jego podejrzliwości i wściekłości musiał przezwarunkowo wtargnąć faktycznie do samego domu. To musiało tak być. Więc czekałem na niego.

— Poczekaj — przerwał mu Iwan — wszak gdyby on zabił, to zabrałby pieniądze; wszak tak powinieneś był myśleć? Cobyś miał z tego w takim razie? Nie widzę żadnej dla ciebie korzyści.

— Boć przecie pieniędzyby nijak nie znalazł. To przecie tylko ja go nauczyłem, że pieniądze są pod materacem. Ale to nieprawda. Przedtem w szkatułce leżały, tak to było. A potem ja Fedora Pawłowicza, bo tylko mnie jednemu z całej ludzkości ufał, nauczyłem, żeby te pieniądze schował w kącie za obrazami, bo tam to się nikt nie domyśli szukać, zwłaszcza kiedy faktycznie będzie się śpieszył. I paczka tak sobie leżała za obrazami. A pod materacem to i śmiesznie byłoby trzymać, przynajmniej rozumiem w szkatułce, zamkniętej na klucz. Głupia myśl. To więc gdyby Dymitr Fedorowicz popełnił to morderstwo, to nic nie znalazłszy, uciekłby czemprędzej, bojąc się każdego szmeru, jak to się dzieje z bandytami, alboby został aresztowony. W takim razie mógłbym zawsze nazajutrz albo tej samej nocy poszukać za obrazami i pieniądze te sam zabrać, a na Dymitra Fedorowicza podejrzenieby padło. Na to mogłem liczyć.

— No, a gdyby nie zabił, tylko pobił?

— Gdyby nie zabił, to jabym pieniądzów wziąć się nie ośmielił, i wszystko pozostałoby tak jak było. Ale było i takie faktycznie wyrachowanie, że pobiłby do nieprzy-

tomności, a ja tymczasem byłbym świsnął, a potem Fedorowi Pawłowiczowi powiedziałbym, że to Dymitr Fedorowicz świsnął pieniądze.

— Poczekaj... wszystko mi się poplątało. Więc jednak Dymitr zabił, a tyś tylko pieniądze wziął?

— Nie, to nie on zabił. Cóż, mógłbym i teraz powiedzieć, że on jest zabójcą... ale nie chcę teraz panu kłamać... bo jeżeli pan jak widzę faktycznie nie rozumiał dotychczas i nie udawał przede mną, żeby na mnie w oczy mi swoją winę zwalić, to jednak pan-ci jest winien wszystkiego, bo pan wiedział o zabójstwie i polecił mi zabić, a sam, wiedząc wszystko, wyjechał. Dlatego chcę panu dziś wieczór to w oczy dowieść, że główny zbrodzeń to jedynie pan, a ja ino niegłówny, chociaż to ja zabiłem. A pan jesteś prawny morderca!

— Dlaczego, dlaczego jestem mordercą? O Boże! — nie wytrzymał wreszcie Iwan, zapomniawszy, że o nim miała być mowa dopiero pod koniec. — To wszystko z powodu Czermaszni? Poczekaj, mów, poco ci była moja zgoda, jeśliś Czermasznię istotnie przyjął za zgodę? Jak ty to wytłumaczysz?

— Pewny zgody pańskiej, wiedziałbym, że pan przez te trzy zaginione tysiące nie zrobi awantury, gdyby nawet władza na mnie miała podejrzenie, albo gdyby mnie za spólnika Dymitra Fedorowicza brano; naodwrót, byłby mnie pan bronił... A otrzymawszy spadek, to i potem wynagradzałby mnie pan przez całe życie, bo przecież przezemnie dostałby pan ten cały spadek, gdyż ojczulek, gdyby się ożenił z Agrafeną Aleksandrowną, szelągaby złamanego wam nie zostawił.

— A! więc miałeś zamiar mnie i potem męczyć, całe życie! — zgrzytnął Iwan. — A gdybym wtedy nie wyjechał i kazał cię aresztować?

— Za co wtedy aresztować? Za namówienie pana do Czermaszni? To przecie faktycznie głupstwo. Ano i po naszej rozmowie, alboby pan pojechał, albo został. Gdyby pan został, toby nic się nie zdarzyło, wiedziałbym, że pan takiej sprawy nie chcę, i nicbym nie zdziałał. A jeśli pan

pojechał to znaczy, że mnie pan zapewnił, że nie śmie pan aresztować mnie i że te trzy tysiące mi pan daruje. Bo i nie mógłby mnie pan faktycznie potem prześladować, gdyż powiedziałbym wszystko przed sądem, ale nie to, że zabiłem i ukradłem — tegobym nie mówił — ale że pan mnie namawiał, abym ukradł i zabił, a ja się nie zgodziłem. Poto mi była potrzebna wtedy pańska zgoda, by mnie pan nie mógł grozić, bo jakiby pan miał dowód, zaś ja mógłbym zawsze panu grozić, rozgłaszając, jakie pan miał pragnienie wedle śmierci rodzica. Publikaby uwierzyła, a panuby wstyd było na całe życie.

— Więc miałem, miałem to pragnienie, miałem? — znowu zgrzytnął Iwan.

— Przezwarunkowo miał pan i zgodą swoją milczącą pozwolił mi na tę rzecz — odrzekł Smerdjakow i stanowczo spojrzał na Iwana.

Był bardzo osłabiony, mówił cicho, zmęczonym głosem, ale coś wnętrznego i utajonego podniecało go; prawdopodobnie zmierzał do jakiegoś celu. Iwan to przeczuwał.

— Mów dalej! — rzekł — mów o tej nocy.

— Dalej, cóż! leżę i słyszę, że starszy pan jakgdyby krzyknął. A Grzegorz Wasiljewicz przedtem się podniósł i wyszedł, i nagle wrzasnął, a potem wszystko cicho, ciemno. Leżę ja, czekam, serce bije, nie mogę wytrzymać. Wstałem-ci wreszcie i poszedłem — widzę na lewo okno na ogród otwarte; dochodzę, aby podsłuchać, czy żywy jeszcze tam siedzi, czy nie. Słyszę, że pan rzuca się i wzdycha, a więc żywy. Ech, myślę sobie! Podchodzę do okna, wołam: „To ja niby". A on do mnie: „Był, był, uciekł!" Że niby Dymitr Fedorowicz, to znaczy, był. „Grzegorza zabił!" — „Gdzie?" — szepczę. „Tam w kącie" — pokazuje, sam też szepcze. „Niech pan poczeka" mówię.

Poszedłem tam szukać i pod płotem poszpotałem się o Grzegorza Wasiljewicza: cały we krwi i nieprzytomny. Więc faktycznie był tu Dymitr Fedorowicz, pomyślałem sobie, i odrazu postanowiłem skończyć z tem wszystkiem, bo Grzegorz Wasiljewicz, choćby był żywy, to i tak nieprzytomny i nic nie zobaczy. Jedno tylko ryzyko było: że

Marta Ignatjewna nagle się obudzi. Poczułem to ja w tej minucie, tylko już chętka mnie taka wzięła, że aże dech zaparło. Wróciłem się pod okno do pana i mówię: „Ona tu przyszła, Agrafena Aleksandrowna przyszła, chce wejść": A on cały się wzdrygnął, jak dziecko. — „Gdzie tu? Gdzie?" — tak wzdycha, a sam jeszcze nie wierzy. — „Tam, powiadam, stoi, niech pan ino otworzy!" Patrzy na mnie przez okno i wierzy i nie wierzy, a boi się otworzyć, mnie się już boi, myślę sobie. I śmieszne to: nagle zacząłem te same-ci znaki sztukać w futro, że niby to Gruszeńka przyszła, sztukam, a on widzi, że sztukam. Słowu nie wierzył, a jak znaki wysztukałem, to odrazu otworzył drzwi. Ano otworzył. Ja wszedłem, a on stoi, zagrodził drogę: „Gdzie ona? gdzie ona? — patrzy na mnie i trzęsie się. Ano myślę: jak i mnie się tak boi to źle! I tu mi nawet nogi osłabły ze strachu samego, że nie wpuści mnie do pokoju, albo krzyknie, albo Marta Ignatjewna przyleci, albo co inszego wyńdzie, nie pamiętam już co, sam stałem blady. Szepczę mu: — „Ależ tam, tam ona pod oknem, jakto pan nie widzi?" — „A ty ją przyprowadź". — A boi się, powiadam, krzyku się zlękła, schowała się za krzakiem, niech pan dojdzie, zawoła, powiadam, sam z gabinetu". Podbiegł, podszedł do okna, świeczkę na oknie postawił: „Gruszeńka, krzyczy, Gruszeńka, czy tu jesteś?" Sam tak krzyczy, a wychylić się z okna nie chce, ode mnie odsunąć się nie chce, z tego samego-ci strachu, bo już bardzo się mnie zląkł, i dlatego odejść nie śmiał. „Tam ona, powiadam, (sam doszedłem do okna i wychyliłem się) tam za krzakiem, śmieje się do pana, widzi pan?" Uwierzył nagle, cały się zatrząsł, okropnie zakochany był, i cały wysunął się. Złapałem-ci tu ten sam mosiężny przycisk, co na stole, pamięta pan, wszak ze trzy funty ważył, zamachnąłem się i ztyłu go w ciemię pod kątem. Nie krzyknął nawet. Ino naraz plasnął, a ja drugi raz i trzeci. Za trzecim poczułem, że zgruchotałem. Pan się nagle przewrócił i zwalił, nawznak, cały we krwi. Obejrzałem się: niema na mnie krwi, nie bryznęło, przycisk wytarłem, położyłem, poszukałem za obrazami, pieniądze z koperty wyjąłem, a kopertę rzuciłem na podłogę, i wstążeczkę różową tyż. Wszedłem do ogro-

du, trzęsąc się cały. Doszedłem wprost do jabłoni z dziuplą, — zna pan tę dziuplę, napatrzyłem-ci się już na nią dawniej, leżała tam ściereczka i papier, przedtem przyszykowałem; zawinąłem całą flotę w papier, a potem w ściereczkę i wetknąłem głęboko. W ten-ci sposób przechowywały się tam ze dwa tygodnie te same pieniądze, potem po wyjściu ze szpitala wyjąłem je. Wróciłem do siebie, położyłem się do łóżka, i myślę-ci ze strachem: „jeśli już zupełnie zabity jest Grzegorz Wasiljewicz, to przez to coś złego może się przytrafić, a jeśli nie zabity i obudzi się, to wszystko będzie dobrze, bo będzie on faktycznie świadkiem, jak Dymitr Fedorowicz przychodził, wobec tego i on zabił i pieniądze zabrał". Z wątpienia i niecierpliwości zacząłem stękać, żeby Martę Ignatjewnę obudzić czemprędzej. Wstała ona nakoniec, rzuciła się ku mnie, i jak zobaczyła nagle, że niema Grzegorza Wasiljewicza, to wybiegła i słyszę, wrzasnęła na cały ogród. No to później się wszystko zaczęło, a ja już byłem całkiem spokojny.

Umilkł. Iwan słuchał go cały czas w milczeniu, nie ruszając się, nie spuszczając z niego oka. Smerdjakow chwilami tylko zerkał na niego zukosa. Skończywszy zaś opowieść, widocznie sam się zdenerwował. Dyszał ciężko, twarz skropliła mu się potem. Nie można było jednak zgadnąć, czy czuje skruchę czy co innego.

— Poczekaj — zastanawiając się nad czemś, podjął Iwan. — A drzwi? Jeśli tylko tobie otworzył drzwi, to jakże Grzegorz mógł widzieć otwarte? Bo przecie Grzegorz widział przed tobą?

Rzecz dziwna: Iwan pytał najspokojniejszym głosem, jakgdyby nawet nie tym tonem, co poprzednio, bez żadnej złości. Gdyby kto w tej chwili otworzył nagle drzwi i zajrzał z progu, pomyślałby napewno, że siedzą i przyjaźnie omawiają jakiś zwykły chociaż interesujący temat.

— Co się tycze tych drzwi, i że Grzegorz Wasiljewicz nibyto widział, że otwarte były, to jemu się tak ino ochapiało — uśmiechnął się z grymasem Smerdjakow. — Wszak to nie jest, powiem ja panu, człowiek nawet, to wałach uparty. Nie widział, ochapiało mu się ino, a nie prze-

konasz go żadną miarą. To już takie nasze szczęście, że to sobie uroił, bo to już do reszty zgubi Dymitra Fedorowicza.

— Posłuchaj — odezwał się naraz Iwan Fedorowicz, jakby znowu stropiony i zamyślony — słuchaj... Chciałem cię jeszcze wypytać o wiele rzeczy, ale zapomniałem... Zapominam wciąż i plączę się... Tak! Powiedz ty mi jedno: pocoś ty kopertę rozdarł i na podłodze zostawił? Dlaczegoś w kopercie nie zabrał... Kiedy opowiadałeś, to mi się jakoś wydawało, że tak mówisz o tej kopercie, jakgdyby właśnie tak trzeba było.. a dlaczego — nie mogę zrozumieć..

— A to ja zrobiłem nie bez kozery. Bo gdyby był człowiek wiedzący i swój, jak ja naprzykład, który te pieniądze sam widział wpierw i może sam zapakował i własnemi oczami przyglądał się, jak te kopertę zapieczętowano, to taki-ci człowiek pocoby, gdyby na ten przykład on zabił, zacząłby wtedy po zabójstwie tę kopertę rozrywać i to wtedy, kiedy się tak bardzo śpieszy, wiedząc i przez tego napewno, że pieniądze w kopercie leżą? Naodwrót, gdyby to był rabuś taki jak ja na ten przykład, toby zwyczajnie wsunął sobie kopertę do kieszeni, nie rozrywając, i czemprędzej dał zmywy. Całkiem inaczej Dymitr Fedorowicz: on wiedział o kopercie ino ze słuchu, a sam nie widział, i ot jakci wyjął na ten przykład nibyto że z pod materaca, to czemprędzej rozerwał, aby sprawdzić: są pieniądze czy niema? A kopertę rzucił tyż, jeszcze tego nie miarkując, że zostanie się poszlaka, dlatego że niezwyczajny i wpierw nigdy jawnie nie kradł, bo przecie szlachcic rodowy, a jeżeli teraz ważył się ukraść, to właśnie jakby nie kradnąc, ino swoje własne pieniądze odbierając, bo i po całem mieście o tem rozpowiadał i nawet chwalił się nagłos przed wszystkimi, że pójdzie i własność swoją od Fedora Pawłowicza odbierze. Ja tę samą myśl powiedziałem prokuratorowi przy badaniu, nie tak zupełnie wyraźnie, ale jakby pośrednio, że niby to ja nie rozumiem, że niby to on sam ten-ci fakt wymyślił, a nie że ja mu podpowiedziałem. Tak że nawet panu prokuratorowi ślinka z ust pociekła.

— I to wszystko tam na miejscu obmyśliłeś? — za-

wołał Iwan Fedorowicz, nie posiadając się z podziwu. Znowu patrzał na Smerdjakowa z lękiem.

— Za przeproszeniem pańskiem, czy można takie rzeczy wymyślić w pośpiechu? Wszystko zgóry obmyślone było.

— No... no, to znaczy, że sam djabeł ci pomagał!— zawołał znowu Iwan Fedorowicz. — Nie, tyś nie głupi, o wiele jesteś mądrzejszy niż myślałem...

Podniósł się, aby się przejść po pokoju. Coś go straszliwie gnębiło. Ale ponieważ stół zagradzał drogę i trzeba było się przepchać między stołem a ścianą, więc zaniechał zamiaru, pokręcił się tylko i znowu usiadł. I to, że nie mógł przejść, nagle go jakoś zirytowało; z poprzednią wściekłością wrzasnął znienacka:

— Słuchaj, nieszczęsny marny człowieku! Czy ty nie pojmujesz, że jeżeli nie zabiłem cię do tej pory, to tylko dlatego, że chcę cię zachować do jutrzejszej rozprawy. Bóg mi świadkiem (Iwan podniósł rękę) — być może, i ja zawiniłem, być może, istotnie miałem ukrytą chęć, żeby... ojciec umarł, ale przysięgam ci, nie zawiniłem tak jak ty myślisz, i być może wcale cię nie zachęcałem. Nie, nie, nie zachęcałem. Ale wszystko jedno, jutro sam siebie oskarżę, jutro, w sądzie, tak postanowiłem! Wszystko powiem, wszystko. Ale pójdziemy do sądu razem! I cokolwiek zeznasz przeciwko mnie w sądzie, cokolwiek powiesz — przyjmuję i nie boję się ciebie; sam wszystko potwierdzę! Ale i ty musisz przyznać się przed sądem! Musisz, musisz, razem pójdziemy! Tak będzie.

Powiedział to energicznie i uroczyście, i widać było z jego rozpalonego spojrzenia, że tak w istocie będzie.

— Chory pan jest, widzę, że całkiem chory. Żółte oczy — odezwał się Smerdjakow ale bez szyderstwa, jakby nawet z ubolewaniem.

— Razem pójdziemy! — powtórzył Iwan. — A jak nie pójdziesz, wszystko jedno, sam się przyznam.

Smerdjakow milczał, jakbv namyślając się.

— Nic takiego nie będzie, i pan wcale nie pójdzie — zdecydował wreszcie bezapelacyjnie.

— Nie rozumiesz ty mnie! — zawołał Iwan tonem wyrzutu.

— Za bardzo wstyd panu będzie, jeśli pan się do wszystkiego przyzna. A prócz tego, to i bezużytecznie będzie, całkiem bezużytecznie, bo ja odrazu powiem, że nic takiego z panem nigdy nie mówiłem, i że pan albo chory jest bardzo (a na to pan wygląda), albo już tak panu żal braciszka, że chce pan za niego karę ponieść, a mnie pan skarży, bo przecie pan i tak całe życie mnie uważał za muszkę, a nie za człowieka. No to i kto panu uwierzy, i jaki pan ma faktycznie dowód?

— Słuchaj, te pieniądze pokazałeś mi teraz, aby mnie przekonać.

Smerdjakow zdjął z paczek tom Izaaka Siryna.

— Te pieniądze niech pan weźmie i ze sobą zabierze — westchnął Smerdjakow.

— Rozumie się, że zabiorę! Ale dlaczego mi oddajesz, skoroś dla nich zabił? — rzekł Iwan i popatrzał nań z wielkiem zdziwieniem.

— Nie trza mi ich całkiem — odparł drżącym głosem Smerdjakow, machnąwszy ręką. — Była taka dawna myśl, że z temi pieniędzmi rozpocznę życie w Moskwie albo lepiej zagranicą, takie marzenie było, a najbardziej dlatego, że „wszystko jest dozwolone". To pan mnie tak nauczył, bo i wiele mi pan wtedy tego naopowiadał: bo i jak Boga Nieskończonego niema, to i niema żadnej cnoty i całkiem nie potrzebna jest w takim razie cnota. To pan serjo. Tak sobie to przemyślałem.

— Swoim rozumem doszedłeś? — uśmiechnął się Iwan z grymasem.

— Pod pańskiem kierownictwem.

— A teraz zatem w Bogaś uwierzył, skoro pieniądze zwracasz?

— Nie, nie uwierzyłem — szepnął Smerdjakow.

— Więc poco oddajesz?

— Dosyć... niczego! — machnął ręką Smerdjakow. — Pan sam wciąż mówił, że wszystko dozwolone, a tera to i dlaczego pan taki zatrwożony, sam nibyto pan? Nawet

chce pan iść i zaskarżyć siebie! — pewnym i twardym głosem odrzekł znów Smerdjakow.

— Zobaczysz!

— Nie może być. Bardzo pan mądry. Pieniądze to pan kocha, to ja wiem, honory tyż pan kocha, bo bardzo pan dumny, wdzięki kobiece to pan nad wyraz kocha, a najbardziej to żyć w spokojnym dostatku, i żeby nikomu się nie kłaniać — to najbardziej ze wszystkiego. Nie zechce pan przecie życia sobie na wieki popsuć, biorąc na siebie taką hańbę w sądzie. Pan faktycznie jak Fedor Pawłowicz, najbardziej pan ze wszystkich dzieci w niego się wdał, jedna dusza.

— Nie jesteś głupi — rzekł Iwan, jakgdyby rażony temi słowami; krew uderzyła mu do głowy. — Dawniej myślałem, że jesteś głupi. Teraz jesteś poważny! — dodał, inaczej niż zawsze patrząc na Smerdjakowa.

— Z pychy pańskiej myślał pan, że jestem głupi. Niech pan pieniądze przyjmie.

Iwan wziął trzy paczki banknotów i wsunął do kieszeni, nie zawijając nawet w papier.

— Jutro w sądzie pokażę — rzekł.

— Nikt tam panu nie uwierzy, bo i pieniądzów to panu i przez tego tera nie brak, wyjął-ci nibyto ze szkatułki i przyniósł.

Iwan podniósł się.

— Powtarzam ci, jeśli nie zabiłem cię, to jedynie dlatego, że mi jesteś na jutro potrzebny, zapamiętaj to sobie, nie zapomnij!

— A cóż, niech pan zabije. Niech pan tera zabije— dziwnie jakoś powiedział Smerdjakow, patrząc dziwnie na Iwana. — Nie odważy się pan i na to — dodał z gorzkim uśmiechem — na nic się pan nie odważy, wprzódy tak odważny człowieku!

— Do jutra! — krzyknął Iwan i ruszył z miejsca.

— Niechże pan poczeka... niech mi pan jeszcze raz pokaże.

Iwan wyjął banknoty i pokazał mu. Smerdjakow patrzał na nie dziesięć sekund.

— No, niech pan idzie — rzekł, machnąwszy ręką.— Iwanie Fedorowiczu! — krzyknął za nim znowu.

— Czego chcesz? — odwrócił się na chwilę Iwan.

— Żegnaj pan!

— Do jutra! — krzyknął znowu Iwan i wyszedł z izby.

Zamieć jeszcze nie ucichła. Pierwsze kroki przeszedł raźnie, ale potem zaczął się jakoś zataczać. „To coś fizycznego" — pomyślał z uśmiechem. Na jego duszę spłynęła jakaś radość. Poczuł w sobie bezgraniczną niezłomność: skończyły się wahania, które tak strasznie męczyły go ostatniemi czasy! Postanowienie już zapadło „i już się nie zmieni" — pomyślał ze szczęściem. W tej chwili potknął się o coś i omal nie przewrócił. Zatrzymał się i zobaczył u nóg swoich chłopaka, którego niedawno powalił, a który leżał wciąż nieruchomo na tem samem miejscu. Śnieżyca zasypała mu już całą twarz. Iwan nagle złapał go i wciągnął sobie na plecy. Ujrzawszy zdala światełko, podszedł, zapukał w okiennice i wywołał mieszczanina, który tam mieszkał, na ulicę. Przyrzekł mu trzy ruble za fatygę wzamian za pomoc w zaniesieniu chłopa do komisarjatu. Nie będę szczegółowo opisywał, jak Iwan Fedorowicz dopiął swego, dowlókł chłopka do komisarjatu i postarał się o pomoc lekarską, nie żałując oczywiście wydatku. Powiem tylko, że zajęło mu to całą godzinę. Ale był bardzo mimo straty czasu zadowolony. Myśl jego nieustannie pracowała: „gdyby moje postanowienie nie było tak stanowcze — pomyślał nagle z rozkoszą — tobym nie zajmował się całą godzinę chłopem, przeszedłbym i tylko plunął na to, że zamarznie na śmierć... Ale jak to jeszcze potrafię obserwować siebie? — pomyślał z jeszcze większą rozkoszą. — A oni już tak orzekli, że dostaję obłędu!" Zbliżając się już do swego domu, zatrzymał się pod wpływem nowego pytania: „czy nie trzeba teraz, już teraz iść do prokuratora i wszystko oznajmić?" Rozstrzygnął to natychmiast, idąc dalej w kierunku domu: „jutro już wszystko razem!" — szepnął do siebie i, rzecz dziwna, cała radość, prawie całe zadowolenie z siebie momentalnie pry-

sło. Gdy zaś wchodził do swego pokoju, ziąb jakiś lodowaty zmroził mu serce — niby wspomnienie albo raczej przypomnienie czegoś męczącego i szkaradnego, co się znajduje w tym właśnie pokoju, teraz właśnie, co zresztą i przedtem było. Zmęczonym ruchem opadł na kanapę. Stara służąca przyniosła samowar, zagotowała herbatę, której nie tknął nawet. Starą zaś odprawił do jutra. Siedział na kanapie doznając zawrotów głowy. Czuł, że jest chory i bezsilny. Zdrzemnął się, ale po chwili wstał niespokojnie i przeszedł się po pokoju, aby spędzić sen z powiek. Chwilami wydawało mu się, że majaczy. Lecz nie choroba zajmowała go najbardziej; usiadłszy znowu, rozglądał się chwilami wokoło, jakgdyby czegoś wypatrywał. Ten ruch powtórzył się kilkakrotnie. Nakoniec spojrzenie jego utknęło w jednym punkcie. Iwan uśmiechnął się, lecz rumieniec gniewu zalał mu twarz. Długo siedział na swojem miejscu, mocno podpierając rękoma głowę, i wciąż zezował na ów punkt, na kanapę stojącą pod przeciwległą ścianą. Widać coś go tam drażniło, — jakaś rzecz, — niepokoiło i męczyło.

IX.

Djabeł. Zmora Iwana Fedorowicza.

Nie jestem lekarzem, a jednak czuję, że nastała chwila, kiedy muszę bezwzględnie wyjaśnić czytelnikowi charakter choroby Iwana Fedorowicza. Uprzedzając fakty, powiem tylko jedno: tego wieczoru był w stanie bezpośrednio poprzedzającym zapalenie mózgu — choroby, która wreszcie zmogła jego już oddawna rozklekotany, ale uporczywie opierający się organizm. Nie mając pojęcia żywnego o medycynie, zaryzykuję jednak przypuszczenie, że istotnie, być może, straszliwem natężeniem woli zdołał odwlec na pewien czas chorobę, tusząc, że jej całkiem zapobiegnie. Wiedział, że jest niezdrów, ale ze wstrętem i niechęcią myślał o tem, że rozchoruje się teraz właśnie, kiedy następu-

ją fatalne minuty jego życia, kiedy trzeba być gotowym, wypowiedzieć swoje słowo śmiało i stanowczo i „oczyścić się przed sobą samym". Był już zresztą u nowego lekarza, sprowadzonego z Moskwy przez Katarzynę Iwanowną, który wysłuchał go i zbadał i stwierdził rozstrój nerwowy i nawet ani trochę się nie zdziwił, gdy Iwan wyznał mu ze wstrętem, że miewa halucynacje. „Halucynacje w pańskim stanie są bardzo możliwe — orzekł lekarz — chociaż trzeba je sprawdzić... wogóle zaś trzeba zacząć poważną kurację, nie zwlekając ani chwili, bo będzie kiepsko". Atoli Iwan Fedorowicz, pożegnawszy go, nie posłuchał się rozumnej rady i nie położył do łóżka. „Chodzę przecie, siły jeszcze są, a jak upadnę to inna rzecz, wtedy niech mnie leczy kto chce" — zdecydował, machnąwszy ręką. A zatem siedział teraz, uświadamiając sobie sam, że ma gorączkę i, jak już mówiłem, uporczywie wpatrując się w jakąś rzecz na kanapie, stojącej pod przeciwległą ścianą. Tam nagle, okazało się, siedział ktoś, kto Bóg wie jak wszedł, bo nie było go jeszcze w pokoju, gdy Iwan Fedorowicz wrócił od Smerdjakowa. To był jakiś pan, albo wyrażając się dokładniej, określonego typu dżentelmen rosyjski, już niemłody „qui frisait la cinquantaine", jak mówią Francuzi, z niezbyt mocną siwizną w ciemnych, dosyć długich i gęstych jeszcze włosach i w bródce, strzyżonej klinem. Ubrany był w jakiś brunatny tużurek, widocznie od lepszego krawca, ale już zniszczony, uszyty zapewne trzy lata temu i bardzo już zdemodowany — żaden zamożny światowiec od dwóch lat nie nosił takiego fasonu. Bielizna, długi krawat w kształcie szarfy, wszystko było takie, jak u wszystkich szykownych dżentelmenów, ale wystarczyło bliżej się przyjrzeć, aby stwierdzić, że koszula była już mocno przybrudzona, a szeroka szarfa porządnie wytarta. Spodnie w kratki leżały znakomicie, ale były znowu zbyt jasne i jakoś szczególnie wąskie, — takich teraz już nie noszą, podobnie miękki biały pilśniowy kapelusz, nie licujący z porą roku. Słowem przyzwoita prezencja, świadcząca jednak o bardzo słabych zasobach w kieszeni. Miało się wrażenie, że dżentelmen należy do kategorji byłych wydelikaconych ziemian, którzy mieli się jak pączek w maśle za czasów pań-

szczyzny; zapewne, obracał się w świecie, ocierał się o przyzwoitą socjetę, miał jakieś stosunki i zachował może i do tej pory; ale coraz bardziej po wesołem życiu w młodości, po zniesieniu pańszczyzny biedniał i stopniowo przedzierzgnął się w rezydenta w dobrym tonie, włóczącego się po domach dobrych starych znajomych; przyjmowano go ze względu na jego zgodny, użyty charakter i jeszcze ze względu, że bądź co bądź jest to wytworny człowiek, że można go bez wstydu pokazywać gościom, oczywiście sadzając na skromnem miejscu. Tacy rezydenci, zgodnego charakteru dżentelmeni — w razie potrzeby causeurzy lub partnerzy do gry w karty, bardzo niechętnie jednak przyjmujący zlecenia — zazwyczaj rekrutują się z pośród starych kawalerów albo wdowców bezdzietnych lub takich, których dzieci wychowują się poza domem, u jakichś ciotek, o których dżentelmen nigdy nie wspomina w przyzwoitem towarzystwie, jakgdyby się wstydził takiej paranteli. Ci ostatni stopniowo coraz bardziej odzwyczajają się od swych dzieci, otrzymują od nich bardzo rzadko, zaledwie na imieniny i na Boże Narodzenie, karty z powinszowaniami, i jeszcze rzadziej odpisują. Fizjonomja niespodzianego gościa była nie powiem dobroduszna, ale jakaś zgodna i gotowa, stosownie do okoliczności, do wszelakich uprzejmych min. Nie widać było, aby miał zegarek, natomiast na czarnej wstążce wisiało szyldkretowe lorgnon. Na średnim palcu prawej ręki miał masywny złoty pierścień z niedrogim opalem. Iwan Fedorowicz był zły i milczał i nie chciał odezwać się pierwszy. Gość czekał i siedział właśnie niby rezydent, który dopiero co zeszedł z wyznaczonego mu pokoju nadół na herbatkę, aby zabawić gospodarza rozmową, — lecz milczy, bo gospodarz jest zajęty i chmurnie o czemś myśli; gotów jest jednak wszcząć wszelką uprzejmą rozmówkę, skoro tylko gospodarz przerwie milczenie. Naraz oblicze jego wyraziło jakąś nagłą troskę.

— Posłuchaj — odezwał się do Iwana Fedorowicza — wybacz, ja tylko, aby ci przypomnieć: poszedłeś przecie do Smerdjakowa poto, aby dowiedzieć się o Katarzynie Iwanownej, i nic się nie dowiedziałeś, zapewneś zapomniał...

— Ach, tak! — zawołał Iwan i zasępił się. — Tak, zapomniałem... Zresztą teraz jest wszystko jedno, wszystko do jutra — mruknął do siebie. — A ty — zwrócił się z irytacją do gościa — ja sambym to sobie przypomniał, bo właśnie to mnie tak trapiło! Czegoś wyskoczył, myślisz, że ja uwierzę, żeś to ty mi przypomniał, a nie ja sam!

— To sobie nie wierz — uśmiechnął się łagodnie dżentelmen. — Cóżto za wiara pod przymusem? Poza tem w kwestjach wiary żadne dowody nic nie znaczą, szczególnie materjalne. Tomasz uwierzył nie dlatego, że zobaczył zmartwychstałego Chrystusa, lecz dlatego, że jeszcze wprzódy pragnął uwierzyć. Ot naprzykład spirytyści... ja ich bardzo lubię... wyobraź sobie, przypuszczają, że przyczyniają się do wiary, ponieważ djabli im z tamtego świata różki pokazują. „To nibyto dowód, że tak powiem, materjalny, że istnieje tamten świat". Tamten świat i dowody materjalne, baju-baju! I wreszcie, jeśli nawet djabeł jest udowodniony, to czy z tego wynika, że Bóg jest też udowodniony? Chcę się zapisać do idealistycznego towarzystwa, będę robił opozycję: „niby realista, a nie materjalista, che-che!"

— Posłuchaj — podniósł się naraz Iwan Fedorowicz z miejsca. — Teraz jestem jakby w malignie... i napewno w malignie... blaguj, jak ci się żywnie podoba, wszystko mi jedno! Nie doprowadzisz mnie do wściekłości, jak ostatnio. Tylko wstyd mi czegoś... Chcę chodzić po pokoju... Czasem cię nie widzę, nawet głosu twego nie słyszę, jak ostatnim razem, nie zawsze rozumiem, co ty pytlujesz, ponieważ *to ja, ja sam mówię, a nie ty!* Nie wiem tylko, czy spałem ostatnim razem, czy widziałem cię na jawie? Ot zmoczę ręcznik zimną wodą i przyłożę do głowy, a nuż wyparujesz.

Iwan Fedorowicz doszedł do kąta, wziął ręcznik, zrobił, co powiedział, i z mokrym ręcznikiem na głowie zaczął chodzić z kąta w kąt.

— Podoba mi się, żeśmy poprostu przeszli na *ty* — zaczął gość.

— Dureń — roześmiał się Iwan. — Cóż, może przez

pan mam się do ciebie zwracać. Wesół jestem teraz, tylko w skroniach boli... i ciemię... tylko proszę cię, nie filozofuj jak ostatnim razem. Jeśli nie możesz się wynieść, to mów co wesołego. Plotkuj, wszak jesteś rezydentem to i plotkuj. Jak natrętnie opada cię taka zmora! Ale nie boję się ciebie. Przezwyciężę cię. Nie wywiozą mnie do domu warajtów!

— C'est charmant — rezydent. Tak, właśnie jestem w swoim rodzaju. Kimże jestem na ziemi, jak nie rezydentem? A propos, słucham ciebie i dziwię się trochę: jak Boga kocham, zaczynasz mnie już pomalutku brać za coś rzeczywistego, nietylko za swoją fanatzję, jakeś się upierał zeszłym razem...

— Ani przez chwilę nie biorę cię za realną prawdę — zawołał Iwan z jakąś wściekłością. — Jesteś kłamstwem mojem, chorobą moją, marą. Tylko nie wiem, jak cię zgładzić, i widzę, że przez pewien czas trzeba będzie cierpieć. Jesteś moją halucynacją. Jesteś uosobieniem mego własnego ja, zresztą jednej tylko strony... moich myśli i uczuć, ale najbardziej obmierzłych i głupich. Pod tym względem mógłbyś mnie nawet zainteresować, gdybym miał więcej czasu...

— Pozwól, pozwól, zaraz cię przyłapię: poprzednio pod latarnią, kiedy rzuciłeś się na Aljoszę i zawołałeś: „tyś się od *niego* dowiedział! Skąd wiesz, że *on* do mnie przychodzi?" — przecież to o mnie mówiłeś. A zatem przez jedną najmniejszą chwilkę wierzyłeś, wierzyłeś, że ja rzeczywiście istnieję — roześmiał się miękko dżentelmen.

— Tak, to była chwila słabości... ale nie mogłem ci wierzyć. Nie wiem, czy spałem, czy chodziłem ostatnim razem. Być może widziałem cię wówczas tylko we śnie, wcale nie na jawie...

— A pocoś ty poprzednio obszedł się z nim tak surowo, z Aljoszą? To miły chłopak; poczuwam się przed nim do winy z powodu starca Zosimy.

— Nie wymieniaj Aljoszy! Jak ty śmiesz, fagasie!— roześmiał się znowu Iwan.

— Wymyślasz, a sam się śmiejesz — to dobry znak.

Zresztą jesteś dziś względem mnie o wiele uprzejmiejszy, niż zeszłym razem; rozumiem dlaczego: to wielkie postanowienie...

— Nie śmiej mówić o postanowieniu! — krzyknął z wściekłością Iwan.

— Pojmuję, pojmuję, c'est noble, c'est charmant. Idziesz jutro obronić brata i czynisz z siebie ofiarę... c'est chevaleresque...

— Milcz, bo cię kopnę!

— Po części będę rad, albowiem osiągnę przez to cel swój, — skoro kopiesz, to znaczy, że w realizm mój wierzysz, bo przecie mary się nie kopie. Żarty nabok: ja co, mnie wszystko jedno, wymyślaj jak chcesz, ale lepiej być chociaż troszeczkę bardziej uprzejmym, choćby nawet w stosunku do mnie. A to dureń, to znowu fagas, cóżto za wyrażenia?

— Wymyślając tobie — sobie wymyślam — roześmiał się Iwan. — Ty to ja, ja sam, tylko z inną facjatą. Ty mówisz to, co ja myślę... i nie potrafisz mi powiedzieć nic nowego!

— Jeżeli zgadzam się z tobą w myślach, to jest to tylko dla mnie zaszczyt — z delikatnością i godnością odrzekł dżentelmen.

— Tylko moje złe myśli bierzesz, a przedewszystkiem — głupie. Jesteś głupi i pospolity. Jesteś strasznie głupi. Nie, ja cię nie zniosę! Co robić, co robić! — rzekł Iwan, zgrzytając zębami.

— Przyjacielu mój, ja jednakże chcę być dżentelmenem i chcę, żeby mnie za takiego przyjmowano — zaczął gość w przystępie iście rezydenckiej, odrazu już skorej do ustępstw, dobrodusznej ambicji. — Jestem biedny, ale... nie powiem, że bardzo uczciwy, lecz... zwykle w towarzystwie uchodzi za pewnik, że jestem upadłym aniołem. Jak Boga kocham, nie mogę sobie wyobrazić, jakim sposobem mogłem być kiedyś aniołem. Jeżeli nawet kiedy byłem, to tak dawno, że nie grzech zapomnieć o tem. Teraz cenię tylko swoją reputację porządnego człowieka i żyję, jak popadnie, starając się być przyjemnym. Szczerze kocham lu-

dzi — o, ileż to razy rzucano na mnie potwarz! Tutaj, gdy czasami wśród was zamieszkuję, życie moje przybiera jakby naprawdę rzeczywiste kształty, co mi się bardzo podoba. Wszak i ja sam, jak i ty, cierpię z powodu fantastyczności, a przeto lubię wasz ziemski realizm. Tu u was wszystko jest określone, tu formuła, tu geometrja, a u nas wszystko jakieś nieoznaczone równania! Tutaj chodzę i marzę. Lubię marzyć. W dodatku na ziemi staję się przesądny — nie śmiej się, proszę cię: to mi się właśnie podoba, że staję się przesądny. Ja tu wszystkich waszych nałogów nabieram: lubię chodzić do „bani" (łaźni), wyobraź to sobie, i lubię parzyć sie wespół z kupcami i popami. Moje marzenie to — wcielić się, ale żeby już tak ostatecznie, bezpowrotnie, w jakąś otyłą, siedmiopudową kupcową i uwierzyć w to wszystko, w co ona wierzy. Mój ideał — pójść do cerkwi i postawić świeczkę z czystego serca, jak Boga kocham, że tak. Wtedy kres moich cierpień. Ot, polubiłem też u was odbywać kuracje: na wiosnę była epidemja ospy — kazałem sobie szczepić w domu wychowawczym— gdybyś ty wiedział, jak ja tego dnia byłem zadowolony; na braci Słowian ofiarowałem dziesięć rubli!... A ty mnie wcale nie słuchasz. Wiesz, jesteś dziś coś bardzo nieswój— dodał i umilkł na chwilę. — Wiem, że byłeś wczoraj u tego lekarza... no, jak zdrówko? Co ci lekarz powiedział?

— Dureń! — wypalił Iwan.

— Zato ty jesteś mądry. Znowu wymyślasz? Ja przecie nie ze współczucia, ja tak. Proszę, możesz nie odpowiadać. Teraz tylko reumatyzmy znowu modne...

— Dureń — powtórzył Iwan.

— Ty znowu swoje, a ja w zeszłym roku nabyłem taki-ci reumatyzm, że do tej pory wspominam.

— Djabeł i reumatyzm?

— Czemu nie, skoro się niekiedy ucieleśniam. Ucieleśniam się to i przyjmuję konsekwencje. Szatan sum et nihil humanum a me alienum puto.

— Jak, jak? Szatan sum et nihil humanum... to wcale niegłupi koncept jak na djabła!

— Rad jestem, że ci dogodziłem.

— A przecież toś wziął nie ode mnie — zatrzymał się Iwan, jakby zaskoczony — to mi nigdy do głowy nie przychodziło, to dziwne...

— C'est de nouveau, n'est-ce pas? Tym razem postąpię uczciwie i wyjaśnię ci. Słuchaj: w snach a zwłaszcza w koszmarach, ano tam, z rozstroju żołądka czy z czego innego, widzi człowiek czasem takie artystyczne sny, taką skomplikowaną i realną rzeczywistość, takie wydarzenia i nawet cały świat wydarzeń, powiązany taką intrygą, z takiemi niespodzianemi szczegółami, i to poczynając od najwyższych waszych przejawów do ostatniej spinki na półkoszulku, że, przysięgam ci, Lew Tołstojby tego nie skomponował, a przecież widzą niekiedy takie sny niekoniecznie pisarze, bo i najprzeciętniejsi ludzie, urzędnicy, feljetoniści, popi... Na to konto nawet jest całe zagadnienie: pewien minister przyznał mi się pewnego razu, że najlepsze myśli przychodzą mu do głowy we śnie. To samo teraz. Chociaż jestem twoją halucynacją, to jak we śnie, mówię rzeczy oryginalne, jakie ci do tej pory do głowy nie przychodziły, tak że wcale nawet nie powtarzam twoich myśli, a tymczasem jestem tylko twoją zmorą i niczem więcej.

— Łżesz. Celem twoim jest to, aby mnie przekonać, że istniejesz niezależnie ode mnie, że nie jesteś moją zmorą, a teraz znowu sam potwierdzasz, że jesteś tylko widziadłem sennem.

— Przyjacielu mój, dziś stosuję szczególną metodę, potem ci to wytłumaczę. Poczekaj, na czem się zatrzymałem? Tak, więc przeziębiłem się wówczas, tylko że nie u was, lecz jeszcze tam.

— Gdzie tam? Mów, długo jeszcze u mnie będziesz, nie możesz odejść? — zawołał Iwan nieledwie w rozpaczy.

Przestał chodzić z kąta w kąt, usiadł na kanapie, znowu oparł się łokciami na stole, i ścisnął w rękach głowę. Zerwał z siebie mokre prześcieradło i ze złością odrzucił: widocznie nie pomagało.

— Masz rozstrojone nerwy — zauważył dżentelmen z swobodnie niedbałą, ale bardzo uprzejmą miną — gnie-

wasz się na mnie nawet zato, że mogłem się zaziębić, a tymczasem stało się to w sposób najzupełniej normalny. Śpieszyłem wtedy na dyplomatyczny bal do pewnej bardzo wpływowej petersburskiej damy. No, frak, biały krawat, rękawiczki, a ja tymczasem byłem jeszcze Bóg wie gdzie, i żeby dostać się do was na ziemię, miałem przelecieć przestrzeń... oczywiście to tylko jedno mgnienie, ale przecie i promień słoneczny idzie do was osiem minut, a tu wyobraź sobie we fraku, i wyciętej kamizelce. Duchy nie marzną, ale skoroś się już wcielił, to... Słowem postąpiłem sobie lekkomyślnie, zaś w przestworzach tych, w eterze, w wodach tamtych co to były nad utwierdzeniem — wszak tam-ci jest taki mróz — co znaczy mróz — tego już mrozem nazwać nie można; możesz sobie wyobrazić: sto pięćdziesiąt stopni niżej zera! Znasz zabawę wiejskich dziewuch: na trzydziestopniowym mrozie proponują frycowi liznąć topór; język w mig się przylepia i gamuła zrywa z niego skrwawioną skórę; to jest przy trzydziestu stopniach, zaś przy stu pięćdziesięciu to myślę, że wystarczy palec przyłożyć do siekiery, aby go postradać, o ileby... mogła tam znaleźć się siekiera...

— A czy może tam znaleźć się siekiera? — przerwał z obrzydzeniem Iwan Fedorowicz.

Bronił się z całej mocy, aby nie uwierzyć w swoje majaczenie i nie wpaść zdecydowanie w obłęd.

— Siekiera? — przepytał gość ze zdziwieniem.

— No tak, co stanie się tam z siekierą? — zawołał nagle Iwan Fedorowcz z jakimś dzikim uporem.

— Co stanie się w przestworzach z siekierą? Quelle idée! Jeśli popadnie w oddalone strefy, to myślę, że zacznie latać dokoła ziemi, sama nie wiedząc poco, w postaci satelity. Astronomowie wyliczą wschód i zachód siekiery. Gatcug zapisze do kalendarza, oto wszystko.

— Głupi jesteś, strasznie jesteś głupi! — rzekł krnąbrnie Iwan. — Zmyślaj mądrzej, bo nie będę cię słuchał. Chcesz pokonać mnie realizmem, zapewnić mnie, że istniejesz, ale ja nie chcę wierzyć, że istniejesz! Nie uwierzę!

— Przecież ja nie zmyślam, wszystko to prawda; ku

memu ubolewaniu prawda prawie zawsze jest niedowcipna. Widzę, że stanowczo spodziewasz się po mnie czegoś wielkiego i, być może, pięknego. Wielka szkoda, ponieważ daję tylko to, co mogę...

— Nie filozofuj, ośle!

— Jakaż tu filozofja, kiedy całą prawą stroną nie władam, stękam i myczę. Byłem u całej medycyny: rozpoznać umieją wybornie, całą chorobę ci opowie jak na palcach no a wyleczyć nie umie, Studencik tu pewien się zdarzył entuzjasta: „jeśli pan, powiada, umrze nawet, to zato będzie pan wiedział, na jaką chorobę pan umarł!" Inna znowu maniera ich to wysyłać do specjalisty: my nibyto tylko rozpoznajemy, a wogóle to niech pan jedzie do takiego to specjalisty, on pana wyleczy. Zupełnie, zupełnie, powiadam ci, znikł dawny lekarz, który leczył wszystkie choroby, teraz to tylko specjaliści istnieją i ogłaszają się w gazetach. Zaboli cię nos, wysyłają cię do Paryża: tam nibyto europejski specjalista leczy nos. Przyjedziesz do Paryża, on zbada ci nos: ja panu, powiada, tylko prawe nozdrze potrafię wyleczyć, bo lewego nie leczę, to nie moja specjalność, a niech pan potem pojedzie do Wiednia, tam specjalista panu lewe wyleczy. Co poczniesz? Zastosowałem ludowe leki, pewien Niemiec lekarz poradził w łaźni na półce natrzeć się miodem z solą. Poszedłem tylko poto, aby jeszcze raz wyparzyć się w łaźni: cały się wymazałem, lecz żadnej korzyści. Z rozpaczy napisałem do hrabiego Mattei do Medjolanu; przysłał książkę i krople, Bóg z nim. I wyobraź sobie ekstrakt Hoffa pomógł! Kupiłem przypadkowo, wypiłem półtorej szklanki i bodaj do tańca, jakby ręką odjęło. Stanowczo postanowiłem „podziękowanie" w gazetach opublikować, uczucie wdzięczności przemówiło, i oto, wyobraź sobie, inna historja się zaczyna — w żadnej gazecie nie chcą wydrukować! „Wstecznie będzie, powiadają, nikt nie uwierzy, le diable n'existe point. Niech pan, radzą mi, wydrukuje anonimowo". Ano, jakież to „podziękowanie" — anonimowe! Śmieję się z urzędnikami: „to w Boga, powiadam, wstecznie jest wierzyć w naszych czasach, ale ja przecie djabłem

jestem, we mnie to i można". — „Rozumiemy, powiadają, któżby to w djabła nie wierzył, a jednak nie można, to może nam kierunek wypaczyć. Chyba w formie żartu. No w formie żartu, myślałem sobie ,to będzie bardzo niedowcipnie. I nie wydrukowali. I czy dasz wiarę, mam to nawet dotąd na sercu. Najlepsze uczucia, jak wdzięczność, są mi zabronione jedynie z powodu mego socjalnego stanowiska.

— Znowu w filozofję się wdajesz? — zgrzytnął nienawistnie Iwan.

— Uchowaj mnie Boże ale przecie nie można się czasem nie skarżyć. Jestem człowiekiem oczernionym. Ot ty mi co chwila, że jestem głupi. Odrazu znać młodego człowieka. Przyjacielu mój, nie chodzi o sam rozum! Z natury mam serce dobre i wesołe „ja przecie też różne wodewile". Ty, zdaje się, bierzesz mnie zdecydowanie za przestarzałego Chlestakowa, a przecież los mój jest o wiele poważniejszy. Na mocy jakiegoś przedwiecznego wyroku, którego nigdy nie mogłem pojąć, przeznaczono mi „przeczyć", gdy w istocie jestem dobry i wogóle niezdolny do przeczenia. „Nie, idź przeczyć, bez przeczenia niema krytyki, a cóżto za pismo, które nie ma „działu krytycznego"? Bez krytyki będzie sama jeno „hosanna". Ale do życia mało samej „hosanny", trzeba aby hosanna przeszła przez kuźnię zwątpień, no i tak dalej w tym rodzaju. Ja zresztą w to wszystko nie wdaję się, nie ja stworzyłem, nie ja odpowiadam. No i wybrali kozła ofiarnego, kazali mu pisać w dziale krytycznym i stało się życie. Rozumiemy tę komedję: ja naprzykład poprostu wymagam dla siebie unicestwienia. Nie, żyj, powiadają, ponieważ bez ciebie nic nie będzie. Gdyby na ziemi wszystko było rozsądnie urządzone, to nicby się nie wydarzyło. Bez ciebie nie będzie żadnych wydarzeń, a trzeba by były wydarzenia. Więc służę z zaciętemi zębami, aby były wydarzenia, i czynię z rozkazu rzecz nierozumną. Ludzie uważają tę całą komedję za coś poważnego, mimo nawet swej niezaprzeczonej mądrości. To stanowi ich tragedję. No i cierpią, oczywiście, lecz... bądź co bądź żyją zato, żyją realnie, nie fantastycznie; albowiem cierpie-

nie to i życie. Bez cierpienia jakażby była przyjemność; wszystko obróciłoby się w jedno nieskończone nabożeństwo: święte, ale nudnawe. No a ja? Ja cierpię, a mimo to nie żyję. Jestem iksem w nieoznaczonem równaniu. Jestem jakąś marą życia, która zgubiła wszystkie końce i początki, i nawet sam wkońcu zapomniałem, jak się nazywam. Śmiejesz się... nie, nie śmiejesz się, znowu się złościsz. Wiecznie się złościsz, rozumubyś tylko chciał, a przecie znowu ci powtarzam, że dałbym całe nadgwiezdne życie, wszystkie honory i rangi za to tylko, aby się wcielić w duszę siedmiopudowej kupcowej i Bogu świeczki stawiać.

— To ty i w Boga już nie wierzysz? — uśmiechnął się z nienawiścią Iwan.

— To znaczy jakby ci tu powiedzieć, jeśli ty tylko na serjo...

— Jest Bóg czy niema? — krzyknął Iwan z gniewnym uporem.

— A więc ty na serjo? Kochasiu mój, jak Boga kocham, nie wiem, toś wielkie słowo powiedział.

— Nie wiesz, a Boga widzisz? Nie, ty nie jesteś sam przez się, ty — to *ja* i nic więcej! Jesteś śmieciem, jesteś moją fantazją!

— To znaczy, jeśil chcesz, to godzę się z twoją filozofją, tak będzie sprawiedliwie. Je pense donc je suis, to ja wiem napewno, reszta zaś, wszystko co wokoło, wszystkie te światy, Bóg i nawet sam szatan — wszystko to jest tylko moją emancją, stopniowym rozwojem mego ja, istniejącego przedwiecznie i indywidualnie... słowem prędko przerywam, bo zdaje sie, że ty zaraz zaczniesz mnie bić.

— Lepiejbyś jakąś anegdotkę! — rzekł Iwan z chorobliwym grymasem.

— Anegdota jest i właśnie na nasz temat, to znaczy nie anegdota, lecz taka legenda. Wymawiasz mi niewiarę: „Widzisz lecz nie wierzysz". No, przyjacielu, wszak nie ja sam jestem taki, u nas tam wszyscy teraz ulegli zmąceniu, i to wszystko z waszych nauk. Jeszcze póki były atomy, pięć uczuć, cztery elementy, no, wtedy się jeszcze jakoś kleiło. Atomy były również w starożytności. A ot, jak dowiedzieli się u nas, że wy tam u siebie odkryliście „chemiczną

molekułę" i „protoplazmę" i djabli wiedzą, co jeszcze — to stuliliśmy ogony. Zaczął się poprostu galimatjas; przedewszystkiem — zabobony, plotki: plotek to i u nas tyle jest co i u was, nawet trochę więcej, nie brak i delatorstwa, bo i u nas jest taki wydział, gdzie przyjmuje się wiadome „informacje". Tak więc ta dzika legenda, jeszcze średnich naszych wieków — nie waszych lecz naszych — i nikt w nią nie wierzy nawet u nas, prócz siedmiopudowych kupcowych, nie waszych lecz naszych kupcowych. Wszystko co u was jest — jest też i u nas, mogę ci po przyjaźni jedną naszą tajemnicę zdradzić, chociaż zabroniono. Legenda o raju. Był nibyto u was na ziemi jeden taki myśliciel i filozof „wszystko odrzucał: prawo, sumienie, wiarę", a przedewszystkiem — życie przyszłe. Umarł, myślał, że w mrok i śmierć, a tu przed nim — życie przyszłe. Zdumiał się i rozgniewał: „To, powiada, sprzeciwia się moim przekonaniom". Zato go osądzili... to znaczy widzisz, ty mi wybacz, przecież ci to powtarzam, co sam słyszałem, to tylko legenda... skazali go, widzisz, aby w mroku przeszedł kwadryljon kilometrów (u nas to teraz na kilometry) i kiedy przejdzie ten kwadryljon, to mu otworzą wrota rajskie i wszystko przebaczą...

— A jakie jeszcze są męki u was na tamtym świecie oprócz kwadryljonu? — przerwał mu Iwan z jakiemś dziwnem ożywieniem.

— Jakie męki? Ach, nie pytaj: dawniej było i tak i siak, a teraz zaczęły się bardziej moralne, „wyrzuty sumienia" i inne adrony. To też od was przyszło, ze „złagodzenia waszych obyczajów". No i kto wygrał, wygrali ludzie bez sumienia, bo i co mu z wyrzutów sumienia, kiedy wcale to i sumienia tego nie ma. Zato cierpią ludzie porządni, z sumieniem i honorem... Masz tobie reformy na nieprzygotowanym gruncie i jeszcze żywcem ściągnięte z obcych instytucyj — tylko szkodę przynoszą. Zamierzchły ogień lepiejby się nadawał. No, więc ów skazany na kwadryljon postał, popatrzał i położył się wpoprzek drogi: „nie chcę iść, z zasady nie pójdę!" Weź duszę rosyjskiego wykształconego ateisty i zmieszaj z duszą proroka

Jonasza, który bawił w brzuchu wieloryba trzy dni i trzy noce — masz tobie charakter tego myśliciela, który się położył na drodze.

— Na czemże się tam położył?

— No chyba tam było na czem. Nie śmiejesz się?

— Zuch z ciebie! — krzyknął Iwan w strasznem ożywieniu. Teraz słuchał z jakiemś niespodzianem zaciekawieniem. — No, i cóż, i dotąd leży?

— To-to właśnie, że nie. Przeleżał prawie tysiąc lat, a potem podniósł się i poszedł.

— To osioł! — zawołał Iwan, śmiejąc się nerwowo, jakgdyby coś obmyślając. — Czy nie wszystko jedno, leżeć wiecznie, czy iść kwadryljon wiorst? Wszak na biljon lat chodzenia?

— Nawet o wiele dłużej, szkoda, że niema ołóweczka i papieru, boby obliczyć można. Ale dawno już doszedł i tu się zaczyna anegdota.

— Jakto doszedł! Skądże wziął biljon lat?

— Ależ ty myślisz o naszej obecnej ziemi! Wszak obecna ziemia może sama biljon razy się powtarzała; no, wskrzeszała się, lodowaciała, pękała, rozsypywała się, rozkładała na składowe cząstki, i znowu wody były nad utwierdzeniem, potem znowu kometa, znowu słońce, znowu ze słońca ziemia — wszak ten rozwój może już nieskończoną ilość razy się powtarza, i wszystko w tym samym rodzaju do najmniejszego szczegółu. Arcynieprzyzwoite nudy...

— No-no, cóż było, kiedy doszedł?

— A skoro mu otworzono wrota rajskie i on wszedł, to nie przebył jeszcze dwóch sekund — i to na zegarze, na zegarze (chociaż zegarek jego, mojem zdaniem, już dawno powinien był się rozpaść na składowe elementy w jego kieszeni) — nie przebył dwóch sekund, zawołał, że za te dwie sekundy nietylko kwadryljon ale kwadryljon kwadryljonów przejść warto i to nawet podniesionych do kwadryljonowej potęgi! Słowem zaintonował „hosannę" i przesolił, tak że niektórzy bardziej szlachetnie myślący zrazu nie chcieli mu nawet ręki podać: zbyt już porywczo przedzierzgnął się

w konserwatystę. Rosyjska natura. Powtarzam: legenda. Jak ją kupiłem, tak ją sprzedałem. Takie to u nas pojęcia mamy o tych wszystkich rzeczach.

— Złapałem cię! — zawołał Iwan z jakąś dziecięcą niemal radością, jakby sobie ostatecznie coś przypomniał — tę anegdotę o kwadryljonie lat ja sam wymyśliłem! — Miałem wtedy siedemnaście lat, byłem w gimnazjum... wymyśliłem wówczas tę anegdotkę i opowiedziałem koledze, nazywał się Korowkin, to było w Moskwie... Anegdota jest tak charakterystyczna, że nie mogłem znikąd ściągnąć. Zapomniałem o niej... ale teraz mimowoli mi się przypomniała — sama mi się przypomniała, a nie, żeś ty opowiedział! Jakże tysiące rzeczy przypominają się niekiedy podświadomie, nagle, gdy prowadzą na kaźń... albo we śnie. Ty właśnie jesteś tym snem! Snem jesteś i nie istniejesz!

— Z żarliwości, z jaką przeczysz memu istnieniu — zaśmiał się dżentelmen — zaczynam sądzić, że wierzysz we mnie.

— Absolutnie! Nie wierzę na setną cząstkę!

— Ale na tysiączną wierzysz. Homeopatyczne dawki są może najsilniejsze. Przyznaj się, że wierzysz, no na dziesięciotysiączną...

— Ani minuty! — krzyknął Iwan ze wściekłością. — Zresztą chciałbym w ciebie uwierzyć! — dodał dziwnie.

— Oho! To ci wyznanie! Ale uważasz, dobry jestem i nawet tu ci dopomogę. Słuchaj: to ja ciebie złapałem, a nie ty mnie! Specjalnie ci opowiedziałem twoją własną anegdotę, której już zapomniałeś, żebyś ostatecznie przestał we mnie wierzyć.

— Łżesz! Celem twego przyjścia jest przekonanie mnie... że istniejesz.

— Właśnie. Ale wahania, ale niepokój, ale walka wiary i niewiary — to czasem taka męka dla sumiennego człowieka, jak ty naprzykład, że lepiej się powiesić. Ja właśnie, wiedząc, że ty troszenieczkę wierzysz we mnie, dodałem ci już ostatecznie niewiary, opowiadając tę anegdotę. Wodzę cię naprzemian między wiarą a niewiarą i oczywiście nie bez celu. Nowa metoda. Bo kiedy zupełnie prze-

staniesz we mnie wierzyć, to zaraz zaczniesz mnie w oczy przekonywać, że nie jestem snem, że istnieję naprawdę, ja ciebie już znam: wówczas to dopnę celu, a cel mam szlachetny. Ja w ciebie rzucę tylko jedno małe ziarenko wiary, a z tego wyrośnie dąb — jeszcze taki dąb, że ty siedząc w tym dębie, zechcesz stać się „ojcem pustelnikiem"; albowiem nader, ale to nader ci się tego zachciewa, szarańczą będziesz się żywił, na pustyni szukał zbawienia dusznego!

— Tak zabiegasz, łajdaku, o zbawienie mojej duszy?

— Trzebaż kiedy i dobry uczynek zrobić. Złościsz się, złościsz, jak widzę!

— Błazen! A czy połknąłeś ty kiedy takich, co to szarańczą się żywią, i po siedemnaście lat na pustyni się modlą, mchem porastają?

— Kochasiu mój, niczem się innem nie zajmowałem. Całego świata i światów zapomnisz, gdy do takiego jednego przylepisz się, bo przecie drogocenny to brylant; jedna przecie taka dusza warta czasem całej konstelacji — my mamy własną, swoistą arytmetykę. Zwycięstwo czegoś-ci jest warte! A przecie niektórzy z nich, jak Boga kocham, nie są niżsi od ciebie pod względem rozwoju, chociaż temu nie wierzysz: takie otchłanie wiary i niewiary potrafią kontemplować w ciągu jednego momentu, że doprawdy nieraz wydaje się, że jeszcze jeden włosek — a człowiek poleci do góry piętami.

— No i co, odchodziłeś z nosem?

— Przyjacielu mój — odpowiedział sentencjonalnie gość — z nosem to czasem lepiej odejść, niż bez nosa, jak niedawno rzekł pewien chory markiz (zapewne leczył go specjalista) na spowiedzi ojcu jezuicie. Byłem obecny — poprostu zachwycający obrazek. „Zwróćcie mi, powiada, mój nos!" — I bije się w pierś. — „Synu mój, powiada pater — wszystko się staje z wyroku Opatrzności, i wielkie nieszczęście pociąga za sobą czasem ogromny, chociaż nie rzucający się w oczy profit. Jeżeli surowy los pozbawił cię nosa, to profit twój na tem polega, że nikt się już nigdy nie ośmieli powiedzieć ci, żeś odszedł z nosem". — „Ojcze

świętobliwy, to nie jest pocieszenie!" — woła zrozpaczony penitent—„wolałbym przez całe życie codziennie odchodzić z nosem, żeby tylko był na właściwem miejscu". — „Synu mój—wzdycha pater—wszystkich dobrodziejstw odrazu nie można wymagać, to już byłby bunt przeciwko Opatrzności, która nawet w tym wypadku nie zapomniała o tobie, albowiem jeśli wołasz, jak, zawołałeś przed chwilą, że z radością gotów byłbyś całe życie odchodzić z nosem, to właściwie pośrednio spełnia się twoje życzenie: albowiem, utraciwszy nos, odchodzisz przecie z nosem".

— Fi, jak głupio! — krzyknął Iwan.

— Przyjacielu mój, chciałem cię tylko rozśmieszyć, ale przysięgam, że to prawdziwa jezuicka kazuistyka i, przysięgam ci, wszystko to się odbyło jota w jotę, jak ci mówiłem. Jest to wypadek niedawny i nabawił mnie mnóstwa kłopotów. Nieszczęsny młodzieniec, wróciwszy do domu, zastrzelił się w nocy; byłem przy nim nieodstępnie aż do ostatniej chwili... Co się tyczy spowiadalnych budek jezuickich, to naprawdę jest to najmilsza moja rozrywka w smutnych chwilach życia. Opowiem ci jeszcze jeden wypadek, bardzo już niedawny. Przychodzi do starego patra blondyneczka, dwudziestoletnia. Uroda, ciałko, natura — ślinka ciecze. Nachyliła się, szepcze patrowi swój grzech.—„Cóżto, córko moja, toś ty jeszcze raz upadła?"— woła pater. — „O, sancta Maria, co ja słyszę: już nie z tym". — „Ale jak długo to trwać będzie i jak pani nie wstyd!" — „Ah, mon pere" — odpowiada grzesznica ze łzami skruchy—„Ca lui fait tant de plasir et à moi si peu de peine!" No i wyobraź sobie taką odpowiedź! Tu już ja się cofnąłem: to krzyk samej natury, to lepsze, jeśli chcesz, od niewinności! Odrazu jej odpuściłem grzech i chciałem już wyjść, ale natychmiast musiałem się wrócić: słyszę, pater przez dziurkę umawia się z nią na wieczór — a przecież stary był — krzemień i oto w jednej chwili upadł. Przyroda, przyroda zrobiła swoje! Co, znowu nosem kręcisz, znowu się gniewasz? Nie wiem już jak ci dogodzić...

— Zostaw mnie, hukasz mi w mózgu jak nieodstępna

zmora — jęknął Iwan, nie mogąc sobie poradzić z widziadłem — nudzę się z tobą, nieznośnie i męcząco! Dałbym wiele, aby cię wypędzić!

— Powtarzam: miarkuj swoje wymagania, nie żądaj ode mnie „wszystkiej wielkości i piękna", a zobaczysz, jak zgodnie się zżyjemy ze sobą — odrzekł dżentelmen. — Naprawdę, gniewasz się na mnie zato, że nie nawiedziłem cię w czerwonej poświacie, „grzmiąc i błyskając", z opalonemi skrzydłami — że zjawiłem się w tak skromnym kształcie. Jesteś dotknięty po pierwsze w estetycznych swoich uczuciach, a po drugie w ambicji: jak do tak wielkiego człowieka mógł przyjść taki pospolity djabeł? Nie, w tobie jednak tkwi jeszcze ta romantyczna struga, którą tak wyśmiewał krytyk Bieliński. Co robić, młody człowieku. Ot zamierzałem, wybierając się do ciebie, zjawić się dla żartu w postaci emerytowanego radcy stanu, który służył na Kaukazie, ma gwiazdy Lwa i Słońca na fraku, ale bałem się, że pobijesz mnie, i zato jedynie, że śmiałem przyczepić Lwa i Słońce, a nie przyczepiłem przynajmniej Gwiazdy Polarnej lub Syrjusza. I wciąż ty swoje, że jestem głupi. Ale, Boże mój, nie mam pretensji równać się z tobą pod względem rozumu. Mefistofeles, ukazując się Faustowi, oznajmił, że pragnie złego, a czyni tylko dobre. Ale to on na własny rachunek, ja zaś naodwrót. Być może, jestem jedynym człowiekiem w całej naturze, który kocha prawdę i szczerze pragnie dobrego. Byłem przy tem, kiedy zmarłe na krzyżu Słowo wstępowało w niebo, niosąc na piersiach swoich duszę ukrzyżowanego rozbójnika, słyszałem radosne piski cherubinów, śpiewających i wznoszących: „hosanna" i grzmiący krzyk zachwytu serafimów, od którego zatrzęsło się niebo i cały wszechświat. I oto, przysięgam na wszystko, co święte, chciałem przystać do chóru i krzyknąć wraz ze wszystkimi „hosanna!" Już wyrywało się z piersi... ja przecież, wiesz, jestem bardzo uczuciowy i wrażliwy na piękno. Ale zdrowy sens — o, najbardziej fatalna właściwość mojej natury — utrzymał mnie i tu w karbach, i oto przepuściłem okazję! Albowiem cóż, pomyślałem w tej chwili — cóżby wynikło z mojej „hosanny"? Natychmiast-

by wszystko zgasło na ziemi i skończyłyby się wszelkie wydarzenia. I oto jedynie z poczucia obowiązku i socjalnej mojej sytuacji byłem zmuszony zgnębić w sobie dobry moment i zostać przy świństwach. Wszystek zaszczyt dobrego ktoś sobie zabiera, a mnie zostały w udziale tylko świństwa. Ale nie zazdroszczę im tego honoru, nie jestem ambitny. Czemu ze wszystkich istot na świecie ja tylko jeden jestem skazany na przekleństwa wszystkich porządnych ludzi, a nawet na kopnięcia, bo przecie, gdy ucieleśniam się, muszę być przygotowany i na takie konsekwencje. Wszak wiem, tu jest sekret, ale tego sekretu nie chcą mi żadną miarą zdradzić, bo ja przecie mogę, domyśliwszy się o co chodzi, tyknąć na całe gardło: „hosanna", i w mgnieniu oka sczeznie niezbędny minus i zacznie się w całym świecie rozumny ład, i co za tem idzie kres wszystkiego, nawet gazet i pism, bo i kto zechce je wówczas abonować. Wszak wiem, koniec końców pogodzę się, dojdę i ja do końca swego kwadryljonu i dowiem się sekretu. Ale póki to się nie stanie, czuwam i z zaciętemi zębami spełniam swoje przeznaczenie: gubić tysiące, aby jeden się uratował. Ileż to naprzykład trzeba było wytracić dusz i shańbić uczciwych reputacyj, żeby otrzymać tylko jednego sprawiedliwego Joba, przeciw któremu mnie tak złośliwie podbechtano w niegdysiejszych czasach! Nie, póki sekret nie jest znany, mam tylko dwie prawdy: jedna tamtejsza, ich, nieznana mi dotąd, a druga moja. I jeszcze niewiadomo, która będzie uczciwsza... Zasnąłeś?

— Jeszcze jak — jęknął złośliwie Iwan — wszystko co jest głupiego w naturze mojej, wszystko co jest dawno przeżyte, zmielone w umyśle moim, odrzucone jak padlina— wszystko to teraz mi serwujesz, jako coś nowego!

— I tu spudłowałem! A już myślałem, że cię tym literackim wykładem ujmę: ta „hosanna" w niebie przecież nieźle wypadła? Następnie ten sarkastyczny ton à la Heine, co, prawda?

— Nie, nigdy nie byłem tak lokajską duszyczką! Jakże dusza moja mogła zrodzić takiego fagasa jak ty?

— Przyjacielu mój, znam pewnego arcymiłego przy-

jemniaczka, rosyjskiego paniczyka: to młody myśliciel i wielki miłośnik literatury i rzeczy wytwornych, autor opematu, który rokuje, pod tytułem: „Wielki Inkwizytor" i t. d. to jego miałem na myśli!

— Zabraniam ci mówić o „Wielkim Inkwizytorze"— zawołał Iwan, rumieniąc się ze wstydu.

— No, a „geologiczny przewrót"? Pamiętasz? To-ci dopiero poemacik!

— Milcz, bo cię zabiję!

— Mnie zabijesz? Nie, wybacz mi, ale się wypowiem. Przyszedłem właśnie poto, aby się uraczyć taką przyjemnością. O, lubię marzenia gorących, młodych, wzbierających żądzą życia przyjaciół moich! „Tam nowi ludzie" — zdecydowałeś wtedy jeszcze zeszłej wiosny, wybierając się tam. — „Zamierzają zburzyć wszystko i zacząć od ludożerstwa. Głupcy, mnie się nie pytali! Mojem zdaniem, niema co burzyć, trzeba jedynie zburzyć w ludzkości ideę Boga, od tego trzeba zacząć! Od tego, od tego trzeba zacząć, — o ślepcy, nic nie rozumiejący! Skoro tylko ludzkość wyrzeknie się Boga (a ja wierzę, że ten okres wreszcie, równolegle do geologicznych okresów, nastąpi), to sam przez się, bez ludożerstwa runie cały dawny światopogląd i przedewszystkiem cała dawna moralność, i wszystko co nastąpi będzie nowe. Ludzie się skupią, aby czerpać z życia wszystko, co ono dać może, ale bezwzględnie gwoli szczęścia i radości i w tutejszem tylko życiu. Człowiek wzbije się w poczucie boskiej tytanicznej dumy i zjawi się człowiek — bóg. Nieustannie, każdej godziny zwyciężając przyrodę bezgranicznie wolą swoją i nauką, człowiek ów tem samem każdej chwili będzie odczuwał rozkosz tak wzniosłą, że zastąpi mu ona wszystkie dawne obietnice rozkoszy niebieskich. Każdy się dowie, że on cały jest śmiertelny, bez zmartwychstania, i przyjmie śmierć dumnie i spokojnie jak bóg. Z dumy zrozumie, że nie ma co sarkać na to, że życie jest mgnieniem, i pokocha brata swego nie dla korzyści. Miłość zaspokoi tylko mgnienie życia, ale już sama świadomość jej przelotności wzmocni jej płomień o tyle, o ile poprzednio rozpływał się on w obiet-

nicach miłości zagrobowej i nieskończonej..." no i tam dalej w tym rodzaju. Arcymiły wywód!

Iwan siedział, zasłaniając uszy rękoma i patrząc w ziemię, ale nagle zadrżał całem ciałem. Głos kontynuował:

— Pytanie teraz na tem polega — myślał mój młody myśliciel: czy możliwe, aby taki okres kiedyś nastąpił, czy nie? Jeśli nastąpi, to wszystko jest rozstrzygnięte, i ludzkość urządzi się ostatecznie. Ale ponieważ ze względu na zatwardziałą głupotę ludzką to jeszcze zapewne za tysiąc lat nie nastąpi, to każdy uświadamiający sobie już teraz prawdę ma prawo urządzić się, jak mu się żywnie podoba, na nowych podstawach. W tym sensie „wszystko jest dozwolone". To nic: jeśli okres ten nawet nigdy nie nastąpi, to ponieważ Boga i nieśmiertelności jednak niema, więc nowy człowiek ma prawo stać się człowieko-bogiem, choćby nawet był osamotniony, — i jako taki przeskoczyć wszystkie moralne przeszkody dawnego niewolnika. Dla Boga niema praw! Gdzie Bóg stanie, tam już Jego miejsce! Gdzie ja stanę, tam już odrazu będzie pierwsze miejsce... „wszystko jest dozwolone" i basta! To bardzo miłe; tylko że jeżeli zechciał miłować, to pocóż mu jeszcze sankcji prawdy? Ale taki już jest nasz rosyjski współczesny człowiek: bez sankcji to nawet nie zdecyduje się miłować, do takiego stopnia pokochał prawdę...

Gość mówił coraz wyższym głosem i z coraz większem szyderstwem spoglądał na gospodarza. Widać było, że ponosi go jego własne krasomówstwo i trafia mu do gustu; ale nie skończył: Iwan chwycił naraz ze stołu szklankę i cisnął z całej siły w oratora.

— Ah, mais c'est bête enfin! — zawołał ów, zrywając się z kanapy, i strząchnął z siebie bryzgi herbaty. — Przypomniałeś sobie kałamarz Lutra! Uważa mnie za sen i ciska szklanką w sen! Jak baba! Domyślałem się zresztą, że to tylko udawanie z tem zatykaniem uszu, bo naprawdę toś ty wcale uważnie słuchał...

Naraz rozległo się uporczywe i stanowcze stukanie w ramę okienną. Iwan Fedorowicz zerwał się z kanapy.

— Słyszysz, otwórz — zawołał gość. — To brat twój,

Aljosza, z arcyniespodzianą i ciekawą wiadomością, zapewniam cię!

— Milcz, oszuście, wiedziałem wcześniej od ciebie, że to Aljosza, przeczułem go, i oczywiście przyszedł nie bez powodu, z „wiadomością"! — zawołał Iwan w gniewnem uniesieniu.

— Otwórz mu, otwórz. Na dworze kurniawa, a on przecie jest bratem twoim. M-r, sait-il temps qu'il fait? C'est à ne pas mettre un chien dehors...

Stukanie nie urywało się. Iwan chciał podbiec do okna, ale nagle coś go jakgdyby skrępowało po rękach i nogach. Z całej siły usiłował zerwać niewidzialne więzy, napróżno. Stukanie było coraz głośniejsze. Wreszcie, jakgdyby więzy raptem się zerwały, Iwan Fedorowicz zerwał się na nogi. Rozejrzał się wokoło dzikim wzrokiem. Obie świece dogorywały, szklanka, którą dopiero co rzucił w gościa, stała na swem miejscu na stole, a na przeciwległej kanapie nie było nikogo. Stukanie w futrynę było nadal uporczywe, ale już nie tak głośne, jak mu się to zdawało przed chwilą we śnie, — owszem, nawet bardzo dyskretne.

— To nie sen! Nie, przysięgam, to był nie sen, to wszystko się działo przed chwilą! — zawołał Iwan Fedorowicz, podszedł do okna i otworzył lufcik.

— Aljosza, przecież nie kazałem ci przychodzić! — krzyknął z dzikim gniewem. — W dwóch słowach: czego chcesz? W dwóch słowach, pojmujesz?

— Przed godziną powiesił się Smerdjakow — odpowiedział Aljosza.

— Wejdź na ganek, zaraz ci otworzę — rzekł Iwan i poszedł otworzyć drzwi.

X.

„To on mówił!"

Aljosza po wejściu do pokoju opowiedział Iwanowi Fedorowiczowi, jak godzinę temu przybiegła doń do mieszkania Marja Kondratjewna i oznajmiła, że Smerdjakow popełnił samobójstwo. „Wchodzę do niego po samowar,

a on na gwoździu wisi". Na zapytanie Aljoszy, czy zawiadomiła już kogo, odrzekła, że nikogo — „pobiegłam odrazu do pana i całą drogę biegłam biegiem". Zachowywała się poprostu jak nieprzytomna, twierdził Aljosza, i drżała jak liść. Aljosza natychmiast udał się z nią na miejsce wypadku i zastał jeszcze Smerdjakowa na stryczku. Na stole leżała kartka: „Zgładzam się ze świata z własnej woli i ochoty i żeby nikogo nie winić". Aljosza zostawił tę kartkę na stole i natychmiast poszedł do sprawnika, a stamtąd „wprost do ciebie" — temi słowy zakończył relację, przyglądając się uważnie bratu. I przez cały czas, póki mówił, nie spuszczał z niego oka, jakgdyby bardzo zdumiony jego wyglądem.

— Bracie — zawołał nagle — jesteś zapewne bardzo chory! Patrzysz i jakgdyby nic nie rozumiesz, co ci mówię.

— Dobrze, żeś przyszedł — rzekł Iwan w zamyśleniu, jakby nie słysząc okrzyku Aljoszy. — A przecież wiedziałem, że on się obwiesił.

Od kogo?

— Nie wiem od kogo. Ale wiedziałem. Czy wiedziałem? Tak, on mi powiedział. Przed chwilą mi mówił...

Iwan stał pośrodku pokoju, mówił w zamyśleniu z opuszczonemi oczyma.

— Kto *on?* — zapytał Aljosza, mimowoli rozglądając się wokoło.

— Zbiegł.

Podniósł głowę i uśmiechnął się.

— Ciebie się zląkł, ciebie, gołębia. Ty jesteś „czystym cherubinem". Dymitr nazywa cię cherubinem. Cherubin... Grzmoty zachwytu serafimów! Czemże jest serafim? Być może całą konstelacją. A może cała ta konstelacja jest tylko jakąś chemiczną molekułą... Nie wiesz, czy jest konstelacja Lwa i Słońca?

— Bracie, usiądź! — odezwał się Aljosza bardzo przerażony. — Usiądź, proszę cię, na kanapie. Masz gorączkę, połóż się, o tak, na poduszce. Chcesz zimny okład na głowę? Może ci to ulży?

— Daj ręcznik, o tu, na krześle, rzuciłem poprzednio

— Tu niema go. Bądź spokojny, wiem gdzie leży, to tu — rzekł Aljosza, znalazłszy w drugim kącie pokoju przy stoliku Iwana czysty, złożony i nieużywany ręcznik.

Iwan popatrzał dziwnie i jakgdyby naraz sobie coś przypomniał.

— Poczekaj — podniósł się z kanapy — godzinę temu wziąłem stamtąd ten sam ręcznik i zmoczyłem wodą. Przykładałem do głowy, a potem rzuciłem tu.. jakże on teraz suchy? Drugiego nie było.

— Przykładałeś ten ręcznik do głowy? — zapytał Aljosza.

— Tak, i chodziłem po pokoju, godzinę temu... Dlaczego świece tak prędko się spaliły? Która godzina?

— Niebawem dwunasta.

— Nie, nie, nie! — krzyknął nagle Iwan — to nie był sen! On był, on tu siedział, o tam, na kanapie. Kiedy stuknąłeś w futrynę, rzuciłem weń szklanką... o tą samą... Poczekaj, przedtem spałem, ale ten sen nie jest snem. I przedtem to było. Ja, Aljosza, teraz miewam takie sny... ale to nie sny, to na jawie: chodzę, mówię i widzę... a śpię. Ale tu przecie siedział, był tu, na tej kanapie... On jest strasznie głupi, Aljosza, strasznie głupi — roześmiał się naraz Iwan i zaczął chodzić po pokoju.

— Kto jest głupi? O kim ty mówisz, bracie? — znowu zapytał Aljosza.

— Djabeł! Nachadza mnie. Dwa razy był, nawet prawie, że trzy. Drażnił mnie, że ja niby się gniewam, że on jest pospolitym djabłem, a nie szatanem z opalonemi skrzydłami, w gromach i błyskawicach. Ale to nie szatan, on kłamie. To samozwaniec. To poprostu djabeł, lichy marny djabeł. Chadza do łaźni kupieckiej. Rozbierzesz go to i napewno znajdziesz ogon, długi, gładki, bury... Aljosza, zmarzłeś, jesteś zaśnieżony, chcesz herbaty? Co? Zimna? Chcesz to każę zagotować? C'est ne pas à mettre un chien dehors...

Aljosza zmoczył ręcznik, posadził Iwana, przyłożył mu zimny okład do głowy i usiadł przy nim.

— Coś ty mi mówił niedawno o Lizie? — zaczął znowu Iwan. (Stał się wyjątkowo rozmowny) — Liza podoba mi się. Powiedziałem o niej coś brzydkiego. Skłamałem, ona mi się podoba... Boję się jutrzejszej Kati, strasznie się boję. Chodzi mi o przyszłość. Jutro rzuci mnie i zdepcze. Myśli, że przez zazdrość gubię Dymitra! Tak, ona to myśli! I myli się! Jutro krzyż, ale nie szubienica. Nie, ja się nie powieszę. Czy wiesz, że nigdy nie potrafię popełnić samobójstwa, Aljosza! Z podłości czy co? Nie jestem tchórzem. Z żądzy życia! Skąd wiedziałem, że Smerdjakow się powiesił? Tak, on mi to mówił...

— I jesteś pewny, że ktoś tu siedział? — zapytał Aljosza.

— Na tamtej kanapie, w kącie. Tybyś go przepędził. Zresztą wypędziłeś go: znikł, skoroś ty przyszedł. Lubię twoją twarz, Aljosza. Wiedziałeś, że lubię twoją twarz? A *on* — to ja, Aljosza, ja sam. Wszystko co we mnie niskiego, podłego, godnego pogardy! Tak, jestem „romantykiem", trafnie to zauważył... chociaż i to jest oszczerstwem. Strasznie jest głupi i tem zdobywa. Chytry jest, po zwierzęcemu chytry, wiedział, jak mnie rozgniewać. Drażnił mnie wciąż, że wierzę w niego i zmusił mnie do posłuchu. Oszukał mnie jak smarkacza. Nagadał mi zresztą o mnie wiele prawdy. Nigdybym sobie tego nie powiedział. Wiesz, Aljosza, wiesz — bardzo poważnie i jakgdyby konfidencjonalnie dodał Iwan — bardzobym pragnął, aby on w rzeczy samej był *on*, a nie ja!

— On zmęczył cię — rzekł Aljosza, patrząc z litością na brata.

— Drażnił mnie! I wiesz, zręcznie, zręcznie: „Sumienie! Co sumienie? Ja sam je urabiam. Czemuż się męczę? Z przyzwyczajenia. Z wszechświatowego ludzkiego przyzwyczajenia. Od siedmiu tysięcy lat. Zatem odzwyczajmy się i będziemy bogami". To on mówił, to on mówił!

— A nie ty, nie ty? — zawołał Aljosza mimowoli,

patrząc na brata jasnem wejrzeniem. — Ano, niech go tam, rzuć go i zapomnij o nim! Niech zabierze ze sobą wszystko, co teraz przeklinasz, i niech nigdy nie wraca.

— Tak, ale on zły jest. On się śmiał ze mnie. Był zuchwały, Aljosza — rzekł Iwan drżącym tonem obrażonego. — Oczerniał mnie, spotwarzył pod wieloma względami. Kłamał mi w oczy. „O, idziesz dokonać cnotliwego czynu, oświadczysz, żeś zabił brata, że lokaj zabił ojca z twojej namowy".

— Bracie — przerwał mu Aljosza — zatrzymaj się: nie tyś zabił. To nieprawda!

— To on mówi, on, a on wie. „Idziesz dokonać cnotliwego czynu, a w cnotę sam nie wierzysz — oto co cię złości i dręczy, oto czemu jesteś tak mściwy". — Tak mi mówił o mnie, a on przecie wie, co mówi...

— To ty mówisz, a nie on! — zawołał Aljosza z goryczą — i bredzisz, siebie zamęczasz!

— Nie, on wie, co mówi. Ty, powiada, z pychy idziesz, staniesz i powiesz: „to ja zabiłem, czego się zżymacie ze zgrozy, kłamiecie wszyscy! Opinją waszą gardzę, zgrozą waszą gardzę" — to on mówi za mnie, i nagle powiada: „A wiesz, chce ci się, aby cię oni pochwalili: przestępca niby, ojcobójca, ale jakie ma wzniosłe uczucia, chciał brata ocalić i przyznał się!" A to już kłamstwo, Aljosza!— zawołał Iwan z błyskiem w oczach. — Nie chcę, aby mnie smerdy chwaliły! To on już skłamał, Aljosza, skłamał, przysięgam ci! Rzuciłem w niego zato szklanką, która stłukła się na jego mordzie.

— Bracie, uspokój się, przestań! — prosił Aljosza.

— Nie, on umie męczyć, okrutny jest — ciągnął dalej Iwan, nie słuchając go. — Zawsze przeczuwałem, w jakim celu przychodzi. „Choćbyś, powiada, szedł z pychy, ale bądź co bądź była nadzieja, że Smerdjakowa ukarają katorgą, Mitię uniewinnią, a ciebie potępią tylko *moralnie* — (uważasz, mówiąc to, śmiał się) — a inni to nawet i pochwalą. Ale oto umarł Smerdjakow, obwiesił się — ano i kto ci tam w sądzie uwierzy? A przecież idziesz, pójdziesz tak czy owak, postanowiłeś sobie, że pójdziesz.

Pocóż idziesz wobec tego?" To straszne, Aljosza, nie mogę znieść takich pytań. Kto śmie mi zadawać takie pytania?

— Bracie, — przerwał Aljosza, zamierając ze strachu, ale wciąż jakgdyby pragnąc urezonować Iwana — jakże mógł ci opowiadać o śmierci Smerdjakowa, zanim przyszedłem, kiedy jeszcze nikt nie wiedział o tem?

— Powiedział mi — odrzekł stanowczo Iwan tonem, nie dopuszczającym żadnych wątpliwości. — On tylko o tem mówił, jeśli chcesz wiedzieć. „I bodajbyś przynajmniej w cnotę wierzył: niech mi nie wierzą, ja jednak pójdę dla zasady. Ale przecież prosiątkiem jesteś, jak Fedor Pawłowicz, i naco ci cnota? Dlaczego się tam wleczesz, jeżeli ofiara twoja nie przyniesie żadnego pożytku? A dlatego, że sam nie wiesz poco idziesz! O, dałbyś wiele, żeby wiedzieć poco tam idziesz! I czy naprawdę postanowiłeś? Jeszcze się nie zdecydowałeś? Całą noc będziesz siedzieć i myśleć: iść czy nie iść? Ale właściwa decyzja już nie od ciebie zależy. Pójdziesz, bo nie odważysz się nie iść. Dlaczego się nie odważysz — sam już się domyśl, naści zagadkę!" Wstał i wyszedł. Tyś przyszedł, a on wyszedł. On mnie tchórzem nazwał, Aljosza! Le mot de l'enigme, że tchórzem jestem! „Nie takie osły wzniosą się nad ziemią!" To on dodał, on dodał! I Smerdjakow to samo mówił. Jego trzeba zabić! Katia gardzi mną, już od miesiąca to spostrzegam, i Liza zacznie gardzić! „Idziesz, aby cię pochwalono" — to zwierzęce kłamstwo! I mną też gardzisz, Aljosza! Teraz ja cię znowu nienawidzę! I potwora nienawidzę, i tego potwora nienawidzę! Nie chcę ratować tego potwora, niech zgnije na katordze! Hymn zaintonował! O, jutro pójdę, stanę przed nimi i splunę im wszystkim w twarz!

Zerwał się z kanapy, zrzucił z siebie ręcznik i zaczął chodzić z kąta w kąt. Aljosza przypomniał sobie jego niedawne słowa: „jakgdybym spał na jawie... Chodzę, rozmawiam i patrzę, śpię". Coś podobnego teraz się działo. Aljosza czuwał przy nim. Wpadło mu na myśl iść po lekarza, ale bał się zostawić brata samego: nie miał go kto

zastąpić. Wreszcie Iwan zaczął już ostatecznie majaczyć. Mówił bezustanku, ale bardzo nieskładnie, nawet źle wymawiając słowa. Nagle zachwiał się mocno, lecz Aljosza zdążył go w porę podtrzymać. Pozwolił się doprowadzić do łóżka. Aljosza rozebrał go i ułożył. Przesiedział nad nim dwie godziny. Chory spał mocnym snem, nie poruszał się, cicho i równomiernie oddychał. Aljosza wziął poduszkę i położył się w ubraniu na kanapie. Przed zaśnięciem modlił się za Mitię i Iwana. Rozumiał teraz chorobę Iwana: „Męki dumnego postanowienia, głębokie sumienie!" Bóg, w którego nie wierzył, i prawda Jego zdobywała powoli to serce, co nie chciało się jeszcze poddać. „Tak — pomyślał Aljosza, kładąc głowę na poduszkę — skoro Smerdjakow umarł, nikt nie uwierzy Iwanowi; ale on pójdzie i wyzna wszystko!" Aljosza uśmiechnął się łagodnie: „Bóg zwycięży!" — pomyślał. — „Albo powstanie w światłości prawdy, albo... zginie w nienawiści, szukając na sobie i na innych wszystkich zemsty za to, że służył temu, w co niewierzy" — dodał z goryczą Aljosza i znowu zmówił modlitwę za Iwana.

KSIĘGA DWUNASTA.

POMYŁKA SĄDOWA.

I.

Fatalny dzień.

Nazajutrz po opisanych wydarzeniach o godzinie dziesiątej rano otwarto posiedzenie naszego Sądu Okręgowego, i rozpoczął się sąd nad Dymitrem Karamazowym.

Uprzedzam czytelników, uprzedzam zgóry: absolutnie nie potrafię powtórzyć tego wszystkiego, co się działo w sądzie, nietylko z należną dokładnością, ale i nawet we właściwym porządku. Wciąż mi się wydaje, że gdybym wszystko sobie przypomniał i chciał to opisać i należycie oświetlić, to musiałbym opracować nowy tom i to wcale pokaźny. A przeto proszę mi nie brać za złe, że poprzestałem na tem, co mnie osobiście uderzyło i co szczególnie sobie zapamiętałem. Jest rzeczą możliwą, że brałem rzeczy drugorzędne za podstawowe, że nawet pominąłem milczeniem najbardziej wyraziste i niezbędne momenty... A zresztą widzę, że lepiej się nie tłumaczyć. Piszę tak, jak potrafię, czytelnicy sami się przekonają, że zrobiłem to, na co mnie stać.

Po pierwsze, nim wejdziemy do sądu, napomknę mimochodem o tem, co mnie odrazu szczególnie zdziwiło. I nietylko mnie, bo i wszystkich niemal, jak to później

stwierdziłem. Otóż wszyscy wiedzieli, że sprawa Karamazowów zainteresowała szerokie sfery, że wszystkich pożerała ciekawość, że w sferach towarzyskich naszego miasta omawiano namiętnie tę sprawę od dwóch miesięcy. Wiedzieli również wszyscy, że sprawa ta nabrała rozgłosu w całym kraju, ale nikt przecie nie wyobrażał sobie, aby aż do takiego stopnia wstrząsnęła całem społeczeństwem i każdym zosobna człowiekiem, i to nietylko u nas, ale wszędzie, jak to się okazało tego dnia w sądzie. Zjechali się więc do nas ciekawcy nietylko z naszego guberjalnego miasta, ale i z niektórych innych miast Rosji, i wreszcie z Moskwy i Petersburga. Przyjechali prawnicy, przyjechały niektóre grube ryby i wiele znanych w wielkim świecie pań. Wszystkie bilety były rozchwytane. Dla szczególnie znakomitych i poważnych tuzów zarezerwowano nawet miejsca tuż za stołem, przy którym urzędował sąd. Specjalnie w tym celu ustawiono rząd krzeseł, czego się dotychczas nie robiło. Szczególnie wiele było kobiet — stanowiły one co najmniej połowę publiczności. No i prawników zjechało się takie mnóstwo, że nie wiedziano nawet, gdzie ich posadzić, bo przecie wszystkie bilety były już rozdane, wyproszone, wybłagane. Sam widziałem, jak w głębi sali, za estradą, sklecono dla nich naprędce osobną przegródkę, i naprawdę byli szczęśliwi, że mogą tu bodaj stać, w tłoku, bo przecie i krzesła usunięto, aby zmieścić jak najwięcej słuchaczy. Niektóre damy, zwłaszcza te, które specjalnie na sprawę przyjechały, przyszły w eleganckich strojach, ale większość pań nawet nie dbała o to. Na twarzach malowało się histeryczne, chciwe, nieledwie chorobliwe zaciekawienie. Trzeba tu podać do wiadomości jedną z najbardziej charakterystycznych właściwości tej publiki: prawie wszystkie kobiety albo przynajmniej większość ich, jak to wiele osób zauważyło, była po stronie Miti i pragnęła uniewinnienia. Może głównie dlatego, że miał on opinję zdobywcy serc. Wiedziano pozatem, że przyjdą obie rywalki. Jedna z nich, Katarzyna Iwanowna, szczególnie wszystkich interesowała; opowiadano sobie o niej rozmaite niezwykłe historje, o jej miłości ku Miti krążyły zdumiewające wersje. Zwłaszcza wiele mówiono o jej dumie (prawie nikomu

w mieście nie składała wizyt), o „arystokratycznych stosunkach". Opowiadano, że zamierza ona prosić, żeby pozwolono jej towarzyszyć ojcobójcy na katorgę i poślubić go gdzieś w kopalniach pod ziemią. Z niemniejszem zresztą podnieceniem wypatrywano Gruszeńki, jako rywalki Katarzyny Iwanownej. Z bolesną wprost ciekawością oczekiwano spotkania dwóch rywalek — arystokratycznej dumnej dziewczyny i „hetery"; Gruszeńkę zresztą damy nasze lepiej znały niż Katarzynę Iwanowną. Widywały dawniej tę „gubicielkę Fedora Pawłowicza i nieszczęsnego jego syna", i nie mogły wyjść z podziwu, jak do takiego stopnia mógł się ojciec i syn zakochać „w takiej pospolitej,. nawet wcale nie pięknej rosyjskiej mieszczce". Słowem wrzało jak w ulu. Wiem naprzykład, że w naszem mieście w kilku wypadkach zaczęły się tarcia rodzinne i awantury z powodu Miti. Niektóre panie poczubiły się poważnie z mężami z powodu różnicy poglądów na tę straszną sprawę, ponieważ mężowie tych pań byli usposobieni względem Miti nietylko nieprzychylnie ale i wręcz wrogo. I wogóle stwierdzić można faktycznie, że w przeciwieństwie do kobiecego, męski element sali sądowej potępiał oskarżonego. Widziało się surowe, nachmurzone twarze, chwilami nawet zupełnie złe miny. Oczywiście, nie brakowało słuchaczy, którzy nie tracili pogody ducha i obojętnie odnosili się do losu Miti; ale jedynie może do losu Miti, a nie do sprawy, bo jeżeli chodzi o sprawę, to wszyscy byli jednakowo zaciekawieni. Większość mężczyzn spodziewała się i pragnęła wyroku skazującego, z wyjątkiem może prawników, których nietyle obchodzi moralna strona sprawy, ile aktualnie prawnicza. Pozatem sensacją była obrona słynnego Fetiukowicza. Talent jego był wszędzie znany; zdarzało się nie raz, że stawał na prowincji w głośnych sprawach karnych. Obrona jego nadawała zawsze takiej sprawie wielki i pamiętny rozgłos. Opowiadano sobie również anegdotki o naszym prokuratorze i o prezesie sądu. Opowiadano, że nasz prokurator boi się spotkania z Fetiukowiczem, że to są dawni wrogowie, jeszcze z petersburskich czasów, że ambitny nasz Hipolit Kiryłowicz, uważający się za pominiętego i skrzyw-

dzonego w karjerze służbowej na skutek machinacyj pewnych osobistości stołecznych nabrał teraz otuchy, marzy o tem, że dzięki sprawie Karamazowa zajmie wreszcie należne mu stanowisko, ale drży i lęka się tylko Fetiukowicza. To ostatnie przypuszczenie niezupełnie się zgadza z prawdą. Prokurator nasz nie był z tych, co truchleją przed niebezpieczeństwem; wręcz przeciwnie niebezpieczeństwo podniecało i uskrzydlało jego ambicję. Zauważę przy sposobności, że nasz prokurator był wogóle zbyt gorąco kąpany i chorobliwie wrażliwy. Czasem duszą całą oddawał się sprawie i traktował ją tak, jakby od tej właśnie sprawy zawisł cały jego los i majątek. W naszym światku prawniczym śmiano się z tego, ale rzec można, że prokurator nasz właśnie tym rysem zdobył sobie niejaką popuarność, niezbyt może dużą, ale bądź co bądź niewpsółmierną ze stanowiskiem, jakie zajmował w naszem sądownictwie. Szczególnie drwiono z jego słabości do psychologji. Mojem zdaniem, wszyscy się mylili: prokurator nasz jako człowiek i charakter wydaje mi się o wiele poważniejszy, niż się to wogóle o nim myślało. Ale nie umiał się jakoś odpowiednio postawić ani w zaraniu, ani później przez cały czas swej karjery życiowej.

Co się tyczy prezesa sądu, to o nim tyle tylko można powiedzieć, że był to człowiek wykształcony, humanitarny, z dużem wyrobieniem praktycznem, biegły w teorjach współczesnych. Dosyć ambitny, nie dbał jednak specjalnie o karjerę. Główny cel jego życia — to być zawsze człowiekiem przodującym. Nawiasem mówiąc, był majętny i miał duże stosunki. Do sprawy Karamazowa, jak się potem okazało, bardzo się zapalił, ale raczej z ogólnych względów. Zajmowało go samo zjawisko, klasyfikacja tego zjawiska, właściwy punkt widzenia, interpretacja tego zjawiska na tle naszych społecznych podstaw, charakterystyka rosyjskiego elementu i t. d. Do osobistego zaś charakteru sprawy, do jej tragedji i osób wplecionych w nią, miał stosunek dosyć abstrakcyjny i obojętny, zresztą może i słusznie.

Jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy sala była wypełniona po brzegi. Nasza sala sądowa jest najlepszem po-

mieszczeniem w naszem mieście — wysoka, przestronna, akustyczna. Członkowie sądu siedzieli na podwyższeniu, naprawo umieszczono stół i dwa rzędy krzeseł dla przysięgłych. Nalewo było miejsce oskarżonego i jego obrońcy. Pośrodku sali na stole leżały „dowody rzeczowe" — a więc: poplamiony krwią biały szlafrok Fedora Pawłowicza, fatalny tłuczek — domniemane narzędzie zbrodni, koszula Miti ze skrwawionym rękawem, surdut jego z krwawemi plamami, zlepiona krwią chusteczka, nabity pistolet, z którego zamierzał popełnić samobójstwo w Mokrej, koperta z napisem, w której swego czasu leżały trzy tysiące przygotowane dla Gruszeńki, różowa wstążeczka, którą koperta była wówczas przewiązana, i inne jeszcze przedmioty, których nie warto wyliczać. Nieco dalej zaczynały się miejsca dla publiczności; prawda, jeszcze przed balustradą stało kilka krzeseł dla świadków, którym po przesłuchaniu wolno było zostać na sali. O godzinie 10-ej pojawił się sąd w komplecie: prezes, asesor i sędzia pokoju. Rozumie się, odrazu też ukazał się prokurator. Prezes był krępym, krzepkim, dosyć niskim pięćdziesięcioletnim mężczyzną o hemoroidalnej cerze, o ciemnych włosach przyprószonych siwizną, z czerwoną wstęgą nieznanego mi orderu na torsie. Prokurator zaś wydał mi się — i nietylko mnie, ale i wszystkim — szczególnie blady, jakgdyby zmizerniał i zzieleniał przez tę jedną noc, bo przecie trzy dni przedtem sam go widziałem — wyglądał jeszcze wówczas normalnie. Prezes zaczął od pytania: „Czy wszyscy panowie przysięgli są obecni?"... Jednakże widzę, że kontynuować w tym sensie nie mogę, choćby dlatego, że wielu słów nie dosłyszałem, w inne zaś nie wniknąłem należycie, innych znowu zapomniałem, a przedewszystkiem dlatego, że jak już rzekłem, na szczegółowy opis nie starczyłoby ani czasu ani miejsca.

Dwunastu przysięgłych, jak to sobie zapamiętałem, składało się z czterech urzędników, dwóch kupców, sześciu chłopów i mieszczan z naszego miasta. Pamiętam, że jeszcze długo przed sprawą zadawano sobie u nas pytanie — szczególnie kobiety dziwiły się: „Czyż naprawdę tak skomplikowaną, subtelną, psychologiczną sprawą mają roz-

strzygnąć jacyś ciemni urzędnicy i w dodatku chłopi, i doprawdy cóż tu zrozumie taki urzędniczyna a tembardziej chłop?" W rzeczy samej nawet śmietanka tego grona — czterej urzędnicy — byli to ludzie bardzo skromni, źle sytuowani, starzy, jeden tylko z nich był nieco młodszy, ludzie, których w sferach towarzyskich naszego miasta nie znano wcale, wegetujący zapewne ze staremi żonami, z któremi się pokazywać nie można, z kupą dzieci, może nawet bosonogich uliczników, ludzie, których jedyną dystrakcją są zapewne karcięta, którzy nigdy oczywiście nie przeczytali ani jednej książki. Kupcy zaś mieli dosyć poczesne miny, ale byli dziwnie milczący i nieruchawi; jeden był ubrany po europejsku, drugi zaś z siwą bródką nosił zawieszony na czerwonej wstążce medal. O chłopach i mieszczanach niema co mówić. Nasi mieszczanie niewiele się różnią od chłopów i często nawet gospodarują na roli. Dwaj z nich byli również po europejsku ubrani, a przeto wyglądali niechlujniej od swych kolegów. Nie dziw, że ich widok nasuwał wątpliwości — sam nawet pomyślałem, skoro ich ujrzałem: „i co oni tu potrafią zrozumieć?" Ale mimo to oblicza ich wywierały mocne i prawie groźne wrażenie — były surowe i chmurne.

Nakoniec prezes otworzył posiedzenie sądu w sprawie zabójstwa dymisjonowanego radcy tytularnego Fedora Pawłowicza Karamazowa — nie pamiętam już teraz, jak brzmiała właściwa formuła. Potem wprowadzono Mitię. Na jego widok zaległa tu taka cisza, że, zda się, słyszećby można przelatającą muchę. Nie wiem jak na innych ludziach, ale na mnie wygląd Miti wywarł arcynieprzyjemne wrażenie. Przedewszystkiem strasznie się wystroił. Dowiedziałem się potem, że specjalnie sobie surdut na ten dzień zamówił w Moskwie u dawnego swego krawca, który miał jeszcze jego miarę. Poza tem miał rękawiczki sportowe i elegancką koszulę. Przeszedł przez salę swemi długiemi, sztywnemi krokami, patrząc przed siebie dziwnie nieruchomo, i usiadł na swojem miejscu z nieustraszoną miną. Za nim wszedł głośny jego obrońca, Fetiukowicz, witany głuchym szmerem. Był to wysoki, szczupły, starannie ogo-

lony mężczyzna z długiemi chudemi nogami, z wyjątkowo długiemi, blademi i wąskiemi palcami, z krótko i skromnie strzyżonemi włosami, z wąskiemi wargami, które wykrzywiały się ni do uśmiechu ni to do szyderstwa. Wyglądał na lat czterdzieści. Twarz jego byłaby sympatyczna, gdyby nie oczy, małe i bez wyrazu, ale wyjątkowo zbliżone do siebie, oddzielone zaledwie wąską kreską długiego wąskiego nosa. Słowem fizjonomja miała ostry ptaszęcy zakrój, co nawet szczególnie uderzało. Był we fraku i w białym krawacie. Pamiętam pierwsze pytanie, zadane Miti przez prezesa, dotyczące nazwiska, imienia i t. d. Mitia odpowiedział szorstko, jakoś niespodzianie głośno, tak że nawet prezes szarpnął nerwowo głową i popatrzał nań niemal ze zdziwieniem. Odczytano listę osób, pozwanych do sądu, to znaczy świadków i ekspertów. Lista była długa; czterech świadków nie przyszło: Miusow, który bawił w Paryżu, ale który już złożył zeznanie podczas śledztwa, pani Chochłakow i obywatel Maksymow wskutek choroby, i Smerdjakow z powodu nagłej śmierci, zadokumentowanej zaświadczeniem policyjnem. Wiadomość o Smerdjakowie wywołała wielkie wrażenie. Nie wszyscy jeszcze o tem wiedzieli. Ale co najbardziej uderzyło, to nagły wyskok Miti: ledwo oznajmiono o śmierci Smerdjakowa, zerwał się z miejsca i huknął na całą salę:

— Zdechł pies pieską śmiercią!

Pamiętam, jak podbiegł do niego obrońca, i jak prezes zagroził surowemi represjami, jeżeli się jeszcze raz powtórzą podobne wybryki. Mitia kiwnął głową, nie okazując jednak żadnej skruchy, i rzekł półgłosem do obrońcy:

— Nie będę, nie będę. Wyrwało się! Więcej nie będę!

Oczywiście epizodzik ten nie wpłynął korzystnie na opinję publiczności i przysięgłych. Ujawnił się w całej pełni charakter i sam się odrazu zarekomendował.

Sekretarz odczytał akt oskarżenia. Był dosyć krótki, ale treściwy. Zawierał tylko główne motywy aresztowania oskarżonego i t. t. Mimo to wywarł na mnie wielkie wrażenie. Sekretarz czytał wyraźnie, dźwięcznie, dobitnie. Cała tragedja znowu się uwypukliła, koncentrycznie, naświe-

tlona fatalnem nieubłaganem światłem. Pamiętam jak zaraz po odczytaniu aktu oskarżenia prezes głośno i poważnie zapytał Mitię:

— Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Mitia podniósł się nagle i rzekł:

— Przyznaję, że jestem winien pijaństwa i rozpusty — zawołał jakimś niespodzianym, nieprzytomnym prawie głosem — lenistwa i skandalów. Chciałem stać się na wieki uczciwym człowiekiem w chwili właśnie, gdy los mnie zgnębił! Ale śmierci starca, wroga mego i ojca — nie jestem winien! Ale grabieży — nie, nie, nie jestem winien i nie mogę być winien: Dymitr Karamazow jest łajdakiem ale nie złodziejem!

Co rzekłszy, usiadł zpowrotem na miejscu, drżąc całem ciałem. Prezes ponownie zrobił mu uwagę, że należy ściśle odpowiadać na pytania i nie wdawać się w postronne i bezprzytomne apostrofy. Wprowadzono świadków do przysięgi. Wówczas ujrzałem ich wszystkich razem. Jedynie bracia podsądnego byli zwolnieni od przysięgi. Po przemowie popa i prezesa, wyprowadzono świadków i rozmieszczono po różnych miejscach. Poczem zaczęło się przesłuchanie.

II.

Niebezpieczni świadkowie.

Nie wiem, czy prezes podzielił świadków odwodowych i dowodowych na jakieś grupy, i czy przesłuchanie odbyło się według zgóry ustalonego porządku. Zapewne tak było. Wiem tylko, że z początku przesłuchano świadków dowodowych. Powtarzam: ani myślę zdać sprawę szczegółowo z całego przewodu sądowego. Zresztą byłaby to zbyteczna fatyga, bo przecie i tak w mowach prokuratora i obrońcy zogniskował się w mocnem, charakterystycznem oświetleniu cały faktyczny materjał i sens wszystkich złożonych i wysłuchanych zeznań; te zaś wielce cieka-

we mowy miejscami zapisałem dokładnie i oczywiście powtórzę je we właściwym czasie; nie omieszkam też opisać pewnego niezwykłego i nieoczekiwanego epizodu, który rozegrał się nagle przed zakończeniem badania świadków i bezwątpienia wpłynął na groźny i fatalny wynik sprawy. Zwrócę tylko uwagę czytelnika na to, co uwydatniło się bardzo mocno od samego początku, i co wszyscy odrazu stwierdzili: na ogromną przewagę oskarżenia nad środkami, któremi rozporządzała obrona. Wszyscy to odrazu zrozumieli, ledwo tylko zaczęły się koncentrować i grupować fakty i ledwo zaczęła się ujawniać cała groza sprawy i cała jej krew. Wszyscy może odrazu zmiarkowali, że to nie jest nawet sporna kwestja, że w istocie nie może tu być żadnych wątpliwości i sprzeciwów, że sprzeciwy będą tylko dla formy, i że oskarżony jest winien, winien jawnie i zdecydowanie. Myślę nawet, że i damy wszystkie, wszystkie bez wyjątku, z taką niecierpliwością pragnące uniewinnienia ciekawego przestępcy, były mimo to absolutnie przeświadczone o jego winie. To nic, zdaje mi się, że byłyby nawet zmiartwione, gdyby wina jego nie ustaliła się z taką pewnością, bo przecie efekt uniewinnienia byłby o wiele słabszy. A że go uniewinnią — co do tego wszystkie panie, rzecz dziwna, nie miały nawet wątpliwości aż do ostatniej chwili: „winien jest, ale uniewinnią przez humanitarność, pod wpływem nowych idej, nowych uczuć, które w dzisiejszych czasach" i t. d. Dlatego właśnie zbiegły się tu z takiem zniecierpliwieniem. Mężczyzn zaś najbardziej interesował szarmycel między prokuratorem a słynnym Fetiukowiczem. Wszyscy podziwiali i pytali się: co potrafi dokazać w tak napozór przegranej sprawie tego rodzaju talent co Fetiukowicz? To też z naprężoną uwagą śledzono każde posunięcie jego gry obrończej. Ale Fetiukowicz aż do końca, aż do przemowy był dla wszystkich zagadką. Ludzie doświadczeni przypuszczali, że ma określony system, że coś już wykombinował, że ma określony cel, ale jaki — tego niesposób było odgadnąć. Jego pewność siebie rzucała się w oczy. Oprócz tego wszyscy z zadowoleniem odrazu stwierdzili, że mimo tak krótkiego pobytu, — przybył do nas dopiero trzy dni przed rozprawą, — znakomicie wy-

studjował sprawę w najsubtelniejszych szczegółach. Ze szczególną przyjemnością opowiadano potem, jak zbijał z tropu wszystkich świadków oskarżenia, jak kompromitował ich osobiście i, co z tego wynika, dyskredytował ich zeznania. Przypuszczano zresztą, że stosował tę fintę raczej gwoli grze, aby zadość czynić wszelkim kruczkom adwokackiej sztuki; albowiem wszyscy byli przeświadczeni, że większej i definitywnej korzyści z tego bynajmniej nie odniesie, i że on sam zdaje sobie z tego sprawę, ale ma chyba w rezerwie jakąś swoją ideę, jakąś chwilowo jeszcze tajoną broń, którą nagle odsłoni, kiedy zajdzie potrzeba. A tymczasem, jakby uświadamiając sobie swoją moc, bawił się i swawolił. Typowym tego przykładem było przesłuchanie kamerdynera Fedora Pawłowicza, Grzegorza Wasiljewicza, który złożył podstawowe zeznanie o „otwartych drzwiach". Obrońca, doczekawszy się swojej kolei, poprostu wpił się w biednego starca. Trzeba wiedzieć, że Grzegorz Wasiljewicz stanął przed sądem z miną spokojną i niemal wyniosłą, absolutnie niestropiony rozmiarami sali, ani zbiegowiskiem. Składał zeznania z taką pewnością siebie, jakgdyby gawoŕzył sobie sam na sam ze swoją Martą Ignatjewną. Niepodobna go było zmieszać. Z początku prokurator wypytywał go długo o stosunki rodzinne Karamazowów. Obrazek rodzinny uwypuklił się bardzo plastycznie. Widać było, że świadek jest bezstronny i prostoduszny. Mimo szacunku dla pamięci nieboszczyka pana, przyznał naprzykład, że ów był w stosunku do Miti niesprawiedliwy i że „nie tak jak trzeba wychował dzieci". „Jego w maleństwie wszyby zjadły, gdyby nie ja" — rzekł, opowiadając o latach dziecinnych Miti. „Nie godziło się krzywdzić go względem macierzyzny". Na pytanie prokuratora, na jakiej zasadzie Grzegorz utrzymuje, że Fedor Pawłowicz skrzywdził syna w porachunkach majątkowych, Grzegorz Wasiljewicz wbrew oczekiwaniu nie podał żadnych faktów, upierał się tylko gołosłownie przy tem, że obrachunek ojca z synem był dla syna „krzywdzący" i że istotnie należało mu się jeszcze kilka tysięcy. Nota bene to pytanie: czy Miti należały się jeszcze istotnie jakieś pieniądze, — prokurator zadawał wszystkim następnym świadkom, którzy

mogli o tem coś wiedzieć, nie wyłączając Aljoszy i Iwana Fedorowicza; atoli nikt nie mógł udzielić dokładnych informacyj; wszyscy potwierdzali fakt, ale nie dawali żadnych wyraźnych dowodów. Gdy Grzegorz opisał scenę, jak Dymitr wtargnął do domu i pobił ojca, odgrażając się, że wróci jeszcze i zabije go — ponure wrażenie udzieliło się wszystkim słuchaczom, tembardziej że Grzegorz opowiadał spokojnie, bez zbytecznych słów, osobliwym swoim stylem, co jednak wypadło strasznie wymownie. Zauważył przytem, że nie gniewa się na Mitię zato, iż go wtedy uderzył w twarz i przewrócił, i dawno mu już przebaczył. O nieboszczyku Smerdjakowie wyraził się, przeżegnawszy się, że mały był zdolny, ale głupi i przybity chorobą, i przedewszystkiem straszny bezbożnik, a to z winy Fedora Pawłowicza i jego starszego syna. Ale nawet z żarliwością wychwalał uczciwość Smerdjakowa i opowiedział, jak to swego czasu Smerdjakow znalazł pieniądze zgubione przez „dziedzica" i zwrócił mu, ów zaś dał mu za to „dukata" i odtąd ufał bezgranicznie. Co do „otwartych drzwi", to potwierdził swoje poprzednie zeznanie z całą stanowczością. Zresztą tak długo badano go, że nie potrafię sobie wszystkiego przypomnieć. Wreszcie nastąpiła kolej obrońcy. Przedewszystkiem zapytał Grzegorza o kopertę, w której „wrzekomo" Fedor Pawłowicz schował trzy tysiące dla „pewnej osoby". „Czy widzieliście ją sami, wy, którzyście przez tyle lat byli tak bliscy swemu dziedzicowi?" Grzegorz odrzekł, że nie widział i nawet nie słyszał o tych pieniądzach do czasu, kiedy wszyscy zaczęli o nich mówić. To pytanie o kopercie Fetiukowicz zadawał niemal wszystkim świadkom z taką samą uporczywością, z jaką prokurator zadawał swoje pytanie o porachunkach między ojcem a synem — i z odpowiedzi okazało się, że koperty nikt nie widział, ale że niektórzy o niej słyszeli. Uporczywość, z jaką obrońca zadawał to pytanie od samego początku, nie uszła niczyjej uwadze.

— A teraz czy mogę zwrócić się do was z zapytaniem, jeżeli tylko pozwolicie — znienacka zapytał Fetiukowicz — z czego się składał ów balsam, albo inaczej mó-

wiąc napar, którym nacieraliście się, jak to wiadomo, spodziewając się rychłego uzdrowienia?

Grzegorz zmierzył obrońcę tępem spojrzeniem i po krótkiej pauzie odpowiedział:

— A z szałwi.

— Tylko szałwi? Czy nie pamiętacie jeszcze czego?

— Ano i z babki.

— I może też z pieprzu? — zainteresował się Fetiukowicz.

— Ano i pieprz był.

— I tak dalej. I wszystko to na wódeczce.

— Na spirytusie.

Na sali rozległ się śmiech.

—Widzicie, nawet na spirytusie. Natarłszy grzbiet, wypiliście resztę po odmówieniu modlitwy, którą zna ino wasza małżonka, prawda?

— Wypiłem.

— Czy dużoście wypili? Naprzykład? Kieliszek, czy dwa?

— Szklankę.

— Nawet szklankę. A może tak półtorej szklanki?

Grzegorz milczał — coś tam już miarkował.

— Półtorej szklanki czystego spirytusu — to wcale nieźle, jak myślicie? To można nawet „rajskie wrota otwarte" ujrzeć, nietylko drzwi do ogrodu?

Grzegorz milczał. Znowu rozległ się stłumiony śmiech na sali. Prezes poruszył się niespokojnie.

— Czy nie wiecie napewno — wpijał się coraz bardziej Fetiukowicz — drzemaliście czy nie w tej chwili, kiedyście zobaczyli, że drzwi są otwarte?

— Na nogach stałem.

— To jeszcze nie dowód, żeście nie drzemali (znowu śmiech na sali). Czy mogliście naprzykład w tej chwili odpowiedzieć na pytanie, który naprzykład teraz rok?

— Tego nie wiem.

— A który teraz rok ery pańskiej, nie wiecie?

Świadek zbity z pantałyku, wpatrywał się uporczywie

w swego dręczyciela. Istotnie zdawał się nie wiedzieć, który teraz rok.

— A może wiecie jednak ile macie palców u rąk?

— Jestem człek poddany — odezwał się nagle Grzegorz głośno i dobitnie — jeżeli władzy podoba się kpić ze mnie, to ja muszę to znosić.

Fetiukowicz nieco się zmieszał, ale tymczasem wtrącił się prezes i zrobił mu uwagę, że należy zadawać bardziej rzeczowe zapytania. Fetiukowicz wysłuchał z powagą, ukłonił się i oświadczył, że przesłuchał już świadka. Oczywiście zarówno w mniemaniu publiczności jak i przysięgłych wiarogodność zeznań człowieka, który miał możność „ujrzenia rajskich wrót" i który nadto nie wie, który teraz rok, została do pewnego stopnia zachwiana; pod tym względem Fetiukowicz osiągnął swój cel. Ale przed odejściem Grzegorza wydarzył się jeszcze jeden epizod. Prezes zwrócił się po kolei do oskarżonego i zapytał: czy nie ma on czego do powiedzenia w kwestji zeznań świadka?

— Oprócz drzwi wszystko, co mówił, jest prawdą — krzyknął nagłos Mitia. — Że wiskał mi w głowie — dziękuję, że przebaczył mi — dziękuję; stary był uczciwy i zaprzedany ojcu jak siedemset pudlów.

— Proszę podsądnego, aby zechciał się wyrażać właściwiej — rzekł surowo prezes.

— Nie jestem pudlem — mruknął Grzegorz.

— No to ja jestem pudlem, ja! — krzyknął Mitia. — Jeżeli to obraźliwe, to do siebie stosuję, a jego proszę o wybaczenie. Jak zwierz postępowałem względem niego! I względem Ezopa!

— Jakiego Ezopa? — zapytał surowo prezes.

— No, pierrota... ojca, Fedora Pawłowicza.

Prezes jeszcze raz surowo zgromił podsądnego.

— Sam pan sobie tylko szkodzi tem w opinji sędziów.

Podobnie zręcznie obszedł się obrońca z Rakitinym. Trzeba wiedzieć, że Rakitin był jednym z ważniejszych świadków dowodowych. Okazało się, że o wszystkiem wiedział, wiedział zdumiewająco wiele rzeczy, u wszystkich

bywał, wszystko widział, ze wszystkimi rozmawiał, znał nader szczegółowo biografję Fedora Pawłowicza i jego synów. Coprawda o kopercie z trzema tysiącami słyszał od samego Miti. Za to szczegółowo opisał czyny Miti w „Stołecznym Grodzie", wszystkie kompromitujące go słowa i gesty i powtórzył historję o „wiechciu" sztabs-kapitana Sniegirowa. Co się tyczy punktu, czy Fedor Pawłowicz skrzywdził Mitię przy rozrachunku — to i on nawet nie mógł dać na to ścisłej odpowiedzi, wykręcał się ogólnikami w pogardliwym tonie: „Któżby tam potrafił zorjentować się w tej absurdalnej karamazowszczyźnie, w której nikt nie mógł siebie zrozumieć, ani określić?" Całą tragedję tego przestępstwa interpretował jako produkt przestarzałej obyczajowości pańszczyznianej, produkt pogrążonej w chaosie Rosji, cierpiącej z powodu braku odpowiednich instytucyj. Słowem pozwolono mu się wypowiedzieć. W tej sprawie pan Rakitin po raz pierwszy postawił się i zwrócił na siebie uwagę ogółu; prokurator wiedział, że świadek pisze artykuł o sądzonem obecnie przestępstwie, a nawet potem w przemowie swej cytował kilka zdań z tego artykułu, a zatem znał już jego treść. Obraz, przedstawiony przez świadka, był ponury i złowieszczy i bardzo wzmocnił sytuację „oskarżenia". Wogóle zaś wykład Rakitina ujął słuchaczy niezależnością myśli i wyjątkową szlachetnością jej polotu. Dwa czy trzy razy rozległy się pojedyńcze oklaski, zwłaszcza wówczas, gdy mówił o pańszczyznie i o cierpiącej z nierządu Rosji. Ale Rakitin, bądź co bądź człowiek młody, popełnił małą niezręczność, z której obrońca skwapliwie skorzystał. Odpowiadając na pytania, dotyczące Gruszeńki, a będąc upojony powodzeniem, z którego sobie zdawał sprawę, i temi wyżynami szlachetności, na które się wzniósł, pozwolił sobie wyrazić się o Agrafenie Aleksandrownej nieco pogardliwie, jako o „utrzymance kupca Samsonowa". Wieleby później dał za to, aby móc cofnąć swoje słowo, albowiem słówko to pociągnęło za sobą zręczny wypad Fetiukowicza. A powiedział je, bo nie spodziewał się, że Fetiukowicz w tak krótkim czasie zdążył zapoznać się z najintymniejszemi szczegółami sprawy.

— Pozwoli pan, że zapytam — zaczął obrońca z naj-

bardziej uprzejmym i nawet pełnym szacunku uśmiechem, gdy wreszcie nastąpiła jego kolej zadawania pytań — pan naturalnie jest tym samym panem Rakitinym, którego broszurę, wydaną przez władze kościelne pod tytułem „Żywot w Bogu zgasłego starca ojca Zosimy", pełną głębokich i religijnych myśli, z wspaniałą i zbożną dedykacją dla przewielebnego archireja, miałem przyjemność niedawno przeczytać.

— Napisałem nie do druku... to potem wydrukowano — wybełkotał Rakitin zlekka zawstydzony.

— O, to pięknie! Myśliciel, taki jak pan, może i nawet powinien odnosić się szeroko do każdego społecznego zjawiska. Pod protektoratem przewielebnego archireja nader pożyteczna broszura pana rozeszła się i przyniosła sporą korzyść... Ale o cobym chciał przedewszystkiem zapytać pana: pan przed chwilą oświadczył, że był pan bliskim znajomym panny Swietłow? (Nota bene. Tu dopiero dowiedziałem się, że nazwisko Gruszeńki brzmiało Swietłow).

— Nie mogę odpowiadać za wszystkie swoje znajomości. Jestem młodym człowiekiem... i któż może odpowiadać za tych wszystkich ludzi, z którymi się spotyka — wybuchnął Rakitin.

— Pojmuję, zbyt dobrze pojmuję! — zawołał Fetiukowicz, jakgdyby zmieszany i jakby pragnąc przeprosić świadka. — Pan jak każdy inny, mógł się interesować młodą i piękną kobietą, która przyjmowała u siebie kwiat tutejszej młodzieży, ale... chciałem się tylko poinformować: wiadomo nam, że panna Swietłow dwa miesiące temu bardzo chciała poznać młodego Karamazowa, Aleksego Fedorowicza, i za to, że pan przyprowadzi go do niej w jego dawniejszym zakonnym ubiorze, przyrzekła panu dać na rękę dwadzieścia pięć rubli. A stało się to, jak wiadomo, wieczorem tego dnia, który skończył się tragiczną katastrofą, będącą podstawą niniejszej sprawy. Pan sprowadził Aleksego Karamazowa do panny Swietłow, więc czy otrzymał wówczas owe dwadzieścia pięć rubli od panny Swietłow, oto co chciałem usłyszeć od pana?

— To był żart... Nie widzę jaki to ma związek... Wziąłem dla żartu... i żeby potem zwrócić...

— A więc wziął pan. Ale przecież nie zwrócił pan dotychczas... a może pan zwrócił?

— To nic nie ma do rzeczy... — bełkotał Rakitin — nie mogę odpowiadać na takie pytanie... Oczywiście, zwrócę...

Wtrącił się prezes, lecz obrońca oznajmił, że ukończył badanie świadka. Pan Rakitin zniknął z widowni cokolwiek skompromitowany. Całe wrażenie szlachetności i wzniosłości było docna popsute, i Fetiukowicz, odprowadzając okiem Rakitina, jakgdyby pokazywał go publiczności: „macie tu waszych szlachetnych oskarżycieli!" Pamiętam: i wówczas nie obeszło się bez wybryku ze strony Miti: rozgniewany tonem, jakim Rakitin wyraził się o Gruszeńce, krzyknął nagle: „Bernard!". Gdy zaś prezes po przesłuchaniu świadka zwrócił się do podsądnego z zapytaniem, czy nie chce czego powiedzieć, Mitia krzyknął:

— On i ode mnie wyciągał forsę, kiedy już siedziałem w więzieniu! Bernard niegodziwy i karjerowicz i w Boga nie wierzy, archireja nabił w butelkę!

Oczywiście i tym razem zgromiono Mitię za niestosowne okrzyki, ale pan Rakitin został dobity. Nie bardzo się też udało zeznanie sztabs-kapitana Sniegirowa, ale to z innego powodu. Przyszedł oberwany, w brudnem ubraniu, w zakurzonem obuwiu i mimo wszystkie środki ostrożności i przedwstępną „ekspertyzę" okazał się mocno zawiany. Na zapytanie, czy go Mitia skrzywdził, odmówił odpowiedzi.

— Bóg z nim. Iljuszeczka nie kazał. Mnie tam Pan Bóg zapłaci.

— Kto panu nie kazał mówić? O kim pan mówi?

— Iljuszeczka, syneczek mój: „Tatusiu, tatusiu, jak on ciebie poniżył!" Przy kamyczku mówił. Teraz dogorywa...

Sztabs-kapitan naraz zaszlochał i z hukiem rymnął do nóg prezesa. Wyprowadzono go natychmiast przy śmiechu publiczności. Chybił i ten efekt przygotowany przez prokuratora.

Obrońca korzystał z każdej ważniejszej sposobności i w coraz większy wprawiał podziw audytorjum swoją niezwykłą znajomością sprawy. Naprzykład świadectwo Tryfona Borysowicza wywarło bardzo wielkie wrażenie, oczywiście w sensie szkodliwym dla podsądnego. Ów wyliczył prawie że na palcach, że Mitia podczas pierwszej hulanki w Mokrej, na miesiąc przed katastrofą, nie mógł przehulać mniej niż trzy tysiące, albo przynajmniej nie o wiele mniej. „Same cyganki ileż to pieniędzy wytryniły! Naszym zawszonym chłopom po dwadzieścia pięć karbowańców ciskał, mniej nie dawał. A ileż to poprostu zwędzono! Kto ukradł, ten ręki swej nie zostawił, gdzie go tu złapiesz, złodzieja tego, kiedy sam pan Dymitr szastał flotą na wszystkie strony. Bo przecie lud nasz to zbóje. A dziewki, dziewki wiejskie jak się obłowiły! Zbogacili się tam u nas od tego czasu, dawniej biedota była". Słowem przypomniał każdy wydatek i zliczył wszystko razem. W ten sposób obalono przypuszczenie, że Mitia wydał wówczas tylko połowę posiadanej gotówki, a drugą połowę zaszył w szmatkę. „Sam widziałem, na własne oczy widziałem w jego ręku trzy tysiące, jabym nie znał się na tem!" — wołał Tryfon Borysowicz, starając się przypodobać „władzy". Otóż obrońca, nie usiłując nawet zbić zeznania świadka, zaczął nagle od tego, że dorożkarz Tymofej i chłop Akim w Mokrej podczas hulanki podnieśli w sieni sto rubli, których Mitia zgubił, i wręczyli Tryfonowi Borysowiczowi, a on dał im za to po rublu. „Więc czy pan zwrócił wówczas te sto rubli panu Karamazowowi czy nie?" Tryfon Borysowicz jakkolwiek się wykręcał, przy konfrontacji z obu chłopami musiał się przyznać, że dostał te sto rubli, dodał tylko, że zwrócił je odrazu Dymitrowi Fedorowiczowi, „który jednak po pijanemu chyba nie może tego pamiętać". Ale ponieważ przed konfrontacją twierdził z całem przekonaniem, że wogóle nie dostał tej sturublówki, więc wątpić wypadało, czy ją istotnie zwrócił. W ten to sposób znowu jeden z najważniejszych świadków dowodowych odszedł skompromitowany. To samo powtórzyło się z Polakami: weszli z wyniosłemi i dumnemi minami. Głośno oświadczyli, że po pierwsze „służyli koronie", że „pan Mitia" pro-

ponował im trzy tysiące, chciał kupić ich honor, i że widzieli w ręku Miti bardzo znaczne kwoty. Pan Musiałowicz wtrącał wiele słówek polskich, a widząc, że to go tylko podnosi w oczach prokuratora i przewodniczącego, nabrał animuszu i zaczął zeznawać po polsku. Ale Fetiukowicz złapał ich w pułapkę: jakkolwiek wywołany znów Tryfon Borysowicz wykręcał się, musiał jednak zaświadczyć, że pan Wróblewski zastąpił jego talję kart swoją własną, i że pan Musiałowicz paluszkował w grze. Tę ostatnią okoliczność potwierdził również Kałganow, i obaj panowie wycofali się shańbieni przy akompanjamencie śmiechów publiczności.

To samo powtórzyło się ze wszystkimi najgroźniejszymi świadkami dowodowymi. Fetiukowicz potrafił każdego zdyskredytować. Amatorzy i prawnicy zachwycali się, ale nie rozumieli, do czego zmierza ta metoda, bo przecież wszyscy czuli nieodpartą przewagę obciążających faktów, wychodzących najaw w coraz tragiczniejszem oświetleniu. Ale pewność siebie „wielkiego maga" i jego spokój robił swoje: nie napróżno przyjechał ze stolicy „taki człowiek" i nie taki to człowiek, aby wracać z niczem.

III.

Ekspertyza lekarska i funt orzechów.

Lekarska ekspertyza nie bardzo też mogła się przydać podsądnemu. I sam zresztą Fetiukowicz niezbyt na nią liczył, co się później okazało. Lecz ekspertyzy domagała się uporczywie Katarzyna Iwanowna, która nawet w tym celu specjalnie sprowadziła znakomitość moskiewską. W najgorszym razie zaszkodzić nie mogła. Nie obeszło się i tym razem bez momentów komicznych, bo lekarze nie uzgodnili swoich opinji. Ekspertów było trzech — znakomity doktór z Moskwy, lekarz miejscowy Hertzenstube i wreszcie młody lekarz Warwiński. Obaj ostatni figurowali również na liście świadków dowodowych. Pierwszy złożył swoją opinję doktór Hertzenstube. Był to siedemdziesięcioletni sta-

rzec, siwy i łysy, średniego wzrostu, krzepkiej budowy. Bardzo go ceniono i szanowano w naszem miasteczku. Był lekarzem sumiennym, człowiekiem bardzo zacnym i pobożnym, wyznawcą sekty „morawskich braci" czy innej — nie wiem napewno. Mieszkał w naszem mieście już bardzo dawno i zachowywał się taktownie i z godnością. Był dobry i humanitarny, leczył biednych zadarmo, jak również chłopów, sam odwiedzał ich nory i zostawiał pieniądze na lekarstwa, ale pozatem był uparty jak muł. Niepodobna mu było wybić z głowy raz powziętego mniemania. Wiadomo było, że znakomity lekarz z Moskwy w ciągu tych dwóch dni pobytu w naszem mieście pozwolił sobie odezwać się nieco pogardliwie o zdolnościach lekarskich doktora Hertzenstube. Bo chociaż moskiewski lekarz brał za wizytę dwadzieścia pięć rubli, niektórzy obywatele naszego miasta skwapliwie skorzystali z jego obecności i, nie żałując pieniędzy, zwrócili się do niego po poradę. Leczył ich dotychczas doktór Hertzenstube. I oto moskiewski lekarz bardzo ostro skrytykował w każdym z tych wypadków metodę leczenia doktora Hertzenstube. Wkońcu nawet, na widok pacjenta, pytał wręcz: „No, któż tu pana paskudził, Hertzenstube, co? Che che!" Doktór Hertzenstube oczywiście rychło się o tem dowiedział. I oto wszyscy trzej lekarze przesunęli się jeden za drugim przed sądem. Doktór Hertzenstube orzekł wyraźnie, że „nienormalność władz umysłowych podsądnego jest aż zbyt widoczna". Przytaczając uzasadnienie, które tu pomijam milczeniem, napomknął, że nienormalność ta ujawniła się nietylko w wielu dawnych postępkach oskarżonego, ale że się ujawniła i teraz, w tej samej chwili. Zachęcony do wyjaśnień, stary lekarz z całą prostodusznością stwierdził, że podsądny, wchodząc na salę, „miał niezwykły i dziwnie niepasujący do okoliczności chwili wygląd, maszerował był jak żołnierz, przed siebie patrząc, kiedy właściwie byłoby mu poręczniej w lewo patrzeć, gdzie śród publiczności panie siedzą, albowiem jest wielkim kobieciarzem i w tej chwili myśleć o tem powinien był, co o nim obecne na sali panie mówią" — orzekł staruszek swoistym stylem. Trzeba dodać, że doktór Hertzenstube mówił wiele i chętnie po rosyjsku, ale zdania

jego były naszpikowane germanizmami, co bynajmniej nie konfudowało go, bo uważał swoją mowę rosyjską za wzorową, za „lepszą nawet niż u Rosjan", co więcej chętnie sypał rosyjskiemi przysłowiami, zapewniając za każdym razem, że rosyjskie przysłowia są najlepsze i najbardziej charakterystyczne w świecie. Dodajmy jeszcze, że często w rozmowie zapominał z roztargnienia wielu zwykłych słów, które znał doskonale, ale które jakoś ulatniały mu się chwilami z pamięci. Zresztą to samo mu się zdarzało, gdy mówił po niemiecku, przyczem zawsze machał ręką przed własną twarzą, jakby łowiąc zgubione słówko, i za nic w świecie nie kontynuował rozpoczętej mowy, póki tego słowa nie znajdował. Uwaga jego, że podsądny powinien był patrzeć na damy, wywołała filuterny szmer na sali. Wszystkie nasze panie lubiły staruszka, wiedziały też, że ten stary kawaler był całe życie cnotliwy i skromny i na kobiety spoglądał jako na wyższe i idealne istoty. A przeto nieoczekiwana jego uwaga wydała się wszystkim bardzo dziwną.

Moskiewski lekarz ze swej strony ostro i stanowczo orzekł, że stan umysłowy podsądnego jest nienormalny, nawet „w wyższym stopniu". Wiele i mądrze wywodził o „afekcie" i „manji" i stwierdził, że według wszelkich danych podsądny kilka dni przed aresztowaniem działał pod wpływem chorobliwego afektu, i jeżeli dokonał zbrodni, to coprawda świadomie, ale prawie mimowoli, nie mając sił walczyć z chorobliwym popędem, który go całkiem opanował. Ale prócz afektu doktór dopatrywał się manji, która była jego zdaniem, prostą drogą do zupełnego obłędu. (Nota bene. Wykładam to własnemi słowami, doktór zaś wyrażał się bardzo uczenie i specjalnym stylem). „Wszystkie jego czyny przeczą zdrowemu sensowi i logice" — kontynuował. „Już nie mówię o tem, czego nie widziałem, to znaczy o samej zbrodni i o tej całej katastrofie, ale nawet dwa dni temu w rozmowie ze mną miał jakieś niewyraźne osłupiałe spojrzenie. Nieoczekiwany śmiech, zupełnie niestosowny. Niepojęte ciągłe rozdrażnienie, dziwne słówka: „Bernard", „etyka" i inne, zupełnie nie na miejscu".

Ale szczególnie manja, według słów doktora, ujawniała się w tem, że Mitia nie potrafi mówić o tych trzech tysiącach rubli, na które go rzekomo oszukano, bez ogromnego zdenerwowania, jednocześnie niewiele dbając o inne krzywdy i przeciwności losu. Jak zresztą wynika z licznych zeznań, i dawniej, ilekroć potrącono te trzy tysiące, wpadał w jakąś wściekłość, a jednak ponoć jest to człowiek bezinteresowny i niechciwy. „Co się zaś tyczy opinji mego uczonego kolegi — zakończył ironicznie doktór — że podsądny, wchodząc na salę, powinien był patrzeć na panie a nie przed siebie, powiem tylko to, że pomimo filuterności takiego przypuszczenia, jest ono zgoła radykalnie błędne: albowiem, chociaż przyznaję, że podsądny nie powinien był patrzeć tak nieruchomo przed siebie, i że ta nieruchomość istotnie świadczy poniekąd o nienormalnym stanie psychicznym, to jednak z drugiej strony uważam, że powinien był patrzeć nie wlewo na panie, lecz wręcz przeciwnie wprawo, szukając oczyma obrońcy swego, w którego pomocy cała jego teraz nadzieja, i od którego obrony zawisł cały jego los". Opinję swoją wyraził dobitnie i stanowczo. Ale szczególny komizm nadał kontrowersji obu uczonych nieoczekiwany wywód doktora Warwińskiego, ostatniego eksperta. Jego zdaniem podsądny obecnie jak i dawniej był w stanie absolutnie normalnym i jeżeli nawet przed uwięzieniem był podniecony i zdenerwowany, to z powodów zupełnie oczywistych: z zazdrości, gniewu, ciągłego pijaństwa i t. d. Ale ten stan nerwowy nie zawierał w sobie żadnego szczególnego „afektu". Co się tyczy tego, czy miał patrzeć wlewo czy wprawo, to „według jego skromnego zdania" podsądny powinien był, wchodząc na salę, patrzeć właśnie przed siebie, jak patrzał w rzeczywistości, albowiem przed nim siedział przewodniczący i członkowie sądu, od którego zawisł teraz cały jego los; „zatem to, że patrzał przed siebie, świadczy, iż był w danej chwili w stanie psychicznym zupełnie normalnym" — temi słowy zakończył młody lekarz z zapałem swoje „skromne mniemanie".

— Brawo lekarz! — krzyknął Mitia ze swego miejsca — właśnie tak!

Mitię oczywiście osadzono, ale ekspertyza młodego lekarza najbardziej podziałała na sąd i na publiczność, albowiem, jak się później okazało, trafiła wszystkim do przekonania. Zresztą doktór Hertzenstube, wywołany następnie jako świadek, niespodzianie przysłużył się inaczej jeszcze podsądnemu. Jako stary obywatel tego miasta, znający rodzinę Karamazowów, opowiedział wiele faktów, które bardzo zainteresowały prokuratora, i nagle, jakby coś sobie przypominając, dodał:

— A jednak nieszczęsny młody człowiek mógł mieć o wiele lepszy los, bo dobre serce miał i w dzieciństwie i po dzieciństwie, o, ja o tem wiem. Ale jest rosyjskie przysłowie: „jeśli ktoś ma jeden rozum, to dobrze, a jeżeli przyjdzie do niego odwiedzić drugi mądry człowiek, to jeszcze lepiej będzie, bo wtedy dwa rozumy będą, zaś nietylko jeden"...

— Jeden rozum dobrze, dwa jeszcze lepiej — podpowiedział zniecierpliwiony prokurator, wiedząc, że staruszek lubi mówić rozwlekle i powoli i wielce sobie ceni swój tępy, kartoflowy i zawsze radosny i zadowolony z siebie dowcip niemiecki.

— O tak, i ja to samo mówię — podjął lekarz — jeden rozum — dobrze, a dwa — o wiele lepiej. Ale do niego drugi człowiek z rozumem nie przyszedł, a on swój wypuścił... Jak i gdzie go wypuścił? To słowo — gdzie wypuścił swój rozum, — zapomniałem — dodał, wywijając ręką przed oczyma — ach tak, iść spazieren,

— Na spacer?

— No tak, na spacer, ja to samo mówię. Otóż rozum jego na spacer poszedł i w takie głębokie miejsce trafił, gdzie się zgubił. A przecież to był wdzięczny i uczciwy młodzieniec, o, ja bardzo pamiętam, jak jeszcze był maleństwem, porzucony przez ojca, jak po ziemi bez obuwia biegał, ze spodeńkami na jednym guziku...

Jakaś współczująca i głęboka nutka zabrzmiała nagle w głosie zacnego staruszka. Fetiukowicz aż drgnął, jakby coś przeczuwając, i natychmiast się przyczepił.

— O tak, ja sam byłem wtedy jeszcze młody czło-

wiek... Ja... no tak, miałem wtedy czterdzieści pięć lat, a ja wtedy dopiero co tu przyjechałem. I żal mi się wtedy tego chłopczyka zrobiło i ja wtedy zapytałem siebie: dlaczegobym nie mógł kupić mu funt... No tak, czego funt? Zapomniałem jak to się nazywa... funt tego, co dzieci bardzo lubią — no, jak tam — znowu machał rękoma — to na drzewie rośnie i to się zbiera i wszystkim rozdaje...

— Jabłka?

— O n-nie! Funt, funt, jabłka nie na funty... nie, tych jest więcej i to takie małe, kładzie się do ust i kr-r-rach!

— Orzechy?

— No tak, orzechy, ja to właśnie mówię — najspokojniej w świecie potwierdził doktór, jakgdyby wcale nie szukał tego słowa — i przyniosłem mu funt orzechów, bo chłopcu nikt jeszcze nigdy nie przynosił funta orzechów, i podniosłem palec i powiedziałem mu: „Chłopczyk, Gott der Vater" — on się roześmiał i powiedział: „Gott der Vater". — „Gott der Sohn". On jeszcze się roześmiał i powiedział: „Gott der Sohn". — „Gott der heilige Geist". Wtedy on się jeszcze roześmiał i powiedział jak mógł: „Gott der heilige Geist". A ja sobie odszedłem; na trzeci dzień przechodzę tędy, a on krzyczy mi: „Panie, Gott der Vater, Gott der Sohn" tylko zapomniał: „Gott der heilige Geist", ale ja mu przypomniałem i żal mi się go bardzo zrobiło. Ale wywieźli go i więcej go nie widziałem. I tak przeszły dwadzieścia trzy lata, ja pewnego rana w moim gabinecie siedzę, już z białą głową, i nagle wchodzi kwitnący młody człowiek, którego w żaden sposób poznać nie mogłem, ale on palec podniósł i powiedział śmiejąc się: „Gott der Vater, Gott der Sohn, Gott der heilige Geist. Ja teraz przyjechałem i podziękować przyszedłem za funt orzechów, bo mnie nikt nigdy wtedy funta orzechów nie kupował, tylko pan mi funt orzechów kupił". I wtedy swoją szczęśliwą młodość przypomniałem sobie i biednego chłopczyka na dworze bez obuwia, i serce mi się przewróciło i powiedziałem: ty wdzięczny młody człowiek jesteś, bo całe życie ten funt orzechów pamiętałeś, który ja ci w twojem dzieciństwie dałem. I obją-

łem go i błogosławiłem. I ja zapłakałem. On się śmiał, ale i on płakał... bo Rosjanin często się śmieje tam, gdzie płakać trzeba. Ale i on płakał, widziałem to. A teraz niestety!...

— I teraz płaczę, Szwabie, i teraz płaczę, człowieku ty boży! — krzyknął Mitia ze swego miejsca.

Jakkolwiek bądź, anegdotka ta wywarła na publiczności bardzo dobre wrażenie. Ale efektem szczególnie korzystnym dla Miti było zeznanie Katarzyny Iwanownej, do którego zaraz przystąpię. I wogóle od chwili jak zaczęli zeznawać świadkowie à decharge, to znaczy odwodowi, los jakby nagle i poważnie uśmiechnął się do Miti. Co najdziwniejsza, było to niespodzianką dla samej obrony. Ale jeszcze przed Katarzyną Iwanowną badano Aljoszę, który naraz przypomniał sobie fakt, wyglądający na zupełnie już rzeczowe świadectwo przeciwko jednemu z najważniejszych punktów oskarżenia.

IV.

Szczęście uśmiecha się do Miti.

Stało się to całkiem nieoczekiwanie nawet dla samego Aljoszy. Miał zeznawać bez przysięgi; pamiętam, że wszyscy bez wyjątku odnieśli się do niego z wielką sympatją i delikatnością. Widać było, że poprzedza go dobra opinja. Aljosza zeznawał skromnie i powściągliwie, ale skroś słów jego przezierała gorąca sympatja dla nieszczęśliwego brata. Odpowiadając na któreś z pytań, określił brata jako charakter niepohamowany i dający się unosić namiętnościom, ale zato uczciwy, dumny i wspaniałomyślny, skory nawet do poświęceń. Przyznał zresztą, że brat w ciągu ostatnich dni był z powodu swej namiętności do Gruszeńki i rywalizacji o nią z ojcem, w stanie wprost niepoczytalnym. Ale nieledwie z nienawiścią przeczył temu, jakoby brat jego mógł zabić dla grabieży, chociaż przyznawał, że owe trzy tysiące przetworzyły się w umyśle Miti w jakąś

nieledwie manję; miał się on skarżyć stale, że ojciec nie dał mu spadku po matce, że oszukał go; nie będąc wcale chciwym, nie mógł jednak mówić o tych trzech tysiącach bez wściekłości. O współzawodnictwie dwóch „osób", jak wyraził się prokurator, to jest Gruszeńki i Kati, Aljosza mówił wymijająco, a nawet na jedno czy dwa pytania zupełnie nie chciał dać odpowiedzi.

— Czy mówił panu brat, że zamierza zabić ojca? — zapytał prokurator. — Może pan nie odpowiedzieć, jeżeli pan będzie uważał za stosowne — dodał.

— Nie mówił tego wprost — odpowiedział Aljosza.

— A jak? W jakiś wykrętny sposób?

— Mówił mi razu pewnego o swojej nienawiści do ojca i że boi się, żeby... w jakiejś ostatecznej chwili... w chwili obrzydzenia... że możliwe, że mógłby zabić ojca.

— A pan, słysząc to, wierzył mu?

— Boję się powiedzieć, że tak. Ale ja zawsze byłem przekonany, że jakieś wyższe uczucie zawsze zbawi go w takiej fatalnej chwili, tak jak go istotnie zbawiło, bo to *nie on* zabił ojca — zakończył Aljosza głośnym i twardym głosem, który rozniósł się po sali.

Prokurator wzdrygał się jak koń bojowy, gdy słyszy sygnał trąbki.

— Niech pan będzie przekonany, że ja wierzę w szczerość pańskiego przeświadczenia i nie kładę go na karb miłości pana dla nieszczęśliwego brata. Swoisty pogląd pana na całe tragiczne zajście, które się rozegrało w rodzinie pana, znany jest nam ze śledztwa pierwiastkowego. Nie utaję przed panem, że jest on w najwyższym stopniu dziwny i że przeciwstawia się innym zeznaniom, które odebrała prokuratura. I dlatego właśnie uważam za stosowne zapytać pana teraz już z całą stanowczością, jakie właściwie dane prowadziły myśl pana i doprowadziły ją do ostatecznego przekonania o niewinności brata, i odwrotnie o winie innego człowieka, na którego pan wskazał odrazu na śledztwie?

— Na śledztwie odpowiadałem tylko na pytania — cicho i spokojnie przemówił Aljosza. — Nie przyszedłem z oskarżeniem na Smerdjakowa.

— A jednak pan wskazał na niego?

— Wskazałem na niego, opierając się na słowach brata Dymitra. Jeszcze przed badaniem opowiedziano mi, co się działo podczas aresztowania brata i jak on sam wskazał na Smerdjakowa. Ja wierzę absolutnie, że brat mój jest niewinny. A jeśli on nie zabił, to...

— To Smerdjakow?... Dlaczego właśnie Smerdjakow? I na jakiej zasadzie jest pan tak bardzo przekonany o niewinności swego brata?

— Nie mogłem nie wierzyć bratu. Ja wiem, że mnie on nie skłamie. Widziałem jego twarz, widziałem, że on nie kłamie.

— Tylko z twarzy? To są wszystkie dowody pana?

— Więcej dowodów nie posiadam.

— A co do winy Smerdjakowa nie opiera się pan również na żadnym dowodzie poza słowami brata i wyrazem jego twarzy?

— Tak, nie mam innego dowodu.

Na tem prokurator zakończył przesłuchanie Aljoszy. Odpowiedzi Aljoszy bardzo zawiodły oczekiwania publiczności. Smerdjakowa posądzano już przed rozprawą, ktoś coś niecoś słyszał, ktoś na coś wskazywał, mówiono o Aljoszy, że ma jakieś niezwykłe dowody winy lokaja, i oto — nic, żadnych dowodów, poza moralnem przekonaniem, tak naturalnem u brata podsądnego.

Ale oto już Fetiukowicz wziął go w obroty. Na pytanie: kiedy podsądny mówił o nienawiści do ojca i o tem, że mógłby zabić, czy podczas ostatniej rozmowy ze świadkiem przed katastrofą, Aljosza nagle drgnął, jakgdyby sobie coś przypomniał, i rzekł:

— Przypominam sobie teraz pewną okoliczność, o której całkiem zapomniałem, bo wówczas wydała mi się tak niejasna, ale teraz...

I Aljosza z uniesieniem, jakby pod wpływem żywego przypomnienia, opowiedział jak spotkał Mitię wieczorem pod drzewem na drodze do monasteru, i jak Mitia, uderzając się w pierś, w „górną część torsu" kilkakrotnie powtórzył, że posiada możność odzyskania honoru, że możność ta jest

..u, na piersiach... „Pomyślałem sobie wówczas, że uderzając się w pierś, ma na myśli serce" — rzekł Aljosza — „że w sercu swojem mógłby znaleźć siły, aby zmyć z siebie straszliwą hańbę, o której nawet mnie wstydził się mówić. Przyznam się, pomyślałem wówczas, że mówi o ojcu i że sam wzdryga się z przerażenia na myśl o tem, że może przyjdzie do ojca i coś z nim zrobi; ale właściwie to on jakby na coś wskazywał, co leżało na piersi, tak, że pomyślałem nawet wówczas przez chwilę, że przecież serce leży nie po tej stronie, i nie tak wysoko, że on uderza się w piersi o wiele wyżej, tuż pod szyją i wciąż wskazuje na to miejsce. Myśl moja wydała mi się wówczas głupią, a on właśnie, być może, wskazywał na tę szmatkę, w którą zaszył owe tysiąc pięćset rubli!...

— Tak jest! — krzyknął nagle Dymitr ze swego miejsca. — To tak właśnie, Aljosza, tak, ja wtedy o to uderzałem ręką.

Fetiukowicz podbiegł doń, poprosił o zachowanie spokoju i wpił się w Aljoszę. Ów zaś, olśniony swojem wspomnieniem, namiętnie wyrażał swoje przypuszczenie, że hańba, o której brat wówczas mówił, polegała na tem właśnie, że mając przy sobie owe tysiąc pięćset rubli i mogąc je zwrócić Katarzynie Iwanownej jako połowę długu, postanowił jednak nie zwrócić i wykorzystać w inny sposób, mianowicie wywieźć Gruszeńkę, jeśli się ona zgodzi...

— Tak jest, właśnie że tak — zawołał Aljosza bardzo wzburzony — brat wołał wówczas, że połowę, właśnie połowę hańby (kilkakrotnie wypowiedział: *połowę!*) mógłby zmyć z siebie, ale wskutek nieszczęsnej słabości charakteru nie zrobi tego... wie zgóry, że nie potrafi się na to zdobyć!

— I pan stanowczo i wyraźnie pamięta, że uderzał się w to miejsce? — indagował go Fetiukowicz.

— Stanowczo i wyraźnie, bo właśnie pomyślałem sobie wówczas: poco on tak wysoko uderza, kiedy serce jest niżej, i myśl moja wydała mi się wówczas głupią... pamiętam, że wydała mi się głupią... Dlatego sobie teraz przy-

pomniałem. I jakże mogłem o tem dotychczas nie pamiętać! Właśnie, że na tę torebkę wskazywał, jako na to, że ma możność, ale nie zwróci tych tysiąca pięciuset! A, gdy go aresztowano, w Mokrej, krzyczał właśnie, — wiem o tem, bo mi mówiono — że uważał to za największą hańbę swego życia, iż mając możność zwrócenia połowy (właśnie połowy) długu Katarzynie Iwanownej, zdecydował jednak nie zwrócić jej, wolał raczej być w jej oczach złodziejem, niż rozstać się z temi pieniędzmi! A jak on się męczył, jak się męczył z powodu tego długu! — zawołał Aljosza.

Oczywiście wtrącił się też prokurator. Poprosił, aby świadek jeszcze raz opisał, jak to wszystko było, i kilka razy przepytał: czy istotnie podsądny, uderzając się w piersi, jakgdyby na coś wskazywał? Może poprostu walił się w piersi pięścią?

— I wcale nie pięścią! — zawołał Aljosza. — Właśnie pokazywał palcami i pokazywał wysoko, bardzo wysoko... Ale jak ja mogłem o tem zapomnieć do tej pory!

Prezes zwrócił się teraz do Miti, czy ma coś do powiedzenia w kwestji tego zeznania. Mitia potwierdził, że tak było w istocie, że właśnie wskazywał na tysiąc pięćset rubli, które miał na piersi tuż pod szyją, i że oczywiście była to hańba, „hańba, której się nie zapieram, najhaniebniejszy czyn w mojem życiu!" — wołał Mitia. — „Mogłem zwrócić lecz nie zwróciłem. Wolałem zostać w jej oczach złodziejem, ale nie zwróciłem, a największą hańbą jest to, że wiedziałem zgóry, że nie zwrócę! Ma rację Aljosza! Dziękuję ci, Aljosza!".

Tak się skończyło przesłuchanie Aljoszy. Ważna i charakterystyczna była jedna okoliczność: odnalazł się bodaj jeden fakcik, oczywiście bardzo błahy dowód, raczej aluzja dowodu, która jednak bodaj troszeczkę świadczyła, że naprawdę istniała ta torebka z zaszytemi pieniędzmi, i że podsądny nie kłamał, gdy w Mokrej podawał te pieniądze za „swoje własne". Aljosza był zadowolony; z palącemi policzkami udał się na wskazane mu miejsce. Długo jeszcze powtarzał szeptem: „Jakże mogłem zapomnieć? Jak-

to mogłem zapomnieć! I jakto teraz dopiero sobie przypomniałem!".

Zaczęło się przesłuchiwanie Katarzyny Iwanownej. Ledwo się pojawiła, publiczność zaczęła się zachowywać niesamowicie. Panie chwyciły za lornetki i lorgnons,, mężczyźni poruszyli się niespokojnie, niektórzy zerwali się z miejsca, aby lepiej widzieć. Wszyscy potem twierdzili, że Mitia nagle zbladł „jak chusta", ledwo tylko weszła. Cała w czerni, skromnie i jakby nawet nieśmiało podeszła do wskazanego jej miejsca. Nie można było zmiarkować z jej twarzy, czy jest bardzo wzburzona. W każdym razie posępne, ciemne spojrzenie rzucało stanowczy wyraz. Wiele osób twierdziło później, że była wówczas wyjątkowo piękna. Zaczęła zeznawać cicho, ale wyraźnie, tak że wszyscy słyszeli. Wyrażała się nadzwyczaj spokojnie albo przynajmniej sadziła się na spokój. Prezes zaczął pytać oględnie, bardzo ostrożnie, z ogromnym szacunkiem, jakby lękając się dotknąć „pewnych strun" i oddając cześć wielkiemu nieszczęściu. Ale Katarzyna Iwanowna sama wręcz oświadczyła w odpowiedzi na jedno z zadanych pytań, że była formalnie zaręczona z podsądnym, i była jego narzeczoną, „dopóki sam mnie nie porzucił"... — dodała półgłosem. Gdy zapytano o trzy tysiące, wręczone Miti w celu przesłania do jej krewnych, odpowiedziała twardym głosem: „Dałam mu właściwie nie poto, aby wysłał: czułam wówczas, że mu pieniądze są bardzo potrzebne... w owej chwili.. Dałam mu trzy tysiące pod warunkiem, że wyśle je, jeśli zechce, w ciągu miesiąca. Niepotrzebnie się potem zadręczał z powodu tych pieniędzy"...

Nie powtórzę tu wszystkich pytań i wszystkich jej odpowiedzi, chodzi mi raczej o istotny sens jej zeznań.

— Byłam pewna, że zawsze zdąży wysłać te trzy tysiące, skoro dostanie od ojca — rzekła, odpowiadając na zapytanie. — Zawsze byłam przeświadczona o jego bezinteresowności i uczciwości... wzniosłej uczciwości... w sprawach pieniężnych. On był pewny, że dostanie od ojca trzy tysiące rubli i kilkakrotnie mi to mówił. Wiedziałam, że kłóci się z ojcem, i zawsze byłam przekonana i dotychczas

jestem, że ojciec go skrzywdził. Nie pamiętam żadnych pogróżek w stosunku do ojca. Mnie przynajmniej nic takiego nie mówił. Gdyby wtedy przyszedł do mnie, uspokoiłabym go w kwestji tych nieszczęsnych trzech tysięcy, ale on przestał do mnie przychodzić... a ja sama... byłam w takiem położeniu, że nie mogłam go do siebie zawołać... I nie miałam zresztą prawa mieć do niego pretensję o ten dług — dodała z jakąś nagłą stanowczością, — ja sama pewnego razu dostałam od niego pożyczkę o wiele większą i przyjęłam ją, mimo że absolutnie nie spodziewałam się wówczas, iż będę w stanie zwrócić mu ten dług...

W tonie jej głosu zabrzmiało jakby jakieś wyzwanie. I wówczas właśnie zaczął ją przesłuchiwać Fetiukowicz.

— To było nie tu jeszcze, w początkach waszej znajomości? — zaczął ostrożnie, wyczuwając jakąś sprzyjającą tajemnicę. (Nawiasem mówiąc, chociaż sprowadziła go do nas sama Katarzyna Iwanowna, nie wiedział nic o pięciu tysiącach, które Mitia jej kiedyś pożyczył, i o jej „pokłonie". Tego mu jednak nie powiedziała! I to było dziwne. Można przypuszczać, że do ostatniej chwili nie wiedziała, czy opowie ten epizod w sądzie, czy nie, i czekała na natchnienie).

— Nie, nigdy nie zapomnę tych chwil!

I zaczęła zeznawać: opowiedziała *wszystko*, cały ten epizod, który Mitia swego czasu opowiedział Aljoszy: i o „pokłonie" i o ojcu, mówiła, i o wizycie u Miti, lecz nie wspomniała o tem, że Mitia sam zaproponował jej siostrze przyrodniej, aby „przysłała do niego Katarzynę Iwanowną po pieniądze". Wielkodusznie przemilczała tę okoliczność i nie wstydziła się oznajmić, że ona sama pobiegła wówczas do młodego oficera, z własnego popędu, mając nadzieję na coś... aby poprosić go o pieniądze. Była to wstrząsająca opowieść. Drżałem i trzęsłem się z zimna, słuchając tego opowiadania, cała sala zamarła zasłuchana w każde słowo. Było to coś bezprzykładnego. Wszak nawet po takiej hardej i wyniosłej dziewczynie nie można się było spodziewać tak szczerego wyznania, takiej ofiary, takiego samozaparcia. I dla kogo, dla kogo? Żeby urato-

wać swego krzywdziciela, który ją zdradził, żeby przynajmniej cokolwiek przysłużyć się jego sprawie, żeby wywołać korzystne dlań wrażenie! Bo istotnie: obraz oficera, oddającego swoje ostatnie pięć tysięcy rubli — wszystko co posiadał — z głębokim pokłonem, był nader sympatyczny i ujmujący, ale... serce moje ścisnęło się boleśnie! Poczułem, że potem może z tego wyniknąć (i wynikła, a jakże wynikła) potwarz! Ze złośliwym śmieszkiem opowiadano sobie potem u nas, że spowiedź jej była może niezupełnie dokładna, i to właśnie w tem miejscu, gdzie oficer jakoby wypuścił niewinną dziewuszkę jedynie „z pełnym czci ukłonem". Powiadano, że tu coś „przemilczała". „I gdyby nawet nie przemilczała, gdyby to nawet było prawdą — powiadały nasze najczcigodniejsze panie — to i wówczas pytanie, czy bardzo szlachetnie postąpiła dziewczyna, choćby nawet przyświecał jej wzniosły cel uratowania ojca?" I czy istotnie Katarzyna Iwanowna, tak mądra, tak wrażliwa i przenikliwa, nie przeczuwała, że tak właśnie będą wypadek ów komentować? Napewno przeczuwała, a jednak zdecydowała się wszystko powiedzieć! Rozumie się, wszystkie te nikczemne domysły powstały dopiero potem, zrazu bowiem wszyscy byli wstrząśnięci. Sędziowie słuchali jej w pełnem czci i nawet wstydliwem milczeniu. Prokurator nie pozwolił sobie zadać ani jednego pytania na ten temat. Fetiukowicz ukłonił się głęboko. O, ten to niemal triumfował. Wiele zyskał teraz: człowiek, który ze szlachetnego popędu oddaje ostatnie pięć tysięcy„ a potem ten sam człowiek, który w nocy zabija swego ojca, aby ukraść mu trzy tysiące — to się jakoś nie klei. Przynajmniej fakt grabieży był teraz mocno zachwiany. „Sprawa" ukazała się w nowem świetle. Odczuwało się jakąś sympatję dla Miti. On sam zaś... opowiadano, że podczas przemowy Katarzyny Iwanownej, parę razy zrywał się z miejsca, poczem nagle opadał na ławę i zasłaniał twarz rękoma. Skoro zaś skończyła, zawołał głosem nabrzmiałym łkaniem, wyciągając ku niej ręce:

— Katia, dlaczegoś mnie zgubiła!

I zaszlochał głośno na całą salę. Zresztą rychło się opanował i znowu krzyknął:

— Teraz to będę skazany!

A potem jakby skołczał, zaciąwszy zęby i przycisnąwszy skrzyżowane ręce do piersi. Katarzyna Iwanowna została na sali i usiadła na wskazanem jej krześle. Ci, którzy siedzieli obok niej, opowiadali, że długo trzęsła się jak w febrze. Teraz przyszła kolej na Gruszeńkę.

Weszła również w czerni, ze swym pięknym czarnym szalem na plecach. Swoim płynnym bezgłośnym krokiem, lekko się kołysząc, podeszła do balustrady, patrząc na prezesa i nie oglądając się ani w prawo ani w lewo. Mojem zdaniem, była bardzo piękna w tej chwili i wcale nie blada, jak to utrzymywały potem nasze panie. Opowiadano, że miała skupioną, złą minę. Myślę tylko, że była rozdrażniona i ciężko odczuwała te wszystkie wzgardliwe i ciekawe spojrzenia naszej publiczności, żądnej skandalu. Był to hardy charakter, nie znoszący pogardy, jeden z tych charakterów, które, podejrzewając pogardę, unoszą się gniewem i pragnieniem odwetu. Pozatem była onieśmielona i odczuwała wstyd wewnętrzny z powodu tego onieśmielenia, wskutek czego mowa jej była nierówna — to gniewna, to wzgardliwa i umyślnie brutalna, to znowu nagle odzywała się szczera nutka samopotępienia. Chwilami zaś mówiła tak, jakby leciała w przepaść: „wszystko jedno, niech tam będzie, co ma być, a ja jednak powiem..."

Gdy ją zapytano o stosunki z Fedorem Pawłowiczem, odpowiedziała, że „wszystko to są bzdury, co ja winna jestem, że on się do mnie przyczepił?" A potem po chwili dodała: „Wszystkiego jestem winna, śmiałam się z tego i tamtego — i ze staruszka i z niego — i doprowadziłam ich do tego stanu. Z mojego powodu wszystko to się stało". Gdy wspomniano o Samsonowie: — „Czyj to interes — odparła z zuchwałem wyzwaniem, — był moim dobroczyńcą, wziął mnie kopciuszka, kiedy mnie rodzina z domu przepędziła". Prezes bardzo zresztą grzecznie zwrócił jej uwagę, że należy odpowiadać rzeczowo, nie wdając się w zbyteczne szczegóły. Gruszeńka zarumieniła się i błysnęła oczyma.

Koperty z pieniędzmi nie widziała, mówił jej tylko

„zbrodniarz", że Fedor Pawłowicz ma jakąś kopertę z trzema tysiącami. „Tylko że to wszystko bzdury, śmiałam się z tego i za nicbym nie poszła".

— Kogo pani miała na myśli, mówiąc o „zbrodniarzu"? — zapytał prokurator.

— A lokaja, Smerdjakowa, co pana swego zabił a wczoraj się obwiesił.

Oczywiście zapytano ją: na jakiej podstawie posądza tak stanowczo nieboszczyka, aliści i ona nie mogła podać żadnych podstaw.

— Tak, Dymitr Fedorowicz mi sam mówił, to jemu wierzcie. To ona go zgubiła, a jakże, ona jedna zawiniła, a jakże — dodała Gruszeńka, jakgdyby zżymając się z nienawiści, i uszczypliwa nutka zabrzmiała w jej głosie.

Zapytano, kogo teraz ma na myśli.

— A panienka, zwodnica, Katarzyna Iwanowna, i mnie zwabiła do siebie, czekoladą częstowała, chciała mnie przekupić. Wstydu prawdziwego nie ma, a jakże...

Prezes przerwał jej surowo i skarcił. Ale serce zazdrosnej kobiety rozpaliło się, była gotowa runąć naoślep w przepaść...

— Podczas aresztowania podsądnego — przypomniał sobie prokurator — wszyscy widzieli i słyszeli, jak pani zawołała: „To ja zawiniłam, razem pójdziemy na katorgę!" A zatem sądziła pani, że podsądny jest ojcobójcą?

— Nie pamiętam swoich ówczesnych uczuć — odparła Gruszeńka — wszyscy wówczas wołali, że on zabił ojca, więc poczułam, że to ja jestem winna, że on przeze mnie zabił.. A jak on powiedział, że jest niewinny odrazu uwierzyłam i teraz wierzę i zawsze będę wierzyć: nie taki to człowiek, aby skłamał.

Następnie przesłuchiwał ją Fetiukowicz. Pamiętam, że pytał ją o Rakitina i owe dwadzieścia pięć rubli, które Rakitin dostał „za to, że przyprowadził do pani Aleksego Fedorowicza Karamazowa".

— I cóż w tem dziwnego, że pieniądze wziął — uśmiechnęła się Gruszeńka ze wzgardliwą złością — wciąż przychodził do mnie po pieniądze, wyciągał po trzydzieści

rubli przez miesiąc przeważnie na zabawy, bo na utrzymanie i tak miał.

— Czemuż była pani tak hojna względem Rakitina? — zapytał Fetiukowicz, chociaż prezes zaczął się już niespokojnie poruszać.

— Przecie to mój kuzyn. Moja matka i jego matka to dwie siostry rodzone. Ciągle mnie jeno błagał, abym o tem nikomu nie mówiła. Wstydził się tego pokrewieństwa.

Nowy ten fakt był dla wszystkich zupełną niespodzianką. Nikt nie wiedział o tem dotychczas ani w mieście ani w monasterze; nie wiedział o tem nawet Mitia. Powiadano, że Rakitin, obecny na sali, zalał się purpurą. Gruszeńka dowiedziała się, że Rakitin świadczył przeciw Miti i dlatego powzięła na niego złość. Cała poprzednia przemówka pana Rakitina, cała jego szlachetność, wszystkie wycieczki w stronę przeżytków pańszczyźnianych i ustroju państwowego Rosji — wszystko było już definitywnie w niwecz obrócone. Fetiukowicz był bardzo zadowolony. Zaś Gruszeńkę badano niedługo: nie dodała zasadniczo nic nowego. Zostawiła zaś po sobie bardzo nieprzyjemne wrażenie. Setki pogardliwych spojrzeń odprowadziły ją na miejsce, dość oddalone od miejsca Katarzyny Iwanownej. Mitia w czasie jej przesłuchania milczał i miał spuszczone oczy.

Teraz miał świadczyć Iwan Fedorowicz.

V.

Nieoczekiwana katastrofa.

Trzeba zaznaczyć, że wywołano go jeszcze przed Aljoszą. Ale komisarz oświadczył, że z powodu nagłej niedyspozycji świadek nie może zeznawać, i że skoro tylko się lepiej poczuje, będzie gotów stanąć przed sądem. Nikt tego zresztą wówczas nie słyszał, dowiedziano się o tem później. Zrazu nikt nie zwrócił na niego szczególnej uwagi: główni świadkowie, więc i obie rywalki, byli już przesłuchani: zaciekawienie publiczności było chwilowo nasycone. I na sali

można już było dostrzec znużenie. Przecież nie wszyscy jeszcze świadkowie byli przesłuchani; pozostało ich kilku, ale nie spodziewano się już żadnych szczególnych rewelacyj. A czas upływał. Iwan Fedorowicz wszedł jakoś dziwnie powoli, nie patrząc na nikogo, ze spuszczoną nisko głową, jakby się nad czemś zastanawiał. Ubrany był bez zarzutu, lecz twarz jego, przynajmniej na mnie, wywierała dziwne wrażenie: było na tej twarzy jakieś zetknięcie się z ziemią, jakieś podobieństwo do oblicza konającego człowieka. Oczy były mętne; podniósł je i powoli powiódł po sali. Aljosza nagle zerwał się z miejsca i jęknął: „ach!" Pamiętam to wyraźnie. Ale i na to nikt prawie nie zwrócił uwagi.

Prezes zaczął od małej przemówki, w której przypomniał świadkowi, że nie składa przysięgi, że może mówić albo milczeć, ale że świadczyć powinien sumiennie i td. Iwan Fedorowicz słuchał i patrzał na niego mętnym wzrokiem; ale powoli twarz jego zaczęła się układać do uśmiechu. I nagle roześmiał się, ledwo tylko prezes, przyglądacy mu się ze zdumieniem, przestał mówić.

— No i cóż jeszcze? — zapytał nagłos.

Na sali zapanowała głucha cisza, jakby coś przeczuto. Prezes zaniepokoił się.

— Pan... może nie jest jeszcze zdrów? — rzekł, szukając oczyma komisarza.

— Niech pan będzie spokojny, panie prezesie, jestem dostatecznie zdrów i mógłbym wam opowiedzieć coś ciekawego — odpowiedział Iwan Fedorowicz tym razem spokojnie i z szacunkiem.

— Czy ma pan coś szczególnego do zakomunikowanie? — badał go wciąż z niedowierzaniem prezes.

Iwan Fedorowicz zwiesił głowę, kilka sekund się namyślał, poczem, podniósłszy głowę, odpowiedział jakby się jąkając:

— Nie... nie mam. Nie mam nic szczególnego.

Zaczęto mu zadawać pytania. Odpowiadał niechcący, jakby umyślnie zwięźle, logicznie, ale z jakąś nawet odrazą, coraz bardziej się wzmagającą. Często odpowiadał, że

nic nie wie. Nie wiedział naprzykład nic o porachunkach między ojcem a Dymitrem Fedorowiczem. „I nie zajmowałem się tem" — rzekł. O pogróżkach słyszał od samego podsądnego. O kopercie z pieniędzmi mówił mu Smerdjakow...

— Wszystko to samo — przerwał nagle ze zmęczoną miną — nie mam nic szczególnego do zakomunikowania.

— Widzę, że pan jest niezdrów i pojmuję uczucia pana... — zaczął prezes.

Zwrócił się do prokuratora i obrońcy, proponując im przesłuchanie podsądnego. Lecz nagle Iwan Fedorowicz wyczerpanym głosem rzekł:

— Niech mnie pan puści, panie prezesie, czuję się chorym.

Co rzekłszy, nie czekając nawet na odpowiedź, odwrócił się i poszedł. Ale nie przeszedł jeszcze czterech kroków, nagle zatrzymał się, jakby coś zdecydował, uśmiechnął się łagodnie i wrócił na poprzednie miejsce.

— Ja, panie prezesie, to tak jak ta dziewucha wiejska... wie pan jak to: chodzą za nią z „sarafanem" aby skoczyła, żeby potem zawiązać i do ślubu zawieźć, a ona powiada: „Zechcę to skocę, zechcę — to nie skocę"... To jedna z naszych narodowości...

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał surowo przewodniczący.

— Ot co — Iwan Fedorowicz wyciągnął nagle paczkę banknotów — to pieniądze te same, które leżały w tej kopercie (skinął na stół z dowodami rzeczowemi), z powodu których zabito ojca. Gdzie położyć? Panie komisarzu, zechce pan doręczyć.

Komisarz wziął paczkę i wręczył prezesowi.

— Jakim sposobem mogły się znaleźć te pieniądze u świadka... jeśli to są te same pieniądze? — zapytał ów ze zdziwieniem.

— Dostałem od Smerdjakowa, od zabójcy, wczoraj... Byłem u niego zanim się powiesił. To on zabił ojca a nie mój brat. On zabił, a ja go tego nauczyłem... Któż nie pragnie śmierci ojca?...

— Pan jest przytomny? — zapytał mimowoli prezes.

— O to właśnie chodzi, że przytomny... podle przytomny, tak jak i wszystkie te... mordy! — zwrócił się nagle do publiczności. — Zabili ojca, a udają, że się zlękli — zgrzytnął z wściekłą pogardą. — Wzajemnie przed sobą udają. Kłamcy! Wszyscy pragną śmierci ojca. Jeden gad pożera drugą gadzinę... Gdyby nie było ojcobójstwa, wszyscyby gniewali się i wrócili do domu źli... Igrzyska! „Chleba i igrzysk!" Zresztą i ja jestem dobry! Macie tu wodę czy nie. Dajcie mi się napić, na miłość Boską! — chwycił się nagle za głowę.

Komisarz podbiegł do świadka. Aljosza nagle zerwał się i krzyknął: „Chory jest, nie wierzcie mu, mówi w malignie!" Katarzyna Iwanowna impulsywnie zerwała się ze swego miejsca i, skamieniała ze zgrozy, wpatrywała się w Iwana Fedorowicza. Mitia podniósł się i z jakimś dzikim skrzywionym uśmiechem patrzał na brata.

— Uspokójcie się, nie jestem warjatem, jestem tylko zabójcą! — zaczął znowu Iwan. — Od zabójcy nie można przecież wymagać wymowy... — dodał i zaśmiał się z grymasem.

Prokurator bardzo stropiony nachylił się do prezesa. Sędziowie mówili coś ze sobą szeptem. Fetiukowicz nadstawił uszu. Sala zamarła w oczekiwaniu. Prezes naraz jakby się opamiętał.

— Słowa świadka są niezrozumiałe i tutaj niewłaściwe. Niech się pan uspokoi, jeśli pan potrafi i niech pan opowie... co pan istotnie ma do powiedzenia. Czem może pan potwierdzić takie wyznanie... o ile pan nie majaczy?

— O to właśnie chodzi, że nie mam świadków. Ten pies, Smerdjakow nie przyśle z tamtego świata świadectwa... w kopercie. Wciążbyście tylko kopert chcieli, i jednej dosyć. Nie mam świadków... Oprócz może jednego — uśmiechnął się w zamyśleniu.

— Kto to?

— Z ogonem, panie prezesie, nie licuje to z waszą liberją. Le diable n'existe point! Nie zwracajcie uwagi, lichy pospolity djabeł — dodał jakby poufnie, prze-

stając się śmiać. — Napewno tkwi tu gdzieś, pod tym właśnie stołem z dowodami rzeczowemi, gdzieżby siedział jak nie tam? Uważacie, posłuchajcie mnie: powiedziałem mu: nie chcę milczeć, a on o przewrocie geologicznym... brednie! Ano uwolnijcie potwora... hymn zaintonował, bo mu łatwo! Tak jakby pijana kanalja wrzasnęła: „Ot pojechał Wańka mój", a ja za dwie sekundy radości oddałbym kwadryljon kwadryljonów. Nie znacie mnie! O, jak to wszystko u was głupie! Ano bierzcie mnie zamiast jego! Przyszedłem tu po coś... Czemuż, czemuż to wszystko jest tak głupie?...

I znowu zaczął powoli i w zamyśleniu rozglądać się po sali. Ale tu już powstał popłoch. Aljosza rzucił się ku niemu, ale komisarz wyprzedził go i schwycił Iwana Fedorowicza za rękę.

— A to co takiego? — zawołał Iwan, patrząc groźnie na komisarza i nagle, uchwyciwszy go za plecy, wściekle przewrócił go na podłogę.

Ale już straż podbiegła. Gdy go schwycono, ryknął nieludzkim wrzaskiem. I wciąż wrzeszczał i wykrzykiwał bez sensu, póki go nie wyprowadzono.

Zaczął się istny rozgardjasz. Nie pamiętam wszystkiego, sam byłem wzburzony i nie mogłem wszystkiego dostrzec. Wiem tylko, że potem, kiedy wszystko się uspokoiło i wszystko zrozumiano, prezes ofuknął surowo komisarza, ów zaś tłumaczył się, że świadek był dotąd zdrów, że doktór go zbadał, że godzinę przedtem poczuł się źle, ale przez cały czas mówił logicznie, to też nie można było przewidzieć takiego epilogu; że wreszcie sam upierał się, że chce złożyć zeznania. Ale zanim uspokoiło się całkowicie, wybuchła nowa scena: Katarzyna Iwanowna dostała ataku histerycznego. Mimo spazmów nie chciała opuścić sali, szarpała się, prosiła, aby jej pozwolono zostać, i nagle krzyknęła:

— Muszę przedstawić jeszcze coś, natychmiast... natychmiast! Oto papier... list... weźcie, przeczytajcie prędzej, prędzej! To list tego potwora, tego, tego! — wskazała na Mitię. — To on zabił ojca, przekonacie się zaraz, on pi-

sze mi, że zabije ojca! A tamten chory, chory, zapalenie mózgu! Już trzy dni widzę, że majaczy!

Tak krzyczała, nie panując nad sobą. Komisarz wziął kartkę, którą wyciągnęła do prezesa, ona zaś sama opadła na krzesło, zasłoniła twarz i zaczęła konwulsyjnie i bezgłośnie szlochać, trzęsąc się i tłumiąc wydzierające się jęki. Bała się bowiem, że ją wyprowadzą. Był to list Miti napisany w „Stołecznym grodzie", ten sam, który Iwan Fedorowicz nazwał „matematycznym" dowodem winy Miti. Niestety, sąd uznał tę matematyczność, i gdyby nie ten list, nie zginąłby Mitieńka, albo przynajmniej nie zginąłby tak strasznie! Powtarzam, trudno byłoby powtórzyć wszystkie szczegóły. Dotychczas widzę to wszystko w jakimś chaosie. Prawdopodbnie prezes odczytał nowy dokument sędziom, prokuratorowi, obrońcy i przysięgłym. Pamiętam tylko, jak zaczęto badać świadka. Na pytanie, czy się uspokoiła, Katarzyna Iwanowna zawołała impulsywnie:

— Jestem gotowa, jestem gotowa! Jestem w stanie dać wam odpowiedź — dodała, strasznie się lękając, że się nie pozwolą jej wypowiedzieć.

Proszono, aby wyjaśniła szczegółowo: jaki to list i w jakich okolicznościach dostała go?

— Dostałam go w przeddzień zbrodni, a pisał go jeszcze poprzedniego dnia w restauracji, a zatem dwa dni przed zbrodnią — widzicie, napisał go na jakimś rachunku! — zawołała zadyszanym głosem. — Nienawidził mnie wtedy, ponieważ popełnił podłość i poszedł za tą szmatą... i ponieważ winien mi był trzy tysiące... O, wstyd mu było tych trzech tysięcy i tej swej podłości Te trzy tysiące, jak to było — proszę was, błagam, abyście mnie wysłuchali: jeszcze trzy tygodnie przed zabiciem ojca, przyszedł do mnie rano. Wiedziałam, że mu potrzebne są pieniądze i wiedziałam na co — właśnie na to, żeby uwieść tę szmatę i wyjechać z nią. Wiedziałam wtedy, że mnie zdradził i że chce mnie porzucić, i ja, ja sama, dałam mu wówczas te pieniądze, sama zaproponowałam, niby poto, aby wysłał do Moskwy — a kiedy mu dawałam, to spojrzałam na niego i powiedziałam, że może wysłać, kiedy zechce, „choćby dopiero

za miesiąc". Ano jakże, jakżeby mógł nie zrozumieć, że mówiłam mu wprost w oczy: „potrzebne ci są pieniądze, aby mnie zdradzić z tą szmatą, więc masz te pieniądze, ja sama ci daję, weź, o ile jesteś tak nieuczciwy, że weźmiesz!". Chciałam go zdemaskować, i cóż? Wziął, wziął i poszedł i przehulał w ciągu jednej nocy z tą szmatą... Ale zrozumiał, zrozumiał, że wszystko wiem, zapewniam was, że on wszystko zrozumiał, i to, że, dając mu te pieniądze, wystawiam go na próbę: czy będzie tak nieuczciwy, że weźmie, czy nie? Zaglądałam mu w oczy, i on mi w oczy zaglądał i wszystko zrozumiał, wszystko zrozumiał i wziął, wziął i zabrał moje pieniądze!

— Prawda, Katia! — wrzasnął naraz Mitia.—W oczy zaglądałem i rozumiałem, że hańbisz mnie, a jednak wziąłem twoje pieniądze! Pogardzajcie łotrem, pogardzajcie wszyscy, zasłużyłem!

— Podsądny! — zawołał prezes — jeszcze słowo, a każę pana wyprowadzić.

— Te pieniądze go męczyły — podjęła, śpiesząc się jakoś, Katia — chciał mi zwrócić, chciał, to prawda, ale pieniądze były mu też potrzebne dla tej jego szmaty. Dlatego zabił ojca, a pieniędzy mi nie zwrócił, wyjechał z nią do tej wioski, gdzie go złapano. Tam znowu przehulał pieniądze, które ukradł zamordowanemu ojcu. A dzień przed tem, jak zabił ojca, napisał do mnie ten list, napisał, będąc pijanym, odrazu to zmiarkowałam, napisał ze złości, wiedząc, napewno wiedząc, że nikomu tego listu nie pokażę, choćby nawet zabił. Bo inaczej nie napisałby! Wiedział, że nie będę się mściła i nie zgubię go. Ale przeczytajcie, przeczytajcie uważnie, proszę, uważniej, a przekonacie się, że wszystko w tym liście opisał, wszystko zgóry: jak zabije ojca i gdzie leżą pieniądze. Popatrzcie, prosze was, nie przepuśćcie, tam jest jedno zdanie: „zabije, byleby Iwan wyjechał". To znaczy, że zgóry ukartował, jak zabije — dodała jadowitym tonem Katarzyna Iwanowa. O, widać było, że wystudjowała ten fatalny list i wmyśliła się w każde słowo. — Gdyby nie był pijany, nie pisałby, ale popatrzcie, wszystko zgóry opisane, jota w jotę, jak potem zabił, cały program.

Tak wołała, nie panując nad sobą i, oczywiście, niewiele dbając o konsekwencje, chociaż wiedziała, jakie one będą, bo już miesiąc temu zastanawiała się, być może, drżąc ze złośliwości: „czy nie przeczytać w sądzie?". Teraz zaś jakby padała w przepaść. Pamiętam, że następnie sekretarz odczytał ów list nagłos. Wrażenie było wstrząsające. Zwrócono się do Miti z zapytaniem: czy przyznaje się do tego listu?

— Mój, mój! — zawołał Mitia. — Gdybym nie był pijany, nie napisałbym! Za wiele rzeczy nienawidzieliśmy się oboje, Katia, ale przysięgam, przysięgam, że nawet nienawidząc kochałem cię, a ty mnie — nie!

Opadł na miejsce, załamując z rozpaczy ręce. Prokurator i obrońca rozpoczęli krzyżowy ogień pytań. Przedewszystkiem zapytano ją, co ją skłoniło do utajenia aż do ostatniej chwili tego dokumentu i do złożenia zeznań w innym duchu i tonie?

— Tak, tak, poprzednio kłamałam, kłamałam wbrew sumieniu i uczciwości, ale poprzednio chciałam go uratować, ponieważ tak mnie nienawidził i tak mną pogardzał!— wołała Katarzyna Iwanowna jak obłąkana. — O, gardził mną straszliwie, i wiecie panowie, wiecie panowie — gardził mną od tej chwili, kiedy mu wtedy za pieniądze do nóg się ukłoniłam. Widziałam to... Ja wówczas, wtedy odrazu to poczułam, ale długo nie chciałam sobie wierzyć. Ileż razy czytałam w jego oczach: „a jednak tyś do mnie przyszła!". O, on nie zrozumiał, nic nie zrozumiał, dlaczego wtedy przybiegłam, on tylko podłość widzi wszędzie! Mierzył swoją miarką, myślał, że wszyscy są tacy jak on — zawołała Katia, zgrzytając z wściekłości zębami. — A ożenić się ze mną chciał dlatego, że dostałam spadek, dlatego, dlatego! Zawsze posądzałam go, że dlatego! O, to zwierzę! Całe życie był przekonany, że ja przez całe życie będę się trzęsła przed nim ze wstydu za to, że wtedy przyszłam, że będzie mnie tyranizował — oto czemu chciał się ze mną ożenić! Tak jest, tak właśnie jest! Starałam się zwyciężyć go swoją miłością, miłością bezgraniczną, chciałam nawet znosić jego zdradę, ale on nic, nic nie zrozu-

miał. Czy on potrafi coś zrozumieć! To potwór! Ten list dostałam nazajutrz wieczorem, przynieśli mi z restauracji, a rano, rano tego dnia chciałam mu jeszcze wszystko przebaczyć, wszystko, nawet zdradę!

Oczywiście prezes i prokurator starali się ją uspokoić. Jestem przekonany, że nawet wstyd im było korzystać z jej nieprzytomnego uniesienia i wysłuchiwać takie wyznania. Pamiętam, słyszałem jak mówili jej: „Rozumiemy, jak pani ciężko, niech pani wierzy, czujemy..." i t. d. — a jednak wydębili co trzeba z nieprzytomnej histerycznej kobiety. Wreszcie opisała wszystko z niezwykłą wyrazistością, która tak często powstaje w chwilach największego naprężenia; opisała więc, jak Iwan Fedorowicz był bliski obłędu w ciągu dwuch miesięcy, jak był pomieszany na punkcie uratowania „potwora i zabójcy", brata swego.

— On siebie zadręczał — wołała — wciąż pragnął zmniejszyć jego winę, przyznawał, że sam nie lubił ojca i może nowet pragnął jego śmierci. O, to głębokie, głębokie sumienie! Zadręczał siebie wyrzutami sumienia! Wszystko mi opowiadał, wszystko, przychodził do mnie i rozmawiał ze mną codziennie jako z jedynym swoim przyjacielem. Mam zaszczyt być jedynym jego przyjacielem! — zawołała nagle jakby z wyzwaniem, rzucając groźne błyski. — Był u Smerdjakowa dwukrotnie. Pewnego razu przyszedł do mnie i rzekł: „Jeśli zabił nie mój brat lecz Smerdjakow (bo rozpowszechniono tu bajkę, że zabił Smerdjakow), to, być może, i ja jestem winien, bo Smerdjakow wiedział, że nie lubię ojca, i może nawet myślał, że pragnę jego śmierci". Wówczas wyjęłam ten list i pokazałam mu, wtedy przekonał się ostatecznie, że zabił jego brat, i to go już zupełnie dobiło. Nie mógł tego znieść, że rodzony jego brat jest ojcobójcą! Jeszcze tydzień temu widziałam, że to go w chorobę wpędza. Ostatniemi dniami, siedząc u mnie, bredził. Widziałam, że dostaje obłędu. Chodził i bredził, widziano go tak na ulicy. Doktór zbadał go trzy dni temu i powiedział mi, że boi się zapalenia mózgu — a wszystko przez niego, przez tego po-

twora! A wczoraj dowiedział się, że Smerdjakow umarł, to go tak uderzyło, że zwarjował... i wszystko z tego, że chciał uratować potwora!

O, rozumie się, tak mówić i tak zeznawać można tylko raz w życiu — w chwili przedzgonnej naprzykład, gdy się wchodzi na szafot. Ale to było zgodne z charakterem Kati, i była to *jej* chwila. Była to ta sama impulsywna Katia, która pobiegła do młodego rozpustnika, aby uratować ojca; ta sama dumna Katia, która wobec tej całej publiczności, dumna i cnotliwa, siebie i swój wstyd dziewiczy poświęciła, opowiadając „szlachetny czyn Miti", aby wpłynąć na złagodzenie wyroku. I oto teraz tak samo poświęciła się, lecz dla innego, być może dopiero teraz, dopiero w tej chwili uświadamiając sobie całkowicie, jak drogi jest jej ów człowiek! Poświęciła się, lękając się o niego, nagle uprzytamniając sobie, iż zgubił siebie wyznaniem, że to on zabił, a nie jego brat; poświęciła się, aby uratować go, jego cześć, jego reputację! A jednak była tu straszna rzecz: czy kłamała, opisując dawne stosunki swoje z Mitią — oto kwestja. Nie, nie, nie kłamała umyślnie, krzycząc, że Mitia gardził nią za ów jej ukłon czołobiny! Wierzyła w to, była głęboko przeświadczona, może nawet od pierwszej chwili, że prostoduszny, wówczas ubóstwiający ją jeszcze Mitia śmieje się z niej i gardzi nią. I tylko z dumy ona sama uczepiła się go wówczas ze swoją miłością histeryczną, z urażonej dumy, — i miłość ta podobna była nie miłości, lecz zemście. O, być może, miłosna ta szarpanina stałaby się prawdziwą miłością. Katia tylko tego pragnęła, ale Mitia uraził ją zdradą swoją do głębi duszy, i dusza nie wybaczyła. Zaś chwila zemsty podwinęła się znienacka, i to, co tak długo i boleśnie zbierało się w sercu obrażonej kobiety, znienacka wydarło się nazewnątrz. Zdradziła Mitię, ale zdradziła i siebie! I rozumie się, ledwo to wypowiedziała, naprężenie prysło i przytłoczył ją wstyd. Znowu zaczął się atak histeryczny, upadła, spazmując i krzycząc. Wyniesiono ją z sali. W chwili, gdy ją wynoszono, Gruszeńka z jękiem rzuciła się ku Miti tak porywczo, że nie zdążono jej zatrzymać.

— Mitia! — wrzasnęła. — Zgubiła cię ta twoja żmija! To się wam pokazała! — krzyknęła, trzęsąc się z wściekłości, w stronę sądu.

Na znak prezesa wyprowadzono ją przemocą. Ale stawiała opór, biła się i wydzierała ku Miti. Ów ryknął i również rzucił się ku niej. Zatrzymano go w porę.

Tak, przypuszczam, że nasze panie spektatorki były zadowolone, widowisko było urozmaicone. Pamiętam jak potem pojawił się moskiewski lekarz. Zdaje się, że prezes jeszcze poprzednio wysłał komisarza, aby zaopiekował się Iwanem Fedorowiczem. I oto lekarz zameldował, że stan chorego jest bardzo niebezpieczny i że należy go natychmiast wywieźć. Na pytanie prokuratora i obrońcy potwierdził, że pacjent sam przyszedł do niego trzy dni temu, i że on wówczas uprzedził go o poważnej chorobie, ale nic nie wskórał. „Był on stanowczo w nienormalnym stanie umysłowym, sam mi się przyznawał, że miewa halucynacje, spotyka na ulicy różne osoby, które już nie żyją, i że co wieczór szatan składa mu wizyty" — stwierdził lekarz, zaczem wyszedł. List, przedstawiony przez Katarzynę Iwanownę załączono do dowodów rzeczowych. Po naradzie sąd postanowił: kontynuować posiedzenie, i oba nieoczekiwane wyznania (Katarzyny Iwanownej i Iwana Fedorowicza) zapisać do protokółu.

Ale nie będę opisywał dalszego przebiegu przewodu sądowego, bo i zresztą wszystkie następne zeznania były tylko potwierdzeniem i powtórzeniem poprzednich, chociaż obfitowały w charakterystyczne rysy. Ale, powtarzam znowu, wszystko to znajdzie się w mowie prokuratora, do której zaraz przystąpię. Wszyscy byli wzburzeni, wszyscy byli naelektryzowani ostatnią katastrofą i ze skwapliwą niecierpliwością oczekiwali końca: mowy prokuratora, obrońcy i wyroku. Fetiukowicz był widocznie wstrząśnięty zeznaniem Katarzyny Iwanownej. Natomiast prokurator triumfował. Po zakończeniu śledztwa sądowego ogłoszono przerwę, trwającą prawie godzinę. Była godzina, zdaje się, akurat ósma, kiedy po przerwie, prokurator nasz, Hipolit Kiryłowicz, rozpoczął mowę oskarżycielską.

VI.

Mowa prokuratora. Charakterystyka.

Zaczął Hipolit Kiryłowicz swoją mowę oskarżycielską, trzęsąc się poprostu w dreszczu nerwowym, z zimnym chorobliwym potem na czole i skroniach, czując naprzemian ziąb i żar w całem ciele. Tak to sam później opowiadał. Uważał tę mowę za swoje chef d'oeuvre, za chef d'oeuvre całego życia swego, za swoją pieśń łabędzią. Prawda dziesięć miesięcy potem umarł na suchoty, tak że istotnie, jak się okazało, miałby prawo porównać się z łabędziem, śpiewającym swoją ostatnią pieśń, gdyby przeczuwał zawczasu swoją śmierć. W mowę tę tchnął całe swe serce i ile miał rozumu, i nieoczekiwanie dowiódł, że nie były mu obce i społeczne uczucia i „przeklęte zagadnienia", przynajmniej o ile stać go było na ich rozumienie. Ale przedewszystkiem mowa jego działała swą szczerością: szczerze wierzył w winę podsądnego; nie na zamówienie i nie z obowiązku tylko oskarżał go, i domagając się „pomsty", istotnie był przejęty pragnieniem „ocalenia społeczeństwa". Nawet panie, koniec końców wrogo usposobione do Hipolita Kiryłowicza, jednak przyznawały, że były pod urokiem jego mowy. Zaczął zadyszanym, urywanym głosem, który później jednak okrzepł i brzmiał na całą salę do końca mowy. Ale skończywszy ją, omal nie zemdlał.

„Panowie przysięgli — zaczął prokurator — sprawa niniejsza narobiła wiele wrzawy w całej Rosji. Ale, zdawałoby się, cóż tu za powód do zdziwienia, skądże ta szczególna zgroza? U nas, zwłaszcza u nas? Wszak jesteśmy ludźmi tak do wszystkiego przyzwyczajonymi! To właśnie jest straszne, że takie okropne sprawy przestały być dla nas straszne! Zgroza powinna nas ogarniać na myśl o stępieniu naszej wrażliwości, o naszem przyzwyczajeniu, a nietylko na myśl o poszczególnej zbrodni tego czy innego osobnika. Gdzie tkwią przyczyny naszej obojętności, naszego ledwo cieplutkiego stosunku do takich spraw, do ta-

kich objawów czasu, zwiastujących nam niezbyt godną pozazdroszczenia przyszłość? Czy w cynizmie naszym, we wczesnem wyczerpaniu umysłu i wyobraźni naszej społeczności, tak jeszcze młodej a tak już zdecydowanie zniedołężniałej? Czyli w rozchwianych podstawach naszego życia moralnego, czy też w tem, że owych podstaw moralnych może wcale nie posiadamy? Nie rozstrzygam tych kwestyj, ale niemniej są one męczące i każdy obywatel nietylko powinien, ale obowiązany jest zadać sobie mękę i zastanowić się nad niemi. Nasza młoda, nieśmiała jeszcze prasa wyświadczyła już jednak społeczeństwu niektóre przysługi, albowiem bez niej nigdybyśmy się nie dowiedzieli o tych potwornościach rozkiełznanej woli i moralnego upadku, o których nieustannie informuje na szpaltach swoich wszystkich obywateli, a nietylko tych, którzy bywają na posiedzeniach nowych sądów, darowanych nam za obecnego panowania. I cóż czytamy prawie codziennie? O, o takich rzeczach, wobec których nawet dzisiejsza sprawa blednie i wydaje się pospolitą. Ale najważniejsze jest to, że to mnóstwo naszych rosyjskich spraw kryminalnych świadczy o czemś powszechnem, o czemś, co jest złem powszechnem, z czem jako takiem trudno jest walczyć. Tu naprzykład młody świetny oficer z wyższych sfer, który dopiero co rozpoczął życie i karjerę, podle, pokryjomu, bez wyrzutów sumienia zarzyna drobnego urzędniczka, poczęści swego dobroczyńcę, oraz służącą jego, aby zrabować swój weksel i zarazem oszczędności ofiary: „przydadzą się niby na wielkoświatowe przyjemności i do karjery". Po dokonaniu podwójnej zbrodni odchodzi, podłożywszy swoim ofiarom poduszki pod głowy. Tam znowu młody bohater, udekorowany krzyżami za odwagę, jak zbój zabija na równej drodze matkę swego wodza i dobroczyńcy i, umawiając się ze swymi kamratami, zapewnia ich, że „ona kocha go jak syna rodzonego, a przeto zastosuje się do jego rad i nie pomyśli o środkach ostrożności". Może to potwór, ale dziś, w czasach dzisiejszych nie śmiem powiedzieć, że to wyjątkowy potwór. Inny nie zarznie, ale pomyśli i poczuje to samo co on, w duszy swej jest równie nieuczciwy jak on. Pocichu,

sam na sam ze swojem sumieniem, być może, zadawał sobie pytanie: „Ale czemże jest koniec końców uczciwość, i czy krew nie jest aby przesądem?“ Być może, oburzą się tu na mnie i orzekną, że jestem człowiekiem chorobliwym, histerycznym, że bredzę, przesadzam i spotwarzam potwornie. Niechaj, niechaj tam — i Boże, jakżebym sam pierwszy się cieszył, gdyby tak było w istocie! O, nie wierzcie mi, uważajcie mnie za zrzędę, ale zapamiętajcie sobie słowa moje: wszak jeśli przynajmniej dziesiąta, no bodaj dwudziesta część prawdy jest w moich słowach — to i to straszne! Popatrzcie, panowie, popatrzcie, jak u nas młodzież popełnia samobójstwa: o, bez najmniejszych hamletycznych pytań o tem: „co będzie *tam*?“ — bez śladu tych pytań, jakgdyby wiara w ducha naszego i we wszystko, co czeka nas w życiu zagrobowem, już dawno przegniła w ich sercu, już dawno pogrzebana została i piaskiem zasypana. Popatrzcie nakoniec na naszą rozpustę, na naszych lubieżników. Fedor Pawłowicz, nieszczęsna ofiara bieżącej sprawy wydaje się w zestawieniu z niektórymi z nich niewinnem niemowlęciem, a przecież wszyscyśmy go znali, „on śród nas żył...“ Tak, psychologją rosyjskiej przestępczości zajmą się może kiedy najlepsze umysły nasze i europejskie, albowiem temat wart jest tego. Ale te studja odbędą się kiedyś, później, kiedy już cały tragiczny galimatjas chwili obecnej będzie tylko wspomnieniem, tak że można go będzie badać i mądrzej i sprawiedliwiej, niżbyśmy to my, ludzie jak ja, mogli to zrobić. Teraz zaś albo się przerażamy, albo udajemy, że się przerażamy, a właściwie wręcz przeciwnie smakujemy to widowisko, jako amatorzy mocnych, ekscentrycznych wrażeń, bełtających naszą cynicznie leniwą bezczynność; albo wreszcie jak małe dzieci odpędzamy od siebie rękoma straszne widma i chowamy głowę w poduszce, póki trwa straszna zjawa, aby po chwili znowu zapomnieć o niej śród zabaw i wesela. Ale kiedyś i my przecie będziemy musieli rozpocząć nowe życie trzeźwo i rozumnie, trzeba będzie kiedyś, abyśmy i my spojrzeli na siebie jako na społeczeństwo, trzeba przecie w końcu, abyśmy uświadomili sobie jakoś nasze życie gromadne.

Wielki pisarz poprzedniej epoki, w zakończeniu najwyższego swego dzieła, przedstawiając całą Rosję w postaci rozpędzonej ku niewiadomym celom rosyjskiej trójki, woła: „Ach, trójko, ptaku trójko, kto ciebie wymarzył!" — i w dumnym zachwycie dodaje, że przed pędzącą na łeb na szyję trójką usuwają się z szacunkiem wszystkie narody. Tak, panowie, być może, tak będzie, być może, że usuwają się z szacunkiem albo i nie, ale mojem skromnem zdaniem genjalny artysta zakończył tak właśnie swoją książkę, albo w przystępie dziecięco naiwnego, zacnego optymizmu, albo ponieważ poprostu bał się ówczesnej cenzury. Albowiem gdyby do trójki jego wprzęgnąć tylko jego własnych bohaterów Sobakiewiczów, Nozdrewów i Czyczykowów, to choćby miał najlepszego forysia, niedalekoby zajechał! A to dawne konie, cóż dopiero dzisiejsze, porównać nie można..."

Tu mowę Hipolita Kiryłowicza przerwano oklaskami. Liberalizm tych powiedzeń przypadł do gustu publiczności. Coprawda, oklasków tych było tak niewiele, że prezes nie uważał nawet za stosowne wtrącić się i zagrozić „opróżnieniem sali", zaledwie surowo zerknął w stronę klakierów. Ale Hipolit Kiryłowicz nabrał otuchy: nigdy dotąd nie zbierał oklasków! Tyle lat nie chciano człowieka słuchać, a tu nagle ma okazję wypowiedzieć się wobec całej Rosji!

„W rzeczy samej — kontynuował — czem jest rodzina Karamazowów, która zasłużyła sobie nagle na taki smutny rozgłos? Być może cokolwiek przesadzam, ale zdaje się, że w obrazie tej rodzinki jakby przewijają się wspólne zasadnicze pierwiastki współczesnego inteligentnego społeczeństwa — o, nie wszystkie pierwiastki, a i te, które są, znajdują się tu w mikroskopijnych rozmiarach „jak słońce w kropelce wód", ale bądź co bądź znajdują się, istnieją. Popatrzcie na tego nieszczęsnego, wyuzdanego i rozpustnego staruszka, tego „ojca rodziny", który tak okropnie zakończył swoją egzystencję. Biedny szlachetka, który rozpoczął karjerę jako biedny rezydent, nagle niespodziewanym ożenkiem dochrapał się małego kapi-

taliku. Zrazu — lichy matacz i błazeński lizus z zarodkami zdolności umysłowych. wcale zresztą niemałych, a przedewszystkiem lichwiarz. W miarę lat, właściwie mówiąc w miarę narastania kapitału, podnosi głowę. Dawna nieśmiałość i lizusostwo znika, zostaje kostyczny i zły cynik i lubieżnik. Duchowa strona zgniła, a żądza życia niezwykła. Wkońcu nie widzi nic w życiu poza rozkoszami lubieżności i w tym duchu poucza dzieci. Poczucia ojcowskich obowiązków — żadnego. Śmieje się z tego, wychowuje swoje potomstwo w czeladnej izbie, i rad jest, że się ich pozbywa. Nawet całkiem o nich zapomina. Moralna zasada tego starca — après moi le déluge. Wszystko co jest sprzeczne z pojęciem obywatela, najbardziej wrogie odosobnienie od społeczności. „Byleby tylko mnie było dobrze, reszta świata może się spalić". I dobrze mu, zadowolony jest, łaknie, pragnie jeszcze przeżyć tak dwadzieścia — trzydzieści lat. Wyzyskuje własnego syna i za jego własne pieniądze, za pieniądze jego matki, których nie chce mu zwrócić, odbija mu, synowi swemu, jego własną kochankę. Nie, nie chcę odstąpić obrony podsadnego wielce utalentowanemu obrońcy, który przybył z Petersburga. Ja sam powiem prawdę, ja sam pojmuję tę sumę obrzydzenia, którą ów ojciec zgromadził w sercu swego syna. Ale dosyć, dosyć o nieszczęsnym starcu, on już dostał swoją zapłatę. Zapamiętajmy sobie jednak, że to ojciec, że to jeden ze współczesnych ojców. Czy oczernię społeczeństwo, jeśli powiem, że to nawet jeden z wielu współczesnych ojców? Niestety, tak liczni współcześni ojcowie nie okazują tylko nazewnatrz takiego cynizmu jak tu, bo są i lepiej wychowani, i bardziej wykształceni, ale w istocie wyznają tę samą filozofję, co zabity. Może jestem pesymistą, może. Ale przecież umówiliśmy się, że darujecie mi. Umówimy się zgóry: nie wierzcie mi, nie wierzcie, ja będę mówił, a wy mi nie wierzcie. Ale pozwólcie mi się wypowiedzieć, zachowajcie w pamięci niektóre moje słowa. A oto i dzieci tego starca, tego ojca rodziny: jeden siedzi na ławie oskarżonych, o nim później pomówimy. O tamtych tylko wspomnę pobieżnie. Starszy to jeden z współczesnych młodzieńców z pierw-

szorzędnem wykształceniem, z dosyć tęgim umysłem, ale już nie wierzącym i wiele, zbyt wiele rzeczy odczuwającym i deprawującym na podobieństwo nieboszczyka ojca. Wszyscyśmy go słyszeli, nasze towarzyskie sfery przyjmowały go bardzo serdecznie. Nie taił swoich poglądów, owszem, nawet wręcz przeciwnie, co ośmiela mię zresztą do nieco zbyt szczerego wypowiedzenia się o nim, nie jako o prywatnej osobie, lecz jako o członku rodziny Karamazowów. Zakończył tu wczoraj życie samobójstwem na przedmieściu pewien idjota, wplątany w naszą sprawę, były sługa i może nawet naturalny syn Fedora Pawłowicza, Smerdjakow. Opowiadał mi on z histerycznemi łzami, jak ten młody Karamazow, Iwan Fedorowicz, przerażał go swojem duchowem rozkiełznaniem: „Wszystko niby jest dozwolone. wszystko na świecie i odtąd nic już nie może być zakazane — oto czego mnie uczył". Zdaje się, że idjota na tej tezie ostatecznie zbzikował, chociaż, oczywiście, na stan jego wpłynęła również padaczka i cała ta katastrofa. Ale ten idjota zrobił jedną bardzo a bardzo ciekawą uwagę, godną nawet mądrego obserwatora, oto czemu mówię o nim. „Który z synów, rzekł, z charakteru jest najbardziej podobny do Fedora Pawłowicza, to Iwan Fedorowicz!". Tą uwagą kończę charakterystykę, ponieważ względy delikatności nie pozwalają mi jej kontynuować. O, nie chcę wysnuwać z tego konkluzyj i jak wrona wykrakać jeszcze jednemu młodemu życiu jedynie zagładę. Widzieliśmy jeszcze dziś tu, w tej sali, że bezpośrednia moc prawdy żyje jeszcze w młodem jego sercu, że niewiara i moralny cynizm, raczej otrzymane w spadku niż nabyte w prawdziwej udręce myśli, nie zagłuszyły w nim jeszcze doszczętnie uczuć braterskich. A następnie drugi syn, o, to jeszcze młodzieniec pobożny i skromny, który w przeciwstawieniu do mrocznego, przegniłego światopoglądu brata, chce się uczepić, przylepić, że tak rzeknę, do „narodowych pierwiastków", do tego, co w teoretycznych zakątkach naszej myślącej inteligencji nazywają tem mądrem słówkiem. Widzicie panowie, „przylepił" się do monasteru: omal nie stał się mnichem. Zdaje się, że w nim jednak nieświa-

domie i tak wcześnie znalazła wyraz ta nieśmiała desperacja, z jaką wielu członków naszego biednego społeczeństwa, zląkłszy się cynizmu i jego wyuzdania, a mylnie kładąc je na karb europejskiej cywilizacji, dopadają, jak sami mówią, „ziemi ojczystej", rzucają się, że jak powiem, w macierzyńskie objęcia ziemi rodzimej, jak dzieci przerażone przywidzeniem, i u wyschniętej piersi znużonej macierzy pragną bodaj tylko zasnąć spokojnie i nawet całe życie przespać, byleby nie widzieć przerażających potworności. Ze swej strony życzę zacnemu i zdolnemu młodzieńcowi wszystkiego najlepszego, życzę mu, aby jego młoda i piękna dusza, aby jego dążenie do narodowych pierwiastków nie zmieniło się w przyszłości, jak to się często zdarza, pod względem moralnym w mroczny mistycyzm, a pod względem społecznym w tępy szowinizm — dwie właściwości, które grożą nacji jeszcze większem niebezpieczeństwem niż wczesny uwiąd wskutek fałszywego rozumienia za darmo zdobytej europejskiej kultury, które stało się smutnym udziałem jego starszego brata".

Za szowinizm i mistycyzm rozległy się znowu oklaski. Hipolit Kiryłowicz oczywiście uniósł się i wypowiedział mnóstwo rzeczy, które nie miały nic wspólnego z właściwą sprawą, nie mówiąc już o tem, że wywód jego był dosyć niejasny. Ale zgorzkniały suchotnik chciał się za wszelką cenę bodaj raz w życiu wypowiedzieć. Mówiono później u nas, że charakteryzując Iwana Fedorowicza powodował się uczuciem niedelikatnem, ponieważ ów raz czy dwa razy publicznie ośmieszył go w dysputach; Hipolit Kiryłowicz korzystał teraz z okazji, aby się zemścić. Ale nie wiem, ile jest słuszności w tem twierdzeniu. W każdym razie wszystko to było tylko wstępem, poczem mowa nawiązała bezpośrednio do procesu.

„Ale oto trzeci syn ojca współczesnej rodziny — kontynuował Hipolit Kiryłowicz — siedzi na ławie oskarżonych, siedzi tu przed nami. Przed nami są czyny jego, życie i sprawy: nastąpił czas, i wszystko wyszło na jaw. W przeciwstawieniu do „europejskich" i „narodowych pierwiastków" braci jego, on jakgdyby uosabia Rosję bezpośrednią —o, nie całą, nie całą, i Boże broń, aby ca-

łą! A jednak mamy ją tu, naszą Rasejuszkę, pachnie tu, czuje się ją, macierz naszą. O, my jesteśmy miłośnikami cywilizacji i Szyllera. ale jednocześnie bumblujemy po restauracjach i wyrywamy bródki pijanym naszym koleżkom. O, i my bywamy dobrzy i piękni, ale tylko wtedy kiedy nam jest dobrze i pięknie. Co więcej, jesteśmy opanowani — właśnie opanowani — najszlachetniejszemi ideałami, ale pod warunkiem, że można je zdobyć bez wysiłku, że same spadną z nieba na stół i, przedeszystkiem, za darmo, za darmo, żeby nie płacić za nie. Płacić strasznie nie lubimy, zato otrzymywać to bardzo lubimy i to pod wszelkim względem... O, dajcie, dajcie nam wszelkie możliwe dary życia (właśnie że wszelkie możliwe, taniej się nie zgodzimy) i zwłaszcza nie sprzeciwiajcie się naszemu charakterowi, a wówczas i my będziemy mogli dowieść, że potrafimy być dobrzy i piękni. Nie jesteśmy chciwi, nie, ale jednakże dajcie nam pieniędzy, wiele, wiele, jak najwięcej pieniędzy i zobaczycie, jak wielkodusznie, z jaką pogardą dla wstrętnej mamony potrafimy przetrwonić je w ciągu jednej nocy hulaszczej. A jak nie dacie nam pieniędzy, to przekonacie się, że potrafimy je zdobyć, jeśli się nam bardzo zechce. Ale o tem później, we właściwym czasie. Przedewszystkiem przed nami biedny poniewierany chłopczyk „w czeladnej izbie, z bosemi nóżkami" jak się wyraził nasz czcigodny doktór, niestety, obcego pochodzenia! Jeszcze raz powtórzę — nikomu nie odstąpię obrony podsądnego! Jestem oskarżycielem, ale jestem też i obrońcą. Tak i my jesteśmy ludźmi i myśmy „człowieki" i potrafimy zważyć to, jak mogły wpłynąć na charakter pierwsze wrażenia dzieciństwa i domowego gniazdka. Ale oto chłopak jest już młodzieńcem, jest już młodym człowiekiem, oficerem: za awantury i wyzwanie na pojedynek wysyłają go do dalekiego pogranicznego miasteczka. Tam służy i tam hula. Ale trzeba nam środków, środków przedewszystkiem, i oto po długich sporach ubił z ojcem targ, zgodził się zrzec się wszelkich praw za sześć tysięcy, które wnet otrzymał. Proszę pamiętać, że wydał dokument, — i list ów zachował się, — że zrzeka się prawie wszelkich praw do spadku po matce. I oto spotyka się

z młodą, szlachetną i inteligentną dziewuszką. O, nie śmiem powtórzyć szczegółów, słyszeliście panowie sami: tu honor, tu poświęcenie, milczę. Obraz młodego człowieka, lekkomyślnego i rozpustnego, który jednak uczcił prawdziwą szlachetność i wyższą ideę, mignął przed nami niezwykle sympatycznie. Ale naraz, wkrótce potem odsłania się odwrotna strona medalu. Znowu nie śmiem wdawać się w przypuszczenia i powstrzymam się od analizy — dlaczego tak wypadło. To ta sama osoba, ale we łzach ob...zenia, długo tajonego, oświadcza nam, że on, on sam, on pierwszy pogardzał nią za jej nieostrożny może, ale wzniosły i szlachetny postępek. To on, narzeczony tej dziewuszki, miał dla niej ów uśmiech szyderczy, który zniosłaby od wszystkich tylko nie od niego. Wiedząc już, że zdradził ją (zdradził ją w przekonaniu, że ona musi już wszystko znosić, nawet zdradę), wiedząc to, specjalnie proponuje mu trzy tysiące rubli, i wyraźnie, aż zbyt wyraźnie daje mu do zrozumienia, że proponuje te pieniądze na zdradę: „Cóż, pojmujesz czy nie, czy będziesz aż tak cyniczny" — mówi mu swojem osądzającem i badawczem spojrzeniem. On patrzy na nią, rozumie dokładnie jej myśli (przecież sam się tu przyznał, że wszystko zrozumiał) i mimo to przywłaszcza sobie te trzy tysiące i przepuszcza je w dwa dni ze swoją nową ukochaną! W co wierzyć? W pierwszą legendę — w uniesienia wyższej szlachetności, oddającej ostatnie pieniądze i korzącej się w czci przed cnotą, czy w odwrotną stronę medalu, tak szkaradną? Zazwyczaj w życiu bywa tak, że mając dwie przeciwne rzeczy szuka się prawdy pośrodku; w obecnym wypadku reguła ta nie znajduje zastosowania. Prawdopodobnie w pierwszym wypadku był szczerze szlachetny, a w drugim równie szczerze podły. A to dlaczego? A dlatego, że jesteśmy szeroką naturą, karamazowską — wszak do tego zmierzam — naturą, która mieści w sobie wszelkie krańcowości i jednocześnie zdolna jest kontemplować obie otchłanie: otchłań wyższych ideałów, otchłań nad nami, i otchłań pod nami, otchłań najniższego i cuchnącego upadku. Przypomnijcie sobie błyskotliwą myśl, którą wypowiedział młody obserwator, głęboko i blisko znający rodzi-

nę Karamazowów, pan Rakitin: „Odczuwanie głębin upadku jest równie niezbędne tym rozkiełznanym, niepowściągliwym naturom jak i odczuwanie wyższej szlachetności" — i to prawda: właśnie, że potrzebna im jest ta nienaturalna mieszanina stale i bez przerwy. Dwie otchłanie, dwie otchłanie, panowie, jednocześnie — bez tego jesteśmy nieszczęśliwi i niezadowoleni, życie nasze jest niepełne. Jesteśmy szerocy, szerocy jak cała nasza „matuszka Raseja", wszystko zmieścimy w sobie i ze wszystkiem się zżyjemy! A propos, panowie przysięgli, mówiliśmy o tych trzech tysiącach, wiec pozwolę sobie na małą dygresję. Wyobraźcie sobie tylko, że podsądny, taki charakter, otrzymawszy wówczas te trzy tysiące i za cenę jakiego wstydu, jakiej hańby, jakich ostatniego stopnia poniżeń — wyobraźcie sobie tylko, że on tego samego dnia był zdolny wrzekomo odłożyć połowę, zaszyć w szmatkę i cały miesiąc wytrwale nosić na szyi, mimo wszystkich pokus i straszliwych potrzeb! Ani podczas pijatyk w knajpach, ani wówczas, gdy wypadło mu pędzić za miasto, aby starać się o pieniądze u Bóg wie kogo, — pieniądze, które musiał mieć, aby uciec ze swoją ukochaną od pokus rywalizacji ojca swego — nie śmie tknąć tej torebki. Choćby poto, żeby nie zostawiać swojej ukochanej w obliczu pokus starca, o którego był tak zazdrosny, właśnie poto powinien był rozpruć torebkę i wytrwać w domu przy ukochanej, oczekując tej chwili, kiedy mu powie wreszcie: „Twoją jestem", i wówczas uciec z nią jak najdalej od obecnego fatalnego środowiska. Ale nie, nie tknął swego talizmanu, i to z jakiego powodu? Pierwotny powód był właśnie ten, że gdy powiedzą mu: „twoją jestem, wywieź mnie dokąd chcesz" — to żeby miał za co ją wywieźć. Ale ten pierwszy powód, jak sam mówił, zbladł wobec drugiego. Póki niby mam na sobie te pieniądze „jestem łajdakiem, lecz nie złodziejem", albowiem zawsze mogę iść do skrzywdzonej narzeczonej, zwrócić jej połowę oszukańczo przywłaszczonych pieniędzy i powiedzieć jej: „Widzisz, przehulałem połowę twoich pieniędzy i dowiodłem, że jestem słabym i niemoralnym człowiekiem, a jeżeli chcesz to i łajdakiem (używam słów podsądnego) ale, chociaż jestem

łajdakiem, nie jestem złodziejem, bo gdybym był złodziejem, to nie zwróciłbym ci połowy tych pieniędzy, gdzie tam, przywłaszczyłbym ją sobie, jak i pierwszą połowę". Zdumiewające wyjaśnienie faktu! Ten sam wściekły ale słaby człowiek, który nie mógł się przeciwstawić pokusie przyjęcia trzech tysięcy rubli — ten sam człowiek odczuwa w sobie naraz taką stoicką stanowczość i nosi na szyi tysiące rubli, nie śmiejąc się ich dotknąć! Czy wiąże się to w jaki bądź sposób z analizowanym przez nas charakterem? Bynajmniej. I pozwolę sobie opowiedzieć wam, jakby postąpił w takim wypadku prawdziwy Dymitr Karamazow, gdyby nawet zdecydował się istotnie zaszyć pieniądze w szmatkę. Przy pierwszej pokusie — no, choćby poto, aby jakoś ubawić swoją nową ukochaną, z którą już przehulał połowę tych pieniędzy, — zerwałby torebkę i wyjął — no, powiedzmy, za pierwszym razem bodaj sto rubli — albowiem czy trzeba koniecznie odnieść połowę, to znaczy tysiąc pięćset wszak wystarczy zwrócić tysiąc czterysta rubli; — wszak to na jedno wyjdzie: „łajdak, ale nie złodziej, bo bądź co bądź tysiąc czterysta zwrócił, złodziej zaś wszystkoby zabrał i nic nie zwrócił". Potem, po jakimś czasie znowuby rozpruł torebkę i znowu wyjął już drugą setkę, potem trzecią, czwartą i najpóźniej pad koniec miesiąca wyjąłby przedostatnią setkę: bo jak jedną setkę zwrócę, to przecie zawsze będzie to: „łajdak, lecz nie złodziej. Dwadzieścia dziewięć setek przehulał, a jednak ostatnią zwrócił, złodziejby i tego nie zwrócił". I nakoniec, przehulawszy tę przedostatnią, spojrzałby na ostatnią setkę: „Przecież to istotnie nie warto odnosić setki — przehulam i tę!" Oto jakby postąpił prawdziwy Dymitr Karamazow, o ile go znam! Legenda zaś o torebce tak przeczy rzeczywistości, że bardziej nie można. Wszystko można przypuścić, tylko nie to. Ale do tego jeszcze wrócimy.

Następnie Hipolit Kiryłowicz po kolei wyłożył wszystko, co wiadomo było, o majątkowych kłótniach i rodzinnych stosunkach ojca ze synem, i doszedł raz jeszcze do wniosku, że absolutnie nie da się ustalić, kto kogo oszukał. Zaczem wracając do owych trzech tysięcy, które stały się idée fixe Miti, potrącił o wyniki ekspertyzy lekarskiej.

VII.

Przegląd historyczny.

Ekspertyza lekarska starała się dowieść nam, że podsądny jest niepoczytalny, że jest chorobliwym manjakiem. Twierdzę stanowczo, że tak nie jest, i że to gorzej dla niego: bo gdyby był pomieszany, to może działałby o wiele rozsądniej. Co do tego, że jest manjakiem, z tem byłbym się bodaj zgodził, ale tylko pod jednym względem, na który zresztą ekspertyza wskazywała, mianowicie, gdy chodzi o te trzy tysiące, na które jakoby oszukał go ojciec. Niemniej być może łatwo byłoby znaleźć o wiele bliższy punkt widzenia w celu wyjaśnienia nienormalnego stosunku jego do tych pieniędzy, nie uciekając się do tworzenia hipotez o jego skłonności do obłędu. Z drugiej strony, godzę się całkowicie z opinją młodego lekarza, który uznał, że podsądny był i jest zupełnie normalny pod względem umysłowym, że tylko był wówczas szczególnie rozdrażniony i zgorzkniały. Oto właśnie chodzi: nie owe trzy tysiące, nie pieniądze były właściwą przyczyną nieustannej i wściekłej irytacji, bo przyczyna była inna. Przyczyna ta — to zazdrość!

Tu Hipolit Kiryłowicz nakreślił szeroko obraz fatalnej namiętności podsądnego ku Gruszeńce. Zaczął od momentu kiedy „podsądny" udał się do „młodej osoby", żeby „ją pobić", jak się on sam wyraził — wyjaśnił Hipolit Kiryłowicz — ale zamiast pobić, został u nóg jej — oto początek owej miłości. Jednocześnie zauważa tę osobę stary ojciec podsądnego—fatalny i dziwny zbieg okoliczności, albowiem dwa serca zapłonęły jednocześnie, chociaż poprzednio jeden i drugi znał i widywał tę osobę — a zapłonęły z całem rozkielznaniem karamazowskiej namiętności. Tu mamy jej własne wyznanie: „Ja, mówiła, drwiłam z jednego i drugiego". Tak, zachciało się jej nagle zadrwić z jednego i drugiego: dawniej nie chciało się, a tu naraz wpadło jej to na myśl, i skończyło się na tem, że obaj padli przed nią zwyciężeni. Starzec, który ubóstwiał pieniądze, przygotował trzy tysiące na to, żeby tylko odwiedziła go, a i wkrótce był do-

prowadzony do takiego stanu, że uważałby za szczęście, gdyby mógł złożyć u jej nóg swoje nazwisko i majątek, byleby tylko zechciała zostać jego prawną żoną. Na to mamy pewne dowody. Co się tyczy podsądnego, to jego tragedja jest jasna, zarysowuje się wyraźnie przed nami. Taka to była „zabawa" tej młodej osoby. Nieszczęsnemu młodemu człowiekowi mścicielka owa nie dawała nawet nadziei, bo nadzieję, prawdziwą nadzieję darowano mu dopiero w ostatniej chwili, gdy, stojąc przed dręczycielką na klęczkach, wyciągał ku niej ręce zbroczone krwią ojca i rywala: w tej pozycji właśnie aresztowano go. „Mnie, mnie razem z nim wyślijcie na katorgę, ja go do tego doprowadziłam, ja najbardziej zawiniłam"! — wołała ta kobieta w szczerej skrusze, wówczas właśnie, gdy go aresztowano. Utalentowany młodzieniec, który zamierza opisać tę sprawę — pan Rakitin, o którym już wspomniałem — w paru zwięzłych i charakterystycznych zdaniach określa charakter bohaterów: „Wczesny zawód, wczesny upadek, zdrada narzeczonego, który ją uwiódł i rzucił, potem ubóstwo, przekleństwo uczciwej rodziny, i nakoniec opieka bogatego starca, którego zresztą i dotąd nazywa swoim dobroczyńcą. Młode serce, zawierające może nawet wiele dobrych pierwiastków, zacięło się w gniewie zbyt wcześnie. Sformował się wyrachowany charakter, ciułający kapitał. Sformowała się szyderczość i mściwość w stosunku do społeczeństwa". Po tej charakterystyce nietrudno zrozumieć, jak mogła drwić z jednego i drugiego, jedynie dla zabawy, dla złośliwej zabawy. I oto w tym miesiącu — w miesiącu beznadziejnej miłości, upadków moralnych, zdrady narzeczonej, przywłaszczenia nieswoich , zaufanych mu pieniędzy — podsądny oprócz tego wszystkiego dochodzi do nieprzytomnego rozwścieczenia pod wpływem nieustannej zazdrości, i to o kogo? O ojca własnego! I co więcej, szalony starzec wzywa do siebie i stara się przynęcić objekt jego namiętności — temi właśnie trzema tysiącami, które syn jego uważa za swoje własne, odziedziczone po matce. Tak, rozumiem, godzę się z tem, że ciężko mu było znieść to wszystko! Tu nietrudno było nawet o manję. Nie o pieniądze chodziło, ale o to, że temi

samemi pieniędzmi z takim wstrętnym cynizmem rozbijano mu jego szczęście!".

Następnie Hipolit Kiryłowicz zaczął opisywać, jak stopniowo w podsądnym rodził się zamysł ojcobójczy, przyczem popierał swoje domysły faktami.

„Zrazu krzyczymy tylko po knajpach — i to przez cały miesiąc. O, lubimy obcować z ludźmi i odrazu wykładać ludziom wszystkie, nawet najniebezpieczniejsze i najbardziej piekielne pomysły, lubimy dzielić się z ludźmi i, niewiadomo czemu, wymagamy, aby ci ludzie odpowiadali nam sympatją, wmyślali się w nasze troski i obawy, potakiwali nam i nie przeciwstawiali się naszym popędom. (Tu nastąpiła anegdota o sztabs-kapitanie Sniegirowie).

Ci, którzy widzieli i słyszeli podsądnego w ostatnim miesiącu, poczuli wreszcie, że taka pasja nie poprzestanie może na pogróżkach i krzykach, że w końcu może wyładuje się naprawdę w czynie. (W tem miejscu prokurator opisał spotkanie rodzinne w monasterze, rozmowy z Aljoszą i szkaradną scenę w domu Fedora Pawłowicza, kiedy podsądny wtargnął do ojca podczas obiadu). Ani myślę upierać się przy twierdzeniu —mówił Hipolit Kiryłowicz — jakoby jeszcze przed tą sceną podsądny miał świadomy zamiar rozstrzygnąć spór z ojcem zabójstwem. Ale nie ulega wątpliwości, że myśl ta nieraz go już kusiła, że zastanawiał się nad nią, że oglądał ją — na to mamy fakty, świadków i własne jego zeznanie. Przyznam się, panowie przysięgli — dodał Hipolit Kiryłowicz — nawet do dnia dzisiejszego wahałem się, czy oskarżać podsądnego o premedytację. Byłem absolutnie przekonany, że świadomość jego wiele razy z góry już kontemplowała fatalny moment, ale tylko kontemplowała, ale wyobrażała sobie tylko możliwość, ale nie określała jeszcze terminu wykonania, nie kartowała sobie okoliczności. Wahałem się do dnia dzisiejszego, aż do owego fatalnego dokumentu, który nam przedłożyła panna Wiechowcew. Samiście panowie słyszeli jej okrzyk: „To plan, to program morderstwa!" — oto jak ona określiła nieszczęsny „pijany" list nieszczęsnego podsądnego. I zaiste list ten ma znaczenie programu i premedytacji. Napisano

go dwa dni przed dokonaniem zbrodni — więc wiemy teraz z całą pewnością: dwa dni przed wykonaniem swego straszliwego zamysłu podsądny przysięgą swą zaręczył, że jeżeli do jutra nie wydobędzie pieniędzy, to zabije ojca, aby zrabować pieniądze z pod poduszki, pieniądze „w kopercie z czerwną wstążeczką, byleby tylko Iwan wyjechał". Słyszycie panowie: byleby Iwan wyjechał—zatem wszystko już obmyślone, okoliczności zważone — i cóż: wszystko potem stało się joto w jotę według listu! Premedytacja zatem jest bezwzględnie stwierdzona, zbrodnia dokonana w celach grabieży, i to jest napisane, stwierdzone i podpisane. Podsądny nie wypiera się podpisu. Powie kto: napisał bo był pijany. Ale owszem, tem lepiej: będąc pijanym, napisał to, co obmyślił na trzeźwo. Gdyby nie obmyślał na trzeźwo, nie napisałby po pijanemu. Może też powie kto: pocóżby więc krzyczał o swoich zamiarach w restauracji? Kto zamierza popełnić zbrodnię, ten milczy i nic nikomu nie zdradza. To prawda, ale krzyczał i rozgłaszał wtedy, kiedy nie było jeszcze planu i premedytacji, kiedy zaledwie kiełkowało pragnienie, kiedy dojrzewał zamysł. A potem — to i krzyczał mniej. Tego wieczoru, kiedy napisał ten list w „Stołecznym Grodzie", był nawet wyjątkowo mrukliwy, grał w bilard, stronił od kompanji, z nikim nie rozmawiał, tylko z jakimś subjektem wszczął awanturę, ale i to raczej mimowoli, z przyzwyczajenia, bo jakże w knajpie być i nie wszcząć skandalu! Oczywiście, gdy sobie uplanował zbrodnię, zdał sobie i z tego sprawę, że nie trzeba było tyle mówić i tyle zapowiadać zamyślonego przestępstwa, i że, krzycząc o tem tyle, sam siebie poniekąd wydał. Ale cóż, stało się, nie cofnie przecież pogróżek, a przedewszystkiem zawsze go jakoś los wykręcał, to i teraz nie zawiedzie. A jakże, na gwiazdę swą liczyliśmy, panowie! Muszę jednak zaznaczyć, że zadawał sobie wiele trudu, aby uniknąć fatalnego czynu, że zabiegał jak mógł, aby nie dopuścić się zbrodni. „Jutro będę się starał wydostać od ludzi — pisze swoim osobliwym stylem, — a jak ludzie nie dadzą, to będę we krwi". Tak, pisał to po pijanemu, aliści na trzeźwo urzeczywistnił zapowiedź!"

W tem miejscu Hipolit Kiryłowicz opisał zabiegi Miti w celu wydobycia fatalnych trzech tysięcy. Opowiedział więc jego przejścia u Samsonowa, podróż do Legawego — popierając swe słowa dokumentami. „Zmęczony, wyśmiany, głodny, sprzedawszy zegarek, aby mieć na podróż (a przecież miał jakoby przy sobie półtora tysiąca rubli — jakoby o, jakoby!), zadręczony zazdrością o zostawiony w mieście objekt swej miłości, podejrzewając, że podczas jego nieobecności ukochana kobieta poszła do Fedora Pawłowicza, — wraca wreszcie do miasta. Dzięki Bogu! nie była u Fedora Pawłowicza. Sam ją następnie odprowadza do protektora Samsonowa. (Rzecz dziwna, o Samsonowa nie jesteśmy zazdrosni, — nader charakterystyczny rys psychologiczny!). Następnie pędzi na swój posterunek obserwacyjny i tam — tam dowiaduje się, że Smerdjakow leży chory, że drugi służący chory — teren pusty, a „znaki" są wiadome— jaka pokusa! A jednak wzdraga się; idzie najpierw do wielce szanownej obywatelki naszego miasta, pani Chochłakow. Dawno już śledząc z współczuciem jego los, dama ta daje mu arcyrozsądną radę: rzucić to całe hultajstwo, tę szkaradną miłość, to włóczenie się po knajpach, bezpłodne marnotrawienie młodych sił, i jechać na Sybir do kopalni złota: „tam znajdzie upust dla swych fermentujących sił, dla romantycznego charakteru, żądnego przygód".

Opisawszy losy tej rozmowy i dalsze fakty, opisawszy jak podsądny dowiedział się, że Gruszeńki niema u Samsonowa, opisawszy bezprzytomną wściekłość nieszczęsnego, zadręczonego nerwami zazdrośnika na myśl o tem, że ukochana oszukała go i może jest teraz u Fedora Pawłowicza, —opowiedziawszy wszystko, Hipolit Kiryłowicz zakończył, zwracając uwagę na fatalne znaczenie tego wypadku: „gdyby mu służąca zdążyła opowiedzieć, że ukochana jego jest w Mokrej, ze swoim „dawnym" — nie byłoby doszło do tego wszystkiego. Wszakże służąca struchlała, przysięgła, że o niczem nie wie, i jeżeli podsądny nie zabił jej na miejscu, to dlatego tylko, że pilno mu było odszukać zdradliwą kochankę. Ale zwróćcie panowie uwagę na jedno: jakkolwiek nie wiedział, co się z nim dzieje, wyrwał jednak miedziany

tłuczek z moździerza. Poco właśnie tłuczek, dlaczego nie co innego? Dlatego że jeżeli przez cały miesiąc oswajaliśmy się z myślą o zbrodni, to, rozumie się, na widok pierwszej lepszej stosownej rzeczy, chwytamy ją jako narzędzie zbrodni. Że tego rodzaju rzeczą można się posługiwać jako narzędziem zbrodni — o tem myśleliśmy już od miesiąca. I dlatego tak raptownie i prędko uznał ten tłuczek na odpowiednie narzędzie zbrodni! I dlatego nie bardzo znów bezwiednie, nie bardzo mimowoli chwycił ów fatalny tłuczek. I oto jest w ogrodzie ojcowskim — teren pusty, świadków niema, głęboka noc, ćma i zazdrość. Myśl o tem, że ona tu z rywalem, w objęciach rywala, że może kpi sobie w tej chwili z niego, Dymitra, doprowadza go do szaleństwa. I nietylko myśl — posądzenie: oszukaństwo jest oczywiste, jawne: ona jest tu, w tym pokoju oświetlonym, za tą zasłoną — i oto nieszczęsny człowiek podkrada się do okna, zagląda i — pokornie, potulnie, zrezygnowany odchodzi — roztropnie, rozważnie, byle dalej od pokusy, aby się co złego nie wydarzyło — i w nas chcą to wmówić, w nas, znających charakter podsądnego, wiedzących, w jakim stanie był ducha, w stanie znanym nam z faktów, i jak był świadom znaków, które mu dawały dostęp do domu!" Tu, wspomniawszy o znakach, Hipolit Kiryłowicz uważał za stosowne obszerniej pomówić o Smerdjakowie, aby już ostatecznie wyczerpać cały ów epizod z posądzeniem Smerdjakowa i raz go na zawsze przekreślić. Mówił zaś o tem bardzo obszernie, i wszyscy zrozumieli, że mimo swej całej pogardy dla takiego posądzenia, nie lekceważy sobie bynajmniej tego epizodu.

VIII.

Traktat o Smerdjakowie.

„Po pierwsze: skąd powstała możliwość takiego podejrzenia?" — zaczął Hipolit Kiryłowicz. — „To podsądny krzyknął pierwszy, że zabił Smerdjakow, było to wtedy, kiedy go aresztowano, ale do tej chwili nie poparł ani

jednym faktem swego oskarżenia. Nietylko faktu nie podał, nawet żadnego możliwego, rozumnego cienia faktu. Następnie potwierdzają to posądzenie tylko trzy osoby: obaj bracia oskarżonego i panna Swietłow. Ale starszy brat podsądnego rzucił to podejrzenie dopiero dziś w stanie gorączkowym, w stanie niewątpliwej maligny, przedtem zaś, jak nam stanowczo wiadomo, całkowicie podzielał powszechną opinję o winie swego brata, i ani myślał szukać innych sprawców. Ale do tego jeszcze raz wrócimy. Młodszy brat podsądnego oświadczył nam, że nie ma żadnych faktów na potwierdzenie swej hipotezy, żadnych, bodaj najmniejszych, że opiera się jedynie na domysłach brata i na „wyrazie jego twarzy" — tak, ten kolosalny dowód był dwukrotnie podany przez brata podsądnego. Panna Swietłow wyraziła się nawet kolosalniej: „Wierzcie w to, co wam podsądny mówi, nie taki to człowiek, aby kłamał". Oto i wszystkie faktyczne dowody winy Smerdjakowa, dowody, podane przez trzy osoby, skądinąd bardzo zainteresowane w losie podsądnego. A jednak posądzenie Smerdjakowa utrzymało się jakoś dotychczas — czy można to zrozumieć?".

Tu Hipolit Kiryłowicz uznał za stosowne określić zlekka charakter nieboszczyka Smerdjakowa, który „zakończył życie w przystępie obłędu i furji". Scharakteryzował go więc jako człowieka upośledzonego pod względem umysłowym, głuptasa, który gdzieś coś zachwycił jakichś metnych okruchów wykształcenia. W końcu nawet zbzikował pod wpływem przerastających jego siły umysłowe idej filozoficznych, unaocznionych mu—praktycznie—w rozwiązłem życiu nieboszczyka pana, a może i ojca jego, Fedora Pawłowicza,—a teoretycznie—w dziwnych filozoficznych gawędach ze starszym synem swego pana, Iwanem Fedorowiczem, który chętnie pozwalał sobie na te dystrakcje — zapewne z nudów a może z inklinacji do szyderstwa, dla której to inklinacji nie znajdował w tym czasie innego zastosowania. Smerdjakow sam mi opowiadał o swoim stanie w ostatnich dniach pobytu w domu swego pana—wyjaśnił Hipolit Kiryłowicz — ale i inni o tem świadczą: podsądny, brat jego i nawet służący Grzegorz, t. zn. wszyscy, ci którzy powinni

byli znać Smerdjakowa bardzo blisko. Przygnębiony swą chorobą, Smerdjakow był „tchórzliwy jak kura". „Padał mi do nóg i całował po nogach" — powiedział nam podsądny w chwili, gdy jeszcze nie zdawał sobie sprawy ze szkodliwości takiego zeznania — „to epileptyczna kura" — wyrażał się o Smerdjakowie swoim osobliwym stylem. I oto podsądny obiera go sobie na powiernika i tak go straszy, że biedny lokaj godzi się wreszcie zostać donosicielem i zawiadamiać go o wszystkiem, co się dzieje w domu ojcowskim. W tym charakterze szpiega domowego zdradza swego pana, powiadamia podsądnego o kopercie z pieniędzmi i o znakach, które dają dostęp do domu — i zresztą czyż mógł go nie powiadomić! „Zakatrupiłby mnie, widziałem, żeby mnie zakatrupiłby — powiada na śledztwie, trzęsąc się jeszcze i drżąc, mimo że dręczyciel jego był sam w kajdankach i nie mógł się już zemścić. „Podejrzewał mnie w każdej chwilce, więc w strachu będąc wielkim, żeby ino gniew jego przebłagać, opowiadałem mu wszelką faktycznie tajemnicę, żeby wiedział jak jestem mu wierny, i żeby mnie nie zabił". Oto jego własne słowa, jak je sobie zapisałem i zapamiętałem: „Jak krzyknie na mnie, to mi się kolana same uginają". Będąc jednak wysoce uczciwym z natury człowiekiem, — nawiasem mówiąc, pozyskał sobie tą swoją uczciwością zaufanie swego pana — nieszczęsny Smerdjakow, trzeba sądzić, odczuwał straszne wyrzuty sumienia, często nawet bez żadnej podstawy, przesadzając i nawet rojąc sobie imaginowane winy i zbrodnie. I oto taki osobnik staje się istotnie winnym przestępstwa wskutek słabości swej i teroru. Oprócz tego widział i przeczuwał, że sprawy biorą dlań zły obrót. Kiedy starszy syn Fedora Pawłowicza, Iwan Fedorowicz przed samą katastrofą wyjeżdżał do Moskwy, Smerdjakow błagał go, aby został, nie śmiejąc zresztą przez tchórzostwo wypowiedzieć swych obaw kategorycznie i bez obsłonek. Czynił tylko aluzje, nie dziw, że go nie zrozumiano. Trzeba wiedzieć, że Iwana Fedorowicza Smerdjakow uważał jakby za obrońcę swego, za gwarancję bezpieczeństwa. Przypomnijcie sobie zresztą panowie wyrażenie w „pijanym" liście Dymitra Fedorowicza: „zabiję starca, byleby tylko Iwan wyjechał" — a zatem obecność

Iwana Fedorowicza w domu była dla wszystkch niejako gwarancją spokoju i porządku. I oto Iwan Fedorowicz wyjeżdża, a Smerdjakow w godzinę po jego wyjeździe pada rażony udarem epilepsji. Nie dopatrujcie się w tem nic dziwnego. Muszę tu zauważyć, że Smerdjakow, nękany trwogą i swego rodzaju desperacją, ostatniemi dniami miewał jakieś niejasne przeczucia zbliżającego się ataku. Bo i zawsze w chwilach szczególnego moralnego naprężenia i wstrząsu nawiedzała go ta straszliwa choroba. Rzecz jasna, niepodobna zgóry przewidzieć dnia i godziny ataku, ale nie ulega wątpliwości, że każdy epileptyk może zawczasu odczuwać jakieś predyspozycje, jakieś antycypacje. Tyle mówi medycyna. I oto wyjeżdża Iwan Fedorowicz, i Smerdjakow, mocno odczuwając swoje, że tak powiem, osierocenie, swą bezbronność, schodzi do piwnicy, schodzi na dół po schodach i myśli: „dostanę czy nie dostanę ataku, a co jeżeli za chwilę dostanę?" — I właśnie z tych myśli, z tych wątpliwości, z tych pytań chwyta go za gardło spazm, zawsze poprzedzający padaczkę, i oto, tracąc przytomność, nieszczęsny spada na dno piwnicy. I oto w tej zupełnie naturalnej przypadkowości niektórzy chcą się dopatrzeć jakiejś wskazówki, jakiejś aluzji, dowodu tego, że Smerdjakow umyślnie symulował chorobę! Ale jeżeli umyślnie, to proszę mi powiedzieć poco? W jakim celu, z jakiego wyrachowania? Dajmy pokój medycynie: nauka nibyto zmyśla, nauka myli się, lekarze nie potrafili odróżnić prawdziwej choroby od symulacji — przypuśćmy, przypuśćmy, ale odpowiedzcie mi jednakże na pytanie: pocóż miał symulować? Czy poto, aby nosząc się z występnym zamiarem, zawczasu ściągnąć na siebie uwagę, bo troskliwość wszystkich domowników? Uważacie panowie, w domu Fedora Pawłowicza owej nocy zbrodni było pięć osób: po pierwsze sam Fedor Pawłowicz — ale ten się przecie sam nie zabił, to oczywiste; po drugie, służący jego Grzegorz, ale ten również omal nie postradał życia; — po trzecie, żona Grzegorza, Marta Ignatjewna, ale przykro nawet pomyśleć o niej jako o sprawczyni morderstwa. Zostają więc dwaj ludzie: podsądny i Smerdjakow. Ale ponieważ podsądny twierdzi, że to nie on, więc z tego wynika, że powinien był zabić Smerdjakow, innego

wyjścia niema, bo nikogo innego, nikogo szóstego się nie znajdzie. Oto jak powstało to „przemyślne" i kolosalne posądzenia nieszczęsnego, wczoraj zmarłego z własnej ręki idjoty! I tylko dlatego powstało, że przecie niepodobna wymyślić innego zabójcy! Gdyby istniał jakiś cień, jakaś najmniejsza możliwość oskarżenia jeszcze kogoś, kogoś szóstego, to jestem przekonany, że sam podsądny wstydziłby się oskarżyć Smerdjakowa i oskarżyłby tę szóstą osobę, albowiem posądzenie Smerdjakowa o tę zbrodnię jest nonsensem.

Panowie przysięgli, dajmy pokój psychologji, dajmy pokój medycynie, nie liczmy się również z logiką, liczmy się tylko z faktami i zobaczmy, co mówią fakty. Zabił Smerdjakow, ale jak? Sam czy w zmowie z podsądnym? Zastanówmy się nasamprzód nad pierwszą hipotezą, mianowicie, że Smerdjakow zabił z własnego popędu. Oczywiście, jeżeli zabił, to dla jakiegoś powodu, gwoli jakiejś korzyści. Wszakże nie mając żadnych pobudek do zbrodni w rodzaju tych, jakie miał podsadny, a więc nienawiści, zazdrości i t. d. Smerdjakow mógł się dopuścić tego morderstwa jedynie w celach grabieży, jedynie w celu przywłaszczenia sobie tych trzech tysięcy, które w jego obecności pan jego włożył do koperty. I oto, już nosząc się z tym zbrodniczym zamiarem, wtajemnicza drugą osobę — w dodatku w najwyższym stopniu zainteresowaną, mianowicie samego podsądnego — we wszystkie okoliczności, dotyczące tej koperty, i w system znaków: więc gdzie leży koperta, jaki na niej napis, jaką wstążeczką jest przewiązana, a najważniejsza, jakie są te „znaki", które umożliwiają dostęp do mieszkania. Cóż, poco to mówi, czy aby poto, żeby siebie zdradzić? A może żeby znaleźć rywala, który sam zechce włamać się i wejść w posiadanie tej koperty? Tak, odpowiedzą mi niektórzy, ale przecież uczynił to ze strachu. Lecz jakże to: człowiek, który snuje tak odważne i bestjalskie myśli i który je potem wykonywa, taki człowiek byłby wtajemniczał w takie sekrety, które on sam tylko zna w całym świecie, i których niktby się nigdy nie domyślił? O nie, jakkolwiek tchórzliwy byłby ów człowiek, gdyby powziął takie zamiary, nigdyby nikomu słówka nie pisnął o kopercie

i o znakach, bo przecież, mówiąc o tem, byłby się zdradził. Specjalnieby co innego wymyślił, na poczekaniu nakłamał, gdyby już go bardzo przycisneli, a o tem aniby pisnął! Wręcz przeciwnie, powtarzam znów: gdyby był nikomu nie mówił przynajmniej o pieniądzach, a potem zabił i przywłaszczył sobie te pieniądze, to niktby go w całym świecie nie mógł go posądzić o zabójstwo w celach grabieży, bo przecież nikt prócz niego nie widział tych trzech tysięcy i nikt o nich nie wiedział. Gdyby go oskarżono, to nie o grabież, lecz o inne motywy. Ale ponieważ motywów takich nikt nie mógłby podać, ponieważ wszyscy, wręcz przeciwnie, wiedzieli, że zamordowany bardzo Smerdjakowa lubił, że ufał mu, to, rzecz jasna, podejrzenie padłoby nie na niego, lecz na tego, który jakieś motywy miał, który sam rozgłaszał powszędy, że ma te motywy, który ich nie ukrywał pod korcem, wszystkim mówił, słowem podejrzenie padłoby i tak na syna zamordowanego, Dymitra Fedorowicza. Smerdjakow zabiłby i ograbił, lecz oskarżyliby syna — przecież Smerdjakowowi byłoby na rękę? No tak, i oto właśnie tego syna Dymitra Smerdjakow, zamyślając zabójstwo, wtajemnicza w sekret koperty, znaków — jakież to logiczne, jakież to jasne!!!

Nastaje dzień zamierzonego morderstwa, i oto Smerdjakow spada na dno piwnicy, symuluje atak padaczki, i poco, poco? Oczywiście poto, aby po pierwsze służący Grzegorz, który postanowił właśnie rozpocząć swoją kurację, odłożył ją do stosowniejszej chwili, bo przecież nie miał kto pilnować domu. Po drugie, aby sam dziedzic, widząc, że nikt go nie pilnuje i lękając się przyjścia syna, co wszystkim wiadomo, podwoił czujność i środki ostrożności. Nakoniec, co najważniejsza, aby jego samego, Smerdjakowa, złożonego rzekomą chorobą, przeniesiono z kuchni, gdzie sam sypiał, przez nikogo nie kontrolowany, gdzie mógł wejść i wyjść swobodnie, aby go przeniesiono z kuchni do izby Grzegorza za przepierzeniem, w trzech krokach od łóżka Grzegorza, bo tak się zawsze działo od niepamiętnych czasów, ilekroć zapadał na zdrowiu, a to z polecenia Fedora Pawłowicza i z dobrej woli litościwej Marty.

A tam już będąc za przepierzeniem, stęka chyba poto, aby lepiej symulować chorobę, stęka całą noc, to znaczy budzi ich przez całą noc — jak to zeznał Grzegorz i jego żona, Marta Ignatjewna — i wszystko poto, poto, aby wygodniej mu było nagle wstać, pójść i zabić swego pana!

Owszem, mogą mi niektórzy odpowiedzieć, symulował, aby odwrócić od siebie jakiekolwiek pomyślenie; pozatem wtajemniczył Dymitra w sekret owych pieniędzy i znaków poto, żeby ów się złakomił, sam poszedł i zabił. Żeby Dymitr zabił; a potem już kiedy odejdzie z pieniędzmi, ściągnąwszy sobie na kark świadków, narobiwszy wiele hałasu, wtedy dopiero wstanie Smerdjakow i pójdzie — i cóż pójdzie zrobić? Ano pójdzie drugi raz zabić i drugi raz zabrać pieniądze już zabrane. Panowie, śmiejecie się? Mnie samemu przykro snuć takie przypuszczenia, a przecież, wyobraźcie sobie, właśnie podsądny to samo twierdzi: skoro ja uciekłem z domu, powaliwszy Grzegorza, wstał Smerdjakow, poszedł, zabił i ograbił. Już nie mówię o tem, jakbyto mógł Smerdjakow zawczasu sobie ukartować: że rozwścieczony syn przydzie jedynie poto, aby skromnie zajrzeć do okienka i, lubo znał sygnały, wycofać się i zostawić Smerdjakowowi cały łup! Panowie, stawiam poważne zapytanie: gdzie jest ten moment, kiedy Smerdjakow popełnił zbrodnię? Wskażcie ten moment, albowiem, nie wskazując momentu, nie możecie go oskarżać.

A może padaczka nie była symulowana. Chory nagle się ocknął, usłyszał krzyk, wyszedł — i cóż? Popatrzał i powiedział: jest okazja, zabiję pana? A skądże mógł wiedzieć, co tu było, co się działo, skoro dotychczas był nieprzytomny? A zresztą, panowie przysięgli, trzeba zachować miarę nawet w fantazjowaniu.

Tak, powiedzą przebiegli ludzie, a co jeżeli obaj byli w zmowie, jeżeli razem zabili i łupem się podzielili?

Tak, w rzeczy samej, ważne podejrzenie, i po pierwsze — są poszlaki ogromne, które to właśnie posądzenie potwierdzają: jeden zabija i podejmuje się wszystko zrobić, a drugi wyleguje się, symuluje padaczkę chyba poto, aby zaniepokoić cały dom, zaniepokoić swego pana, Grzegorza.

Ciekawa rzecz, w jakim celu obaj wspólnicy wymyśliliby taki obłąkany plan? A może współpraca Smerdjakowa nie była aktywna, może tylko pasywna i cierpiętnicza: może steroryzowany Smerdjakow zgodził się nie sprzeciwiać zabójstwu i, chociaż przeczuwał, że na niego padnie podejrzenie, pozwolił zabić pana, nie krzyczał, nie sprzeciwiał się — zawczasu poprosił Dymitra Karamazowa, aby mu pozwolił symulować padaczkę „ja będę leżał, a ty sobie zabij jak chcesz, nie moja to sprawa". Ale jeżeli tak, to zważywszy, że padaczka Smerdjakowa powinna była przepłoszyć wszystkich domowników, Dymitr Karamazow nie mógł się chyba zgodzić na taką umowę. Ale ustępuje, przypuśćmy, że się zgodził: z tego wynikałoby, że Dymitr Karamazow jest mordercą, faktycznym mordercą i inicjatorem, Smerdjakow zaś tylko biernym wspólnikiem, i nawet wcale nie wspólnikiem, bo zaledwie tolerował morderstwo ze strachu i wbrew woli, i sądby się łatwo w tem zorjentował. I cóż widzimy? Ledwo tylko aresztowano podsądnego, ów zwala całą winę na Smerdjakowa i tylko jego oskarża. Nie o współudział oskarża, bynajmniej. Tylko on, Smerdjakow zabił i ograbił, to jego sprawka! Ano, cóżto za wspólnicy, którzy odrazu zaczynają wzajemnie się oskarżać — tak nigdy nie bywa . I proszę zwrócić uwagę, jakie to ryzyko dla Karamazowa: on jest głównym mordercą, a tamten to tylko drugorzędny świadek, tamten leżał za przepierzeniem i tylko tolerował zbrodnię — i oto główny zabójca zwala całą winę na tamtego, który leżał. Przecież tamten może się rozzłościć z instynktu samozachowawczego ujawnić całą prawdę: „obaj zmawialiśmy się, lecz ja nie zabiłem, jeno pozwoliłem i tolerowałem ze strachu". Przecież Smerdjakow zmiarkowałby, że sąd bez trudu określi stopień jego winy, że ukara go w mniejszym o wiele stopniu niż głównego zabójcę. A przeto mimowoli byłby się i przyznał. A przecież nic podobnego nie było. Smerdjakow nie wspominał o żadnej zmowie, jakkolwiek podsądny zwalił na niego całą winę i wciąż oskarżał go o to morderstwo. To jeszcze nic: Smerdjakow zeznał, że to on sam wtajemniczył podsądnego

w znaki i zawartość koperty. Gdyby brał udział w morderstwie, to czyż byłby się tak łatwo do tego przyznał? Wręcz przeciwnie, wypierałby się i w każdym razie wypaczał fakty. Ale przecież i tego nie robił. Tak jak on postępował, może postępować tylko człowiek niewinny, który nie boi się, że go oskarżą o współudział w morderstwie. I oto w przystępie melancholii, będącej następstwem padaczki i tej całej katastrofy, nieszczęsny wczoraj się powiesił. Przedtem zostawił karteczkę, pisaną swoistym stylem: „Zgładzam się ze świata z własnej woli i ochoty, i żeby nikogo nie winić". Ano cóżby mu szkodziło dodać: to ja zabiłem, a nie Karamazow. Ale tego nie dodał: na tamto starczyło mu sumienia, a na to nie?

I cóż: przynoszą tu do sądu trzy tysiące, „te same wrzekomo, które były w kopercie, co leży na stole z dowodami rzeczowemi, wczoraj wrzekomo dostałem od Smerdjakowa". Ale wy, panowie przysięgli, sami pamiętacie ową smutną scenę. Nie powtórzę tu szczegółów, lecz pozwolę sobie uczynić dwie trzy uwagi, dotyczące rzeczy najbłahszych — właśnie dlatego, że są najbliższe i jako takie nie każdemu wpadają w oko i zostają w pamięci. Po pierwsze, znowu to samo: czując wyrzuty sumienia, Smerdjakow wczoraj zwrócił pieniądze i się obwiesił (bo, gdyby nie wyrzuty sumienia, nie zwróciłby pieniędzy). I rzeczywiście, dopiero wczoraj wieczorem po raz pierwszy przyznał się Iwanowi Fedorowiczowi do zbrodni, jak to nam oświadczył sam Iwan Karamazow, bo gdyby powiedział to wcześniej, to ów byłby już dawno to rozgłosił. A zatem przyznał się, zgoda, ale czemuż nie wyznał całej prawdy w przedśmiertnym liście, wiedząc że nazajutrz odbędzie się sąd nad niewinnym? Same pieniądze wszak nie są dowodem. Ja naprzykład i jeszcze dwie osoby tu obecne dowiedzieliśmy się przypadkiem, że Iwan Fedorowicz Karamazow posyłał do gubernialnego miasta zmienić dwie obligacje dziesięcioprocentowe po pięć tysięcy, a zatem razem dziesięć tysięcy. Zmierzam do tego, aby wam dowieść, że każdy może mieć w pewnej chwili przy sobie pieniądze, i że nie wystarczy przynieść trzech tysięcy, bo to żaden dowód, bo wszak niepodobna dowieść, że to te same pieniądze, które leżały dajmy na to

w szkatułce, czy w kopercie. Nakoniec Iwan Karamazow, dowiedziawszy się wczoraj o tem od samego zbrodniarza, nie wyciąga z tego chwilowo żadnych konsekwencyj. Czemu nie oznajmił o tem jeszcze wczoraj? Czemu odłożył to do dzisiejszego dnia? Przypuszczam, że mam prawo się domyślić: już od tygodnia chory, i jak sam to wyznał doktorowi i bliskim swoim, nawiedzany przez zmarłych ludzi, bliski zapalenia mózgu, dowiaduje się nagle o samobójstwie Smerdjakowa, i pod wpływem tej wiadomości trawiony gorączką umysł wysnuwa następujący wywód: „Smerdjakow nie żyje, można więc na niego zwalić, aby uratować brata. Pieniądze są: wezmę odpowiednią kwotę i powiem, że Smerdjakow wręczył mi ją przed śmiercią". Powiecie panowie, że to nieuczciwe, że nie godzi się kłamać, choćby nawet kłamstwo dotyczyło nieboszczyka, choćby chodziło o uratowanie brata? Tak, no a jeżeli skłamał skądinąd bezwiednie, jeśli sobie wyobraził, że tak było istotnie, bo przecież wiadomość o nagłej śmierci lokaja ostatecznie wytrąciła go z równowagi umysłowej. Wszak samiście widzieli ową scenę, widzieliście w jakim był stanie? Stał na nogach i mówił, ale gdzie był rozsądek jego? Po zeznaniach gorączkującego świadka panna Wierchowcew przedłożyła nam dokument, list podsądnego, napisany dwa dni przed dokonaniem zabójstwa, zawierający dokładny program realizacji zbrodniczego zamiaru. I w jakim celu szukamy innego programu i jego autorów? Stało się jota w jotę według tego programu, zaś sprawcą był jego autor. Tak, panowie przysięgli, stało się tak, jak było napisane! I wcale, wcaleśmy nie uciekali bojaźliwie i zbożnie od ojcowskiego okienka, przeświadczeni w dodatku, że tam w pokoju jest nasza ukochana. Nie, to nonsens nieprawdopodobny. On wszedł i — skończył. Pewnie, zabił w zdenerwowaniu, zawrzał złością na widok znienawidzonego wroga i rywala, ale zabiwszy go — prawdopodobnie jednem uderzeniem tłuczka — i przekonawszy się, że ukochanej niema, nie zapomniał jednakowoż wsunąć ręki pod poduszkę i zabrać koperty z pieniędzmi, koperty, która leży teraz podarta na tym stole z dowodami rzeczowemi. Wspominam o tem, chcąc zwrócić waszą uwagę na

okoliczność bardzo, mojem zdaniem, charakterystyczną. Gdyby to był doświadczony morderca, i gdyby popełnił morderstwo jedynie w celach grabieży — to czy zostawiłby pustą kopertę na podłodze, w tym stanie, w jakim znaleźliśmy ją obok trupa? Gdyby to był naprzykład Smerdjakow, zabrałby poprostu ze sobą tę kopertę, wcale nie próbując rozpieczętować jej nad trupem swej ofiary, bo przecież wiedział napewno, że w kopercie są pieniądze — wszak to w jego obecności włożono je i zapieczętowano; wszak gdyby nie był zostawił koperty, niepodobna byłoby ustalić, czy te pieniądze naprawdę istniały? Pytam się was, panowie przysięgli, czy postąpiłby tak Smerdjakow, czy zostawiłby kopertę na podłodze? Nie, tak mógł tylko postąpić zabójca rozwścieczony, działający w zapamiętaniu, bynajmniej nie złodziej,— człowiek, który dotychczas nie kradł, który brał te pieniądze nie jako złodziej, lecz jako człowiek swoją własność odbierający od złodzieja — bo przecie tak mniemał Dymitr Karamazow o tych trzech tysiącach, mniemanie to stało się niejako jego manją. I oto, dobywszy koperty, której dotychczas nie widział, rozrywa ją, aby się przekonać, czy istotnie zawiera pieniądze, następnie ucieka z pieniędzmi w kieszeni, i nie pomyślał nawet o tem, że zostawia na podłodze ogromną poszlakę przeciw sobie w postaci tej podartej koperty. A to dlatego, że Karamazow — o, nie Smerdjakow — nie myślał, nie zastanawiał się; gdzieżby tam mógł się zastanawiać! Ucieka, słyszy krzyk służącego, ów chwyta go, zatrzymuje i pada, uderzony tłuczkiem. Podsądny zeskakuje do niego zpowrotem z litości. Wyobraźcie sobie, podsądny zapewnia nas, że zeskoczył z litości, ze współczucia, aby mu przyjść z pomocą. Czyż chwila nadawała się do okazania współczucia? Bynamniej, zeskoczył poto, aby się przekonać, czy żyje jedyny świadek jego zbrodni. Wszelkie inne uczucia, wszelki inny motyw byłby nienaturalny! Zauważcie panowie, że on krząta się nad Grzegorzem, ociera mu chustką głowę i przekonany, że go zabił, zbroczony krwią mknie zpowrotem do domu swej ukochanej — jakże to nie pomyślał o tem, że jest cały we krwi, że go odrazu przytrzymają? Ale podsądny sam świadczy, że nawet nie

zauważył na sobie krwi; można mu wierzyć, to bardzo możliwe, to się przytrafia czasem zbrodniarzom. Piekielne wyrachowanie pod jednym względem, i absolutny brak uwagi pod innym. Ale on przecie myślał owej chwili, gdzie jest *ona*. Musiał się dowiedzieć natychmiast, gdzie jest ona. I oto pędzi do niej, do mieszkania, i dowiaduje się o ogromnej niespodziance: wyjechała do Mokrej ze swoim „dawnym".

IX.

Psychologja całą parą. Rozpędzona trójka. Finał mowy prokuratora.

W tem miejscu Hipolit Kiryłowicz, który widocznie świadomie sobie obrał genetyczną metodę interpretacji, jak i wszyscy nerwowi mówcy, którzy specjalnie sobie zakreślają surowe ramki, aby miarkować niecierpliwy swój temperament — Hipolit Kiryłowicz szczególnie rozwodził się nad „dawnym", i nawet wypowiedział na ten temat kilka w swoim rodzaju zajmujących spostrzeżeń. Karamazow bezprzytomnie zazdrosny o wszystkich, nagle i odrazu jakby ustępuje i korzy się przed „dawnym". Rzecz tem dziwniejsza, że dawniej nie zwracał uwagi na to nowe dla siebie niebezpieczeństwo, które się nagle wyłoniło w postaci nieoczekiwanego rywala. Bo wciąż się jakoś pocieszał, że do tego jeszcze bardzo daleko: Karamazow żyje zawsze bieżącą chwilą. Może go nawet uważał za fikcję. I oto nagle zrozumiał chorem sercem, że może dlatego ukochana kobieta ukrywała tak długo tego nowego rywala, może dlatego oszukiwała go dotychczas, że ów rywal był dla niej bynamniej nie fikcję i nie fantazją, — był dla niej wszystkiem w życiu; i nagle to zrozumiawszy, ukorzył się odrazu. „Cóż, panowie przysięgli, nie mogę pominąć milczeniem tego nowego rysu w duszy podsądnego, który, zdawałoby się, nie da się pogodzić z jego charakterem: wyłoniła się nagle nieubłagana potrzeba prawdy, szacunek dla kobiety,

uznanie praw jej serca — i kiedyż — w chwili gdy dla niej zbroczył krwią ojcowską swe ręce! Pozatem krew przelana wołała już o pomstę, i podsądny, zatraciwszy duszę swą i cały los swój na ziemi, mimowoli musiał poczuć i zapytać siebie owej chwili: czemże jestem *teraz* i czemże mogę być dla niej, dla tej milszej ponad własną duszę kobiety, w porównaniu z „dawnym", z tym „dawnym", który wrócił skruszony do tej, którą ongi skrzywdził, wrócił z nową miłością, z uczciwemi zamiarami, z obietnicą odrodzonego i już szczęśliwego życia. A ja nieszczęsny, cóż ja jej *teraz* dam, co jej zaproponuję?" Karamazow wszystko to rozumiał, rozumiał, że przestępstwo zamknęło przed nim wszystkie drogi, rozumiał, że jest skazańcem bez nadziei, a nie człowiekiem, który ma przed sobą życie! Ta myśl zmiażdżyła go i dobiła. I oto powziął momentalnie zamiar, który takiemu charakterowi musiał się wydać jedynem, chociaż fatalnem wyjściem z tej straszliwej sytuacji. Mam na myśli samobójstwo. Pędzi więc po swoje zastawione pistolety do urzędnika Perchotina, a po drodze wyciąga z kieszeni całą gotówkę, dla której zamordował ojca swego. O, pieniądze są mu teraz bardzo potrzebne: umiera Karamazow, zabija się Karamazow, niechże ludzie popamiętają to samobójstwo! Nienapróżno jesteśmy poetą, nienapróżno przehulaliśmy życie. „Do niej, do niej — i tam, o tam, urządzę wielką ucztę, jakiej jeszcze nie było, aby popamiętano i długo to sobie opowiadano. Śród dzikich wrzasków, szaleńczych pieśni cygańskich i pląsów, wzniesiemy toast i powinszujemy ukochanej kobiecie jej nowego szczęścia, a potem — u nóg jej palniemy sobie w łeb i ukaramy siebie za całe życie. Przypomni ona sobie kiedyś Mitię Karamazowa, przekona się, jak kochał ją Mitia, pożałuje Miti!". Wiele w tem romantycznego opętania, dzikiego karamazowskiego rozkielznania i dzikiej uczuciowości — i jeszcze czegoś, panowie przysięgli, czegoś, co krzyczy w duszy, huczy w mózgu bezustannie i zatruwa serce; — to *coś* to sumienie, panowie przysięgli, to sąd sumienia, to straszne jego wyrzuty! Ale pistolet wszystko pogodzi, pistolet to jedyne wyjście i niemasz innego, a tam — nie wiem, czy Karamazow w owej

chwili myślał „*co będzie tam*" i czy Karamazow potrafi hamletycznie zastanawiać się nad tem, co będzie tam? Nie, panowie przysięgli, tamci mają Hamletów, a u nas tymczasem plenią się Karamazowowie!".

Tu Hipolit Kiryłowicz opisał dokładnie i barwnie przygotowania Miti, scenę u Perchotina, następnie w sklepie, z dorożkarzami. Przytoczył moc słów, wypowiedzi, gestów, podanych przez świadków — i obraz straszliwie oddziałał na słuchaczy. Przedewszystkiem podziałało mnóstwo faktów. Wina tego rozkiełznanego i tracącego ostatnie hamulce człowieka uwypukliła się wyraźnie. „Już się nie pilnował i nie zacierał śladów — mówił Hipolit Kiryłowicz— dwa czy trzy razy omal się nie przyznał do zbrodni, w każdym razie czynił aluzje. (W tem miejscu przytoczył zeznania świadków). Nawet dorożkarzowi powiedział: „Czy wiesz, że mordercę wieziesz!" Ale wyznać jeszcze wszystkiego nie mógł: przedtem trzeba było dotrzeć do Mokrej i tam zakończyć poemat. Ale cóż spotyka nieszczęsny człowiek? Bo od pierwszej chwili widzi i nakoniec ostatecznie sobie uświadamia, że ów groźny rywal nie jest może wcale tak groźny, i że toastu i powinszowań nikt sobie od niego nie życzy. Ale znacie już panowie fakty, nie trzeba się rozwodzić. Zwycięstwo Karamazowa nad rywalem było decydujące, i tu — o, tu rozpoczęła się nowa faza w jego duszy, może najstraszliwsza faza ze wszystkich, jakie przeżyła i jeszcze przeżyje kiedy ta dusza! Można stanowczo twierdzić, panowie przysięgli — wołał Hipolit Kiryłowicz — że pogwałcona natura i występne serce same sobie wymierzają karę okrutniejszą od wszelkiego ludzkiego sądu! Co więcej sprawiedliwość i kara sądu łagodzi poniekąd karę natury, jest nawet konieczna duszy przestępcy w takich chwilach, ratuje ją od desperacji, albowiem nawet wyobrazić sobie niepodobna tego okropieństwa i tych moralnych męczarni jakie przeżywał Karamazow, gdy dowiedział się, że ukochana kobieta kocha go, że dla niego odtrąca swego „dawnego", i że jego, jego, „Mitię" wzywa do nowego życia, jemu obiecuje szczęście, — i to kiedy — kiedy ono jest zupełnie niemożliwe! Nawiasem mówiąc, pozwolę sobie

zrobić pewną uwagę, aby wyjaśnić prawdziwą istotę ówczesnego położenia podsądnego: ta kobieta, ta jego bogdanka aż do ostatniej chwili, do chwili aresztowania, była dlań istotą niedostępną, straszliwie pożądaną, ale niedostępną. Ale czemu, czemu nie zastrzelił się wówczas, czemu zaniechał powziętego zamiaru i nawet zapomniał, gdzie leżą pistolety? Otóż powstrzymało go to właśnie straszliwe pożądanie miłosne i nadzieja, że je tu na miejscu zaspokoi. W czmerze pijatyki nie odstępuje od ukochanej, również hulającej, cudownej i kusicielskiej jak nigdy dotąd — nie odchodzi od niej, zachwyca się nią, korzy się przed nią. To straszne pożądanie mogło na chwilę zagłuszyć nietylko strach, ale i wyrzuty sumienia! Na chwilę, o, tylko na chwilę! Wyobrażam sobie psychikę podsądnego jako poddaną trzem ogłuszającym żywiołom: po pierwsze, pijaństwo, czmer i wrzask, tupot pląsów, pieśni i ona, ona, śpiewająca i tańcząca, pijana i śmiejąca się do niego! Po drugie, krzepiąca mrzonka, że fatalne rozwiązanie jest jeszcze dalekie, w każdym razie nastąpi nie zaraz, w każdym razie dopiero jutro, nazajutrz przyjdą po niego — chyba nie wcześniej. Zatem zostało mu kilka godzin — to wiele, bardzo wiele. W kilka godzin można wiele rzeczy obmyślić. Przypuszczam, że w duszy jego musiało się dziać coś podobnego do stanu prezesencyi, którego wiozą na miejsce straceń, na szafot: jeszcze trzeba przejechać długą — długą ulicę, i to truchtem mimo tysiącznych tłumów, a potem skręcić w inną ulicę i dopiero u wylotu tej ulicy — straszliwy plac! Zdaje mi się, że skazaniec, siedząc na swym wozie, musi chyba odczuwać, że ma jeszcze przed sobą nieskończone życie. Ale oto cofają się domy, wóz wciąż się toczy — to nic, do zakrętu jest jeszcze tak daleko, skazaniec rozgląda się wokoło tak odważnie i patrzy na te tysiące ciekawych i obojętnych widzów, którzy nie spuszczają zeń oka, i wciąż mu się wydaje, że jest taki sam człowiek jak oni. A oto już zakręt, o! ale to nic, nic, jeszcze cała ulica. I chociaż domy cofają się, on wciąż myśli: „Jeszcze zostało wiele domów". I tak do samego końca, do samego placu. Tak, wyobrażam sobie, działo się w duszy Karamazowa: „jeszcze

tam nie zdążyli, myślał sobie, jeszcze można będzie co wykombinować, jeszcze zdążę wymyślić plan obrony, znaleźć motywy, a teraz, teraz — teraz ona jest tak zachwycająca!". Mętnie i strasznie mu na duszy, ale on znajduje jeszcze czas na to, aby odłożyć połowę pieniędzy i schować — bo inaczej nie mogę sobie wyjaśnić, gdzie mogła zniknąć cała połowa owych trzech tysięcy, zabranych ojcu z pod materaca. Nie pierwszy raz jest w Mokrej, hulał przecie tam już w ciągu dwu dni. Ten stary drewniany dom jest mu dobrze znany, ze swemi stajniami i krużgankami. Przypuszczam, że połowę tych pieniędzy schował wówczas właśnie w samym domu, niedługo przed aresztowaniem; wsunął do jakiej szpary, w jakim kącie, pod dachem — poco? Jakto poco? Katastrofa może rychło wybuchnąć, oczywiście, jeszcze nie pomyśleliśmy jak na nią reagować, i nie mieliśmy na to czasu, i huczy nam w głowie, i do *niej* ciągnie, a pieniądze — pieniądze są konieczne w każdej sytuacji! Człowiek z pieniędzmi wszędzie jest człowiekiem. Być może, że takie wyrachowanie w owej chwili wyda się nam nienaturalne. Ale przecież on sam zapewniał, że miesiąc wcześniej, w równie fatalnej i niespokojnej chwili odłożył połowę pieniędzy i zaszył w szmatkę; jeżeli to jest nawet, i tak jest w istocie, nieprawdą, czego postaram się dowieść, to bądź co bądź sama idea nie jest mu obca. Co więcej, kiedy zapewniał sędziego śledczego, że odłożył półtora tysiąca i zaszył w szmatkę (która nie istniała wcale), to może właśnie wymyślił tę szmatkę na miejscu pod wpływem przypomnienia, że tu właśnie o jakie dwie godziny wcześniej odłożył połowę gotówki i schował w jakimś schowku, na wszelki wypadek, do jutra, byleby nie mieć tych pieniędzy przy sobie, jak mu to nagle strzeliło do głowy. Dwie otchłanie, panowie przysięgli, przypomnijcie sobie, że Karamazow zdolny jest kontemplować dwie otchłanie i obie jednocześnie! Przeszukaliśmy dom, ale nigdzieśmy nie znaleźli. Być może pieniądze są jeszcze dotychczas w skrytce, a może kto je wyjął nazajutrz i zwrócił podsądnemu. W każdym razie aresztowano go przy niej, na klęczkach przed nią, ona leżała na łóżku, on wyciągał ku niej ramiona i do takiego stopnia

zapomniał sie w ekstazie, że nie słyszał zbliżających się kroków. Nic jeszcze nie zdążył sobie przygotować, żadnej obrony. Zaskoczyliśmy i jego, i umysł jego.

I oto stanął przed sędziami swymi, przed tymi, którzy mieli rozstrzygnąć jego los. Panowie przysięgli, bywają takie chwile, kiedy spełniając swe obowiązki, czujemy strach za człowieka i przed człowiekiem! To chwile tych zwierzęcych przerazów, kiedy przestępca uświadamia sobie, że wszystko przepadło, a jednak wciąż jeszcze walczy, wciąż jeszcze zamierza walczyć. To chwile, kiedy wszystek instynkt samozachowawczy budzi się nagle, kiedy przestępca, szukając dla siebie ratunku, patrzy na was przebijającem nawylot spojrzeniem, cierpiętniczem zarazem i badawczem, kiedy stara się odgadnąć i wybadać waszą fizjonomję, wasze myśli, i czeka, z której strony będzie atak, i w mig wysnuwa sobie we wstrząśniętym umyśle tysiące planów, i jednocześnie lęka się przemówić, lęka się coś powiedzieć! Te poniżające chwile duszy ludzkiej, to włóczenie duszy po spytkach, to zwierzęce pragnienie uratowania się — te straszne chwile, panowie, te chwile budzą żywy odzew i litość nawet w sercu sedziego! I oto byliśmy świadkami takiej chwili. Zrazu podsądny był oszołomiony, i z przerażenia wyrwało mu się kilka słów, które go wielce kompromitowały: „Krew! Zasłużyłem!". Ale natychmiast się opanował. Co powiedzieć, jak odpowiadać? — Nic jeszcze chwilowo nie było gotowe, ale gotowe było gołosłowne przeczenie: „Nie jestem winien śmierci ojca!". Oto chwilowy nasz parkan, a za parkanem może jeszcze zdążymy sklecić jaką barykadę. Pierwsze swe kompromitujące okrzyki jak najpredzej, bo uprzedzając nawet nasze zapytania, stara się wytłumaczyć wykrętnie: mówił pono o krwi Grzegorza, którego wszelako nie zabił. „Tej śmierci jestem winien, ale kto zabił ojca, panowie, kto zabił? Kto mógł go zabić, *jeśli nie ja?*". Słyszycie: to on nas pyta, nas, którzyśmy przyszli doń z tem samem pytaniem! Słyszycie to wybiegające naprzód słóweczko: „jeśli nie ja", te zwierzęcą przebiegłość, tę naiwność i karamazowską niecierpliwość? Ne ja zabiłem, i nawet nie godzi się pomyśleć, że to ja: „Chciałem zabić, panowie,

chciałem zabić" — przyznaje się czemprędzej (spieszy, o, strasznie spieszy!) „ale nie jestem winien, nie ja zabiłem!". Godzi się z nami, że chciał zabić: widzicie niby sami, jak jestem szczery, no więc tembardziej wierzcie, że to nie ja zabiłem. O, w takich wypadkach przestępca staje się straszliwie lekkomyślny. I oto śledztwo jakby mimowoli zadaje mu prostoduszne pytanie: „Czy aby nie Smerdjakow zabił?". Stało się tak, jakeśmy się spodziewali: straszliwie rozgniewał się na nas, bośmy go ubiegli i zaskoczyli, kiedy jeszcze nie zdążył przygotować, wybrać i pochwycić momentu, w którym najporęczniej będzie wysunąć podejrzenie na Smerdjakowa. Zgodnie ze swym charakterem natychmiast wpadł w krańcowość i sam zaczął nas zapewniać, że Smerdjakow nie mógł zabić, że nie był zdolny do morderstwa. Ale nie wierzcie mu, to tylko wybieg: wcale nie ma zamiaru zrezygnować ze Smerdjakowa, wręcz przeciwnie wnet go wysunie, bo kogóżby wysunął jak nie jego, ale zrobi to w stosowniejszej chwili, bo chwilowo ta sprawa jest zepsuta. Wysunie go może dopiero nazajutrz, albo nawet za kilka dni, wyszuka sobie chwilkę, kiedy sam krzyknie: „Widzicie, sam przeczyłem bardziej od was winie Smerdjakowa, pamiętacie to przecież, ale teraz to i ja się przekonałem: on zabił, i jakżeby nie on!". A tymczasem, rozdrażniony i posępny, przeczy i gniewa się, i gniew podpowiada mu najbardziej naiwny i nieprawdopodobny wykręt: jak to zaglądał do okna ojcowskiego i jak roztropnie i zbożnie odszedł od tego okna. Rzecz najważniejsza, nie zna jeszcze okoliczności, zeznań Grzegorza. Przystępujemy do rewizji. Rewizja osobista gniewa go, ale zarazem przejmuje otuchą: nie znaleziono całej gotówki, znaleziono tylko półtora tysiąca. I oto, rozumie się, w tej chwili gniewnego milczenia i zaprzeczeń, strzela mu do głowy, niezawodnie po raz pierwszy, pomysł torebki. Niewątpliwie odczuwa całe nieprawdopodobieństwo tego wykrętu i męczy się, strasznie się męczy, jakby go uprawdopodobnić, jakby go tak opowiedzieć, aby wypadł prawdopodobny romans. W takich wypadkach pierwsze i główne zadanie śledztwa to nie pozwolić przestępcy się przygotować, zaskoczyć go znienacka, żeby wypowiedział

swoje myśli z całą zdradzającą je prostodusznością, z całem nieprawdopodobieństwem i wewnętrzną sprzecznością. Aby go zmusić do mówienia, trzeba go zaskoczyć jakby niechcący jakimś nowym faktem, jakąś okolicznością sprawy, ogromnie ważną, której przestępca nie mógł przewidzieć. Taki fakt mieliśmy na podorędziu, mieliśmy już uprzednio przygotowany: to zeznanie służącego Grzegorza o otwartych drzwiach, przez które wybiegł był podsądny. O tych drzwiach całkiem zapomniał, a nie mógł przecież przypuszczać, że Grzegorz je widział. Efekt był ogromny. Zerwał się na równe nogi i nagle zawołał: „To Smerdjakow zabił, Smerdjakow!" — i oto zdradził swoją upatrzoną, swoją podstawową myśl w najbardziej nieprawdopodobnej formie, albowiem Smerdjakow mógł w najlepszym razie zabić dopiero po tem, jak podsądny powalił Grzegorza i uciekł. Kiedyśmy zaś zauważyli, że Grzegorz widział otwarte drzwi przed utarczką z podsądnym, że w dodatku, wychodząc z domu, słyszał wyraźnie jęki Smerdjakowa — Karamazow był naprawdę zmiażdżony. Współpracownik nasz, czcigodny i bardzo dowcipny Mikołaj Partenowicz opowiadał mi później, że mu się strasznie żal zrobiło podsądnego. I w owej chwili, aby poprawić swoją sytuację, opowiada nam podsądny skwapliwie o rzekomej torebce: trudno, muszę wam niby opowiedzieć tę powieść! Panowie przysięgli, powiedziałem wam, z jakich powodów uważam ten wymysł o zaszytych pieniądzach nietylko za nonsens, ale i za najmniej prawdopodobny wybieg, jaki można było wymyślić w danym wypadku. Jeśli nawet iść o zakład: czy można co powiedzieć mniej prawdopodobnego — to i wówczas nie znajdzie się nic gorszego od tej torebki. Tu przedewszystkiem można rozbić triumfującego fantastę szczegółami, temi szczegółami, w które tak zawsze obfituje rzeczywistość, i które zawsze bywają pomijane przez takich nieszczęsnych i mimowolnych fantastów jako błahe i zbyteczne drobiazgi, nie przychodzące im nawet do głowy. O, nie im mówić w danej chwili o błahostkach, ich umysł komponuje kolosalne rusztowania — i oto ktoś ośmiela się nudzić ich takiemi fraszkami! Ale właśnie na tych fraszkach łapie się tych

fantastów! Zadaje się podsądnemu pytanie: no, a skąd pan wziął materjał na torebkę i kto ją zaszył? — Sam zaszyłem. — A płótno gdzie pan raczył wziąć? Podsądny obraża się, uważa to za obraźliwą szykanę i, czy dacie panowie wiarę, oburza się całkiem szczerze! Tacy oni wszyscy. — Oderwałem od koszuli. — Pięknie. Zatem jutro znajdzie się u pana koszulę z wydartym kawałkiem. I zrozumiecież panowie, że gdybyśmy istotnie znaleźli tę koszulę (a jak tu nie znaleźć jej w kufrze lub komodzie, o ile nie jest fikcją) — to przecież mamy już przed sobą fakt, oczywisty dotykalny fakt na korzyść podsądnego! Ale on tego nie może sobie uprzytomnić. — Nie pamiętam, może nie koszula, zaszyłem w czepek gospodyni. — W jaki czepek? — Wziąłem, leżała, stara perkalikowa szmatka. — Pamięta pan stanowczo? — Nie, stanowczo nie pamiętam... I złości się, złości, a przecież zważcie: jakżeby mógł nie pamiętać?... W najstraszniejszych chwilach ludzkiego życia, kiedy naprzykład wiozą na szafot, pamięta się właśnie drobiazgi. O wszystkiem zapomni, a zapamięta jakiś zielony dach, który mignął mimojazdem, albo kawkę na krzyżu. Przecież szyjąc tę wrzekomą torebkę, tak nikczemnie cierpiał, wstydził się, bał, że ktoś raptem wejdzie i zastanie go przy zaszywaniu pieniędzy; słysząc najmniejszy hałas, zrywał się i zaglądał za przegródkę (w mieszkaniu jego jest przegródka)... Ależ, panowie przysięgli, dlaczego opowiadam te szczegóły i drobiazgi! — zawołał naraz Hipolit Kiryłowicz. — A dlatego właśnie, że podsądny upiera się stanowczo przy swoim nonsensie od pierwszej chwili! Przez te całe dwa miesiące, od czasu tej fatalnej nocy, nic nie wyjaśnił, żadnego realnego wyjaśniającego faktu nie dodał do dawnych swych fantastycznych zeznań; wszystko to są niby drobiazgi, a wy, panowie, wierzcie mi na słowo! O, chcielibyśmy wierzyć, pragniemy wierzyć, choćby na słowo! Cóżto, szakalami jesteśmy, łaknącemi krwi ludzkiej? Dajcie, wskażcie nam bodaj jeden fakt na korzyść podsądnego, a ucieszymy się — ale fakt uchwytny, realny, a nie snucie domysłów z miny podsądnego przez rodzonego jego brata, albo twierdzenie, że podsądny, bijąc się w pierś, za-

pewne wskazywał na torebkę, i to przecie w ciemnościach nocnych! Ucieszymy się, my pierwsi zrezygnujemy z naszego oskarżenia, skwapliwie zrezygnujemy. Teraz zaś woła głos sprawiedliwości, więc i my nalegamy, nie możemy z niczego zrezygnować". Mowa Hipolita Kiryłowa dobiegała końca. Gorączkował się, krzyczał o przelanej krwi, o krwi ojca, zabitego przez syna „w podłych celach grabieży". Wskazywał na tragiczność i wołający o pomstę ogrom obciążających faktów. „I cokolwiek wam powie wielce utalentowany i słynny obrońca podsądnego (nie wytrzymał Hipolit Kiryłowicz), jakiekolwiek wygłosi słowa wymowne i wzruszające, apelujące do waszej uczuciowości, pamiętajcie, że w tej chwili jesteście w świątnicy naszej sprawiedliwości. Pamiętajcie, że jesteście obrońcami prawdy naszej, obrońcami świętej naszej Rosji, jej podstaw, jej rodzin, wszystkiego, co posiada świętego! Tak, uosabiacie w tej chwili Rosję i to nietylko w tej sali rozlegnie się głośno wasz wyrok, bo po Rosji całej, i cała Rosja wysłucha was, jako obrońców i sędzów swoich, i będzie pokrzepiona albo przygnębiona wyrokiem waszym. Nie dręczcie więc Rosji i jej oczekiwania, fatalna nasza trójka mknie naoślep i, być może, ku zagładzie. I dawno już w Rosji całej wyciąga się ręce i woła się, aby zatrzymano wściekłą rozpędzoną trójkę. I jeżeli inne narody usuwają się przed rwącą naoślep trójką, to być może wcale nie w hołdzie, jakby chciał poeta, lecz poprostu ze zgrozy, — zważcież to, panowie. Ze zgrozy i może ze wstydu, i to jeszcze dobrze, że się usuwają, bo mogą naraz przestać się usuwać i murem staną przed pędzącą marą i sami zatrzymają oszalały cwał naszego wyuzdania, aby uratować siebie, kulturę i cywilizację! Słyszeliśmy już bowiem przerażone głosy z Europy. Zaczęły się już bowiem rozlegać. Nie kuście ich, nie podsycajcie ich rosnącej nienawiści wyrokiem, uniewinniającym ojcobójcę!..."

Słowem, Hipolit Kiryłowicz uniósł się i zakończył swoją mowę patetycznie — i w rzeczy samej wrażenie było niezwykłe. On sam, skończywszy przemowę, natychmiast wyszedł i, powtarzam, omal nie runął w omdleniu w sąsiednim pokoju. Słuchacze coprawda nie oklaskiwali, ale poważni

ludzie byli zadowoleni. Mniejszą satysfakcję okazywały damy, chociaż i one zachwycone były swadą oratorską prokuratora, zwłaszcza, że były spokojne o wyrok i spodziewały się cudów po Fetiukowiczu: „nareszcie on zacznie mówić i oczywiście wszystkich przekona!". Wszyscy spoglądali na Mitię: przez cały czas przemowy prokuratora siedział w milczeniu z zaciętemi ustami, ze ściśniętemi pięściami, z opuszczonemi oczyma. Chwilami tylko podnosił głowę i słuchał. Zwłaszcza gdy słyszał imię Gruszeńki. Gdy prokurator przytoczył zdanie o niej Rakitina, Mitia uśmiechnął się z pogardą i złością i dosyć głośno powiedział: „Bernardy!". Gdy Hipolit Kiryłowicz opowiadał, jak badał podsądnego i dręczył w Mokrej, Mitia uniósł głowę i słuchał z wielką uwagą. Był moment, kiedy chciał się zerwać i krzyknąć coś, lecz w porę się powstrzymał i tylko pogardliwie wzruszył ramionami. O tym finale mowy prokuratora, dotyczącym jego wielkich wyczynów w Mokrej, opowiadano sobie później u nas ze śmiechem: „nie wytrzymał człowiek, aby nie wyjechać na harc ze swemi wielkiemi zdolnościami".

Nastąpiła przerwa, ale nie na długo, na kwadrans zaledwie, czy dwadzieścia minut. W sądzie zawrzało od rozmów i okrzyków. Niektóre zapamiętałem sobie dosyć dokładnie.

— Poważna mowa! — zauważył jakiś pan z nachmurzonemi brwiami.

— Psychologji zadużo — rozległ się inny głos.

— Ale przecież to prawda, wierutna prawda!

— Tak, to nielada majster.

— Ależ to nam dociął — rzekł ktoś trzeci — z początku, kiedy mówił, że wszyscyśmy tacy jak Fedor Pawłowicz.

— I wkońcu też. Ale tu się zapędził.

— I wiele niejasności.

— Trochę się zapędził.

— Niesprawiedliwie, niesprawiedliwie.

— Ależ nie, swoją drogą zręcznie. Długo czekał człowiek i wreszcie się wypowiedział, che-che!

— Co obrońca powie?

W drugiej grupie:

— Niepotrzebnie drasnął obrońcę, pamiętacie „apelujące do waszej uczuciowości?".

— Tak, to niezbyt zręcznie.

— Uniósł się.

— Nerwowy człowiek.

— My się śmiejemy, a podsądnemu jak?

— Tak. Mitience jak?

— Ale jak odpowie obrońca?

W trzeciej grupie:

— Co to za dama z lornetką, ta tęga, z boku siedzi?

— To jenerałowa, rozwódka, znam ją.

— Wybrała się z lornetką.

— Kokietka.

— No nie, pikantna kobietka.

— Za nią o dwa miejsca dalej siedzi blondyneczka, o wiele ponętniejsza.

— A sprytnie go wtedy w Mokrej obrobili?

— Sprytnie, sprytnie. Znowu się pochwalił. Przecież nie przestaje o tem wszędzie paplać przy każdej okazji.

— I teraz nie powściągnął się. Ambitny człowiek.

— Skrzywdzony, a jakże, che-che!

— I obraźliwy. Retoryki wiele, długie frazesy.

— I straszy nas, zauważyliście, wciąż straszy. Pamiętacie o tej trójce? „Tam Hamlety, u nas tymczasem Karamazowowie!". Fifik.

— Liberałom pochlebił. Boi się!

— I adwokata się boi.

— Tak, cóż powie mecenas Fetiukowicz?

— Cokolwiek powie, naszych chłopków nie otumani.

— Tak pan sądzi?

W czwartej grupie:

— A o trójce to nieźle, zwłaszcza o tych narodach.

— A przecież prawda, pamiętasz, jak mówił, że narody nie będą czekać.

— Bo i co?

— Bo w angielskim parlamencie ktoś już interpelował w sprawie nihilistów i pytał ministerstwo: czy nie czas już ukrócić barbarzyński naród i ucywilizować go. Hipolit to

miał na myśli, wiem, że to. W zeszłym tygodniu mówił o tem.

— Niedoczekanie im.

— Jakto niedoczekanie?

— Kronsztat zamkniemy, i nie damy im chleba. Skąd wezmą?

— A Ameryka? Teraz z Ameryki.

— Bujda.

Zabrzmiał dzwonek, i wszyscy pobiegli zpowrotem na swoje miejsca. Fetiukowicz wszedł na mównicę.

X.

Mowa obrońcy. Kij o dwóch końcach.

Sala ucichła, gdy rozległy się pierwsze słowa znakomitego mówcy. Wszyscy utopili w nim spojrzenia. Zaczął prosto, naturalnie, z wewnętrznem przekonaniem, bez zarozumialstwa, nie siląc się na krasomóstwo, na patetyczne zwroty, na podszyte uczuciowością słówka. Mówił jak człowiek, którego słucha z uwagą intymne kółko współczujących słuchaczów. Głos miał piękny, głośny i sympatyczny i nawet w głosie tym słyszało się szczery i prostoduszny akcent. Ale wszyscy odrazu zmiarkowali, że artysta mówi teraz prosto, ale za chwilę może unieść się patosem i „uderzyć w serca z niezwykłą siłą". Mówił może nie tak retorycznie jak Hipolit Kiriłowicz, ale bez długich zdań i nawet dokładniej. Jedna rzecz nie podobała się słuchaczom: Fetiukowicz jakoś dziwnie się zginał, zwłaszcza na początku mowy, zginał się nie w ukłonie, lecz niejako wyrywając się ku słuchaczom, przytem przełamywał się na dwoje: zdawałoby się, że pośrodku swego długiego i wąskiego grzbietu ma zawiasy, na których połowa grzbietu może się zginać nieomal że pod prostym kątem. Na początku przemawiał chaotycznie, jakgdyby bez systemu, wyławiając poszczególne fakty, lecz wkońcu wszystko się zestroiło w całość. Mowę jego można było podzielić na dwie czę-

ści: pierwsza połowa — to krytyka, to obalenie oskarżenia, chwilami złośliwe i sarkastyczne. Lecz w drugiej połowie jakby zmienił naraz ton i chwyty i uniósł się nagle patosem, sala zaś czekała tylko tego momentu i zatrzęsła się z zachwytu. Przystąpił odrazu do rzeczy; zaczął odrazu od tego, że chociaż terenem jego pracy jest stolica, przecież nie pierwszy to raz zwiedza miasta rosyjskie jako obrońca; broni zaś tylko tych przestępców, o których niewinności zapewnia go rozum albo przynajmniej przeczucie. „To samo było i z tą sprawą — rzekł. — Już nawet w pierwszych korespondencjach drukowanych w pismach zastanowiło mnie coś, co przemawiało na korzyść podsądnego. Mówiąc dokładniej, zainteresował mnie przedewszystkiem pewien ciekawy casus, często się powtarzający w naszem sądownictwie, ale nigdy w takim stopniu i z takiemi charakterystycznemi szczegółami, jak w niniejszej sprawie. Casus ów powinienem właściwie sformułować na końcu swej przemowy — jednak wyłożę myśl swoją odrazu, bo lubię odrazu przystępować do rzeczy, nie chowając na później efektów i nie rozmieszczając ekonomicznie wrażeń. Być może czynię niezręcznie, ale zato szczerze. Ta myśl moja, formuła moja jest następująca: mamy tu przygnębiające mnóstwo faktów obciążających, ale zarazem nie mamy ani jednego faktu, który zosobna wzięty wytrzymałby krytykę! Czytając dalsze korespondencje utwierdzałem się w mej myśli coraz bardziej, i naraz krewni podsądnego wezwali mnie, abym go bronił. Natychmiast przybyłem tu i tu się ostatecznie przekonałem. Otóż podjąłem się tej obrony, aby obalić to straszne mnóstwo faktów i dowieść, jak fantastyczny i niedorzeczny jest każdy z tych faktów zosobna wzięty.

Tak rozpoczął obrońca i nagle zawołał:

— „Panowie przysięgli, jestem tu człowiekiem nowym. Wszystkie wrażenia moje tutejsze nie są zabarwione jakąś zgóry powziętą opinją. Podsądny, charakter dziki i niepowściągliwy, nie miał przecież okazji urazić mnie, jak setki osób w tem mieście, co niekorzystnie usposobiło do niego tutejsze społeczeństwo. Oczywiście, nie przeczę, że

poczucie moralne tutejszego społeczeństwa jest słusznie oburzone: podsądny był nieokiełznanym awanturnikiem. A jednak przyjmowano go w tutejszych domach, a nawet w rodzinie wysoce utalentowanego pana prokuratora był mile widziany. (Nota bene, w tym momencie usłyszano kilka stłumionych chichotów. Wiadomo było powszechnie, że prokurator przyjmował u siebie Mitię wbrew swej woli, jedynie dlatego, że prokuratorowa bardzo się nim interesowała. Była ona skądinąd wysoce cnotliwą i czcigodną damą, lecz fantastyczną i nieobliczalną, lubiącą w pewnych wypadkach, przeważnie w drobiazgach, czynić naprzekór zdaniu męża. Mitia zresztą odwiedzał ich dosyć rzadko). Niemniej ośmielam się przypuścić — kontynuował obrońca — że nawet umysł tak niezależny i charakter tak sprawiedliwy, jak mego oponenta, mógł powziąć antypatję względem mego nieszczęsnego klijenta, i co zatem idzie błędne uprzedzenie. O, to rzecz bardzo naturalna: wszak nieszczęsny mój klijent zasłużył sobie na traktowanie go z antypatją i uprzedzeniem. A wiemy przecież, że urażone poczucie moralne, a nawet w większym jeszcze stopniu estetyczne, bywa czasem tak nieubłagane! Rozumie się, w wielce ciekawej mowie oskarżycielskiej słyszeliśmy surową analizę charakteru i postępowania podsądnego, surowy krytyczny stosunek do sprawy, a przedewszystkiem w tej mowie były spenetrowane głębie psychologiczne, które miały nam wyjaśnić istotę sprawy, były spenetrowane takie głębie, powiadam, do których jednak niepodobna dotrzeć, gdy się czuje antypatję, gdy się jest złośliwie uprzedzonym do osoby podsądnego. A jednak istnieją jeszcze inne rzeczy, które są nawet gorsze, nawet zgubniejsze w podobnych wypadkach od najbardziej złośliwego i stronniczego stosunku do sprawy. Zwłaszcza gdy nas naprzykład ponosi że tak powiem gra artystyczna, potrzeba twórczości artystycznej, mus stworzenia powieści, że tak powiem, szczególnie żywy, jeśli nas Bóg obdarował w dodatku wielkim talentem psychologicznym. Jeszcze w Petersburgu, zanim się tu wybierałem, uprzedzono mnie, i zresztą sam o tem wiedziałem, że będę miał za oponenta głębokiego

i nader subtelnego psychologa, który dawno już pozyskał sobie tą zaletą rozgłos w naszym młodym prawniczym światku. Ale przecież psychologja, panowie, to rzecz głęboka, lecz jak kij ma dwa końce (śmiech na sali). O, rozumie się, wybaczcie mi to trywjalne porównanie: nie jestem krasomówcą. Ale oto i przykład — wybieram pierwszy lepszy z mowy prokuratora. Podsądny uciekając przełazi przez parkan, i uderza tłuczkiem trzymającego go za nogę lokaja. Poczem zeskakuje zpowrotem do ogródka i przez pięć minut krząta się nad powalonym lokajem, starając się domyślić: czy zabił go na śmierć, czy nie? I oto oskarżyciel za nic w świecie nie chce uwierzyć w zeznanie podsądnego, że zeskoczył z powrotem do starego Grzegorza z uczucia litości. „Nie, czy niby może powstać taka uczuciowość w takiej chwili; jakże to nienaturalne; zeskoczył, ale poto tylko, aby się przekonać, czy żyje jeszcze jedyny świadek jego zbrodni, a zatem dowiódł tem swojem postępowaniem, że popełnił tę zbrodnię, bo przecież nie mógł zeskoczyć do ogrodu w innym celu i z innych pobudek". Macie panowie psychologję; ale weźmy tę psychologję i przyłóżmy do sprawy ale drugim końcem, a przekonamy się, że wypadnie niemniej prawdopodobnie. Morderca zeskakuje z parkanu z przezorności, chcąc się przekonać, czy żyje jedyny świadek jego zbrodni, a jednocześnie zostawił w gabinecie zamordowanego ojca, jak to sam oskarżyciel stwerdził, straszliwą poszlakę przeciwko sobie w postaci owej podartej koperty z napisem o trzech tysiącach. „Wszak gdyby on zabrał ze sobą tę kopertę, to niktby w całym świecie nie dowiedział się, że ona istniała, i że były w niej pieniądze, że zatem morderstwo było połączone z grabieżą". Tak stwierdził sam oskarżyciel. Ano więc w tym wypadku nie starczyło mu rozwagi, zmieszał się człek i uciekł, zostawiwszy na podłodze kopertę, a w dwie minuty potem uderzył i zabił innego człowieka, i tu dopiero okazuje najzimniejszą i wyrachowaną rozwagę. Ale przypuśćmy, przypuśćmy, że tak było: na tem polega subtelność psychologji, że w takich okolicznościach jestem krwiożerczy i przezorny, jak orzeł kaukaski, w in-

nych zaś ślepy i nieśmiały jak nędzny kret. Ale jeżeli już jestem tak krwiożerczy i okrutnie wyrachowany, że po uderzeniu zeskakuję w celu przekonania się, czy żyje jeszcze świadek czy nie, to pocóżbym miał guzdrać się nad nową ofiarą pięć minut i narażać się na zwabienie nowych świadków? Pocóżbym moczył chustkę, ocierając z krwi głowę powalonego, — chyba poto aby ta chustka była następnie obciążającą poszlaką? Bynajmniej, jeżeli już jesteśmy tak wyrachowani i okrutni, to lepiej zeskoczyć i uderzyć powalonego służącego jeszcze raz po głowie, dobić go ostatecznie i, zabiwszy świadka, pozbyć się kłopotu. Następnie: zeskakuje, aby się przekonać, czy żyje jeszcze jedyny świadek, i tuż, pośrodku dróżki zostawia drugiego świadka, mianowicie ów tłuczek, który porwał z domu panny Swietłow, i który obie jej służące mogły zawsze poznać. I nawet nie zapomniał tego tłuczka, nie upuścił przez roztargnienie: o nie, wszak odrzucił z rozmachem narzędzie zbrodni, bo przecież znaleziono je w piętnastu krokach od miejsca, gdzie Grzegorz runął. Pytam się, dlaczego tak zrobił? A zrobił tak, bo się bardzo strapił, że zamordował starego służącego,—więc ze złością, z przekleństwem odrzucił tłuczek jako przeklęte narzędzie zbrodni. Jakże mogło być inaczej, skoro odrzucił tłuczek z rozmachem? Jeżeli zaś mógł poczuć żal i ból, że zabił człowieka, to oczywiście tylko dlatego, że poprzednio nie zabił ojca. Gdyby zabił ojca, nie byłby zeskoczył do powalonego służącego z litości, bo ogarnęłoby go inne uczucie, bo wtedy za wszelką cenę chciałby się salwować. Wtedy, powtarzam, wręcz przeciwnie, byłby dobił służącego ostatecznie, a nie krzątał się nad nim przez pięć minut. Litość i dobre uczucia mogły się pojawić tylko dlatego, że sumienie było czyste. Oto macie panowie i drugą psychologję. Ja przecież specjalnie, panowie przysięgli, wdałem się w psychologję, żeby pokazać, jak można z niej wyciągnąć wszystko, co się chce. Zależy tylko od tego, w czyich jest rękach. Psychologja wciąga w powieść nawet ludzi najpoważniejszych, i to mimowoli. Mówię o nadmiarze psychologji, panowie przysięgli, o nadużywaniu psychologji".

Tu znowu rozległy się śmiechy, i tym również razem pod adresem prokuratora. Nie będę powtarzał szczegółowo mowy obrońcy, przytoczę tylko niektóre co ważniejsze ustępy.

XI.

Pieniędzy nie było. Ani grabieży.

Był jeden punkt w mowie obrońcy, który wszystkich zaskoczył — twierdzenie, że owe fatalne trzy tysiące wcale nie istniały, a zatem — że grabież była niemożliwa.

„Panowie przysięgli — wywodził obrońca — w niniejszej sprawie uderza każdego bezstronnego i świeżego człowieka jedna arcycharakterystyczna rzecz, mianowicie: oskarżenie podsądnego o grabież, a jednocześnie absolutna niemożliwość wskazania, co było przedmiotem tej grabieży? Przedmiotem tym były pono pieniądze, trzy tysiące — ale czy w samej rzeczy istniały te pieniądze, tego nikt nie wie. Zważcie sami: po pierwsze, jakżeśmy się dowiedzieli, że istniały owe trzy tysiące i kto je widział? Widział je tylko służący Smerdjakow i on stwierdził, że były w kopercie. To on też opowiedział o tem jeszcze przed katastrofą podsądnemu i jego bratu, Iwanowi Fedorowiczowi. Zawiadomił również pannę Swietłow. Te trzy wymienione osoby same nie widziały pieniędzy, — widział je tylko sam Smerdjakow. Ale tu powstaje pytanie: jeśli to nawet prawda, że istniały i że widział je Smerdjakow, to kiedyż widział je po raz ostatni? A może nieboszczyk pan jego wyjął je z pod poduszki i zpowrotem włożył do szkatułki, nic o tem służącemu nie mówiąc? Zważcie panowie: według słów Smerdjakowa pieniądze leżały pod materacem. Zatem podsądny musałby je wyciągnąć z pod materaca, a przecież posłanie było nienaruszone, jak stwierdza protokół. Jakżeby potrafił podsądny nie rozruszać posłania, i w dodatku nie splamić skrwawionemi rękoma świeżego i cienkiego, czystego powleczenia? Ale mogą nam nie-

którzy odpowiedzieć: a koperta na podłodze? Otóż o tej właśnie kopercie warto pomówić. Poprzednio byłem cokolwiek zdziwiony: wysoce utalentowany oskarżyciel, mówiąc o kopercie, naraz sam — słyszycie panowie sam, wskazując na nonsens posądzenia Smerdjakowa, powiedział: „Gdyby nie było tej koperty, gdyby nie została na podłodze jako poszlaka, gdyby morderca zabrał ją ze sobą, to niktby w całym świecie nie dowiedział się, że istniała taka koperta a w niej pieniądze, i że zatem morderstwo było połączone z grabieżą". Zatem jedynie ten podarty skrawek papieru z napisem, jak to stwierdza sam oskarżyciel, wystarczył, aby oskarżyć podsądnego o grabież, „bo inaczej niktby się nie dowiedział, że była grabież, a może i że były pieniądze". Ale czyż to, że ten skrawek papieru leżał na podłodze, jest dowodem, że były pieniądze, i że te pieniądze zrabowano? „Przecież — można mi powiedzieć — Smerdjakow widział je w kopercie". Ale kiedy, kiedy widział je po raz ostatni, o to was się pytam? Rozmawiałem ze Smerdjakowym; powiedział mi, że widział je dwa dni przed katastrofą! Ale dlaczego nie mógłbym przypuścić naprzykład choćby taką okoliczność, że starzec, Fedor Pawłowicz, oczekując z histerycznem zniecierpliwieniem ukochanej kobiety, nagle wyjmuje kopertę i rozpieczętowuje ją: „Co tam koperta, jeszcze może nie uwierzyć, ale jeżeli trzydzieści tęczówek w paczce pokażę, to mocniej podziała, ślnka pocieknie" — i oto rozrywa kopertę, wyjmuje pieniądze, a kopertę rzuca na podłogę, bo przecież nie boi się żadnej poszlaki. Słuchajcie, panowie przysięgli, czy istnieje coś bardziej możliwego od takiego przypuszczenia i takiej interpretacji faktu? Czemuż to niemożliwe? Jeżeli bodaj coś takiego mogło się zdarzyć, to przecież upada ostatecznie oskarżenie o grabież: pieniędzy nie było, nie było więc i grabieży. Jeżeli koperta leżała na podłodze, jako dowód, że były w niej pieniądze, to czemuż nie wolno mi twierdzić czegoś wręcz przeciwnego, mianowicie, że koperta leżała na podłodze, bo w niej nie było pieniędzy, które sam gospodarz był wyjął? „Ale gdzie w takim razie podziały się pieniądze, je-

śli sam gospodarz wyjął je z koperty; przy rewizji nie znaleziono ich w domu?" Po pierwsze w szkatułce znaleziono pewną kwotę, a po drugie, mógł je wyjąć rano, albo i w przeddzień, wydać je, wymienić, zaniechać wreszcie zamiaru, zmienić plan działania, nie uważając za stosowne wtajemniczać w to Smerdjakowa? Bo jeżeli istnieje choćby możliwość takiego przypuszczenia, to jakże można z takim uporem i z taką stanowczością oskarżać podsądnego o zabójstwo w celach grabieży, o zabójstwo istotnie połączone z grabieżą? Wszak tu wkraczamy w dziedzinę fantazji powieściowej. Wszak aby twierdzić, że coś zrabowano, trzeba wskazać tę rzecz, albo przynajmniej dowieść, że ona istniała. Tej rzeczy nikt nawet na oczy nie widział. Niedawno w Petersburgu pewien młodzieniec, wyrostek osiemnastoletni, handlarz uliczny, wdarł się w biały dzień z siekierą w ręku do kantoru wymiany i z niezwykłem, typowem zuchwalstwem zamordował właściciela i zrabował tysiąc pięćset rubli. Nie minęło pięciu godzin, jak go aresztowano, miał jeszcze przy sobie całą gotówkę prócz piętnastu rubli, które zdążył wydać. Oprócz tego subjekt, który wrócił po morderstwie do kantoru, wskazał policji nietylko, ile było pieniędzy, ale i z jakich banknotów i z jakiego bilonu składała się zrabowana suma. Zeznanie jego godziło się z faktami. W dodatku zabójca przyznał się, że zabił i zrabował te właśnie pieniądze. Oto, panowie przysięgli, to, co nazywamy poszlaką! Tu ja wiem, widzę, dotykam tych pieniędzy i nie mogę powiedzieć, że ich niema czy nie było. Ale w naszej sprawie? A przecież rozstrzyga się kwestja życia i śmierci, los człowieka. „Tak — można mi odpowiedzieć — ale przecież hulał całą noc, szastał pieniędzmi, stwierdzono, że miał przy sobie tysiąc pięćset rubli — skądże wziął tę kwotę?" Ale właśnie to, że znaleziono tylko połowę tych pieniędzy, że drugiej połowy w żaden sposób nie można było znaleźć, to właśnie dowodzi, że gotówka, którą podsądny miał przy sobie, nie ma nic wspólnego z pieniędzmi, które miał wrzekomo zrabować. Podczas śledztwa pierwiastkowego ustalono w sposób niewątpliwy ,że podsądny z domu panny Swiet-

łow pobiegł wprost do Perchotina, nigdzie po drodze nie zachodząc, a potem już przez cały czas obracał się śród ludzi, a zatem nie mógł oddzielić od tych trzech tysięcy połowy i schować gdzieś na mieście. Ten właśnie wzgląd upoważniał oskarżyciela do przypuszczenia, że podsądny schował pieniądze w jakiejś szparze w Mokrej. Czemu nie w podziemiach zamku Udolfa, panowie? Cóż, czyż to nie jest fantastyczne, powieściowe przypuszczenie? I zważcie panowie — wystarczy obalić to przypuszczenie o pieniądzach schowanych w Mokrej — a całe oskarżenie o grabież rozpada się momentalnie, bo i gdzie mogło się podziać tysiąc pięćset rubli? Jakim cudem mogła ta kwota zniknąć, skoro wiadomo, że podsądny nigdzie nie zachodził? I na podstawie takich wymysłów powieściowych mielibyśmy zgubić życie ludzkie! Powie mi kto: „a jednak nie mógł wyjaśnić, skąd wziął owe półtora tysiąca, które przy nim znaleziono; bo przecież wiadomo było, że do tej pory odczuwał dotkliwy brak pieniędzy". Komuż to było wiadome? Wszak podsądny złożył jasne i stanowcze zeznanie o tem, skąd wziął pieniądze i, jeżeli chcecie wiedzieć, panowie przysięgli, jeżeli chcecie — to nie można sobie wyobrazić nic bardziej prawdopodobnego od tego zeznania, w dodatku nic bardziej odpowiadającego charakterowi i duszy podsądnego. Oskarżeniu spodobał się własny romans: człowiek słabej woli, który zdecydował się wziąć trzy tysiące, proponowane mu przez narzeczoną, nie mógł odłożyć połowy i schować; owszem, gdyby nawet zaszył w szmatkę, to co drugi dzień rozpruwałby ją i wyjmował po setce, ażby wszystko wyjął w przeciągu miesiąca. Przypomnijcie sobie panowie, że wszystko to było wyłożone tonem, nie dopuszczającym sprzeciwu. A co, jeżeli sprawy zupełnie inaczej się miały, jeżeli pan stworzył romans i swego własnego fikcyjnego bohatera? O to właśnie chodzi, że pan stworzył zupełnie inną osobę! Powie mi kto, być może: „Są świadkowie, którzy mogą stwierdzić, że podsądny przehulał w Mokrej całe trzy tysiące jeszcze miesiąc przed katastrofą, że spłukał się wówczas do ostatniego grosza, a zatem nie mógł od-

łożyć połowy". Ale co to za świadkowie! Stopień ich wiarogodności wyszedł na jaw na przewodzie sądowym. Oprócz tego każdy widzi inaczej; przecież żaden ze świadków nie liczył, a tylko oceniał na oko. Mówił świadek Maksymow, że widział w ręku podsądnego dwadzieścia tysięcy. Widzicie, panowie przysięgli, ponieważ psychologja ma dwa końce, więc pozwólcie mi drugi koniec przyłożyć i zobaczymy, co z tego wypadnie.

Miesiąc przed katastrofą panna Wierchowcew wręczyła podsądnemu trzy tysiące, które miał przesłać pocztą; ale jest kwestja, czy istotnie wręczyła je w okolicznościach tak hańbiących i poniżających, jak to niedawno stwierdzono? Pierwsze zeznanie panny Wierchowcew było inne, zupełnie inne; w drugiem zaś słyszeliśmy jeno krzyki odwetu, złości, krzyki oddawna tajonej nienawiści. Ale już to samo, że pierwsze zeznanie świadka było fałszywe pozwala nam orzec, że drugie zeznanie mogło być fałszywe. Oskarżyciel „nie chce, nie śmie" (to jego słowa) poruszyć tego romansu. Niech i tak będzie, i ja nie będę poruszał, ale jednakże pozwolę sobie zauważyć, że jeżeli czysta i wysoce cnotliwa osoba, jaką jest niewątpliwie szanowna panna Wierchowcew, jeżeli taka osoba, powtarzam, pozwala sobie nagle wobec sądu zmienić pierwsze zeznanie, dążąc wręcz do tego, aby zgubić podsądnego — to sądzić wypada, iż to drugie zeznanie nie było złożone w warunkach bezstronności i rozwagi. Czyż nie wolno mi uznać, że szukająca zemsta kobiety mogła bardzo przesadzić? Tak, właśnie przesadzić ową hańbę i wstyd, z jakim podsądny przyjął pieniądze. Wręcz przeciwnie, trzeba uznać, że pieniądze te były zaproponowane tak, że można je było przyjąć, że mógł je przyjąć zwłaszcza tak lekkomyślny człowiek jak podsądny. Zwłaszcza, że spodziewał się w bliskim czasie otrzymać od ojca należne mu trzy tysiące. Oczywiście, to była lekkomyślność, ale właśnie dzięki swej lekkomyślności zapewniał siebie, że ojciec mu pieniądze da wkońcu, że zatem będzie mógł wysłać zaufaną mu przez pannę Wierchowcew kwotę pod właściwy adres i skwitować się z długu. Lecz oskarżyciel żadną miarą nie chce uznać,

że podsądny mógł tegoż dnia odłożyć połowę otrzymanej kwoty i zaszyć w szmatkę: „Nie taki nibyto charakter, nie mógł tak odczuwać". Ale przecież sam oskarżyciel wołał, że szeroka jest dusza Karamazowa, sam wołał o dwóch przeciwległych otchłaniach, które może oglądać Karamazow. Karamazow to właśnie taka dwustronna natura, która w niepowściągliwym popędzie do orgji może się naraz pohamować, jeśli coś ją uderzy z innej strony. A przecież ta inna strona, miłość — właśnie ta nowa, niedawno powstała miłość, a do tej miłości potrzebne są pieniądze, o wiele bardziej, o wiele bardziej, niż na hulankę z ukochaną. Powie mu ukochana: „Twoją jestem, nie chcę Fedora Pawłowicza" — pochwyci ją i wywiezie — więc musi mieć na to środki. To rzecz ważniejsza od hulanki. Czyżby Karamazow tego nie rozumiał? Przecież to właśnie było jego bolączką, jego frasunkiem, jego troską — jest-że to niewiarogodne, że odłożył cześć pieniędzy i schował na wszelki wypadek? Ale czas mija, Fedor Pawłowicz nie wręcza podsądnemu spodziewanych trzech tysięcy, wręcz przeciwnie, powiada, że przeznaczył tę kwotę dla ukochanej podsądnego, byleby ją do siebie wnęcić. „Jeżeli Fedor Pawłowicz nie da mi tych pieniędzy — myślał podsądny — to będę wobec Katarzyny Iwanownej złodziejem". I wówczas opanowała go myśl, żeby te półtora tysięcy, które schował w torebce, odnieść z powrotem, położyć przed panną Wierchowcew i powiedzieć jej: „Jestem łajdakiem, ale nie jestem złodziejem". I oto już mamy aż dwie przyczyny, dla których chciał strzec tych pieniędzy, jak źrenicy w oku, dla których wzbraniał się rozpruć otrebkę i wyjmować z niej po sto rubli. Dlatego odmawia się podsądnemu poczucia honoru ludzkiego? Nie, poczucie to nurtuje w nim, przypuśćmy, że jest cokolwiek spaczone, nawet bardzo często fałszywe, ale jest, istnieje — tego nam przynajmniej dowiódł. Ale oto sprawa się komplikuje, męczarnie zazdrości stają się w najwyższym stopniu nieznośne, i wciąż te same, te same dwa pytania zarysowują się coraz bardziej męcząco w rozpalonym mózgu podsądnego. „Oddam te pieniądze Katarzynie Iwanow-

nej, to za co wywiozę Gruszeńkę?" Jeżeli tak szalał, jeżeli pił i awanturował się po knajpach przez cały miesiąc, to może tylko dlatego, że było mu tak strasznie na duszy, że nie mógł już tego znieść. Te dwa pytania tak się zaostrzyły, że wtrąciły go w desperację. Posłał młodszego brata do ojca z prośbą o te trzy tysące, ale nie doczekał się odpowiedzi, wtargnął do domu i pobił starca przy świadkach. Po tym fakcie nie mógł już żadną miarą liczyć na ojca. Wieczorem zaś w rozmowie z bratem uderza się w pierś, właśnie tuż pod szyją, gdzie wisi torebka, i przysięga, że ma sposób na to, aby nie być łajdakiem, ale że jednak będzie łajdakiem, albowiem przeczuwa sam, że nie skorzysta z tego środka, nie starczy mu bowiem siły duchowej, nie starczy siły charakteru. Czemuż to, czemu oskarżyciel nie wierzy w zeznanie Aleksego Karamazowa, tak szczerze, tak prawdopodobnie, bezpośrednio, impulsywnie wypowiedziane? Czemu naodwrót każe mi wierzyć w pieniądze, schowane w jakiejś szparze, w podziemiach zamku Udolfa? Tego samego wieczoru po rozmowie z bratem podsądny pisze ten fatalny list, i oto list ten jest głównem najwyraźniejszem oskarżeniem podsądnego o grabież! „Będę się starał wydostać od ludzi, a jak nie dadzą, to pójdę do ojca i rozwalę mu łeb i zabiorę mu z pod poduszki, byleby tylko wyjechał Iwan" — kompletny program zabójstwa, jakże więc nie on? „Stało się jak napisał!" — woła oskarżyciel. Ale po pierwsze, list jest pijany i napisany w straszliwem rozdrażnieniu; po drugie o kopercie powtarza za Smerdjakowym, bo przecież sam tej koperty nie widział, a po trzecie napisał to, owszem, ale czy stało się tak jak napisał, jakże tego dowieść? Czy znalazł pod poduszką kopertę, czy znalazł pieniądze, czy istniały bodaj? I czy po pieniądze pobiegł, przypomnijcie to sobie, przypomnijcie! Pobiegł do ojca nie po pieniądze, ale poto jedynie, aby się dowiedzieć, czy ona tam jest, ta kobieta ukochana — a zatem nie według programu, nie tak jak napisał, to znaczy nie w celu dokonania ukartowanej grabieży, pobiegł nagle, mimowoli, w zazdrosnej furji! „Tak, powiedzą mi zapewne, ale już na miej-

scu po morderstwie zrabował pieniądze". Ależ wreszcie, on zabił czy nie on? Oskarżenie o grabież odrzucam z oburzeniem: nie można oskarżyć o grabież, skoro nie można określić dokładnie, co zrabowano — przecież to pewnik! Ale czy podsądny zabił, zabił nie w celach grabieży? Czy to jest dowiedzione? Czy i to nie jest powieścią?

XII.

I morderstwa nie było.

„Pozwólcie, panowie przysięgli, tu chodzi o życie ludzkie, a zatem zalecić wypada najwyższą ostrożność. Słyszeliśmy, jak oskarżyciel sam zaświadczył, że do ostatniego dnia, do dziś, do dnia sądu wahał się, czy oskarżyć podsądnego o premedytację, wahał się aż do fatalnego, „pijanego" listu, który dziś nam przedstawiono. „Stało się jak napisał!" Ale znowu powtarzam: podsądny pobiegł za nią, za nią, jedynie poto, aby się dowiedzieć, gdzie ona jest! Wszak to jest fakt, nie ulegający żadnym wątpliwościom. Gdyby ona była w domu, nie pobiegłby nigdzie, zostałby przy niej i nie zrobił tego, co przyrzekł zrobić w liście. Pobiegł nagle i mimowoli, i o liście swym „pijanym" wcale może nie pamiętał. „Schwyciłem tłuczek" — pamiętacie, jak na temat tego tłuczka zbudowano całą psychologję, że niby musiał chwycić ten tłuczek jako narzędzie zbrodni i t. d. Tu wpada mi do głowy pewna najzwyklejsza myśl: co gdyby ten tłuczek nie leżał na widocznem miejscu, na półce, gdyby leżał naprzykład w kredensie — podsądny, nie zauważywszy go, pobiegłby bez narzędzia, z pustemi rękami i wtedy nie byłby nikogo zabił. Jakimże sposobem mogę uważać tłuczek za dowód premedytacji? Tak, ale podsądny krzyczał po knajpach, że zabije ojca, a w dwa dni wcześniej wieczorem, kiedy napisał list pijany, był cichy i pokłócił się w knajpie tylko z jakimś subjektem, „bo Karamazow nie mógł się nie pokłócić". A ja na to odpowiem, że jeżeli już postanowił sobie takie morderstwo i w dodatku ukartował

je i uplanował, to nawet z subjektemby nie zadarł i wogóle nie przyszedł do knajpy, bo dusza, która ma takie zamiary, szuka ciszy i spokoju, pragnie zniknąć, żeby nikt jej nie widział i nikt nie słyszał: „zapomnijcie o mnie, jeśli możecie" — i to nie z wyrachowania, lecz z instynktu. Panowie przysięgli, psychologja ma dwa końce i my też potrafimy zrozumieć psychologję. Co się tyczy tych wszystkich krzyków i pogróżek po knajpach, to ileż to razy grożą dzieci albo pijani hultaje, wychodząc z knajpy i kłócąc się ze sobą: „zabiję cię", a jednak nie zabijają. I sam ów list fatalny — czy to nie pijana irytacja, nie krzyk wychodzącego z knajpy hulaki: „zabiję wszystkich was, zabiję!" Czemu nie tak, czemu nie mogło być tak? Dlaczego list ten jest fatalny, a nie naodwrót — śmieszny? A dlatego, że znaleziono zwłoki zabitego ojca, dlatego, że świadek widział podsądnego w ogrodzie, uzbrojonego i uciekającego i sam został uderzony, zatem wszystko to się stało, jak podsądny napisał, i list ów nie jest śmieszny, lecz fatalny. Dzięki Bogu, doszliśmy do punktu „ponieważ był w ogrodzie, więc on zabił". W tych słowach: ponieważ *był*, to już koniecznie *więc* — wyczerpuje się sens oskarżenia: był, więc zabił. Ale jeżeli nie więc, chociaż był? O, godzę się, że zbieg faktów jest istotnie dosyć wymowny. Ale zbadajcie panowie wszystkie te fakty pojedyńczo: czemu akt oskarżenia w żaden sposób nie chce przypuścić, że zeznania podsądnego są prawdziwe, że istotnie uciekł od okienka ojcowskiego? Przypomnijcie sobie sarkazm, z jakim oskarżyciel mówi o „zbożnych" i roztropnych uczuciach, które nagle opanowały mordercę. A co jeżeli istotnie coś takiego było? „Zapewne matka modliła się za mnie w tej chwili" — rzekł w śledztwie pierwiastkowem podsądny, i oto umknął, ledwie się przekonał, że ukochanej niema u ojca. „Ale przecież ne mógł się przekonać przez okno" — powiada oskarżyciel. A dlaczegoż nie mógł? Wszak otworzono mu okno, skoro wystukał znaki. Fedor Pawłowicz mógł w owej chwili wypowiedzieć takie jedno słówko, że podsądny miał okazję odrazu się przekonać, że niema panny Swietłow. Dlaczego mamy tak przypuszczać jak przypuszczamy, jak chcemy przypuszczać? W rzeczy-

wistości tysiąc wątków może się krzyżować, których nie dostrzeże najsubtelniejszy powieściopisarz. „Tak, ale Grzegorz widział otwarte drzwi, a zatem podsądny napewno wszedł do pokoju, a skoro wszedł to i zabił". O tych drzwiach, panowie przysięgli... Widzicie panowie, o otwartych drzwiach świadczy tu osoba, która jednakże była wówczas w takim stanie, że... Ale przypuśćmy, przypuśćmy, że drzwi były otwarte, przypuśćmy, że podsądny zapiera się, skłamał z popędu samozachowawczego, tak zrozumiałego w jego sytuacji, przypuśćmy, że był, to czyż musiał koniecznie zabić? Mógł wtargnąć, mógł odepchnąć ojca, mógł nawet pobić ojca, ale, upewniwszy się, że panny Swietłow niema, ucieka rad, że jej niema, i że ucieka, nie zabiwszy nikogo. Właśnie dlatego może zeskoczył po minucie do przypadkowo uderzonego Grzegorza, że był w stanie odczuwać czyste uczucie, uczucie litości i żalu, że uciekł od pokusy, nie zabił ojca, że czuł w sobie serce czyste i radość, że nie zabił. Wymownie opisał nam oskarżyciel straszliwy stan podsądnego w Mokrej, gdy nagle objawiła mu się miłość, wzywając do nowego życia, i kiedy? — kiedy miłość ta była już uniemożliwiona, bo za nią był krwawy trup ojca, a za trupem — kara. A jednak oskarżyciel uznał miłość, którą tłumaczy po swojemu: czmer, przestępcę wiozą na stracenie, jeszcze długo ma czekać i t. d. Ale czy bohater stworzony przez pana, panie prokuratorze, jest tą samą osobą, co podsądny? Czy aż tak brutalny i bezduszny jest podsądny, że mógł w tej chwili jeszcze myśleć o miłości, o wykrętach, o ile istotnie splamił się krwią ojcowską? Nie, nie i nie! Ledwo się okazało, że ona go kocha, wzywa do siebie, przyrzeka mu nowe szczęście — o przysięgam, że powinien był w sobie poczuć o wiele, o wiele mocniejszą potrzebę śmierci samobójczej, powinien był bezwzględnie zabić siebie, o ile istotnie miał na sumieniu śmierć ojca! O nie, nie zapomniałby, gdzie leżą pistolety! Znam podsądnego: dzika drewniana bezduszność, której w nim dopatruje się oskarżyciel, jest obca jego naturze. Zabiłby się, to nie ulega wątpliwości: ne zabił się właśnie dlatego, że „matka modliła się zań" i na sercu jego nie ciążyło ojcobójstwo. Męczył się,

rozpaczał owej nocy w Mokrej z powodu starego Grzegorza i błagał Boga, aby stary ocknął się, aby uderzenie nie było śmiertelne, aby minęła go kara. Czemuż nie uznać tej interpretacji faktów? Jaki mamy dowód, że podsądny kłamie? A zwłoki ojca — odpowie mi kto — uciekł, nie zabił, więc któż zabił starca?

Powtarzam, tu ogniskuje się cała logika oskarżenia: któż zabił jeśli nie on? Niema kogo postawić na jego miejscu. Panowie przysięgli, czy tak jest istotnie? Czy już istotnie niema kogo postawić na jego miejscu? Słyszeliśmy, jak oskarżyciel wyliczał na palcach wszystkich, którzy tej nocy byli w tym domu. Znalazło się pięć osób. Trzy, przyznaję to, odpadają: zamordowany, stary Grzegorz i jego żona. Zostaje zatem podsądny i Smerdjakow, i oto oskarżyciel z patosem woła, że podsądny dlatego posądzał Smerdjakowa, że nie było innego kozła ofiarnego, i że gdyby była jakaś szósta osoba, to podsądny wstydziłby się posądzić Smerdjakowa i wskazałby na ową szóstą osobę. Stoją dwaj: podsądny i Smerdjakow — czyż nie mogę powiedzieć, że oskarżacie mego klienta tylko dlatego, że nie macie kogo oskarżyć? A nie macie nikogo innego, ponieważ zgóry wyłączyliście Smerdjakowa. Tak, prawda, Smerdjakowa posądza jedynie sam podsądny, obaj jego bracia i panna Swietłow. Ale jest jeszcze coś, co go potępia: to jakieś fermentowanie, niejasne coprawda, jakegoś pytania, jakiegoś podejrzenia, jakieś dymy,—to wyczuwa się jakieś oczekiwanie. Nakoniec świadczy o tem pewien zbieg faktów bardzo charakterystyczny, chociaż, przyznaje, niewyraźny: po pierwsze, ten atak padaczki właśnie w dniu katastrofy, atak, którego prawdziwości z taką żarliwością bronił pan prokurator. Następnie niemniej nieoczekiwane zeznanie starszego brata podsądnego dzisiaj w sądzie, człowieka, który dotychczas wierzył w winę podsądnego, ale naraz przybył z pieniędzmi i znowu wskazał na Smerdjakowa jako mordercę? O, jestem aż zbyt przeświadczony wraz z wysokim sądem i prokuraturą, że Iwan Karamazow jest chory i ma gorączkę, że zeznanie jego istotnie mogło być desperacką próbą uratowania brata, powziętą w gorączce. Ale jednakowoż nazwisko Smerdjakowa było

wymienione, jednakowoż znowu słyszy się coś tajemniczego. Czegoś jakby niedopowiedziano, panowie przysięgli. I może się jeszcze dopowie. Ale porzućmy to chwilowo, do tego wrócimy. Sąd postanowił kontynuować posiedzenie, ale teraz, tymczasem mógłbym naprzykład zrobić uwagę w kwestji charakterystyki nieboszczyka Smerdjakowa, tak subtelnie i z takim talentem nakreślonej przez oskarżyciela. Podziwiając ów talent, nie mogę się jednak zgodzić z charakterystyką. Byłem u Smerdjakowa, widziałem i mówiłem z nim, wywarł na mnie zgoła inne wrażenie. Jeżeli chodzi o zdrowie — to prawda, był bardzo osłabiony, ale charakter, ale serce — o, nie, to wcale nie był słaby człowiek, jak mniema o nim oskarżyciel. Prostoduszności też w nim śladu nie było, naodwrót stwierdziłem straszną nieufność, utajoną pod pozorami naiwności, i umysł wcale nie głupi. O! pan prokurator zbyt pohopnie uznał go za idjotę. Na mnie bowiem wywarł on inne zgoła wrażenie: wyszedłem od niego przekonany, że to stanowczo złośliwa, nad wyraz ambitna, mściwa i zawistna natura. Zasięgnąłem różnych informacyj: z nienawiścią myślał o swojem pochodzeniu, wstydził się go i ze zgrzytaniem zębów wspominał, że „urodził się ze Smerdjaszczej". Bez szacunku odnosił się do służącego Grzegorza i jego żony, tych opiekunów jego dzieciństwa. Rosję przeklinał i szydził z niej. Marzył o wyjeździe do Francji, chciał się przewierzgnąć we Francuza. Często mówił, że na przeszkodzie stoi tylko brak środków. Zdaje mi się, że nikogo prócz siebie nie lubił, i niezwykle się cenił. Kulturę utożsamiał z elegancką odzieżą, czystym półkoszulkiem i wypucowanem obuwiem. Mając się sam (na to są fakty) za naturalnego syna Fedora Pawłowicza, z nienawistnem oburzeniem myślał o różnicy między nim a innemi dziećmi swego pana: oni wszystko mają, a on nic, oni wszystkie prawa, oni spadek dostaną ,a on jest tylko kuchcikiem. Powiedział mi, że sam wraz z Fedorem Pawłowiczem włożył pieniądze do koperty. Cel tej kwoty — kwoty, która mogłaby mu stworzyć karjerę — był mu nienawistny. W dodatku zobaczył trzy tysiące rubli w jasnych tęczowych banknotach (specjalnie go o to pytałem). O, nie pokazuj-

cie nigdy zawistnemu i ambitnemu człowiekowi dużej kwoty naraz, — Smerdjakow zaś po raz pierwszy ujrzał taką kwotę w jednej ręce. Paczka ta mogła zrazu wywrzeć chorobliwe wrażenie na jego wyobraźni. Wysoce utalentowany oskarżyciel z niezwykłą subtelnością nakreślił nam wszystkie pro i contra przypuszczenia o możliwości winy Smerdjakowa i specjalnie się pytał: poco ów miał symulować padaczkę? Ale przecież mógł nie symulować, mógł dostać ataku zupełnie naturalnie, ale mógł się też ocknąć zupełnie naturalnie. Przypuśćmy: nie wyleczyć się, lecz jednak ocknąć, jak to bywa w takich wypadkach. Oskarżenie pyta: gdzie jest moment, kiedy Smerdjakow mógł dokonać zbrodni? Ale przecież bardzo łatwo jest wskazać ten moment. Mógł się ocknąć i obudzić z głębokiego snu (albowiem spał wówczas; po ataku padaczki zawsze wpada się w głęboki sen), obudzić się właśnie w momencie, kiedy stary Grzegorz, chwyciwszy za nogę uciekającego podsądnego, wrzasnął na całe gardło: „Ojcobójca!" Krzyk był bardzo głośny zwłaszcza śród tej ciszy dookolnej, i mógł obudzić Smerdjakowa, który o tej porze może już nie spał tak mocno; naturalną koleją rzeczy Smerdjakow mógł się zacząć budzić o godzinę wcześniej. Wstał i prawie nieświadomie bez żadnych intencyj wyszedł zobaczyć, co się dzieje. W głowie czuje jakiś straszny czad, rozwaga jego drzemie; wchodzi do ogrodu, zbliża się do oświetlonych okien i słyszy straszliwą wiadomość od pana swego, który oczywiście bardzo się ucieszył z jego przyjścia. Od przerażonego pana dowiaduje się wszystkich szczegółów. I oto stopniowo w rozstrojonym i chorym jego umyśle wylegla się myśl — straszna lecz kusząca i logiczna: zabić, zabrać trzy tysiące i zwalić całą winę na panicza: kogoż bedą posądzać, jak nie panicza, kogo obwinią, jak nie jego, skoro tu był? Opętała go żądza pieniędzy i pewność bezkarności. O, te nagłe i nieodparte porywy, jakie często nawiedzają tego rodzaju morderców, tego rodzaju morderców, którzy do ostatniej chwili nie wiedzą, iż chcą zabić! I oto Smerdjakow mógł wejść do pokoju i wykonać swój zamiar — czem, jakiem narzędziem? — a bodaj pierwszym lepszym kamieniem, znalezionym w ogro-

dzie. Lecz poco, w jakim celu? A trzy tysiące? Przecież to karjera! O! nie przeczę sobie: pieniądze mogły istnieć. I może nawet tylko Smerdjakow wiedział, gdzie je znaleźć, gdzie one w istocie leżą. „No, a koperta, a podarta, na podłodze leżaca koperta?“ — zapyta mnie kto. Pan prokurator, mówiąc o tej kopercie, wyłożył swój bardzo subtelny pogląd na tę sprawę, że niby zostawić na podłodze tę kopertę mógł tylko złodziej nie zwyczajny, taki jak Karamazow, w każdym razie nie Smerdjakow, któryby nie zostawił po sobie takiej poszlaki — otóż, kiedy pan prokurator o tem mówił, wydało mi się, że słyszę coś znajomego. Bo wyobraźcie sobie, panowie przysięgli, ten domysł o tem, jakby postąpił z kopertą Karamazow, słyszałem już dwa dni temu od samego Smerdjakowa. Co więcej zastanowił mnie on wówczas: wydało mi się, że Smerdjakow umyślnie udaje naiwnego, że narzuca mi tę myśl, że stara się, abym ja ją sam wywiódł, że mi poprostu podpowiada. Czy aby nie podpowiedział tej myśli również śledztwu? Czy aby nie narzucił jej wysoce utalentowanemu oskarżycielowi? Powiedzą mi może: a stara żona Grzegorza? Wszak słyszała, jak chory jęczał całą noc. Tak, słyszała, ale cóż to za dowód! Znałem pewną damę, która stale się żaliła, że pies całą noc nie daje spać. A wiadomo, że biedny piesek szczekał dwa czy trzy razy w ciągu nocy. To rzecz zupełnie naturalna: człowiek śpi i naraz słyszy jęk, budzi się rozgniewany i momentalnie znowu zasypia. Po dwóch godzinach znowu jęk, znowu się budzi i znowu zasypia. Wreszcie znowu po dwóch godzinach jęk i tak ze trzy razy przez noc. Nazajutrz skarży się, że ktoś całą noc jęczał i ciągle go budził. Tak być musi: przerw dwugodzinnych między jękami zapomniał, bo spał, pamięta zaś tylko minuty obudzenia, i oto zdaje mu się, że go całą noc budzono. Ale czemu, czemu — woła oskarżenie — Smerdjakow nie przyznał się do winy w liście przedśmiertnym? „Na tamto starczyło mu sumienia, a na to nie“. Ale powiedzcie panowie, sumienie to skrucha, samobójca zaś mógł nie odczuwać skruchy, jeno rozpacz. Rozpacz a skrucha, to są dwie rzeczy odrębne. Rozpacz może być złośliwa i i nie-

pojednawcza; samobójca może w chwili samobójstwa ze spotęgowaną siłą nienawidzieć tych, którym całe życie zazdrościł. Panowie przysięgli, strzeżcie się sądowej pomyłki! Czy jest coś nieprawdopodobnego w moim wykładzie, w mojej interpretacji? Znajdźcie błąd w mojem rozumowaniu, znajdźcie niemożliwość, nonsens! Ale jeśli jest bodaj cień możliwości, cień prawdopodobieństwa w moich przypuszczeniach, to nie ferujcie skazującego wyroku! A czy jest tylko cień? Przysięgam na wszystko co święte, że wierzę absolutnie w dopiero co przedstawioną wam interpretację faktów. A rzecz najważniejsza, konfuduje mnie i wytrąca z równowagi wciąż ta sama myśl, że w tem mnóstwie faktów, zebranych przez oskarżenie, niema ani jednego w pewnej przynajmniej mierze dokładnego i nieodpartego, i że jeżeli zginie nieszczęsny, to jedynie z ilości tych faktów. Tak, ta ilość jest straszliwa: ta krew, ta z palców cieknąca krew, koszula skrwawiona, ta nocka ciemna, której ciszę zakłóca okrzyk: „ojcobójca!" i wierny sługa, rażony tłuczkiem, i to mnóstwo zapowiedzi, słów, gestów, krzyków — o, to wszystko tak działa, tak może przekupić przekonanie, ale czy wasze, czy wasze przekonanie można przekupić, panowie przysięgli? Uprzytomnijcie sobie, że dano wam nieograniczoną władzę nad losem człowieka. Lecz im większa jest władza, tem straszliwsze jej zastosowanie! Ani na jotę nie odstąpię od mego przeświadczenia, ale przypuśćmy, przypuśćmy, że i ja na chwilę godzę się z oskarżeniem, że nieszczęsny mój klijent splamił ręce krwią ojcowską. To tylko przypuszczenie, powtarzam, ani chwili nie wątpię o niewinności podsądnego, lecz niech i tak będzie, przypuśćmy, że podsądny winien jest ojcobójstwa ale wysłuchajcie mego słowa, choćbym nawet przypuścił winę podsądnego. Serce mi każe powiedzieć wam jeszcze coś, bo czuję i w waszych sercach i umysłach wielką walkę... Wybaczcie mi, panowie przysięgli, — te słowa o waszych sercach i umysłach... Ale chcę być szczerym i prawdomównym do końca. Bądźmyż wszyscy szczerzy!"

W tej chwili przerwały mu huczne oklaski. Istotnie ostatnie swoje słowa wypowiedział z takim akcentem szcze-

rości, że wszyscy poczuli, iż w rzeczy samej ma coś istotnego do powiedzenia, iż to, co zaraz powie, będzie może najważniejsze. Wszakże prezes oburzył się i zagroził, że każe „opróżnić" salę, jeśli jeszcze raz powtórzy się „podobny incydent". Wszystko ucichło, i Fetiutkiewicz podjął przerwaną mowę jakimś nowym przejętym głosem, innym, niż dotychczas.

XIII.

Porubca myśli.

„Nietylko ta ilość obciążających faktów gubi mego klijenta, panowie przysiegli — podjął obrońca — nie, w istocie klijenta mego gubi jeden tylko fakt: trup ojca! Gdyby to było zwykłe zabójstwo, to wobec błahości, fantastyczności i wieloznaczności każdego z tych faktów zosobna, bylibyście panowie zapewne odrzucili oskarżenie, nie chcielibyście zgubić człowieka jedynie dlatego, że jesteście do niego uprzedzeni, tak słusznie niestety! Ale tu zachodzi wypadek nie zwykłego zabójstwa lecz ojcobójstwa! To działa i to do takiego stopnia, że nawet nikłość i niepewność obciążających faktów wydaje się mniej nikłą i niepewną, a wydaje się mniej nikłą i niepewną nietylko umysłom uprzedzonym. I jak tu uniewinnić takiego podsądnego? A co jeżeli naprawdę zabił i zbrodnia będzie nieukarana — oto uczucie, które nurtuje w każdem sercu przynajmniej instynktownie, mimowoli. Tak — straszną to rzecz przelać krew ojcowską — krew tego, który cię urodził, który cię kochał, który życia swego dla cię nie żałował, który od najwcześniejszego dzieciństwa bolał nad twemi chorobami, który całe życie cierpiał dla twego szczęścia i żył twojemi radościami i postępami! O, zabić takiego ojca — przecież tego nawet pomyśleć nie można! Panowie przysięgli, czemże jest ojciec, prawdziwy ojciec, cóżto za słowo tak wielkie, jaka strasznie wielka idea w słowie tem? Wskazaliśmy mimochodem przed chwilą, czem jest i powinien być prawdziwy ojciec. Ale w danym

wypadku, który nas wszystkich zajmuje, który bolesny odzew budzi w naszych duszach, — w tej sprawie ojciec, nieboszczyk Fedor Pawłowicz Karamazow, przecież nic nie miał wspólnego z przed chwilą nakreślonym, z serca wydartym obrazem prawdziwego ojca. A to jest wielkie nieszczęście. Tak, i niejeden ojciec jest takiem nieszczęściem. Przyjrzyjmy się więc temu nieszczęściu — wszak nie trzeba się niczego obawiać, panowie przysięgli, gdy chodzi o tak ważne rozstrzygnięcie. Szczególnie teraz nie powinniśmy się bać i opędzać się ideom poniektórym jak dzieci lub lękliwe kobiety, jak to fortunnie określił wysoce utalentowany oskarżyciel. Lecz w gorącej swej przemowie szanowny mój adwersator (adwersator zanim nawet wypowiedziałem swoje pierwsze słowo), szanowny mój adwersator kilkakrotnie zawołał: „Nie, nikomu nie odstąpię obrony podsądnego, nie odstąpię tej obrony samemu obrońcy, który przyjechał z Petersburga — jestem zarazem oskarżycielem i obrońcą!" Tak kilkakrotnie zawołał, ale jednak zapomniał napomknąć, że jeżeli straszny nasz podsądny dwadzieścia trzy lata podtrzymywał w sobie wdzięczność za jeden funt orzechów, otrzymany od jedynego człowieka, który go w dzieciństwie w domu rodzicielskim popieścił, to przecież, rzecz jasna, nie mógł taki człowiek nie pamiętać, przez te dwadzieścia trzy lata, jak poniewierał się u ojca „bez obuwia i ze spodenkami na jednym guziku" jak się wyraził wielce humanitarny pan doktór Hertzenstube. O, panowie przysięgli, pocóżbyśmy się mieli przyjrzeć zbliska temu nieszczęściu, powtarzać to, co już wszyscy znają! Kogóż to spotkał mój klient, gdy przyjechał do tego ojca? I pocóż, pocóż określać go jako nieludzkiego egoistę, potwora! Jest niepowściągliwy, to prawda, jest dziki i rozpętany, i teraz właśnie sądzimy go za te wady, ale kto jest winien, kto winien, że mając dobre popędy, że mając wrażliwe i wdzięczne serce, odebrał tak niedorzeczne wychowanie? Czy go kto uczył rozumu, czy go kto kształcił umysłowo, czy lubił go kto w dzieciństwie? Mój klijent rósł na łasce Bożej, czyli jak zwierz dziki. Może pragnął widzieć się z ojcem po tak długiej rozłące, może tysiąckrotnie przypominając sobie

dzieciństwo, odpędzał szkaradne mary przeszłości i całą duszą pragnął usprawiedliwić i uścisnąć ojca! I cóż? Witają go z cynicznem szyderstwem, z podejrzliwością, z wykrętami w kwestji spornych pieniędzy; słyszy sentencje mądrości życiowej, która przejąć może obrzydzeniem, słyszy to codzień przy „koniaczku" i wreszcie jest świadkiem tej ohydy, że ojciec za pieniądze syna odbija mu kochankę — o, panowie przysięgli, to ohyda i okrutna ohyda! I tenże starzec skarży się przed wszystkimi na nieposłuszeństwo i okrutność syna, oczernia go w towarzystwie, szkodzi mu, spotwarza, wykupuje jego weksle, aby go móc do więzienia wtrącić! Panowie przysięgli, takie dusze, tacy napozór okrutni, rozpasani i niepohamowani ludzie jak mój klijent mają najczęściej bardzo wrażliwe i czułe serca, tylko że tego nie objawiają. Nie śmiejcie się, nie śmiejcie się z mojej uwagi! Utalentowany oskarżyciel drwił z mego klijenta bezlitośnie, powiadając, że ów lubi Szyllera, miłuje „piękno i wzniosłość". Nie kpiłbym z tego na jego miejscu, na miejscu oskarżyciela! Tak, te serca — o pozwólcie mi wziąć w obronę te serca, tak rzadko i tak niesprawiedliwie rozumiane — te serca bardzo często łakną tkliwości, piękna i sprawiedliwości, i właśnie niejako przez kontrast do siebie, do własnego okrucieństwa, niepowściągliwości — łakną może bezwiednie, ale przecie łakną. Namiętne i okrutne nazewnątrz mogą do męki ukochać naprzykład kobietę, i ukochać duchową i wyższą miłością. Nie śmiejcie się znowu ze mnie: tak się najczęściej zdarza tym ludziom. Nie potrafią tylko maskować swej namiętności, czasem bardzo pospolitej — i to się widzi, to się spostrzega odrazu, do ludzkiego zaś serca nikt nie zagląda. Wszystkie ich namiętności prędko się zaspokajają. Wszakże u boku szlachetnej pięknej istoty ów tak napozór grubjański i okrutny człowiek szuka odnowy, szuka możliwości poprawy, chce zostać lepszym, uczciwszym i wyższym „pięknym i wzniosłym", jakkolwiek to słowo jest ośmieszone! Mówiłem poprzednio, że nie pozwolę sobie potrącić o romans mego klijenta z panną Wierchowcew! Ale jednak pół słówka mogę dorzucić: słyszeliśmy poprzednio nie zeznanie, lecz krzyk nieprzytomny szukającej zemsty

kobiety, i nie ona przecie, nie ona ma prawo zarzucić mu zdradę, bo sama zdradziła. Gdyby miała trochę czasu, aby się zastanowić i opamiętać, nie byłaby złożyła takiego zeznania! O, nie wierzcie jej, nie, klijent mój nie jest „potworem", jak go nazywała! Wielki Lubownik człowieczeństwa, idąc na krzyż swój, mówił: „Jam pasterz dobry, pasterz dobry oddaje duszę swą za owce, by żadna nie zginęła!". Nie gubmy więc duszy ludzkiej! Pytałem poprzednio, cóż to jest ojciec i zawołałem, że to wielkie słowo. Ale ze słowem, panowie przysięgli, trzeba się obchodzić rzetelnie, więc pozwolę sobie nazwać rzecz po imieniu: taki ojciec jak nieboszczyk stary Karamazow nie może się nazywać ojciem i niegodny jest tej nazwy. Miłość syna dla ojca nieusprawiedliwiona przez ojca jest niemożliwością i nonsensem. Niepodobna stworzyć miłości z niczego. Z niczego tylko Bóg tworzył. „Ojcowie, nie martwcie dzieci swoich"— pisze w natchnieniu płomiennego serca swego apostoł. Nie gwoli kljenta mego przytaczam te słowa, bo przypominam je wszystkim ojcom. Lecz któż mi dał prawo do pouczania ojców? Nikt. Ale jako człowiek i obywatel wołam — vivos voco! Nie długo żyjemy na ziemi, zostawiamy po sobie wiele złych uczynków i wiele złych słów. A przeto łowić trzeba sposobną chwilę naszego obcowania, żeby nawzajem sobie dobre słówko powiedzieć. Tak też ja: póki stoję na tem miejscu, korzystam z tej chwili. Nienapróżno trybunę tę darowała nam wola najwyższa — z tej trybuny słyszy nas cała Rosja. Nietylko do tutejszych ojców, bo do wszystkich, wszystkich ojców wołam: „Ojcowie, nie martwcie swoich dzieci!". Tak, przedewszystkiem czyńmy sami zadość przykazaniom Chrystusowym, a dopiero potem będziemy mogli tegoż wymagać od dzieci naszych! Bo inaczej jesteśmy nie ojcami, lecz wrogami dzieci naszych, a one są nie dziećmi, lecz wrogami naszemi i to z naszej winy! „Jaką miarką mierzycie, taką wam odmierzone będzie" — to już nie ja mówię, to ewangielja nakazuje: mierzyć tą miarką, którą ci odmierzają. Jakże potępiać dzieci, które mierzą naszą miarką? Niedawno w Finlandji dziewczynę jakąś, służącą, posądzono o to,

że potajemnie urodziła dziecko. Zaczęto ją śledzić i wkońcu na strychu w kącie znaleziono jej kufer, o którego istnieniu nikt nie wiedział, w kufrze zaś leżał trupek zabitego noworodka. Ale nie ten jeden leżał, bo znaleziono jeszcze dwa szkieleciki dawniej urodzonych niemowląt, zamordowanych zaraz po połogu. Panowie przysięgli, czyż godzi się ją nazywać matką swoich dzieci? Tak, ona je powiła, ale czy jest matką? Czy ośmieli się kto nazwać ją świętem mianem matki? Bądźmy śmiali, panowie przysięgli, bądźmy zuchwali nawet, to nasz obowiązek w tej chwili, nie lękajmy się poniektórych słów i myśli na podobieństwo straganiarek moskiewskich, które boją „metalu" i „siarki". Nie, powinniśmy dowieść, że progres lat ostatnich nie ominął nas, i powiedzieć wręcz: rodzic nie jest jeszcze ojcem, ojcem jest ten, który urodził i zasłużył na to miano. O, rozumie się jest jeszcze inne znaczenie, inna interpretacja słowa ojciec, która wymaga, aby ojciec, choćby był potworem, choćby był krzywdzicielem swoich dzieci, był mimo to moim ojcem, jedynie przez to, że mnie urodził. Ale to znaczenie jest już, że tak rzeknę, mistyczne, którego pojąć nie potrafię, w które mogę tylko wierzyć, albo, wyrażając się ściślej, które mogę przyjąć *na wiarę*, na podobieństwo wielu innych rzeczy, których rozumem objąć nie mogę a w które religja każe mi jednak wierzyć. Ale w takim razie niechże to zostanie poza dziedziną rzeczywistego życia. Bo w dziedzinie rzeczywistego życia, które ma nietylko swoje prawa, ale i samo nakłada wielkie obowiązki, w tej dziedzinie, jeżeli chcemy być humanitarni, jeśli chcemy wreszcie być chrześcijanami, to powinniśmy i obowiązani jesteśmy urzeczywistniać tylko te twierdzenia, które są uprawnione rozumem i doświadczeniem, które przeszły przez alembik analizy, słowem powinniśmy działać rozsądnie, nie jak we śnie, żeby nie czynić szkody człowiekowi, żeby nie dręczyć i gubić człowieka. Oto, oto wówczas będzie to prawdziwym chrześcijańskim czynem, nie mistycznym, lecz rozumnym i już prawdziwie humanitarnym...".

W tem miejscu zerwała się burza oklasków z wielu kątów sali, lecz Fetiukowicz żachnął się i nawet wymachiwał

rękoma, jakby błagając, aby mu nie przerywano. Znowu zaległa cisza. Orator podjął:

„Czy myślicie, panowie przysięgli, że tego rodzaju pytania nie narzucają się naszym dzieciom naszej młodzieży, która zaczyna już myśleć? Tak być musi, i nie wymagajmy od nich tej niemożliwej powściągliwości! Ojciec niegodny, zwłaszcza gdy się go zestawia z innymi ojcami — godnymi, mimowoli nasuwa- młodzieńcowi męczące pytania. Zbywa się go papierową odpowiedzią: „on cię urodził, krwią jesteś jego krwi, a przeto powinieneś go kochać". Młodzieniec mimowoli namyśla się: „Tak, ale czy mnie kochał, kiedy mnie rodził, zapytuje siebie, dziwiąc się coraz bardziej: nie znał mnie w tej chwili, w chwili namiętności może podsyconej winem, i co najwyżej przekazał mi dziedzicznie alkoholizm — oto i wszystkie jego dobrodziejstwa... Dlaczegoż mam go kochać, czy za to, że mnie urodził, a potem całe życie nie dbał o mnie". O, być może będziecie uważać te pytania za grubjańskie, okrutne, ale nie wymagajcie od młodego umysłu niemożliwej powściągliwości. Naturę wypędzisz oknem a wróci drzwiami — a przedewszystkiem nie bójmy się „metalu" i „siarki" i rozstrzygnijmy zagadnienie jak nam nakazuje rozum i humanitaryzm, a nie jak każą mistyczne pojęcia. Lecz jak rozstrzygnąć je? A tak: niech syn stanie przed ojcem swym i zapyta go z całą świadomością: „Ojcze, powiedz mi, dlaczego powinienem cię kochać?" — i jeżeli ów ojciec będzie mógł odpowiedzieć i dowieść mu — to będzie to prawdziwa normalna rodzina, oparta nie tylko na mistycznym przesądzie, lecz na podstawach rozumnych, świadomych i humanitarnych. W przeciwnym razie, jeśli ojciec nie dowiedzie — wtedy źle z rodziną: ojciec nie jest ojcem, a syn ma prawo uważać ojca w przyszłości za obcego człowieka, a nawet za wroga. Nasza trybuna, panowie przysięgli, powinna być szkołą prawdy i zdrowych pojęć!".

Tu oratorowi znowu przerwał niepowstrzymany wybuch prawie nieprzytomnych oklasków. Oczywiście, nie wszyscy oklaskiwali, ale bądź co bądź oklaskiwała połowa sali, zarówno ojcowie jako też matki. Zgóry, gdzie siedziały ko-

biety, rozległy się okrzyki i piski. Machano chusteczkami. Prezes zaczął bardzo energicznie dzwonić. Był widocznie bardzo zirytowany, ale nie śmiał „opróżnić" sali, jak to zapowiedział, oklaskiwali bowiem oratora nawet dygnitarze, siedzący w głębi na specjalnie ustawionych krzesłach, staruszkowie z gwiazdami na frakach; to też, ledwo ucichło, prezes przypomniał ponownie swoją groźbę, triumfujący zaś i podniecony Fetiukowicz znowu podjął swą mowę:

„Panowie przysięgli, pamiętacie ową straszną noc, o której tak wiele jeszcze dziś się mówiło, kiedy syn wtargnął do domu ojcowskiego i stanął oko w oko przed swoim rodzicem — wrogiem i krzywdzicielem. Powtarzam z całym naciskiem: — przyszedł nie po pieniądze w owej chwili; oskarżać go o grabież to absurd, jak to już poprzednio wyjaśniłem. I wtargnął też nie poto, aby zabić: gdyby miał ten zamiar, toby przynajmniej zawczasu uzbroił się w jakieś narzędzie, bo przecież tłuczek chwycił zgoła instynktownie. Przypuśćmy, że oszukał ojca znakami, przypuśćmy, że wtargnął do niego — powiedziałem, że ani chwili nie wierzę w tę legendę, ale niech i tak będzie, przypuśćmy to na chwilę! Panowie przysięgli, przysięgam na wszystko co święte, gdyby to był nie ojciec jego, lecz ktoś obcy, obcy krzywdziciel, to podsądny przeszukałby tylko dom, i stwierdziwszy, że ukochanej niema, wybiegł natychmiast, nic złego nie uczyniwszy swemu rywalowi; możeby go uderzył, szturchnął, ale to wszystko, albowiem nie to go zajmowało, przedewszystkiem musiał wiedzieć, gdzie jest ona. Ale ojciec, ojciec — o, wszystko to zrobił tylko widok ojca, nienawidzonego od dzieciństwa, wroga, krzywdziciela — a teraz to i potwornego rywala! Nienawiść ogarnęła go mimowoli, niepowstrzymanie, nie było czasu na namysł: wszystko się zerwało raptownie! To był afekt, obłąkanie, ale i afekt przyrody, która nieświadomie mści się za naruszenie swoich wiecznych praw. Lecz morderca i tu nie zabił — twierdzę to, krzyczę o tem — nie, tylko zamierzył się tłuczkiem pod wpływem oburzenia i obrzydzenia, nie chcąc zabić, nie wiedząc, że zabije. Gdyby nie miał w ręku tego

fatalnego tłuczka, pobiłby tylko ojca, ale nie zabiłby go. Uciekł, nie wiedząc, czy zabił. Takie zabójstwo nie jest zabójstwem. Takie zabójstwo nie jest ojcobójstwem. Nie, zabicie takiego ojca nie może się nazywać ojcobójstwem. Nazywać takie zabójstwo ojcobójstwem to opierać się na przesądzie! Ale czy było, czy było to zabójstwo dokonane, wzywam do was znowu i z głębi duszy! Panowie przysięgli, potępimy go i on powie sobie: „Ci ludzie palcem nie kiwnęli, aby pokierować lepiej moim losem, aby mnie wychować, wykształcić, aby uczynić mnie godnym człowiekiem. Ci ludzie nie nasycili mego głodu i nie zaspokoili mego pragnienia, i nie odwiedzili mnie nagiego w ciemnicy i oto teraz zesłali mnie na katorgę. Skwitowałem się, nic im nie jestem już winien i nikomu nie jestem winien na wieki wieczne. Są źli i ja będę zły. Są okrutni i ja będę okrutny". Oto co powie podsądny, panowie przysięgli. I, przysięgam: wyrokiem tylko ulżycie mu, ulżycie jego sumieniu, będzie przeklinał przelaną krew, ale nie będzie ubolewał nad nią. I zgubicie tego jeszcze możliwego godnego człowieka, który tkwił w nim, i może się stać w przyszłości zły i ślepy. Ale czy chcecie ukarać go strasznie, okrutnie, najstraszliwszą karą, jaką można sobie wyobrazić, ale i zarazem uratować i odrodzić duszę jego na wieki? Jeżeli tak, to zmiażdżcie go waszem miłosierdziem! Zobaczycie, usłyszycie, jak wzdrygnie się i przerazi jego dusza: dla mnie tyle miłosierdzia, dla mnie tyle miłości — czy zasłużyłem na to — oto co zawoła! O, znam je, znam to serce, to dzikie, lecz szlachetne serce, panowie przysięgli! Ukorzy się przed waszym czynem, bo łaknie wielkiego aktu miłości, rozpłomieni się i odrodzi na wieki. Są dusze, ograniczone duszyczki, które zawsze czują żal do całego świata. Ale zmiażdżcie tę duszę miłosierdziem, okażcie jej miłość, a przeklnie czyny swoje, albowiem tai w sobie wiele dobrych zadatków. Rozpłomieni się i zobaczy, jak litościwy jest Bóg i jak piękni są ludzie i sprawiedliwi. Przerazi go, przybije skrucha, i bezgraniczne poczucie powinności odtąd zapełni mu życie. I nie powie on wówczas: „Skwitowałem się" — powie natomiast: „Jestem winien przed wszyst-

kimi ludźmi, jestem nikczemniejszy od wszystkich ludzi". We łzach skruchy i palącego cierpiętniczego zachwycenia zawoła: „Ludzie są lepsi ode mnie, albowiem nie chcieli mnie zgubić — chcieli mnie ocalić!". O, tak łatwo wam zdobyć się na to, na ten akt miłosierdzia, albowiem wobec braku pewnych i bodaj zakrawających na prawdę poszlak trudno wam przecież będzie powiedzieć: „Tak, winien jest". Lepiej jest uniewinnić dziesięciu winnych niż ukarać jednego niewinnego — słyszycie, szy słyszycie ten wielki głos z zeszłego stulecia naszej wspaniałej historji? Czy ja, szara osobistość, mam wam przypominać, że sąd rosyjski jest nietylko karą, ale i ocaleniem zgubnego człowieka! Niech się inne narody trzymają litery praw i kar, u nas jest duch i sens, ratunek i odrodzenie zgubionych. I jeżeli tak, jeżeli taką jest Rosja i sąd jej — to na przodzie jest Rosja, i nie straszcie, nie straszcie nas waszemi oszalałemi trójkami, przed któremi z obrzydzeniem usuwają się inne narody! Nie oszalała trójka, lecz dostojny rosyjski wóz triumfalny zwycięsko i spokojnie dotrze do celu. W waszych rękach jest los mego klijenta, w waszych rękach jest los naszej prawdy rosyjskiej. Ocalicie ją, uratujecie ją, dowiedziecie nam, że ma ona swoich obrońców, że jest ona w dobrych rękach!".

XIV.

Kmiotkowie postawili na swojem.

Tak skończył Fetiukowicz, i zachwyt słuchaczy zerwał się niepowstrzymanie jak burza. Niesposób zresztą byłoby powstrzymać go: kobiety szlochały, płakali też mężczyźni, płakali dwaj poważni dostojnicy. Prezes ostatecznie zrezygnował ze spokoju i nawet nie kwapił się sięgnąć po dzwonek. „Zakłócać taki entuzjazm to poprostu zakłócać nabożeństwo" — orzekały potem nasze damy. Sam orator był szczerze rozczulony. I oto w takiej chwili śród takiego nastroju podnosi się Hipolit Kiryłowicz i zaczyna odpowia-

dać obrońcy. Spoglądano nań z istną nienawiścią: „Jak? Cóżto? To on śmie jeszcze mówić?“ — oburzały się panie. Ale gdy się nawet oburzały wszystkie panie całego świata, z połowicą Hipolita Kiryłowicza na czele, to i wtedy nie zrezygnowałby z riposty. Był blady, trząsł się ze wzburzenia; pierwsze jego słowa, pierwsze zdania były doprawdy niezrozumiałe; bełkotał coś zadyszanym głosem, niewyraźnie, plątał się. Rychło się jednak opanował. Z tej drugiej jego mowy przytoczę tylko kilka ustępów:

„...Zarzucają nam, żeśmy wysnuwali powieść. A czemże jest wywód obrońcy, jak nie romansem w powieści? Brakowało tylko wierszy. Fedor Pawłowicz, niecierpliwie wypatrując ukochanej kobiety, rozrywa kopertę i rzuca ją na podłogę. Przytacza się nawet, co mówił do siebie przy owym dziwnym wypadku. Zaliż to nie poemat? I gdzie jest dowód, że Fedor Pawłowicz wyjął pieniądze, kto słyszał, co on mówił? Idjota Smerdjakow przeobleczony w jakiegoś bajronicznego bohatera, który mści się na społeczeństwie za to, że się urodził bękartem — czyż to nie poemat w stylu Byrona? A syn, włamujący się do ojca, zabijający go, ale zarazem i niezabijający, to już nie powieść, to nie poemat, to sfinks, zadający zagadki, których sam oczywiście nie rozwiąże. Jak zabił, to zabił, bo i jakże to: jak zabił, to nie zabił — któż to zrozumie? Następnie oznajmiono nam, że nasza trybuna jest trybuną prawdy i zdrowych pojęć, i oto z tej trybuny „zdrowych pojęć“ rozgłasza się aksjomat, że nazywać zabójstwo ojca ojcobójstwem to wierutny przesąd! Ale jeżeli ojcobójstwo jest przesadem i jeżeli każde dziecko będzie badać swego ojca: „Ojcze, dlaczego powinienem cię kochać?“ — to co, na Boga, stanie się z nami, co stanie się z podwalinami rodziny, co stanie się z podwalinami rodziny, co stanie się z rodziną? Ojcobójstwo, uważacie panowie, to przecie tylko „metal“ i „siarka“. Najcenniejsze, najświętsze przykazania, cel i przyszłość rosyjskiego sądu przedstawia się w spaczonej i lekkomyślnej postaci, byleby tylko osiągnąć swój cel, byleby uniewinnić tego, kogo nie można uniewinnić. O, zmiażdżcie go miłosierdziem — woła obrońca — a przestępca tego tylko prag-

nie, jutro się przekonacie, jak będzie zmiażdżony! Czyż obrońca nie jest zbyt skromny, że żąda tylko uniewinnienia podsądnego? Czemuż nie żąda utworzenia stypendjum imienia ojcobójcy w celu uwiecznienia jego czynu na wszystkie czasy na użytek wszystkich pokoleń? Poprawia się ewangelję i religję: to wszystko niby mistyka, i tylko u nas jest prawdziwe chrześcijaństwo, już sprawdzone przez rozum i zdrowe pojęcia. I oto powstaje przed nami fałszywe podobieństwo Chrystusa. *Jaką miarą mierzysz, taką ci będzie odmierzono* — woła obrońca, i natychmiast wywodzi z tego, że Chrystus kazał mierzyć tą miarą, jaką ci odmierzają — i to się wygłasza z trybuny prawdy i zdrowych pojęć! Zaglądamy do ewangelji w przeddzień naszych popisów oratorskich, aby olśnić słuchaczy znajomością dosyć oryginalnego dzieła, które może się przydać, które może dodać pewnego efektu w miarę potrzeby! A przecież Chrystus każe inaczej czynić, każe strzec się takiego postępowania, bo cały zły świat tak czyni, my zaś powinniśmy przebaczać i policzek nadstawiać, i nie tą miarą mierzyć, którą nam odmierzają nasi wrogowie. Oto czego uczył nas Bóg nasz, nie tego bynajmniej, że zabraniać dzieciom zabijać ojców — to przesąd. I nie będziemy poprawiać z katedry prawdy i zdrowych pojąć ewangelji Boga naszego, którego obrońca raczył nazwać tylko „ukrzyżowanym lubownikiem ludzkości" w przeciwieństwie do całej prawosławnej Rosji, która wzywa ku Niemu: „Ty jesteś Bogiem naszym!"...

Tu wrącił się prezes i monitował prokuratora, aby nie przesadzał, trzymał się pewnych granic i t. d., jak to zwykle w takich wypadkach wyrażają się prezesi. Publiczność była niespokojna, poruszała się, wznosiła okrzyki oburzenia. Fetiukowicz nie raczył nawet odpowiedzieć szczegółowo. Wstał i, przyłożywszy rękę do serca, obrażonym głosem wypowiedział kilka pełnych godności zdań. Zlekka tylko i ironicznie znowu napomknął o „powieściach" i „psychologji". „Jowiszu, gniewasz się, zatem nie masz racji" — rzekł w pewnej chwili, co wywołało zachęcający śmiech na sali, bo Hipolit Kiryłowicz bynajmniej nie przypominał Jowisza. Następnie Fetiukowicz odparował

posądzenie go o to, że przyzwala młodzieży zabijać ojców: z głębokiem dostojeństwem zauważył, że na to nawet nie chce odpowiedzieć. Co się tyczy „fałszywego podobieństwa Chrystusa" i tego, że nie raczył nazwać Zbawiciela Bogiem, że jest to „sprzeczne z prawosławiem i nie może rozlegać się z trybuny prawdy i zdrowych pojęć" — Fetiukowicz napomknął o insynuacji, i zauważył, że wybierając się tu, liczył przynajmniej na to, że tutejsza trybuna nie będzie narażona na oszczerstwa „niebezpieczne dla mnie osobiście, jako obywatela i poddanego"... Ale i tu wtrącił się prezes, i Fetiukiewicz z ukłonem zakończył swoją replikę, wywołując na sali powszechny szmer uznania. Hipolit zaś Kiryłowicz według opinji pań był „zgubiony nawieki".

Teraz miał wygłosić ostatnią mowę podsądny. Mitia podniósł się, ale mówił niewiele. Był straszliwie wyczerpany, fizycznie i duchowo. Ani śladu owej niezależnej i dziarskiej miny, z jaką przyszedł na rozprawę. Jakgdyby przeżył w ciągu tego dnia coś na całe życie, co go nauczyło nieznanej dotychczas prawdy. Nie krzyczał już tak jak poprzednio. W głosie jego słyszało się jakąś nową nutkę, nutkę pokory i rezygnacji.

„Cóż mogę powiedzieć, panowie przysięgli? Sąd mój nastąpił, czuję palec Boży na sobie. Kreska na rozwydrzonego człowieka! Ale jak przed Bogiem na spowiedzi mówię wam: Krew mego ojca — nie, ja jej nie przelałem! Ostatni raz powtarzam: nie ja zabiłem. Byłem rozwydrzony, ale kochałem dobro. Każdej chwili dążyłem do poprawy, a żyłem jak zwierz dziki. Dzięki prokuratorowi, dużo mi rzeczy o mnie powiedział, czego nie wiedziałem dotychczas, ale nieprawda, nie ja zabiłem ojca, omylił się prokurator! Dzięki obrońcy, płakałem, słuchając go, ale nieprawda, że zabiłem ojca, nie trzeba było nawet przypuszczać! A doktorom nie wierzcie, jestem zupełnie zdrów na umyśle, tylko ciężko mej duszy. Jak zlitujecie się, puścicie — będę się za was modlił. Stanę się lepszym, daję słowo, przed Bogiem daję. A jak ukaracie — sam połamię nad głową moją szpadę i ucałuję odłamki! Lecz miejcie litość, nie pozbawiajcie

mnie Boga mego, znam siebie: zbuntuję się! Ciężko duszy, panowie... miejcie litość!".

Nieledwie opadł na miejsce, głos mu się załamał, ostatnie zdanie ledwo wymówił. Następnie sąd sformułował pytania. Ale nie będę się wdawał w szczegóły. Wreszcie przysięgli wyszli na naradę. Prezes był bardzo zmęczony, wskutek czego pożegnał ich bardzo słabem przemówieniem: „Bądźcie bezstronni, nie idźcie na lep pięknych słówek obrony, zważcie wszystko, uświadomcie sobie, że ciąży na was wielki obowiązek" i t. d. Przysięgli wyszli, nastąpiła przerwa. Można było podnieść się, przejść, podzielić się wrażeniami, zjeść co w bufecie. Było bardzo późno, godzina pierwsza w nocy, ale wszyscy wytrwali na stanowiskach. Nikt nie myślał o spoczynku, tak naprężony był nastrój. Czekano na wyrok z truchlejącem sercem, coprawda nie wszyscy z truchlejącem. Kobiety były histerycznie zniecierpliwione, ale spokojne. „Uniewinnienie jest bezwzględnie pewne". Przysposabiały się do efektownej chwili powszechnego entuzjazmu. Przyznać muszę, że i śród mężczyzn niejeden był pewny uniewinniającego wyroku. Jedni cieszyli się, inni byli zasępieni, a niektórzy nawet pospuszczali nosy: nie chcieli uniewinnienia! Sam Fetiukowicz nie wątpił o powodzeniu. Otoczono go, składano mu powinszowania, komplementowano go ze wszystkich stron.

— Istnieją — powiedział w jakiejś grupce, jak to sobie później opowiadano — istnieją jakieś niewidzialne nitki, wiążące obrońcę z przysięgłymi. Nawiązują się i wyczuwają jeszcze podczas mowy. Wyczułem je, są niezawodne. Nasza górą, bądźcie spokojni.

— Ale kmiotkowie nasi co teraz powiedzą? — zapytał jakiś zasępiony tęgi i ospowaty jegomość, ziemianin tutejszy, zbliżając się do grupy rozprawiających mężczyzn.

— Nietylko kmiotkowie decydują. Są między nimi czterej urzędnicy.

— Tak, urzędnicy — potwierdził ktoś.

— A znacie Nazarjewa, Prochora Iwanowicza, tego kupca z medalem, przysięgłego?

— Bo co?

— Ministerjalny łeb.

— Ale milczy.

— Milczy, bo milczy, ale tem lepiej. Cóż go tam adwokat z Petersburgu będzie pouczał, on sam potrafi cały Petersburg pouczyć, dwanaścioro ma dzieci, pomyślcie tylko!

— Ale jakto, czy to możliwe, aby go nie uwolniono— krzyczał w innej grupie jeden z młodych naszych urzędników.

— Uwolnią napewno — rozległa się stanowcza odpowiedź.

— Wstyd, hańba byłaby wielka, gdyby nie uwolniono! — zawołał urzędnik. — Choćby nawet zabił, przecież ten ojciec, ojciec! I zresztą był nieprzytomny z wściekłości... On istotnie mógł tylko machnąć tłuczkiem, a tamten runął. Źle tylko, że tego lokaja wtrącili. Jabym na miejscu obrońcy powiedział wręcz: zabiłem, ale nie jestem winien, i niech was djabli!

— Ale przecie to zrobił, tylko „niech was djabli" nie powiedział.

— Nie, Michale Semjonyczu, prawie że i to powiedział — zawołał trzeci głosik.

— Ależ panowie, przecież uniewinniono u nas aktorkę, która żonie swego kochanka gardło poderżnęła.

— Ale nie dorżnęła.

— Wszystko jedno, wszystko jedno, zaczęła rżnąć!

— A o dzieciach jak? Wspaniale!

— Wspaniale.

— A o mistyce, o mistyce, co?

— Dosyć z tą mistyką — zawołał ktoś — pomyślcie o Hipolicie, o smutnym jego losie! Wszak jutro prokuratorowa mu oczy wydrapie za Mitię.

— I ona tu?

— Czego tu? Byłaby tu, toby mu na miejscu wydrapała. W domu siedzi, zęby bolą. Che-che-che!

— Che-che-che!

W trzeciej grupie:

— A przecież Mitienkę może naprawdę uniewinnią.

— Jutro cały „Stołeczny Gród" zdemoluje, dziesięć dni będzie żłopał.

— Ech, djabli!

— Djabeł djabłem, bez djabła się nie obeszło, gdzieżby miał być, jak nie tutaj?

— A wóz triumfalny, wóz — pamiętacie to?

— Tak, z chłopskiego wozu zrobił triumfalny.

— A jutro z triumfalnego chłopski „w miarę potrzeby, wszystko w miarę potrzeby".

— Spryciarzy nam teraz nie brak. A prawda, czy jest u nas w Rosji prawda, czy niema?

W tej chwili zabrzmiał dzwonek. Przysięgli naradzali się dokładnie godzinę, ani dłużej, ani krócej. Publiczność zajęła miejsca. Cicho było jak makiem zasiał. Pamiętam, jak przysięgli weszli. Nareszcie! Nie przytoczę zapytań, bo ich zapomniałem. Pamiętam tylko odpowiedź na pierwsze i główne zapytanie: „Czy zabił z premedytacją w celach grabieży?" (tekstu nie pamiętam). Wszyscy zamarli. Jeden z przysięgłych, urzędnik, głośno i wyraźnie śród śmiertelnej ciszy wyrzekł:

— Tak, winien jest!

Następnie na wszystkie pytania odpowiedź była ta sama: winien, tak winien! Tego już nikt się nie spodziewał, przynajmniej wszyscy byli pewni jakich względów łagodzących. Zalegała tu wciąż śmiertelna cisza, jakby wszyscy skamienieli — i ci co pragnęli wyroku, i ci co pragnęli uniewinnienia. Ale trwało to tylko chwil kilka. Następnie wszystko skłębiło się w straszliwy chaos. Wielu mężczyzn wyrażało głośno zadowolenie. Niektórzy nawet zacierali ręce, nie ukrywając swej radości. Niezadowoleni byli jakgdyby przygnębieni, wzruszali ramionami, szeptali, ale wciąż jeszcze nie mogli wyjść z podziwu. Ale, mój Boże, cóżto się stało z paniami! Myślałem, że się naprawdę zbuntują. Zrazu nie dowierzały własnym uszom. I nagle na całą salę rozległy się okrzyki: „Cóż to jest takiego? Co to jest takiego?". Zrywały się z miejsc. Wydawało się im zapewne, że to wszystko można jeszcze zmienić i przerobić. W tej

chwili nagle podniósł się Mitia i jakimś rozdzierającym głosem zawołał, wyciągając przed siebie ręce:

— Przysięgam na Boga i straszny sąd Jego, że nie jestem winien krwi ojca mego! Katia, przebaczam ci! Bracia, przyjaciele, zlitujcie się nad drugą!

Nie skończył, zaszlochał nagłos na całą salę, strasznie, jakimś nieswoim, dziwnym głosem. Z galerji odpowiedział mu przeraźliwy jęk kobiecy: jęk Gruszeńki. Wyprowadzono Mitię. Ogłoszenie wyroku miało nastąpić nazajutrz. Wszyscy powstali, ale nie czekałem już, nie przysłuchiwałem się. Na ganku usłyszałem jeszcze kilka zdań:

— Dwadzieścia lat katorgi jak nic.

— Conajmniej.

— Tak, kmiotkowie postawili na swojem.

— I zgubili naszego Mitienkę!

EPILOG

I.

Projekty uratowania Miti.

Piątego dnia po rozprawie o wczesnej godzinie, bo o dziewiątej rano do Katarzyny Iwanownej przyszedł Aljosza, aby ostatecznie omówić pewną ważną dla obojga sprawę. Pozatem miał do niej specjalne zlecenie. Przyjęła go w tym samym salonie, w którym swego czasu przyjęła Gruszeńkę; w sąsiednim pokoju leżał w gorączce Iwan Fedorowicz. Katarzyna Iwanowna natychmiast po straszliwej scenie w sądzie kazała przenieść chorego i nieprzytomnego Iwana Fedorowicza do swego domu, nie dbając o to, co będą o tem mówić w świecie towarzyskim. Jedna z obu ciotek wyjechała do Moskwy odrazu po skandalu w sądzie, lecz zato druga została. Ale gdyby nawet obie wyjechały, Katarzyna Iwanowna nie zachwiałaby się w swojem postanowieniu: sprowadziłaby do siebie chorego, pielęgnowała go i siedziała przy nim po dniach i nocach. Leczyli go Warwiński i Hertzenstube; znakomitość moskiewska wróciła do Moskwy, żadną miarą nie chcąc wyrazić swojej ostatecznej opinji. I chociaż obaj miejscowi lekarze uspokajali Katarzynę Iwanownę, widać było, że i oni sami nie są pewni, jak się choroba skończy. Aljosza odwiedzał chorego brata dwa razy dziennie. Tym razem miał do załatwienia sprawę specjalną, arcykłopotliwą, i zdawał sobie z tego sprawę, jak mu trudno będzie o niej mówić. Nadomiar złego było mu bardzo pilno: miał je-

szcze co innego załatwić w innem miejscu, i trzeba było się spieszyć. Rozmawiali już od kwadransa. Katarzyna Iwanowna była blada, bardzo wyczerpana, a jednocześnie niezwykle i chorobliwie podniecona: domyślała się jednego z celów przybycia Aljoszy.

— Niech się pan nie frasuje o jego decyzję — rzekła z naciskiem. — Tak czy owak sam dojdzie do tego wniosku: powinien uciec! Ten nieszczęsny, ten bohater honoru i sumienia — nie tamten, nie Dymitr Fedorowicz, lecz ten, co za drzwiami leży i poświęcił się dla brata (dodała to z błyskiem w oczach) — dawno już wtajemniczył mnie w plan ucieczki. Wie pan, on już nawiązał stosunki... Już panu coś w tym rodzaju mówiłam... Widzi pan, stanie się to według wszelkiego prawdopodobieństwa na trzecim etapie, kiedy ich całą partją poprowadzą na Syberję. O, do tego jeszcze daleko. Iwan Fedorowicz był już u naczelnika trzeciego etapu. Tylko, że niewiadomo, kto będzie naczelnikiem partji i nie można się tego zawczasu dowiedzieć. Jutro może pokażę panu cały plan szczegółowo. Iwan Fedorowicz zostawił mi go w przeddzień rozprawy, na wszelki wypadek... To było właśnie wtedy, kiedy, pamięta pan, pokłóciliśmy się: on schodził już ze schodów, lecz na widok pana kazałam mu wrócić, — pamięta pan? Czy wie pan, o cośmy się wtedy posprzeczali?

— Nie, nie wiem — odparł Aljosza.

— Oczywiście, on tego panu nie mówił: otóż właśnie o ten plan ucieczki. Najważniejsze zarysy opowiedział mi trzy dni przedtem — to wówczas zaczęliśmy się kłócić i odtąd przez te trzy dni kłóciliśmy się nieustannie. Kłóciliśmy się dlatego, że rozzłościłam się, kiedy mi nagle oświadczył, że w razie złego wyroku Dymitr Fedorowicz ucieknie z tą szmatą zagranicę. Nie wiem właściwie dlaczego się rozgniewałam; sama nie wiem... O! oczywiście, chodziło mi o tę szmatę, ta szmata mnie rozgniewała i to właśnie, że ucieknie z Dymitrem zagranicę! — zawołała naraz Katarzyna Iwanowna z drżącemi z gniewu wargami. — Iwan Fedorowicz, widząc, że to mnie złości, pomyślał odrazu, że jestem zazdrosna o Dymitra i że zatem wciąż jeszcze kocham Dymi-

tra. I wtedy wybuchła pierwsza kłótnia. Nie chciałam się usprawiedliwiać, nie mogłam zresztą; ciężko mi było, że taki człowiek mógł mnie podejrzewać o ponowną miłość do tego... I to wówczas, kiedy ja sama, już dawno przedtem, powiedziałam mu wręcz, że nie kocham Dymitra, że kocham tylko jego! Ze złości na tę szmatę rozgniewałam się i na niego! Trzy dni potem, tego wieczoru, kiedy pan przyszedł, Iwan przyniósł mi zapieczętowaną kopertę, abym ją otworzyła tylko w tym wypadku, jeżeli się coś z nim stanie. O, bo przeczuł swoją chorobę. Powiedział mi tylko, że w kopercie leży plan ucieczki, i że jeżeli on sam umrze lub rozchoruje się niebezpiecznie, to żebym ja ratowała Mitię. Zostawił mi w tym celu pieniądze, prawie dziesięć tysięcy — te same, o których wspominał prokurator, niewiadomo skąd się dowiedział. Strasznie mnie to uderzyło, że Iwan Fedorowicz, zazdrosny i przekonany, iż wciąż jeszcze kocham Mitię, mimo to nie zaniechał zamiaru uratowania brata, i co więcej mnie samej polecił go ratować! O, cóż to była za ofiara! Nie, pan takiej ofiary nie potrafi zgłębić, Aleksy Fedorowiczu! Chciałam mu się rzucić do nóg, ale kiedy nagle pomyślałam, że będzie to uważał za odruch radości z powodu uratowania Miti (napewnoby tak to zrozumiał!), to byłam tak rozdrażniona, to tak mnie oburzyła sama możliwość takiej niesprawiedliwej myśli z jego strony, że znowu wpadłam w gniew i zamiast całować go po nogach, urządziłam mu scenę! O, nieszczęsna jestem! Taki już mam charakter— straszny, nieszczęsny charakter! O, pan jeszcze zobaczy: ja zrobię, dobiję się tego, że i on mnie rzuci dla innej, z którą się łatwiej żyje, jak Dymitr, ale wtedy... nie, wtedy już tego nie zniosę, ja się zabiję! A kiedy pan wszedł, i kiedy pana zawołałam, a jemu kazałam wrócić, to spojrzał na mnie takim nienawistnym i pogardliwym wzrokiem, że gniew mnie porwał, — pamięta pan — zawołałam, że *to on i tylko on* przekonywał mnie o winie Dymitra! Specjalnie rzuciłam to oszczerstwo, aby go zranić, bo przecież nigdy, nigdy nie zapewniał mnie, że Dymitr jest mordercą, wręcz przeciwnie, to ja jego zapewniałam! O, zawiniła tylko i tylko moja wściekłość! To ja, to ja sprowokowałam tę piekielną scenę

w sądzie! Chciał mi dowieść swojej szlachetności i że nie zgubi Dymitra z zemsty i zazdrości, chociaż Dymitra kocham. Dlatego mówił to w sądzie... To moja wina, tylko moja wina!

Tak jeszcze nigdy Katia nie zwierzała się Aljoszy. Wyczuł, że cierpienie doprowadziło ją do takiego stanu, kiedy i najdumniejsze serce łamie swoją dumę i pada pokonane strapieniem. O, Aljosza znał jeszcze jedną przyczynę jej obecnej męki, jakkolwiek taiła ją przed nim starannie; ale i jemu byłoby zbyt ciężko, gdyby ona się aż tak załamała, że zwierzyłaby się i z tego bólu. Cierpiała bowiem z powodu swej „zdrady" w sądzie. Aljosza czuł, że sumienie każe się jej wyspowiadać właśnie przed nim, przed Aljoszą, ze łzami, ze spazmami, z biciem głową o podłogę. Ale lękał sie tej chwili i litował się nad nieszczęsną. W dodatku utrudniało mu to misję, z którą przyszedł. Znowu wspomniał o Miti.

— Nic, nic, niech się pan o niego nie lęka! — ostro odrzekła Katia. — To wszystko u niego trwa tylko chwilkę, znam go, za bardzo znam to serce. Niech pan będzie przekonany, że się zgodzi uciec. Zresztą, to nie kwestja godzin; ma jeszcze wiele czasu, aby się zdecydować. Iwan Fedorowicz do tego czasu może wyzdrowieje i sam wszystko urządzi, tak, że ja będę zwolniona z tego obowiązku. Niech pan będzie spokojny, napewno się zgodzi. Już się godzi: czyż potrafi porzucić swoją szmatę? A na katorgę przecież jej nie puszczą, więc jakże nie uciec? On się pana boi, pana się boi, że pan nie pochwala ucieczki z moralnych względów, ale pan powinien mu na to wielkodusznie *pozwolić*, jeżeli już tak konieczna jest sankcja pana — dodała zjadliwie.

Milczała chwilę i uśmiechnęła się.

— On tam rozprawia — podjęła znowu — o jakichś hymnach, o krzyżu, o jakiejś powinności, pamiętam, wiele mi o tem Iwan Fedorowicz mówił, i gdyby pan wiedział, jak on o tem mówił! — zawołała nagle z niepowstrzymanem uczuciem — gdyby pan wiedział, jak on kochał nieszczęsnego brata w tych chwilach, gdy mówił o nim, i jak

nienawidził go może w tych samych chwilach! A ja, o, ja słuchałam wtedy jego opowiadań i jego łez z dumnym uśmiechem! O szmata! To ja jestem szmata, ja! To ja jestem winna tej gorączki! A tamten, skazany — czyż dojrzał do męki — zakończyła z irytacją — czyż potrafi cierpieć? Tacy jak on nigdy nie cierpią!

W słowach tych zabrzmiał jakiś ton nienawiści i wzgardliwego obrzydzenia. A przecież to ona go wydała. „Cóż, może dlatego, że poczuwa się wobec niego do winy, może dlatego nienawidzi go chwilami" — pomyślał Aljosza. Chciało mu się, aby to było tylko „chwilami". Ostatnie słowa Kati były wyzwaniem, lecz Aljosza nie podjął tego wyzwania.

— Potom pana dzisiaj wezwała, że pan przyrzekł mi namówić go. A może pan również uważa, że nieuczciwie jest uciec, nieładnie, albo jak tam... nie po chrześcijańsku, co? — dodała Katia bardziej wyzywająco.

— Nie, nie. Wszystko mu powiem... — wybełkotał Aljosza. — On panią dziś do siebie wzywa — wypalił naraz, zaglądając jej stanowczo w oczy.

Wzdrygnęła się i nawet lekko cofnęła się od niego.

— Mnie... czy to możliwe? — rzekła wreszcie, bardzo blada.

— To możliwe i konieczne! — ożywił się Aljosza. — Pani mu jest potrzebna, właśnie teraz. Nie byłbym zaczynał o tem i męczył pani, gdyby to nie było konieczne. Chory jest, poprostu nieprzytomny. Wciąż prosi, aby panią sprowadzić. Nie poto, aby pogodzić się z panią, ale niech się pani tylko zjawi i ukaże mu na progu. Bardzo się zmienił od tego dnia. Rozumie, jak wobec pani strasznie zawinił. Nie przebaczenia pragnie: „nie można mi przebaczyć" — on sam to mówi, a tylko tego, aby pani się na progu ukazała...

— Pan mnie nagle... — bełkotała Katia. — Wciąż się spodziewałam, że pan poto przyjdzie... Wiedziałam, że mnie wezwie!... To niemożliwe!

— Może niemożliwe, ale niech pani to zrobi. Niech pani pamięta, on dopiero po raz pierwszy zrozumiał w całej

pełni, jak panią skrzywdził. On mówi: jeżeli nie zechce przyjść to „będę całe życie nieszczęśliwy!". Słyszy pani: skazany na dwudziestoletnią katorgę zamierza jeszcze być szczęśliwym — czy nie czuje pani litości? Niechże pani pomyśli: odwiedzi pani niewinnie zgubionego człowieka — wyrwało się Aljoszy z nutką wyzwania w głosie — jego ręce są czyste, niesplamione krwią! Dla niezliczonych jego cierpień w przyszłości niechże pani go teraz odwiedzi! Niech pani wejdzie, wejdzie w mrok... niech pani stanie na progu i nic więcej... Wszak pani powinna, *powinna* to zrobić! — zakończył Aljosza, z niezwykłą siłą akcentując słowo „powinna"...

— Powinnam... lecz... nie mogę — jęknęła Katia. — On będzie na mnie patrzał... nie mogę.

— Wasze spojrzenia powinny się spotkać. Jakże pani będzie żyła w przyszłości, jeżeli się pani teraz nie zdecyduje?

— Lepiej cierpieć przez całe życie.

— Pani powinna pójść, *powinna* pani pójść — znowu nieubłaganie podkreślił Aljosza.

— Ale dlaczego dziś, dlaczego teraz... Nie mogę zostawić chorego.

— Na minutę może pani, przecież to tylko minuta. Jeśli pani nie przyjdzie, to wieczorem napewno się rozchoruje. Nie będę przecież kłamał, niech pani ma litość nad nim!

— Nade mną trzeba się litować — rzekła z goryczą Katia i zapłakała.

— A więc pani przyjdzie! — odrzekł stanowczo Aljosza na widok jej łez. — Pójdę mu powiedzieć, że pani zaraz przyjdzie.

— Nie, niech pan nie mówi! — zawołała z lękiem Katia. — Przyjdę, ale niech go pan nie uprzedza, bo przyjdę, ale może nie wejdę... Jeszcze nie wiem...

Głos jej się załamał. Oddychała z trudnością. Aljosza podniósł się.

— A jeżeli się z kimś spotkam? — zapytała cichym głosem, blednąc gwałtownie.

— Dlatego trzeba zaraz iść, aby się pani nie spotkała. Nikogo nie będzie, mówię napewno. Będziemy czekać — zakończył stanowczo i wyszedł z pokoju.

II.

Na chwilę kłamstwo prawdą się stało.

Pospieszył do szpitala, w którym leżał Mitia. Nazajutrz bowiem po wyroku Mitia dostał nerwowej gorączki. Przeniesiono go do oddziału więziennego naszego szpitala miejskiego. Lecz dzięki staraniom Aljoszy i wielu innych (pani Chochłakow, Lizy i t. d.) doktór Warwiński umieścił go w osobnej celce, w tej samej, w której poprzednio leżał Smerdjakow. Coprawda w korytarzu stał żołnierz, i okno było zakratowane, — doktór Warwiński mógł być spokojny, ale niemniej był to człowiek zacny i litościwy. Zdawał sobie sprawy z tego, jak trudno będzie Miti znaleźć się nagle w gronie morderców i oszustów, i że trzeba mu ułatwić to przejście. Na wizyty zaś krewnych godził się i doktór i naczelnik więzienia i nawet sprawnik. Ale ostatniemi dniami odwiedzali Mitię tylko Aljosza i Gruszeńka. Zachodził również Rakitin dwukrotnie, wszakże Mitia poprosił doktora, aby go nie wpuszczano.

Kiedy wszedł Alojsza, Mitia siedział na łóżku w szpitalnym chałacie z ręcznikiem wokoło głowy, umaczanym w wodzie z octem. Miał podniesioną temperaturę. Z jakimś nieokreślonym wyrazem spojrzał na Aljoszę, — w spojrzeniu tem można było dostrzec lęk.

Od czasu rozprawy sądowej zapadał często w zadumę. Czasem milczał przez pół godziny, zdawało się, że coś obmyślał, tępo, z męką, zapominając o swym gościu. A gdy wychodził z zamyślenia i zaczynał rozmowę, to odzywał się jakoś raptownie i nie o tem, o czem powinien

był mówić. Czasem spoglądał na brata cierpiętniczym wzrokiem. Z Gruszeńką było mu lżej niż z Aljoszą. Prawda, że prawie nic z nią nie mówił, lecz ledwo wchodziła, twarz jego rozpromieniała się radością. Aljosza, nic nie mówiąc, usiadł na łóżku. Tym razem Mitia z lękiem wypatrywał brata, ale nie śmiał go zagadnąć. Sądził, że Katia za nic się nie zgodzi przyjść, a zarazem czuł, że jeżeli ona nie przyjdzie, to stanie się coś niemożliwego. Aljosza rozumiał jego uczucia.

— Tryfon Borysycz, powiadają, — zaczął Mitia — cały swój dom rujnuje: deski zrywa, całą galerję porąbał — wciąż skarbu szuka, tych pieniędzy, tysiąca pięciuset rubli, które według prokuratora miałem tam schować. Jak tylko przyjechał, zaraz zaczął szukać. Dobrze tak łajdakowi! Stróż tutejszy mi mówił, on stamtąd pochodzi.

— Posłuchaj — rzekł Aljosza — ona przyjdzie, ale nie wiem kiedy, może dzisiaj, może za parę dni, nie wiem, ale przyjdzie napewno.

Mitia drgnął, chciał coś powiedzieć, ale milczał. Wiadomość mocno na niego podziałała. Widać było, że mu się strasznie chciało dowiedzieć szczegółów rozmowy brata z Katią, a jednak lękał się zapytać: okrutne i pogardliwe słowa Kati dźgnęłyby go teraz jak nożem.

— Oto co mi ona między innemi mówiła: żebym bezwzględnie uspokoił twoje sumienie w kwestji ucieczki. Jeśli do tego czasu nie wyzdrowieje Iwan, to ona sama to urządzi.

— Mówiłeś mi już o tem — odrzekł Mitia.

— A tvś już Gruszy opowiedział.

— Tak — przyznał się Mitia. — Dziś rano nie przyjdzie — spojrzał uważnie na brata. — Przyjdzie dopiero wieczorem. Jak się wczoraj dowiedziała, że Katia działa, nic nie mówiła, ale zagryzła wargi. Szepnęła tylko: „niech ją tam!" Zrozumiała, że to ważna rzecz. Nie śmiałem badać dłużej. Chyba już pojmuje teraz, że tamta kocha nie mnie lecz Iwana?

— Czy tak? — wyrwało się Aljoszy.

— Może i nie tak. Tylko że rano dziś nie przyjdzie — skwapliwie powtórzył Mitia. — Dałem jej pewne zlecenie... Słuchaj, brat Iwan wszystkich przewyższy. Jemu żyć, nie nam. Napewno wyzdrowieje.

— Wyobraź sobie, że Katia, chociaż truchleje, jednak nie wątpi wcale, że on wyzdrowieje — rzekł Aljosza.

— To znaczy: jest pewna, że on umrze. To ze strachu stara się siebie przekonać, że wyzdrowieje.

— Iwan ma mocną kompleksję. I ja też mam nadzieję, że wyzdrowieje — zakończył Aljosza trwożnie.

— Tak, wyzdrowieje. Ale ona jest pewna, że umrze. Wiele ma trosk...

Nastąpiło milczenie. Mitię coś jednak trapiło, jakaś ważna rzecz.

— Aljosza, ja strasznie kocham Gruszę — rzekł nagle drżącym, łzami nabrzmiałym głosem.

— Tam jej nie puszczą.

— I co jeszcze chciałem ci powiedzieć — dodał Mitia z jakimś nagłym metalicznym podźwiękiem w głosie. — Jeżeli bić mnie poczną w drodze, albo tam, to nie dam się, zabiję i rozstrzelają mnie. Wszak to dwadzieścia lat! Tu już zaczęli mnie tykać. Dozorcy mnie tykają. Leżałem i całą noc sadziłem siebie: nie jestem gotów! Nie w mocy przyjąć! Chciałem „hymn" zaśpiewać, a tykania dozorcy znieść nie mogę! Za Gruszę wszystkobym zniósł, wszystko.... prócz bicia... Ale tam jej nie puszczą.

Aljosza uśmiechnął się łagodnie.

— Posłuchaj, bracie, raz na zawsze — rzekł — oto masz moje zdanie o tem. I wszak wiesz, że cię nie okłamuję. Słuchaj-że: nie jesteś gotów i nie dla ciebie jest taki krzyż. To nic jeszcze: niepotrzebny jest wcale tobie, nieprzygotowanemu, taki krzyż męczeński. Gdybyś zabił ojca, ubolewałbym, że krzyż swój od siebie odtrącasz. Ale jesteś niewinny, i krzyż taki jest dla ciebie za ciężki. Chciałeś męką odrodzić w sobie nowego człowieka; mojem zdaniem, pamiętaj tylko zawsze, całe życie i gdzie tylko będziesz, o tym nowym człowieku — to i tego dosyć. To żeś nie przyjął wielkiej krzyżowej męki, wyrobi w to-

bie większe poczucie powinności, a dzięki temu poczuciu będziesz się odradzał może nawet bardziej, niż gdybyś tam poszedł. Bo przecież nie ścierpisz i zbuntujesz się i może naprawdę w końcu powiesz: „skwitowałem się". Adwokat w tym wypadku miał słuszność. Nie dla wszystkich ciężkie brzemię, dla niektórych jest niemożliwe... Oto mój pogląd, jeśli ci się może przydać. Gdyby za twoją ucieczkę kto poniósł karę: oficerowie, żołnierze, tobym ci „nie pozwolił" uciec — uśmiechnął się Aljosza. — Ale, powiadają (sam naczelnik etapu mówił Iwanowi) i zapewniają, że można łatwo wykręcić się od kary. Rozumie się, nieuczciwie jest przekupywać ludzi nawet w takim wypadku, ale o tem ja nie mogę i nie chcę sądzić, bo gdyby mnie naprzykład Iwan i Katia zlecili tę sprawę, to poszedłbym i przekupił — wiem o tem z pewnością; to muszę ci powiedzieć. A przeto nie jestem twoim sędzią w tych rzeczach. Ale wiedz, że nigdy cię nie potępię. I dziwne, jakbym ja mógł być sędzią twoim w tej sprawie? Ano teraz, zdaje się, wszystko rozważyłem.

— Ale zato ja siebie potępię! — zawołał Mitia. — Ucieknę, to i bez ciebie postanowione: czyż Mitka Karamazow mógłby nie uciec? Ale zato siebie potępię i tam będę starał się odkupić swój grzech! Przecież tak mówią jezuici, tak?... Tak, jak teraz my ze sobą, co?

— Tak — uśmiechnął się łagodnie Aljosza.

— Kocham cię za to, że ty zawsze całą prawdę powiesz i nic nie ukryjesz! — zawołał Mitia, śmiejąc się radośnie. — To znaczy, Aljoszkę przyłapałem na jezuickim wykręcie! Wycałowaćby cię za to! No, posłuchaj, odsłonię ci drugą połowę swej duszy. Oto co postanowiłem: jeżeli ucieknę, nawet z pieniędzmi i paszportem, nawet do Ameryki, to mnie jeszcze i to zachęca, że nie jadę na radość i szczęście, Aleksy, lecz na długą katorgę, może nielepszą od tamtej! Nielepszą, Aleksy, naprawdę nielepszą! Ja tej Ameryki, niech ją djabli, już teraz nienawidzę. Niech Grusza jedzie ze mną, ale popatrz ty na nią: cóż, Amerykanka? Rosjanką jest rdzenną, od stóp do głów Rosjanką, zatęskni po matce-ziemi ojczystej, a ja stale będę widział, jak

ona tęskni z mego powodu, jak taki krzyż dźwiga dla mnie, a cóż ona zawiniła? A czy ja zniosę tamtejszych smerdów, chociaż, być może, każdy z nich jest lepszy ode mnie? Już teraz nienawidzę tej Ameryki! I choćby oni wszyscy byli jakimiś nadludzkimi maszynistami, albo w tym rodzaju — do djabła z nimi, nie mego pokroju ludzie, nie z mojego ducha! Rosję kocham, Aleksy, rosyjskiego Boga kocham, chociaż sam jestem podły! Przecież tam zdechnę! — zawołał z błyszczącemi oczyma.

Głos jego nabrzmiał łzami.

— No więc co postanowiłem, Aleksy, posłuchaj — podjął, ogarnięty wzruszeniem. — Z Gruszą tam pojedziemy i tam zaczniemy pracować na roli, żyć z dzikiemi niedźwiedziami na ustroniu, daleko od ludzi. Wszak i tam znajdzie się chyba jakie ustronie! Tam, powiadają, żyją jeszcze czerwonoskórzy, gdzieś tam u rubieży, więc do ich kraju, do ostatnich Mohikanów. I zasiadam do gramatyki, ja i Grusza. Praca i gramatyka, i tak przez trzy lata. W trzy lata nauczymy się języka angielskiego, jak autentyczni Anglicy. I skoro tylko się nauczymy — precz z Ameryką! Uciekamy tu, do Rosji, jako obywatele amerykańscy. Bądź spokojny, do tej mieściny nie przyjedziemy. Schowamy się gdzieś na północy albo na południu. Ja do tego czasu zmienię się bardzo, ona też tam, mnie doktór dorobi jakąś brodawkę, przecież to mechanicy. A jeżeli nie, to jedno oko sobie wykłuję, brodę zapuszczę długą, siwą (z tęsknoty do Rosji zesiwieję) — może mnie nie poznają A jak poznają, to niech ześlą, wszystko jedno, to znaczy, że nie sądzono mi! Tu też gdzieś na pustkowiu będziemy ziemię orać, i ja całe życie będę udawał Amerykanina. Zato pomrzemy na ziemi ojczystej. Oto mój plan i to absolutny. Pochwalasz?

— Pochwalam — odrzekł Aljosza, nie chcąc mu przeczyć.

Mitia przez chwilę milczał i nagle rzekł:

— A jak mnie zręcznie obrobiono?

— Wszystko jedno, i takby cię skazano — westchnął Aljosza.

— Tak, sprzykrzyłem się tutejszej publiczce! Bóg z nimi, a przecież ciężko! — jęknął Mitia.

Znowu chwilę trwało milczenie.

— Aljosza, zarznij mnie teraz! — zawołał nagle Mitia. — Przyjdzie ona teraz, czy nie, powiedz! Co powiedziała? Jak powiedziała?

— Powiedziała, że przyjdzie, ale nie wiem, czy dzisiaj! Ciężko jej! — odrzekł Aljosza, patrząc z trwogą na brata.

— Ano, czy ciężko! Aljosza, ja zwarjuję. Grusza na mnie wciąż spogląda, spogląda. Rozumie. Boże, Panie Wszechmocny, zmiażdż mnie: czego wymagam? Kati wymagam! Czy rozumiem, czego wymagam? Niepowściągliwość karamazowska, nikczemność! Nie, nie jestem zdolny do cierpienia. Podły i to wszystko!

— Otóż i ona! — zawołał Aljosza.

W tej chwili na progu stanęła Katia. Zatrzymała się chwilę, patrząc na Mitię jakimś zmieszanym i roztargnionym wzrokiem. On zerwał się na równe nogi, blady, z przerażoną miną, ale po chwili nieśmiały, proszący uśmiech rozchylił jego wargi, i oto raptownie, niepowstrymanie wyciągnął ku Kati obie ręce. Widząc to, Katia szarpnęła się ku niemu porywczo. Chwyciła go za rękę i prawie siłą posadziła go na łóżku, sama usiadła przy nim i mocno, skurczowo ściskała jego ręce. Kilkakrotnie oboje próbowali coś powiedzieć, ale powstrzymywali sie i w milczeniu z długim uśmiechem spoglądali na siebie. Tak minęły dwie minuty.

— Przebaczyłaś czy nie? — wybełkotał wreszcie Mitia i, zwracajac się do Aljoszy z twarzą zmienioną z radości, zawołał:

— Słyszysz, o co pytam, słyszysz!

— Za to cię kochałam, że serce masz wielkoduszne — przemówiła naraz Katia. — I niepotrzebne ci jest moje przebaczenie, a mnie twoje; wszystko jedno, przebaczysz czy nie — całe życie będziesz raną w sercu mojem, a ja w twojem — tak powinno być...

Umilkła zadyszana.

— Poco ja przyszłam? — podjęła nieprzytomnie. —

Nogi twoje objąć, ręce ścisnąć, o tak, do bólu, pamiętasz, jak w Moskwie ściskałam — znowu ci powiedzieć, że bogiem moim jesteś, radością moją, powiedzieć ci, że kocham cię obłędnie — jęczała z męką i naraz wpiła się ustami w jego rękę.

Łzy polały się jej z oczu. Aljosza stał milczący i zmieszany: nie tego się spodziewał.

— Miłość przeszła, Mitia! — zaczęła znowu Katia — lecz drogie mi jest do bólu to, co przeszło. Powinieneś o tem wiedzieć na wieki. Ale teraz, na jedną chwilkę, niech będzie to, co mogłoby być — wyszepnęła ze skrzywionym uśmiechem, znowu radośnie zaglądając mu w oczy. — I ty teraz inną kochasz, i ja kocham innego, a jednak wiecznie będę cię kochać, a ty mnie, wiedziałeś o tem? Słyszysz, kochaj mnie, całe życie swe kochaj! — zawołała z jakąś groźbą w głosie.

— Będę kochał i... wiesz Katia — dysząc ciężko przy każdem słowie, rzekł Mitia — wiesz, ja cię pięć dni temu, tego wieczoru kochałem... Kiedyś upadła i wynieśli cię... Całe życie! Tak będzie, tak wiecznie będzie.

Bełkotali oboje jakieś bezmyślne i egzaltowane słowa, może nawet nieprawdziwe, ale w tej chwili wszystko było prawdą, i sami oni wierzyli sobie bezgranicznie.

— Katia — zawołał nagle Mitia — czy wierzysz, że to ja zabiłem? Wiem, że teraz nie wierzysz, ale wówczas... kiedy zeznawałaś... Czy naprawdę, czy naprawdę wierzyłaś!

— I wtedy nie wierzyłam! Nigdy nie wierzyłam! Nienawidziłam ciebie i nagle sama siebie przekonałam, tylko na tę chwilę... Kiedy zeznawałam... przekonałam siebie i wierzyłam, a kiedy skończyłam zeznanie, znowu przestałam wierzyć. Wiedz o tem. Zapomniałam, że przyszłam poto, aby siebie ukarać! — rzekła z jakimś nowym wyrazem, niepodobnym do niedawnego miłosnego szczebiotu.

— Ciężko ci, niewiasto! — jakoś bezwiednie wyrwało się Miti.

— Puść mnie — szepnęła — jeszcze przyjdę, teraz ciężko!...

Podniosła się z miejsca, ale naraz głośno krzyknęła i cofnęła się wtył. Do celi znienacka i bardzo cicho weszła Gruszeńka. Nikt się jej nie spodziewał. Katia porwała się ku drzwiom, lecz wymijając Gruszeńkę, zatrzymała się nagle, zbladła jak kreda i cicho, prawie szeptem jęknęła:

— Niech mi pani przebaczy.

Gruszeńka popatrzała na nią uporczywie i po chwili odezwała się jadowitym, zatrutym złością głosem:

— Złe jesteśmy, matko, jedna z drugą! Obydwie złe! Gdzieżby nam przebaczać, tobie czy mnie? Ot uratuj go, to całe życie będę się modlić za ciebie.

— A przebaczyć nie chcesz! — zawołał Mitia do Gruszeńki z obłędnym wyrzutem.

— Bądź spokojna, uratuję ci go! — szepnęła prędko Katia i wybiegła z celi.

— I tyś mogła jej nie przebaczyć, skoro ona sama powiedziała ci „przebacz"? — z goryczą zawołał Mitia.

— Mitia, nie waż się jej robić wyrzutów, nie masz prawa! — zawołał Aljosza.

— Usta jej mówiły harde, nie serce — rzekła Gruszeńka z jakimś wstrętem. — Uratuje cię, to wszystko przebaczę...

Umilkła, jakby znowu coś hamując w duszy. Nie mogła się jeszcze opamiętać. Przyszła, jak się później okazało, przypadkowo, nic nie podejrzewając i nie spodziewając się ujrzeć to, co ujrzała.

— Aljosza, biegnij za nią! — zwrócił się Mitia porywczo do Aljoszy — powiedz jej... nie wiem co... nie pozwól jej tak odejść!

— Wrócę do ciebie przed wieczorem! — krzyknął Aljosza i pobiegł za Katią.

Dogonił ją na ulicy. Szła szybko, śpieszyła się i, gdy Aljosza zrównał się z nią, rzekła:

— Nie, przed tą nie mogę się ukarać! Powiedziałam jej „przebacz", ponieważ chciałam się ukarać do końca. Nie przebaczyła... Lubię ją za to! — dodała Katia zmienionym głosem, i oczy jej błysnęły dziką złością.

— Brat nie spodziewał się tego — mruknął Aljosza — był pewny, że ona nie przyjdzie.

— Niewątpliwie. Dajmy temu pokój — przerwała Katia. — Niech pan posłucha: nie mogę iść z panem na pogrzeb. Posłałam im kwiaty. Pieniądze jeszcze mają, tak mi się zdaje. Jeśli trzeba będzie, niech pan powie, że w przyszłości nigdy ich nie zostawię bez pomocy... No, a teraz niech mnie pan zostawi, niech mnie pan zostawi samą, proszę bardzo. Spóźnił się już pan... Niech mnie pan zostawi, proszę!

III.

Pogrzeb Iljuszeczki. Mowa przy kamieniu.

Rzeczywiście się spóźnił. Czekano na niego i nawet zdecydowano się już zanieść ładną, kwiatami ozdobioną trumienkę do cerkwi. To była trumienka biednego chłopczyka, Iljuszeczki. Umarł dwa dni po skazaniu Miti. Aljoszę już przy furtce przywitały okrzyki chłopców, kolegów Iljuszy. Wypatrywano go z niecierpliwością i ucieszono się bardzo, że wreszcie nadszedł. Dwunastu ich było, wszyscy przyszli z tornistrami. „Tatuś będzie płakał, bądźcie przy tatusiu" — zalecił im Iljusza przed śmiercią, i chłopcy pamiętali o tem. Na czele ich był Kola Krasotkin.

— Jakże rad jestem, że pan przyszedł, Karamazow! — zawołał wyciągając do Aljoszy rękę. — Tu jest strasznie. Doprawdy, ciężko jest patrzeć. Sniegirow nie jest pijany, wiemy to napewno, że dziś nic nie pił, ale jakgdyby pijany... Ja jestem zawsze twardy, ale to okropne. Karamazow, jeżeli nie zatrzymuję pana, jedno tylko pytanie, zanim pan wejdzie.

— Cóż takiego, Kola? — zatrzymał się Aljosza.

— Winien jest czy nie winien brat pana? Czy on zabił ojca, czy lokaj? Jak pan powie, tak będzie. Cztery noce nie spałem — trapiła mnie ta myśl.

— Zabił lokaj, brat jest niewinny — odpowiedział Aljosza.

— I ja to mówię! — zawołał naraz Smurow.

— A więc zginie jako niewinna ofiara za prawdę? — zawołał Kola. — Choćby zginął, ale jest szczęśliwy! Gotów jestem zazdrościć mu!

— Co pan, jak można i dlaczego? — zawołał zdumiony Aljosza.

— O, gdybym i ja mógł poświęcić się za prawdę — zawołał entuzjastycznie Kola.

— Ale nie w takiej sprawie, nie z taką hańbą, nie tak straszliwie! — rzekł Aljosza.

— Naturalnie... chciałbym zginąć za całą ludzkość, a co się tyczy hańby, to wszystko jedno: niechaj zginą nasze imiona. Szanuję brata pana!

— Ja też! — nieoczekiwanie zawołał ten sam chłopczyk, który wiedział kto założył Troję, zawoławszy zaś, zarumienił się jak piwonja.

Aljosza wszedł do pokoju. W błękitnej trumnie, przybranej białą ruszką, leżał Iljusza ze złożonemi rękoma i zamkniętemi oczyma. Rysy jego zeszczuplałej twarzyczki nie zmieniły się prawie zupełnie i, rzecz dziwna, nie było też czuć w pokoju żadnego prawie zaduchu trupiego. Wyraz jego twarzyczki był poważny i jakby zamyślony. Szczególnie ładne były ręce, złożone na krzyż, niczem w marmurze rznięte. Włożono mu do ręki pęk kwiatów; cała zresztą trumienka wewnątrz i zewnątrz była przybrana kwiatami, które samego rana przysłała Liza Chochłakow. Pozatem nadeszły kwiaty od Katarzyny Iwanownej, i kiedy Aljosza otworzył drzwi, sztabs-kapitan obsypywał niemi właśnie swego drogiego chłopca. Ledwo zerknął na Aljoszę, zresztą na nikogo nie patrzał, nawet na płaczącą obłąkaną żonę swą, „mamuśkę", która usiłowała podnieść się na swe sparaliżowane nogi i popatrzeć zbliska na martwego chłopczyka. Ninoczkę zaś chłopcy podnieśli wraz z fotelem i przysunęli do samej trumienki. Opierała o nią głowę i też zapewne bezgłośnie płakała. Twarz Sniegirowa była ożywiona, ale jakby roztargniona i zarazem za-

cięta. Gesty jego i poszczególne sowa były nieprzytomne, jakgdyby obłąkane. „Ojczulku, miły ojczulku!“ — wołał co chwila, patrząc na Iljuszę. Miał zwyczaj, i to już oddawna, nazywać swego syna pieszczotliwie: „ojczulkiem, miłym ojczulkiem!“

— Tatusiu, i mnie daj kwiatuszki, wyjm mu z rączki ten bieluśki kwiatek i daj! — prosiła z płaczem obłąkana „mamusia“. Spodobała się jej bardzo malutka biała różyczka, a może chciała mieć z rączki nieboszczyka pamiątkę, — dość, że wyciągnęła ręce i poruszyła się niespokojnie.

— Nikomu nie dam, nic nie dam! — zawołał okrutnie Sniegirow. — Jego kwiatki, nie twoje. Wszystko jego, nie twoje!

— Ojcze, daj mamie kwiatek! — podniosła nagle Ninoczka swą twarz zroszoną łzami.

— Nic nie dam, a jej napewno nie dam. Ona go nie kochała. Ona mu wtedy armatkę zabrała, a on jej podarował — i sztabs-kapitan ryknął płaczem, przypominając sobie, jak Iljusza oddał matce swoją armatkę. Biedna obłąkana zalała się cichym płaczem, zasłoniwszy twarz rękoma. Ponieważ trzeba było wynieść już trumienkę, więc chłopcy otoczyli ją ze wszystkich stron i zaczęli podnosić.

— Nie chcę go chować na cmentarzu! — wrzasnął nagle Sniegirow. — Pod kamieniem pochowam, pod naszym kamuszkiem! Tak Iljusza kazał. Nie pozwolę nosić!

Od trzech dni już twierdził, że pochowa go pod kamieniem; lecz tym razem wtrącił się Aljosza, Krasotkin, właścicielka mieszkania, jej siostra i wszyscy chłopcy.

— Patrzajcie go, co wymyślił, pod pogańskim kamieniem chować chce, nibyto samobójcę, — rzekła surowo właścicielka mieszkania. — Na cmentarzu ziemia jest poświęcona, z krzyżem świętym. Tam będą się modlić za niego. Ze świątyni słychać śpiewanie, a diakon tak wyraźnie czyta, że wszystko nieboźę usłyszy, jakby mu nad grobem czytano.

Sztabs-kapitan machnął rękoma: „Nieście, dokąd chcecie!“ Chłopcy podnieśli trumienkę, lecz wymijając matkę, zatrzymali się i opuścili trumnę, aby i ona mogła się z Ilju-

szą pożegnać. Ujrzawszy zbliska to drogie oblicze, na które przez te trzy dni patrzała z oddalenia, nagle się zatrzęsła i zaczęła histerycznie potrząsać swą siwą głową.

— Mamo, przeżegnaj go, błogosław, pocałuj go — zawołała jej Ninoczka.

Lecz kapitanowa wciąż potrząsała głową i bez słowa, z grymasem straszliwego bólu biła się pięścią w pierś. Chłopcy unieśli trumnę i poszli dalej. Ninoczka po raz ostatni wargami przypadła do ust nieboszczyka. Aljosza, wychodząc z domu, poprosił właścicielkę mieszkania, aby się zaopiekowała obiema kobietami, ale ta nawet nie pozwoliła mu dokończyć:

— To się wie, chrześcijanie jesteśmy.

Co mówiąc, płakała. Do cerkwi było niedaleko, ze trzysta kroków, nie więcej. Dzień był jasny, cichy, cokolwiek mroźny. Dzwoniły dzwony. Sniegirow niespokojnie biegł truchcikiem za trumienką w swoim starym, króciutkim letnim paltociku, z gołą głową i ze starym miękkim kapeluszem o szerokiej kresie. Był jakoś dziwnie zatroskany, to nagle wyciągał rękę, aby podtrzymywać trumienkę, i przeszkadzał jeno, to znowu zabiegał z boku i szukał, czemby się zająć. Jeden kwiatek upadł na śnieg; sztabs-kapitan z niesłychanem staraniem podniósł go, jakgdyby od zguby tego kwiatka Bóg wie co zawisło.

— A kromki, kromki zapomnieliśmy — zawołał naraz z przerażeniem. Lecz chłopcy przypomnieli mu, że kromkę chleba schował do kieszeni. Natychmiast wsunął rękę do kieszeni, wyjął kromkę i odrazu się uspokoił.

— Iljuszeczka kazał, Iljuszeczka — wyjaśnił Aljoszy — leżał w nocy, ja przy nim siedziałem i nagle kazał: „Tatusiu, jak zasypią moją mogiłkę, weź kromkę chleba, nakrusz, aby wróble przyleciały, jak usłyszę, że przyleciały, to i mnie wesoło będzie, że nie leżę samotny".

— To bardzo dobrze — pochwalił Aljosza — trzeba to często robić.

— Codziennie, codziennie! — bełkotał sztabs-kapitan, ożywiając się bardzo.

Weszli wreszcie do świątyni i postawili pośrodku tru-

mienkę. Chłopcy stanęli wokoło i wysłuchali pień żałobnych. Cerkiew była bardzo stara i dosyć uboga, wiele ikon było bez ram, ale w takich cerkwiach lepiej się jakoś modlić. Sniegirow jakgdyby przycichł tu, chociaż chwilami objawiał jakieś bezwiedne, jakby nieśmiałe zatroskanie: to podchodził do trumienki i poprawiał kwiaty, to znowu, gdy z lichtarza wypadła świeczka, podniósł ją i bardzo długo wstawiał. Uspokoił się i stał spokojnie u wezgłowia z tępo-zatroskaną i jakby zdziwioną miną. Podczas nabożeństwa zauważył Aljoszy, że czytają *nie tak*, jak należy, ale jak należy czytać — nie wyjaśnił; w pewnem miejscu zaczął powtarzać tekst za diakonem, ale nie skończył, upadł na klęczki, czołem przypadł do kamiennej podłogi i długo tak przeleżał. Nakoniec rozdano świece. Nieprzytomny ojciec znowu się zakrzątnął, lecz wzruszające, wstrząsające pienia obudziły go i wstrząsnęły jego duszą. Zjeżył się jakoś i zaczął łkać, z początku cicho, a potem coraz głośniej, strasznym, urywanym głosem. Skoro zaś zaczęto nakrywać trumnę, objął ją rękoma, jakby nie pozwalał nakryć Iljuszeczki. A potem zaczął często, chciwie, nie odrywając się, całować swego chłopczyka w usta. Wreszcie namówiono go i sprowadzono ze schodka, lecz nieoczekiwanie wyciągnął rękę i zerwał z trumny kilka kwiatków. Patrzał na nie, i jakby nowa myśl przyszła mu do głowy i do takiego stopnia go zajęła, że zapomniał na chwilę o wszystkiem innem. Zamyślił się jakoś i już się nie sprzeciwiał, gdy podniesiono trumienkę i zaniesiono nad mogiłę. Wykopano ją tuż koło cerkwi — Katarzyna Iwanowna drogo za to miejsce zapłaciła. Po ceremonji grabarze spuścili trumnę. Sniegirow tak się nachylił nad grobem, zaciskając kwiatki w ręku, że koledzy nieboszczyka przerazili się, uchwycili go za palto i poczęli ciągnąć do tyłu. Ale on już niebardzo rozumiał, co się dzieje. Z zatroskaną miną wskazał na obsuwającą się ziemię; coś nawet powiedział, ale nikt tego nie zrozumiał. Zresztą prędko umilkł. Przypomniano mu, że trzeba nakruszyć chleba; strasznie się zdenerwował, wyciągnął kromkę i zaczął ją tyrpać, rzucając na mogiłę kruszynki. „A teraz przylećcie, ptaszki, przylećcie wróbelki!“ — bełkotał nieprzytomnie. Któryś z chłopców powiedział mu,

że chyba niewygodnie mu kruszyć z kwiatami w ręku, że lepiej dać je komu potrzymać. Lecz sztabs-kapitan nikomu nie dał, nawet zląkł się o swoje kwiatki, jakgdyby chciano mu je wydrzeć siłą, popatrzał na mogiłkę i, jakby przekonawszy się, że wszystko w porządku,—chleb już pokruszony, raptem, nieoczekiwanie i nawet spokojnie odwrócił się i poszedł w kierunku domu. Kroki jego były coraz szybsze, wkońcu nawet zaczął biegać. Aljosza i chłopcy podążyli za nim.

— Dla mamuśki kwiaty, dla mamuśki kwiaty! Skrzywdzili mamuśkę — zaczął nagle wołać. Ktoś mu krzyknął, aby włożył kapelusz, bo zimno; ale w odpowiedzi cisnął ze złością kapelusz na śnieg, powtarzając kilkakrotnie: „nie chcę kapelusza, nie chcę kapelusza!" Smurow podniósł kapelusz i niósł go za sztabs-kapitanem. Wszyscy chłopcy płakali, najbardziej zaś Kola i ów chłopczyk, który odkrył Troję; Smurow z kapeluszem kapitana w ręku zanosił się od płaczu, niemniej jednak zdążył mimochodem podnieść kawałek cegły z drogi i cisnąć w stado wróbli... Oczywiście chybił i pobiegł dalej, rzewnie płacząc. W połowie drogi Sniegirow nagle się zatrzymał, stał pół minuty jakby czemś zaskoczony, znienacka odwrócił się i pobiegł zpowrotem do mogiłki. Wszakże chłopcy dogonili go i uczepili się ze wszystkich stron. Stanął jakgdyby pokonany, upadł na śnieg i, bijąc się pięścią, rycząc i łkając, począł wykrzykiwać: „Ojczulku, Iljuszeczka, miły ojczulku!" Aljosza i Kola zakrzątnęli się koło niego, usiłowali go podnieść i uspokoić.

— Kapitanie, już dosyć, mężny człowiek powinien umieć wszystko znosić — mruknął Kola.

— Kwiaty pan pogniecie — odezwał się Aljosza — a „mamuśka" czeka, siedzi, płacze, że nie chciał pan jej dać kwiatuszków Iljuszy. Tam pościel Iljuszki jeszcze leży...

— Tak, tak, do mamuśki — przypomniał sobie znowu Sniegirow. — Pościel sprzątną, sprzątną! — dodał jakby ze strachu, że istotnie sprzątną, zerwał się i pobiegł do domu.

Stąd było już blisko, i wszyscy przybiegli razem. Snie-

girow otworzył drzwi i zawołał do żony, z którą się tak okrutnie pokłócił:

— Mamuśko droga, Iljuszeczka przysłał ci kwiatki, na chore twoje nogi! — krzyknął, wyciągając do niej pęczek złamanych i zmarzniętych kwiatów.

Ale w tej-że chwili zobaczył przed posłaniem Iljuszeczki w kąciku jego trzewiczki, ustawione rzędem przez właścicielkę mieszkania, — stare, zrudziałe, zeschnięte buciczki z łatami. Ujrzawszy je, podniósł ręce, podbiegł ku nim, upadł na klęczki, chwycił jeden bucik, przycisnął wargi i zaczął go namiętnie całować, pokrzykując:

— Ojczulku, Iljuszeczka, miły ojczulku, gdzie są teraz twoje nóżki?

— Gdzieś ty go odniósł? Gdzieś ty go odniósł? — krzyknęła rozdzierającym głosem obłąkana.

Zapłakała nagłos Ninoczka. Kola wybiegł z pokoju, a za nim wyszli inni chłopcy. Wyszedł też wreszcie Aljosza.

— Niech się wypłaczą — rzekł do Koli — nie można teraz pocieszyć. Przeczekamy chwilę i wrócimy.

— Tak, nie można, to straszne — potwierdził Kola.— Wie pan, Karamazow — zniżył naraz głos, aby go nikt nie usłyszał. — Bardzo mi smutno, gdyby go można było wskrzesić, oddałbym wszystko na świecie!

— Ach, i ja też — rzekł Aljosza.

— Jak pan myśli, Karamazow, przyjść tu dziś wieczorem? Przecież on się upije.

— Może się upije. Przyjdziemy tylko we dwóch, ja z panem, aby posiedzieć z nimi godzinkę, z matką i Ninoczką; jeżeli wszyscy razem przyjdziemy, to znowu im przypomnimy — poradził Aljosza.

— Teraz właścicielka mieszkania do stołu nakrywa — stypa będzie, pop przyjdzie; czy mamy wrócić tam, Karamazow, czy nie?

— Stanowczo wrócić.

— Dziwne to wszystko, taki ból i naraz jakieś „bliny", dziwna ta nasza religja.

— Będzie tam i łosoś — wyrwał się nagle chłopak, który odkrył Troję.

— Proszę was stanowczo, Kartaszow, abyście nie wtrącali się ze swemi głupstwami, zwłaszcza kiedy z wami nie mówią i nie chcą nawet wiedzieć o waszem istnieniu — skarcił go z irytacją Kola.

Kartaszow spiekł raka, ale nie śmiał odpowiedzieć. Tymczasem wszyscy szli dróżką. Naraz Smurow zawołał:

— To kamień Iljuszy, pod którym ojciec chciał go pogrzebać!

W milczeniu zatrzymano się przed wielkim kamieniem. Aljosza popatrzał i naraz przypomniał sobie opowieść Sniegirowa o tem, jak Iljuszeczka, płacząc i obejmując ojca, wołał: „Tatusiu, tatusiu, jak on ciebie poniżył!" Coś się wstrząsnęło w jego duszy. Powiódł poważnem spojrzeniem po miłych, pogodnych twarzyczkach chłopców, i nagle rzekł:

— Panowie, chciałbym wam tu, na tem miejscu powiedzieć słówko.

Chłopcy otoczyli go i wrazili w niego badawcze i pełne oczekiwania spojrzenia.

— Panowie, wkrótce się rozstaniemy. Tymczasem jestem tu przy obu braciach moich, z których jeden skazany na katorgę, a drugi jest bliski śmierci. Ale wkrótce wyjadę z tego miasta, być może nawet niedługo. Zatem rozstaniemy się, panowie. Umówmy się tu, przy kamieniu Iljuszy, że nigdy nie zapomnimy — po pierwsze Iljuszeczki, a po drugie nawzajem o sobie. I cokolwiek się przytrafi nam później w życiu, choćbyśmy się nawet mieli dwadzieścia lat nie spotkać — pamiętajmy wszyscy, jak odprowadziliśmy zwłoki biednego chłopczyka, którego swego czasu obrzucaliśmy kamieniami—pamiętacie tam, nad mostem?— a potem tak wszyscy pokochali. Dobry chłopczyk, dobry i odważny, ujął się za honor i gorzką krzywdę swego ojca. A zatem po pierwsze będziemy go pamiętać, panowie, całe nasze życie. I choćbyśmy byli zajęci najważniejszemi sprawami, choćbyśmy dopięli zaszczytów lub wpadli w wielkie

nieszczęście — nie zapomnijmy nigdy, jak nam tu wszystkim było dobrze, nam, połączonym tak dobrem i zacnem uczuciem, które nas uczyniło lepszymi, niż jesteśmy w istocie. Gołąbki moje, pozwólcie, że was tak nazwę, bo jesteście tak do nich podobni, do tych siwych ładnych ptaków teraz, kiedy spoglądam na wasze dobre miłe twarzyczki — miłe moje dzieciątka, może nie zrozumiecie teraz, co tak często mówię niezrozumiale, ale zapamiętacie sobie moje słowa i kiedyś zgodzicie się z niemi. Wiedźcież, że niema nic wyższego, silniejszego i zdrowszego i pożyteczniejszego dla życia nad dobre wspomnienie, zwłaszcza wyniesione z dzieciństwa, z domu rodzicielskiego. Dużo wam się prawi o waszem wychowaniu, a przecież jakieś piękne w tym rodzaju święte wspomnienie, zachowane z dzieciństwa, jest zarazem najlepszem wychowaniem. Jeżeli wiele się nabiera takich wspomnień, to zbawiony jest człowiek na całe życie. I jeżeli nawet bodaj jedno dobre wspomnienie zostanie w waszem sercu, to i ono może przyczynić się do waszego zbawienia. Być może staniemy się złymi ludźmi, może nawet nie będziemy mogli oprzeć się złej pokusie, może z łez ludzkich śmiać się będziemy i z tych ludzi, którzy mówią tak, jak to Kola niedawno zawołał: „chcę cierpieć za wszystkich ludzi" — może z tych ludzi będziemy drwić okrutnie. A jednak jakkolwiek źli będziemy, czego nie daj nam Boże, skoro przypomnimy sobie, jak odprowadzaliśmy Iljuszę, jak go kochaliśmy ostatniemi dniami, i jak tu teraz rozmawialiśmy ze sobą tak zgodnie i tak przyjaźnie przy tym kamieniu, to najokrutniejszy z pośród nas i najbardziej szyderczy, — jeśli nawet ktoś z nas takim się stanie, — nie ośmieli się przecież śmiać się z tego, jakim dobrym był i zacnym w obecnej chwili! Co więcej, może to właśnie wspomnienie uchroni go od złego czynu, może się opamięta, może on powie: „Taki byłem wtedy dobry, śmiały i uczciwy". Niech się uśmiechnie przytem, to nic, człowiek często się śmieje z dobrego i zacnego; lecz to jeno przez lekkomyślność; ale zapewniam was, panowie, że jak się tylko uśmiechnie, odrazu w sercu swojem powie: „Nie, źle zrobiłem, że się uśmiechnąłem, bo z tego nie można się śmiać!"

— Tak, bezwzględnie tak będzie, Karamazow, ja pana rozumiem, Karamazow! — zawołał Kola z błyszczącemi oczyma.

Inni też chcieli coś dorzucić, ale pohamowali się, patrząc ze wzruszeniem na mówcę.

— Mówię to na ten wypadek, jeżeli staniemy się złymi ludźmi — kontynuował Aljosza. — Ale dlaczegobyśmy się mieli stać złymi ludźmi, panowie? Bądźmyż popierwsze i przedewszystkiem dobrzy, potem uczciwi, a potem — nie zapominajmy o sobie. Znowu to samo powtarzam. Słowo wam daję, panowie, że nie zapomnę nigdy żadnego z was; każdą twarzyczkę, która na mnie teraz spogląda, przypomnę sobie nawet za lat trzydzieści. Niedawno Kola powiedział Kartaszowowi, że nie chcemy wiedzieć o jego istnieniu. Czyż mogę zapomnieć o istnieniu Kartaszowa, i że nie zalewa się teraz rumieńcem, jak wtedy, gdy Troję odkrył, lecz patrzy na mnie swemi pogodnemi, dobremi, wesołemi oczkami? Panowie, mili wy moi panowie, bądźmyż wszyscy wielkoduszni i mężni jak Iljuszeczka, mądrzy, śmiali i wielkoduszni jak Kola (który zmądrzeje bardziej, gdy podrośnie) i bądźmy tak wstydliwi, ale mądrzy i mili jak Kartaszow. Ale czegóż ja mówię tylko o nich! Wszyscy wy, panowie, mili mi jesteście, wszystkich was w sercu swem zachowam, i was poproszę, abyście i mnie zachowali w waszych sercach! I któż nas połączył w tem dobrem zacnem uczuciu, kogo teraz i zawsze, całe życie wspominać będziemy i wspominać zamierzamy, któż, jeżeli nie Iljuszeczka, dobry chłopczyk, miły chłopczyk, drogi nam chłopczyk na wieki wieków! Nie zapomnijmy go więc nigdy, zachowajmy wieczystą o nim pamięć w naszych sercach, dziś i na wieki wieków!

— Tak, tak, wieczystą — zawołali ze wzruszeniem wszyscy chłopcy dźwięcznemi głosikami.

— Będziemy pamiętać i twarzyczkę jego i odzież, i ubogie jego trzewiczki, i trumienkę jego, i nieszczęsnego grzesznego ojca jego, i o tem, jak mężnie powstał przeciw całej klasie w obronie swego ojca!

— Będziemy, będziemy pamiętać! — zawołali chłopcy. — Był śmiały, był dobry!

— Ach, jak ja go kochałem! — zawołał Kola.

— Ach, dzieciątka moje, ach, mili przyjaciele, nie bójcie się życia. Jakże dobre jest życie, gdy się robi co dobrego i prawdziwego.

— Tak, tak! — wołali z zachwytem chłopcy.

— Karamazow, my pana kochamy! — zawołał naraz któryś głos, zdaje się, że Kartaszowa.

— My pana kochamy, my pana kochamy! — podchwycili wszyscy. Niektórzy mieli łzy w oczach.

— Niech żyje Karamazow!—zawołał z entuzjazmem Kola.

— I zachowajmy w pamięci zmarłego chłopczyka! — dodał z przejęciem Aljosza.

— Karamazow! — zawołał Kola. — Czy słusznie religja twierdzi, że wszyscy zmartwychwstaniemy i zobaczymy się wszycy, i Iljuszeczkę zobaczymy?

— Bezwarunkowo zmartwychwstaniemy, bezwarunkowo się zobaczymy, i wesoło a radośnie opowiemy sobie nawzajem, co było — napoły z uśmiechem, a napoły z zachwytem odpowiedział Aljosza.

— Ach, jak to dobrze będzie! — wyrwało się Koli.

— A teraz dosyć mówek, idźmy na stypę. Niech was to nie dziwi, że będziemy jeść naleśniki. Wszak to stary, odwieczny zwyczaj a pod wielu względami i dobry — roześmiał się Aljosza. — Ano chodźmy! Oto już teraz idziemy ręka w rękę.

— I wiecznie tak, całe życie ręka w rękę! Niech żyje Karamazow! — jeszcze raz zawołał Kola z entuzjazmem, i wszyscy chłopcy podchwycili ów okrzyk.

KONIEC.

SPIS RZECZY

KSIĘGA PIERWSZA.

Dzieje pewnej rodzinki.

I. Fedor Pawłowicz Karamazow 11
II. Poniewierka pierwszego syna 15
III. Drugie małżeństwo i młodsze dzieci . . . 18
IV. Trzeci syn, Aljosza 26
V. Starcy 35

KSIĘGA DRUGA.

Nieprzystojne zebranie.

I. Przyjechali do klasztoru 46
II. Stary błazen 52
III. Wierzące baby 63
IV. Niewiasta małej wiary 71
V. Spełni się, spełni 80
VI. I pocóż to żyje taki człowiek 90
VII. Seminarzysta - karjerowicz 102
VIII. Skandal 112

KSIĘGA TRZECIA.

Lubieżnicy.

I. W czeladni 122
II. Lizaweta Smerdjaszcza 128
III. Spowiedź gorącego serca. Wierszem . . 133
IV. Spowiedź gorącego serca. W anegdotach. . 142
V. Spowiedź gorącego serca. Piętami do góry . 151
VI. Smerdjakow 160
VII. Kontrowersja 166
VIII. Przy koniaczku 172
IX. Lubieżnicy 180
X. Obie razem 186
XI. Jeszcze jedna zgubiona reputacja . . . 199

CZĘŚĆ DRUGA

KSIĘGA CZWARTA.

Szarpanina.

I. Ojciec Terapont 211
II. U ojca 222
III. Spotkanie ze sztubakami 227
IV. U pani Chochłakow 232
V. Szarpanina w salonie 239
VI. Szarpanina w izbie 251
VII. I na powietrzu 261

KSIĘGA PIĄTA.

Pro i contra.

I. Zmowa 272
II. Smerdjakow z gitarą 285

III. Poznanie się braci 292
IV. Bunt 303
V. Wielki Inkwizytor 292
VI. Tymczasem jeszcze bardzo niejasna . . 338
VII. „Z mądrym człowiekiem to i pogadać ciekawie“ 350

KSIĘGA SZÓSTA.

Rosyjski mnich.

I. Starzec Zosima 361
II. Żywot w Bogu zmarłego starca ojca Zosimy, z własnych jego słów spisał Aleksy Fedorowicz Karamazow.
a) O młodzianku, bracie starego Zosimy . 366
b) O piśmie świętem w życiu ojca Zosimy 370
c) Wspomnienia z młodości starca Zosimy. Pojedynek 376
d) Tajemniczy gość 384
III. Z rozmów i pouczeń starca Zosimy.
e) O mnichu rosyjskim i o możliwem jego znaczeniu 398
f) O panach i sługach i o tem, czy to możliwe, aby panowie i słudzy stali się braćmi z ducha 400
g) O modlitwie, o miłości i o stykaniu się z innemi światy. 405
h) Czy można być sędzią swoich bliźnich? O wierze do końca 408
i) O piekle i ogniu piekielnym, mistyczna medytacja 410

CZĘŚĆ TRZECIA

KSIĘGA SIÓDMA

Aljosza.

I. Zaduch trupi 415
II. Taka minutka 428
III. Cebulka 434
IV. Kana Galilejska 454

KSIĘGA ÓSMA.

Mitia.

I. Kuzma Samsonow 460
II. Legawy 472
III. Kopalnia złota 479
IV. W ciemnościach 492
V. Nagłe postanowienie 498
VI. Ja jadę 515
VII. Dawny 524
VIII. Maligna 544

KSIĘGA DZIEWIĄTA.

Śledztwo.

I. Początek karjery urzednika Perchotina . . 558
II. Alarm 565
III. Włóczenie duszy po spytkach 572
IV. Dalsze spytki 581

V. I wciąż spytki 590
VI. Prokurator złapał Mitię 602
VII. Wielka tajemnica Miti. Wygwizdali . . 611
VIII. Zeznania świadków. Dzieciok 624
IX. Wywieziono Mitię 634

CZĘŚĆ CZWARTA

KSIĘGA DZIESIĄTA.

Dzieciarnia.

I. Kola Krasotkin 639
II. Dzieciarnia 644
III. Uczniacy 650
IV. Bobek 659
V. Przy łóżku Iljuszy 667
VI. Wczesny rozwój 684
VII. Iljusza 692

KSIĘGA JEDENASTA.

Brat Iwan Fedorowicz.

I. U Gruszeńki 698
II. Chora nóżka 708
III. Djabełek 719
IV. Hymn i sekret 727
V. Nie ty, nie ty! 741
VI. Pierwsza rozmowa ze Smerdjakowym . . 748
VII. Druga rozmowa ze Smerdjakowym . . . 759
VIII. Trzecia i ostatnia rozmowa ze Smerdjakowym 770
IX. Djabeł. Zmora Iwana Fedorowicza . . . 787
X. „To on mówił!“ 808

KSIĘGA DWUNASTA.

Pomyłka sądowa.

I. Fatalny dzień 815
II. Niebezpieczni świadkowie 822
III. Ekspertyza lekarska i funt orzechów . . . 832
IV. Szczęście uśmiecha się do Miti 838
V. Nieoczekiwana katastrofa 848
VI. Mowa prokuratora. Charakterystyka . . . 859
VII. Przegląd historyczny 870
VIII. Traktat o Smerdjakowie 875
IX. Psychologja całą parą. Rozpędzona trójka. Finał mowy prokuratora 886
X. Mowa obrońcy. Kij o dwóch końcach . . 898
XI. Pieniędzy nie było. Ani grabieży . . . 903
XII. I morderstwa nie było 910
XIII. Porubca myśli 918
XIV. Kmiotkowie postawili na swojem . . . 926

EPILOG

I. Projekty uratowania Miti 936
II. Na chwilę kłamstwo prawdą się stało . . 942
III. Pogrzeb Iljuszeczki. Mowa przy kamieniu . 950

UNIVERSITY OF N.C AT CHAPEL HILL
00055247864